

Bibliotek Sejmu zlatkings

4620

1909/3



221.

TOM CCLXVII.

SERYA 9.

ROK 67.

ZESZYT 799.



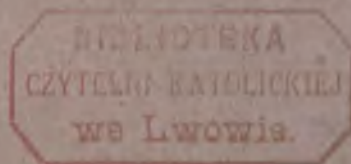
BIBLIOTEKA

WARSZAWSKA.

LIPIEC.

1907.

TOM III.—ZESZYT 1.



WARSZAWA.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 5.



TREŚĆ ZESZYTU.

	<i>Str.</i>
1. LUNA, — przez <i>Kazimierza Zdziechowskiego</i>	1
2. O CHŁOPSKIM EPOSIE KONOPNICKEJ, — przez <i>Stanisława May-</i> <i>kowskiego</i>	38
3. RUCH PIŚMIENNICZY WE FRANCYI, — przez <i>Kazimierza Woźni-</i> <i>ckiego</i>	74
4. MARLOWE I MICKIEWICZ, — przez <i>Andrzeja Tretiaka</i>	92
5. LOSY SCENY DRAMATYCZNEJ W TEATRZE WARSZAWSKIM, — przez <i>W. Bogusławskiego</i>	116
6. GUSTAW MOREAU, — przez <i>Jana Topassa</i>	140
7. KIEDY BORUTA BYŁ PACHOLECIEM, — przez <i>J. K. Kochanowskiego</i>	150
8. PIŚMIENNICTWO:	
ZYGMENT WASILEWSKI: Od romantyków do Kasprowicza. Studya i szkice literackie, — przez <i>Z. D.</i>	175
EDWARD STRASBURGER: Zur Entwicklung der Arbeiterfrage im Kö- nigreich Polen, — przez <i>Z. D.</i>	179
9. KRONIKA MIESIĘCZNA:	
Rozwiązanie drugiej Izby i nowe wybory. — Z powodu zjazdu pisa- sarzy katolickich. — Seminaryum nauczycielskie w Ur- synowie pod Warszawą	181
10. Ś. P. HENRYK HOYER, — przez <i>Z. D.</i>	194
11. WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE	196

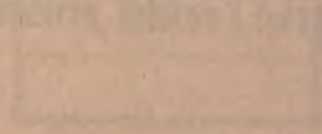
Do niniejszego zeszytu dołącza się Dodatek „PRACA“ № 7.

Wydawnictwo Biblioteczne, Warszawa 1907.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

Prace Biblioteczne 1907.

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.



1907. Tom III

221.

Ogólnego zbioru Tom 267.

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

PISMO MIESIĘCZNE,

poświęcone nauce, literaturze, sztukom i sprawom społecznym.

Rok 1907. — Tom III.

WARSZAWA.

Adres Redakcyi: ul. Krakowskie Przedmieście № 5.

1907.



4620 / 1907. 3

II



30,000

X-14368
4620 / II 3.

/1907



ŁUNA.

CZEŚĆ DRUGA.

I.

Paweł był całkowicie oddany partyi, w której znalazł cel, zajęcie, uznanie, stosunki przyjazne, pannę Malinowską, słowem, to wszystko, czego dotąd marnie szukał w życiu. Pracowity czas upływał szparko. Minęła zima i wiosna, minęły letnie miesiące, zbliżała się jesień. Wypadki na widowni dziejów rozwijały się w tempie gorączkowym, i bieg ich zdawał się potwierdzać przepowiednie wodzów stronnictwa. Wojna zakończyła się klęską, olbrzymie państwo chwiało się w swoich podstawach, budziły się po długim uśpieniu rzesze ludowe, paliły się całe powiaty, objęte ogniem rozruchów chłopskich, wybuchały bunt w wojsku, wrzały przedmieścia robotnicze — zaniepokojony rząd cofał się, miękł, ustępował, obiecywał... Zapał ogarniał Pawła. Przed rokiem był tylko chwiejnym sympatykiem, był malkontentem, szukającym w skrajnym obozie przytułku dla skaleczonej ambicji — obecnie przejął się gorąco ideą, programem, wiarą i nadziejami partyi. I pracował z całych sił. Mianowano go na rozmaite urzędy, w rzeczywistości nie mające znaczenia, a on spełniał te funkcje z właściwą mu sumiennością, z pedantyzmem, nieraz z zaparciem się siebie. Przykładał pieczęć, obliczał, numerował, katalogował, robił korekty, zanosił i przynosił, rozdawał, przechowywał, przepisywał... Złośliwi nazywali go bezpłatnym posłańcem partyi. Na 1-szy, to samo myślał o nim sztab główny. Ceniąc jego stanowisko towarzyskie i ofiarną pracę, oddawano mu honory, pochlebiano, traktowano z wyszukaną uprzejmością, ale to były pozory, za którymi ukrywały się nieufność, lekceważenie i szyder-



stwo. Paweł nie uniał poznać się na tem. Trzymano go w odległości, odsuwano od wpływu i władzy, a jemu się wydawało — do czasu zresztą—iż urzeczywistnił się jego sen o buławie, że on jest jednym z dowódców, że w tej doniosłej epoce dziejowej oddziaływa bezpośrednio na losy narodu. To też, gdy zdarzało mu się spotkać przedstawiciela innych obozów, wydymał pogardliwie wargi, patrzył z wysoka i wyniośle mówił: my—pluralis majestaticus. Zaspokojona na razie ambicya, zajęcie, duma sumienia, przekonanego o pierwszorzędnej użyteczności dokonywanego trudu, dały mu warunki szczęścia, za którem oglądał się tak długo. Była także inna przyczyna, może najważniejsza: mianowicie zanik roboty wewnętrznej, tem bardziej ospałej, im gorliwszą i ruchliwszą stawała się czynność Pawła nazewnątrz. „Rachunek myśli,“ któremu poświęcał niegdyś i w każdym okresie życia tyle udręczonych godzin, leżał odłogiem, milczał od dłuższego już czasu Wielki Inkwizytor wewnętrzznego kościoła, kontroler państwa duszy, podzienny szperacz; rekiny smutku, które ukazują się tylko na cichych wodach, które przez wszystkie lata ubiegłe towarzyszyły Pawłowi w jego wędrówce, przestały wyrzucać się.. Okręt życia mknął—kapitan chwycił wrażenia, uwijał się, sterował, był zadowolony. W ogromnem, pustem, po wyjeździe żony, mieszkaniu, żadne echo posępnej przeszłości nie mąciło mu jego szczęścia. Za to często brzmiał w niem śmiech panny Malinowskiej, która „wpadała“ prawie codziennie po informacje, bawiła długo, czarowała kusząco, i często gwarno było od odbywających się zebrań, a, gdy zostawał sam, pracował. Potem, znużony, kładł się i zasypiał. Od samego zaś rana były znowu zajęcia, liczne, bardzo ważne, niezmiernie odpowiedzialne... Wychodził na miasto albo wyjeżdżał kędyś z jakimś tajemniczem poleceniem, w nielicznych wolnych chwilach odwiedzał Janka Śniadowskiego, z którym zaprzyjaźnił się, pannę Malinowską, kogoś z dawniejszych znajomych. Tych ostatnich wszakże niechętnie i coraz rzadziej. Jedni bali się go, niby straszego Dantona; inni, jak na przykład Obroński, drwili: jeszcze inni próbowali nawracać i ratować, i, jakkolwiek panie z towarzystwa, niegdyś obojętne i znudzone, teraz mimo, a może właśnie z powodu „krwawej“ opinii, cisnęły się do niego i słuchały z upodobaniem, gdy on z nieminiejszym upodobaniem, dla obudzenia skruchy i trwogi, malował na ich benefis przeraźliwe obrazy—prawie wszystkie domy zamknęły mniej albo więcej ostentacyjnie przed Pawłem drzwi. Rzucono klątwę na niego—i byli nawet tacy, którzy przestali poznawać go na ulicy. W świstkach humorystycznych pojawiły się karykatury „czerwo-

nego hrabiego;“ w piśmie poważnem—artykuł o manowcach myśli politycznej; w gazetach brukowych wrogięgo obozu — złośliwe zaczepki. Człowiek, nieznany i nieznaczący do niedawna, wypychany zewsząd, zaczynał stawać się poniekąd głośnym. Radowało to Pawła, który ten „huczek,“ tworzący się około jego imienia niewybrednie nazywał sławą, i, podkreślając starannie, gdzie mógł, ile mógł, swoją krańcowość, roił już o tej niedalekiej, zdaniem jego, godzinie, gdy on odegra doniosłą rolę łącznika i pośrednika, gdy dzisiejsi wrogowie ubiegać się będą o jego względy a on powagą swoją skupi wszystkie stronnictwa i położy kres walce partyjnej, której nie przestawał uważać za szkodliwą. Będzie to dzień jego tryumfu—czekał... czekał dosyć już długo i niecierpliwił się. To też kiedy któregoś dnia o południu zameldowano mu bankiera Żymirskiego, skwapliwie kazał go przyjąć i wyprostował się dumnie, przekonany, że ta niespodziana (choć spodziewana) i niezwykła wizyta ma polityczny podkład i pierwszorzędne znaczenie.

Bankier wszedł krokiem żwawym, z wesołą pewnością siebie, z uśmiechem przyjaznym, przywitał się zamaszycie.

— Jako dwa na słońcach swych przeciwne bogi — rzekł banalnie — hrabia nie spodziewał się.

— Nie spodziewalem się... chociaż... — niegrzecznie odparł Paweł i, wydymając wargi, przyglądał się wyniośle temu sławnemu przeciwnikowi, który przed rokiem nie raczył z nim rozmawiać, a teraz przychodził pierwszy.

Żymirski wykonał lekki półukłon i, patrząc słodko z podełba, szepnął:

— Dziękuję za: „chociaż“ i proszę o wyjaśnienie.

— Chociaż... — Paweł urwał jeszcze raz, nie chcąc odstąpić kart.

Nastąpiło milczenie

— Hrabia nie wyjeżdżał na letni wypoczynek?

— Zbyt dużo jest pracy...

— Jaki też żal, że pan hrabia nie nam poświęca swój czas, swoje zdolności, swój zapal gorący...

— Chciałem niegdyś... odrzuciliście... dziś cieszę się, że nie poszedł z wami. Wybrałem jedynie właściwą drogę.

— Odbyłem ewolucję — dodał po chwili dobitnie—tę samą, co i cały naród. Zacząłem od pozytywizmu, potem kierunek ludowy, skończyłem na socyalizmie...

Była to ulubiona myśl Pawła, którą od czasu, gdy mu ją ktoś podsunął, powtarzał i sobie i innym przy każdej okazji.

— Ach tak... — z roztargnieniem zgodził się Żymirski.

Znowu zapadło milczenie. Gość patrzył to tu, to tam, podnosił oczy na sufit, jak gdyby przybył dla zbadania tego pokoju, unikał przenikliwego wzroku Pawła.

— Niespokojne czasy — mruknął, żeby coś powiedzieć.

— Doniosłe, brzemienne wielkimi zdarzeniami czasy—poprawił go znacząco gospodarz — wszystko już przygotowane i, jak przed walną bitwą, czekam...

— Żeby w odpowiedniej chwili skinąć buławą — podchwycił Żymirski

Wyglądało to na żart, ale Paweł odparł poważnie:

— Nie ja sam kieruję, jest nas kilku...

Rozmowa urwała się. Bankiera ogarnęła zaduma. Paweł, rozparty niedbale, gładził swoją brodę, którą zapuścił dla nadania sobie bardziej charakterystycznego wyglądu, i niecierpliwił się.

— Czemu zawdzięczam wizytę pana—odezwał się—mam tak dużo zajęćia...

— Przepraszam bardzo hrabiego... istotnie... jego czas jest tak cenny... wpadłem tu na krótki moment...

Żymirski, stroskany i zgnębiony przed chwilą, ożywił się naraz. Odzyskał wesołą pewność siebie, z którą wszedł, miał uśmiech...

— Pozwoliłem sobie, ośmieliłem się narzucić się panu... Jakkolwiek nigdy nie łączyły nas bliskie stosunki, ja mimo to... hrabia zapewne zdziwi się...

Im trudniej było mu wykrztusić interes, dla którego tu przyjechał, tem stawał się weselszym. Mówił z intonacją niemal figlarną, jak gdyby flirtował ze sztywnym i nاپuszczonym gospodarzem. Oczyami kokieteryjnie szukał spojrzenia Pawła, uśmiechał się ciągle.

— Strzelił mi do głowy pomysł, może niewczesny, zaraz go wytłuszczę, pan hrabia osądzi...

Tu zatrzymał się, spojrzał w ogromne lustro, w którym odbijał się całą postacią, i patrząc to w gospodarza, to w siebie, opowiadał dalej:

— Przed rokiem mniej więcej teść hrabiego a mój współnik Hilary Kamieniecki, proponował hrabiemu lokatę kapitałów. Uczył to w moim imieniu, a bez mojej wiedzy. Hrabia odmówił, otóż chciałbym zapytać o powody.

Twarz Pawła, który od początku nastroił się na wysoki ton polityczny i przygotował się do wysłuchania doniosłej noty dyplomatycznej, stała się kwaśną.

— Pan wybaczy — odparł oschle — ale ja nie widzę potrzeby... zresztą nie mam ochoty spowiadania się.

Żymirski nie zmieszał się zupełnie. Uśmiechnął się i jeszcze swobodniej, z wesołą niedbałością mówił:

— Bank mój cieszy się taką opinią, że odmowa hrabiego nie uraziła mnie, a tylko zaciekała. Wobec ogromnie zyskowych warunków, które postawił był pan Kamieniecki, wydała mi się także dziwaczną... Bywają ludzie uparci, bywają upory...

— Do czego pan zmierza? — przerwał Paweł.

— Właśnie zaraz. Przyjechałem do hrabiego z propozycją... to nawet prośba... Wówczas pan Kamieniecki chciał hrabiemu jako zięciowi przysporzyć dochodów, teraz tu chodzi o mnie... Czasy są tak ciężkie, że nawet ja, że nawet mój dom bankierski odczuwa ich ciężar. Nie potrzebuję tłumaczyć... zastój na całej linii, tchórzliwe kapitały uciekają za granicę, brak gotówki... — coraz figlarniej, coraz żartobliwiej tłumaczył Żymirski — proszę tedy o pożyczkę na tych samych warunkach... warunki mogą być nawet lepsze... Hrabia zechce dopomóc mi, a przez to krajowi... tym setkom i tysiącom, które mnie zawdzięczają... Będzie to czynu obywatelski... pożyczka na krótki termin...

Bankier skończył i wlepił wzrok w gospodarza. Jeszcze na twarzy igrał mu uśmiech.

— Ja nie mogę się zgodzić — rąbnął Paweł.

— I to jest ostatnie słowo?... — już bez kokieterii spytał Żymirski, a głos dawała mu trwoga.

— Tak.

Nastąpiła cisza. Bankier przyglądał się chwilę Pawłowi — i nagle jakby osłupiał. Spojrzenie jego pięknych, rozumnych, rozweselonych oczu stało się tępem i ogłupiałem, zgasł uśmiech, otwały mu się usta... Zsunął, niewiedząc dlaczego, z prawej ręki rękawiczkę, potem z lewej, położył rękawiczki na stole, splótł ręce, zgarbił się i pod ciężarem troski siedział zgnębiony, niedołączny, osłupiały. Zdawało się, że zapomniał, gdzie się znajduje, że nie spostrzega gospodarza, który się niecierpliwił. Paweł chrząknął znacząco, ale to nie pomogło: bankier nie widział go i nie słyszał. Czas upływał...

— Przykro mi niezmiernie — głośno odezwał się Paweł.

Wówczas Żymirski wstał.

— W takim razie... — bąknął.

I wyszedł krokiem powolnym, ocieżyłym, leniwym.

— Pan zapomniał rękawiczek — dopędził go w przedpokoju Paweł.

— Dziękuję... jestem roztrzępany... — uśmiechnął się apatycznie, z przyzwyczajenia.

— A z mojej propozycji—nie?—spytał tak samo apatycznie.

— Mówiłem już...

Bankier ociągał się jeszcze moment, zdawało się, że coś sobie przypominał, albo, że mu żal rozstawać się z tem mieszkaniem, z jego gospodarzem, z tą chwilą... Był niezmiernie znudzony. Niechętnie schodził na dół. Przed jakimiś drzwiami zatrzymał się, odczytał nazwisko na tablicy: Mieczysław Ohnefater Dr. medycyny, badał długo ten napis, wreszcie usiadł na ławie pod oknem.

— Mieczysław Ohnefater—powtórzył sennie—żyd a imię polskie, imię królewskie... choroby sekretne... zabierają nam wszystko, nawet królów naszych... Ich jest tryumf... przez nich ginie ten kraj... wciskają się przez wszystkie szpary, pełzać umieją i piąć się... zdobywają... wsiąkają trucizną do duszy narodowej... — gadał. Oni to są chorobą sekretną ojczyzny—zdobył się na dowiec i umilkł w sobie. Nasunęło mu się jeszcze kilka uwag potocznych, parę pospolitych spostrzeżeń, pełzały pod czaszką jakieś zdania bez związku i treści, niby z książki, przerzucanej pośpiesznie, odczytywanej bezładnie, gdzie padnie wzrok. Apatycznym spojrzeniem patrzył przed siebie w barwne plamy, które słońce rzucało na ścianę, świecąc przez kolorowe szyby okna, i świadomość jego stała się martwą, właśnie, jak owa ściana, która biernie przyjmowała promienną pieczętę. Myśl usnęła niby najemny posługacz, który, porzuciwszy śród drogi ciężar, idzie kłaść się do rowu i śpi, aż go nie zbudzi krzykiem i batem dozorca. On nie chciał jej budzić.

Ktoś biegł po schodach — doktor Ohnefater, który znał bankiera.

— Pan dyrektor zapewne do mnie — witał uprzejmie — dla czegoż tu? czyżby służący nie otworzył? to nie jest godzina przyjęć, ale dla pana dyrektora...

— Ja sobie tak... odpoczywam..

Potem szła jakaś dostojna dama z dostojną zadyszka, potem uczeń gimnazyum, listonosz, stróż domu, młody człowiek w wytartym ubraniu z grubym kijem — wszyscy pytali go wzrokiem: a pan co tu porabiasz? Nie zwracał na nich uwagi. Zajmowały go barwne plamy słoneczne na ścianie — odpoczywał. Gdyby mu kto przepowiedział, że on, najczynniejszy w tem mieście i najwelseszy, najbardziej dbały o pozory człowiek będzie wysiadywał na schodach, w cudzej kamienicy, przed drzwiami D-ra Ohnefa-

tera, gdyby mu kto pokazał jego samego z twarzą osowiałą, z tę-
pem wejrzeniem, z otwartymi ustami, zgarbionego trywialnie, jak
przeciętny „niedojadacz chleba,“ którego we dnie gniecie praca
a w nocy gryzie troska!...

Wreszcie w pewnej chwili dźwignął się i poszedł. Przed
bramą czekały konie. Stangret, nie otrzymawszy żadnego roz-
kazu, woził go długo po mieście. Żymirski nie odpowiadał na
ukłony licznych znajomych — nie widział ich poprostu. Szklanym
wzrokiem patrzył przed siebie, siedział zgięty, przytłoczony,
marny na tle świetnego powozu, ruchliwych ulic, wesołego dnia.
Pogoda była piękna. Chmury gromadziły się zwalami na zacho-
dzie, zlewając się w groźną siność, ale w górze śród radosnego
błękitu świeciło słońce. Chwilami zrywał się wiatr, podnosił obłok
smrodliwego kurzu, strącał z drzew przedwczesne liście — i opa-
dał razem z kurzem. Gorące tchnienie tego wiatru przyniosło
Żymirskiemu przypomnienie wsi, rzecznej kąpieli, upalnych mie-
sięcy letnich, które spędzał raz w willi podmiejskiej. Było to
dosyć dawno... na początku kariery... wkrótce po skończeniu
szkół — obliczał sucho.

— Na początku kariery... jest początek i zawsze jest jakiś
koniec...—urwał. Myśl spała ciągle, porzuciwszy ciężar śród dro-
gi. Więc śledził za liściem, który spadł na przednie siedzenie.
Utrzyma się, czy nie utrzyma się? Zabrał go powiew...

Dopiero, gdy u kresu spacerowej ulicy w zwykłym miejscu
furman okrążył latarnię i stójkowego i zawrócił nazad do miasta,
pożałował, że nie może jechać dalej, wciąż przed siebie. Nie
chciało mu się do domu, między ludzi, zwłaszcza do domu... Wy-
skoczył z powozu, powłókł się chodnikiem, potem ścieżką w dół
do ogrodu. Wybrał aleję bezludną, cieniastą, ciemną. Nad głową
szumiały, wrzały, oburzały się drzewa,—potem milkły naraz, prze-
konane w tym sporze, może znużone... Wówczas słyhać było
daleki gwar miasta. Żymirski zdjął kapelusz i siadł na pierw-
szej z brzegu ławie w gęstwie zielonej, pod sklepieniem konarów,
nad którym wysoko luzurowym uśmiechem uśmiechało się odległe
niebo. Przez jakąś lukę liściastego pułapu tryskał promień słoń-
ca, kładł się uroczą smugą na dróźce, na kobiercu trawnika, lgnął
pieszczotliwie do odziemka modrzewia, urywał, przerznięty pa-
smem cieniu, i dalej torował sobie drogę do zarośli, między które
zakradał się niebaczny i ufny, jak dziecko. Tam czekała nań zgub-
ba: gasł w mroku, ginął w ciemnej jaskini brodatych zbójów...
Oczy szły za nim do końca... Drzewa szumiały, radząc tłumnie
na wiecu, cichły, ważyły coś pod błękitem i znowu wszystkie

wybuchały... Należało słuchać ich dumnej mowy, wyniosłego gniewu, skargi odwiecznej.

Zakątek był cudny, ale Żymirski nie umiał odczuwać piękna w przyrodzie. Powiódł obojętnem okiem dokoła, poszukał na horyzoncie chmur, zapowiadających burzę, jak mieszczech na wycieczce, który, żałując nowego kapelusza i paltła, boi się zmoknąć, szukał budki z wodą sodową — chciało mu się pić. Nawet i tu w cieniu prastarych drzew było gorąco. I znowu krótkie, jak błysk, przypomnienie owych dawnych wakacyj i kąpieli rzecznej, rozkosznej w upał; wspomnienie, rzekłbyś, fizyczne chwili szczęścia cielesnego, i tęsknota jakoby także fizyczna... zamglone marzenie o czemś bezpowrotnem, świadomość utraty, poczucie znikomości, zaprawione żalem... Wynurzają się bojaźliwie z oddali jakieś obrazy, widzenia dzieciństwa, młodości, minionych uciech... Jak dobrze patrzeć w ich twarze, jak słodko śnić! Gdybyż było można! Gdybyż na spodzie nie tkwiło szorstkie przeświadczenie, że to się skończyło na zawsze, że na wieżach miejskich zegary wybijają godzinę po godzinie a każda godzina... gdybyż nie cień trwogi, niejasny i niepewny, z każdą chwilą wyraźniejszy, dłuższy, szerszy, straszniejszy, cień, który odrzuca... to widno, za plecami ukryte... Obojrzał się, jak człowiek, który czuje utkwione w niego wejrzenie... Prysł nietrwały czar wspomnień, którego w zwykłych warunkach życia, trawiony gorączką czynnych dni, nie kosztował nigdy — i Żymirskiemu poczęła dziwnie ciężyć pustka tego odludnego miejsca... Trwoga rozacza tu skrzydła o drżących piórach, od których wieje zimno...

Od szeregu lat nie zdarzyło się bankierowi przebywać samotnie pod niezmiernem niebem, w pustce i ciszy, wśród drzew szumiących groźnie, w obliczu natury, łagodnem dla smutnych, zimnem dla zbolałych, pięknem dla szczęśliwych, martwem dla sennych, straszem, jak spojrzenie w przepaść dla tych, co budują domy w nizinach. Przychodził tu wesóły w wesołem towarzystwie, na tych samych ławach oczekiwał niecierpliwie znajomych, w tych alejach politykował z przyjaciółmi — nie widział, nie słyszał, nie patrzył — znał rojne i strojne wybrzeża morskie, modne hotele na szczytach gór, z których się przygląda, gawędząc, wschodom słońca, gwarne wycieczki, śmiech nad wodospadem, śniadania nad przepaścią, szelest jedwabiu i uściski na pokładzie statku, w nocy, na morzu... Co roku w porze właściwej wyjeżdżał tam, dokąd udawali się wszyscy „na wypoczynek,” wracał, gdy wracali wszyscy. Był towarzyski. Albo pracował społecznie, albo bawił się w tłumie.. Przeprowadził go do tego ustronia instykt

pierwotny, ten sam, który choremu zwierzęciu każe kryć się w najciemniejszym kącie — a właśnie tu ocknęła się w trwodze myśl, tak długo uśpiona. Więc uchodził stąd pośpiesznie, ratował się ucieczką z tego miejsca, cichego jak grób, od milczącej tajemnicy, która otoczyła go ze wszystkich stron, od prawdy, która zamajaczyła przed nim w jednym mgnieniu na mgnienie.

Pędził, nie wiedząc jeszcze dokąd i do czego, ale już zbudził się w nim spryt samozachowawczy i wrzała w głowie praca. A była pora ostatnia.. Gdy w rannych godzinach, otrzymawszy kilka wieści najgorszych, zrozumiał, iż to są ciosy, druzgocące ostatecznie moralne i materialne podstawy instytucji, z którą związał swoje istnienie, rozpacz podsunęła mu niefortunny pomysł zwrócenia się o pomoc do Pawła. Pojechał natychmiast i pewny był pomyślnego wyniku. Popsuty powodzeniem wierzył w swoją gwiazdę, zresztą tonąc chwycił się brzytwy, jak bywało już nieraz. I zawsze, co prawda pokaleczony i skrważony, dopływał do brzegu... Przymuszczał, że jeszcze i tym razem... Wchodził do owego salonu w szparkiem, wesołem podnieceniu, tak dobrze znanem mu z wyścigów, w których biegały jego konie — derby wszechrosyjskie — z gry w karty o najpóźniejszej nocnej godzinie, kiedy po grubej przegranej szło o ostatnią największą stawkę...

I zostaną mu na zawsze w pamięci chwila, krótsza niż trwanie najszybszej myśli, chwila oczekiwania na odpowiedź, a także przeszliczne złocenia i wykwintne rzeźby stołu, na który patrzył wówczas...

Odmowa Pawła zwała go poprostu z nóg. W bezmyślnem ośłupieniu siedział na schodach, bez celu jeździł po mieście, zabrnął aż tu, zmarnował tyle godzin... Skupioną energią woli, wyciężonym trudem przebiegłego rozumu odrabiał stracony czas. Jeszcze przez chwilę szukał ratunku. Zebrał do garści rzeczywistość, ujął ją śmiało, ogarnął dokładnem spojrzeniem, próbował wycisnąć z niej „dobroczynny olejek“ jakiegoś sposobu. Przekonał się niebawem, że niema wyjścia, że nie pomogą wybiegi, półśrodki, wykrętne podpórki, że zapadł się wszystek gmach. Wiedział o tem od samego rana, wiedział przez cały czas i wówczas, gdy uśmiechając się wkraczał do salonu Pawła i potem, gdy wysiadywał przed drzwiami D-ra Ohnefatera, gdy tłukł się po mieście, gdy udawał się do parku po ukojenie — i telórzył. Teraz wstąpiło weń męstwo.

Stojąc na chodniku o trzy kroki od swego powozu, rozmyślał. Wpatrywał się w pęknięcia asfaltu, w żelazną kratę, otaczającą zagłębienie dokoła drzewa, w nudny rysunek drewnianego bruku, a podczas tych kilku minut myśl dokonała niezmiernej ro-

boty — i zatrzymała się bezradnie. Wówczas stanowczym rozkazem woli pełną ją dalej — do krawędzi... Kilka zdań gotowych, przysposobionych na tę okoliczność, jak gdyby zapożyczonych u kogoś albo wyuczonych na pamięć przed wielu dniami...

— Nie dożyję hańby, nie przeżyję tej chwili.. jest wyjście jedyne, ostatnie... On, Żymirski odejdzie, gdy wybije godzina... godzina wybiła... Hańba...

Szeroka, piękna ulica wypełnia się w jednym mgnieniu tłumem ludzi... szydzące oczy, pociski gniewnych słów, piekący wrzątek śmiechu, przegierz wstydu... kara... okrutna radość wrogów... kłamstwo całego życia obnażone... Stało to wszystko przed wzrokiem, przepłynęło przez serce falą gryzącą, która wyzarta resztę nadziei, ostatnią ochotę i Żymirski ujrzał przyszłość, szczerze po raz pierwszy spojrzął w samą twarz widma — i zgodził się. Położył śmiały pewną ręką podpis pod postanowieniem, które było wyrokiem, odzyskał spokój i panowanie nad sobą.

— Nie dożyję hańby... umrzeć trzeba... Dowiedzie im, że umie być odważnym... Żymirskiemu nie zarzuci nikt... — szeptał, wsłuchując się z lubością w grozę tych słów. Chwyliło go za gardło wzruszenie. Objął oczami miasto, wysokie drzewa, zamurzone w błękicie, niebo, siną chmurę na zachodzie, potem zwrócił się do stangreta:

— Proszę do banku — rzekł głosem niezwykłym, z serdecznością w tonie.

Kasztany pomknęły.

„Trzeba zabezpieczyć mu przyszłość... wierny sługa!“ — pomyślał Żymirski, patrząc w plecy swego furmana.

— Ile też macie dzieci? — spytał.

— Pięcioro proszę jaśnie pana...

— Bądźcie spokojni, ja będę się troszczył...

Stangret uchylił czapki.

Żymirski czuł, że zmiękło w nim serce, że nappełnia je rzeźna dobroć, i że ogarnia go stan, pokrewny szczęściu. Dziwił się. Na krótkim dystansie między ogrodem a bankiem rozważył, uplanował i przygotował wszystko, zaczynając od interesów a kończąc na pogrzebie. Gdy przejeżdżał obok kościoła, w którym odbywały się zwykle nabożeństwa żałobne, ukazał się jego wyobraźni katafalk z jego własną trumną, tonący w zieleni, obsypany wieńcami, otoczony tłumem i wpatrywał się bez strachu w ten obraz, groźny dla wszystkich, a jemu miły. Przesunęły mu się także przez głowę utarte zdania z mów, które wygłoszą zapewne nad jego zwłokami tak jak nad tyłu w tym samym kościele, zda-

nia o wielkich zasługach i wielkiej szczerbie, o śmierci, która bezlitośnie podcięła w pełni sił, o niepowetowanej stracie, o lekkiej ziemi, którą zmarły tak ukochał... Uśmiechnął się.

On sam, gdyby to było możliwem, powiedziałyby najlepiej o sobie nad sobą...

Z rozjaśnioną twarzą wszedł do banku. Kończyły się już zajęcia i tylko przed kasą czekało jeszcze parę osób. Żymirski przywitał się uprzejmie z urzędnikami, potem zamknął się w swoim gabinecie. Tu robił rachunki, pisał listy i notatki, naradzał się z najstarszym pomocnikiem, z kasyerem, któremu kazał przynieść sobie gotówkę, przeglądał księgi, dawał wskazówki. I znowu udał się do biur, chodził po wszystkich salach, gawędził, żartował. Znał na wylot każdego pracownika i każdemu z nich rzucił dobre słowo, najbardziej właściwe. Obarczonych rodziną zapypywał o dzieci, chorych o zdrowie i skutki kuracyi, dla młodych elegantów i fircyków miał concept, w miarę lekki... Kłaniali mu się z uśmiechami — a on jak łaskawy monarcha nie zapominał o nikim. Nie pominął i portyera, którego synka pogłaskał po głowie... Czynił to z ciągłą pamięcią o powziętym postanowieniu i celowo, ciesząc się z góry na komentarze, któremi nazajutrz upiększą każdy jego giest i słowo, ciesząc się, że spokojem swoim wzbudzi podziw a dobrocią — rozczulenie. Ukończywszy ceremonię bankową, pojechał do Obrońskiego, o którego chodziło mu najbardziej. Ponieważ nie widywali się w ciągu letnich miesięcy, rzucił mu się na szyję z niezwykłym wylaniem niezwykłej serdeczności. Obroński zachowywał się sztywnie.

— Co za czułości!... pokochałeś mnie temi dniami... bardzo nagle... są dwa rodzaje pocałunków przyjaźni: Judaszowe, przed albo po zdradzie, i te, któremi się toruje drogę do kieszeni i pożyczki — mruknął opryskliwie i swoim zwyczajem poufale obejrzał Żymirskiego od stóp do głowy.

— Zbladłeś i zmizerniałeś podczas kanikuły. Nie wyjeżdżasz teraz nigdzie?

Bankierowi o mało nie wyrwało się, że odjeżdża dziś jeszcze, daleko i na zawsze ale w porę powstrzymał się.

— Nie mogę — odparł obojętnie — mam dużo zajęcia.

Postanowił i tu nie zdradzać niczem swego zamiaru, żeby potem... już po wszystkim Obroński tem więcej ocenił jego hart i spokój. Więc kręcąc się po salonie rozprawiał wesoło.

— Lubię tę twoją „Jesień...“ A i tu główka wcale niezła... portret twojej matki zdaje mi się? tak... przypominam sobie... poczekaj... a tu jest coś nowego!...

— Przed chwilą rozpakowałem — pochwalił się Obroński i sam zbliżył się do obrazu.

— Przyjrzyć się...

— Stań tu... — popychał Obroński, który nie tylko szczycił się swoim znawstwem, ale także głęboko i szczerze kochał sztukę.

— Nie wyczytałem podpisu... Stachowicz, Alchimowicz... kto to?

— Mniejsza o nazwę i firmę... patrz... — krzyknął Obroński.

Pogardliwy dla wszelkiej gawiedzi, zazdrosny o swoje obrazy Obroński nie pokazywał ich prawie nikomu, a najrzadziej bankierowi, który nie miał zgody zmysłu do piękna, dziś wszakże nie mógł oprzeć się pokusie pochwalenia się nowym nabytkiem — i już żałował.

Na płótnie była łąka bujna i rośna w chłodnym połysku słońca, które dopiero co weszło, łąka urodzajna i przekwitła a nie skoszona i dziewczyna wiejska z zaścianku, nad wodą naga zupełnie, ze szkaplerzem na szyi, z koleczykami w uszach. Godzina poranna, godzina codziennego cudu i szczęścia, czysta chwila porankowej radości. Malował Andrzej Hryszcz.

Bankier mrużył oczy, związał rękę w trąbkę, przestępował z nogi na nogę, kiwał głową, emokał.

— Niezłe... tak... wcale dobre... nawet bardzo ładne — wyrokował — co za ciało! jędrne, jak gruszka, zdrowe — tu uszczypnął znacząco Obrońskiego — i buziak uroczy i oczęta takie, co to szukają, czy niema za krzakami chłopca — zaśmiał się.

Obroński bez ceremonii odciągnął go od obrazu. Był zły, milczał posępnie jakiś czas, potem wybuchnął:

— Obrzydliwi jesteście! Rzecz piękna a wy zaraz do ciała, do tydek... I ten wasz mdły styl, który zna tylko główki, widoczki, oczęta, uśmieszek, łezki tak jak kawunię, bułeczki, muselko i śniadańko... Gdybym był malarzem, uciekłbym od was. Nie wiem, czy gdzie jest takie zepsucie smuku, jak tu, i takie lekceważenie sztuki... Przyglądałeś się temu obrazowi, niby jakiej facetce, a udajesz zachwyty jedynie dla tego, że wiesz, iż ja się znam. Na wystawie przeszedłbyś obok obojętnie. Chodźmy stąd...

I zaprowadził Żymirskiego do pokoju, w którym zwykle przyjmował gości, gdzie wisały na ścianie liche reprodukcje o zakazanej treści.

— Tu możesz patrzeć i podziwiać, ile się zmieści. To właśnie dla ciebie — drwił.

— Ja szukam treści, ty przenosisz formę...

— Wiem już wiem... nie potrzebujesz rozwijać swojej myśli... towar społeczny, ubóstwo narodu, podnoszenie mas... mogę wyliczyć wszystkie argumenty... nauczyłem się na pamięć, chciałem gorąco nawrócić się, ale my jakoś zawsze odmiennego zdania, z innej strony... Naprzykład dziś: ty rozpromieniony, a ja w tych doskonałych, w tych najśodszych czasach...

— Co ty dostrzegłeś złego w tych czasach—przerwał Żymirski, w którym odezwał się temperament polityka—po raz pierwszy od stu lat zaświtał narodowi brzask nadziei... czekamy wszyscy, spodziewamy się...

Obroński zaśmiał się, poklepał go po ramieniu.

— Co ja dostrzegłem?—zgrzyliwie powtórzył. Nie wspinając się na palce, sięgam wzrokiem po nad głowami waszemi, po nad poziom dzisiejszego dnia... Idzie ciemność i zamieszanie, zbliża się epoka najpaskudniejsza, okres panowania gminu. Ona już jest, ta epoka. Broniny się jeszcze, ale zaleją nas płytkie wody... Jego ekscelencya gmin, jego tyrańska mość. Będzie żniwo dla niewolników i pochlebców, dla gadułów i miernot. Wysokim zlecą dumne głowy, zamilkną mądre usta śmiałych i wydan zostanie rozkaz pełzania. Najgłupszy wleżą na beczki i wyżsi o wysokość wypróżnionej beczki piwa, wrzeszczeć będą na rynkach. Ja tego nie doczekam, bo nie chcę...

Sposępniał, potem, spojrzawszy w twarz bankiera, uśmiechnął się urągliwie.

— A ty się palisz do tych czasów, ty aż drżysz z niecierpliwości... Zaskarbiasz łaski oddawna, już dziś jesteś ulubieńcem—osiągniesz wszystkie zaszczyty... ty—po-pu-larny... — termin niewłaściwy... należy mówić: plebejarny a po polsku: gminny — popularność — wielkie bogactwo... to cały kapitał a złożony z samych miedziaków, które się gromadzą latami... trzeba wiele chodzić, wiele gadać, żebrać... na jednej ulicy dadzą ci grosz, na drugiej—trzy grosze — wszystko się przyda do czasu, aż nowy władca każe wypuścić nową monetę obiegową... wówczas ab ovo...

Od ciętych ciosów ironii rozleciała się na Żymirskim papierowa zbroja wyniosłego spokoju, którą był wdział na siebie. Nie wytrzymał, stanął w obronie epoki, hasła stronictwa, cierpiących tłumów, ideału narodowego, małej a doniosłej pracy małych, uniósł się, wygłosił mowę, jak gdyby na zebraniu, bijącym oklaski, jak gdyby za nim nie było widma a przed nim — tego, o czem w tej chwili zapominał.

— Mówiłeś pięknie — odezwał się Obroński, gdy on skończył—przyznaje, ale ja... ale ja odpowiem ci... słuchaj... Żądasz,

bym ukorzył się przed nieśmiertelnym człowiekiem — przed społeczeństwem, przed olbrzymem, któremu na imię: naród, przed wielkim dziełem małych ludzi, żyjącem przez wieki a pomnażanem w każdym szeregu lat, którem jest dobro społeczne, rozczulasz się nad niezmiernem sercem zbiorowem, nad zbiorową miłością, twierdzisz, że tłum ma ideały, nazywasz ideał posągami, zlepienym przez tysiące kochających rąk a dzieje — świetlanym pochodem maluczkich, z których każdy niesie swoją zapaloną świeczkę... Słuchaj, tak piszą gazety, tak gadają na wiecach mówcy. I jedno i drugie: gazety i wiece powstały na obstalunek Jego najgłupszej Mości — Gminu. Że płatni pochlebcy pochlebiają, nie dziwnego—niebale szydził Obroński ale że ty, człowiek rozumny, w poufnej ze mną rozmowie, gdy nikt nas nie słucha, gdy wiesz, że ja twoich słów nie będę podawał do pism, że ja egoista i wstecznik... to taki lapsus orationis... to zabawne qui pro quo... Przecież ty sam temu wszystkiemu nie wierzysz — no, wyznaj...

— Wiem, wiem—niechętnie odparł bankier—nie należało traćć słów... nie przekonam... żyjesz bez wiary, więc dziwisz się...

Obroński zaśmiał się znowu.

— Czy ja bez wiary? no, może i tak.. obchodzę się jakoś... — kpiącemi oczami przyglądał się bankierowi—wstyd mi przed tobą, przed twemi zasługami, przed twoją żarliwą pracą... nie śmiem oczu podnieść...

Rozmowa szła torem niepożądanym dla Żymirskiego. Przyszedł tu z gotowym planem niby z rolą, wyuczoną na pamięć, zda się dla odegrania sceny a wdał się niepotrzebnie w przewlekły spór polityczny i od samego początku był przedmiotem szyderstwa. Obroński i tym razem wziął nad nim górę. Twarz bankiera, rozgrzana w ogniu rozpraw, gasła i pochmurniała. Niechętnie słuchał zjadliwych wywodów, nie odpierał napaści, mimo, że przeciwnik co jakiś czas rozmyślnie urywał, spodziewając się odpowiedzi, znosił cierpliwie żarty, czekał końca. Wreszcie Obroński umilkł.

— Te nasze dysputy tak mało warto! odezwał się Żymirski.

— Zapewne...

— Każdy idzie swoją drogą i wszelkiej drodze jest kres...

Obroński dumiał.

— Bóg objawił się nie tłumom—rzekł niespodzianie—a wezwał do siebie Mojżesza na wysoki szczyt. Tam wśród gromów Bóg obcował z wielkim człowiekiem.

Bankier potakiwał machinalnie

— Gdy Bóg był na ziemi—rozwijal swoją myśl Obroński—
gawiedz szła za Nim przez ciekawość, z powodu cudów, które
On czynił, dlatego, że uzdrawiał i karmił... gmin jest ciekawy...
Wybranych, takich, co poznali i umiłowali, było nie wielu... Po-
tem skazano Go na śmierć i tłuszcze wyły pod krzyżem... Takim
jest twój zbiorowy człowiek, tak było i będzie przez wszystkie
czasy... to wiekuisty symbol...

Żymirski, przyzwyczajony do drwin, spojrzal ze zdziwieniem
w chłodną i piękną twarz Obrońskiego.

— Jeśli narody powstały i trwają, jeśli pięknem może być
życie, to tylko dlatego, że schodzą tu czasami wielcy, że brzmi
ich głos... a wszelkie zbiorowości! Gdybyś niewiedzieć ile usy-
pał piasku, nie będzie zeń góry—szczyty są z jednej bryły. I duch
jest z jednej bryły... Grzeszy, kto rozkrusza go na żwir, żeby
posypywać chodniki, żeby mieszać się ze społecznym piaskiem—
dokończył ciszej Obroński

I naraz sposepniał, zły na siebie o swoją gadatliwość. Po-
tem dla zatarcia wrażenia i słów szczeroci wydobyl z szuflady
jakiś przywieziony z zagranicy album z ilustracyami, niekonie-
cznie budującymi i plótl anegdoty. Bankier wstał i poczył się
żegnać. Powiedział był sobie, że wyjdzie nie napomknąwszy ani
słowem... tymczasem, ponieważ Obroński był roztargniony i lek-
ceważący, w przedpokoju rzekł z naciskiem:

— Wyjeżdżam daleko i na długo...

— Aż tak — mruknął obojętnie Obroński.

— Nie zobaczymy się chyba...

— Przecież nie pozwalają ci zajęcia?!...

— Na tę podróż zawsze jest czas... — i miał już wyjść.

— Gadasz jak przed śmiercią — zażartował Obroński.

— Bo przed śmiercią — wyrwało się Żymirskiemu. Czekal
teraz.

— Zyczę przyjemnej podróży! — był żart.

Bankier zawahał się. Nagle szybko postąpił ku Obrońskie-
mu, wziął go za ręce i twarzą w twarz szepnął:

— Ty kpisz... a ja naprawdę... nie zobaczymy się więcej...
złamał mu się głos.

— Zbankrutowałeś? — niespokojnie spytał Obroński—tak...
przypuszczałem oddawna...

Żymirski nie odpowiedział nic. Było milczenie. Obroński
zbladł bardzo — myślał pochyliwszy głowę.

— Pójdę już! — cicho powiedział bankier — wierzę, że mnie
nie zdradzisz...

Teraz mógł już iść. Ale Obroński nie puścił go. Popchnął go pod światło, potem uważnie zajrzał mu w oczy. Patrzył chwilę...

— Nie odbierzesz sobie życia — rzekł niedbale.

— Postanowiłem...

— Mimo to nie zrobisz. Jestem o ciebie spokojny... Będziesz wolał drapnąć i wybierzesz podróż wagonem, nie tę inną...—urwał.

— A przedewszystkiem... a jeśli ja nie pozwolę ci... to się pokaże! — wybuchnął niespodzianie i znowu urwał.

Widać było, że Obroński nie żartuje tym razem. Miał twarz złą, wykrzywioną, groźną.

— No żegnaj! — i Żymirski wyciągnął rękę.

Ale Obroński cofnął mu swoją i poszedł szybko w głąb mieszkania.

II.

Teraz z kolei wypadła wizyta u panny Malinowskiej. Ponieważ było blisko, bankier odesłał konie i poszedł piechotą. Chciał także ochłonąć... Tłukł się w nim gniew, najzjadliwszy i najgłębszy, bezsilny gniew pokonanego, piekło jak policzek przypomnienie sceny niedorzecznej, upokarzającej i śmiesznej, w której zbłądził się, męczyło poczucie winy, dosadne, mimo, że dla usprawiedliwienia siebie malował charakter Obrońskiego na czarno. Znalazł ulgę w myśli o bliskiej zemście. „Jeszcze ty pożałujesz... przekonasz się... pożałujesz, gdy będzie za późno...” powtarzał z dziecinnym uporem, z dziecinnem zadowoleniem i rysował przed sobą obraz z katafalkiem, z trumną, w której spoczywał on, taki młody i taki potrzebny, z Obrońskim, który stał nad tą trumną blady i zgnębiony, pełen żalu i skruchy, podziwu i przerażenia... To go pocieszyło. Potem przywołał podniosłe myśli, po których piął się coraz wyżej niby po stopniach, aż dosięgnął obranego wierzchołka i zaczął przygotowywać się do rozmowy z panną Malinowską. Nie było jej w domu. Postanowił zaczekać. Niecierpliwym krokiem przemierzał to znane mieszkanie, w którym upłynęło mu wiele godzin życia; wspomnienia, jakkolwiek on nie lubił obcować z przeszłością, cisnęły się same, dziwaczne, zgrzytające, sprzeczne, niezwykle, tak jak niezwykle był jego stosunek z tą kobietą.

Przecież już sam portret, przed którym zatrzymał się na chwilę!... Uśmiechnięta, w balowej sukni, z trupa czaszką w ręce

stała na jakimś wzniesieniu, niby na rusztowaniu, u którego stóp wity się węże o twarzach ludzkich, złych i wynędzniałych. Rozgniewał go w swoim czasie ten pomysł ekscentryczny, jaskrawo wykonany przez młodzieńczego malarza, i tylko tyle wymógł na niej, że zgodziła się przenieść „portret“ z sypialni do pokoju jadalnego. Wisiał tu wśród kilku reprodukcij bezwstydnego Rops'a... Często podczas kolacyi, która wydawała mu się przyjemną, w najweselszej chwili, ona wskazywała czaszkę trupa i mawiała:

— To jest twój „czerep...“ takim będziesz i to prędko! a ja się zaśmieję...

A gdy on milkł, rozdrażniony, że popsowała mu nastrój, wówczas śmiała się naprawdę:

— Widzisz! boisz się!... żyć się chce... i bardzo... Malińciu daj buzi! Malińciu jakaś ty śliczna! — wyszydzała jego czułości.

Taką była dla niego oddawna. Próbował najrozmaitszych sposobów: olśniewał ją świetnością drogich kamieni, spełniał wszystkie zachcianki, ulegał, sypał pieniędzmi, traktował z szacunkiem, z rycerską galanterią — i nie potrafił wskrzesić tych czasów, gdy przed laty ona na klęczkach wielbiła, na klęczkach kochała, gdy on był panem a ona — pokorną, oddaną bez granic służebnicą.

Zmieniły się role... Żymirskiemu przychodziło często na myśl, że panna Malinowska nienawidzi go, że dzieje mu się krzywda, że pora by zerwać stosunek, w którym rozkosz odurzającej woni psuł w każdej chwili za łada dotknięciem ból skaleczonych od koleców rąk, że ta kobieta, dziwna, cyniczna, brutalna, niewdzięczna, ponura — ze wszystkich na świecie najmniej odpowiednia dla niego, który lubił rozrywkę, śmiech, wesoty połysek powierzchni, niekosztowną przyjemność łatwych rzeczy, że mógłby jak inni znaleźć sto innych a właśnie łatwych, przyjemnych, wesolych — postanowił zerwać i nie zrywał. Oprócz namiętności, rozpalającej się z latami, nienasyconej nigdy a podsycanej chłodem i oporem, więziła go obawa, iż ten stosunek, który on najstaranniej i najprzebieglej, niby przestępca zbrodnię, ukrywał przed światem, o którym nie wiedział, zdawało mu się, nikt krom Obrońskiego, nabierze po zerwaniu rozgłosu, iż panna Malinowska, znając jego słabość, jego chorobliwą na tym punkcie drażliwość i dbałość o opinię, przez zemstę uczyni z tej sprawy, której z powodu pewnych komplikacyj łatwo było nadać pozory szpetne, hałaśliwy skandal. Wrogie pisma wrogiego obozu, złożonego przeważnie z dawnych przyjaciół i towarzyszyów broni, czekają tylko na taką sposobność... Połałyby się strugi brudnej wody,

zasypanoby go pomiotem kamieni potwarczych, wywleczonoby z przeszłości „grzechy młodego wieku.“ Niestety były błędy młodości... Żymirski pamiętał, że przed laty, w epoce skrajnych umiesień serca i myśli, on tę samą pannę Malinowską nazywał narzeczoną, potem, gdy zamieszkali razem — żoną, że była przysięga, szumna i uroczysta, złożona w obecności kolegów dla uświęcenia związku wolnej miłości, że urodziła się córka, nieżyjąca dziś... i sam rozgrzeszył siebie oddawna z tych win, które nazywał „czerwonym rapsodem,“ ale bał się złości ludzkiej i wiedział, że w opinii jedno oszczerstwo, rzucone w porę i umiejętnie, przeważa ciężar największych zasług. Choćby był jak Jan Zabski nieskazitelny, tamci potrafia splugawić, zohydzić, oplwać jego imię, i mozolny trud jego dni, wytrwała praca nad pozyskaniem uznania, chwały, szacunku i miłości, nad zdobyciem przydomku „nieposzlakowany,“ który zaczynał przyrastać do jego nazwiska, nad dorównaniem i prześcignięciem Jana Zabskiego, praca, już uwieńczona poniekąd powodzeniem, obróci się na marne... Należało tedy ukrywać, czekać cierpliwie, znosić, pokutować przez długie lata za krótki rapsod czerwony i, zastanawiając o ile możliwości drugie oblicze tej Janusowej miłości, oblicze, wykrzywione nienawiścią, złe i brzydkie, zadawałać się skąpym okruchem rozkoszy, który spadał czasami z królewskiego stołu... Zresztą gniew najbardziej zawzięty, na jaki tylko było stać jego niegwaltowną naturę, jeśli wrzał w nim w pewnych chwilach, najczęściej „na schodach,“ „po szkodzie,“ jałowy, niby ów dowcip „na schodach,“ tajał jak garść śniegu, kładł się kornie u jej stóp, jak bojaźliwy piesek, gdy raczyła uśmiechnąć się, spojrzeć przyjaźnie... — w obliczu jej piękna, jej groźnej siły...

Im więcej ulegał, tem mocniej ona pogardzała nim. Utworzyło się błędne koło, z którego nie było wyjścia...

Złowrogi portret natrząsał się z Żymirskiego, z jego uroczystej zadumy, jej oczy przełudne śmiały się z obrazu ohydnie... On patrzył i widział tylko piękno twarzy, pięknej na płótnie i w życiu. Źródło podniosłych uczuć, które od kilku godzin biło w jego sercu, nie przestało tryskać, nie zmaćniało się... Przebaczał złe, wdzięczny był za dobro. Przyszedł tu ze słowami tkliwemi, z pożegnaniem, nie dla wymówek, chciał zostawić tu, jak wszędzie, pamięć wzniosłą i rzewną. Na ulicy układał zdania, któremi miał przemówić, zobowiązać, rozezulić... Tymczasem w samotności było mu nijako — niema scena przed portretem dokuczyła... Wziął tedy ćwiartkę papieru i zaczął pisać list pożegnalny, ale właśnie nadeszła panna Malinowska. Przywitała go

obojętniej, niż zwykle, i zaraz poszukała oczami, czy aby czego jej nie przyniósł. Tylko upominki rozchmurzały jej twarz

— Gorąco jest i zmęczyłam się — rzekła, siadając.

— Możebyś wyjechała na wieś?...

Powoli zdejmowała rękawiczki, okrycie, kapelusz, napiła się wody. Na Żymirskiego nie zwracała uwagi. Wypuła jej szpilka i zsunęły się włosy,—nie poprawiła uczesania. Była w usposobieniu, które znał, którego bał się, w apatyi i zniechęceniu do wszystkiego. Stawała się w takich razach cyniczną.

— Wybierasz się w podróż? — spytała obojętnie, zajrzawszy do listu.

— Tak... — przygotowany okres ugrzązł w gardle.

Panna Malinowska ziewnęła głośno, ordynarnie.

— Łysiejesz — rzekła potem — i żadna panna już ciebie nie weźmie. Postarzejesz się, a wówczas pojedziemy do kościoła i luźne sprawy sobie wesele... — zaśmiała się.

— Nudny jesteś! — mruknęła po chwili, widząc, że on jest niezwykle poważny, i odwróciła się do niego plecami.

Żymirski ciągle milczał.

— Idź że już! Siodzisz, niby na pogrzebie i napędzasz mi nudy... Zgrałeś się na wyścigach? co?

— Przyszedłem pożegnać ciebie — nieśmiało zaczął bankier — odjadę dziś wieczór na długo... Malińciu...

Podniosła na niego spojrzenie, trochę niespokojne.

— A zostawiłeś pieniędzy dosyć?

— W banku — szepnął.

— Co tam w banku!... podpisywać, posyłać, kłaniać się i kłamać... daj mi do ręki!...

Żymirski sięgnął do kieszeni i wyjął paczkę bankocetli, a ona, przeliczywszy, targowała się z nim.

— To za mało! daj więcej... widzę, że masz...

Zabrała mu sama sporą kupę. Żymirski nie bronił, tylko rumieniec powlókł mu twarz. Te pieniądze były przeznaczone dla rodziców, na dobre uczynki...

Panna Malinowska poszła ku kanapie i położyła się, podsuwawszy sobie pod głowę stos stówek. Rozpiął się jej stanik, włosy polały się strugą, złośliwymi oczami patrzyła w bankiera.

— Malińciu pokochaj przed drogą, Malińciu pożegnaj — jęła przedrzeźniać jego głos.

W nim rzeczywiście odezwała się żądza, ale pohamował...

— Pójdę teraz — rzekł, unikając jej wzroku — kiedy my się zobaczymy?... Chciałem przeprosić ciebie za wszystkie krzywdy, za winy moje... — mówił cicho.

— Jaki ci święty! spowiadałeś się i ksiądz nakazał... i ja mam przebaczyć... Chodź tu! — krzyknęła.

Zbliżył się posłusznie. Ona ujęła głowę jego w obie ręce, za włosy i pod brodę, trzęsła głową.

— Czytałam niedawno o tamtej, co to, kochając, zapragnęła mieć ściętą głowę ukochanego i, dostawszy, tańczyła z nią i całowała w usta... Patrzę, jakbyś ty na półnisku wyglądał... fe... łusy... Już wolę trupią czaszkę... Gdy umrzesz, każ mi przystać swój „czerep.“ Postawię go pośrodku sali, urządzę bal — gadała.

— Puść mnie, już muszę iść...

Paanna Malinowska zerwała się z kanapy.

— Nie pójdziesz i nie pojedziesz — wybuchła — ja wiem, co znaczy ta podróż, i skąd to czułe pożegnanie... Wybierasz się w konkury za jaką hrabianką... Tu boisz się, bo ja tu jestem, więc tam gdzieś pod sekretem... I wrócisz po ślubie, i będziecie gruchali, a ja mam zostać w błocie... Nie pojedziesz... słyszysz, ja ci to mówię... Nie pozwolę... a jeśli... spróbuj tylko, pójdę tam do jasnej panienki, zaprezentuję się, opowiem wszystko, rozgłoszę... — krzyczała.

— Ależ nie... uspokój się... zaręczam... moja podróż... gdybyś ty wiedziała... — bronił się.

Nie chciała go słuchać i posypały się na Żymirskiego niby błoto z rąk uliczników wszystkie przekleństwa, zlorzeczenia, szyderstwa, któremi pastwiła się nad nim w złych godzinach, do których miał czas przywyknąć... Wspominała na nowo całą przeszłość, wydobywała z potoku lat swoje krzywdy i żale, jego grzechy, lała mu w serce wrzątek nienawiści... Żymirski zasłonił rękami twarz i stał nieruchomo... Wreszcie ogarnęło go takie obrzydzenie i do niej i do jej słów i do tej chwili ohydnej w porównaniu z nastrojem, który on w sobie utrzymał, że wyrwał się gwałtem z jej rąk i zmykał. Puściła się za nim, w przedpokoju szamotali się, zmógł ją i wybiegł. Pędził po schodach a za nim jej wrzask, szpetne wyrazy...

I znowu, jak po rozmowie z Obrońskim, moment rozdźwięku, wywołany zgrzytającym zetknięciem z rzeczywistością, pospolita złość, niesmak i wstyd człowieka, który nie chce do tego się przyznać, a widzi wewnątrz oczami, iż naraził się na śmieśność... Wysokimi słowy o przebaczeniu uspakajał siebie, dźwigał i wypychał siebie z powrotem na uroczyste wzgórze, na którym pragnął przebywać, na którym po raz ostatni miał zaświecić ludziom... Szczuty ich szyderstwami, czerpał pociechę z piękna myśli swoich i czynów. Szedł właśnie do Jana Żabskiego, żeby

pojednać się z nim, z rywalem, któremu zazdrościł, któremu starał się szkodzić, i wzniósłość tego niespodzianego postanowienia napełniła go wzruszeniem. Ukojony, już zupełnie pogodny draapał się po wąskich i ciemnych schodach do wodza stronictwa.

Jan Żabski przyjął go po swojemu sztywnie i zimno. Jak gdyby gościowi, który jest pierwszy raz w domu, ceremonialnie, mrużąc coś, podsunął krzesło, potem zapiął surdut aż pod szyję, wyprostował się i czekał. Upłynęło kilka milczących minut.

— Czytacie? — spytał Żymirski.

— A tak...

— Coś nowego?

— Dzieje porozbiorowe...

Z tym gospodarzem trudno było prowadzić rozmowę.

Żymirski popatrzał mu w twarz, w tę twarz bladą, martwą, nudną, niby ścianą, rzekłbyś powleczoneą kurzem lat, popiołem wygastych na zawsze uczuć, rozejrzał się po pokoju. Od powrotu do kraju, to jest od kilkunastu lat Jan Żabski nie zmienił mieszkania i wszyscy w mieście znali te dwie izdebki. Było tu smutno jak w więzieniu. Przez zakratowane staroświeckie, wysokie okno, które wychodziło na nędzne podwórze, wpadało stale nawet w tej godzinie blasku słonecznego szare i mętne światło, jak gdyby na świecie trwał zmierzch bez końca. Z ulicy przez grube mury odwiecznej rudery nie przeciskał się żaden odgłos — panowała cisza. Kilka najniezbędniejszych sprzętów i książki, leżące stosami na podłodze u ścian, okrytych pleśnią wilgoci, na stole i krzesłach, zapełniały tę celkę. Kwiatów nie było i żadnej rzeczy, która zabawia, cieszy, rozwesela oczy ludzkie. Zamiast obrazów, portretów, fotografii — stare mapy dawnych ziem, rozwieszane wszędzie; nad łóżkiem, na półce — krzyż drewniany z białym Chrystusem, podobno robota i pamiątka właściciela z czasów wygnania.

— Zbliżają się doniosłe wypadki — znowu odezwał się bankier — wszystko zdaje się zapowiadać rychły przewrót w państwie.

— Czekaj tatka latka... tylko o własnych siłach...

— Tak. Naród, który ma takich ludzi, jak pan, może odrodzić się... silny jest...

I ten komplement, wypowiedziany z naciskiem, nie wywołał echa.

— Pracujemy wspólnie a spotykamy się rzadko i nigdy nie miałem sposobności wyrazić panu głębokiej czei, całego uznania... Działalność pana i charakter... — ze wzruszeniem mówił Żymirski.

Gospodarz uśmiechnął się nieznacznie.

— Jeszczem nie umarł... po śmierci będzie czas... — mruknął.
Nastąpiła cisza, ponura w tym ciemnym i surowym pokoju.

Jan Żabski jał machinalnie przewracać karty książki. Szeleściły stronicę... Bankier pochylił głowę. Ogarniała go zaduma, kładł mu się na sercu dziwny ucisk. Z ruchliwych ulic, z wesołego chodnika życia, ze swego sztucznie usypanego pagórka zabłądził tu jak gdyby do grobu, i opadła szumna fala uczuć, zgasł blask świetlistego nastroju... Ukazują się oczom groźne zarysy, narzucają się myśli, cudze myśli wylęgte w surowem milczeniu tego pokoju, zrodzone z chłodu i cienia mogiły... chłód wieje, rozpościera się posępny cień — całun...

— Czy wolno człowiekowi zejść ze stanowiska? — spytał Żymirski.

— Nigdy.

— A jeśli brzemień przewyższa siły?

— To frazes... Nie słyszałem, żeby człowiek wytrwały nie mógł udźwignąć... — była odpowiedź stanowcza i oschła.

Żymirski nie pytał więcej. Przyglądał się stronicom książki, które przewracane opadały z szelestem, jak gdyby liczył je, dumał... Przyszło mu na myśl, że tak samo mijają, że tak samo szparko minęły lata... Trochę szmeru, zygzak na piasku czasów, który wnet zatrze się, jak nikły ślad znikającej jaszczurki na gościńcu — i nie, nie... Zbiorowe dzieła ludzkie trwają, człowieka, twórcę ich pochłania niepamięć, tak jak pusta świątynia polyka odgłos kroków zabłąkanego na chwilę przechodnia... Ten „nieskazitelny“ i on zginą jednako... świat zapomni, gwarne i wartkie życie zaleje... Dziś jest między niemi przepaść: on — powalony, ten zwycięzca... i jakże pysznić się będzie!... jakiegoż blasku nabierze jego jałowa, nie wystawiona nigdy na żadną próbę cnota! Pozbędzie się współzawodnika, zagarnie całą władzę, ogłosią go najpierwszym... Na krótko... parę lat przejdzie... i on, on także... nieskazitelny, sławny...

W tym smutnym wniosku była pociecha.

— A ostatecznie wszystko mija — szepnął Żymirski.

— Co panu po tej filozofii sentymentalnych poetów i melancholijnych panien? — zgryźliwie zdziwił się Jan Żabski.

Bankier uśmiechnął się banalnie.

— Nie powiedziałem istotnie nic nowego...

Zamknął i milczał. W pamięci tkwiły mu szczytne słowa, które miał zostawić w puściźnie swemu rywalowi — odsunął je ze zniechęceniem. Patrzał w ziemię. Potem wolno podniósł spojrzenie, powiódł niem po zapyłonych mapach, po stosach ksiąg,

zatrzymał je na zachmurzonej twarzy Jana Żabskiego, i snuł jakieś wnioski, trawił jakąś myśl... Upływały minuty, tamten przewracał strony...

— Pan potępi mnie... — cicho zaczął bankier i urwał.

— Ja pana?

— Służyłem sprawie jak mogłem...

Szelest kartek.

— Może zawiniłem...

Jan Żabski niżej pochylił się nad książką.

— A zawsze dobro kraju...

Rozrzewnienie tamowało Żymirskiemu głos, rozrzewnienie dobroczynne, w którym niby sól w wodzie, rozplynął się ciężki smutek tej godziny.

— Dobro kraju... hm... źle jest w tym kraju — pochmurnie zauważył gospodarz — czytam tu właśnie... — leniwy w mówieniu nie dokończył.

Żymirski mimowoli zajrzał do książki.

— Pożegnaj już pana — rzekł nagle z bezwiednem rozdrażnieniem.

Jan Żabski podług wszelkich prawideł grzeczności odprowadził go do przedpokoju. Podał palto, przesłał ukłony rodzicom i wrócił do przerwanych zajęć. Wydało mu się po chwili, że ktoś idzie do niego po schodach, że ten ktoś zatrzymał się poddrzwiami i, przeczekawszy kilka minut, znowu zbiegł na dół.

— Szpicel — pomyślał Żabski i pracował dalej.

III.

Żymirski trafił do domu na koniec obiadu. Usiadł na swym zwykłym miejscu między rodzicami, nawprost portretów przodków we wstęgach, w orderach, w mundurach, zmiatał bez apetytu, dla dogodzenia matce, niesmaczne, oszczędne, źle przyrządzone potrawy, ojca zabawiał polityczną rozmową. Stary Żymirski, który przez rok ostatni posunął się znacznie, zadawał prawie codziennie te same pytania — syn odpowiadał cierpliwie.

— Jakże tam z wojną?

— Już pokój zawarty...

— Na dobrych warunkach?

— Przecież ojciec czytał!

— Tak, ale twoje zdanie...

Wlokła się nużąca gawęda. Potem pan Szczepan nawrócił do przeszłości, którą od czasu, gdy stał się gadatliwym, lubił wspominać i opowiadał rozwlekle dzieje powstania, zbyt dobrze znane obecnym, dzieje własne, dzieje towarzyszków młodości, których nie widywał, do których tęsknił, których nie było już na ziemi. Ale przed nim ukrywano starannie śmierć każdego rówieśnika, więc co jakiś czas, przypomniawszy sobie drogę imię, wstawiał:

— A nie spotkałeś tam gdzie Alfreda Palińskiego?

albo:

— Gdy zobaczysz Jasia Mirowskiego, powiedz mu, żeby też wybrał się do mnie...

— Trudno ojczu... chory jest.

— My wszyscy starzy i niedołęzni... jeśli policzyć wiosny...

I dumał chwilę.

— Potok życia bieży — dodawał — a ja ich widzę przed sobą takimi, jakimi byli... w pełni sił... Mój Boże, przecież i ja niedyś... a ot... niedługo... i zejdziemy się wszyscy pod Boską strzechą, pod dachem wiecznego Boga...

Matka przysłuchiwała się tej rozmowie z nieokreślonym uśmiechem osoby głuchej. Bankier wiedział, że przy czarnej kawie pochylił się do niego i będzie go indagowała o panny, które wszystkie po kolei swatała mu w zaniepokojonem sercu macierzyńskim. W dniach dobrego humoru on sam żartował i układał do wspólnki z nią projekty małżeńskie, opisując malowniczo wdzięki i zalety jedynaczek — dziś zbył ją zniechęconym gościem.

— Nie machaj ręką, Karolku... pora już... my starzy, powiedzieliśmy sobie, że doczekamy wnuków... czas leci... śpiesz się Karolku... ojciec ożenił się późno, a młodszy był od ciebie...

— O czem tak rozprawiacie szeptem? — niecierpliwiał się stary Żymirski, który także źle słyszał.

— Namawiam do żenienia się...

— Namawiać nie można. Jak spotka przeznaczoną, sam ze chce... Wam, kobietom zawsze swatowstwo w głowie i na języku... kot z sadłem... sadło cudze... Mnie namówili i żaluję...

Śmiał się dobrodusznie, śmiali się oboje, patrząc sobie w oczy, niby kochankowie, szczęśliwi i pogodni na schyłku, po latach burz i smutków, po znojnym dniu o godzinie zachodu, którą żegnali żalem wyblakłych oczu, żalem serca, czujących bliskość pierwszego w życiu, ostatniego, wiekiustego rozstania, bezbolesną tęsknotą starości spracowanej, więc spragnionej wytchnienia.

— A w interesach, jakże tam? krucho? — niespodzianie spytał pan Szczepan — czasy są ciężkie... czytam... narzekają wszyscy...

Od lat wielu, od chwili, gdy, znużony, wycofał się z instytucyi, zadał to pytanie po raz pierwszy.

— Żyjemy, przetrwamy — odpowiedział syn.

Obiad był skończony. Bankier wstał, całował ręce rodziców.

— Czego tak śpieszysz? — zatrzymywał ojciec — wpadasz, jak po ogień... nie widujemy się prawie...

— Jutro będę miał czas — bąknął — dziś zajęcia...

Niezmiernie zmęczyły go rozmowa, widok tych dwojga rozpromienionych starsuszków, rozkochanych w sobie i w nim, którzy nie wiedzą, nie domyślają się... widok tego pokoju, w którym, jak mógł sięgnąć pamięcią, nie zmieniło się nic... Wymknął się. Matka wybiegła za nim.

— Karolku, poczekaj! — wołała — miesiąc upłynął, ale nie przychodziłeś do nas temi dniami... Masz tutaj... zaoszczędziłam trochę z tych pieniędzy, które mi wyznaczyłeś miesięcznie... raz oddaję Fredowi, raz tobie... po kolei, żeby była sprawiedliwość... czasy takie ciężkie, drożyzna... ale zawsze trochę... siedemdziesiąt pięć rubli — mówiła z dumą.

Syn wziął pieniądze, podziękował szeptem warg, które za-trzęśły się...

— Mamo, nie zasłużyłem... ale ty požądaj...

Z tą myślą niejasną, z tem uczuciem niewyraźnem, niedopowiedzianem do końca, wszedł do swego pokoju. Zamknął drzwi na klucz, usiadł przy biurku, rzekłbyś do pracy, a usiadłszy, zrozumiał, iż on nie ma już nic do robienia, że zostało tylko to jedno, ostatnie... Nieruchomy nieruchomem spojrzeniem, które nie widzi, spoglądał... Ta chwila musiała przyjść...

Postanowienie, powzięte w momencie rozpacz, samo ciężarem swoim, niby kamień, stoczyło się na dno świadomości, żeby leżeć tam przez dzień cały w mroku i zapomnieniu. Płynął po nad nim bystry nurt wrażeń jasną falą, Żymirski patrzył w nią i widział własne odbicie, zajęty własnem odbiciem. To wszystko, co świętny bankier czynił, mówił, myślał do tej pory, było efektownym monologiem samobójcy, deklamowanym z lubością przed sobą samym i przed audytoryum. Gdy monolog dobiegł do końca, ogarnął go niepokój, jak aktora, któremuby ktoś nad uchem krzyknął rozkazująco: grałeś swoją rolę z talentem — to wszakże nie scena — spełnij natychmiast, coś zapowiedział... umrzyj! i przerażony patrzył dookoła, pytając, zali to jest prawda. Odpo-

wiedź, którą wyczytał w mroku duszy, w ciemności pokoju, zniżyła mu serce, wolę, myśli...

Przejeżdżając koło kościoła i po rozmowie z Obrońskim, dwa razy wytworzył był w imaginacyi zupełnie realny obraz śmierci własnej z realnemi akcesoryami: z katafalkiem, z trumną, z żałobnym tłumem, ale przypominał w tem dziecko, które, nie rozumiejąc grozy i nieszczęścia, bez końca rysuje pogrzeby osób najdroższych. Zatrzymywał uwagę na powierzchni, brał stronę malowniczą i przyjemną obrazu, spokojny bezwiednem poczuciem, oszukiwany złudzeniem, najbardziej z pozorów niedorzecznem, a tak powszechnem u ludzi, zwłaszcza u tych, którzy chętnie rozprawiają o śmierci własnej, złudzeniem, że on, Żymirski, przecież nie umrze, bo umrzeć nie może... I nieraz, w przeciągu tego roku, w godzinach krytycznych, których było wiele, strudzony walką, wyczerpany beznadziejną pracą, gubiony widmem nieuniknionej ruiny, zmora hańby, powtarzał sobie, że pora już skończyć z tem wszystkim i nawet wzdychał do chwili, kiedy z tonącej łodzi sam skoczy w odmet. Widział wówczas w śmierci wytchnienie dla skolatanego, ucieczkę dla zhańbionego, sen pokoju, i tęskniąc, cieszył siebie tą daleką, ukrytą na dnie duszy, niby dukat na czarnej godzinie, nadzieją... Bez oporu i bez strachu sięgał po nią dziś o południu. Myśl samobójcza wyłoniła się z głębin, dojrziała i stanowcza, uznał jej zbawczość, z radością w onem śmiertelnem znuczeniu przyjął łaskę nieistnienia, którą mu niosła, i pokrzepiony poszedł drogą, którą ona usłała przed nim do jedyne go wyjścia, do jedyne go schronienia... Szybko zbiegły ostatnie nie liczne godziny...

Żymirski wierzył szczerze, że spełni swoje postanowienie, i z energią, która naraz wezbrała w nim, poświęcił się wykonaniu nowej a zajmującej roli. W banku napisał parę wzniostych listów i wolę przedzgonną, odwiedzał przyjaciół i wrogów, prosił o przebaczenie, żegnał... Gdy wracał z miasta do domu, idąc, pamiętał, że to ostatni raz, i z rozrzewnieniem patrzył w twarze ludzkie, w niebo, na ruch uliczny, rozstawał się, błogosławił myślą miłującą. Na każdym kroku, gdzie tylko stąpił, wyrastały przed nim wspomnienia prac życia, ślady czynów, dowody zasług. Tu kuchnia ruchoma, tam pogotowie, gdzie indziej mieszkania robotnicze, ogrody, szkoła wieczorna, czytelnia... Do żalu, z którym żegnał, mieszała się duma. I szeptał: „ilem mógł, uczyniłem... w znoju zeszyły dni moje... służyłem ci, miasto ukochane, miasto rodzinne, dziś odchodzę...“ Zdawało mu się, iż wszystkie okna kamienic uśmiechają się do niego ze smutkiem, że smutek

jest w oczach przechodniów, którzy domyślają się, że zbierają się za plecami jego tłummy, żeby iść za nim, odprowadzić go, nie dopuścić... „To jest Żymirski, ten, któremu zawdzięczamy tyle, którego cenę poznamy, gdy jego nie będzie...” — był szept ze wszystkich stron... A w nim wielkiem ukochaniem biło serce i chciałby ścisnąć, obejmować, garnąć, i zapał pechał go do czynu, do jednego ogromnej miary czynu, w którymby zawarł całą moc uczucia... Dobra, wzruszająca chwila!... przedłużał ją, wybierając drogę najdalszą, zbaczając to tu, to tam, żeby widzieć, żeby być wszędzie. Wynagradzał sobie za gorycz rozmowy z Obrońskim, za cyniczne szyderstwa panny Malinowskiej, za smutek, który wkraść się w niego w posępnej celi Jana Żabskiego, smutek żałostnego porównania własnej doli, świetnej, kwitnącej kwiatami radości, bujnej z tą samotną, szarą, ponurą, ale spokojną i czystą, smutek zazdrości i żalu, że odrobić trudno, że naprawić — późno... Chodził, zbierał owoce plonu, plół sam dla siebie wieniec chwały, dożynkowy wieniec... Ten nastrój zgasł na progu własnego domu. W jadalni, pełnej wspomnień dzieciństwa i sławy rodu Żymirskich, dumającej na odwiecznych portretach, wobec rodziców, w ciszy ich szczęścia, w zmierzchu dopalającego się dnia pojawiło się po raz pierwszy uczucie, które było pospolitą zrozumieniem prostackiego zdania: to nie są żarty. Zwyczajem, rażąco gminnymi słowy strącił go z wyniosłego szczytu, na którym przebywał, niepokój. I naraz zmało się w nim wszystko. Z trudem dosiedział do końca obiadu, wyrwał się, spieszył tu w nadziei, że w samotności, w poufnem obcowaniu z sobą przemoże rozstrój wewnętrzny, który się poczynał... Ale tu czekała czyhająca zdawna trwoga. Gość był okropny. Przepadły gdzieś bez śladu słowa wyśmienite, które miał na każde zawołanie, które brał garściami, któremi sypał za siebie, w siebie, przed siebie, zastygły myśli, czyniące wrzawę, stała się głucha, niema, chłodna cisza. W tę ciszę i pustkę wpatrywał się nieruchomym wzrokiem osłupienia, nadaremno szukając dna i oparcia, coraz dalej zapuszczał się w odmęt, w coraz głębszy mrok... otchłań...

Gminne napomnienie, że to nie są żarty, zgrzytnęło w nim uraglawie, niby czyjś obcy rubaszny głos i przetarł oczy, jak skazaniec, którego budzi wśród nocy uderzenie żołdackiej kolby. Trzeba wstać, trzeba iść posłusznie... sen minął... tam za drzwiami jest śmierć... śmierć rzeczywista, prawdziwa, jedyna w każdym życiu, ostatnia i beznadziejna, straszna i nieodwołalna, nie ta urojona, z podniosłego monologu, malowana, malownicza...

Widział ją w całej przeraźliwej prawdzie, objął ją w jej najprostszym, wiadomym każdemu, dosłownym znaczeniu. Zrozumiał nareszcie, że za godzinę, za dwie, on, Karol Żymirski, przestanie istnieć; że jego, Karola Żymirskiego, który siedzi na tym obitym skórą fotelu przed biurkiem, który pracował, walczył, jeździł kasztanami po mieście, zazdrościł Żabskiemu, przemawiał na posiedzeniach, zbierał oklaski, codziennie brał zimną kąpiel, wygrywał wielkie na wyścigach nagrody, co rana wstawał pełen wesolej energii — nie będzie...

Że przyjdzie wtorek, że przyniosą gazety, że zbierze się walne zgromadzenie, że odbędą się wybory prezesa, do których przygotowywał się, których czekał, że miasto obudzi się ze snu, zaturkocą dorożki, zaroją się chodniki, odejdą i przyjdą pociągi, tam w banku portyer z małym synkiem otworzy drzwi, a jego, Karola Żymirskiego — nie będzie... Był, rósł, rozwijał się, dążył i zdobywał, budował gmach wspaniały, gmach wieczny, weselił się, ozdabiał, pomnażał pokoje, chodził po nich dumny i bezpieczny, stopień po stopniu, piętro po piętrze, piął się w górę — i naraż... Nie będzie go tu, ani nigdzie, runie gmach — i nigdy to życie...

W dreszczu objawiło mu się zimne prawo ludzkiego istnienia — i strasliwym krzykiem przerażenia zawołała wola życia... O południu, tam, u wejścia do ogrodu był krótki sąd. Karol Żymirski — sędzia, na ławie oskarżonych — życie. Skazał na karę śmierci — miał spełnić. Szybkim krokiem człowieka, który chce pozbyć się brzemienia, kierował się ku przepaści, w którą postanowił strącić, niósł życie do zagłady, jak gdyby rzecz obcą, rzecz cudzą, która nie budzi współczucia... A nad samą przepaścią rozdarł mu serce krzyk — to życie wzdrygało się, wyrывało się z rąk nieubłaganych, broniło się wrzaskiem trwogi, prosiło zmiłowania... Jak obłąkany, zaczął uciekać... Cisnął do piersi co sił jedyny, najdroższy skarb, to oszalałe ze strachu życie, własne życie, życie Karola Żymirskiego, które sam niósł do zagłady, szalony, niepomny... Był już na skraju, u samego kresu, o jeden krok, o krótką, jak westchnienie, chwilę... Widział zgrozę, której oblicza nie znoszą oczy żyjących... Straszny, niezapomniany, rozpaczny skowyt trwogi... ostatnim wysiłkiem, dziką żądzą wyprężonych ramion, szponami palców uchwycił się krawędzi — zawisł nad otchłanią — skoczył na brzeg — ocalał... I biegł, tuląc w objęciach ukochanie człowieka, żeby najdalej od tego miejsca, od skąd obłądu, o którą rozbiło się jego męstwo, od progu Nocy i zniszczenia... Teraz nie odda nigdy, nie odda nikomu... życie — bo-

gactwo rozkoszne, miłość nad miłościami... Jak płomień, jak hymn, jak szumiący wodotrysk, wybuchła z głębin jestestwa radość... Nie mogły nacieszyć się oczy, iż patrzą, ręce, iż czują dotknięciem miękkie sukno biurka, serce, że bije, piersi, że dyszą... Żymirski zerwał się, miał pędzić kędyś z wieścią o swoim szczęściu z upojonem wołaniem, że żyje, że żyć będzie... Ale nie długo gościła zwycięska radość... Ociężałym krokiem poszedł tylko ku drzwiom, zaświecił elektryczność, wrócił, usiadł na tym samym fotelu, zwiesiwszy głowę, dumął. Myśli, istotne, szczere, nieobłudne, trafne i doniosłe myśli, zrodzone z nieszczęścia, które niby interesanci przed godziną przyjęć w poczekalni gromadziły się w ukrytej komorze, wyważywszy drzwi, napłynęły szturmem. Niby gwałtowne strugi nawadnicy, potem jak leniwe krople słotnego deszczu, lały się, padały, sypały się, ściekały na kruchą bryłę radości i zmyły ją, splukały, strawiły tak, że nie zostało z niej nic. A one, pracowite, cierpliwe, uparte padały dalej kroplami, złościąc, drażąc, torując sobie drogę do duszy. Dotarły. Wówczas odezwał się sędzia, którego jeszcze nikt nie zdołał przepuścić, który, ukryty w odległym przybytku, niewidzialny, gardząc pustym zgiełkiem pospolitych godzin, waży w milczeniu na swojej nieprzedajnej wadze myśli, zamiary i czyny człowieka, dnia żywota: świętny bankier słuchał głosu sumienia. Był początek męki. Żymirski pokornie pochylił głowę, nie zaprzeczał, ulegał... Własnymi rękami, a posłuszny cudzej woli, zrywał szumne szyldy, barwne szmaty, świecące zasłony, w które przystroił był dom swego pomieszkania, zdarł dach kłamstwa, rozwalił spróchniałe wiązania fałszu, wyrócił zbutwiałe belki obłudy, zniszczył do cna, do kamienia węgielnego krzywdy... gruzy podeptał... na gruzach zgłębił przeznaczenie... patrzył w daleką drogę... ka-
jał się...

I znowu szukał ucieczki, podstępnie zmierzał do tajnej furtki, za którą jest noc zgrozy, ale i koniec wszelakiej kaźni.

— Nie zdołasz! Nie sięgaj przeto wykrętnie po śmierć...

— Oszukiwałeś śmierć, oszukiwałeś siebie—padły ściśle prawdziwe słowa.— Życie będziesz. Cierpieniem odkupisz... bo tylko cierpieniem... tu, gdzie była wina, dotknie ciebie kara... w hańbie legniesz... cierpi... a może po latach...

— Po latach, po latach... po latach hańby—bezsilnie powtarzał Żymirski i znużony, nawet myślą nie mógł ogarnąć niezmiernych obszarów cierpienia... I to jest życie, życie, które, stojąc nad przepaścią, cisnął trwożnie i miłująco do piersi... Lepiej by było...

Wiedział, jaką ma być ta kara, kara hańby i poniżenia, kara pogardy przyjaciół, radości wrogów, kara nędzy i wstydu, poniewierki, błota... Trzeba mu przejść przez długie ulice pełne szydzących, przez tłumy gniewne, wśród śmiechu gawiedzi i płaczu najbliższych... Długie ulice tego miasta, w którym wyrósł, które pokochał... domy, domy... we wszystkich oknach twarze... palcami pokazywać go będą, wzrokiem smagać... różgi spojrzeń, szopy i wrzask... na ustach gawiedzi jeden wyraz, ten sam, dla oczu gawiedzi — widowisko... Męka bez granic, bez miary dla niego, który chodził w chwale, którego te same pomiatające, złorzeczące tłumy czciły, który wspiął się na szczyty...

Zamknął oczy przed zmorem, widoku znieść nie mógł... Wyrwał mu się jęk błagalny, westchnienie, szept lęku: Boże!..

... Przez liczne lata, od chwili przełomu, Imię to, które w wyznawczym programie związał z ojczyzną, często spadało mu z ust — nie było Go w sercu i w życiu... Zymirski, szermierz kościoła, gorliwy obrońca katolickich tradycji narodu, który gnębił przeciwników politycznych bronią religijną, wydawał pisma klerykalne „dla ludu“ i nawet od czasu do czasu, gdy zachodziła potrzeba zamianifestowania, zaszczycał swoją popularną obecnością świątynię — nie wierzył... Teraz padł na kolana... wołaniem rozpaczy wzywał cudu, pomocy, zmiłowania...

Ręce złożył do modlitwy, jak niegdyś uczyła go matka, szeptały coś jego wargi...

W tej chwili zadzwonił telefon. Dźwignął się z klęczek, śpieszył w dziecinnej nadziei, że to cud, że Bóg nie odmówił, że zjawia się pociecha, przychodzi wieść zbawcza...

— Co robisz z dzisiejszym wieczorem? — najzwyczajniej w świecie pytał przyjaciel, jeden z wielu, towarzyszy z obozu.

...Możebyś do mnie... zebrało się kilka osób... gawędzimy... przyjechał Wroński i przywiózł kupę nowin... Zwycięzamy na całej linii... Czytałeś dzisiejszą gazetę... przeczytaj koniecznie... Jan bez ziemi, bez mowy, bez głowy palnął deklarację, występuje przeciw tobie... Nie udało mu się... napisał marnie... musisz odpowiedzieć... — gadał przyjaciel.

Zymirski odszedł, nie dosłuchawszy do końca. Telefon dzwonił przeciągle i niecierpliwie, ale jego nie obchodziło nie zgoda... Ci przyjaciele opuszczą jutro, odwrócą się ze wstrętem, pierwsi pójdą do Jana Zabaskiego, pierwsi, żeby wyprzeć się współnictwa, cisną w niego kamieniami... Jutro... stargane, śmiertelnie zmęczone myśli szły na ten sam szlak i otoczyły kołem to samo miejsce, drzewo ludzkiej nadziei strzaskane od gromu nieszczęścia, tak

jak córki otaczają trumnę ze zwłokami matki. I widział, znowu widział już po raz trzeci obraz najbardziej okropny, obraz męża: długie ulice ukochanego miasta, te same, któremi chodził dzieckiem, potem szczęśliwym młodzieńcem, któremi jeździł jako mąż sławny, witany ukłonami uznania, uśmiechami przyjaźni, długie ulice, szeregi domów, twarze w oknach, tłumy szydery, rozgrzane nienawiścią, wrzask wrogów, złowieszczy pomruk, jeden wyraz na wszystkich ustach, jedno spojrzenie we wszystkich oczach—spojrzenie wzgardy... i on, Karol Żymirski, nieskazitelny mąż, wleczony wśród wyjącej tłuszczy, zdeptany, oplwany, złamany na zawsze... Taką to pokutę ma odbyć... tem cierpieniem odkupić... I za co?! Miłował, krajowi służył i miastu temu... tyle uczynił, okrył się chwałą, połyskliwym płaszczem znamienitych zasług... Grzeszył, ale oddany był sprawie... Niechże ratują go ci, którzy mu klaszczą, którzy noszą go na rękach — przyjaciele, wielbiciele, pochlebcy...

Gdy Jan Żabski zamknął za nim drzwi, chciał wrócić i wyznać wszystko. Wbiegł po schodach, stał chwilę przed drzwiami — i cofnął się... W krajach, rozwiniętych politycznie, jest solidarność partyjna. Jego hańba spadnie hańbą na stronnictwo, stanie się orężem niebezpiecznym w ręku nieprzyjaciół, zaszkodzi sztandarowi. A są fundusze, możnaby ogłosić składkę potajemną — trudem cierpliwym wynagrodzić... Wroński, rozumny, bogaty, przychylny... Jak bańka mydlana, przysła nadzieję, którą na moment przywołał, żeby wnet uznać jej błahość. Tak samo przysła wszystkie pociechy, pomysły, projekty. Sposoby, które brał po kolei z oszukańczego składu i badał bez wiary w ich skuteczność z niecnego przyzwyczajenia. Oddawna wyczerpał wszystko, nawet Kamienieckiego, którego tyle razy wyprowadził w pole, nie było w mieście, a on wciąż obliczał, snuł kombinacje, wyteżał pamięć i sam rozwaliwszy budowę, w którą uderzył, którą zatrzęsł piorun, próbował kleić z drzazg, ze strzępów, z próchna. Rozumiał nicość tej roboty, a prowadził ją dalej, jak gdyby chodziło mu o zabicie czasu, plół myślą, jak nieraz człowiek plecie językiem, żeby zamknąć komuś usta... Miał w tem swój cel, działał przebiegle... Wyrwał się z pod pręgierza, pod którym postawiło go sumienie, teraz chciał uspić jego czujność, przesypując piasek jałowych myśli, krążył po pokoju krokiem ociężałym, leniwym, niechętnym, potem coraz szybciej, śmielej... W pewnej chwili zadzwonił... I chwiejnym głosem kazał lokajowi conajprędzej pakować rzeczy. Pomagał sam. Staś przynosił garnitury, on segregował, wyznaczał im miejsce w tym kufrze, albo w tamtym. Wybrał krawaty, wsunął do tłumoka parę powie-

ści... Trzęsły mu się ręce, twarz oblała się krwią i była cała w plamach...

— To jaśnie pan chyba na długo — zauważył służący.

— Jak wypadnie — odparł nie podnosząc oczu.

— Zapakowałem i zimowe ubrania...

Gdy wszystko było skończone, dopiero wówczas spojrzął na zegarek i odetchnął z ulgą. Miał jeszcze do odejścia kuryerów dwie godziny. Była ósma... dużo czasu, zawiele... I znowu był sam w pokoju z myślami... Rozpraszał je... nieznośnym był ich brzęk nieustanny... gadały myśli rozmaite o tem, o owem... ktoś śmiał się jadowicie... płakało coś... przechodząc koło zwierciadła widział swoją twarz, która wydała mu się okropną, cała w wypiekach, w plamach, jakoby w krwawej ospie... Trzęsły się wciąż ręce... Dwie głowy na ścianie, dwa czoła, oczy patrzące Kościuszki, Mickiewicza... Zawiesił był te wizerunki — wierny, miłujący syn ojczyzny — i znosi urąganie... Trzęsły mu się wciąż ręce, czuł pod powiekami, które przymykał, płomień żrenic... paliła się oczy, męczy każde spojrzenie... Zgasił światło i chodził w ciemności po tym samym szlaku, który deptał, deptał... A w mroku jakieś palce dotykają jego czoła... może to jest skrzydło trwogi o chłodnych piórach?... i z kąta gdzie, stoi szafa, wysuwa się postać... Znowu zaświecił... Skupił uwagę nad rozkładem jazdy, odczytywał stacyę po stacyi, ilość wiorst, ceny biletów dla dzieci i dorosłych — książka dygotała, męciły się litery... Chodził... Wreszcie, zacisnąwszy zęby, niby przed operacyą, podstawił głowę pod cios... na nic zwlekanie, lawirowanie... niech spada na niego prawda — wytrzyma...

„Podły! uciekasz, a miałaś umrzeć!... wepchnąłeś w nędzę rodziców, tysiące rodzin, które zaufały... wykradłeś z banku, co się dało i zmykasz... nie zmyjesz nigdy i niczem!... oszust podły jesteś i tchórz...” — jak rozpalony drut przeszyły świadomość szybkie myśli i zdawało się, że syknęła z bólu spieczona warstwa mózgu.

Zymirski zatrzymał się i czekał — chciałby już cały ból odcierpieć odrazu...

„Ja słucham... ty mów...” — rzekłbyś, zwracał się do kogoś. A była cisza. Nie stanęło do rozprawy sumienie... Wówczas on sam spuścił się na dno i śmiało zastukał do drzwi, za którymi tańczyło się, żeby dokonać gwałtu... Obłuda szła za nim na palcach, szeptała mu do ucha słowa, a on sypał je wszystko, kładł na nieprzedajną wagę. On szermierz mielada, znalazł obronę: zasłaniał się cierpieniem, męką, którą już zniósł, nazywał pokutą boleść;

którą jemu, człowiekowi szlachetnemu, sprawiały i ucieczka, i niedola rodziców, i krzywda, wyrządzona bliźnim, widział w tem karę dostateczną i zdjęty żalem a skruchą, usprawiedliwiał siebie... Słowami, skapanemi we łzach, byłby skruszzył w tej chwili serce, najbardziej zatwardziałe—łały mu się strugą obfitą coraz piękniejszą, coraz bardziej trafne, ale nie zaważyły na owej nieprzedanej szali... I mowa obrończa i uczucie rozbijały się wciąż o jakąś dziwną zaporę. W duszy trzepotał się niepokój, jak w ciemnym pokoju odbłask dalekiego chwiejącego się na wietrze ogniska... Ktoś śmiał się, ktoś szydził, ktoś plwał mu w twarz... Słuchacze na sali daliby mu oklaski za setną część tych górnych myśli... tu samego siebie należy przekonać... Więc gadał do siebie... Gadał o wielkiem cierpieniu, o żalu rozłąki z krajem, o porzuceniu prac, o tułaczce i gorzkim wygnaniu, o karze, którą sam sobie wymierzył, o siłach, które złamały się w nieszczęściu, i ciszej, z pewną nieśmiałością, o zasługach, o długim łańcuchu czynów, trudów, ofiar... Z niezmordowaną wytrwałością tłumaczył, udowadniał, wykładał, nagłony obawą, że, gdy on zamilknie, tamten, którego nie potrafił przekonać, zaśmieje się w żywe oczy... I, dziwna rzecz, unikał lustra, i swego odbicia, i tego spojrzenia, któreby spotkał...

W tej chwili zajaśniał szereg pokoiów, przez które lokaj prowadził jakiegoś gościa. W Żymirskim skureczyło się, ściępiło, zamarło serce — potem dwa jego uderzenia bardzo rozgłośnie, raz po razie...

— Proszę jaśnie pana... ten pan koniecznie... — mówił coś lokaj.

Bankier nie zrozumiał... Gość usiadł sam bez zaproszenia.

— Śniałowski — zaprezentował się dobitnie.

Żymirski patrzył przenikliwie w jego krawat, w podbródek, w usta — do oczu nie śmiał...

— Pan dyrektor, widzę, bardzo nierad — spokojnie zaczął gość, który musiał coś zauważyć w jego obejściu — przepraszam... pora może niewłaściwa... mam pilny interes... słyszałem o wyjeździe...

Teraz dopiero Żymirski obejrzał go od stóp do głowy. Młodzieniec, ubogo ubrany z kategorii neurasteników, którzy wpadają do nieznanych mieszkań o każdej godzinie, zawsze umieją dotrzeć i, grożąc natychmiastowem samobójstwem, proszą o 25 rubli... twarz ujmująca młodością, blaskiem oczu, upartą, śmiałą linią wąskiego czoła... głos stanowczy o brzmieniach bezwzględnych...

Leniwie słuchał...

— Przyszedłem wstawić się za Karolem... za Korolem Borkowskim, którego pan usunął bez przyczyn dostatecznych, a jak twierdzą niektórzy, jedynie za przekonania...

Bankiera, to przypomnienie przeszłości niedawnej a obumarłej na zawsze, na zawsze, przeszłości, gdy on rozporządzał się, działał, rozgniewał i dźwigał ludzi, gdy był potężny, napochnięto żalem... Myśl poszła kędyś błędzić...

— Pan dyrektor nie słucha uważnie — natarł energiczny gość — tymczasem tu życie człowieka... istnienie całej rodziny... Karol jest w nędzy... a za przekonania... nie przypuszczałem, żeby taka cenzura...

— Pan należy do partii? — cicho spytał Żymirski, uważnie patrząc w przybyłego.

— Tak — była odpowiedź szorstka i trochę wyniosła.

Bankier nie przestawał patrzeć. Myślał teraz, iż to jest wróg, jeden z tych, którzy ucieszą się z jego upadku, zatrąbią w trąby, uderzą na alarm, rozdmuchują, pastwić się będą — i nie mógł oprzeć się pokusie zgnębienia, skoro jeszcze miał władzę.

— Trudno, proszę pana — rzekł uprzejmie — dymisy nie cofnę.

— Dlaczego? — skoczył Śniałowski.

— Zaraz panie... niech pan nie unosi się... — najgrzeczniej mówił — właśnie dla przyczyn... właśnie pan odgadł... Instytucya, w której pracował pan Borkowski, instytucya narodowa... jakże pan chce, żeby w niej mieli przytułek ci, którzy wypierają się ojczyzny, którzy ojczyźnie szkodzą... jest tylu bez chleba najgorętszych, najlepszych patriotów.

— Przyszedłem tu — wybuchnął gość — byłbym nie przyszedł... Ale ja nie chciałem wierzyć... myślałem: nieporozumienie... bo żeby tak cynicznie przyznawać się... panie, ja nazywam rzeczy po imieniu... to podły, to niecny postęp...

Żymirski uśmiechał się — obraźliwe słowa sprawiały mu satysfakcyę... Śniałowski spostrzegł to — urwał. Płonącemi, gniewnemi oczami spoglądał... I naraz w tych oczach zajaśniało coś niewypowiedzianego.

— Widziałem dziś pana — rzekł stłumionym głosem — tam na schodach, gdzie Paweł... poznałem na twarzy cierpienie... pan zrozumie niedolę... nędzę dzieci, ojca... Uniosłem się, przepraszam... ja wstawiam się... człowiek ginie... — zachłysnął się, jakgdyby łzami.

— Umiecie udawać pokornych i litościwych, gdyście słabi, a przecież nikt, tak jak wy, nie potrafi deptać, szarpać, mordować... byleby wam siłę dano... — ukąsił bankier.

Gorejący, natchniony, rozwarty dla szczęścia górnej chwili wzrok Śniałowskiego cofnął się pośpiesznie, niby ręka wyciągnięta po chleb, a obrzydzone śliskiem dotknięciem gadu. Śniałowski zerwał się i wyszedł bez słowa. Lokaj prowadził go przez szereg salonów, które zapalały się, gaśły...

„Twarz szlachetna i ruchy pańskie, dusza gorąca, porwana tą fikcją... skąd on się wziął śród nich?! — myślał Zymirski i wnet o wszystkim zapomniał. W samotności, która uczyniła się, ogarniał go znowu lęk. W duszy pełgał niepokój, jakoby połysk miecza, który wisi nad czaszką. Myśli rozpierzchały się i kaleczyły się, czegokolwiek dotkną. Był bezsilny, znużony coraz bardziej... to przypominał mu się giest Obrońskiego cofnięcia ręki, to nagle stawał portyer banku, którego wieloletnie oszczędności utonęły w kasach domu „Zymirski i S-ka,“ to owe pieniądze matki... surowa prawość ojca... zgroza jutra dla rodziców... Dla odwrócenia uwagi wyjmował zegarek, obliczał godzinę, brał ze stołu list... I nagle wynurzała się z przeszłości pewna pani, która w bezgranicznym zaufaniu powierzyła mu syna, syna i majątek, która w tym samym pokoju, po długiej rozmowie, gdy on, zapalony, płonącymi słowami rozniecił i w sobie i w niej najświętszy ogień uniesienia, naraz ukłękła i pocałowała go w rękę... potem znowu budziła się troska o byłych rodziców, ukazywały się rozmaite chwile życia, szczytne i szczęśliwe, i ukrytym kolcem raniły pamięć... przedmioty odzywały się głosem żywym, spoglądały żywymi oczami... w dokuczliwym zamęcie poczynały brzmieć i urągać własne słowa, obietnice, zaklęcia, rzucone niegdyś tłumom, przyjacielom, sobie samemu... Występował mu na twarz rumieniec, najbardziej okropny, żrący serce rumieniec, który piecze policzki człowieka samotnego, gdy wstydzi się własnych myśli... tak, tak... stypendya młodzieży zagarnięte... składki na bibliotekę publiczną... ubogie grosze biedaków — wspominał mimochodem i uciekał... Badał najpilniej tytuły i okładki książek, ustawionych na półce... A po szybach duszy dalej bębniły krople tych myśli przelotnych a nieprzerwanych, uporeczywych... Zaczynał tracić panowanie nad sobą, tworzył się w nim jakgdyby jeden jęk... W pokoju rozległo się szlochanie... Dokąd schronić się, gdzie znaleźć ciszę, wytchnienie, sen? jak zamknąć usta pamięci, która opowiada, rzeczom, które mówią? Gdzie mrok, w którym by wszystko zagasło? bo oczy widzą, patrzą,

cierpią — umęczone oczy... jak zabić tę pracę, której niema końca?... w serce przenika spojrzenie zmęczonych, oddanych, ufających źrenic matki — i łka serce...

Staś lokaj zastukał do drzwi — była już pora odjazdu. Na widok służby, zebranej w sieniach, Żymirski odzyskał przytomność umysłu, rzutką, sprawną, odważną... i zrozumiał, że przedewszystkiem pozory... Żartował tedy, jak zwykle w takich razach, zostawiał dyspozycje... Na progu złapała go panna służąca, prosząc do matki. Zawahał się, ale odmówił.

— Proszę powiedzieć, że późno już... że ja za parę dni wrócę... — rzekł cicho niepewnym głosem.

I jeszcze raz zawahał się.

— Nie pora — szepnął.

Wolnym krokiem ruszył do powozu. Konie parsknęły na dobrą wróżbę... Odjeżdżając, obejrzał się. Światło było w oknach matki. Zapewne stoi tam kreśli znak krzyża i zmęczonemi oczami... żegna... czyżby nigdy? czyżby to wszystko miało być prawdą?

Słumił łkanie.

„Póki sił, byłem z wami... opuszczam, bo nie mogę, nie mogę...” — znalazł pociechę.

Mknąc przez miasto, nie myślał o niczem. Patrzył co chwila na zegarek, liczył pakunki, czytał szyldy, gonił wzrokiem przechodniów. Zresztą zwykle przedpodróżne podniecenie, w którym tkwi nieokreślona nadzieja... Turkot zajężdżających przed dworzec dorożek, wrzawa, pośpiech uwijanie się tragarzy, wesoly ruch, który porywa w swój wir, zapach węgla, przeciągły gwizd lokomotywy, przedsmak podróży, pędu, powiew dali nieznaney... świat szeroki...

Obroński był na dworcu. Zbliżył się odrazu i, nie witając się, powiedział:

— Odgadłem, że ucieczka... ja chcę kilka słów... może tu... — wskazał dwa fotele.

Miał zmienioną twarz, i bankierowi, który przyglądał się z niepokojem, wydało się, iż zbrzękły mu pod płowym wąsem wargi.

— Kilka słów... przeszkadzam i wstrzymuję — mówił szorstko urywanym sposobem, z widoczną przykrością — chcę tylko wyjaśnić, dlaczego ja, jakkolwiek szczycę się legalnością i dbam o to, żeby zawsze być w porządku z prawem... no i z sumieniem, dlaczego ja nie uprzedziłem o tym wyjeździe... Należało oddać w opiekę władz, należałoby jeszcze tu... — padła groźba.

Bankier skurczył się, zmałał, zmarniał na swoim krześle, jak gdyby chwytało go już za kołnierzyk i nie wiedział, dlaczego nie mógł oderwać oczu od dużej ręki Obrońskiego, ozdobionej sygnetem. Spróbował uśmiechnąć się. Uśmiech był blady i nędzny.

— Nie uczyniłem tego — tłumaczył Obroński, zadając sobie przymus — I właśnie... poczuwam się do pewnej winy...

Spuścił oczy, może pierwszy raz w życiu nie patrzył prosto w twarz.

— Tak, poczuwam się do winy, a to, że wyznaję ją przed szubrawcem, to kara niemała... Zasłużyłem... Domyślałem się bankructwa i dla tego przed rokiem wycofałem swoje udziały... Już wówczas obowiązkiem moim było ogłosić, ostrzedz... Nie zerwałem także współpracy wyścigowej i wygląda na to, że my—dwaj przyjaciele, z tej samej kompanii, jednakowego stempla... są pozory... przewidziałem wiele... ale takiej podłości, ucieczki i tego wszystkiego... dopiero dziś...

Obroński wstał, pełną krzesło i, nie dokończywszy mowy, wyszedł.

KAZIMIERZ ZDZIECHOWSKI.

o chłopskim eposie Konopnickiej.

Kiedys, gdy wichry i burze przewieją,
I rozbłękitni się w sobie wiek słońca,
O tej siermiędze mówić będą w świetle
I zwać jej dzieje ludu epopcją.
I może wtedy nawet my, my sami,
Wśród narodowych skarbów i pamiątek
Ten nędzny, zgrzebny, poszarpany szczątek
Chować będziemy i oblewać łzami.

Konopnicka, Poezye II, Warszawa 83.

Eposu Konopnickiej nie można wyjmować z historyczno-literackich ram ubiegłego trzydziestolecia. Powstańczy rok, ten, któremu trzeba było ołówka Grottgera, żeby wypoetyczniał, znieczulił społeczeństwo, więc musiał znieczulić i literaturę. Ledwie porosła w pierze poetyckie garść Buławów i Sączkowskich, Bartusówien i Otawów, Komorowskich i Dziędużyckich, Wierzbickich i Wysockich — wodzi piórem z lubością po obwodzie życia, zamiast sięgnąć do jego wnętrza.¹⁾ Dynamikę uczuć zastępuje u nich statyka opowiadania nudnego, zagrzeźłego w opisy. Wróćcej energią, z ostatnim strzałem powstańczym zrymowanej pieśni, przeciwstawiają ci — poeci o duszach, wziętych na powróż — epos, czczo skandowany. Dodawać nie trzeba, że chrzest bierze każdy do nowej sorty należący poemat z kropielnicy romantycznej. Kierunek wychodzi od Pola i Syrokomli.²⁾ Stąd jaskrawą tendencją brnie poeta nałogowo w przeszłość, a równocześnie bezbarwnem

¹⁾ cf. *Umielowski* „Współcześni poeci,” str. 387—435, nadto *Grabowski* „Poezya polska po r. 63,” str. 210, 216—221.

²⁾ Rzecz prosta — idzie o twórczość, nie o twórców: Syrokomla † 1862, Pol † 1872.

wykonaniem fałszuje jej proporcje. I tak być musiało! Odwrócona sfera wartości nie zaraz pozwoliła przepuścić przez siebie światło krytyczne. Pólinstynkty i półruchy życia bieżącego odzywać się zaczynają bardzo późno. Dopiero schyłek lat osiemdziesiątych przynosi poematy epickie, poświęcone chłopu, koło którego tymczasem ześrodkowała swoją akcję najpiękniejsza epopeja: rzeczywistość. Odwieczna, specyficznie polska historia stołu i nożyc powtórzyła się raz jeszcze. Co prawda obwołany hataśliwie bohaterem chłop nie odrazu znalazł w literackim przedstawieniu swoją późniejszą, krwistą a zwartą psychologię. Objawy jego życia, modernizowane na zabój według jaskrawych paragrafów nowej szkoły, odskakują za wyraźnie od polskiej, po dawnemu egzaltowanej duszy poety. Niedostateczna fuzya obu pierwiastków: przedmiotowego i podmiotowego sprawiła, że transparentowy „chłopek“ romantyków grasował dalej w poezji, tylko sensacyjniej prezentowany, wśród trywialniejszych efektów. Ale każdy nowy poemat, w grubą sieć realizmu chwytający idealną duszę poety, dowodził, że popęd do epickiego tworzenia wisi w powietrzu. Od szkicowych, akcją zewnętrzną zaczepionych o lud, prób, pójdzie ten popęd do dojrzałej, kątem wieczności lud mierzącej, kompozycji. Związek między zapomnianymi próbami a głośną kompozycją utrwalała chronologia. W dziewięćdziesiątym drugim roku rozpoczęty „Pan Balcer w Brazylii“ jest wypadkową prądu epickiego, przez całe trzydziestolecie pracującego prawie niewidzialnie, w anonimowej przyłbicy, z której wynurzały się raz po raz fizyognomie poetów, nie spotykanych poza ulotnemi szrankami recenzji.

W sferze tego prądu powstawały niegdyś rzymskie, na cienką nić opowiadania nawleczone, poematy Konopnickiej „Kludya“ i „Tarcza Scypiona“, zręczniejszarywające epiką „Obrazki“ i wreszcie w niewyznaczonym celu podjęte fragmenty „Imoginy“, pracy nad oktawą poświęcone. Ale na kunsztowne doskonalenie zmysłu epickiego nie pozwalał rozgwar liryki, wręcz w formie, samorzutnej w treści. Ferment coraz nowych uczuć rozsadał każdy kształt życia zewnętrznego. To też pełnego kąta życiowego nie zatoczył żaden poemat. W wierszu znajdowałeś, co najwyżej, okruchy rzeczywistości, dowolnie pędzłem lirycznym cechowane. Inaczej być nie mogło. Liryk musiał wypowiedzieć swoje ostatnie, syntezą będące słowo, zanim odezwie się epik. I co więcej, liryka musiała doszczętnie wypompować esencję wewnętrzną, nim epika zwróciła się z reflektorem poetyckim na zewnątrz.

Psychologicznie taką kolej rozwojową uzasadnia historia naszej literatury, nasuwając analogię choćby z Mickiewiczem, któ-

rego uczuciową rdzennie twórczość zamyka podobnie epilog opisowy. Rzecz jasna, że dorobek idealny liryka nie zawsze przechodzi na epika. W epopei Mickiewiczowskiej ciężar gatunkowy zdarzeń czy kierunek działań ludzkich nie zawisły bynajmniej od syntezy, którą zdobywał poeta w długoletnim ciągu twórczości lirycznej. W epopei Konopnickiej przeciwnie, wszystkie tryby i trybiki akcyi, wszystkie koła i kółka dusz — nakręcone są kluczem tej samej syntezy, którą pieśń liryczna poprzednio sformowała.

A na tę syntezę, jak słusznie zauważył Potocki, składają się dwie moce: „moc własna ludu“ i „moc własna poetki.“¹⁾

Pierwsza, z twórczości rodzajowej dająca się wyłowić, określa psychofizycznie typ ludowy o zmysłach, dzięki materialnemu kierunkowi zajęć wyostrzonych, o zacieśnionym przez poddaństwo mechanizmie uczuć, o wyobraźni drażnionej syrenim głosem i pawim strojem przyrody. Typ ten sprowadza poetka do jednostki, głową trącającej o okap chałupy, więc pozbawionej potrzeby szerokich uogólnień, kwadratu zdrowego rozsądku nie przekraczającej.

Druga „moc,“ w twórczości osobistej odbita, pozwala sportretować typ poetki samej. Omłócona przez wszystkich recenzentów nadwyżką „programowości,“ psująca pierwsze utwory Konopnickiej, dowodzi tylko jej żywego interesu dla spraw środowiska. Pociągnięta w późniejszą twórczość, będzie regulować tempo każdego wiersza zgodnie ze współbrzmiającym marszem partyi ludowej. Wyższa nad pospolite kolizye życia, dokumentuje przecież znajomość realnych potrzeb w pierwszym wolnym felietonie dziennym, w namiętnej, wedle znanego aforyzmu Goethego o krytyce, skonstruowanej rozprawie literackiej, w zdrowych kurendach do kobiet, czy wreszcie szerszych okólnikach redaktorskich. Mimo idealizmu, promieniującego z tych wszystkich prac, nie roztopiona w ideologii, rzuca w „Trzeciej seryi“ zwarty postulat społeczny. Prawda, że na jakość tego postulatu wpłynęło raczej napięcie uczuciowe, aniżeli twarde przesłanki spekulacyi. Iść za daleko, wyłamywać się z pod klucza opinii nie dozwolił Konopnickiej temperament, poddany prawom środowiska. Dlatego zabrakło w jej twórczości pierwiastka męczeńskiego — tego, który przecina włókna łączące człowieka z masą, odciąga bezwzględnie od jej materialnego ustroju, a zato każe własny ideał ryć w duszy, ponad chór codziennej tragedyi wlatywać krwawym głosem bohatera.

¹⁾ Antoni Potocki: „Marya Konopnicka,“ str. 64—5.

Obie, mimochodem tu wskazane, „moce,“ które utleniła synteza poetki, złożyły się na powstanie *Balcera*.

„Moc własna ludu“ wypełnia poemat materiałem przedmiotowym, tym, w którym brodzi z reguły rylec epika za jednogłośną aprobatą teoretyczną wszystkich czasów.

„Moc własna poetki“ daje w poemacie początek dygressyom podmiotowym, intrydze duszy, czego nie znały ekskluzywne reguły arystotelesowskie i pogłębiając szczegół za szczegółem, cechuje całość nowożytnym stygmatem.

Zbliżone wykładniki tych „mocy“ doprowadziły do stopienia obu żywiołów: przedmiotowego, znaczącego etapy akcji i podmiotowego, bodźcem wypadków pobudzanego co krok do nowych wybuchów.

Efektom stopienia jest forma wspomnień, z ust bohatera płynących szorstkim a przecież wzniosłym trybem, forma, której wiele zawdzięcza „*Pan Balcer w Brazylii*.“

Dlaczego „*Pan Balcer?*“

Nazwisko chłopca polskiego, położone nad epopeją, dowodzi, że życie tego chłopca mogło być przedstawiać interes dla epika. I przedstawiało! Brak zdecydowanych, stale działających wpływów cywilizacyjnych pozostawił jego ustrój plemienny nieskazonym. Przecież początki cywilizacji wtłaczają już koncepcję tego ustroju w świadomość chłopca samego. Inaczej środowiska epickiego wyobrazić sobie nie można. Jednostka wedle jego praw musi się jeszcze mieścić patryarchalnie w masie. I mieści się istotnie, wiążąc sfery swojego życia wewnętrznego po prostu, bez komplikacji, któreby wymagały komentarza. Masa natomiast musi już nosić zwarte cechy indywidualności. Tej zbiorowej indywidualności, której nieodróżnizkowane formy dadzą się pociętem łatwiej zebrać i tem syntetyczniej przedstawić. A udowodniać chyba nie trzeba, że grube, dopiero co wyklute cechy indywidualności miała w sobie masa chłopska, zawisała od przyrody w trybie zajęć, słabo związana z warstwami wyższymi. Zresztą rozstrzygająco działał moment historyczny. Chłop, wyciągnięty z pod pręgierza pańszczyzny, a nie wpakowany jeszcze pod skrzydła towarzystw oświaty—stał się właśnie, dzięki temu momentowi przełomowemu, materiałem dla epika ważnym.

A dlaczego *Pan Balcer* ma cierpieć i działać „w Brazylii?“

Egzotyzm polski inne ma źródło, niż u reszty narodów. Syn oschłej, sportom oddanej Anglii, Kipling, opisuje z wyrachowaniem artystycznym swojego Indusa, eksploatuje go, jak plantację literacką. Poetyczny wyrzutek kolonialnej Holandyi, Dekker, ma-

że kał własnego kraju, broniąc głodzonego, obdzieranego z godności ludzkiej Malaja. Przeżyty Europejczyk, Viand, jedzie w kajucie pierwszej klasy nad brzegi dalekich mórz po wrażenia głądki, jak welin jego książki.

U nas inaczej! Latarnik Sienkiewicza i Balcer Konopnickiej z jednej strony, a Sruł Szymańskiego i Aleksander Sieroszewskiego z drugiej — nie dobrowolnie opuszczali kraj. Proroctwo Skargi pędzi ich, jak wichur, to samo, które niegdyś trzęsło węglami Rzeczypospolitej i w proch rzuciło największe głowy. „Będziecie nie tylo bez pana krwie swoiey, y bez wybierania iego: ale też bez oyczyzny y Królestwa swego, wygnańcy wszędzie nędzni, wzgardzeni, ubodzy, włóczęgowie, które popychać nogami tam, gdzie was pierwej ważono, będą.“¹⁾ Oto geneza, o rdzeń przeszłości zaczepiona, zrozumiała dla każdego, kto sięgnął do ośrodków naszej produkcji literackiej. Tem zrozumiała, że bliska postulatów piękna, sfermentowanych w epoce romantyki. W tę genezę właśnie zapatrzony, muszę uważać za mało rycerskie twierdzenie Feldmana, jakoby poetka wyrwała chłopca z jego środowiska, bojąc się o swoje obrazy wobec konkurencyi Pana Tadeusza.²⁾ Polemikę niemniej wyłącza scholarskie przypuszczenie Gallego, jakoby poetka wedle z góry powziętej metody stwarzała warunki niezwykle dla badanego zjawiska, żeby jego objawy wystąpiły tem czyściej.³⁾

Fakt można mierzyć tylko faktycznemi przyczynami. Oddana służbie publicznej, bystro śledząc sprawy aktualne, nie mogła Konopnicka przeoczyć wielkiego znaczenia emigracyi. Opiekując się chłopcem w kraju, przywiązała się do niego tak, że trudno jej było puścić pupila w daleką drogę samego. Więc powędrowała za nim. W tym prostym procesie dopatrywać się chyba nie potrzebujemy „ucieczki przed konkurencyą“, jak chce jeden krytyk, lub „metody przyrodniczej“, jak woli drugi.

Stosy ucinkowych artykułów i gorących broszur, na przedce sporządzanych statystyk i policyjnych kronik musiały ciągnąć żywą imaginacyę, poddawać plan, rozżarzać współczucie. Wykluczała się wielka, tragiczna myśl, która kiedyś wzlecieć miała wysoko nad karty poematu.

1) Skarga: III kaz. o „Niezgodzie domowej.“

2) Feldman Wilhelm: „Piśmiennictwo polskie,“ I, 101.

3) Henryk Galle: „Twórczość poetki Maryi Konopnickiej.“ Bibl. Warsz. 1902, III, str. 361.

Ten jeden tysiąc zatonął do morza...
 Ten drugi tysiąc poległ od moru...
 Ten trzeci tysiąc zaprzepadł w bezdroża...
 Ten czwarty padł kamieniem u boru —
 Na wielkiej drodze stoi męka boża...
 — Czekałże, ziemio-sieroto, wieczoru...
 Czekała ziemia... przyszły do niej posły,
 — Powiały wichry, garść prochu przyniosły!...¹⁾

Chcąc nie chcąc rozumiemy stosunek między grzmiącym, męskim słowem Skargi, a cichą, kobiecą pieśnią Konopnickiej. I co więcej, rozumieć zaczynamy samo tło emigracji, w które poetka wplotła wizerunek swojego bohatera. Zresztą związek Balcera z bieżącym życiem polskim, z przesłanek historii wysnutem, zbyt jest rzeczowy, żeby nastroczał potrzebę dyskusji. Wiemy, czem były dla naszego chłopca chłodne fale Atlantyku, raz gładkie, jak bity gościniec, to znowu pokazujące zęby, jak wilk. Wiemy, co za elementarna siła pędziła chłopca z błędną twarzą po tej wodnej drodze. Wiemy, jak mu było na odjezdnem i dlaczego musiał odjeżdżać. Nie są nam tylko znane jego dalsze losy i te opowiada nam Pan Balcer. Chcę zdać pokrótce sprawę z tego opowiadania, nie pedanterią wiedziony, ale pewny, że taka praca pozwoli tem silniej zredukować wrażenia, z lektury wyniesione i tem ostrzej wytyczyć linie przyszłego sądu. Dlatego, zdając sprawę, wchodzić będę tylko w sytuacje najważniejsze, uwzględniać momenty krytyczne, wykruszać ze strof treść najistotniejszą.

W pierwszej pieśni ²⁾ tysięczna gromada emigrancka puszcza się portu, krzyżem naznaczwszy ściśnięte piersi. Ogłuszoną mierzem uspokaja dopiero gwiazda, na której widok z gromady, o ziemię ciśniętej, bucha, jak na komendę, pieśń pobożna. Nocleg wśród stłoczonej pod podkładem masy ludzkiej zdobywa nawet najstateczniejszy między chłopami, Balcer, przy pomocy pięści. Podrzucone co moment głowy chłoną na zgniłej słomie w zepsutem powietrzu sen o polskim polu. O świcie poweselała gromada, łączy się w gadatliwe kupy, żeby sobie nawzajem napędzić animuszu. Lekcewały drogi, praktyk i znawca, Opacz, podrwiwając z mniej opolerowanych towarzyszy. Wątek drwin, niezbyt zręcznie, podejmuje spanoszały Magier, żeby, dmuchając w pęcherz szlacheckich pretensyj, wywołać ostre starcie z chłopem do szpiku kości, Za-

¹⁾ Bibl. Warsz., 1897, IV, str. 446.

²⁾ B. W., 1892, III str. 468—507, IV, str. 442—68.

tratą. Łagodzi obie strony doraźnie anegdota Opacza. Nastrój słuchaczy zamąci przecież rychło wzmianka o Niemcach, patentowanych sprawcach biedy chłopskiej. Biedzie zaradzić ma złote runo brazylijskie. Wśród naiwnych dysput centrum rajców, zajęte przyszłym gospodarstwem, rozpatruje jego wymiary w kwadratach fantazyi. Tylko swawolnych dziewczuch, prześladowujących się nawzajem kryjomemi miłostkami, nie ciągną egzotyczni kawalerowie w kolorowej skórce. W miarę, jak postępuje droga, spadają akcyje wychodźców. Morska droga zaczyna wyłom robić w twardej dotąd kolumnie chłopskiej. Nawet silnego między silnymi, Balcera, dosięga ona. Brudni i głodni, wstrętni sobie samym, rozjuszeni przeciw drugim, inują się chłopci kolejno—wódkę, przed którą broni skutecznie pompa okrętowa, walk z innymi nacyami, które kończą się obustronnym guzem, wreszcie kart, do których ciągną fachowe indywidualia. Błędnego rycerza, podskubującego kieszenie na prawo i lewo, chwytą w mściwe ręce zgrany do grosza Przytuła. Zabójstwu przeszkodzi w sam czas świątobliwy Horodziej, Przytułe wracając wydarty grosz, gromadę podnosząc mądrą nauką. Tymczasem załoga, podchmielona dzięki hojności kapitana, przy zaimprovizowanej muzyce puszcza się w płąsy. Wśród zabawy wszczęta bójka między chłopem a majtkiem byłaby przybrała szersze rozmiary, gdyby nie pośrednictwo burzy do późna trwającej. Ledwie chłopskie fryce ochłoneły po różgach strachu, wybucha razem z nowym dniem łuna płonącego w pobliżu okrętu. Rozbitków, przewiezionych na emigrancki pokład, wspomaga kto groszem, kto pociechą. O własny los zatroskana gromada oczy ledwie zaczępiła o zieloną dekorację wyspy pobliskiej. Pogłoski o morze, szerzone mimo zakazu, ustają dopiero, kiedy Zatrąte i Bugaja za zbytnią zapalność zaczęto chłodzić pod kluczem. Niebawem brutalna rewizya wykrywa w chustach macierzyńskich Szcześniakowej zatajonego trupka. Pod hypnozą nieszczęścia skacze chłopska matka za dzieckiem w wodzie bezdna. Morze udobruchane niesie już emigranta bez przygód pod równik, którego terytoryum czezą żeglarze uroczystą fetą. Humor dopływających zaognia się na widok delfina, niezawodnego zwiastuna pogody. Śmiechem i płaczem, gwizdaniem i modlitwą, czapkami, w górę rzucanemi i wyżej lecącym śpiewem—wita pstra gromada ledwie przeblęskłe kontury ziemi. Rozważny a ciekawy Balcer lustruje przy pomocy Hómacza port, rozbrajające uwagi roniąc nad flagą brazylijską. Tłum chłopski tymczasem wybiera wśród gwałtownych narad posła, któryby afekta przybyszów wyłożył królowej, pędzlem wymalowanej na brzegu rozumie się razem z koroną, ber-

łem i jabłkiem. Kandydatów jest na szczęście za dużo. Zamięszaniem kieruje po mistrzowsku wychowanek klasztorny Czop — póki nie wyłoni się z najmniej spodziewanej strony samozwańczy poseł w rańtuchu: Kachna z nad Buga. Gorejące uczuciem słowa staruszki pozostaną bez skutku. Nie dosnuje się włókno fantazyi. Zepchniętą w szalupy, a następnie lasem bagnietów otoczoną gromadę wojsko odstawia do baraku portowego.

W drugiej pieśni ¹⁾ wyruszają emigranci w pochód za przewodnikiem Murzynem, kapelującym na bębenku. Po drodze spotykają niedobitków polskich, z zabójczych kopalni w Minnas Goeres wracających, zdziesiątkowanych febrą, trupami znaczących za sobą trop. Mimo tragicznego horoskopu dociera niepewny tabor do Pinhero, gdzie czekać trzeba było w emigranckiem schronisku pod strażą polskiego wychodźcy, aż tu złymi wiatrami zagnanego. W rozpróżnioną gromadę zaczyna się wkradać dezorganizacya. Po strunach nie skrzypiec, ale tych dusz napiętych gra Bartek Muzyka, kubel czaru wylewając na opustoszałe, wyczekujące cudu głowy. Horodziej, który jak zwykle prym duchowy trzyma w gromadzie, trzeźwi rozhulanych kazaniem grzmiaćcem. Równocześnie zjeżdża do emigranckiego domu świeża partya niemiecka. O nieprzychylniej pozycji wzajemnej obu stron zadecydowało pierwsze zetknięcie. Tymczasem na obóz chłopski spada febra, wymłacając połowę gromady. Pochowkom asystują z nakrytymi głowami i fajkami w zębach Niemcy. Rozjuszone baby polskie, z czem która miała, rzucają się na heretyków, ustępując z placu bitwy dopiero przed psami strażnika. Po trzedniowym deszczu odświeżone powietrze uwalnia wykoszoną pół na pół gromadę z pod klucza kwarantanny. Na czele rusza Balcer, za nim otuchą, jak biczem, pędzona ława chłopska. Wezwani unyślnie Murzyni kłęką trzciniane chałupy, bez fundamentów, belek czy krokwi, liściem poszyte, a obrzucone błotem. Rozpoczyna się gorączkowy, rozpędem mazurskich dusz zaogniony karczunek przy wtórze nadziei, wygrywającej najfantastyczniejsze melodye. Różnicy zdań pomiędzy kolonistami pozwoli się wykluć narada nad urządzeniem przyszłej kolonii. Młodzi, reprezentowani przez Kosę, obcym wpływem kuszeni, chcą luźnego bytu z wytkniętym cheiwie interesem osobistym. Starsi, w Horodzieju mający rzeczownika, żądają w imię interesu powszechnego tradycyjnej wsi, któraby demoralizowaną z dnia na dzień gorzej kupę ludzką sprzęgła organizacyjnem ogniwem.

¹⁾ B. W., 1897, IV, str. 82—104, 293—314, 427—46.

Narady, późno w noc przeciągane, tłumii tęsknota, w jednym kierunku zwracająca dusze, przed chwilą zwaśnione, zmiękłe w ciepłe wspólne ogniska. Koniec wieczorynce położy myśl rażna o toporze, który czeka jutrzejszego świtu. Ale spala się świt za świtem — a praca nie postępuje. Wieczyste, na kamień stwardłe pnie drzewne nie puszczaają w siebie ostrza, pot tocząc z ciał, pasyę z dusz. Zięba i Zatrata, Sekura i Dudek—wydobywają resztki sił z ramion, klnąc, czy szlochając, wściekając się, czy hamując wściekłość. Osiedli na górze—mimo rzadszego zadrzewienia, cięższą mają pracę ze skalistym gruntem, którego orzący pług nie rozwali, z którego siew zedną ptak czy wiatr, zgodni w łupiestwie towarzysze. Najciężej przyduszony rozpaczą Przytuła znika, Balcerowi z mieszka cisnąwszy na pożegnanie garść miedzi, okup mszalny za duszę. Po pewnym czasie i architektura murzyńska okazuje się nietrwała. Resztką dzieci, uszła z pod sierpa moru, zaczyna chorzeć. Rośnie lament bab, rośnie i troska chłopów. Ognisko kowalskie Balcera przyciąga i zestrzela powoli te lamenty i troski. Niespodziane hasło do odwrotu, padłe z ust szewca Dudka, galwanizuje zeszywniałą gromadę. Ale do odwrotu nie zaraz przyszło. Łudzeni wieścią o blizkiej osadzie polskiej, przemyślają chłopci dniami całymi nad owem sąsiedztwem, nerwy naprężając jak struny. Na dobitek złego dowiaduje się osadnik, spragniony soch i pługa, wołu i ziarna, że sadić będzie mógł tylko kukurydzę i fasolę, gracą walcząc z ziemią nieprzystępną. Wrzaskliwe unisono bab i chłopów ucisza uwaga Zięby, próżność krzyku wykazująca. Idąc za radą przemyślnego dyplomaty, postanawiają chłopci posła wyprawić do królowej angielskiej, któryby zdał liczbę z cierpień gromady, ścianami kniei ściśniętej. Przerzywa tok obrad wiadomość o śmierci samobójczej Przytuły. Powieszono go odejmują chłopci od drzewa, w rozpaczy głuchej moszcząc mu dół. Przygnębienie wracającej do domów gromady rozprasza celny strzał Żuka, w ślepie nadybanego tygrysa wymierzony. Towarzystwo zasiada do gawędy, ze względu na świeżo obdzieraną skórę, koło myśliwstwa ją okręcając. Zagubny, mistrz do broni i łgarstwa, rzuca pomnikowy obraz kłusownictwa. Koźbial, uwikłany wspomnieniem w inne, droższe obrazy, zachwala nad wszystko wodne łowy, wobec czego wszczyna się spór, towarzystwo dzielący na dwa obozy, a zagłuszony dopiero historią strzelby Żuka. Wichura, wywołana śmiercią wisielca, tłumii rozmowy i zamyka serca kluczem strachu. Kiedy rezygnacja do reszty podmulila dusze, zjeżdżają urzędnicy pańszczyzną rozpisuć. Następuje gwałtowna eksplozja, której skutki doraźne odwrócić umiał swoim

taktem Balcer. W grzmiących siłą peryodach tłómaczy mówca posłom krzywdy, lejące na głowy ludu, oszukiwanego całymi miesiącami, wyzutego z dóbr wszelkich, zaprzedanego jak bydłę co zręczniejszemi rękami w niewolę ciała i ducha. Kończy scenę sromotny odwrót posłów, wygrzmoconych pięściami bab bez względu na nietykalność poselską i co gorsza obrabowanych z artykułów żywności i narzędzi rolniczych, jakie ze sobą przywieźli. Drzwi do powrotu otwierają się przed dobrowolnymi skazańcami same.

W pieśni trzeciej ¹⁾ stopniała gromada, zdana na własną przemyślność, obiera drogę przez bory. Po trzydniowem państwie, przygód, potu i lęku pełnem, dowleka się do popasu, wrącego niedawno życiem. Sępy, pierzchłe wobec intruzów, odkrywają doskonale oczyszczony z ciała skielec oraz krzyż z dwudziestu nacięciami i polskim, lakonicznie strasznym napisem. Z pękających od skwaru kup ziemi, które miały dać wieczny odpoczynek ciałom, wylażą wzorzyste dekoracye kości, szczątki kapot i rańtuchów. Bez pacierza, któryby na bluźnierstwo wyglądał wobec potwornej sytuacji, wnoszą chłopci kopiec nad resztkami sępiej biesiady, a na krzyżu znaczy Balcer dwudziesty pierwszy zacios. Żeby zlagodzić wrażenie, jakie padło we wszystkie serca ciężarem kamienia, Horodziej przyzywa Chrystusa na przewodnika w dalszej drodze.

Z kolei cztery dni maszerują o pustych żołądkach wskrós niezbrodzonego, tu i owdzie porytego kretowiskami murzyńskimi, stepu. Natknąwszy się na stado bawole, Zagajny daje upust życie strzeleckiej i lukiem ściąga Murzynów, pilnujących stada. W mig przychodzi do walki, na szczęście uwieńczonej obustronnem porozumieniem. Bawół, chwycony przez Murzynów na sznur, a potem na zaimprovizowanej ze trzcin kuchni przyprawiony, dostaje się za paczkę bakunu chłopom, którzy zaraz po uczcie rzucili się do snu. Z wioski murzyńskiej wynosi Zatrata na plecach małego polskiego, osieroconego przez przeciągającą temi stronami partycę wychodzącą. Tymczasem step puścicje, twardnie i piętrzy się. Skaliste flizy poczynają pielgrzymowi palić stopę ogniem. Resztki żywności wychodzą, ciała słabną. Niedawno jeszcze pełen nadziei chłop truchleje, chwytany ze wszystkich stron w matnię gór. Puste juki ciężą zagłodzonym skieletem, skórą obciążniętym, popychanym sprężyną rozpaczy naprzód. Wnet zaczyna się i śmiertelna kośba. Dał głowę sierota, dźwigany przez Zatrata,

¹⁾ B. W. 1900. IV str. 141—73, 336—54. 1901. IV str. 107—127.

przybijając chłopca do ziemi ciężarem swego wytlątego ciała. I śmierć zawiera za chłopem chytrze wrota, któremi wchodził. Zamknięty po pięciodniowej wędrówce w skalistym lochu, którego okienkiem było niebo, a kluczem słońce, popada w apatykę głuchą. Próżno Balcer głosem, wymłóconym z wiary, jak ze ziarna, radzi iść jeszcze do rana. Wrażym komentarzem do tej rady jest zmelty krwawo mózg Szczęśliwaka, spadającego równocześnie z prostopadłe wzniesionego zbrocza. Jak na komendę wali się chłopski tabor z nóg, gdzie kto stał, wśród okropnych bluźnierstw męskich i okropniejszych skarg kobiecych. Nieruchomością ległej masy przyciągnięci, zaczynają w powietrzu krążyć skrzydłaci zbóje, grożąc mieczem dzioba czy hakiem pazura. Ostatni zapas energii wydobywa z niemej, w mogiłę przemienionej gromady ludzkiej — Maryelma Dudkowa. Mężowi przekleństwo plunąwszy w omdlałe oczy, rzuca się przed siebie chłopska bohaterka z dzieckiem wzięsionem wysoko, niby z chorągwią macierzyństwa. A za nią porywają się kobiece i męskie zastępy, płomieniem jej słów krótkich owiane, wichrem łez wstrząśnięte, z głębi własnych cierpień, jak z dołów mogiłnych wstające. Po trzydniowym, pełnym heroizmu pochodzie — zwolniła okolica, uciekł nagle widnokrąg, puściły się gęsto wody. Głowy, zamroczone nagłym ciosem szczęścia, zaniosły się od tęsknoty. Skrócona perspektywa za rzeką, do której przebiegano się właśnie, postawiła chałupę, tę cudowną metę, do której czolgają się w żółwim tempie nogi i z płasią chyżością lecą serca. Ale chciała rzeka zażądała przewoźnego. Cichutko, na ramionach Balcera wsparty, kończy rachunki ze światem Horodziej. W wizji godnej Mojżesza, zwróconej miłującymi oczami ku tej ziemi, także obiecanej, ku której jego pielgrzymi kostur prowadził w pył codziennych dróg zapadłe dusze, błogostawi dalszemu pochodowi. Ciało, które wiek prawie nosiło gołębiego ducha, złożono pod kamieniem. Osierocona gromada ruszyła w dół rzeki skłębłym, drzewiastym, zwierza, ptactwa i ryb pełnym krajem. Ale zamagnetyzowane nostalgią dusze nie przepuszczają w siebie promienia piękna z zewnątrz. Uwagę pątników zwróci co najwyżej napotkana z prowiantami banda murzyńska albo niebezpieczne dla życia wojsko mrówek. Miesięczny marsz wysysa wszelki interes z mózgów poza tym jednym, który wéweczył kroki w automatyczny, zawsze przed siebie podany ruch. W każdorazowym, z pojedynczych stąpnąć złożonym wysiłku, roztopia się cel drogi. Walka z przestrzenią chłonie z niezdrową szybkością resztki energii duchowej gromady. Czad mistyczny wali do głów, kręcących się w takt halucynacyi. Niebezpieczeństwo tej subtelnej,

z widzeń oka mającej sieci pierwszy ocenił przy pomocy swego praktycznego instynktu Balcer. Jak z sieci wydobędzie towarzyszy, tego nam już nie powie poemat.

Układ „Balcera“ przypomina formą potężny tryptyk. Pieśń pierwsza „Na morzu“ i trzecia „Powrót“—to boczne skrzydła, anabazę i katabazę armii chłopskiej przedstawiające. Pieśń druga, bez tytułu, najobszerniejsza, zamyka właściwy obraz osadnictwa.

Układem wyróżnia się pierwsza pieśń dodatnio od następnych. Porządna, każdy szczegół rejestrująca dyspozycya, przed puszczeniem pióra w ruch rzucona—dowodzi sumiennego planu epickiego. Pokażna suma zdarzeń, nie schodzących z ócz, zapewnia przewagę żywiołowi przedmiotowemu. W pomyśle na wielką skalę zakrojone, w wykonaniu nie mniej świetne obrazy („burza,“ „pożar okrętu,“ „połów rekina“) rozszerzają epicką wartość pieśni. A i przewlekła dydaktyka, psująca poszczególne ustępy („opis okrętu,“ „nacye na okręcie,“ „port Santos“), źródło swe ma w panującym nastroju epickim. Znajomość życia okrętowego i morza nasycy realistyczną prawdą opisy, pod działaniem zmysłów je wydobywając. Co więcej pokład okrętu zestrzela luźne chłopskie kupy w całość, dającą się ściąć jednym rzutem oka. Otucha wreszcie gromady emigranckiej, nieskażona dotąd zawodem, trzyma w zwykłej skali życie wewnętrzne bohaterów, nie pozwalając zbyt emancypować się żywiołowi podmiotowemu. Przecież i słabe strony rzucają się odrazu w oczy. Akcyę, ściślej pojętą, paraliżuje morze, na bezczynność przymusową skazując emigrantów. Ekspozycyi, obejmującej zawiązki choćby przyszłej akcyi, brak. Ogólnej sprawy emigracyi nie zośrodkowała poetka w osobistych sprawach bohaterów. Codziennych, zręcznie zaobserwowanych drobiazgów nie nasnuła na wrzeczono ciągłości. I dlatego strofy postępują, bohaterowie zmieniają się na scenie okrętowej, a akcyi jednolitej, z tła emigracyi wyrastającej, a w każdy opiewany wypadek logicznie wprowadzanej—nie widać.

Złe pogarsza się w pieśni drugiej. Brak tytułu i dyspozycyi nad wierszami dowodzi rozerwania uwagi twórczej. Rozsypani luźnie bohaterowie, straciwszy koncentracyjny grunt okrętu z pod nóg wymykają się z pod jednorazowej, zbiorowej obserwacyi. W braku znajomości amerykańskiej przyrody rzuca poetka na ekran fabuły obrazy fikcyjne. A magiczne światło intuicyi musiało psuć pełne, w słońcu wykluwające się zwykle wrażenie, jakie powinien zostawiać epik. Że zaś czcym, mimo fantastycznej przyprawy, obrazom amerykańskim przeciwstawia poetka co krok swojskie, pełne realistycznej teźyzny—stąd powstaje pewna wadli-

wość psychologiczna: obraz, bezpośrednio zmysłami dotykany, uderza konwencyonalnem kłamstwem — obraz zaś telepatycznie odczuwany, przybliżony fibrami tęsknoty, uderza przebogatą, wszechstronną prawdą. Zawód po zawodzie wreszcie, padając w dusze bohaterów, rwie akcyę na strzępy i wyzwala tajony w głębi wiersza element podmiotowy, jakościowo i ilościowo wzrosły do niebezpiecznych rozmiarów. Niedawną hipertrofię epizmu, zawikłanego w suche stronnice dydaktyki, równoważy poetka hipertrofią liryzmu, coraz więcej wybuchowych strof rzucając z pod pióra. Brak akcyi, dotąd zrozumiały na tle morskiej podróży, teraz uderza tembardziej. Wkrada się fragmentaryzm, bez logicznych ogniwi składający ustępy, kropkami zastępujący te ogniwa.

Gorzej jeszcze dzieje się w pieśni trzeciej. Wysuszywszy duszę w mecie codziennej, w mistyczną gnuśność zagrzęzły, chłop wyzwał się z potencji do reszty. „Działać“ on już — w rozumieniu epickim — nie będzie. Nie pomoże ciągła zmiana miejsc, wśród których kroczy emigrancki tabor. Zamknięty w sobie na siedem spustów, chłop okiem nie rzuci na otaczający go świat. Więc i wyobraźnia nowych obrazów nie rozwiesza przed czytelnikiem. Poetka parafrazować będzie ze zmianami w stylizacyi dawne. Na domiar złego pauzy chronologiczne między pojedynczymi ustępami, wydłużane stopniowo, kropkami coraz gęściej znaczone, czynią z pieśni pamiętnik, pełen notat, w różnych czasach powstałych i wskutek tego wewnątrz nie spojonych należycie.

Lepiej powiodło się poetce z galeryą kreacyj ludzkich. Postawiony na pierwszym planie Balcer przedstawia obok słabej domieszki charakterystycznej typ chłopski, szeroko pojęty. Wąs nąkręcony i naciągnięta na ucho magierka, fajka, tkwiąca w zębach i spotężniałe od młota ręce, za pas wetknięte, nogi wreszcie, obute wysoko, a szeroko rozstawione w kroku — oto podobizna bohatera zewnętrzna, twardo wyrzezana w kartach poematu. Uzupełniają ją rysy głębsze, które czytelnik z akcyi samej wydobędzie.

Zdrowie, hartowane codzien u kowadła, pozwala Balcerowi znieść bizuny płułniczego głodu, czy dziesiątkującej febry, syzyfowego karczunku, czy beznadziejnej włóczęgi. I u wychowanka kuźni, namiętności, prasą konwenansu nie spłaszczono, wybuchają w bitkach, gęsto staczanych, i płonących oracyach, w gwałtownej gestykulacyi i eksplozywnym stylu. Hamuje namiętności pierwszy, ledwie sformowany popęd kulturalny, zupełnie zrozumiały u bywalca, który w swoich wspomnieniach zawadza ustawicznie o Żuków i Częstochowę, Warszawę i Kraków. Popęd ten od kultu okrągłych form w życiu codziennem prowadzi do walki z barbarzyń-

skiem formami w życiu gromadzkim, od wyostzonego poczucia godności osobistej do solidarnych ustępstw na rzecz większości, od wycieczek przeciw owczej, laską warcholstwa kierowanej dezorganizacji do apoteozy konserwatywnego porządku. Pod łagodzącym wpływem kultury zaczyna się utleniać w psychice Balcera uczuciowość, zgodna z fizycznym podkładem: więc na ogół szorstka, momentalnie molowa aż do tkliwości, z ziemią związana równie silnie, jak z człowiekiem. Uczuciowość ta o materialnym punkcie wytycznym, chyba bardzo silnie targnięta z zewnątrz, przekracza skalę średnią, dającą się wywieść z elementarnych pierwiastków typu. W tej skali zresztą utrzymuje ją rozsądek, wyrabiany z dnia na dzień, bez krytyki sumujący swe zdobycze, lekturę Biblii i sennika ugruntowany. Dziwić się nierównej wartości zbiorów, jakie zawiera kowalska filozofia Balcera, trudno. Obok komicznych, brakiem książkowego wyszkolenia tłómaczonych chyba, znajdzie się w niej cenne, pełne głębi życiowej maksymy, pod polepą wiejską poważnego obserwatora zdradzające. Jedne i drugie wiąże umysł o trzeźwej konstrukcyi, operujący samodzielnie, w działaniach swoich świeży, w konkluzjach szybki. Dachem, który nakrywa psychiczną budowę Balcera, jest katolicyzm markowany przy każdej sposobności zamaszystym znakiem krzyża, głośnie wzywaniem imienia Maryi czy Chrystusa, tęsknotą wreszcie za księżą ofiarą, czy brackim pogrzebem. Na grubą nić wiary nawleka Balcer różniane katechizmowych prawd i fantastycznych zabobonów, zdrowych praktyk i mętnych widzeń, poddańczych pacierzy i gromkich bluźnierstw. I wiara jego, jaskrawa, ale niemniej szczerze skoncypowana, mimo tonu odpustowej egzaltacyi, bije potęgą wewnętrzną, która udziela się całej postaci człowieka.

A postać tak pojęta musiała zewrzeć pełnię swoich atrybutów w figurowy obwód typu. Tego ludowego typu, w którym zdrowie tryska namiętnościami, uczy rozsądku, zakwita uczuciami, przędzie kulturę, objawia wiarę.

Do odegrania pierwszorzędną w poemacie roli dopomógł Balcerowi proporcjonalny zestroj wladz duszy i ciała. Zaszkozić mu zaś nie mogła redakcyja tych apostrof, w które wikła go często, za często poetka. Bo żelaznej psychy kowala, nie trzymają się i tak deklamacyjne opilki, jakie do niej doczepiono. Świetny, dzięki swojej absolutnej przeciętności, dźwiga przedstawicielstwo typu wysoko, z każdą strofą rosnąc do rozmiarów odpowiedzialnych, jakie w eposie przypadają zwykle w udziale bohaterowi.

Bohaterem co prawda jest Balcer o tyle chyba, że dzieje kampanii wychodźczej opowiada i sam wśród ciężkich terminów

brazylijskich najczęściej przewija się przed naszymi oczami. Sprawa emigracyi za szerokim kołem obejmuje ludzi, którzy wśród niej występują, nie zgniata ich, nie uderza jednym o drugiego, elektryczności osobistej nie wywiązuje. Stąd luźna rola każdego z nich: idealny stosunek do sprawy wychodźczej, a brak bezpośredniej, konkretnie toczonej się akcji, choćby o drobiazgi zaplątanej, ale zeszczipionej zawsze w postaci naczelnej bohatera. Sieć sytuacyjna spleta Balcera wprawdzie z resztą kompanii chłopskiej, ale nie tak, żeby do jego osoby bieżyły nici wszystkich zdarzeń, lub żeby jakakolwiek jego czynność zadzierzgnęła węzły intrygi, dotyczącej wszystkich. I dlatego Balcer w poemacie, od niego nazwanym, nie zajmuje stanowiska klasycznego bohatera, stanowiska, wypośrodkowanego planem fabuły, kondygnacyami epizodów, dźwiganego ciągle.

Po za Balcerem stoją niemniej wypukłe postacie drugoplanowe, w których zwarte światło typu rozszczepiło się na ostre promienie indywidualności. Galerya zindywidualizowanych figur, krótszemi pociągnięciami pióra kreślonych, stanowi naturalne przejście od osoby bohatera do masy, której walne właściwości ma uosabiać.

Przedstawicielem mistyki chłopskiej, tej, która łądzi życie według wyższego trybu, jest Horodziej. Pół ślepy z wielkiej starości, o mlecznym, polatującym włosie, o brwiach sokolich a głosie słabym, pochylony, w siermiedze płóciennej, bosi, drepcze z rękami wyciągniętymi przed siebie drobnym, lecz szparkim krokiem, o berlicę oparty. Mistrz rzeczy niebieskich z niesianych pół życia, bardzo długiego życia, zebrał podniosłe plony wiedzy. Wieczność zrozumiał, zatapiając się niegdyś w Wągrowie w majestat boży, na tle żywiołów wymalowany pędzlem. Stąd też przydziela każdemu żywiołowi osobnego patrona, zgodnie z wyobrażeniami ludowemi, ziemi Chrystusa, wodzie Jana, ogniewi Michała, powietrzu Eliasza. Przez święte życie zaostrzając w sobie wzrok zaskórny—widzi przed burzą morską sieci Piotra-Rybaka, zapuszczane na dno po potopione trupki chłopskie, a o zachodzie słońca odgaduje unoszącą się krwawo nad wodami głowę Jana Chrzciciela. Przeświadczony, że Bóg posyła człowieka w wir życia i zwoluje go kiedy trzeba ze stanowiska, przywiązuje Horodziej osobliwą wagę do aktu urodzin i śmierci. Chrząc sam w bruku księdza chłopskie niemowlę lub grzebiąc trupa Przytuły, wlewa w sztywną formułę kościelną potężne, z własnej wytłalej piersi zaczerpnięte technienie mistycyzmu. Więc w pierwszym razie wzbity ponad poziom duchowy gromady od nazwy okrętu „Krzyż“—

„Krzyż-tofem“ zowie dziecię. W drugim razie przecina bronią, ostrzejszą od wywodów katechizmu, wątpliwości zabobonnej zgrai, w której oczach samobójca traci prawo do pochowku. Wiarą skuteczniejszą, niż berlicą podpierany, utrzymuje Horodziej, że Bóg wywiódł czerń emigrancką z borów, więc i powiedzie ją przez stępy. W każdym fackie dokonanym szukając bożej sprężyny, nie radzi odbierać Murzynom polskiego sieroty. Dokola martwej przyrody doczuwając się kopców bożych, rzuca u progu puszczy chrześcijańskie pozdrowienie. W zabójstwie widząc naruszenie władzy bożej, wróży zabójcy, że go pies do chaty własnej matki nie puści. Emocya religijna, przed samą śmiercią do ostatecznej ekspansyi doprowadziwszy nerwy, rzuca mu w uszy dźwięk dzwonów częstochowskich, rezurekcyę odzwaniających — więc ekstrakt najświętszego miejsca i chwili najświętszej.

Ale mistyka Horodzieja nie spała sił ducha bezużytecznie. Byстрыm wzrokiem ogarniając położenie gromady, wziętej w krzyżowy ogień własnych grzechów i z zewnątrz padających ciosów — jak umie, radzi swoim. Deprawowaną karciarstwem na okręcie, hulanką w początkach drogi lądowej, strachem w czasie zarazy — gromadę, podnosi grzmiącym słowem, jako antidotum wskazując zawsze, głęboki znawca natury ludzkiej, pracę w jakiejkolwiek formie.

Skarbnik tradycyi wiejskiej, w polskości klucz mającej, walczy z przejętym od kolonisty niemieckiego prądem, przeciw odwiecznej organizacyi gminnej wymierzonym. Poczucie zdrowej solidarności dzielnicowej tętni w jego słowach, kiedy domaga się mogiły dla swojaka-wisielca. A koło solidarności rozszerza się po za obręb dzielnicy, gdy idzie o dobro całej polskiej gromady. Żegnając chłopów w swojej przedśmiertnej, jak ewangelia prostej oracyi, przekazuje im w błogosławieństwa pełnym testamencie, drogę do chat ojczystych.

Ta obosieczna działalność, duszę i ciało mająca na względzie, zdobywa Horodziejowi mir w gromadzie. Jego cichemu głosowi „światło zamiast szpiku w kościach“ rozlane daje „huczący dźwięk trąby.“ Wprawdzie gromada burzy się przeciw niemu często — Opacz drwi sobie w duszy z jego morałów, Czop z zazdrości nie chce go wybrać posłem do królowej, Kos opiera się jego dążeniu do stworzenia gminy, a w podrażnieniu cała młodzież odsyła go pod kościół. Przecież Przytułę ratuje od zabójstwa i ocala mu mienie przegrane. Kosa karci raz za jego separatyzm, raz za nieprzychylnie stanowisko wobec samobójców, zawsze z ogólnym aplauzem. Pokornie broni się przed jego oskarżeniem Ostańczuk, na

posta proponuje go Zagajny, ze czeią wspomina Balcer, mądrość jego uwielbia Zatrata. Kobiety do łez wzrusza swojemi przemówieniami. Całą gromadę nareszcie w złych terminach „unie skrzepić.“

Od szlachetnego, idealnie portretowanego Horodzieja, jaskrawo będzie odbijał Opacz, najgorsze instynkty chłopa w sobie skupiający a z wydatnym realizmem profilowany. W jego dużej głowie, o krętych włosach, snują się równie kręte myśli. Szynel wojskowy, na kamizelę przez ramiona przerzucony, wskazuje dawnego żołnierza. Ręce przylepione stale do boków, mówią o bywalstwie dużem, które powłokę skromności zdziera z człowieka. Cygaro wreszcie, z ust nie wychodzące, i ślina, co chwila na boki pogardliwie wyrzucana, to oznaki obcego, każącego swojską kulturę, wpływu.

Chłopami pogardza Opacz, nie kryjąc tego, w oczy rzucając im ich głupotę. Zyskiem powodowany, wiąże się przeciw ich kiepszeniom z obcym tykiem, ze względów solidarności swojackiej nie wiele sobie robiąc. Próźniak—jak ognia unika wszelkiej ucziwej roboty, ale kiedy nadarzy się sposobność, splucze do nitki wciągniętych w potrzask towarzyszy, nad którymi ma przewagę umysłową. Krzykacz jarmarczny—imponuje łatwowiernym słuchaczom błyskotliwą anegdotą, łatwowierniejszym słuchaczkom klanliwym nonsensem. Niedownurek, niezdolny siwego włosa uszanować, drwi po cichu z nauk Horodzieja. Tchórz, większości powolny, nie wyraża kpín głośno, gdy po stronie Horodzieja widzi sympatyę masy. Wirtuoz w kolejnem ograbianiu towarzyszy z maestryą zażywa najgrubszych strun duszy chłopskiej, formą pożyczki osłaniając zawsze grabież. Zarłok i pijak—w czasie zarazy narzuca się sam kuchni emigranckiej na opiekuna i z tej opieki ciągnie nieuczciwe zyski. Samolubny filut, wysuszony własnem użyciem, z każdej przeprawy zdolny wyjść obronną ręką, raz drwi z Bugaja i Zatraty, wpakowanych za rebelię do kozy, to znów radzi w rozpacz popadłym chłopom wieszać się gromadnie.

Dokładnością rysunku zalecają się z kolei postacie Rocha Zatraty i Łucia Ostańczuka.

Pierwszy, rzutki impetyk, wnosi swój nieokielznany temperament w każdą ruchliwą wymagującą sytuację. On to na okęcie wszczyną rebelię i on w puszczy podburza gromadę przeciw komisyi, przybyłej z wymiarem pańszczyzny. Kameleonowa jego natura łatwo daje dostęp optymizmowi (popuszcza popregi wśród świetnych projektów na przyszłość), ale równie łatwo zachodzi śniedzią zwątpienia (wyzywa śmierć w labiryncie górskim). Pierw-

sze wrażenie gra w jego układzie wewnętrznym rolę guzika elektrycznego. W radości pada Ziębie na szyję i każe się bić za grzeszną myśl o samobójstwie — w rozpacz rzuca się jak oszalały w bory, skąd dochodzi wiadomość o krakowskiej osadzie. A z krewką inicjatywą łączy się w jego postępowaniu brak wytrwałości. Dziś przerywa rozmiękczającą ciało i duszę wieczorynkę, pomny na ranną pracę, jutro rzuci tę samą pracę, klątwami nie mogąc przyspieszyć jej chyżości.

Naprzeciw Zatrąty ustawiła poetka nie gorzej wykonanego Łucia Ostańczuka, uosobienie flegmy chłopskiej. Mruk, z fajką nie rozstający się nigdy, lakonizm swój doprowadza najdalej w czasie zarazy w scenie z Balcerem, który go bierze za nieboszczyka. Pokorniś, który nie skrzyżował z nikim swoich interesów, przyciśnięty febrą zabawnie tłumaczy swoją niewinność Horodziejowi, chłopom wytykającemu upadek na duchu. Samotnik, ze zwierzęciem zdolny prędzej pokumać się, niż z człowiekiem, kleci swoją sadybę zdalą od gromady, na komorne sobie biorąc oswojonego żółwia. Rozkochany w swojej poleskiej przeszłości, urządza tę kurną sadybę według odległego modelu, nowe zajęcia wysnuwając z dawnego trybu życia, smotę pędząc w bajdaku, łapcie płotąc, łowiąc ryby.

I dalej ciągną się w perspektywicznym pomniejszeniu egzemplarze ludzkie, w pary zbierane, odskakujące od siebie kontrastem jaskrawych dusz.

Więc Sekura, siłacz wioskowy, wytrwałem ciałem pora się zwycięsko z febrą, wytrwałą duszą odpiera równie zwycięsko rozpacz. A obok niego kruchy, do reszty rozbity tęsknotą Przytuła — na okręcie zgrywa się do szeląga w karty, w puszczy, porzuciwszy karczunek, na drzewie, któremu nie mógł podoleć, wieszka nieszczęśliwe ciało.

Podobnie stary i powolny filozof — Maciek, na stałej linii czekanania rozprawiający, odbija od młodego, rzeźkiego muzykanta — Bartka, który swoim cudownym smykiem w ruch puszcza omdlałe nogi i serca.

Podobnie wreszcie pogodny Koźbiał, obrońca mazurskich piachów, uzupełnia się ze smętnym Hnatem, piewą ukraińskiego stepu.

I znowu idą grupy parzyste, według coraz innych podobieństw łączone.

Lasem przeszły Żuk, dziedzic kurpiowskiego, sznurkami związanego samopalu, łączy głos z Zagajnym, rutynowanym kłusownikiem, którego palec zrósł się z cynglem, a język ze łgarstwem.

Miękki z natury Dudek, rozpaczą czy energią zapalający się zależnie od tego, czy rozpacz lub energię widzi w oczach żony, ma towarzysza także w moralnie słabszym od żony Szcześciaku, którego strąca wdowieństwo w otchłań wiecznej żałoby.

Typ na koniec chłopsko-szlacheckich mięszańców, w piniactwie topiących resztki sił, rozdziwił się pod piórem poetki na postacie Zdżary, napuszonego śmiesznie, dalekiego od stosunków z resztą gromady i Magiera, który tej reszcie błyska co chwila w oczy swoim zaściankowym klejnotem.

Zamykają galeryę luzem rzucone, jedną, dwu liniami określone indywidua, charakterystyczne same dla siebie. Prym między niemi trzyma były braciszek klasztorny Czop, który dzięki swojemu liberalnemu nastrojowi wyrasta na wodza każdej opozycji, kwiecistą elokwencyą podbijając gromadę. Niemniej pociąga do połowy skamieniały Proskurał, wyprostowany po sapersku, ze śpiewką biwakową na ustach i widmem wielkiego cesarza w oczach. Prawdą uderza Kos, ciasny katolik, dewocyjnie zgorszony samobójstwem kamrata, rzecznik luźnej kolonizacji, którego dusza nie sięga za sąsiedzką miedzę, w sądach zależny od drugich, te sądy zwijający w kółko komunału. Utkwią czytelnikowi w pamięci, mimo swoich epizodycznych ról, zarówno nieprzyjaciel dworu Lis, dziedzicznym pociąganiem do pańskiej własności obciążony, jak i naiwny światowiec Łuka, apelujący do katolickich uczuć królowej angielskiej. Od czasu do czasu zwraca ku sobie interes Bugaj, rebeliant okrętowy, pełen uznania dla szlacheckiej wyższości Magiera, ziemię amerykańską uroczyście przeklinający. Równie zajmuje Bandys, chłop dbały o decorum, skoro pierwszy rzuca plan przedstawicielstwa wobec królowej i wpływowy, skoro za jego namową obiera gromada drogę przez lasy. Pominąć w tej galeryi nie można dyplomaty Zięby, w najdramatyczniejszej chwili refleksyą przecinającego chłopskie lamentsy. Ani humorysty Świerszcza, który podrwiwa z Mazurów z szowinizmem powiatowym. Uwagę wzięci nawet najbledszy ze wszystkich, bo czysto dekoracyjnie pojęty Stach, konwencyonalny parobek, o honor swojej dziewczki łamiący żebra majtkowi, witający lud czapką w górę podrzuconą i przewesołą pieśnią.

Z niedorostków wprowadza poetka w akcyę podstępnie zabitego Kowalczuka Jaśka i znalezionej między Murzynami sierotę Jantosia, którego później śmierć zdjęta z pleców Zatruty.

Zaokrągłają personel męzki w poemacie Sołoda i Łąg, Sroka i Wójcik, Sowa i Tutar, Karbowiak i Harmata, figuranci, hojnie znaczeni nazwiskami, po homerycku mający przenosić sło-

wo, gest, czyn głównego bohatera na fikcyjnie, zręcznie wydmuchiwane z wyobraźni masy.

Galerya kobieca mieści zaledwie trzy postacie, zakrojone szerzej, choć co prawda nie rozwinięte w akcji odpowiednio.

Zbyt rzadko wyprowadza poetka z epizodycznego kąta starszuskę z nad Buga, żeńskie pendent do patriarchy Horodzieja, przedstawicielkę duchowych interesów gromady, patronkę ginących na febrę, śpiewaczkę ponurą losów ludu, na obce wody i ziemię rzuconego.

W jednej przydługiej sytuacji wymalowana Hanka Szcześniakowa wnosi do poematu nerwy napinającą tragedję uczuć macierzyńskich. Wyjątkowe położenie z równie wyjątkowym wyjściem nie pozwoliły poetce utrzymać tej figury w tonie spokojnym. Słodka rodzicielka zbyt silnie wygięła ramę eposu, żeby przez to ucierpieć nie miał psychologiczny krój jej samej.

Energiczny rysunek natomiast podniósł Marychnę Dudkową do ideału żony-matki, w chwili ostatecznego rozbitcia wodze duchowe gromady oddając jej w ręce. Więc z opuszczonym zagonem skuta tęsknotą, duszą pod wpływem wiary w pęk aktów strzelistych rozszczępioną świeci chłopskiej karawanie w ciemnościach dróg, ku chacie wiodących.

Obok mężatek występują dwie, zlekka zaznaczone, sylwety dziewczęce: prześladowana Stachem, a niebezpieczna dla ócz męskich Zośka — i swatana Balcerowi Jelenka, pod ostrzem zarazy padająca.

Zamykają listę parzona w język każdą nowiną Bartkowa i do łez wzruszająca się wspomnieniem sprzedanej krowy Bugajowa.

Po za temi wszystkimi dopiero postaciami stoi w głębi obrazu tłum, gigant rolny, w ciągu dziedzicznej walki z łanem wykuwający swoje muskuły, zmysłami zaczepiony o fenomeny przyrody, nie zapędzony biczem cywilizacji do ciasnych uczelni. Punktem wyjścia dla poetki, malującej ten tłum, musiał być jego temperament, mało złożony w objawach, nieświadomie rojący energię, wylepiony krwią, pod której naciskiem prężą się żyły i kipią dusze.

Temperament ten najgwałtowniej ujawniają epizody, bracie chłopską wiodące do konfliktu z obcymi: więc w pierwszej pieśni krwawe stanowisko wobec załogi okrętowej, w drugiej odprawa posłów komisarskich, w trzeciej chwacka bitwa z Murzynami. Niemniej przecież znamienne są epizody, gromadę między sobą ukazujące: więc w pierwszej pieśni wybór posła, w drugiej narada nad urządzeniem kolonii, w trzeciej śmiertelny popas górski.

Jedne i drugie wykazują w składzie psychofizycznym tłumu przewagę cech niższorzędnych. Stąd życie tego tłumu, nieświadomie skotłowane wewnątrz, wystrzela co moment czynnością zewnętrzną, wydaje plastycznie tajemnice uczuć, krzyżuje bezzasadnie opinie, podrażnia pięści, w ruch wprawia języki, ogłusza logikę wrzaskiem radosnym, czy rozpaczliwym lamentem, w jaskrawy taniec splata pogubione indywidua.

Za cechę, skupiającą tych wielosiecznych, trudnych do pochwylenia objawów, z których każdy pod działaniem obserwacji rozsypuje się na tysiące drobin — uważać należy wrażliwość powierzchniową. W słomianej naturze chłopca nie trwa długo. Każdy jej ogień ma znaczenie okolicznościowe.

Podniecona kłótnią do furii, gromada wybucha śmiechem, kiedy jej kto rzuci w ucho zręczną dykteryjkę. Z tanecznych, muzyką wyginanych hulaszczko podrygów, przechodzi do pozycji bojowej wobec nagłego niebezpieczeństwa.

Określić taką naturę stałym, skupiającym w sobie duszę raz na zawsze epitetem — niepodobna.

Dźwiżący granitem wał górski każe zuchwałym przed chwilą wędrowcom wołać śmierci. Zielenią rozśmiana dolina wydobędzie z omdlałych dopiero co piersi okrzyki na cześć życia.

Tak bezwzględnie czarny pesymista przerabia się w momencie w niebezpiecznie różowego optymistę.

Nawet pracy fizycznej tych potężnych, newrozą nietkniętych organizmów, brak maszynowej, w regulamin przeszłej jednolitości. Zapalem targności, z pianą na ustach i krwią na rękach ryją siekierami krużganki w wiecznym mroku puszczy. Obezwładnieni apatią rzucają siekiery, nie oglądając się na dzieło zwistych martwo rąk.

Działań własnej jaźni nie wywiódł ten tłum dotąd z domu niewoli i z pośród funkcyi świata otaczającego. Całe swoje bogactwo unysłowe z mennicy tradycyi czerpiąc, nie pozwala na podrabianie wytartej w wiekowym obiegu monety. Więc przesąd, o autorytet ambony oparty, po swojemu komentuje porządek świata, a ostro skarcony nowator chowa głowę ze wstydem pod kaptur. Muzealny poziom wyobrażeń tem znamiennej prezentuje tłum, wtłoczony w obce sobie sytuacje, łupiony przez przygodnych frantów, hałaśliwemi maksymami kryjący własną ignorancję. Dopiero przyciśnięty grozą położenia, chłop zaczyna koło siebie szukać instynktownie jednorazowego trybuna, którego racye wciela we własną głowę, perory chóralnie aprobuje. Wpływ tych racyj i pe-

ror wietrzeje, co prawda, rychło z głów, zawsze niespodzianymi bodźcami poruszanych.

Od ciemnoty głów odbija tem sympatyczniej jasność serc. Przedewszystkiem rozpałała je wiara, która w jakieś Chrystusowe bractwo zamienia tę gromadę, spokojną pod klingą śmierci, pod pletnią życia dumną. Wiara spadła na chłopą po ojcach razem z chałupą. Tylko chałupy pozbył się po krótkim targu, wiary nie mógł się pozbyć na moment w ciągu swojej długiej odysei. Jej kantyczkowy dźwięk bije z tłunu emigranckiego zawsze i wszędzie. Czy człowiek kornemi planami żłobi ziemię, czy targa na sobie buntowniczo węzły życia. Pod jej działaniem tracą z siebie śnieź barbarzyństwa popędy i niebieścieją grubo skonstruowane dusze. Stąd bierze się u tłumu chłopskiego świeże na ogół poczucie moralne, na niejednym punkcie, co prawda, zwąpiałe wobec równoczesnego niedoboru umysłowego. Stąd bierze się nadto pociąg do mistyki, dymem ze swego trybularza wabiącej głowy.

Drugiem, równie silnie, jak wiara, unoszącem chłopą skrzydłem, jest narodowość. Poczucie jej załączkami swoimi tkwi w nostalgii, która z jednej strony drażni rozkosznie wspomnieniem pola i krowy, jarmarku i mszy, arędującego Żyda i piszczałki nocnej, z drugiej kłuje boleśnie produkcją rzeczywistości, więc kłecią murzyńską, czy noclegiem okrętowym, gestykulacją Włocha, czy systematycznością Niemca, polowaniem stepowem czy florą puszczańską. I to poczucie narodowości pod naciskiem warunków zewnętrznych rośnie z pieśni na pieśń od najgrubszej formy, materialnym obrazem działającej na zmysły, aż do mistycznego znaku, który z nieobliczalną siłą pędzi skierowane do wnętrza dusze.

Więc pierwsza pieśń formuje we wywłaszczonym własnowolnie chłopie zaledwie niski, przyziemny żal za chałupą i polem, żal naraz w sto instynktów godzący, a głuszony magią krotochwilnych agentów. Druga pieśń dźwiga już chłopą, wziętego na brazylijskie tortury, a uświadomionego w ogniu obcych wpływów — do mężkiej, żaru pełnej apoteozy dawnych form bytu. Pieśń trzecia wreszcie w odartego z rachub ziemskich i roztopionego w solidarności masowej tułacza, wpędza miłosną halucynację kraju, pozbawioną równoważnika słów, halucynację, która kości zeflałe i serca domierające każe nieść na ojczysty cmentarz.

Żeby charakterystykę tłumu chłopskiego, wyprowadzonego w Balcarze, uwypuklić, obszywa Konopnicka scenę za sceną gęsto rysami egzotycznymi. Cel wprowadzenia tych rysów do poematu, łatwo odgadnąć. Kontrast w charakterystyce, zwłaszcza

użyty bezwzględnie, działa zawsze w odniesieniu do zalet czy przywar ludzkich, jak dźwignia. Jakoż Konopnicka nie bez świadomego planu przeciwstawia postaciom swojskim cudzoziemskie sylwety, rozmyślnie unikając łagodnych przejść. Szczegółowy przegląd wykaże, że w tych przeciwstawieniach idzie jedynie o zyskanie czułego repoussoiru. Więc zdrowa pierwotność natur chłopskich wystąpi tem silniej na tle zachodnią demoralizacją zaszętego poloru Francuzów. Tkliwe przywiązanie do ziemi na tle trzeźwości Niemców, ojczyznę wożących na wózkach. Zamaszysta powaga na tle południowej ruchliwości Włochów. I wreszcie osiadły, wyższymi pierwiastkami kultury naszły tryb życia na tle półzwierzęcej wegetacyi Murzynów. To samo psychologiczne wyrachowanie sprawiło, że zgiekliwy nieład chłopski graniczy ze sprężystą dyscypliną majtków. A dalej buta i jednosieczna prawdomówność z tchórzostwem i nieszczerem postępowaniem komisyi. Dobroduszną ciemnotą z wszędobylstwem chytrych oszustów. I jeszcze chwiejne, przyływom wzruszenia uległe tempo serca z popędem do zysku faktorów żydowskich.

Po za człowiekiem stoi w poemacie zgodnie z prawami nowożytnej, na gruzach lessyngowskich wyrostej epiki — przyroda. Stosunek człowieka do przyrody rozłamuje się w Balcerze charakterystycznie. Konfiguracye swojskich obrazów, omotane koło serca, white w pamięć, przeświecone tęsknotą nie opuszczają bohaterów nigdy. Przeciwnie obrazy obce odstające od nałogu, wrytego w człowieka, ostrzeliwane nieprzychylną salwą wspomnień, w pryzmacie ciągłych niepowodzeń załamane — nie mogły się zlać sympatycznie z wrażliwością bohaterów, nostalgia pochłoniętych.

Stąd pierwsze, w które człowiek tchnął żar swoich pragnień, drgnęły organiczną werwą, biejący sens życia zamknęły w sobie, ze znaków rzeczy stały się samemi rzeczami.

Drugie, wydęte sztuczną spiracyą, pozostały na ogół, mimo dobrych chęci poetki, parmasyjskim składem barw, dźwięków, kształtów, w egzotycznym nieładzie rozrzuconych, w przepyszne, wachlarzowato rozwarte tropy ujętych.

Zapominać nie należy, że monumentalne obrazy swojszczyzny natężala Konopnicka wśród własnej włóczegi własną tęsknotą. Z emigrantem-chłopem zesza się emigrantka-poetka. Stąd energia wybuchowa, z obrazu na obraz przenoszona, kondensuje w punkcie całą przestrzeń uczucia, z naturalistycznej brzydoty wyzwala piękno idealnie czyste, nad stronnice konwencyonalnej egzotyki wzlata gromkim, jak dźwięk cepa parowierzem.

A tak mi w oczach stanęły, jak wczora,
 Kuźnia, kowadło, ognisko, obcegi...
 Słucham — z łuk leci gęganie gąsiora,
 Patrzę — chłop szkapie przyciąga popręgi,
 Jasiek w miech dyma, lśnią w słońcu utnale,
 A ja w podkowie, co siły mam wałę!*)

Co prawda bieg akcji i tak swymi pysznymi parowierszami za często rwanej, nie pozwolił Konopnickiej na sformowanie kompletnych, regularnie zbudowanych obrazów, któreby systematycznie wyczerpywały piękno polskiej ziemi. Przecież rozdrobnione ułamkowym rysunkiem a rozrzucone w takich odległościach, że zlepić je trudno w jednolite, sumaryczne wrażenie, działają te pół-obrazy i ówieróobrazy z niepospolitą siłą. Raz używa ich poetka, jako barwnego komentarza do tem silniejszego uwydatnienia obrazów egzotycznych. Wplątane podówczas w dłuższe ustępy w roli informacyjnych pouczeń, przekraczają najczęściej rozmiary środka pomocniczego i zamiast uwagę zwrócić na obraz, o który idzie, trzymają ją dzięki ekspresyi, z wewnątrz bijącej — na sobie.

Jak kiedy hutnik w rów szlakę wypuści,
 A wody ze dna podniosą się z sykiem
 Tak wnet przyrosło tych morskich czeluści.
 Już pokład liż spienionym językiem,
 Już jedna fala przez łeb drugiej szuści,
 Jak owce z wiosny, gdy lecą za trykiem
 Przez wązki wierzej, a wszystkie cheą razem
 A owczarz licząc nawraca je płazem *).

Inny przykład:

Lecz we mnie, gdym tak patrzył na te dziwy,
 Serce się nagle rzuciło jak młotem...
 O ubożuchne podlaskie wy niwy,
 Toż wy zbożami toż tkane, jak złotem!
 Toż tam lny nasze, jak szafir ten żywy...
 Toć gryki srebrnym światem grodzą nam płotem.
 Toć Pan Bóg u nas ma swoje śpiechlerze,
 Gdzie chleb. A tutaj szaty tylko bierze *).

Sztynnej kompozycyi epickiej szkodzą wtedy obrazy swoje niechybnie, wychodząc z ram dodatkowej wzmianki. Tem

*) B. W. 1892. III str. 475.

*) B. W. 1892. III str. 503.

*) B. W. 1897. IV str. 297.

więcej, że po każdym z nich trzeba rozluźniony wątek opowiadania naprężyć raz wraz nowym, wpadającym w oczy zwrotem.

Rzadziej wprowadza poetka obrazy polskiej ziemi wprost, jako cel ciężkich, niedonoszących słów, bądź też lotnych, subtelniejszych myśli. Nerwowy tok tych słów czy myśli ucina obrazy zwykle niespodzianie, podobnie jak je i niespodzianie wszczynał. Nasycone rzutkiem realizmem zwroty nie przestają co prawda pełnić swojej funkcji, rugując z wiersza malowniczy frazes, produkt taniej równowagi. Przecież rozsadzany z wewnątrz wzruszeniem obraz traci swoje soczyste, humorem często nabrzmiałe formy. Żyłaste węzły stylistyczne wolnieją, rozstępują się twarde okresy, psute określenie traci walor, cichnie jarmarczyny brzęk zdań. Obraz nabiera lirycznego połysku od epitetów lżejszych, na promień mistyki nanizanych.

Lecz chociaż człowiek tak stwardniał na duszy,
Jak zeschnięty rzemień, to przez mi się śniły
Po nocach, wskróż tej wielkiej borów głuszy
Te nasze ciche zielone mogiły...
Te brzozy białe, co gdy wiatr je ruszy,
Z szeptem liść trzęsą i wierzch gną pochyły,
Tak sypiące rosą, jak łzami szecerami,
Na kości, co tam w święconej śpią ziemi *)

I jeszcze inny wyjątek:

Mileją. Zbyt pełno i w sercu i w duszy,
Żeby wymówić słowem... Ten zagrodę
Ojcowską widzi... Ten szum słyszy gruszy
Na starej miedzy... Inszemu, po wodę
Żóraw u studni skrzypi... Ów pastuszy
Flecik załawia uchem. Jakieś młode
Wonie i rosy powiały skróż spieki,
Jakie powionął wiatr świeży, daleki *)

Inaczej przedstawiają się krajobrazy amerykańskie, ilościowo przeważające w poemacie. Zmuszona konsekwentnie tropić swojego bohatera, nie robiła przecież poetka zdjęć topograficznych, jakich wymagały warunki scenery. Więc też i kopiowana z fantazyi cudzoziemszczyzna krępuje ruchy pędzla w obrazie, rozcieńcza epitety, zamazuje typowe cechy, detonuje dykcję, broni jed-

*) B. W. 1897. IV str. 97.

*) B. W. 1897. IV str. 305.

nem słowem przed swobodnem użyciem plastyki, a puszcza w obieg pracowite koło szablonu, wpycha styl przemocą w sferę wyblakłych gobelinowo ogólników. Powstałe w takich warunkach krajobrazy—rzecz prosta—będą stać niżej od swojskich. Rozmiarami szersze, obejmują zazwyczaj pewne całości zjawisk, około naczelnej myśli owiniętych, co zresztą wykaże szczegółowy rozbiór.

Ubogie chromatycznie, bo tylko jedną plamą barwną zaopatrzone malowidło morza, zawarła poetka w trzech pełnych strofach.

Ale największy dziw w ciebie uderzy,
Kiedy to wejrzysz na one głębiny,
Bo choć się oko najdalej zamierzy,
Nie ujrzy ziemi skrawka, ni drzewiny,
Ocean tylko przed tobą się szerzy
W dalekość, którą nakrywa pas siny.
Próżno-byś ręki nastawiał do słońca —
Nie, tylko woda i woda bez końca!

Mówią, że idzie z północy to morze
Od granic ziemi, zapartych przez lody,
Aż na południe, gdzie także w przestworze
Oceanowe krą walać się wody;
Lecz nie wiem, czyli to prawdą być może,
By na południu lód czynił przeszkody,
Gdyż słońce najwyż tam piecze a praży,
O czem się pytać u żniw gospodarzy.

A teraz patrz-że, jak po tych bezdrożach
Okręt steruje i plac sobie czyni,
Gościńiec mającznaczony na zorzach,
W tej niezmierzonej, bezbrodnej pustyni.
Jak zna przecieki i ciągi na morzach!
To prędszej u nas chłop zmyli w Sterdyni
Drogę z odpustu idąc, do rogatek,
Niż na tych wodnych obrusach ten statek!).

Pierwsza strofa oddaje monotonię wodnego żywiołu, druga docieka jego perspektywicznych wymiarów, trzecia wytyka drogi żegludze. Otwiera pole widzenia w pierwszej strofie „oko“ patrzącego z pokładu, zamyka je horyzontalny „pas siny.“ Idealnie rozszerzony jest obraz w drugiej strofie przez „lody“ północne

1) B. W. 1892. III str. 490.

i „krę“ południową, o których wzmiankę czyni poetka. W trzeciej strofie wypełniają obraz „wodne obrusy,“ nakryte „zorzami“ z wyraźniejszym ściegiem „przecieków i ciągów,“ z których dopiero wynurza się punkt atrakcyi: „okręt.“ Sztywność malarską odbierają obrazowi w sensie epickim określenia ruchu, gęsto wtrącane, („choć się oko najdalej rozszerzy,“ „idzie z północy to morze,“ „krą wałą się wody,“ okręt steruje i plac sobie czyni,“ „gościniec... mając na zorzach“). Niemniej życia dodaje obrazowi refleksya po chłopsku naiwna, którą opisujący zaprawia strofą („próżnobyś rękę nadstawił do słońca“ — „słońce najwyż tam piecze a praży“ „przedziej u nas chłop zmyli w Sterdyni drogę.“

Bogatsze, bo w ośmiu strofach roznieszczone malowidło puszczy odznacza się też sumienniejszem wykończeniem. Wstępna strofa daje tylko szkicowy zarys całości.

Bór był osiadły w bagnach przez połowę,
A przez pół darł się po skalistym żlebie,
Drzewa tam zbitą czyniły posowę,
Utapiające wierzchołki swe w niebie.
Światła się nagle i mroki surowe
Rzucają, gdy się ta puszcza kolebie,
Par duszny, jak gdy w łaźni grają piece,
A piżmo tęgie czuć, niby w aptece⁹⁾.

Wrażeniu dotykowemu gromady, której stopy uderzają o kamień, lub grzęzną w błocie, czyni zadość rozkopany przez poetkę grunt ziemi pół skalisty, pół zbagniały. Wrażeniu wzrokowemu chłopów, rzucających przed siebie oczy, odpowiadają stłoczone gęsto olbrzymy drzewne z niewidzialnymi szczytami i ciągłym przyptywem lub odpływem światła, wiatrem respirowanego. Wrażenie wreszcie węchowe przybysza, który tu wkracza z wolnej przestrzeni, budzi zaduch piżmowy, wypacany stu wyziewami, w ciasnocie zgęszczony.

Sześć strof następujących daje szczegółowy przegląd puszczy. I tak druga strofa poświęcona jest przyziemnej florze („trzcini i kwiatów“) oraz faunie („ptaków i węży“). Trzecią przelicza kołosa drzewne w ich różnogatunkowem bogactwie. Czwarta opiewa walkę o byt, zażarcie między drzewami toczoną. Piątą opisuje roślinność pnącą, koło pni oczepioną w potwornych kombinacyach. Szóstą reflektorem słonecznym oświetla tajemnice puszczyńskie. Siódma

⁹⁾ B. W. 1897. IV str. 295.

barwi tęczą ptasich piór powałą leśną, między drzewami uformowaną.

Końcowa strofa rzuca roznute dotąd bogactwo szczegółów w jedno syntetyczne porównanie, o polską migotliwą baśń zaczepione.

Więc kiedy cię tam to wszystko otoczy,
Te światła, farby, jaskrawe te puchy . . .
To ci tak we łbie zakrąży, zamroczy,
Jakby skarb nagle otwarły ci duchy,
Co go w Ojcowskich skałach skarbnik strzeże,
Aż przecknie Loktek i wstaną rycerze 9).

Jakaś nerwowa polichromia bije z obrazu, „modre“ przewijając obok „zielonego“, „szkarłatne“ obok „siniego“, „złote“ obok „szafirowego.“ Ten kalejdoskop barw, namiętnie gromadzonych, sypanych bez liku, zestawianych zuchwale, musi razić w poemacie jędrnym dzięki epizodycznym opisom swojskiej przyrody, powtarzającym się stale. Niezdrowy, naprawdę egzotyczny pośpiech w malowaniu odbiera obrazowi soki pogody, zdradza szwy fantazyi, w pyszny, pawim blaskiem połyskujący chaos ogólników zbija strofy.

Malowidło stepu, dwunastu strofami objęte, w szczegółach świetne, jednolitej essencji wrażenia nie zostawia czytelnikowi.

. . . A w kolo, jak wodna
Roztocz, step siniał po nieba krawędzie.
Trawy w pas, idziesz niemi jakby do dna
Ów nurek, co go trzymają na wędzie.
Gdzie pojrzysz, głębia zieleni bezbrodna,
Ze jak na morzu ptak tam nie usiedzie
Wędrowny, tylko na bujach rozpięty
Pod błękitnemi zawisa odmęty 10).

Ta pierwsza strofa, najcharakterystyczniejsza, kreśli granice horyzontalne stepu („po nieba krawędzie“), przeważający w nim element traw („trawy w pas“) i rozpięty w górze pułap nieba („pod błękitnemi zawisa odmęty“). Zalecają obraz barwy szczęśliwie dobrane: *zielona* — na oznaczenie najbliższego, wypośrodkowanego z całości wycinka stepu, *sina* na zamarkowanie brzegów odległych, *błękitna* dla tem silniejszego odcięcia nieba w linii

9) Ibid. str. 297.

10) B. W. 1900. IV str. 161 et seq.

widnokręgowej. Trzy z jednej sfery wzięte porównania („jak wodna roztocz“ („jakby ów nurek“), („jak na morzu“) zwierają tem mocniej obraz, uwydatniając kolejno: bezmiar, głębię i tajemniczość stepowego żywiołu. Ale niebawem układ obrazu zaczyna się psuć. Dwie najbliższe strofy (II i III) opisują step we dnie. Pierwsza (II) potężny efekt wydobywa z nieruchomości traw („naprostowana w niebo patrzy trawa“) i związanej z nią bezwzględnej ciszy („człowiek dech tylko swój słyszy“), na wspaniałem tle kolorystycznym tem wydatniej działających („światlista kurzawa miga tęczowemi szkliwy“). Druga (III) przeciwnie, przerywając nagle działanie prądu kolorystycznego, napuszcza step dźwiękiem („wizgiem się wtedy zanosił step cały“), zrazu we mgle tajemniczych określeń tonącym („niewiedzieć odkąd“ „nie wiedzieć kędy“) potem z artystyczną wprawą przyciszonym i („i cichość, aż dzwoni“) i przeszły wreszcie w trzeźwy i kojący nerwy swoją brzydota głos życia („murzyn na skórze węzowej zabczy“).

Następna strofa (IV) przeskakuje do obrazu nocy i zdając czytelnika zupełnie na łaskę słuchu, przemienia pochłonięty ciemnościami step w żywy instrument, wiolinem ptasim zaciągający, basem zwierzęcym rozegrzmiąły. Piąta i szósta strofa, to luźny, nieusprawiedliwiony żadnym zwrotem pośrednim powrót do opisu zjawisk dziennych. Ptak i zwierzę — w strofie poprzedniej po głosach tylko odgadywane — teraz jawią się w plastycznej oprawie oku. Piąta strofa pokazuje ptaka i zwierzę w ruchu („stado porywa się“ — „skrzydła rozwiedzione rozpuści i pomyka“), („zwierz przepadł“ — „nurt trawy się poda“ „jak czółnem rozcięta woda“), wyposażając je dla tem silniejszego skutku głosem („krzyczącą gromadą“ — „prychnie, zaszuści“). Szósta strofa przynosi znowu przepych czarowny kolorów, na przedstawicieli fauny stepowej nałożonych („jedne skrós *modre*, a drugie jak ony *krwawnik*, a zaśie jak *szmaragd* te trzecie.“) Przepych tem skuteczniej podniesiony końcowem porównaniem do „klejnotów królewskiej korony.“ Trzy nadechodzące z kolei strofy, to wtrącony zreszczeniem opis zorzy, spadłej na step krwawo, potem cieni wieczornych, odbitych od posrebrzanej przestrzeni stepu, wreszcie nocy z księżycem, wypełniającej stepową pustkę. Opis ten wszelako, sam w sobie wspaniały, nabity połysk licznemi porównaniami, szkodzi całości obrazu, w którym już raz była noc odmalowana. Dziesiąta strofa daje fantazyjny przegląd flory stepowej, zawity może dzięki oświetleniu nocnemu. Jedenasta, to liryczny zwrot ku swojszczyźnie, jeden z tych, które piętno kontrastu wciskają w stronicę głęboko („Bo noc tam nie jest, jako u nas rzewna“). Widmo tej

innej nocy, którą sto światła tęsknoty wywiodło z dusz, zbyt ciągnie ku sobie, żeby wryć się mogła w pamięć końcowa wzmianka (XII) o kretowiskach murzyna, jedyne ludzkiego mieszkańca stepu.

Mimo rysów potężnych, barw wyteżonych, mimo konsekwentnej walki światła z cieniem, mimo przedewszystkiem akustycznej budowy strof, w których każdy dźwięk rozlega się rześście, na obrazie cięży grzech intuicyi, w czasce wyległej, nie potrąconej z zewnątrz. Stąd nacisk na szczegóły, nie skondensowane planem i dźwignięte do wagi obrazów w obrazie, wytaczane bez porządku, a powtarzające się czasem dwukrotnie wśród nieznacznych odmian. Z chaotycznego, intuicyą rozwodnionego układu, nie dziw, że trudno wydobyć ostatnie, zbiorcze wrażenie.

Króciutki, bo jednozwrótkowy obraz górski zdobywa sobie, może właśnie dzięki krótkości, zwięźlejszą i twardszą plastykę.

Nagle świat spiętrzył się. Zrazu szły falą
Pagóry prawie żywej krzemieniny,
To przez moc wielką dźwigną się, to walą.
Zamodrzał wirchów różaniec nam siny,
Zębate, dziko poszarpane skały
W przecz zawaliły niebo i tak stały¹⁾.

Środki malarskie, do jakich uciekła się poetka nie trudno wskazać. Wicę najpierw stopniowe dźwiganie poziomu miało za cel głąb wykopać w płótnie obrazu. Trzy punkty, cyrklem perspektywy wytyczone, mierzą stopniowy wzrost wyniosłości („świat spiętrzył się“ (1) — „zrazu szły pagóry“ (2) — „zamodrzał wirchów różaniec“ (3)).

Równocześnie ruch personifikacyjny, po wierszu, jak po drucie przebiegający stale, miał w drganie wprowadzać wszystkie człony obrazu („Pagóry szły“ — „dźwigną się“ — „wałą w rozpełzle, żółwiu podobne lupiny“ — „skały zębate, dziko poszarpane“ — „zawaliły niebo“ i „tak stały“).

Z pospólnego wreszcie, dla szarości swojej nieokreślonego kolorystycznie padołu ziemskiego — wyrywa się „wirch“, aż dwoma znakami barwnymi opatrzone, żeby tem gwałtowniej wystrzelił ponad masową bezbarwność („zamodrzał siny“).

Szkoda, że ten obraz ogólnikowy, góry znaczący z odległości, urywa się pod naciskiem lirycznych wybuchów gromady, nierozwinięty bezpośrednio w subtelniejsze, wycieniowane więcej szczegóły.

¹⁾ B. W. 1900. IV str. 339.

Ostatni obraz, żuławy nawodnione przedstawiający, a w pięciu strofach rozsnuty, stoi może najwyżej pod względem wykonania malarskiego:

Tak my zapadli w te poprzeczne nize,
 W stu ruczajami poprute żuławy.
 Par mokry, świerszczów całe wojsko strzyże
 W tępe nożyce bławatów postawy;
 Tu, tam brunatne zabłysną się krzyże
 Stadlisk bawolich, skróś trzciny i trawy,
 A rzeka szumi, a gędzi, a radzi
 I jak sierp cisnął do morza prowadzi ¹⁾.

Płaszczynę, wewnątrz obrazu otwartą, mierzy, jak najdoskonalsza przekątnia, ta rzeka z kolorowymi brzegami, podstępnie upodobniona do Buga i przez to samo już ciągnąca sympatyę czytelnika. Po jej obu stronach rozrzucone — płyty ziemi, trzcina i trawę poszyte, miejscami brunatne od stad bawolich, od dymu murzyńskich kleci siniejące, zwilża sto nici wodnych. Tylną ścianę obrazu stanowią góry, poryte wodospadami, splecionymi w tęczowy sznur, raz gruby, raz cienki („od wschodu wlokły się za nami góry“ — „aż gdzie się nadmiar zbiją one szklane żyły“ — „szlaki mając tęczami przetkane“). Cały obraz nasyciła poetka ruchem, raz w dźwięki bezpośrednio przelewany („świerszczów całe wojsko strzyże w tępe nożyce“ — „rzeka szumi, a gędzi, a radzi,“ — „właśnie jak kawek rozkrzyczane wianki“) to znowu uwięzłym w barwach („opryskiwani perłami i złotem“ — „w kolory tkając majowe pobrzeża“ — „brunatne zabłysną się krzyże“). Niestęchaną przejrzystość nadaje obrazowi gra światła, w lustrze rzeki odbitego i w lusterkach wodospadów. Spokojniejszy bieg rzeki utrzymuje światło w stałym niezmiennym napięciu („słonkiem precz mruka“). Ruchliwszy pęd wodospadów zwięza je w chwilowe, zwrotne tonacje „srebrną,“ „perłową,“ „złotą“ lub niespodzianie rozwija w pełny wachlarz „tęczy“ („srebrne szruciny“ — „opryskiwane perłami i złotem“ — „szlaki mając tęczami przetkane“).

Każdy z tych krajobrazów, rzucony przed odpowiedni szmat akcyi, znajduje szeregi uzupełnień między wierszami, poświęconymi akcyi. W ten sposób rozszerza się kolejno obraz pierwszorzędny zrazu morza (pożar, połów rekina, delfiny, port) a potem puszczy (mór, karczunek, polowanie na tygrysa, mogiłki), następnie stepu (walka z murzynami, bawoły, ucieczka, nocna wędrówka)

1) B. W. 1901. III str. 547 et seq.

i gór (śmierć Jontka, rekonesans Szczęśniaka, inwazyja sępów, wycieczka z Dudkami na czele) żuław wreszcie (śmierć Horodzieja, sadyby murzyńskie, mrówki, bagna). W rezultacie z akcją zespolone materialnie, tracą krajobrazy Konopnickiej znaczenie samoistnych, zamkniętych w sobie całości. Epicki kanon pozbawiał je wewnętrznej spójności, rozrzucając najczęściej wedle potrzeb doraźnych. Stąd syntetycznie wyczerpanych, po malarsku, w ramę chwili chwyconych, dzięki zmysłowemu układowi spotężnianych krajobrazów niema w *Balcerze*. Kolorystyka, raz rzadka, wodniste znaki stawiająca, puste pola zostawia na przedmiotach, nie zlewa brył przestrzeni w proporcjonalne stosunki. Kiedyindziej gęsto zarabiana — wyświetnia barwy, tłoczy samą ich essencję, poetyzuje jaskrawo wszystko, co pod działanie wzroku podpadnie. I tu i tam brak obrazowi zdrowego miąższu, jaki wynika z trzeźwych przesłanek realisty. I tu i tam barwa nie jest efektem fizjologicznym, z przedmiotu pod wpływem oświetlenia wywiedzionym, ale ozdobnym epitetem, po namyśle przyjętym, mniej lub więcej powściągliwie szafowanym. Wobec niedoboru albo fałszywego doboru chromiki tem wydatniej zaznacza się w każdym krajobrazie Konopnickiej element muzyczny, ze strof, jak z klawiszów wybuchający. W obrazach pozbawionych udziału pędzla, muzyka zastępuje barwy, zastępuje rysunek, zastępuje ruch, w namacalnie wyraźną symfonię przetapiając opis. Obrazom barwnym niemniej siły dodają dźwięki zręcznie zużytkowane, zeskakujące się zawsze w samą porę z określeniami wzrokowymi, często natężające mdłą moc tych określeń. Towarzysząc akcji powierzchownie, zachodząc w nią z zewnątrz tylko, lub gmatwując ją nawet mechanicznie, są przecież krajobrazy Konopnickiej w swoim idealnym układzie, dalekie od akcji i niezmięszane swojemi odwiecznemi funkcyjami z jej postępem, stanowią w poemacie żywioł odrębny najzupełniej.

Inaczej ma się rzecz z obrazami zjawisk powietrznych i atmosferycznych, których wielka ilość czyni z *Balcera* poetyckie obserwatorium, pełne wschodów i zachodów, burz i deszczów, gwiazd i księżyców, wichrów i obłoków.

Ze zjawisk tych, wplątanych raz w pejzaże, raz rozwijanych luźnie, wydzielić należy kolejno przedewszystkiem zjawiska świetlne. Dorywczo w miarę postępu zdarzeń rzucane, dłuższe lub krótsze, zamknięte w kompletnych obrazkach lub markowane niezmierną wzmianką, ciągną się one z pieśni na pieśń, poematowi nadając niezmierną przejrzystość, wyższe nad intuicyjnie zbudowany krajobraz.

Na pierwszym miejscu postawić między niemi należy „świt,” trzy większe obrazy zapelniający.

„Świt na morzu“¹⁾ ukazuje przestrzeń pod dachem mgły („od mgły, co na morzu się kładła“) w pewnem miejscu nagle przzerwanej i puszczej wiązki słońca („aż w nią uderzy słońce“). Bystrość malarska pozwoliła Konopnickiej oznaczyć morze dopiero, kiedy na nie słońce padło („i modre rozkryje zwierciadła“). Z równą bystrością określa sferę powietrzną dwoma epitetami, jak stal zimnymi, które wymownie dokumentują brak słonecznego prądu („ranek perłowy i siny“). Punktem, w dalszym ciągu cudnie skupiającym w sobie blask słońca, jest fontanna z nozdrza delfiniego wyrzucona ponad zrzędy kozuch mgły („skrós mgły zaczęły bić one fontanny“). I znowu kolorystyczne szczegóły dowodzą obserwacji bacznej.

Cudnież to było patrzeć na te świty,
Sreżogą drżące srebrną w ten czas ranny.
Gdy nad ocean, parami nakryty,
Skrós mgły zaczęły bić one fontanny!
Słup w górę idzie, rozszczepia się w kity,
Świeci i sypie perłowych ros manny,
Gaśnie i znowu w stu miejscach z mgły tryska.
W stu miejscach srebrem lśni i złotem błyska.²⁾

W górnem przestworzu, od mgły odciętem, lokuje poetka barwy silniejsze („srebrem lśni i złotem błyska“), dół fontanny, o mgły trący się, określa barwę słabszą („perłowych ros manny“). W doborze barw, w skład obrazu wchodzących, uderza dążność animizacyjna, która nastrój pół radosny, pół lękliwy rzeszy emigranckiej, dowożonej do lądu, poddaje za tło całemu obrazowi.

„Świt w puszczy“ ukazuje nad ziemią wilgotną obłok dymu, a nad obłokiem słońce.

A dookoła bagniska gorzały
Tchem zaraźliwym z pożaru gorąca;
I rankiem obłok podnosił się biały
Z ziemi, co stała mokra i dyniąca,
Jak one stogi, gdzie siana zaprzały,
A rozpalony i wielki stos słońca
Gorzał nad nami...³⁾

¹⁾ i ²⁾ B. W. 1892. IV, str. 458—9.

³⁾ B. W. 1897. IV, str. 90.

Jedyna plama barwna („obłok biały“) właśnie dzięki swojemu mało charakterystycznemu wykładnikowi odbija tem ostrzej od tragicznych określeń („bagniska dyszały tchem zaraźliwym“). Kwadratują grozę opisu nagle podniesione rozmiary tarczy słonecznej („wielki stos słońca“), wobec których maleje człowiek, zgniatany dalekonośnym pociskiem. Jedyne porównanie („jak one stogi, gdzie siana zaprzały“), naturalistycznym swoim materiałem obniża nastrój aż do poziomu, na jakim stoi apatyczna, morzem bita, kompania ludzka.

Następuje z kolei „świt w stepie.“

... A już się niebo jaśniło na wschodzie
 Wązkim rąbeczkiem lekuchnej czerwieni,
 Gdy nagle między trawy falujące
 Błysły nam wielkie, czarne półmiesiące
 Zagiętych rogów...¹⁾

Obraz zaciemniony jest w dole, bo ruchliwa ściana traw staje tuż przed maszerującym chłopem i pozbawia go przez to szerszego widoku („Między trawy falujące“). Za to w górze zabarwia się czerwono płótno nieba, od ciemnego podszycia stepowego tem silniej oderżnięte („wązkim rąbeczkiem lekuchnej czerwieni“). Ciepłą masę niebia uwydatnia tem dosadniej poczerniona plama rogów bawolich, z płonącego tła wytrysłych („czarne półmiesiące“). Stopniowy rozwój świtu uwydatnia w wierszach późniejszych, do akcyi już należących, kolor powietrza („a już powietrze czyniło się złote“) i niebawem natężenie tego koloru („dzień się coraz różaniejszy czyni“). Zręczny układ nadał obrazowi naturalne rozmiary, topiąc chłopca, którego oczami musimy patrzeć, w trawach wyższych od niego i wyolbrzymiając rysunek rogów fantastyczną przenośnią, przez odpowiedni epitet jeszcze szerzej rozpiętą. Głód, nękający chłopca przed obławą i uczta, która obławę wieńczy — zestawione razem, tłómaczą pogodę w obrazie, ramami akcyi silnie objętym.

Obok tych większych opisów, spotkać można szkice „świtu“ ucinkowe, w dwu określeniach zawarte, a zawsze charakterystyczne i zahaczone o akcyę. Więc „szary brzask“ na okęcie w czasie rewizyi, barwą złowróbną związany z tragicznym końcem sceny, podwójnie efektowny dzięki połyskującym „latarkom.“²⁾

1) B. W. 1900. IV, str. 165.

2) B. W. 1892. IV, str. 447.

Nadto „chmurny ranek“ w boru, jak tło dopasowany do zamiarów samobójczych Przytuły.¹⁾ I jeszcze „złote świtanie“ w górach, refleksem na włosy umierającego sieroty padłe, a drażące kulisto niebiosu mąd światem, którego „wielkość“ śmiesznie odskakuje od dzieciennego trupka.²⁾

Malowidła „zachodu“ wykończone więczej — zapełniły najpiękniejsze, w znaczeniu malarskim, karty poematu.

Zachód na morzu w ognistą ranę ujmuje podróż całą, raz we wstępnych strofach w chwili wyjazdu odmalowany, drugi raz przy wjeździe do Santos w strofach końcowych pieśni. Pierwszy z tych opisów otwiera porównanie, ze sfery ziemiańskiej zaczerpnięte, co da się wytłómaczyć niedawnym związkiem podróżnych z rydlem.

Tuż za nim, jako kiedy na nowinie
 Pług zajmie krojem skibę, a odwali,
 Taka się połać skrós morza odwinie,
 I szczerym ogniem po strzepakach się pali;
 Bo już się słońce nurzało w głębinie,
 Kolory dając ze siebie tej fali,
 Co się waliła w żar bruzda po bruzdzie,
 Łódź czarną ciągnąc za sobą na uździe.³⁾

Morze, wypolerowane po wypukłościach światłem („szczerym ogniem po strzepakach się pali“) pochłania w siebie szybko spadającą, jak balon, bryłę słoneczną („już się nurzało w głębinie“). Tragizm jedynej oznaczonej ściśle barwy („czarna łódź“), podniesiony jeszcze przez jaskrawe tło świetlne („szczery ogień“) i aluzję do kończącego się dnia („już się nurzało“), wypływa z nastroju dusz, stłoczonych na pokładzie, pletnią lęku ćwiczonych.

Drugi, zamykający żeglugę opis — usunięciem bodźców słuchowych realnych („cicho nas fala niosła“) przygotowuje czytelnika do przyjęcia wrażeń fikcyjnych, jakie za chwilę odebrać mają chłopci („chorągwi szelest i dzwonów z wież bicie“).

Cicho nas fala niosła; ziemia grała
 Złoto-różanym pod zachód kolorem;
 Lud uniesiony już słyszy w zachwycie
 Chorągwi szelest i dzwonów z wież bicie.⁴⁾

1) B. W. 1897. IV, str. 309.

2) B. W. 1900. IV, str. 312—3.

3) B. W. 1892. III, str. 469.

4) B. W. 1892. IV, str. 468.

Sferę optycznych podnięt wyidealizowaną („złotoróżany kolor“) wyposaża poetka przemyślnie w atrybut, pożyczony ze sfery dźwięków („ziemia *grała* kolorem“), oderwany od świata otaczającego podobnym sposobem, jak i powyższe wrażenia akustyczne. Harmonijny skład barw („złoto-różany“) i uroczystry dobór wyrazów („lud uniesiony“) dają nieć zewnętrzną do kłębka tej egzaltacji, która duszę, zmaltretowaną przygodami morskimi, a owianą świeżo lądowem powietrzem, omotała.

STANISŁAW MAYKOWSKI.

Ruch piśmienniczy we Francyi.

„Romantyzm francuski“ Piotra Lasserre'a. — *Jan Jakób Rousseau* Juliusza Lemaitre'a. — *Alfred de Musset* Leona Séché. — *Alfred de Musset* F. Roz'a. — Charles Baudelaire i jego *Korespondencya*.

Dawno już książka żadna nie narobiła tyle hałasu, co *Le Romantisme Français* p. Piotra Lasserre'a, Romantyzm francuski — szkic o przemianach, jakim uległy uczucia i myśli w wieku XIX, jak głosi podtytuł. Zrozumiałe jest to powodzenie książki, choć jest ona pamfletem przeciw romantyzmowi, oraz przeciw temu wszystkiemu, co z romantyzmem jest związane. Już samo odczytanie nagłówek oddzielnych rozdziałów wystarczy dla przekonania się o tym charakterze pracy p. Lasserre'a: Ruina jednostki (J. J. Rousseau), Chimera serca (Sénancour), Chimera myśli (Faust), Służenie namiętności i t. d.

P. Lasserre uważa romantyzm za rozkładnik społeczny z powodu bezwzględności swego indywidualizmu, który sprzeciwia się temu wszystkiemu, co w jakikolwiek sposób ogranicza swobodę jednostki, więc np. obowiązki tej jednostki względem państwa; dalej dla tego, że romantyzm stanowi właściwie upoetyzowaną rewolucyę, wreszcie ponieważ usprawiedliwia, nawet ubóstwa, namiętności, hyle tylko miały w sobie trochę poezyi...

„Nie miałem na celu — powiada p. Lasserre — napisania historii romantyzmu, lecz tylko starałem się o danie jego definicyi.“ Przy poszukiwaniu tej definicyi niektóre rozdziały historii romantyzmu francuskiego zostały omówione, „wszystkie naprzykład charakterystyczne jego momenty w latach: 1750 do 1850 czy 1860.“ A dalej zadaje sobie p. Lasserre pytanie: „Czyż data ostatnia oznacza koniec romantyzmu?“ Bynajmniej nie. „Gdyby tak było, studyum niniejsze miałoby jedynie charakter retrospektywny.

Nie ulega wątpliwości, że wszystko to, co *zwalcza* ta książka (wyrażenie „zwalcza,” jako charakterystyczne, podkreślan), istnieje w koło nas pod maską nieco zmienioną.“ Albo jeszcze w innym miejscu: „Nie wierzymy w to, że romantyzm istnieje. Nie przestał jednak nas *przygniatać*.“

Studyum p. Lasserre'a zatrzymuje się na roku 1860 dla tego, że w tym czasie „romantyzm, chociaż nie skończył jeszcze swej misji historycznej, wypowiedział się, jak we względzie myśli, tak też i we względzie uczuć, z tem wszystkiem, co zawiera.“ Po roku 1850 była wprawdzie reakcyja przeciw romantyzmowi, ale jesto raczej „protest romantyków wzburzonych, niżeli romantyków wyzwolonych.“

„Romantyzm (uczucia) polaryzował aspiracye i nadzieje duszy indywidualnej do osiągnięcia chimerycznego źródła szczęścia. Romantyzm (myśli) zapewniał, że jest możliwy, że jest nawet bliższy porządek społeczny, który zniesie przykrości naturalne warunków życia, który zniszczy egoizm ludzki, dzięki któremu panować będzie szczęście dla wszystkich. Te dwa marzenia bez treści, uogólnienie monstrualnej idei rozkoszy pasywnej, nie mają żadnego sensu; ale są dowodem bardzo ciekawym upadku energii życiowej oraz zepsucia ducha tych, którzy je stworzyli i którzy nimi żyją. Należało wymyśleć siły zdolne do zrealizowania rajy na ziemi, do zapełnienia zadowoleniem i upojeniem wrażliwości indywidualnej sprawiedliwością i dobrocią... Ci bogowie romantyzmu nazywali się: jeden przyrodą, drugi postępem. Panteizm był jego syntezą.“

Z tych paru cytat widać już jakie jest zapatrywanie autora na sprawę, o której traktuje; dają one również pojęcie o sposobie, w jaki napisana jest książka, pełna zresztą paradoksów, często nie uwzględniająca szczegółów, które mogą stać w sprzeczności z tezą p. Lasserre'a, tezą, jakby z góry wymyśloną i mającą być rozwinętą i usprawiedliwioną.

Pan Lasserre jest przekonany, że romantyzm wielką krzywdę wyrządził Francyi, że nie tylko krzywdę niegdyś wyrządził, ale że i teraz jeszcze pod wpływem romantyzmu Francya upada. Gdyby nawet fakt ten był prawdziwy, to znaczy, gdyby Francya upadała, to dla czego specjalnie romantyzm we Francyi zle miał następstwa i skutki, dla czego jednak ani w Niemczech, ani w Anglii, ani gdzieindziej wpływ ten nie był szkodliwy, przeciwnie, raczej pożyteczny?

Romantyzm francuski był pochodzenia zagranicznego. Tego pochodzenia zagranicznego, tych wpływów z po za Francyi po-

chodzących, wpływów Byrona np., p. Lasserre nie uwzględnia. A przecież mówić o Lamartine'u, o Mussecie, o George Sand, a pominąć wpływy, jakie na tych pisarzów wywarł Byron, to jest pominąć najważniejsze czynniki romantyzmu pierwszej ćwierci zeszłego wieku. Zarówno Lamartine, jak Musset, jak i George Sand nawet, więcej przecie mają w sobie Byrona, niżeli Jana Jakóba Rousseau! Wpływ Rousseau odbił się raczej na życiu politycznem i społecznem, nadając mu charakter sentymentalizmu. To też można powiedzieć, że co do wpływu Rousseau'a na romantyzm francuski p. Lasserre nieco przesadza, przesadza, zapominając o wpływach innych, przeważnie zagranicznego pochodzenia.

Z książki p. Lasserre'a wynikałoby też, że romantyzm w literaturze jest przedstawicielem rewolucyi francuskiej, czyli że wszyscy romantycy są jej stronnikami, są rewolucjonistami; tymczasem widzimy co innego: ani Vigny, ani Musset, ani Michelet, ani Sainte-Beuve rewolucjonistami nie byli. A przecież są to, jeżeli nie najwybitniejsi, to jednak dosyć ważni przedstawiciele romantyzmu!

Takich i tym podobnych niedokładności (nawiasem mówiąc jeszcze jedna ciekawa: Pierre Leroux—socyalista, a więc nie indywidualista) w książce p. Lasserre'a dużoby się znalazło. Nie znaczy to jednak, aby książka z tego względu nie miała wartości; i owszem, te braki są wynagrodzone innemi i licznemi bardzo jej zaletami: głębokiem ujęciem przedmiotu, logicznem rozumowaniem, (czasami na podstawie danych niezbyt dokładnych) poszukującym ujęcia w pewne formuły tak skomplikowanej, tak różnolitej sprawy, jaką jest romantyzm wogóle, a i francuski romantyzm także. I może dla tego, że p. Lasserre chciał zbyt uprościć to zjawisko w piśmiennictwie, w życiu nawet, doszedł do rezultatów czasami błędnych. Romantyzm Rousseau'a i romantyzm Wiktora Hugo, czy Lamartine'a — to dwie różne odmiany romantyzmu, które do jednego sprowadzając mianownika, sztucznych użyć trzeba środków. Do tej sztuczności przyznaje się zresztą p. Lasserre i to także mogłoby posłużyć za dowód, że postawił sobie z góry tezę, do której wszystko w swojej pracy stosował.

Jednostronna, niekompletna, miejscami może w wywodach swoich fałszywa, praca p. Lasserre'a pozostaje nie mniej książką bardzo ciekawą, porusza przytem całą kwestyę romantyzmu z nowej zupełnie strony; jeżeli p. Lasserre nie osiągnął w zupełności celu, jaki był sobie postawił, określenia i zdefiniowania romantyzmu i roli, jaką w XIX wieku we Francyi romantyzm ode-

grał, to jednak posunął całą sprawę naprzód, ułatwił drogę innym, tę drogę może nawet wskazał...

*

*

*

Wogóle o romantyzmie i poprzednikach romantyzmu wiele w ostatnich kilku miesiącach mówiono... Oto Juliusz Lemaître, zmęczony i zawiedziony życiem politycznym, któremu w ostatnich latach zupełnie się był oddał, „powraca do literatury;“ powraca swemi konferencyami o Janie Jakóbie Rousseau... Kto wie, czy bliższe zetknięcie się z polityką czynną francuską, nie skłoniło Lemaître'a do poznania bliżej tego, który nie małą odgrywał rolę w ukonstytuowaniu się Francyi spółczesnej...

W miesiącach styczniu, lutym i marcu mówił Lemaître o Rousseau, w *Salle de la Société de Géographie*, z tej samej katedry, z której w roku zeszłym ś. p. Bruetière o Encyklopedystach traktował, mówił wobec wyborowego audytorium, złożonego z literatów i *monde'u* paryskiego; cały dawny *Faubourg St. Germain* przysłuchiwał się wywodom znakomitego krytyka...

Lemaître dawniej, kiedy miał jeszcze iluzye, lubił Rousseau, ale badając źródła głównych błędów XVIII i XIX wieku, doszedł do przekonania, że jednak wiele z nich Janowi Jakóbowi zawdzięczać należy, Janowi Jakóbowi, którego dzieła tłómaczą się wprawdzie jego wadami fizycznymi i okolicznościami, w jakich żył, ale który nie mniej jednak jest człowiekiem chorym, później waryatem wcale nie złym, ale przedewszystkiem nieszczęśliwym.

Chociaż szczerzy katolik, Rousseau miał duszę protestancką. Wychowany, a raczej wcale nie wychowany, bo od najmłodszych lat pozostawiony sam sobie, żyjący najprzód z ojcem swoim w Genewie, później z panią de Warens, później jako urzędnik pani de Verallis — Rousseau na przyszłego reformatora społeczeństwa, na przyszłego profesora cnoty słabe miał przygotowanie.

W 29 roku życia przyjechał Jan Jakób do Paryża, przyjechał dla poszukiwania szczęścia, (mając ze sobą wynalazek swój co do pisania nut, rękopisów trochę), wstydlivy, z wielkimi ambicyjami... Wobec Diderota, Grimma, Duclos i innych, Rousseau może zwrócić na siebie uwagę jedynie swoją niezgrabnością, nieumiejętnością zachowania się w towarzystwie... Idąc za radą je-

zuity O. Castel, Jan Jakób stara się o względy kobiet, jest sekretarzem pani Dupin i od tej chwili, zdawałoby się, że karyera jego już jest zapewniona. Wkrótce wyjeżdża do Wenecyi, jako urzędnik ambasadora p. de Montaigne.

Wenecya w pismach Rousseau nie pozostawiła śladu prawie żadnego: prowadzi w niej życie takie same, jak dawniej, nie zachwyca go zbyt miasto, ani życie intensywne Wenecyi. Spotyka się tutaj z Żanettą. „Wchodziłem powiada Rousseau do pokoju kurtyzany, jak do świątyni miłości i piękna... Siadałem i płakałem, jak dziecko...” Po pewnem nieporozumieniu, co do którego szczegóły niezbyt dobrze są znane, wraca Jan Jakób do Paryża.

W Paryżu ma stosunek z Teresą, bieliźniarką, z którą żyć będzie do śmierci. Tutaj traktuje p. Lemaître o pięciorgu dzieciach, jakie miał J. J. Rousseau z Teresą, dziećmi, oddanych do domu podrzutków—to hipoteza jedna; inna hipoteza, że dzieci wcale nie miał, tylko niechcąc uchodzić za człowieka chorego, historję tych dzieci wymyślił.

Rousseau w Paryżu prowadzi żywot skromny, odwiedza często uwięzionego w Vincennes Diderota. Kiedyś, idąc do niego poprzez lasy, wyczytuje w *Mercurie de France*, że akademia w Dijon ogłasza konkurs na pracę p. t. *Si le progrès des Sciences et arts a contribué à corrompre ou à épurer les mœurs*. W tej chwili stał się jakby innym człowiekiem.

Zasięgnąwszy rady Diderota, napisał Rousseau swój *Traktat*, wykazując w nim zepsucie obyczajów, wywołane postępem sztuki i literatury. Punkt widzenia nie nowy — powiada p. Lemaître — tak samo znany, jak i twierdzenie przeciwne. A jednak *Traktat* ten miał wielkie powodzenie, ponieważ wyróżniał się pewnym akcentem, pewnym stylem. *Traktat* wywołał polemikę, w której Rousseau głos zabierał, a broniąc się, lepszych jeszcze używał argumentów, aniżeli w samym *Traktacie*.

Pod wpływem tej rozprawki, jakgdyby to, co napisał, stosował w życiu, Rousseau zewnątrznie się zmienił, zaniedbał się w ubraniu, zaniechał form grzeczności, zbliżał się do człowieka natury...

Po tym pierwszym występie publicznym, inny znowu: *Le devin de Village* odegrano z wielkim powodzeniem wobec dworu w Fontainebleau (1752). Król pragnie osobiście wyrazić Rousseau swoje zadowolenie... wyznacza mu pensję...

Ale oto akademia w Dijon ogłasza nowy konkurs na pracę *O nierówności*. Rousseau na zapytanie akademii co do źródła nie-

równości między ludźmi odpowiada: Źródłem nierówności jest przede wszystkim własność, ustanowiona i utrzymywana przez prawa społeczne; nierówności zaprzeczają prawo natury, ponieważ wszyscy ludzie w stanie natury są wolni, niezależni i dobrzy, a dopiero społeczeństwo ich psuje. Jan Jakób — powiada p. Lemaître — nadużywa wyrazu *natura*. Co przez nią rozumie? Czy ludzi dzikich, żyjących w lasach, czy też społeczności rolnicze, wysławiane przez poetów. Ani jedno, ani drugie; nie należy też brać tego *traktatu* w dosłownem jego brzmieniu, lecz uważać go tylko za poemat... Styl, akcent, przejęcie się sprawą, stanowią całą wartość tych deklamacyj!

Po napisaniu tego *Traktatu* powiada Rousseau w *Confessions*: „Dotychczas byłem dobry, a od tej chwili stałem się cnotliwy.“ Od tej chwili — dodaje Lemaître — rozpoczynają się stosunki Jana Jakóba z panią d'Epinaÿ, pobyt w Ermitaże'u, stosunki z panią d'Houdetot...

Po nieporozumieniach między Rousseau i panią d'Epinaÿ, Jan Jakób osiada w Montmorency u marszałka Luxembourg. Tutaj otrzymuje tom Encyklopedyi, w którym jest mowa o projekcie założenia teatru w Genewie — mieście jego rodzinnem. Oburzony tą wiadomością, pisze Jan Jakób list do d'Alemberta, w którym wykazuje, że teatr zgubnie oddziałuje na obyczaje: to odezwanie się uważa za swój obowiązek, obowiązek obrony zachwianego stanowiska...

Po *Liście o teatrze*, ciągle i dziś nawet jeszcze aktualnym, następuje *Nowa Heloiza*. Dużo jest Rousseau'a w *Heloizie*, ale dużo też XVIII wieku. „Wydaje mi się — powiada p. Lemaître — że ten styl płaczhwy jest szczery, naturalny. Rousseau był chory, dotknięty ciężką chorobą, obdarzony wrażliwością chorobliwą, i w rzeczy samej zalewał się łzami przy każdej sposobności.“ Ale inni go później naśladowali. Ta czułościowość stanowi podkład całej literatury rewolucyjnej, czułościowość fałszywa, która tylko pozornie, z nazwy, jest cnotliwa.

Oto dla czego „czułościowość“ nie przeszkodziła bynajmniej tym, którzy w rewolucyi udział wzięli, być bez litości. A dalej ta czułościowość, będąc modną, a więc sztuczną, naśladowaną przez umysły mierne, okazywała się pod postacią bardzo głupią... I dla tego niektórzy pisarze drugiej połowy XVIII wieku wydają się nam więcej obcy, niżeli inni z wieku XVII i XVI... Rousseau nie tylko legował Rewolucyi swój słownik polityczny, swoją koncepcję o państwie: ale także przekazał jej swój „styl głupi“ („style bête“).

Po napisaniu *Nowej Heloizy* było niemal nieuniknionem, żeby Rousseau zajął się badaniem wychowania. A że tak, a nie inaczej, sprawę traktował, rzeczą jest zrozumiałą ze względu na wychowanie, jakie sam otrzymał. Chociaż w *Emile'u* znajduje p. Lemaître ustępy prawdziwe, to jednak najczęściej Rousseau i tutaj marzy. Utożsamia los swój z losem Emila, chcąc aby i Emil, tak samo jak on, wychowywał się bez rodziny. Rousseau pragnie wychować Emila na człowieka, ale na człowieka szczęśliwego, a szczęście to u niego polega na zmniejszeniu cierpień, na uproszczeniu życia. Cierpliwość więc, rezygnacya, obojętność, pewnego rodzaju stoicyzm, ascetyzm nawet — oto co przepisuje swemu uczniowi. I to rozumowanie jest skutkiem jego stanu chorobliwego, zmuszającego poniekąd do propagowania takiej filozofii...

W *Contrat Social*, Rousseau stwierdza, że człowiek rodzi się wolnym, a przestaje nim być z chwilą, kiedy przyjmuje umowę społeczną i kiedy, jako obywatel, uczestniczy w układaniu praw, których musi słuchać; kiedy ich nie słucha, popełnia największą zbrodnię, skłamał bowiem wobec prawa. Ale szczęściem Rousseau życiem swoim i dziełami swemi wykazuje dosadnie, że i on nawet ani dnia jednego nie mógłby wyżyć w społeczności zorganizowanej wedle jego *Umowy społecznej*; nawet w tej pracy kłam zadaje całej swojej utopii, twierdząc, że stawiał ideał, do którego ludzie nie dorosli, a który może byłby odpowiedni dla bogów...

Przeszedłszy całe życie Rousseau'a zaznaczywszy wszystkie ważniejsze jego momenty, scharakteryzowawszy wszystkie utwory tego wielkiego marzyciela, ubolewając często i wielokrotnie nad jego nieszczęsnem życiem, nad ciągłą chorobą, zasługującą na współczucie, w ostatnim wykładzie dochodzi p. Lemaître do konkluzji.

Rousseau — powiada — nie stworzył jednolitego systemu; posiada on jakby kilka różnych dusz: duszę włóczęgi, duszę człowieka wykolejonego, narzyciela, duszę oburzonego plebejusza, chorego, protestanta, ale także duszę katolika... a to wszystko składa się na indywidualizm jakiś dziwny w połączeniu z pewną dozą tradycjonalizmu.

Zachwyca się p. Lemaître stylem Rousseau, zachwyca się tym razem bez żadnych ograniczeń. Dalej powiada Rousseau nauczył nas inaczej niż dawniej przyglądać się naturze, marzyć przez naturę i w ten sposób zbliżył nas do wszechświata. Jeżeli chodzi o rewolucję francuską, to więcej w niej „zawinił“ Rousseau niżeli kto inny, niżeli Voltaire nawet. Rousseau był zawsze bogiem Jakobinów i tego mu p. Lemaître nie przebacza. Zapewne

Rousseau wywarł wpływ wielki na romantyzm francuski, ale „nawet romantyzm wyłączywszy, najlepsza część literatury francuskiej pozostałaby nietknięta.“

„Lubiano Rousseau'a—kończy p. Lemaitre — i wielu lubi go jeszcze: jedni dla tego, że był mistrzem iluzji i apostołem absurdów; inni dla tego, że między znakomitymi pisarzami był istotą (créature) nerwową, słabą, namiętną, grzeszną, bolesną i marzycielską. I ja sam, mając obowiązek myśleć tylko o swoim zachowaniu się, a nie o losach Francyi i świata... opuszczam go bez nienawiści, z większem jeszcze uznaniem dla tych jego myśli, które tryumfują, z zachwytem szczerym dla jego sztuki, która tak była nowa, ale ze współczuciem dla jego nieszczęśliwego życia i z „grozą świętą“ („horreur sacrée“) wobec fatalnego ogromu jego wpływów na ludzkość.“

Książka p. Lemaitre'a jest arcydziełem prawdziwem krytyki literackiej, tej krytyki literackiej, która od Sainte-Beuve'a bierze początek: przenikająca do istoty rzeczy, głęboka, a zarazem pisana jakby od niechcienia, dla zachowania charakteru pogadank, jakimi chciał zresztą mieć p. Lemaitre konferencye swoje tego-roczne, pogadank, zbijających Rousseau'a przez Rousseau'a samego, wykazujących jego niekonsekwencye.

Dla osiągnięcia tego celu, jak to już starałem się wykazać, p. Lemaitre, omawiając dzieła Rousseau'a, przeplata je wyjątkami z *Confessions*: enotliwym i prymitywnym zasadom wygłaszanym w dziełach Rousseau'a przeciwstawia rozwiązłe i wyrafinowane życie Jana Jakóba; ogłaszanej potrzebie życia niezależnego, wolnego—ciągłą zależność Rousseau'a od innych, więcej nawet, stosunek jego pasożytniczy względem wielkich i bogatych; wykazywaniu szkodliwego wpływu literatury i sztuki — poświęcenie im całego swego życia i t. d., zresztą nawet w poszczególnych dziełach Rousseau'a znaleźćby można twierdzenia wzajemnie sobie kłam zadające, choćby w *Emilu* np., gdzie Rousseau poleca swemu wychowawcy swobodę, kształcenie się na tem, co sam zobaczy, a jednocześnie daje mu nauczyciela, który ma się nim gorliwie zajmować. Przypnać trzeba, że p. Lemaitre robi te zestawienia z nadzwyczajną zręcznością, z nadzwyczajnym humorem, z ironią, którą zresztą cała jego książka jest przepelniona, tem gorsza jeszcze dla opinii o Rousseau, że autor na każdym kroku prawie przypomina stan, w jakim Rousseau się znajdował, na każdym kroku tłumaczy, że właśnie wobec choroby Rousseau'a, wobec jego neurozy i wynikającego stąd marzycielstwa, dziwić się nie można, że

takie nierozsądne pisał rzeczy. Człowiek chory, waryat nawet, inaczej myśleć, inaczej pisać nie mógł, ale co najgorsza, że tak wielki miał wpływ na swoich następców!

Jeden kapitalny zarzut możnaby p. Lemaître'owi zrobić, ten mianowicie, że cała jego książka skierowana jest przeciw Rousseau, że omawiając złe strony w działalności pisarskiej genewskiego filozofa, zapomina o stronach jego dobrych, zapomina — wyrażenie może niewłaściwe, boć niewolno nawet przypuścić, aby taki krytyk, jak p. Lemaître zapomniiał choć na chwilę o tem znaczeniu, jakie posiadał Rousseau'a dla Francyi, ale w każdym razie te dalsze strony odsuwa na plan drugi, a przytem do tego, co Rousseau zrobił, wtrąca ciągle jego życie prywatne. Zapewne, że życie prywatne wyjaśnia w wielu wypadkach działalność pisarską, ale nie może być decydujące przy jej ocenie.

Konferencye p. Lemaître'a wywołały rozmaitego rodzaju protesty. Między innymi p. Ernest-Charles, jeden z młodych krytyków francuskich, a zarazem redaktor niedawno powstałego, ale bardzo ciekawego tygodnika literackiego *Le Censeur*, zorganizował meeting na cześć Rousseau'a; na meetingu tym, odbytym pod prezydencją ministra oświaty, przemawiało osób kilka. Cała manifestacya miała może charakter niezbyt poważny, ale ciekawą przemowę wygłosił na niej p. Ernest-Charles, przemowę, w której zaznaczył, jak należy oceniać takich wielkich mężów, jakim był Rousseau. „Oświadczamy — mówił p. Ernest-Charles — że w dziele Rousseau'a chcemy tylko uczcić prawdę, która w niem przeważa, dobro, które jest wielkie, piękno, które jest wspaniałe, a reszta powinna zniknąć z naszych oczu wobec majestatu całości.“ Albo dalej: „Nieulega wątpliwości, że Rousseau nie wyłożył w całości i konsekwentnie swego systemu. Nie ulega wątpliwości, że wskazuje on raczej tendencye, niżeli doktryny, uczucia raczej, niżeli myśli... Ale te uczucia, które go ożywiały, są naszymi uczuciami. I jest on nam bliższy, niżeli inni, ponieważ dalej niżeli inni poszedł.“

Rousseau jest, jak zauważył p. de Vogüé, źródłem wszystkich prądów politycznych i społecznych (a zarazem i literackich, w których się tamte odzywają) Francyi XIX wieku, a nie tylko Francyi, ale i Europy całej; zarówno demokracya, jak i socjalizm, anarchizm nawet, coś w sobie z Rousseau'a mają, więcej nawet, każdy z nas europejczyków, a Francuz przede wszystkim, posiada w sobie, choćby się tego wypierał, drobną bodaj cząstkę tego wpływu, jaki Rousseau wywarł. I dla tego Rousseau jest wielki,

co bynajmniej nie znaczy, iż wad nie posiadał, tych wad, o których w książce swej mówi p. Lemaître, przed którymi tak zreżownie czytelnika ostrzega.

*

*

*

Przed paru tygodniami upłynęło pięćdziesiąt lat od śmierci Alfreda de Musset. Terminu takiego z niecierpliwością wyczekują wydawcy, wedle bowiem obowiązującego prawodawstwa francuskiego dzieła autora przechodzą wtedy na własność publiczną: każdemu wolno je przedrukowywać i sprzedawać po cenie takiej, jaką uzna za właściwą. To też wystawy księgarskie przepelnione są obecnie dziełami Musseta; każdy wydawca swoje zachwala i przekłada publiczności, dając warunki korzystniejsze, bądź też ozdobniejsze wydanie niżeli inny. Mam przed sobą pierwszy tom pism zbiorowych wydania Garnier; te pisma zbiorowe mają się składać z 10 tomów ilustrowanych, opatrzonych przedmową i komentarzami p. Edmunda Biré... Ale to tylko mimochodem dla informacyi czytelników...

W rocznicę pięćdziesięcioletnią śmierci Musseta ogłasza też p. Leon Séché, kierownik przeglądu *Les annales romantiques*, monografię o wielkim poecie; *Mercure de France* wreszcie wydaje korespondencję Musseta...

Książka p. Leona Séché nietylko jest szczegółową biografią Musseta, ale zaznajamia nas również z tem środowiskiem, w jakim autor *Confession d'un enfant de Siècle* żył i pisał; cały więc szereg osób, które mniejszą lub większą rolę odgrywały w życiu poety, osób niedostatecznie albo jednostronnie tylko znanych, znajduje w p. Séché sumiennego biografę, rozporządzającego materiałami dotychczas pozostającymi w ukryciu w zbiorach prywatnych, przedewszystkiem w zbiorach hr. d'Alton Shée.

P. Séché, idąc za wskazaniem Goethego: *Wer den Dichter will verstehen, muss in Dichters Lande gehen*, zwiedził prowincję francuską *Vendôme*, z której rodzina Mussetów pochodziła, szczegółową też podał genealogię tej starej rodziny szlacheckiej francuskiej poety „o masce i duszy Włocha renesansowego.“

Spokrewniony z du Bellay'em, a więc z plejadą, mającą w rodzinie rymotwórców, nawet i ojciec Alfreda w tym kierunku miał

skłonności, młody jeszcze Musset, jakby przewidywał swoją przyszłość; oto co pisze do swego przyjaciela Faucher w 17 roku życia: „Nudzę się i jestem smutny, nie mam nawet odwagi aby pracować... Odkąd czytam dzienniki, wydaje mi się to, co piszą, wstrętne; nie wiem dla jakiego powodu, czy może dla szyderstw komentatorów, czy dla ich manii „urządzenia“ tego, co podają... Ale ja nie chciałbym pisać, albo też chciałbym być Shakespeare'em lub Schillerem, więc nie pracuję wcale... Nie mnie tutaj nie trzyma; oddałbym życie swoje za dwa sous, ileby dla pożegnania się z nim nie było konieczne przejście przez śmierć. Oto smutne rozmyślenia moje obecne. Ale wszak posiadam umysł francuski i czuję to! gdyby zjawiała się piękna kobieta, zapomniałbym o całym systemie ułożonym podczas tego miesiąca mizantropii... ubóstwiałbym ją conajmniej przez sześć miesięcy... Z wiekiem chyba dojrzeję, boć teraz zasługiwałbym na utopienie.“

Dojrzał też Musset rychło na sposób romantyczny, przeszedłszy przez klasyków mu współczesnych, zachwycając się klasykami dawnymi, Racine'em przede wszystkim. Otworzyć swoje serce, wzruszyć sercem swoim serce czytelnika, w jakiej formie, rzecz mniejszej wagi—oto jego teoria, oto uczuciowość, która raz jeszcze jaskrawiej, dobitniej w pracy p. Séché zostaje zamaniifestowana. Wobec takiej ważnej, pierwszorzędnej roli, jaką odgrywa uczucie w działalności pisarskiej romantyków wogóle, a i Musseta także, poznanie szczegółów, nawet najdrobniejszych, z życia poety pozwoli dopiero zrozumieć jego utwory i każdy sonet, każdą poezya napisana pod wpływem jakiegoś wrażenia, jakiegoś uczucia silniejszego, temi zdarzeniami da się dopiero wytłómaczyć. A w tym względzie książka p. Séché, znawcy może najlepszego poezyi francuskiej, duże oddać może usługi.

Dalej, jak już wspominałem, mówi obszernie o przyjaciółach Musseta, a więc o Alfredzie Tattet, o Ulriku Guttinger, o ks. Belgiojoso, o Royer de Beauvoir, o Feliksie Arver, o bracie wreszcie Pawle de Musset, autorze biografii pierwszej poety, biografii cennej bardzo, ale zbyt może dyskretnej i stronnej, biografii, której szczegóły niedokładne p. Séché, opierając się na dokumentach niezbitych, prostuje lub potwierdza.

Tom oddzielny tej pracy poświęcony jest kobietom, które odegrały rolę w życiu Musseta, a więc George Sand, Caroline d'Alton-Shée, ks. Belgiojoso, Rachel, Pauline Garcia, Allan-Despréaux i Louise Colet. Znajduje tutaj wytłómaczenie pobyt Musseta i Sand w Wenecyi, pobyt, który w tak rozmaity, a nieraz krzywdzący sposób dla jednej czy drugiej strony został przedsta-

wiany. P. Séché usposobieniem, charakterem, zarówno Musseta, jak i George Sand, tłumaczy w sposób usprawiedliwiający dla obojga nieporozumienie weneckie. Musset i George Sand w zgodzie żyć nie mogli, ponieważ zbyt się różnili, przytem Musset nie lubił ustępować, chciał, aby się do niego stosowano, chciał, aby kobieta, która z nim życie dzieliła, była przy nim na każde zawołanie, by nie przeszkadzała mu w niczem, kiedy humor, czy chwilowa zachcianka wzywały go gdzieindziej; ale takiego zachowania się u swej towarzyszki nie tolerował, bo był zazdrosny do przesady; obchodził się też Musset z George Sand niejednokrotnie w sposób niemiły, na co pisarka uskarżała się w swej korespondencji: „dusza jego — powiada w jednym z listów do Pagello — niema siły, ani prawdziwej szlachetności... nie utrzymuje się w godności takiej, w jakiej zachować się winien.“ Kiedy George Sand jest chora i „leży w ciężkiej gorączce,“ zamiast jej pilnować, Musset „odwiedza teatru, muzea i restauracye...“

Z innych kobiet, o których mówi p. Séché, wspomnę jeszcze Louise Colet i Rachel. Louise Colet żyła z Flaubertem, ale poznawszy Musseta, zakochała się w nim i prześladowała go nawet swoją miłością tak, że Musset musiał zapowiadać odzwiernej, izby nigdy nie wpuszczała jej do domu. Nawiasem mówiąc i Louise Colet (tak samo, jak Sand) napisała powieść na tle swoich stosunków z Mussetem i Flaubertem.

Stosunek Rachel z Mussetem z tego względu zasługuje na wzmiankę, że dzięki tej artystce Musset nabrał zamiłowania do układania sztuk teatralnych, których zresztą nigdy nie wykończył, ponieważ stosunek jego z Rachel trwał niedługo, a po jego zerwaniu Musset przestał myśleć o teatrze...

Pan Leon Séché pisał swoją książkę, opierając się na dokumentach dotychczas nieznanych; większość tych dokumentów podaje w całości, inne w wyjątkach przytacza; zestawiając je z dawniej znanymi, odtwarza to środowisko, w jakim wychował się i żył Musset—ten był cel i to jest główne zadanie książki, posiadającej wartość nie tylko dla biografii samego Musseta, ale i dla historii romantyzmu francuskiego, którym, w ostatnich kilku miesiącach, jak już widzieliśmy wyżej, a co także skonstatujemy jeszcze później, paru zajęło się krytyków literackich francuskich i to nie najgorszych.

Obok Alfreda de Musseta, inny znowu romantyk, Alfred de Vigny, przez czas dłuższy zapomniany, znalazł umięjętnego krytyka. Pan Firmin Roz wydał mianowicie o nim studyum psychologiczne—broszurkę niewielką o czterdziestu kilku stronach... Przed paru laty akademja francuska ogłosiła konkurs na napisanie studyum o de Vigny; między nadesłanemi pracami wyróżniła pracę p. Roza, która dosadnym jest tego przykładem, że niekoniecznie książka musi być obszerna, aby była dobra i ciekawa...

Alfred de Vigny, którego „działalność literacka imponuje zarówno przez swoje znaczenie, jak i przez piękno,“ wyraża najładziej, najjaskrawiej ten kryzys, jaki wywołał cały ruch romantyczny: „odosobnienie jednostki, pozbawionej oparcia, a chcącej być wolną; zawód duszy, którą nadzieja wielka poruszyła, a którą życie brutalnie odrzuca od ideału.“ Vigny wszedł w życie samotny i rozczarowany; było to uczucie ogólne, choroba wieku... Ludzkość obudzona z marzenia oderwanego od życia, podnosi swe spojrzenia w stronę nieba... Optymizm lat ubiegłych zostaje zastąpiony przez smutek.“ Te cechy rzucają się w oczy w pismach Lamartine'a, należy ich szukać, o ich istnieniu się domyśleć w poezjach i w prozie de Vigny'ego. Oto powód, dla którego współcześni nie poznali go i nie zrozumieli...

We wszystkim tem, co de Vigny napisał, istnieje pewna głębia, wielka oryginalność. „Najprzód melancholia natchnienia i nietylko ta, która wyraża uczucie wobec przyrody, wielkich ruin, majestatu horyzontów i szumu nieokreślonego pięknych samotności, ale również i ta, która się pogłębia i dopełnia w miarę rozszerzania się horyzontów życia duchowego i samotności bez końca.“ A dalej smutek przeznaczenia, zawody i rozczarowania, pesymizm. Wrażliwy, dumny, musiał de Vigny w zetknięciu z życiem być pesymistą...

„Ten romantyk, jeden z pierwszych,—pisze p. Firmin Roz—ten brat Sénancourt'a, Chateaubrianda, Lamartina, dał początek „poematowi“ bezosobowemu. Kiedy romantyzm zapragnął się rozszerzyć, zmienić, nie mógł nic lepszego zrobić, jak powrócić do koncepcyi *Poèmes auliques et modernes*... Victor Hugo w *Legende des Siècles*, autor *Poèmes barbares*, w tym względzie wiele de Vigny'emu zawdzięcza. Z drugiej strony w *Les amants de Montmorency*, miejscami w *La Sauvage*, ustęp niejeden zapowiada następców. Każdy poeta-filozof ma coś w sobie z *Destinées*.“

Powiada p. Roz na wstępie swego studyum, że dzieła Vigny'ego, nawet dla czytelników uważnych, pozostają zawsze jakby w oddaleniu, w tajemnicy, nie udzielają się, ale pociągają i za-

trzymują. To rzecz pewna, że swoją pracą p. Roz uchylił trochę tej zasłony, pozwolił poznać bliżej jednego z podoficerów szeregu romantycznego, który czasami bywał oficerem i generałem nawet, ale w wypadku ostatnim naczelnikiem dyskretnym, którego geniusz po przez innych dawał się poznawać.

*

*

*

W *Listach Paryskich* chciałbym zawsze, obok rozmaitych kwestyj, odnoszących się do autorów dawnych, ustęp jeden poświęcić pisarzom nowym, przede wszystkim tym, którzy żyją dzisiaj, albo tym, którzy wczoraj umarli, ale których wpływ w piśmiennictwie współczesnem pierwszorzędnej jest wagi. Do takich pisarzy należy autor *Fleurs du mal*, „jeden z pięciu czy sześciu wielkich poetów XIX wieku,“ jak go nazywa Remy de Gourmont w swych *Przechadzkach Literackich*.

Romantyk czy parnasista, a niezawodnie i romantyk i parnasista, Baudelaire, jest jednym z poprzedników dzisiejszego symbolizmu; naśladowców ma wielu i długo mieć ich jeszcze będzie, naśladowców niejednokrotnie „głupich,“ jak mówi Lanson, „ale wszak za to winić go nie można.“ Nie ulega wątpliwości, że w zachwytach nad Baudelairem niejednokrotnie snobizm odgrywa rolę pierwszorzędną; ludzie zdegenerowani, neuropaci, histerycy szukają w pismach jego natchnienia, szukają usprawiedliwień dla swych postępów chorobliwych... Jeszcze przed kilku laty podczas procesu barona d'Alderswald'a, wyszło na jaw, że odczytywanie poezji Baudelaire'a towarzyszyło mszom czarnym, jakie ten paniczek organizował dla siebie i swych znajomych... Są to jednak szczegóły, które w niczem nie zmieniają znaczenia, jakie Baudelaire posiadał i posiada w piśmiennictwie francuskim, a nawet europejskiem...

W ostatnich miesiącach trzy nowe książki poświęcone Baudelaire'owi pojawiły się w handlu księgarskim: Życiorys poety, napisany przed kilkunastu laty przez Eugeniusza Crepet, a uzupełniony dzisiaj przez Jakóba Crepet, z dołączeniem zbioru anegdot Asselineau o Baudelaire'ze, oraz listów do poety pisanych, korespondencya Baudelaire'a, wreszcie książka p. Cassagne teza doktorska—o wersyfikacji i metryce Baudelaire'a. Trzy te książ-

ki rzucają z niektórych względów nowe światło na autora *Fleurs du Mal*, a co najważniejsza, są jakby potwierdzeniem, zadającym kłam fałszywym legendom rozmaitym, poniekąd utartym lub uciekającym się o Baudelaire, potwierdzeniem wielkości poety, jego szczerości, szczerości jego pism...

Studyum p. Crepet jest wyłącznie studyum biograficznem, podającym najdrobniejsze szczegóły z życia poety. „Ogłoszenie takiej biografii jestto największa usługa, jaką stronnicy poety oddać mogą jego pamięci,” powiada p. Crepet i powiada słusznie: jedynie przez to poznanie życia jaknajdokładniejsze można się przekonać, czy należy się „obawiać, aby nie zostać oszukanym,” czy też można przystąpić do Baudelaire'a z całym zaufaniem, bez narażenia się na zawód jaki... Przyjrzyjmy się jednak temu życiu, w paru słowach, streśmy jego przebieg...

Urodzony w Paryżu, kilka zaledwie lat mając, stracił Baudelaire ojca; wychowywał się później w domu matki i ojczyma p. Aupick. Najprzód w kolegium w Lyonie, a później w Paryżu, kształcił się on do roku 1839, kiedy niewiadomo z jakiego powodu został ze szkoły wydalony. Od młodości mając pociąg do pióra, Baudelaire chciał być pisarzem; rodzicom, a szczególnie ojczymowi, p. Aupick, ten rodzaj zajęcia nie podobał się, to też aby rozerwać przyszłego poeę, a zarazem ułatwić mu zapomnienie aspiracyj pisarskich, wysłano go w podróż do Kalkutty; podróż ta trwała blisko rok, Baudelaire, niedojechawszy do celu, niemal przemocą wrócił do Francyi, bynajmniej nie zmieniawszy swoich dawnych zamiarów. Kiedy doszedł do pełnoletności, kiedy mógł rozporządzać spadkiem po ojcu, całkowicie oddał się piśmiennictwu, co było powodem nieporozumienia między nim a rodzicami.

Ważny wpływ na Baudelaire'a, począwszy od tego czasu, wywierała Janina Duval, mulatka, dziewczyna złego bardzo prowadzenia, pijaczka, wkrótce sparaliżowana, ale do śmierci samej przez poetę nieopuszczona, zjadająca fortunę, jaką Baudelaire po ojcu otrzymał. Inną znowu kobietą, która w życiu poety odegrała pewną rolę, była pani Sabatier... Wspominam o tych dwóch kobietach tylko, chociaż były i inne, bo one właściwie życie poety wypełniły. Mulatka — upodobanie, kaprys — przywiezione z podróży i pani Sabatier kontrast rażący z Janiną Duval, miłość więcej idealna, niespodziewająca się niczego, która w końcu z miłości zamieniła się na przyjaźń.

Pracując, odwiedzając znajomych i przyjaciół, zawsze potrzebując i poszukując pieniędzy — żył Baudelaire w Paryżu bądź w Honfleur, żył do czasu, dopóki ze wszech stron gnębiony przez

wierzycieli, nie był zmuszony do wyjazdu... Wychwalano mu Bruksellę, obiecywano zarobki wielkie z odczytów, to też na wiosnę 1864 r. pojechał do stolicy Belgii, niby na czas pewien, do chwili, kiedy interesy swe finansowe ureguluje... Dopiero jednak złożony chorobą, po pierwszych atakach paralitycznych, wywołanych ciężkimi warunkami życiowymi, a niezawodnie także i nadużywaniem rozmaitych podniecających środków, na kilkanaście miesięcy przed śmiercią przywieziony został do Paryża i umieszczony w domu zdrowia, w którym (dn. 31/VIII 1867) żywota swego dokonał, przeżywszy lat 46.

Dopełnienie do ciekawej książki p. Crepet stanowi korespondencya Baudelaire'a, wydana przez księgarnię *Mercure de France*. Większość listów, jakie zawiera, były adresowane do Poulet-Malassis, wydawcy i przyjaciela poety, a nawet współtowarzysza wygnania w Brukselli.

Kiedy się te listy czyta, jedna rzecz przedewszystkiem uderza: ciągły brak pieniędzy u Baudelaire'a, brak chroniczny; pisze o nie do matki, do swego rejenta Ancelle, najczęściej do wydawcy Poulet-Malassis, a czasami do Towarzystwa Literackiego, którego jest członkiem; żąda przysłania natychmiastowego; są to sumy najczęściej drobne, ale czasami też i większe. Powiedzieć można, że Baudelaire całe swoje życie, a przynajmniej część tego życia, przemyślał skądby pożyczyć, aby dług jaki nagły zapłacić, aby weksel wykupić. Te kłopoty finansowe nie małą odegrały rolę w chorobie Baudelaire'a, a i w potrzebie, jaką odczuwał, podniecania się sztucznego, aby pod wpływem tego podniecenia mózdz pracować.

W listach do Poulet-Malassis, niezrozumiała ciągle jest mowa o rozmaitych kwestyach wydawniczych: bądź o nowych jakichś wydaniach, bądź wymówki za niedbale zrobioną korektę, bądź groźby nawet zmiany wydawcy. Mimo stosunków przyjaznych, jakie między Baudelairem i Poulet-Malassis istniały, kilkakrotnie doszło niemal do zerwania tych stosunków...

Ale listy Baudelaire'a dają nam przedewszystkiem możność wnikięcia w duszę autora, przekonania się o jego szczerości, stawianej niejednokrotnie w wątpliwość. W r. 1866 o *Fleurs du mal* do Ancelle'a tak pisze: „Czyż trzeba Panu powiedzieć, Panu, który nie domyślił się tak samo, jak inni, że do tej książki włożyłem całe swoje serce, całą moją uczuciowość, całą moją religię, całą moją nienawiść! Gdybym powiedział co innego, gdybym przysięgał na bogów, że jestto książka sztuki czystej... kłamałbym, jak wyrывacz zębów (arracheur de dents).“

Albo w innem znownu miejscu pisze do Sainte-Beuve'a: „Kiedyś powiedziała mi pewna kobieta: To nadzwyczajne. Pan ma wygląd bardzo przyzwoity, myślałam, że Pan jest zawsze pijany i że Pan źle pachnie. *Mówiła do mnie na podstawie legendy.*“ I właśnie tej legendzie korespondencya kłam zadaje. Widzimy w niej poetę zajętego sprawami wzniosłemi, poważnemi, świadomego swej wartości, dumnego nawet, przepowiadającego sobie przyszłość jaknajlepszą, stosującego do siebie wyjątek z ody pewnej Shelleya: „Należę do tych ludzi, którzy nie są lubiani, ale których się nie zapomina. Moje *Fleurs du mal* pozostaną (resteront)...“

Powodowany tą dumą, tą pewnością siebie, Baudelaire stawiał nawet swoją kandydaturę na członka akademii francuskiej; przypuszczam, że to była mistyfikacya, albo figiel. Ale i w tym wypadku, jak to widać z jego listów, autor *Fleurs du mal* postępował szczerze: chciał być członkiem akademii, ile że uważał, iż zaliczenie w jej poczet jestto do pewnego rodzaju uświęcenie tradycyjne talentu literackiego. Naturalnie członkiem akademii nie został, ale ze starań podjętych w tym kierunku wyszedł z honorem i gdyby nie choroba i wyjazd do Brukselli, zapewne i później jeszcze kandydaturę by swoją postawił i może został mianowany członkiem...

Ciekawe i pouczające co do stosunków prasowo-literackich są listy Baudelaire'a, odnoszące się do epoki jego procesu w sprawie *Les Fleurs du mal*. *Figaro* umieściło o książce tej notatkę, która wzbudziła podejrzenie co do jej prawomyślności. Skonfiskowano nakład, wytoczono proces autorowi i wydawcy. Baudelaire pisze do ministrów list, w którym wykazuje moralne strony książki, prosi o protekcyę Edwarda Thierry. „Nie jestem zupełnie winny; przeciwnie, jestem dumny, że napisałem książkę, która przepelniona jest wstrętem dla złego.“ Adresatowi wskazuje wyjątki z pism innych autorów (Lamartine'a, Berangera), gorsze daleko od *Fleurs du mal*, a jednak nie prześladowane. (Zbiór dokumentów do procesu Baudelaire'a podaje p. Crepet w swej biografii, str. 227—234: artykuł *Figaro*, notatkę Sainte-Beuve'a bardzo dowcipnie zredagowaną, w której znakomity krytyk daje do zrozumienia, że oskarżenia Baudelaire'a nie podziela, wreszcie instrukcyę Baudelaire'a dla adwokata. „Książka ma być sądzona w całości, a wtedy wypłynie z niej straszny sens moralny (terrible moralité).“ Baudelaire'owi wytoczono proces o trzynaście tylko poezyj, sądzono każdą oddzielnie. „Błąd mój jedyny—ciągnie dalej—był ten, że zbyt liczyłem na inteligencyę czytelnika; trzeba

było poprzedzić książkę wstępem i wyłożyć w nim swoje teorye literackie, wyświetlając tak ważną kwestyę, jaką jest moralność...“

Że Baudelaire, pisząc *Fleurs du mal*, był szczerym, dzisiaj, po wydaniu jego korespondencyj, po ogłoszeniu biografii uzupełnionej najnowszemi badaniami, wątpić nie można. Te dwa wydawnictwa nietylko bliżej pozwalają poznać działalność pisarską wielkiego poety, ale także ułatwiają poznanie Baudelaire'a, jako człowieka. Baudelaire, jako człowiek, na nich zyskał, co tembardziej jest pocieszające, że wpływ jego bynajmniej nie ustał, jakto już wspominałem, a trwa ciągle — i trwać długo jeszcze będzie.

Na zakończenie słów parę powiem o książce p. Cassagne p. t. *Wierszowanie i metryka Baudelaire'a*. Traktuje ona, jak zresztą sam tytuł wskazuje, o jednej tylko stronie, że tak powiem formalnej, formie poety, i oto do jakich dochodzi wniosków:

„Baudelaire jest bardzo miernym rymotwórcą (rimeur) z powodu braku giętkości syntaktycznej, a więcej jeszcze z powodu słabej wynalazczości, odnoszącej się do wyrazów.“ Uległ jednak, tak samo, jak inni, prawu romantyzemu, rymu najbogatszego (rime richissime), a skoro uległ, to dla tego, że narzucił mu się ten rym tak silnie, iż nie mógł go nie przyjąć. Baudelaire był niezależny, niesforny, niezłęczony, chorobliwy nawet w poszukiwaniu nowości. Pragniemy, pisać:

Plonger au fond du gouffre, Enfer ou Ciel qu'importe?
Au fond de l'inconnu, pour trouver du nouveau.

Nie był człowiekiem, któryby się mógł zaspokoić istniejącymi formułami, czy przepisami, szczególnież o ile go krępowały. Chociaż ustąpił we względzie rymu, starał się powetować we względzie rytmu. Ambycją jego było wyemancypowanie się z pod wpływu istniejących form poetyckich. Tendencya romantyków, mająca na widoku zbliżenie poezyi do prozy, silniej u Baudelaire'a występuje niżeli u innych. Baudelaire nie stworzył jednak metryki nowej, dał raczej wskazania, jaką drogą iść należy do jej stworzenia, dał wskazania dla tych, co po nim nastąpili i nastąpią.

Praca p. Cassagne zbyt jest specyjalna, abym się nąd nią dłużej rozwodził: to też poprzestanę na tych kilku uwagach, które uważałem za potrzebne choćby ze względów czysto informacyjnych.

KAZIMIERZ WOŹNICKI.

MARLOWE i MICKIEWICZ.

(Przyczynek do genezy III-ej części „I ziadów“).

Marlowe jest jednym z t. zw. „poprzedników Szekspira“, do których należeli: Nash, Kyd, Lyly, Greene i Peele, i wśród nich bezsprzecznie najgenialniejszy. Z całą świadomością występował on przeciw starym formom, a tworzył nowe, z całą wiarą i zapalem rzucał fundamenta pod wielki gmach szekspirowskiego dzieła. Do Marlowe'a, albo raczej do całej epoki „predecessors of Shakespeare“ nie było w Anglii właściwego dramatu — były jak wszędzie moralitety i misterya, były uscenizowane pamflety polityczne, były widowiska nakształt żywych obrazów z krótkimi dyalogami lub monologami, były wreszcie graniczące najbliżej z dramatem interludya. Na scenie jedynie, bez żadnych zastrzeżeń i ograniczeń panowała allegorya. Marlowe był jednym z pierwszych, którzy zerwali z tą tradycją. Wprowadził na scenę ludzi, uposażył ich w prawdziwe namiętności, kazał im cierpieć prawdziwe bóle i przechodzić prawdziwe zawody, sprowadził scenę z obłoków na ziemię, za zadanie uznał nie roztrząsanie ascetycznych, o zaświaty potrącających pytań, ale malowanie życia takiego, jakie widział wkoło siebie.

Ale Marlowe nie miał w tym kierunku poprzedników, nie miał wzorów do oblekania w formę dramatyczną ludzkich dążeń i rozczarowań, lotów i upadków, buntów i klęsk. We wszystkich jego postaciach znajdujemy jakieś resztki alegorycznego charakteru z wcześniejszych sztuk — każdy z jego bohaterów posiada jeden charakterystyczny rys, podniesiony do najwyższej potęgi — to nadaje im pewną nadnaturalność, to są nadludzie lub ludzie na miarę takich zapędów, jakie szarpały piersią Marlowe'a. W „Ta-

merlanie“ mamy nieograniczoną żądzę panowania; w „Żydzie z Malty“ odgrywa się tragedia nieograniczonego pożądania zemsty; „Faust“ dla nieograniczonego pragnienia wiedzy i używania życia, oddaje duszę. W słabszych dramatach, w „Edwardzie II“ widzimy postać młodego Mortimera, który o koronie królewskiej marzy, a w „Rzezi Paryskiej“ wygłasza ks. Guise zdanie, które charakteryzuje już nietylko wszystkich bohaterów marlowe'owskich dramatów, ale i samego autora:

Tęgo pragnę najwięcej, co wysoko nademną się unosi.

Oprócz jednego zasadniczego rysu w każdej postaci, nie spotykamy w jej rysunku psychologicznym żadnych ubocznych szczegółów. Marlowe'a nie stać jeszcze zupełnie na walki wewnętrzne w rodzaju Othella, Leare'a czy Hamleta, jak nie stać go jeszcze na prawdziwą dramatyczną budowę. Przeciż i pod tym względem ma on duże znaczenie. Nie pozwolił dramatowi angielskiemu, który wtedy pierwsze zaczął stawiać kroki, pójść za wzorami współczesnego francuskiego klasycznego teatru, ale wskazał mu własną jego drogę t. zw. romantycznego dramatu. Jego dzieła sę wcieloneu zaprzeczeniem trzech jedności, nawet co do akcji. Zamiast niej znajdujemy prawie wszędzie u niego szereg epizodów, połączonych postacią bohatera. Marlowe dramaty swoje pisał jedynie dla wielkich postaci, którym podkładał swoje burzące murzenia i nieograniczone zapędy—może zresztą zupełnie nieświadomie—i starał się pokazać nam siłę tych postaci w różnych chwilach, a te chwile odsłania na scenie jedne po drugich, nie troszcząc się o ich związek dramatyczny między sobą.

Ale ta niedoskonała budowa powstała ze świetnego materiału, który niedługo potem ręce genialniejsze użyją na wybudowanie wspaniałego gmachu. W tych samych rękach biały wiersz, wprowadzony przez Marlowe'a, a umiejący w jego dramatach wyrażać tylko patos i silne namiętności, stanie się instrumentem, zdolnym oddać najgłębszą filozofię ludzkich myśli.

Marlowe i Mickiewicz — zestawienie conajmniej dziwne ze względu na epoki, narody i prądy. A jednak między głównymi utworami tych poetów, między „Doktorem Faustem“ a III-ią częścią „Dziadów“ znajdziemy dużo pokrewieństwa, co więcej, może znajdziemy ślady wpływu bezpośredniego starej angielskiej tragedyi na romantyczny dramat polski. Mówić jednak o wpływie Marlowe'a na Mickiewicza jestto narażać się na niebezpieczeństwo budowania na niesłychanie kruchych fundamentach.

Żadnej wskazówki wprost nie można, jak dotychczas, znaleźć, że Mickiewicz wogóle Marlowe'a znał; można jednak, opierając się z jednej strony na samej III-iej części „Dziadów“, z drugiej, biorąc pod uwagę mniej lub więcej pewne zewnętrzne ewentualności, dojść do przekonania, że pierwsze dramatyczne opracowanie sagi faustowskiej nie pozostało bez wpływu na utwór Mickiewiczowski.

O stosunku „Dziadów“ do najlepszego opracowania Faustowskiej sagi, pisał prof. Kawczyński w rozprawie: „Dziadów część trzecia w stosunku do romantyzmu francuskiego,“ gdzie mówi o możliwości wpływu ostatniej sceny II-iej cz. „Fausta“ na pomysł suu Ewy i gdzie zestawia bardzo szczegółowo pokrewne motywy improwizacyi z motywami monologu i sceny z Duchem Ziemi (Erdgeist) z „Fausta“, zaznaczając jednak silne różnice między bohaterami tych dwóch arcydzieł. Na stosunek „Dziadów“ do „Fausta“ Marlowe'a, zdaje mi się, nikt dotychczas nie zwracał uwagi, jak wogóle o Marlowie nic u nas dotychczas nie pisano.

„The Tragicall History of Doctor Faustus,“ która cieszyła się wielkiem powodzeniem za swoich czasów, nie straciła go i w późniejszych latach; w XVIII w. przedrukowano ją w sławnym zbiorze Dodsley'a (1744), w XIX w. liczy ona już wydań 13, z których dwa (1818 — 26 Oxberry, 1826 Robinson) przypadają przed wydaniem III-iej cz. „Dziadów.“ W r. 1818 ukazał się jej niemiecki przekład przez Wilhelma Millera ¹⁾. Wogóle zajmowano się nią dosyć w Niemczech dzięki „Faustowi“ Goethego, który chciał nawet tragedję Marlowe'a tłómaczyć, zanim zaczął swoje arcydzieło ²⁾. Właśnie ten utwór Goethego na którego przedstawieniu był Mickiewicz w 1829 r. w Wejmarze i który tak krytykował przed Odyńcem, mógł skierować go do poznania Marlowe'a. Jeśli jeszcze nie w Rzymie, to potem w Dreźnie nastąpiła się

¹⁾ Dictionary of National Biography, T. XXXVI, str. 184.

²⁾ Ibidem.

do tego dobra sposobność. Był to właśnie okres następujący bezpośrednio po śmierci Goethego, gdy świeżo ukazała się pierwsza część „Fausta,” w wydaniu „der letzten Hand,” a miała zaraz wyjść druga (w grudniu 1832), kiedy więc myśli literackiego świata musiały być tem do pewnego stopnia zajęte.

Takie to są tylko bardzo wątpliwe dowody, które można przytoczyć z zewnątrz, z po za dzieła, na poparcie twierdzenia, że i Marlowe ma swoją czastkę wpływów w „Dziadach.” Czastkę — bo z góry zaznaczyć trzeba, że wpływ ten, jeśli był, ogranicza się do niewielkiego zakresu, do jednego ważniejszego motywu i paru podrzędnych — ciekawy jest jednak przez sam fakt swego istnienia, przez to, że ów motyw ważniejszy wprowadzony do poematu, rozbił — jak będę się starał dowieść — jego kompozycję pierwotną, a raczej przyczynił się do dzisiejszego układu „Dziadów.”

Motyw to stary, jak zasięgnie ludzka pamięć, a odnaleźć go można we wszystkich okresach dziejów ducha ludzkiego. O najcenniejszą na ziemi rzecz, o duszę ludzką, walczą potęgi dobre i złe od stworzenia świata, by ją przeciągnąć na swoją stronę, by ją zrobić uczestniczką swojej niedoli lub szczęścia. W rozmaitych epokach pojmowano tę walkę rozmaicie, głębiej lub mniej filozoficznie; jeżeli w księgach Joba znajdziemy człowieka jako ofiarę sporów między dwiema mocami (abstrahując naturalnie od potęgi charakteru Joba i patrząc na niego jedynie pod kątem widzenia właśnie tej walki) to np. u Marlowe'a widzimy, że cały ciężar winy spoczywa na samym człowieku. W „Tragicznej Historii Doktora Fausta” są dwie główne nici osnowy. Jedną z nich to dążenie Fausta do nadczołowieczeństwa, do wyrównania Bogu we władzy i używaniu życia. Rozważając we wstępnym monologu wartość każdej nauki i wspominając, że swymi przepisami lekarskimi uratował całe miasta od zarazy, skarży się, że „przecież wciąż jest Faustem tylko i człowiekiem,” przeto oddać się chce Magii, gdyż wtajemniczony we wszystko magik jest potężnym bogiem.“

Drugi wątek w treści „Fausta” stanowi walka o jego duszę. Są tu dwie sfery duchów. Jedną, którym on zapisał duszę za 24 lata używania życia bez ograniczeń, są to z ludowej sfery i z apokryfów dyabli: więc Mefisto, więc Lucyfer i książę piekieł Belzebub. Nie one wiodą na pokuszenia (przynajmniej drobne), nie one podsuwają obrazy rozkoszne dla ułomnych śmiertelników, ale przychodzą, kiedy dusza już znękana, doprowadzona do rozpaczy,

przejęta duchem buntu, bluźniąca nawet Bogu ¹⁾. Takie zmiany w duszy, stworzonej na obraz i podobieństwo Boże, dzieją się wskutek podszeptów duchów z innej sfery, które noszą u Marlowe'a miano złych aniołów „bad angels,“ a których wiernymi towarzyszymi są zawsze duchy dobre, „good angels.“ W ten sposób, najodpowiedniejszy swojej średniowiecznej duszy, lubującej się w symbolach, przedstawia Marlowe dobrą i złą stronę duszy ludzkiej, żądzę i świadomość grzechu, pęd ku rozkoszy i sumienie. Zjawiają się aniołowie: dobry i zły, wiele razy w momentach dla Fausta najważniejszych — a więc gdy rozważa naukę czarnej magii i poświęcić się jej zamierza, przed wezwaniem ostatecznem Mephostophilisa lub kiedy rozpacza, że jest zgubionym na wieki wieków, wreszcie gdy opiera mu się Mefisto, nie chcąc odpowiedzieć, kto stworzył świat. I zawsze, stosownie do swojej natury, tylko radzą, tylko zachęcają albo do wytrwania w nauce czarnoksięskiej, lub do pokuty — są to tylko podszepty natury, a Faust ma wolne ręce i może wybierać między zbawieniem i zgubą. Nie mają nad nim żadnej władzy, bo są w nim i są nim — zła wola i dobra wola. A wreszcie, gdy pomimo próśb i nawoływań dobrego anioła, mimo zapewnień, że na pokutę jego nigdy nie jest zapóźno, Faust uląkł się gróźb, usłuchał rad swego złego anioła i skazał się na męki piekielne, zjawiają się obaj po raz ostatni, w godzinę jego śmierci i przed oczy stawiają mu dwa obrazy przyszłości: jeducej, uwielbionej, gdyby szedł za swoją dobrą wolą — drugiej, strasznej, która go za 24 lata rozkosznego życia czeka przez wieki.

Do tej sfery duchów należy też i „stary człowiek“ („old man“), wcielony głos Boży lub może naprawdę jakiś święty pustelnik o mistycznym charakterze średnich wieków, który Fausta upomina jak ojciec, wystawia mu przed oczy przyszłość, która go czeka, a kiedy Faust w rozpacz chwyta za sztylet, podawany mu przez wiernie przy nim stojącego Mefista, wstrzymuje go w samobójczym zapędzie i obiecuje szczęście, jeżeli Faust zacznie pokutę. Lecz Fausta, którego słabość, jako człowieka, maluje in-

¹⁾ „... Kiedy usłyszyny kogoś,
Jak Imię Boga znieważa i pisma
Wyrzeka się i swego Zbawiciela,
Lecimy zdobyć duszę żądną chwaly.
Ale nie wcześniej, aż się chwyci środków,
Które jej grożą wiecznem potępieniem.

taicyjnie Marlowe nadzwyczaj szczęśliwie, przeraziły znów groźby Lucyfera, że mu w sztuki poszarpie jego duszę—więc rzuca myśl pokuty, poddaje się szatanowi, każe dręczyć nawet „starego człowieka“ wszystkimi mękami, jakich tylko piekło dostarczyć może, za jego namawianie do pokuty. Ale Mefisto nie ma dostępu do duszy starego męża, gdyż za silnie ona wierzy i udręczenia ciała nie zdołają wyrzucić na niej żadnego wpływu.

Wyraźnie więc u Marlowe'a odrzynają się od siebie te dwie sfery duchów, zewnętrzna i wewnętrzna, w zakresie swego działania. Mefisto i Lucyfer pilnują duszy Fausta, pomagają mu do zguby czynnie, wszak ten pierwszy podaje mu sztylet w chwili rozpacz, przynosi ogień do rozgrzania krwi skrzepłej na ramieniu przed podpisywaniem cyrografu, Lucyfer straszy Fausta swym dzikim wzrokiem. Duchy z drugiej sfery, „aniołowie“ (dobrzy i źli) są tylko doradcami, a jeżeli np. zły duch grozi, to groźba jego wspomina o dyablach, iż go rozedrą, on sam nie będzie w tem mieć udziału. „Stary człowiek“ jest do pewnego stopnia przeciwnikiem wpływu Mefista, lecz również żadnej władzy niema. Na tem zyskuje niezawodnie tragedia, staje się głębszą i więcej interesującą ze względu na możliwość wyboru Fausta i ta rola tych duchów dominuje do tego stopnia w dramacie, że zapominamy prawie o złych wpływach Lucyfera i Mefistofelesa i karę Fausta uważamy za sprawiedliwą.

Takie sama dwie sfery duchów: zewnętrzna i wewnętrzna, które Marlowe przejął z wcześniejszych średniowiecznych moralitetów angielskich, spotykamy w III-ej cz. „Dziadów“. Samo pojawienie się podobnych motywów w obu utworach bynajmniej jeszcze nie dowodzi wpływu Marlowe'a, ale sposób, w jakim motyw został przez Mickiewicza opracowany i stosunek jego do całości utworu daje pewną podstawę do postawienia tak hazardowej hipotezy.

Z duchami spotykamy się u Mickiewicza przedtem za często. Wiara w nie, jedno z przykazań romantyki, przechodzi u niego różne fazy, od bardzo naiwnej do bardzo głęboko mistycznej. Nigdy jednak wiara ta nie popada w takie ekstrawagancje, jakie zdarzały się u romantyków np. niemieckich, nigdy u niego nie mają duchy takiego bezpośredniego wpływu na ludzi, jak chociażby u Waltera Scotta. W balladach pierwiastek ten jest jeszcze najsilniejszy i najłatwiejsze są do pojęcia przyczyny istnienia jego w takim stopniu. W „Ucieczce“, „Rybce“ czy „Liliach“ idzie młody poeta za poezją niemiecką, za wiarą ludową. Stąd też w nich duchy są pojęte w tem najpierwotniejszym przedstawi-

niu, jako zwiastuny lub wykonawcy kary nadnaturalnej. Ciekawa swoim odwrotnem pojęciem jest „Dziadów“ część II-ga. Tam duchy nie tylko nie mają na ludzi żadnego wpływu, ale ludzie niosą im pomoc i pociechę. Do nich, do ludzi, zbiegają się potępieni i duchy szukające napróżno drogi do raju. Tak więc wytwarza się w duszy poety pojęcie związku najściślejszego między tymi, co są, i tymi, co byli pomiędzy światem zjawisk a światem, który my nazywamy światem cudów. Wiara ta jednak nie wydaje się naprawdę szczerą, jest raczej poetycznym środkiem. Wprawdzie Gustaw w IV części mówi do księdza:

Gdyby z twych oczu ziemskie opadło nakrycie,
Obaczyłbyś niejedno w koło siebie życie,
Umarłą bryłę świata pędzące do ruchu.

Pamiętajmy jednak, że zaraz po tych słowach następuje wezwanie Gustawa do dzieci: „Chodźcie pod kantorek“ i niefortunny „głos z kantorka.“ Wygląda więc to wszystko raczej na powtarzanie zasad, przejętych z romantyki niemieckiej, powtarzanie tylko ustami, gdyż te artykuły romantycznej wiary nie stały się jeszcze istotą duszy Mickiewicza. Mało tu jeszcze ciepła, które ma każda głęboka, naiwna wiara, a mistycyzm dość powierzchowny.

Inaczej jest w III-ej części „Dziadów“ — tam po raz pierwszy przebijają się ów nastrój mistyczny, który miał się stać główną treścią duszy Mickiewicza w jego późniejszych latach. Wystarczy porównać w tym celu ostatnią scenę „Dziadów“ III-ej części z obchodem „Dziadów“ w II-ej części. Tu i tam ta sama chwila i miejsce — cmentarz i kaplica — północ, granica dnia i Wszystkich Świętych i Zaduszek, pełna tajemnic godzina — tak samo guślarz i pasterka, tylko tłum pozostał w głębi, aby nie mącił nastroju. Zjawiają się duchy Doktora i Bajkowa, które sprawiają na widzu większe wrażenie, niż widziadła z drugiej części. Być może, że do tego przyczynia się i to, żeśmy Doktora i Bajkowa znali za życia — czuć jednak, że poeta wierzył w to, co pisał teraz, silniej, niż przy podobnym opisie, wcześniejszym o lat dziesięć — i choć upiory te wprowadzone są jedynie dla pokazania Konrada na końcu sceny, lub po części dla połączenia „Dziadów“ III-ej części z poprzedniemi; już sam sposób opracowania, że nie zjawiają się wywołane, lecz same, że ludzie nie niosą im pomocy, nadaje im mistyczny czar; przynoszą one z sobą powiew innego, naprawdę nadnaturalnego świata, który możemy przeczuć w snach i w mistycznych tylko chwilach widzieć niemal na jawie, a w której poeta wierzy i w którego wiarę w nas przelewa.

Nie o tych jednak duchów mi chodzi — są to tylko upiory. Należąc widocznie jedynie z konieczności do „Dziadów“, nie odgrywają w nich żadnej roli. Przytoczyłem je tylko dla wykazania tego pogłębienia i przekształcenia Mickiewiczowskiej wiary, które także widać w owych dwóch sferach nadnaturalnych postaci w całym poemacie, analogicznych do dwóch sfer duchów angielskiego poety, o których wyżej była mowa. Są to „głosy z prawej i lewej strony“, odzywające się w Improwizacji i „duchy z prawej i lewej strony“, występujące w prologu i w scenach po Improwizacji. Role ich odróżnić łatwo — „głosy“ symbolizują walkę wewnętrzną Konrada — „duchy“ toczą walkę o duszę więźnia. Przy bliższem rozpatrzeniu wychodzą na jaw silne niekonsekwencye w traktowaniu motywu duchów ze sfery zewnętrznej. Jeszcze silniej będą one występowały, gdy przypomnimy sobie, że dzisiejszy Prolog był pierwotnie sceną IX-tą. Najlepszy rękopis „Dziadów“ cz. III-ej doszedł do nas, jako przygotowana do druku przez Domejkę kopia. Sceny idą w niej w dzisiejszym porządku, niema jednak prologu, który odnajdujemy jako scenę IX-tą.

Rozważając więc możliwe wpływy na genezę i rolę motywu duchów w „Dziadach“ cz. III-ej, trzeba koniecznie zupełnie osobno zająć się grupą scen, odnoszącą się do Konrada, t. j. sceną I, Improwizacją, sceną dyabłów, po niej, sceną wypędzania czarta i sądem Bożym, a osobno rozważyć scenę IX-tą, która zjawia się zupełnie sama dla siebie, oddzieloną grupą scen wileńsko-warszawskich, dla obecnego tematu nie mających prawie żadnego znaczenia. Potem dopiero można wskazać, jakie znaczenie ma napisanie sceny IX-ej dla całego poematu i jak przyczyniło się do zbudowania ostatecznej artystycznej całości.

Z rękopisu Domejki widać zupełnie wyraźnie, że „Dziadów“ cz. III-ia narastała powoli i stawała się konglomeratem różnych pomysłów, z których jednym było wprowadzenie duchów i walki o duszę Konrada — pomysł nasunięty mu, według wszelkiego prawdopodobieństwa, z zewnątrz, a tak niespojony, że sprzeczny nawet z całością, pomysł, który Mickiewicz mógł zaczerpnąć z Marłowe'a. Aby wykazać to obce pochodzenie motywu, trzeba przejść całą rolę

duchów nie w obecnym układzie „Dziadów“ (choć i tak znajdziemy niekonsekwencyę), ale w takim, jaki był w pierwotnym rękopisie, a nawet już i w wyżej wspomnianej kopii rękopiśmiennej Domejki.

W scenie więziennej o duchach nie słyszymy nic — są pieśni i opowiadania, bolesne, okropne, wspólne nad losem ojczyzny narzekania. O duchach nie mówi nikt. Dopiero pod koniec nastrój zaczyna się zmieniać, staje się posępny odblaskiem innego, przerażającego świata. Poeta jak gdyby chciał nam dać wskazówkę, że Konrad zaczyna się dostawać w moc szatana, umieszcza te słowa: „Konrad zamysła się,“ w środku opowiadania kaprała, a kiedy wybucha pieśnią, wtedy stary kapral, intuicyjną wiarą odczuwający, że z Konradem dzieje się coś złego, wydaje o niej wyrok: „to jest pieśń szatańska.“ Jestto pieśń zemsty, dochodzącej do szafu, pieśń dysząca takim uczuciem, jakim może być przejęty tylko szatan. Więc przez usta jego przemawia już zły duch, więc Konrad został już opętany. I ten sam szatan unosi go nad obłoki, nad ziemię wysoko, skąd on ogląda całą przeszłość i przyszłość. Tutaj jednak zakrywa mu oczy mara kruka, zesłana przez tego samego ducha, który z jego uczuć robi sobie igraszkę.

Ale przypuśćmy, a przypuścić trzeba ze względu na wielką Improwizacyę, że pieśń i loty małej Improwizacyi nie są jeszcze wynikiem opętania (nie znając prologu nie możemy nawet podejrzewać jakiegokolwiek udziału świata nadnaturalnego), to i tak zostaje niekonsekwencya między sceną pierwszą a następnymi; tu chodzi tylko o zemstę, o dalszy ciąg wallenrodyzmu (bo jakkolwiek w małej Improwizacyi przebija się już uczucie pychy Konrada, wiemy jednak, że ten ustęp był już napisany po wielkiej Improwizacyi ¹⁾), — tam będzie mowa tylko i jedynie o pysze. Z wybuchem Improwizacyi pomysł pierwotny wyklęcia wallenrodyzmu zatamuje się, ale resztki jego pozostały i nie zdołały się zupełnie stopić z nowym kruszcem Improwizacyi.

Improwizacya była czemś zupełnie odmiennem od całych „Dziadów“ — to nie były impresye i uczucia poety w takiej a takiej chwili, ale wypowiedzenie całej swej istoty najgłębszej, wszystkich swych pożądań i marzeń życiowych, najskrytsza myśl i najtajniejsze uczucie, które razem tworzyły jego geniusz. Improwizacyę snuł poeta ciągle, świadomie i nieświadomie, przez *Żeglarza*, *Farysa* i prometejskie marzenia w Rzymie, ale do ostatecznego

¹⁾ Kallenbach: O Improwizacyi Konrada, Lwów, 1890, str. 23.

jej wypowiedzenia się naturalnie przyczyniły się popowstańcze troski i wspomnienia, cały ból pojęzysty, skrzystalizowany w pierwszej scenie III-ej części *Dziadów*. Dla tego nie razi nas Improwizacya swoją odrębnością od sceny pierwszej, bo dramat narodowy stał się naprawdę powodem dramatu osobistego, dramatu najwspanialszego.

Tutaj spotykamy się po raz pierwszy z duchami — nie, to nie są jeszcze duchy, tylko dwa głosy: z prawej i z lewej strony. Jako środek artystyczny wywierają niezrównany efekt, przerywają płomienny monolog, pozwalają nam, porwanym strumieniem uczuć Konrada, odpocząć, zarazem zapewniają chwile ciszy i oczekiwania. Przedstawmy sobie, że te głosy odzywają się razem — oto w duszy poety odbywa się zupełnie nieświadomie walka dobrych i złych stron natury ludzkiej gdzieś, gdzieś w najtajniejszych jej głębiach — te głosy rozchodzą się w odstępach improwizacyi, jak gdyby jej echa w duszy, wywołane potężnymi słowami Konrada, rzuconymi w niebo i nadają mu piętno prawdziwego człowieczeństwa. To nie jest tytan ani półbóg, który bez skrupułów idzie walczyć z bogami, bo jest im równy, ale człowiek, który chce im dorównać, a sam równocześnie przechodzi w duszy walkę, bo czuje, że porwanie się jego na rzecz tak wielką, jest szaleństwem wobec małości i słabości człowieka, a ten charakter człowieczeństwa dodaje mu właśnie jeszcze większego blasku bohaterstwa i jeszcze silniej maluje potęgę jego ducha, jeszcze jaskrawiej zaznacza ironię ludzkich losów.

Zakończenie Improwizacyi jest niespodziewane — ostatnie słowo pada z ust szatana. Złe duchy ze sfery zewnętrznej unosiły się więc blisko gdzieś w powietrzu, tuż przy nim, czekały, aż powie bluźnierstwo, aby go porwać. A może on mówił za ich podszeptem? może już był przez czarta opętany? P. Artur Górski w artykule „Improwizacya“ ¹⁾ mówi, iż Konrad mdleje, usłyszawszy wykrzyk szatana, gdyż poznał, że jest jego igraszką. Sądziłbym, że Konrad pada z nadmiaru bólu, ponieważ musi takie bluźnierstwo rzucić, ponieważ musi tak wołać, on, który jeszcze szczątki wiary, jako ostatnią deskę ratunku, zachował, ponieważ widzi, że i to nawet traci — mdleje z przerażenia, że doszedł do tego kroku, z wyczerpania rzeczywiście nadludzkiego. Gdyby Konrad był już opętany przez szatana, nie miałaby racyi ta *walka głosów z prawej i lewej strony*, czy ją ktoś uzna za wewnętrzną w duszy, czy też

¹⁾ „Biblioteka Warszawska,” 1906, wrzesień.

nawet za zewnętrzną świata nadprzyrodzonego. (Sądzę jednak, że należy uważać ją za wewnętrzną, gdyż Mickiewicz wyraźnie oddziela „*duchy* z prawej strony,“ które odzywają się w prologu i w czasie kłótni dyabłów nad zemdlonym więźniem, od „*głosew* z prawej strony“ podczas Improwizacji). Bądź co bądź, walka ta nie miałaby racyi, gdyby Konrad był już w mocy szatana zupełnej. Ale w następnej scenie przyjdzie ks. Piotr i będzie z niego wyrzucał czarta, który „włazł — jak sam przyznaje — niezgrabnie w tę duszę.“ Więc między Improwizacją a zjawieniem się pokornego i cichego braciszka musiał nastąpić moment, w którym znękana dusza poety popadła zupełnie w ręce księcia piekieł. Jakąż nam poeta daje w tym względzie wskazówkę?

W dramacie znajdujemy tutaj scenę duchów z prawej i lewej strony, a raczej tylko rozmowę dwóch dyabłów, gdyż *duchy* z prawej strony występują tylko raz jeden. Można by uznać za ten decydujący moment jedno z dwóch miejsc w tej scenie, pierwsze lub ostatnie jej słowa. Zaczyna się ta scena słowem: „*Carem*,“ rzuconym przez szatana. Błuznierstwo to błąkało się po myślach Konrada nieświadomie, ale równie nieświadoma trwoga przed grzechem i resztki wiary zatrzymały go na samym brzegu przepaści — niecierpliwy szatan wymówił słowo za niego i tym swoim krokiem ściga na siebie ostre wyrzuty drugiego dyabła, że „wypuścił w pół drogi“ taką zdobycz:

Ty bestyo głupia!

Nie pomogłeś mi słowo ostatnie wyrzygnąć,
Jeszcze o jeden stopień w dół go podźwignąć.

Wyraźnie więc Konrad był kuszony, ale nie opętany (był kuszony z zewnątrz, jeżeli tego terminu można użyć na oznaczenie różnicy między słowem, zwanem pokusą, a opętaniem, różnicy, polegającej na udziale wolnej woli człowieka) — dalej widać z tych słów, że jeszcze podczas kłótni dyabłów nie popadł w ich moc. To dzieje się dopiero w samym końcu sceny.

Pop, klecha! Przyczajmy się i schowajmy rogi!

wola ten sam szatan, który rzucił był słowo: „*Carem*,“ widząc nadchodzącego ks. Piotra. Wejście więc czarta w duszę więźnia jest conajmniej przypadkowe — gdyby ks. Piotra nie był przyprowadził kapral (i to kapral, przerażony pieśnią zemsty i małą Improwizacją), nie byłby teraz szatan opętał Konrada, szukając schronienia przed księdzem. Czy ma prawo wejść do duszy zbun-

towanego wieszczą? Jeżeli rozsądzać według ludowej wiary, której zasady były obowiązujące dla poetów romantycznych, ma zupełnie prawo — według niej bowiem szatan znajduje przystęp tylko do ludzi grzesznych, którzy albo Bogu bluźnią, albo się go zapierają — Konrad zaś zgrzeszył w Improwizacji ciężko, chociaż bluźnienia nie doprowadził do ostatecznych granic. Ze względu jednak na artystyczną budowę całości, szatan do duszy Konrada prawa niema. Scena bowiem wypędzania czarta jest dzisiaj tylko epizodem. Jako całość dla siebie jest bardzo piękna, jako część całości rozrywa ogólną budowę i mąci jasny pogląd na Improwizację.

W chwili, gdy ks. Piotr odprawia egzorcyzmy, padają z ust Konrada słowa, przypominające Improwizację — to wszystko, co woła ku Rollisonowi, to wszystko, co mówi o swoim oku, przebijającym mury i wywołującym pośrednio śmierć młodego chłopca, odnosi się najwidoczniej do opiewanej w Improwizacji siły wzroku nad przyrodzeniem, nad gwiazdami i ptakami, chociaż początek tego wstępu: „Nie! oka mi nie wydarł, mam to silne oko!“ jakkolwiek wyraźnie odwołuje się na jakieś przeszłe zdarzenie, może równie dobrze być zastosowane i do małej improwizacji. W każdym razie są to już słowa szatana, który, według słów ks. Piotra, krzyczy „przez usta Konrada, jak stulejczyzna żmija.“ Refleks, który one rzucają na Improwizację, stanowczo nie rozjaśnia stopnia winy Konrada w jego wypowiedzeniu, owszem, zaciemnia sprawę, nasuwając wątpliwości co do udziału wolnej woli poety w buncie przeciw Bogu. Szatan wstąpił w duszę Konrada po jego grzechu, przez usta jego nie bluźni zupełnie, uchodzi przed jakimkolwiek rozwiązaniem sprawy. Ani ofiara ks. Piotra, który przyjmuje na siebie grzechy Konrada, ani sąd Boży, nie pozostają w najdalszym stosunku do opętania Konrada. Tak więc jest ta scena wypędzenia czarta tylko epizodem, ale nie rozjaśniając, owszem, zaciemniając pogląd na Improwizację, traci swoje prawo do zostawania w ogólnej budowie poematu, nawet jako epizod, gdyż ten tylko do objaśnienia powinien służyć.

Ale w tej ofierze ks. Piotra i w tym sądzie Bożym kryje się inna niekonsekwencja w stosunku do sceny tej. Choć i ksiądz Piotr i sam Konrad mówią o grzechach, które „są już tam wykute,“ w czem przebijają się jego mniemanie, że na pokutę już zapóźno, wszystko to odnosi się jedynie do pychy. „Szatańska pieśń“ o zemście pozostała bez odpowiedzi, a jest ona przecież, równie jak i wielka Improwizacja, bluźnierstwem w swoim napięciu:

Zemsta, zemsta, zemsta na wroga,
Z Bogiem i choćby mimo Boga!

jest bluźnierstwem w tem zestawieniu zemsty z Bogiem chrześcijańskim, którego św. Jan określa słowami: „Deus caritas est,“ a potem i w tem lekceważeniu jego: „mimo Boga i bez Boga.“ Otóż trzeba przypuścić, że ta niejasność, której nie dostrzegamy, porwani Improwizacją, powstała wskutek pomieszania dwóch planów.

Pierwszym był pomysł wyklęcia wallenrodyzmu. Poeta podjął pieśń swoją ostatnią, która „była już w grobie — już chłodną,“ lecz uznał jej nieetyczność, jej pogański i szatański charakter, i dlatego chciał symbolicznie rzucić klątwę na dawny swój kierunek, za który do pewnego stopnia poczuwał się do winy. I w tym pierwotnym planie ks. Piotr z pewnością miał także wypędzać złego ducha z Konrada, ale ducha, którego treścią była zemsta. Z Improwizacją zmieniła się postać rzeczy — poeta zaczął drugą akcję, której punktem centralnym jest postać Konrada, jako Prometeusza już, nie jako Wallenroda. Ks. Piotr, który symbolizuje mesyanizm, pozostać musiał, bo tę jedyną drogę widział poeta wtedy dla narodu, ale teraz występuje ów pokorny brat Bernardyn nie jako przeciwważnik kierunku całego, wallenrodyzmu, lecz przyjmuje tylko na siebie grzechy jednego człowieka, Konrada. Improwizacja wprowadza dramat, w którym chodziło głównie o losy narodu, na nowe tory, dramatu przeważnie osobistego, dramatu ducha, który jest wcieleniem pychy. „Sługo pokorny, cichy — wniosłeś pokój w dom pychy“ — żadnej aluzji, żadnej wzmianki o narodzie. Przytem zwracam uwagę, że scena wypędzania czarta, której epizodyczność i małe znaczenie dla całości w dzisiejszym układzie starałem się wykazać, w pierwotnym planie byłaby kulminacyjnym punktem. W niej byłaby zawarta główna idea poematu, wyklęcie wallenrodyzmu, który poeta mógł uważać raczej za jakieś opętanie w chwili rozpacz, niż za grzech dobrowolny, jakim jest bezsprzecznie Improwizacja.

Geniusz poety był za wielki, za jasno błyska wśród kart poematu, abyśmy jego nauk nie zrozumieli, mimo tej gmatwaniny; artystycznie jednak panuje wielka niespójność i sprzeczność w układzie pomysłów, które się z sobą żadną miarą zgodzić nie mogą, jako dramat narodu i dramat osobisty, rozwiązane jedną i tą samą sceną, mającą w poemacie zastosowanie tylko do tego ostatniego. Ze poeta tę niespójność pomysłów spostrzegał, świadczyłyby to, że chciał stworzyć pośrednie ogniwo między pieśnią

zemsty i Improwizacją, pieśnią pychy — i wsunął pomiędzy nie, napisaną prawdopodobnie później, małą Improwizację, gdzie po raz pierwszy spotykamy się z pychą i szatanem, co, jak z jednej strony jest dobrym wstępem do nastroju następnej sceny, z drugiej jednak zawczasie wysunął wpływ szatana na Konrada, mający jasny pogląd na Improwizację.

*

*

*

Tak skończyliśmy przegląd pierwszej grupy scen, odnoszącej się do Konrada, zamkniętej sądem Bożym. Proces więc w jego duszy zupełnie skończony, teraz może się zacząć pokuta i praca w imię nowej idei pokory i z ostatnich słów sceny VIII-ej widać, że ona się zacznie. III-ia część „Dziadów“ więc skończona. Tymczasem w kopii Domejki spotykamy scenę IX-tą, dzisiejszy prolog, która na swoim dawnym miejscu jest wprost niezrozumiałą. Po sądzie nad Konradem, po odpuszczeniu mu win wszystkich, jeszcze toczy się o jego duszę walka? i to walka najsilniej zaznaczona? Z jednej strony stoją duchy dobre, aniołowie, którzy kierują nawet do pewnego stopnia losem Konrada, którzy podważają strażę w czasie podszeptów złych duchów, występujących z drugiej strony, jako duchy nocne lub duchy z lewej strony, i kuszących go tem, co dostarcza świat, co dostarcza „noc-pijawka, noc-wąż.“ Chodzi im bardzo o tę duszę, która jest tak potężną, że czekają na jej myśl „szatan i anioły — czy ona w piekło uderzy, czy w niebo zaświeci“ — i ta próba odbędzie się jutro, jak zapowiadają Aniołowie:

Czy zła myśl wygra, czy dobra pokona,
Jutro się w mowach i dziełach pokaże.

Czy to jest zapowiedź Improwizacji, czy tej nowej walki duchowej, a raczej „mów i dzieł“ Konrada, które Mickiewicz chciał pokazać nam w następnych aktach III-ej części „Dziadów?“ Zdałoby się, że to drugie przypuszczenie jest prawdziwsze, gdyż prawie bezpośrednio przed temi słowami znajdujemy wiersz: „mię-

dzy myślami bitwa już stoczona," który prof. Kallenbach odnosi do dokonanego aktu Improwizacyi ¹⁾.

Wiersz ten jednak w niczem rozstrzygać nie może, gdyż nawet w scenie IX-ej t. j. prologu na swoim dawnym miejscu nie da się prawie zupełnie wytłómaczyć. Jeżeli „między *myślami* bitwa już *stoczona*," to po co anieli mają tej „*myśli* pilnować" a szatani „podwając napaść?" Po co anieli czekają dopiero na wynik tej walki: „czy zła *myśl* *wygra*, czy dobra *pokona*?" Po co wreszcie duch na końcu mówi, że więźnia „*myśli* czekają szatan i anioły czy ty w piekło *uderzysz*, czy w niebo *zaświecisz*." Wszędzie więc ta walka *myśli* przeniesiona jest w *przyszłość*, podczas gdy miała już się *dokonać* według owego niejasnego wiersza.

Jeżeli zaś przyjmujemy, że słowa: „jutro się w mowach i dziełach pokaże" są zapowiedzią Improwizacyi, to wiersz: między *myślami* bitwa już *stoczona*" można do pewnego stopnia wyjaśnić. Jest on mianowicie objaśnieniem stanu duszy Konrada. Aniołowie, widząc po lewej stronie swoich przeciwników, wiedzą, że w duszy Konrada toczy się walka *myśli*, domyślają się, że ona już *stoczona*, ale jej wyniku jeszcze nie znają — wynikiem jej będzie dopiero Improwizacya.

Można więc sądzić, że scenę IX-tą tworzył poeta z myślą o Improwizacyi, że więc pisał ją po Improwizacyi, kiedy miał już gotową scenę walki Konrada z Bogiem lub że przynajmniej pomysł sceny IX, pomysł wprowadzenia nadprzyrodzonej interwencji począł się równocześnie z Improwizacją, od niej w każdym razie nie wcześniej. Za późniejszym jednak pochodzeniem pomysłu walki duchów przemawiałby wzgląd czysto artystycznego poczucia. Gdyby Mickiewicz powziął był ten pomysł przed napisaniem Improwizacyi i sceny wypędzania czarta, to nie byłby z pewnością po ich napisaniu opracowywał tego pomysłu jako sceny IX-tej, gdyż musiałyby wtedy choćby na podstawie prostej asocjacyi przypomnieć sobie poprzednie sceny i spostrzedz ich anachroniczną niekonsekwencję. Tembardziej nie byłyby umieszczał napisanego już przed Improwizacją i wypędzaniem czarta na ten temat wstępu, jako sceny IX-tej w skończonym poemacie. Łatwiej więc sobie wyobrazić, że temat ten walki duchów przyszedł już po napisaniu Improwizacyi i sceny wypędzania czarta i narzucił się tak umysłowi poety swoją nowością, że zasłonił mu

¹⁾ Dzieła Adama Mickiewicza. Wydanie Tow. lit. im. A. M., Tom IV., Lwów 1905, str. 29.

gotowe już sceny, że poeta zajął się pomysłem, który w logicznym porządku powinien był je poprzedzać, a nie następować po nich. Poeta nie myślał wcale o tworzeniu prologu, pisząc scenę IX-tą, myślał jednak o Improwizacyi, która w owym czasie musiała ciągle zajmować jego myśl i mimowoli tworzył ze sceny IX-tej, na tle walki duchów o duszę Konrada rodzaj wstępu objaśniającego do Improwizacyi. Zanim jednak spotrzegł czem właściwie jest scena IX i wyznaczył jej odpowiednie dzisiejsze miejsce, umieścił ją na końcu poematu, nie mając dla niej gdzieindziej miejsca w gotowym już utworze.

Co było jednak powodem powstania tej sceny IX-tej, tak zupełnie niespojętej z poprzedniami? Nie można inaczej odpowiedzieć, jak tylko, że pomysł ten został mu nasunięty z zewnątrz; scena ta przecież nie była mu nawet potrzebną do wprowadzenia przemiany Gustawa w Konrada w pierwotnym planie, bo dopiero w rękopisie Domejki poeta cały ten nagrobkowy łaciński napis wprowadził i scenę IX-tą zamienił na prolog ¹⁾. I tutaj można snuć masę przypuszczeń, z których nie będzie najmniej prawdopodobnem to, że właśnie Marlowe był tego przyczyną.

Nastroj całego poematu angielskiego jest podobny do nastroju Improwizacyi; bunt, jakkolwiek podniesiony z niskich pobudek przeciw Bogu, jest przecież zawsze buntem człowieka, który w pragnieniach swoich, żeby stać się bogiem, ma siłę nadludzką, potęgą żądz swoich wzbija się nad cały tłum. Obaj, Konrad i Faust są bliżej sobie treścią swoich dążeń. Faust oddaje się czarnej magii, bo chce dorównać Bogu w mocy nad światem zewnętrznym, Konrad w imię swych sił nad przyrodą domaga się rzędu nad duszami:

Ja chcę mieć władzę, jaką Ty posiadasz,

Ja chcę duszami władać, jak Ty nimi władasz.

Obaj, Konrad i Faust, dochodzą tam, gdzie dla zwykłych ludzi zanknięta jest droga. Konrad na swoich dwu skrzydłach wznosi się, gdzie „graniczy Stwórca i natura,“ ciało swoje zostawia na ziemi i walczy duchem, który wyzwala się z pęt natury. Faust, jako pierwszy punkt ugody zawieranej za pośrednictwem Mephostophilisa z Lucyferem, stawia warunek, że „może stać się

¹⁾ Stanisław Estreicher: Nieznany manuskrypt III-cj cz. „Dziadów.“ Pamiętnik Tow. liter. im. Ad. Mickiewicza. Rocznik VI, 1898.

duchem w formie i materji," i to jego żądanie wypomina mu jego Zły Anioł:

Tyś duchem — w Bogu nie znajdziesz litości.

Już z tych zestawień obok podobieństw widać ogromną różnicę w traktowaniu obu postaci. U Marlowe'a przeważa pierwiastek zewnętrzny, gdyż Faust jest tylko człowiekiem w tem znaczeniu, że przeważa u niego ciało—Konrad jest duchem w przeciwstawieniu do Fausta, stąd w jego przedstawieniu przedewszystkiem i jedynie gra rolę pierwiastek wewnętrzny. Konrad jest w istocie swojej tym samym, co Faust, jest przejawem odwiecznego ducha buntu w ludzkości, ale stoi o stopień wyżej. Jeżeli Faust chce być „duchem," to chce być nim w tem najprostszemu znaczeniu, być jak Mephostophilis, aniołowie i t. d., by zbadać niewidzialne dla drugich sfery świata, — Konrad, który jest pod względem mocy swego ducha równy nadludzkim twórcom, chce już jak oni, walczyć z Bogiem o władzę. Faust za 24 lata czysto ziemskiego używania życia, za władzę nad ciałami, nad światem zewnętrznym, oddaje swoje Zbawienie i ściąga wieczne potępienie na siebie — Konrad domaga się rządu nad duszami, nad światem wewnętrznym. A wreszcie najważniejsza różnica. Faust działa z pobudek czystego egoizmu, u Konrada gra poniekąd rolę pycha, która wmawia w niego, że może, że ma prawo z Bogiem walczyć, ale zasadniczą, właściwą pobudką jest miłość dla cierpiącego narodu i chęć „zanucenia pieśni szczęśliwej."

Otoczenie jednak obu tych postaci, owe dwie sfery duchów, są zupełnie takie same, nietylko w istocie swojej, ale i w traktowaniu. Owe symbole dwóch stron duszy ludzkiej, zły i dobry anioł Marlowe'a, zjawiają się zawsze bez umotywowania zewnętrznego, jako głosy nadnaturalne, z światem ziemskim zupełnie się nie liczące, i tem pojawieniem się bardzo przypominają dwie strony *duchów* w III-iej cz. „Dziadów," a słowami swemi *głosy* w „Improwizacyi," które w swojej istocie zupełnie odpowiadają tym obu aniołom stróżom Fausta ¹⁾. Głos z lewej strony zachęca Konrada do buntu:

¹⁾ Muszę zaznaczyć, że skala obu tych walk, wewnętrznej i zewnętrznej, w duszach i o dusze bohaterów, jest w obu poematach odwrotna. U Marlowe'a na pierwszy plan występuje walka wewnętrzna, a tylko jeden raz ściąga się Mephostophilis za „starym mężem" — w „Dziadach" *głosy* odzywają się tylko podczas Improwizacyi, *duchy* pojawiają się częściej.

Orla w hydrę!
 Oczy mu wydrę!
 Do szturmu dalej!
 Dymi! pali!
 Ryk, grzmot!

a „Głos z prawej strony“ użala się nad nim:

Z jasnego słońca
 Kometa błędu!
 Gdzie koniec twego pędu?
 Bez końca, bez końca!

Podobnie szepcze Zły Anioł w duszy Fausta:

Uprawiaj dalej tę sławną naukę,
 Gdzie wszystkie skarby natury zawarte;
 Będiesz na ziemi, czem Jowisz na niebie,
 Panem i Władzę wszystkich elementów;

podczas gdy Dobry Anioł Fausta radzi mu:

O Fauscie! księgę tę przeklętą odrzuć
 I nie patrz na nią, byś nie kusił duszy,
 Boga ciężkiego gniewu byś nie ściągał —
 A czytaj Pismo Święte — nie bluźnierstwa.

Dyabli *właściwi* w „Dziadach“ swoim naiwnem przedstawieniem, swoim antropomorfizmem przypominają zupełnie Mephistophilisa, Belzebuba i Lucyfera. Różnica, jaka się daje nieco uczuwać w tych dwóch obrazach, jest zupełnie naturalna: u Marlowe'a dyabli zachowują się, jak ludzie, którym chodzi o przeciągnięcie na swoją stronę potężnego wyznawcy, czynią więc wszystko, by go przy sobie zatrzymać, grożą mu i pokazują piękne sceny, straszają i obiecują, wszystko to opisywane z całą wiarą naiwnego wyznawcy średnich wieków. U Mickiewicza, choć poeta stara się, aby jego opisy były naiwne podług ludowej wiary, czuć w nich jednak robotę artysty, który, jakkolwiek wierzy w istnienie duchów po za światem, wcale nie sądzi, aby one objawiały się ludziom w takiej legendowej i groteskowej postaci; z chwilą jednak, gdy trzeba je wprowadzić na scenę, musi im nadać formę ludzką z baśni i klechd ludowych i w ten sposób zbliża ich do przedstawienia Marlowe'a ¹⁾.

¹⁾ Zwracam przytem uwagę, że u Mickiewicza w III-iej cz. „Dziadów“ duchy występują widzialnie tylko podczas snu i zemdlenia Konrada, podczas

Ale pod analogicznym wpływem dwu sfer duchów Konrad i Faust dochodzą do czego innego. Faust ostatecznie popada w moc szatana na wieki, mimo przestróg starego męża, gdyż uląkł się gróźb Mephostophila — Konrad, który grzeszył w imię ojczyzny, zostaje odkupiony przez ks. Piotra, by szedł teraz nową drogą, wręcz przeciwną dotychczasowemu kierunkowi, na czele narodu.

Ale pomimo odmiennego rozwiązania tej samej kwestyi w obu dramatach, wynikającego koniecznie z innego punktu wyjścia dążeń obu tych postaci, zachodzą wielkie podobieństwa w ogólnej koncepcyi tych dwóch utworów w ogólnym nastroju, z zasadniczej idei poematów: walki człowieka z Bogiem. Ponieważ jednak motyw walki o duszę Konrada pojawił się tak późno i tak niespodzianie w IX-tej scenie, w takiej niespójności z poprzednimi scenami, można zatem przypuścić, że był mu nasunięty w ciągu tworzenia poematu i to przez Marlowe'a. Wyobrażenia Mickiewicza, nastrojona już nadzwyczaj mistycznie, która wprowadzała w zaczęty poemat udział ogromny nadzmysłowego świata (cz. II-a, opętanie w cz. III-iej), znalazłszy motyw odpowiadający i tej wierze w świat inny ponad ziemią i temu uczuciu, jakim był opętany Konrad, przyswoiła go sobie odrazu, przejęła się nim tak, że motyw ten musiał się wypowiedzieć, bez względu na to, czy przypada do całości, czy nie.

*

*

*

Tutaj opuszczamy już rękopis „Dziadów“ i idziemy bliżej ku genezie różnych pomysłów poematu, wiążących się ze sceną IX-tą, ale odtąd na jeszcze mniej pewnym gruncie możemy stanowić hipotezy. I tak, o ile można sądzić, głosy w Improwizacyi zostały dodane już później. Poeta napisawszy scenę IX-tą, musiał połączyć ją w jakikolwiekby sposób z poprzednimi, a nastrożać się ta sposobność tylko w Improwizacyi, co prawda sposobność świetna. Wydaje mi się rzeczą niemożliwą, aby w czu-

smu Ewy i Senatora, a gdy się jawią przed ks. Piotrem, to mówią przez usta Konrada.

się pisania *Improwizacji* poeta przerywał swój potok uczuć tak artystycznie wypracowanymi co do formy drobiazgami w przeciwieństwie do formy samej *Improwizacji*, która jest lawiną słów, rozsadzającą rytm, a która ledwie, że w rym da się ująć. Jeżeli wyjdziemy z założenia, że Marlowe wywarł wpływ na III-ią część „*Dziadów*,” takie wprowadzenie głosów do *Improwizacji* przedstawi się jako proces zupełnie zrozumiały. Na wzór walki Mefista ze „starym mężem“ o duszę Fausta, zarówno jak i o wiele silniej zaznaczonej walki wewnętrznej w jego duszy, stwarza Mickiewicz walkę „*duchów z prawej i lewej strony*.” Z chwilą jednak stworzenia tej sfery zewnętrznej duchów musiał on spostrzedz, że w dramacie Marlowe'a wyraźnie odrzyna się od niej sfera duchów wewnętrzna i idąc w zakresie motywu duchów za swoim pierwowzorem dodaje „*głosy*“ w *Improwizacji*, które, jak wspomniałem, istotą swoją odpowiadają zupełnie „*dobremu i złemu aniołowi*“ Fausta. Zjawienie się tych „*głosów*“ dowodziłoby właśnie wpływu Marlowe'a.

Ale jest jeszcze i druga hipoteza, która, zarówno, jak i pierwsza, pozostanie prawdopodobnie na zawsze w dziedzinie hipotez, gdyż udowodnić ją mogłyby tylko zaginione bruliony Mickiewicza. Mówi ona, że *Improwizacja* kończyła się słowem: „*Carem,*“ ale wypowiedzianem przez Konrada, i że zaraz bezpośrednio po niej nastąpiła scena wypędzania czarta. Poeta tak był zasuggerowany swoim pomysłem opętania przez szatana, który prawdopodobnie, według pierwotnego planu, miał być szatanem zemsty, że gdy w ciągu wykonywania tego planu nastąpił wybuch *Improwizacji*, wybuch ten uznał za skutek owego stanu opętania. W czasie pisania jednak sceny walki duchów o Konrada (sc. IX-iej) przyszła refleksja nad stanem duszy Konrada w *Improwizacji* i Mickiewicz spostrzegł, że nie można jej traktować jako skutku opętania. Chciał więc koniecznie zaznaczyć, że *Improwizacja* jest aktem wolnej woli Konrada i wprowadził w nią „*głosy z prawej i lewej strony*,” a po niej umieścił scenę „*duchów*“ takichże samych, które przeniósł z gotowej już sceny IX-tej, aby stworzyć ogniwo między *Improwizacją* a wypędzaniem czarta, ponieważ te dwa wstępy przestały być z sobą ściśle połączone z chwilą transformacji *Improwizacji* na akt wolnej woli.

Jeżeli weźmiemy pod uwagę roztrząsaną wyżej epizodyczność sceny wypędzania czarta i nieusprawiedliwiony do pewnego stopnia ostatni wiersz poprzedniej sceny („*Pop! klecha! przyczajmy się i schowajmy rogi*“), który odbiera Konradowi władzę nad jego własną duszą, to będziemy widzieć jasniej, że kłótnia dyabłów

jest wtrącona później. Przemawia za tem i sposób, w jaki poeta dwie strony duchów traktuje. Zapomnijmy, że istnieje dzisiaj prolog — czytając słowa duchów z prawej i lewej strony, musimy odnieść wrażenie, że poeta zachowuje się względem tego pomysłu, jakgdyby względem znanego nam dobrze. „Duchy z prawej strony“ wprowadza raz tylko i to dla połączenia Improwizacyi ze sceną w domu wiejskim pode Lwowem. „Precz! modlą się za nim,“ wołają one do swoich przeciwników. Poeta każe więc im polegać tylko na modlitwach ludzi i wyznacza im stanowisko zupełnie bierne, dziwne wobec zabiegliwości szatanów, które dostają ostatecznie w swoją moc Konrada „bez żadnego oporu ze strony duchów prawych.“ Zdaje mi się, że w ten sposób mógł je jedynie wtedy traktować, kiedy już wiedział, że one w scenie IX umieją „podwajać straż“ i walczyć gorliwie o duszę Konrada. Poeta tej interwencji duchów niebieskich nadawał ogromne znaczenie, jak to widać ze sceny IX-tej (prologu). Nie widać tego jednak zupełnie w scenie duchów, idącej bezpośrednio po Improwizacyi. Widocznie więc nie w tej ostatecznej scenie, ale w scenie IX-tej ukazał się po raz pierwszy ten motyw walki duchów, bo w przeciwnym razie musiałby Mickiewicz, wprowadzając ten motyw po raz pierwszy w scenie duchów po Improwizacyi, w chwili dla Konrada tak ważnej, zaznaczyć nierównie silniej ową interwencję duchów niebieskich w myśl swego o niej przekonania, niż jak to był uczynił. Przytem trudno sobie wyobrazić procesu tworzenia odwrotnego, to jest żeby poeta, napisawszy scenę duchów po Improwizacyi, zajęty tym pomysłem, napisał dzisiejszy prolog i umieścił go jako scenę IX-tą; niekonsekwencya tego układu uderzyłaby go odrazu w oczy, w ciągu pracy jeszcze.

Łatwo mu było przenieść ten pomysł walki duchów z prologu w Improwizację, gdyż dwie te sceny zostają z sobą w całym poemacie w najbliższem pokrewieństwie, już to ze względu na nastrój, już to na zajmowanie się specjalnie postacią Konrada, który jest przedstawiony w obydwóch, jako filozofujący marzyciel (apostrofy do nocy cichej i do samotności). Spostrzegłszy, że scena walki duchów, jako IX-ta, jest wprost niemożliwa, kiedy mu przyszła myśl, nasunięta przez wspomnienia osobiste, że w więzieniu Bazyliańskiem stał się Konrad Wallenrodem, a tej przemiany nie było jeszcze w jego przepysznej poetyckiej autobiografii, zaznaczył ją Mickiewicz w tej scenie i zrobił z niej prolog. Prolog to jednak tylko do Improwizacyi: ponad całą pierwszą sceną ciągną łańcuchy aniołów i szatanów ku Improwizacyi, stąd dzisiaj niema już niekonsekwencyi między temi wszystkimi czę-

ściami, przynajmniej pozornie. Prolog zapowiada nam, że więzien jest duchem, który może „dźwigać i obalać trony,” samotny i w więzieniu — zapowiada nam, że o jego duszę toczy się straszna walka w górze; jesteśmy przejęci myślą tylko o Konradzie i przygotowani czekamy tylko na chwilę jego zapowiedzianej próby, a studentów wileńskich traktujemy jedynie jako tło, bardzo dalekie, jako draperyę na obrazie dla wydania silniejszego rysów portretu, draperyę, o której się odrazu zapomina, że jest wogóle, patrząc na twarz. Patrząc na nadnaturalną twarz Konrada w Improwizacyi, zapominamy o pieśni szatańskiej, którą śpiewa Konrad: w myśl pierwszego planu poety nie pamiętamy, że nie dostaliśmy na nią żadnej odpowiedzi w scenie wypędzania czarta, która wydaje nam się organicznie związana z całością; zapominamy o wszystkich mniejszych lub większych niekonsekwencyach w tej pierwszej ściśle związanej grupie scen III-ej cz. „Dziadów.“ Jedną z nich jest np. oznaczenie czasu Improwizacyi w prologu, odgrywaną się w dzień W. W. Świętych na dzień następny: „jutro się w mowach i dziełach pokaże,” gdy tymczasem właściwy czas Improwizacyi przypada na noc Bożego Narodzenia.

Prolog na dzisiejszem swoim miejscu ma ogromne dla „Dziadów“ znaczenie. Jest on niejako tem, czem „argument“ dla starszych sztuk i jak on zawiera poniekąd treść poematu. Zapowiada on, że bohaterem poematu będzie Konrad. Już w prologu podnosi Anioł potęgę duszy więźnia, która go doprowadzi do Improwizacyi, już w prologu toczy się zacięta walka duchów o Konrada, która znajdzie swój epilog w sądzie Bożym — prolog wreszcie zastępuje w autobiografii okres tworzenia się „Konrada Wallenroda“ i tłumaczy nie tylko genezę tego poematu, ale i pieśń zemsty w I-ej scenie III-ej części „Dziadów.“ Dla tej I-ej sceny prolog ma ogromne znaczenie. Gdyby przed nią nie było prologu, który całą naszą uwagę skupia na postaci Konrada, scena ta sprawiałaby inne wrażenie niż dziś, mianowicie to, że główną treścią „Dziadów“ będą losy Filaretów, którymi się ona tak szczegółowo zajmuje. Nie znajdując potem żadnego dalszego ciągu tej sceny prócz ogólnych wzmianek w scenie u Senatora odnieśli-byśmy przykre wrażenie, że poeta swego zamiaru wykonać nie zdołał, lub co gorzej, że nie zdawał sobie dokładnie sprawy z ogólnej koncepcyi swego poematu, że zbijał w jedno nieprzystające do siebie pomysły i rozwijał je jedne kosztem drugich. Dziś jest zupełnie inaczej, bo prolog znakomicie ten błąd usuwa, odrazu wprowadzając nas do celi Konrada i na nim skupiając głó-

wne światła; wszystko, co przyjdzie, tylko dla lepszego uwydatnienia postaci Konrada służyć będzie. Jeżeli uwzględnimy jeszcze, że prolog wpłynął pośrednio (przez wprowadzenie duchów i głosów w Improwizacyi i po niej) na pogłębienie i wykład ostateczny Improwizacyi, jako *aktu wolnej woli*, to musimy przyznać, że przyczynił się wiele do ujęcia w jedną artystyczną całość różnych pomysłów.

Tutaj chciałbym jeszcze zwrócić uwagę na jedno miejsce w „Dziadów“ III-ej cz., które, chociaż słabo, może przemawiać za istnieniem wpływu angielskiego poety na Mickiewicza. Miejsce to odnosi się do roli złego ducha w jednym i drugim utworze. Jestto pomysł, że szatan, siedzący w duszy Konrada, nie chce odpowiedzieć ks. Piotrowi, że Rollison potrzebuje komunii św., aż wreszcie wykrztusza: „He! Chleba! Wina!“ — w angielskim zaś dramacie Mephostophilis nie chce odpowiedzieć na pytanie Fausta:

Kto stworzył świat?

MEPHOSTOPHILIS: Nie powiem.

FAUST: Drogi Mephostophilu, powiedz mi.

MEPH.: Nie gniewaj mnie, Fauscie.

FAUST: Gburze! czyż nie zobowiązałeś się mówić mi wszystkiego?

MEPH.: Co tylko z naszym zgodne jest Królestwem, to jest: o piekle myśl, potępion jesteś.

FAUST: O Bogu, który stworzył świat, chcę myśleć.

Oprócz wspomnianego wyżej głównego nastroju u obu poematów, nastroju buntu przeciw Bogu, oprócz tych analogij lub wpływów, u obu znajdujemy jeden uboczny nastrój: obawa i rezygnacya, że już na pokutę zapóźno. U Mickiewicza zaznaczone krótko, ale przepysznie: „Już są tam wykute,“ mówi o swoich bliźnierzyczych słowach Konrad, — Faust doznaje często skrupułów, często chce zacząć pokutę, ale woła: „Zapóźno!“ „Nigdy zapóźno!“ odpowiada mu dobry Anioł, — „Nigdy zapóźno!“ pociesza go stary człowiek, jak Konrada pociesza ks. Piotr ¹⁾. A kiedy Faustowi przed śmiercią dobry anioł pokazuje szczęście niebieskie,

¹⁾ Słów tych Konrada i pocieszania ks. Piotra w pierwszym brulionie Mickiewicza jeszcze nie było. „21 wierszy od słów: „Dźwigasz mnie — ktoś ty?“ do wiersza: „Usnął... Twe miłosierdzie, Panie, nie zna granic“ jest późniejszą wstawką do gotowej już sceny egzorcyzmu.“ Kallenbach: Szczątki autografu III-ej cz. „Dziadów.“ Pamiętnik Tow. histor. im. Ad. Mickiewicza. Rocznik V. Lwów, 1891, str. 186.

któreby osiągnął, idąc za jego radą, a zły okropną przyszłość, jaka go za złe życie czeka, to scena ta żywo przypomina sny senatora o łasce i niełasce, sny, podsuwane przez złe duchy dla udręczenia duszy Nowosilcowa.

*

*

*

Zbierając to wszystko razem, co się powiedziało o „Fauście“ Marlowe'a i III-ej cz. „Dziadów“ Mickiewicza, przy ich zestawieniu z sobą, mamy prawo sądzić, dojść do wniosku, że między jednym a drugim utworem zachodzi bliskie pokrewieństwo tak w motywach głównych, jak i niektórych pobocznych. I właśnie to pokrewieństwo może służyć za punkt oparcia dla hipotezy, że na III-ej cz. „Dziadów“ odbił się wpływ angielskiej tragedyi i to tak silnie, że oddziałał na przebudowę całego poematu, jakkolwiek skądinąd, z po za utworów samych nie mamy żadnych wyraźnych wskazówek, popierających tę hipotezę.

Jeżeli jednak Mickiewicz nie jest w niczem dłużnym Marlowe'owi, to ciekawym objawem jest ta kongenialność pomysłów. Marlowe duchów, walczących o duszę Fausta, nie znalazł w ludowych podaniach o nim, zebranych w XVI wieku w niemieckim „Volksbuchu.“¹⁾ Opierając się na moralitetach angielskich, które jeszcze dzieckiem widział, wprowadził je, zatrzymując w ten sposób na dziele swoim odblaski średniowiecza, w których lubowała się jego posępna, zamilowana w krwawych oświeceniach fantazya: jeżeli Mickiewicz samemu sobie zawdzięcza ten pomysł, to świadczy to, że podobne nastroje wywołują w duszach autorów podobne efekty, świadczy to, że fala romantyzmu, która płynęła przez dusze ówczesnego świata, była najdoskonalszą reinkarnacją wieków ubiegłych, że powracano do tego, co było treścią średniowiecza, nie z poczucia artystycznego lub wyrozumowanego, innego niż do tego czasu poglądu na świat, ale mimowoli; świadczy wreszcie, że poezye wszystkich wieków i krajów są znacznie sobie bliższe, niż często nam się wydaje.

ANDRZEJ TRETIAK.

¹⁾ Ward Adolph W.: History of English Dramatic Poetry. London 1899. T. I, str. 332.

LOSY SCENY DRAMATYCZNEJ

w teatrze warszawskim.

I.

Zaszedł w ostatnich czasach fakt, który może się odbić na nierozstrzygniętych dotąd losach naszego dramatu i komedyi: opera wydzierzawioną została na lat pięć zarządowi Filharmonii. Stało się tedy coś najmniej oczekiwanego: dyrekcya rządowa wypuściła ze swej opieki tę właśnie gałęź produkcyj teatralnych, która, według tradycyjnych, od lat kilkudziesięciu zakorzenionych poglądów biurokratycznej administracyi, niezbędną była dla kosmopolityzowania całej instytucyi przez język międzynarodowy, jakim jest muzyka, i która wraz z baletem, równie kosmopolitycznym dzięki mimice i choreografii, stanowić miała przynętę, a poniekąd charakterystykę Warszawy, jako węzła, łączącego geograficznie Wschód z Zachodem. Natomiast pozostała jeszcze w rękach tej dyrekcyi gałęź, której istnienie miało być tolerowane jedynie pod warunkiem bujnego rozwoju, hegemonii opery i baletu — dramat i komedia, z konieczności polskie, ale właśnie dla tego skazane na zależną egzystencję.

Ze stanowiska finansowego, zwrot taki daje się łatwo objaśnić: pozbyto się najkosztowniejszego ciężaru, w kombinacyi, nie tylko uwalniającej od wszelkich wydatków, ale ewentualnie zapewniającej dochód z renty dzierżawnej. Otóż właśnie ta kombinacya, szczęśliwa dla opery, może się stać w pewnych okolicznościach groźbą dla dramatu i komedyi. Wielkie nakłady, niezbędne dla postawienia i utrzymania opery na artystycznym poziomie; potrzeba specjalnych uzdolnień w doborze i kierownictwie sił wokalnych i orkiestrowych; koszta odnawiania repertuaru, zależne

od nierównie wyższych honoraryów kompozytorskich, aniżeli śmieźnie małe tantiemy naszych dramaturgów, lub wynagrodzenia za tandetne najczęściej przekłady utworów, eskomotowanych za granicznym pisarzom;—wszystko to utrudnia, można nawet śmiało twierdzić, że wyłącza zupełnie wciśnięcie się do dzierżawy czynnika spekulacyjnego.

Inaczej z dramatem i komedią, zwłaszcza, gdy ten dział, pozostawiony sam sobie, z własnym, niezależnym i nie obciążonym żadnemi serwitutami budżetem, stanie się pokusą, obiecującą plenność złotego jabłka. Dopóki idea dzierżawy teatrów warszawskich *en bloc* przerażała amatorów-kandydatów wielkiem ryzykiem, związanem z prowadzeniem opery, spekulanci trzymali się zdala; dziś, uwolnieni od tej zmory, za lada skinięciem staną do licytacyi, która, oczywiście, w stosunku do sztuki, odbywałaby się *in minus*. I to jest niebezpieczeństwo.

Winszując zatem operze polskiej tej, jak ją nazwano, „nowej karty“ w jej dziejach; wstrzymując się przytem od wszelkich zbyt stanowczych horoskopów; i notując dla tymczasowej wiadomości czytelników „Biblioteki“ ogólne tylko dane artystyczne tej antreprzy, według których nowoorganizowana opera polska funkcyjnować ma cztery razy w tygodniu w gmachu teatru wielkiego, siłami odpowiednio skompletowanemi, pod kierunkiem kapelmistrzów: Rezniczka do dzieł Wagnerowskich, a Noskowskiego i dwóch młodych muzyków polskich do repertuaru polskiego, przyczem korzystać będzie z całkowitego inwentarza teatru Wielkiego w dziale dekoracyjnym, rekwizytorskim, kostiumowym i bibliotecznym,—nie możemy powstrzymać się od niepokojącego pytania: jak się wobec tego ukształtują stosunki w dramacie i komedyi i jakby wyglądała nasza scena dramatyczna wciągnięta do analogicznej kombinacyi?

Zaznaczyliśmy w swoim czasie, że podobna ewentualność błąkała się w teatralnych sferach decydujących. Czy obecnie pokutuje tam jeszcze? Z plątaniny ostatnich wypadków trudno coś o tem pewnego wywnioskować; dla ciągłości jednak historycznej, o którą staraliśmy się zawsze, śledząc w „Bibliotece“ przebieg spraw teatralnych, spróbujmy zorientować się w tych najnowszych fazach kwestyi teatralnej.

W dniu 5 czerwca „Goniec“ otrzymał z Petersburga depezę, brzmiącą dosłownie, jak następuje: „Na skutek prośby Związku artystów dramatycznych teatrów warszawskich, prezes Koła Polskiego, p. Roman Dmowski, był dzisiaj u prezesa ministrów Stółpina i przedstawił mu stan, w jakim obecnie znajdują się tea-

try. Prezes ministrów, Stołypin, obiecał przyspieszyć decyzję w sprawie oddania teatrów pod zarząd miejski, a nadto przyrzekł wstrzymać reformy, zapoczątkowane przez obecną dyrekcję teatrów.“

W przytoczonym telegramie, czytelnik „Biblioteki,“ interesujący się losami polskiej sceny, znajdzie trzy ciekawe niewątpliwie i nowe dla siebie wiadomości: o dokonaniem i uprawnionem już zrzeszeniu się artystów teatrów warszawskich; o decyzji ministerium spraw wewnętrznych co do umiastowienia tych teatrów — decyzji, która widocznie istnieje, skoro ma być „przyspieszoną;“ wreszcie o zainicyowaniu przez dyrekcję tutejszych teatrów „reform,“ snąc do tego stopnia rozumnych i celowych, że aż przez władze wyższe „wstrzymane“ być muszą. Wszystkie te wiadomości wymagają wyjaśnienia: o ile fakty, na których je oparto, przyczynić się mogą do podźwignięcia teatru z obecnego upadku.

Najmniej pod tym względem komentarzy potrzebuje „Stowarzyszenie artystów.“ Ustawa związku wspomina wprawdzie w pierwszym zaraz paragrafie o zamierzonym „podniesieniu poziomu artystycznego i duchowego teatru;“ ale dość rozejrzeć się baczniej w jej treści, dość wczytać się w inne paragrafy; dość zresztą zorientować się w wynikach pierwszego organizacyjnego zgromadzenia, na którym utworzono zarząd z przewagą żywiołów, nie wspólnego ze sztuką nie mających, ażeby dojść do wniosku, że celem Stowarzyszenia głównym, wszędzie na czoło wysuwającym, będzie przede wszystkim pilnowanie „interesów zawodowych.“ Zrzeszanie się w obronie tych interesów jest oczywiście bardzo naturalnem i wielce dla stowarzyszonych pożytecznem; trudno jednak uważać je za sposób „podniesienia poziomu artystycznego i duchowego“ instytucyi, dla której, w dobie tak krytycznej i przelomowej jak dzisiejsza, wypadłoby właśnie poświęcić niejednen „interes zawodowy.“ Wytoczenie przez stowarzyszonych sprawy teatrów warszawskich przed forum ministeryalne, za pośrednictwem Koła Polskiego, wygląda wprawdzie na jakąś akcję w szerszym stylu; sądzą jednak, że zasługa tej akcji — jakkolwiek będzie jej wynik — przypadnie raczej prezesowi Koła, aniżeli artystom; wszystko bowiem zależy od tego, jaki sens w przedstawieniu p. Stołypinowi nadano definicyi: „stan teatru.“ Nie wątpię ani na chwilę, że taki rzecznik kultury polskiej, jak pan Dmowski, rozwinął tę definicyę jaknajszerszej: że ogarnął nią wszystkie krzywdy wyrządzone w naszym teatrze przez biurokrację literaturze i sztuce; z drugiej jednak strony, na podstawie psychologii aktorskiej, wolno wnosić, że inicjatorom depeszy cho-

dziło głównie o „stan finansowy“ teatru, bo ze stanem jego artystycznym, trwającym nie od dziś i nie od wczoraj, z gnuśną ospałością, sięgającą czasów „spokojnych,“ potrafili godzić się bez protestu, nawet skwapliwie, dopóki regularnie dochodziła ich... pensya. Zapewne, że upomnieć się o tę pensyę można i trzeba; ale niema znów powodu nadawać tym zabiegom inne niż mają znaczenie.

Nierównie większą wagę przyznać wypadnie odpowiedzi prezesa ministrów, choćby tylko dla tego, że stwierdza fakt dotychczas kwestyonowany: tendencyę, chwilową czy też ustaloną władz ministeryalnych do umiastowienia teatrów. O tej tendencyi słyszeliśmy wprawdzie oddawna; źródła jednak pogłosek bywały tak niepewne; tak je maćcono przygodnie i z rozmysłem; że w końcu przestaliśmy zupełnie wierzyć w przypisywane rządowi zamiary. Dopiero depesza „Gońca“ wyjaśniła sytuacyę. Ostatecznie wiemy, że ktoś, ze wszech miar godzien wiary, rozmawiał z ministrem i ogłosił to, co od niego usłyszał; ustaje wobec tego wszelka wątpliwość co do kierunku, jaki w danej chwili zamierzono nadać całej sprawie, a niektóre organa prasy rosyjskiej, jak np. „Ruś,“ uważają nawet umiastowienie teatrów warszawskich za fakt prawie dokonany. Nie zapędzając się tak daleko, trzeba przyznać, że glossy dziennika rosyjskiego ciekawe są i pod wielu względami charakterystyczne. „Rząd, pisze „Ruś,“ decyduje się oddać teatry warszawskie Polakom, a właściwie magistratowi miasta Warszawy, choć bronił do ostatnich czasów swojej teatralnej pozycyi w Królestwie Polskiem. Jeszcze w jesieni roku zeszłego wahano się, czy opuścić zrujnowane zupełnie fortyfikacye. Obecnie nadeszła, zdaje się, chwila, kiedy ustać muszą wszelkie wątpliwości, a magistrat warszawski obejmie w posiadanie majątek teatralny w postaci kwitów lombardowych na dekoracye i kostiumy; wzamian zaś za tę przyjemność, weźmie na siebie spłatę długu teatru rządowego w wysokości 600,000 rubli i wynagrodzi artystów rządowych, którym, na czysto tureckich zasadach, zalega pensya od lutego r. b.“

Trudno o dosadniejszą, a zarazem prawdziwszą ocenę przygotowującego się zwrotu w losach sceny polskiej. Dziwić wprawdzie może w tej naogół życzliwej dla naszego teatru ocenie niewinny przysłówek *właściwie*, utożsamiający społeczeństwo polskie z niesamorzadną dotąd i jeszcze biurokratyczną municypalnością; niezależnie jednak od takiego lub innego oświetlenia publicystyki rosyjskiej, sam fakt przeprowadzonego w ten sposób umiastowienia teatrów decyduje o wartości tej, tak zwanej przez Nestora „au-

tonomii teatralnej.“ Jestto poprostu przeniesienie długów i wszelkich zobowiązań przez rząd zaciągniętych z jednej biurokracyi na drugą. Przesilenie finansowe zostanie zażegnane: o inne nikt przecie nie dba. Wierzyciele rozmaitego kalibru dostaną nareszcie co im się należy; artyści zgraną odrazu trzymiesięczną gażę — *quod eratdemonstrandum*.

Gdy tak ministerjum myśli o rozcięciu węzła gordyjskiego, miejscowa dyrekcya, obyczajem administracyi biurokratycznej, probuje go po swojemu zaplątać. Występuje więc najprzód z reformą finansową, rozumując mniej więcej w tym sensie: „ponieważ artystom dużo się należy, a niema ich czem płacić, trzeba tedy jednych umiścić zupełnie, drugich wziąć na dyetę za to, że ośmielają się być głodni.“ I na podstawie tej łatwej a dogodnej logiki, znosi się opera polska, personelowi zaś dramatu i komedyi redukuje się te pensye, których nikt z artystów nie pobiera, ustanawia się fikcyjne maksyma i minima, śmieszne wobec zupełnej niewypłacalności kasy, a dekretuje się to z taką swobodą, jakgdyby wszystkie rachunki były w porządku, jakgdyby dotknięci dekretem nie byli kredytorami, którym się kwartalna zaległość należy! Wyglądałoby to istotnie na operetkę, gdyby nie tkwiący na dnie tragizmu, który śpiewaków naszych rozproszył już po świecie, część artystów dramatycznych popchnął na inne sceny polskie — o ile posiadali po temu kwalifikacye — pozostałą zaś rzeszę groźbą lokautu teatralnego ugiął pod jarzmo kaudyńskie.

To są owe „reformy“, które premier obiecał „wstrzymać.“

Czy wstrzyma? Któż może odpowiedzieć na to pytanie w dobre, kiedy moment, oddzielający początek tych uwag od kreślonych później wyrazów, przyniósł wypadki, dzięki którym pan Dmowski jest już tylko byłym posłem byłej Izby państwowej, a dla prezesa ministrów słowa „przyspieszyć“ i „wstrzymać“ mogły w danym wypadku nabrać wprost odwrotnego znaczenia? Cokolwiekby da jutro, jakkolwiek wypadnie ocena dnia dzisiejszego, należy zaznaczyć, że wczoraj jeszcze polityka urzędowych „reformatorów“ przebywała nową, kompromisową fazę.

Próbowano „odwołać się do współdziałania sił społecznych,“ zaś jako „siła społeczna,“ wystąpić mieli w nowej kierowniczej kombinacyi — przedstawiciele literatury. Nikt oczywiście nie lędził się co do szczerości tego eksperymentu, a literaci, wezwani do układów, wynieśli wprost wrażenie, że w przededniu katastrofy finansowej usiłowano wynaleźć barki dość mocne, aby zwalwszy na nie *odium* niepowodzenia artystycznego, obciążyć je za jednym zamachem odpowiedzialnością za ruinę materialną.

Wobec zupełnej świadomości tego niebezpieczeństwa, stawiały przed kandydatami na kierowników dramatu i komedyi poważne pytania: czy odmówić dyrekcji poparcia, w przekonaniu, że owa reforma „konstytucyjna“ jest tylko próbą ratowania rozpadającej się w pieniężnym krachu administracji; czy też, czując nawet nad głową groźbę zawalenia się sufitu — jak w Dumie — zaryzykować tę głowę, dla kołaczącej się w niej myśli: że jednak z ostatecznej zagłady teatru polskiego uda się może ocalić coś, coby posłużyło bodaj na zręby przyszłej, narodowej sceny.

Były odpowiedzi na oba pytania: padły odmowy i sformułowane zostały warunki. Odmowy brzmiały kategorycznie, warunki stawiano ostre; jednym i drugim dziwić się nie można. W sytuacji prawie bez wyjścia musieli się znaleźć i tacy, którzy poprostu nie umieli sobie wyobrazić, żeby można było pracować twórczo, ręką w rękę z żywiołami niszczyielskimi; i tacy, którzy wytrwale wyznawali zasadę: że w najgorszych warunkach silna wola twórczą być potrafi, zwłaszcza, gdy ma za sobą kulturę artystyczną, a przeciwko sobie analfabetyzm biurokratyczny. Ścierały się tedy prądy w ciągu pertraktacyj z dyrekcją w ożywionych, gorących dyskusjach; w pewnej nawet chwili, może przypadkowo, a może jako echa prowadzonych tu i owdzie rozpraw, odbiły się w felietonach jednego z poważnych dzienników, gdzie kwestya, postawiona na ostrzu noża, wykwitła w końcu postulatem „teatru narodowego.“

„Teatr narodowy!“ Nie pierwszy raz odzywa się to hasło wśród innych, nawołujących nasze społeczeństwo do pracy twórczej. Rzucano je niejednokrotnie i na stronicach „Biblioteki“ od chwili, kiedy tylko swobodnie rozlegać się mogło. W owym momencie zabrzmiało takim tylko tonem, jaki wśród niestabilnych jeszcze warunków cenzuralnych wydobyć się dało; mowa była o „unarodowieniu repertuaru“ w istniejących u nas teatrach dramatu i komedyi. Dziś o co innego chodziło, dziś uderzono w pełny akord; dziś wyzwolenie pragnienia budowały teatr, jak czesi „sami sobie,“ i w tym, wzniesionym z publicznych składek gmachu, mieściły sztukę polską, odrodzoną, uszlachetnioną, unarodowioną w najlepszym tej definicyi znaczeniu, to jest dźwigniętą na szczyty kultury polskiej. A dziwnym zbiegiem okoliczności w tym akordzie słycać było nuty nie tylko owego felietonisty wojującego samemi absolutami, nie tylko nowoorganizowanego „Stowarzyszenia artystów“ tutejszych teatrów rządowych, ale nawet... Nestora z „Rusi.“ „Prawdopodobnie — pisze rosyjski publicysta — społeczeństwo polskie znajdzie się wobec dylematu: albo wziąć

w ręce zaprzepaszczoną ostatecznie i zabrudzoną sprawę teatru z całym inwentarzem długów, lub też zrzec się tak wątpliwego spadku i przystąpić do stworzenia czegoś zupełnie nowego i samoistnego. Nie wiem—ciągnie dalej Nestor—na co zdecyduje się polskie społeczeństwo; zdaje mi się jednak, że mu w takim razie przyjemniejszą się wyda druga alternatywa. I znówu przypomina mi się mimowoli wielka epopea budowy teatru narodowego „Narodné divadlo“ w „Pradze czeskiej.“ Jakiż to był wysoki wzlot ducha narodowego, jakie kulturalne pod tchnieniem jego zespolenie; jaki cudny, ponętny przykład dla podnoszącego schyloną od tak dawna głowę narodu polskiego!

Aż na tę głowę padło Stołypinowskie *quos ego*, rzucone „inorodcom.“ I uciekło odrazu wszystko. Umilkły najprzód głosy, smujące wśród rzeszy aktorskiej motyw „teatru narodowego.“ Umilkły potem wszędzie, przyciszone wagą sytuacji, nakładającej na społeczeństwo nowe obowiązki, stokroć ważniejsze, stokroć pilniej naglące, niż najpiękniejsze nawet rojenia o „teatrze narodowym;“ umilkły pod hasłem Rozy Wenedy: „nie czas żałować róż, gdy płoną lasy...“ hasło zaś, o ile mówi o różach, prawdziwe jest, realne, choćby nawet lasy *jeszcze* nie płonęły, dla tego właśnie *żeby* nie płonęły. Zrozumiano, że jeżeli argument: „jak tu myśleć o fundowaniu teatru, skoro szkół nie mamy,“ ważki był przed 16 czerwca, to spoteżniał po tej historycznej dacie do takiej doniosłości, iż skupić musi wszystkie siły i środki społeczeństwa w jednym zadaniu: naśladować Czechów *nie* w budowie „divadla,“ lecz w dźwiganiu z wdowiego grosza gmachu oświaty narodowej, na którym dewiza „sami sobie“ więcej znaczyć będzie, aniżeli na frontonie „świętyni sztuki.“ Najprzód trzeba umieć istnieć—potem można się nauczyć istnieć pięknie... Jedno i drugie nie łatwo przychodzi w strasznej atmosferze ruiny materialnej i moralnej; ale wszystko przyjść musi w swoją porę; a wtedy społeczeństwo, wewnątrz skupione, okrzeple w pracy nad sobą, znalazłszy w owocach tej pracy kompensatę za straconych posłów, cierpliwie też poczeka na wybudowanie teatru narodowego.

Tymczasem nie słychać *nie* o odpowiedzi dyrekcji na warunki, postawione przez literatów, choć odgadnąć ją łatwo, znając główne tych warunków punkty. Pomijam już jeden, może nie tak ważny jak chcą niektórzy, ale niewątpliwie bardzo naglący: umieszczenie dramatu i komedyi w budynku, któryby nie odstręczał publiczności ciasnotą, niewygoda, brudem i niechlujstwem dzisiejszych Rozmaitości; pomijam zaś dla tego, *żeby* w sporze

o rzeczy kapitalne, nie dostarczać przeciwnikom argumentu, że się stawia żądania w danej chwili niewykonalne. A rzecz główna, to nie budynek, lecz to, co się w nim mieścić będzie: to literatura i sztuka, która wtedy tylko odzyska moc oddziaływania na tych nawet, co w teatrze na pierwszy plan wysuwają bankierski komfort, kiedy z kancelaryi urzędnika przejdzie do rąk artysty. I to przejście jest właśnie największym szkopułem, chodzi bowiem o podział władzy tam, gdzie pojęcie tej władzy skomplikowało się bardzo w porównaniu z dawniejszemi na nią poglądami. Komplikacya zaś polega na tem, że od czasu kiedy funkcye prezesa dyrekcji teatrów rządowych pełnił ober-policmajster miasta Warszawy i na tem stanowisku, przestrzegając żandarmską metodą „subordynacyi podwładnych,“ oddał ster sceny doskonałemu jej znawcy, rosły u następców Mikołajewskiego „zwierzchnika“ pretensye do kompetencyi, których zgoła nie rościł ówczesny prezes. Wiemy wszyscy, jak na tych pretensyach wychodziła w naszych teatrach literatura i sztuka; wiemy też, że w obronie jednej i drugiej, kandydaci na dyrektorów literacko-artystycznych żądali dla siebie: władzy, niekrępowanej jakimibądź wpływami zewnętrznymi przy kompletowaniu personelu, przy wyborze utworów i obsadzie wystawianych sztuk, przy wydatkowaniu na inscenizacyę dzieł, wymagających artystycznej wystawy; słowem wiemy, że domagali się tego, co zastrzegł sobie i otrzymał dla opery zarząd Filharmonii: „wyłącznej inicjatywy w repertuarze i zupełnej samodzielności w organizacyi i spożytkowaniu personelu.“

Byłby to, jak widzimy, zwrot ku jedynie racjonalnej organizacyi kierownictwa: dyrektor, niezależny wśród aktorów, w repertuarze, na scenie, za kulisami, w kostiumerniach, dekoratorniach i rekwizytorniach; i prezes, urzędowy pośrednik w stosunkach teatru z władzami wyższemi; słowem, w dziedzinie artystycznej—ustrój samorządny. I dla tego głuche milczenie jest dotąd i będzie zapewne nadal jedyną odpowiedzią na takie autonomiczne postulaty. Zwłaszcza, że gdyby nawet na chwilę przypuścić abdykacyę kancelaryi, wszystko rozbić się musi o trzeci decydujący warunek — o uregulowanie rachunków personelu w dramacie i komedyi. Najrozleglejsze bowiem pełnomocnictwa dane dyrektorowi teatru, staną się martwą literą od chwili, kiedy kierownik, zwracający się do artystów w współdziałanie w wysiłkach nad odrodzeniem sceny, usłyszy apostrofę: „najprzód nam zapłaćcie to, cośmy już zapracowali, a potem będziemy pracowali razem.“ Nie zapłacić—to znaczy stracić w sojuszu z biurokracją wszelką moralną powagę; żądać zapłaty—to znaczy oponować przeciwko

budżetowi, lekceważącemu wierzycieli. Rezultat oczywisty: opo-
nenci nie zatwierdzą budżetu, a gabinet urzędniczy odprawi ich
z kwitkiem.

Tak się w tej chwili przedstawia sytuacja dramatu i kome-
dyi w teatrze warszawskim. Płastycznie można ją sobie uprzy-
tomnić w trzech alternatywach: albo w zachowaniu *status quo*,
upragnionem dla zainteresowanej w niem administracyi, a równo-
znacznie z rozkładem; albo w umiastowieniu, ciągle niby blizkiem,
ustawicznie rozpyływającym się we mgłach obietnic, a zbawiennem
o tyle tylko, o ile dokonałoby się na gruncie samorządnym; wre-
szcie w dzierzawie, kombinacyi niezmiernie ryzykownej, jeżeli ją
podejmą ręce, zaprawione na grze spekulacyjnej, czego zawsze obu-
wiać się można, zwłaszcza przy zwolnieniu dramatu i komedyi od
operowych służebności i przy szeroko rozpowszechnionem u nas
pojęciu, że teatr dramatyczny prowadzić może każdy, komu to
przyjemność sprawia. W jakim kierunku prądy obecne popchną
teatr warszawski — przesądzać trudno: to pewna, że każda z tych
trzech alternatyw rozstrzyga w ten lub w ów sposób o przyszłych
losach sceny polskiej w Warszawie; a przecież chodzi tu o rato-
wanie przede wszystkim sceny polskiej, nie jakiegoś kompleksu
stosunków administracyjno-aktorskich, przywiązanych koniecznie
do pewnego punktu miasta i do pewnego na nim budynku. Pod
tym względem panuje u nas dziwne pomięszanie pojęć abstrakcyj-
nych i realnych, wyrobionych po części działaniem świetnej nie-
gdyś tradycyi, po części parciem życiowych konieczności, które
porwane nici tej tradycyi sztucznymi mocowały węzłami. Mało
kto potrafi sobie dziś wyobrazić scenę polską gdzieindziej, jak na
placu teatralnym i w innych stosunkach, jak te, których wyrazem
literackim i artystycznym są afisze na ścianach teatru Wielkiego;
mało kto pamięta o tem, że w dobie obecnej sceny zagraniczne
żyją naprawdę życiem młodem, natężonem: w Paryżu poza Kome-
dyą Francuską, w Berlinie poza Schauspielhausem, w Wiedniu
poza Burgiem. Takim życiem zatętnić może i scena dramaty-
czna polska, jeżeli przed nią otworzy się jeszcze jedna, oprócz
tamtych trzech, alternatywa: teatr niezależny.

Nie nazwę go odrazu „narodowym,” bo za wiele wymagam od
tej nazwy, którą zdobyć dopiero wypadnie — a zdobywa się ją czemś
więcej, niż architekturą. Nie ze składek też publicznych pragnął-
bym zbudować taki teatr, bo nie mam prawa domagać się ofiar
na ten cel od wyczerpanego, zubożałego, zachwianego w swym
bycie ekonomicznym społeczeństwa, którego kultura, pewnym tyl-
ko warstwom dostępna, nie dawałaby temu projektowi, w normal-

niejszych nawet warunkach, rękojmi wykonalności. Ale wierzę, że do upadku sceny dramatycznej polskiej niedopuszczy zamożność prywatna, bądź jednostkowa, bądź zespolona, jak niedopuszczyła do ruiny opery polskiej, zwłaszcza, że poparcie materialne potrzebne tu będzie o wiele skromniejsze, niż dla opery; o wielkości zaś sztuki nie gmach wielki rozstrzyga.

Kto grać będzie w tym teatrze?

Odpowiedzielo na to, jak się zdaje, „Stowarzyszenie artystów,” wiążąc ideowo z losami swej korporacji pomysł „teatru narodowego,” który musiałby, z natury rzeczy, wyzwolić się z dotychczasowych urzędowych stosunków. Tylko wyzwolenie trzeba by przeprowadzić w całej rozciągłości, tak, żeby nie z dawnej atmosfery nie przecisnęło się do nowego ustroju. I może wypadłoby także uciec się do heroicznych środków i ofiarności, rozkładaną w szerokich projektach „Stowarzyszenia“ na cały naród, rozpocząć przedewszystkiem od siebie. Było się przez szereg lat z różnych powodów Beniaminkiem społeczeństwa i korzystało się długo z materialnych i moralnych przywilejów tej wyjątkowej sytuacji; trzeba teraz mieć za to odpłacić społeczeństwu. Trzeba zapoczątkować tworzenie teatru narodowego nie od zabiegów o własne, zawodowe korzyści, o utrzymanie wysokości sutych uposażeń w nowoofundowanej „świątyni,” ale od przejęcia się obowiązkami względem sztuki polskiej, dążącej do wywulczenia sobie samoistnego bytu. Wejść w siebie, rozejrzeć się naokoło, zdobyć świadomość, że się jest maruderem w pochodzie ewolucyjnym kultury artystycznej i potęgą dokonanego zrzeszenia zbudzić w sobie energię do przebieżenia zaniedbanych etapów, do zrównania się z przodownikami — do tego niekoniecznie potrzeba imponujących murów; tego można dokonać i w skromnych na początek siedzibach, których ściany pod parciem ducha stopniowo rozszerzać się będą. A kiedy stanie się ciasno nie rozbujajmy interesom, lecz rozwiniętym do lotu skrzydłom; kiedy na idealnych podstawach odrodzonej literatury i sztuki polskiej dźwignie się teatr, narodowy nie z napisu, lecz z duszy, wtedy znajdują się niewątpliwie tacy, którzy mu rozszerzą materialne fundamenty i nie będziemy potrzebowali z upokorzeniem wspominać nazwisk Stanisławskiego ani Morozowa.

II.

Tak mającżeje mniej więcej oddalone jutro: jakże się przedstawia dzisiaj?

Na dniu dzisiejszym moment kompromisowy wycisnął również swoje piętno: repertuar wpatrzony w kasę, zerkał jednak od czasu do czasu w stronę literatury i zerkając... chybiał zawsze.

Inaczej być nie mogło — poprostu nie było nikogo, kto by umiał patrzeć. Kierunek dramatu i komedyi, ześrodkowany w reżyserii aktorskiej stał się poniekąd także sprawą zawodową, w której kierownik, nie zapominając ani na chwilę o interesie korporacji — o rolach dla aktorów — pamiętać musiał więcej niż kiedykolwiek, o dochodzie, uznanym w tej dobie bankructwa finansowego za interes podwójnie zawodowy. Gdy jednak oba te hasła: rola i dochód zaczęły w pustej kasie wywoływać jakieś szederce echa, lęk ogarnął dotychczasowych sterników nawy teatralnej; pokazało się bowiem, że aktorstwo, jako idea kierownicza, zachwasciwszy literaturę, niema już nic więcej do powiedzenia. Jeden więc po drugim usuwali się reżyserowie od rządów, potęgując i tak już niestychany zamęt ustawicznymi bezkrólewiami i *interregnami*, a za kulisami oczekiwano z niepokojem na jakąś tajemniczo zapowiadaną dyktaturę literacką. Tymczasem aktorzy odeszli, literaci nie przyszedli i w takiej to sytuacji, której dwuznaczność zawisła nad teatrem nieustanną groźbą przewrotu, wystawiono „Kneziu Popiela“ M. Tatarkiewicza, „Piękną panią Heber“ Abła Hermanta, „Łódź kwiatową“ Sudermanna, „Rewolwer“ Fredry (ojca) i „Złodzieja“ H. Bernsteina. Przyznać trzeba, że trudno o chwiejniejszy grunt, o cięższe warunki dla jakiegobądź repertuaru; gdy dodamy do nich jeszcze zupełną dezorganizację personelu, wytworzoną odejściami pań Trapszo-Chodowieckiej i Przybyłko-Potockiej, wycofaniem się panny Sulimy, ubytkiem panów Frenkla, Wostrowskiego i Siemaszki; gdy zamknijemy tę długą, niestety, listę strat zapowiedzianem usunięciem się pani Mrozowskiej i zamierzonym wyjazdem pani Federowiczowej, odejmiemy zapewne każdemu ochotę do bezpłodnego zastanawiania się nad tem: jakie mogą mieć znaczenie przytoczone wyżej tytuły utworów i wyliczone przy nich nazwiska autorów; czy jedne i drugie są wyrazem jakiegokolwiek kombinacji, planów repertuarowych, czy też tylko grą ślepych trafów? Nikt zresztą nie będzie się kwapił z refleksjami. Przeżywamy dobę, w której poglądy na teatr zabarwiają się mocno

społecznie, nawet politycznie, a najslabiej artystycznie. Dawniejszy oblubieniec sztuki dramatycznej, kokietujący niekiedy literaturę, siłą rzeczy stał się jedną ze stron w wielkim procesie o prawo do samoistnego bytu i więcej może w losach jego waży słowa wypowiedane za sceną, niż na scenie. W takiej chwili przejściowej sprawy repertuarowe, ocena gry artystów słabsze budzić muszą zajęcie, zwłaszcza przy bardzo nierównej wartości materiału, jaki z trudem największym zdołano zaprodukować na scenie w ciągu ubiegłych trzech miesięcy. Krótko się też wypowiem o tych „nabytkach“ z okresu przed- między- i pokonstytucyjnego naszych scen dramatycznych.

„Kneź Popiel“ M. Tatarkiewicza miał być, jak się zdaje, jednym z kompromisów kasy z literaturą. Nie udał się ani kasie, ani literaturze. Pierwsze niepowodzenie mało nas obchodzi; zdaje się, że i autor przebolewał je łatwo, pocieszając się zapewne myślą, że na gruncie finansowym znalazł się w towarzystwie... ni mniej ni więcej tylko Juliusza Słowackiego; kto wie jednak, czy druga, literacka klęska nie wynikła właśnie ze zbyt poufatego w tem towarzystwie przestawania.

Młody poeta był i pozostaje prawdopodobnie dotąd pod wpływem tego czarodzieja, wywołującego ze słowa cuda dźwięku i barwy. Zwyczajna to droga w rozwoju uzdolnień, nieposiadających w sobie samych twórczej męskości. Szedł więc po niej i p. Tatarkiewicz — szkoda tylko, że nie zatrzymał się „W Szwajcaryi.“ Zebrane tam kolory i światła starczyłyby do produkowania w liroyce ładnych *pasticcio*w, których kilka drukowaliśmy w „Bibliotece,“ do komponowania zgrabnych drobiazgów scenicznych w rodzaju „Królowej Bajki“ lub „Mszy majowej,“ które cieszyły się względnem powodzeniem w naszym teatrze. Ale pędzłem, przydatnym do malowania na porcelanie, nie tworzy się wielkich obrazów; innego tam niż w ceramice literackiej potrzeba ognia do wydobycia z barw i konturów posągowej plastyki. Pan Tatarkiewicz uległ zwykłym w takich razach złudzeniom: zdawało mu się, że temat technie w niego siłę, którą on powinien był technąć w temat, więc zahypnotyzowany przez „Króla-Ducha,“ napisał „Knezia Popiela“ i dwie odrazu popełnił omyłki: przecenił własną siłę i nie zrozumiał siły tematu. Obie omyłki są bardzo nowoczesne i często w ścisłym ze sobą pozostają związku; w danym wypadku najważniejszą rolę odgrywa nieporozumienie co do tematu. Kiedy pod tą samą zapewne hypnozą Mieczysław Romanowski tworzył przed czterdziestu kilku laty „Popiela i Piasta,“ a w roku bieżącym p. Feliks Plażek zainteresował swoim „Pogromem,“ ja-

ko utworem wybitnej wartości, obu poetom imponowała wcielo-
na w zbrodniczej naturze Popiela idea racyi stanu, urabiająca
w krwawym zaczynie naród, zakładająca na pobojowiskach zręby
przyszłego państwa. Panu Tatarkiewiczowi imponowała zbrodni-
cza natura sama przez się i z niej to, nie z idei, która się nią
posługuje, usiłował wydobyć siłę dramatyczną. Illuzya tej siły
nosi też na sobie wszystkie cechy bieżącej chwili, nie tylko literac-
kiej, lecz i społecznej. To nie tragiczna groza walki, prowadzo-
nej przez Popiela na dwa fronty: z germanizmem nazewnątrz,
a z buntem stryjów i opornością wieców na wewnątrz i zniepra-
wiającej duszę bohatera w dramacie Romanowskiego; to nie *anank-*
te zemsty, ciążyąca w poemacie scenicznym Płazka na ostatnim
potonku Wenedów, zrodzonym z zapłodnienia Rozy Wenedy po-
piołami wytraconego ludu. To jakaś nieśzanina nieświadomie
stąd i zowąd wchłoniętych motywów filozofii „nadczołowieczeństwa“
z okruciami paradoksalnej psychologii „zbrodni, jako energii spo-
łecznej,“ dyletanckie reminiscencye Nitzscheizmu i Boylizmu.
A w rezultacie, jako wytwór tego wszystkiego — ordynarny na
scenie zbój o tępym umyśle i zwierzęcych instynktach, tem przy-
krzejsze wywierający wrażenie, że sam przedrzeźnia Króla-Ducha
i w świetle również zapożyczonem wywołuje, obok swej żony
Brunhildy, Makbetowską marę Gwinony. Jestto słowem skombi-
nowany po aktorsku „Popiel“ *moderne*, którego nie mogła wy-
dźwignąć na wyżyny bohaterstwa jedna, jedyna w pierwszym obra-
zie sytuacya, kiedy kneź samem zjawieniem się pośród wiecują-
cych Smerdów poskramia zbuntowanych i wyrósłszy odrazu ponad
wzburzony tłum knieciów, zdaje się przemawiać, jak nosiciel
idei. Idea nie idzie się zgoda w ciągu dramatu, staczającego się
po pochyłości krwawo wyjaskrawionych teatralnych efektów, któ-
re, działając wprost fizycznymi dreszczami na wrażliwy maskórek
widza, rozwijają przed nim nadgoplańską legendę w kolorach po-
nurego oleodruku.

Niedługie też było życie „Knezia Popiela,“ mimo że artyści-
koledzy wszystkich sił dokładali, żeby p. Tatarkiewicz mógł, ja-
ko aktor-poeta, zawołać do publiczności ze sceny: *anch'io son*
pittore! Wątpię, żeby „Kneź“ powrócił kiedy na repertuar; trze-
ba więc zanotować, że z pośród 36 osób, biorących udział w ak-
cyi, wyróżnili się: p. Żelazowski, który starał się postać tytułową
dźwignąć na piedestał, pani Marcello, majestatyczna w roli Brun-
hildy, p. Rapacki, wspaniały kneź Mściwój, p. Sliwicki pełen uczu-
cia, jako Leszek, syn jego i pani Tekla Trapszo, przedstawiająca
z tkliwym wdziękiem żonę Leszkową — Białkę.

Do niefortunnych flirtów z literaturą, zaliczyć trzeba, niestety, i ukazanie się na scenie „Rewolweru“ Aleksandra Fredry. Wydobywając z pośmiertnego repertuaru twórcy „Zemsty“ tę właśnie najslabszą sztukę, wykazano zwykły u kierowników naszej komedyi gust i specjalny ów zmysł krytyczny, który stał się już przysłowiowym w teatrach warszawskich. Przed paru miesiącami Kraków śpieszył tłumnie na jubileuszowe przedstawienie „Sług panieńskich.“ Był to prawdziwy, uroczysty obchód, gromadzący w widowni wszystkie warstwy publiczności, ogniskujący na scenie wszystkie artystyczne usiłowania w wystawie, w grze aktorów, w stylowym nastroju. W Warszawie, zaniedbanego ojca komedyi polskiej przypominano zdziwionej publiczności... „Rewolwerem.“ Może to miał być styl nowoczesny. Znany ten styl, na imię mu „aktualność;“ sztuka nazywa to grzechem, wtedy nawet, gdy go osłania wielkie nazwisko. Jest to jeden z tych grzechów niepotrzebnych, który nawet celu swego nie osiąga. Być może, iż w chwili, kiedy Fredro powziął pomysł przedstawienia w komicznym świetle, jak utrzymuje Stanisław Tarnowski, „czasów reakcyi, stanów obłączenia, policyjnych donosów, między rokiem 1848 1849,“ i wobec czujności władz austriackich, przeniósł akcyę swej komedyi do Parmy, przedstawienie „Rewolweru“ byłoby do pewnego stopnia wywarło zamierzony efekt. Ale liczyć na podobny efekt po sześćdziesięciu blisko latach, spodziewać się, że na tej maskaradzie stosunków galicyjskich przebranych po włosku, Warszawa bawić się zechce z maskami i do każdej wolać będzie z satysfakcyą „znam cię!“ — to znaczy nie mieć pojęcia o nastroju chwili, ani o psychologii publiczności. Niechce mi się więc wierzyć, żeby to miał być jedyny motyw wydobycia „Rewolweru,“ który w innych polskich teatrach spoczywa sobie spokojnie w swoim bibliotecznym futerale. Musiała tu działać inna przyczyna — i tę nietrudno odgadnąć.

Hlekoć w warszawskim teatrze, obok sztuki wystawionej niewiadomo dla czego, sterczy taki właśnie znak zapytania, mamy zawsze gotową na ten pytańnik odpowiedź: *cherchez le comédien*. I tu łatwo znaleźć aktora: był nim prawdopodobnie p. Wojdałowicz, któremu uśmiechała się zapewne rola barona Mortary. Rola dobra — bo ma wydatne rysy plastyczne, o które bez wielkiego trudu zacząć się można środkami aktorskimi. Lojalny i legalny z tchórzostwa, nekany strachem policyi, rewolucyi, konspiracyi i odpowiedzialności, bankier, jako postać komiczna, nie stoi wprawdzie na wysokości wielkich kreacyj Fredry, ale dla aktora jest wdzięcznym materiałem do ulepienia figurki farsowej; że zaś

Mortara nie schodzi ze sceny, którą całkowicie prawie sobą wypełnia; że strach jego jest duszą zasadniczej wodewilowej sytuacji, w której tchórz nie może się pozbyć rewolweru przysłanego mu w podarunku przez przyjaciela konspiratora; — więc pokusa była widocznie zbyt silną i panu Wojdałowiczowi zawdzięcza niewątpliwie Fredro, iż wzywano jego imienia nadaremnie. Gdybyż przynajmniej to wezwanie wyszło na rzetelną korzyść talentu artysty. Ale i tego sumiennie powiedzieć nie można. Pan Wojdałowicz nie wznosił się ponad dobrą robotę aktorską. Śladu oryginalnej twórczości, któraby typowe rysy Fredrowskiej kompozycji ożywiła indywidualnym wyrazem, nie dostrzegliśmy zgoła w tej robocie.

Otoczenie Mortary, mimo że mu Fredro powierzył prowadzenie dwoistej intrygi, która oplątuje bankiera w ucieczce przed ścigającym go rewolwerem, mało jest zajmującym. Pamela, siostra żony bankiera, występująca namiętnie z prawami narzeczonej na podstawie obietnicy szwagra; Negri, gwałtowny Włoch, zakochany w Otylii, córce owego konspiratora, z którą chce się żenić Mortara dla zachowania w swoim banku kapitałów, zapisanych przez właściciela, jej ojcu; niemy komisyoner, odszukujący ustawicznie rewolwer, w różny sposób przez nieszczęsnego posiadacza porzucany—wszystko to kręci się przez pięć aktów w wirze krotchwili, w którym miga tylko sylwetkowemi konturami, nie pozostawiając po sobie wyrazistszych plastycznych wrażeń. To też trudno winić panią Barszczewską, że nie zdołała uwydatnić fizyognomii ognistej wdowy; ani p. Wolskiego, że jego furya południowa zbyttnio widzów nie zaniepokoiła; ani panów Bednarczyka i Rolanda, że jeden w swojej obłudzie, drugi w swej jęczącej gestykulacji niemowy nie zdołali uniknąć jednostajności. Każdy robił, co mógł; nikt nie mógł zrobić więcej niż sam autor, któremu zrobiła krzywdę reżyserya.

Mamże na seryo traktować, jako „nabytki“ repertuarowe, dwie jednoaktówki p. Zygmunta Przybylskiego: „Antkowe Wesele“ i „Wiosnę?“ Sądzę, że do tego nie miałby pretensyi i sam autor i chyba o taką kwalifikację mógłby się upomnieć tylko konkurs lwowski, który raz jeszcze dowiódł, że przeżyły się tego rodzaju turnieje i że wiedną coraz widoczniej rozdawane na nich wawrzyny. Zaznaczmy więc że i w „Antkowym Weselu“ aktualność stanowi o dramatycznym momencie jednoaktówki (wsteczna zazdrość żeniącego się rzemieślnika o studenta, którego panna młoda ukryła była niegdyś przed pościgiem); a w „Wiosnie“ dwoje młodych, upojonych majowemi czarami, przysięga sobie wieczną

miłość. To wystarczy i nie potrzebuje, a właściwie me znosi, oceny. Dość zatem będzie nadmienić, że oba drobiazgi grane były składnie, za co autor dziękować winien: w pierwszej—paniom Tekli Trapszo, Micińskiej oraz pp. Marcelemu Trapszy i Hryniewiczowi, w drugiej—panom Różańskiemu i Brydzyńskiemu.

III.

Z powodu wystawienia trzech sztuk tłómaczonych, których nazwy wymieniliśmy już poprzednio, dyskutowano znowu ustnie i w druku nad starą, jak teatr, kwestyą „roboty“ scenicznej. Zmartwychwstała więc w rozprawach broniąca się zawzięcie od śmierci „sztuka dobrze zrobiona,“ *la pièce bien faite* żartobliwie dziś traktowanego Sarceya, którego popularne niegdyś definicje: *c'est du théâtre*, albo *ce n'est pas du théâtre* walczyły ze sobą argumentami, znacznie obostrzonymi w tarcju o nową poetykę teatralną. Jaka jest właściwie ta nowa poetyka; kiedy tak zwana „budowa“ ma być naturalnym produktem twórczej kompozycyi, niezbędnym warunkiem doskonałości kształtów scenicznych, a kiedy przybiera cechy rzemieślniczej sprawności; w jakich wypadkach występuje w dziele, jako wyraz harmonii między treścią i formą, a kiedy obniża w niem artystyczną wartość wrażeniem „roboty?“, o czem wreszcie świadczy przechylenie się w tej sprawie na jedną lub na drugą stronę: o talencie, czy tylko o zręczności? Wszystko to na nowo się odezwalo i, jak zwykle, zostało bez jasnej, rozstrzygającej odpowiedzi.

Bo jak tu dać taką odpowiedź? Łatwo jest wzruszać ramionami na „robotę“ Sudermanna lub Abła Hermanta; ale trzeba też spojrzeć na te szczyty, z których wysokości spada na nich kondemnata. Wszak najpiękniejszych rzeczy Ibsena, „Branda,“ „Peeru Gynta,“ Cezara i Galilejczyka“ grać nie można; a znów cały sceniczny odłam jego ideowego repertuaru dla tego z taką siłą oddziaływa na widza, że przeważają w nim „sztuki dobrze zrobione.“ Wszakże zginął dla sceny potężny, historyczny obraz Gerharda Hauptmana „Floryan Geyer,“ a żyją na niej, dzięki swej budowie, „Samotni ludzie,“ „Kolega Krampton,“ „Wniebowzięcie Hanusi,“ „Woznica Henschel,“ „Tkacze.“ Wszakże d'Annunzio wstrząsa na scenie w swoim „Mieście umarłem,“ w swojej „Giocondzie,“ a zatapia bez ratunku w falach liryzmu „Franceskę z Rimini,“ lub najnowszy twór „Więcej niż miłość.“ Cóż

tu więc rozstrzyga między różnymi odrębnymi indywidualnościami twórczymi, a nawet między dziełami jednego i tego samego twórcy? Talent? Ależ jest go mnóstwo i w nieteatralnym a nudnym „Rosmersholmie“ Ibsena, i w rozwichrzonej, rozpadającej się na scenie „Pipie“ Hauptmana, i w dekoracyjnym a martwym „Poranku wiosennym“ d'Annunzia. Jakże zatem wyjść z tego dylematu, na którego jednym krańcu stoi, celebrując uroczyste, tak zwany „dramat książkowy“ (*Buchdramma*) z całym zastępem mozolnie dźwigających idee, a wrosłych w drukowane karty, bohaterów; z całym przyborem wszelkich nieziszczalnych na scenie symbolów historycznych, filozoficznych, społecznych, literackich i artystycznych — na drugim zaś kusi publiczność wykończeniem zgrabnie sfabrykowany wyrób sztuki, stosowanej do rzemiosła, czy też rzemiosła, stosowanego do sztuki?

Nie jest bowiem wyjściem dotychczasowe bujanie twórczości dramatycznej i natchnionej przez nią krytyki w marzeniach o jakimś nowym teatrze, w którym słowo, obdarzone nieznaną dotąd suggestywną mocą, wydostanie z siebie cudowną plastykę dla wszystkich niepochwytnych poruszeń myśli i uczucia, dla oddźwięków nieskończoności w duszy ludzkiej; nie są rozwiązaniem dylematu rojenia o scenie, na której odcieleśniona, wyzwolona z więzów materii technika teatralna, wyczaruje krainę Psychy, bujającej swobodnie w idealnych przestworzach, gdzie żadne twarde dotknięcie nie zetrze złocistego pyłu z jej motyli skrzydeł. Takiego teatru niema jeszcze i niewiadomo kiedy będzie, jeżeli wogóle będzie. Tymczasem Życie wyciąga ręce do Sztuki z namiętnym wołaniem: „Weź mię w ramiona, obejmij wielkiem ukochaniem, a we wspólnym dreszczu miłosnym stworzymy nowe światy. Znajdziesz we mnie wszystko, czego szukasz poza mną. Kryję w sobie niewyczerpane skarby mądrości, z którą dotrzesz do Niepoznawalnego; w tajemnych moich głębiach kwitnie kwiat paproci, który zerwawszy, zdobędziesz królestwo poezyi. Dam ci w drgających na jasnej jawie kształtach to, za czem się ugniasz po zgaszonych, zamglonych, chmurnych szlakach Bezkształtu; tylko twórczem okiem spojrzuj mi w duszę i z niej wydobądź wieczną tragedję człowieka!“

Tak woła życie — i na to wołanie różni różnie w imię Sztuki odpowiadali i odpowiadają. Stopień szczerości w odpowiedziach stanowi tu wszystko, bo rozstrzyga o napięciu talentu twórcy, jedynym więc może być sprawdzianem przy ocenianiu stosunku utworu do sztuki. Potrzebny jest tylko nieodzowny warunek: żeby szczerą była także i ocena odpowiedzi, żeby tej szczerości nie

stawała na przeszkodzie ciasnota doktryn literackich, snobizm albo najpospolitsza moda.

Weźmy dwa konkretne przykłady: „Piękną panią Heber“ Hermanta i „Łódź kwiatową“ Sudermana. Jedną jest stanowczo sztuką „źle zrobioną“, druga należy do komedyj „dobrze zbudowanych.“ Stąd cały szereg wniosków i następstw, które kłócą się z sobą ustawicznie. Wypadłoby z nich, że Francuz, obowiązany do „łacińskiej jasności“, sprzeniewierzywszy się jej, dąży po nowych drogach twórczości, a Niemiec, przedstawiciel „germańskiej mglistości“, zerwawszy z nią, wstecz idzie, zamiast naprzód. Więc sztuka Hermanta jest dobrą dla tego, że jest źle zrobioną, a dobra robota stawia w rzędzie złych utworów Sudermana. Tymczasem nie jest rzeczą dobrą „Pani Heber“, ani złą „Łódź kwiatowa“, ale obie są ciekawe, bo ściśle z życiem związane, artyzm zaś tkwi w imniej więcej kunsztownem zadzierzgnięciu tego węzła między życiem a sztuką.

Każdy z autorów wziął się do tego inaczej, choć jednoczy ich wspólny grunt, na którym stanęli: obserwacya pewnych środowisk, zresztą pokrewnych sobie i mających wspólne rysy. Studyując swoje *milieu*: znieprawione w próżniaczej egzystencji mieszczactwo paryskie na wakacyach, w letnich siedzibach, i podpatrując tam różnorodne rysy zepsucia, Hermant piórem demokracji francuskiego rozrzuca te rysy pomiędzy gromadę, mniej dbając o wydobyć z niej indywidualnych postaci, co też i akcyi odbiera skupienie i sceny zbiorowe na pierwszy plan wysuwa. Sudermann syntetyzuje w indywidualach środowisko berlińskich filistrów, którym Nietzsche pozawracał głowy moralnością „nadludzi“, a d'Annunzio rozpętał zmysły namiętnościami Renesansu i przeprowadza dramat między starymi a nowymi w życiu hasłami. Hermant poprzestaje na namalowaniu obrazu; Sudermann chce czegoś dowieść. I tu rozpoczynają się różnice, wciągnięte także do pojęcia dobrej lub złej roboty, twórczej albo zręcznej tylko budowy. Definicje „roboty“ rozszerzają się aż do rysunku charakterów; do oceny zaś tego rysunku przybywa nowy motyw—kontrola: czy charaktery zachowują do końca swoją „konsekwencyę“, czy też „łamią się pod kątem filisterskiej moralności.“ Widzimy, jak już daleko sięgają kryteria, których punktem wyjścia miała być skromna technika sceniczna: zagamęły powoli psychologię i wkroczyły w dziedzinę zagadnień etycznych, a w tej sferze dyktują swoje kanony. Te zaś brzmią dość prosto. Charakterem „z jednej sztuki“ nazywa się trwanie w buncie przeciw wszelkim nakazom moralnym, a reakcyą etyki jest „kompromisem z galeryą.“ *Nie wol-*

no zatem załamać się w stronę przykazań „dla trzody“ wyzwolencowi z więzów kategorycznego imperatywu; natomiast *powinien* załamać się ku „wyswobodzeniu“ niewolnik moralności stada, któremu też *nie wolno* być charakterem „z jednej sztuki.“ Co mówi na te krytyczne dogmaty życie, przędące duszę ludzką z samych „niekonsekwencyj“ i przerzucające ustawicznie czółenka swego warsztatu to w lewo, to w prawo, na Pascalowskiej osnowie: „człowiek nie jest ani aniołem, ani zwierzęciem?“ A co mówi literatura, zwłaszcza ta ze stemplem modernistycznym, gdy się w niej spotyka majster „roboty“ psychologicznej, Ibsen, preparujący w ideach-retortach ekstrakt „konsekwencyi charakterowej,“ z takimi żonglerami psychologii, jak Bernard Shaw, dla którego wymyślono aforyzm: „co to jest charakter?... najczęściej odwrotna strona charakteru;“ albo Franciszek Wedekind, igrający duszą człowieka z małpią zrzęczością clowna? Mniejsza o to; wszystkie te sprzeczności nie istnieją dla pewnego odłamku krytyki, analizującej z lubością tylko swoich specjalistów od „łamania charakterów.“ A znajduje ich nie byle gdzie i nie byle kogo. Przecież Hauptmann musi dotychczas pokutować za swoją śliczną, ale „niekonsekwentną“ wizję dwojga dzieci, niosących w dzbanie gorzkie łzy matki, porzuconej przez bohatera „Dzwonu zatopionego.“ Cóż dopiero taki Sudermann, który w „Końcu Sodomy“ ze złamanej duszy Willy Janikowa pozwolił ulotnić się niewypowiedzianej myśli: że największemu nawet artyście nie przysługuje żaden przywilej „nadczołowieka“ deptania po sercach ludzkich w drodze ku wyżynom sztuki. To mając w pamięci, nie trudno oryentować się w motywach krytycznych, które kierowały losami utworów Hermanta i Sudermana.

„Piękna pani Heber“ nie grzeszy dobrą robotą i nikt się tam nie „łanie.“ To już poważne tytuły do zwrócenia na nią uwagi. Heroína jest „konsekwentną“ ładacznicą. Porzuciwszy ostatniego kochanka, który dla niej dopuścił się przy grze w klubie karcianej szacherki, usidla, nie tracąc czasu, chętnie wikłającego się w sieci młodzieńca, napotkanego w środowisku, gdzie pani „zanku“ uprzejmie takie spotkania popiera i po macierzyńsku czuwa nad powodzeniem u siebie podobnych *chassez-croisez*. Gdy jednak nowy niewolnik wysłedził dalszy ciąg stosunków ze swoim poprzednikiem i wziął to tragicznie, po gwałtownej scenie, w której „piękna pani Heber ze szczerością samicyki włóczy się napróżno u nóg rozgniewanego samczyka, następuje zerwanie, a potem przysłowiowe *on revient toujours*, tem łatwiejsze, że je za naturalne uznaje p. Heber, mąż-gentleman, pełen dyskrecyi również delikat-

nej, jak dobrze procentującej. Konsekwentnym jest wprawdzie i tragiczny anant, rzucający się pod koła omnibusu; ale w takim stosunku niema miejsca aż na dwie konsekwencje; po chwili więc wzruszenia na wiadomość o katastrofie, piękna pani Heber, ulegając argumentom praktycznego gentlemana-męża, podąża wystrojona do sali jadalnej, odegrać rolę gospodyni domu na proszonym obiedzie, wydanym dla zrehabilitowanego antreprzyzą samochodową oszusta klubowego.

„Łódź kwiatowa“ za dobrze jest zrobiona, żeby ją można było na seryo traktować. Wprawdzie ma swoją „niezłomną“ heroinę w osobie jednej z córek baronowej Eifflingen, Rafaeli Brösemann, która, pod wpływem „renesansowej“ matki, upajana systematycznie atmosferą zmysłowego arcyzmu, oszukuje męża, mało wrażliwego na „piękno życia,“ ale zapracowanego dla ocalenia zachwianej firmy handlowej i przysięgłszy na popioły dziecka siostrze, przeczuwającej katastrofę, że nie pójdzie na schadzkę, rzuca się w objęcia kochanka, który pada ofiarą zaczajonej zemsty. Cóż, kiedy autor popsuł wszystko „dla uciechy burżuazyjnej gawiedzi,“ złamawszy aż dwoje: drugą córkę baronowej, Theę i wnuka firmy Freda Hoyera. Ta ładna para była mocno nadpsuta i to właśnie jej wdzięk stanowić miało; pobrali się nawet z sobą, czując pokrewieństwo natur. Ale zamiast przepłynąć przez życie na „łodzi kwiatowej“ i jak przystało charakterom „z jednej sztuki,“ dotrzeć hen, daleko, aż *jenseits von Gut und Böse* utknęli zaraz w noc poślubną w kabotyńskiej knajpie, gdzie ich zwykły clown gorzką częstuje prawdą (także naganna „niekonsekwencya!“), a potem dali się „wziąć“ na tragedję rodzinną i wylądowali w niepozornej etycznej przystani. Tego już było za wiele; gdy zaś dodamy jeszcze, że ta „Łódź kwiatowa“ podobała się publiczności, nie żdziwią nikogo spory na tematy „zręcznej budowy,“ „rzemieślniczej roboty,“ „fortelów psychologicznych,“ których ofiarą padł raz jeszcze więcej Sudermann. Nie padła sztuka, a choć to nie zawsze bywa argumentem, kwestya sama pozostaje otwartą. Zanim ją ktoś znów zasadniczo podnieść zechce, zanotujmy, że oba utwory wystawione starannie, grane były na ogół dobrze. W „Pięknej Pani Heber“ rola tytułowa przypadła pani Federowiczowej, która, usprawiedliwszy przedewszystkiem tytuł, oddała ją ze zwykłym napięciem nerwów i silnym rozpędem namiętności. Doskonałym kochankiem był pan Śliwicki. W „Łodzi kwiatowej“ skupiły się naczelne siły naszego personelu dramatycznego. Więc pan Rapacki stworzył świetny typ patryarchy firmy Hoyer et Comp., pani Lüdowa, jako reprezentantka wytwornie cyniczna naj-

nowszej, modernistycznej metamorfozy mieszczaństwa berlińskiego, z przedziwnym taktem uwydlatniła rysy eleganckiej deprawcy; pani Mrozowska utplastyczniła ciekawy materiał na pół-dziewicę, z którego sytuacya życiowa przygotowuje całą kobietę; pp. Śliwicki i Wolski wybornie dopełnili całości. Wzmianka wreszcie należy się p. Bednarczykowi i paninie Pichorównie, którzy najtrafniej wniknęli w charakterystykę kabotyńskiej paczki, grasującej w komedyanckiej knajpie.

Pozostaje mi tylko wspomnieć o „Złodzieju“ Henryka Bernsteina. Od szerokiego rozwodzenia się nad tym uscenizowanym *fait divers*, uwalnia mię najprzód skreślona już dawniej na tem miejscu charakterystyka autora z powodu dramatu jego „W szponach,“ a powtóre posunięte przez Bernsteina do absurdu spekulowanie na sytuacyjne efekty, stanowiące dotąd jedyny motyw jego twórczości. Spokojną siedzibę letnią zbogaconych przemysłowców zamienić na salę sądową, w której amator-dedektyw prowadzi formalne śledztwo w sprawie najordynarniejszej kradzieży; zawiesić grozę hańby nad uczciwą rodziną, skierowawszy podejrzenia na dziewiętnastoletniego jej jedynaka, który nie potrafi czy nie chce się bronić; przyczepić do tego romans młodzieniaszka z goszczącą u rodziców jego kokietką, a potem cały akt wypełnić jedną długą sceną między tą wietrznicą a jej mężem, który trafem wpada na trop istotnego winowajcy i wśród wybuchów wściekłości małżonka-inkwirenta, przeplatanych omdlewaniem męża-kochanka, wykrywa złodziejkę we własnej żonie,—to się wydawało Henrykowi Bernsteinowi szczytem inwencji i prawdziwie teatralnym materiałem. Jeżeli gdzie może być mowa o „robocie,“ to w tym fabrykacie, w którym nawet psychologia zazdrości i fizjologia miłości stają się jedynie pomocniczymi narzędziami w rękach sprawnego fabrykanta. A jednak ów *article de Paris* wydzierały sobie u nas aż dwa teatry: widzieliśmy go przez jakiś czas codziennie na afiszach teatru Małego w Filharmonii i teatru Letniego w Saskim ogrodzie i ten drobny faksik jest przedewszystkiem przyczynkiem do charakterystyki rządów w naszym teatrze dramatycznym. P. Maryan Gawalewicz, wystawiając „Złodzieja,“ powodował się względami, jeżeli nie literackimi,—na które w tym wypadku niema miejsca,—to dyrektorskimi, zmuszającemi go do operowania nowościami. Nasz teatr, pozwolewszy się ubiedz, nie miał i tej wymówki: rolę przedrzeźniacza narzuciło mu, jak wogóle różne nieszczęgólne role—aktorstwo.

Cherchez la femme... a znajdziecie panią Siemnicką, której spać nie dawało powodzenie panny Duninówny w Filharmonii.

Zagrała więc rolę Maryi Voysin dobrze, chwilami (jak w całym drugim akcie) świetnie; miała wybornego towarzysza w panu Nowickim, przedstawiającym męża z temperamentem dramatycznym: ale wystąpienie tego osobliwszego unisona z teatrem, który, chwyciwszy pierwsze skrzypce, zagrał najprzód solo, jest jednym więcej świadectwem anarchii panującej w naszym dramacie.

IV.

Gdyby zwrócenie uwagi na teatr Mały w urzędowym teatrze dramatycznym miało być bodźcem do zdrowego między dwiema scenami współzawodnictwa, możnaby się tylko cieszyć z takiego objawu. Jeżeli bowiem nasze stosunki teatralne mają pozostać *in statu quo*, jeżeli nie ziszczą się zapowiadane ustawicznie reformy radykalne, któreby je z gruntu uzdrowić mogły, w takim razie współzawodnictwo jedynie może jako tako podnieść poziom artystyczny dramatu i komedyi. Ale do tego trzeba żeby po jednej stronie była chęć, po drugiej możność; żeby współzawodnictwo nie kończyło się w teatrach rządowych pojedyńkiem na role i żeby konkurent w Filharmonii potrafił istotnie obudzić respekt w swoim współzawodniku.

Były takie chwile w stosunku obu teatrów. Przecistawiając się sobie wzajemnie, każdy wywyższał się niby tem, w czem mu drugi nie mógł sprostać: więc rządowe teatry, wierne tradycji aktorstwa, wysuwały na pierwszy plan *grę*, młody zaś teatr prywatny, ufny w siłę inicjatywy literackiej, akcentował z dumą swój *repertuar*; oba jednak po cichu próbowały zaradzić swoim brakom. Więc dramat i komedia, zwłaszcza pod reżyserję p. Śliwickiego, ożywiły na chwilę i artystycznie podniosły repertuar; w Filharmonii znów widoczne były ślady czujności kierowniczej nad grą pojedynczych artystów i nad wytworzeniem nastrojowego zespołu. Potem nastąpiła przerwa. Rozprzężenie w teatrach rządowych udaremniło dobre chęci sumienniejszych kierowników; teatr Mały zbuczał przez jakiś czas na te drogi, na których i Filharmonia, jako przybytek muzyki, naraziła swoją wartość artystyczną.

Jakże teraz rzeczy stoją i jakie widoki miałoby współzawodnictwo, gdyby je ów „Złodziej“ zapoczątkował? W obecnym momencie teatr Mały mógłby korzystać z rozstroju na scenach rządowych — ale teatr Mały szuka dotąd drogi.

Oryentacją w tem szukaniu kierować musiały dwa czynniki: rodzaj sceny oraz skład ilościowy i jakościowy personelu. Każdy z osobna i oba skombinowane, powodowały oczywiście częste wahania. Scena w Filharmonii bądź co bądź nie przestała być estradą, co technice reżyserskiej i zależnemu od niej do pewnego stopnia repertuarowi zakreśla konieczne granice, a nadto wytwarza, zarówno za kulisami jak w widowni, atmosferę nieteatralną, napół koncertową, która zbija z tropu i aktorów i publiczność. Wpływa to prawdopodobnie na sposób gry i na kształtowanie się zdolności czy talentów aktorskich, utrzymując je w nastroju poniekąd popisowym i przyzwyczajając do operowania efektami; stąd może w ogólnej fizygnomii personelu w teatrze Małym wydatność rysów grubszych; stąd rzetelne jego powodzenie w utworach realistycznie wyjaskrawionych.

Dyrektor Gawalewicz usiłował omijać oba te szkopy, próbując na większej scenie sztuk z liczniejszym personelem, lub zamykając się na mniejszej scenie w ramach, potrzebujących bardziej skupionego nastroju. Pierwszy eksperyment nie mógł się udać, — przeszkadzały temu warunki, krępujące polot reżyserski, trudności dekoracyjne, kostiumowe i niemożność stworzenia niezbędnego mechanizmu inscenizacyjnego. Druga próba, zaryzykowanie tak zwanego *teatru intime*, bardzo nęcąca w salce sympatycznej, przytulnej, że się tak wyrażę, wymagała w personelu wyrobienia subtelności i dyskrecyi, zwłaszcza wobec fizygnomii teatru, która usposabiała odrazu do wytworzenia stosunku zażyłości między sceną a widownią. Takiej subtelności zamało jeszcze posiada trupa teatru Małego, ażeby na jej grze oprzeć można było specjalny repertuar, wysnuty z głębin duszy i mieniący się delikatnemi, psychologicznemi odcieniami. W rezultacie teatr w Filharmonii nie wypowiedział się dotąd jasno, wyraźnie: czem może, czem chce być; wiedząc zaś w jak trudnych warunkach pracuje, nikt nie przyzna sobie prawa wskazywania mu czem być powinien. Można tylko stwierdzić intencye, objawiające się w różny sposób, przebiegające całą skalą repertuarową od „Moralności pani Dulskiej“ i „Aszantki“ z dołu, aż ku „Faustowi“ u góry, od historii literatury, aż do popisów aktorów-wirtuozów.

I te intencye zasługują na poparcie.

Bo bądź co bądź wieje jakieś młodsze, świeższe technienie z tej skromnej scenki; bądź co bądź jest tam często miejsce dla literatury, bądź co bądź nawet w chybionych próbach czuć jakieś dążenia, aspiracye. Godzi się więc zwrócić uwagę na teatr, kierowany przez utalentowanego literata, orientującego się w reper-

tuarze europejskim i rozporządzającego podatnym materiałem aktorskim, wśród którego można wyliczyć takie zdolności, jak pannie: Duninówna, Pawińska, Pytlińska, Bartoszewska, Dulebianka, Czarnecka, pp. Staszkowski, Bartoszewski, Mielnicki, Weychert. Godzi się śledzić jego działalność, pomagać mu do rozwoju; bo kto wie co dla niego przyszłość gotuje?

Spoglądając ku tej przyszłości, niekoniecznie trzeba opierać horoskopy na współzawodnictwie teatru Małego z Wielkim. Nie wiemy czy teatr w Filharmonii jest, czy też będzie bodźcem dla teatrów rządowych, które zresztą w stanie obecnego rozkładu doszły, jak się zdaje, do zupełnego znieczulenia na wszelkie bodźce. Nie o konkurencyę zatem chodzi mi w tej chwili, lecz o to, jakie teatr Mały może mieć sam przez się znaczenie. Otóż oceniając go po prostu jako samoistną, niezależną scenę prywatną, widzę w nim zarodek teatru, z którym może kiedyś trzeba będzie się liczyć, zwłaszcza, jeżeli dla zupełnej samodzielności wyswobodzić się zdoła z zależności od Filharmonii, jeżeli zaprzestawszy lawirowania między sceną większą w lecie, a mniejszą w zimie, które ujemnie musi wpływać i na plany repertuarowe i na metodę gry aktorów, znajdzie się na prawidłowych, własnych deskach teatralnych i tam potrafi dać zupełny wyraz swoim ideałom.

Jaki wtedy wytworzy się stosunek między teatrem, który może przestanie być Małym, a teatrem, który niewątpliwie już nie jest Wielkim, — nie podejmuję się przesądzać. Jestem tylko głęboko przekonany, że dobra scena prywatna pokonać kiedyś musi złą scenę rządową. Idzie więc teraz o to, żeby teatr Maryana Gawalewicza stał się dobrą sceną prywatną.

W. BOGUSŁAWSKI.

Gustaw Moreau.

Magnum opus facio et non possum descendere
(dewiza G. Moreau'a).

Odżyły dawno zamarte bogi. Prastare legendy wedyckie na nowo zakwitły kwiatem tajemniczym. Myty greckie, podania dalekiego Wschodu, wszelakie fikcyjne religijne Azyi, niezliczone wierzenia, któremi się upajała przez wieki ludzkość i broniła od nicości pozagrobowej — wskrzzesły.

I struchleliśmy znowu przed strasznym kosiarzem Thanatos, i Sfinks nas zagabnął raz jeszcze Pytaniem swym odwiecznym, i Erynye cisnęły zemstą nam w oczy.

Zalopotały skrzydłami złotopióre szegrugi¹⁾, czerwona ki różowe, laskonogie ibisy i wyłoniły się z głębi widoków, jak *fata morgana* uroczych i złudnych.

Tkliwi poeci perscy, w palankinach przez słonie ustrojone niesieni, o Peri nam znów śpiewali.

Lapidarny liryzm Starego Testamentu, rzewne wersety Nowego na nowo nas owionęły tchem swym mistycznym.

Otworzyły się podwoje do empirejskiej krainy, na którą Olimp, Eden, Gethsemani i Helikon — wszystkie błogości i wszystkie tragizmy się złożyły.

Hierofantem, który wwiódł nas do siedziby owej bóstw zapomnianych, do tego imperyum wspaniałych snów, do skarbcza tego, gdzie ludy świata całego złożyły w darze, co wyobrażnia ich najokazalszego stworzyła — jest *Gustaw Moreau*.

¹⁾ Gatunek ptaków egipskich.

Nie z wiary prostej, nie z religijnego poczucia wszakże utworzył się ten Panteon; nie poszukiwanie przeczutych zagadnień pozagwiezdnych, pozaziemskiego życia były powodem ich zmarłych powstania.

Moreau wywołuje one bogi i boginie w orszakach mar i potworów, lub do stóp Krzyża się słania i ilustruje wielką Tradycję Chrześcijańską nie dla tego, żeby je kochał, czcił zbożnie, albo wierzył: nie dla tego bynajmniej, iż go widzenie święte nawiedziło. Przyzywa on w synkretyzmie wszystkie wyznania, bo tam znajduje kształty i barwy, w które pomysły jego przybrać się mogą, ma jeden tylko kult—kult piękna, a jako wyznanie jedyne—rodzaj nieoznaczonej teozofii, idealizm nieokreślony i mętny. Nie celem mu są wyobrażenia teogonij wymarłych i żywych, lecz środkiem do oddania form i stanów Piękna, do wyrażenia jemu właściwych myśli. Operuje też na zimno, bez przejęcia się i bez umiłowania, postaciami, ubłogosławionemi pietyzmem tysiąca pokoleń.

A jakże często, dla uzmysłowienia własnych abstrakcyj, mieszka Moreau samowładnie baśnie i klechdy, zespała różne wierzenia i myty, dorzuca do skryształizowanych już, dogmatycznych przedstawień, przez tradycję nam przekazanych, własne pojęcia i kreacje. Prometenszowi daje Chrystusowe oblicze, Helenę Ewie upodobnia, Salome zbliża do Jawnogrzecznicy przed jej pokutą i skruchą. Kiedy zaś Matkę Boską obrazuje (raz tylko), czyni to bez prostoty i słodyczy, bez bogobojności, jakiej Bolesć i Niepokalanie żądają. Suchą scholastyką czuć kompozycję ową, i mimo charakteru mszału, który artysta jej nadać usiłował, — daleką i o ileż późniejszą ona od wizyj szczerých wyznawców!

Bo obcemi są Gustawowi Moreau wcielenia cnoty niewieściej. Myśl jego tam dąży, gdzie kobieta się zjawia nie jako Ofiara nieskażona i niewinna, ale jako istota, wiodąca w trop za sobą cierpienie i szal. Tak się też o niej wyraża w swym *Décameronie szatańskim*:¹⁾

...La Femme, dans son essence première, l'être inconscient, folle de l'inconnu, du mystère, éprise du mal, sous la forme de séduction perverse et diabolique...

Pojęcie jaźni kobiecej u Moreau objawia się wyraziście w wyborze jej typów. Saffona, Helena, Salome, Medea, Salambo, Botzabo—tragiczna matka Salomona, Galatea, Semele—porażona pio-

¹⁾ *Décameron Satanique*, opublikowany w Katalogu z Wystawy dzieł G. M. (r. 1906 u Georges Petit). Przedmowa hr. Roberta de Montesquiou.

runem córka królewska z Teb, Dalila—słowem te mu wzory kobiety za ścisły jej wyraz służą, których zła siła, tragiczny koniec, los zawistny, złowrogi urok w pamięci ludzkiej pozostały. Przyszły one, ze snu wiecznego pendzlem Moreau'a zbudzone, spokojne i piękne, oczyszczone jakoby z grzechów i zbrodni, niepamiętne okropnej przeszłości. Eteryczne ich ciała o kibiciach gibkich, o gestach rytmicznych, o senliwej mimice, natarte pięknidłami i olejami wonnymi, spoczywają na tronach, co ołtarzami są niemal, na łożnicach, co tronami są razem, w pozach dumnych a cichych. Oczami zastygniętymi patrzą bez troski, niewzruszone, bardziej niż szczęśliwe, bo obojętne bosko.

Za siedzibę wielmożnym tym paniom służą porfirowe pałace w krużganki z jaspisu, z malachitu i lapis-lazuli zdobne; podparte filarami świątynie o tajemniczych kryptach i niżach, gdzie onyksy, opale, agaty, plamiste marmury się mienią; pagody z Rig-Wedy o frontach, jak kamee rżniętych, o murach kunsztownie wyczelowanych, okutych złotem, centkowanych macią perłową, nasianych gemmami, migocącemi niby gwiazdy różnobarwne w piękną noc zimową.

Jarzą się obrazy Gustawa Moreau od brylantów, białą od szronu pereł, prószą iskrami szmaragdów, beryłów, chryzolitów, szafirów, promienieją złością dymnych topazów, fioletem głuchym ametysów, turkusów zimnym błękitem, szkarłatnymi płomykami rubinów. Wszędzie się panoszą: purpura, brokatele, złotogłów, połysk blachmalowego oręża i kruszczów drogocennych, polichromia kaszmirów, szalów, makat, kobiereców barwnych, niby kłasy kwietne.

Cuda architektury kolosalnych gmachów Hindustanu, przepych przybytków Fenicyi, Egiptu, okazałość Assyryi i Kartaginy — wszelkie majestaty z pradawnych czasów, dziś w proch i popiół rozpadłe, dają możność Gustawowi Moreau rozwinięcia swej zasady *Niezbędnego Bogactwa* (*Principe de la Richesse nécessaire*).

Tylko tam i tylko wtedy, w tych odległych stronach i w tych okresach zamierzchłych ranne zorze tak krwawią niebokregi, miesiąc o nowiu ziemię srebrem tak sownicie zrusza; tylko tam takie tęczowe ptaki bujają, takie wschodzą kwiaty, — tylko ongi takie piękne istoty, smagłe i wiotkie, ponętne a straszne, w kwietyzmie i w rozkoszy omdlałe, oczy zachwyczone pieściły.

Wielkie epos ubiegłych stuleci, obroczone Reslema i Isfandiara walkami; czułe miłości przez Suadiego i Firduziego opiewane przy wtórze inkrustowanych mandor; mytologiczne alegorye Hellady i Romy; okropna tragedia Golgoty — nadały się do gu-

stów i dążeń Gustawa Moreau — ostatniego romantyka z pomiędzy współczesnych malarzy. W zgodzie są z ideałem jego plastycznym te bogi i pół-bogi, owi hoplici i owe kapłanki z płaskorzeźb Kolumny Trajana, z fryzów doryckich, z kamieni opiekuńczych, ze słupów ateńskiej Ceramiki, one postacie ze starych amfor i puharów, w których hetery Aleksandryi, dziewice z rodu Faraonów, księżniczki z Mahabaraty, uroczone królowe przez boskich pastery kochane, wieszczki i bajadery — zapomnienie, namiętność i oszobotwienie święte piły.

Wziął je mistrz, obdarzył własną ideą i umieścił na płótnach swych, za tło im dając bądź nieba w rozmaitych nastrojach, bądź opoki zębate, bądź wnętrza budynków wspaniałych. Towarzyszą tym cudnym niewiastom, olśniewającym czarem lic, gładkością jaśminową ciała, barwnością szat, równie piękne efeby. Albo też przy boku ich widzisz cyklopa Polyfema twarz jednooką, smoka wężowe sploty, kolczaste formy gryfów skrzydlatych, chimery, co i kobietą i marzeniem i potworem są społecm.

Właściwie w obrazach Gustawa Moreau *nic się nie dzieje*, w znaczeniu akcji, czynności, działania. Panuje tam bezruch zupełny, jak w Pałacu Śpiącej Królowy; bohaterzy i bohaterki w nirwanicznej gnuśności spozierają wzgardliwie na szamotanie się życia, na jego przypływy i wiry, a przemawiają do nas głównie postawami swemi. Bo poruszenie w figurach mistrza nie następstwem jest pochodnem, nie częścią uzupełniającą poprzedniego i następnego ułożenia; istnieje ono samo w sobie, jako mima, jako niezmienna i niewzruszona *poza*. Dramat ześrodkowuje się raczej w okoleniu, w tle, w akcesoryach.

Nieba np. u Moreau'a mają olbrzymią gamę uczuciową: tutaj perfowe, blade i tęskne; tu szafranowe u spodu a u zenitu sine — fałszywe i niespokojne; tam schmurzone, rozdarłe; lub też pogodne modre, runem obłoczków umajone, o sielankowej ciszy; gdzieindziej znów namiętne-szafirowe, westchnień miłośnych pełne; albo rozżarzone gasnącem słońcem, wieszczbą nieszczęść, klęsk i mordów groźne. Czasami odbijają się od nieboskłonów tych śmiertelnie smutne krzyże — w *Pietach* rozszechanych; czasami złomy i zręby skał — w *Sfinksie i Edypie*, w *Safonach*¹⁾, w *Hydrze Lerneńskiej*; gdzie indziej zaś smętne cyprysy, topole wysmukłe, sykomyry, ostrolistne laury, o łbach iglastych kopale się rysują. Owdzie atoli firmament przegląda się w zdradliwych, opalowych

¹⁾ Wiele kompozycyji jest poetce z Lesbos poświęconych.

wodach, w stawach szmaragdową rzerzuchą i chorą bielą grzybieni, niby potwornymi liszajami, porośłych.

Na innem płótnie niebokrąg za dekoracyę służy sklepionemu szpalerowi grabiny, pod którego arkadami oblezona lazurową draperyą stoi *Salome* i w zadumie spogląda na krwi szkarłatem ociekłą głowę Jana Chrzciciela.

Tutaj zbrodnia się już stała. U stóp przeklętej spoczywa łup i zapłata jej tańca. A oto akt poprzedniczy.

Salome tańczy. Nagą jej piękność obejmuje w biodrach opaska, nabita ćwieczkami dyamentów i pereł; ramiona dzwigują ciężki ornat, kapiący od drogocennych kamieni, bisiosem i złotem tkany; pektorał, świecący ogniami karbunkułów, okala jej szyję i spada na piersi dziewicze; złotolite naramienniki wiążą jej delikatne ręce; u nóg, jak kajdany, ciężą bransolety; skronie ujarznia tyura, pobrzękująca po obu stronach lica medalionami zauszniaków. Pęta *Salome* i do grzechu przykuwa cały ten przepych królewski.

Klejnoty, które osłaniają jej wdzięki, i skarby, rozsiane naokół, iskrzące się ze ścian sali, nasadzone w kadzielnice, w trójnogi, wrażone w monumentalny tron Heroda—mniejszym splendorem jaśnieją, niżli biedna święta głowa, frendzlą krwawego skrzepu oblamowana, unosząca się w powietrzu niby planeta błędna i promieniejąca aureolą—tą koroną męczenników i świętych. Świątłość z nimbu ostrymi klingami się wdziera w pół-dzień, padający ze stropu, a jedno z tych ostrzy razi rozkoszne łono *Salome*. Jej tylko oczom widomen jest zjawisko¹⁾ męczeńskiej głowy *Zwiastuna*; nie spostrzegli go snąć ani *Herodyada*, siedząca na stopniach stolicy tetrarchy, symbolicznie pąsem odziana; ani sam *Herod Antypas* w paliuszu i mitrze białej; ani niewolnica, przykucnięta na ziemi i na długoszyjej gęśli grająca; ani rosły kut, o twarzy na poły zawojem zakrytej, obnażonej, potężnej piersi, obręcz wsparty na rękojeści miecza — brutalny, złowrogi a bierny.

W idei *Gustawa Moreau* okrutna tancerzica — to prototyp nieświadomości niewieściej, wyobrażenie materialne *niewinnej* zbrodni, to niepomny siebie i nieodpowiedzialny za niceność swoją pierwiastek zniszczenia.

Nimfa Galatea, *Medea* wyrodna, *Helena*, stępująca po placach i trupach, *Safona* z *Lesbos* — są powtórzeniem tegoż samego zworza. Każda z pośród owych złopomnych heroin stanowi w kronikach świata jednostkę przynależną do wielkiego cyklu *Potępionych* a *Niepoczytalnych*.

¹⁾ Kompozycya ta nosi tytuł *Apparition*.

Wyszukuje zaś je Moreau nie dla względów estetycznych wyłącznie, nie dla tego tylko, że są nadobne, — lecz głównie, że straszne one, że dzieje ich mówią o roli i posłannictwie fatalnej piękności kobiecej, której najprzedniejszym urokiem, najrzadszym klejnotem są krzywda, żal i lament.

Ileż do nich wszystkich, do tych urodziwych i do tych wyklętych zastosować się dają słowa poety:

Tu marches sur des morts, Beauté, dont tu te moques.
De tes bijoux l'Horreur n'est pas le moins charmant,
Et le Meurtre, parmi tes plus chères breloques
Sur ton ventre orgueilleux danse amoureusement.¹⁾

Jako jedynie godny motyw malarski Gustaw Moreau piękno uznaje. Przedstawienie szpetoty, według niego, w sprzeczności pozostaje z zadaniem sztuki i nie może skończonego jej dzieła utworzyć. To też nawet wtenczas, gdy komponuje potwory — poświęca wrażenie grozy wyżej zaznaczonemu twierdzeniu, dobrowolnie się pozbawiając jednego z głównych emocyjnych środków i jednego z najwymowniejszych efektów — zderzenia pierwiastków Brzydoty i Piękna.

W takim np. utworze, jak *Hercule et l'Hydre*, wdzięk Herkulesa o profilu czystym greckiej dziewicy, linia ogólna stroju równoważą szkaradzie Hydry Lerneńskiej. I aczkolwiek straszne — jej cielsko, strzelające w górę trzema łuskowatymi pniami; choć okropne — lby gadu; choć stoki skal, pełne cieni i zakamarków tajemnych, szczerzą swe zręby ponure na tle niebios, łuną pożogi oblanych — nastrój obrazu ma piętno spokoju i harmonii łagodnej.

Wszędzie zresztą, gdzie Moreau dla dopełnienia pomysłu swego ucieka się do elementów brzydoty, czyni to tak, aby uczucie lęku i cechę potworności możliwie przygasić i zatrześć. Nawet śmierć obleka się u mistrza w kształty zwodzące i miłe. Na płótnie np. *Jeune Homme et la Mort* panuje taka dobroć i taka błogość, iż wydaje się, że po tamtej stronie mogiły lepiej jest duszy, niżli po tej, a do Hadesu nie ciężka droga.

¹⁾ Baudelaire. *Fleurs du Mal*.

Dzieło to Moreau pamięci malarza Teodora Chassériau poświęcił, czuł się bowiem dłużnikiem młodo zmarłego artysty. Rzezywiście w pochodzeniu psychicznem Gustawa Moreau można odnaleźć ślad autora fresków z Saint-Merry; ale rodowód ten dalejby posunąć należało — do mistrza kilku ostatnich pokoleń — Ingres'a.¹⁾ Tam właśnie u Ingres'a istnieje owo zespolenie dwu tyle różnych ideałów: dostojności helleńskiej z wielobarwnością Wschodu, tam też zaczątek swój wzięła maksyma *Pięknego Bezładu* (Principe de la belle Inertie), którą Moreau wyznaje.

Wymieniłoby należało może za innymi²⁾—mówiąc o twórczości jego, wielkie nazwiska Montegni, lub cudownych opowieści bajarza Vittor'a Carpaccio, obu szczerych i naiwnej wiary pełnych hagiografów, gdyby, zdaniem mojem, na przeszkodzie zestawieniom tym nie stawał brak wiary i szczerości u Moreau'a. Paralele owe służyć mogą prędzej dla przypomnienia odczutyh gdzieindziej wrażeń, aniżeli dla objaśnienia jego fizyognomii twórczej. Albowiem obrazy Gustawa Moreau jako pojęcie, jako ustrój, jako technika zwłaszcza, mają stempel zupełnie swoisty. Gdyby wszakże kazano mi szukać pokrewności, zamiast do dzieł owych mistrzów, przyrównałbym je do *chorusów* dyonizyjskich, lub, lepiej jeszcze, do tragicznych baletów. Bo cała wymowa, cała patetyczność anegdoty—jakem już przedtem wzmiankował — skupia się w rytmice linii, w układzie barw, w giestykulacyi, w nastroju dekoracyi i oświetlenia, a punktem ciężkości nie jest twarz i gra jej wyrazów, lecz giest, ruch, poza, — a toć te właśnie elementy składają się na istotę baletu.

Zresztą na płótnach mistrza sam taniec przedstawiony jest wielokrotnie, taniec zespolony, według odwiecznych praw, z misteryami i obrządkami, z towarzyszeniem melopei czarodziejskich i zaklęć, taki, jakim istniał ongi, kiedy tanecznica kapłanką była jednocześnie, a kołując i stąpając do taktu celebrowała w uniesieniu religijno-miłosnem liturgię tajemną bóstw. Tak się czciło w one czasy na brzegach Nilu bożka Besu, co wojnie i tańcom patronował, tak się święciło przepotęzną boginią, która to Afrodytą, to Astarte, to Istar, to Ascher, to Militą się zwała — ale która zawsze tę samą siłę przyrodzoną, ten sam popęd niezwykły — zony i tę samą tragedję przedstawiała.

¹⁾ Chassériau był uczniem Jana Dominika Ingres.

²⁾ P. Robert de Montesquiou we wstępnem słowie do Katalogu. P. Ary Renan w monografii, poświęconej Gustawowi Moreau.

Tylko, że Gustaw Moreau, uzmysławiając w utworach swych te dwie główne sprężyny życia antycznego: Miłość i Instynkt bojowniczy, pozostaje nieskazitelnie czystym i beznamiętnym. Nie masz u niego żadnego składnika chuci i pasyi, nie masz tem samem napięcia dramatycznego ni wzruszenia i — choć się to paradoksalnem wydać może — nie masz przeto rzetelnego mistycyzmu. Albowiem chuć sama przez się jest mistyczną, biorąc siedlisko swe w wielkiej Zagadce bytowej, — a krew jest zawsze szaloną.

Nie! nie obaczył Moreau w objawieniu niespodzianem, jak wizjoner i bogowidz, postaci, które swojemi uczynił. Zadużo w geniuszu jego wirtuozostwa, rozumu, finezyi, za mało atoli szczerzego uczucia. Braknie mu tego, co „artystę naiwnego“ (w znaczeniu Szyllerowskiem) cechuje. Nie odczuwasz emocyi bez zastrzeżeń, zachwytu niepodzielnego przed jego dziełami, bo nie zachwyty i nie emocya je zrodziły. Natomiast podziwiasz w nich umięjętność majsterską iście, głęboką myśl nieraz, nakoniec to, cobyśmy nazwał miazgą, materią malarską; farby bowiem u mistrza zatracają substancję swą zwykłą i stają się jakby drogocenną polewą o klarowności a blasku emalii. Sposób zaś posługiwania się penzlem i szpachtlą, impasty nasadzone kopystką niby i niby dłótkiem czelowane, czasem pianą osiadłe, tam znów gładkie, jak szkliwo, albo wypukłe wymodelowane, wychodzące z płótna, rzekłbyś młoteczkami z odwrotnej strony wytłoczone — składają się na technikę wyjątkową w sztuce. Wydaje się niekiedy, że to nie malarstwo samo i nie jego sposoby tworzą powierzchnię obrazu. Taki np. utwór, jak *Semele* od trzech rzekomo kunsztów środków swoich zapożycza: malarstwa, złotnictwa i rzeźby.

Gustaw Moreau, osobiście, uważał kompozycję tę za najlepszą i najciekawszą między dziełami swemi. Owóż widzi mi się, że to może obraz w twórczości artysty najslabszy; ponieważ część jego myślowa jest zbyt zawilg, wymagającą klucza, na podobieństwo owych ksiąg hermetycznych gwieździarzy i czarnoksiężników dawnych; strona zaś malowana szwankuje brakiem harmonijności i ład, wynikającym z natłoczenia chaotycznego figur, z przeładowania ornamentyką architektoniczną, z zakłócenia eurytmii ogólniej błyskiem twardym kamieni i kruszczów, niemilą kakaofonią kolorów.

Zazwyczaj mistrz umie utrzymać w korbach zamilowanie, prawdziwie orientalne do barw i blasków. A wtenczas, kiedy otacza w miarę przepychem boginie swe i pół-bogi, archontów i radzów, herosy Odyssei i Iliady, bazyleusów i bazylyssy, wróżki i sybille, kurtyzantki i bajadery — pozostaje nietylko w zgodzie

z założeniem swem intensywnej malowniczości, ale także z logiką, powiem, historyczną. Gdyż klejnot zanim stał się upiększeniem, posiadał wartość i znaczenie amuletu, godłem był władzy, oznaką godności, świętością i talizmanem. Do dziś, jako zabytki symbolicznych ozdób przeszłości, pozostały berła i korony, buławy, pastorały i mitry, pierścienie biskupie, sygnety herbowe, krzyże pasterskie, gwiazdy i ordery, ryngrafy, skaplerze i różańce.

Wspominam o tem w odpowiedzi na zarzut, czyniony¹⁾ wielokrotnie mistrzowi, że nadużywa jubilerstwa i przyozdobień, że objucza bez kresu wystawnością i przepychem postaci w obrazach swoich. Istotnie w *Semele* wrazenie się rozprasza z winy owej hojności przesadnej, — za dużo tam serafów i cherubów, obwieszonych błyskotkami i cackami, za dużo sezamowych skarbów, ale *Semele* jest wyjątkiem w dorobku Gustawa Moreau, omyłką niejako w jego twórczości.

Gdzieindziej wszelako bogactwo nie tłumi piękności pomysłu, szczegół nie zawadza ogółowi i jednolitości nie szkodzi. Takim oto „poskromionem“ bogactwem połyskują ilustracye do „Fables de Lafontaine.“ Prawdę powiedziawszy, to nie apolofi francuskiego Ezopa — to bajki sułtanki Scheherazady. Jowialność i dobroduszość, dowcipny uśmiech bajkopisarza przeinaczyły się w interpretacyi Gustawa Moreau na parafrazy misterne, wyzłoczone, osrebrzone, świetne. I tu chcąc nie chcąc wspominasz Ali-Babę i jaskinię jego.

Niemniej jednak w owych pięćdziesięciu siedmiu akwarelach, tworzących ciąg przypowieści Lafontenowskich — Moreau, choć nie w zgodzie z charakterem tekstu, jest prawdziwym o wysokim polocie artystą. Bo w nich (jak zarówno w przeważnej części dzieła swego) nie tylko umiał zachować poezję nadzmysłową, tudzież elementy znakomitej barwności, to jest zalety myślowe i plastyczne, właściwe mu prawie ciągle, — ale zdołał się także strościć i uprościć.

Zawsze też kiedy, mimo dewizę „non possum descendere,“ zbliża się do nas a przystępnia pojęcia swoje; kiedy nie zapomina, że dzieło sztuki musi być nadawcą uczuciowych lub cerebralnych wzruszeń, i że to jest jego przeznaczeniem jedynem; kiedy daje nie karty Kabały, gdzie każdy kształt wyobrażeniem jest i formułą metafizyczną, lecz poprostu piękne rojenia poety —

¹⁾ Znanem jest „bon mot“ malarza Degas'a: „Gustave Moreau! quel dommage qu'il supposât que les déesses portaient des chaînes de montre.“

wtedy płótna jego mają szlachetność linii, pyszność i świetność koloru, a powagę i pomnikowość rzeczy, które zostają, trwają i znaczą się w dziejach sztuki.

Że, nadto, Gustaw Moreau jest sumiennym, pracowitym, cierpliwym po benedyktyńsku „ouvrier d'art“—jak owi przedrenesansowi mistrze, że życie swe, na wzór ich i modłę, niepodzielnie a bez ustępstw poświęcił wielkiemu i trudnemu kunsztowi, dla tego obok nich—magistrów jego miejsce, na tem *pinaculum*, gdzie przebywają tylko wybrani.

JAN TOPASS.

KIEDY BORUTA BYŁ PACHOLECIEM...¹⁾

Powiedział ktoś, że Łódź przypomina mu szalejące orgią życia przemysłowego miasta amerykańskie: że posiada ich ruch, ich fizyognomię kosmopolityczną, skąpaną w dymie kominów fabrycznych, a napiętnowaną skurczem nienasyconych pożądań *business'u*, zastępującego im duszę...

Stutysięczna, wielojęzyczna fala luczcy tu w murach i na ulicach miasta, zamieniając bez wytchnienia, z myślą — jak gdyby w jednym, wyłącznym kierunku — boleśnie napiętą, trud swój i móżoł, krew swą i energię swoją na góry złota dla czarodziejów fortuny, a na czarny kęs chleba i... nadzieje złote dla siebie samej.

Amerikanizm pod polskiem niebem, na chudych, bezwodnych piaskach łęczyckich, którym Boruta, przykrzywszy sobie figle, „Piskorzom“ płatanie, kazał rodzić złoto!... Zupełnie, jak w bajce...

Jak w bajce, powstały na piaskach pałace z marmuru i ogrody zaczarowane, jak w bajce wytrysły z pod ziemi źródła i wodospady, jak w bajce zamienił się szeroki szmat ziemi polskiej, okalającej to dziwne miasto, na jedyną w swoim rodzaju oazę kosmopolityczno-łódzkiego nalołu w mowie i obyczaju.

Dążąc — latem zwłaszcza — od Koruszek w stronę Łodzi, nie koleją żelazną, lecz boczną drogą kołową, napotkać można dzi-

¹⁾ W wydaniu obecnem tego studjum pomijamy wszystkie, liczne i skomplikowane, przypiski źródłowe.

wowiska mało komu znane: posterunki wakacyjne *yankesów* osobliwego autoramentu, wielkie wsie ludne, nie rozumiejące polskiej mowy, „przeżytki osadników“ polskich, co ich „Miémce“ i „Swoby“ zwartą otoczyli ławą — rysujące się jaskrawo w przeciwieństwach kształtu i barwy, typy licznych osad kolonistów niemieckich, a coraz rzadszych, lubo wytrwałych w swym słowiańskim nieładzie, chat swojskich...

O, wsi polska! Wsi wesola!...

Ale cóż było przed bajką? Co było tam w czasach, gdy za-
lew niemczyzny najmniej właśnie tej tu ziemi groził, gdy za ja-
snowidzenie przyszłości Łodzi można było niechybnie żywcem do-
stać się do piekła, gdy sam Stary Boruta, stary pono już za Sa-
sów, młodym jeszcze był pacholęciem, młodszy niż dzisiaj o lat
pół tysiąca, a bodaj i więcej?...

*

*

*

Było to w czasach, których rzeczywistość sama za bajkę tu
starczy...

Szczupłe granice ziemi łęczyckiej, co zawrzeć potem miały
województwo tegoż miana, obejmowały terytorium wydłużone,
rozszerzające się w kierunku północno-zachodnim, gdzie, w są-
siedztwie ziemi kaliskiej, Kujaw i Mazowsza, panował na nizinie,
zroszonej wodami Warty, Neru i Bzury, w samym nieomal środku
części północnej późniejszego województwa, gród starożytny, od-
wieczna Łęczyca (Tum).

Nie sądzono pierwszym, przedhistorycznym władcom tego
gniazda, ani późniejszym ich następcom, co bezpośrednio wyprze-
dzili tu Piastów, jako „historycznych autochtonów“ grodu i zie-
mi, rozszerzyć daleko swego panowania na najżyźniejszą glebę
okoliczną. Jakkolwiek bowiem błotnista nizina łęczycka, łącząca
wąskim smugiem wzdłuż rzek pomienionych, a przez okolice Tur-
ka, Łęczycy i Soboty, niziny poznańskie z nadwiślańskimi, ku
Łowiczowi, Błoniowi i Warszawie, była niewątpliwie jądrem pier-
wotnego osadnictwa tej ziemi: kąskiem najpożądalszym dla przed-
historycznych twórców państwowości w tych stronach — twórcy
ci opóźnili dziejową pracę swoją i dali się ubiedz innym, szczę-
śliwszym sąsiadom. Granice ich zaborów dotarły na zachodzie,

postępując wzdłuż pomienionej niziny nadrzecznej, zaledwie poza lewy brzeg Neru, w okolice Dąbia, nie sięgając Warty; na wschodzie zaś, posuwając się z biegiem Bzury, stanęły już za Orłowem, w pobliżu Soboty. Nizinę życiodajną, sześćdziesięciu kilometrów długości, posiadli wprawdzie władcy pierwotni łęczyckiego grodu i stała się ona niewątpliwie podstawą ich dalszych zabiegów „politycznych,” ale zabór, prowadzony w kierunku pomienionym z widoczną energią, spotkał się z jednej strony dość wcześnie z odporem Kaliszan, broniących wybrzeża Warty, z drugiej zaś — Mazurów, posuwających się z okolic Łowicza w dół Bzury.

Trzeba było sięgnąć z konieczności po zdobycze inne, a te znalazły się jeszcze na północy i na południo-wschodzie. W pierwszym z tych kierunków posunęli się władcy Łęczycy aż po okolice rzeki Kłodawicy (os. Kłodawa) i jeziora Lubień, zatrzymani w pochodzie dalszym przez Kujawian „leśnych;“ w drugim — napierani silnie przez Sieradzan, wbili się jednak szczęśliwie, czy utrzymali, klinem pomiędzy ich ziemią, a mazowiecko-rawską, aż po Pilicę, na przestrzeni od późniejszego Tomaszowa Rawskiego do Łęgonic. Dalej — poza tę wice-królową rzek naszych — nie puścili ich Sandomierzanie, zazdrośni o granicę naturalną wielkiego terytorium, jakie już osiągnąć zdołali.

Nie są nam znane dzieje pierwotne władców łęczyckich; nie wiemy nawet kiedy toczyli wszystkie te boje: wiadomo tylko, że owoc ich pracy spaść miał, nim jeszcze pierwszy Piast historyczny zastąpić zdołał na zachodzie w walce z margrafami Cesarstwa, na łono jego rodu. I spadł tak na to łono, jak spadły owoce zamierzchłych czynów politycznych wielu innych pra-bobaterów plemiennych Polski, których pokonali Piastowie, aby na gruzach ich dynastji, z materiału przez nich przygotowanego, rozpocząć i stworzyć budowę wielkiego państwa.

Piastów wywiodła z mroku przed-dziejowego na arenę czynów europejskich pobudka zewnętrzna: napór niemiecki. Mieszko I w roku „historycznych narodzin Polski,” 963-im, stawiał mu czoło w okolicy Kistrzynia i Frankfurtu (nad Odrą), którą już władał, będąc właściwie z pochodzenia tylko plemiennym władcą gnieźnieńskim. Władza jego rozpościerała się już jednak w końcu X wieku znacznie dalej, bo nie tylko na północną część Śląska, ale na całe Kujawy, na ziemię czerską aż po Wisłę, oraz na ziemię łęczycką i sieradzką: pod koniec zaś panowania, lecz tylko chwilowo, jakoby i na część Wiślan, a nawet — Chorwatów (Chrobatów) Czerwonych, czyli na Przemyśl i t. zw. Grody Czerwieńskie. Ostatnich tych zdobyczy Mieszkowych, sięgających rzeko-

mo od Krakowa i Wiślicy aż po okolice Lwowa, nie należy jednak brać całkiem na seryo. Polegały one, być może, na jakimś powodzeniu efemerycznem, które w rzeczywistość realną zamienili dopiero późniejsi Piastowie. Natomiast, zdaje się nie ulegać wątpliwości, pierwsza część tych nabytków, do których należała już i Łęczycza.

Gdybyśmy wedle tego tempa, w jakim, w zaraniu doby historycznej, wchodziły w skład przyszłego państwa obszary Małopolski (Chrobacy) i Mazowsza po obu stronach Wisły, odtworzyć sobie chcieli — bodaj w przybliżeniu — ów okres czasu, który poświęcić musieli przodkowie Mieszka, władcy gnieźnińscy, by mu do jego posiadłości od Odry aż po Wisłę i od Kujaw aż po Pilićę utorować drogę, to zaiste wypadłoby nam uchylić czoła przed prawdą chronologiczną legendy dziejowej o tak zwanym „Piaście“ i o jego potomkach „bajecznych:“ Ziemowicie, Leszku i Ziemomyśle. Małopolska (Chrobacya) wraz z Krakowem przyłączona została trwale do państwa Piastów dopiero po śmierci czeskiego władcy tej ziemi, Bolesława Pobożnego († 999), przypuszczalnie w roku jego zgonu; co zaś do Mazowsza zawiślańskiego, to trudno mówić o trwałej jego zdobyczy przed rokiem 1047. A przecież oba te terytoria, razem wzięte, wynosiły niewiele więcej nad to, co, w porównaniu z najszerzej nawet pojętą, pierwotną okolicą Gniezna, gniazda Piastów, stanowiło ich *zdobycz* przedhistoryczną, zawartą w granicach Polski Mieszkowej!

Od urodzenia Mieszka I (około 922 r.) aż do tej chwili (1047) upłynęło przeto lat — około stu trzydziestu, t. j. okres normalny czterech pokoleń. Nie bez słuszności przypuścić trzeba, że takiż okres — jeśli nie dłuższy, bo obejmujący *pierwiasłkową* pracę polityczną Piastów — upłynąć musiał aż do chwili narodzin Mieszka I, władcy znacznych już terytoriów, od doby rozpoczęcia tej pracy na nieco szerszą skalę. Jakoż potwierdza słuszność tego przypuszczenia tradycja przed-dziejowa o czterech „bajecznych“ pokoleniach Piastów, jakie upłynąć miały od doby gnieźnińskiego protoplasty dynastyi, do czasów Mieszka I. Datę przybliżoną tej doby wskazać łatwo: wypadnie ona na sam koniec wieku VIII-go, a wniosek stąd, że ćwierć tysiąca lat (VIII do poł. XI w.) zużyć musieli Piastowie „legendowi“ i „historyczni“ na skupienie Polski etnograficznej w jedną całość polityczną. Świadczy to najdosadniej o niedocenianych przez dziejopisarstwo trudach dzieła i o różnicach, tkwiących z prawieku we wspólnej, polskiej duszy plemiennej!

Z tradycyi, spisanej przez Galla około r. 1112, a najdawniejszej, jaką o przodkach Mieszka I posiadamy, nie zdaje się wynikać, aby syn „Piasta,“ zwany Ziemowitem, władać miał jakimś terytoryum o wiele rozleglejszem od gnieźnińskiego. Ustalić granic tego terytoryum oczywiście niepodobna; można jednak przypuścić na dość poważnej podstawie, że tendencya jego wzrostu, załatwiwszy się z Kujawami (Gopło, Kruświca), ciążyła przede wszystkim w stronę Kalisza i Poznania, wyniesionego na stanowisko *stolicy* „Polski“ pierwotnej u samego przełomu dziejów „hajecznych“ z historycznemi, a więc i zdobytego zapewne nie o wiele wcześniej. W tym to kierunku, i dalej na zachód, dążyć musiały przede wszystkim *militiae probitatis fama i audaciae gesta* przodków Mieszka I, skoro on sam posunął się aż do Odry, a terytorya średniego i dolnego biegu Warty stały się w dalszej pracy dziejowej rdzenną ostoją dla niego i jego następców.

Kiedyby do kresów południowo-wschodnich tej ostoi przyłączono ziemię łęczycką—orzec tego ściśle niepodobna: stało się to prawdopodobnie nie tylko po zdobyciu Kujaw, ale i po posunięciu się Piastów w głąb ziem: Poznańskiej, Kaliskiej i Sieradzkiej. To bowiem pewna, że *krańcem* posiadłości—już nie Mieszka I, ale syna jego, *świeżego* zdobywcy *olbrzymich* terytoryów, niemal naokół Gniezna, (Bolesława Chrobrego) — była w tych właśnie stronach... ziemia czerska, zaledwie o 25 kilometrów na południu, a o 50 klm. na północy od wschodnich granic łęczyckich oddalona! Jest to fakt aż nazbyt znamienity i nieświadczący bynajmniej ani o zapędzie pierwszych Piastów w te tu strony, ani o „prawdzie uznanej odwieczności“ ich panowania nad tymi, których t. zw. „Nestor“ *Łuticzami*, a inni *Łęczzanami* lub *Łęczycanami* mianują i którzy się jeszcze na schyłku wieków średnich odrębnością nie mniej znaczną, jak same Mazury, od reszty plemion „wielkopolskich“ wyróżniali.

Bądź co bądź jednak, należeli już Łęczycanie do państwa Piastów u progu historycznej doby: zaliczono ich nawet, ze względu na położenie geograficzne, do Wielkopolski, piastowskiej ostoi. Czy jednak była to ostoja, równa Gnieznu i Poznaniowi, przyszłość dopiero wykazać to miała.

W szczupłych granicach gnieźnieńskich, z piastowskiej zarodzi przyszłego państwa, wyłagł się Orzeł białopióry, co sięgnąć miał niebawem, jak pisklę tytana, przestrzeni niezmiernych: Karpat i Bałtyku, ziem czeskich i „Złotej Bramy“ Kijowa... Pieśń młodzieńczej jego epepei płynęła hymnem potężnym po świecie, rwała zapory i waliła wrogów pokotem, to znowu cichła pod brzemieniem trudu, co pierś olbrzyma przytłaczał i — po wzlotach na szczyty niebosiężne — zdawała się szeptać słowami lęku i trwogi, że lot był zbyt bujny, że przechodził siły... Rwała się wtedy pieśń bohatera, a Orzeł padał omdlały... Jakikolwiek jednak zataczał kręgi: czy wzbijał się w niebiosa, czy ochrony szukał na ziemi, towarzyszyły mu stale — na razie idealne raczej, niż rzeczywiste, później potężniejące z każdą dobą dziejów — dwie wrogie mu istoty, coraz bardziej ku sobie ciężące, które sam do życia powołał niebacznie: prawda, że z wyroku losów. Im niżej spadał Orzeł, tem skwapliwiej ssały one jego siły, tem natrętniej dzieliły między siebie zdobycz jego bujną — niepomme na przyszłość: częściej nieogledne, niż przewidujące. Istoty te — to możnowładztwo duchowne i świeckie. Wydobywa się ono na arenę dziejów u schyłku wieku XI, rozwija się w XII, a potężnieje w XIII i następnych. Nie dowód to jednak, by go już dawniej, bodaj w zarodku, nie było. Przeciwnie, wszystko zdaje się wskazywać na to niezbiecie, że możnowładztwo, a raczej jego zawiązek i podłoże, przekazała już doba przedhistoryczna przyszłemu państwu Piastów. Mówiąc o dobie przedhistorycznej, nie możemy oczywiście mieć tu na myśli możnowładztwa duchownego. Pierwszym niewątpliwie pionierem tej kategorii był dopiero biskup krakowski Stanisław († 1079), który z tego właśnie powodu — przyczem inne maleją i nikną — paść musiał z ręki Korony. Przedtem, w dobie zupełnej przewagi tronu, a nawet i później jeszcze, po niedanej na razie próbie św. Stanisława z królem Bolesławem, duchowieństwo polskie — misyjne raczej, niż osiadłe — cudzoziemskie, niż narodowe, i dorabiające się wpływów, niż panujące — zdawało się być dalekiem od tej roli możnowładczej, jaką osiąść miało w blizkiej już przyszłości.

Zwycięstwo jego stało się niemal decydującem na przełomie XII stulecia z XIII-em, a zawdzięczał je Kościół temu związkowi, jakim dość wcześnie dla siebie, a zbyt — niestety — wcześnie dla Korony, z możnowładztwem świeckiem się zbratał.

Trudno oznaczyć datę ścisłą tego faktu: Stanisław biskup i Sieciech palatyn (schyłek XI w.) — to dwie osoby i dwa panowania różne, ale jeden tylko słup symboliczny ślubów, jakie w Pol-

sec pod koniec wieku XI na zgubę Orła zawarto. Nie zabily go one wprawdzie, ale pograżyły w dłuższej niemocy, nieomieszkawszy ze słabości wroga-żywiciela skorzystać. Potomkowie prady-nastów plemiennych, dziejowi mściciele tych, co ujsć zdołali z życiem i z częścią mienia krwawym szponom Orła, gdy ów garnął ich ziemie, ludy i dobytek pod olbrzymiejące skrzydła swoje: ojczyce tych, co zdołali zręcznym ustępstwem, przysługą, czy zdradą, wywieść go w pole, a siebie ocalić, czerpać zaczęli odtąd oręż przeciw jedynowładcom z arsenału „królewskich“ tradycyj własnych, popartych fortuną.

Na razie niezależnie od nich, lecz w tęż samą stronę godził i Kościół. Arsenalem moralnym był mu własny jego charakter, uznany już na szerokim świecie — fortuną to uposażenie, jakim go jedynowładca-„kolator“ szczerze darzył. Kości były rzucane: cel wspólny złączył tych, co doń zmierzali. Moźnowładcy świeccy jeli wstępować w służbę Kościoła — ów zaś, jego dostojnicy i przedstawiciele, stali się nawzajem trwałą ich ostoją. I skrzepła z dwóch — jakby jedna siła, co w początkach nieśmiele, a potem ręką coraz potężniejszą, godziła w Orła. Ogrom jego zdobyczy sprawiał bowiem, że walka, o jakiej mowa, nie zwaśniła nigdy przyjaciół na dobre. Było się czem dzielić — nie zbrakło nikomu. Tam, gdzie ciągnęły się olbrzymie obszary rodowe, puścizna po dawnych dynastach plemiennych, a fortuna dziedziczna przyszyłych „królewiat“, Kościół nie potrzebował gwałtem wchodzić im w drogę. Gdy zbrakło przyległych, wolnych ziem monar-szych, lub darów częstych a szczerzych ze strony samych magnatów, znajdowały się inne, jakby zapasowe, co niby czekały na to, by je monarcha komu ofiarował... Ongi, dawno już temu, dynastowie oporni padli tam — wszyscy bodaj — z ręki Piastów, którym ich ziemie przypadły w udziale. A komuż, jeśli nie Kościołowi, przekazywać ją należało? „Panom“ biskupom i opatom, co, krom zbawienia duszy dla ofiarodawcy, zapewniali mu nadto jakitaki z ziem tych pożytek, a ludności — pewien dobrobyt, dzięki sposobom „uczonym“, jakie ze świata do Polski ściągali.

Los ziem takich, którym Kościół moźnowładców zastąpił, podzielić miała — jedna z pierwszych — ziemia łączycka, bezpańska, niemal kresowa dzierżawa Piastów, przed pokonaniem „dzikiego“ Mazowsza.

Dziką bo była niewątpliwie i ona sama — bardziej dziką, niż inne ziemie polskie, skoro płomienni apostołowie, poszukujący śmierci męczeńskiej — św. Wojciech i Bruno z Querfurtu: jeden, czy drugi, a może i obaj, rozbili w niej w ciągu lat kilkunastu

swoje namioty. Było to w samym zaraniu polskich dziejów „historycznych.“ Pierwszy zginął bowiem w roku 997-ym, drugi w dwanaście lat później (1009). Jeżeli żaden z nich nie postradał w łęczyckiem żywota, to tkwił w tem niechybnie czar pancerza ich mocodawcy, Chrobrego, jaki im towarzyszył w te strony. Pancierzem być musiała niedawna jeszcze tradycja tej bezwzględności i okrucieństwa, z jakim Piastowie gnieźnińscy ugruntowali nad łęczyckiem swoją przewagę: z jakim wytepili tych wszystkich, coby im kiedykolwiek mogli stawić tam czoło w obronie ojcowizny czy obyczaju. Ponieważ jednak ludności w walce zamierchłej nie wytepieno, ponieważ osadników, stanowiących o wartości ziemi, pozostało tam nie mniej, niż w wielu innych okolicach kraju, przeto nie pogardzili krainą „Piskorzy“ późniejsi, mniej już uduchowieni, przybysze kościelni.

Być może, że z rąk jednego z pomienionych apostołów, bo, jak się zdaje, w czasach Chrobrego (992—1025), pozyskała ziemia łęczycka pierwszą placówkę duchowną. Było nią pono opactwo Benedyktynów pod wezwaniem N. M. P. na łęczyckim grodzie. Był tej fundacyi sędziwej, jako instytucyi pierwotnej a samodzielnej, zawrzeć się miał w okresie stuletnim od schyłku X-go, czy początków XI wieku — po koniec tego stulecia. Wątpić nie można, że jej działalność, jakkolwiek pod względem przestrzeni — tu i owdzie nogą mnicha-misyjonarza dotkniętej — mogła być dość rozległą, nie sięgała przecież w głąb ziemi łęczyckiej poza północno-zachodnie okolice Łodzi. Jeśli zaś wogóle sięgnęła w te strony, to ani intensywniej, ani na stałe. Trzeba bowiem zważyć, że cały Kościół ówczesny posiadał jeszcze w Polsce charakter misyjny, brak mu było wszelkiej tradycyi i powagi nadprzyrodzonej, a wreszcie — dostatecznej opieki ze strony władzy, tam nawet, gdzie wszystko korzyć się przed nią zdawało. A cóż dopiero w ziemi oddalonej, gdzie zamierzające wspomnienia lęku i trwogi, bardziej może niż siła władzy, rozproszonej za łupem po świecie, gwarantować musiały bezpieczeństwo mnichom — dziwnym wysłańcom krwawego pana, otoczonego hen! gdzieś! daleko! zgrają wojowników, co nie zawsze skutecznie wspierać mogli załogi grodów, rozsianych po kraju, a fundowanych nie nazbyt obficie i w łęczyckiej ziemi. A dziwni zaprawdę bywali pierwsi studzy Kościoła w Polsce, wysłańcy tego, co sam na barach bałwochwalcy płaszcz chrześcijański nosił. Z Włoch, gdzie tyle razy duch ludzki, jak Feniks, powstawał z popiołów, z pod błękitnego nieba Italii, szli oni w świat mroźny i daleki, w świat bestyj, puchu białego i wód, co się taflami szkła pokrywały w zimie — by głosić

słowo zbawienia, by zwalczać krzyżem twory szatana, a sobie palmy męczeńskie wywalczać: klucz, co wrota raję otwierał. Pierwsi Piastowie panujący nie z tymi ludźmi nie mieli wspólnego po duchu; przeciwnie — byli żywą ich antytezą. Mimo to spręgała ich z nimi polityka trzeźwości — ta sama, która Mieszkowi I kazała trybut płacić cesarstwu z nad Odry, a synowi jego — późniejszemu protektorowi świata, wysługiwać się imperatorom w pierwszych latach rządów.

Kościół był już na zachodzie instytucją *sine qua non*: stać się nią musiał przeto i w Polsce, która z zachodem ślub geograficzny, a potem — w akcie chrztu Mieszkowego (966 r.) i historyczny zawarła. Mimo to, władca chciał być przecież władcą i od Kościoła, podobnie zresztą, jak sami imperatorowie przedgregoriańscy, zupełnej uległości wymagał. Uległości i postuszenstwa, choć istotny pożytek *państwowy*, z misyj kościelnych płynący, nie mógł mu być obcym.

Oto doba działalności domniemanej Benedyktynów łączyckich w zarysie ogólnym; szczegółów brak oczywiście zupełny. Można je sobie chyba odtworzyć na tle wieku i kraju, na tle barbarzyństwa, borów odwiecznych i świętych gujów, jako pierwsze zawiązki pracy apostołskiej wśród dzikich — podobne do tych, które za naszych jeszcze czasów Kościół na gruntach całkiem egzotycznych tworzył i tworzy.

Nie były to nawet zawiązki dość trwałe, skoro kataklizm z lat 1034 — 1040, kiedy to *byst' miatież welik w zemi liadstie* (łęczickiej), a *wozstawsze liudie izbisza episkopy i popy i bojary swoja* i kiedy *nie*, na razie przynajmniej, z pracy Piastów nie pozostało — pozwolił przetrwać bezpiecznie ziemi łączyckiej w przywróconym na nowo stanie pogańskim aż do czasów Bolesława Śmiałego (1058 — 1079), a może i dłużej.

Wobec nikłych śladów przeszłości „chrześcijańskiej,” a świeżego zwycięstwa reakcyi, doba, w której król Szczodry wznawiał tam fundacyę swego Chrobrego pradziada, może być uważana za początek twórczej pracy dziejowej Kościoła nad Nerem i Bzurą. Właściwie należałoby nawet posunąć jej datę na sam koniec XI st., kiedy z okazji konsekracyi Katedry Gnieźnieńskiej, którą nominalnie od wieku już blisko przewodziła w państwie, Władysław Herman nadał w r. 1097 arcybiskupom tantejszym dawne opactwo łączyckie. Fundacya ta, na uprzednich, benedyktyńskich obszarach oparta, czyli też — bodaj w części — na nadaniach nowych, sięgała północnych jezior łączyckich na granicy Kujaw: Przedeza, Brdowa, Chotla i Długiego, liczyła pięćdziesiąt osad w głębi bo-

rów i licznych na te czasy—bo setkę—poddanych, nadto zaś uprawiaczy winnic mszalnych, oraz placówki niewolnych piekarzy, koniuchów, szewców i kucharzy.

Tak zaczęły się rządy Kościoła — pierwszego faktycznego w dobie historycznej pana i władcy połaci północnej tej ziemi. A było to właśnie u progu obojga narodzin polskiego możnowładztwa — ery, która wśród warunków już nam znanych, dalsze losy stron łączyckich rozstrzygnęła z góry.

Dwie nowe fale osadniczej organizacyi kościelnej: chropska i wolborska runęły niebawem w te strony. Pierwsza, płynąc z sieradzkiego, stanęła na razie nad Nerem u łączyckich granic; druga z południa, również z ziemi sieradzkiej rodem, wcięła się klinem wązkim ku północy, sięgając dóbr stołowych arcybiskupich—spuścizny po opactwie N. M. P.

Oto, jednocześnie z fundacyą gnieźnieńską (1097), kiedy wśród ciężkich walk wewnętrznych, gromów ze strony Czech i Pomorza, Władysław Herman uczuł się zniewolonym do kapitulacyi względem partyj synów, możliwych i Kościoła, powstała organizacya kapituły krakowskiej, przyczem dokonano jej uposażenia. Materiał był jakby pod ręką. Kiedy bowiem kilkanaście lat przedtem, około roku 1080, wnet po upadku króla Bolesława, ważyły się losy Hermanowego tronu, następca Śmiałego uczynił zrzeczny krok polityczny, zawierając małżeństwo z księżniczką czeską, Judytą, córką potężnego rywala Polski, Wratysława II. Była to dla takiego Piasta, jak Herman, wielka wygrana. Nic też dziwnego, że księżniczka stała się w nowej ojezyźnie swojej istotną „królową,” a książę-malżonek skłonny był do czynienia jej wszelakich ustępstw i honorów... Temu to przypisać należy chropską „oprawę” księżny z ręki Władysława, oraz fakt, że ostatnią jej wolę, ku pożytkowi potężniejącego Kościoła powziętą, uszanowano. Umierając bowiem w r. 1086, przekazała Judyta oprawę swoją duchowieństwu „czeskiego” do niedawna Krakowa—katedrze tamtejszej. A dar to był nie byle jaki: obejmował około pięciu mil kwadratowych ziemi sieradzkiej na pograniczu łączyckiem, z ludnością i z daninami w zbożu, miodzie, skórkach wiewiórczych i kunich, a nadto z pełną — jak zobaczymy — możliwością zagospodarowania się i w łączyckiem. Ner pograniczny nie stał się bowiem nieprzebytą dla panów duchownych zaporą. „Chropy,” sięgające pierwotnie Neru w okolicach Rzgowa, zamienić się miały w okresie XI—XV st. na olbrzymie, dziesięćmilowe dobra pabianickie kapituły krakowskiej, które od pierwotnych swych granic zachodnich, od rzeki Grabi, Łdzania Dobronia i Zytowie w sieradzkiem,

wzrosły na wschodzie po rzekę Miazgę, Dalków, Kurowice i Kra-
szew w łęczyckiem, a z kresów południowych — Orszka i Dłuto-
wa, pociągnęły hen! na północ aż po Karolew podłódzki!

Dwie fale kościelne: gnieźnieńska i krakowska, bijące tara-
nem swego osadnictwa w głąb odwiecznych borów łęczyckich,
nie wyczerpały atoli przeznaczeń tej ziemi.

Za czasów Krzywoustego, około roku 1125, w dobie gorli-
wej pracy misyjnej Ottona z Bambergu na Pomorzu, powstała na
Kujawach, dla wyzyskania płonów politycznych Bolesława, a — re-
ligijnych św. męża, odnowiona z gruzów Kruświckich, stolica bi-
skupia z siedzibą we Włocławku. Zaraz też, lub prawie jedno-
cześnie, bo niewątpliwie przed rokiem 1148, weszli biskupi wło-
cławscy w posiadanie kasztelanii woborskiej — starego *Wojbora*
w sieradzkim.

Niepodobna przypuścić, aby kasztelania ta, nim się jądrem
przyszłego kompleksu dóbr biskupich stała, mogła wykraczać po
za granice naturalne tych opól, jakie się na nią pierwotnie skła-
dać musiały, t. j. poza granicę łęczycką na północy, a Pilicę na
wschodzie. Kresy jej południowe graniczyły z grodztwem roz-
pierskiem — zachodnie zaś, najpewniej z „Chropami,” na linii Dal-
kowa, Żuromina, Bądzynia, Dłutowa i Orszka.

A jednak „okręg“ (districtus) woborski dóbr biskupów ku-
jawskich, nie obejmujący pierwotnie — ba! jeszcze nawet w poło-
wie XIII wieku — *ani jednej* wsi w łęczyckiem, sięgnąć miał wkrót-
ce potem: wcześniej niż krakowskie „Chropy,” a niewątpliwie
dalej niż one, choć mniej systematycznie, w głąb tej ziemi. Już
na schyłku XIII stulecia, zarzucając arkany swoje naokół — w ka-
liskie i rawskie, w łęczyckiem trafił aż pod Głowno i nie utracił
w przyszłości zdobytych tam raz terytoryów.

W tej to epoce posiąść musieli biskupi kujawscy, obok Nie-
sulkowa pomiędzy Łągiewnikami i Głownem, obok Witowa i Oszko-
wie pod Piątkiem, obok Łaznowa, Godaszewic, Chorzęcina i kilku
innych miejscowości w łęczyckiem, także i wieś *Łodzie*, która zna-
lazła się niewątpliwie w ich posiadaniu pomiędzy rokiem 1250
a 1332. Wieś ta leżała w onej dobie na samym rozstaju trzech
fal kolonizacyjnych Kościoła, bijących w łęczyckie. Pierwsza
z nich, gnieźnieńska, od północy sięgała w te strony; druga — kra-
kowska („Chropy“) dążyła z południowego zachodu aż po później-
szy Karolew podłódzki; trzecia wreszcie — włocławska (dobra wob-
borskie), mknąc w susach od południa, samą „Łódź“ załapała.

Nietylko na rozstaju prądów osadniczych Kościoła umieściły średniowieczną Łodź losy dziejowe. Postawiły ją one nadto na straży kresów północnych tego klina, którym Łęczycanie, dążąc ku Pilicy, wbili się ongi między Sieradzan a „Mazurów“ rawskich. Klin ten, wypełniający część południowo-wschodnią późniejszego województwa, obejmował 1300 kilometrów kwadratowych powierzchni, przy najniższym zaludnieniu nietylko w łeczyckim, ale w całej niemal Wielkopolsce i nosił w czasach późniejszych miano „powiatu“ (districtus) brzezińskiego, graniczącego od północy na linii Retkini pod Konstantynowem, Łodzi, Strykowa i Gozdowa, z „powiatem“ łeczyckim, a Gozdowa i Waliszewa, z „powiatem“ orłowskim.

Trzy te „powiaty“—to całość ziemi łeczyckiej, a powiat brzeziński, to niewątpliwie dawna kasztelania tegoż miana i dawniejszy jeszcze, zamierzchły związek opól okolicznych, na którym kniaziewie łeczyccy oparli ongi władzę swą w tych stronach.

Nie był to zapewne nabytek zbyt ciężki, ni krwawy, choć granica północna powiatu, dążąca linią krzywą przez okolice wspomniane, a zgięta silnie pomiędzy Radogoszczem i Łodzią, zdaje się wskazywać na to, że stary gród zgierski, placówka południowa pierwotnych władców łeczyckich, musiał się tu niegdyś z pewnemi trudnościami porać.

I nic dziwnego. Jakkolwiek bowiem odwieczna puszcza leśna pokrywała okolice Brzezin—nazwanych tak, bodaj dla wyjątkowej obfitości brzóz (brzezin) w tych stronach—to jednak nie była to puszcza całkiem głucha, nawet w czasach prastarych, które sto pełna osad ludzkich, wśród lasów i borów, potomności przekazać tam zdołały.

Z terytorjum, o którem mowa, zasiadali później w senacie polskim dwaj tylko kasztelanowie (mniejsi): brzeziński i inowłodzki. Byli to jedyni—poza wojewodą i kasztelanem łeczyckim—senatorowie z tych stron zaściankowych. Kasztelan brzeziński reprezentował na szarym końcu ław senatorskich dostojność zamierzchłą prastarego grodzstwa, którego okolica dała początek nazwie i rozmiarom „powiatu;“ inowłodzki zaś, wyposażony w miejsce jeszcze późniejsze, zasiadł na niem, jako przeżytek tych prób niefortunnych, które niegdyś—może przed Piastami—usiłowały zapewnić panom Inowłodza, a raczej jakiejś zanikłej tam miejscowości „starowłodzkiej,“ panowanie nad częścią południową ziemi łeczyckiej. Zdaje się, że panowanie to nie wykroczyło nigdy poza najbliższą okolice grodu: wieś Małomierz i sąsiadujące z nią przyległości. Podboje Brzezin sparaliżowały niechybnie rozwój dalszy tej pla-

cówki odwiecznej, która spełniła jednak zadanie swoje, jako strażnica pograniczna ziemi łęczyckiej od strony Pilicy i Sieradzian — zarzecznych sąsiadów.

Zresztą, na terytorium późniejszego powiatu brzezińskiego, szukalibyśmy daremnie śladu innych, poważniejszych punktów obronnych. Od strony Sieradzian broniło tu dostępu jedno chyba tylko Grodzisko pod Rzgowem; pozatem, jak się zdaje, przestawano na zwykłych przesiekach pogranicznych (*vyasdl*), których ślad zachował się w nazwie Ujazdu, położonego między Rokicianami a Tomaszowem.

Granica sieradzko-łęczycka była w tych stronach zarazem i granicą „powiatu,” który na południowym wschodzie ogarnął całość ziemi łęczyckiej i sięgnął po Pilicę, przyczem terytorium inowłodzkie stało się w wiekach średnich jego częścią składową. Jeżeli jednak granicę północną, zachodnią i południową obszaru brzezińskiego odtworzyć możemy sobie dość ściśle, to gorzej przedstawia się granica wschodnia od strony ziemi rawskiej, jakkolwiek sama stolica „powiatu” — stare Brzeziny, tuż prawie nad granicą łęczycko-rawską, bo o dwie mile od niej położone były. Zdaje się, że rzeczkę Przysowę, stanowiącą w przybliżeniu tę właśnie granicę, uważać można w zasadzie za kres „powiatu” brzezińskiego w owej okolicy. Kres ten nie był atoli dość wyraźnym — tak dalece, że nawet Brzeziny uchodziły niekiedy, i to w kancelaryi królewskiej, za część składową województwa rawskiego, a więc — Mazowsza! Był to oczywiście błąd, ale błąd znamienity, płynący z przyczyn, których rozstrząsanie zbyt dalekoby nas zaprowadzić mogło. Dość będzie stwierdzić, że właśnie „powiat” brzeziński — klin południowo-wschodni ziemi łęczyckiej, co ziemię rawską od Sieradzian dzielił, co pomnożył posiadłości łęczyckie o 1300 kil. kw. powierzchni i obdarzył je czteromilowym brzegiem Pilicy od Tomaszowa do Łęgonic, składał się naogół z terytorium, najmniej pożądanego w prawieku, kiedy ziemi bylejakiej było i być mogło poddostatkiem dla wszystkich. Licha gleba — w łęczyckiem najgorsza — sprzęgała się tu z okolicznością, że „powiat” brzeziński obejmował owo właśnie płaskowzgórze, 200—300 metrów ponad poziom morza wzniesione, które stanowiło cypel północny wyniosłości podkarpackich, rozlanych tuż na zachód od Pabianic, na wschód od Brzezin i na północ od Zgierza, w płaszczyznę (100—200 metrów) sieradzka, rawską i łęczycką, która dalej nieco, poza Ozorkowem, przechodziła już w urodzajną nizinę Warty, Neru i Bzury. Płaskowzgórze brzezińskie, ożywiane z wiosną potokami wartkich strumieni, nie posiadało

nigdy—poza Pilicą na południowym wschodzie, i poza środkowym porzeczem Neru na zachodzie północnym, a więc—poza dobrodziejstwami natury, z których „obcy:“ „Sandomierzanie“ i Sieradzanie przedewszystkiem korzystać mogli—żadnych zgoła poważniejszych arteryj wodnych, sprzyjających osadnictwu pierwotnemu.

Okoliczności te: brak rzek spławnych, ubóstwo gleby i uderzająca podziśdzień hipertrofia natury w wydajności drzew leśnych, a zwłaszcza brzozy, spowodowały z jednej strony szczupłość osadnictwa w tej okolicy, z drugiej zaś tłómaczą ona możliwość dziejową, której Łęczycanie, w pochodzie ku Pilicy, „klin“ swój — skarb przez sąsiadów mało pożądanym — do zawdzięczenia mieli...

Nie posiadał on nawet granic naturalnych, z wyjątkiem dolnej części Dobrzyńki i średniego biegu Neru w węgle północno-zachodnim, od strony Sieradzan, a Pilicy od „Sandomierzan.“ Granice sieradzka i sandomierska nie ulegają zresztą wątpliwości, podobnież jak i odrębność etnograficzna trzech „plemion:“ Sieradzan, Łęczycan i Chrobatów. Inaczej zgoła miały się rzeczy ze wschodnim sąsiadem ziemi łęczyckiej—z „Mazowszem“ rawskim, nie oddzielonem od niej żadną zaporą. Względ ten, jak również chwiejność granic łęczycko-rawskich w toku dziejów, zdają się przemawiać za hipotezą jedności etnograficznej obu „plemion,“ z których słabsze — Łęczycanie, utracić mieli w prawniku „rawskie“ obszary swoje na rzecz Mazurów, którzy ich z nad Wisły wyparli aż po Przysowę.

Nie sięgając w czasy tak zamierzchłe, stwierdzmy, że istotnie granica wschodnia ziemi łęczyckiej, a więc i brzezińskiego „powiatu,“ zdawała się niknąć w praktyce i łączyć raczej, niż rozdzielać jego mieszkańców z sąsiadami o miedzę — z obywatelami „młodszego cywilizacyjnie“ Mazowsza. Młodszego—niewątpliwie—od reszty ziem polskich, a w szczególności od Wielkopolski, do której ziemię łęczycką zaliczono niebacznie... Jeżeli zaś cała ta ziemia zdawała się być za pierwszych Piastów kopeiuszkiem Korony; jeżeli ujemne wpływy mazowieckie opanowywały ją na całym pograniczu wschodnim, to najsilniej działały one niechybnie w brzezińskim, którego mieszkańcy, oddaleni od metropolii—Łęczycy, odcięci granicą plemienną od Sieradzan, a korytem Pilicy od południowych sąsiadów, pozostawieni byli w guszy leśnej, jakby samym sobie i—„Mazurom.“

Kto wie zresztą, które to wpływy były lepsze: łęczycko-brzezińskie, czy „mazowiecko“-rawskie?... Nie darmo pieśń ludowa opiewała jeszcze w wieku XVI, ku trwodze słuchaczów, czy-

ny zbójnicze dzikich Pomorzan, zamieszkałych jakoby w rawskiem, choć rzeczka Mroga, dopływ Bzury pod Sobotą, brała, jak wiadomo, początek tuż pod Koluškami, z głębi borów, i dążyła na północ przez najbliższe, „łęczyckie“ okolice Brzezin: Rogów, Kołacinek, Dmosin i Główno... Ale nie uprzedzajmy wypadków!

*

Pod względem kościelnym należała w wiekach średnich ziemia łęczycka do powstałej w roku 1000 archidiecezyi gnieźnieńskiej, a mianowicie do jej archidyakonatu łęczyckiego, który dopiero w wieku XVI na dwa nowe archidyakonaty: łęczycki i łowicki podzielono. Owa przynależność kościelna, polegająca na duchowej obedyencji parafii i wiernych względem arcybiskupa i jego zastępcy, archidyakona, rezydującego od okresu 1161—1200 przy Kolegiacie łęczyckiej, nie dotyczyła w zasadzie—mimo przywilejów Gniezna, oraz dziesięcin, składanych przez ludność jego kapłańskim przedstawicielom—rozwoju znanych nam już prądów osadnictwa kościelnego w łęczykiem. Osadnictwo to—ruch agrarno-ekonomiczny, a pośrednio i kulturalny zarazem—nie uszczuplało na rzecz diecezji krakowskiej, czy kujawskiej, zwierzchnictwa kościelnego archidiecezyi, ani odwrotnie: nie narzucało go „Chropom“ ni „Wojborowi“ w gospodarczej sferze świeckiej. Przeciwnie, biskupi trzymali się naogół krzepko i łącznie ze sobą; tam zaś, gdzie szło o ich stosunek do ludności i władzy, łączność zamieniała się w opokę nieprzezwyciężoną. Opoka nie odrazu jednak z granitu się składała. Tworzył ją początkowo materiał o wiele słabszy — w dobie, kiedy Kościół polski pierwsze kroki swoje na arenie dziejowej stawiał. Było tak poniekąd jeszcze w epoce, która przyszłe losy ziemi łęczyckiej rozstrzygnęła — na schyłku wieku XI, a nawet i później, kiedy po darowiznach na rzecz Gniezna i Krakowa: po dobrach benedyktyńskich i po „Chropach,“ przyszła w pierwszej połowie XII stulecia kolej na „Wojbor,“ ofiarowany biskupom kujawskim. Wiemy, że następstwa tych darowizn odbiły się w całej pełni na łęczykiem dopiero w okresie pomiędzy połową XIII i XV wieku, t. j. kiedy Kościół podstawę swoją w państwie i społeczeństwie należycie już ugruntował. Ze owa

roboty gospodarcze Kościoła w łęczyckim dokonała się tak późno, a nadewszystko, że się tak późno w zakresie niebywałym dokonać *mogła*, są to względy dość ciekawe i ważne, by je tu poruszyć.

Owóż — przed tym okresem — miał u nas Kościół zgoła inne, niż gospodarcze cele na oku: musiał przedewszystkiem porać się z władzą książęcą o prawne stanowisko swoje w państwie. Dopiero, gdy tę walkę zakończył zwycięsko, mógł jąć się poważniej ekonomicznych zabiegów. Możliwość ta — dziwnym zrzędzeniem losu — zbiegła się z początkami ruchu kolonizacyjnego w kraju całym, ruchu, który jego dzieje wewnętrzne właśnie w okresie wspomnianym wypełnił. Tłumaczy nam to, aż nazbyt dokładnie, rzecz na pozór dziwną, że Kościół pracę gospodarczą w łęczyckim rozpoczął tak późno.

Ciekawy jest natomiast взгляд drugi, że się owa praca, wszczęta tak późno, zwłaszcza przez „Wolborz“ i „Chropy“, wykonać dała nietylko istotnie, ale nadto na tak olbrzymią skalę, jakiej gdzieindziej warunki osadnictwa: możni, szlachta i ich gospodarstwa folwarczne, nie mogły już były dopuścić... To też zjawisko to byłoby wręcz niepojęte, gdyby nie fakt prosty, wyjaśniający zagadkę rzekomą: Oto, terenem owych późnych powodzeń Kościoła stał się zaściankowy *powiat brzeziński*, obszar, którego przynależność do państwa i Kościoła, jeśli o kulturę chodzi, uważać można naogół — śmiemy to twierdzić bez wahania — za formalną raczej, niż rzeczywistą, bodaj do progów Jagiellońskiej doby.

Jakież to bowiem nauki i dzieje przeszedł ów obszar za Piastowskich czasów?

Materiałów posiadamy, niestety, zbyt mało, by móżd odpowiedzieć na to pytanie w oderwaniu od dziejów ziemi łęczyckiej, jako całości. Stawiając atoli z konieczności kwestyę w sposób taki, musimy zastrzedz się z góry, że ogólne dzieje łęczyckie dotyczą z natury rzeczy przedewszystkiem jądra tej dzielnicy, t. j., w znaczeniu możliwie najszerszem, łęczyckiego „powiatu.“ Powiat orłowski, a zwłaszcza brzeziński, o dwadzieścia kilka kilometrów w najbliższym punkcie swoim (okolica Gozdowa), a o dziewięćdziesiąt z górą w najdalszym (Pilica), i to w linii powietrznej, od Łęczycy oddalony, nie mógł posiadać nigdy, zwłaszcza, gdy grunt kamienisty, piaski, puszcę leśną i potoki wiosenne tych stron uwzględnimy, łączności należytej z daleką metropolią swoją. Jakoż nie posiadał jej naprawdę jeszcze i w wieku XIX, kiedy to z brzezińskiego *szosa*, „jak za morze“, do Łęczycy w sprawach urzędowych jeździć musiano. A cóż dopiero mówić o Piastowskich

czasach, gdy prawiek w głuszy brzezińskiej dawnym jeszcze rządził się majestatem zbója, natury i zwierza...

„Łęczycza,“ t. j. ziemia łęczycka, jak opiewają dzieje, dostała się, jeszcze za życia Władysława Hermana († 1102 r.), w r. 1097, synowi jego, Zbigniewowi, w udziale i przetrwała pod „berłem“ tego księcia, a — mówiąc ściślej — pod obuchem zbójceckich walk bratobójczych, toczonych pomiędzy nim, a Krzywoustym, do roku 1107-go.

Rzeń ta, przeniesiona później za Wisłę, ucichła na dobre dopiero po oślepieniu i śmierci Zbigniewa (1111—1113 r.), co jednak nie wpłynęło bynajmniej na przyspieszenie początków rzeczywistej pracy kulturalnej w łęczyckiem. Wojenne rządy Krzywoustego, oraz pierwszych, dzielnicowych jego następców w tych stronach, zajętych walką z braćmi i zabiegami o władzę, nie były pono dla Łęczycy bardziej od dawnych panowań szczęśliwe. Dopiero słynny zjazd łęczycki z roku 1180, na którym Kościół pierwsze zwycięstwa swoje nad Piastami obwieścił uroczyście i wobec państwa sobie zawarował, może być uważany nie tylko za początek właściwej, choć nie istotnej jeszcze, doby historycznej tej ziemi, ale i za *omen* znamienny dalszych jej losów.

Prognostyk nie był może nawet całkiem przypadkowy. Odległość znaczna od Prusów, a zwłaszcza od Pomorzan, Czechów i Rusi, nadto zaś spuścizna po benedyktyńska i oparte na niej uposażenie arcybiskupów gnieźnieńskich w „powiecie“ łęczyckim, sprawiły, że sam gród nad Bzurą stał się już w wieku XII rodzajem ostoi dla pożądających ciszy i bezpieczeństwa, przedstawicielei dynastyi i *Kościola*.

W Łęczycy trzymał w roku 1107 Bolesław Krzywousty Marcina arcybiskupa, jako zakładnika w wojnie ze Zbigniewem; w Łęczycy osiadła wdowa po Krzywoustym († 1138), hrabianka Bergu, Salomea; w Łęczycy wreszcie odbył się za Kazimierza Sprawiedliwego słynny akt wspomniany, a w sto lat później, w r. 1285-ym, synod prowincjonalny Jakóba Świnki, upamiętniony postanowieniem konserwacyi i popierania języka polskiego w działalności kościelnej.

Wcielone do Wielkopolski, przechodziło z kolei łęczyckie w dobie dzielnicowej do rąk (Mieszka Starego, Kazimierza Sprawiedliwego) Konrada Mazowieckiego i jego zstępnych: obu Kazimierzów Kujawsko-Łęczyckich, Leszka Czarnego, Władysława Łokietka i Ziemowita, a wreszcie Władysława, księcia dobrzyńsko-Łęczyckiego, po którego śmierci król Kazimierz Wielki dzielnicę tę, dopiero w roku 1357, ostatecznie połączył z Koroną.

Sledzenie szczegółowe dziejów politycznych ziemi łęczyckiej nie jest tu naszym zadaniem. Pragniemy jedynie zwrócić uwagę na tło historyczno-kulturalne tego zakątka, wchodzącego *i później i inaczej*, niż się sądzić zwykło, na tory dziejowej cywilizacji Polski. Poprzestaniemy też na stwierdzeniu faktu, że zarówno za pierwszych Piastów, jak i w czasach dzielnicowych, przedstawiających się smutnie naogół w całej Wielkopolsce, władza państwowa, ani wpływy kulturalne możnych, nie odegrały w łęczyciem tej roli, jaka im w innych okolicach kraju przypadła w udziale. Przyszłość niedaleka miała to w całej pełni wykazać.

Co do wpływów możnych, to „królewiał“, jak wiadomo, nie było tam wcale; co zaś do władzy książęcej, to i ją także, acz tylko poniekąd, wyprzedziło w łęczyciem wyjątkowe stanowisko Kościoła. Wprawdzie, za pierwszych Piastów przeddzielnicowych — jeśli o istotę rzeczy, nie zaś o stronę formalną chodzi — niepodobna traktować tam poważniej obu zjawisk wspomnianych: władzy monarchicznej czy kościelnych wpływów, albowiem pod względem kultury zakątek łęczycki tkwił wtedy jeszcze w atmosferze bytu przedziejowego — w majestacie leśnym prawieku. Gdy atoli w połowie XII wieku nastąpiła w Polsce doba dzielnicowa, niedoceniana naogół co do związanej z nią rozlewności książęcych wpływów cywilizacyjnych, okazać się miało niebawem, że podstawa materialna, jaką Kościół zdołał być przedtem posiadać w łęczyciem i u jego progów, stanowiła siłę o wiele większą, niż ta, jaką rozporządzać mogli dzielnicowi książęta łęczyccy.

Potężni arcybiskupi gnieźnieńscy, władający duszami wierznych całej tej ziemi, oraz dobrami w stołecznym „powieccie“, biskupi krakowscy, jako panowie „Chropów“ i kujawscy — panowie „Wojbora“, — była to zaiste potęga, wobec której niknęli całkiem skarłali potomkowie Piasta, „panujący“ nad okolicą.

Wprawdzie, panem z imienia książę być nie przestawał, wprawdzie „pełnia“ praw jego monarchicznych — *ius ducate*, świecące tu i owdzie strzępami z poza przywilejów, stanowiło dość jeszcze podniety i „siły moralnej“, by się o swe prawa upominać, ale prawa te, tam zwłaszcza, gdzie Kościół, jako magnat ziemski występował, a książę nie księciem był, lecz książątkiem, schodziły zazwyczaj na nic. Dzieje „Chropów“, odebranych kapitule krakowskiej w XII stuleciu przez Piastów, a zwróconych jej przez Kazimierza Sprawiedliwego z dodatkiem pokory książęcej; spory i układy Kazimierza I, księcia kujawsko-łęczyckiego († 1267) z biskupem wrocławskim Wolimirem o dobra kościelne kujawskie, stanowią tu, by przykładów nie mnożyć, ilustrację wystarczającą. Zresztą,

już pod koniec XII wieku, za przykładem arcybiskupa Jakóba ze Żnina, poczęła się w dobrach kościelnych wielkopolskich gospodarka, ulepszona niebawem o tyle, że książęta ubożsi, którzy łowami na grubszego zwierza: zaspakajaniem żyłki myśliwskiej, wetować sobie musieli nieraz brak realniejszych korzyści „panowania,” nie mogli przeoczyć już tych beneficjów ekonomicznych, jakie na nich sanych z łaski Kościoła-gospodarza pośrednio spływały.

Jakkolwiek w Polsce całej urastał Kościół w bogactwo, potęgę i znaczenie „państwa w państwie,” to jednak ziemia łęczycka stanowiła i pod tym względem istne *curiosum*. Najdawniejszy obraz statystyczny tej ziemi, pochodzący z XVI stulecia, wykazuje tam ni mniej, ni więcej, jeno 22% ogółu gruntów uprawnych, nie mówiąc o lasach i nieużytkach, w ręku Kościoła. Ogrom tej odsetki, puścizny średniowiecza, wystąpi atoli w całej okazałości, gdy ją zestawimy ze współczesną normą przeciętną innych województw wielkopolskich (10%) a nadewszystko województw sąsiednich: kaliskiego (6%) i poznańskiego (6%), oraz z obszarem królewszczyzn w łęczyckiem (9%).

Znając okoliczności odwieczne, które zjawisko to wywołały, dziwić mu się niepodobna—jemu, ani logicznym jego następstwom.

Ziemia łęczycka stała się tłem dziejowem, na którym dwa przeciwne sobie krańce duszy wieków średnich: pierwotność barbarzyńcy i świętość ascety ściąrały się z sobą bardziej bezpośrednio, niż gdziekolwiekbądź indziej. Brakło im tu owej przegrody normalnej, jaką stanowiły w innych, wyżej rozwiniętych okolicach kraju, zwykłe retorty cywilizacji, ogniska żywotne rozwoju kulturalnego: dwory książąt, magnatów i możnych świeckich. Anormalność takiego stanu rzeczy miała się odbić nietylko w obyczaju i zaściankowości, ale także i w ich wyrazie publicznym: w słynnym separatyzmie szlachty łęczyckiej za Jagiellonów.

W zespole tym, brzezińskie uznać należy za najbardziej klasyczny przeżytek prawieku, za okaz wybrany majestatycznej jego pierwotności, spowity w zasłonę zelotyzmu religijnego i dziecięcej czci dla Kościoła.

Był on tam wszystkiem o czem dusza człowieka zamarzyć mogła: bogactwem i władzą, dobrem doczesnem i wiekiuistem, panem nad puny, dobrodziejem i sędzią, nagrodą i karą.

Życie... biegło mimo to swoim korytem, stawał się rozwój państw i narodów, jaśniały po świecie nowe ogniska kultury, rok mijał za rokiem, lata za latami—tam wszystko po dawnemu trwało: Kościół pogłębiał wiarę obywatela, gospodarzył, modlił się

i bił we dzwony, ów zaś—*cokoli bywało, żył jako drzewiej, gaił na chyżę, łaźbił szmery, dzierżał mrzeżę, w łomcy łowce dzielił; jegdy zasie pożeżę, albo z chlebojedźce i uczestniki swymi bieżał kędykole, chąsba ni łupem nie gardził...*¹⁾

*

*

*

Daremnie szukalibyśmy śladu szczegółów dziejowych o Łodzi i o najbliższych jej okolicach na tle wczesnej epoki piastowskiej. Manchester polski był embryonem dzisiejszej wielkości swojej nie tylko za Piastów, ale i później jeszcze przez długie wieki. Spowity w niezwykle warunki historyczne, które w sposób skomplikowany, ale nad wyraz logicznie, rozwojem jego pokierować miały, nie marzył on do ostatnich niemal czasów o tej przyszłości, jaka go czekała...

Za Piastów wszystko składało się na to, by rozwój ten opóźnić i dalszym wiekom przekazać *quasi in ovo*. Długoletnie ściąganie się władzy książęcej z kościelną o panowanie nad terytorjum łęczyckiem, a mówiąc ściślej—nad „woborszczyzną“, usadowioną i w brzezińskim, zakończyło się zwycięstwem biskupów kujawskich dopiero za ostatniego Piasta dzielnicowego, który tym zakątkiem władał.

Drobne i mało znane książątko, Władysław dobrzyńsko-łęczycki, syn Ziemowita, a prawnuk mimowolnego dobroczyńcy Krzyżaków, Konrada, uległ w walce dziejowej z biskupem kujawskim, Maciejem z Golańczewa herbu Topór... W słowach, pełnych pokory, spisanych w Łęczycy przez notariusza swego, Jana, proboszcza z Kłodawy, wyrzekł się on skwapliwie dnia 6 września 1332 roku—jak opiewa data—*wszelkich praw* panującego do

¹⁾ Ustęp ten, częściowo w gwarze łęczyckiej z czasów Jagielly spisany, znaczy: ów zaś, cokolwiek bywało, żył jak dawniej, drzewo na chatę gromadził, podbierał pszczoły, sieć (w ręku) trzymał, w lesie zdobył (mysliwską z towarzyszaniami) dzielił; gdy zaś, jako podpalacz, albo z czeladzią i z towarzyszaniami swymi kędykolwiek przechodził, kradzieżą ani łupem nie gardził. Por. zbiór wyrazów odpowiednich w „Księgach sądowych łęczyckich“ (Teki A. Pawńskiego V, cz. III, str. CXXIX i nast.); wyrazy: *chlebojedźce i uczestniki* zaczerpnięte z Kujaw średniowiecznych.

wiosek, przez biskupa pod jego berłem posiadanych, a między innymi do — Łodzi.

Czemże to jednak owa „Łodzianka“ (*Lodzianka*) była tymi czasy? Była wioską, gorszą może, niż inne okoliczne i — bodaj — od nich młodsza — wioską, która u pogranicza dwu kasztelanij starodawnych: brzezińskiej i zgierskiej, na gruncie piaszczystym stała. Nie będziemy pono dalecy od prawdy, przypuszczając, że cały ów proces, w ciągu którego poważniejsza osada ludzka tam powstała, miano swe od godła Łodziców wielkopolskich wzięła, zamieniła się na wieś ludną, na razie „polską“, a potem „niemiecką“, na „stolicę“ parafii, a wreszcie na „miasteczko“, — zawarł się w okresie między połową XIII-go i XV stulecia. Okres ten, dziejowo tak późny, był, jak wiadomo, okresem najbujniejszego rozwoju osadnictwa kościelnego w łęczyckiem. Wszystko przemawia za tem, że jemu to zawdzięcza Łódź późniejsza skromne początki swoje. Jeżeli jednak, wśród znanych nam komplikacyj historycznych i osadniczych, prądy agrarno-ekonomiczne Kościoła zrosiły piaszczysty grunt łódzki w sposób bardziej życiodajny, niż Łódka z Jesienią, to zgoła inaczej dziać się miało w środowisku wiejskiem „miasteczka“ — w najbliższej jego okolicy. Rola Kościoła, oparta tam jedynie na religijnych wpływach, przeciwstawiła zbyt mało, zaiste, kulturalnych zasobów swoich przyrodzonej, oraz dziejowej pierwotności natury i człowieka.

„Łódź“, parta z jednej strony forsownie przez okoliczności i fundowane na nich względy ekonomiczne opiekunów swoich, ku wyżynom materialnego rozwoju, znajdowała się z drugiej strony pod wpływem nieustannym, a bardzo bliskim swego otoczenia. Zespół bezpośredni dwu przeciwieństw, z których każde osobno posiadać mogło i posiadało właściwości dodatnie i ujemne, złe i dobre, piękne i ohydne, stworzył to, co stworzyć musiał — barbarzyństwo, jakich mało. Nie zadziwi nas też zapewne obraz moralny Łodzi: późny, ale najdawniejszy, jaki posiadamy, skreślony w roku 1633-cim w księgach kościelnych łowickich przez księdza-wizytatora: ... „Dobroczyńca kościoła (łódzkiego) — pisze on — przez złodzieja w nocy nikczemnie zamordowany został. W miasteczku sześciu mieszczan nie spowiadało się, a niejaki Jakób Rogowski (szlachcic z przyległych Rogów) od lat wielu... Są tam ludzie skandaliczni — wszyscy upijają się, a stąd liczne między nimi swary. Napomniiałem seryo burmistrza i mieszczan, aby tego więcej nie czynili...“

Obraz ten śmiało cofnąć można o dwa wieki z górą — w dołę Jagiełły, która właściwy próg historyczny dla Łodzi i jej okolicy stanowi.

A ciekawa była to okolica za protoplasty dynastji Jagiellonów—ciekawsza bodaj od samego „miasteczka,“ które wypiastowały dla niej zasługą własną dziwne losy dziejowe...

Szlachta różnego rodu i fortuny, kmiecie, co z roli, lasu, pasiek i wód rzecznych czerpali dobro dla panów i siebie — świat cały, mieniący się krasą natury dziewiczej i poezją szczupłego jej zaludnienia, siedział tam jeszcze w głębi odwiecznych borów, niespłoszony, swojski i stary, jak ongi za „najlepszych czasów!“

Kultura możnego Kościoła płynęła wprawdzie zwolna od Łęczycy, sunęła szlakiem tyjących wciąż „Chropów,“ wdzierała się od Wolborza w głąb gąszczów leśnych, ale wszystkie jej zamachy parował długo niezamącony od wieków spokój w cichym, podlódzkim zakątku brzezińskim...

Przyjrzyjmy mu się bliżej.

Od północy, tuż za Łodzią, przesłoniły go od Zgierza i za-borczych jego popędów grodowych, lasy odwieczne Łagiewnik i Radogoszcza—dwóch osad prastarych, z których pierwsza—przemysłowa—łagwiami z drzewa potrzebom panów zgierskich służyła, a druga nie mniejszym szumiła borem.

Puszcza podlódzka!

Użyliśmy tu umyślnie tego określenia, bo choć wiele okolic kraju zdawało się w owych czasach na podobne miano zasługiwać, to jednak „puszczy podlódzkiej“ należy się ono z pewnem wyróżnieniem. Nie wolno bowiem zapominać, że w puszczy tej, w lasach będońskich, na samym schyłku XVIII-go, jeśli już nie w XIX-ym wieku, zabito ostatniego pono w Królestwie niedźwiedzia! Pamięć tego nieboszczyka, groźnego trapiiciela pszczoł leśnych, miodu i pasieczników, zasługuje conajmniej na to, by puszcę podlódzką uczcić czołobitnem: *à tout seigneur!*...

Na kogóż to jednak, na jakich ludzi bezpośrednio chwiała spłynąć powinna za to, że zakątek swój w stanie tak pierwotnym utrzymać potrafili aż do schyłku istnienia Rzeczypospolitej?

W brzezińskim zaścianku podlódzkim długo szumieć musiała puszcza dzika, niemal bezludna, jakkolwiek ślady osadnictwa pierwotnego, a może tylko człowieka-łowcy, lub wędrownego kupca, sięgają tam, w niektórych zwłaszcza miejscowościach, bardzo odległej starożytności. Doba historyczna atoli, którą tu poruszamy, rzuca światło skąpe wprawdzie na przeszłość tej ziemi, ale stwierdzające bądźco bądź jej dziewiczość, nader długotrwałą. Nomenklatur odwiecznych brak tam niemal zupełny, uderzający zwłaszcza, gdy go się z obfitością śladów osadnictwa pierwotnego w zgierskiem, t. j. z północną okolicą Łodzi zestawii. Zaścianko-

wość podlódzkiego zakątka „powiatu“ brzezińskiego występuje w całej okazałości na tle próby takiej, uchylającej bardziej, niż inne, rąbka prawdy dziejowej, spowitej w tajemnicę wieków. Na sto kilometrów kwadratowych głuszy leśnej przypadało tam bowiem w zaraniu dziejów, nie więcej nad dwie — trzy i to skąpe osady ludzkie, gdy natomiast w zgierskim ślady osadnictwa pierwotnego przedstawiają się w ilości conajmniej podwójnej. Nadto, stosunek ten wzrósłby znacznie, bo o 20—25% na korzyść okolicy zgierskiej, gdybyśmy z rzędu wspomnianych, „odwiecznych“ osad brzezińskich, usunęli nomenklatury leśne, niezwykle tam liczne, a słabo za starożytnością noszących je osad przemawiające.

Organizacją starodawną, która puszcę podlódzką ujęła w karby. ściślejsze niż kasztelania brzezińska, a trwałe, była parafia w Mileszkach.

Tradycja przenosi jej początki w wiek XI, kładąc je nawet wyraźnie pod dniem 14 grudnia 1048 roku! Opiera się to oczywiście na całkiem fałszywych danych, jakkolwiek fundacja parafii w Mileszkach należy istotnie do najdawniejszych w tych stronach. Z okalających ją dziś parafij, jedna tylko — brzezińska, założona na początku XII wieku, może z nią pod względem starożytności rywalizować. Na początku wieku XVI-go graniczyła parafia w Mileszkach z parafiami w Skoszewach, w Brzezinach, Czarnocinie, Rzgowie, Kazimierzu i Łodzi; pierwotnie zaś, w wiekach średnich, obejmowała niewątpliwie całe terytorium, zawarte w granicach parafij: Skoszewy, Brzeziny, Czarnocin, Kazimierz i Zgierz, a przeto panowała także i nad Łodzią, dzieląc się tu może na razie władzą swoją ze Zgierzem, gdy po powstaniu łódzkiej osady pogranicznej, dzielić się czem było.

Parafia Mileszki obejmowała tedy pierwotnie przestrzeń znaczną, wynoszącą około 125 kilometrów kwadratowych, a powstała nie wcześniej chyba wśród puszczy, niż sąsiednie parafie średniowieczne, t. j. zapewne w wieku XIII, kiedy ruch osadniczy rażniej przedzierać się zaczął w głąb okolicy. W wieku XIV posiadały Mileszki już niewątpliwie kościół parafialny, fundowany dla kilku wiosek, leżących w pobliżu. Wiączyń, Bedoń, Wiskitno, Stoki i Chojny, oto całość pierwotnego podłoża tej parafii starej, ogarniającej dziś, na terytorium znacznie zmniejszonym, kilkadziesiąt osad. Dwie, nieistniejące już „Wole“ — Mieczykowa i Stokowska (dziś Budy Stokowskie) — może równieśnice Łodzi — powstały później, jak świadczą ich nazwy, by oweczarnię Mileszek pomnożyć... Z pięciu pomienionych wiosek Wiączyń (dawniej Vya-

czencz = Wincenty), to nazwa już chrześcijańska, Chojny — nazwa leśna, Stoki — topograficzna: niekoniecznie prastare, *jako osady*. Pozostają dwie wsie tylko: Bedoń i Wiskitno, w których podobnie, jak w Mileszkach, widzieć można przedewszystkiem praojczyców tego osadnictwa, które się niegdyś w głąb dziewiczej puszczy podlódzkiej przedarło. Wiskitno — nazwa dziś niezrozumiała. Inaczej z Bedoniem, właściwie Będoniem (tak jeszcze u ludu), a nawet Bądoniemi, którego nazwa pierwotna tak się dziś (Bedoń) w „dobrym tonie“ spaczyła.

Jak Biedroń, Cichoń, Strzygoń, Luboń i t. p., to odmiany Biedra, Cichego, Strzygi i Luby, tak samo był niegdyś i Bądoń nazwą, lub mianem synowskim człowieka, co imię Bąd nosił... Używane było to imię w zdrobieniu, jako Bądko, jeszcze na schyłku XIV wieku w Wielkopolsce, a przechowało się podziśdzień w licznych nomenklaturach wiejskich, jak: Bątków i Bątkowo, Będków, Będzeliń, Będziechów, Będziaki, Będzin i t. p. W Wielkopolsce osad „Bądowych“ było najwięcej, bo $\frac{2}{3}$ tych, jakie do dziś dnia, lub doniedawna, na przestrzeni Królestwa istniały. Ponieważ jednak rodziny, które z osad tych wyszły, należały do różnych rodów i herbów, nie możemy przeto doszukiwać się wspólnego ich protoplasty w jakimś bajecznym Bądzie wielkopolskim. Wystarczy stwierdzenie faktu, że, jak niejaki Bralin, osadnik, stał się niegdyś, w roku 1136, częstką uposażenia opactwa na łączyckim grodzie, tak też i Bądoń w czasie, zapewne do tej epoki zbliżonym, uślał sobie gniazdo w puszczy „podlódzkiej“, a raczej naonczas — brzezińskiej. Nie będziemy pewno dalecy od prawdy, przypuszczając, że późniejsi, średniowieczni jeszcze i nowożytni właściciele tego gniazda, panowie Bądońscy vel Będońscy, mieli nie tylko nazwisko, ale i krew swoją staremu Będoniowi do zawdzięczenia. A byli to mężowie nielada rodu i godła, Nałęczę wielkopolscy, którzy wśród „braci“ i „stryjców“ herbowych liczyli nie tylko poczet znakomity biskupów, wojewodów i kasztelanów, ale nadto — kwiat zbójckiego rycerstwa tej ziemi, który, pospołu z Zarembami, uwiecznił się ponuro w krwawej tragedii rogozińskiej króla Przemysława... Czyliby panowie Będońscy, siedząc w puszczy leśnej, zachowywali ściślej odwieczne swoje związki rodowe z Wielkopolską rdzenną, milczą o tem wszelkie kroniki i źródła... Wszak małuczkimi nie zajmowały się one nigdy, a panom Będońskim poskąpiły całkiem szczęścia losy dziejowe. Nie zesały żadnych zgoła laurów na ich uznojone czoła, przeznaczając wszystkie fiolety i karmazyny wybrańcom rodu z nad Warty i Welny. Bo i pocóż było ruszać w ziemię tak ustronną, w puszc-

czę leśną, zabita ą zwałem drzew od świata, skoro ród cały gdzieindziej siedział od prawieku, dorabiał się dostojęństw, dostatków i chwały? Po co?... dziś dociec tego niepodobna. Nie zdawali sobie z tego niechybnie już sprawy bodaj i jagiellońscy panowie z Będonia, bo od Bada, czy jego syna-pustelnika, założycieli odludnej siedziby w łęczyckiem, dzieliły ich nie lata, lecz wieki.

Osadnictwo „chropskie“ dotrzeć miało dopiero w roku 1419 do bliższych okolic Będonia, a „zagroziło“ jemu samemu w XVI stuleciu. Zagroziło — lecz bezskutecznie. Knieja będońska pozostała „knieją“ niemal do połowy ubiegłego wieku. Podczas procesu z rządem około 1850 roku o granice leśne od Gałkowa, rzeczoznawcy szukać musieli tych granic na przestrzeni 80 kilometrów kwadratowych między Kurowicami, Będoniem i Gałkowem! Nie zmogły Będonia krakowskie „Chropy,“ ominęły go latifundia woborskie biskupów kujawskich, co sieć swoją na Łódź zarzuciły, przepomniały go i zakupy północno-łęczyckie arcybiskupów gnieźnieńskich, którzy chwilowo tylko i to dopiero w osobie prymasa Ostrowskiego (1778 — 1784), pozyskali tam prawa, czy przywileje myśliwskie, od właścicieli wioski.

Będoń pozostał jądrem puszczy podłódzkiej niemal do ostatnich czasów.

J. K. KOCHANOWSKI.

PIŚMIENNICTWO.

ZYGMUNT WASILEWSKI. *Od romantyków do Kasprowicza. Studya i szkice literackie.* Lwów 1907. Nakładem Towarzystwa wydawniczego. Warszawa, E. Wende i S-ka.

Dziwnie zajmująca książka. Czyta się ją jednym tchem. Składają się na to dwie rzeczy — przedmiot, który jest bliski naszemu sercu, i — sposób wykładu.

Wyborny stylista, doskonały *causeur*, pisarz o wykwiintnym smaku literackim, czasem myśliciel i psycholog, umiejący wdążyć się bardzo głęboko w duszę poety, o którym mówi, należy Wasilewski do najrzadszego u nas typu krytyków-essayistów na miarę europejską. Niema w nim nic „profesorskiego“, nie, co by się narzucało czytelnikowi z góry, co mówiłoby mu *ex cathedra* o pewnych kanonach estetycznych, co dzwoniłoby najlżejszemi nawet kajdanami jakiegokolwiek doktryny. Wszystko jest tu swobodną biesiadą z czytelnikiem, umiejętnem wprowadzaniem go w rozległą sferę tych wrażeń, jakie autor książki przeżył i jakie pobudziły jego myśl do zastanowienia się nad tem lub innym zjawiskiem twórczem.

Rozmiłowany w literaturze romantycznej, doskonały znawca i badacz epoki, która wydała największych naszych poetów — czego dowód złożył w poprzedniej swojej książce — i tym razem rozpoczyna Wasilewski od studyów, poświęconych jednemu z romantyków — Sewerynowi Goszczyńskiemu.

Przygotowany doskonale do tej pracy przez pobyt w Rapperswylu, gdzie pierwszy rozejrzał się w puściźnie rękopiśmiennej po tym poecie, zebrał tam skrętnie materiały, dotyczące życia autora „Zamku Kaniowskiego“, a uzupełniwszy je następnie dalszemi poszukiwaniami — przedstawił nam w sposób barwny, zaj-

mający i bardzo dokładny lata dzieciinne najcelniejszego przedstawiciela szkoły ukraińskiej, późniejszego bohatera walk narodowych, emigranta i Towiańczyka. Jest to pierwsza praca, która przedstawia wyczerpująco i ze wszystkimi szczegółami pobyt Goszczyńskiego w szkołach, a więc naprzód w szkole pijarskiej w Międzyrzeczu Koreckim na Wołyniu, potem w gimnazyum podolskiem w Winnicy, wreszcie w szkole Bazyliańskiej w Humanu, gdzie zawiązał się znany w naszej literaturze triumwirat *Za—Go—Gra* (Zaleski, Goszczyński, Grabowski). Rzecz swoją doprowadza Wasilewski do chwili, w której Goszczyński, przy przejściu z klasy 5 do 6-ej szkołę humańską opuścił.

Dwa studia następne *Kolenda polska* i *Do Waterloo* dotyczą także Goszczyńskiego. Widzimy go tu już jednak, jako męża na schyłku żywota, zasłużonego ojczyźnie, bolejącego nad jej losem i narówni z innymi wielkimi duchami epoki, uwikłanego w sieć Towianizmu, aczkolwiek z tej sieci usiłuje się wydobyć, gdyż powstaje przeciw *bezczyńności*, która go od lat tylu trzyma i „nie puszcza na drogę Polską,“ pragnie wyjść ze sfery sporów teoretycznych i oddać się „praktycznie“ służeniu Ojczyźnie. Rezultatem tego przełomu wewnętrznego było ogłoszenie *Postania do Polski*, tego ostatniego akordu lutni romantyka ukraińskiego.

Sciśły związek z epoką romantyzmu posiadają jeszcze dwie prace w książce Wasilewskiego: *Spór o Słowackiego* i *Kult poety*. Pierwsza napisana została z powodu głośnego sporu, jaki wynikł po nagrodzeniu przez Akademię Umiejętności w Krakowie dzieła prof. Tretiaka o Słowackim. Wasilewski zajął tu stanowisko bardzo obiektywne i bezstronne, wychodząc z założenia, że twórczość naukowa „nie jest aferą, podlegającą prawom giełdy i powinna mieć w społeczeństwie cywilizowanym zagwarantowane bezpieczeństwo publiczne, swego rodzaju *habeas corpus*; stoi ona pod sądem historyi i krytyki i tym instancyom opinia publiczna musi zostawić troskę o jej prawidłowy rozwój.“ Głos ten wyróżnia się bardzo korzystnie z gwaru tej namiętnej dyskusji, jaka w swoim czasie wynikła w naszych literacko-naukowych sferach i porwała nawet bardzo poważne umysły w wir zacieklej, a przez tę zaciekłość często zaślepionej i jednostronnej, polemiki.

Kult poety — jest pięknie i głęboko pomyślanem przemówieniem, wygłoszonym na obchodzie mickiewiczowskim w Kaluszu, w Galicyi, w listopadzie 1905 r.

Z kolei mamy przed sobą wyborne studjum, poświęcone Adolfowi Dygasińskiemu i jego *Godom życia*. Powiedziałbym, że jest to najlepsza rzecz, jaka w książce niniejszej z pod pióra Wasilew-

skiego wyszła. Najlepsza—nie dla tego, że jest może najartystyczniej ujęta, ale dla tego, że występuje w niej najpełniej sam Wasilewski, jako umysł, ogarniający szerokie horyzonty i jako serce, czujące głęboko. Dygasiński był pisarzem nawskróś polskim, był głosem tej ziemi, która go wydała, poetą tych pól i lasów, które go wykołysały. Mógł go więc odczuć, ująć, określić tylko krytyk, obdarzony tem samem polskiem widzeniem rzeczy. I potrafił to uczynić Wasilewski, jak nikt dotąd przed nim. Tak się wmyślił i tak wczuł w Dygasińskiego, że doszedł do zrozumienia najtajniejszych fibrów, drgających w organizacyi twórczej poety i pochwycił utajoną ich muzykę. W głębokich pokładach swojej duszy, w zasadniczej treści swego istnienia, w samym miąższu swojej Psyche, uczulonej na każdy głos, idący z zagonów ziemi ojczystej—Dygasiński nie mógł być innym, tylko takim, jakim go przedstawił Wasilewski. Nie jest to hymn uwielbienia, nie jest to panegiryk, wypowiedziany nad grobem zmarłego pisarza, ale skupione, zbożne, głębokie, przesubtelne rozmyślanie, które otwiera przed nami wszystkie tajemne krużganki duszy pisarza i poucza o tym związku, jaki istnieje pomiędzy artystą a ziemią, pomiędzy przyrodą a duszą ludzką, wrażliwą na piękno, pomiędzy sercem a poezją.

„Na Dygasińskim — mówi Wasilewski — widzimy najlepiej jest miłość w sztuce. U niego, u tego pozytywisty, naturalisty, wiwisektora niemal, okrzyczanego pesymisty, który na świat patrzył przez pryzmat walki o byt — *miłość wygórowała nad wszystkim i odtąd dopiero stał się poetą...* Zdziwiający zjawisko.“ Kto chce zjawisku temu przyjrzeć się bliżej, zbadać je, poznać jego przyczyny, przypatrzeć się drogom, po których idzie rozwój duchowy artysty wbrew wszelkim teoryom, formułom i kanonom pozornie niewzruszalnym—ten powinien przeczytać studjum Wasilewskiego, nie tylko dla tego, że mówi ono o Dygasińskim, ale dla tego, że odkrywa przed nami wogóle tajniki twórczości w zakresie nieśmiertelnego piękna.

Pod względem przenikliwości psychologicznej, głębokiej analizy i szerokiego ujęcia przedmiotu—obok studjum o Dygasińskim postawić należy obszerny szkic psychologiczny o poezyi lirycznej Kasprowiecza. Twórczość tego poety nie jest jeszcze skończona. Znajduje się ona dopiero w stanie rozkwitu, a stąd trudno jest wykreślić dokładnie linię, po której talent poety szedł i po której pójdzie dalej. Wasilewski jednak spróbował to uczynić—i praca, którą podjął, daje wrażenie, że uczynił to dobrze.

Obcował on z duszą Kasprowicza długo i blisko, nie był tylko czytelnikiem i suchym komentatorem jego utworów, na czem tak często poprzestają krytycy-profesorowie, ale przeżywał z nim razem te głębokie procesy duchowe, z których, jak wyspy koralowe z morza, wyłaniały się coraz to nowe, coraz wspanialsze koncepcje artystyczne.

Twórca tej miary, co Kasprowicz, nie spotkał jeszcze na drodze swojej krytyka na miarę, godną siebie. Nie chcę twierdzić, że Wasilewski jest pierwszym i jedynym, któremu organizacja duchowa i umysłowa pozwoliły zbliżyć się do poety bardziej, niż innym i wydrzeć mu całą tajemnicę, ale—mam to przekonanie, że on pierwszy uchwycił nić, która doprowadzi następnych do rozwikłania tej zagadki, jaką przedstawia linia rozwoju duchowego Kasprowicza — linia, zaczynająca się od sonetów więziennych i chłopskich, idąca przez szczyty „Wzgórza śmierci“ i zatrzymana obecnie na enigmatycznych symbolach „bohaterskiego konia“ i „wającego się domu.“

Według Wasilewskiego, Kasprowicz zaczął od przedmiotowego ujmowania świata. Jego pierwszy okres—to budanie przyrody, ludu, sił własnych, to „wyznaczanie sobie miejsca wśród otoczenia. Okres drugi—to zapadanie w głąb własną w dążeniu do absolutu osobowości, gdzie traci się widok ludzi, a dusza toczy bój wewnętrzny z sobą o prawa życia nieśmiertelnego. Już mu tu nie wystarcza pamięć organiczna związku z przyrodą, jak w pierwszych latach młodości, dusza przeżywa wszystkie tradycje ludzkości, poczynając od ogrójca rajskiego i w nich oczyszcza instynkty społeczne, jak dawniej w zlaniu się z przyrodą przerabiała w sobie popędy zwierzęce na ludzkie. W utworze „Na wzgórzu śmierci“ Kasprowicz dotarł do swego lądu. *Tędy idzie jego linia.* Owa Golgotha jest odnalezioną przezeń ostoją między dwoma prądami, wśród których się znalazł — nieśmiertelności i doczesności, między prądami, z których dusza musi znaleźć wyjście, bo gdyby takie rozdwojenie dla duszy mogło być stałe i ostateczne, świat ducha twórczego zapadłby się. Dalej w rozdwojeniu takim iść nie można, jak poszedł Kasprowicz. Golgotha jest symbolem męki, ale *męki twórczej*, która rodzi życie, rodzi ofiarę i poświęcenie.

Niepodobna tu powtórzyć całej konstrukcji myślowej, którą wznosił Wasilewski, aby ten swój pogląd uzasadnić i pogłębić. Musimy poprzestać na zapewnieniu czytelnika, że rozumowania te są bardzo zajmujące i odsłaniają w autorze obok wszystkich dotychczasowych jego zalet, rzeczywistą zdolność do wzbijania się

na te wyżyny duchowe, na których przebywa poeta. Wasilewski nie sprowadza jej ku sobie, ale wspina się ku niej, nie żałując wysiłku.

Na tem wyczerpuje się zasadnicza treść książki. Uzupełnia ją szereg drobnych szkiców, pisanych lekko, felietonowo, jakby *jour passer le temps*, a pełnych tu i owdzie błysków oryginalnej myśli i szczerzej poezji. Należy tu przedewszystkiem drobna rozprawa p. t. *Artyści w negliżu powieściowym*, gdzie autor pod wrażeniem *Chimery* Jaroszyńskiego i *Zatracenia* Tetmajera zestawił tych dwóch artystów i pokazał nam ich oblicza twórcze w świetle zupełnie nowem.

Osobny rozdział stanowią wrażenia i uwagi „Z niwy dramatycznej.“ Są to oceny najnowszych sztuk Rydla, Rittnera, Przybyszewskiego, Żuławskiego i Gorczyńskiego.

Ta obfita zawartość książki w połączeniu z jej poziomem estetyczno-psychologicznym i literackim, każą ją uznać za jeden z najlepszych nabytków naszej literatury krytycznej w dobie obecnej.

Z. D.

Zur Entwicklung der Arbeiterfrage im Königreich Polen. Inaugural-Dissertation der Hohen Staatswirtschaftlichen Fakultät der Kgl. Bayer. Ludwig-Maximilians-Universität zu München zur Erlangung der Doctorwürde, vorgelegt am 15 Mai 1907 von Eduard Strasburger, aus Warschau. Warschau, 1907. Druck von K. Kowalewski, Mazowiecka 8.

Młdzieź polska, która kończy studia za granicą, dobrze czy ni, obierając sobie za tematy do rozpraw doktoryzacyjnych, sprawy krajowe. Wprawdzie tego rodzaju dysertacje nie wnoszą zwykle do nauki rzeczy nowych, gdyż przeważnie mają jeszcze charakter prac seminaryjnych, ale samo już poruszanie zagadnień krajowych w obcym środowisku naukowym jest pożyteczne. Nadto dobrą jest rzeczą, że młody badacz zaprawia się do pracy samodzielnej na materiale swojskim i uczy się metodycznie materiału ten traktować.

Z tego też względu rozprawy takie zasługują na uwagę.

Jako przyczynek do kwestyi robotniczej w Królestwie Polskiem, praca doktoryzacyjna p. Strasburgera oparta została na sumiennem przestudyowaniu literatury polskiej i obcej w całym zakresie przedmiotu i na gruntownem zaznajomieniu się z współczesnymi poglądami ekonomiczno-społecznymi na ruch emancyacyjny proletaryatu.

Malując stosunki, panujące u nas, autor starał się zdać sobie dokładnie sprawę z przyczyn, które w ostatnich latach wywołały tak silny zatarg pomiędzy pracą a kapitałem i doprowadziły do masowych, długotrwałych strejków w r. 1905, a potem do rozruchów, jakich widownią były i są większe ogniska naszego przemysłu. Przyczyn tych szukać należy w zupełnem zaniedbaniu przez rząd rosyjski sprawy robotniczej wogóle, a prawodawstwa w zakresie ochrony pracy w szczególności, następnie zaś w skrzepowaniu społeczeństwa polskiego, któremu niewolno było leczyć zaogniającą się ranę w początkach.

Żadne organizacje robotnicze w Król. Polskiem nie istniały, gdyż w Petersburgu uważano je za niebezpieczne dla państwa, a stąd niemożliwe było przeciwdziałanie skrajnej agitacji, która dla celów politycznych wyzyskiwała niski stopień ekonomicznego uświadomienia robotnika i parła go w otchłań nędzy. Brak oświaty, brak szkół elementarnych dla dzieci robotniczych, niski poziom moralny, ucisk rządu, zwalczającego wytrwale wszelką inicjatywę prywatną — wszystko to składało się na wytworzenie atmosfery, która musiała doprowadzić do wybuchu z chwilą, gdy nadszedł odpowiedni do tego moment. W ten sposób dzieje ostatnich lat bynajmniej nie były niespodzianką.

Poświęcając osobny rozdział strejkom (Massenausstand) w roku 1905, p. Strasburger przytoczył w swej pracy cały szereg danych, malujących stan naszego przemysłu i stosunków zarobkowych, panujących w naszych głównych okręgach fabrycznych.

W konkluzjach kładzie autor nacisk na potrzebę jawnych organizacyj robotniczych, zwłaszcza t. zw. związków zawodowych, które jedynie mogą się przyczynić do wprowadzenia kwestyi robotniczej w Król. Polskiem na drogę istotnego jej rozwiązania za pomocą środków właściwych. Do tego poglądu doszły już obie strony walczące — robotnicy i pracodawcy.

Rozprawa p. Strasburgera pisana jest zwięźle, treściwie, jasno i dowodzi, że autor nie tylko opanował cały zgromadzony przez siebie materiał, ale też przyswoił sobie całkowicie metody naukowego badania zjawisk życia ekonomiczno-społecznego.

Trudno tylko zrozumieć, dla czego tytuły dzieł polskich w wykazie bibliograficznym i w licznych odsyłaczach w tekście przełożone zostały na język niemiecki, kiedy powszechnie przyjętą jest rzeczą podawanie takich tytułów w oryginalnem ich brzmieniu, gdyż tak figurują one we wszystkich katalogach bibliotecznych. Tytuł tłumaczony, jeżeli już konieczne o to chodziło, mógłby być umieszczony w nawiasie.

Kronika miesięczna.

Rozwiązanie drugiej Izby i nowe wybory. — Z powodu zjazdu pisarzy katolickich. — Seminaryum nauczycielskie w Ursynowie pod Warszawą.

Druga Izba rosyjska należy do przeszłości. I nietylko Izba. Do przeszłości należy także ordynacya wyborcza, na której podstawie dwukrotnie odbyły się w kraju naszym wybory.

Manifest Najwyższy z dn. 16 czerwca r. b. uznał za przyczynę nieudania się działalności Izby to, że „z powodu nowości sprawy i niedoskonałości prawa wyborczego, ciało prawodawcze zajęte było przez członków, którzy nie byli prawdziwymi wyrazicielami potrzeb i żądań narodu.“

W myśl tego, „pozostawiając wszystkie prawa, nadane w Manifestie z dn. 30 października 1905 r. i przez prawa zasadnicze,“ nowy Manifest obwieszcza zmianę sposobu wyborów, przyczem zaznacza, że *„utworzona dla wzmocnienia państwa rosyjskiego Duma państwowa winna być rosyjską co do ducha,“* wobec czego inne narodowości, wchodzące w skład państwa, powinny mieć w Dumie państwowej przedstawicieli swoich potrzeb, ale *„nie powinny i nie będą przybywały w liczbie, dającej im możność rozstrzygania spraw czysto rosyjskich.“*

W związku z tym ustępem Manifestu pozostają znane już ograniczenia, jakim uległo przedstawicielstwo Królestwa Polskiego, zredukowane z 37 mandatów do 14, przyczem w tej liczbie znajdują się dwa mandaty rosyjskie — 1 z Warszawy i 1 z t. zw. *Rusi Chełmskiej* — tudzież 1 litewski z gub. Suwalskiej.

Nie wchodzimy w pobudki, które wywołały ten nowy i nieoczekiwany zwrot w polityce polskiej rządu, nie wchodzimy zaś dlatęgo, że wszelkie stawianie domysłów i szukanie wpływów,

aczkolwiek może blizkie prawdy, nie będzie prawdą samą, a tylko odszukanie samej prawdy mogłoby należycie sprawę oświecić. To pewna tylko, że jeżeli wysuwane przez prasę polską i rosyjską, jako przyczyna główna usposobienia sfer rządzących i ich nastroju względem Polaków — decydujące znaczenie w drugiej Izbie Koła Polskiego — istotnie odegrało jakąkolwiek rolę, to tylko rolę drugorzędną i że przypisywanie stanowisku Koła i polityce jego dalej idących wpływów, nie wytrzymuje żadnej krytyki. Działy tu niewątpliwie przyczyny inne i o daleko większem znaczeniu politycznem i historycznem. Odstłoni je też dopiero historia, która jedynie ma możność bezstronnego i spokojnego obserwowania kół i kółek, składających wielką machinę życia państwowego na tle konjunktur międzynarodowych.

Na razie nie pozostaje nam nic innego, jak liczyć się z faktem dokonany i wedle niego oceniać sytuację chwili bieżącej.

Naród polski przyjął to nowe ograniczenie swoich praw obywatelskich w państwie rosyjskiem ze spokojem i powagą, aczkolwiek — i tego utaić nie można — uczuł się głęboko dotkniętym w swoich ambicyach i w swojej godności.

Zrozumiała też jest rzeczą, że w pierwszej chwili, kiedy na porządek dzienny weszła sprawa nowych wyborów i udziału w trzeciej Izbie, społeczeństwo oświadczyło się za abstynencyą. Hasło bojkotu trzeciej Dumy powstało samorzutnie i narzuciło się ogromnej większości umysłów, jako prosta konieczność, jako jedyna odpowiedź na nową ordynacyę wyborczą.

„Zjawienie się naszej reprezentacyi w trzeciej Dumie — pisano — musi wywołać najgorszą dla nas polityczną orientacyę: „Polaków nie stać nawet na secesyę z Dumy. Można im wyznaczyć tam dowolnie najmniejszą pozycyę, oni ją przyjmą, bo ich politycy nie powiedzą nigdy własnemu narodowi: „Nie mamy po co wysłać delegacyi do Dumy,“ gdyż obawiają się przedewszystkiem wrzenia w kraju.“

„Rozważmyż, czy wiele zyskaliśmy na udziale naszym w pierwszej i drugiej Dumie? Zatraciliśmy naszą indywidualność, przystosowując się do pierwszej Dumy. Zakażaliśmy naszą odrębność polityczną, gdy przedstawicielstwo nasze paradowało w Dumie rosyjskim patryotyzmem państwowym (kontyngens rekrutów). Zmniejszyliśmy kapitał polityczny narodu, niezbędny do budowania na pewnych fundamentach naszej przyszłości, nie osiągnąwszy nawet najmniejszych ulg wzamian.“

Te i tym podobne głosy, które zarówno słyszeć można było dokoła siebie, jak i czytać w niektórych organach prasy, śpieszą-

cych się do omawiania „na gorąco“ kwestyj, które wymagają zazwyczaj dużego namysłu i rozwagi, świadczą wymownie o sile tego odruchu, jakim społeczeństwo polskie reagowało na wymierzony przeciw sobie cios.

W polityce jednak niema nic zgubniejszego, jak odruch. Ten sam odruch, który w życiu prywatnem doprowadza nieraz do starć bardzo przykrych, w życiu politycznem może się stać źródłem i przyczyną błędów, trudnych potem do naprawienia.

Nieraz już zaznaczaliśmy na tem miejscu, że polityka nie może brać w rachubę uczuć, nie może się kierować ani gniewem, ani zapalczywością, ale musi zawsze i wszędzie, zachowując chłód i rozwagę, sprowadzić wszystko do poziomego interesu. „Interes“ jest jedynym jej wskaźnikiem. On stanowi ten kąt, pod którym muszą być rozpatrywane wszystkie sprawy i wszystkie zjawiska życia politycznego.

Stojąc na tem stanowisku, musimy się oświadczyć przeciw zbyt pochopnemu nawoływaniu do bojkotu trzeciej Izby, przeciw szerzeniu hasel abstynencyi w chwili, kiedy potrzeba lub bezowocność naszej delegacyi w Petersburgu nie zostały jeszcze ani omówione dostatecznie, ani oświetlone wszechstronnie.

Naród dojrzały i patrzący śmiało w swoje jutro, nie może kierować się w życiu politycznem nastrojem i usposobieniem chwili, zwłaszcza, jeżeli ten nastrój i usposobienie rodzą się z przyczyn, przychodzących z zewnątrz. W takich wypadkach decydować powinno *wyrachowanie*, jako jedyna droga, która może ustrzedz od fatalnych pomyłek, jakimi najeżony jest gościeńiec, po którym z konieczności iść muszą narody, walczące o swój byt i o lepszą przyszłość polityczną.

W tym zaś wypadku wyrachowanie zdaje się mówić zupełnie co innego, niż odruch. Bojkot wyborów żadnych realnych korzyści pociągnąć za sobą nie może. Byłby on co najwyżej demonstracją ze strony polskiej i to demonstracją, której wrażenie nie mogłoby być długotrwałe, zwłaszcza w atmosferze stosunków dzisiejszych, zmieniających się tak szybko i tak obfitych w nowe fakty doniosłości historycznej. Charakter tej demonstracyi byłby zresztą tem mniej poważny, że nikt nie może zaręczyć za jednolitość bojkotu. W pewnych warstwach ludności hasła abstynencyi mogłyby się przyjąć, w innych nie przyjęłyby się wcale i te inne warstwy mogłyby stanąć do urn *quand-même*, przeprowadzając swoich kandydatów niewielką ilością głosów, ale zupełnie prawidłowo. Dla ogółu ludności Królestwa Polskiego byłaby to niespodzianka wcale nie miła, a żywioły nam nieprzyjazne niewątpliwie

wolałyby nawet mieć do czynienia z taką reprezentacją samowładczą, niż z wyrazicielami istotnej opinii narodu i śmiałymi rzecznikami jego potrzeb.

Ten jeden powód wystarcza już do tego, aby hasła bojkotu nie traktować jako poważnych hasła politycznych.

Powtórne nieobecność nasza w trzeciej Izbie nie byłaby żadną przeszkodą do ułożenia się stosunków pomiędzy tą Izbą a rządem, o ile ułożenie takie da się przeprowadzić i zapewni Izbie trwałość. Przypuścimy jednak, że tak będzie. Wówczas w szeregu spraw ogólnopństwowych będą także rozstrzygane sprawy, pośrednio lub bezpośrednio dotyczące naszych interesów narodowych — i będą rozstrzygane bez nas, co żadną miarą nie może być dla narodu korzystne, bez względu na nastrój i usposobienie trzeciej Izby dla nas.

Szczupła nasza reprezentacja, rozporządzająca tylko 11 głosami z ewentualnym dodatkiem niewielkiej liczby głosów, jakiej mogą dostarczyć przyszłemu Kołu Polskiemu Litwa i Ruś, nie będzie wprawdzie mogła oddziaływać na wynik debatów i nie będzie mogła prowadzić w Izbie własnej polityki na szerszych podstawach, ale odezwie się zawsze tam, gdzie sprawa polska wejdzie na porządek dzienny i przemówi mocnym słowem prawdy, oświetlającej rzeczywiste nasze położenie i najkardynalniejsze nasze potrzeby.

Wiemy, że rząd centralny przez długi szereg lat stale informowany był przez biurokracyę miejscową stronnice i nieprawdzwie o stosunkach polskich i że niejedno ograniczenie tym właśnie fałszywym informacyom zawdzięczamy. Nie możemy więc dopuścić do tego, aby i Izba rosyjska, jakakolwiek ona będzie — bezwzględnie prawa i lojalna, czyli też lewa i opozycyjna, na wzór swoich poprzedniczek, co także nie jest zupełną niemożliwością — w ten sam sposób była informowana.

Powinniśmy i musimy mieć w tej Izbie strażników swojej prawdy, których rola będzie wyłącznie polegała na zdzieraniu tajemniczych zasłon z faktów, przedstawianych rozmyślnie w innym świetle. Głos tej prawdy będzie też dostatecznie silnym, aby mógł przekonywać i pouczać.

Na tem polu szczupła delegacja polska może krajowi służyć z pożytkiem, tembardziej, że Izba będzie jedyną trybuną, z której szczerzy i otwarty głos polski będzie rozbrzmiewał, gdyż wobec ostatnich „postanowień obowiązujących“ prasa znalazła się w położeniu trudnem. Nadto trybuna ta jest o tyle widoczna, że to, co się z niej mówi, mówi się na oczach całej Europy i że przez to sprawa pol-

ska, z istoty swojej międzynarodowa, wydostaje się na *forum* szersze. Mieliśmy tego przykład pouczający w Izbie poprzedniej i sądzimy, że przykład ten wystarczy, aby nie zaniechać tej jedynej drogi, która prowadzi do informowania innych narodów o stanie obecnym kwestyi polskiej.

Słabą liczebnie i nie mającą większego znaczenia politycznego jest reprezentacya polska w parlamencie Rzeszy niemieckiej, a jednak nikt nie powie, że jest ona bezużyteczna i niepotrzebna. Przeciwnie, rodacy nasi z Ks. Poznańskiego mieli sposobność niejednokrotnie za pomocą tej reprezentacyi wyprowadzić na światło dzienne fakty, które nabrały rozgłosu światowego. Tak było np. ze sprawą wrzesińską, która inaczej utonąłaby w powodzi innych tego rodzaju spraw, a przez parlament Rzeszy nabrała rozgłosu wszechświatowego i zwróciła oczy całej Europy na nadużycia rządu pruskiego.

Chociażby więc udział nasz w trzeciej Izbie nie mógł mieć większego znaczenia i nie mógł przynieść większych korzyści narodowi, jak udział Polaków poznańskich w Reichsracie, to jednak i wówczas udział ten nie jest bez znaczenia.

Rozważywszy więc sprawę wszechstronnie, należy przyjść do przekonania, że abstynencya od wyborów byłaby rzeczą raczej szkodliwą, że więc *wybierać należy*. Zachodzi teraz kwestya, jak i kogo wybierać?

Tu są do rozważenia dwie opinie. Jedna z nich twierdzi, że ponieważ naród wybrał niedawno swoich posłów, więc powinien na tym wyborze poprzestać i dokonać obecnie jedynie selekcyi, t. j. wyboru 11 z pośród 37, wybierając ludzi najgodniejszych, najlepiej przygotowanych do dźwigania ciężaru poselskiego i posiadających największe dane na pracowników parlamentarnych, to znaczy najbardziej wyrobionych politycznie.

Drugi natomiast odłam opinii publicznej rozumuje nieco inaczej. Ograniczenia—mówią w tych obozach—te ograniczenia, które przyniósł z sobą Manifest czerwcowy, ostudziły w pewnym stopniu zaciekłość walki partyjnej, prowadzonej od lat kilku przez stronnictwa i partye, działające w kraju. Politycy wszystkich zabarwień odczuli teraz silniej, niż kiedykolwiek, potrzebę porozumienia się, potrzebę łącznego działania, zespalającego i cementującego naród w chwili ciężkiej dla niego. Drobnie różnice programowe, nieporozumienia co do taktyki, co do dróg i środków działania, zeszyły teraz na plan drugi. Na planie pierwszym stanął zaś ogólny interes narodowy, jednakowe dla wszystkich mający znaczenie i jednakowo przez wszystkich oceniany. Z takiej chwili

należy skorzystać, należy położyć kres waśni i jątrzeniom. Do przeprowadzenia tej akcji gojącej doskonale nadają się wybory. Stańmy do nich, ale stańmy pod hasłem rzeczywistej solidarności. Oddajmy sprawę 11 mandatów do nowej Izby Centralnemu Komitetowi Wyborczemu, niech jednak ten Komitet będzie istotnie Komitetem Centralnym Narodowym, niech się wyłoni z woli i z ramienia całego narodu, niech będą w nim reprezentowane wszystkie odłamy naszej opinii publicznej i wszystkie odcienia naszej myśli politycznej. W ten sposób skromna reprezentacja nasza zyska na powadze i na sile, gdyż nie będzie ona reprezentacją tego lub innego stronnictwa, ale reprezentacją ogólnej opinii narodowej. Rozkład mandatów pomiędzy poszczególne stronnictwa powinien nastąpić na podstawie porozumienia się tych stronnictw w myśl zasad słuszności i sprawiedliwości. Nie powinno być pokrzywdzonych, nie powinno być malkontentów, rzucających się w następstwie na powagę reprezentacji i krytykujących jej działanie w imię tego, iż nie będą tam mieli swojego przedstawiciela. Przeciwnie— malkontentów nie będzie, jeżeli delegacja nasza w Petersburgu otrzyma charakter ponadpartyjny. Konieczność zaś takiej reprezentacji nasuwa się tembardziej, że wątpliwą jest rzeczą, czy wobec niepomyślnej dla nas sytuacji, znalazłoby się w kraju stronnictwo, które odważyłoby się dźwigać samo odpowiedzialność za wszystko.

Rozumowaniom tym niepodobna odmówić słuszności.

Zapewne, posłom do drugiej Izby należy się od nas *votum* zaufania, ale wyraziło się ono już dostatecznie w tej sankcyi, jaką całe społeczeństwo, z małemi tylko zastrzeżeniami co do pewnych kwestyj, dało polityce Koła. Zresztą niejedyn z byłych posłów siłą rzeczy niewątpliwie znajdzie się w trzeciej Izbie, ale stawianie, jako hasła wyborczego, wyboru *bezwarunkowo* tych samych— nie jest odpowiednie ze względu na sytuację polityczną wewnętrzną i zewnętrzną, gdyż może ono ponownie rozjątrzyć niesnaski partyjne.

W chwili zaś obecnej o usunięciu tych niesnasków, o zgaśnięciu pożaru tych namiętności, które trawią nam życie zbiorowe od trzech lat— iść powinno przede wszystkim, a iść powinno dla tego, że po Manifestie czerwcowym środek ciężkości naszej polityki przerzucił się nagle z Petersburga do kraju. Sprawa autonomii i walki parlamentarnej o nią została na razie odroczone, natomiast wyłoniła się potrzeba jaknajpilniejszego zwrócenia baczonej uwagi na prace kulturalne w kraju, jako jedyne możliwe w tych warunkach do prowadzenia. W tej zaś dziedzinie, o ile

owoce mają być rychłe i zdrowe, potrzebna jest większa solidarność, niż w dziedzinie prac politycznych.

Byliśmy już niejednokrotnie świadkami niezdrowego na tem polu współzawodnictwa pomiędzy sobą partyj i stronnictw, widzieliśmy, jak wzajemnie stawiano sobie najbezsensowniejsze zarzuty, jak kopano pod sobą doły, jak szkalowano się i obrzucano insynuacyami, wysuwając ponad wszystko nie ideę odrodzenia narodowego, ale interesy partyjne. Tymczasem we wszelkich pracach kulturalnych powinna być zgoda i współdziałanie, łączenie i bratanie ludzi, nie zaś dzielenie ich i podburzanie jednych przeciw drugim. Nasze warstwy robotnicze i nasze warstwy ludowe potrzebują dwóch rzeczy zasadniczych – rzetelnej oświaty i dobrego przykładu. Pierwsza musi być wolna od pierwiastków politycznych, drugi mogą dać tylko żywiły inteligentne, łącząc się pod jednym sztandarem i współdziałając z sobą w pracach, mających na celu ogólne dobro narodu. Widok ciągłych kłótni, swarów, zatargów i walk nie może zachęcać nikogo do zgody i cichej pracy, ale przyczynia się do wytworzenia tej opłakanej atmosfery, jaką zapanowała u nas wśród warstw robotniczych i wywołała tę ciężką chorobę społeczną, jaką przeżywa Łódź, a poniekąd i Warszawa.

Zawieszenia broni i pojednania stronnictw wymaga więc dzisiaj przede wszystkim sanacja stosunków krajowych, ważnym zaś i znamienym krokiem w tym kierunku byłoby zgodne i licujące z powagą chwili dziejowej przeprowadzenie wyborów.

Okres przedwyborczy, jak wiemy już z dwukrotnego doświadczenia, jest okresem wyzwalania się wszelkich namiętności. Agitacja wyborcza, posługująca się temi namiętnościami, bez względu na cel, do jakiego zmierza, jest szkodliwą, czyni bowiem w umysłach i duszach ludzkich spustoszenie moralne i obniża poziom życia obywatelskiego, które bynajmniej nie stoi u nas wysoko.

I oto dlatego należałoby wyżyć wszystkie siły, aby tegoroczne wybory jesienne przeprowadzone zostały pod hasłem jedności i zamiast rozbijać naród i dzielić, łączyły raczej i godziły poważnione jego stronnictwa.

Stronnictwa te mają przed sobą jeszcze dość czasu na wzajemne porozumienie się i stworzenie Komitetu Centralnego zwłaszcza, iż jego zaczątek już istnieje. Trzecia Izba rosyjska zbierze się dopiero w listopadzie, wybory zaś rozpoczną się we wrześniu, okres więc dwumiesięczny, jaki nas dzieli od nich, powinien wystarczyć w zupełności na zorganizowanie i powołanie do życia takiego ciała obywatelskiego, któremu cały naród powierzyłby

z ufnością losy swego przedstawicielstwa w nowej Dunie i od którego oczekowałyby dyrektywy, wyłączającej możliwość wszelkiego sarkania i niezadowolenia. W ten tylko sposób uda się zainteresować wyborami szersze warstwy, obudzić w nich świadomość obowiązku obywatelskiego, wyrwać je z tego usposobienia, w jakie popaść musiały z konieczności po ogłoszeniu manifestu czerwcowego i przekonać, że w walce politycznej nie można powodować się uczuciem, ale należy i trzeba kierować się rozumem i „interesem.“

Ten „interes,“ jak to już zaznaczyliśmy, każe nam zająć tę małą i pozornie nic nie znaczącą placówkę w Izbie, jaką wyznacza nam nowa ordynacya wyborcza. Zajmiemy ją, aby nie stracić żadnej sposobności do odezwania się w naszych sprawach, aby nie mówiono tam bez nas o nas, abyśmy mogli bronić się, choćby nawet bezskutecznie, przed nowymi krzywdami, a przedewszystkiem, abyśmy mogli domagać się restytucyi naszych uszczuplonych praw obywatelskich.

*

W miesiącu ubiegłym obradował w Warszawie pierwszy zjazd pisarzy katolickich, polskich. Owoców pozytywnych zjazd ten nie przyniósł, aczkolwiek w 4-ch sekcjach jego: *prasy katolickiej, prasy ludowej, szkolnictwa i propagandy katolickiej* odczytano kilkadziesiąt referatów. Niemniej jednak należy zjazd ten uważać za bardzo pożyteczny, a to ze względu, że wyjaśnił on wzajemny do siebie stosunek dwóch prądów, ścierających się w tonie duchowieństwa i przeprowadził linię demarkacyjną pomiędzy klerykałizmem a lojalnym stosunkiem wiernych do kościoła rzymskokatolickiego.

W kraju naszym, kraju nawskroś katolickim, który przez cały ciąg dziejów swoich składał niejednokrotne dowody żywego i głębokiego przywiązania do wiary świętej, w kraju, gdzie hasło „Bóg i ojczyzna“ zawsze rozbrzmiewało najszerzej i najgłośniej, a i dziś nawet w chwilach zamętu i rozprzężenia moralnego nie zdołali go przygłuszyć aranżerowie bezwyznaniowości – stosunek pomiędzy kościołem a społeczeństwem ułożył się jaknajpomyślniej. Zawdzięczać to należy duchowieństwu polskiemu, które, oprócz

nielicznych wyjątków, zawsze umiało stać na stanowisku odpowiednim i, służąc kościołowi, służyło jednocześnie ojczyźnie. Dobry obywatel nie wyłączał dobrego kapłana i odwrotnie, dobry kapłan był dobrym obywatelem. Księża nasi przez cały ciąg dziejów Polski porozbiorowej stali zarówno na straży wiary, jak i na straży skarbów narodowych, przestrzegając miłości ojczyzny na każdym swoim kroku. Od czasów konfederacji Barskiej, od czasów O. Marka, przez wszystkie powstania nasze aż do ostatniej chwili, obok najpierwszych bohaterów narodowych świecą imiona duchownych. Całe szeregi księży polskich szły szlakiem męczeńskim na Sybir, ginęły w kazamatach, wiodły żywot tułaczy „na kresach lasów.“ A nie byli to tylko zwykli studzy kościoła, byli wśród nich także dostojnicy. Dość wymienić nazwiska Sołtyków, Fiałkowskich, Łubińskich, Felińskich, Hryniewieckich... Mając przed sobą takie przykłady, i duchowieństwo młodszego pokolenia pozostało wierne dawnym tradycjom i umiało godzić obowiązki swoje względem Rzymu z obowiązkami względem Polski. Ostatnie dopiero lata wprowadziły ferment do tej dziedziny pojęć. W pewnych sferach naszego duchowieństwa wytworzył się prąd ultraklerykalny, zmierzający do podporządkowania wszystkiego interesom kościoła i w braku tego podporządkowania uputrujący zerwanie z kościołem.

Prąd ten uwydatnił się w t. zw. grupie częstochowskiej, która zajęła znane stanowisko nieprzyjazne i nieprzejednane wobec Macierzy Polskiej, czyniąc jej zarzut libertynizmu. Nieuzasadniony ten zarzut został wprawdzie odparty, dzięki rozzumnemu i bezstronnemu wejrzeniu w tę sprawę J. E. Arcybiskupa Popieła, ale rozpalone żarzewie nie zgasło. Tliło się ono i tli ciągle jeszcze, a korzystając z pomyślnego dla siebie wiatru, wybuchnęło znów z całą siłą na zjeździe pisarzy katolickich. Stało się to przy omawianiu niektórych referatów w sekcji szkolnej. Wywiązała się wówczas polemika tak ostra, że obradujący rozdzielili się wyraźnie na dwa obozy, o których pojednaniu i porozumieniu mowy być nie mogło. Przedstawiciele prądu klerykalnego zajęli więcej niż nieprzychylnie stanowisko wobec świeckiej szkoły polskiej, stanowisko, zgodne ze znanym okólnikiem biskupa Zdzitowieckiego, a sprzeczne z duchem i treścią orędzia arcybiskupiego. I byłby się zjazd zakończył niewątpliwie rozdzwiekiem, gdyby nie przemówienie znakomitego gościa lwowskiego, arcybiskupa ormiańskiego, ks. Theodorowicza, który tak godnie dźwiga infułę po zmarłym arcybiskupie Issakowiczu i jego świątobliwemi kroczącymi śladami. Przemówienie to było oliwą, wylaną na wzbu-

rzony flukty namiętnej dyskusji. Oświetliło ono sprawę gruntownie i wszechstronnie i — co najważniejsza — postawiło ją na właściwym gruncie, kreśląc program zasadniczy t. zw. *pracy katolickiej*, podejmowanej przez kościół i przez katolików wogóle.

Najważniejszym momentem tej mowy, która wielkie wywarła wrażenie na wszystkich i przez całą prasę polską podniesiona została z uznaniem, było śmiało postawione żądanie pogłębienia doktryny katolickiej i przyoblekania starych prawd wiary katolickiej w nową formę, przystosowaną do cywilizacji współczesnej. Mówca wystąpił kategorycznie przeciw odrzucaniu wszelkich dorobków cywilizacyjnych zarówno w sztuce, jak i w literaturze dla tego tylko, że cechuje je brak wiary, lecz zalecił wyzyskiwanie ich umiejętne dla nauki Chrystusa.

Mając na widoku specjalne stosunki, jakie wytworzyły się w Królestwie Polskiem na terenie pracy oświatowej i kulturalnej wogóle, J. E. ks. arcybiskup w gorących i wielką nacechowanych mądrością słowach nawoływał, aby pod płaszczykiem katolicyzmu nie siać niezgody, ażeby poświęcać się pracy nad ludem, jako pracy dźwigującej ojczyznę i naród, ażeby w tej pracy unikać wszelkich uprzedzeń, chęci panowania nad innymi dla tego tylko, że się jest katolikiem, ale przeciwnie — zawsze i wszędzie starać się o to, ażeby być obywatelem kraju, równym innym obywatelom.

Zadaniem kościoła — mówił — jest jednoczyć wszystkich na różnych polach pracy, zspalać ich i łączyć, gdyż tylko w ten sposób kościół zdoła sobie zapewnić najliczniejsze szeregi wiernych. Kościół, który dzieli — szkodzi sam sobie.

Wiary swej nie należy się wstydzić, owszem, należy ją dokumentować, ale zgoła zbyteczną rzeczą jest wystawianie godeł katolickich tan, gdzie to nie jest konieczne. Zgoła też fałszywym i błędnym jest głoszenie hasła bojowego: „kto nie z nami — ten przeciw nam.“ Hasło to powinno brzmieć raczej odwrotnie: „kto nie przeciw nam, ten z nami.“

„Nie panować tu chcę — kończył ks. arcybiskup — dla tego, iż jestem synem tej ojczyzny, ale sługą jej być pragnę i w pracy dla narodu widzę najszczytniejsze zadanie...“

Oto słowa, godne Skargi, godne najpiękniejszych tradycji duchowieństwa polskiego, nie dziw więc, że znalazły one oddźwięk w sercach ogromnej większości uczestników zjazdu.

Sądźmy też, iż te słowa nie pozostaną bez szerszego i dalszego wpływu na właściwe ukształtowanie się stosunku kościoła do wszelkich prac społecznych, podejmowanych nie na szkodę religii, tylko niezależnie od duchowieństwa.

Temu ostatniemu powierzono jest sternictwo moralne i czuwanie nad rozwojem etycznym ludu polskiego, który jest i długo jeszcze będzie wiernym i oddanym synem kościoła. Rozumne jednak duchowieństwo na tej roli powinno poprzestać, nie domagając się pełnej i nieograniczonej władzy nad wszystkim, co tego ludu dotyczy. Korzystając z uświęconego długoletnią tradycją stosunku swojego do włościanina, ksiądz ma dzisiaj rzadką sposobność blizkiego z nim współżycia, poznania na wylot jego duszy, dokładnego zaznajomienia się z jego potrzebami i, jako taki, będzie niezbędny w każdej pracy społecznej. Żadna akcja, mająca na celu istotne dobro ludu naszego, nie obędzie się bez pomocy duchowieństwa, i do każdej takiej akcji duchowieństwo może i powinno przykładać swoją rękę, współdziałając wielkiemu dziełu odrodzenia ojczyzny przez lud.

Nie wypływa jednak z tego bynajmniej, aby zadaniem tego duchowieństwa było odgrywanie roli decydującej we wszystkim, panowanie nad wszystkim i chwytanie władzy w swe ręce tam nawet, gdzie żadnej nie może ulegać wątpliwości to, iż władza ta do całego należy narodu.

Pierwszą, nieodzowną potrzebą szkoły ludowej polskiej jest przygotowanie odpowiedniego zastępu nauczycieli-polaków, wykształconych gruntownie i przejętych na wskroś ideą służenia sprawie oświaty.

Nauczycieli takich nie mieliśmy nadmiaru. Wprawdzie ogromna większość wychowauńców t. zw. seminarjów nauczycielskich z biegiem czasu, to jest po opuszczeniu szkoły z dyplomem rosyjskim, otrząsała się z tych wpływów, jakie zaszczipiano tam w duszę młodzieńca, dążąc jedynie do tego, aby uczynić zeń urzędnika policyjno-oświatowego, ale potrzeby są dziś znacznie większe od rozporządzalnego zastępu sił nauczycielskich polskich. Z tego względu *Macierz Szkolna* musiała, jako jeden z pierwszych punktów swego działania wysunąć sprawę założenia seminarjum nauczycielskiego.

Seminarjum takie powstanie właśnie z początkiem roku przyszedłego w Ursynowie pod Warszawą.

Nie trzeba dowodzić, że taki zakład naukowy powinien budzić szczególną troskę społeczeństwa i cieszyć się stałą jego opieką. Będzie to szkoła, z której wyjdą nauczyciele ludu polskiego, ci najbardziej może odpowiedzialni pracownicy, w których ręce dostanie się prosta, niezłożona i podatna, jak wosk, do lepienia — dusza ludu polskiego. Oni będą ten wosk kształtowali, będą mu nadawali formę, będą go ożywiali duchem obywatelskim. Jakimi będą ci nauczyciele, takim będzie w przyszłości i lud polski, wychowany przez nich. Oni mu dadzą podstawę do rozwoju, oni pierwsi obudzą jego myśl, nauczą go oryentować się w życiu i w jego obowiązkach. Dobry nauczyciel — to najkardynalniejszy postulat szkoły ludowej, bo szkoła ta jest płucówką stokroć ważniejszą, niż katedra uniwersytecka. Na stanowisku nauczyciela ludowego musi być przede wszystkim człowiek — obywatel, na stanowisku profesora uniwersytetu może być tylko uczoney. Charakter ostatniego, jego osobiste wady i zalety odgrywają rolę podrzędną, gdy u pierwszego te właśnie rzeczy wysuwają się na czoło i decydują o jego wartości.

Stąd szkoła, w której się kształcą nauczyciele ludowi, musi być nie tylko szkołą, która udziela tych lub innych nauk i daje wystarczający ich zasób swoim wychowancom na dalszą drogę życia, ale jednocześnie musi być szkołą, która kształci charakter, która dąży do wychowania człowieka możliwie najlepszego, możliwie najdoskonalszego.

Nauczyciel ludowy, jako posłannik cywilizacji i kultury, jako siewca dobrego ziarna, musi być istotnie czemś jasnem, świecącym w mroku, który go otacza, czemś, co posiadałoby siłę skupiania dokoła siebie i przyciągania ku sobie innych, gdyż wtedy dopiero będzie mógł całkowicie spełnić swoją rolę.

Jest on nauczycielem szkoły, uczy dzieci wiejskie czytać i pisać, ale terenem jego działalności jest nie tylko szkoła, a obowiązkiem nie tylko mechaniczna nauka. Na swoim kilkumorgowym gospodarstwie powinien on być wzorowym gospodarzem, doskonałym pszczelnikiem i ogrodnikiem, w zetknięciu swoim z ludem wiejskim powinien być skarbnicą wiadomości, udzielanych chętnie i w formie przystępnej. Do niego przychodzić będą po radę, po wskazówkę, od niego zażądają we wsi wyjaśnienia tego lub innego faktu politycznego, tego lub innego rozporządzenia lub prawa. On będzie musiał opowiadać o nowych wynalazkach technicznych i o wojnie, która wybuchnie na drugiej półkuli, o nawozach sztucznych i o bimetalizmie, o szczepieniu drzew owocowych i o postępowem opodatkowaniu. Słowem niema kwestyi

w dziedzinie całego, ogromnego i złożonego życia współczesnego, która nie byłaby nauczycielowi potrzebna, o której mógłby nie wiedzieć.

Poziom jego wykształcenia nie może więc być wysoki, ale samo to wykształcenie musi być bardzo rozległe o charakterze encyklopedycznym.

Wkłada to na seminaryum nauczycielskie bardzo poważne obowiązki, a stąd dobre zorganizowanie takiej uczelni wymaga znacznych środków.

Gdzieindziej o należyte uposażenie i rozwój seminaryów dbają rządy—u nas, w chwili przełomu obecnego, dbać o to musi samo społeczeństwo. Przypuszczać też należy, iż wspierając inicjatywę Macierzy, dołoży ono wszelkich starań do tego, aby nowopowstająca szkoła była szkołą wzorową, posiadającą wszystko, co jest dla niej niezbędne. Powinna ona stać się *typem* tego rodzaju szkoły, typem, wedle którego będą się tworzyły w następstwie inne podobne zakłady, których kraj potrzebuje kilkunastu, a przynajmniej po jednym na każdą gubernię.

Młodzieży chętnej do zawodu nauczycielskiego i rozumiejącej to posłannictwo, które nauczyciela czeka, nie brak u nas. Trzeba tylko tę młodzież przygarnąć, pokierować nią i *wychować* na ludzi wzorowych. Nie na polityków, propagujących te lub inne zasady, ale na pionierów światła, na wyznawców dwóch prawd uczelnych, które stanowią o sile i wartości narodów — na szermierzy pracy i obowiązku.

Nie wątpimy, iż Macierz i tylko Macierz potrafi taką właśnie szkołę urządzić i tak jej uczniów poprowadzić i dla tego podkreślamy potrzebę blizkiego i szczerego zajęcia się społeczeństwa nowopowstającym seminaryum nauczycielskiem w Ursynowie.

Ś. p. Henryk Hoyer.

Zmarł w Warszawie dn. 3 lipca r. b. ś. p. prof. Henryk Hoyer, jeden z najwybitniejszych współczesnych uczonych polskich.

Urodzony w r. 1834 w Inowrocławiu, Hoyer po skończeniu gimnazjum w Bydgoszczy, udał się na uniwersytet wrocławski, gdzie wstąpił na wydział lekarski. Po trzech latach pobytu na tej wszechnicy przeniósł się w r. 1856 do Berlina, pociągnięty tam sławą znakomitego histologa i fizyologa, Jana Mullera. Pod jego kierunkiem zaprawiał się też do badań samodzielnych, pracując specjalnie nad anatomią mikroskopową, która wówczas była jeszcze nową i młodą gałęzią wiedzy. Gałąź tę następnie wzbogacił Hoyer poważnymi odkryciami, które zjednały mu sławę naukową w całym świecie lekarsko-przyrodniczym.

Po uzyskaniu stopnia naukowego doktora medycyny i chirurgii, młody uczyony powrócił do Wrocławia, gdzie otrzymał asystenturę przy katedrze fizyologii, zajmowanej wówczas przez słynnego Reicherta.

Polecony przez tego ostatniego zarządowi ówczesnej akademii medyko-chirurgicznej w Warszawie, przybył Hoyer w r. 1859 do naszego miasta i rozpoczął wykłady histologii i fizyologii, jako profesor nadzwyczajny akademii. Po przyłączeniu akademii w r. 1862, jako wydziału lekarskiego do Szkoły Głównej, Hoyer pozostał na tej samej katedrze, jako profesor zwyczajny i utrzymał się na niej po reorganizacji i otwarciu uniwersytetu warszawskiego, przyczem na żądanie władz rosyjskich doktoryzował się powtórnie na uniwersytecie kijowskim.

Działalność profesorską prowadził Hoyer do r. 1895, jednając sobie wielkie uznanie i miłość wśród licznych uczniów. Praca pedagogiczna nie przeszkadzała mu jednak w samodzielnych badaniach naukowych, które prowadził wytrwale i z zamiłowaniem.

Imając się często pióra, Hoyer zostawił po sobie długi szereg prac pierwszorzędnej wartości. Należy tu przedewszystkiem pierwszy w języku polskim napisany podręcznik histologii, odznaczający się wielkimi zaletami. Dalej idzie całe mnóstwo studyów specjalnych, jak badania nad połączeniami tętnic i żył, nerwami rogówki, budową szpiku kostnego i t. d.

Hoyer należał też do rzędu pierwszych u nas pracowników na polu badań bakteryologicznych.

Oprócz tego pisywał liczne artykuły treści filozoficznej i przyrodniczej, drukując je w *Ateneum* i we *Wszelświecie*.

Niemale też zasługi położył zmarły profesor dla rozwoju Warszawskiego Towarzystwa lekarskiego. Jego to staraniem powstała przy tem Towarzystwie pracownia naukowa, przeznaczona do badań fizyologicznych. W uznaniu tych zasług Towarzystwo mianowało go swoim członkiem honorowym i obdarzyło godnością sekretarza stałego.

Także liczne inne ciała naukowe w kraju i za granicą liczyły Hoyera w poczcie swoich członków, że wymienimy Akademię Umiejętności w Krakowie, oraz stowarzyszenia lekarskie i przyrodnicze w Krakowie, Petersburgu, Pradze Czeskiej i t. d.

Zmarł ś. p. Hoyer w 73 roku życia, które całkowicie poświęcił umiłowanej nauce i wyteżonej pracy. Pozostawił po sobie żal wszystkich, którzy go znali bliżej i cenili wyjątkową prawość jego charakteru i wybitne zdolności światłego umysłu.

Z. D.

Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

Z AKADEMII I TOWARZYSTW NAUKOWYCH.

Na ostatniem posiedzeniu Komisji historii sztuki Akademii Umiejętności, odbytem pod przewodnictwem prof. D-ra Maryana Sokolowskiego, przewodniczący poświęcił serdeczne wspomnienie pamięci przedwczesnie zmarłego Grzegorza Worobjewa, który od kilku lat, jako współpracownik Komisji, brał udział w jej pracach. Ś. p. Grzegorz Worobjew należał do tych nielicznych Rosyan, którzy wobec Polaków kierują się sprawiedliwością i żywią dla nich szczerą sympatycę. Mimo szukan zajmował się polskimi zabytkami, fotografował je i publikował w rosyjskich pismach. Dla Komisji historii sztuki przysłał często interesujące komunikaty. Mieszkał przez jakiś czas w Plocku, później w Łomży, gdzie zajmował wyższą posadę.

Sekretarz Komisji przedłożył komunikat X. Brykczyńskiego o kościele w Kleczkowie, a przewodniczący pokazał szereg dobrych kopij akwarelowych z malowideł ruskich w kaplicy Ś. Trójcy w zamku lubelskim, które nadesłał p. Józef Smoliński. P. Stanisław Zarewicz mówił o dwóch polichromowanych rzeźbach gotyckich, mianowicie o figurze Chrystusa w kaplicy M. Boskiej Częstochowskiej w kościele P. Maryi, oraz predelli z kościoła św. Floryana, przedstawiającej Zaśnięcie N. M. Panny. Obydwie rzeźby pochodzą z końca XV lub pierwszych lat XVI w. P. Władysław Bartynowski przedłożył fotografie dwóch portretów, nadesłane mu przez Izidora hr. Czarnowskiego z Rzymu. Obydwa portrety, z których jeden przedstawia króla Zygmunta III, a drugi jakiegoś magnata polskiego z XVIII w., były dotychczas nieznanne.

P. Marcełi Nałęcz Dobrowolski odczytał wyjątek ze swej pracy o „Ikonografii śmierci w sztuce,“ dotyczący zabytków polskich. Autor zatrzymał się najdlużej nad rozwojem Tańców śmierci. Z nich przedewszystkiem dwa zasługują na baczną uwagę, mianowicie Tańce śmierci w kościele Bernardynów w Krakowie i obraz znajdujący się obecnie w gabinecie historii sztuki Uniw. Jagiell. Pierwszy, niezawodnie dzieło artysty polskiego, ma wyższą wartość

artystyczną. Utwór ten pochodzi z drugiej połowy XVII w. Znać w nim wpływy francuskie i flamandzkie. W osobach przedstawionych w tym Tańcu śmierci, referent wykazuje portrety współczesnych osobistości, mianowicie: króla Michała Korybuta Wiśniowieckiego, papieża Klemensa X, biskupa Andrzeja Lipskiego, Jana Alberta Wazę, St. Koniecpolskiego, ces. Maksymiliana II i t. d. Ówczesne prądy i zapatrywania odbijają się wyraźnem cechem w poszczególnych scenach, w których w pierwszym rzędzie uderza charakter rodzajowy.

Drugi obraz, malowany, zdaniem referenta, w końcu XVI lub na początku XVII w. a przemalowany olejno w XVIII w., jest również ciekawym tego typu zabytkiem. Autor ilustrował swój interesujący referat szeregiem zdjęć fotograficznych z pokrewnych zabytków, jako to z obrazu znajdującego się w krągankach kościoła św. Katarzyny, dalej z malowideł w Nowym Targu, w klasztorze PP. Wizytek, Reformatów i t. d.

Nad referatem p. Dobrowolskiego wywiązała się ożywiona dyskusya, w której brał udział pp. prof. Dr. M. Sokołowski, prof. Dr. W. Creizenach, prof. Dr. J. hr. Mycielski, Dr. Tomkiewicz, ks. kanonik Górzyński i p. J. Pągaczewski.

Akademia Umiejętności w Krakowie w dniu 4 lipca b. r. ogłosiła konkurs im. *Mikołaja Kopernika* na następujący temat:

„Opracować stosunki klimatyczne jednej z większych dzielnic ziem polskich — albo porównać pod względem klimatycznym którąkolwiek z kolonij zamorskich, do których emigruje gromadnie ludność polska — z klimatem rodzimym.“

Nagroda wynosi 1000 koron. Termin konkursu 31 grudnia 1907. Autor pracy uhonorowanej nagrodą zatrzymuje jej własność. Gdyby jednak w przeciągu roku, od wypłacenia mu nagrody, pracy uhonorowanej drukiem nie ogłosił, natenczas uczynić to może sama Akademia, ale autor traci prawo własności swej pracy na rzecz Akademii.

Zarówno autor, jak i Akademia, składają cztery egzemplarze wydrukowanej pracy Gminie miasta Krakowa.

Prace konkursowe należy nadsyłać do Akademii Umiejętności bezimienne, pod godłem obranem przez autora, z dołączeniem koperty opieczętowanej, zawierającej wewnątrz nazwisko autora i jego adresu a opatrzonej tem samym godłem.

Wszelkich wyjaśnień udziela Kancelarya Akademii.

TOWARZYSTWO OPIEKI NAD ZABYTKAMI PRZESZŁOŚCI W WARSZAWIE uzyskało dn. 28 czerwca (również w rok od pierwszego zalegalizowania) zmianę ustawy, zatwierdzoną na walnem zgromadzeniu odbytem w styczniu r. b. Nowa, obowiązująca obecnie, i przez władzę zaaprobowana ustawa, różni się od poprzedniej głównie w zakresie atrybucyi członków. Stworzono nową kategorię członków czynnych, mianowanych przez Zarząd, na przedstawienie 2 członków czynnych. Na nich włożono najważniejsze obowiązki, ale też dano

im rozleglejsze prawa. Ogólne zgromadzenia mianowanych członków czynnych decydują w sprawach naukowych Towarzystwa i nadają kierunek całej jego działalności. Na tych zebraniach odbywa się wybór zarządu, rozpatrzenie sprawozdań rocznych, decydowanie wszelkich wniosków w zakresie działalności Towarzystwa, uchwalanie ewentualnych zmian w ustawie, a także likwidacyi lub rozwiązania Towarzystwa oraz mianowanie członków honorowych. Po za tem nowa ustawa wykazuje różnicę atrybucyi korespondentów i delegatów. Obowiązki pierwszych są charakteru naukowego, drugich natury gospodarczej. Korespondenci dopomagają Zarządowi w pracach naukowych i konserwatorskich, delegaci pozyskują Towarzystwu nowych członków, zbierają roczne składki, przyjmują jednorazowe ofiary i są pośrednikami między członkami swego okręgu a Zarządem. Dla rozszerzenia działalności Towarzystwa korespondenci i delegaci zakładają za zgodą Zarządu kółka miejscowe, które ustawa przewiduje, a których organizacya jest dokładniej określona w opracowanych już przez Zarząd „Zasadach organizacyjnych kół”, które na żądanie Zarząd wysyła.

Oprócz ponienionych wyżej członków czynnych, Towarzystwo składa się z członków: honorowych (wybitnie w nauce lub dla T-wa zasłużonych), założycieli (wnoszących jednorazowo nie mniej jak 1000 rb.), protektorów (opłacających corocznie nie mniej jak 10 rb.) i zwyczajnych (opłacających składkę roczną od rubla do pięciu).

Cele i zadania Towarzystwa oraz sposoby ich wykonania w nowej ustawie mało się różnią od pierwszej: T-wo ma za zadanie „zabezpieczać od uszkodzeń i zagłady oraz opracowywać naukowo wszelkiego rodzaju zabytki przeszłości, ze szczególnem uwzględnieniem znajdujących się w granicach Królestwa Polskiego (§ 1). Dla wypełnienia tych zadań Towarzystwo podejmuje: 1) Inwentaryzowanie i fotografowanie zabytków, oraz zdejmowanie z nich planów — za zgodą osób lub instytucyj, do których zabytki te należą; 2) gromadzenie zabytków drogą kupna, darowizny, zapisów — w celu utworzenia własnego Muzeum; 3) otaczanie opieką i zabezpieczanie od zniszczenia środkami technicznymi i prawnymi wszelkiego rodzaju budowle dawne i pomniki mające znaczenie artystyczne, archeologiczne lub historyczne. Nadto — odnawianie tychże budowli i pomników, będących własnością osób prywatnych, miast, kościołów i t. p., winno odbywać się za wiadomością i aprobatą Towarzystwa; 4) nabywanie na własność nieruchomości, mających znaczenie pamiątek historycznych i zabytków, lub też wyjednywanie u rządu wywłaszczenia ich na użytek publiczny; 5) pomieszczanie na ścianach domów i w miejscach upamiętnionych zdarzeniami historycznymi lub pobytom znakomitych osób tablic z odpowiedniami napisami; 6) mianowanie na całym terytorjum swej działalności, gdziekolwiek zajdzie potrzeba, korespondentów i pełnomocników (delegatów), działających dla Towarzystwa i z jego ramienia; 7) urządzanie w lokalu Towarzystwa lub w miejscach publicznych wystaw, odczytów i pogadanek dla członków Towarzystwa oraz dla publiczności; 8) założenie specjalnej biblioteki; 9) wydawanie własnego czasopisma lub pomieszczanie w jednym z istniejących już organów prasy prac członków Towarzystwa, dotyczących zabytków i pamiątek, oraz ogłaszanie peryodycznych sprawozdań z Ogólnych

Zebrań Towarzystwa; 10) utrzymywanie stosunków z towarzystwami i instytucjami, mającemi cele pokrewne.

Ukończywszy pracę organizacyjną przez uzyskanie tej ustawy, Towarzystwo wchodzi obecnie w fazę pracy konkretnej. Oprócz robót konserwatorskich, o których w poprzednim zeszycie Biblioteki daliśmy wiadomość, T-wo rozpoczęło inwentaryzację zabytków w Królestwie zwracając główną uwagę na kościoły, jako miejsca, gdzie najwięcej się jeszcze przechowało zabytków niejednokrotnie bardzo mało w nauce znanych. Dla pracy tej za podstawę służy okólnik J. E. Arcybiskupa warszawskiego do duchowieństwa swej archidiecezyi, w którym Arcybiskup poleca księżom gorące poparcie zamierzeń T-wa, zarówno w zakresie inwentaryzacji, jakoteż konserwacji, a także gromadzenia zabytków dla Muzeum T-wa. Dla uzyskania pierwotnych wiadomości o zabytkach w kościołach się znajdujących, a także dla przybliżonego chociażby scharakteryzowania samych kościołów pod względem architektonicznym, Towarzystwo wygotowało dla duchowieństwa specjalny „kwestionaryusz № 1 dla inwentaryzacji kościołów i znajdujących się w nich zabytków.“ Broszurka ta wydana przez komisję inwentaryzacyjną przy współudziale komisji budowlanej, a w szczególności J. Wojciechowskiego (już), opuściła przed kilku dniami prasę drukarską i przedstawia się w szacie wielce ozdobnej, jako pierwszy tomik wydawnictw Towarzystwa. Zawiera on po krótkim wstępie poświęconym wyjaśnieniu ważności i sposobów inwentaryzacji, cały liczny szereg pytań, dotyczących kościołów murowanych, drewnianych oraz wszelkiego rodzaju zabytków w nich się znajdujących. Idą potem przykłady opisów, słownik paruset najważniejszych wyrazów technicznych, potrzebnych przy opisywaniu oraz 14 tablic objaśniających z rysunkami charakterystycznych budowli lub ich części. Trzeba mieć nadzieję, że z takim nakładem pracy przygotowany przez Towarzystwo kwestionaryusz, duchowieństwo nasze nie pozostawi bez odpowiedzi, a przeciwnie da swoją pracę dla zregulowania w celach ogólnie naukowych i narodowych tych pamiątek naszej kultury, które w kościołach pod opieką duchowieństwa się znajdują.

O pracach muzealnych Towarzystwa, nie możemy jeszcze podać informacji dokładnych, a to dla tego, że rzecz ta jest jeszcze w związku. Od osób jednak blisko Zarządu stojących dowiadujemy się, że sprawa zbiorów Towarzystwa, któreby się nazywały: Muzeum Starożytności, czy Muzeum Narodowym jest przedmiotem ożywionych rozpraw w łonie Zarządu. Są nawet bardzo poważne już deklaracje na złożenie dla przyszłego Muzeum większych kolekcji bądź to w formie daru, bądź w formie depozytów. Oprócz tego są nawet, co rzadsze i trudniejsze w dzisiejszych czasach, deklaracje na dary w gotówce, wśród których najpoważniejszą jest p. Erazma Majewskiego na 15000 rubli. Jest więc nadzieja, jakoby już w rzeczywistość się przyobleka-jąca, że Warszawa mieć będzie, owo niezbędne dla rozwoju badań archeologicznych laboratorium, jakim jest Muzeum naukowo prowadzone, którego gdyby nie zakazy dotychczasowe, że nie mamy, wstydzićby się należało. Podobno, po feriach wakacyjnych sprawa Muzeum ma być wysunięta na czoło zadań T-wa.

We wrześniu 1905 założoną została Pracownia Antropologiczna przy Muzeum Przemysłu i Rolnictwa. Jest to pierwsza tego rodzaju instytucja

u nas mająca na celu: badanie ludu polskiego pod względem jego budowy fizycznej, badanie szczątków pozostałych po dawnych, przedhistorycznych mieszkańcach naszego kraju, wreszcie badanie naszej młodzieży szkolnej, jak również gromadzenie zbiorów antropologicznych. Kierownikiem pracowni jest młody, ale zaszczytnie już znany antropolog p. Kazimierz Stołyhwo. Z powodu bardzo małych funduszków, jakie udało się zebrać (198 rubli w gotówce a 759 rb. 95 k. w przedmiotach) działalność pracowni ograniczyła się tylko do pracy p. Stołyhwo nad czaszkami z Jachowicy, z Rzeczyce (drewlańskie) z Poszuszwia oraz nad rasą spy-neandertalską w okresie historycznym. Poza tem zbadano 2 groby żarnowe i 4 kurhany.

N O W E K S I A Ź K I.

— Dr. *Stanisław Tomkowicz* wydał pierwszą część dzieła swego o WAWELU, jako tom IV teki grona konserwatorów w Galicyi Zachodniej. Tom ten wydany w pięknej i ozdobnej szacie zapowiada imponującą całość. Zawiera on 14 arkuszy druku in 4-o majore, ozdobionych licznemi reprodukcjami. Część druga obejmuje jeszcze 10 arkuszy tekstu, oraz atlas widoków i planów, składający się z 80 tablic formatu dwa razy większego, niż książka. Jako uzupełnienie tego wydawnictwa w 1908 r. ma się ukazać tom II-gi publikacji o Wawelu, zawierający materiały archiwalne, których przygotowaniem do druku zajmuje się Dr. Adam Chmiel. W ten sposób powstanie pomnikowe dzieło, poświęcone dziejom zamku Wawelskiego i badaniom z punktu widzenia historii sztuki. Część pierwsza, obecnie wyszła z druku, obejmuje historycę Wawelu od najdawniejszych czasów. Po wiadomościach wstępnych i wykazaniu znaczenia, jakie miał zamek krakowski w dziejach Polski, autor kreśli początkowe dzieje Wawelu do czasów Lokietka, ściślej biorąc do 1305 r., czyli z czasów budowli drewnianych. Nie mając źródeł na wykazanie jaki był wygląd zamku krakowskiego w tej odległej epoce, autor przytacza opis teoretyczny twierdzy średniowiecznej, słusznie ujmując, że w głównych zarysach zamek Bolesławowy i Kazimierzowy musiał mało się różnić od ogólnego szablonu. Następują potem (Rozdz. C.) dzieje zamku XIV i XV w. Data rozpoczęcia nowej budowli po pożarze 1305 r. nie jest wiadoma dokładnie, zdaje się jednak, że przed 1312 r. przynajmniej mury były ukończone, gdyż wójt Albert, jak podaje Długosz, z Bolesławem Opolskim zamku zdobyć nie mógł. Część mieszkalna zamku zapewne przed 1320 r. (data koronacji Lokietka) w części przynajmniej ukończoną została, za właściwego jednak budownika zamku średniowiecznego uważać należy Kazimierza W., któremu w pracy tej dopomagał zapewne Wacław z Tęczyna. Za czasów tego panowania zamek znacznie upiększonym i rozszerzonym został i gościć mógł w swoich murach kilku naraz monarchów (Zjazd 1363 z racyi zaślubin Karola IV). Jagiello w dalszym ciągu budowanie zamku prowadził, podwyższył mury i, jak niesie tradycya, zmurował Kurzą Stopkę. Opisy uroczystości z czasów tego panowania dają już pewne szczegóły o wewnętrznem urządzeniu zamku i jego ozdobach. Więcej jeszcze podobnych

szczegółów autor cytuje z czasów Kazimierza Jagiellończyka, najważniejsze pod tym względem są rachunki dworu z 1461 r., oraz opis w Kronice Schedla (1492).

Następny rozdział poświęcony jest specjalnym badaniom nad Kurzą Stopką i pozostałościami gotyckimi budowy zamku, gdzie autor wykazuje, że dzisiejsza Kurza Stopka jest tylko częścią większej budowli gotyckiej tego nazwiska.

W drugiej części dzieła, zatytułowanej „Zabudowania Wawelu po za właściwym zamkiem królewskim,” znajdujemy wykaz i poszczególne opracowanie wszystkich budowli, jakie się znajdowały w zachodniej części Wawelu, królewska bowiem rezydencja zajmowała tylko niewielką część (wschodnią) Wawelu. Po skreśleniu historii każdej z tych budowli, z wyjątkiem katedry, której poświęcone są specjalne dzieła (Łętowskiego i Wojciechowskiego), przechodzi autor do takiegoż zestawienia posiadłości królewskich po za właściwą rezydencją, a następnie do opracowania fortyfikacyj zamkowych. Temu poświęca najobszerniejszy rozdział (str. 131—192) z wyciągnięciem ze wszystkich znanych w historii wypadków, dotyczących Wawelu, szczegółów o jego ufortyfikowaniu. Zakończy książkę rozdział o „Instytucjach związanych z zamkiem krakowskim,” na pierwszym miejscu jest mowa o skarbcu i archiwum. Dzieje skarbcza przed paru laty skreślił w specjalnej monografii F. Kopera, na niego więc się powołuje autor i przechodzi do opisania sądów, więzień, zarządu zamku, obowiązków robocizny przy budowie i naprawie zamku. Zapoznawszy się z tą „1-szą Częścią” dzieła o Wawelu, jedynie tylko życzyć można jaknajszybszego ukazania się dalszych jego części i ukończenia tak pięknego dzieła, służyć mogącego w przyszłości za wzór do podobnych monografij.

Fr. P.

Zasłużony badacz nad dziejami XV wieku, a w szczególności drugiej jego połowy, *Dr. Fryderyk Papée* wydał obecnie swoje *STUDYA I SZKICE Z CZASÓW KAZIMIERZA JAGIELLOŃCZYKA*. Jest to zbiór prac drukowanych uprzednio w rozmaitych czasopiśmiech (z wyjątkiem studjum p. t. „Królewskie córy,” które po raz pierwszy ukazuje się w druku). Nie jest to jednak przedruk machinalny, autor poczynił w każdej z tych prac liczne zmiany i poprawki, na które naprowadziły go studia ostatnie, a rozprawę p. t. „Zabiegi o czeską koronę” z gruntu przerobił. Na początku tomu umieszczone są dwa szkice dotyczące spraw mieszczaństwa w Polsce, pierwszy o sławnym procesie szlachecko-mieszczańskim z powodu zabicia Andrzeja Tęczyńskiego, drugi o stosunkach miejskich za Kazimierza Jagiellończyka i zmianach, jakie za panowania tego w stosunkach tych zaszły. Wielce zajmującą jest rozprawa o zabiegach Kazimierza o Czeską koronę, wykazująca zawilość tej sprawy oraz dyplomatyczne zdolności Kazimierza i całą jego oględność z jaką w tej ważnej sprawie postępował. Ograniczając się co do miejsca podajemy tylko tytuły następujących po tem szkiców. Są to: Święty Kazimierz, Zatarę podatkowy Kazimierza Jagiellończyka z miastem Krakowem, Kandydatura Frydryka Ja-

giellończyka na biskupstwo Warmińskie, Wycieczka archiwalna do Węgier (pełna bardzo ważnych dla historyków wiadomości o mało nam znanych archiwach węgierskich), Listownik x. Piotra z Ostroroga, Księgi Kazimierowskie w Metryce koronnej (z racyi wydawanych przez prof. Wierzbowskiego sumaryuszów), i „Królewskie córki“ szkic zawierający życiorysy wszystkich córek Kazimierza Jagiellończyka. W końcu podał autor bibliografię prac swoich, wykazując poważny ich szereg. Pierwsza praca w roku 1875 czyli 22 lat temu.

PRZEGLĄD CZASOPISM.

— ARCHITEKT. Kwiecień. Efektu malarskie w architekturze; — Najdawniejsza architektura kościelna Słowian zachodnich; — Restauracya w starym teatrze w Krakowie; — Nowa katedra katolicka w Londynie; — Objaśnienia rysunków i tablic; — W sprawiekonkursów ogłaszanych w Galicyi; — Roznaitości; — Nowe książki; — O zadaniach Muzeum techniczno-przemysłowego w Krakowie; — Złote myśli.

— BIBLIOTEKA NOWA... KAZNODZIELSKA. Kazania ks. ks. J. Koterbskiego, prob. z Kamionki Wielkiej, Mateusza Jeża z Krakowa, d-ra Adama Kopycińskiego (3), Tadeusza Stycińskiego, prob. z Wytomyśla (3), X. S. F., Stanisława Zastawniaka, prob. z Dobrzyce, Ignacego Adamskiego z Rogalinka, G. S., Ż. d-ra Dalbora, kau. pozn. i X.

— EKONOMISTA. Zeszyt I. J. Kaczkowski: Majoraty w Królestwie Polskiem; — J. St. Lewiński: Socyalizm municypalny w Anglii; — M. Poznański: Syndykaty robotnicze we Francyi; — Dr. F. Bujak: Uwagi o społeczeństwie Galicyjskiem; — B. Jasinowski: Parlamentaryzm, дума państwowa i reprezentacya polska; — W. Tomaszewski: Ś. p. dr. J. Kusztełan; — St. Kozicki: Ś. p. St. Chelchowski; — Kronika współdzieleza; — Kronika finansowa; — Ruch cen i kursów; — Rozbiory i sprawozdania; — Bibliografia.

— HOMILETYKA I PRZEWODNIK SPOŁECZNY. Kwiecień. Piętnastowiekowa rocznica śmierci św. Jana Chryzostoma; — Duch krytycyzmu; — Przemówienie Ojca św.; — W. E. Ketteler: Doniosłe zagadnienia społeczne ostatnich czasów; — Zwierzchnictwo Kościoła katolickiego; — Fałszywa litość; — Ćwiczenie duchowne dla dzieci przystępujący do spowiedzi i pierwszej komunii św. — Uwagi.

— KRYTYKA. (f): Mowa nie-kandydacka; — Edward Leszczyński: Wiosenne niebo; — Prof. J. Baudouin de Courtenay: Z ciemnicy wszechrosyjskiej; — J. Sz.: „Cyd“ Corneille'a w tłumaczeniu St. Wyspiańskiego; — Józef Jedlicz: Trzy siostry. To nie cud. Gdy ją rzuciłem. Poezye; — Jan Dąbrowski: Nowe powieści; — Konstanty Srokowski: Polska racya stanu w sprawie rufskiej; — Marion: Z obrazków rewolucyjnych; — Roznosiciel gazet; — Przegląd prasy polskiej i obcej; — Arjos: Ruch wolnej myśli; — Juliusz Temer: Teatr lwowski; — K. B.: Kronika ruchu kobiecego; — Sprawozdania naukowe i literackie.

— MUZEUM. Kwiecień. Szkoła a wybory; — Nowa regulacya plac; — Habu W. dr.: Karol Libelt, jako pedagog; — Habura F. dr.: Bronisław Trzas-

kowski. Jego żywot i dzieła (c. d.); — Oceny i sprawozdania przez W. Franka, dr. Wł. Semkowicza, B. A. Makowskiego, Jureckiego; — Kronika szkolna i pedagogiczna; — Wiadomości bibliograficzne; — Bibliografia Kom. ed. nar.; — Sprawy Tow. naucz. szkół wyższych.

— NOWA BIBLIOTEKA UNIWERSALNA. Hello Ernest: Człowiek. Życie-Wiedza-Sztuka;—Rapaeki W.: Kostka Napierski, opowiadania lenci Pana Krzysztofa Scipiona, dworzanina Jego Król. Mości. T. II.; — Blanka Halicka (Zborowska Helena): Nowele włoskie. Z życia poety. Śnieg; — Klaczko Julian: Przygotowania do Sadowy; — Krawczyński S. M.: W Rosyi w ósmym dziesięcioleciu XIX w. (Andrzej Koźuchow).

— PORADNIK JĘZYKOWY. I. Stein: O rodzaju, liczbie i przypadku rzeczowników;—II. W sprawie nazwisk żeńskich (ankieta) przez F. Hościęka, B. Koskowskiego, J. A. Świącieckiego, W. Rapackiego, M. K. dr. F. Kręka; — III. I. Stein: O powstawaniu wyrazów; — IV. O. Chomiński: Pokłosie; — V. Rozmaitości.

— PRZEGLĄD HISTORYCZNY. Marzec — Kwiecień. Parczewski: Prohor i Prokulf w katalogach biskupów krakowskich; — M. Handelsmann: Przywilej Piotrowski 1388 r., szkic historyczno-prawny (c. d.);—I. T. Baranowski: Z dziejów feudalizmu na Podlasiu, Rajgrodzko-Goniądzkie państwo Radziwiłłów w pierwszej połowie XVI wieku (dok.); — H. M.: Aryanie Polscy i Dymitr Samozwaniec (nowe źródła);—G. Manteuffel: Pierwotni krajowcy prowincyj Nadbaltyckich; — X. T. Trzebiński: Miniatury w antyfonarzu katedry Gnieźnieńskiej; — Czasopiśmiennictwo polskie na emigracji; — Al. Jabłonowski: Zasiadlenie Ukrainy; — Wodociągi i kanalizacje miejskie; — Sprawozdania; — Kronika.

— PRZEGLĄD POLSKI. Maj. Dr. Józef Flach: Z najnowszej literatury dramatycznej Niemiec; — dr. Bronisław Dębiński: Początek Wielkiego Sejmku Luchesini (dok.); — dr. Stanisław Zdziarski: Dżingis-Chan zmarłychwstały; — Konrad Ostrowski: Listy z Francji; — Kronika Literacka; — Teatr krakowski, przez A. E. Balickiego; — Muzyka w Krakowie, przez Witolda Noskowskiego; — Przegląd polityczny przez

— PRZEGLĄD POWSZECHNY. Maj. Czajkowski K. ks. T. J.: Zwycięzki rząd francuski; — Weinert Stanisław dr.: Teren polityki kolonialnej Niemiec;—Kumaniecki W. K. dr.: Pierwszy austriacki kongres ochrony dzieci (dn. 18, 19 i 20 marca 1907 r.); — Hortyński Feliks ks. T. J.: Teorya rozwojowa a katolicyzm. Naokoło książki Wasmanna (c. d.); — Lipke Leonard ks. T. J.: Międzynarodowe ustawodawstwo robotnicze na kongresach berneńskich (w r. 1905 i 1906) (dok.); — Przegląd piśmiennictwa, przez A. Mazanowskiego, ks. Jarosława Rejowicza T. J., ks. K. Czajkowskiego T. J., ks. R. Kudasiwicza T. J., K. Pelisia T. J., W. Gostomskiego;—Zapiski bibliograficzne, przez L. E., A. R., A. M., T. W.; — Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego, przez ks. Wiktora Wieckiego T. J., T. Jeske-Choińskiego, Leonarda Lepszego i Z.

BIBLIOGRAFIA.

TEOLOGIA. — FILOZOFIA.

BUCZYŃSKI BRONISŁAW: Kościół i kultura. Poznań, 1907. Nakł. księg. św. Wojciecha. 8-o, str. 108.

CHARSZEWSKI IGNACY, Ks.: Dyalog polemiczny. O tolerancyi religijnej. (Rzecz dzieje się w jednym z miast prowincjonalnych). Warszawa, 1906. Nakł. „Przeglądu Katolickiego.“ Skł. głów. w księg. Szczepkowskiego 8-o, str. 55.

DELITSCH FRYDERYK: Babilon i Biblia. Wykład ... z 52 ilustracyami. Przekład z upoważnieniem autora, dokon. z wyd. piątego, na nowo przez autora opracowanego. Warszawa, 1907. Wydawnictwo „Myśli Niepodległej.“ 8-o, str. 56.

KELLER HELENA: Optymizm. Przekład Kazimierza Juliana. Warszawa, 1907. Księg. K. Idzikowskiego. 8-o, str. 60.

SZCZEKLIK Ks. DR.: Etyka niezależna i nowoczesny ruch etyczny. Lwów, 1907. 8-o, str. 21.

HISTORIA. — GEOGRAFIA.

BONIECKI ADAM: Herbarz polski. Tom X — zeszyt IV i V. Warszawa, 1907. Skł. gł. w księg. Gebethnera i Wolffa. 4-o, str. od 121—200 od Kleinens do Kmitowie.

DZIEJE POROZBIOROWE NARODU POLSKIEGO, ilustrowanego według Prof. D-ra A. Sokołowskiego z ilustracyami oraz reprodukeyami obrazów Matejki, Gersona, Stachowicza, J. i W. Kossaków, Rozena, Ryszkiewicza i innych mistrzów polskich. Tom III, zeszyt 98, 99, 100. Nakł. Tow. Akc. Wyd. „Wiek.“ 8-o, str. od 99—146.

GŁOGER Z., HEILPERN M., KULWIEĆ K. i JANOWSKI AL.: Poznaj swój kraj! I. Warszawa, 1907. Nakł. Polskiego Tow. Krajoznawczego. Skład główny w księgarni M. Arcta. 8-o, str. 15.

GŁOGER ZYGMUNT: Białowieża. Warszawa, 1907. Wydawnictwo M. Arcta. Biblioteka Geograficzna. Opisy malownicze i podróże. 8-o, str. 48.

KŁACZKO JULIAN: Studya współczesnej dyplomacyi. Przygotowania do Sadowy. Tłóm. za zezwoleniem autora Karol Scipio. Przedmowa Stanisława Tarnowskiego. Kraków, 1907. Sp. Wyd. Pol. 8-o, str. 111.

KOZŁOWSKI WL. M.: Autonomia Królestwa Polskiego (1815—1831). Warszawa, 1907. E. Wende i Sp. 8-o, str. 277.

LIKOWSKI EDWARD, Ks.: Unia Brzeska (1596 r.). Opowiadana przez ... Wydanie drugie przejrzane i poprawione. Warszawa, 1907. Skł. głów. w księg. Gebethnera i Wolffa. Bibl. Dzieł Chrześcijańskich, zeszyt 75 i 76. 8-o, str. XVII + II + 355 + 32.

ŁOZIŃSKI WALERY: Starsza siostra Zygmunta Augusta. Szkic historyczny. Dwie noce. Powieść. Gródek Jagielloński, 1907. Nakł. J. Czajńskiego. Księgarnia Gubrynowicza i Schmidta we Lwowie. 8-o, str. 295.

ŁUNIŃSKI ERNEST: Przed wyprawą Wiedeńską. Studium historyczne. Warszawa, 1907. Książki dla wszystkich № 289. Nakład M. Arcta. 16-o, str. 133.

MAŁECKI ANTONI: Lechici w świetle historycznej krytyki. Wydanie II, przejrane i poprawione przez autora. Lwów, 1907. H. Altenberg. 8-o, str. 264.

MÜLLER EUGENIUSZ: Żydzi w Krakowie w drugiej połowie XIV stulecia. Kraków, 1906. Dodatek „Sprawozdanie Tow. miłośników historii i zabytków Krakowa za r. 1906.“ Nakł. Tow. mił. hist. i zabyt. 8-o, str. 24.

OFFMAŃSKI MIECZYSLAW: Słownik miejscowości, w których znajdują się jeszcze zabytki czasów Piastowskich i Jagiellońskich (903—1572). Warszawa, 1906. Nakład. M. Arcta. Książki dla wszystkich № 317. 16-o, str. 207.

TRAMPCZYŃSKI WŁODZIMIERZ: Dwa powstania poznańskie. Rok 1846 i 1848, oraz proces w Moabicie. Przez ... Warszawa, 1907. Nakł. Spółki Wydawn. Tania Bibl. dla wszystkich № 9. 8-o, str. 79.

Z DZIEŁÓW GMINY STAROZAKONNYCH w Warszawie w XIX stuleciu. Tom I. szkolnictwo. Warszawa, 1907. Księg. E. Wendego i Sp. 8 o, str. V + 283.

PRAWO I BROSZURY PRAWNO-POLITYCZNE.

CHARSZKOWSKI, KSIĄDZ: W palącej sprawie młodzieży szkolnej w Królestwie. Na tle stosunków szkolnych w gimnazjum polskim w Płocku. Płock, 1907. Warszawa, księg. M. Szczepkowskiego. 8-o, str. 140.

DĄBKOWSKI P., doc. DR.: Prawo polskie prywatne. Wstęp i część ogólna. Program wykładów w c. k. Uniwersytecie im. ces. Franciszka Józefa I-go we Lwowie, w półroczu letnim 1906/7. Kraków, 1907. Nakł. autora. 8-o, str. 10.

GODLEWSKI STEFAN: Pierwszy rok konstytucyi w Państwie Rosyjskiem. Prawa wydane w okresie czasu od 14 stycznia 1906 r., do 5 marca 1907 r. Zebrał, zgrupował i w oświetleniu krytycznem przedstawił ... Warszawa, 1907. Nakład autora. 8-o, str. XLIV + 652.

GŁOGER Z: Z dwóch światów słowiańskich. Kraków, 1907. Nakł. księg. K. Wojnara. 8-o, str. 23.

JASINOWSKI BOGUMIŁ: Parlamentaryzm. Duma państwowa i Reprezentacya Polska. Warszawa, 1907. Skład główny w księgarni Centnerszvera i Sp. 8-o, str. 56.

KINIORSKI MARYAN: Zasady wywłaszczenia w programie agrarnym. (Odczyt wygłoszony w Klubie Narodowym w Warszawie, dn. 23-go marca 1907 r.) Warszawa, 1907. Skł. głów. w księg. Gebethnera i Wofffa. 8-o, str. 54.

MARION: Obrazki rewolucyjne. Stanisławów, 1907. Wyd. księg. A. Staudachera i Sp. Warszawa, E. Wende i Sp. 8-o, str. 136.

PAWLICKI STEFAN, KS. DR. PROF.: *Filozofia państwowa. Według wykładów ...* Kraków, 1907. 4-o, str. 341.

PRINS ALFONS: *O duchu rządów demokratycznych. Przetłóżyła z franc. Emilia Leszczyńska.* Lwów, 1907. Nakł. księg. H. Altenberga. Warszawa, E. Wende i Sp. 8-o, format mały, str. IV + 323.

TEODOROWICZ JÓZEF, KS. ARCYBISKUP: *Wobec zbliżających się wyborów w Galicyi.* Nakł. red. „Przeglądu Powszechnego.“ 8-o, str. 25.

HISTORIA LITERATURY.

KOŚCIAŁKOWSKA ZYNDRAM WILA: *Szkice literackie. I. Ignacy Chodźko.* Warszawa, 1907. Bibl. Dzieł Wybor. № 484. 8-o, str. 147.

WIEK XIX. *Sto lat myśli polskiej. Życiorysy, streszczenia, wyjutki, pod redakcyą B. Chlebowskiego, H. Gallego, G. Korbuta, St. Krzemińskiego.* Tom II. *Wypisy* № 143--273. Warszawa, 1907. Nakł. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. XI + 460.

NAUKI PRZYRODNICZE.

DENNIG ADOLF, DR. PROF.: *Hygienu przemiany materyi. Przetłóżył doc. Dr. Kazimierz Panek. Z 1 tabl. kolor. i 5 rycin w tekście.* Lwów, 1907. Nakł. księg. Polskiej B. Połonieckiego. Warszawa, E. Wende i Sp. 8-o, str. 82.

FRIEDBERG WILHELM, DR.: *Młodszy miocenu Galicyi zachodniej i jego fauna. (Z rycinami w tekście i mapą).* Kraków, 1906. Nakł. Ak. Um. Spółka Wyd. Pol. 8-o, str. 108.

TENŻE: *Nowe skamieliny miocenu ziem polskich. Opracował ... Z 6 ryc. w tekście i 3 tablicami.* Lwów, 1907. Nakł. muzeum im. Dzieduszyckich. 8-o, str. 39.

M E D Y C Y N A.

BICHMORST H., DR. PROF.: *Hygienu serca i naczyń krwionośnych. Część I.* Przetłóżył Dr. Szczepan Mikołajski. Lwów, 1907. Nakł. księgarni Polskiej B. Połonieckiego. Warszawa, E. Wende i Sp. 8-o, str. 126.

EWALD A. C., DR. PROF.: *Hygienu żołądka, jelit, wątroby i nerek.* Przetłóżył Dr. Ferdynand Stankiewicz. Z 3 tablicami 3 ryc. w tekście. Lwów, 1907. Nakł. księg. Pol. B. Połonieckiego. Warszawa, E. Wende i Sp. 8-o, str. 136.

FOREL A., DR. PROF.: *Alkohol, dziedziczność i życie płciowe. Odczyt wygłoszony na X międzynarodowym kongresie antialkoholizymu we wrześniu 1905 r. Przetłóżyła na język polski Jadwiga Młodowska. Odbitka z „Czystości.* Warszawa, 1907. Wydawnictwo „Ethosu“ № 3. Nakładem „Ethosu.“ Skł. gł. w redukecyi „Czystości“ 8-o, str. 26.

TENŻE: *Hygienu nerwów i umysłu.* Przetłóżył Dr. Edmund Brzeziński. Z 10 ryc. Lwów, 1907. Nakł. księg. Polskiej B. Połonieckiego. Warszawa, E. Wende i Sp. 8-o, str. 282.

SCHOTTELIUS M., DR. PROF.: Bakterye i choroby zakaźne. Przełożyła Marya Felauer. Z 33 ryc. i 7 kolorowemi tabl. Lwów, 1907. Nakł. księg. Polskiej B. Połonieckiego. Warszawa, E. Wende i Sp. 8-o, str. 244.

SCHRÖTTER LEOPOLD, DR. PROF.: Hygiena płuc. Przełożył Dr. Władysław Kruszyński. Lwów, 1907. Nakł. księg. Polskiej B. Połonieckiego. Warszawa, E. Wende i Sp. 8-o, str. 132.

S Z T U K A.

MANN TOMASZ: Fiorenza. Tyóm. z upoważnienia autora Dr. Maryan Henzel. Brody, 1907. Nakł. F. Westa. Warszawa, E. Wende i Sp. 8-o, str. 86.

PILAT WŁADYSŁAW, DR.: Socyologia sztuki. Szereg studyów. T. I. 1. Socyologia sztuki. 2. Początki sztuki. Kraków, 1907. Spółka Wyd. Polska. Nakł. autora. 8-o, str. 91

SOKOŁOWSKI MARYAN: Ścibor ze Ściborzyc i Pippo Spano, tudzież kilka słów o kronice Ulricha v. Richental. Kraków, 1907. Nakł. Akad. Umiej. 4-o, szp. 24.

ŚWIEYKOWSKI EMMANUEL, DR.: Zarys artystycznego rozwoju tkactwa i haftarstwa, objaśniony zabytkami Muzeum Narodowego w Krakowie. Z 25 tablicami. Kraków, 1907. Wydawnictwo Muzeum Narod. 8-o, str. XVI—300.

EKONOMIA POLITYCZNA I ROLNICTWO.

BACH A.: Głód-Mocarz. Szkice ekonomiczne. Kraków, 1907. 8-o, str. 101.

BRZOSOWSKI WŁODZIMIERZ: Po co zakładamy kółka rolnicze. Warszawa, 1907. Skł. głów. w księg. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 15.

DZIERŻYCKI STANISŁAW: Wrażenia rolniczo-społeczne z wycieczki do Francyi. Warszawa, 1907. 8-o, str. 31.

HEMPEL LEON: O drobnym przemyśle. Pogadanka wygłoszona na Ogólnem Zebraniu Lubelskiego Towarzystwa Rolniczego w miesiącu grudniu 1906 r. Przez ... Lublin, 1906. Wydawnictwo Sekeyi drobnych gospodarstw Lubelskiego Tow. Rolniczego. Gebethner i Wolff. 8-o, str. 16.

MARCHLEWSKI J. B., DR.: O dochodzie. Napisał ... Warszawa, 1907. Nakł. Wincentego Raabego. Skł. głów. w księg. Powszechnej. 8-o, str. 171.

MIKULOWSKI-POMORSKI J., PROF. i B. JANOWSKI: Wyniki połowych doświadczeń rolniczych przeprowadzonych przez Komitet c. k. galic. Tow. Gospodarskiego w r. 1905/6. Lwów, 1907. Nakł. c. k. galic. Tow. Gospod. 8-o, str. 29.

WARMIŃSKI EMIL, DR.: Patogeneza wyzysku. Felieton ekonomiczny. Zakopane, 1907. Nakł. autora. 8-o, str. 45.

PODRĘCZNIKI SZKOLNE.

BIEGAŃSKI WŁADYSŁAW: Podręcznik logiki i metodologii ogólnej. Dla szkół średnich i samouków. Warszawa-Lwów, 1907. Nakł. księg. E. Wende i Sp. i księg. H. Altenberga. 8-o, str. 216.

CIEŚLEWSKI R.: Zbiór zadań algebraicznych dla szkół średnich męskich i żeńskich. Część I. Warszawa, 1907. Nakład Towarzystwa „Wydawnictwo podręczników szkolnych.“ 8-o, str. 112.

DZIWIŃSKI PLACYD, DR.: Podręcznik arytmetyki i algebry dla wyższych klas szkół średnich, napisał ... prof. matem. w c. k. szkole politechn. we Lwowie. Lwów, 1907. Nakł. Tow. Nauczycieli szkół wyższych. 8-o, str. 418.

KRÓL LEON I PAPIERKOWSKI EMIL: Wzory i formuły matematyczne zastosowane do użytku uczniów wyższych klas szkół średnich (15 figur w tekście). Lwów, 1907. Nakł. księg. Muńszewskiego i Meinharta. Warszawa, E. Wende i Sp. 8-o, str. 138.

MALANOWICZ JÓZEF, INŻYNIER: Kreślenie geometryczne i jego praktyczne zastosowania. Napisał ... (Z 45 tablicami i 346 rysunkami). Warszawa, 1907. Z zapisu Wł. Peplowskiego w zawiad. Kasy im. J. Mianowskiego. Skł. głów. w księg. E. Wende i Sp. 8-o, format podłużny, str. XI + 176.

ROSSMAN I SCHMIDT: Gramatyka francuska w zakresie szkół średnich. Opracowała Natalia Osterloff. Warszawa, 1907. Nakł. księg. L. Fiszera. 8-o, str. 71.

— Podręcznik języku francuskiego w zakresie szkół średnich. Spolszczyła Natalia Osterloff. Część III. Warszawa, 1907. Nakł. księg. L. Fiszera. 8-o, str. 131.

SZCZAWIŃSKI Z. KAMIŃSKI S.: Teoria arytmetyki oraz zbiór zadań w zakresie szkoły średniej. Opracowali ... Część I. Cztery działania nad liczbami wielorakimi. Warszawa, 1907. Wydawnictwo M. Arcta. 8-o, str. 115.



ŁUNA.

IV.

Gdy w tydzień po ucieczce Żymirskiego panna Malinowska odwiedziła Pawła, on nie poznał jej. Była ubrana skromnie, uczesana imaczej, zbladła i zbrzydła. Zdumiony wykrzyknik wybiegł mu na usta i zawisł niewypowiedziany, ale ona wyczytała wszystko w oczach. Patrzyli na siebie.

— Nie przychodziłam tu oddawna — przemówiła pierwsza.

— A tak...

— Od czasu jak tamten szubrawiec... — rozplakała się.

Paweł milczał, ponieważ ta kwestya należała do najdrażliwszych. Wiedział przecież, jaką tu rolę odegrywał Żymirski, wierzył w miłość — i uszanował tży.

Ona zaś, spostrzegłszy jego zakłopotanie, obtarła szybko oczy i zaraz dodała dla usprawiedliwienia się:

— Rozstroili mnie ta historia... widziałam tłumy, które ten łajdak... Ale niech pan nie myśli, żebym ja... ..trzeba machnąć ręką... to rada najlepsza...

Zapadło milczenie. Panna Malinowska uważnym wzrokiem pilnie badała.

— Niechże pan podsunie mi krzesło... pocóż mamy stać... — rzekła swobodnie w dawnym zlekka żartobliwym tonie.

Usiedli, Paweł wciąż był sztywny.

— Bankier Żymirski — odezwał się — odwiedzał mnie przed samym odjazdem i prosił o pożyczkę.

— Pan dał mu? — zaniepokoiła się.

— Odmówilem teraz, jak przed rokiem... Ja nie lubię afer...

— Pan wogóle solidny...

W spojrzeniu panny Malinowskiej była uśmiechnięta zaczepka. Łzy wyschły, smutek przepadł bez śladu, twarz stała się znowu, jakkolwiek blada, jak kwiat radości.

— Z czego się pani śmieje?

— Z solidności pańskiej...

— Alboż to wada?

— Jak czasem...

— A wobec kobiet?

— Kobiety nie uznają kas ogniotrwałych...

Rozmawiali niby dwoje naiwnych, niby dwa podlotki, męski w mundurze szkolnym, żeński — w krótkiej sukni. Dawniej nieraz godziny upływały im na takiej grze w piłkę. On odrzucał nietrafnie i łapał niezgrabnie, ona śmiała się z cicha do ukrytej myśli, której nie rozumiał, czasami niecierpliwiła się, że gra przeciąga się zbyt długo, ale spełniała swoją niezwykłą rolę dalej... Paweł, bojaźliwy i niedoświadczony z kobietami, mimo długiej i zażyłej już znajomości, mimo, że znał o pannie Malinowskiej całą prawdę, którą zresztą tłómaczył po swojemu idyllicznie, traktował ją sztywnie, trzymał w odległości salonowego, czy też ideowo-partyjnego stosunku, i zdradzały go tylko spojrzenia, które bez wiedzy jego w każdej chwili składały wyznania, zanosily prośbę, powtarzały obietnicę... A pannę Malinowską właśnie podbijała i podniecała ta jego nieśmiałość urokiem nowości. Takich mężczyzn nie spotykała, nie przypuszczała, żeby mogli być tacy w stosunku do niej. Im więcej względów on okazywał jej, tem bardziej stateczną, poważną i szanowną stawiała się ona. Na stylowych fotelach stylowego salonu, gdzie przed rokiem, jak słyszała, odbywały się wykwintne zebrania towarzyskie, wobec tego „magnata“, który imponował jej bądź co bądź tytułem, manierami, bogactwem, udawała z talentem dostojną damę — i szła do celu swego. W pierwszej chwili Paweł wydał się jej nudnym i brzydkim i, gdyby postępował z nią, jak inni, gdyby natarł obcesowo, dałaby mu bez ceremonii odprawę; lecz taktyce, której się trzymał, jeśli to była taktyka, nie mogła się oprzeć i na jedno skinienie rzuciłaby mu się na szyję. Ale, że on nie rozumiał, a może nie chciał, sama stała się stroną zaczepną. Zaczęło się obłęzenie, trwające już od pół roku. Pod pozorem spraw partyi przychodziła tu często, zapraszała go do siebie, spędzali razem długie godziny. Ze ścieżki politycznej zbuczali w uroczu zarośla uczuć i bawili się śród nich w chowanego, zapadały między nimi milczenia, mówili do siebie urywanemi zdaniem, spojrzenia zawierały przy-

mierze, „ligę miłości,“ panna Malinowska wprawnie prowadziła grę, ażeby jej dostał się nie sun tylko Józefowy płaszcz; grali oboje... W momencie kulminacyjnym wszakże, w momencie, w którym wytrawny i śmiały gracz rozbija bank, sięga po całą sumę i osobę bankiera, ostrożny Paweł odkładał karty, przywoływał ją do porządku, oblewał zimną wodą, nawracał do przerwanej pracy, do przerwanej rozprawy politycznej. I przeciągała się ta dziwna walka...

Tego dnia wszakże panna Malinowska postanowiła skończyć. Tak albo inaczej. Wypadło jej tak ze wszystkich rachub, a zwłaszcza z tego rachunku, gdzie główną pozycję stanowił Żymirski. Upadek znienawidzonego człowieka, oczekiwany i upragniony, nie uszczęśliwił jej, jak spodziewała się, jak od wielu lat krzykliwie zapowiedziała wszystkim. Troska rozwinęła złośliwą uciechę. Na progu banku, gdy odmówiono jej wypłaty na ostatnie czeki, zrozumiała, iż to, co się stało, dla niej przedewszystkiem oznacza nędzę. I w tłoku zrozpaczonych złorzeczyła najgłośniej, pierwsza zaczęła kamieniami tłuc lustrzane szyby gmachu, podjudzała innych. A potem, kiedy ktoś wtajemniczony szepnął o niej tłumowi na ucho i gniew tłumu zwrócił się przeciwko niej,—śród przekleństw i pogroźek nie stehórzyła. Odpowiadała. Strojna i piękna krzyczała rozdrużnionej ciżbie o grzechu bogactwa i o prawach proletaryatu, o odwiecznej krzywdzie i dniu odwetu, o niewolnictwie kapitalistycznym i rychłym upadku gwałcicieli, o nędzy i bliskiej zemście ludu... Policya zamknęła jej usta. Panna Malinowska musiała ukryć się i dwa długie dni przesiedziała w samotności, posypując sobie głowę popiołem troski, trapiąca nużącym rozmyślaniami, przelomową pracą. Dotychczasowe jej istnienie materialnie opierało się na Żymirskim, moralnie — na przeświadczeniu, że ona jest nieszczęśliwą ofiarą ustroju i nieczemnego człowieka, który ją zwiódł, który ją złamał... I jedno i drugie dogadzało jej ze wszech miar. Życie, które stworzyły dla niej miłość i złoto bankiera, było przybytkiem weale przyjemnym, a mogła zostawać w nim, nie kłócąc się ani z własnym sumieniem, ani z opinią otaczających ją kół. Jedni przebaczała, bo wierzyli w siłę jej przywiązania, niewygasłego mimo zawodu, inni uznali rzucony przez nią frazes o żywej krzywdzie i pokutującej ofierze, ona sama rozgrzeszyła siebie w imię zemsty, z przywileju pokrzywdzonej. Nazywała siebie szumnie siostrą cierpiącego proletaryatu, równie jak on uciśnioną, niewolnicą, istotą, zatraconą w piekle czasów, czytała broszury o prostytutce, hojnie szafowała cudzym groszem, czem zdobyła pewne zachowa-

nie, płonęła nienawiścią do możnych świata, którzy za pieniądze kupują zdrowie i cześć rzesz robotniczych, walczyła o prawa kobiety — ale była zadowolona ze swego losu. Dziś to wszystko urwało się naraz. Popierwsze zabrakło pieniędzy, powtóre znikła owa moralna sankcyja, usprawiedliwiająca i zbytek i próżniactwo i grzech — a każde życie opiera się na jakiejś sankcyi — wysunął się z pod nóg piedestał urojonego cierpienia, wypadł z rąk wieńiec męczeński a nie ciemisty, którym przywykła potrząsać, w który stroiła swoje piękne czoło... Był przewrót w całym znaczeniu tego wyrazu i w pannie Malinowskiej toczyła się owa stara, znana, pospolita walka, zilustrowana w greckiem podaniu. Jak tamtemu młodzianowi należało wybierać. Wszystkie myśli, uczucia, marzenia skierowały ją zaraz na tę drogę, do której, zdawało się, tęskniła, której, rzekomo, zazdrościła innym, którą oplakiwała, którą utorowały dla niej jej własne słowa i teorye. Chcąc być w zgodzie z sobą samą, nie mogła wahać się... Bez wahania przezo postanowiła rozpocząć inne życie. Ogarnięta zapalem zmieniła uczesanie i suknię, najęła skromne mieszkanie, ogłosiła wyprzedaż strojów, kosztowności, sprzętów... Odrodzona wypierała się przeszłości, którą nazywała złą, i wszelkich po niej paniątek. Wyznażyła sobie szarą dolę pracy i ubóstwa, prostą i żmudną ścieżkę, którą chodzą ludzie czyści, w zachwycie nad sobą marzyła o słodkim smaku suchego i twardego chleba, zarobionego uczciwą robotą rąk... o szlachetnem braterstwie z cierpiącym proletaryatem, o bojuwaniu i zwycięstwie... Grały w niej huczną fanfarę dumne uczucia, szukała Janka Śniadowskiego, który w ostatnim roku dźwigał ją i nauczał, żeby pochwalić się przed nim, żeby usłyszeć zasłużoną pochwałę. Zreszłą szczęście tych pierwszych godzin, uciecha szyderczego patrzenia ludziom, ludziom pasorzytom, wyzyskiwaczom, trutniom, obłudnikom prosto w twarz, stanowiły dostateczną nagrodę. Gdyby było można, chodziłaby od domu do domu, biłaby okna, plwałaby w oczy burżujom, samym, zadowolonym z siebie, pysznym, zebralaby tłumy nędzarzy i, stanawszy na czele, burzyłaby zgnity dom ustroju... Znienawidziła bogactwo, pozłacaną niesprawiedliwość, która rządzi światem, kłamstwo pozorów. Szczyciła się z ubóstwa swego, zdawało się jej, iż zdobyła już wszystkie prawa, że zmyła błoto ohydnych lat, wierzyła, iż nastąpi dla niej na zawsze inne czasy, a tak niepodobne do minionych, jak odległym jest pokrewieństwo między ulicą miejską a polną ścieżką, która prowadzi do własnej zagrody... Dwa dni zbiegły na gorączkowej czynności. Przenosiła rzeczy, spieniężała sprzęty, odprawiała służbę, biegała po mieście

w pogoni za zajęciem i zarobkiem. Po wielu nieudanych próbach i daremnych zachodach dotarła wreszcie do jakiegoś szefa, który wprawdzie przyglądał się jej tak natrętnie i zuchwale, iż chciała skoczyć mu do oczu, ale zarazem dał posadę w swoim biurze. Z zapałem zabrała się do roboty. Przychodziła pierwsza, przez wiele godzin przepisywała gorliwie, nie odrywając wzroku od stosu papierów, uczyła się niezrównanej sztuki kłapania po Remingtonie, a ponieważ czas biurowy nie wystarczał, dorabiała, odrabiała i w domu. Znużona kładła się wcześniej spać i spała mocno twardym snem kamiennego chodnika, który w nocy odpoczywa od nieznośnego tupania po nim przez dzień cały stukających obcasów ludzkich... Od rana znówu praca, ta sama, niepotrzebna, jałowa, litery, sylaby, wyrazy, przecinki, cyfry, zdania, najgłupsze w świecie. Zwalczała zmęczenie oczu, myśli, rąk, zwalczała wstręt i nudę, która po tygodniu przyszła pierwszy raz i bawiła krótko, potem stała się częstym gościem, potem nie odstępowała jej nigdy... Nuda godzin powolnych, nuda przewlekłego dnia, nuda życia, znudzenie ciała... Wówczas to myśl o Pawle, jak złowróżbny zajęcie, przebiegała drogę jej poprawy. Ukazał się pożądany obraz jego miłości, wiernej i pokornej, odczuwała się chęć złamania uporczywego tego dziwnego mężczyzny, który jedyny ze wszystkich odwracał się, kusila najdroższa od wieków dla kobiety rozkosz dokonania podboju. Zateśkniła, brał ją za... Powiedziała sobie, że nie należy bez wyraźnej przyczyny skazywać i jego i siebie, zwłaszcza jego, Pawła, na cierpienia, że on kocha ją, jak nikt dotychczas, wielkim, rzetelnym uczuciem, że i ona... że ona także, że jeśli oboje... dlaczego i poco... że oboje mogą zaznać szczęścia... Były to zupełnie trafne rozumowania, jak zwykle u człowieka, który wie, że upadnie, który ulega i pragnie usprawiedliwić siebie. I poszła do Pawła. Poszła jedynie w tym celu, żeby donieść mu o zmianie adresu i... życia, żeby na jedną chociażby godzinę odegnać nudę, żeby rozmówić się z nim w sprawie kosztowności, których nie sprzedala, nie mogąc rozstać się z cudownym migotaniem kamieni, za które chytrze zażądała ogromnej sumy, a których przechowywanie w domu wydawało się jej niebezpiecznym. Ale zaledwie przekroczyła próg jego mieszkania, straciła z oczu wmówiony w siebie cel odwiedzin, i stanął przed nią ów rzeczywisty, dawny, do którego dążyła skrycie od kilku miesięcy. Rozpoczęła zwykłą grę... Nacierada — on cofał się... W każdej chwili dnia na ustach, stworzonych do pocałunku, któreby ona mu wycalowała, miał zimny i nudny, jak szkło, traktat polityczny. Niecierpliwiła się.

— Czy pan kiedy kochał? — przerwała mu bez ceremonii.

— Kochałem i Kocham...

— Kogo?

— Pani chce usłyszeć ode mnie?

— Niech pan powie... — szeptała.

Uśmiech ożywił twarz Pawła.

— Tu jest moja miłość — rzekł wskazując olbrzymie w złoconych ramach lustro.

Panna Malinowska przychyliła się tak, ażeby zwierciadło odbiło jej postać.

— A teraz? — spytała.

— Widzę cię — odparł przekornie.

— Tylko cię! — mnie pan nie widzi?

— Ktoś powiedział, że mężczyzna ma jeden cię, a kobieta tyle, ilu szło za nią wielbicieli.

Zaśmiał się rad z konceptu, do którego nie przywiązywał wagi. Ale panna Malinowska wzięła go ze strony tragicznej. Gniew przeleciał jej przez twarz, odwróciła się. Po tej obeldze należałoby wyjść... Dawniej, w epoce potęgi byłaby wybuchła... cyniczne słowa piekły jej usta...

— Nie spodziewałam się po panu... dziś — urwała.

I naraz panna Malinowska rozplakała się już po raz drugi.

Paweł zmieszał się niezmiernie, bełkotał coś, przeproszał.

— Tak... ze mną wszystko można... wszystko uchodzi... że ja skrzywdzona i bezbronna... że nikt się za mną nie ujmie... — mówiła wśród łez — myślałam, że pan jest imy... przecież ludzie... niema tu mojej winy... nieszczęście...

Łzy odniosły skutek. Paweł, pełen tkliwości, dotknął jej ręki, potem gładził jej włosy rozkoszne, potem objął ją i, prawie tuląc do siebie, pocieszał. Ona zaś garnęła się do niego, kładła mu głowę na piersi i jeszcze skarżyła się.

— Właśnie teraz... gdy ja ciężką pracą... pan magnat jest i pan nie rozumie... praca od rana do nocy... sama jestem w tem mieście... na łasce ludzi... każdy pomiata!... gdyby pan zajrzał do duszy kobiecej... my kobiety, gnębione bez litości, i moje życie... ile cierpień, ile wstyłów i uragań!... upadłaś raz, leż w błocie na zawsze... powstać nie wolno... opowiem panu kiedyś, na sąd oddam...

— Niech pani już nie płacze! — powtarzał Paweł.

— Takie jest prawo dla nas... A ten, kto złamał kobietę, chodzi wolny po świecie, otoczony szacunkiem... Tanten szubrawiec skrzywdził mnie najsrożej — postanowiłam odpokutować, za-

częłam inne życie, przyszedłam tu do pana — i pan... pan!... — zaniósł się od płaczu.

— Ja nie wiedziałem... ja szanuję... — mruknął Paweł.

Uśmiechnęły się jej zażawione oczy.

— Pan mnie żałuje?

— Tak...

— Pan lubi mnie?

Zamiast odpowiedzi znowu położył jej rękę na włosach.

Wówczas chwyciła go w swoje ramiona, całowała...

— Ja pana... ja za panem...

Ureczywistniło się marzenie Pawłowe, marzenie pierwszej godziny spotkania, płomiennie, nieprawdopodobne przecucie...

Snił mu się wówczas jakiś pokój, pełen światła, śpiewu, kwiatów, godzina światła, śpiewu, kwiatów — i ona z omdlałą głową, z ociężałym spojrzeniem, oddana, chyląca się w objęcia, zabrana, śniło się szczęście... I przyszło to szczęście, stało się, porwało go niby fala, niesło przez lasy dziewicze, ogarnięte niezmiernym pożarem, przez kraj ognia, przez morze płomieni, wyrzuciło na brzeg daleki, niezmany, dziki... I szedł zasię przebojem po przez gąszcz, wśród kwitnących zarośli, w obłoku woni, wyciągał obłąkane ręce, rwał kwiaty, chwycił garściami, niszczył, niósł do jaskini, słął łoża pachnące... był panem...

Aż pękły z krzykiem rozżarzone struny, zgasł wrący śpiew... Zdeptane kwiaty — jedyny ślad rozkoszy, która minęła... i kwiatów niema... Pospolity pokój, trzy okna, turkot miasta, ekliwa jasność pochmurnego dnia...

Paweł wsparł głowę na dłoni, zamyslił się. W sennej zadumie wił się niewyraźny żal. Rozwiała mu go gwarem słów. I jęli rozsnawiać — dwoje kochanków. Wspominali przeszłość — dzieje miłości, przepłatali śmiechem.

— Jaki ty zabawny — żartowała — i dziś jeszcze mówiłam, żeś solidny... pamiętasz? ja przecież oddawna... nie rozumiałaś?...

— Nie rozumiałem...

— Nie znasz kobiet... ty dziwny... zresztą kto wie... my łubimy czasami roztopiać lodowce... Im bardziej odsuwałaś się, tem ja więcej... a teraz ty już mój.

— Niezwyj.. swój...

— Nie... mój... — przekomarzali się.

— I znowu zamysliłeś się?... Ja nie chcę... skąd smutek? my dziś szczęśliwi.. o czym ty? powiedz! przede mną niema sekretów...

Nie chciał jej wyznać... Nie wiedział sam, coś mu ciążyło.

Panna Malinowska sposepniała także.

— Słuchaj— przyskoczyła ku niemu— nie ukryjesz nic! spojrzę i zgaduję... patrz mi w oczy!

Paweł niechętnie podniósł spojrzenie.

— Słuchaj... przysięgam ci na moją matkę, że ja nie kochałam nigdy nikogo... ciebie tylko... zapomnij! I cieniów niema żadnych za mną... wierzysz mi, gdy ja przysięgam? — krzyczała.

— Był szubrawiec, łotr, podlec, był taki... zgubił mnie na długie lata, strącił do błota... to minęło... dziś ja wolna, ja człowiek... przez naszą miłość... ty podałeś mi rękę... odrodziłam się... pójdziemy razem w nowe życie... Przysięgam, wierzysz mi? — pytała, ściskając mu mocno ręce.

— Wierzę, wierzę... — odparł prędko — jakże chcesz...

Patrzała w niego z uwagą, myślała nad czemś z troską na czole.

— Pamiętaj tedy! — i znowu patrzała mu w oczy.

Nastąpiło milczenie. On ważył jakąś myśl, którą krył, której nie potrafiła ani wydobyć z niego, ani odzégnać.

— A teraz, gdyśmy już skończyli z tantem na zawsze — odezwała się pierwsza — pokaż mi mieszkanie. Trzymałeś mię w salonie oficjalnie... już ja tu znam każdy deseń... Nudziłam się często.

— Nudziłaś się? — zdziwił się.

— Ano tak... kochałam przecież... a ty mi wciąż strugę zimnej wody... no ale chodźmy...

I jęła przebiegać pokoje. W sypialni szturchnęła go pięścią w bok znacząco.

— Gdzie ona jest? — zaśmiała się ukazując łóżko żony — ty ją czy ona ciebie? biorę ciebie sobie... oddaję ciebie sobie... głupia musiała być gęś, jeśli takiego, jak ty, nie cenila... Ja oceniłam i nie wypuszczę... — i obsypywała Pawła pieszczotami.

A wychodząc powiedziała mu:

— Przeniosę się tu. Kiedy chcesz? dziś czy jutro?

Pawła to zapytanie wprawilo w kłopot.

— Ty tu... — odparł wahując się — chyba nie... bo widzisz...

Panna Malinowska odwróciła się plecami, długą chwilę patrzyła przez okno, potem rzekła:

— Pawle, ty mnie nie kochasz!

— Skąd znowu?...

— Tak jest. Inny mężczyzna... chcesz, żebym została tam... mam zapracowywać się od rana do nocy, przymierać z głodu... Mówiłam ci... a ty, a ty... doprawdy...

I wyszła stroskana.

V.

Życie ludzkie w tem podobne jest do księżyca, iż ma także swoje odmiany: więc ciemny okres nowiu, jaśniejszą, ale niekompletną epokę pierwszej kwadry, pełnię i wreszcie ostatnią kwadrę dogasania. Nie w każdym życiu świeci słońce szczęścia — miesięczne odmiany pomysłowości są zawsze i powtarzają się periodycznie. Dla Pawła po mrokach nowiu, gdy tułał się bez celu i bez zajęcia, nieszczęśliwy w domu i nieszczęśliwy na arenie społecznej, po niepewnych blaskach sierpu, który wszedł na jego niebo w dniu zapisania się do partji, nastąpiła właśnie pełnia. Zawdzięczał to pannie Malinowskiej, zawdzięczał miłości, nie tyle tej, którą odczuwał sam, ile tej, którą zdobył, która karmiła męską dumę zdobywcą, dumę posiadania. W przeciągu długich lat wysychało mu niekochane serce tak jak ptakowi wysycha złamane, niezdolne do lotu skrzydło, i cierpiała w niem drażniona zawodami męska miłość własna, — teraz z podniesioną głową szedł między ludzi. Znalazł na jałowych równiach istnienia krynicę i czerpał z niej napój odżywczy, ten sam, który doradzał mu przed rokiem, w doniosłej rozmowie ówczesny wódz i przewodnik, gdy on uskarżał się na cierpki smak najbardziej pracowitego i chwalebego życia — krynicę szczęścia, napój radości. Tak mu się wydawało przynajmniej, tak czuł w dniach upojenia... Panna Malinowska raziła go nieraz jakimś gościem, jakimś odezwaniem się, śmiechem, bezwzględnością sądów, jaskrawą nienawiścią klasową, okrucieństwem — wybaczal jej wszystko za blask uśmiechniętych do niego oczu, za słodycz szepejących pieszczotliwie jego imię ust, za krótką chwilę, gdy tuliła do jego piersi głowę, za czar garnących go ramion, za gorący niepokój wicherzących mu włosy dłoni. Była jego weselem. Niby dwoje dzieci uganiało po pokojach, droczyli się, żartowali, wymyślali jakieś zabawy. Pocałunek zaczynał, pocałunek kończył, w pocałunku zawierały się i treść i cel i podnieta. Przez wszystkie szczeliny każdego dnia wciskało się to kochanie, i nie zostawało już na nic czasu. Tęsknota — mądry i żaloszny puszczyk duszy, który odzywa się tylko w ciemności, odleciała z rozkwitłego w skwarze krzewu, nie było zresztą za czem tęsknić. Dusza zapadła w długie omdlenie, i to właśnie czyniło Pawła silnym i śmiałym. W uprzednich okresach ukazywała mu ona cele dalekie i miarę wysoką, znaczyła tęsknotą odległość do ideału, trapiła go smutkiem, nękała wyrzutami, i Paweł stawiał sobie doniosłe wyma-

gania, przebywał nieubłagane egzaminy, sądził siebie surowo, słu-chał srogich nagan, upadał i podnosił się, błądził, szedł szukał bezwiednie Boga. Dziś zatrzymał się. W rozgwarze zajęć spo-łecznych i uciech miłosnych zgasło życie wewnętrzne a raczej zgasł religijny jego, sędziowski, spowiedniczy, wysoki głos, i urwał się ów zasadniczy trud duchowy. W Pawle zamilkły oba sumie-nia: społeczne obywatelskie i to drugie sumienie, moralne. Był całkowicie zadowolony z siebie. Z jednej strony — szczęście oso-biste, z drugiej — partya. Działalność zbiorowa daje spokój, któ-rego nie zna człowiek samotny. Jako członek stronnictwa, w któ-rego zbawczość wierzył, Paweł mógł zastaniać się jego progr-amem i pracą, mógł zamknąć usta wszelkim niepokojom i znaleźć na każde zagadnienie odpowiedź gotową i łatwą, jak ten, który jest z sobą samym w zupełnym porządku. Służąc gorliwie par-tyi, spełniał przecież tem samym wszystkie obowiązki wobec na-rodu, obowiązków wobec duszy nie było, bo dusza spała, bo nowy katechizm zdejmował z niej ciężar cierpienia i ciemnych brze-mion grzechu, zwalniał z odpowiedzialności, z przymusu doskona-lenia, wzbogacił go zyskiem radosnej nauki o szczęściu. I z Pa-włem stało się to, co ewangelista dosadnie określa wyrażeniem: zatyło serce, co w nowoczesnej mowie nazywa się filisterstwem. Nie był takim ani w epoce skrajnego konserwatyzmu, gdy w Na-borowie, przejęty stanowiskiem ziemianina, opierał przyszłość kra-ju na hasła: z polską szlachtą polski lud; ani potem podczas nużą-cego roku rozterki małżeńskiej i tułactwa politycznego — filistrem został dopiero teraz pomimo przewrotowej doktryny i rewolucyj-nych dążeń. Życie jego zmieniło się z gruntu, zewnątrz i we-wnętrznie. Przedewszystkiem pod wpływem miłosnych nalegań panny Malinowskiej przedzierzgnął się w eleganta pierwszej wody, powtórę posłuszny tymże wpływom począł używać wesóło i świe-tnie, on, ascetyczny dotychczas niby zakonnik. Odinodniał, wy-piękniał, rozruszał się, poweselał. Bawiło go wszystko. Jeździł na wyścigi, do teatrów, na nocne kolacye do gabinetów, odbywał wycieczki, zwiedzał ogródki, zapraszał do siebie kolegów, napeł-niał kieliszki szampanem... Na początku niezgrabny, onieśmie-lony i zdziwiony swoją nową rolą, wciągnął się rychło, przywykł, nauczył się i zasmakował w tem życiu, gwarnem, zapienionem, podniecającem jak wino, zaprawione pieprzem, który to mężczy-znę na koń wsadza. Dnie mijały na zajęciach, którym oddawał się ze znacznie uboższą gorliwością, wieczory i noce — na lu-cznych uciechach. Godziny gineły świecące, zapadały w prze-złość, jak zapada w mrok nocy strzelista raca. Nie zostawało

po nich ni żalu, ni wspomnień. Oczy czekały, że zabłysną wnet inne. Świat stanął w nowem, sztucznem, jaskrawem a złudnem i łudzącem oświeceniu i kłamał wzrokowi, który chciał widzieć kłamstwo. W sercu wypalał się płomień, którego blask ślizgał się na powierzchni świadomości niby na gładkiem szkłe. Czasami przychodziło znużenie, znużenie dosytu, ale mocniejszym było działanie owego wina, zaprawionego piekącym pieprzem. I znowu dnie gorące, hałaśliwe, turkot wrażeń — oszołomienie. Wówczas to Paweł wysnuł dwa niespodziane wnioski: że towarzysze z partyi, którzy uprzednio stronili od niego, a nawet gardzili nim, teraz garną się i okazują mu sympatyę, i że zbytek, którym on otacza siebie, nie gorszy nikogo. Nazywali go — ona i tanci kolledzy: „nasz pan“ albo „nasz hrabia,“ i Paweł czuł to, że imponuje im właśnie tem znieprawionem bogactwem. Nie mieli mu nawet za złe, iż z powodu ogromnych wydatków zmniejszył swoją ofiarność na cele stronnictwa, a panna Malinowska tylko raz jeden rozgniewała się na niego, mianowicie tego dnia, gdy on odmówił jej pieniędzy na totalizatora. Nie żałował sobie przeto niczego. Kolacye, które od czasu do czasu znudzony gabinetami restauracyi urządzał u siebie, zyskały nawet rozgłos w mieście, opowiadano dziwy o całej ich „paczce“ i pokazywano ich sobie palcami, gdy przelatywali ulicami w mknących jak wiatr dorożkach. A potem na zebraniach, coraz częstszych ze względu na doniosłość czasów, oboje, on i panna Malinowska zabierali głos, i brzmiały ich ogniste zachęcające do czynu, do buntu, do zemsty mowy. Oklaskiwano Pawła, który nabrał wprawy i swady... słuchano go... nauczał...

— Przyznaj, że jestem coś warta — mawiała panna Malinowska — nauczyłam cię ubierać się, czesać się, pić i jeść, bawić się, kochać, żyć... zdobywasz sławę... Czem byłeś przed rokiem, czem jesteś dziś? podziękuj!...

I przysuwała ku niemu twarz, ażeby całował ją w usta. On zaś uśmiechał się pobłażliwie uśmiechem męskiej wyższości, w którą już zaopatrzył się w stosunku do niej i do wszystkich kobiet, dawał jej prztyczka w czoło albo wyjmował szpilki z włosów, ażeby spłynęły potokiem.

— To wszystko przezemnie... A tamta, prawna, poślubiona, pobłogosławiona zgubiła cię... nie umiała cię ocenić... nie kochała... ani ty jej... nie kochałeś, prawda? ja jestem zazdrosna... powiedz, że ja pierwsza... — lubiła zapytywać o żonę.

Paweł opowiadał tak obojętnie, jak gdyby to był rozdział z powieści, opuszczając tylko swoją rozmowę z Obrońskim, której wstydził się po dziś dzień.

— Nie kochałeś jej — wnioskowała skwapliwie panna Malinowska — domyślałam się, a teraz widzę. Miłość nie przechodzi tak z dnia na dzień. Pewnego wieczora powiedziałaś sobie, że cierpieć nie warto, że trzeba pójść drogą pracy publicznej i być uleczony. Gdybyś ty kochał naprawdę, nie poszłoby tak prędko...

— Złożyłem uczucie na ołtarzu idei...

— To taki sobie ładny frazes... spróbuj że teraz złożyć mnie na ołtarzu idei.

— A gdyby trzeba było...

Panna Malinowska zajrzała mu z niepokojem w oczy.

— Tego nigdy nie będzie... Zobaczymy! ja na żadnym ołtarzu... — ostrzegęła go pochmurnie.

— A gdzieś ty ją poznał? — pytała dalej — sto par tańczyło, co? oświadczyłeś się w tańcu?... Jak się to odbywa w wielkim świecie? komedia!...

— Co ciębie to może obchodzić? — dziwił się.

— Tak sobie — odpowiadała niedbale — czytałam w książkach, chcę wiedzieć... Więc na obiad wkłada się suknię dekoltową, a na śniadanie kapelusz? Czy to prawda, że jeśli ktoś zbliży się do panny, której nie był prezentowany, to go wyprowadzają za drzwi? — wydobywała z Pawła.

On cedził przez zęby, nudził się, zapadał w zadumę.

— I znowu zamysliłeś się i taką masz twarz — wybuchała wówczas — w tem coś jest.. ty coś ukrywasz przedemną..

I albo całowała go bez pamięci albo poczyniała swawolić. Czasami przeszukiwała mu kieszenie. Któregoś dnia znalazła w nich dwa listy, które przeczytała natychmiast mimo oporu ze strony Pawła. Jeden bardzo długi, francuski był od pani Kamienieckiej.

— Cóż? wzywają cię, żebyś jak syn marnotrawny powrócił do obowiązków — gniewnie mruknęła panna Malinowska, która nie chciała się przyznać, iż nie rozumie po francusku.

— Czytałaś...

— Rzuciłam tylko oczami... czegoż ona tam chce?...

— Zbankrutowali z racji Żymirskiego... Są w nędzy i moja żona...

— A teraz będą ciebie wydając — z krzykiem przerwała. Nie daj się!... słyszysz!... ja już dopilnuję.. ani grosza! Niech zakosztują ci magnaci, jak smakuje chleb ubóstwa... Dobrze im... zasłużyli... wyzyskiwali, gnębili... nie zaszkodzi, jeśli z głodu przymrą... Czemu nie schowali sobie trochę frykasów na czarną godzinę...

Nie pierwszy to raz spadały jej z ust słowa nienawiści.

Paweł sponsepniał.

— Ty ze mną nie zgadzasz się! — wołała, tarmosząc go bez ceremonii—mów że! Możesz już posłać albo przyobieczać? pokorne ciebie... Tamta zdradzała, oszukiwała, zadrywała, a ty rozczuliłeś się... Nędza... Małoż to ludzi od urodzenia nie ma kawałka chleba!... kto biedny, niech cierpi... Ale jeśli, broń Boże, zubożeje bogaty, to już całe nieszczęście... Gdzież twoje zasady! Należysz niby do partyi, a wroga chcesz wspierać...—przekładała długo.

Paweł nie zaprzeczał. Odebrał jej list, złożył porządnie, wsunął do koperty, zamknął w szufladzie. Z wyrazu twarzy panna Malinowska odgadła, że wprawiła go w zły humor, a wiedziała z doświadczenia, iż w takich razach podnosił się w nim kamienny upór. Zamilkła.

Była cisza, po raz pierwszy między niemi cisza niechęci.

— Na ten drugi list, pani Skibowskiej—odezwiała się—trzeba zaraz odpisać.

— Ale kiedy ja nie wiem—z roztargnieniem odparł Paweł.

— Nie wiesz?! całe miasto trąbiło... wyjechała z Rzyżniewskim.

— Pobrali się?

— A jakże! wyszły trzy zapowiedzi, zjechały się obie rodziny, było błogosławieństwo, był wieniec mirtowy... zupełnie jak u nas...

Paweł ważył coś.

— Ja nie napiszę o tem do matki — rzekł po namyśle.

— Widzisz-ci, jaki bogobojny!—panna Malinowska była także zła—zresztą rób jak chcesz... stara prosi... radzę przestać adres... A adres, chyba Ryszard wie... przyjaźnili się...

Znowu nastąpiła cisza. Po chwili Paweł wstał.

— Wychodzisz już? — spytała.

— Tak. Pójdę do Ryszarda...

— Zaraz... dziś? tak gwałtownie!...

— Im prędzej...

Panna Malinowska domyśliła się, że on korzysta ze sposobności, żeby jej pozbyć się — i nie nalegała. Zaniepokojonemi oczami odprowadziła go do drzwi.. Zwykle chodzili albo jeździli razem, a, jeśli rozstawali się, to następowały długie pożegnania... Dziś wyszedł nie rzuciwszy nawet spojrzenia... Było to ostrzeżenie...

*

*

*

Paweł trafił do Ryszarda na sam obiad, a że stosunek był sztywny i chłodny, od niejakiogoś czasu prawie niechętny, udał się do salonu i oficjalnie czekał. W całym mieszkaniu unosiły się zapachy kuchenne, nieznośny i gminny zapach brukwi, smażonej ze słoniną, w salonie, niegustownym, pospolitym, zapchanym tandetą, spała nuda. Paweł przechadzał się nucąc. Na stolach stały fotografie dziewczynki z koszem kwiatów w ręce, którą gdzieś już był widział, i kobiety, surowo ubranej o surowem czole. W rogu pod oknem drzymało marne zakurzone popiersie Słowackiego, ozdobione wieńcem, który wysechł oddawna, i czerwona wstęga, która zblakła. Oczekiwanie wydało się długiem Pawłowi, i przyszło mu na myśl, że to jest rozmyślna niegrzeczność. Więc zaczął podśpiewywać dość głośno i tupał chodząc, tak właśnie, jak galerya w teatrze, gniewna, że zwlekają z podniesieniem kurtyny. W tej chwili ukazał się gospodarz. Szedł wolno, trochę uroczyście, pełen powagi, którą przybierał w jakimś celu.

— Hrabia czekał na mnie... przepraszam...

— Jak na ministra...

— Ale hrabia uprzyjemniał sobie czas śpiewaniem — odparł równie złośliwie — mieszkam z żoną...

Usiedli. Ryszard czyścił zęby wykałaczką, niedbale słuchał, gdy Paweł wyłuszczał swój interes. Parę razy od niechcenia skierował na niego wzrok, zapewne zdziwiony elegancją wyglądu i zmianą, która zaszła w tym szeregowcu armii proletaryatu. Kilka minut rozmawiali o potocznych sprawach partyi — nie mieli sobie nic do powiedzenia. Padły obojętne słowa, tańcen wciąż zajęty był wykałaczką.

— Należałoby pomyśleć o wyborach — zauważył Paweł.

— O wyborach?

— Podobno niezadługo...

— Podobno... kto wie... — Ryszard zamyslił się — kto wie, co będzie — dodał zagadkowo.

— Wypadki idą w szybkim tempie...

— A hrabia wciąż czynny...

— Robię, co mogę... od sztandaru nie odstąpię.

— Hrabia nie odstąpi od sztandaru! — powtórzył.

Zezowate spojrzenie jego błysnęło uśmiechem, który wnet stłumił.

— Chwila dziejowa położy rozdział między ludźmi — zażartował — dla jednych będzie płacz i zgrzytanie zębów...

— A dla drugich?

— Co każdy sobie sam zgotuje... życie nie daje nic darmo...

— Oprócz szczęścia...

— To pan hrabia je znalazł?... — w oczach majaczyło niewyraźne odbicie dalekiego uśmiechu, który przewijał się spodem jego myśli.

— Wziąłem je, pan doradzał.

— Ja? — zdziwił się wódz — ja nigdy rad nie daję.

— Owego wieczoru, po zebraniu... pamiętam.

— Owej nocy... tak... kiedyśmy wspólnymi siłami obalili Boga... hrabia uznał, iż życie jest bogiem radosnym... pan szukał i znalazł... patrzcie... odrazu... czasami szczęście kosztuje drogo, czasami tanio...

Nie kończył zdań. Paweł czuł, iż w każdym z nich drży powiew szyderstwa, że one są związane utajoną nicią przewodnią, i rozdrażniony a bezbronny miał już wychodzić. Tymczasem niespodzianie zjawił się Janek Śniałowski, którego lubił, którego oddawna nie widział — i został na dobre. Śniałowski wrócił tego rana z dalekiej i długiej podróży, opowiadał gorąco, przejęty misją swoją, natchniony, pełen wiary; nuda, która jak słońce wisiała w tym pokoju, rozwiała się w jednej chwili.

— Nie macie pojęcia — powtarzał wciąż Janek — co tam jest i jak tam jest... Widziałem blade oblicze rządu, widziałem dobywające się z ziemi płomienie... ziemia drży... olbrzym powstał i podaje nam braterską dłoń... — płonące słowa padały niby iskry na słomę wierzeń Pawła i zapalały ją.

— I prędko już? — pytał jakimś nieswoim głosem.

— Czy prędko? za godzinę albo dwie najdalej — zaśmiał się Janek — zanim wyjdziemy stąd! może już sprzedają za dwie kopiejki dodatki nadzwyczajne!... Tu, jak w połogu, mój drogi, niecierpliwość nie pomoże. Trzeba działać, przygotowywać...

— Pan hrabia kąpany jest w gorącej wodzie — wstawił Ryszard.

— Co to wy tytułujecie się tu niby w Wersalu — zdziwił się Śniałowski, który był prosty.

— Sum cuique — mruknął wódz zakłopotany.

Paweł nie był spostrzegawczym, ale zauważył, że Ryszard stał się innym człowiekiem od chwili przyścia Janka, że sztywny, chłodny, uragilny i trochę sztuczny z nim — z Jankiem usiłuje być przyjacielskim, serdecznym i prostym, że poważny i wybitny wódz, prawie nadskakuje młodzikowi, który niedawno wstąpił do partyi, że nadzwyczajnie liczy się z jego poglądami, że stara się przypodobać mu się i chce go pozyskać w jakimś celu, że jest zaniepokojony... Znać to było w ruchach i spojrzeniach, w skwa-

pliwości, z którą potakiwał, w pośpiechu, z którym cofał swoje odmienne zdanie, w gościnności, jakby robionej i prawie zbyt-czynej... Korzystając z przerwy w opowiadaniu, wprowadził swoją żonę i córkę, prezentował — Pawła chłodno, Śniałowskiego z dodatkami całego tuzina najpochlebniejszych epitetów, potem kazał podać czarną kawę i jakiś koniak, o którym twierdził, że jest doskonały, i zapraszał z przesadnymi gośćmi, częstował „po staropolsku...“ Było posiedzenie rodzinne dosyć nudne. Śniałowski, nietowarzyski wogóle, a dziki wobec kobiet, zamknął się w swojej skorupie, żona, owa pani z fotografii o surowym wyrazie anemicznej twarzy, nie umiała zabawić gości i zajęła honorowe miejsce tylko od parady, Paweł rzucił kilka zdawkowych światowych słów... Mimo wysiłków gospodarza, który chciał wywołać nastrój ciepła, nie kleiła się ta scena. Śniałowski był wrogiem trunków, i koniak został nietknięty w kieliszkach. Zapadało wciąż milczenie. Wówczas Ryszard żartował z córki, symbolicznie nazwanej Judytą, którą trzymał na kolanach, której jasnymi włosami bawił się. A dziecko patrzyło wystraszone spojrzaniem. Wreszcie Śniałowski począł się żegnać i wyszedł razem z Pawłem.

— To nam kazał celebrować w tym święcie domowym — rzekł na ulicy — i co on miał w tem za myśl? Nie rozumiem!...

— Chciał pochwalić się żoną, córką i koniakiem.

Szli w milczeniu.

— Mniejsza o to — zaczął znowu Janek — ale wiesz, że ja jego nie lubię... Nie wierzę mu także... Ten jego salon...

— Z zapachem brukwi...

— Daj spokój — zmucierpliwił się Śniałowski — mówmy poważnie. Nie lubię go, bo i w nim, i w tym salonie, i w szczęściu rodzinnem, którem popisuje się, jest filisterstwo, mieszczaństwo, sen zadowolenia... założył gniazdko, i rad jest, i dosyć ma walki, i gotów popierać rząd, bo pozwolili mu osiąść tu legalnie... Zobaczysz, on zaraz przejdzie w stan spoczynku... to znaczy: odda się pracy naukowej, która tyleż w obecnej chwili potrzebna, co choremu traktat o nieśmiertelności. Większość tak kończy. Dwu świeczek palić nie można! albo oltarzyk domowy, albo tamto...

— No widzisz, przecież każdy ma prawo do pewnej sumy szczęścia — zauważył Paweł — jedno jest tylko życie...

Śniałowski popadł w zadumę i nie odpowiedział. Potem, przypomniawszy sobie coś, rzekł:

— Chciałbym pomówić z tobą poważnie... na osobności...

— Więc chodź do mnie.

— Sami będziemy? — znacząco podkreślił pytanie.

— Przecież wiesz...

— Pewny jesteś, że nam nikt nie przeszkodzi?— spytał znowu i zmieszał się.

— Aż do jutra, jeśli byś chciał — swobodnie odparł Paweł.

— Dobrze, chodźmy...

— A zawsze jeszcze trzymasz te swoje salony? — już przed domem odezwał się Śniałowski.

— Nie chce mi się zmieniać...

— Chybaś dawno nie widział, jak mieszkają inni... tam... — nie dokończył Śniałowski.

VI.

W salonie widok stołu, zastanego powalonym obrusem, z resztkami onegdajszej wesołej kolacyi, z plutonem kieliszków pod dowództwem pękatych butelek, napępiał Śniałowskiego wstrętem, więc przeszli do gabinetu. Tu znowuż rozpraszały uwagę, zaciekawiając oczy, kapelusze damskie i długie, białe, zbrukane rękawiczki, wędnące kwiaty, oraz rozrzucone w nieładzie kolorowe pocztówki, ilustrujące dosadnie i dokładnie przebieg paryskiej miłości. Śniałowski stanął u okna i nieśmiało zaczął:

— Przechodzę odrazu do rzeczy... może nie mam do tego prawa... młodszy jestem, ale polubiliśmy się od pierwszego spotkania, była między nami przyjaźń... zresztą idea... — urwał.

— Ty zapewne domyślasz się, o czem ja chcę mówić— spytał.

— Nie... skądże bym ja miał wiedzieć! — dobroduszenie odparł Paweł, zbliżywszy się do niego.

Obaj patrzali chwilę w rozległy widok, ku owym wysokim, posępnym wieżom kościelnym, z których przed rokiem w zimową noc zawołał na Pawła głos napomnienia. Śniałowskiemu nie chciało się mówić. Dziwna w działaczu nieśmiałość i czuła wrażliwość tanowały stanowcze słowa, które przyniósł tu, które przygotował był — i ociągał się. Myślał o chmurze, która przepływała nad krzyżem świątyni i zazdrościł jej w tej chwili, że mija na błękitie, że wolna jest i wysoka, że zna przeczyste obszary niezmiernych niebios... Drażniła jego surową duszę woń perfum i kwiatów, ciężka w pokoju, nie przewietrzanym oddawna.

— Jak wiesz — rzekł naraz stanowczo — byłem długo nieobecny, wróciłem dziś rano... Wyjechałem tegoż wieczora, co tamten nikczemnik, Żymirski... po krótkiej rozmowie z nim... mniej-

sza o to... Dowiedziałem się o zmianach, które zaszły — mówił urywanymi zdaniem — zdziwiłem się bardzo, gdym postłyszał, że ty... — nie dokończył.

Położył Pawłowi rękę na ramieniu, patrzył mu w źrenice oczami, które pod wąskim czołem fanatyka były łagodne i ciepłe.

— Słuchaj, Pawle — zaczął serdecznie — znamy się dobrze, chociaż od niedługo czasu. Zajrzałem w twoje myśli, w twoje serce, i ja jeden może oceniłem ciebie podług wartości. Spieraliśmy się w każdej rozmowie, nie mogliśmy zgodzić się na żadnym punkcie. Dziwny z ciebie eklektyk, a także oportunistą... oportunistą mimo prawości w przekonaniach... Tak się w tobie płacze jedno z drugim... upór i wytrwałość z chwiejnością... Przez życie trzeba płynąć o własnych siłach, walczyć trzeba z prądem — ty zaś siadasz do tej łodzi, to do owej i chcesz, żeby ciebie przewieziono. Pragnąłbyś szybko, łatwo... tymczasem idea jest jak dziecko, które matka wydaje na świat w boleściach, i tylko własna idea stwarza zdolność do poświęceń... Cudze dzieci, podrzutki, udają się rzadko... Potem ambicya twoja... Ambitny szuka przedewszystkiem chwały i oblatuje szeroki świat, a dość jest zostać w domu i głęboko przeorać własny zagon. Sława leży pod najtwardszą skibą. Sława to dodatek...

Twarz Pawła posępniała.

— Po co to kazanie? — przerwał.

Śniałowski znowu popatrzał się w niego.

— Masz rację. Język mi się rozgadał — uśmiechnął się. — Im lichszą jest książka, tem dłuższą przedmowę przyczepia do niej wydawca.

— Ale ty nie gniewasz się na mnie, prawda? — wziął rękę Pawła — można widzieć wady i tem bardziej lubić kogoś, a stosunek musi być oparty na szczerości. Mówię, co myślę — inaczej nie umiem... mogę milczeć, jeśli wolisz...

— Owszem, ja wdzięczny jestem... — bąknął Paweł, którego zaniepokoiła ta rozmowa.

— Byłem pewny, że mi taką a nie inną dasz odpowiedź. Znam ciebie i znam twoją przyjaźń. Różnimy się w przekonaniach, jakkolwiek działamy pod jednym sztandarem, ale ja zawsze broniłem ciebie. Zraziłeś wielu pozorami, był czas, że w partyi ostrzono na tobie języki — zamknąłem im usta. Pamiętasz, po owem zebraniu, na którym zostałeś wygwizdany, zbliżyłem się pierwszy. Najzarliwszy oponent podał rękę przyjaźni. Odstąpiłem wówczas duszę swoją, w której mieszka szlachetne i rzetelne pragnienie dobra. I życie twoje świadczy... Boć co różniło cie-

bie ze stronnictwami, z ludźmi, co uczyniło z magnata towarzysza? Błądząc poomacku, od dawnych, od najwcześniejszych lat dążysz do ideału... szukałeś, szukasz... Mógłbyś być przecie ty, bogaty pan, zająć t. zw. stanowisko, łatwą i krótką drogą dojść do szumnych godności, zostać ojcem ojczyzny, zasnąć snem sprawiedliwego, a przez sen rzucić kłutwę na tych, co spać nie umiejac, jękiem cierpienia, krzykiem męki, przeszkadzają spać... Coś pechało ciebie... Odważny jesteś i brzydzisz się obłudą. Gdy przekonałeś się, że żona ciebie nie kocha, zerwałeś fałszywy związek, kopnąłeś przesady... Słuchaj, Pawle, ja szanuję ciebie...

Śniałowski ścisnął mu rękę i patrzył mu w oczy, i na twarz jego, młodej, a chwilami przedwcześnie cierpkiej i bolesnej, odbił się blask szczęścia. Zdawało się, że ten fanatyk naiwnie rozmarzonym wzrokiem spogląda ku jakiemuś dalekiemu ukochaniu.

— Najbardziej zaś cenilem w tobie — ciągnął dalej, a głos tłumilo mu wzruszenie — ale to już sprawa prywatna... chociaż niezupełnie... Widzisz, my obaj z tobą... Ja cenilem czystość twego życia... Imponowałeś mi... Zepsucie weszło w krew narodu... W tem rozbawionem, w tem nieszczęśliwem, a najweselejsem mieście zapanowała wszechwładnie t. zw. facetka... we wszystkich warstwach... Jak pacierz, facetka zaczyna i kończy dzień tego miasta... ona jest treścią myśli, dążeń, rozmów... królowa o małej lakierowanej nóżce, pachnąca, szeleszcząca, zalotnie robiąca perskie oko, jedna w tysiącach odmian... Uważałeś na ulicach... już od rana... potem wieczory, noc... Niezdrowa krew krąży po żyłach... Odbywa się polowanie, jakaś nieskończona bezwstydną ruja... Mieć, posiadać, używać... leją się pieniądze... kawiarnie, ogródki, gabinoty... każdy śpieszy... trujący szale... pokaż ty mi uczciwego mężczyznę! Mój Boże, co stało się z kobiety, z miłości, z wielkiej twórczej poezji życia! Wyśmiewano mnie, że ja romantyk, że ja czezę... Ty jeden byłeś wyjątkiem. Z ust twoich ani razu nie padło słowo bezecne... czysty i samotny stałeś... W milczeniu składałem ci hołd i rosło mi serce, że my dwaj... Ja wierzę, że tylko czystość daje siłę... Jeśli by świat miał pójść tą drogą i nie odrodził się, skąpany w podniosłej idei, to nie warto... Pamiętasz naszą rozmowę o odrodzeniu tam za miastem, na miedzy chłopskiej, w upalny dzień czerwcowy?... A teraz...

— Teraz dowiaduję się — ciszej kończył — że ty tu ogarnięty szaleem, że w tej wielkiej godzinie narodzin wy rozbijacie się, że dajesz przykład innym, że weingasz... I w mieście mówią:

patrzcie, ci z partyi niegorzej od nas... mówią tak... i ta... ta Malinowska... nie spodziewałem się po tobie i po niej...

Drżał mu głos i drżały te słowa wyrzutu. Młodociana twarz jego stała się bolesną, wąskie usta zacisnęły się cierpko, dokoła oczu wystąpiły znarszczki przedwczesne, spojrzenie było ostrem... Pchnął okno, bo dusiła go w pokoju woń, która opowiadała o tem, co on potępiał, nad czem cierpiał... Paweł milczał zdziwiony i niespokojny, jak przezorny gospodarz, który pozamykał wszystkie drzwi, a budząc się w nocy, spostrzega w komorze obcego człowieka, zajętego przetrząsaniem skrytek — i nie próbował bronić się. Była cisza. Śniałowski odpoczywał, wpatrzony w rozległy widok miejski, w beładne stoczenia dachów, z pośród których strzelały wieżycy kościelne, one jedne dążące do niebios. Zbliżała się już pora wieczorna i chmurne niebo przetarło się tu i owdzie. Na zachodzie rumieniły się obłoki...

— Pawle — znużonym głosem odezwał się Śniałowski — powiedziałem już wiele, to wszakże nie wszystko... skończę...

Ale nie było mu pilno, bo długą chwilę jeszcze milczał. Potem, pochyliwszy głowę, cicho mówił, a wargi kurczyły mu się od słów, szeptanych prawie ze wstrętem.

— Chcę, żebyś odemnie postyszał prawdę o tej... Malinowskiej... Ja ją znam lepiej, niż ty... Historia z Żymirskim była głośną... gadali wszyscy... Gdy wstąpiłem do partyi, gorszyłem się, że i ona gra w niej pewną rolę. Wielkie idee rozwijają się tylko pracą ludzi czystych. Tymczasem chwalono jej niewyczerpaną ofiarność, jak gdyby pieniędzmi można było zmyć brudy. Potem i ja zmieniłem o niej zdanie, pogodziłem się, wybaczyłem... ten nikczemnik złamał jej życie... kochali się niegdyś, zawarli związek miłości, który z racji Żymirskiego stał się tem, czem był aż do końca. Więc wydawało mi się, że dobrze jest, iż my wyciągnęliśmy do niej rękę, że dźwignęliśmy ją, że wyratowaliśmy od ostatecznej hańby. Przecież idea nasza roztacza skrzydła nad skrzywdzonymi i nieszczęśliwymi. Do takich zaliczałem tę... pannę Malinowską. Namawiałem ją nieraz, żeby zerwała, a ona tłómaczyła się chęcią zemsty i wybuchała nienawiścią. Zrozumiałem, że kocha jeszcze, bo podobno kobieta tem mocniej kocha, im bardziej pragnęłaby nienawidzieć. Jestem bezwzględny często, ale uznaję i litość... Rozpytaj tę pannę Malinowską, ileśmy książek przeczytali razem, ile wieczorów spędzili na rozmowie. Ukazywałem jej wielkie cele i górne drogi — potakiwała mi nietylko słowami. Wierzyłem, iż zbudziły się w jej sercu podniosłe

pragnienia... I taki zawód... Nie mogę ochłonać... Dowiaduję się, wróciwszy, że ona w parę dni po wyjeździe tamtego do ciebie, że z tobą wesołe życie... że przed tobą byli inni...—dokończył z obrzydzeniem i ukrył twarz w dłoniach.

Paweł stał zakłopotany, z zakłopotania podkręcał wąsy.

— Pawle — wybuchnął nagle Śniałowski — zerwij z nią! Ja proszę cię w imię idei, w imię przyjaźni, w imię szlachetnej duszy twojej, która przez tyle lat dążyła wysokim szlakiem. Zerwij!... ona niegodna, nieczenna, pełna kłamstwa... Ty zostań, czem byłeś... czystym, silnym, prawym... Pawle!...

I znówu cisnął jego rękę i wzrokiem prawie natchnionym przenikał.

— Ty chcesz, ty prosisz... — szepnął Paweł — doprawdy...

Urwał, nie wiedząc, co mówić. Nastąpiło milczenie. Tamten, świadomy siły swego spojrzenia, patrzył, piętnował, zaklinał, budził. Niepokój wicherzył myśli Pawłowe. Pomknęły spłoszonym tabunem i rozproszyły się, on zbierał je.

— Będziemy z tobą, jak dawniej — marzył jeszcze fanatyk — przyjaźń wytrzyma tę próbę, ciężką ale konieczną. Opętał cię zły duch — ja przyszedłem wyzwolić. Rozboleła mi się głowa od zaduchu rozpusty, który był w tym pokoju — i otworzyłem okno. To samo uczyniłem z tobą. Niech świeży powiew... W nas czystych była siła, w nas odrodzenie... Pójdziemy naszą drogą do celu — my jedni...

Czekał chwilę odpowiedzi, znaku zgody.

— Zajrzyj w swoją duszę, Pawle! — wołał znówu — co stało się z nią... Upadłeś raz i stoczysz się na sam dół... Wysokie słowa, wyznawane ustami, nie pomogą, bo życie będzie zaprzeczeniem, jednym wielkim kłamstwem. Skaleczony wlec się będziesz i poznasz największe z nieszczęść, które spotykają człowieka: zatracenie duszy własnej. Pomyśl tylko! hańba, brud, ciężar winy... co dnia, co dnia... Świat wije się w męce... chybaś zapomniał! Jak nie spłonęło ci serce ze wstydu, gdy między jedną uciechą a drugą stawałeś wśród cierpiących, wśród tych drogich naszych... I miałeś odwagę mówić do nich... Ja wiem, że już zbudził się w tobie żal, że rozwiewa się szal... toczysz walkę... ja poczekam...

I rzeczywiście Śniałowski zamilkł. Gorejącemi oczami szukał drogi do duszy, objął Pawła ramieniem i tak stali.

— Zwycięzam! — szepnął marzyciel — zwycięża wielka prawda dziejów... Znam cię... Wiedziałem...

Ale na innych szlakach były myśli Pawła. Zdążył już zebrać je i uszykować do walki. Zaczął od tego, że chrząknął, i, tracąc sobie czoło, co czynił, gdy był zmieszany, odezwał się:

— Dobrze, ja pójdę z tobą. Zerwę z nią, zamknę się samotny, usłucham. Zapytam tylko, co ty mi dasz w zamian, czem mi wynagrodzisz nudę i pustkę życia?

Śniałowski nie spodziewał się tej odpowiedzi, nie przypuszczał wogóle oporu. Wymknęło mu się westchnienie. A Paweł ciągnął dalej:

— Długo szedłem drogą, na której ty chcesz mnie zatrzymać... Znam ją... tam chłód, tam wyrzeczenie się, posępne dogasanie i uwiąd. Doświadczyłem na sobie. Zmarnowałem najcenniejszy kawał życia — młodość. Jedno jest życie i każdy z nas ma jedno tylko bogactwo, to właśnie szczupły kapitał dni, tak skąpo odmierzony. Należy korzystać... Wiem, że nie wolno używać samolubnie, że na świecie ludzkość przytłoczona krzywdą — nie potrzebujesz mi przypominać. A od czegoż nasze stronnictwo? Waleczymy w partyi o lepsze warunki egzystencji dla mas, sam mówię, że to jest okres narodzin, że rychło zmieni się dola upośledzonych. Idea, której obaj służyimy, niesie szczęście, i życie rozkwitnie w niej, jak w słońcu, życie, wyzwolone z więzów cierpienia... Rzucamy hasło radosne i chcesz, żebyśmy odwrócili się od radości — cudzemi słowami walczył Paweł i przysłuchiwał się sobie, rad ze swego krasomówstwa.

Obcesowe natarcie Śniałowskiego zaskoczyło go zmienacka. Zdumiony i nieprzygotowany zachwiał się — zresztą tam w głębiach odezwała się zbudzona ze snu dusza. Była chwila, że przyznawał słuszność. Ale kłamstwo, w którym żył, uzbroiło go i okryło pancerzem, chroniącym od ciosów z zewnątrz i z wewnątrz. Zabrał głos bez zapału, potem — zdarza się to często z ludźmi, którzy nie mają własnych poglądów — już w ogniu sporu nabrał przekonania i zapału do bronionej sprawy. Dlatego przysłuchiwał się sobie i cieszył się.

— A ty niby puszczyk — szydził nawet — ty jak zakonnik, który kocha posty, mrok i biczowanie się, ty pustelnik... Skaleczony nawołujesz, żeby wszyscy skazali siebie na ułomność...

Przeszedł się po pokoju.

— Mój drogi — z coraz większą swadą dowodził — użytecznym może być tylko człowiek zdrowy, a zdrowie polega na normalnym rozwoju wszystkich władz. Idea nie wystarcza. Byłem mógłowcem i rozumiem dziś. Skąd to znużenie, ten pesymizm i brak woli w całym pokoleniu? Bo książka, bo idea, bo doktryna za-

biły życie. Ty mówisz, że czyści, że duchy bezcielesne zbawią świat... Jakież zimne, zbolące suchotniki... Nie prawda! Tylko zdrowi, tylko ci, co życie kochają, potrafią coś zdziałać...

Śniałowskię oczy patrzyły w ziemię.

— Przed rokiem — opowiadał Paweł — w tym samym pokoju prowadziłem długą rozmowę z Ryszardem. Nie znałem jeszcze programu, miałem wątpliwości. On to nazwał wówczas idee, tę saunę, z której ty splatasz niemilosierne kajdany, radosnem wołaniem tych, co pragną szczęścia na ziemi...

Śniałowski uczynił gest zniechęcenia.

— Nie machaj ręką, gdyż on miał rację, a nie ty — wpadł na niego Paweł — uciemniony, okłamany, zatruty dogmatem cierpienia człowiek, domaga się szczęścia, rozkwitu, pełni życia, bujnego rozrostu. Dość przeorać niwę... krążą w niej krzepiące soki, a słońce świeci blaskiem. Dla kogoż ta ziemia? czyimże ma być mieszkaniem? Kości zmarłych pokoleń skarżą się, że zmarowane leżą skarby... My obdarzymy ludzkość złotem radości!...

Paweł przebiegle, chociaż może bezwiednie, rozmowę z osobistej uczynił zasadniczą, Śniałowski zrozumiał ten manewr, zwykły w podobnych wypadkach i, z wątpliwszy, wyrzekł się nawracania. Zaległo między nimi milczenie. Śniałowskię trawił smutek. Spojrzeniem niezmiernego żalu spoglądał w zorze nad miastem. Przypomniatł mu się wiersz wielkiego poety:

Dzień mój przygasa
Ten lazurowy, ten słoneczny dzień.
Niech gaśnie, niech ginie!
Niech upragniony nadejdzie już wieczór
Ze swoją ciszą wieczystą!...

Do duszy naiwnej, do marzycielskiej duszy fanatyka wkra-
dło się znużenie — zachybotata się w niej wiara. I myślał, że
trzeba mu iść stąd, żeby w samotności odboleć dwa zawody: upa-
dek kobiety, którą podnosił, i zbłąkanie przyjaciela, że w pracy
odważnej zaczerpnie nowych sił. Ale smutek szedł od gasnących
niebios... W pamięci brzniały słowa unęczenia:

Czemu nie gaśniesz ty zorzo?
On był i myśmy byli przed początkiem
Zanim się stało to, co nas pożera
Czemu nie gaśniesz?!

Zadumanemi oczami błędził nad bezładną ciżbą duchów, nad
rozległym obszarem miasta, które pokochał, któremu chciał nieść

ratunek, słowo mocy, wiarę dobrą, i zdawało mu się, że obłok mroku zasłania złote blaski nieba, że wznosi się wyziew trujący, że wyrasta niezmierne widmo, widmo zła, że ono spada mu na barki, przytłacza go do ziemi i miażdży kości — i ugiął się pod brzemieniem, wyrzekął się twardej służby, wątpił, tęsknił... Gdybyż on nie był zupełnie samotny, gdybyż ktoś zdjął z niego ten ciężar, którego nie udźwignie! Sam przeciw wszystkim!... i to życie utarczek codziennych, małych usiłowań, krótkich pociech!... Cóż znaczą drobne krople dobra w głębokim, w szerokim strumieniu zła? Czemże jest on, człowiek znikomy i słaby wobec potęgi odwiecznej, ogromnej? Marzenie dusz pojedynczych... wiara wysokich — daremna, zwodnicza... Nie skruszył że potęgi złego Tamten, najbardziej miłujący, najczystszy, słodki Uzdrowiciel świata... Zdawało się... wielkiem żarzewiem zapalił się świat... Ręka Jego, z przeszłości błogosławiąca ziemi nie czyni już cudów... Był Nauczyciel, nazwano Go Bogiem, uwierzono — i cóż się stało z Jego Nauki? Gdzie owoce? Ziarna zmielone na powszedni użytek, kurzawa słów w pamięci... Z drogi dziejów niemasz powrotu... a droga ku zatraceniu... I nie warto, nie warto... Studlęcia mijają... jedne budują, drugie burzą, gadają różnemi języki, s pierają się — i trwa niedola... chichoczą żądze... Ukochał ideę, służył... powiewa na wietrze sztandar, brzmi próżne hasło... sług, żołnierzy, towarzyszków pancernych nie zwołać... Ręce chciwe chciwie wyciągnięte po złoty kubek... Nie lepiej że zejść im z gościńca, ukryć się, zamknąć się w cichym przybytku...

Śniałowski przeraził się tych myśli, zdusił je i gwałtem wołał uderzył w struny wiary.

— Rozchodziny się, Pawle — rzekł cicho — ty w jedną drogę, ty w gwarnym tłumie, a ja... Patrzę oto w zorzę, w której dopala się ten dzień... Czyj dzień? może mój, jeśli ja chory i chorobę sięję... może świata? Ale ja wierzę. Kończy się dzień krzywdy, rozpusty, hańby, szafów, złych żądz. Deszcz krwawy spłucze ohydę — odrodzona ludzkość, czysta i silna, zbudzi się o poranku — mówił bez zwykłego ognia.

— Ciężko mi odejść stąd, dawny przyjacielu... upadłeś tak nisko... nie zaprzeczałem tobie... ale że ty, że ty szczęściem nazywasz te brudy, że kalasz usta... Łudziłem się, że my razem z tobą... Gdybyś wiedział, jak garnie się młodzież, ilu już poszło za mną i jaka stąd moc, możebyś zmienił... zresztą kiedyś, bo ty dziś upojony... — zgasty mu w zniechęceniu słowa.

— Uskarżałeś się, że jesteś sam... tymczasem słyszę teraz, że tworzysz legiony — niesmacznie zadrwił Paweł.

Nie zauważyli obaj, że był dzwonek, że lokaj otwierał drzwi, że ktoś szedł szybko przez salony, że stanął na progu Panna Malinowska zmieszała się na widok Śniałowskiego. Obaj jednocześnie odwrócili się od okna Śniałowski nie chciał jej widzieć i wbił oczy w ziemię.

— Przyszłam po rękawiczki — prawie szeptem powiedziała panna Malinowska — ja zaraz pójdę.

Z nieśmiałością wsunęła się do pokoju, szukała czegoś, miała odejść. Ale zaszła w niej zmiana. Wyprostowała się i z płomieniem na twarzy rzekła głośno:

— Nie poznajecie mnie, towarzyszu Śniałowski?

Tanten nie poruszył się.

— Pytam się, czy nie poznajecie?

— Znać nie chcę...

Panna Malinowska skoczyła do Pawła.

— Słyszysz! — krzyczała — słyszysz! ubliżają mnie tu, w twoim domu, w twoim domu... ty pozwalasz?

Paweł ujął jej ręce, bezradnie patrzył.

— Powiedz ty jemu... temu... że ja tutaj, nie on! że ty mnie kochasz, że tu nie wolno nikomu! Powiedz to zaraz, żeby poszedł... proszę stąd wyjść, panie Śniałowski!

Śniałowski był blady, drgały mu cierpieniem wargi. Nie znosił tak zwanych scen. Spojrzał raz na Pawła... Budził się w nim fanatyk idei, człowiek bezwzględny i surowy.

— Pójdę — zawołał twardo — ja z tego pokoju, ale wy, wy dwoje — z partyi. Dla takich, jak wy, niema w niej miejsca. Kto żyje niktzemnie, niech nie dotyka sztandaru — i wyszedł.

— Poczekaj! — wyrwało się Pawłowi.

P. Malinowska zatknęła mu ręką usta, objęła go. Ale Paweł odsunął ją od siebie, postąpił ku oknu, usiadł we framudze, zwiesił głowę. I naraz przypomniał mu się pewien wieczór z przeszłości, gdy po nieudanym odczycie długo w gwiazdzistą noc chodził pustymi ulicami miasta, gdy z wysoka i z daleka przyglądał się własnemu życiu, miał niesmak w ustach i smak marności w myślach... Pojmował wówczas coś, co teraz majaczyło niewyraźnie, był bliski płaczu i wówczas i dziś...

KIEDY BORUTA BYŁ PACHOLECIEM...¹⁾

Niepodobna, pisząc — jak my tutaj — o Łodzi i jej okolicach, oprzeć się pokusie wyświetlenia jej zawiązków, pokusie dotarcia do tej tajemnicy, która — naprzekór dziejopisom — pokrywa podziśdzień osobistość jej założyciela. Nie chodzi nam bynajmniej o rzecz niedościgłą: o odtworzenie pierwocin samej osady i docieczenie kto był najdawniejszym jej osadnikiem, choćby i w historycznej dobie. Chodzi nam jedynie o to, kto jej miano dzisiejsze nadał, kto był twórcą zawiązków „miasteczka”? Był nim, jak wykazaliśmy wyżej, niewątpliwie jakiś Łódzic, żyjący w okresie między połową XIII-go i XV-go stulecia, t. j. w czasie najbujniejszego osadnictwa kościelnego w łęczyckiem. Ostatni ten wzgląd upoważnia do przypuszczenia, że tajemniczym Łódzicem, o jakim mowa, nie był żaden mąż świecki, który, ni stąd ni z owąd, przywędrował na terytorium, objęte wpływami Kościoła, lecz možny jakiś dostojnik duchowny, co bystrem spojrzeniem doniosłość położenia „Łodzi“ na tle ówczesnych warunków ocenił.

A w rzędzie warunków tych, których genezę i rozwój znamy już dokładnie, istniał jeden jeszcze — niepośledniej wagi. Oto Łódź późniejsza leżała nietylko na rozstaju trzech fal kolonizacyjnych Kościoła, bijących w łęczyckie, ale i w pobliżu wielkiego traktu handlowego, który, dążąc przez Brześć Kujawski, Łęczycę i Opoczno, łączył Toruń z Sandomierzem, a doczekał się w r. 1349 ze strony Kazimierza Wielkiego sankcyi uroczystej w układzie Polski z Zakonem.

1) W wydaniu obecnem tego studyum pomijamy wszystkie, liczne i skomplikowane, przypiski źródłowe.

Jakkolwiek horoskopy rozwoju handlowego Łodzi miały być w tych czasach dość zawodne, to jednak one to — brak bowiem wszelki powodów innych — wpłynąć musiały u schyłku wieków średnich na powstanie „miasteczka.“

Osada ludzka, z której miało się ono wyłonić, weszła, jak wiadomo, w skład posiadłości biskupów kujawskich pomiędzy rokiem 1250, a 1332. Jesteśmy skłonni do przypuszczenia, że Łódź, o której przedtem w źródłach całkiem głucho, w tym właśnie czasie od jakiegoś Łodzica duchownego przyjęła swe miano.

Łodziców z dziada pradziada nie było w tych stronach. Siedzieli oni w Wielkopolsce rdzennej, gdzie, poczynając od wieku XIII-go, a zwłaszcza od drugiej jego połowy, piastowali w osobach najwybitniejszych swych przedstawicieli, Komesa Przedpeka, oraz syna jego, Mikołaja, godność wojewodzińską poznańską i kaliską, a w osobie Wincentego, brata Mikołajowego, kanclerstwo wielkopolskie. Rodowem ich guiazdem była Łódź pod Stęszewem, obecnie w powiecie poznańskim położona, a Łódź w powiecie krobskim i średniowieczna Łodzian w sieradzkim, ojczycom tegoż rodu zawdzięczały niewątpliwie miana swoje, a pewno i powstanie. Położone pod naszą Łodzią osady od niej późniejsze: Łódka i Łódź — wójtostwo, to oczywiście filie jednej wspólnej macierzy.

Szereg znanych w średniowiecznych dziejach naszych ojców herbu Łodzian, protoplastów Górków i Bnińskich, liczy na wysokich stanowiskach kościelnych czterech biskupów poznańskich: Piotra, Mikołaja i Andrzeja z Bnina, oraz Uriela z Górki, a nadto biskupa kujawskiego, Piotra z Bnina Moszyńskiego (1483—1493), poprzednika Krzesława z Kurozwek, na stolicy we Włocławku. Zdaje się jednak, że szereg ten nie jest zupełny i że zaliczyć doń jeszcze można biskupa kujawskiego, Gerwarda (1300—1323), następcę Wisława, herbu Zabawa, a poprzednika Macieja Golańczewskiego, herbu Topór, znanego nam już zwycięscy Piastów w walce o wyzwolenie dóbr biskupich kujawskich z pod władzy książęcej.

Ten Gerward to osobistość niezwykle pociągająca, ciekawa, ale i tajemnicza, jeśli jej pochodzenie mamy mieć na względzie. „Heraldycy“ nasi darzą aż cztery rody jego osobą, zaliczając go do Leszczyców, do Gierałtów *vel* Osmorogów, do Nałęczów, a wreszcie do *Łodziów*. Brak nam niestety dowodów, by ostatecznie to twierdzenie ugruntować w sposób niezbity; ograniczyć się też musimy do wzmianki, że nie jest ono mniej prawdopodobne, niż wszystkie przekazy wspomniane, zaliczające Gerwarda do rodów innych. Jeżeli jednak dociekania genealogiczno-heraldyczne nie

prowadzą do pozytywnego rezultatu, to natomiast przesłanki historyczne zdają się z wielu względów na biskupa Gerwarda, jako na założyciela Łodzi wskazywać. Lata jego duszpasterstwa, dwa pierwsze dziesięciolecia XIV wieku, to okres — jakby dziejów bajecznych przyszłego miasteczka, które poraz pierwszy w r. 1332, jako „Łodzia“, wioska biskupów kujawskich, wypływa na arenę dziejów. Wypływa za bezpośredniego następcy Gerwarda, Toporczyka Macieja z Golańczewa, który utrwalenie powagi i przewagi biskupów kujawskich nad władzą książęcą, w znacznej mierze poprzednikowi swemu zawdzięczać musiał. Wszak Gerward, domniemany Łodziec, *fautor et promotor Coronae Polonicae gentis*, był jednym z najznakomitszych książąt Kościoła Polskiego w wieku XIV, był posłem Łokietka, wskrzesiciela Królestwa, do papieża Jana XXII w sprawie o koronę, był posłem-pełnomocnikiem „opatów, klasztorów, przeorów, kapituł, kościołów, książąt, komesów, baronów, miast i zamków polskich“ do-Ojca św. w r. 1319, w chwili, kiedy ważyły się losy polityczne kraju. I niedość na tem! Zabiegliwość tego biskupa o sprawy dyecezyi kujawskiej, oraz dóbr biskupich i kapitulnych była wręcz wyjątkowa i imponująca. Wszak nawet na dworze papieskim, strzegąc pilnie celu głównego swego posłannictwa, nie zapomniał o nich Gerward, narzekając skutecznie na straty i wydatki dyecezyi swojej, której w kraju żywot swój pracowity poświęcał.

Wielkie tranzakcyje majątkowe z Łokietkiem, z opatem z Mogiły, z klasztorem w Trzemesznie, z Cystersami z Oliwy, Strzelna i Pelpina; procesy z Piotrem z Nowia, synem wojewody gdańskiego, Święcy, z Janem, kanonikiem krakowskim i z dyecezyą płocką; szerokie lokacye wsi biskupich na prawie niemieckiem, obrona poddanych od rozbójników, a wreszcie działalność ekonomiczna na całej, wielkiej przestrzeni dóbr kujawskich—oto krótka charakterystyka prac gospodarczych tego niepospolitego człowieka! Można tedy podejrzewać go i o to, że rzutką, przedsiębiorczą działalność swoją skierował także w łęczyckie, gdzie na rozstaju prądów kolonizacyi kościelnej, w pobliżu wielkiej drogi handlowej, a w kluczu dóbr wolborskich — drzemało wśród strumyków leśnych miejsce na osadę...

Wraz z wsiami: Komorniki, Żywocin, Godaszewice, Chorzęcin, Łaznów, Dąbrowa, Niesułków, Siedlec, Pszanowice i Sobota, oraz z czterema innymi, nieistniejącymi dziś może, a należącymi również do biskupów kujawskich, otrzymała Łódź dnia 6-go września 1332 r. zwolnienie całkowite od wszelkich opłat, ciężarów, danin i posług książęcych, które dawniej pod różnemi postaciami

na niej ciążyły. Nadto, biskupi, jako zupełni jej panowie, posiadli prawo przeniesienia jej na prawo niemieckie: nadania jej nowego ustroju i samorządu. Przedtem już jednak, dnia 18 lipca tegoż roku Przecław, archidyakon kruświcki, występujący w imieniu biskupa Macieja, zdołał przekonać kasztelana Brzezińskiego, Piotra, o braku wszelkiego prawa do pociągania mieszkańców wsi biskupich przed swoje forum.

Zduje się nie ulegać wątpliwości, że zwycięstwo stolicy biskupiej kujawskiej nad książęcą władzą, było wynikiem długotrwałych walk i usiłowań. Pamięci naszej przekazały źródła dziejowe jedynie epilog tych mozołów, uszczuplając zasób danych, jakie mogłyby niechybnie rzucić niemało światła w tej mierze na epokę, poprzedzającą biskupa Macieja: na czasy Gerwarda i jego poprzedników: Wisława, Wojciecha, Wolimira, a może i dawniejszych. Dane te, zapadłe w otchłań niepamięci, możemy atoli odtworzyć sobie z tych przekazów, które dotyczą dóbr wolborskich z czasów Wolimira (1255 — 1274), a jak wiadomo były to czasy, wchodzące w epokę wcielenia Łodzi do tego kompleksu. Otóż, w epoce o jakiej mowa, dobra wolborskie były jeszcze puszczą leśną, mało zaludnioną. W roku 1255-ym, kiedy Budzislaw, sędzia i Wit, skarbnik łęczycki — obaj dostojnicy dworu księcia Kazimierza Konradowica (1211—1267), dokonywali rozgraniczenia opól, należących do Rozprzy i do Wolborza — na wsiach tej ostatniej kasztelanii ciążyły wyłącznie jeszcze, w stosunku do księcia, ciężary służby łowieckiej: „Kłusowników wolborskich sądzić będzie książę — opiewa treść dokumentu — z wyjątkiem ludności, przypisanej do gleby. Oplaty karne przypadną w połowie biskupowi, a w połowie księciu. Łowczy, ani podłowczy książęcy nie tam pobierać nie mają, a do ochrony (zwierza) ustanowieni będą „Gujownicy“ książęcy i biskupi; pierwsi jednak poboru (kolendy) z pomienionej ludności ściągac nie powinni, poprzestając jedynie na datkach, uiszczanych przez ludność w miarę możności. Atoli ludność wolna, zamieszkała we wsiach książęcych, biskupich, czy rycerskich, oraz wszelka książęca, znajdująca się w granicach wolborskich, ma wydatki „Gujowników“ pokrywać, a nadto uiszczać im „kolendę.“ Książę raz do roku w granice „kasztelanii“ wkroczy, wszczynając tam łowy po lasach i borach; gdy zaś zabójstwo pomiędzy ludźmi biskupimi się zdarzy, główstwe biskupowi przypadnie w udziale.“

Trudno przypuszczać, by Łódź i najbliższą jej okolicę miały obarczać wtedy inne jakie ciężary publiczne, niż te, jakie w dokumencie wspomnianym całej „kasztelanii“ wolborskiej dotyczą.

Trudno to przypuszczać; jakkolwiek bowiem Łódź obciążona była już w r. 1332 ciężarami, świadczącymi o niejakiem jej zagospodarowaniu, to jednak jeszcze u schyłku wieku XIV-go miała ona korzystać z „wolniżny,” stosowanej do wiosek, które z żywiołem lasu do czynienia miały. Wszak puszcza podłódzka nie była bardziej, niż właściwa wólborska, cywilizowaną... Przeciwnie! Zestawienie zasiedlenia obu tych okolic—i to jeszcze w wieku XVI—stanowczo na korzyść ostatniej przemawia. Ciężary „cywilizowane” z roku 1332, jak: sep, poradłne, podworowe, danina krowy, wieprza i „narzaz,” — to niewątpliwie wynik energicznej gospodarki kościelnej, która apetyty książęce zwiększała. Biskup kujawski, Maciej z Golańczewa, zwyciężając, po długiej walce Kościoła z państwem, księcia Władysława Ziemowitowica, apetytem tym nałożył hamulec; zato władza biskupia kujawska, sięjąc w swych, niezawisłych odtąd dobrach, ziarno prac gospodarczych wśród puszczy, które jej plon coraz obfitszy dawało, nie przestała zwiększać go nadal i zabiegliwością swoją pomnażać.

Za bratanka i następcy Maciejowego, biskupa Zbiluta (1368—1383), Łódź dostała się wraz z przyległą do niej wioszczyzną leśną, Widzewem, zwanym wówczas Widzewnicą od strumyka, co zraszał jej pola, w posiadanie dożywotnie „pana” Piotra, przezwiskiem Sliwka, kanonika kapituły włocławskiej.

Ksiądz Piotr, uczestnik prac gospodarczych biskupa, dbał o to beneficium swoje, w pamięci swojej chować go nie przestawał. Podczas dnośszych w Polsce wydarzeń, w dobie ślubów Jadwigi z Jagiełłą, kiedy na stolicy kujawskiej, po śmierci drugiego a przelotnego następcy Macieja, biskupa Trojana (1383 † 1384), zasiadł Piast, Jan Kropidło, książę opolski (1384—1389; 1402—1421), przyjaciel Krzyżaków a słynny *magister elegantiarum*, Łódź wypłynęła powtórnie na arenę dziejów.

Dnia 10 czerwca 1387 roku we Włocławku książę-biskup, pospołu z członkami kapituły, nadał Sliwce przywilej przeniesienia Łodzi i Widzewa na prawo niemieckie wedle wzoru średzkiego, oraz zwykłej w tych stronach organizacji rolnej „flumandzkiej,” czyli chełmińskiej. Przywilej ten był sankcyą urzędzeń, jakie ksiądz Sliwka w obu wsiach wspomnianych gotów był wprowadzić wnet w życie... Dowiadujemy się bowiem z dokumentu, o jakim mowa, że Łódź z Widzewem posiadały już w dniu jego wystawienia gotowego przedstawiciela swej przyszłej organizacji w osobie sołtysa, Janusza Piotrowica. Ów to dygnitarz, stanąwszy osobiście do aktu i przyjąwszy dyplomata biskupi, znalazł w nim szereg następujących zarządzeń:

„Sołtys dziedzicznie posiadać będzie w Łodzi i w Widzewie po dwa łany, wolne (od opłat i danin), a złożone z pół, łąk, lasu, pastwisk, pasiek i gajów. Kmiecie obu tych wiosek od dnia wystawienia niniejszego (10, VI, 1387 r.) — przez lat trzy w Łodzi, a przez lat czternaście w Widzewie korzystać będą z zupełnej wolnizny (od ciężarów, opłat i danin), a dopiero po jej upływie uiszczać mają corocznie w dniu św. Marcina księdzu Śliwce po pół grzywny groszy praskich, oraz po „rączce łączyckiej,“ t. j. po ćwierci miary zwykłej (urna) miodu z łanów łódzkich, a po pół grzywny bez dodatku z łanów widzewskich. Po śmierci księdza Śliwki wszelkie opłaty i daniny przejdą na skarb biskupi. Nadto, co Wielkanoc kmiecie łódzcy i widzewscy składać mają po trzydzieści jaj i po jednym serze, a w dniu Wniebowzięcia N. M. P. po dwie kury. Sołtys i jego następcy z karczem łódzkich i widzewskich — ile ich obsadzić się uda — dwie trzecie otrzymywanego z nich czynszu rocznego płacić będą, zatrzymując jedną, pozostałą, dla siebie. Sołtys Janusz będzie miał prawo zbudować i utrzymywać młyn w Widzewie bez żadnej opłaty. Co do robót rolnych (na folwarku) — kmiecie winni orać pod oziminy i pod jarzyny, winni wywozić nawóz oraz kosić i grabić łąki, przeznaczając na każde z tych zajęć po jednym dniu (w roku). Co do sądownictwa, sołtys i jego następcy wszelkie sprawy cywilne i kryminalne, nie wyłączając gardłowych i ucięcia członków, sądzić będą w granicach wiosek rzeczonych wedle prawa średzkiego, a w obecności ks. Śliwki, lub — po jego zgonie — biskupiego wysłańca. Z opłat sądowych dwie części przypadną księdzu Śliwce, a jedna sołtysowi; przysiężne pobierać będzie sołtys w całości. Nadto, i sołtys i kmiecie winni ks. Śliwce, a po jego śmierci biskupom kujawskim, świadczyć honory i usługi wszelkie według obyczaju średzkiego. Gdyby sołtys Janusz, albo li też jego następcy, prawa swe kiedykolwiek i komukolwiek bądź odstąpić zechcieli, winni uzyskać na to zgodę biskupów kujawskich.“

Z ciekawego tego dokumentu, najobszerniejszego z tych, jakie Łodzi średniowiecznej dotyczą, dowiadujemy się, że jeszcze na schyłku wieku XIV-go była ona zwykłą wioszczyną, „przeniesioną,“ jak wiele innych, współczesnych jej towarzyszek, z prawa, obyczaju i urzędów rolnych swojskich — na niemieckie. Nie stało się to ani wcześniej, ani inaczej, niż w wielu miejscowościach innych, które potężnemu czynnikowi cywilizacyi, — t. zw. kolonizacyi niemieckiej, rozwój swój zawdzięczały...

A jednak — ze względu na późniejsze jej losy — był to fakt o doniosłości iście pierwszorzędnej! Akt włocławski z r. 1387,

to pierwszy, po włączeniu Łodzi do kompleksu dóbr biskupich wolborskich, *wypadek historyczny* w jej dziejach; pierwszy etap tego rozwoju, który miał niebawem już wyróżnić ją w szeregu wiosek okolicznych „dostojęństwem“ osady parafialnej i miasteczka.

Szczupła parafia łódzka, szczupła, bo wykrojona niewątpliwie z pasterni pierwotnych w Milestkach, w Zgierzu, a może i w Skoszowach, powstała prawdopodobnie jednocześnie ze rzgowską, a najprawdopodobniej współcześnie, lub później nawet, niż „miasteczko,“ t. j. około połowy wieku XV-go.

Jako miasteczko (oppidum), zapewne już parafialne, występuje Łódź poraz pierwszy w dziejach, dnia 16 kwietnia 1464 roku, w charakterze znacznego już waloru w ręku biskupów kujawskich. Kiedy bowiem, przyciśnięty pieniężną potrzebą, pan jej i władca, biskup Jan Lutek z Brzezina herbu Doliwa, znany rozrzutnik, którego pogrześć nawet musiano potem na koszt kapituły, zabiegał o pożyczkę, uzyskał ją istotnie — i to w sumie na te czasy wielkiej — tysiąca florenów węgierskich od pana Piotra z Oporowa, wojewody łęczyckiego, na zastaw Łodzi-wsi i Łodzi-miasteczka, Niesułkowa, oraz pomniejszych wiosek stołowych, nieznanych dziś z miana.

Łódź-wieś, to „Stara-Łódzia,“ przeciwstawienie „Łodzi-miasteczka,“ którego nazwa w ten sam sposób poufały, a dziś nainwiny, choć historycznie tak uzasadniony, nadawana bywa przez wieśniaczą ludność okoliczną pół-milionowemu Manchester'owi, który strawić już zdołał i „Starą Łodzię“ i „Łodzię-miasteczko“ i część Widzewa i Bałuty i inne pobliskie wioszczyny!...

Podczas układów o zastaw Łodzi Oporowskiemu, zaszedł ciekawy dyskurs pomiędzy strażniczką dóbr stołowych, Kapitułą, a biskupem Lutkiem, który tu za źródłami wiernie powtarzamy:

„Najprzewielebniejszy Ojciec — mówił Archidyakon, Świętosław z Wrzącej, imieniem Kapituły — przekonaliśmy się, że akt zastawu dóbr na rzecz Wielmożnego Pana Piotra Oporowskiego, wojewody łęczyckiego, dokonany został przez Was w sposób przeciwny nie tylko obyczajowi i normom ogólnym, ale i poglądom naszym. Prosimy Cię, abyś akt ten poprawić polecił, iżby zeń niebezpieczeństwa jakowe i szkody na nas i na następców Twych nie spłynęły.“

A biskup-utracyusz na to:

„Mili panowie i bracia! Bóg mi świadkiem, że stało się to nie z woli mojej, jeno pan Doktor Andrzej Oporowski, kantor wrocławski, akt ten tak sporządzić i spisać polecił, zaręczając, że

wymóże to na Was, Panowie Bracia, iż go takim, jak jest, pozostawicie.“

Po rozmoworze tym atoli biskup przyrzekł jaknajuroczyściej, że akt zastawu każe skorygować, a dobra, o które tam chodzi, oraz inne, również zastawione, wykupi. Jedne z nich przed upływem sześciu miesięcy, a inne przed najbliższem zebraniem się kapituły w dzień Wniebowzięcia N. M. P. Kiedy i jak się to stało — nie wiemy. Faktem jest jednak, że Łódź pozostała w rękach obcych niedługo i powróciła — wkrótce zapewne, jak biskup przyrzekł — do kompleksu dóbr stołowych kujawskich. O przebiegu przelotnego tam panowania Oporowskich żadne nie doszły nas wieści.

Cóż jednak działo się w najbliższem, bezpośredniem, stałem a rodzonym środowisku „miasteczka“ — w eichym zakątku brzezińskim — w dobie, kiedy Łódź „atuty“ takie wygrywała w dziejach?...

*

*

*

Wszystko działo się tam, jak dawniej, z tą tylko różnicą, że źródła bliżej nam już, niż dotąd, wejrzeć pozwalają w tajemnicę, drzemiące w ostępach puszczy podłódzkiej...

Znany nam w zarysie ogólnym charakter dziejowy tego zakątka, znajduje w zasobie najdawniejszych, jedynych w swoim rodzaju, przekazów źródłowych, wierne odbicie swoje. A źródła te — to nieocenione księgi sądowe: w danym wypadku Księgi Sądowe Łęczyckie z czasów Jagiełły. Ich lakonizm, niby jednostajny i jednolity, nie różniący się pozornie niczem od małomównej prostoty innych tego rodzaju aktów, pochodzących z całego obszaru dawnych ziem polskich, kryje jednak w swym łonie to, czego szukamy. Odrębność łęczycka, jej wyraz i jej tajniki mieni się tam pod okiem spostrzegacza blaskami minionej, zamarłej przeszłości, jak gdyby postać jej żyła jeszcze w całej swej krasie pierwotnej pod nalotem „przyszłości, jak z bajki,“ która już także „przeszłością“ się stała.

Na tle tej odrębności, uderzającej naogół w porównaniu ze współczesną fizyognomią Małopolski, czy Kujaw, rysuje się nadto, jakby odrębność inna: powiew cichej swojszczyzny brzezińskiej...

Dobrobyt średniowieczny okolic Krakowa i Brześcia — podstawa późniejszej cywilizacji tych stron uprzywilejowanych, znajduje w zamożności urodzajnych ziem Łęczycy i Orłowa, nieokiełzanych jeszcze w krwawych porywach prawnie, pewnego rodzaju przeciwstawienie. A takimże samem przeciwstawieniem okolic północnych województwa—to powiat brzeziński i cicha puszcza podłódzka. Cicha, bo uboga glebą, leśna i zaludniona mało. Istniała sieć pajęczka kultury, złożona z włókien różnego nalotu, a rozpięta, jakby za świeża, nad okolicą, skąpaną jeszcze w mrokach przeszłości odległej.

Puszcza ma w źródłach karty dość obfite, — ba! zdumiewające nawet liczebnością śladów tego życia, jakie tam pulsowało w dobie Jagiełły. By je scharakteryzować w paru słowach, dość byłoby powiedzieć, że wyrazy „pulsowało tam,“ wydają się zbyt silne a wymagają co najmniej... komentarza. Oto — punktem ciężkości, węzłem życia i zabiegów możliwszych, a nawet i uboższych mieszkańców puszczy, była właściwie nie ona sama, lecz okolice poza nią leżące, gdzie w lepszej glebie i w kulturze dawniejszej świat szlachecki i kmiecy bujniejszem wrzał życiem. Oparę tego życia krążyły już nad puszcza, krystalizowały się nawet tu i owdzie w pewnych jej ogniskach, ale daleko jeszcze było jej do tego, by sama stać się mogła jego źródłem. A na kanwie cienkiej sieci pajęczej, co kulturę Polski przedstawiała w tych stronach, los dziwne zaiste haftował wzory... Oto, obok dziejów codziennych szlachty i kmieci, obok pierwiastków rodzinnych i sąsiedzkich, dorzucił on — niby u wstępu do „cywilizowanego“ życia okolicy, garść istnych dziwów, nalot szczególny a tajemniczy!..

Wśród mrocznych lasów brzezińskich, w ostępie, z którego przez okolice Brzezin i Jeżowa, rzeczka Mroga spływała ku Buzrze, dając miano, a może i życie słynnemu zbójom pomrożańskim, powstała ongi skromna osada ludzka — Koluszkowice. To oczywiście siedziba zstępnych jakiegoś Kolucha, a raczej zdrobniałego Koluszka (Koluszko). I nie byłoby może ani w nazwie Koluszkowice, części Koluszek późniejszych, ani w dziejach przeciętnych tej wioski nie godnego uwagi, gdyby nie dziwne imiona jej mieszkańców w brzaskach Jagiellońskiej doby. Brak źródeł — owych satelitów mocy i panowania, pierzechających bez śladu z przed oblicza małuczkich i słabych, nie pozwala nam, niestety, na gruntowne wyświetlenie sprawy. Poprzestaniemy na zestawieniu faktów — suchych, drobnych i nieznanych, a jednak burwnych, wiekopomnych i uderzających sensacją zapomnianego dramatu na tle dziejów skromnej wioski pomrożańskiej.

Oto, w dobie, kiedy możny Witold trzymał Koronę na uwięzi spraw litewsko-ruskich, kiedy chwiał się po Worskli, ratował w Raciążu, grzmiał pod Grunwaldem i królował z Litwy po szerokim świecie — w latach 1399—1419, a zapewne i później jeszcze, konały w Koluszkach echa przeszłości tajemniczej, która grono rozbitków losu rzuciła ze Wschodu nad Mroge. Wsie niedalekie: Moskwa, Moskiew i Moskule zdają się wskazywać na to, że rozbitki, o jakich mowa, wiedli istotnie ród swój zagadkowy gdzieś z poza późniejszych dzierżaw Witoldowych. Bóg to raczej wiedzieć skąd i kiedy tam przybyli, dość, że w czasach wspomnianych siedzą w Koluszkach: Mikołaj z braćmi, Jan i Mikołaj — obaj przewiskiem Babicze, wskazującym może na Babów polskich, ale może także — pośrednio, czy bezpośrednio, na słynnych kniaziów moskiewskich, późniejszych towarzyszy Wasyla Słepogo; siedzą Andrzej, Dorota i Wojciech, ale — co ważniejsza — siedzą tam także dwie dostojne panie, Olga i Anastazya, właścicielki imion, zgoła na pniu polskim nie wyrosłych. Jeszcze w sto kilkanaście lat później, w r. 1576-ym, liczyły Koluszki zaledwie pół-trzecia uprawnego łanu, choć siedziało na nich trzech panów i dwie panie „Koluszkowskie,“ — jedna z nich Jadwiga, wdowa po Janie, noszącym znamienne w warunkach tamtejszych nazwisko Głińskiego. Miały już jednak wtedy Koluszki młyn, trzech zagrodników, a nawet kołodzieja i tkacza — zato ani jednego kmiecia na gruntach wspomnianych. „Dobytek kmiecy“ dzierżyli tam wówczas, w przyległej części wioski, panowie-magnaci, Lasoccy z Brzezin, spadkobiercy pana Jakóba, szczęśliwego posiadacza sześciu kolonistów, dość już obficie za króla Stefana występujących w Brzezińskim. W Koluszkach siedzieli Lasoccy już na początku wieku XVI, jak o tem zdają się świadczyć ówczesne źródła kościelne.

Jeżeli tak mgliście i tak ubogo przedstawia się historia Koluszek w zaraniu nowożytnej doby, to tem mniej posiadamy danych, aby ich dzieje zamierzały z czasów Jagiellły „ozłocić.“ Klejnotem ówczesnym tego zakątka, jaśniejącym na widnokręgu szerokim od Choin i Witkowie po Brzeziny i Zalesie, były tam przedewszystkiem panie Olga i Anastazya, pieniąjące się o posagi, zastawiające części gruntów swoich sąsiadom i stwierdzające przed sądem, *esze Holga wmosta 18 gryffen posagu w dziedzinę manszu swemu in Koluszki.*

Jak cichym niewiastom przystało, żadna z nich nie miała dość szczęścia, by imię swe połączyć choćby z jaką „gwerrą“ wiekopomną na kartach dziejów partykularza. I pod tym bowiem

względem różnił się nasz zakątek od tła obyczajowego dalszej okolicy, gdzie, pod Łęczycą, zapamiętałe temi czasy wrzały walki — wojny rodowe — pod hasłem krwawych odwetów, znaczącym to strony, jeszcze za Jagiełły, piętnem przeszłości zamierzełej. Za uboga była na zbytek taki puszcza podłódzka, wolna zresztą, jak z ewolucyi jej wynikało, od kompleksów odwiecznych dóbr rodowych. Ubóstwo jej kmiecego i szlacheckiego nalotu, to cecha najistotniejsza i stosunków i obyczajów. Tesknem też okiem spoglądali mieszkańcy puszczy w bogatsze strony łęczycyckie, sieradzkie, czy nawet mazowieckie, tam przedewszystkiem dobijając się afektów możniejszej braci. Sobie samej wyspa ta nie wystarczała, boć i wystarczać nie mogła. Wszak kompleks cały właściwych wiosek puszczańskich: Będoń, Chojny, Gałków, Koluszki, Kurowice, Małczew, Mileszki, Wiączyń, Wiskitno, Witkowiec i Stoki, liczył conajmniej w czasach omawianych 75-ciu „pańskich“ mieszkańców, siedzących na 350-ciu, conajwyżej, uprawnych łanach! To też wielu z nich — jeśli nie wszyscy — starali się usilnie osiągnąć, gdzie się dało: bliżej, czy dalej, klucz powodzeń życiowych w postaci łanów — drogą procesów, zastawów, kupna, czy ożenku. Jeżeli zaś metoda ta nie była wcale na tle ogólnych stosunków ówczesnych oryginalną, to jednak puszczanom naszym trzeba przyznać w tej mierze energię iście niepospolitą, bodaj wyjątkową. Przeglądając Księgi Sądowe Łęczycyckie, widzi się, że ludzie ci żyli w rozjazdach nieustannych, jak gdyby drogi kamieniste, łączące podziśdzień stołeczne Brzeziny z okolicą, należały do najprzedniejszych w Królestwie gościńców! Ubożsi i na to częściej pozwolić sobie nie mogli, uganiając się za kąskiem mięsnym po lasach z sąsiadem, psem i krogulcem.

Kollokacya, system utarty osadnictwa szlacheckiego w wiekach średnich, dostarczała niemało okazji do zatargów, pociągających za sobą sprawy sądowe. Nie mniej wycieczek przed akta ziemskie, albo i grodzkie do Brzezin, powodowały rozliczne kwestye majątkowe, wymagające zabezpieczenia. Prym pod względem ruchliwości w tej mierze dzierżył w okolicy jeden z ośmiu panów na Będoniu, Inć pan Przybysław, żonaty z panną Heleną z Grzmiącej, siostrą Macieja, plebana ze Skoszew. Było to już w puszczy stanowisko bez mała arystokratyczne, zwłaszcza, że i szkatuła pana Przybysława zdawała się przytłaczać ciężarem swoim dobytek sąsiadów.

Jak nie bierze Przybysław w r. 1400 dwóch kmieci w Mileszkach w swoje posiadanie, płacąc za nich Dobkowi z Dobieszkowa całe osiem grzywien; jak nie ogarnia w Grzmiącej zasta-

wem „dziedziny“ szwagra swojego i pana Bolesty; jak nie pobiera rocznie całą kopę „płatu“ od Świętosława z Moszczenicy, dzięki umowie, zawartej z Katuszą z Mileszek. A cóż dopiero mówić o konneksjach pana Przybysława ze szlachtą z Pszarnowic, Witkowie, Byszew, Dobrej, Zaosia, Strykowa, i Ujazda?! Żadna sprawa ważniejsza tych wiosek nie obydwała się bez świadectwa pana Będońskiego, który nie szczędził drogi do Brzezin, a choćby i do Orłowa, byle stosunek sąsiedzki utrzymać, byle przy okazji zetknąć się z tym albo z owym, nową nawiązać znajomość i pomyślny ubić interes. Losy zdawały mu się sprzyjać w tych zabiegach. Raz tylko bowiem i to w okresie lat blisko trzydziestu, popadł pan Przybysław w dwie drobne kary sądowe przeciw Imć panu Łukaszowi z Grzmiącej, a nie byłoby to nawet jego sprawa własna, jeno żonina, bo pani Helena pospołu z Boguchną Jędrzejową z Będonia, nieopatrznie jakoś poczęły sobie z sąsiadem. Oględność pana Przybysława sprzyjała jego fortunie. Korzystając zamłodu z poważnych usług sąsiedzkich, przy czem pan Myślisz z Witkowie ręczył zań kiedyś sunę nie bylejaką, bo 80 grzywien wynoszącą, nie miał pan Przybysław ręki zbyt szczodrej dla innych; raz tylko jeden, w sprawie pana Dobka z Byszew, z którym niezwykle jakieś wiązały go stosunki, ręczył kwotę 15-stu grzywien pod przypadkiem 36-ciu, urodzone-mu Jakóbowi, wójtowi z Strykowa.

Inni panowie ówczesni z Będonia: Jan, Jędrzej, bracia Wacław i Wojciech, Mroczo, Łukasz i Bartłomiej, to postacie bledsze, to niby satelici pana Przybysława, których fortuna w mniejszej miała pieczy. Niknie obok niego sam nawet uczony Bartłomiej, kleryk dycyzyi Gnieźnieńskiej, który dziedzictwo swoje w Będoniu łączył u wrót karyery pana Przybysława, przed rokiem 1405-tym, z urzędem notaryusza, a może i rektora szkółki „stołecznej“ w Brzezinach, nim go tam zastąpił późniejszy jej przełożony, Imć pan Guiewomir... A jednak i pan Łukasz, choć daleko mu było do Przybysława i Bartłomeja, potrafił przejść do potomności dzięki mężnemu, acz nieprawnemu wzięciu w posiadanie „dziedziny“ samego sędziego łączyckiego, Piotra, przy pomocy stosunków swoich ze szlachtą z Kalenia, Dobieszkowa i Belin. Nie ustępują mu także—dzielnym Mroczo, świadek czynności prawnych Olgi z Kuluszek, ani Wacław, brat Wojciecha, którzy w sprawach sąsiedzkich z panią Katarzyną z Witkowie i z Ofką z Zalesia honor swój, czy sąsiedzki, oczyszczali zgodnie: Pierwszy, świadcząc pod przysięgą, *jako jest Pietrasz* (a nie on) *ukradł koń... a o to mam półtory grzywny szkody*; drugi — *jako te cztery*

grzywny, co są one sparty... to są one winny z Gostynek, z óczyzny...

Bardzo podobnie przedstawia się w źródłach charakter życia innych wiosek polskich, przy czem uderza okoliczność, że mieszkańcy danej „kollokacyi“ dążą w zakresie stosunków swoich ze światem zewnętrznym w kierunku jakby odśrodkowym. Czyliby tkwił w tem dowód braku rywalizacyi pomiędzy nimi, jako, że siedząc oddawna w okolicy, w znacznej mierze spokrewnieni bywali ze sobą, — czyli też wskazówka ich pochodzenia ze stron różnych po mieczu i kądzieli, rozstrzygnąć tego niepodobna; dość, że każdy z nich obraca się przeważnie w sferze innych, bliższych czy dalszych sąsiadów.

Jak w Będoniu Imć pan Przybysław, tak w Witkowicach Imć pan Stanisław rej wodzili nad kollokacją. Pierwszemu brakło atoli tego dostojenstwa, jakie posiadał drugi w urzędzie tytułarnym cześnika łęczyckiego. Pan Stanisław był nadto starszy od Przybysława i kiedy wielkość tego ostatniego zaledwie się poczyniała, drugi, sięgający niechybnie wspomnieniami młodości w czasy króla Kazimierza, miał już powagę w okolicy ugruntowaną. Kiedy pomiędzy nim, a panami: Pełką, Jakuszem i Warzeńcem, oraz siostrą ich Wojśławą, szło w roku 1398-ym o granice „dziedzin“ w Witkowicach, załatwiono sprawę krótko i wężłowato, orzekając zgodnie: Niechaj cześnik przyjdzie do niwy i rzeknie — to jest moje; od tej strony po tę! — i kwita. Widać jednak Imć pan Stanisław życzył zbyt dobrze samemu sobie, bo sprawa wlokła się długo, wywołując w dwa lata później wyrok sądowy, skazujący cześnika na powrócenie Pełce jednej trzeciej części łąk swoich „poza Przyśniewem.“

Ale nie w tem dziwnego! Pan Pełka w kaszę — choćby i cześnikowi — dmuchać sobie nie dawał. Ba! w upartym jego procesie z panem Paszkim z Łagiewnik sam Król Jegomość „zakład“ w sumie 50 grzywien ustanowić musiał, byle animozję wależących poskromić.

Na tle tych wszystkich „statystów“ i „sensatów,“ mających głównie korzyści realne na oku, wyróżniali się karygodną lekko-myślnością swoją trzej inni panowie z Witkowic: Marcin, Piotr i Witek. Pierwszy w zatargu nieopatrzny z panem Kuczem uległ ranom krwawym, a w sprawie z podsędkiem łęczyckim, Dzierśławem ze Strykowa, huknął nań srodze: Takom dobry, jako i ty! Gdy zaś ów prawem go odpierał, nie zawahał się pan Marcin krzyknąć przed sądem: Panie Podsędku! My chórem przeciw tobie! Dwaj ostatni, jak się to przed Jaśkiem, starostą łęczyckim

wydało, trzymali w dybach na własną rękę, wraz z Łaszczem z Krosina, pana Klemensa, sąsiada swego z Zieleniewa... Pan Marcin zaś dbał więcej, niżli oni, o honor sąsiadów. Kiedy Myślborza z Choin, namiętnego łowca, posądzono o przywłaszczenie sobie wyuczzonego jastrzębia, pan Marcin, który nieraz pono z obwinionym w kniei się zabawiał, kładł się na Krzyż Pański, jako przyjaciel jego w ciągu trzech lat ostatnich nie ukradł jastrzębia — i tak honor jego salwował.

Nie mniej czułymi na przyjaźń sąsiedzką byli i inni panowie z Witkowic: Jakusz i Wawrzeniec, świadczący zgodnie w sprawie pana Wawrzeńca z Pszanowic, *jako Wawrzeniec nie kradnie, ani złodziejów nie ochrania, ani ze złodziejstwa użytku ma...*

Dostojniej może, niż reszta okolicy, prezentują się w świetle skromnych, jak ona sama, okrucich źródlowych, panowie „statecznych“ Mileszek, mających w osobie swego proboszcza pieczę kościelną nad duszami wiernych. Wybili się tam w okresie lat 1393—1419 panowie Andrzej i Bolesta, oraz niejaka pani Katarzyna, siostrzenica Świętosława z Moszczenicy, zwana Katuszą. Ktoby w pierwszym rzędzie cierpiał „katusze“ z jej ręki mocarnej—milczą o tem dzieje. Spadały one, między innymi, w procesach o czynsze z tytułu dożywocia, na wuja jej, Świętosława, oraz na Przybysława z Będonia. Wolnym był od nich poniekąd Imć pan Bolesta, szczęśliwy małżonek pani Święchny, może syn Andrzeja, głównego dziedzica Mileszek. Ogółem nie byłoby tam łanów o wiele więcej nad dziesięć, a i tak częścią ich władali przygodnie panowie obcy z Będonia i Dobieszkowa, kupeząc między sobą w sposób zastawu czynszami kmiotków miejscowych. Sam nawet Imć pan sędzia, kto wie czy nie Piotrasz z Tura Turzki, usiłował wyzucć pana Andrzeja z jego „dziedziny.“ Ów jednak — biegły w palestrze — mężnie stawiał mu czoło i odniósł wiktoryę zupełną, przedstawivszy *ad oculos* pismo sądowi, stwierdzające, że do niego Mileszki należą. Jakoż losy późniejsze tej wioski—działo się to bowiem w r. 1393—wykazują dowodnie, że spadkobierca pana Andrzejewej chwały i mienia, Imć pan Bolesta, wspierany dzielnie przez życie ramieniem swej Święchny, nie tylko wioskę swą statecznie zachować umiał, chroniąc jej grunta od apetytu sąsiadów, ale i w okolicy nowe pozyskał władanie, dzierżąc zastawem role braci Floryana i Piotra z pobliskich Choin. Wreszcie jednak procesy majątkowe z Andrzejem Będońskim, a nadewszystko z Walkierzem z Zawad, oraz ze szwagrem pana Przybysława, proboszczem skoszowskim, Maciejem, szarpnęły nieco jego szkatułę. Wtedy to Imć pan Bolesta o mało nie stał się

mężem wiekopomnym, dobroczyńcą ludu... Staszicem, co, jak na czasy Jagiełły, byłoby rzeczą zgoła niepowszednią! Oto, dnia 19 grudnia 1419 roku, odbył on wraz z towarzyszką dni swoich drogę ciernistą do Brzezin, by zapisać tam w aktach, w obecności szlachty z Dąbrówki, Szczawina, Brunowic i Byszew zwolnienie kmiecia swego, Michała, od czynszów, opłat i robocizny, oraz nadać mu *loco* dawnej zależności—u progów roku nowego—wszelką swobodę. Ale niech czar tej opowieści pryśnie, czytelniku! Pan Bolesta... winien był Michałowi całe półtrzeciej grzywny monety kurs w kraju mającej, pieniądze były mu potrzebne, zwrócić nie miał ich z czego, przeto — w procencie — paktował z kniotkiem, jak się dało. Taka to prosta i pospolita konieczność wyniosła go nad poziom!

Największą różnorodność przedstawiać musiały tymi czasy Chojny, liczące pół kopy bez mała, bo dwudziestu ósmiu szlacheckich mieszkańców. Różnorodność ta utonęła jednak w otęchłani czasu, a drobne tylko szczegóły ocalały na jego powierzchni w lakonicznych fragmentach źródłowych. Wynika z nich, że szlachta chojeńska, poświęcając, jak i cała okolica, główne usiłowania swoje sprawom gruntów uprawnych: wzajemnym, między sobą i sąsiadami, zastawom, sprzedaży i kupnu łąnów osiadłych, nagradzała sobie przytem ubocznie, jak mogła, ubóstwo swoje procederem leśnym, podyktowanym przez puszczańskie warunki środowiska. Na tle spraw o „dziedziny“ i ich granice, wytykane jeszcze sposobem pierwotnym, np. „wzdłuż biegu strumyka,“ rysują się tam, niby żywe echo bytu zamierzchłego, procesy sądowe o kradzież jastrzębi, pszczoł i krogulców. *Tako mi Bóg pomóż i św. krzyż, jako Myślborz z Choin w trzy ostatnie lata jastrzębia nie zebrał Stanisławowi, ani z niego użytku ma... Tako mi Bóg pomóż etc., jako urodzony Paweł z Choin nie ukradł jastrzębi ani krogulców z lasu Przecławia, ani z nich pożytku ma...*—oto, jak klną się sąsiedzi panów chojeńskich—naprzekór ich oskarżycielom—w obronie czci posądzonych. Jakoż udawały się takie wybiegi, np. panu Imisławowi z Choin, którego pani Śmiechna ze Stawek daremnie do Brzezin o *szmery* (pszczoły leśne) wartości dwu grzywien wodziła. Obronili go sąsiedzi. Wywdzięczali im się za to z nawiązką panowie Chojeńscy. Dnia 30 czerwca 1416 roku czterej urodzeni mieszkańcy Choin: Dobek, Jakób, Wszebor i Imisław klną się uroczyście w Brzezinach w sprawie Andrzeja z Żakowic z Jakóbbem z Wierzbia, jako pan Andrzej, przybywszy na Jakóbową niwę, nie ukradł mu konia wartości trzech grzywien, ani z niego użytku ma!

Nikną zgoda wobec faktów, równie wiekopomnych, kroniki Kurowic, Wiączynia, Stoków i Małczewa. W Kurowicach, ówczesnym Kurowie, ojciec Klemensa, chorążego łęczyckiego, czyni z bratem swoim Aleksym, *rzond* (układ) uroczysty, jako tenże nie będzie *bił się* (dążył) ku Kurowu, za co pierwszy trzymać się obiecuje zdala a *Glandzanowo*. W Wiączyniu ubodzy dziedzice pieniają się z kmieciami o budynki i zboże, w Małczewie kmieć zadzierzysty gnębi przed sądem pana Pełkę z Witkowic, a w Stokach Imć Pan Paszko wzbrania się sprawiedliwości uczynić biedakowi jakiemuś ze Zgierza, poszukującemu na kmieciu stokowskim główszczyzny za zabójstwo syna. Nic dziwnego! Wszak zubożenie kmiecia mogło się być odbić nader niekorzystnie na trzosie własnym pana Paszka!

Oto tło obyczajowe zaścianka, który, jako część składowa powiatu i województwa, zdobywał się i na czyny obywatelskie! W nich to, bardziej niż w czemkolwiek, iście jak w zwierciadle, odbiła się dusza, oraz myśl prawna tej społeczności zamierzeliżej a ciekawej.

W czasach, o jakich mowa, w latach 1418 — 1419, zapadły w Łęczycy słynne „Konstytucye“ tej ziemi, będące w swych 68-iu artykułach, posiadających wielokrotnie charakter prejudykatów, jakby jednym potężnym krzykiem obronnym swojskiego prawieku przeciw zamachom, jakie zewsząd czyniła już wtedy kultura państwa i kościoła na najświętsze jego wierzenia i nawyki.

Jeżeli blisko przed wiekiem, za czasów ostatniego Króla-Piasta, mogły być podobne sprawić wrażenie artykuły wielkopolskie Statutów Kazimierowskich w zestawieniu z małopolskimi, to cóż dopiero mówić o różnicy i czasu i treści, gdy się ze zbiorem Wiślicko-piotrkowskim Konstytucye łęczyckie porówna! Przewaga formy prejudykatu świadczy, że były one wiernem odbiciem życia—wierniejszem, niż wszelka kodyfikacya; treść zaś—że słynne *giewrry* łęczyckie tej doby, walki rodowe, długoletnie a krwawe, np. Lubów z Kamionami i Janinów z Grzymalitami, o których bliższe szczegóły przechowały nam źródła, nie były tam zjawiskiem oderwanem, lub o wiele rzadszem niż na Mazowszu, w sąsiedniej, dzikiej, klasycznej krainie takich zapasów. Na Mazowszu dopiero w drugiej połowie XVI wieku — w dobie bujnego renesansu na Wawelu — ustała „wróżda.“ Nie o wiele wcześniej zapaść musiały w przeszłość i łęczyckie hekatombie ludzkie tego typu, choć milczą o nich dzieje pisane.

W roku pamiętnym bitwy Grunwaldzkiej Imć Pan Borzym ze Skoszew, wioski rodzinnej pani Przybysławowej z Będonia,

miął roczek w sądzie łęczyckim. Próżno go jednak tam oczekiwano. Powód absencji — prawny i moralny był bardzo prosty: Pan Borzym miał tymi czasy „wróżdę“ z sąsiadem. Trudnoć mu było w palestrę się bawić, skoro właśnie—jak na złość—łowy na ludzi pochłaniały wszystkie jego siły. Sąd dopusty takie pojmował należycie i pan Borzym, jako mąż sprawiedliwy, kary „niestanie“ unikał w Łęczycy.

Konstytucye, o jakich mowa, to zabytek nader ciekawy, bo stanowiący dowód żywy, jak się w zaścianku myśl prawna, narzucanej przez Koronę wyższej kultury, borykała jeszcze za Jagiełły ze swojskością pojęć, dążeń i porywów szlachty łęczyckiej.

Kradzież, której poświęcono tam około 10% uwagi, występuje, jako przestępstwo, poniekąd jeszcze tolerowane w granicach ziemi. Przedawnienie za kradzież drobniejszą wynosi tylko trzy lata, jak wszędzie w Polsce ówczesnej, ale szlachcic, przez szlachcica o kradzież oskarżony, oczyszcza się przysięgą pięciu — nie sześciu jak gdzieindziej — świadków. Gdy kto konie, lub woły kradzione odbije, ma prawo do wynagrodzenia *podwójnego*, jeżeli zwierzę skradzione było poza granicami „ziemi.“ Do rzędu okaleczeń, przewidzianych w Statucie Wiślickim, przybywa tam nadto kastracya. Gdy takowa razu jednego z ręki Janusza ze Słupcy, a w sposób połowiczny, pewnego kmiotka spotkała, pani okaleczonego, Drogochna z Rzeźwienny, wygrała za to pięć grzywien; panowie postanowili atoli, że za luksus tego rodzaju winny płacić ma tak, jak za głowę.

Wśród ubóstwa i idącej za niem ciemnoty, uderza w Konstytucyach łęczyckich nieświadomość wybitna szlachty, żyjącej zresztą w nieustannej pogoni za uprawnymi łanami, w jakiby sposób zapewnić sobie posiadanie kmieci. Towarzyszy temu zjawisku obojętność „panów“ na ich losy, oraz brak odczucia pożytków ekonomicznych, płynących z kolonizacyi niemieckiej, przy oczywistej dbałości o sam fakt *panowania* nad ludnością wiejską.

Dążenie to nie przeszkadzało bynajmniej poniewieraniu godności szlacheckiej przez samą szlachtę, czemu — daremnie zresztą w całej Polsce — starał się przeciwdziałać od lat kilkudziesięciu Statut Wiślicki króla Kazimierza. Miary dopełniała dzikość obyczajów, zanik poczucia prawa i obyczajności. Niechęć względem sprężystej władzy państwowej dzieliła szlachta łęczycka z bracią swą w całej Koronie; trudno jednak dopatrzeć się w niej usiłowań pochwylenia natomiast władzy zorganizowanej, np. nad kmieciami, we własne swe dłonie... Konstytucye Łęczyckie postawiły, że *ani szlachcie*, ani kmieciom niewolno przybywać do

miaśc, grodów i sądów z bronią w ręku, pod karą grzywien i konfiskaty oręża... Inaczej sprawę tę uregulowała w kilka lat później, w r. 1423, sąsiednia szlachta kujawska, ściślej już klasowo zespolona, zabraniając podobnych „występów“ tylko i jedynie — *kmicciom*, „aby wróżdy i spory pomiędzy nimi nie powstawały.“ Wobec faktu, że wróżdy i spory stanowiły wówczas — *sit venia verbo*—cechę zawodową klasy rycerskiej, pobudka tej Konstytucyi leży, jak na dłoni, a dźwięczy w niej już nuta solidarności szlacheckiej względem innych, niższych warstw narodu: zapowiedź niedalekiego wszechwładztwa braci herbowej jeszcze za Jagiellonów, Kazimierza, Aleksandra i obu Zygmunatów. Nie zanosilo się na to w łęczyckiem.

Zestawienie współczesnych (XV st.) i równorzędnych pod względem rodzaju materiału Ksiąg Sądowych Kujawskich z łęczyckiem, ujawnia nadto po stronie tych ostatnich tak znakomitą przewagę spraw o kradzieże, wróżdy, zabójstwa, najazdy, rozboje, bójki krwawe i gwałty — cały majestat czasów barbarzyńskich — że niepodobna wątpić o różnicy kultury obu tych ziem, tak blisko geograficznie, a tak daleko pod względem rozwoju dziejowego z sobą sąsiadujących.

Na takim tle krzewił się, a miał się krzewić i nadal w najbliższych okolicach Łodzi—mechanicznie raczej, niż duchowo, folwarcznie raczej, niż kulturalnie — rozwój osadnictwa kościelnego, wytknięty tam przez losy niemal od zarania dziejów. Trzy znane nam fale tego osadnictwa, a zwłaszcza Chropska i Wolborska, zdołały zalać nietylko Łódź, ale i „kraj“ jej cały naokół, już w wieku XV, czyniąc i później jeszcze wyłomy w kompleksach okolicznej własności prywatnej.

Krakowscy właściciele „Chropów“ działali bodaj gorliwiej, aniżeli kujawscy panowie „Wolborza.“ Olbrzymia połać dóbr chropskich, zajmujących południowe, południowo-wschodnie i -zachodnie okolice Łodzi, powstała bądź co bądź najprzeważnie, jako osady, folwarki, młyny, zagrody i wioski — dzięki osadnictwu kościelnemu w XV, XVI, a poniekąd nawet w XVII i XVIII stuleciu. Należały do tej kategorii: Brojce, Brus, Czereczyn, Giezmów, Guzew, Jasienie — Karpin i Klucze (?) — Kotliny, Kraszew, Leszczyny, Łaziska, Majówka, Mierzączka, Mogilno, Olechów, Pawlikowice, Rydzyny, Stróża, Wola Kotowa czyli Kochanie, Zamoście i parę osad pomniejszych.

Co do „Wolborza“, to miała mu wprawdzie Łódź swoją godność „miasteczka“ do zawdzięczenia, ale niewiele ponadto. Aby być sprawiedliwym, trzeba jednak zauważyć, że „miasta“, zakła-

daue sztucznie, nieudawały się nigdzie naówczas, a najszczególniej—w Polsce, gdzie—jak powiada słusznie wyborny znawca tych stosunków, Fr. Bujak — zróżniczkowanie wsi i miast było raczej formalne, niż rzeczywiste. „Zbyt licznie i zbyt łatwo zakładano w Polsce miasta, a przecież samo nazwanie jakiejś wsi miastem i nadanie jej miejskiej organizacyi prawnej, nie przekształcało stosunków gospodarczych. Brakło wiary i zaufania do tego nowego systemu gospodarczego. Olbrzymia większość miast zajmowała się także rolnictwem i chowem zwierząt, jakby nie ufając, czy sąsiednie wsie zechcą im dostarczyć całej żywności, a z drugiej strony również i wsie nie dowierzały, czy będą dla nich zupełnie dostępne i odpowiednie wyroby przemysłu miejskiego i u siebie, już w początku, o rozwoju rzemiosła myślały...“

Trudno o wierniejszą, choć zaochną w danym wypadku, charakterystykę ogólną tego, czem była Łódź, „wieś-miasteczko“ i jej okolica, aż do połowy wieku XIX-go.

*

*

*

Wiadomo, że rozwój Łodzi, jako miasta, datuje właściwie od roku 1820, kiedy (dnia 18 września) zaliczono „miasteczko“ do rzędu miast fabrycznych ze względu na warunki położenia, korzystne dla rozwoju przemysłu miejscowego. Wkrótce po odpowiednim rozporządzeniu Namiestnika Królewskiego (18 IX 1820), w roku 1821 przystąpiono do pierwszej regulacyi miasta, która polegała na przygotowaniu miejsca pod osadę fabryczną, dzisiejsze Nowe-Miasto i rozdzielenie tego obszaru na dwieście placów. Aby powiększyć obszar miejski, wcielono do niego folwark sąsiedni Starą-Wieś, oraz „wójtostwo łódzkie,“ stanowiące część klucza Gałkówek, należącego do ekonomii dóbr rządowych, Łaznów. W roku 1823 specjalna delegacya rządowa dopełniła regulacyi Starego-Miasta. W roku 1825 cesarz i król Aleksander I, przedsięwzięwszy podróż dla poznania miast fabrycznych Królestwa, zwiedził Łódź i zezwolił wtedy na nowe powiększenie obszaru miejskiego przez włączenie wsi Wólki; wójtostwa Zakrzewskiego, oraz części lasu rządowego z ekonomii Łaznów. Na nowym obszarze wytknięto 462 place budowlane, a resztę oddano siedmiu większym zakładom fabrycznym. W przedłużeniu osady sukien-

niezej, powstała nowa osada tkacka, zwana Łódką. W roku 1827 było już w Łodzi conajmniej 2843 mieszkańców, a w tem 322 robotników fabrycznych. W roku 1833 jest już 5730 mieszkańców; w r. 1837 — 10645. W r. 1840 nastąpiła czwarta z kolei regulacya miasta i nowe powiększenie jego obszaru: ludność doszła już bowiem wtedy do 20000 mieszkańców. Pomiędzy r. 1840—1850 wzrost ludności Łodzi nieco się zatrzymał, a nawet cofnął (w roku 1840 — 20150 mieszkańców; w r. 1844—14028 mieszkańców) — nie ustawał jednak rozwój fabryczny miasta. W r. 1839 sprowadzono tam pierwszą maszynę parową o sile 60 koni; w r. 1847 drugą (20 koni). W r. 1850 istniały już cztery maszyny o sile łącznej 150 koni. W ćwierć wieku później, produkcya w porównaniu z r. 1860 wzrosła dziesięciokrotnie, a ludność wraz z przedmiejską doszła bez mała do 120000 mieszkańców. Było już wtedy 500 fabryk wyrobów bawełnianych i 80—wełnianych, których wytwórczość oceniono w r. 1878 na sumę z górą 27 milionów rubli. ¹⁾

Zważywszy, że kilkadziesiąt lat przedtem, w r. 1793, liczyła Łódź 190 mieszkańców przy „dobytku następującym:“ 44 dymy, domów niezamieszkałych 11, placów pustych 18, stodoł 44, areszt drewniany, 4 studnie publiczne i 4 prywatne, jeden młyn wodny i dwa szynki, dominialny oraz proboszczowski, a przy produkcji rocznej 50 beczek piwa oraz 70³/₄ garncy „wodki ordynareyney,“ meldowanych w łęczyckim grodzie, wołamy — skąd ta bajka?! Skąd te skarby w puszczańskim, zapadłym miasteczku?

Źródło zagadki leży, jak na dłoni, w informacjach... *magistræ vitæ*. Czemuż to bowiem właściwie i przede wszystkim, jakiemu zbiegowi okoliczności, poza wiele i mało-mówiącem „korzystnem położeniem,“ zawdzięczała Łódź-miasto bajeczny swój rozwój w wieku XIX?

Zdaje się, że nie będziemy dalecy od prawdy, twierdząc, że: *opóźnieniu kolonizacji niemieckiej.*

Doniosłe to zjawisko średniowieczne, które zgotowało przełom w stosunkach wewnętrznych Polski, agrarnych, społecznych i ekonomicznych w okresie przybliżonym 1250 — 1450, nie odbiło się w swoim czasie echem dość potężnem w puszczy podłódzkiej.

¹⁾ Wszystkie dane, dotyczące rozwoju Łodzi w okresie 1820—1878, oparłem na opracowaniu Bronisława Chlebowskiego w „Słowniku Geograficznym“ (V, 678—679). Autor wyzyskał tam sumiennie wszystkich dawniejszych dziejopisów Łodzi, Oskara Flatta, Majewskiego i Petelza.

Osadnicy niemieccy, dawszy impuls do nowej organizacyi wsi, osad, miast i miasteczek na schyłku wieków średnich, wsiąkli w ludność polską i złączyli się z nią na tle ogólnej, nowożytnej fizyognomii Rzpltej w stuleciu XVI, XVII i XVIII. Inaczej było poniekąd w puszczańskim zakątku brzezińskim. Odwieczna, szczerą polskość tej okolicy, podtrzymywana z jednej strony przez szlachtę ubogą i zacofaną, a z drugiej modyfikowana mało przez pokost gospodarski możnego kościoła, zetknąć się tam miała nagle, na samym schyłku XVIII wieku z nowymi, całkiem nieoczekiwanymi warunkami bytu... Kiedy, porzucając ostatnią kartę Ksiąg Sądowych łęczyckich z czasów Jagiełły, a mianowicie ustępy, dotyczące puszczy podłódzkiej, przejdziemy bezpośrednio potem do „Xiąg wieczystych miasta Łodzi“ z doby króla Stanisława Augusta (najdawniejszy to zabytek „łódzki“), odnieść musimy wrażenie, że pomiędzy wiekiem XV, a końcem XVIII-go, rysy zasadnicze fizyognomii naszego zakątka nie zmieniły się ani na jotę.

Pierwszy i drugi rozbiór Polski nie dotknęły Łodzi; trzeci natomiast (1795 r.) wcielił ją wraz z okolicą bliższą i dalszą — w kraj zabrany pomiędzy Pilicą, Bugiem i Niemnem, który pod mianem Prus Południowych dostał się Hohenzollernom. I stało się to, co się stać musiało. Zjawiło się gromowe „przypomnienie“, że czas wreszcie, po długich wiekach, gonić „teraźniejszość“ warunków bytu. A teraźniejszość ta wraz ze smutnym zbiegiem okoliczności politycznych, podsuwała sama przez się, nie dając czasu na obmyślanie miejscowych środków oryginalnych — *remedium*, jakgdyby ze wspomnień średniowiecznych Polski zaczepnięte, a jednak jakże już obce, jakże tragiczne...

W Łodzi, w Księgach Wieczystych tego miasta, spotykamy się po raz pierwszy z Niemcami, na razie jako z przybyszami, a wnet potem jako z kolonistami — z „panami“ tych stron, w roku 1799. Jednocześnie, bo w wielkiej dobie Napoleońskiej, kościół i szlachta, rozporządzając obszarami puszczy mało zaludnionej, a pragnąc podnieść jej dochodowość, bo nie czas już było na „łowy z krogulce“, sprowadzają, jak na zawołanie, całe rzesze kolonistów niemieckich z Prus pobliskich, a nawet z Westfalii. Na parusetwłokowym obszarze leśnym samego Będonia, nie licząc borów okolicznych, powstało tymi czasy kilkanaście kolonij niemieckich, jak Andrespol, Andrzejów, Jordanów, Eufeminów, Hulunka, Justynów, Janówka, Ludwików i t. d. A każdy prawie kolonista był tkaczem. Powstawały nowe osady i huty (w Będoniu około 1824 roku), palono i karczowano lasy, a wszystko nagle, gwałtownie, jakby na wyścigi z czusem...

W chwili, kiedy książę-minister Ksawery Drucki-Lubecki popierać jął gorliwie przemysł krajowy, w dobie, poprzedzającej powstanie listopadowe, Łódź miała już nietylko grunt pod nogami, ale i okolicę, mogącą jej dostarczać na zawołanie zdolnej, tkackiej z ojca i dziada, ludności fabrycznej. Przyszłość była zapewniona. Czyż mamy, żyjąc jeszcze w czasach *formowania się* Łodzi nowożytniej, przepowiadać jej przyszłość dalszą? Losy kolonizacyi niemieckiej w Polsce całej przesądzą ją. Będzie ona, bo musi być — polską.

Oto geneza „korzystnego położenia“ miasteczka, którego wzrost fenomenalny przedstawia się w oświetleniu dziejów niby „procent“ nagle zrealizowany, procent składany od „gniast krogulczych i szmerów,“ od bogatej natury dziewiczej, niewyzyskiwanej wcale niemal przez człowieka aż do czasów najświeższej daty.

Jeszcze jednak w roku 1843, pomimo widocznego już wtedy rozwoju Łodzi, Baliński i Lipiński, pisząc o niej, nadmienają, że choć tam w r. 1459 miała ona dostarczyć jednego zbrojnego piechura na wojnę pruską, choć Jan Olbracht ustanowił w niej w r. 1496 na prośby biskupa targi tygodniowe we wtorki, a jarmarki na uroczystość Narodzenia N. M. P. i na św. Wojciech; choć wreszcie, w r. 1553, Zygmunt August, spełniając życzenia biskupie, przeniósł jarmarki na dni inne, a nadto dodał trzeci — na św. Tomasz, „Łódź pozostała lichą, drewnianą mięsciną, od samych chrześcijan zamieszkałą.“

Była to jeszcze żyjąca, jak widać w literaturze, tradycya i opinia o dawnej Łodzi staropolskiej. Jakąż bo była ona istotnie jeszcze na schyłku istnienia Rzpltej? Była nie o wiele pono dostojniejszą, niż za księdza Śliwki, co czasy Kazimierza Wielkiego dobrze pamiętał. Świadczą o tem różnice formalne raczej, niż istotne. Zamiast kanonika, trzymali wtedy „miasteczko“ z kolei w dzierżawie protegowani stolicy biskupiej kujawskiej, pp. Jan Gozdowski, Józef Chojecki, a wreszcie Imć pan Kazimierz Dawidowicz „dzierżawca miasta Łodzi y klucza łódzkiego,“ który łączył nadto, jak i jego poprzednicy, z dostojnością tym, oraz z mieszkaniem „we dworze“ (Stara Łódź), godność wójta miejscowego z ramienia biskupa-dziedzica, a raczej „Najiaśnieyszey Infuly Jaśnie Wielmożnego księdza-biskupa, Pana Miłościwego miasta Łodzi.“ Aby zaś skromny urząd wójtowski nie uwłaczał takiej osobie, zwano go „Lanwójtem,“ zwłaszcza, że panowaniu jego nietylko miasteczko, ale i cały „klucz łódzki“ podlegał. Połączenie obu urzędów: dzierżawcy i wójta w jednej osobie, było

już wynikiem naturalnym położenia ogólnego *poddanych*, świadczącym nadto, że „miasteczko“ nie przestało *de facto* być wioską. Dawny sołtys, jak ów Janusz za księdza Śliwki, był niby wójtem-przedstawicielem autonomii miejscowej, wypływającej z urzędzeń prawa niemieckiego. W chwili, kiedy Łódź została formalnie miasteczkiem, miejsce sołtysa zająć tam musiał „wójt,“ a miejsce ławników—rajcowie. Tytularne te zmiany mogły być o tyle tylko stać się rzeczywistymi, o ileby wioska stała się była istotnie miastem, któreby powagą swoją, zamożnością, ruchem przemysłowym, czy handlowym, potrafiło w końcu XV-go i w XVI stuleciu, t. j. w dobie utrwalenia się stanowczej przewagi dziedziców nad poddanymi — ocalić miejskie, autonomiczne przywileje swoje. Miasta prawdziwe, jakkolwiek uciśnione przez klasę panującą, ocaliły je w znacznej mierze; miasteczka i wioski uległy — boć inaczej być nie mogło. Do tych ostatnich właśnie należała i „Łódzia.“ Dzierżawca, *alter ego* dziedzica, stał się zarazem jej wójtem, mieszkał „we dworze,“ „Xięgi Wieczyste obywatelstwa łódzkiego“ kazał tam sobie nosić do rewizyi i podpisu, a „burmistrz-sędzia,“ niby cień chiński dawnego sołtysa-wójta i strzeżonego przezeń samorządu miasteczka, stał się właściwie jego pacholkiem. Nad „dzierżawcą-Landwoytem“ przygodnie, z fantazyi może, a niekiedy i z potrzeby, wykonywał nadzór, zwłaszcza, gdy na miejscu bywał, sam biskup-dziedzic, który—jak np. Antoni Ostrowski, co się wedle tradycyi, łowami w puszczy, w kniejach bądońskich zabawiał — wyręczał się tam przy sposobności i innymi ludźmi. I tak, w r. 1774 wykonywa przygodnie w Łodzi prawa zwierzchnie „podsądek y Zupnik województwa Łęczyckiego,“ Wojciech Grzymała Ostrowski, brat biskupa, który do niego pisał: „słynie WMM Pana roztropność per universum, że nawet Mieszczanie Moi Łódcy między Sądem Dworskim (Landwójta) y Swoim (burmistrza) chcą mieć Jego pośrednictwo...“ W dziesięć lat później, w roku 1784, występuje tam w roli podobnej starosta wólborski, Kazimierz Kaziewicz.

W sprawach życia codziennego dbało jednak „miasteczko“ o dostojność swoją. Mieszczanie pędzili gorzałkę, warzyli piwo, gospodarzyli po wiejsku, dokonywali ożywionych tranzakcyj, sprzedając jeden drugiemu „lechy gruntu,“ „bycki“ i „jałoski“ i czynili liczne a hojne zapisy na rzecz kościoła łódzkiego. Troska o zabezpieczenie sobie w ten sposób żywota wiecznego odgrywała w ich życiu rolę tem większą, ile że cnota nie zawsze jakoś dopisywała im w wędrówce doczesnej. Najsilniejszą była ona, jak się zdaje, w punkcie szóstego przykazania, bo ani bójki krwawe,

ani morderstwa, ani awantury pijackiej, ani nawet podstępne żonobójstwo, dokonane przez jednego z mieszczan w r. 1786, nie potrafiły wstrząsnąć tak głęboko łódzkim urzędem sprawiedliwości, jak przygoda romantycznej wdowy po Piotrze, pani Zofii Moczygębiny, którą—*nomen omen*—sławetny Antoni Gozdowski, mając wódkę u Żyda częstować, tamże do „nieprzystoynego uczynku“ skłonił. Przyplacił to p. Antoni srogą grzywną pieniężną, a pani Moczygębina plagą „Rozg 90, N-ro dziewięćdziesiąt według przykazu Dworu.“ „Dwór“ dbał bowiem o przystojność miasteczka i załatwił sprawę krótko a węzłowato, nie żądając nawet przysięg w rodzaju: „jako ja..., tak mnie Boże skarż y Liściea na drzewie, Piasku na ziemi, Gwiazd na niebie, Piasku w morzu, Kropel wody, Niech mnie to wszystko potłumi...“ — boć zresztą „Córka... Arendarza, przez Drzwi spoyrzawszy (sic), widziała co się Działo...“

Dwór dbał nadto i o dostojęństwo Łodzi. *Exemplum.* Dnia 26 czerwca 1775 roku ze wszystkich „Ulic“ miasteczka, a więc z Gościńca Srebierskiego, od Źródeł Starowiejskich, od Placu, na którym stodoła stoi, od Ogrodu na stajniach, od Ścieżki Ogrodowej, Gościńca Walińskiego, z Opłotków i z Potyłków, z Ulicy Nadrzecznej, od Granic Kapitulnych i Bałuckich, od Ogrodu Durajowskiego i Rzeki Starowiejskiej, od Drogi Lutomiarskiej, Łaskowej, Stawu, Gościńca Brzezińskiego, od Dróżki Ciemnej, Ogrodu na Lasku, Gaju i Starej Dróżki Lamusowskiej — zowszad, ze wszystkich arteryj „wielkomiejskich,“ które jeszcze ulicy Piotrkowskiej (przedtem szosy Zgiersko-Kaliskiej) nie przeczuwały — zbiegli się „Ulicą do Kościoła“ na Rynek patrycyuszce późniejszego Manchester'u, których akt urzędowy godną nazwą „pospółstwa“ mianuje i dokonali tam wyborów na urzędy miejskie:

„In Nomine Domini. Sit nomen Domini benedictum Nunc et usque in Saeculum. Dnia 26 Czerwca Roku 1775-go Obrany iest od Pospolstwa całego y od Dworu potwierdzony przez W. Imci Pana Józefa Choieckiego a Dzierżawcy Trzechletniego od J. W. Imci Xięza Antoniego Ostrowskiego Biskupa Kujawskiego y Pomorskiego:

Woyt Sławetny Jan Gozdowski
 Burmistrz Alexy Drewnowicz
 Rayca pierwszy Paweł Suwalski
 Rayca drugi Stanisław Pławski
 Rayca trzeci Jakub Kryżdowczyk
 Rayca czwarty Jakub Zarzecki

Landwoytowskiich Rayców:
 Rayca Pierwszy Jan Maniński
 Rayca Drugi Jan Jezewicz
 Pisarz Mieyski Roch Józef Ławiński Przysięgły
 Łódzki mp.“

Czyż mamy snuć dalej obraz „miasteczka?“ Nie zmieniłoby to w niczem barwy jego, ani wyrazu... W roku 1806, wraz z powstaniem Księstwa Warszawskiego, stała się Łódź *de nomine* miastem rządowem. Posiadała już wtedy 767 mieszkańców i 106 domów. Wkrótce potem rozpoczęto regulację granic miejskich, zaniedbaną, bo i zbytęcną od wieków. Dnia 7 czerwca 1808 roku, jeszcze przy udziale Kapituły Kujawskiej, przeprowadzono granicę z Radogoszczem i z Retkinią na podstawie aktów z r. 1597.

Zmiany polityczne, w stosunku do Łodzi formalne raczej na razie, niż rzeczywiste, nie odbiły się też dość rychło na fizyognomii jej życia wewnętrznego. Obraz tego życia z czasów Księstwa Warszawskiego, rozwijający się pod skrzydłami już nie „Landwójta,“ lecz „Magistratu,“ nie różnił się niczem właściwie od tego, co było dawniej. Zaznaczyło się to nawet i w takim drobnym szczególe zewnętrznym, że jeden i ten sam wolumin aktów, w skórę oprawny, zawiera — niby jedną całość — zarówno dawne, z czasów Rzpltej, „Xięgi Wieczyste Obywatelstwa łódzkiego,“ jak i późniejsze wpisy magistrackie po rok 1822. Od tego to czasu, jak zaznaczyliśmy wyżej, rozpoczęła się w rozwoju Łodzi era nowa. I ona jednak zarysowała się w całej pełni dopiero w połowie XIX wieku.

Jeżeli Łódź, dzięki zbiegowi różnych okoliczności, wynurzyła się tak świetnie a późno z dawnego „niebytu,“ to okolica „miasteczka,“ puszczańskie jego środowisko, przygotowywało się do nowej swej roli i do nieoczekiwanych splendorów swej stolicy, dłużej jeszcze, pomimo rączej inwazyi kolonistów niemieckich.

Na razie różnica polegała jedynie na tem, że — np. w Będolinu — siedzieli w XVI, XVII i XVIII stuleciu, zamiast Przybysława i jego sąsiadów, inni panowie Będoinscy. W r. 1576 współwłaścicielem tej wioski był p. Wojciech; w r. 1628 p. Andrzej, pisarz grodzki włózdziemski, a potem synowie jego: Jan, Paweł i Wojciech. Trzymali się tam oni trwale od prawnieku aż do samego schyłku XVIII stulecia, wzmocnieni na szkatule i na gloryi rodzinnej w osobie Michała, syna Wojciecha i Wiktoryi z Sagatowskich, pisarza, a po roku 1769 regenta sądów marszałkowskich. Glorya ta była jednak śpiewem labędzim starych Natęczów w puszczy podłódzkiej. Nowe prądy, nowe czasy i ludzie strza-

skąły grunt odwieczny pod ich omszałą tarczą herbową. Pan Michał Będoński, dziedzic wyłączny gniazda rodzinnego, zaznaczywszy się jako zwolennik *recentiorum* małżeństwem z Katarzyną Sztermerówną, opuścił knieje rodowe. Nie bacząc na staropolski dworzec modrzewiowy, zbudowany w cieniu lip starych w roku 1752 w odwiecznej wiosce rodzinnej nieopodal rzeczki Miazgi i jazów (obstacula) na niej, a uświęcony pięknym na belce napisem: „Boże łaskawy, dobrośliwy Panie, błogostaw ludziom Twoim to mieszkanie;“ nie bacząc na prochy przodków, spoczywające u stóp modrzewiowego Kościołka w Mileszkach—on, pierwszy może pan możny na Będoniu, sprzedał go w r. 1791 Trembeckim i, rozwiódłszy się z żoną, porzucił progi domowe, aby zamieszkać w Czyszkowie, w Ziemi Czerskiej. Choć słynna tam do niedawna jeszcze z tradycyi pani Trembecka, właścicielka Będonia, niewiasta energii niepospolitej, zajmowała się nietylko (w czasach pruskich) zamykaniem „landratów“ do chlewa, ale i krzewiła gorliwie kolonizacyę po lasach, puszcza nie zaraz jeszcze utracić tam miała swój dawny charakter odwieczny.

Wedle wspomnień starego sługi i gajowego nowych właścicieli wioski, wołyniaka Teodora Suwickiego, który około r. 1850 sięgał pamięcią w czasy, kiedy biskup Ostrowski łowami w kniejach będońskich się bawił, kiedy niedźwiedź ostatni padł w nich, kulą rażony, Będoń przedstawiał się wtedy, jako „Lasy i owies dla psów na ospę — ono tolko.“ „Psiarnię po prymasie Ostrowskim“ († 1784) zniesiono tam istotnie dopiero przed sześćdziesięciu kilku laty. Ostrowski, który, jak wiadomo, przed wstąpieniem w r. 1778 na arcybiskupstwo Gnieźnieńskie, piastował od r. 1762 infuleę kujawską, dzierżawił najwidoczniej łowy w tych kniejach od panów Będońskich, a na szczupłych gruntach uprawnych produkował owies na ospę dla sfory. Opłata z tenuty takiej mogła nie odpowiadać istotnie wymaganiom pana Michała! Potomek starych Nałęczów nie przeczuwał czasów nowych, stojąc u samego ich progu. Był to jednak dopiero próg raczej dziejowy, niż taki, na jaki jednostki zwykły się oglądać. Pomimo działalności kolonizacyjnej następczyni Michała Będońskiego, pani Trembeckiej, puszcza pozostała bowiem w tym stanie, że jeszcze za jej wnuczki, a długoletniej właścicielki Będonia od roku 1845-go, Joanny z Sucheckich, toczył się proces z rządem, prowadzony około roku 1850 przez męża jej Karola Koźmińskiego, o granice w obszarze *kilkudziesięciu włók lasu* od strony Kurowie i Galkowa.

W Stokach rozrosli się w XVI i XVII stuleciu panowie Stokowscy, najbliżsi bywalcy i sąsiedzi Łodzi. Inne wioski, o ile nie

stały się kościelnymi, a potem rządowymi, pozmieniały przeważnie dawnych właścicieli. Tło wszędzie jednak naokół i na długo pozostawało bez zmiany. Pamięć przeszłości, pomimo, że „teraźniejszość“ przez wieki całe, bo aż do początków XIX stulecia, była jej wiernym odbiciem i ciągiem dalszym, zatarła się zupełnie wśród Łodzian: pozostało z niej jedynie poczucie jakby odwiecznej wyłączności bytu, panowania i siły twórczej Kościoła, tej instytucji, która cienkim nalotem kultury obdarzyła puszcę i „miasteczko...“

Istniała doniedawna, nim jeszcze dym kominów fabrycznych zdołał przestłonić tam całkowicie pamięć rzeczy minionych, ciekawa, bo *znamienna* legenda łódzka. Posłuchajmy jej opowieści, odtworzonej na podstawie poematu Wiktora Dłużniewskiego.

W gąszczy leśnym była licha mieścina z kościółkiem ubogim. Miała właściciela, a był nim Paweł Łodzian Kubowicz — stąd nazwa miasteczka — potomek Kuby Mazura, który niegdyś cesarzowi Zygmunтови przywiózł łodzią pierścień przez Dunaj. A był to pierścień Zawiszy Czarnego, wodza wojsk cesarskich, po którego Zygmunt wyprawił ową łódkę podczas bitwy z Turkami, aby się ratował. Rycerz zginął jednak i tylko pierścień swój zdołał odesłać panu swemu. Stąd herb Kuby Mazura u potomka jego, Pawła Kubowicza. Paweł był chorążym w czasach Dymitra i Maryny, a był wojakiem wielce zasłużonym. Asystował Zółkiewskiemu w Warszawie i pierwszy złożył zdobycz swoją u stóp tronu. Słynął i za Batorego. Żona odumarała go w rok po ślubie, zostawiając córkę Urszulę. Wychowywała ją siostra Kubowicza, żona Jakóba Rogowskiego (Rogi pod Łodzią), który Łódź odeń dzierżawił. Gdy Kubowicz walczył, podrosły i córka jego Urszula i córka Rogowskich, która wyszła za sąsiada, Jacka, pijaka, rozpustnika i zawadykę. Dziły się sceny okropne, to też Rogowski rozpił się za przykładem zięcia. Pani Rogowska zmarła, a nieszczęście Urszuli wzrastało. Modliła się gorąco w kościele łódzkim o zdrowie nieobecnego ojca, gdy znany jej młodzian, Podstolic, zapalał do niej afektem serdecznym wbrew woli tych, coby jej mieniem owaładnąć chcieli. A Jacek miał już wtedy syna, Włodzia. Niepokoi się tedy i powiada do teścia: „Jak się ryba wysłiznie z Łodzią, tylko na Rogach osiadzie Włodzio.“ Obaj stawiają tedy przeszkody energiczne małżeństwu Urszuli. Kiedy podstolic zajeżdża z orszakiem, zastaje obu opiekunów Urszuli pijanych. Zebrawszy poddanych, rozbroili oni gościa i pobili go tak ciężko, że zmarł niebawem. Wkrótce potem zawitała śmierć i do dworu w Rogach, zabierając Urszulę.

W kościele łódzkim nabożeństwo. Kapłan wzywa Boga o mściciela: „Pawle, ojczy Urszuli, jeśli żyjesz, gdzie się kryjesz?“ Jak na zawołanie, zjawia się postać, niby grobowa i prawi: „Boże, połącz mnie z córką—błagam w pokorze. Jam myślał, że trafię na wesele, a znajduję ją martwą!“ Był to Paweł Kubowicz, który po 19 latach niewoli u Turków wrócił do kraju. Zemdlał u wrót kościelnych. Dostrzegli go tam Rogowski z Jackiem, a i on ich poznał i do zemsty gotować się zaczął.

Tam, gdzie w połowie XIX wieku stała plebania łódzka, wznosił się niegdyś dwór dziedzica Łodzi, otoczony fosą. Po powrocie Kubowicza, a było to w r. 1633, miało tam miejsce pamiętne zdarzenie. Chorąży Paweł Kubowicz, wpatrzony w portrety antenatów, wypowiada monolog: „Komuż powierzę straż przy naszym grobie? Kto o nas wspomni, odda uścisk bratni w przedśmiernej chwili? Nikt, oprócz kapłana i krom Kościoła! Niechże Kościół za to, że nas oddaje miłosierdziu Pana, rozrządza mieniem—doczesną zapłatą.“ Postanawia zapisać Łódź, zamiast krewnym, Kościołowi: „za chęć krewnych, za grzechy i za śmierć Urszuli.“ Pada strzał, okno się wali, a Chorąży, trafiony w głowę, kona. Zbir, jak huragan, zjawia się w komnacie, chwytając—zostawiając wszystko—papiery i ncieka. Posądzony o zbrodnię Jacek, dowodzi, że sprawcą jej jest jakiś łyk miejski. Uwolniony od odpowiedzialności, raduje się z Rogowskim, że wreszcie Łódź zagarną. Aliści okazuje się, że testament już oblatowany na rzecz Kościoła. Jacek wypija dzban okowity i pali się, a Rogowski—gdzieś, między Łodzią a Zgierzem, zostaje pustelnikiem. Po trzydziestu latach odnajduje go tam Włódzio, jako żebraka i pokutnika.

Na treść tej opowieści złożyły się niechybnie, i to w znacznej mierze, tragiczne wspomnienia rodzinne któregoś z biskupów dzierzawców Łodzi. Czyliż jednak legenda ta nie jest, jak tyle innych, *prawdziwą wonią* przeszłości?...

J. K. KOCHANOWSKI.

JAPONIA I KOREA.

„Gdy wieloryby walczą, raki mają grzbiet zdruzgotany“ — mówi koreańskie przysłowie. Koszty krwawych zapasów, które tysiącami ofiar zasłały pola Mandżuryi i odmęty morskie Dalekiego Wschodu, Korea płaci swą niezależnością. Bezsilny i bezbrony kraj „pogodnego poranka“ staje się łatwym i bezkarnym łupem uzbrojonego od stóp do głów państwa „słońca wschodzącego.“ Bezkarnym—bo i dzisiaj, pomimo postępu cywilizacji i hasła humanitarnych, rozbrzmiewających tak głośno po całym świecie cywilizowanym, panoszy się samowładnie, święci coraz to nowe, coraz jaskrawsze tryumfy barbarzyńska maksyma: „siła przed prawem.“

Dziwną też ironią losu, tragedia ta dziejowa rozgrywa się na Dalekim Wschodzie w tej właśnie chwili, gdy na drugim krańcu świata areopag państw cywilizowanych naradza się nad wyśzukaniem środków, mających zapobiedz przyszłym wojnom, a tem samem i sytuacyom politycznym w rodzaju tych, których ofiarą pada obecnie Korea. Co gorsza, konferencya ta pokojowa stała się minowolnym wprawdzie, lecz bezpośrednim powodem koreańskiej katastrofy. Zjawienie się bowiem w Hadze delegacji koreańskiej posłużyło Japończykom za pozór dogodny do detronizacji cesarza Korei i wzmocnienia swego zwierzchnictwa nad jego państwem.

Był to oczywiście pozór tylko, nie więcej — pozór przytem z góry, jeśli nie mylą rozmaite oznaki, przygotowany. I w tym wypadku, jak w ogóle w całym swem postępowaniu wobec Korei, Japończycy okazali się doskonałymi uczniami mistrzów swych europejskich. Nietylko przyswoili sobie wszelkie wynalazki techniczne, sztukę prowadzenia wojen i odnoszenia zwycięstw, ale

posiedli także wszelkie arkana dyplomatycznej umiejętności, streszczającej się przede wszystkim w nienazywaniu rzeczy po imieniu, w posługiwaniu się cywilizacyjnymi i humanitarnymi hasłami, gdy chodzi o ukrycie prostego gwałtu.

Od czasów najdawniejszych posiadanie Korei stanowiło dla Japończyków główny cel pragnień i dążeń politycznych. Okres bohaterski dziejów japońskich wypełniają wyprawy wojenne na Koreę, od której Japonia otrzymała zresztą pierwsze początki swojej kultury. Długie i krwawe te wojny toczyły się ze zmiennym szczęściem. Ostatecznie jednak Koreańczycy, dzięki pomocy Chin, oparli się zwycięsko najezdnikom i przez okres czasu dość długi panował względny pokój pomiędzy dwoma nienawidzącymi się narodami, oddzielenymi od siebie wązkiem tylko ramieniem morza.

Ale Japończycy nie zrzekli się bynajmniej swych aspiracyj. Zrzuciwszy z siebie dawne więzy barbarzyństwa i zamieniwszy się w zdumiewająco krótkim czasie w naród nowoczesny, wyposażony we wszelkie zdobycze cywilizacji i ożywiony przytem dalekonośnymi planami, na nowo rzucili wzrok pożądliwy na Koreę. W rzeczy też samej półwysep ten posiadał dla nich olbrzymie nie tylko strategiczne i polityczne, ale i gospodarcze znaczenie. Z niego, jakby z przyczółka mostowego, staczać się będą mogły zbrojne ich zastępy, zdobywać dalsze kraje, roznosić sławę imienia japońskiego po całym Dalekim Wschodzie. Dalej, mało wyczerpane przez nieudolną, leniwą i apatyczną ludność miejscową bogactwa przyrodzone Korei, nastęrczały przedsiębiorczości japońskiej korzystne i obszerne pole działania. Wreszcie kraj ten słabo zaludniony zapewniał dogodne ujście nadmiarowi ludności japońskiej, która w swej ojczyźnie znaleźć już nie mogła odpowiednich warunków bytu.

Apetyt Japończyków podnieciła oczywiście bezsilność upatrzonej ofiary. Gdy państwo „wschodzącego słońca,” dzięki rozumowi swych władców oraz energii i sprężystości swych mieszkańców, wzrastało coraz bardziej w siły, rozwijało się coraz pomysłniej materialnie i intelektualnie, zrywało się do lotu coraz śmielszego, kraj „pogodnego poranka,” gnębiony i obdzierany przez swych panujących do spółki z liczną warstwą drapieżnych i sprzedajnych urzędników, pogrążony w ciemności, podnieść się nie mógł i nie umiał ze swego upadku.

Wszelkie też dane zdawały się przemawiać za tem, że już wojna Japonii z Chinami w r. 1895 rozstrzygnie losy Korei. Wojna ta podjęta została, jak głosili Japończycy, w interesie tego

państwa, w celu zapewnienia mu niezależności. W rzeczy samej Korea podlegała aż do r. 1895 pod względem prawno-państwowym zwierzchnictwu Chin. Ale zwierzchnictwo to było więcej symboliczne niż faktyczne. Król koreański składał „synowi nieba“ w Pekinie corocznie pewną daninę, po za tem jednak cieszył się pełną niezależnością. Rozumie się, że Japończycy nie dla tego wypowiedzieli wojnę Chinom, aby uwolnić Koreańczyków z pod obcego, zresztą lekkiego bardzo jarzma, lecz w tym jedynie celu, aby wzmocnić swój wpływ na Koreę i utorować sobie drogę do zupełnego zawładnięcia tym krajem.

Interwencya Rosyi, Francyi i Niemiec pozbawiła Japonię głównych owoców jej zwycięstw, odniesionych na lądzie i morzu nad Chinami. Przedewszystkiem więc interwencya ta zmusiła Japończyków do ustąpienia z półwyspu Liaotung, przyznanego im przez Chiny w traktacie z Simonoseki i tem samem do zrzeczenia się wygodnego i silnego punktu oparcia na stałym lądzie azjatyckim. Z wściekłością w sercu, lecz z pozornym spokojem Japończycy poddali się temu nakazowi czy tej presyi trzech mocarstw, odkładając odwet do stosowniejszej chwili.

Główny jednak cel ich dążeń politycznych stanowiła i teraz Korea. W następstwie wojny japońsko-chińskiej, to państwo uzyskało nie tylko faktyczną, ale i nominalną niezależność. Za zgodą Japonii, Rosyi i Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej 34-ty władca z dynastyi Li, panującej od 1392 r. nad Koreą, król Li Heng, ogłosił się dn. 12 października 1897 r. cesarzem, czyli podług pojęć wschodnich niezależnym władcą, i tym krokiem zerwał ostatecznie więzy prawno-państwowe, łączące kraj jego przez długie wieki z Chinami. Stary, chiński łuk tryumfalny w pobliżu Seulu, na trakcie, wiodącym do Pekinu, gdzie król koreański corocznie składał daninę chińskiemu pełnomocnikowi, został zburzony, a w jego miejsce cesarz świeżo upieczony wznosił wspaniały pomnik na cześć niezależności swego państwa.

Niezależność ta nie trwała zbyt długo. Niebawem na dworze seulskim walczyć zaczęły z sobą o przewagę wpływy japońskie i rosyjskie. Przedewszystkiem zaś Japończycy występowali jako samowładni panowie Korei, a poseł ich w Seulu nie przebiegał w środkach, aby zmusić do uległości nowego cesarza.

Daremnie Li Heng próbował uwolnić się z dławiącej go coraz silniej obroży japońskiej, daremnie u mocarstw europejskich szukał oparcia i pomocy przeciw uroszczeniom Japończyków, zwiększającym się z dniem każdym. Jak z góry przewidzieć było można, nadzieje jego w interwencję mocarstw spełzły na niczem.

Widoki lepszej przyszłości zaświtały na chwilę dla Korei, gdy główny jej gnębiel uwikłał się w zatarg wojenny ze swym współzawodnikiem o przewagę w państwie „pogodnego poranka,” z Rosją. Ale z krwawej tej próby Japonia wyszła zwycięsko, w morderczych bitwach pobiła na lądzie i na morzu swego przeciwnika i teraz, nieobawiając się już żadnych przeszkód, dążyła prostą drogą i szybkimi krokami do urzeczywistnienia swego celu, do objęcia nad Koreą politycznego zwierzchnictwa.

Po długich więc i burzliwych naradach pomiędzy cesarzem koreańskim a japońskim pełnomocnikiem, margrabią Ito, wymuszony został na li Hengu dn. 17 listopada 1905 r. traktat, obejmujący następujące najważniejsze punkty:

1) Rząd japoński kontrolować będzie za pośrednictwem urzędu spraw zagranicznych w Tokio stosunki i interesy zagraniczne Korei, a dyplomatyczni i konsularni przedstawiciele Japonii reprezentować będą poddanych Korei i ich interesy w innych krajach.

2) Rząd japoński obowiązuje się dbać o to, aby traktaty, istniejące pomiędzy Koreą a innymi państwami, utrzymane były w całej pełni, a rząd koreański obowiązuje się ze swej strony nie zawierać żadnego traktatu, ani żadnej umowy o charakterze międzynarodowym, bez pośrednictwa rządu japońskiego.

3) Rząd japoński będzie na dworze jego cesarskiej mości cesarza Korei reprezentowany przez rezydenta generalnego, który zajmie swą siedzibę w Seulu i którego głównym obowiązkiem będzie kierowanie sprawami dyplomatycznymi. Temu generalnemu rezydentowi przysługiwać ma prawo żądania każdej chwili audyencji prywatnych i osobistych u jego cesarskiej mości. Rząd japoński korzystać ma dalej z prawa ustanawiania rezydentów w rozmaitych portach otwartych oraz w innych miejscowościach, które uzna za właściwe. Ci rezydenci mają podług wskazówek rezydenta generalnego pełnić obowiązki ustanowionych dotychczas w Korei konsulów japońskich w sposób niezbędny do pełnego urzeczywistnienia celów niniejszej umowy.

4) Rząd japoński obowiązuje się czuwać nad utrzymaniem powagi i godności domu cesarskiego w Korei.

Przepisy powyższej umowy tracą, jak opiewa wstęp do tego historycznego dokumentu, moc swoją obowiązującą z chwilą, gdy Korea „uzyska swoją siłę narodową.”

Siły tej niema dzisiaj jeszcze Korea. Dowodzi tego przynajmniej japoński rezydent generalny przy dworze w Seulu, głośny margrabia Ito, w następującem orędziu, wystosowanem przed niedawnym czasem do rządu koreańskiego:

„Zaznaczyć należy, że Korea w obecnej chwili korzystać jeszcze nie może z niezależnego bytu politycznego. Wielu Koreańczyków domaga się wprowadzenia niezależności dla swojej ojczyzny; winni oni jednak uprzytomnić sobie, że naród niezależność zawdzięczać może jedynie sobie samemu, swej własnej sile i własnej pracy, że żadne obce państwo obdarzyć go nie może niezależnością. Jeśli więc Korea pragnie niezależności, to uzyska ją jedynie wtedy, jeśli na drodze wytrwałej pracy dążyć będzie do tego celu.“

Co do słuszności powyższych poglądów margrabiego Ito na sprawę niezależności, niema chyba dwóch zdań. Nasuwa się jednak pytanie, czy Koreańczycy w obecnem swem położeniu, dławieni w „opiekuńczym“ uścisku japońskim, pozbawieni wszelkiej swobody ruchu, gnębieni, wydziedziczani i wyzyskiwani przez obcych „cywilizatorów“, zdobyć się wogóle mogą na przeprowadzenie o własnej sile reform, niezbędnych do podźwignięcia swej ojczyzny z dzisiejszego jej politycznego, społecznego i gospodarczego upadku?

W takich warunkach wyręczyć ich musieli z natury rzeczy Japończycy, którzy też w krótkim bardzo czasie zdziałali bardzo wiele, o ile przynajmniej wierzyć można dwom ich urzędowym memoriałom sprawozdawczym, ogłoszonym przed niedawnym czasem. Pierwszy z nich przedstawia reformy administracyjne, przeprowadzone w ubiegłych kilku latach. Dowiadujemy się więc z niego, pomiędzy innemi, że odbudowano wielkie drogi lądowe, ulepszono drogi wodne, przeprowadzono reformę szkoły, szpitali, urzędów policyjnych, oczyszczono dwór cesarski z żywiołów podejrzanych i niepewnych, dokonano reformy w zarządzie lokalnym, w prawodawstwie, w sądownictwie, uregulowano wychództwo, popierano przemysł, zwłaszcza kopalniany, tak ważny dla Korei.

Drugi memoriał obejmuje reformy z zakresu skarbu. Pierwszym ich warunkiem było uzyskanie niezbędnych środków pieniężnych. Udzielił ich w drodze pożyczki wielki japoński bank przemysłowy „Nippon, Kogyo Ginka.“ Administracyą finansów zajął się doradca skarbowy, mianowany przez Japonię na mocy traktatu z r. 1905. Obecnie też Korea preliminarz już swoje dochody i wydatki, a preliminarz budżetowy staje się w miarę wprowadzenia reform coraz bardziej szczegółowy i skomplikowany. Ostrożnie, aby nie rozdrażniać ludności, przeprowadzono podwyższenie podatków, tępiąc jednocześnie z wielką surowością wszelkie nadużycia urzędników podatkowych, które dotąd najbardziej gnębiły ludność.

Ważne reformy wprowadzono także w zakresie instytucyj bankowych. Czynność ich, dotychczas dowolną, poddano kontroli rządowej. Prócz tego rząd założył w wielu miejscowościach banki rolnicze i przemysłowe, aby ułatwić obrót pieniężny, a jednocześnie przyczynić się do rozwoju rolnictwa i przemysłu. Z końcem r. 1906 było w Korei dziewięć takich banków, z których każdy operował sumą 100,000 yenów. W związku z tem przeprowadzono reformę waluty, potworzono związki kupieckie, które pod kontrolą rządu wypuszczają własne banknoty. Aby ułatwić gospodarkę rolną, założono domy towarowe, które udzielają pożyczek na zboże i inne płody rolne. Dzięki tym i innym środkom uregulowano w kraju obrót pieniędzy i oparto go na zdrowych podstawach.

Tak się przedstawiają w oświetleniu japońskiem błogosławieństwa, jakie spłynęły na Koreę od chwili, gdy Japonia zajęła się rzekomo „beziinteresownie“ jej losami. Niestety, Koreańczycy są narodem tak zacofanym, że nie uznają—jeśli pominiemy nieliczne wyjątki, które bądź to interes osobisty, bądź też zapal do cywilizacyi, spychający na plan drugi wszelkie inne względy, popchnął w objęcia Japończyków—tych dobrodziejstw narzuconych sobie przemocą, i tak niewdzięcznym, że pragnęliby swych „dobroczynców“ wypędzić co prędzej za dziesiątą granicę. Dobroczynców tych przybywa zresztą coraz więcej. Przed dwudziestu laty było ich w całej Korei zaledwie kilkanaście tysięcy, obecnie liczba ich dosięga już pół miliona, a zwiększa się z dniem każdym. Weiskają się we wszystkie ważniejsze urzędy, zagarnęli handel i przemysł, eksploatują kopalnie i uprawiają rolę. Jeszcze lat kilkadziesiąt tej „pokojowej inwazyi,“ a dla Koreańczyków nie będzie już miejsca w Korei.

Koreańczycy są, jeśli wierzyć można opisom podróżników, narodem apatycznym, daleko apatyczniejszym niż inne apatyczne narody bliskiego i dalekiego Wschodu. Większą część swego czasu trawią na przechadzaniu się w szlafrokach i paleniu nieodstępnej fajki. Tak daleko nie sięga jednak ich apatya, aby spoglądać mogli z założonemi rękoma na to, co się dzieje w ich kraju pod rządami obcych przybyszów. Dodać do tego należy, że ci przybysze są dziedzicznymi ich wrogami, że od żadnego narodu Koreańczycy nie doznali w poprzednich wiekach tyle krzywd i ucisku, co właśnie od tych samych Japończyków, którzy dzisiaj pod pokrywką postępu i cywilizacyi, pod hasłem reform zbauwionych, wkładają na ich karki jarzmo niewoli.

Tą samą nienawiścią, co lud koreański, pałał ku nieproszonym swoim opiekunom i świeżo zdetronizowany cesarz Korei. Cesarza tego przedstawiają jedni, jako monarchę ożywionego najlepszeni chęćiami, gorącego zwolennika postępu i cywilizacji, nie opierającego się bynajmniej reformom, mogącym kraj jego podnieść z politycznego i gospodarczego upadku -- inni, jako typ orientального władcy, apatycznego i chwiejnego, oddającego się wyłącznie rozkoszom haremowym i poddającego się niewolniczo wpływowi intrygującego bezustannie swego otoczenia.

Sprzeczność ta tłómaczy się prawdopodobnie w ten sposób, że Li Heng w pierwszym okresie swego panowania podlegał wpływom energicznej, inteligentnej i holdującej postępowi swej żony. W kobiecie tej Japończycy upatrywali, słusznie czy niesłusznie, główną przeszkodę do urzeczywistnienia swych planów, zmierzających ku zagarnięciu Korei, przeszkodę, którą należało usunąć za każdą cenę.

W nocy więc 8 października 1895 r. wtargnął na rozkaz posła japońskiego w Seulu, hrabiego Miury, oddział żołnierzy japońskich do koreańskiego pałacu królewskiego i pospędzał lub uwięził warty koreańskie. Następnie skrytobójcy, zapłaceni złotem japońskiem, wkroczyli na pokoje królewskie, szukając królowej. Nieszczęsnej ofierze zamachu udało się schronić do ogrodu. Tam jednak odnaleźli ją mordercy, przeszli mieczami i drgające jeszcze jej zwłoki spalili na stosie, pośpiesznie ułożonym i naftą oblanym.

Od straszliwej tej nocy zmienił się podobno do niepoznania energiczny dawniej charakter Li Henga. Widmo królowej, w tak okrutny sposób zamordowanej, stało mu odtąd przed oczami; przewidywał, że i jego spotka prędzej czy później los podobny i obawa ta odbierała mu dawny hart i siłę woli. Mimo to nie poddawał się bez oporu uroszczeniom japońskim, coraz uciążliwszym, szukał dróg wyjścia z nieznośnego położenia i po kolei zwracał się do mocarstw z prośbą o pomoc. Szczególną nadzieję pokładał w poparciu Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, spoglądających od dość już dawna okiem niechętnem na wzrost potęgi japońskiej na oceanie Spokojnym, i kilkakrotnie odwoływał się przez swoich wysłanników do prezydenta Roosevelta. Nadzieja w tę pomoc zawiodła tak samo, jak wszystkie inne.

Wówczas nieszczęśliwy władca, albo posłuszny własnemu natchnieniu, albo, co również nie jest wyłączone, w następstwie zręcznej intrygi japońskiej, zdobył się na krok ryzykowny, wysłał do Hagi poselstwo, które przed areopagiem mocarstw, tam

zgrupowanych, roztoczyć miało skargi Korei na ucisk ze strony Japończyków i żądać przywrócenia jej niezależności, zagwarantowanej swego czasu przez mocarstwa.

Delegacja koreańska doznała w Hadze bardzo przychylnego przyjęcia — ze strony prywatnego zebrania prywatnych przyjaciół pokoju i dziennikarzy wszelkich narodowości. Na zebraniu tem przywódca delegacji, książę Tyong-li, w wymownych słowach przedstawił wszystkie krzywdy, jakich Korea doznała i doznaje ze strony Japonii, oświadczył, że traktat z r. 1905 został przemocą wymuszony na cesarzu koreańskim, dowodził, że wzrost potęgi i zuchwalstwo Japończyków zagrażają poważnem niebezpieczeństwem mocarstwom europejskim, oraz że jedynie niezależność Korei zabezpieczyć może trwały pokój na Dalekim Wschodzie.

Zebranie, po wielkiej mowie głośnego apostoła pokoju, pana Stead'a, który gwałtownie napadał na Japończyków, ale jednocześnie, aby ich ułagodzić, siebie samego przedstawił, jako obywatela „największego rozbójniczego narodu na świecie,“ odrzuciło, jako zbyt daleko idącą, rezolucję, domagającą się wyrażenia sympatyi Koreańczykom a oburzenia Japończykom. Ograniczono się na zaznaczeniu, że jedynie organizacja wiecznego pokoju i zapewnienie międzynarodowemu trybunałowi polubownemu powszechnego uznania, zwrócić może narodom ujarzmonym ich prawa i wolność utraconą.

Po tem zebraniu delegaci opuścili Hagę i wyruszyli do Ameryki, aby tam, na zebraniach publicznych, opisem swych krzywd mobilizować opinię przeciw „zaboreczym i zdrazieckim Japończykom.“ Bezpośredniego, praktycznego skutku nie wyda oczywiście ta podróż agitacyjna. Nie mniej przecież lekceważyć jej nie należy, jeśli się zważy stosunki wielce naprężone, panujące od pewnego czasu pomiędzy Stanami Zjednoczonymi Ameryki Północnej a Japonią. Naprężenie to jest, zwłaszcza w Ameryce, ale po części i w Japonii, w obecnej chwili tak wielkie, że czynnik, napozór nawet najpodrzedniejszy, wywołać może gwałtowną eksplozyę.

Do konferencyi pokojowej delegacja koreańska nie znalazła, rzecz prosta, dostępu. Na mocy traktatu z r. 1905 stosunki i interesy zagraniczne Korei reprezentuje Japonia, Korea więc, jako państwo zależne, nie otrzymała zaproszenia na konferencyę i nie miała prawa uczestniczyć w jej naradach. Żadne też z mocarstw nie okazało chęci interwencyi na rzecz umierającego, gdzieś na Dalekim Wschodzie, drugorzędnego państwa, sparzyć sobie palców

i narazić się na niechęć Japonii, potężnej i drażliwej w poczuciu swej potęgi.

Postawę tę urzędowych przedstawicieli mocarstw wobec Korei sankcjonowała, przynajmniej w części, europejska opinia publiczna, o ile się ona wyraża w prasie. Zapewne, że tu i owdzie spotkać się było można ze słowami współczucia dla nieszczęśliwego narodu, tracącego swą wolność, z wyrzutami, stawianemi najezdnikowi i gnębielowi. Obok tego, ujawnia się jednak w głosach prasy, omawiającej tragedję koreańską, „zdrowy“ egoizm, nie zaciemniony żadnym sentymentalizmem, żadnymi względami etyki i moralności publicznej.

„Z punktu widzenia francuskiego — pisze najpoważniejszy dziennik francuski, „Temps“ paryski — wypadki koreańskie nie mogą nas ani zadziwić, ani niepokoić. Zwierzchnictwo pełne i ostateczne było przewidziane od ostatniej wojny. Przyjęte ono zresztą zostało przez Francję w traktacie z r. 1907. Rzeczą jest dla nas całkiem obojętną, czy cesarz nastąpi po cesarzu, czy protektorat ulegnie zmianie, czy wreszcie dokona się aneksya. Nie mamy niczego do życzenia w Korei z wyjątkiem swobody dla naszych przedsiębiorstw handlowych i przemysłowych. Otóż ta swoboda została nam zapewniona przez Japonię w traktacie, który świeżo z nią zawarliśmy. Nieszczęścia Li-Henga nie wywierają na nas żadnego wrażenia.“

W tym samym duchu, nieledwie w tych samych słowach wyrażają swe zapatrywania na przewrót, dokonywający się w Korei, wpływowe dzienniki niemieckie. I one domagają się wyłącznie swobody dla niemieckich interesów handlowych i przemysłowych i one moralną stronę tej tragedji dziejowej traktują jako „quantité négligeable.“ Niezależnie od tego, Niemców, którzy podobno nie boją się nikogo oprócz Boga, napęła straszliwą trwogą wiadomość czy pogłoska, że zdetronizowany Li-Heng zamierza rozbić swe namioty we wschodnio-azytyckiej kolonii niemieckiej, Kiauczau. Zanim więc jeszcze potwierdziła się pogłoska, prasa wzywa rząd, aby nie wpuścił na terytorjum niemieckie tego nieproszonego gościa, który mógłby narazić Niemcy na niebezpieczną wielce niechęć Japonii.

W najtrudniejszym położeniu znaleźli się oczywiście Anglicy. Nadzwyczaj żywe w tym narodzie poczucie moralności prywatnej i publicznej, nie pozwalało mu pochwalać oczywistego gwałtu, popełnionego na słabszym przez silniejszego. Z drugiej zaś strony wzgląd na sprzymierzeńca Anglii nakazywał pewną wstrzeźliwość. Ostatecznie jednak z wpływowych dzienników au-

gielskich jedne tylko „Times“ stanęły bez wszelkich zastrzeżeń po stronie Japończyków i pochwały detronizację Li-Henga.

„Oburzenie Japończyków — pisze wzmiankowany dziennik — z powodu zdradzieckich machinacyj, jakich się dopuścił monarcha koreański wraz ze swoją kliką pałacową, jest zrozumiałe i całkiem usprawiedliwione. Japończycy winni jednak nie zapominać, że spodziewać się było można takiego postępowania ze strony dworów w rodzaju dworu seulskiego. Nasza historia dyplomatyczna i administracyjna na Wschodzie jest długim spisem podobnych intryg ze strony przedstawicieli dynastyj zniewieściatych i ich zdradzieckich doradców.“

Swoją drogą „Times“ przestrzegają Japonię przed krokami zbyt krewkimi:

„Cierpliwość stanowi bez kwestyi największą cnotę polityczną w stosunkach z zacofanymi monarchami i rasami. Zbyt energiczne postępowanie w Seulu wrogowie Japonii wyzyskaćby mogli na swoje cele. Naturalnie zarządzić należy przeciwko zdradzie ze strony dworu koreańskiego odpowiednie środki zaradcze, im łagodniejsze jednak będą te środki, tem skuteczniej doprowadzą one do celu.“

Teorya o skuteczności środków łagodnych nie trafiła do przekonania Japończyków. Niespodziewane, a może aż nadto spodziewane zjawienie się delegacy koreańskiej w Hadze, posłużyło im za dogodny pozór do naciągnięcia strun energicznych i najenergiczniejszych. W ich oczach całkiem zrozumiały protest cesarza koreańskiego przeciw sekwestracji swej niezależności i samodzielności politycznej, był zdradziecką machinacyą, domagającą się przykładowego ukarania.

Jako zdolni uczniowie dyplomacy europejskiej starali się jednak tym razem o zachowanie wszelkich pozorów zewnętrznej przyzwoitości. Najprostszą drogą wyjścia i najbardziej odpowiadającą tradycyom i zwyczajom azyatyckim, byłoby zgotowanie Li-Hengowi losu jego małżonki. Nie uczynili jednak tego, nie zepchnęli nawet „intrygującego“ cesarza z tronu. Nie—Li-Heng abdykował dobrowolnie! Po naradzie ze swymi ministrami, bez wyjątku kreaturami Japończyków, ogłosił następujący manifest abdykacyjny:

„Idąc śladami swoich przodków zasiadaliśmy przez lat 44 na tronie i musieliśmy walczyć z wielu trudnościami. Nie osiągnęliśmy tego, co osiągnąć zamierzaliśmy. Nadzwyczaj ciężkie przesilenie w życiu narodu zagrażało rozwojowi państwa niebezpieczeństwem, większem, niż kiedykolwiek przed tem. Obawiamy

się, że istnieje niebezpieczeństwo podobne temu, które zagraża idącemu po lodzie. Na szczęście posiadamy syna, którego przyroda wyposażyła niezwykłymi cnotami, i który w całej pełni zasługuje na to, aby powierzono mu opracowanie planów, mających na celu rozwój rządu i państwa. Na niego przelewany nasze dziedzictwo, uświęcone zwyczajem starodawnym.“

Zaznaczyć należy, że nowy cesarz Li-Czok, który po abdykacyi ojca wstąpił na tron koreański, jest podług źródeł japońskich lub inspirowanych przez Japończyków w przeciwieństwie do „zacoфанego“ Li-Henga gorliwym zwolennikiem reform. Inne natomiast, bezstronniejsze źródła przedstawiają go jako kretyna, całkiem niezdolnego do samodzielnego sprawowania rządów i tem samem jako niewolnicze narzędzie w ręku Japończyków.

Do abdykacyi Li-Henga Japończycy nie przykładali rzekomo wcale swej ręki. Abdykacya ta wprawiła ich nawet w zdumienie. Tak przynajmniej głosili na wszystkie tony zarówno generalny rezydent japoński przy dworze seulskim i właściwy w obecnej chwili władca Korei, margrabia Ito, jak i japoński minister spraw zagranicznych, Hayaszi. Ciekawą jednak ilustracją tych zapewnień stanowi nowy traktat, wymuszony przez Japończyków na Korei, bezpośrednio po abdykacyi cesarza. Traktat ten, który ma na oku „podniesienie potęgi i rozkwit Korei,“ zawiera następujące najważniejsze artykuły:

- 1) Korea w sprawach wewnętrznego swego zarządu kieruje się wskazówkami generalnego rezydenta japońskiego.
- 2) W sprawach prawodawczych i administracyjnych, w razie przedsięwzięcia ważnych kroków, przedewszystkiem niezbędne jest wyjednanie zgody rezydenta.
- 3) Sprawy sądowe oddziela się od spraw administracyjnych.
- 4) Mianowanie i usuwanie wyższych urzędników odbywa się za zgodą rezydenta.
- 5) Z polecenia rezydenta do służby rządowej koreańskiej przyjmowani będą poddani japońscy.
- 6) Bez zgody rezydenta poddani zagraniczni do służby koreańskiej przyjmowani nie będą.

Jeśli więc traktat z dn. 17 listopada 1905 r. przyznaje Japończykom jedynie kontrolę nad sprawami zagranicznymi Korei, to umowa z dn. 25 lipca r. 1907 oddaje w ich ręce i cały zarząd wewnętrzny, pozbawia Koreę nie tylko niezależności w stosunkach międzynarodowych, ale i samodzielności w urządzaniu wewnętrznych swych stosunków, zamienia ją chociaż nie nominalnie, to jednak faktycznie w prowincję japońską.

Lud koreański poznał w rzekomo dobrowolnej abdykacyi swego cesarza to, czem ona była w istocie, dzieło przemocy i gwał-

tu, popełnionego przez Japończyków. Wybuchły więc, zwłaszcza w Seulu, krwawe rozruchy, w których połała się obficie krew po obydwóch stronach. Ze stolicy wzburzenie przeniosło się na kraj cały, i wszędzie Japończycy spotykają się z mniej lub więcej groźnymi objawami nienawiści.

Są to oczywiście przedśmiertne tylko drgania obumierającego organizmu państwowego, rozpaczliwe lecz nieudolne próby oporu ze strony narodu, skazanego na niechybną zagładę. Do pewnego stopnia słuszny jest aforyzm, że narody mają los taki, jaki sobie zgotowały i przyszłość, na jaką zasługują. Niestety było Korei, że stała się przedmiotem pożądliwości potężnego sąsiada, większem nieszczęściem a po części i winą, że nie umiała się we właściwym czasie przygotować na wszelkie możliwości, zdobyć się na środki, niezbędne do skutecznej obrony swej niezależności. Dzisiejszy opór Koreańczyków przeciw narzuconej sobie protekcyi japońskiej, jest w rzeczy samej walką drobnego raka przeciw olbrzymiemu wielorybowi. Japończycy wszystko przewidzieli i wszystko przygotowali, nieledwie w mgnieniu oka pozbyli się dawnego barbarzyństwa i odrazu stanęli w pierwszym rzędzie mocarstw, decydujących o losach świata. Kraj, „pogodnego poranka,“ nie umiał czy nie chciał otrząść się z dawnego zastoju, nie umiał czy nie chciał podążyć za cywilizacją i postępem, z założonemi rękami spoglądał na zrywającą się burzę—i kataklizm dziejowy, rozgrywający się na Dalekim Wschodzie, pochłonął go jako ofiarę bezsilną i bezbronną, oddał go na łup najeźdźnikowi silniejszemu, bo wyposażonemu we wszystkie zdobycze cywilizacyi, a jednocześnie nie przebieierającemu w środkach, przy dążeniu do celu sobie postawionego.

*

*

*

I teraz odślania się inna strona kwestyi, budząca refleksyę ogólniejsze.

Dawna Korea — to zastój i zacofanie, to despotyzm panujących i ciemnota ludu, to zdzierczość urzędników i sprzedajność sędziów, to nieład w administracyi i zamęt we wszystkich stosunkach politycznych, społecznych i gospodarczych.

Nowa Korea—to postęp i cywilizacya, to reformy zbawienne we wszystkich dziedzinach życia, to uregulowanie administracyi i finansów państwowych, to uczciwość urzędników i zgodny z prawem wymiar sprawiedliwości, to rozwój i rozkwit przemysłu, handlu i rolnictwa.

Czemże się jednak dzieje, że Koreańczycy nie widzą czy widzieć nie chcą tych dobrodziejstw, któremi ich obdarzają nowi opiekunowie? Czemże się dzieje, że mężczyźni zrzekają się dobrowolnie największej i właściwie jedynej swej namiętności, palenia tytoniu, aby pieniędzmi w ten sposób oszczędzonymi spłacić dług państwowy, w którym w swej naiwności upatrują główną przyczynę obecnej swej zależności od Japonii? Czemże się dzieje, że kobiety na ten sam cel ofiarują swoje kosztowności? Czemże się dzieje, że flegmatyczny i apatyczny lud koreański chwyta za broń, aby przemocą wygnąć ze swego kraju dobroczyńców, przynoszących mu wszelkie błogosławieństwa cywilizacyi?

Bo narodowi, który nie zrzekł się jeszcze nadziei w swoją przyszłość, który nie wyzbył się jeszcze poczucia swej godności, największa nawet pomyślność materialna nie wynagrodzi utraty bytu niezależnego. Cywilizacya wtedy jedynie staje się dla niego prawdziwem dobrodziejstwem, jeśli jest wynikiem własnych jego wysiłków, własnej jego pracy i własnego rozwoju. Narzucona mu z zewnątrz, przemocą, przez wroga, staje się ciężarem i przekleństwem, i dla tego odpycha ją ze wzgardą i obrzydzeniem.

Cywilizacya — ile kłamstwa i obłudy kryje się pod szczytnem tem hasłem, ile zbrodni popełniano w jej imieniu, ile razy nadużywano jej do pokrywania najwstrętniejszych, najohydniejszych celów!

Japończycy cywilizują Koreę, aby, jak głoszą w swych memoriałach urzędowych, wzmocnić potęgę tego kraju, przygotować go stopniowo do prawdziwej niezależności. W tym celu wypierają ludność miejscową ze wszystkich urzędów i stanowisk, wyzyskują na własną korzyść przyrodzone bogactwa „cywilizowanego“ kraju, zagarniają jego przemysł, handel i rolnictwo. Nie — cywilizacya przyniesiona jej przez Japończyków nie podźwignie Korei z dzisiejszego jej upadku, owszem pograży ją jeszcze głębiej w bezsilność, odbierze jej wszelką możność odzyskania niezależności i wtłoczy ją bez ratunku pod jarzmo japońskie.

Zresztą Japończycy w postępowaniu swem wobec Korei posługują się tylko metodami, które podpatrzyli u europejskich swych nauczycieli. Badając historję przekonali się, że dzieje wielkich mocarstw nie są właściwie niczem innym, tylko jednym,

nieprzerwanym szeregiem podbojów i czynów przemocy, dokonywanych zwykle pod hasłem cywilizacji. Jeśli zaś pomimo tej tendencji mocarstw zwiększania się kosztem słabszego sąsiada utrzymała się do dziś dnia przy życiu dość znaczna liczba państw drugo i trzeciorzędnych, to zawdzięczają one swe istnienie jedynie rywalizacji pomiędzy mocarstwami.

Względy na słuszność i sprawiedliwość w tej wstrzemięźliwości mocarstw żadnej nie odgrywają roli. W życiu politycznym spycha je i, dzisiaj jeszcze, pomimo wszelkich konferencji pokojowych i hasel humanitarnych, na plan podrzędny, a w każdym razie na plan drugi, górujący nad wszystkim egoizm narodowy i dobrze czy źle zrozumiany interes państwowy. Egoizm ten i interes nakazują silniejszemu tak dzisiaj, jak przed laty tysiącem, tak w cywilizowanej Europie, jak na barbarzyńskim Wschodzie, obdzierać i dławić słabszego, niezdolnego do skutecznej obrony.

Japończycy przedewszystkiem od Prusaków nauczyli się strategii i taktyki, sztuki organizowania armii i odnoszenia zwycięstw. Ale i pod innym względem podpatrzyli swych mistrzów, nauczyli się od nich bezwzględного i brutalnego wyzyskiwania swej materialnej przewagi, stosowania barbarzyńskiej maksymy: „siła przed prawem,“ a powoływania się na hasła rzekomo cywilizacyjne.

I Prusacy w ziemiach, zabranych dawnej Polsce zaprowadzili ład i porządek, ustanowili wzorową administrację, zakładali banki, popierali przemysł, handel i rolnictwo, budowali drogi i koleje. A jednak ziemie te zamieniły się dzisiaj, po stuletniej przeszło intensywnej działalności cywilizacyjnej, w krainę łez i rozpacz, w ognisko najstraszliwszego moralnego i materialnego ucisku. Bo miejscowa ludność uszczęśliwiona temi dobrodziejstwami cywilizacji zdobyć się nie chciała i nie mogła na jedno drobne, zdaniem „cywilizatorów,“ ustępstwo, nie chciała i nie mogła wyrzec się swojej narodowości. Urzędowe memoryaty japońskie o reformach, dokonanych w Korei, przypominają ludząco dawniejsze sprawozdania kierowników władz pruskich w W. ks. Poznańskim i Prusach Zachodnich. Tych samych środków co Prusacy na wschodnich kresach swego państwa, Japończycy chwytają się w Korei, i ostateczny skutek tej ich „misy cywilizacyjnej“ będzie zapewne podobny.

*

*

*

Kraj „pogodnego poranka“ wykreślony został w czasie najgłębszego pokoju, z rzędu państw niezależnych, a urzędowy świat cywilizowany, obradujący obecnie nad wieczystym pokojem, przeszedł nad tym aktem gwałtu i przemocy do porządku dziennego. Żadne z mocarstw nie uważało za właściwe ująć się za pokrzywdzonym. Japończycy w spokoju korzystać mogą ze swego łupu i przy jego pomocy konsolidować swoją potęgę i świeżo zdobytą przewagę na Dalekim Wschodzie. Do pewnego stopnia cieszyć się nawet mogą poparciem i uznaniem moralnem, przynajmniej ze strony tych publicystów, dość licznych zwłaszcza na Zachodzie, którzy w połknięciu „raka koreańskiego“ przez „japońskiego wieloryba“ widzą jedynie tryumf cywilizacji nad barbarzyństwem.

Na szczęście, nie brak jednak głosów przeciwnych, głosów energicznego protestu przeciw temu pogwałceniu prawa i sprawiedliwości, jakiego się dopuścił w poczuciu swej siły i bezkarności potężny najezdnik, i głosów współczucia dla nieszczęśliwego narodu, drgnącego w walce przedśmiertnej, tracącego swą niezależność i samodzielność. Oczywiście ani ten protest, ani to współczucie nie odniosą bezpośredniego skutku praktycznego, nie powstrzymają miecza zagłady, wiszącego nad głowami Koreańczyków. Nie mniej jednak stanowią one objaw pocieszający, bo dowodzą, że nie zamarło jeszcze do reszty wśród ludzkości cywilizowanej sumienie publiczne, poczucie prawa, słuszności i sprawiedliwości, że i dzisiaj jeszcze, w czasach samowładnego jakoby panowania egoizmu i materializmu, skarga pokrzywdzonego i gnębionego budzi głośny oddźwięk w sercach bardzo licznych, że i dzisiaj jeszcze idealizm, tak pogardzany i wyszydzany, ma swoich zwolenników i wyznawców.

KAZIMIERZ PUFFKE.

F. BRUNETIÈRE i EWOLUCYONIZM

w historyce literatury.

Kilka już miesięcy upłynęło od śmierci Brunetière'a. Mimo to wydaje się, że niniejszy szkic nie jest spóźnionym. Hołd oddany temu uczonemu będzie zawsze na czasie, bo zasługa jego trwalszy mu rozgłos zapewnia, niż ten, co sięga tylko kilku dni żałoby, i to nie tylko dlatego, że był jednym z czterdziestu „nieśmiertelnych.“ Ślady działalności będą go nam długo przypominały, a może nawet — nie chcę uprzedzać własnych wywodów — przyszły kronikarz naszej umiejętności przeznaczy mu miejsce na początku nowej epoki w dziejach krytyki literackiej.

Lepiej też głos zabierać wtedy, kiedy już nie stawia się krzyżyka przy nazwisku, skoro się nie chce przyczyniać do głosu stugębnej famy, ale rozważać.

Nie będziemy kreślili sylwetki zmarłego, bo krytyk nie zajmuje nas nigdy przez swą osobowość, owszem, cenimy go o tyle więcej, im zupełnie potrafił się oderwać od swej indywidualności, im dalej wyszedł po za swoje wrażenia, im głębiej wszedł w swoją naukę. Bo dla nauki przedstawia on tylko dwie wartości: pewien zasób materiału naukowego, który zdobył i zakres erudycyi, którą rozświetlał swoje badania; powtóre zasługa jego mierzy się zdatnością i oryginalnością jego metody. O ile mowa o metodzie, jako o narzędziu pracy naukowej, to wchodzi w rachubę również przymioty umysłu, inklinacye do tej lub tamtej specjalności. Wszystko, co po za tem, już nas nie zajmuje. Biografia i fazy rozwojowe, tragedye życia, to wszystko, coby interesowało u poety, tu dla nas obojętnem. Poeta w dziele swoim daje płód

zarówno swojej myśli, jak i swojego uczucia, dzieło poetyckie jest odbiciem jego jaźni, w miraż natchnienia wczarowanej. Uczony—daje tylko wynik pracy umysłowej. Jeśli ją zabarwia osobistą sympatją, uczuciem pod jakąkolwiek postacią, czyni źle, bo czyni rzeczy wrogie nauce, której wyłącznem narzędziem badania jest poznanie rozumowe i wnioskowanie logiczne. Przeto chociaż współcześnie uczonej i osobą swoją zaciekawia, bo bywa zwykle wybitniejszą indywidualnością, to jednak dla potomności i dla nauki, która się karmić będzie owocami jego pracy, wartość przedstawiają tylko jego wyniki naukowe.

Dlatego nie będę mówił o Brunetierze, o jego walce z życiem o byt, tak zresztą typowej, nie o Brunetierze-radykale z lat młodych, ani o gorącym katoliku z lat dojrzałych... Wszystko to zostawimy na boku; natomiast mówić będziemy o jego książkach, mając na oku *idee* w nich zawarte, o jego *metodzie* naukowej i coś niecoś—jeśli będzie potrzeba dla rzucenia światła—o kardynalnych właściwościach jego intelektu, o ile na książkach znamię wytoczyły.

Cieszymy się też, że nie trzeba będzie mówić o drobiazgach. Bo praca i zasługa Brunetière'a leży nie tyle w zakresie mozolnych poszukiwań archiwalnych, choć i te znał, albo badań nad tekstami, choć i to umiał, ile głównie w dziedzinie literatury samej. Polegało dzieło jego na syntetyzowaniu i teoretyzowaniu objawów literatury.

Ze śmiercią Brunetière'a zabrakło istotnie we Francyi człowieka, o którym wprawdzie nie da się powiedzieć, aby był popularnym—czy to zasługą?—ale który, trzeba uznać, prawie jeden był zdolny pobudzić do ocknienia krytykę francuską od lat kilku spoczywającą w kryzysie letargu. Powoływało go do tego doświadczenie, zdobyte w kampaniach literackich, czyniła go zdolnym do tego głęboko pojęta znajomość praw trwałej sztuki, kazało się wreszcie spodziewać w nim chorążego odrodzenia—jego przywiązanie do młodzieży i jego zapał, który tryskał z każdej polemiki. Istotnie, po zboczeniach sceptycyzmu i wrażliwości, następują dni, w których młodzież—choć nie wszystka—garnie się do trzeźwego i wierzącego w stałe prawdy arystarchy. Taki René Doumie, zwracający się do klasycznej tradycyi, a jeszcze więcej Ant. Albalut, wielbiący naukowość krytyki Brunetière'a, są najlepszymi wyrazami tego zwrotu.

Mimo to Brunetière popularnym we Francyi nie był. Napadano na „klasyka,* gdy się nie poprawiał, zgoła o nim chciano zapomnieć, jako o tym, który szedł naprzeciw gustom i opiniom

większości. Lemaître, którego informacya daje rękopinię pewności sine ira et studio tak o nim pisze:

„P. F. Brunetière, który sam mało kocha, wcale nie jest lubianym. Młodzi i ci z nowej szkoły, nienawidzą go, wyklinają, zadusiliby go chętnie. Profesorowie mówią o nim, że jest pedantem, aby sami mogli uchodzić za innych. Ma przeciw sobie fałszywych erudyków i erudytki, nadto zarozumiałych co do swojej wiedzy. Niema za sobą ani lekkoduchów, ani sentymentalnych, ani nerwowych. Panie go czytają mało. Sympatye, które pobudza, są rzadkie i chłodne. Z tem wszystkiem jest on *czems*, z jego zdaniem trzeba się liczyć, czuje się, że nigdy nie można go lekceważyć. Słowem—on ma powagę.“

To też, nawet po śmierci nie pokwapiono się do obrachowania jego dorobku. O małym zainteresowaniu się nim świadczy szczupła ilość studyów o nim ¹⁾, które przeważnie przed 1890 r. powstały, a więc nie mogą ujmować zasadniczych idei krytyka ewolucyi, który swoją doktrynę dopiero w tymże roku światu ogłosił²⁾. To też tem naglejsza okazuje się potrzeba ujęcia całości kształtu dzieła Brunetière'a, tembardziej, że nieliczne pośmiertne artykuły notatkowy tylko charakter mają.

U nas zaś Brunetière zbyt mało jest znany, czego dowodem wymownym, że Chmielowski, któremu jego teoria nie była obcą, pisząc swoją „Historję krytyki literackiej w Polsce,“ jego wpływu nie uwzględnił.

¹⁾ Por. Renard: *Les princes de la jeune critique*. Paryż, 1890 r. Lemaître: *Les contemporains*. 1890 r. Artykuł wszakże był drukowany w „Revue bleue“ wcześniej. Rozpatrzenie teorii ewolucyjnej znaleźć można w mało znanym artykule Albalat'a p. n. „Brunetière et la critique d'aujourd'hui.“ Nie wiedząc, gdzieby się znajdował, nie mogłem go uwzględnić; przytaczam na odpowiedzialność p. A. Langego. (Przewódski: *Krytyka liter. we Francji*). Po śmierci pisali o nim między innymi: Paul Wiegler: *Leipziger Tageblatt* (595). Melchior de Vogüé: *Revue des deux mondes* (1 styczn.). E. Lamy: *Correspondant* (25, 12, 06).

²⁾ „L'évolution des genres dans l'histoire de la littérature française,“ wykłady wygłoszone w Ecole Normale 1889. W książkowym wydaniu 1890.

Gdy 15 lutego 1895 r. zasiadał na fotelu akademickim, opróżnionym przez śmierć Jana Lemoigne, wyznawał i chełpił się tem, że od początku swojego zawodu, jako współpracownik „Revue des deux mondes“ i jako maître des conférences w Ecole normale supérieure, „jako profesor czy krytyk, słowem czy piórem“ walczył „o wzmocnienie siły tradycyi, o utrwalenie jej praw, przeciw burzliwemu atakowi nowych prądów („modernité“).“¹⁾

W przytoczonych słowach dobrze się charakteryzuje. Te dwadzieścia lat przed wstąpieniem do Akademii zapełniła mu praca nad w. XVII, którego był najlepszym znawcą, rezultatem jej były 7-tomowe „Etudes critiques,“ uwieńczone przez Akademię Francuską. Ale nie tylko badał i poszukiwał on w tej pracy nowych odkryć, starał się przedewszystkiem zrozumieć artystyczny ideał tej epoki. Ponieważ uznawał ją, jako klasyczną, za najwyższą w literaturze swego narodu, więc rozumiał, że prawa wysnute z obserwacji tych dzieł będą ogólnemi prawami dla twórczości piśmienniczej. Gdy doszedł do ich sformułowania, dalsza działalność oparła się na ich jednolitej podstawie i była już tylko konsekwentnem przystosowaniem zdobytych prawideł, mierzeniem ich miarą i sądzeniem według ich kodeksu.

Zobaczmy naprzód, jak przykładał tę miarę do objawów literatury bieżącej i jak później na tym fundamencie, wsparty jeszcze doświadczeniem, w innych naukach zdobytem, zbudował własną teorię.

Jako zapaśnik występuje w latach 1875—1888 w walce o romans naturalistyczny. Artykuły polemiczne, w tych latach napisane, zebrał w książkę p. n. „*Le roman naturaliste*,“ o której od razu trzeba powiedzieć, że jest czemś więcej, niż zbiorem związanych ze sobą przeznaczeniem artykułów. Tendencją książki jest przez krytykę wad wskazać powieściopisarstwu drogę do sztuki trwałej. Dlatego też, w chwili, gdy już otrząsnął z siebie pył walki, pisał w przedmowie, że chciał „wymagania sztuki prawdziwie naturalistycznej, jako to: siła obserwacji, sympatya dla cierpienia, litość dla małych i prostota wykonania, przeciwstawić bardziej powszechnym cechom naturalizmu tegoczesnego: manii niedbałości artystycznej (superstition de „l'écriture artiste“), czarnowidztwu literackiemu i upodobaniu grubych tematów.“ Ten zaś ostatni naturalizm jest wręcz dążeniem złem, systematycznym do obalenia wieczystych praw sztuki.

¹⁾ Discours academiques, str. 4.

I jakież są te obłąkania naturalizmu? Występują one w osobach Zoli, Goncourt'ów, Claretie'go; podczas, gdy plusy w rachunku stanowią: „Madame Bovary“ Flaubert'a, „Les roix en exil“ Daudet'a i nowele Maupassant'a.

Doktryna romansu Zoli opierała się na podstawie tak bardzo sztucznej, że nie trudno ją było z pod nóg usunąć. W wieku pary i elektryczności jest ona objawem tego upojenia się chwałą naukowości u człowieka, który nie będąc ani siłą naukową, ani prawdziwym artystą, chciał stworzyć „literaturę naukową“, „sztukę nową, nawskroś eksperymentalną i materyalistyczną“, jako „dalszy ciąg i uzupełnienie fizjologii.“¹⁾ Cel jej ten sam, co nauki: zredukowanie sumy prawd nieznanych czyli t. zw. ideału. Technika literacka, romansu w szczególności, polega na wywołaniu eksperymentu z życia. Na takiej teorii budował Zola swoje powieści, które były niczem innym, jak tylko rozwiązywaniem problemów naukowych, fizjologicznych lub społecznych. Przeciw tej doktrynie, która wygnąć miała z literatury talent, geniusz, indywidualność artysty, natchnienie, wszelkie od woli niezawisłe, nieobliczone, a przecież nieodzowne pierwiastki twórczości artystycznej, wystąpił z energicznym protestem Brunetière. Przynosił ze sobą szersze widoki, głębsze myśli, pewniejszy zmysł estetyczny; nie dziw, że zwyciężał. Cięty krytyk nie szczędzi Zoli żadnego zarzutu, wykazuje mu brak kultury literackiej i filozoficznej, odmawia znajomości środków literackich, nazywa nieukiem, czasem jest zbyt dosadnym, gdy styl autora „Rougon Macquart“ określa jako gwazdanie wiechciem, albo w owym pamiętnym artykule, gdzie go „bawołem nad bawołami“ mianuje. Po za tymi ustępami książki, które kiedyś były celnymi pociskami w mrowisko nieprzyjacielskie, szukać trzeba myśli ogólnych, a znaleźć je nietrudno. Bo nie tylko dlatego zwyciężał, że umiał ośmieszać, ale dlatego, że walczył z głębokim przeświadczeniem o słuszności sprawy, bo wiedział, że ten prąd grozi zniszczeniem dotychczasowych podwalin sztuki, dążąc do wyniesienia realizmu, zasady reprodukcji życia powszedniego, do godności nowego principium. Wykazywał, że ta sztuka materyalistyczna—jeśli ją nazwą sztuki zaszczycić można—składa piękno formy na ołtarzu brutalnej władzy materyi, kontury rysunku ustępują w niej miejsca jaskrawym plamom barwnym, uczucie—ulicznej sensacyi, nie cofa się ani przed trywialnością, ani przed brutalnością, mówi językiem gawiedzi,

¹⁾ Zola: Le roman expérimental. Paryż, 1880, str. 22.

woli wydać sztukę na łup najgrubszym instynktom mas, aniżeli podnieść je do jej wyżyn.“¹⁾

Samo życie przyziemne nie może jeszcze wypełnić dzieła pióra, bo tylko jedną połową, tą gorszą, należymy do ziemi; w człowieku bardziej zajmującą jest część duchowa, która także jest realną; ale aby ją oddać, „nie wystarczy umieć widzieć, trzeba także czuć i trzeba myśleć.“ A tego nam nie dają ani Daudet, ani Zola, ani Goncourtowie, ani Malot, ani Claretie ze swoim „japonizmem“, niezdolni do wyrażenia szlachetnych piękności. Techniki ich zaletą jedyną jest fotograficzna wierność reprodukcji, jakiej najwybitniejszym przykładem są powieści dziennikarza Jul. Claretie, które sklecone z notatek tylko, na nazwę roboty reporterskiej zasługują. To wszystko nawet nie dorasta do nazwy realizmu, to wszystko aktualność, która za parę tygodni będzie przedstawiała wartość starej gazety, to wszystko dopiero materiały zebrane, które, choćby były najcenniejszymi, jeszcze utworu literackiego nie stanowią, bo przecież nie to, co artysta od społeczeństwa wziął, ale to, co mu własnego daje, zajmuje nas w książce. Tem, co nadaje dziełu trwalszą wartość, jest forma, jednolitość i harmonia kompozycji; tej nie mogą osiągnąć naturaliści, skoro książki swoje piszą wśród turkotu ulicy, albo wśród jęków szpitalnych, bo na przerobienie wrażenia na myśl czasu nie staje.

Brunetière tryumfował nad Zolą, gdy ten, zachęcony setkami wydań, w jakie mnożyły się jego powieści, poszedł za gustem publiczności i wydał pornograficzny roman: „Pot Bouille.“ Doczekał się wreszcie dni, w których mógł ogłaszać bankructwo naturalizmu z okazji nowej książki Zoli p. t. „La Terre“, w którym już „sujet d'ordure“ przebrał miarę, obrzydł czytającej publiczności do tego stopnia, że zabrakło nawet Zoli obrońców.²⁾

Łatwo było w bojowym hałasie ogłuchnąć i w kurzawie oślepnąć, Brunetière nie przestał jednak wypatrywać wśród objawów dnia takich, któreby trzeba było wynieść i pochwalić i to zaszczyt mu przynosi, że nie popadł w zrzędzenie, zaczawszy raz łajać „młodych.“ Do tych, których chwalił i oceniał trafnie, należał Flaubert; do tych, na których uwagę tłumu czytającego zwracał, należał Daudet. Chociaż początkowo (w r. 1877) szydził z antykwarskiej erudycji Flauberta, to jednak później spostrzegł różnicę, zachodzącą między Flaubertem, który cyzelował i emaliował swoje

¹⁾ Roman naturaliste. Rozdział I. Le roman réaliste en 1875.

²⁾ W ostatnich latach poddano ostrej krytyce rzekome „naukowe“ podstawy powieści Zoli.

tematy a współczesnikami, którzy tylko fotografowali. W trzy lata później, po jego śmierci, poświęca mu staranne studyum. Podziwiając w nim wykwintnego i biegłego w środkach ekspresyi artystę, przyznaje mu nawet rolę w historii piśmiennictwa. Jako temu, który skrzętną i rozważną pracą odnowił i wzbogacił technikę swojej sztuki. Tę samą „Madame Bovary,“ którą lekcewał dawniej, podziwia jako arcydzieło romansu naturalistycznego i zdobywa się na wiele znaczącą w ustach poważnego krytyka pochwałę: „Vous ne trouverez pas dans la littérature contemporaine beaucoup de pages d'une substance plus forte, ou d'un éclat plus solide, ou d'une beauté plus classique.“

Najczystszy wyrazem naturalizmu — tego, który na miano sztuki zasługuje — jest zdaniem Brunetière'a, Guy de Maupassant, w którego nowelach widzi wszystkie zalety naturalizmu. Chwali rozważną prostotę stylu, jasność kompozycyi, obiektywność, tematy zaczerpnięte z życia powszedniego, zwracając głównie uwagę na myślową część książki. To wszystko sprawia, że arcydzieło naturalizmu szukać trzeba między nowelami Guy de Maupassant'a.

Już powyższy przegląd opinii uwydatnia zdaje się bezstronność, z jaką oceniał Brunetière ten kierunek literacki. Ganił naturalizm, dopóki widział w nim tylko zdrożności, zboczenia od prostej drogi. Nie trudno było pozostać w „konsekwencji“ pierwszych orzeczeń i miotać się przez całe lat dwadzieścia z duręnną zawziętością przeciw „młodym,“ jak to ongi czynili nasi „klasycy,“ w zaślepieniu nawet dobre widzący w złem świetle, a raczej w cieniu, który rzuciły im na las wyrastający, pojedyncze, powykrzywiane pnie gdzieś na końcu lasu stojące. Brunetière gdzieindziej jednak widział „konsekwencyę“ — w zastosowaniu swoich przekonań o dobrej sztuce. Dlatego, daleki od jakichś zasadniczych antypatyj przeciw kierunkowi, przyklaskiwał wszystkiemu co wydawało mu się dobrem.

We wszystkich dziełach swoich okazuje się Brunetière, jako umysł wybitnie syntetyczny, wszędzie stoi mu przed oczyma idea generalna. Pamięta o celowości pracy, badając klasyków XVII w. i wyprowadza konkluzye ogólne, poza przedmiot badany sięgające. Nie zapomina też o kwestyach zasadniczej wagi w polemice. „Roman naturaliste“ jest pod tym względem arcyszczególnym przykładem książki, która, spojona z artykułów dorywczo pisanych w rozmaitych czasach w ciągu lat dwudziestu, dziś jeszcze posiada swą wartość, posiada ją właśnie dzięki tej właściwej Brunetière'owi skłonności sprowadzania wszystkiego do pytań ogólnych, do kwestyj podstawowych. Nie tyle tedy łatwe przyczepianie się do

tego lub owego mankamentu, nie tyle szykana, ani ataki słowne są treścią, jak to często bywa, ale zawsze dwa zasadnicze pytania: jakie są elementa nowej powieści i czy nowy kierunek posiada trwałą wartość, o której orzeka, nie wychodząc z formułek tej lub owej szkółki, ani według dogmatów klasycznych, jakby tego można się było spodziewać po wielbicielu klasyków, ale na podstawie głębokiego zrozumienia fundamentalnych praw i warunków, na których wszystkie teorye sztuki budować się muszą. I dlatego rzadko Brunetière się myli. Większą jeszcze dlań pochwałą, że późniejsza krytyka prawie nie wyszła poza te sądy, które on wydał wtedy, bo nic już nie było do dodania, ani nic do zgłębienia.

Własnym udziałem w tej kampani literackiej Brunetière najlepiej stwierdzał prawdziwość słów St. Beuve'a, orzekającego, że obowiązkiem krytyka jest przewidywać. „Krytyka jest to człowiek, którego zegarek idzie pięć minut przódziej od innych.“

Tu wychodzi Brunetière z ram książki i jako żywy uczestnik zostanie zapisanym przez historię w szeregu tych, którzy tworzyli prądy zeszłego wieku.

Zasługę dziejową naturalizmu oceniał już z odległości w ogłoszonej zeszłego roku książce o *Honoryuszu Balzacu* i tak definiował zasługę pisarza, którego już gdzieindziej ¹⁾ uważał za ojca naturalizmu:

„Jest to nowy sposób pojmowania życia i człowieka, uwolniony od wszelkiego „a priori,“ pozbawiony wszelkiej metafizyczności, albo raczej jest to *metoda*, metoda skomplikowana i subtelna, jak same fenomeny, które studjuje metodą konkretną i pozytywną, pracowitą i wytrwałą.“ I tutaj kończy taką refleksją ²⁾: „Wierzyć można, że studia z dnia na dzień rozleglejsze i dokładniejsze, liczniejsze i bardziej przenikliwe, pozwolą nam pójść coraz dalej, jak tego się spodziewał Balzac, pozwolą coraz głębiej poznawać człowieka i prawa społeczeństwa.“ Do czegoż zaś innego dążył naturalistyczny roman?

*

*

*

¹⁾ W „Roman naturaliste.“

²⁾ Przytaczamy ją dla tych, którzyby jeszcze sądzą, że Brunetière był nieprzyjacielem naturalizmu quand même.

Nie wystarczało jednak Brunetièrowi, że miał niezawodny zmysł estetyczny: rozumiał, że krytyka literacka na obiektywnych winna się oprzeć podstawach. Studium nauk przyrodniczych, a głównie znajomość teorii Darwina i dzieł Haeckla i Spencera przygotowała go do zastosowania doktryny ewolucyjnej, którą uważał za największą zdobycz myśli naukowej minionego wieku. Cokolwiek da się powiedzieć o tej teorii krytycznej, to zgodzić się trzeba na zdanie Faguet'a: „Ce n'est pas d'une médiocre intelligence de l'avoir inventée, et ce n'est pas une médiocre gloire de lui avoir donné son nom.“

Istotnie, na Brunetièrze najlepiej stwierdzić można, jak bardzo w nauce popłaca szerokość widnokregu. Jesteśmy przyzwyczajeni znajdować myśli, daleko po za przedmiot sięgające, prawie wyłącznie u dyletantów, którzy w sfery szerokiego światopoglądu wznoszą się w swoich pracach na skrzydłach „intuicji;“ ta właśnie wada przyzwyczaiła nas do lekceważenia prac syntetycznych, zwracając ku wyłącznemu uznaniu tych, które na drobiazgowej analizie i na ciasnym ograniczeniu przedmiotu się opierają. Właśnie Brunetière wskazał swoim przykładem, jak szerokie rzuty myśli naukowej oprzeć można na spójnej i twardej podstawie fachowej znajomości przedmiotu.

Książka p. t. „L'évolution des genres dans l'histoire de la littérature“ jest jedną więcej próbą stworzenia naukowej krytyki literackiej. Jeżeli dla poznania teorii krytycznej Brunetièr'a nie wystarczy ona sama—bo w niej wszystko tkwi jeszcze w sferze projektu, zamąconego nieraz, a niejedna idea później w wychowaniu się odmieniła—to przecież rozpatrzenie tej książki nieodzownem jest, już nie tylko dlatego, że jest w niej zawarty zarys dziejów krytyki literackiej francuskiej, która historii swej jeszcze się nie doczekała, ale przedewszystkiem dlatego, że doniosłość idei Brunetièr'a dopiero na tle historycznej ewolucji należycie się uwypukla. U Brunetièr'a zresztą wszystko wynika ze ścisłego badania natury danego przedmiotu na podstawie rozważania jego historii. Tak jest i z jego metodologicznymi teoryjami: wysnuwa je z dziejów tej umiejętności i nawiązuje do dotychczasowych zdobyczy.

Sam on w rozwoju krytyki literackiej stawia się po Taine. Wprawdzie polemizuje z jego teoryjami, argumenty są jednak wiotkie, a ograniczenia, które stawia minimalne; atakowane momenty rasy, środowiska i chwili dziejowej wciela zresztą do swego systemu.

Już powierzchowne jednak obserwowanie obu systemów przekonuje o zasadniczej różnicy między pojmowaniem krytyki lite-

rackiej u Taine'a, który dzieło uważa za dokument tylko, a zajmuje się badaniem człowieka typowego, epokowego w tem dziele tkwiącego, a pojmowaniem Brunetièrè'a, dla którego istnieją dzieła w oderwaniu od epok. Jedno jest stanowiskiem historyka, drugie—przyrodnika, uznającego organizmy skończone i zdefiniowane. Dlatego też sądzić nie można, jakoby Brunetièrè poprawił czy uzupełnił system Taine'a, dodając do trzech przez niego wyprawdzonych momentów czwarty: czynnik indywidualności. Taine wogóle nie mógł uwzględnić tego czynnika, dlatego, że inny u niego punkt wyjścia, niż u Brunetièrè'a. W koncepcyi dziejów literatury, jako rozwoju gatunków, Brunetièrè widzi jako jednostkę literacką *dzieło*, na które, jako czynniki modyfikujące, działają rasa, środowisko i indywidualność twórcy, Taine zaś, widząc w literaturze tylko dokument kultury, dociekał w niem właśnie tego, co Brunetièrè pomija „l'individu visible“ i „l'individu invisible,“ człowieka-twórcę. Stąd też, szukając przyczyn, które złożyły się na wytworzenie danego osobnika tworzącego, nie mógł przecież postępować inaczej, jak rozkładając go na pierwiastki społeczne, wspólne narodowi, w którym działa, reszta z rachunku, to dopiero oryginalność autora, o której jednak Taine nawet nie przypuszczał, aby mogła mieć źródło w indywidualności, której nawet nie uwzględnił, traktując historję i biografię jako „problem mechaniki psychologicznej,“ który w wyniku daje iloczyn trzech znanych czynników.

Skoro już mowa o indywidualności, to Brunetièrè musiał ją uwzględnić jako „siłę modyfikującą,“ gdyż była mu potrzebna, jako ogniwo w teoryi, gdyż rozwój odbywający się drogą różniczkowania, od indywidualuów się właśnie zaczyna.

Jeżeli jest jaki punkt styczny naczelných idei Brunetièrè'owskich z Taine'owskimi, to tylko w tem, że jeden i drugi zwracali się do nauk przyrodniczych. Przyrodnicze traktowanie dziejów literatury, które wyśledzić się da i u St.-Beuve'a w „rodzinach umysłowych,“ nie jest istotną zasadą systemu Taine'a, który — jeszcze raz powtórzyć trzeba — był historykiem. Posługiwał się w teoryi wzajemnych zależności i gdzieindziej tylko analogiami ze świata roślinnego i zwierzęcego. Brunetièrè dopiero wskazał *tertium analogiae* w teoryi ewolucyjnej, o której już nie wiele mam do powiedzenia po tem, co już raz na tem miejscu pisano ¹⁾.

1) Por. artykuł prof. E. Porębowicza Bibl. Warsz. 1892. T. I. Str. 159. Interesowanych odsyłamy zresztą do książki Przewósłkiego p. t. „Krytyka literacka we Francyi,“ gdzie pierwszy rozdział stanowi sumienne streszczenie omawianego dzieła.

Brunetière był pierwszym, który zastanowił się nad pytaniem: co to są gatunki literackie i co je do życia powoływa. Arystotelesowskie definicje, wyprowadzone z formalnych cech pewnej ilości utworów, uznanych za wzorowe—trwały i wystarczały. Kwestye początku i genealogii, ontogenii i philogenii gatunków, były obcemi krytyce dogmatycznej, która uważała gatunki literatury za formy stale określone przez arbitralnie nałożone reguły, nie zmieniające się pod wpływem żadnych warunków etnicznych ani kulturalnych. Na dzieło poetyckie, które opiewało uczucia, nalepiono etykietę „liryka,” na to, które opowiadało, „epika.” do katalogu dramatów zapisywano to, co przez dialog wywoływało reprodukcję zdarzenia... Trzeba było dopiero pojąć utwory literackie, jako żywe organizmy, przypatrzyć się ich wzajemnym stosunkom, kazać im w monografiach historycznych niejako żyć nanowo i poruszać się tak, jak żyły i poruszały się w umysłach twórców i ich współczesników, aby można było głębiej pojąć istotę rodzajów literackich. I tu pierwsza zasługa teorii ewolutywnej do naszej dziedziny zastosowanej, która nam na miejsce sztucznych, martwych definicji chce podać szereg praw z rzeczywistych stosunków wynikających. Tedy już wystarczało na afirmację jej bytu.

Stwierdzając jednak samo istnienie gatunków literackich i ich rozwój przez dyferencyację, zapomina Brunetière, że te dwie kwestye kryją w sobie trzecią: kwestyę początku rodzajów. Jeżeli rozwiniemy analogię z naukami przyrodniczymi, to będzie ją wyjaśniało istnienie jakiejś protoplazmy piśmienniczej. Wszelako nigdzie kwestyi początku gatunków literackich, nawet później nie będzie rozważał. Raz tylko próbuje ją poruszyć, bierze ją fałszywie i—jak zobaczymy—z małym skutkiem (mam na myśli wykłady o liryce). Dlaczego? Skoro Brunetière uważa, że gatunki literackie nie są bynajmniej czemś z góry danem i stałym, ale owszem czemś wytwarzającym się i zmiennem, to przecież poszukiwanie kolebki danego gatunku, nie będąc niemożliwością, jest przyzwyczajeniem nieomal odruchowem, do którego nas włożyła krytyka genetyczna. To też trzeba u Brunetière'a przypuścić świadome uchylenie się od tego zadania, może dla tej przyczyny, że początków każdego gatunku trzeba by szukać w średniowieczu, w dziedzinie, której Brunetière, stale pozostający w epokach nowszych, nigdy nie opłamał, wytwarzając nawet krzywdzącą teorię o nikłości literatury średniowiecznej. W ogóle Brunetière zbyt zasadniczy przypuszcza przełom między literaturą wieków średnich, a nowszą, aby mógł jakiegokolwiek związku pomiędzy nimi się dopatrzeć. Zdaniem

Brunetière'a rozwój literatury nowszej, która cała wytworzyła się z renesansu, był poprzedzony przez próżnię, przez długotrwały zastój w literaturze wieków średnich, która we wszystkich swoich gatunkach zamarła. „...Des qualités de l'enfance, elle est passée tout aussitôt aux infirmités de la décrépitude, et rien ou presque rien n'a rempli l'entre-deux.“¹⁾ Tu więc powstaje pierwsza wielka luka w systemie, co prawda, niezbyt trudna do zapełnienia dla znawcy wieków średnich—fakt świadczący zarazem o olbrzymim obszarze literatury francuskiej, którego nawet tak szeroki i tegi umysł, jak Brunetière, w całości ogarnąć nie potrafił.

Do umocnienia faz rozwojowych, jakie gatunek literacki przechodzi, posłużmy nam przykład tragedyi i komedyi francuskiej w świetnych konferencyach, wygłoszonych w teatrze Odeon w zimowym sezonie 1891-2 p. t. „Les époques du théâtre français.“ Geneza tragedyi nie zajmuje go wcale, orzeka tylko gdzieindziej²⁾, że nie można jej szukać w mysteryach średniowiecznych. Dla ilustracyi teoryi przykład teatru tem lepszy, że najmniej dowolności, dopuszczając indywidualność autora dramatycznego, pozwoli okazać krytykowi te obiektywne „prawa,“ warunkujące rozwój gatunku.

Istotnie, „Les conférences de l'Odéon“ na żywym przykładzie dowodnie okazują podstawowe założenie systemu, że „wszystko podlega ewolucyi, nic nie trwa, formy literackie przekształcają się, raz na lepsze, raz na gorsze, lecz nic nie ginie w nich, ani również nie się nie stwarza.“³⁾ Wszystko, co się dokonywało w ciągu trzech wieków (1636 — 1850), których produkcyę stawiam nam mówca z Odeonu przed oczy, sprowadza do dwóch najogólniejszych wpływów, które jakby przewodniczyły temu pochodowi: wpływ momentu i wpływ indywidualum. „Wpływ momentu, to jest ten ciężar, którym we wszystkich czasach przytłaczają produkcyę literacką dzieła tego samego rodzaju, które je w historii poprzedziły.“ Że zaś każdy postęp gatunku zaczyna się w ten sposób, że jeden osobnik się wyróżnia od poprzedników, więc indywidualum musi być uważane za przyczynę późniejszych zmian.

Ideą dzieła jest wykazanie koniecznych praw dla tej części twórczości literackiej. Takimi regułami istotnemi będą te, które dadzą się zaobserwować we wszystkich wielkich dziełach, a prze-

1) Manuel p. 37.

2) Por. Manuel de l'histoire de la littérature française.

3) Conférences ch. XV.

ciwnie, których brak stanowi przyczynę niższości dzieł chybiomych. Oto są te *prawa* zdefiniowane na podstawie badania historii gatunku; zgodność z naszym poczuciem harmonii, z wymaganiami, dyktowanymi „dobrym smakiem,“ będzie jeszcze jedną więcej afirmacją ich prawdziwości:

1. Akcja „teatralna“ powinna się obracać około jakiejś sprawy ogólnego zainteresowania.

2. Akcja sceniczna jest prowadzona przez wolę, jeżeli czasem kępowana, to przecież zawsze świadomą. Elementem tragiczności jest walka. Jeżeli ściera się wola z siłami natury, albo z przeznaczeniem, albo z inną wolą, to widowisko jest tragicznem, jeżeli zaś z jakimś instynktem niskim, przesądem, konwenansem, wtedy mamy komedię.

U Brunetièrè'a wszelka teoria ma związek z życiem, tak też intencja praktyczna tkwiła ubocznie w prelekcjach o teatrze. Było nią wskazanie doświadczenia dziejowego, że bez nawiązania do tradycyi, w żadnej sztuce nie może być wprowadzoną płodna innowacja. Tu streszcza się credo Brunetièrè'a, dla którego nazwano go „*homme de tradition*.“

W tym duchu pouczał „młodzież“—*les jeunes gens*—jeszcze dwa lata przedtem, gdy głos zabierał w roztrząsanej wtedy kwestyi teatralnej.¹⁾ „Ze sztuką tak samo jak z przyrodą: nie możemy stosować jej do naszych celów, zanim nie nauczymy się wchodzić w jej służbę. Musimy być pierwej czeladnikami, potem mistrzami.“ Brunetièrè'a ideałem jest ciągłość rozwoju, dlatego z taką boleścią mentorską zwraca się do młodych autorów. Drażni go to przedewszystkiem, że ci „młodzi“ nie chcą słuchać doradczego i sądzącego głosu pielęgnujących tradycyę, że chcą nagle zerwać z tem wszystkiem, do czego doszła w wiekowej ewolucyi ich sztuka, ze wszystkimi regulami, normami, których przestrzeganie nadało tyle piękności klasycznym utworom. Nie też dziwnego, że ideałem artysty jest dla niego Racine „*ce génie le plus ouvert à toutes les influences*,“ który posiadał tak znaczną zdolność przyswajania sobie tego, do czego doszli poprzednicy i szczytowego punktu w dziejach tragedyi osiągnął przez to właśnie umiejętne zespolenie i rozwinięcie ich wynalazków.

Brunetièrè nie pojmuje, że można dążyć do innych, bardziej duchowi epoki odpowiadających form piękna...

¹⁾ Zob. „*La réforme du theatre*“ w „*Littérature contemporaine*,“ t. I.

Misterna budowa, dostojnie klasyczny styl i bogactwo głębokich refleksyj czynią książkę omówioną własnością nauki, wymowy i literatury pięknej zarazem. Pod względem wykwintu formy i kompozycji jest to dzieło tego rodzaju—nie mówię tej miary—co nasze „Wieczory Florenckie,” które jednak bardziej są francuskie i mniej w nich uczoności. Ze wszystkich dzieł Brunetière'a, to jest najsilniejszym, najpiękniejszym i najbardziej organicznym. Naukowej apoteozy, ideału klasycznego tu też szukać trzeba.

*

*

*

Dla zilustrowania problemu transformacji, przejścia jednego gatunku w drugi, miały posłużyć wykłady wygłoszone 1893 r. w Sorbonnie p. t. „L'évolution de la poésie lyrique en France au dix-neuvième siècle.” Historycznie początki poezji lirycznej dają się wskazać już w średniowieczu na kantylenach, które nawet pewien odłam uczonych uważa za pierwociny literatury francuskiej. Brunetière wywodzi literaturę francuską z epopei. I jedna i druga teoria ma za sobą poważne argumenty; nie tu jednak miejsce dyskutować nad nimi.¹⁾ Imi uważają za pierwszego liryka Franciszka Villona, wywodząc także, nie bez słuszności, że w tak bardzo zamierzonych dniach średniowiecznego społeczeństwa, podległego autorytetowi korporacji, nie można szukać objawienia indywidualnych uczuć, które jest koniecznym pierwiastkiem poezji lirycznej. Brunetière woli jednak pominąć zupełnie istnienie poezji lirycznej, zarówno w średniowieczu, jak i później. W mętniejszym tu i zbyt pospiesznym wywodzie przyczynę tego pominięcia określa w tych słowach: „Je ne remonterai pas jusqu'au moyen âge. Gracieuse, élégante et „courtoise,” comme elle s'appelait elle-même, la poésie lyrique de nos vieux trouvères est pauvre, après tout, elle est mince, elle est grêle; et d'ailleurs, entre la littérature du moyen âge en général, et la littérature classique, il semble qu'il y a eu une rupture ou solution de continuité.” Nie nawiązuje zaś do Iliady tylko z obawy, „aby nie być zaprowadzonym zbyt daleko,” w wieku klasycznym znowu stwierdza zupełne wyczerpanie weny lirycznej na rzecz „genres communs.”

¹⁾ Por. Manuel, str. 28, ff.

Z wielką śmiałością, ale z mniejszem prawdopodobieństwem, wywodzi natomiast początki liryki XIX stulecia od—kaznodziejstwa. Pozostawiając na boku refleksyę, czy wogóle jest potrzebne stawianie tak ryzykownej hipotezy, skoro sprawę można, idąc śladem historycznym, z zupełną pewnością ustalić, przejdźmy do samego wywodu krytyka, tym razem od tradycyi odstępującego. W tej książce jasny umysł Brunetière'a schodzi na bardzo ciemne krążanki, staje się wcale nie przekonywującym. On nieprzyjaciel pedantycznej uczoności, wikła się w dyalektyce i w drobiazgowych argumentach, szuka poparcia dla swojej tezy, w którą wątpliwe, czy sam wierzy. Chcąc iść w konsekwencyi poprzednio zajętego stanowiska, staje się najbardziej niekonsekwentnym.¹⁾ Zaczyna więc od Russa i dopatruje się w jego dziele pierwiastków liryki i wymowy, ponieważ on zarazem wskrzesza tradycyę pogrzebanej (?) od czasów Bossueta i Massilona ozdobności i patetyczności wysłowienia, i u niego zarazem występuje dominujący rys uczucia i dążenia do wnięszania swej osobistości w dzieło, co by go znowu sposobilo na liryka. Według definicyi samego Brunetière'a, kilka kartek wstecz podanej, ani „Discours sur l'inégalité,” ani „Discours sur les sciences et les arts,” na które w wywodach wskazuje, nie mogą być zakwalifikowane do wymowy publicznej, lecz muszą pozostać, jak dotąd, dyskursami filozoficznomoralnymi. „Udział widzów lub słuchaczy jest niezbędny w definicyi i w samem pojęciu wymowy i teatru.“²⁾ A wiemy dobrze, że Rousseau swego Dyskursu nie *wyglądał* wcale, ale go pisał na konkurs. Sam punkt styyczny, pomiędzy historią wymowy kościelnej (bo mowa była o Bossuecie i Massilonie) a liryką, za który uważa Brunetière Rousse'a, daje się łatwo obalić samemiż opiniami krytyka. Choćbyśmy nawet już pominęli tę sprzeczność zbyt widoczną, bo w ciągu jednego rozdziału popełnioną, to powyższy sposób rozumowania wiódłby nas tylko do przyznania, że Rousseau był w jednej osobie mówcą i poetą, wcale nie dalej, do wykazania bowiem faktycznego zlania się dwóch gatunków literackich w jeden, trzeba by czegoś więcej, niż zaznaczenia, że ich znamiona występują w jednym i tem samym dziele pewnego pisarza. Jakież tedy mogą być pierwiastki w samym charakterze obu gatunków, któreby

¹⁾ Wchodzę tu w bliższy rozbiór kwestyi, ponieważ nie znalazłem nigdzie o niej dyskusyi, p. Faguet tylko sądzi, że doktryna ewolucyi właśnie znakomite daje rezultaty w badaniu poezyi lirycznej.

²⁾ Poésie lyrique str. 43.

dokonały tego zlania się? U Brunetière'a mało, a raczej wcale na to nie znajdujemy odpowiedzi, ani w „Évolution des genres,” gdzie hipotezę tę postawił, ani w „Évolution de la poésie lyrique,” gdzie już kwestyę tę lekceważy¹⁾, i zapominając o tem, że pozostała jeszcze nieudowodnioną, idzie dalej. Bo też istotnie trudnoby dopatrzeć się podobieństwa w gatunkach literackich tak naturą swą odrębnych. Brunetière sam w tej samej księżce o kilka kartek dalej zalicza kaznodziejstwo na równi z teatrem do „genres communs,” w których osobistość mówcy zlewa się zupełnie z audytoryum, którego sposób myślenia mówca mimowolnie naśladowuje. Wszelkie preokupacye osobiste — cytując znowu samego Brunetière'a — są najgorszymi błędami, jakie mówca popełnić może.²⁾ Liryka zaś jest gatunkiem najbardziej chyba osobistym, pierwiastkiem jej niezbędnym jest indywidualność tworzącego. Ma ona dalej za przedmiot wylew uczucia, które w istocie wymowy ani świeckiej, ani kościelnej nie leży. Wymowa wreszcie cała wyrasta z *dążności* pouczenia i przekonania, której znowu wszelka prawdziwa poezya mieć nie może. Przeciwno hipotezie takiego przelania się jednego gatunku w drugi, które wyłącza równoczesne trwanie obu gatunków, przemawia zresztą najkategoryczniej fakt, że wymowa kościelna i świecka, zwłaszcza we Francyi, do dziś nie przestała istnieć, rubryka ta zawsze jeszcze w chronologiach literatury pozostawać musi, a zarazem fakt, że i przed owym przez Brunetière'a przypuszczonym krytycznym momentem daje się skonstatować istnienie poezyi lirycznej i świadomość jej istnienia.

Końcowym punktem, ku któremu celowo takie rozpatrywanie genealogii literatury się kieruje, jest wykrycie praw, gdyż tą drogą spodziewa się nasz krytyk osiągnąć to, o czem już niejednokrotnie — czy skutecznie? — marzono: jeżeli już nie przekonać, że krytyka literacka jest *nauką*, to przynajmniej wykazać, że ma swoje

1) Ibid. str. 37.

2) Discours de combat, str. 251.

stałe metody. Brunetière uczynić to zamierza 1) przez ograniczenie zakresu badania i 2) jak się rzekło, przez wykrycie praw, kierujących generacją gatunków i praw estetycznych. Podczas, gdy krytyk, przy badaniu zjawiska, uwzględnia zwykle różnego rodzaju wpływy zewnętrzne, posługując się pomocą dostarczoną przez filozofię, psychologię, socyologię, Brunetière pragnie właśnie i wyłącznie w naturze gatunku literackiego śledzić przyczynę zmian, które wydały pewne dzieła w następstwie ewolucyi. Tak też postępuje w świeżo wspomnianych „Epokach teatru.“ „C'est la première question que nous essayerons de résoudre... le fait de leur succession est-il l'oeuvre des circonstances, des conditions du dehors?“¹⁾ Sam sposób postawienia pytania zawiera przeczącą odpowiedź, która widoczna zresztą z przeprowadzenia książki. I taka krytyka w rezultacie swoim będzie miała „ustalenie na jakimś fundamencie trwałym porządku albo hierarchii między produktami poetów i pisarzy.“²⁾ Brunetière sądzi, że potrafi dojść tą drogą do *objektywnego* poznania wyższości jednych dzieł, epok, gatunków, prądów nad drugimi. Oczywiście, jeżeliby tak było, to żadnej trudności by już nie przedstawiało wykrycie praw, kierujących następstwem zjawisk w piśmiennictwie i praw twórczości ducha ludzkiego w tej dziedzinie.³⁾

Czy jednak te śmiałe zamiary osiągnięcia naukowych, niezachwianych podstaw dla naszej umiejętności mogą być czemś więcej niż zamiarami? Zdaje mi się, że o tem, czy jakiś przedmiot może być traktowany ze ścisłością taką, jaką mamy w naukach matematycznych albo przyrodniczych, stanowi nie ta lub owa metoda, choćby nawet od nich przeniesiona, ale sama *natura* przedmiotu. Badanie zaś tamtych nauk, z których wysnuł Brunetière swoją teorię, jest zasadniczo empiryczne, nie tam nie powstaje w sferze wrażenia, nastroju ani wogóle w sferze abstrakcyi myślowej, istnieją one też same dla siebie, nie potrzebując szukać kryteriów w estetyce ani filozofii, empiryczność zaś, która jest niedozownym warunkiem objektivności, w naszej dziedzinie ma miejsce chyba tylko w bibliografii.

Samą możliwość dyskusyi nad temi kwestyami przekonywa o tem, że pomysły Brunetière'a pozostaną tem, czem są metody

1) Ibidem, str. 8.

2) Évol. des genres, str. 30.

3) Inaczej pojmuje krytykę naukową E. Hennequin, idący w konsekwencyi zdania Taine'a: considérez les oeuvres comme des faits et des produits, dont il faut marquer les caractères et chercher les causes, rien de plus.

literackie i systematy, których względności dowodzi najlepiej to, że jest dopuszczalnem równorzędne zastosowanie kilku z nich do tego samego przedmiotu. W naukach ścisłych konieczną jest jednolitość metody, bo przedmiot badania zależny jest od praw poza naturą umysłu ludzkiego leżących, których poznanie wiedzie nas do celu: do jedynej obiektywnej prawdy. Inaczej jest, gdy do czynienia mamy z wynikami subiektywnej twórczości, w których wymierniki prawdy zawsze są względne i ciągłym podlegają fluktuacyom. W naukach ścisłych istnieje jedna metoda, u nas zaś właśnie różnorodność metod i bogactwo poglądów teoretycznych posuwa wiedzę naprzód. Fakt, że nieodzownym narzędziem badania jest sędzenie wykonywane przez jednostkę, które w tamtych naukach nie daje się zupełnie zastosować, jest nowym dowodem znacznych różnic, zachodzących między temi dwiema gałęziami wiedzy.

Wróć jednak do samej metody Brunetière'a, bo nie można pominąć pewnych skrupulów, z którymi się ją przyjmuje. Różnorodność zjawisk literackich, mnogość wpływów genetycznych, odmiennych w każdym wypadku, przeczy istnieniu praw, któreby rozwój płodów piśmienniczych układały niezależnie od wpływów zewnętrznych; owszem historia wykazuje ciągłą przemianę materii w literaturach, będącą skutkiem przyswajania sobie coraz nowych pierwiastków. Na przykłady historyczne już wcale powoływać się nie trzeba, jeżeli chce się powiedzieć, że ograniczenie twórczości normami, które właśnie odgrodzenie od nowych zewnętrznych wpływów za zadanie mają, najszkodliwszem bywa. Wątpliwe więc, czy podobne odgraniczenie zakresu badania na dobreby wyszło naszej umięjętności.

Teoretycznie też rzecz biorąc, przeciw ustanawianiu kodeksu praw estetycznych, nieodmiennych dla wszystkich epok, zbyt czarna chyba wylaczać argumenta. Tembardziej zaś wszelkie kryteria piękna w nauce nie mogą się ostać z tego prostego powodu, że są niezmiernie nieuchwytnie, zmienne, bo w odczuciu mają swoje źródło. Jedyne więc powołaną do stawiania kryteriów estetycznych byłoby psychologia, która nie tylko, że żadnych wyjuśnień nam w tej mierze nie daje, ale nawet nie dochodzi do definicyi piękna. Bo tej, która mówi, że „pięknem nazywamy to, co zgadza się z naszymi wyobrażeniami o pięknie,¹⁾ za wystarczającą uważać nie można.

1) Według Bain'a.

Zupełnie wszelako odpaść musi z systemu Brunetière'a klasyfikacya bezwzględnej wartości dzieł literackich, w miejsce której raczej możnaby postawić klasyfikowanie na podstawie doniosłości wpływów, jakie wywarły i grupowanie w rodziny pokrewieństwem ideowej treści i przynależnością do pewnych kierunków. Wszelkie zaś traktowanie dzieł w oderwaniu od epoki i prądów, jak to myślał Brunetière, wysunęłoby na plan pierwszy w historii literatury sąd osobisty i impresyę. Skoro nie da się wykryć praw literackich, równie niezachwianych, jak prawa fizykalne, każdy krytyk będzie przyjmował inną zasadę.

Bogaty rozwój krytyki literackiej w ostatniem dwudziestoleciu zeszłego wieku dał nam zresztą cały szereg sporów o wyższość jednej metody nad drugą. Wszystkie te polemiki były czysto papierowemi, bo zapominały o trzech rzeczach. Po pierwsze, że co innego jest metoda w badaniu, a co innego punkt wyjścia dla opracowania, strona przedmiotu przez uczonego ujmowana. Że tedy niema żadnej metody psychologicznej ani filologicznej, ani estetycznej, ani filozoficznej, jest tylko jedna krytyczna w trzech postaciach: analizy, porównania i syntezy. Powtóre, że sposób ujęcia przedmiotu musi zależeć od jego natury, że tedy nie można rozbierać np. „Manon Lescaut“ sposobem filologicznym, bo by to do żadnego rezultatu nie wiodło, ani na odwrót „Pieśni o Rolandzie“ sposobem innym, jak tylko filologicznym. Potrzebie, że żadna teorya literacka nie może się mienić lepszą, ani gorszą, bo każda w swoim zakresie jest usprawiedliwioną, a potrzebę jej stwierdza najlepiej ilość osiągniętych rezultatów.

Wszystkie te tak zwane metody przedstawiają się w ten sposób, że każdy krytyk ma inne upodobania i nawyki umysłowe i każdy czego innego lubi się dopatrywać w dziele literackiem. Jeden będzie się stale doszukiwał przyczyn działania w psychice postaci, inny w ukształtowaniu warunków społecznych, w których one są postawione, inny specjalnie badać będzie styl, inny znowu przyglądać się będzie budowie utworu, znajdzie się taki, co oceni idee arcydzieła i t. d.; słowem każdy z nich ma swój punkt wyjścia. U podstawy tych wszystkich teoryj leży jednak kwestya bardzo poważna, nad którą zastanowić się każe wyprowadzona przez autora „Romansu naturalistycznego“ teorya. Umiejętność nasza rozporządza pewnym zakresem materyalów, faktów dziejowych, skąd wynika, że musi być traktowaną, jako nauka historyczna, że zajęć się musi klasyfikacyą materyalu i zaprowadzeniem porządku w nim. Za temby szło, że trzeba dzieła tylko porządkować chronologicznie i treściowo i na tem praca budacza kończyłaby się. Zobaczymy jednak

drugi wynik nierównie więcej przekonujący. Dzieła literackie są wcieleniem społeczeństwa, względnie wybitniejszych w niem jednostek, przedstawiają życie, wywierają wpływy, odbierają je, życie suggerują. A więc trzeba je traktować, jako organizmy martwe czy żywe, ale w każdym razie jako organizmy, które tak samo żyły w świecie umysłowym, jak zwierzęta i rośliny w świecie fizycznym; tak tedy trzeba do nich stosować metodę przyjętą w historii naturalnej, opartą na teorii ewolucyjnej. Doszliśmy więc drogą całkiem logiczną do wyników rozbieżnych. To jednak, że drugi pierwszemu nie przeczy napełnia pewną otuchą. Skoro umiejętność daje się tak nieszkodliwie zakwalifikować do dwóch gałęzi wiedzy, do przyrodniczej i do historycznej, tem lepiej dla niej, bo nastroczając pole do wykonywania dwóch sposobów ujmowania nauki, daje tem większą pewność, że się do prawdy zbliżymy, jeśli idziemy dwiema drogami.

Historia literatury składałaby się tedy z dwóch niejako działów. Przygotowanie i klasyfikowanie materiałów stanowi pierwsze, drugi zajmuje się ich spożytkowaniem, wyciąganiem z nich konkluzji. Tak samo jak historia powszechna ma swoje nauki pierwsze, archeologię, sfragistykę, chronologię i swoją historyozologię, podobnie i historia piśmiennictwa dochodzi do rozdziału na dwa ciała. Filozofia literatury musi być jednak inną niż filozofia historii powszechniej, musi być filozofią przyrodniczą. Bo taka już zachodzi kardynalna różnica w obu naukach, że historia ma do czynienia z osobami i zdarzeniami, które sama badaniem odtwarza na podstawie dokumentów, literatura zaś ze stworzonymi przez artystę organizmami.

*

*

*

Mniemam, że z takiego zapatrywania się na piśmiennictwo wyrosło dzieło p. t. *Manuel de l'histoire de la littérature française* (1898). Nie jest to już podręcznik, nazwa to o wiele za skromna dla książki, która wcale nie zaleca się przystępnością koniecznym przymiotem wszelkich kompendyów. Nie jest nawet historia literatury, jest to rozumowana synteza, przedstawiająca pewien sposób ujmowania dziejów francuskiego piśmiennictwa. W tekście nie ma nic z materiału naukowego, żadnej analizy ani nawet

oparcia chronologicznego dla toku opowiadania. Dlatego też omawianie specjalniejsze tej książki wymagałoby rozpatrywania punkt po punkcie twierdzeń autora, popierania ich lub obalania olbrzymim aparatem wyników naukowych, których książka jest esencją. Nazwiska, tytuły dzieł, źródła, opinie badaczy, to wszystko usunięte po za nawias, w dopiski, które tworzą odrębny tekst, prawie trzy razy obszerniejszy od głównego, zawierający dopiero to, czego szukamy w podręcznikach. Wskazówki źródłowe, do szukania materiałów i zarazem wyniki badań nad poszczególnymi kwestyami. Tak więc mamy dwie odrębne książki w jednej, obie w literaturze naukowej zupełnie oryginalne. Wybitną cechą książki, zdarzającą się zresztą nie często u Brunetière, jest ciągłość i łączność wywodu, z konsekwencją naturalną jedna idea wpływa z drugiej tak, że tworzą całość doskonale jednolitą, choć brak w niej wszelkiego podziału, podpodziału, w którymby paragrafy stały jeden pod drugim lub jeden obok drugiego. Wszystko idzie tylko naprzód, w ciągłej ewolucyi postępowej przedmiotu, którą z autorem przechodzi umysł czytelnika.

Od wynalazcy teoryi gatunków literackich, oczekivalibyśmy historyi piśmiennictwa, przedstawiającej rozwój kolejnych gatunków, ich panowanie w danej epoce, tak jak to zdawały się zapowiadać wykłady o krytyce. Fenomeny współżycia, walki o byt, krzyżowania, mogłyby wypełnić całą historię. Czekalibyśmy także wykazania tego oddziaływania dzieł na dzieła, o którym obiecująco mówił. Brunetière przeszedł jednak, niewiadomo czy tylko, aby dać coś nowego — na grunt filozoficzny. Wątek opowiadania zlewa się z filozofią obyczajowego tła epoki, z historią społeczeństwa paryskiego, rozlewa się prawie w jakąś historię moralną ducha francuskiego. Książka przestaje już nawet być historią piśmiennictwa, bo nie daje jego obrazu, traktując literaturę tylko jako wyraz stanu kultury narodowej. Już we wstępie do „*Évolution de la critique*“ ganił dotychczasowy sposób pisania dziejów literatury, które nazywał zbiorem monografij, a wykazywał, że powinno się raczej „spowziąć od początku jakąś ideę ogólną i syntetyczną,“ dawać jednolitą koncepcję literatury. Jako czynniki działające wyprowadził idee, prądy ścierające się, a wszystkie je podciągnął pod dwa zasadnicze pierwiastki, które widział w ruchu literatury francuskiej wszystkich czasów. *Esprit gaulois*, bardziej rodzimy, przedstawiający liberalne tendencje rewolucyjne, gallicki humor taki, jak go wcielił Villon i drugi równie francuski *esprit précieux*, przedstawiający wysubtelnienie kulturalne, w sferze literackiej zaś konwencyonalizm i uleganie autorytetowi. Toczą ze sobą walkę,

jeden materialny, drugi bardziej duchowy. Idea nie wypowiedziana jasno, ale wciąż przebłyskująca.

I tak w wiekach średnich, w epoce kiedy literatura różniczkowała się w narodowe, literatura francuska przybrała jako charakter rodzimy ów wybujały „esprit de gauserie plein d'ironie et de révolte,” miarkowany jednak przez prąd przeciwny, idący od surowej scholastyki, która dała prozie francuskiej jasność i logikę; z renesansu wybija się znowu ten pierwszy pierwiastek w rozwinięciu indywidualności i w rozluźnieniu więzów religijnych, skutkiem zbliżenia się do przyrody i humanizacji ludzkości, równoważony jednak przez bardziej duchowy zmysł artystyczny, tak wtedy żywy. Reformacja (w lit. franc. Calvin) głumi go jeszcze bardziej swoim technieniem surowości etycznej. Na ogół jednak renesans przynosi ustalenie się tej cechy literatury francuskiej, która nadała jej humanistyczne piętno umysłu łacińskiego. Esprit précieux panuje znowu nad epoką klasyczną, zarówno w wykwincie towarzyskim, jak i w samym charakterze literatury, uległej przepisom i cokolwiek wymuskaney. Szorstkość gallicka, rozluźnienie etyczne bierze znowu miejsce tej literatury „przystojnej” i moralnej. I z tego ducha libertyńskiego, który wywołał zepsucie ideału klasycznego, wynika cała literatura filozoficzno-rewolucyjna wieku XVIII. Romantyzm przywraca prawa uczuciowości i regulującemu zmysłowi estetycznemu, naturalizm stanowi brutalną reakcją fizycznej części ludzkiej natury, a symbolizm znowu oddaje berło ideałowi.

„Manuel” uważa Brunetière za program i ekspozycję swoich poglądów, które przeprowadzone być miały w zamierzonym pięciotomowym dziele o literaturze epoki klasycznej. Wyszedł tylko tom wstępny; do uzasadnienia wyższości ideału klasycznego, którego tak skwapliwie szukamy, nie przyszło. A istotnie, w całym szeregu dzieł i rozpraw Brunetière'a, które tu omawiam, — a nie pominąłem niczego, co by się ważniejszem wydawać mogło — ani po za nimi, nie można znaleźć dostatecznego oparcia dla sprzeciwienia się zdaniu krytyków francuskich ¹⁾, że proklamowanie wyższości literatury klasycznej jest podniesieniem do godności zasad i praw — upodobaniem krytyka. Nawet jego przyjaciel w przekonaniach, Emil Faguet — obaj się schodzą w uznaniu moralnego celu sztuki, — określając charakter krytyki Brunetière'a, tak mówi, zresztą dość niekonsekwentnie: „En face d'une oeuvre il se demandait

1) Głównie Renard, także Lemaitre w cyt. książkach.

non si elle lui plaisait, ce qui n'a rien de scientifique, mais d'abord si elle était approuvée par cette partie de lui-même qui était faite de reflexion et qui avait été comme modelée par les grands artistes des temps passés." Nie da się zaś zaprzeczyć, że najszczytniejszym typem krytyki jest ta, która stoi ponad epokami i ponad artystami czasów dawnych, zarówno jak i dni dzisiejszych.

Mamy natomiast w I tomie „Littérature classique,” cenny zarys porównawczej historyi renesansu, który definiuje jako wpływ literacki i artystyczny pewnego stylu włoskiego, co przeszedłszy granicę macierzystego kraju, przybrał bardzo odmienne cechy internacjonalne, zanim znowu zlokalizował się w poszczególnych cywilizacyach narodowych. Tutaj okazuje się jeszcze raz szerokość umysłu Brunetièrea, który pod koniec życia przeszedł do studyum literatury porównawczej i byłby w niem wiele dokonał, tego przynajmniej spodziewać się może jego konferencya wygłoszona 1900 r. na kongresie historyi porównawczej w Paryżu, w której znakomicie ustalił zakres, zadania i metodę tej nauki przyszłości.

*

*

*

Nie można ukryć wady, która zwłaszcza wybitnie w ostatnio omówionej książce rzuca się w oczy. U Brunetièrea naprzód idzie w badaniu systemat, doktryna, naprzód pogląd na jakąś kwestyę, sąd, potem jego rozwinięcie i rzecz skończona. Poparcie też dowodami, faktami Brunetière uważa za rzecz błahą; rzadko tylko mimochodem rzuci kilka argumentów. Metody naukowej, która może postępować od szczegółów do uogólnień i wniosków, krytyk z „Revue des deux mondes” w tej książce nie przestrzega. W każdym razie pracę taką pozostawia po za książkami, w których daje same tylko rezultaty dojrzałego przemyślenia; mnogość cytatów dowodzi erudycyi, może przypuszczać mozolne przebrnięcie przez literaturę przedmiotu. Jednak o metodzie w tej właśnie pracy przygotowawczej, o jej ścisłości nie mu nie mówi. I właśnie z powodu tego sposobu postępowania Brunetièrea, tezy jego zbyt często usuwają się z pod traktowania krytycznego, któreby wymagało przebrania olbrzymiego materiału argumentów pro i contra, które ścisły badacz też jego samby musiał stawiać i zbijać; przemawiają tylko powagą, nowością i siłą.

Wszystko to wynika z zamiłowania do idei uogólniających i z żywej pogardy, jaką żywił dla erudycyi pedantycznej. „Toute cette érudition que nous rassemblons laborieusement n'est toujours qu'un moyen, jamais une fin.“ „Ce sont les idées générales qui font avancer la pensée.“ „L'étonnement qu'elles provoquent, l'opposition qu'elles soulèvent, les contradictions qu'elles suggèrent, les recherches enfin dont elles deviennent ainsi l'occasion ou le point de départ, c'est ce qui entretient autour des grands problèmes cette agitation des esprits, qui est, pour ainsi dire, la première condition de la découverte et du progrès. Les exclure de la science, c'est en ôter le levain même.“¹⁾ W tej swojej tendencji do szerokich horyzontów Brunetière nie ograniczył się do badania jednej literatury, znał dobrze włoską, angielską, rosyjską, a nawet — co rzadkością u Francuzów — niemiecką.

Od opracowywania specjalnych kwestyj naukowych wznosił się syntetyczny jego umysł jeszcze wyżej, do szczytowych zagadnień bytu, do śmiałych pytań o celowość wiedzy. Właśnie w te regiony myśli prowadzi nas broszura *La science et la religion*, rzecz, która drukowana poprzednio w „Revue des deux mondes“, wywołała dwanaście lat temu zawziętą polemikę. Brunetière wywodzi, że nauka, jeżeli dąży do wszechwładztwa nad ludzkimi umysłami powinna odpowiedzieć na trzy zasadnicze pytania: co to jest człowiek, jaki jego początek i jaki jego cel. Jaki jest wogóle początek i jakie przeznaczenie świata, co to jest i poco istnienie ludzkie? Na pytanie to odpowiada religia w sposób nadprzyrodzony. Encyklopedyści, ojcowie nauki XIX w. przedsięwzięli wiarę w dogmata zastąpić racjonalną wiedzą. Czy jednak dotrzymała zobowiązania którakolwiek z umiejętności: historia czy doszła do praw ogólnych rządzących ludzkością, któreby zastąpiły t. zw. „działanie Opatrzności“, nauki przyrodnicze czy wykryły początek rodzaju ludzkiego, lingwistyka czy wie jak powstała mowa? Czy filozofia potrafi dać równie niezachwianą podstawę wierzeniom ludzkim, jak religia? Skonstatowawszy, że tak nie jest, autor dochodzi do konkluzyi, że wiedza zbankrutowała (hasło „banqueroute de la science“) i że trzeba szukać napowrót kompromisu z religią, któryby tak się przedstawiał, że wiedza zajęłaby się tylko temi kwestyami, które pod przyrodzoną zdolność poznania podpadają. Nie będziemy się zastanawiali dalej nad tem, czy i jak da się pociągnąć granica pomiędzy rzeczami, dającymi

¹⁾ Év. des genres p. 201.

się poznać a temi, które już w założeniu trzeba by przyjąć za dane objawieniem o czem Brunetière nie mówi — nie będziemy roztrząsali wogóle treści dalszych wywodów, które jużby raczej do apologetyki należały. Zawsze pozostanie pewnem, że bankructwa wiedzy nie dowiedzie jedna książka i że nie potrafi wyrwać całym zastępom badaczy zamiłowania do nauki głos jednego uczonogo, który zresztą i sam nie zaprzestał badania naukowego, choć w jego potrzebę silnie zwątpił. Mimo to broszura ta posiada znaczenie niepoślednie już przez to, że piękną kwestyę tę porusza, a przede wszystkim dlatego, że jest donośnym głosem przypomnienia zasadniczych celów umiejętności, które pracownik mieć winien przed oczami.

Swoich zamiarów pogodzenia wiedzy z wiarą nie zaniechał i po zaciętej owej polemice, owszem zszedł na specjalniejsze pole. Próbował mianowicie „zrujnować“ — jak się wyrażał — filozofię Darwina i Haeckla, a może nie tyle zniszczyć ją, bo przecież sam był najgorliwszym wyznawcą teoryi ewolucyjnej — ile oprzeć na fundamencie religijnym, „oświecić światłem innym zupełnie od pochodni wiedzy,“ „sprowadzić jej pouczenia do wskazówek wiecznej moralności,“ usunąć sprzeczności, które zachodzą w mniemaniu tautych filozofów między objawieniem a wiedzą, opartą na podstawach descendencji. W książce „De la moralité de la doctrine évolutive,“ odmawiając w ogóle wiedzy prawa do wchodzenia w dziedzinę „moralności i metafizyki,“ sprowadza teoryę z wyżyn światopoglądu do znaczenia prostej hipotezy, a nawet uważa ją tylko za metodę, mającą na celu dokonanie klasyfikacyi i skupienia faktów podległych danej umiejętności, „moyen de faire clarté.“ Doktryna odnowiła tylko oblicze wiedzy — tak sumo jak ongiś zrobiła to metoda porównawcza — nie więcej.

Obok tej wybitnej tendencyi do syntezy krytyka Brunetière'a odznacza się bezpośredniością zetknięcia z dziełami literackimi, które omawia, przymiot niezmiernie cenny, wzniesający dla nich zajęcie równe prawie dziełom, o których są pisane. Możliwo jest to dlatego, że nie obejmuje on z dziełami za przewodnem komentarzy, ale wprost przez wzniesienie się w wyżyny twórczości i przez przejęcie się tętniącemi jeszcze dla niego świeżem technieniem wielkimi ideami twórców. O tej jego umiejętności wczuwania się w pracę pisarza, świadczy pomiędzy innymi zdolność chwywania na gorącym rozmaitych „procédés.“¹⁾ Brunetière'owi

¹⁾ Por. charakterystyczny ustęp o Daudecie przy pracy: *Roman natur.* str. 81.

nie wydaje się w dziele nic nieświadomem, wszystko opanowuje z pomocą swej przenikliwości i dokładnej znajomości środków artystycznych. Trzeba podziwiać tę zdolność wniknięcia w utwory klasyków; nic go tam nie zraża zapachem starzyny, bo Brunetière swoim umysłem jest obecny wszędzie, nie tylko z rozkoszą poznaje wszystko, ale wżywa się jakby w metempsychozie w dusze z przed trzech wieków. Można nawet o nim powiedzieć, że lepiej się czuje pośród klasyków, niż wśród współczesnych. I dlatego nie daje się zauważyć u Brunetière'a to charakterystyczne zaczerpnięcie oddechu u historyków literatury, gdy przechodzą do czasów nowych, do dzieł, w których widzą cząstkę swoich myśli, które odczuwają i rozumieją na podstawie ich związku z życiem. Brunetière swobodniejszym się nawet czuje w wieku klasycznym, bo tam już nie może się dopatrzeć małostek, któreby mu mąciły obraz wielkich namiętności i wielkich wysiłków woli, wiadomości biograficznych, któreby mu zasłaniały energiczne zarysy obrazu.

I dlatego właśnie, że Brunetière tak lubi i umie stawiać się człowiekiem różnych epok, w chwili, gdy ocenia dzieło, występuje u niego, obok kryterium czysto estetycznego, drugi wzgląd ocenienia. Zapytuje, czy dane dzieło jest szczerym i żywym obrazem obyczajów epoki; ta siła z jaką nas niektóre dzieła porywają w odmiennie społeczeństwa, w zakresy nie naszych pojęć; barwność pędzla, z jaką nam stawiają przed oczy sceny dawno minione, zachwycą go również. Tak np. dzieła Marivaux'a, o których piękności klasycznej nie wiele może powiedzieć, ceni dla tego, że są wiernym pot্রেtem.¹⁾ Trzeba jednak podkreślić, że mimo całą zdolność wchodzenia w dzieła i autorów, Brunetière dalekim jest od wszelkiej wrażeniowości; przeciw impresyonizmowi w krytyce wypowiedział się nie raz²⁾.

Pisana jego otwierają przed nami szerokie, bardzo szerokie widnokregi, ukazują zamiary dokonania w nauce rzeczy nowych, choć główny płód myśli jego życia: teoria ewolucyjna, przywodzi nam na pamięć smutne refleksje o rozdźwięku między słowem a czynem, głównie z powodu wybitnego braku metody w pracy, co też sprawia, że do zasobu naszych środków dociekania naukowego nic Brunetière nie dorzucił takiego, co by stać mogło w pracowni obok narzędzi takich, jakie nam w ręce dał Villemain lub Taïne. Dominujące jego znaczenie dla teorii literatury, dla metodyki jest minimalne.

1) Str. 218 i nast. „Roman natur.“

2) Por. „Litterature contemporaine.“

Do ogarnięcia całości dzieła Brunetière'a jeszcze daleko, prawie niema jednej kwestyi literackiej, jemu współczesnej, którejby nie poruszył, a wszędzie starał się wpłynąć na bieg prądu, stwierdzając własnym przykładem wyrzeczone słowa, że krytyka we Francyi jest duszą literatury. Niema też wybitnego autora w całym ciągu piśmiennictwa, któremu by nie poświęcił jakiego studyum. Wszędzie tam znajdują się pęki myśli płodnych—nie rozwiązujemy ich tylko z obawy, aby się nie zatężyły kontury postaci wielkiego krytyka.

BOLESŁAW ORŁOWSKI.



chłopskim eposie Konopnickiej.

„Zachód w puszczy,” to obszerne studjum malarskie. Nama-
zawszy w pierwszej strofie niebo żagwią barwną („w szerokich
liniach paliła się zorza”), oznacza poetka stanowisko widzów-bo-
haterów, do ściany leśnej odwróconych plecami („za nami puszczy
głębokie bezdroża”), wpatrzonych w ściemniały krąg przestrzeni
(„wskrós sinego ginący obłoku”).

Chwilę stał naród, bo wszystkim się zdało,
Że jakieś głosy biją ku nam z borów.
Więc ten, to owy obróci się mało,
Zalśnie od onych jarzących kolorów,
Którymi nizkie słońce pnie dzierzgało
Piniów, bananów, palmów, sykomorów,
Czyniąc z nich przez swą sprawę i robotę,
Na czarnej harfie puszczy—struny złote.¹⁾

Nacisk przykrego dla ócz światła i szmer, z puszczy wabią-
cy—oto, co kazało chłopu odwrócić głowę. Podmiotowe zabar-
wienie tego światła i szmeru („one jarzące kolory”—„jakieś głosy
biją”) działa w obrazie silnie. Kanwa lasu, obrzuconego tu i tam
lśniąca nicią słońca („nizkie słońce pnie dzierzgało”) pozwala wy-
różnić wydarte z ogólnej ciemności linie pojedynczych drzew („pi-
niów, bananów, palmów, sykomorów”). Głęboko zwarte porówna-
nie puszczy do harfy, pni, słońcem złożonych, do strun, zamyka
część obrazu czysto malarską. Strofa czwarta zlewa wrażenia
wzrokowe ze słuchowemi.

1) B. W. 1900. IV, str. 57 et sq.

A choć tam wkoło cichość była głucha,
 Wyrażnien słyszał, jak na struny one
 Kładą się ręce wихrowego ducha,
 Co ma złociste szaty i czerwone.
 Trącił i oto pieśń puszczy wybuchu
 W jakąś strzelistych głosów antyfonę.
 Drzewa dostają skrzydeł, chwieją pióry
 I stoją w ogniach, jak Serafów chóry.¹⁾

Wiatr zamienia się w pysznej personifikacji we widno („ręce wихrowego ducha“), które z kolorów słońca wysnuło swą odzież („co ma złociste szaty i czerwone“) i uderza w ostrunione drzewa. Eufonię drzew, których kształty rozmaite tłómaczą się rozmaitymi głosami, uwidatnia obraz pod dyrektywą muzyczną składany. Żeby podkreślić lotność wихru, daje poetka drzewom skrzydła („drzewa dostają skrzydeł“), żeby umotywować ciągłość brzmień, wprawia ten lotny aparat w ruch („chwieją pióry“), żeby wreszcie logicznie ugruntować wartość muzyki, ucieka się do nowej personifikacji, tym razem umyślnie przejętej ze sfery religijnej („jak Serafów chóry“). Nawiasowa informacja, dotycząca rozszerzania się światła wśród drzew („stoją w ogniu“), posuwa zrećźnie dalej proces samego zachodu.

Z piątej, przeładowanej refleksją, strofy, wydobywają się blade, bo bez epitetów, dwa porównania, tajemniczość puszczy mające ilustrować: („tak się rozwarła... jako skarbeca wieko“), („tak kusiła... jak dziwożona“).

Szczęśliwszy natomiast po malarsku szczegół zawiera strofa następna, wznawiająca akcyę uciętą.

...Wziął przygarść ziemi, co pod zorze owe
 Tak czerwieniła, jakby ruda miedzi,
 I pierś zakłęstą wzdłwższy, by dech złupić,
 Seisnął. Przez palce krew zdała się kapnąć.²⁾

Oto ziemia pod działaniem ostatnich promieni słonecznych obleka się kolorem czerwonym („tak czerwieniła, jakby ruda miedzi“), a gursć jej, w rękę chwyconą, dochodzi do tonu jeszcze ciemniejszego („przez palce krew zdała się kapnąć“).

Wyraźne stopniowanie kolorystyczne ukazuje zachód w trzech stadyach: w monotonii *złota* („złote struny“), w pomieszaniu *złota*

1) Ibid.

2) Ibid.

i *czerwieni* („szaty złote i czerwone“), wreszcie w zwycięskiej przewadze *czerwieni* („czerwieniła, jakby ruda miedzi“).

Żywiół fantastyczny z figur poetyckich (wichrowy duch — dziwożona — serafy — skarbiec — harfa — gromnica“) przeszedł w sam obraz nasiąkły w każdym calu subiektywną przyprawą.

„Zachód w stepie“ to tylko tło ciemne i obszerne („w szerokich krwawicach“) wśród którego Balcer maluje wlot ptaków o złotych piórach. Napięcie światła, słabnące z każdą chwilą oddaje poeta subtelnym zwrotem („na ostatniej mdlejących łun krasie“). Niemniej charakterystyczny jest moment zlewania się ledwie już widzialnych gromad ptasich z tłem nieba („wsiąknię w zorzę“). Kończy obraz przeciwstawienie mroku zapadającego i rozświetlanego zwolna stepu („Im zmierzch głębszy, zaczyna jaśniej płonąć stepu morze“). Podwójne porównanie światła stepowych do „srebrnych blaszek na krakowskim pasie“ i „świeczek w żydowskiej komorze,“ zwłaszcza wśród przestrzeni, ciemnością podszytej, to tryumf malarstwa i poezji razem. Tryumf, który ukazuje po za sobą oczy chłopa, zdumieniem rozwarłe i z niedowierzaniem chłonące nowe obrazy.

„Zachód w górach“—związły ale potężny, ponurym układem przygniata widza.

A w tem jak zajrzeć przed nami tu stają
 Skaliska czubem utopione w niebie,
 Nieprzesiężoną, a tak bystrą ścianą,
 Że ani krokiem nie dawa do siebie.
 Patrzę — turnię, pionem skrzesań,
 Ciebie leżącego orła się kolebie...
 A wyżej słońce czerwone się toczy.
 A jeszcze wyżej śmierć. Zamknąłem oczy ¹⁾.

Powierzchnia nieba zwięzła odrzyna się wyraźnie od skalistego obwodu szczytów („czubem utopione w niebie“). Odległość nieba mierzy ptak, umyślnie zamazany w locie („cień leżącego orła“). Dźwignięte energicznym zwrotem („a wyżej“) słońce ogrom swój wpija w oczy barwą, ściśle podaną („czerwone“), co wobec mglistego konturu niżej umieszczonego ptaka tem potężniej działa. Zwrot końcowy, który ponad słońce wznosi oko widza („a jeszcze wyżej śmierć“), nieświadomie z duszy opisującego wypadły, musiał wywołać zwarcie powiek („zamknąłem oczy“). Mo-

¹⁾ B. W. 1900, IV, str. 343.

tyw psychologicznie jasny, ze stanowiska malarskiego zręczny, bo chroni przed opisywaniem tego, co nie ma konkretnych wymiarów, a nadto zgodnie ze znanem prawem wzrokowym powtarza pod zaciśniętymi powiekami obraz dopiero co oglądany.

Rozsiane w poemacie gęsto obrazy „nocy“ odznaczają się na ogół większą ekspresją realistyczną. Jedne z nich ciemne, rzadsze i krótsze, napełniają strachem człowieka. Inne świetlne, częstsze i ściślej opracowane, otuchą sycą bohaterów.

Z pierwszych wyliczyć należy „noc na morzu“¹⁾ szybko zapadłą („zczerniały nagle wody“), osnuwającą wody nieprzepuszczalną tkaniną mroku („mroki duże... rozwlokły się, jak chusta“) i przeniesioną konsekwentnie w sferę dźwięków („chlusta się“ — „uderzy o toki okrętu“ — „warknie“), które ilustrują ruchy morza, silnie personifikowanego („unoszą się w chmurze“ — „rude“ — „jak zły pies“ — „kły wyszczerzy“).

Niemniej ciekawa „noc w boru“²⁾ ócz nie puszcza w głąb masy drzewnej („knieje nie jawią się do dna“), potrząsk stu głosów zastawia na ucho („słysz! coś się czai... — słysz! cości się śmieje!“) i wprawnie rozstawionymi domyślnikami („gardziel ryknie“ — „paszcz ziewnie głodna“ — „śmierć z trzaskiem rozwarła wierzeje“) potęguje okropne wrażenie.

Wśród obrazów świetlnych podnieść trzeba „noc w boru“³⁾. Pozbawiona dźwięku knieja („co stała cicha“) masycą się nagle bujnym światłem („blasków ulewa sączyć się jeła strumieniami“). Źródłem światła jest wysoko nad obrazem wzniesiony księżyc („rozwidniona żrenica miesiąca“). Srebrny kolor nocy kojarzy się silnie z tęsknotą, jaka serca chłopskie nastroja.

Inaczej przedstawia się „noc w stepie.“⁴⁾

A już nad one rozłogi stepowe
Czerwony księżyc, jakoby latarnia
Pożarna, wznosił swą ognistą głowę,
Zaczem wzlataje wyżej, mrok rozgarnia,
Jaśnieje, dręży niebieską posowę,
Jak kula, którą uleje puszkarnia,
Z szczerego złota, aż coraz się mniejszy,
Coraz świetlistszy czyni i srebrniejszy 4).

1) B. W. 1892, III, str. 473.

2) „ „ 1897, IV, „ 301.

3) „ „ 1897, IV, „ 303.

4) „ „ 1900, IV, „ 337.

Rozmiary księżyc, uwydatnione ostrem porównaniem („księżyc, jakoby latarnia pożarna“) nadają obrazowi potencję grozy. Stopniowe przemiany, jakim księżyc ulega, z przedmiotową dokładnością uwidocznione („wznosił głowę“ — „wzlatuje wyżej“ — „coraz się mniejszy czyni“) zalecają się doskonałą obserwacją. Stosunek księżyc do ziemi („mrok rozgarnia“) i do nieba („draży niebieską posowę, jak kula, którą uleje puszkarnia“) odbiera mu znaczenie martwego, sztucznie przyklepionego do tarczy niebieskiej, a wzniesionego nad płaszczyznę ziemską ornuamentu. Ewolucya barw („czerwony księżyc“ — „z szczerego złota“ — „coraz srebrniejszy“), podobnie jak odwrotna proporcya między natężeniem światła a wzrostem powierzchni („coraz mniejszy — coraz świetlistszy“) godne są pędzla pierwszorzędowego kolorysty.

Nastrój akcji panuje i nad całą resztą zjawisk atmosferycznych. Bójce między chłopstwem a załogą odpowiada „burza morską,“ rozerwana niezbyt szczęśliwie w połowie obrazu wspomnieniem burz polskich, stojąca dzięki potężnym figuram poetyckim, które trą się w ciągłych assocyacyach o życie polskie, tuż koło wzoru mickiewiczowskiego, więc ponad wszelkim rozbiorem ¹⁾. Chłopów ze schroniska emigranckiego wypuszcza „burza borowa,“ zepsuta przenośniami, monotonna i sztucznie koło jednego obrazu — bitwy — zgrupowanemi ²⁾. Mroczne usposobienie chłopów karczujących ilustruje „słota“ — ciekawa jako wytwór poetyckiego malarstwa. Ze śmiercią wisielca łączy się „wichura,“ bez udziału pędzla i oka odtwarzana, wspaniała, jako całość muzyczna ³⁾. Melodramatowi Szczęśniakowej odpowiadają „krwawe obłoki“ na niebie, wzmiankowane tylko, co prawda ⁴⁾. Chorobliwym nadziejom chłopów, w mistyce uwiecznych, czynią zadość „widzenia na niebie“ („okrętu, Chrystusa, Jusiénka, wojska“) ⁵⁾.

Chcąc wykreślić linie zależności literackich „Balcera,“ nie trzeba sięgnąć zbyt daleko. Epika nasza zna dwa kierunki, o dokument genialnych dzieł oparte, mieszczące w sobie syntezę poezji polskiej. Jeden dośrodkowy, o pierwiatkach plastycznych, po hellenisku zwarty, pełen tegich, soczystych inspiracyj, rozmiłowany w średniej, zdrowej skali życia narodowego. Drugi odśrodko-

¹⁾ B. W. 1892, III, str. 503—7.

²⁾ „ „ 1897, IV, „ 102—4.

³⁾ „ „ 1897, IV, „ 440.

⁴⁾ „ „ 1892, IV, „ 447, 450.

⁵⁾ „ „ 1901, III, „ 533.

wy, muzyką nabrany, raz z prostracyi, raz z napięcia nerwów try-skający, po indyjsku roztopiony w mistyce, zajęty fenomenami chorobliwymi, wyrosłymi po nad szablon obserwacyi. Pozorną rozbieżność obu kierunków, które przecież zesumowane dają organiczną całość, wskazuje pióro współczesnego krytyka. „Zwyczaj i obyczaj narodowy, mieniący się wszystkimi blaskami uczuć przyrodzonych i przyrody uczuciowej, sielskiej, spoczął w majestacie niespożytych piękności Pana Tadeusza. Historyczność legendarna, przetkana wszystkimi czarami fantazyi gminnej, roztoczyła cały swój przepych w Królu Duchu“¹⁾. Ten trochę ciasny, dociągnięty do rozmiarów jednej rubryki, sąd, ważny jest przecież jako rozwinięcie krytycznych przesłanek Krasińskiego, którego konkluzya, retoryką zabarwiona, trafiała przed sześćdziesięciu laty w samo sedno problemu, we właściwe łożyska wlewając różnoinnienne prądy twórczości Mickiewicza i Słowackiego. Prądy te wcześniej czy później musiały wytworzyć sferę przyciągania, której ulegał w miarę potrzeb temperamentu nawet najodporniejszy epigon. Rzecz prosta nie w tem znaczeniu, żeby dało się dziś wskazać utwór bezwzględnie zależny od wzoru i wyznaczyć w nim ściśle pozycye zależności. Przecież historia naszych poetów, stale czy przygodnie zaprzątniętych epiką, wykazuje ustawiczne, najczęściej nierozumne nawet powinowactwa z jednym lub drugim wzorem — w zestosunkowaniu władz twórczych czy technice, w nastroju czy obrazowaniu, w tematach czy stylu.

Nie będę kwestyi ujmował w pętą chronologii, ani podsuwał pod nią tabeli z bibliograficznymi wyciągami, bo to rzecz przyszłego historyka polskiego romantyzmu. Notuję tylko, że wśród naszych utworów o mniej czy więcej wyraźnym stemplu epickim niepodobna nie dostrzedz dwóch składowych, odmiennych, choć czasem nakrywających się nawzajem.

Pol i Kondratowicz, Wolski i Romanowski, Zieliński i Wysocki, Wierzbicki i Komorowski z jednej strony, a z drugiej Olizarowski i Zmorski, Berwiński i Sowiński, Deotyma i Dzieduszycki, Buława i Aspis — oto nazwiska, same układające się w wymowną regułę.

W Konopnickiej grunt pod dopiero co wskazane wpływy przygotowywała ewolucya dotychczasowej jej twórczości. Słowacki działał na nią bezpośrednio od pierwszych poruszeń piórem,

¹⁾ *Ateneum*. 1900. Kazimierz Włostowski: „Począta polska o świecie XX-go stulecia.“

w wiersz oryginalny wsnuwając jaskrawe reminiscencye z poematów: „W Szwajcaryi,“ „Beniowskiego“ i „Testamentu.“ Mickiewiczowską poezję brała w piersi haust po haście w latach późniejszych, serdecznymi komentarzami, przypisami czułej a rozumnej duszy zdobiąc genialne karty „Wallenroda,“ „Dziadów,“ „Tadeusza.“ Kiedy wreszcie odważyła się na epickie przedsięwzięcie, nieunikniony był kontakt z obu mistrzami: i Mickiewiczem i Słowackim.

Pierwszy zostawił w końcowej księdze swojej epopei lud, klasycznie sztywny mimo teatralnych wiatów, jakie wznosi, pod świeżą hypnozą uwłaszczenia stojący ¹⁾. Ale lud w „Panu Tadeuszu“ jest tylko epizodem. Mowa o nim, to emancypacyjne hasło, rzucone przeciw szlacheckiemu centrum poematu. Sześćdziesięcioletni obrót wypadków posunął ewolucję sprawy ludowej naprzód. Konopnicka, chłopą obierając bohaterem swojego eposu, odejmuje klasyczny hamulec rydwanowi, w którym toczy się natchnienie. Ona uwłaszcza nie ciała, ale dusze, hypnozę chwilową zdejmując z nich, w naturalnym trybie rozwijając ich życie.

A przecież podobieństw tyle następuje przegląd obu poematów!

Zaczyna się snuć nić tych podobieństw od samej dyspozycji, nad pierwszą pieśnią położonej. Blizka jest mickiewiczowskiego wzoru forma tej dyspozycji bezpretensjonalna („Przytuła poskramia łyżką“ — „Występ Magiera“ — „Rekin“), pół żartobliwa („O dwóch sennikach: prawym i fałszywym“ — „Święty Wincenty czy Święta Helena?“), pozornie patetyczna i przez to właśnie komizmem zaprawna („Horodziej o żywiołach naucza“ — „Knowania Opacza i rebelia Zatruty“), często zbliżona żywością stylistyczną do odpowiedniego ustępu treści („Ziemia!“ — „Marsz!“ ²⁾).

I podobieństwo zachodzi głębiej! Nostalgia, która, gniotąc poetę, ze wspomnień wydmuchała poetyczny świat szlachecki w Panu Tadeuszu ³⁾, przeniesiona z poety na bohaterów, daje w Panu Balcerze klucz do pełnego zrozumienia dusz chłopskich.

¹⁾ „Pan Tadeusz.“ (Poezyc A. Mickiewicza. III. Wydanie Chmielowskiego. Warszawa, 188.) str. 336—7.

²⁾ P. T., str. 7, 40, 69, 97, 132, 164, 185, 204, 232, 259, 316, 349.

³⁾ cf. Brückner: „Dzieje literatury polskiej,“ II, str. 107. cf. Kallenbach: „A Mickiewicz,“ II, str. 128. cf. Gostomski: „Arcydzieło poezji polskiej — Pan Tadeusz,“ str. 46—7. cf. Biegeleisen: „Pan Tadeusz“ str. VIII, XI, XXVII, XXXIV.

O utęsknieniu, o ty duszny głodzie,
Którego cudzym nie utłumisz chlebem!')

W eposie Konopnickiej tęsknią wszyscy: bohater główny, i postacie drugoplanowe, i tłum chłopski cały. Balcer, wsiadając na okręt, ma w oczach łzy ²⁾. Zaraz w pierwszą noc śni mu się kuznia ³⁾. Wół okrętowy wiąże jego pamięć z Podolem ⁴⁾. Po wyładowaniu rozumuje, że miejsca rodzinnego nie godzi się rzucić ⁵⁾. W czasie febry tęskni za ojczystym pogrzebem ⁶⁾. Wobec piękna puszczy myśli o podlaskich niwach ⁷⁾. W ściepie wspomina cudowne noce polskie ⁸⁾. Sierotę z Radzyna uczy tęsknić do kraju ⁹⁾. Nie wliczam tu, rozumie się, co strofa rzucanych porównań, zestawień, paralelizmów, wznianek, natrąceń bliższych i dalszych, zawsze i wszędzie zaczepiających o kraj.

A za Balcerem w ślad idą inni. Ostańczuk buduje chatę według ojczystego modelu ¹⁰⁾, Horodziej chce budować według niego wieś ¹¹⁾. Koźbiał nie odżałuje nigdy gleby mazurskiej ¹²⁾, Hnat ługu ukraińskiego ¹³⁾. Lisowi uśmiecha się wspomnienie paszy wioskowej ¹⁴⁾, Zagajnemu — wspomnienie lasu ¹⁵⁾. Celem westchnień Dudka jest porzucona Wólka ¹⁶⁾, Bugajową do westchnień pobudza myśl o sprzedanej Kwiatosze ¹⁷⁾. Przytułą tęsknota skazuje na śmierć ¹⁸⁾, Dudkową nowem natchnieniem życiem ¹⁹⁾. Kos od mili do mili będzie szedł według marsza tęsknoty, którego ma

¹⁾ B. W. 1900, VI, str. 151.

²⁾ " " 1892, III, " 469.

³⁾ Ibid. 475.

⁴⁾ B. W. 1892, IV, str. 456—7.

⁵⁾ " " 1897, IV, " 83.

⁶⁾ " " 1897, IV, " 97—8.

⁷⁾ " " 1897, IV, " 297.

⁸⁾ " " 1900, VI, " 164.

⁹⁾ " " 1900, VI, " 172.

¹⁰⁾ " " 1897, IV, " 310—11.

¹¹⁾ " " 1897, IV, " 303—4.

¹²⁾ " " 1897, IV, " 302.

¹³⁾ " " 1897, IV, " 302.

¹⁴⁾ " " 1900, VI, " 164.

¹⁵⁾ " " 1897, IV, " 434.

¹⁶⁾ " " 1897, IV, " 312.

¹⁷⁾ " " 1900, VI, " 165.

¹⁸⁾ " " 1897, IV, " 309—10.

¹⁹⁾ " " 1900, VI, " 347—50.

uszy pełne ¹⁾), Zatrata bić się każe, kiedy po drodze zwątpi w świętość celu ²⁾).

Wszyscy wreszcie śnią o ziemi po nocach na okręcie ³⁾), myślą o niej przy ognisku w puszczy ⁴⁾), umierając, w jej stronę wypuszczają ducha ⁵⁾), żyjąc, natężają w sobie co siłą wiarę w powrót do niej ⁶⁾). Ci, którzy stracili ojczyznę, dowiadują się, ile ją trzeba cenić!

Tęsknota Mickiewicza za krajem związała go i z ludźmi, w kraju pozostawionymi, ciepło lejąc w każdą postać, przez niego nie opisywaną, ale raczej odczuwaną prądem sympatii plemiennej, tej, którą w dzieciństwie wspólny dach nad głową wytwarza ⁷⁾). W eposie Konopnickiej, w formę opowiadania ujętym, temperatura uczuciowa podnosi się jeszcze wyżej, bo opowiadającego i tych, o których opowiada, łączy stosunek swojaków, rozdzielonych miedzą, krwią zlanych.

Ktoby mi dał to, iżbym tę gromadę
Mógł wymalować ku ludzkiej pamięci!
— Idą... Dech świszczy... Zeczerniało i blade
Twarze... Pod węzłkami idą zgięci,
Stopy ich broczą krwią... Tu więc ją kładę
Ręce na onych krwawników pieczęci,
Żeby nabrała koloru tej męki,
Choć wiem, że nigdy już nie zmyję ręki ⁸⁾).

Oto i tajemnica tego interesu ze strun plemiennej wspólności wydobytego, który od pierwszej strofy udziela się czytelnikowi, a w miarę rozwoju akcji coraz silniej spokrewnia go z każdą z występujących osób. Niewiele warci są moralnie Magiery, Zdżarscy i Zagajni, Czopy, Przytuły i Opacze. Poetka nie dekorowała ich namiętności, nie idealizowała głupoty. Odlani realną miarą, stoją w poemacie prawdziwi, choć prawda każe nieraz pokazać instynkt nieczysty, czyn mętny. Przecież uzdrawiające światło miłości musiało zrobić swoje. Pyszalek, pioniacz czy

¹⁾ B. W. 1897, IV, str. 446.

²⁾ " " 1900, VI, " 349.

³⁾ " " 1892, III, " 474—5.

⁴⁾ " " 1897, IV, " 304.

⁵⁾ " " 1900, VI, " 346—7.

⁶⁾ " " 1897, IV, " 307—8.

⁷⁾ cf. Kallenbach: „Adam Mickiewicz,” II, str. 141.

⁸⁾ B. W. 1901, III, str. 551.

łgarz, intrygant, lekkoduch czy nawet oszust — wypięknieli w niem, potracili znamiona brzydoty moralnej.

Środkiem, łagodzącym przywary był podobnie, jak u Mickiewicza, humor ¹⁾. Głęboko w strunie wiersza utajony, ile razy ta struna silniej drgnęła bólem, odzywa się jak pogłos, uspokajając czytelnika, do równowagi doprowadzając wywichniętego chwilo-wo aajda.

Opacz cygare ćmił, ujęty w boki

„Cóż tam za morze!“ mówił i pluł ślinę

„Niech mi położy kto ze dwa soroki

Rubli, to het je, precz w poprzek przepłyne!“

— „Dla Boga!“ — wrzasną baby, gdyby sroki —

„Przez tyłą wodę? Przez tyłą głębinę?“

A on: „Nie takie ja widział w Odesie.“

A baby: „Reta!“ — A on: „Nie bójcie się!“ ²⁾

Ządła moralizatorskiego pozbawiony, nie szkodzi humor Konopnickiej ludziom ani rzeczom. Naiwne wyobrazenie i krotoczwilna sytuacja — oto materiał, jakim operuje poetka, żeby tem bliżej zbratać się ze swoim bohaterem i jego życiowymi interesami.

Częściej bywa jej humor ekstraktem wyobrażeń, jakie wyległy się w ciemnych głowach (geografia Brazyli ³⁾ — historia Sen- uika Egipskiego ⁴⁾ — znaczenie równika ⁵⁾ — słonina, jako źródło zrzeczności majtku ⁶⁾ — katolicyzm królowej angielskiej ⁷⁾ — żale nad flagą brazylską ⁸⁾ — chrzest okrętów ⁹⁾ — majestat ks. Bulcer- skiego ¹⁰⁾ — mleczna droga ¹¹⁾ — urodzaje amerykańskie ¹²⁾.

¹⁾ cf. Gostomski: „Arc. poez. pol. P. T.“ str. 213—229. cf. Biegeleisen: „Pan Tadeusz“ Mickiewicza, str. 104—9. cf. Kallenbach: „A. Mickiewicz,“ II, str. 159—162.

³⁾ B. W. 1892, III, str. 482.

⁴⁾ „ „ 1897, IV, „ 84.

⁵⁾ „ „ 1892, IV, „ 450—1.

⁶⁾ „ „ 1892, IV, „ 451—2.

⁷⁾ „ „ 1892, III, „ 479.

⁸⁾ „ „ 1892, IV, „ 465.

⁹⁾ „ „ 1892, IV, „ 462.

¹⁰⁾ „ „ 1892, III, „ 476.

¹¹⁾ „ „ 1892, IV, „ 452.

¹²⁾ „ „ 1892, IV, „ 452.

¹³⁾ „ „ 1892, III, „ 484.

Rzadziej wywiązuje się humor ze sytuacji, zresztą wyreżyserowanej (babi napad na komisję¹⁾ — żółt mustrowany przez Łucją²⁾ — rada nad wyborem posła³⁾ — rozmowa na temat szlachectwa między Magierem a Żdźarskim⁴⁾ — Ostańczuk, brany za nieboszczyka⁵⁾ — baba, wobec ogólnych protestów nie dopuszczona do głosu w sprawie Niemców⁶⁾ — chłop, który dla braku miejsca nie może się powiesić⁷⁾.

Obok humoru, często w jego zakres wchodzące policzyć należy również na karb wpływu „P. Tadeusza” — gadki⁸⁾, które zasiewają strofy anegdotycznym żywiołem.

Bo tu na gadkę, jak kot na pierogi
Łakomy każdy z tej długiej tęsknicy⁹⁾

Łakomego karmi poetka, jak umie, co krok sypiąc historye różnej treści i różnej wartości, więc o „rybaku i rekinie,” o „głupich artylerzystach,” o „Świętym, co pięćdziesiąt lat patrzył naokoło siebie, myśląc, że patrzy minutę,” o „czterech żywiołach,” o „Żydzie, co sfałszował sennik i musiał stawać za to przed rabinem,” o „zaściankowej szlachcie łukowskiej, co, kiedy groch i pszenica nie obrodzi, nie ma wiechci do butów,” o „proroku, co usnął pod figowem drzewem,” o „żubrze, co się przed Panem Bogiem schował w puszczy białowieskiej podczas potopu.”

Często wysnuwa poetka z tego żywiołu anegdotycznego głębsze refleksye, odlewane następnie w formie sentencji, na trzeźwym rozsądku opartej, po za płoty doświadczenia wiejskiego nie sięgającej. Oto przykłady:

Bo u nas naród, jak słomę zamieci:
Ogień o chwilę — i zaraz opada¹⁰⁾.

¹⁾ B. W. 1897, IV, str. 445.

²⁾ „ „ 1897, IV, „ 311.

³⁾ „ „ 1892, IV, „ 465—6.

⁴⁾ „ „ 1892, IV, „ 453—4.

⁵⁾ „ „ 1897, IV, „ 98—9.

⁶⁾ „ „ 1892, III, „ 484.

⁷⁾ „ „ 1892, III, „ 487—8.

⁸⁾ cf. Gostomski: „Arc. pocz. pol. P. Tad.,” str. 336—7.

⁹⁾ B. W. 1892, III, str. 497.

¹⁰⁾ „ „ 1892, III, „ 484.

Albo:

Westchnął, a za nim inisi. Chłop rad wzdycha
Tam, gdzie się drugi w milczeniu rozszerza ¹⁾.

Albo znowu:

Bo w człeku blisko od brzucha do ducha,
Taka w nim nizkość jest i żądza podła ²⁾.

Rzuca te refleksye bądź opowiadający bohater sam, bądź też którakolwiek z dalszorzędnych postaci w czasie rozmów, często gromadę łączących. Dyalog ³⁾, czynnik w epopei ważny, u Konopnickiej, za przykładem Mickiewicza, skrócony, więc dostosowany do ustroju nowożytnego człowieka, który odbiegł od monotonii wlokących akcyę rozpraw homeryckich. Język ludowy, jakim bohaterowie przemawiają, różniczkowany prowincjonalnem zacięciem, u każdej partyi odmiennem, pozwolił na emancypacyę stylu w kierunku charakterystycznym. Konwencyonalnej, blaszanyini frazosemi klasyków dzwoniącej, ścieg za ściegiem równomiernie odlewanej rozmowy nie spotka się. Rozmach słowa ma w sobie jeszcze krew, która go spowodowała, brzmi wewnętrzną melodyą duszy podnieconej, skrzytnie, a prawdziwie oddaje stany, chwilą każdą ograniczone, brzydotę uczuć, kał myśli oblewając promieniem szczerości. Że taka rozmowa całego człowieka wydobywa z wiersza na wierzech, że zapala mu wzrok, nadaje rysy, w ruch wprawia ciało i duszę, rozkrywa bez pruderyi w jej najindywidualniejszym składzie, nie trzeba dowodzić. Próbkę stylu coraz odmiennego, zawsze opartego na układzie indywidualności mówcy, będą najlepszym dowodem.

HORONZIER: „A ja już słyszę pukanie to Boże,
Cichuchne, ano luczniejsze od gromu,
Tożże zaszczepki nie przywrę w komorze,
Gdy mnie Pan Jezus zawoła do promi...“ ⁴⁾

OPACZ: „... Ej głupi ty chłopie!
Chcesz, to się wieszaj! Wot tobie na szyję
Powróż... Taż mówią: Dla durnia konopie.

¹⁾ B. W. 1892, III, str. 485.

²⁾ „ „ 1892, III, „ 488.

³⁾ cf. Biegeleisen: „P. T. Mickiewicza,“ str. 283 — 298. cf. Gostomski: „Arc. p. p. P. T.,“ str. 246 — 98.

⁴⁾ B. W. 1900, VI, str. 352.

Co robić?... Świata — mówią — nie przeżyje,
 A ziemi brat mój — mówią — nie przekopie
 I nie przerobi — też mówią — roboty!
 Tak, cóż?... Żal, co ty nie znał naszej floty!“¹⁾

ZATRATA: „A rajce!... a zdrajce!...
 To wy nas tutaj przedali w niewolę?
 To my w pańszczyznę tu?... To na odrobki?...
 To tak?... (W garść pluął.) A dalej parobki!“²⁾

OSTAŃCZUK: „... Każy Hryć, jak w sądzie stały
 My Łohiszniuce?
 — A tulże każy, jak z sądu wracały?...“³⁾

DUDKOWA: „...A czy Pan Jezus przez cię?... Próg obmyję
 Łzami... Kwiatusków nasadzę... Wybieję
 Komin het... Krzyżem co święto... w kościele...“

MAGIER: „...Ja ci... Ja tu... tobie...“⁴⁾
 Pokażę! Ja ci pokażę... granicę!
 Jeszcze twe próchno przewróci się w grobie,
 Jak ja sądową zapalę ci świecę!...“⁵⁾

ŻUK: „...A pstrzyka
 Niezgorzej! Z dziada mam ją nieboszczyka.
 Ojciec mój także strzelał z niej. Już z rodu
 Kochamy się tak w łowiectwie my Żuki.
 Co lisów natłukł, co wilków za młodu
 Tę kozią nogą... Myślałem, że wnuki...
 Nieprawda! Poszła z mojego ogrodu
 Na bożą grzędę dziewczka. Dziś my kruki
 Samotne z matką...“⁶⁾

PRZYTUŁA: „...Łaboga! łaboga!
 Jaka tu żałość okrutna w tym lesie!
 Jaki ból!.. Jaka tu jest tęskność sroga!...
 A któż mi duszę, jak ptaka, zanieśie
 Do dom, do gniazda?... A gdzież tu mi droga
 Do mego rodu?... (Tu zdusi ryk, wzdycha)
 — Tak pamiętajcie... Za duszę... msza cicha!..“⁷⁾

1) B. W. 1897, IV, str. 102.

2) „ „ 1897, IV, „ 442.

3) „ „ 1897, IV, „ 311.

4) „ „ 1897, IV, „ 312.

5) „ „ 1892, IV, „ 454.

6) „ „ 1897, IV, „ 435—6.

7) „ „ 1897, IV, „ 309.

Chcąc dłużej przytaczać, trzeba by przepisywać w całości rozmowy, jakie toczą między sobą bohaterowie Konopnickiej. Że te rozmowy najczęściej przechodzą w kłótnię, nie powinno nikogo dziwić. Energia, tkwiąca w zdrowych organizmach, wywiązuje w życiu ludzi Konopnickiej ciągły ruch. O ile polem tego ruchu jest rozmowa, przychodzi do utarczek słownych, nie hamowanych konwenansem, odbitych brutalnem echem od epickiego wiązania strofy.

Porwał się Magier, zrzucił kapelusza :

— „Ja cham? Ja... chamsko?... Poczekajże trupie!

Ja ci ten kaptur ściągnę! Aż ci dusza

W pięty ucieknie! Ty.. ty... ty biskupie!...“

Wtem Żdzarski: — „Tfu, do paralusza!

Falszerz!“ Więc Magier oczy nań wylupie,

I skoczy, by ryś, gdy się zapamięta,

Belkocąc tylko: Doku... doku... menta!“¹⁾

Wzorem musiał być „Pan Tadeusz“ z bohaterami, powlęczonymi cienką warstwą cywilizacji, o namiętnościach, nie uchwyconych na smycz, kłótnią, jak toporem, wyrąbujących w poemacie twarde łożysko akcji²⁾. Jak w „Tadeuszu“, tak i w „Bałcerze“ — kłóca się ustawicznie bądź osoby pojedyncze między sobą, bądź wszyscy ze wszystkimi: o szlachectwo³⁾, czy o państwowość⁴⁾, o urządzenie gminy⁵⁾, czy wybór posła⁶⁾, o rodzaje polowania⁷⁾, czy gatunki gleby⁸⁾. Niezdolni nadać wymianie zdań łagodnej formy, pozwalają wybuchać eo moment wulkanom serc, niezgodą, jak lawą, zasypując każdą pieśń po kolei.

A od kłótni słownej niedaleko — znowu jak u Mickiewicza — do bójki zażartej, krwawej nieraz, ruch do najwyższego wymiaru doprowadzającej⁹⁾.

Zbladł chłop, jak wapno, skamieniał aż prawie.

Jakże mu potem krew w lico nie lunie,

¹⁾ B. W. 1892, IV, str. 453.

²⁾ cf. Biegeleisen: „P. T. Mickiewicza“, str. 43—4.

³⁾ B. W. 1892, IV, str. 453—4.

⁴⁾ „ „ 1897, IV, „ 441—5.

⁵⁾ „ „ 1897, IV, „ 303.

⁶⁾ „ „ 1892, IV, „ 465—7.

⁷⁾ „ „ 1897, IV, „ 435.

⁸⁾ „ „ 1897, IV, „ 302.

⁹⁾ cf. Biegeleisen: „P. T. Mickiewicza“, str. 62—5.

Jakże nie skoczy, nie zaklnie plugawie,
 Jakże na łyczka piorunem nie rumie,
 O ziem i po nim!... ¹⁾

Obok bójek, pojedynkiem toczonych: Przytuły z łyczkiem, Balcera, a potem Stacha z majtkiem, i znowu Balcera z murzynem — odbywają się walki gromadne: między chłopstwem a Włochami, między babami a kolonistami niemieckimi i raz jeszcze między babami a komisją pańszczyźnianą.

Ten niespokojny, ruchliwy nastrój masy ludzkiej dzieli często, jak w „Panu Tadeuszu,” przyroda, ilustrująca swojemi zjawiskami jaskrawo tekst akcji ²⁾. Więc burza morska schodzi się z burzą ludzką, chłopów przeciw załodze zbrojącą ³⁾. Wichura borowa targa gałęzią, na której zawisł zawiedziony chłop ⁴⁾. Morze pieni się łakomie, paszczą wilgotną po trupy chłopskie otwierając ⁵⁾.

Wszelako ruch, akcyę popychający, staje się niemniej środkiem technicznym do odciskania w wierszu życia wewnętrznego bohaterów ⁶⁾. Unikając wizerunków psychologicznych, w epopei niebezpiecznych, na koło ruchu nawleka poetka każde uczucie czy myśl bohatera i puszczając je następnie w odpowiednim tempie, uwidocznia przy pomocy ekspresyi zewnętrznej byt wewnętrzny człowieka.

Nagle — stój! Co to? — Rzucili się plackiem
 O ziem. Słuchają co ziemia powiada...
 Sza... cicho!.. Dwóch ich popelzło omackiem
 W traw głębie piersią nagą, jak u gada.
 Znów cicho... Naraz z wejrzeniem junackiem
 Porwą się, pomkną, zoczyli już stada...
 Pędzą, znów stają... Nagle się rozskoczą
 Wszyscy i we dwa półkola zatoczą. ⁷⁾

Takie opisy, plastyką okute, podciągają zręcznie esencję życia wewnętrznego pod kontrolę zmysłów. Dzięki nim zapoznaje nas poetka tem skuteczniej zarówno z wyodrębnionem indywidu-

¹⁾ B. W. 1892, III, str. 492.

²⁾ cf. Gostomski: „Arc. poez. pol. P. Tad.,” str. 199.

³⁾ B. W. 1892, III, str. 502—7.

⁴⁾ „ „ 1897, IV, „ 436—7.

⁵⁾ „ „ 1892, III, „ 496.

⁶⁾ cf. Gostomski: „Arcydz. poez. pol. P. Tad.,” str. 239.

⁷⁾ B. W. 1900, VI, str. 167.

um, jak i z całą gęstwą chłopską. W drugim wypadku, że trudności nadarzają się większe, chwytą się wypróbowanego sposobu mickiewiczowskiego: ustawia tłum za dowolnie obranym bohaterem, jak chór za protagonistą, poczem w ruch wprawia usta bohatera i w szereg gestów jego ciało, a stojącej za nim gromadzie każe bądź niewolniczo co kilka wierszy powtarzać te słowa i gesty, bądź wysnuwać z nich nowe, sensem zawsze zbliżone do tamtych ¹⁾).

„... My pod pańszczyznę nie damy tu karku,
I nie będziemy odrabiać szarwarku!“
— „Dobra! Nie będziemy!“ — Hukną chłopcy chórem.
Topnęli, łbami wyrzucą jak tryki.
Tak stąpię krokiem znów (ci za mną chórem).
— „Co my tu mamy?“ — krzyknę — „Jak te dziki
Siedzim w tej kniei! Łatwo skrobać piórem,
Ale żyć trudno!“ — Tak za mną znów krzyki:
— „Nijak żyć!... Dobrze Pan Balcer powiada!
Jak on, tak za nim i my też gromada!“ ²⁾

Tryb ten, stale powtarzany, sprawia łudzące wrażenie całej masy, jednolitym nastrojem złanej, przynosi jej mowę, pełną burzliwych akcentów, duszę, w tysiąc skier namiętności rozsypaną.

Nie mniej cennym, a równie Mickiewiczowi znanym środkiem wywoływania na ekranie epickim obrazu masy — jest grad nazwisk, z olśniewającą szybkością sypanych w wiersz, nazwisk, których puste wartości, tracone echem ostatniej, wrytej w pamięć sceny, wypełnią się, rozedrgają, rozkrzyczą, będą żyć, tłum prezentując wybornie ³⁾).

Tak poszedł Tatar Marcin, tęga głowa!
Tak Czop, ów z Miedznej ucieszny braciszek...
Poszedł Muzyka Bartek, co od słowa
Z baranich umiał głosu dostać kiszek...
Poszedł Sołoda, poszedł Kacper Sowa,
Karbowiak Michał i Wójeik Franciszek... ⁴⁾

Do uwydatnienia rysunku, tak jednostek, jak masy, służy Konopnickiej, w ślad za Mickiewiczem idącej, żywioł obcy, dzięki

¹⁾ cf. Biegeleisen: „P. T. M.“ str. 74—8.

²⁾ B. W. 1897, IV, str. 443.

³⁾ cf. Biegeleisen: „P. T. Mickiewicza“ str. 78.

⁴⁾ B. W. 1897, IV, str. 99.

warunkom akcyi bogato importowany do poematu ¹⁾. Przez jaskrawy filtr kontrastów przepuszcza poetka żywioł polski tem czyściej.

Zwyczajnie lutry takie i kalwiny,
 Jak te, co u nas po Olendrach siedzą:
 Fajeczysko w zębach, raz wraz plują śliny,
 A kawę z miski w trzy raz o dzień jedzą.
 I oni się też od pierwszej godziny
 Tak odgradzili od nas jakby miedzą.
 Rzekniesz: „Pochwalon!“, a ten ci niecnota
 Zamiast: „Na wieki“ rzec, „Gutttag“ mamrota ²⁾.

Dalszym, Mickiewiczowi nie obcym, środkiem są kostyummy, nie bezmyślnie, z krawiecką wiernością dla kolorytu miejscowego nakładane na bohatera, ale jako wykwit jego kultury, przetwórcy płodów domowych, efekt jego smaku, wreszcie węzeł materyalny, od opuszczonej ziemi nie puszczejący chłop ³⁾.

Ale na boku, od inszych odbita
 Stała nie duża gromadka narodu.
 Na grzbietach sina sukmana a świta,
 Pięknie czarnemi taśmami od przodu,
 I po kieszeniach, po plecach wyszyta.
 Twarze surowe, śniade, jakby z głodu
 Długiego, albo z przedawnej żalości... ⁴⁾

Na tak skonstruowaną i wyposażoną masę puszcza Konopnicka prąd akcyi według wzorów, jakie Mickiewicz zostawił w „Panu Tadeuszu.“ W pierwszym rzędzie znamienne jest dla poematu ucinanie obrazu niedokończonego, w momencie intrygującym najwięcej, a wprowadzanie na jego miejsce innego, który każe na nowo dzierzgać nie uwagi ⁵⁾. W ten sposób spór między Żdźdźką a Magierem przerywa chrzest dziecka nowonarodzonego ⁶⁾, kłótnię między Magierem a Zatrąką unegłota Opacza ⁷⁾, rozprawę na temat polowania historyna strzelby Żuka ⁸⁾, radę nad przyszłym

¹⁾ cf. Gostomski: „Arc. p. pol. P. T.,“ str. 161—2.

²⁾ B. W. 1897, IV, str. 89.

³⁾ cf. Biegeleisen: „P. T. M.,“ str. 153—4.

⁴⁾ B. W. 1892, III, str. 486.

⁵⁾ cf. Biegeleisen: „P. T. M.,“ str. 46—9.

⁶⁾ B. W. 1892, IV, str. 454.

⁷⁾ „ „ 1892, III, „ 482—3.

⁸⁾ „ „ 1897, IV, „ 435.

posłem wiadomość o samobójstwie Przytuły ¹⁾, pogadankę przy ognisku wśród wietrznej nocy śmierć nagła Jaśka ²⁾.

Żeby obraz ten trwalszą zyskał podstawę epicką, odbija go poeta, jak w momentalnym zwierciadle, w „dziwieniu“ bohaterów, wyzyskując naiwny poziom ich życia duchowego ³⁾. Wobec majtka, spinającego się po linie, „otwarły chłopcy gęby, jako wrota“ ⁴⁾; połowowi rekina „dziwią się baby“ ⁵⁾; urządzeniom okrętowym „dziwuje się“ Balcer ⁶⁾; na widok zabitego tygrysa „dziw“ chwytła chłopów ⁷⁾; wobec wojska, otaczającego lud po wylądowaniu, „cofa się zdumiały lud“ ⁸⁾; port nazywa Balcer „dziwem“ ⁹⁾; widząc mrowie przeciągające, chłopci „otwarli gęby“ ¹⁰⁾.

Czasem zaostrza uwagę czytelnika umyślna tajemniczość, w skali półokreśleń utrzymując obrazy, z których powoli dopiero wynurza się kontur logiczny ¹¹⁾. Tak przedstawiona jest rebelia, wybuchła na okręcie ¹²⁾, śmierć dziecka Szczęśniaków ¹³⁾, walka Ostanieczuka z febrą ¹⁴⁾, cmentarz polskiej kolonii w borach ¹⁵⁾, spotkanie z bawołem ¹⁶⁾, mrowie, wreszcie, toczące gaj ¹⁷⁾.

Oprócz tych pierwszorzędnych analogij, które dopiero głębsze wnikięcie w rzecz pozwoli uwydatnić, narzuca się szereg zewnętrznych, oderwanych, jednopunktowych podobieństw — tak luźni, jak rzeczy dotyczących.

Śmierć Proskurata, wyciętego wiernie z ostatnich kart „Pana Tadeusza“, wychwyconego z pośród biwaków soplicowskiego wojska, przypomina dziwnie inną śmierć, zdobiącą żołniersko-zie-

¹⁾ B. W. 1897, IV, str. 430—1.

²⁾ „ „ 1897, IV, „ 437.

³⁾ cf. Biegeleiten: „P. T. M.“ str. 122—3.

⁴⁾ B. W. 1892, III, str. 478.

⁵⁾ „ „ 1892, III, „ 499.

⁶⁾ „ „ 1892, III, „ 476.

⁷⁾ „ „ 1897, IV, „ 434.

⁸⁾ „ „ 1892, IV, „ 468.

⁹⁾ „ „ 1892, IV, „ 465.

¹⁰⁾ „ „ 1901, III, „ 549.

¹¹⁾ cf. Biegeleisen: „P. T. Mickiewicza“, str. 106—8.

¹²⁾ B. W. 1892, IV, str. 447.

¹³⁾ „ „ 1892, IV, „ 448—50.

¹⁴⁾ „ „ 1897, IV, „ 98—9.

¹⁵⁾ „ „ 1900, VI, „ 154—7.

¹⁶⁾ „ „ 1900, VI, „ 165.

¹⁷⁾ „ „ 1901, III, „ 549—50.

miański epos Mickiewicza ¹⁾. Zdżara i Magier, Dobrzynem zresztą w geście i elokwencyi przeszli, w kłótni swojej z plastyką komedyopisarską ukazywani, każą myśleć o kłótni Asesora i Rejenta, dotąd uśmiech budzących w pieśni Mickiewicza ²⁾. Horodziej, gromiąc przeciwników organizacyi gminnej, wpada w ferwor, zacięciem stylistycznym dziwnie podobny do oracyi dobrzyńskiej starego Macieja ³⁾. Stach i Zosia wreszcie — w swoich bezbarwnie epizodycznych, dekoratywnych na wskrós rolach pojęci, jako znaki kolorowe, pod którymi zadrży kiedyś życie, w związku dopiero złożone — mimo wszystkich różnic przypominają frontowe, choć najmniej charakterystyczne w epopei Mickiewicza figury, Tadeusza i Zosi ⁴⁾.

Czasem drobny szczegół, wśród świetnych strof Konopnickiej rzucony, połyśnie reminiscencyą za jasną, żeby jej niewprawne nawet oko nie dojrzało. Tak wzmianka o „ostatnim karbowym” wywodzi się niezawodnie od żalosego epitetu, który Mickiewicz wbijał, jak gwóźdź, w trumny swoich bohaterów, mierzając o „ostatnim Woźnym Trybunału,” „ostatnim Kluczniku,” „ostatnim Horeszce,” „ostatnim Wojewodzie Nowogrodzkim,” czy „ostatnim, co tak poloneza wodzi” ⁵⁾. Parokrotnie wracający ustęp o bracie Balcera, księdzu w Krakowie, dla wywołania komizmu użyty, przypomnieć musi takie same powtarzanie wierszy u Mickiewicza, zawsze do małoznacznych skierowane okoliczności, sól humoru mieszczące w sobie ⁶⁾. W równie prostym celu skupiane assonacye, doskonale przystające do półpoważnej treści, w ustach Zatruty czy Ozopa schodzą się z maksymami Kropiciela, wygłoszonymi na Radzie, czy z rubaszną metafizyką Robaka, Bąkę parafrazującego w czasie Zajazdu („Rajce — zdrajce” — „Zeszlachty — konszachty” — „Horodziej — nie dobrodziej” ⁷⁾). Koniec anegdoty „o głupich artylerzystach” („mówią, że o tem w gazetach pisano”) przypomina petersburską anegdotę Telimony

¹⁾ „Pan Tadeusz” (Poez. Mick. — wyd. Chmiel. t. III), str. 302. cf. B. W.

²⁾ Ibid. str. 121—2. cf. B. W. 1892, IV, str. 453—4.

³⁾ Ibid. str. 202.

⁴⁾ Ibid. str. 10—12, 101—2, 139—40, 269—70, 306—8, 333—4. (Spasowicz: „Dzieje Literatury polskiej,” str. 334). cf. B. W. 1892, IV, str. 454—5.

⁵⁾ cf. Biegeleisen: „P. T. M.,” str. 11. Kallenbach: „A Mickiewicz,” II, str. 151—2. Brückner: „Dzieje literatury polskiej w zarysie,” II, str. 107.

⁶⁾ cf. Biegeleisen: „P. T. M.,” str. 303—8.; B. W. 1892, III, str. 452.

⁷⁾ „Pan Tadeusz” (P. M. Chmiel. III), str. 188, 191, 192, 201, 240; cf. B. W., 1892, IV, str. 466.

„o Bonończyku i psach czynownika“ („sam cesarz śmiał się“) ¹⁾. Nawet Mickiewicza podniesienie „bigosu“ i „gdańskiej wódki“ jako zuamiennych potraw i napojów szlacheckich, ma u Konopnickiej zręczne pendant w apostrofie do „bochna razowego chleba“ i „czarki siwuchy,“ potrawy i napoju — charakterystycznych dla chłopa ²⁾. Dwukrotna, gorąca wzmianka o Napoleonie, raz wpleciona w opis śmierci Proskurata, raz malowidło armii mrówczej zdobiąca — to też jedno z tych zbliżeń nieumyślnych, które przecież sferę przyciągania zdradzają ³⁾.

Ale mimo głębszych czy płytszych, stałych czy doraźnych, świadomych czy przypadkowych zbliżeń do epepej mickiewiczowskiej — „Pan Balcer“ różni się od niej nieskończenie. Do wywołania różnic przyczynić się musiał decydująco równoczesny wpływ drugiego mistrza, inaczej epickim mieczem władającego — Słowackiego.

Wpływu tego nie da się zamknąć w ścisłe reguły, choćby dlatego, że brak poematu o analogicznych, nakrywających się z „Balcerem“ kształtach. Darmoby ktoś myślał o „Królu Duchu“! Potężna „monoepopeja“ Słowackiego, wtłaczająca w legendę historyczną geniusz jasnowidztwa, zbyt wysoko wleciała nad kram realnej obserwacji, nad zbiorowisko faktów jednodniowych, żeby się do niej dało dopasować jakikolwiek utwór cudzego pióra. Sfery twórcze Słowackiego i Konopnickiej w obu poematach działały zbyt rozbieżnie. Pierwszy ze zjawisk przeszłości wykruszał swoją górną syntezę. Druga operowała grubym materiałem teraźniejszości. Stąd też Słowacki w „Królu Duchu,“ ku „celowi finalnemu“ skierowany, działa sprężynami wizyi, na wewnątrz sprowadza akcyę, polewą subiektywną zdobi słowa, skojarzenia codzienne rozbija, podkłada pod obrazy perspektywę wieczności. Konopnicka natomiast w „Panu Balcerze“ pamięta o zmysłach, akcyi nie unika bezwzględnie, zabarwia całe stronicie przedmiotowo, asocyacyj szuka łatwych, w obrazach dba o względy lokalne. Kusić się wobec tego trudno o wykazanie potrażeń szczegółowych, podobieństw wypukłych, zależności namacalnych, takich, któreby można oprzeć o cytaty i uświęcić odsyłaczem. Przecież wyszedł-

¹⁾ „Pan Tadeusz“ (Pis. Mick. Chmiel. III), str. 60 — 2; cf. B. W. 1902, III, str. 483.

²⁾ „Pan Tadeusz“ (P. M. Chmiel. III), str. 124 — 5.

³⁾ „Pan Tadeusz“ (P. M. Chmiel. III), str. 23 — 4, 36 — 7, 107 — 12, 186 — 8, 194 — 5, 197, 292 — 5, 301, 329, 345.

szy z kółka filologicznych formuł, trudno nie zauważyć potraczeń, podobieństw i zależności natury ogólniejszej, stwierdzonych już przez krytykę przygodnie ¹⁾. Prawda, że stwierdzonych ogólnikami.

Chcąc zestawić rzeczowo paralelizmy, jakie się tylko nastreżają, zacznę od pozycyi najuchwytniejszej, od oktawy, która była w zakresie strofiki „jedną z dwóch kochanek“ ²⁾ Słowackiego, a której w swoim poemacie — nie po raz pierwszy zresztą — użyła także Konopnicka.

Jać tylko oto przygrywam piosenkę,
Za wyprzednika jestem i za posła.
Zaś przyjdą, którzy mają lepszą rękę,
Niż od twardego moja jest rzemiosła.
Ci śpiewać będą pracę tę i mękę
I będzie światem ogromna pieśń rosla,
Z której ten naród polny, te prostaki.
Wylecą w słońce, jak podniebne ptaki. ³⁾

Przypomina Słowackiego za bardzo ta oktawa, w osiem miedzianych strun dzwoniąca, wyćwiczona tak, że najmniejszej reszty uczuć czy myśli nie pozostawia za sobą, stosownie do zawartości wewnętrznej naprężana potężnie, lub luzowana ze smętkiem. Rolą, jaką odegrała oktawa w ewolucyi twórczej Słowackiego, nie zajmowano się dotąd zupełnie. Prawda, że do niedawna jeszcze, pomni na klasyczną podziękę poetyki, rozróżnialiśmy subtelnie między „treścią“ a „formą“ utworu, każdą z nich wsuwając do specjalnej rubryki. Najświeższe dopiero badania estopsychologiczne — tak za granicą, jak i u nas — rozszerzyły zakres wpływów „formy“, zwracając uwagę na jej organiczny związek z „treścią“. Niestety na marginesie te badania nie zeszyły, do wniosków pozytywnych nie zstąpiły, choć o wnioski nie było już trudno. Zwłaszcza tam, gdzie idzie o oktawę. Tak jest — oktawę! Z chwilą, kiedy się jej jał Słowacki, wzrastać u niego zaczyna zmysł plastyki, w opiece kryształują ściągający rozlewne elementy muzyczne. I wzrastać ten zmysł odtąd będzie z niebywałą chyżością, póki nie doprowadzi do ostatecznego napięcia w organizacyi twórczej, której wykładnikiem miały być według popularnego komentarza Krusiń-

¹⁾ Aleksander Brückner: „Dzieje liter. polsk. w zarysie“, II, str. 368.

²⁾ Józef Treliak: „Nieznane fragmenty i warianty Beniowskiego.“ B. War. 1902, III, str. 211.

³⁾ B. War. 1897, IV, str. 313.

skiego „farby Correggia i Rafaela, niesione Beethovena tonami.“¹⁾ Co dziwne, że dzisiejszy krytyk, wskazując w obrazach Słowackiego bez naciągów, przy pomocy jedynie przedmiotowej analizy rysunek i ruch — i to rysunek giętki, ruch sprawny²⁾, nie objaśnia przecież tego splastycznienia, stwardnienia obrazów genetycznie, choć pomocną tu nie mało mogła mu być oktawa. Bo jej planowa konstrukcja, która z ośmiowiersza stwarza artystyczną całość, narzucać musiała i tak o kunszt dbałemu pocie potrzebę ładu — już najzewnętrzniejszym, w grafice objawiającym się zarysem prostokąta, doskonale zamkniętego. Co więcej, rytmika przestawna, parzyste wiersze rozgradzająca nieparzystymi, uczyła go porządku z góry określonego, w ryzy ujmowała najkapryśniejszą fantazję. Nadto końcowy dwuwiersz, zderzając nagle rymy wzajemne, zwierzał strofę twardo, zgniatał jej zawartość i zmuszał w ten sposób poetę do retrospektywnego rzutu oka na całość obrazu, pomieszczonego w głębi wiersza. Stałe wreszcie następstwo strof, prawidłowo formowanych, w ciągu dłuższego użycia dawało Słowackiemu klucz geometryczny, pomocny do rozwiązywania choćby najryzykowniejszych problemów, jakie zna poetyka. A tak zmysłowa pobudliwość twórcy, ujęta w ścieśnione ramy tworzenia, pociągała za sobą zrozumienie celowości w sztuce, która różnemi drogami do tej samej absolutnej zdłuża harmonii. Naiwnego wyznania Słowackiego, że go „oktawa pieści“³⁾, nie można pod żadnym warunkiem uważać za poziomy tylko objaw samochwalstwa. Rzecz inna, że zapisując je, mógł poeta niedocenić należycie następstw dalszego procesu rozwojowego swojej twórczości. W „Beniowskim“ istotnie pierwiastek plastyczny nie doszedł jeszcze do swojego późniejszego uprawnienia, gra owszem rolę podrzędną wobec wszechwładnej instrumentacji wiersza. Mijają strofy całe, pozbawione wskaźników barwnych, o rysunku, zaledwie widocznym wśród pysznych rymów, o ruchu, raczej z rytmiki wynikłym. Dopiero w „Królu Duchu“ przychodzi do równowagi między obu pierwiastkami, równowagi, która nigdy poety na działanie jednego z nich tylko nie zdaje, ale obu każde działać współrzędnie. Wiadomo zaś, że dopiero „kiedy Słowacki zużytkuje swoje zdolności plastyczne nie samoistnie, lecz w połączeniu z mu-

¹⁾ „Kilka słów o Juliuszu Słowackim“ („O krytyce w ogólności“). Pisma Zyg. Krasińskiego, wyd. Piniego. Lwów, 1904. Tom II, str. 204.

²⁾ cf. Matuszewski: „Słowacki i Nowa Sztuka.“ str. 163—167.

³⁾ „Beniowski“ (Pis. Jul. Słowackiego. Wyd. lipskie, 1861. T. IV), str. 29.

zyczno-lirycznymi, osiąga najoryginalniejsze i najpotężniejsze rezultaty.“¹⁾

Podobną kolej rozwojową przechodziła Konopnicka. W jej dawniejszej produkcji lirycznej uderzał układ wybitnie eufoniczny obok absolutnego braku plastyki. Praca nad „Imaginą“ oznacza przeobrażenie, rękę zaprawiając do oktawy i równocześnie podnosząc jasność widzenia poetyckiego. Przecież względna plastyka obrazów stoi jeszcze w „Imaginie“ w tyle poza ruchliwością muzyczną wiersza, zdążającego do swobody bezwzględnej. Wyjazd za granicę, zetknięcie się z targowiskiem purnasyjskiem: z Leconte de Lisle i Banvillem z jednej strony, z Carduccim i d'Annunziem z drugiej — prowadziły proces przeobrażenia dalej. Wyrówna akcje obu czynników, plastycznego i muzycznego, dopiero „Balcer“, w którym „farby Correggia i Rafaela“ stapiają się podobnie, jak u Słowackiego, z „Beethowena tonami.“⁴

Podobnie, ale nie tak samo. Oto dwie, ma chybił trafił wybrane strofy, z których wyłamać będzie łatwo różnice między organizacjami twórczemi Słowackiego i Konopnickiej:

I dziś od ogniów boskich w dół zepchnięty,
Z piramid czola, z wulkanicznych szczytów,
Cierpię — lecz jeszcze gardzę. I ten święty
Rym nieraz kąsa was aż do jelitów;
I płynię, jako szalone okręty,
Z fal odrzucamy do niebios błękitów,
Gdzie mu początek był i koniec będzie —
Gdy śmierć na żaglach okrętu usiędzie.²⁾

Dziś jeszcze... jeszcze teraz ucho słyszy
Muzykę siekier i toporów ową...
I teraz jeszcze mam za towarzyszy
Te echa, co mi grają pod posowę
Samotnej izby, kiedy siędę w ciszy,
I widzę, jak te bory chwieją głowę
Z wielkiego dziwu i jak słońce trzęsie
Blask w knieje, tęcze niszając na rzęsie.³⁾

1) Matuszewski: „Słowacki i nowa sztuka“, str. 177—8.

2) „Beniowski“ (P. Jul. Słow., t. IV, edycja lipska, 1861), str. 73.

3) B. W. 1897. T. IV, str. 308.

Komentarz chyba zbyt czuły. Ruchliwy temperament Słowackiego elektryzuje strofę za strofą, zróżniczkowaną duszę poety przesuując przed czytelnikiem wśród ustawicznego falowania próżności i grozy, smętku i ironii, wzniosłości i dzieciństwa. Jednolita bryła natchnień Konopnickiej, dociosana do kształtu oktawy, nie przedstawia tego odśrodkowego parcia, które tkwić musi w specyficznym układzie temperamentu twórcy. Pozornie przeczy podobnemu twierdzeniu „Imagina“ która przecież jest tylko bezindywidualną kopią „Beniowskiego.“ Jej odśrodkowość tedy, zależną w prostej linii od wzoru, należy położyć na karb filiacji ze Słowackim, pamiętając, że praca nad techniką pochłaniała poetkę w czasie tworzenia bezwzględnie, że więc pozbawiona udziału w tworzeniu indywidualność nie mogła obronić poematu przed naporem cudzego nastroju. Dopiero kiedy poetka opanowała w całym znaczeniu słowa technikę, zaczyna się indywidualność upominać o swoje prawa. I wtedy sztywnieje schemat wiersza, traci falistość wzoru, godzi się z równowagą duszy, która materiał epicki wydobywa ze stanów, dobrze przetrawionych, perspektywicznie odsuniętych.

W dalszym ciągu zbliża się Konopnicka do Słowackiego, łącząc w swoim poemacie sferę bezwzględnej podmiotowości ze sferą stwardłego, groteskiem zalatującego realizmu. „W umyśle Słowackiego — jak chce jego psychograf — powoli zatarła się różnica między poezją a rzeczywistością, wyrażając się ściślej, poezja wchłonęła w siebie rzeczywistość.“¹⁾ Udział obu czynników w twórczości genialnego romantyka określić łatwo, choćby tylko powierzchownym oględzinom poddając jego utwory. Więc podmiotowość rzuca w jego styl metafizyczne ziarno, dynamizuje zdanie do rozmiarów nieskończonych, obraz podszywa istotną wartością, poemat każdy przemienia nawet mimo jego fragmentarycznego kroju w absolutnie piękną całość. Realizm natomiast czyni w ostatniej chwili metafizykę poezją, pozwala zeszytnieć w symbol, chwytła zmysłowo rozmach słów, upojonych tajemniczą zawartością, poemat malewa substancją organiczną.

Rzecz prosta, że odmienne warunki, wśród jakich tworzyła uczennica, musiały tu zmodyfikować bezwzględną jej zależność od mistrza.

Formy, która w epice uprawnia tryb podmiotowy, która z każdego swojego obrazu czyni rzut absolutu, mógł być Ko-

¹⁾ Matuszewski: „Słowacki i nowa sztuka,“ str. 309.

nopnickiej dostarczyć jeden tylko Słowacki. Raz mętne, raz jasne losy jego Popiela—Mieczysława—Bolesława rozwijają się w opowiadaniu, jak u niej, luźnem, regułami nietkniętem, wtłoczone w usta bohatera, z którym „poeta identyfikuje się widocznie.“¹⁾ Przyjawszy przecież niewątpliwie analogie między formą „Króla Ducha“ a formą „Balcera,“ nie powinniśmy zapominać o różnicach, równie niewątpliwych. Nie powinniśmy zapominać, że Słowacki, zlany w jedno z bohaterem, stworzył w sposób naturalny sferę życia nieograniczoną, w której mieszczą się bez pogwałcenia logiki nawet najpotężniejsze wybuchy jego indywidualności. Konopnickiej natomiast cięży w biegu akcji psychika opowiadającego bohatera, z którym niepodobna się było utożsamić bezwzględnie. Prosta przeto konsekwencja sprawiła, że poetka od czasu do czasu wprowadza pomiędzy prymitywne, gwarą zalatujące wyznania element lotniejszy, wyższą inspiracją zaprawny, i że wskutek tego niszczy jednolitość wyrazu poetyckiego. Nie mogło być inaczej. Chłopska, ledwie wyciosana dusza, nie dźwignęłaby się sama tak szparko nad koło codziennych kłesk. Więc gawędzającemu dobrodusznie kowalowi pożyczka poetka, ile razy zdarzenia targną nią silniej, własnego języka, własnej krwi, własnego natchnienia.

Czyś Ty nas widział tam, o Chryste Panie,
 Straconych w onej okrutnej gęstwinie,
 Gdzie żaden ludzki głos, ani wołanie
 Cmy nie przebiję i stłoczony ginie?
 Czyś Ty nas słyszał wieczorem i rano,
 Obwołujących Ciebie przez pustynie,
 Które za nami zaniknęły się ścianą,
 Z mroków niezbytch na głucho kowam? *)

Te strzeliste, wysoko adresowane apostrofy Balcera rysują w liczne skazy skłopienie epickie poematu, trzęsą każdą strofą, jak kolumną, ale nie mniej stanowią szczyt ekspresyi, kondensując w sobie najsilniejszy rozmach potencji twórczej.

Podmiotowa strona twórczości Słowackiego bliższa czy dalsza współczesnych zagadnień okultystycznych, wprowadza do ostatniego cyklu jego utworów doktrynę oryginalną, na monizmie opar-

1) Małeck: „Juliusz Słowacki,“ III, str. 128.

*) Bibl. Warsz. 1897, IV, 306-7.

ta, dotąd przedmiotem żmudnych dociekań będącą. Mimo kolejnych wydań Małeckiego, Biegeleisena, Rychtera, oraz opartego na nich rzeczowego studium Matuszewskiego, zdołano w tej doktrynie wykazać zaledwie względne, nie wyczerpujące całości wpływy Saint-Martina i Kabały, Saint-Simona i Hoene-Wrońskiego, Schellinga i Hegla, Cieszkowskiego i Trentowskiego.¹⁾ Pełnego kąta analogii dostarczyła dopiero twórczość nowej generacji poetów, dla których świat otaczający to także „dywanik, na wywrót widziany, gdzie różne nitki wylażą i giną znów, niby bez celu i potrzeby... z tamtej strony są kwiaty i rysunek.“ Rzecz prosta, że Konopnicka, stwarzając zbiorowisko ludzkie o zacięśnionem korycie psychiki, z przewagą mięśni nad nerwami i co więcej pieśń zamieniając na opowiadanie bohatera, nie mogła przemycać w strofie zdań, trącających doktryną. Mimo to wszakże stosunek duszy do ciała w jej poemacie stoi na wysokości wymagań Słowackiego: pogniębieniu ciała odpowiada konsekwentnie tryumf duszy: nie tak jak w dualistycznym na wskróś, zmysłowo-epickim, różano-marmurowym „Tadeuszu.“ Dlatego kluczem użytecznym przy odczytywaniu „Balcera“ mógłby się może stać wiersz, zapisany bez szczegółowej daty w raptularzu Słowackiego z lat 47-9:

O tym człowieku, że duchowny mów,
Który chory, chromy, po stracone zdrowie
Pełźnie do obrazu Panny w Częstochowie
I wraca zdrów!²⁾

Ten wiersz chropowaty, jak żaden inny, ale też jak żaden piękny wewnątrznie, nieocenionym się staje dokumentem do oznaczenia i rozpoznania bliższego dusz ludzkich w „Balcerze.“ Po dowody wystarczy sięgnąć do szeregu sytuacji, w których człowiek Konopnickiej żyje i działa. Prawda, że żyje i działa nie jednako. Mistyczny, potyskujący, jak światło miesięczne, wpływ Słowackiego sprawił, że z gromady chłopskiej najpotężniej wybuchali bohaterowie wyduchowieni, świętość promieniujący z siebie w słowie i czynie, między mężczyznami Horodziej, między kobietami Bugaja. Ale na starszej parze emigrantów nie zatrzymał się ten wpływ, dotykając swoim promieniem kolejno Szcześniakowej,

¹⁾ Matuszewski: „Mistyka Słowackiego“ („Swoi i obcy“), str. 196—228.

²⁾ Juliusz Słowacki: „Poezye, utwory dramatyczne i proza.“ Wydanie pierwsze z pośmiertnych rękopisów, J. H. Rychtera. (Kraków, 1889.) „Dodatek,“ str. 19.

kiedy szuka tropu dziecka na wodach¹⁾ i Dudkowej, kiedy cucu bezwładny obóz chłopski²⁾—Bugaja, kiedy żąda sądu bożego między ziemią brazylijską a polskimi wychodźcami³⁾ i Zatrąty, kiedy bierze na barki małego znajcę⁴⁾—Przytuły, kiedy go woła przecichym głosem opuszczona ziemia⁵⁾ i Balcera, kiedy w ogień ciska zwłoki Jaśkowe.⁶⁾ Za jednostkami stoi wreszcie tłum, tchnieniem Słowackiego owiany we wszystkich wielkich momentach. Czy w pierwszej pieśni, kiedy ciska się na kolana z pieśnią wobec gwiazdy, wysoko rozetlałej⁷⁾ lub wita z entuzjazmem ziemię, rzucając grosze w nadstawioną mykę żydowską.⁸⁾ Czy kiedy w pieśni drugiej słuca pół żywy melodyi wichury⁹⁾ lub u ogniska zebrany, wybiega myślą ku swoim Wołom i Wólkom.¹⁰⁾ Czy kiedy w trzeciej woła śmierci, strzałem rozpaczy rażony w serce,¹¹⁾ lub w egzaltacyi zapomina o ziemi, niebieskiemi widmami zasnuwszy głowy.¹²⁾

Stąd też, tak jak u Słowackiego, nie znajdzie się w poemacie Konopnickiej zjawiska, trywialnie pojętego, dobrego przewodnika fabuły, ogniweu zaczeponego sprytnie o drugie, podobniuisienkie do siebie. Mało dbała o materyalne funkcy swoich bohaterów, zdejnuje poetka chwilami ze strof piętno rodzajowe, sycąc je natomiast z wewnątrz ważną, jak dźwignia, ideą. Dlatego ten Kreje, który wiezie emigrantów i ci Balcerzy na nim, Zatrąty, Opacze i Przytuły—to nie zwykły okręt i charakterystyczne tylko postacie, ale nawa potężna, w której przewozi się cały zbiedzony, głupi, nieraz nawet zły lud polski. Ci ludzie nie do Brazylii jadą, ani do żadnego miejsca na ziemi. Ster ich jest z innego świata. Cierpienie, naturalistycznie przedstawione, ma ich poprawić i zmienić gruntownie.

Nacisk, z jakim poetka podnosi oczyszczający pierwiastek w cierpieniu, nasuwa znowu analogię z ultraromantycznym wzo-

¹⁾ B. W. 1892. IV, str. 450.

²⁾ „ „ 1900. VI, „ 347-8.

³⁾ „ „ 1900. VI, „ 159-60.

⁴⁾ „ „ 1900. VI, „ 172.

⁵⁾ „ „ 1897. IV, „ 309.

⁶⁾ „ „ 1897. IV, „ 438.

⁷⁾ „ „ 1892. III, „ 473.

⁸⁾ „ „ 1892. IV, „ 460.

⁹⁾ „ „ 1897. IV, „ 436-7.

¹⁰⁾ „ „ 1897. IV, „ 304.

¹¹⁾ „ „ 1900. VI, „ 346-7.

¹²⁾ „ „ 1901. III, „ 553-5.

rem. Scisła rewizya utworów Słowackiego przekona, że żywiołem, którym poeta operuje najchętniej i najumiejtniej, było cierpienie. Ewolucya tego cierpienia, wlamując się w coraz doskonalszą dziedzinę, sięga od studenckiej „Godziny myśli“ do dojrzałego „Króla Duchu.“¹⁾ W „Godzinie myśli“ cierpi poeta sam, cierpi epidermą zaledwie, zatruty literackim karmelem, drażniony jaszcuśką sielanką: gotowy materyał na malkontenta. Pociąg do cierpienia po swoim młodziutkim twórcy odziedziczyli pierworodni bohaterowie jego poematów, psychologicznie skrojeni według ostatniej londyńskiej mody: więc Żmija i Bielecki, Hugo i Mnich, Arab i Mindowe, Botwel i Lambro. Rychło przecież podnosi się sfera cierpienia. Książkową reminiscencyę wypiera z niej motyw, z życia płynący, indywidualizowany silnie. Stąd na postumencie prawdziwej już wielkości stoją nowe kreacye Słowackiego, przedewszystkiem męskie: kapłan krwawej ofiary Kordyan i bezkrwawy ofiarnik Anhelii, klasycznie pojęty Ojciec Zadżumionych i romantyczny w każdym calu bohater „W Szwajcaryi,“ tajemniczy Wacław i piekielny Dautyszek, Don Juan—Beniowski i Hamlet—Szczęsny, płochy Mazepa i spiżowy Wallenrod, kochanek Sparty Agis i Polskę w sercu piastujący Zawisza. A za mężczyznami, pograżonymi w cierpieniu, nie zostały w tyle kobiety Słowackiego. Więc cierpią—każda po swojemu — czarna Balladyna i biała Lilla, cierpi płomieniami gadająca Judyta i słodka Salomea, cierpi w dumę, jak w zbroję, zakuta Aniela i uparta szlachecianeczka Gnusia, cierpi mimo wiecznej pozy Idalia i mimo koturnów Beatrix, cierpi twarda w zemście Aksena i najsmętniejsza z bohaterek, jakie zna nasza poezya — Mieczysławska. W ostatniem studyum twórczości Słowackiego—cierpienie rozszerza swój obwód, z indywidualum przechodzi na masę, żeby ją odrodzić. „Król Duch,“ horyzontalnie najszerszy ze wszystkich dzieł, daje przekrój mąk całego narodu, który twardnie w ponurej szkole historii, pod ciosami losu staje się nieugięty, „na ból skała.“

Analogiczny tryb rozwoju wskazać można i w twórczości Konopnickiej. Cierpienie podmiotowe, w jej początkowej liryce zawarte, rozszczepia się na pęk cierpień o różnych wykładnikach w „Obrazkach.“ Te znówu cierpienia zabarwia—w szczy od ludowych bohaterów dwóch pierwszych seryj — Lucy w „Imaginie“ pierwiastkiem narodowym, krwawiącym równocześnie „Fragmenty“

¹⁾ Rzecz prosta „Godzinę myśli“ wysuwam tu na front bez względu na chronologię, jedynie jako materyał biograficzny.

trzeciej seryi. Rodzajowy wiersz „Do granicy“ jest jakby szkicowym prologiem do wielkiego obrazu epickiego. Męki ludu i męki narodu wiążą się w nim w całość, która kiedyś miała wydać „Balcera.“ Bodziec do wykucia w wierszu tych mąk dawały bezsprzecznie strofy „Króla Duchu.“

Bez „skrwawionego wiosła“ Słowackiego nie dowiozłaby Konopnicka chłopu tam, dokąd go chce dowieźć. Między jej bohaterami niema takiego, któryby czegoś nie utracił, za czemś nie tęsknił, na coś się nie skarżył. Obuich losu wareszy nad nimi wciąż. Słabsi padają pod nim, silniejsi dźwigają się ze zdwojoną odpornością. I co więcej dźwigują się lepsi, z zapartym gdzieś w pierśiach egoizmem, z wykluwającym się instynktem poświęceń. Cierpienie, ze znawstwem odtwarzane przez poetkę, nie tylko powinno ich było odrodzić, ale odrodzić musiało. Przesłanki etyki zeszyły się z przesłankami psychologii. Konkluzję dają ostatnie karty tego smętnego poematu, w którym wędruje chłop ku swojej Golgocie, obrzucony refleksiem mistyki Słowackiego, może ostatnim. Ze ta wędrówka miała sięgnąć poza krąg doczesności, że z płomienia męczeńskiego trzeba było tkać glorię nad głowy, rozumiała poetka, zabierając się niegdyś do swojego poematu, rozumiała i później, rozprowadzając w wierszu jego luźne ogniwa. Niedarmo rzuca tuż po opisie najcięższych przepraw chłopskich sноп takiego cennego światła:

Lud się sprostował, drzemiący obwisłe.
Tak go nacięła śmierć, jak rzemień w procy
I duch wyświecił z tej kłęski i burzy,
Jak błyskawica, pogodę co wróży.¹⁾

Ale wpływ Słowackiego nie ograniczył się do kształtowania samego tylko nastroju podmiotowego, płynącego z podobnych założeń twórczych. Markowany w stylu Konopnickiej realizm sięga niemniej stanowczo w poemat, załamując się, co prawda w osobliwy, Słowackiemu tylko dostępny sposób. Na nieszczęście analogię tu wikła opinia, kwestyonująca dotąd pojmowanie Słowackiego, jako realisty. Na stanowisku dość niejasnem stoi, omawiając stosunek Słowackiego do rzeczywistości, nawet Matuszewski. Jego twierdzenie, jakoby „szczery realizm był dla Słowackiego krainą niedostępną,“²⁾ należy czytać, rozszerzając epitet „szczery“ do

¹⁾ B. W. 1897. IV, str. 100.

²⁾ Matuszewski: „Słowacki a Shelley.“ („Swoi i obcy,“ str. 182.)

rozmiarów, jakie chciał mu nadać francuski naturalista. W przeciwnym razie regułę, postawioną przez krytyka, obaliłby cytowany przez niego samego wyjątek: „Złota Czaszka.“ Stawianie w sztuce reguł, mających przeciw sobie takie wyjątki, bywa zawsze niebezpieczne. Zresztą poza „Złotą Czaszką“ stoją ustępy z „Horsztyńskiego“ i „Niepoprawnych“, „Jana Kazimierza“ i „Wallenroda“, z „Beniowskiego“ i „Podróży na Wschód“, pełne dowodów, że organu, wyczuwającego rzeczywistość, zdolnego odtwarzać grubą skorupę zjawisk, nie brakowało Słowackiemu. Bo co innego jest pogarda dla obserwacyi, ucieczka przed doczesnymi, ze zmysłem związanymi środkami, a co innego brak potencji realistycznej, której nie zastąpią czeze abstrakcyjne czy wodne farby retoryki. A w obrazach Słowackiego nietrudno wskazać natężenie fizyologiczne prawdy takie, jakie im do życia w sztuce wystarcza. Rzecz inna, że rzeczywistości Słowackiego nie da się sprowadzić do tych linii prostych, które zamykają pole widzenia Mickiewicza. Pióro naszego najekscentryczniejszego romantyka nie chwyta zjawiska z bezwzględnością kliszy, nie przenosi go na papier, prawie że nieświadomie. Stąd zjawisko, choćby najmniej złożone, w jego wierszu nabiera cech nadzwyczajnych, fascynujących. Żeby nie gubić wątku dowodzenia, przypomnę choćby nocleg w Vostizy z „Podróży na Wschód“ albo drogę do pasieki z „Beniowskiego“, metamorfozy Śląza z „Lilli“, albo konferencję między Sforką i Garnoszem z „Horsztyńskiego“, idyllę książęcej rodziny z „Wallenroda“, albo rachunki Harmidra i Szewczychy z „Jana Kazimierza“, porwanie Rzecznickiej z „Niepoprawnych“, albo dyalogi Leliwy i Doliwy z „Krakusa.“ Przykłady można by mnożyć, stwierdzając tylko coraz wymowniej, że Słowacki, największy *artifex* w naszej poezyi, we wszystkich swoich dziełach, tak tych, w których „tworzył“, jak i tych, w których „przypominał“, bierze rzeczywistość pod szkła, stylizuje ją wedle własnej recepty, doprowadza każdy jej motyw do odrębnego, specyficznego układu. Uważnego czytelnika nie oszuka pozorna prostota, z jaką się można czasem spotkać u Słowackiego. Nawet do punktusprowadzone, ewangelicznie ubogie obrazy „Złotej Czaszki“ noszą na sobie cechę wyrachowania artystycznego, które z naiwnego elementu wspomnień, odpowiednio tylko przykrojonych i zredukowanych, wydobywa styl piękna osobny. Dla tem pełniejszego wyczerpania kwestyi zapiszę tu, że Mickiewicz, wedle chóralnej opinii tak krytyki, jak masy, największy polski *vates*, trzymał się w stosunku do rzeczywistości taktyki wręcz przeciwniej: jej odłamy rzucał w wiersz niedbale, bez rozmyślnego przetwarzania, obraz za obrazem przerysowując z pierwszych wrażeń,

jak z notat. Dlatego też strofa Mickiewicza uchodzi słusznie za zwierciadło życia naturalne, odbijające bez pochlebstwa czy przygany wszystko, cokolwiek się dostanie w sferę jego wpływów. Strofa Słowackiego natomiast stać się musiała zwierciadłem wklęsłym, takim, które kształty życia zewnętrznego nagina do karykatury, rozumie się stylowej zawsze i poetycznej nad wyraz.

Że Konopnicka, odtwarzając to, co widzi, stawiała na stanowisku Słowackiego, nie tak skrajnym tylko może, dowiedzie każdy jej obraz, ściślejszej analizie poddany. Bo idzie w „Balcerze“ już nie o równoległy bieg opowiadania i zdarzenia, idealnie przystających do siebie, ale o kunsztowną transpozycję tego zdarzenia na artykuł sztuki dotykalny, barwny, głośny.

Kucharczyk jeden w krochmalnym berecie
Osiadł go (rekina), jakby kulbakę, okrakiem,
Omoka, że niby na końskim to grzbiecie;
Nuż piętą w boki, nuż po łbie kulakiem
A w tem się porwie rekin i pomiecie...
Chłop z niego! Blady, jak chusta, czworakiem
Klapnął o ziemię, by żaba rozbita...
A ten dopieroż raz chrapanął i kwita! *)

Wyrabia się zmysłowa predylekcyja dla epizmu, pod której wpływem poetka piluje nieraz po parnasyjsku najdrobniejszy szczegół, brnąc z opisu w opis, choć akcyja rwie się naprzód. Estetyczny wzgląd na formę staje w poprzek naturalnemu rozwojowi treści. Taki tryb twórczy musiał w poetce podobnie, jak w Słowackim, sparaliżować zdolność narracyjną, bez której nie można złożyć wielkiej epepei.

Co prawda epice Słowackiego nie pozwalał się normalnie rozwijać czynnik nierównie ważniejszy. Oto nie umiał poeta zamknąć się w dziele bez reszty, nie umiał w niem skondensować całego natchnienia. I tak w pierwszej, literackiej epoce twórczości wyobrażnia „nureczowego franta,“ parta do ciągłego rozmachu, wiktula wiersz w coraz dalsze skojarzenia, w których świeciła, ale i barokizowała się forma. W epoce drugiej, mistycznej, „ponury skald,“ rozgorzały doktryną, depezący szatana zmysłów, uciekał niemniej z siodeł praktycznego życia, wichrowi bożemu dawał się nastrojać, wozbranem lirycznie natchnieniem mącił i niszczył najkompletniej akcyję. Stąd zdarzenie jest u Słowackiego co naj-

*) Bibl. Warsz. 1892. III, str. 499.

wyżej złem koniecznem: punktem wyjścia do przydługiej tyrady, albo miejscem odpoczynku dla ducha, padającego po walce na dziurawy sztandar. Epice Konopnickiej nie z tej strony zagrażało niebezpieczeństwo. Owszem! Jej zrównoważona, zbyt wycieńczona nie znająca organizacya pozwoliła się sformować w „Balcerze“ ustępom pierwszorzędnej wagi epickiej. Ustępom, ale nie całości! Całości zaszkodzić musiał estetyzm, punkt ciężkości przenoszący na opisy, nieznane dawniej smaki i upodobania wzniciający w zdrowej naturze poetki. Pod jego naporem Konopnicka, nominalnie gotowa uznać supremacyę treści nad formą, faktycznie nie sili się nawet na stworzenie intrygi jakiegokolwiek, stawiając po sobie najczęściej luźne, genetycznie nie spojone epizody.

Na wzajemnym stosunku tych epizodów odcisnął się znowu wpływ Słowackiego. Nerwy wielkiego poety, wiecznie napięte, drażnione wierszem muzycznie świetnym, wypukłym dzięki obrazowaniu, w ostre, rozkładowe barwy zdobnym — walczyły z ładem kompozytorskim, który rozróżnia między pierwszym polem widzenia a polami dalszemi i wedle szkolnego ceremoniału roznięsza w nich materyały, do fabuły należące. Jeżeli po kilkakrotnem, sumiennem odczytaniu „Króla Duchą“ trudno zdać sobie sprawę z jego epickiej zawartości, zszeregować wypadki, związać je w jedną linię rozwojową i oznaczyć ich bezpośrednie następstwo, wiara w ten kto wie czy nie owego stempla, który zaciężył nad strofami w jakąś pyszną, ale nieperspektywiczną monotonię zlewając sceny przełomowe z momentami drobniejszej wagi. Konopnicka podobnie, w układzie epizodów, z których powstawał jej poemat, wiedziona względami estetyki krótkowidzącej, zbyt blizkiej obrazów, nie odróżnia współrzędności od podrzędności, przez co psuje co krok i tak nikłą kompozycyę poematu. Rewizya okrętowa,¹⁾ wjazd do portu,²⁾ wywody o równiku,³⁾ pochód armii mrówczej,⁴⁾ oracya Balcera do komisji⁵⁾ — oto szereg szczegółów, ze szkodą całości wydłużonych, uwagę powyższą żywo stwierdzających.

Zamknąć chcę rubrykę podobieństw między Słowackim a Konopnicką notatą, która odnosi się po części tylko do realistycznego trybu przedstawienia, a mianowicie do motywu wywołującego jego najostrejsze, nieraz aż przykre dla czytelnika objawy. Myślę

¹⁾ B. W. 1892. IV, str. 447-9.

²⁾ „ „ 1892. IV, „ 460-8.

³⁾ „ „ 1892. IV, „ 451-3.

⁴⁾ „ „ 1901. III, „ 549-50.

⁵⁾ „ „ 1897. IV, „ 442-5.

o tragiczności nastroju, który, rzecz jasna, musiał stworzyć dla siebie odpowiedni wyraz na zewnątrz w technice poetyckiej. Najgłębszy komentator Słowackiego, odmawiając mu praw do ordynarnego realizmu, czyni go nie bezzasadnie „królem tęczowo-krwawego państwa fantazyi.“¹⁾ Określenie „krwawego“ należy w tym wypadku podkreślić. Specyjalna sekcya utworów wielkiego dramaturga, urodzonego po to, żeby nie napisał ani jednego wielkiego dramatu, dałaby dowodów dość na stwierdzenie powyższego sądu. Nie było chyba u nas poety, któryby się tak, jak Słowacki, kochał w tragicznych sytuacjach, czasem aż o perwersyę potracających, stylizowanych z chorobliwym smakiem. Łuna na prawdę „krwawa“ stoi nad obrazami „Srebrnego Snu“ i „Księdza Marka,“ „Poematu Dantyszka“ i „Beatrycy Cenci,“ „Mokryny“ i „Horsztyńskiego,“ „Z dziejów W. Nowgorodu“ i „Króla Ducha.“ Innorodny talent Mickiewicza, przedstawiając scenę tragiczną, sycił ją w drodze bezpośrednich skojarzeń współczuciem podmiotowem, oświadczał się po stronie słabszego, etycznie klasyfikował popędy i uczynki bohaterów. Trómaczyć nie trzeba, że w ten sposób łagodniało natężenie tragiczności. Słowacki nie staje nigdy wprost w roli współnika obwinionych i cierpiących. On dyssekuje gorączkowo duszę, do maximum doprowadza jej stany, odrazę mając do skali średniej, do taniej harmoniki światła i cieni, dbały jedynie o przenikliwą potencję grozy, o estetycznie zwarty wyraz z jednej strony okrucieństwa, z drugiej bólu. Na dnie jego utworów pulsuje jakiś nieokreślony, w stany patologiczne zachodzący popęd, który mu każe jednych bohaterów zamuroвывать, innych zakopywać żywcem pod ziemię, jednym wykapywać oczy świecą, innym wydierać je poprostu, tych pławić we wodzie, tamtych, oblanych smołą, podpalać, tych wlec na tortury, tamtych oddawać w ręce kata i znowu zarażać dżumą lub wieszać, dusić albo kłuć sztyltem. Może to ta ściana twórczości, która wedle orzeczeń popularnych teoretyków sztuki, graniczy z psychopatją.

Mimowoli przychodzi na myśl Salvator Rosa w stylowym kostymie bandyty, napadający na trakcie leśnym przejeźdnego, żeby z jego twarzy zdjąć maskę strachu, żeby ułoić pierwszy, cenny jak dokumenty, ruch pomieszczenia, a potem jedno i drugie przekazać płótnu. Ten pociąg do „straszego,“ którego odwrotną, widzialną stroną były krwawym realizmem zasłane obrazy, u Słowackiego zagnieżdżony w temperamentie, przeszczepiany, często

¹⁾ Matuszewski: „Słowacki a Shelley“ („Swoi i obcy“) str. 183.

bezmądrze, w obce organizacje, potworzył całe szeregi dziwactw w naszej literaturze. U Konopnickiej da on się przynajmniej uzasadnić niezwykłymi warunkami akcji, której mimo to w znaczeniu epickim szkodzi. Bo wyrzeźbione sprawnie epizody, z których składa się jej poemat, przygniść musiał do reszty nieepicki w założeniu tragizm nastroju, z każdej prawie sytuacji buchający. Z burzy i pożaru, z głodu i moru, ze skwaru i ulewy uplotła poetka bicze, którymi pędzi emigrancki hufiec. Górą nieprzekroczoną, morzem zatapiającą, puszcza w chaos drzewny skamieniałą i stepem bezdrożnym prowadzi go. Za wycinanym bezlitośnie sypie co staje mogiły, rozkopywane potem szponem ptasim, czy kłębem zwierzęcym. Ten złowrogi koloryt, od Słowackiego przejęty, wydobywa poemat Konopnickiej ostro z eurytmicznego koła epiki, wieczny ład śpiewającej.

Ale wpływ najdonioślejszy wyszedł nie od kunsztownego poety i nie z pośród pysznych, jak symfonie brzniących, strof poematu. Lud, któremu pieśń była poświęcona, musiał ją nasycić swojemi barwami, wydartemi z wiecznej kopalni życia.

Dopieroż tu się zapalą te oczy,
 Dopieroż staną te lica w kolorze!
 Ten z czapą jedzie w tył, ten ją w bok tłoczy.
 Ten jak lny biały, tamten jak dąb w korze.
 Lud związły w sobie, żyłasty, roboczy.
 Leb prosto nosi, jest twardy w honorze.
 A choć po równiach polistych rad siedzi.
 Górny jest, jakby dziś był u spowiedzi.)

Odpadło rusztowanie intuicji. Zdumionym oczom objawił się lud, ciosany w granicie prawdy, klasyczny dzięki swojej naiwności, odarty z pawich piór optymizmu. Z Kolbergiem w rękę można się do niego zbliżać ze wszystkich stron wglądać krytycznie w jego popędy, śledzić nalogi, chwytac śmieszności, podpatrywać cnoty, po to, żeby nakoniec odejść w podziw. Bo najdrobniejsza rubryka tu oparta na rzeczywistości, szczegół każdy przepisany z teki genialnej obserwatorce. Twarz i gest, ubiór i pożywienie, mowa i temperament, moralność i oświata, zajęcia i urządzenia—to wszystko, co chłopca robi chłopcem, z natury zdjęte, jak najwierniejsza klisza, tylko wyretuszowane z poetyckim zamachem, podniesione do potęgi wizji, rozgrzane prądem twórczego współ-

czucia. Czy się bohater Konopnickiej pochyla nad łanem, czy wznosi zrąb przyszłej chałupy, czy dzwoni obcasami wśród hucznych ober-tasów, czy okiem płonącym i skamieniałą pięścią grozi przeciwnikowi, czy rozściela się w pokorze krzyżem, czy wśród siarczystych klątw podnosi rokosz, czy wodą święconą oblewa grzeszne ciało noworodka, czy wióry wtyka pod zdrowniałą głowę trupa—zawsze jest ten sam, życiu wykradziony, o organizacyi ulepionej potężnie, każdy atak krytyki zdolny odeprzeć.

Pierwotny spłot warunków życiowych zamknął chłopca w widnokregu epickim w całym tego słowa znaczeniu. Ten widnokrąg, prześwietlający rzeczywistością¹⁾, rozprowadziła Konopnicka świetnie dokoła poematu. Wdawać się w szczegóły, dotyczące życia codziennego, niepodobna, gdyż stronica zamieniłaby się w suchy inwentarz. Wystarczy powiedzieć, że fachowe badanie nie wykryje błędu w masie drobiazgów, bez chęci popisywania się zdobyczami obserwacyi, rzucanych przez poetkę, charakterystycznych zawsze. I im głębiej w sferę wewnętrzną, tem ściślej okazuje się obserwacya. Bania fantazyi, rozbita nad głową chłopca, spłynęła do poematu Konopnickiej w całej zawartości, tak osnowę samą, jak i świat figur poetyckich mapajając swoim przebogatym kor-dywałem.

Stąd przedewszystkiem biorą się w Balcerze kreacye fanta-tyczne: „anioł“ i „czart“, „upiór“ i „zmora“, „skarbnik“ i „dziwo-żona“, „czarodziej“ i „wiedźma.“

„Anioł“ wyposażony w te same atrybuty, jakie mu przyznaje mitologia ludowa, skrzydlaty,²⁾ odziany w białe lny,³⁾ raz wyjątko-wo w czerwonych szatach,⁴⁾ gra w niebie na gęślikach,⁵⁾ otwiera grób człowiekowi w dzień sądu ostatecznego,⁶⁾ walczy w czasie burzy z szatanem.⁷⁾ Kieruje chórem anielskim Michał Archanioł, najznakomitszy mieszkaniec raju.⁸⁾

Podobnie czytamy u Kolberga: „Anioły wyobraża sobie lud jako duchy, w postaci młodzieńców skrzydlatych, ubrane w szaty

1) Cf. Stanisław Maykowski: „Lud w poezyi M. Konopnickiej.“ *Lud*, Tom XII, zeszyty II i III.

2) B. W. 1900. VI, str. 158.

3) „ „ 1900. VI, „ 354.

4) „ „ 1892. III, „ 505.

5) „ „ 1897. IV, „ 100, B. W. 1900. VI, str. 347.

6) „ „ 1897. IV, „ 98, „ „ 1900. VI, „ 354.

7) „ „ 1892. III, „ 505.

8) „ „ 1892. III, „ 505.

białe lub błękitne...“¹⁾ „W rajskim ogrodzie anioły przechadzały się, przygrywając Stwórcy na rozmaitych instrumentach...“²⁾ „Straszna była wojna niebieska, światło walczyło z cieniami nocy, miecze aniołów ścierały się z sobą...“³⁾ „Nad aniołami z prawej strony Bóg światła dał najstarszego z aniołów, nazwawszy go Archaniołem Michałem...“⁴⁾

Z punktem widzenia ludowego nie godzi się tylko czułość i wrażliwość u aniołów Konopnickiej

... To tam musiały ustać w tej godzinie
Wszystkie muzyki rajskie, wszystkie chwaty,
A te anioły — to na głos płakały! a)

Wymyka się ten ustęp z pod kontroli folklorysty, który notuje, że „aniołowie przechadzają się z duszyczkami zbawionemi i uczują w raju, procesyją odbywają, gdzie śliczne ogrody, pachnidła wonne, kwiaty, muzyka i rozmowy różne, że sto lat przecho- dzi jak jedna minuta i w rozkoszach, w zgodzie, w zabawie czasu nie można przeliczyć.“⁵⁾

„Dyabeł“⁶⁾ chłopski Konopnickiej uczy pewnych rzemiosł,⁷⁾ wstępuje w ofiary jako „złe,“⁸⁾ oniemia ludzi,⁹⁾ kryje się czasem w skórze zwierza,¹⁰⁾ ma konszachty z wiatrem,¹¹⁾ wchodzi w związki małżeńskie z wiedźmą.¹²⁾ A oto analogiczne wyciągi z Kolberga: „W duszę człowieka opętanego dyabeł wejść może różnemi

1) Kolberg: Lud. XVII, str. 80.

2) „ „ „ VII, str. 4.

3) Ibidem, str. 5.

4) Ib., str. 3.

5) B. W. 1900. VI, str. 347. Cf. pouczającą notatkę profesora Kallenbacha, do Anioła-Stróża z „Dziadów“ odniesioną: „Z punktu widzenia teologicznego można tylko Aniołowi-Stróżowi zarzucić zbyt wielką wrażliwość („Nateczas gorzko płakałem, oblicze tułe w me dłonie“). Św. Tomasz z Akwino zastanawia się nad kwestyją, czy Aniołowie boją się nad złymi postępami tych, których strzegą; dochodzi do wniosku, że Aniołowie nie płaczą nad grzesznikami, jako istoty doskonale i zupełnej szczęśliwości zażywające...“ (A. Mickiewicz, II, str. 63).

6) Kolberg: Lud, VII, str. 22.

7) B. W. 1892. III, str. 478.

8) „ „ „ 1892. III, „ 492.

9) „ „ „ VI, str. 106.

10) „ „ „ 1897. IV, str. 433.

11) „ „ „ 1897. IV, „ 437.

12) „ „ „ 1892. III, „ 500.

drogami, czy to nosem, czy oczami, uszami, ustami, wreszcie każdym innym otworem, jaki sobie na ten cel upodoba.¹⁾ „Taki człowiek, który za życia nosi w sobie dyabła, bywa bystry, przenikliwy, chytry...“²⁾ „Czasem, chcąc ludzi przestraszyć, przybiera dyabeł postać zwierzęcą. Św. Antoniemu pustelnikowi pokazywał się drapieżnem zwierzęciem lub ptakiem, św. Romualdowi jeleniem, Hilaryonowi liszką... Że wśród czarownic w postaci czarnego kozła ucztuje, to wiadomo...“³⁾ „Jeżeli dyabeł miejscowy przybiera kształty zwierzęce: psa, wołu (czarnego), ptaka i t. d. wówczas nosi ogólną nazwę Mamony...“⁴⁾ Wieśniacy w krakowskiem, sandomierskiem i innych województwach, gdy wiatr zamiecie piasku w górę wznosi, uważają: „że tak dyabeł kręci“ i nazywają to „dyabli taniec.“ Mazury wiatr gwałtowny Pochwiścieniem zowią (wyraz „gwizdać“ właściwie mazowiecki, po naszymu „świstać“ — od Pogwizda zdaje się wyraźny brać początek). W lubelskiem dotąd trwa przesąd, że zły duch postać wiatru przybiera, dlatego z trudnością zaledwie wieśniaków namówić można do otwierania okien w chatach. W Podlasiu, w ruskich osadach, sielanie, gdy gwałtowne zawiewy wiatru kręcącego i wznoszącego w górę piasek i ziemię obaczą, podobnie uważają w tem sprawę dyabła i z niskim pokłonem żegnają się...⁵⁾ „Kiedy burza z wiatrem i śniegiem silnie trwa czas długi, mówią wtenczas, że się dyabli żenią.“⁶⁾ W przysłowiu: Milczy jak zaklęty, dochował się ślad potęgi zaklęć dawnemi czasy, kiedy nawet głosu pozbawiały ludzi.“⁷⁾

„Upiór“ Konopnickiej — to pośmiertne wcielenie człowieka, po noce błądzące,⁸⁾ o sile nadludzkiej,⁹⁾ tęsknotą ku droгим miejscom przeszłości kierowane.¹⁰⁾ U ludu „upiór jest to człowiek umarły, który skazany po swojej śmierci na wieczne potępienie, w samą tylko północ ma wolność wracać niby do życia, błądzić po ziemi...“¹¹⁾ „Upioru postać, skoro wyjdzie z ziemi, jest daleko większa, jak za życia i siłę posiada nadludzką.“¹²⁾ „bieży on

1) Kolberg: Lud, VII, str. 52-3.

2) Ibid. str. 55.

3) Kolberg: Lud, XV, str. 199—200.

4) „ „ „ VII, „ 40-1.

5) „ „ „ XV, „ 184.

6) „ „ „ XVII, str. 76.

7) „ „ „ XV, „ 55.

8) *) i 10) Bibl. Warsz.

11) Kolberg: Lud, XVII, str. 94.

12) Ibidem, str. 95.

w tę stronę, gdzie ma szczególny pociąg przyjaźni lub miłego pokrewieństwa za życia.¹⁾ Epitet „upiorny,” dany przez poetkę księżycowi,²⁾ także ma uzasadnienie w wyobrażeniach ludowych: „Zwykle upiór pokazuje się tylko na nowiu księżyca w noc ciemną, a szczególnie w noc wietrzną, lub przy księżycu w noc pochmurną.“³⁾

„Zimora“ w „Balcerze,” to złośliwy gość, nocami tłoczący pierś chłopa.⁴⁾ Według określenia ludowego, „zimora jest to sąsiad lub sąsiadka zaprzyjaźniona, która skoro północ, przychodzi w kształcie ómy lub komara, przeciska się przez szczeliny okna i szuka swego ulubionego przedmiotu; włazi do nóg, powoli się na niego rozciąga i aż do piersi ciśnie.“⁵⁾

„Skarbnika“ przedstawia Konopnicka jako opiekuna mitycznych, pod ziemią ukrytych skarbów.⁶⁾ „Sandomierscy górnicy“ — wyjaśnia rzecz podanie ludowe — „mówią, iż Skarbnik jest opiekunem wszystkich kruszców w ziemi polskiej... Najmilszem mieszkaniem skarbnika są góry jakieś na Szląsku.“⁷⁾ Bohater innego podania, zaszedłszy do siedliska Skarbnika, „ujrzał w każdym z czterech kątów skarby: tu kupę dyamentów, tam złota, tam srebra, tam miedzi, których jednak pochwycić nie zdołał, gdyż siła jakaś niepojęta odpychała jego ręce...“⁸⁾

„Dziwożonie“ znowu, najprawdopodobniej pomieszanej z Rusalką, każe poetka kusić przechodnia niebezpieczną, zmysły porywającą urodą.⁹⁾ Nie godzi się z takim sposobem przedstawienia obraz Goszczyńskiego, wiernie z podań tatrzańskich zdejmowany:

Czapki na głowach, w nieładzie włos długi,
Rozwiana odzież, okopciałe lice;
U czapek sterczą bezkwitne paprocie,
A oczy świecą, jak w ciemnościach kocie.¹⁰⁾

Bliższy już jest chyba lotny obrazek Zaleskiego, barwami ludu ukraińskiego malowany.

¹⁾ Ibid., str. 96.

²⁾ B. W. 1900. VI, str. 342.

³⁾ Kolberg: Lud, XVII, str. 96.

⁴⁾ B. W. 1897. IV, str. 91.

⁵⁾ Kolberg: Lud, XVII, str. 99.

⁶⁾ B. W. 1897. IV, str. 296-7.

⁷⁾ Kolberg: Lud, V, str. 42 (przepisane z „Podań“ Siemieńskiego i „Powieści Wielkopolskich“ Berwińskiego).

⁸⁾ Ibid., str. 42.

⁹⁾ B. W. 1900. VI, str. 159.

¹⁰⁾ Dzieła Seweryna Goszczyńskiego. Wyd. Brockhousa, 1870, II, str. 15.

Uśmiech... usta... lecz zasłona
 Z rubinowych iskr jutrzeńki
 Skrywa, tłumi boskie wdzięki
 I owiewa białe łona.

„Czarodziej,“ także czarownikiem zwany w poemacie, ma klucze od najwyższych tajemnic bytu.¹⁾ U ludu to „mężczyzna, który prócz przepowiedni i rzucania zaklęć wyższego zakroju zapomocą księgi i nauki o Czarnej Magii dochrapał się czynienia nielegalnych cudów.“²⁾

„Wiedźma“ wreszcie czyli „czarownica“ Konopnickiej warzy w kotle tajemnicze ingrediencye i nie rozstaje się z legendową miotłą.³⁾ Nadto w blizkich stosunkach pozostaje z dyabłem.⁴⁾ Według podania czarownicy „warzą w czasie swoich schadzek w kotłach różne ingrediencye i zioła i przypominają owe gockie „sudnautar,“ przy ofiarach obrzędujące... Miejscami opowiadano sobie, że przy schadzkach zarzynały one do uczyt dzieci, krew ich w mąkę lub popiół zaczyniały, a pogasiwszy światła, rozpuście się między sobą oddawały.“⁵⁾ „Główną jest rzeczą aby w pewnych dniach dyabeł je zaprowadził na nocne uroczystości... Wysmarowawszy sobie maścią nogi i pachy i opasawszy się przepaską, dosiadają one kije, grabie, miotły, kądziele, szuffe, warzających lub ozogi, czyniących przez komin, mrucząc formułkę, ponad górą i dolinami przez powietrze. Maść ta (unguentum pharelis) z ziół, zwykle jednak z tłuszczu zamordowanych niechrzczonych dzieci bywa sporządzana... Jazda z powrotem podobną jest do podróży poprzedzającej, a małżonek śpiąc obok włożonej tymczasem do łóżka laski, ani się domyśla, co się z żoną dzieje.“⁶⁾ „Z połączenia czarownicy z dyabłem nie powstaje żadna ludzka postać, jeno istoty elbiczne, zwane—*dinger, elb* i *holden* w postaci bąka, motyla, osy, gąsienicy, robaka, lub owada tajemniczego...“⁷⁾

I pod szkliwem przesądów, powlekającym wszystkie wyobrażenia chłopca, przetapia się najprostsze zjawisko na element cudo-

¹⁾ B. W. 1900. VI, str. 162.

²⁾ Kolberg: Lud, XV, str. 81.

³⁾ B. W. 1900. VI, str. 164.

⁴⁾ „ „ 1892. III, „ 500.

⁵⁾ Kolberg: Lud, VII, str. 228 (według Grimma „Deutsche Mythologie,“ str. 998).

⁶⁾ Ibid. str. 225-6 (wedł. Grimma „D. Myth.,“ str. 1023).

⁷⁾ Ibid. str. 222 (wedł. Grimma „D. Myth.,“ str. 1025).

wności. Element to najczęściej znany z podań ludowych, prowincye i powiaty osnuwających swoją mroczną przędzą.

I tak ścieranie się żywiołów powietrznych tłómaczy sobie chłop Konopnickiej jako zapasy, przez górne wojska staczane. Raz nawet wprost dopatruje się w tym fenomenie walki czystych potęg z nieczystymi, a Michałowi Archaniłowi każe naiwnie nabijać armaty.¹⁾ Co ciekawsze—opisuje Balcer wojnę napowietrzną, w czasie pogody toczoną. Rozumie się terenem jej jest halucynacyjna widzów.

... To raz bitwa sroga
Z dwóch stron się nieba nagle zapaliła...
Leciady pulki, lance, chorągiewki,
Przysięgłbyś, słyhać tententy i śpiewki.²⁾

A oto źródło ludowe tego czterowiersza: „Słyszano nieraz zaprawdę mówiących włóścian, jak widzieli na powietrzu zapalczą wojnę dwóch nieznanymi narodów i tych wojen okropne skutki, rozlew krwi, mnóstwo trupów, a nawet w oddaleniu spadające trupy z obłoków, które jednak za nadejściem ludzi żyjących niknęły i pokrywały się grubą nocą powłoką. Dodają przytem jeszcze, że słyszeli nawet rżenie koni, chrzęst i szelest zbroi, a nawet głosy rycerzy i odgłosy muzyki wojennej.“³⁾

Wichurę, chwytającą bór w wietrzne szpony, wiąże chłopski bohater poematu ze śmiercią wisielca, którego padło ziemia subtelnie wyróżnia.

Wtem Roch: — Toć nicco, tylko tu się dusza
Pokutująca po tym tłuże borze...
A Kos: — Ha, któżby? Nieborak Przytula,
Wichr setny! Ziemia wisielca zaczęła!⁴⁾

Ciekawe tu będzie zestawienie z notatą Grimma: „*Hruccvelgr* (skandyn.) znaczy pożeracz trupów, mięsojad; sanskryc. *kravijada* ptak drapieżny, ścierwem żyjący, lubo pojęcie jego ściągając się może i do wiatrów i burz, czyszczących powietrze, unoszących z sobą szkodliwy wyziew niegrzebanych trupów. Czyżby z mniemania tego powstała wiara, że gdy się kto powiesi, wówczas pod-

1) B. W. 1892. III, str. 505. B. W. 1897. IV, str. 102-3.

2) B. W. 1892. IV, str. 447.

3) Kolberg: Lud, VII, str. 74.

4) B. W. 1897. IV, str. 437.

nosi się wicher i nawzajem, że wiatr mocny wskazuje wisielca-samobójcę?...⁴⁾

Dzieło śmierci, w tragicznych warunkach na obcym terytorium ścinającej głowy, przypisuje się w „Balcerze“ ziemi wygłodniałej, która pożera ofiary z iście legendarnym apetytem.

Sam Bóg rachował tylko one głowy
Chłopskie, co po śmierć ciągnęły za morze!
W płytkie je rzędem składali my rowy
Pod wapno żywe; po małej więc porze
Kłęsnęła ziemia, pożarłszy te ciała,
I znów głodnemi usty ku nam ziała.⁵⁾

Według podania ludowego, „kiedyś smuciła się ziemia nad tem, że ludzie tyle korzyści ciągną z jej płodów, a ona niema się czem pożywić, tylko im wszystko musi oddawać. Zaczęła więc prosić Pana Jezusa, że skoro się każdy trudni przemysłem, aby i jej wolno było zysk jakiś mieć dla siebie. A Pan Jezus powiedział jej tak: „Ty będziesz ludzi rodziła i będziesz ich pożerała: co sama urodzisz, to sama zjesz, bo to twoje.“ Odtąd ludzie stali się jej własnością i dlatego każdy z nas musi po śmierci do ziemi się wrócić i w niej być pochowanym.“³⁾

Uosabiając śmierć samą, nadaje jej chłop kościstą strukturę, suchość podkrośla, tradycyjalną kosę kładzie w ręce.

Idziesz a czujesz, jak śmierć dycha na cię,
Dokładająca pilno swego stoga,
I jak te trawy, których noc nie rosi
Lżną zmiłowaną, kosi... kosi... kosi...⁴⁾

Tysiąca bajek i podań, zbliżonych obrazowo, wskazywać nie trzeba!

Z psem, wyjąłym na widok księżycy, łączy chłop Konopnickiej zapowiedź nieszczęścia.

...Wył, jak pies, kiedy na chałupy dachu
Upiorny księżyc wyjdzie z poza chmury
I stanie, albo gdy zaczujesz w gmachu

¹⁾ Z Grimma „Deutsche Mythologie“ (str. 1025) przepisał Kolberg. Lud. VII, str. 222.

²⁾ B. W. 1897. IV, str. 99.

³⁾ Kolberg: Lud, XIX, str. 198.

⁴⁾ B. W. 1900. VI, str. 338.

Śmierć, ogon stuli pod siebie i wyje,
Jak surmę, długą wyciągnąwszy szyję.¹⁾

Analogię następuje notatka Kolberga: „Widziano psa, który się odwracał ku księżycowi, mocno się ku niemu unosił i z całej siły szczekał; mówili, że widzi jakiegoś ducha...”²⁾ Według Grimma „psy dostrzedz mogą widna i duchy; w mitologii skandynawskiej widzą one boginię Hel, w greckiej widzą wraz z Odysseusem zbliżającą się Minierwę (!)”³⁾

Po ziemi rozsiewa fantazyja chłopa skarby, gorejące w pewne tylko noce, a strzeżone przez wyższe potęgi.

Już tam jak w skarbcu zaklętym migota,
Już biją tęcze wielkie i grające,
Już kwiatów rajskich woń, już wieją chmury
Ptaactwa, w jutrzence maczanemi pióry,
A wszystko nowe, dziwne, jak przyśnione
W noc świętojańską, gdy kwitną paprocie.⁴⁾

O komentarz ludowy nie trudno: „Pieniądze lub skarby w ziemi przez łakomców bez niczyjej wiedzy schowane, zostają z woli Bożej oddane pod moc dyabłu...”⁵⁾ Gdzieindziej czytamy: „W dzień św. Jana Chrzciciela kwitnie każdego roku przez godzinę o północy kwiat paproci... Zerwany daje temu, kto go posiada, własność poznania naraz wnętrza ziemi ze skarbami, w niej ukrytymi...”⁶⁾

Niezwykłe powodzenie pewnej jednostki objaśnia bohater „Balcera” inkluzem, przechowywanym w ukryciu.

Alie z Opaczem pokumał się pędem
Jakiś to łyczek wędrowny po świecie.
Zalatywało od niego złym śwędem:
Cygan nie Cygan, Żyd nie Żyd, at—śmiecie...
Toż to się chłopcy teraz zgrywać rzędem!
Co który pomknie, to płótno w kalecie.
Niewiem, inkluzą miał, czyli węzową
Skórkę, czy tak już nadrabiał sam głową...⁷⁾

1) B. W. 1900. VI, str. 342.

2) Kolberg: Lud, XVII, str. 130.

3) „ „ VII, str. 234 (Grimm: „Deut. Myth.,” str. 692).

4) B. W. 1897. IV, str. 86.

5) Kolberg: Lud, VII, str. 61.

6) „ „ VII, str. 123.

7) B. W. 1892. III, str. 491.



Według podania „takie pieniądze każdy od dyabła może mieć, gdy mu duszę zaprzeda; nazywają je zaś *inkluzy*, to jest: że w nich dyabeł zawarty i są jego własnością; dopóty zaś służy taki pieniądz zaprzedanemu, póki termin porwania jego duszy według umowy nie nadejdzie.“¹⁾

Brama piekieł otwiera się w „Balcerze“ o północy; zaludniają świat złymi duchami.

Siedzim tak, milcząc. Ciężka jakaś głusza
Obeszła serce nam, jak wielkie morze...
Wtem Roch:—Toć nieco, tylko się tu dusza
Pokutująca po tym tłucze borze...
Więc wszystkich nas to niemile zarusza,
Iż źle wspominać rzecz taką w tej porze.²⁾

Podanie wyjaśnia niepokój chłopów: „Czas duchów i demonów, kuszących w nocy, zaczyna się od północy, skoro kur zapieje, a kończy się znów z pianiem kura o godzinie trzeciej.“³⁾

Z respektem wspomina wychodźca polski o czarokwitach, moc nieczystą w sobie mających.

Z traw bucha ogień i w trawy znów nurka
A coraz suchy trzask, jakby kto tknął kurka.
...A to tak dziwne one czarokwiaty,
Po nocy z trzaskiem otwierają kwiaty.⁴⁾

Zielę to otacza lud istotnie tajemniczą cześć. „Czartowik, czarokwit — wedle Syreniusza (735) dlatego po polsku tak, a po łacinie Cyrce nazwany—że go ta sławna czarownica zażywać miała do swych czarów.“⁵⁾

Znajomość arkanów życiowych najgłębszych, dawką grubego mistycyzmu zaprawnych, ciągnie Balcer z jedynych literackich źródeł, które otacza kultem: sennika i kalendarza.

I ...Szkoda, że nie miał ze sobą *Sennika*
„Józephowego,“ który był spisany
W Egipcie, a zaś w Łukowie wydany.
Tam wszystkie stoją planety i dziwy,
Co czelku pomóż mogą albo szkodzić...⁶⁾

1) Kolberg: Lud, XVII, str. 107.

2) B. W. 1897. IV, str. 437.

3) Kolberg: Lud, VII, str. 41.

4) B. W. 1900. VI, str. 103.

5) Kolberg: Lud, XV, str. 179.

6) B. W. 1892. IV, str. 450-1.

- II. ... A gdyby każdą rzecz nazwał, to z gęby
 Miałby październik, boć obey lud klei
 Te miana, płwając je tak, jak otręby.
 A że katolik nie jest, więc je stwarza
 Sam z siebie, zamiast brać to z kalendarza.¹⁾

U ludu semniki i kalendarze nie mniejsze mają znaczenie. „Nazwa planet, równie jak ich działanie i wpływy, przeszły na lud z kalendarza.“²⁾ „Bardzo szkodliwy wpływ na lud łatwowierny wywierającą i gorszącą treść jest tak zwana książeczka Romanusa, przetłómaczona ok. 1850 r. z niemieckiego na język polski. Lud, będąc tego przekonania, że co drukowane, musi zawierać czystą prawdę, święcie wierzy wszelkiemu w tejsze książce zawartemu głupstwu...“³⁾ „Sny, a stąd wróżby i we śnie przywidzenia, są zażytkiem z najodleglejszej starożytności, wiadome są bowiem sny Józefa w Egipcie, które nie bez sprawdzenia tłómaczonemi były.“⁴⁾

Za najdzielniejszy środek przeciw urokom uważa chłop Konopnickiej węgle rozpalone. Źródłem uroków jest dla niego rozumie się złe spojrzenie...

... Chciały jej tam baby stare
 Urok odezwać węglami na wrzątku.⁵⁾

... A kuma kumie na ucho powiada:
 „Jeszcze uroczy... Tfu!... Jeszcze co zada!...“⁶⁾

A oto odnośne wyobrażenia ludu: „Uroku są dwa rodzaje. Albo pochodzi on od człowieka, który ma „złe oczy“ i który na kogo tylko spojrzy, biedy go lub słabości nabawi. Albo od ciot, które go na kogo chcą rzucić przez zamówienia, zaklęcia i inne szatańskie praktyki.“⁷⁾ „Chleb, sól i węgiel chronią od czarów...“⁸⁾

Czasem nad wyobrażeniami chłopu zaważy się cień historyczny, słabego związku z przeszłością dowodzący.

¹⁾ B. W. 1892. III, str. 479.

²⁾ Kolberg: Lud, XVII, str. 180.

³⁾ „ „ XV, str. 120.

⁴⁾ „ „ XVII, str. 119.

⁵⁾ B. W. 1897. IV, str. 448.

⁶⁾ „ „ 1900. VI, „ 172.

⁷⁾ Kolberg: Lud, XV, str. 115.

⁸⁾ „ „ VII, „ 224.

Raz to będzie bliżki, od pól polskich zwycięstw padły, cień Łokietka, śpiącego w Ojcowskich górach:

To ci tak we łbie zakrąży, zamroczy,
Jakby skarb nagle otwarły ci duchy,
Co go w Ojcowskich górach skarbnik strzeże,
Aż przeeknie Łoktek ze snu i rycerze.¹⁾

Kiedyindziej dalszy, nadziejami polskiego oręza przywołany na nieszczęsną ziemię cień Napoleona, szykującego miedziane pułki, z gromem armat i błyskawicami sztandarów maszerującego na północ:

Żeby armaty jeszcze, błyski lontu,
Orły i sztywne, zamarznęte trupy,
To mógłbyś przysiędz na krzyża ramiona,
Że to wielkiego armia Napoljona.²⁾

Podanie o śpiących rycerzach krąży u nas w licznych wersjach, odniesione do różnych miejscowości. Podanie, Łokietka dotyczące, ma za sobą głęboki wzgląd historyczny. „Wśród skał (ojcowskich) mnóstwo znajduje się jam i pieczar, z których najdośćniejsz(a) i najwspanialsz(a) (jest) grota królewska, gdzie się miał ukrywać Władysław Łokietek, podczas gdy król czeski na tron jego zasiadał.“³⁾

Pamięć Napoleona przetrwała dotąd w wielu naszych dzielnicach. Tak np. w Poznańskim „pamięta lud, kiedy Francuzi ci, jako przyjaciele nasi (mimo, że własności naszej uszanować nie umieli) ogłosili i naszemu także ludowi wolność i jak ojciec jeden wziął syna wówczas z sobą poraz pierwszy bez opowiedzenia się panu do Poznania, aby tam wspaniale przystrojone wojsko owych Francuzów dobrodziejów mógł oglądać i podziwiać.“⁴⁾

Ważniejszą rolę wśród wyobrażeń chłopów Konopnickiej odgrywa żywioł religijny. Naiwny przepych tronu Bożego⁵⁾ i płomieniste Serafy,⁶⁾ Marya w ucieczce do Egiptu⁷⁾ i Chrystus, szu-

¹⁾ B. W. 1897. IV, str. 296-7.

²⁾ „ „ 1901. III, „ 549-50.

³⁾ Kolberg: Lud, V, str. 34.

⁴⁾ „ „ IX, str. 56.

⁵⁾ B. W. 1892. III, str. 494.

⁶⁾ „ „ 1900. VI, „ 158.

⁷⁾ „ „ 1900. VI, „ 350.

kający zbłąkanej owcy,¹⁾ Adam wypędzony z próżniaczego raju na życiowe ratajstwo²⁾ i Łazarz, zawodzący nad bytem,³⁾ prorok z pod figowego drzewa⁴⁾ i święci w różne funkcyje doczesne wprzęgnięci⁵⁾ — oto natrącane co karta obrazy i postacie, chyba dostatecznie wymowne. Że z ludowo-religijnych źródeł poetka korzysta i to w dosłownem znaczeniu, przekonać może choćby scena śmierci Jantosia, odcyfrowana przy końcu z drobnemi zmianami z podania o św. Krzysztofie.

Lecz chłop szedł jeszcze i oną stęzałą
 Pasyjkę dalej niósł w świat wielki, złoty,
 Aż nagle począł *drzeć!*... Tak go przewiało
 Dmchnięcie ono, co gasi żywoty.
Zaczem się zgarbił, twarz podniósł zczerniałą
 Ku martwej głowie nędznego sieroty,
 I patrząc się w nią, zaszeptał zdumiały:
 „*Dziecko! Jakże ty ciężkie!... Jak świat cały!*...“⁶⁾

A oto tekst podania:

„...a Oferus *zgiął się* pod dziecięcim, jak pałąg i pierwszy raz uczuł strach i *drzenie*. *Podniósł więc głowę* i rzekł: „*Dziecię, dziecię!* dlaczegoś *ty* tak *ciężkie!* Mnie się zdaje, że *świat cały* dźwigam na moich plecach!“⁷⁾

Zależności chyba wykazywać nie trzeba!

Wiara z podań ustnych i pisanych czerpana, do grubego antropomorfizmu wiodąca, nie zaszkodziła poematowi w znaczeniu epickiem. Chrystyanizm, gdzieindziej herold kosmopolityzmu i mistrz podmiotowego życia, a przez to samo wróg eposu,⁸⁾ u nas dzięki naszemu kresowemu położeniu wszedł niegdyś w układ z narodowością, że zaś potrzebował jej jako przedmurza, więc zrastał się z nią, nabierając przez to i sam wyjątkowego znaczenia — i pozwolił w ognistej „Wojnie Chocimskiej“ i genialnym „Tadeuszu“ zakwitnąć narodowej przeszczerej epice. Do poematów szlacheckich umiał się dostroić i poemat chłopski, żywiołu religijnego nie nadu-

1) B. W. 1900. VI, str. 161.

2) „ „ 1901. III, „ 555.

3) „ „ 1897. IV, „ 437.

4) „ „ 1897. IV, „ 440-1.

5) „ „ 1892. III, „ 492-3.

6) „ „ 1900. VI, „ 343.

7) Kolberg: Lud, XIV, str. 150.

8) Gostomski: „Arc. poez. pol. Pau Tąd,“ str. 53-4.

żywając z własną szkodą, owszem w ramach życia zewnętrznego go utrzymując.

Wskazałem zaledwie najwięcej rzucające się w oczy punkty zależności poematu pisanego Konopnickiej od żywego poematu wyobrażeń chłopskich. Na wyczerpanie ustawicznej filiacyi z ludem trzebaby łamów osobnego studyum. Zbliżając w poemacie oba bieguny: przedmiotowości i podmiotowości, sycąc każdą postać życiem, a całą akcyę prawdą, zacierając ostre wpływy literackie—na filiacya z ludem znaczenie ogromne w Balcerze.

Czas kończyć uwagi o eposie, któremu historyk literatury przyznaje „podniosłość, nieznaną w poezyi całego czterdziestolecia prawie.“¹⁾ I istotnie buchalterya literacka nie poszła w sędzie o poemacie za daleko. Saldo, przeniesione do dalszych rachunków, musi się przedstawiać poważnie. Rosnąca z roku na rok poezya Konopnickiej uciekła z pośród zszarzałego, w cztery ściany kultury zamkniętego środowiska. Naciągnięta silnymi popędami ciała, zdrowym prądem dusz owiana, nabrzmiewa potencyą po brzegi strof. Wpychając zaś zbiorowego, ulepionego z tych ciał i dusz bohatera na stos doświadczeń codziennych, oczyszczalnych, dźwiga się sama moralnie.

Weiskać Balcera w jakąkolwiek istniejącą kategorię literacką byłoby bezcelowem, choćby z tego względu, że każdy wielki poemat stwarza dla siebie własną, jedynie uprawnioną kategorię. Nie pomogą mu ani nie zaszkodzą okulary krytyka, który szuka w eposie po dawnemu inwokacyi, sekeyi statystycznej poddaje dialog, mierzy epizody. Przystające do siebie jak trójkąty i jak trójkąty proste dusze ludzi homeryckich ustąpiły dzisiejszej wielobocznej psychologii, modyfikowanej działaniem chwili i dlatego zawziętej niesłychanie. To też w monumentalnej manierze homeryckiej nie mógł się pomieścić swobodnie poeta, szarpany nerwami, przyciśnięty potrzebą negacyi. Kanon przedmiotowości wietrzył z dnia na dzień, póki wprawiony w wielki ołtarz literatury, okadzony przez teoretyka dymem adoracyi, nie zaczął budzić czei platonicznej czysto. Chcąc nie chcąc, nowożytny epik musiał sprzeniewierzać się poetyce. Bo inaczej nie wchłonąłby w siebie dziś z przetwórczą siłą życia, które trzeba wyśpiewać jutro bez bohaterskich stóp i cesur, zamieniających poezycę w gramofon.

Zresztą nie o etykietę idzie! Etykietę odnieść można do form literackiej przeszłości, nie do fenomenów literatury biożącej. Idzie

¹⁾ Grabowski: „Poezya polska po roku 63-im,“ str. 212.

o rzecz samą! Dzięki wypukłej swadzie, zadzierzystem gestom i narratorskiemu animuszowi—święci w poemacie Konopnickiej tryumfy epika pierwszej wody. Dzięki nastrojowi wybitnie podmiotowemu, dzięki mistycznemu zabarwieniu ekranu powieściowego, dzięki wreszcie fermentowi uczuć, rozrywających duszę ludzką na sztuki — zdobywa sobie miejsce w poemacie liryka, także pierwszorzędna.

Więc epopeja liryczna, jeżeli się kto godzi na taką nazwę!

Epopeja, bo jędrnie a szeroko, bezpośrednio a potoczyscie, naiwnie a podniosłe kreśli kampanię brazylijską. Liryczna zaś, bo bandę chłopską wrzaskliwą, w drelichu chodzącą, pełną ciemnych instynktów, prowadzi przez ogień wielkich zdarzeń, w którym rozgrzane dusze upominają się po raz pierwszy o swoje prawa.

Czyż więcęj można wymagać?

STANISŁAW MAYKOWSKI.

Sztuka we Francyi.

Miasto Grasse w Prowancyi, ojczyzna sławnego malarza szkoły francuskiej XVIII wieku, Honoryusza Fragonarda, postanowiło w roku bieżącym wznieść mu pomnik. Ta okoliczność skierowała uwagę zwolenników, oraz historyków i krytyków sztuki na twórczość artystyczną tego okresu. Pan Piotr de Nolhac, konserwator muzeum w Wersalu, pp. Hallays, Michel, de Fourcaud, Dayot i inni zajęli się tym przedmiotem, podając o dziełach Fragonarda spostrzeżenia nowe, lub powtarzając wyrażone dawniej w pismach braci Goncourtów, barona Portalis, F. Naqueta i t. p. W Nizy urządzono z wiosną wystawę Fragonarda, która była wstępem do takiejże, ale nieco więcej uzupełnionej wystawy w Paryżu, którą otwarto w połowie czerwca.

Jednocześnie przypominano sobie innego malarza tego okresu, który, acz mało ma wspólności z Fragonardem, to jednak jest wraz z nim najwybitniejszym przedstawicielem ówczesnej sztuki.

Tym drugim jest Jan-Chrzyciel-Szymon Chardin, którego dzieła wystawione zostały obok obrazów Fragonarda, w Galeryi Georges Petit.

Wystawa Chardin — Fragonard przedstawia wyjątkową sposobność poznania niemal całości dzieła tych dwu artystów, obrazy bowiem, które tam widzieć można, należą w dużej części do kollekcyj prywatnych, w zwykłych warunkach dla ogółu niedostępnych.

Przybyły one tutaj na miesiąc z różnych stron świata. Oprócz muzeów Luwru, Szkoły Politechnicznej, Biblioteki Arsenалу i miasta Besançon, użyczyli swych zbiorów Wilhelm II, książę Lichtenstein, Pierpont-Morgan i wielu innych miłośników sztuki, a przede wszystkim Rotschildowie, którzy, ze względu na ilość wystawionych przez nich obrazów, zajmują tu pierwsze miejsce.

Zdawało nam się tedy nie od rzeczy scharakteryzować też w krótkich słowach twórczość Chardin'a i Fragonarda i przypomnieć znaczenie ich w dziejach rozwoju sztuki, a zwłaszcza w tej epoce wytwornego zbytku i zepsucia, w której gust wyszukany, ale niezdrowy, nadawał ton, piękne maniery pokrywały brak podstaw moralnych, moda wzniosła się do znaczenia stylu, a sztuka spadła do poziomu mody.

W takim czasie i warunkach sumienna, uczciwa i pełna prostoty sztuka Chardin'a jest zjawiskiem wyjątkowem.

Obok obowiązującej wówczas w sztuce konwencyonalności, prawda życiowa jego obrazów jest szczególnie uderzającą. Od teatralnych pasterek Bouchera, lub młodo-sentymentalnych dzieł wiejskich Greuze'a, jakże silnie odbijają typy Chardina kobiet z ludu, oddających się właściwym sobie zajęciom kuchennym, lub gospodarskim, jak owa „Récurveuse“, „Pourvoyeuse“ i t. p.?

W jaki sposób mógł się on uchronić od przemożnych wpływów ducha czasu i od arbitralnie obowiązujących malarza przepisów, dotyczących się przedmiotu obrazu, jego kompozycyi i traktowania—jestto prawdziwą zagadką. Tłómaczyć to sobie można jedynie siłą jego indywidualności w połączeniu ze szczerem i naiwnem odczuwaniem natury, ale także zapewne i niejakim brakiem wyobraźni, który go zmuszał do odtwarzania przedmiotów i scen otaczających. Według ówczesnych przekonań, artysta powinien był tworzyć wszystko z siebie—wszelkie odwoływanie się wprost do natury, naśladowanie wzorów, które ona przedstawia, uważano dłań za ujmę. Stąd ta powszechna sztuczność u malarzy XVIII w. i w wyborze przedmiotu i w samym sposobie jego traktowania i odczuwania. Zdaje się więc, że temu to właśnie brakowi zdolności, raczej literackich, zawdzięcza Chardin rozwinięcie w sobie zalet czysto malarskich, które mu były wrodzone; gdyby bowiem był w stanie wysnuwać, na podobieństwo swych towarzyszy w sztuce, całą treść swej twórczości z własnej wyobraźni, minąłby się był ze sposobnością tak doskonałego wczucia się w naturę, które stanowi całą jego wartość i byłby zapewne uległ tym samym, co i oni, prądom. Współcześni oczywiście nie potrafili dostatecznie ocenić tej wartości jego dzieła. Malarze wyższych, w pojęciu ówczesnem, rodzajów, nazywali go pogardliwie „peintre de saucissons et de langues fourrées“, a krytycy, jak Mariette,¹⁾ znajdują w jego obrazach wyraz zmęczenia i trudu, dotknię-

1) Abecedario.

cie pędzla ciężkie i nieurozmaicone, widzą w jego malowaniu niezdecydowanie, które je czyni zimnem; Diderot zaś, chociaż gorący jego zwolennik, nazywa je szorstkiem i niespojonem, a przedmiot jego obrazów — płaskim i pospolitym. Pomimo to, ta wybornie odczuta prawda życiowa, stanowiąca tak rażący kontrast z konwencyonalnemi kompozycjami, do których się przyzwyczajono, pociągała swą szczerością.

Obrazy Chardin'a podobały się. Świadczy o tem anonimowy sprawozdawca z Salonu 1741 r.: „Niema kobiety z mieszczaństwa, któraby w tem nie poznawała siebie, swego domowego gospodarstwa, swych obyczajów, codziennych zajęć, swej moralności; zabawy swych dzieci, swoich sprzętów i garderoby.“¹⁾ W roku tym wystawił Chardin: „Le Négligé ou toilette du matin“ i „Le Fils de M. Lenoir s'amusant à faire des châteaux de cartes.“ Ale z lat poprzednich znane już były obrazki jego „Le Bénédicité,“ „La Mère laborieuse,“ „La Petite maîtresse d'école,“ „La Rôtisseuse de navet,“ „La Pourvoyeuse,“ „Portrait d'une petite fille de M. Mahon, s'amusant avec sa poupée,“ „Portrait du fils de M. Godfroy, joaillier, appliqué à voir tourner un tóton,“ „La Récureuse,“ „Une ouvrière qui choisit de la laine dans son panier“ i t. p.

Rzeczywiście, jak widzimy już z samych tytułów, obrazy Chardina są wiernem odbiciem życia średnio-mieszczańskiej klasy jego czasu. Nie ulega też wątpliwości, że o ile twórczość Chardina mało ma wspólnego z współczesnym mu kierunkiem sztuki francuskiej, o tyle wiąże się ona ściśle z charakterystycznym malarstwem rodzajowem szkoły flamandzkiej i holenderskiej. Też same widzimy u niego sceny z życia ludzi skromnego lub niższego stanu, też samo odczucie powietrzności wnętrza w głębokich, ciepłych tonach, spokojne stosunki światła i cieniów, ten sam szczerzy realizm widzenia. Widocznem jest jego powinowactwo z Teniersem, van Ostade, Brouwerem, Mierisem, Steenem a szczególnie z Kwiryntem Brekdenkam, van Heemskerckem, Gerardem Dou i t. p., z tą różnicą, że niema u niego ani śladu tego pierwiastku rozpusty i płaskiej trywialności, który tak ważne zajmuje miejsce w kompozycjach wielu z wyżej wymienionych mistrzów.

Jan-Chrzeciel-Szymon Chardin urodził się w r. 1699 w Paryżu. Ojciec jego, królewski majster stolarski, którego specjalnością była budowa i naprawa stołów bilardowych w pałacach dworskich, przeznaczał syna do tegoż rzemiosła. Ale los inaczej

1) Słowa te przytoczył p. A. Michel (Chardin — feljeton w J. des Débats).

niał nim pokierować. Jak się to stało, brak ściślejszych wiadomości, dość, że Chardin w bardzo młodym jeszcze wieku znalazł się, jako uczeń, w pracowni, wziętego naówczas malarza królewskiego, Cazes. U tego to Cazes, którego zasadą było, że malarz potrzebuje natury wtedy tylko, gdy mu brak geniuszu, Chardin przebył kilka lat na pracowitej, sumiennej i mozolnej nauce rysunku i sztuki malarskiej. Według Marietta, za którym wersję tę powtórzyli Goncourtowie, malarz Coypel powierzył młodemu Chardin wymalowanie strzelby w swym portrecie strzelca i wtedy to właśnie, starając się ściśle przedmiot ten naśladować, miał się on przekonać, że cała sztuka malarska polega na wiernem odtworzeniu kształtów, wypukłości, odcieniów barw, oraz stosunków cieniów i światła i to jakoby miało wpłynąć na wybór rodzaju, któremu z początku wyłącznie się poświęcił.

W czasie owym tylko akademicy, t. j. członkowie Królewskiej Akademii malarskiej, mieli prawo wystawiania dzieł swoich na widok publiczny w kwadratowym salonie¹⁾ królewskiego Luwru. Wszyscy inni, młodzi, lub nieznanymi malarze, musieli zadowolnić się wystawą na wolnem powietrzu, urządzaną co roku w oktawę Bożego Ciała na placu Dauphine. Obrazy rozwieszano na wolnej, zapewne szezytowej ścianie domu, na której miały prawo pozostawać od rana do chwili nadejścia procesyi, a więc wszystkiego kilka godzin.

W takich to warunkach wystawił młody Chardin po raz pierwszy, w r. 1726, na placu Dauphine martwą naturę, przedstawiającą płaskorzeźbę z brązu i odrazu zyskał powodzenie. Rzecz ta tak się podobała słynnemu portreciście van Loo, że zakupił ją dla siebie, ofiarowując za nią cenę wyższą, niżeli żądał artysta. W dwa lata później wystawił Chardin w tem samym miejscu, wraz z kilkoma innymi pracami, znaną obecnie z muzeum Flandrę (La Raie), oraz „Châlet des poissons,” dwa obrazki, w których okazał wielką umiejętność w odtworzeniu wrażenia natury. W tymże 1728 r. został Chardin członkiem Królewskiej Akademii, jako „peintre de fleurs, fruits et sujets à caractère.”

O okolicznościach, towarzyszących jego przyjęciu do Akademii istnieje następująca anegdota: przed postawieniem swej kandydatury, Chardin, pragnąc poznać opinię akademików, chciał pokazać im swoje prace i uciekł się przytem do małego podstępu.

¹⁾ Stąd zachowała się dotychczas tradycyjna nazwa „Salon” dla oznaczenia peryodycznie powtarzających się wystaw sztuk plastycznych.

Obrazy swoje umieścić w jednej z sal, sam zaś pozostał w następnej. Wyborny malarz ówczesny i akademik de Largillière, przechodząc, zauważył te obrazy, obejrzał je i spostrzegłszy w drugiej sali Chardina, zwrócił się doń w te słowa: „Masz pan tam bardzo dobre obrazki. Muszą to być dzieła jakiegoś dobrego malarza flamandzkiego—niema lepszej szkoly pod względem koloru, niż flamandzka. A teraz pokaż pan swoje prace.“ — „Właśnie przed chwilą widział je pan“—odrzekł Chardin. — „Jako, czyżby te obrazy?...“ — „Tak jest.“

Wtedy Largillière serdecznie mu powinszował i radził, aby się przedstawił. Toż samo powtórzyło się z mistrzem jego Gazes, którego to nawet trochę ubodło, ale wybaczył jednak zaraz niewinne oszustwo swemu uczniowi i sam przedstawił jego kandydaturę. Salony, t. j. wystawy Akademii, były wtedy od r. 1704 aż do r. 1737 przerwane, Chardin więc, pomimo swej godności akademika, pozostał wiernym popularnej wystawie na placu Dauphine, gdzie w ciągu paru lat figurowały wyborne jego płótna, pośród skromnych prac bezimiennych artystów.

W ich liczbie znajdował się też obrazek, wystawiony następnie w Salonie 1737 r., „Une fille tirant de l'eau à une fontaine,“ który zalicza się obecnie do najcenniejszych arcydzieł tego malarza. Od martwej natury, w której osiągnął takiej doskonałości, przeszedł Chardin do interpretowania figury ludzkiej i zaczął od portretu. Do pierwszych jego prób w tym rodzaju, należy, znajdujący się na obecnej wystawie w Galeryi Georges Petit, portret malarza Aved, znany pod nazwą „Le souffleur,“ albo „Chimiste dans son laboratoire“ (ze zbioru p. Pawła Bureau).

Portret ten jest ciężki i nie znać w nim prawie tych wysokich zalet, którei już odznaczyły się jego martwe natury, a które ujawnić się miały w wyższym jeszcze stopniu w tych doskonałych scenach rodzajowych. Tu wykazał Chardin całe swoje mistrzostwo. Każdy z tych obrazków jest prawdziwem arcydziełem pod względem rysunku, kompozycyi, doboru i harmonii kolorów, stosunków światłocienia, a nadewszystko — wyrazu całości. Chardin nigdy nie podróżował, nie odbył artystycznej pielgrzymki do Rzymu, gdyż nie współubiegał się o nagrodę, która dawała prawo młodym malarzom do dalszych studyów na koszt rządu w „stolicy sztuki“ (prix de Rome). Nie opuszczał zresztą prawie zakątka, w którym mieszkał, przy ulicy Princesse, w pobliżu kościoła Saint-Sulpice, wszystkie też siły jego ducha i umysłu, nie wykołejone przez różnorodne, najeczęściej nieodpowiadające naturze artysty wpływy, skupiły się w obserwacji otaczającego życia

domowego, rodzinnego, typów ulicznych i małomieszczańskich tej ubogiej i cichej części miasta, która po dziś dzień zachowała jeszcze swój staroświecko-prowincjonalny charakter. Sceny te, przedstawione, jak już zaznaczyliśmy, ze szczerą prostotą, z natury swej pospolite, geniusz artysty, polegający na głębokiem odczuciu i umiłowaniu swego przedmiotu i sztuki, mimowolnie i bezwiednie uszlachetnia i idealizuje. Te drobne, po większej części, obrazki Chardina, to dzieła, które nie tracą nigdy swego uroku, zawierają bowiem niezmiennie pierwiastki rzeczywistego życia, odkryte i oddane przy pomocy temperamentu o wyjątkowej wrażliwości. Tem też tłumaczy się ich obecne powodzenie, gdy sztuczne pasterki, któremi zachwycano się w XVIII wieku, lub bezduszne pseudoklasyczne kompozycje następnego okresu, wzbudzają w nas niesmak i nudę.

Te małe arcydzieła są licznie reprezentowane na obecnej wystawie, a wśród nich, jeśli wogóle można robić różnice, bo wszystkie są doskonałe, zwraca szczególniejszą uwagę należący do zbiorów ks. Lichtensteina obrazek, nazwany w katalogu „La Mère et le fils,” a wystawiony niegdyś w Salonie 1737, czy 1739 roku, pod ściślej określającym treść jego tytułem: „Jeune écolier grondé par sa gouvernante pour avoir sali son chapeau.” Obrazek ten odznacza się większą może jeszcze, niż inne, subtelnością harmonii, na którą składają się tony i przejścia niezmiernej delikatności, oraz charakterem sceny, którą przedstawia.

Prócz tego obrazu budzą jeszcze podziw podobnemi zaletami „La Menagère“ i „Le déjeuner préparé“ z tegoż zbioru, a także „Le Dessinateur,” „L'enfant au tambour de basque“ i „L'ouvrière qui choisit de la laine dans son panier,” własność pp. Rothschildów. Wogóle dzieła Chardina miały dość zwolenników za granicą. Książę Lichtenstein, będący wówczas ambasadorem w Paryżu, zakupił obraz „La mère et le fils“ za życia Chardina od bankiera Despnechs, dla którego był wykonany. Między innymi także szwedzki następca tronu obstałował dwa obrazki: „Une gouvernante qui fait réciter l'Evangile à une petite fille“ i „Etude de dessin.“

We Francyi zresztą, choć nie trwało to długo, powodzenie jego było znacznem. „Bénédicté“ i „La Mère laborieuse“ król Ludwik XV zapragnął mieć w swoim gabinecie, a sztychy z obrazów Chardina stały się modne narówni ze sztychami Teniersa, Vouvermana i Lancreta. Wszystkie obrazy swoje wykonywał Chardin ściśle z natury, co w oczach krytyków jego było niższością. Mariette przypisuje to niedostatecznej znajomości rysunku, która

miała być według niego powodem, iż od pierwszego szkicu do ostatecznego pociągnięcia pędzlem, Chardin musiał mieć naśladowany przedmiot przed oczyma. Faktem jest rzeczywiście, że Chardin żadnych przygotowawczych szkiców do swych kompozycji nie robił, a rysunków pozostawił wogóle bardzo mało, stąd jednak wypadnie wyciągnąć wniosek inny, niż to uczynił Mariette. Chardin, będąc przedewszystkiem malarzem, pojmował rysunek ściśle po malarsku, t. j. w masach i planach, i dla tego był on dla niego nierozdzielny od malowania, inaczej też niż pędzlem i kolorem traktować rysunku nie potrzebował, czego niejeden mógłby mu pozazdrościć.

Ale i w portrecie okazał Chardin niemiejsze mistrzostwo. Oprócz portretu Aveda, o którym mówiliśmy, wykonał on cały szereg portretów, nadając im najczęściej formę rodzajową przez przedstawienie portretowanych osób wśród właściwych im czynności i otoczenia, jak to widzimy w „Le chateau de cartes,“ w którym młody Lenoir zabawia się stawianiem pałaców z kart; w „Le tôton,“ w którym znowu syn jubilera Godefroy przypatruje się z zajęciem kręcącemu się na stole bąkowi. W ten sam sposób pojęte są portrety „młodego skrzypka“ (te dwa ostatnie zakupiono obecnie do muzeum Luwru), pani Lenoir w „Instant de la méditation,“ córki p. Mahon w „Inclination de l'âge“ i wiele innych. Powszechnie znane są jego portrety własne, w których bez wszelkiej pretensyi przedstawia siebie dziwacznie ubranym, w rodzaju czepca na głowie z niebieską wstążką, z chustką na szyi i wielkimi, okrągłymi okularami na nosie, co wszystko razem nadaje mu wygląd starej baby. Te jego portrety własne,¹⁾ oraz portret żony jego, Małgorzaty Pougel, są wyjątkowo wykonane pastelami.

Materyałem tym Chardin zwyczajnie nie posługiwał się wcale, pasteli więc jego jest zaledwie kilka sztuk małego formatu główek, a wziął się do tej roboty chwilowo pod wpływem zniechęcenia, wywołanego niesłuszną, wskutek braku pojęcia, krytyką jego dotychczasowego dzieła. Te portrety pastelowe, równie jak inne, odznaczają się doskonałym charakterem, ale pochwały Goncourtów, którzy chcą w nim widzieć nadzwyczajnego mistrza pasteli, wydają się jednak nieco przesadne. Temperamentowi jego niewątpliwie lepiej odpowiadała technika olejna, z której tak subtelne potrafił wydobyć efekty.

¹⁾ Jest ich trzy, z których dwa są własnością muzeum Luwru, trzeci zaś należy do zbioru p. Levy.

Jak już wspomnieliśmy powyżej, Chardin rozpoczął swą karierę malarską od martwej natury i w tym dziale też stworzył arcydzieła niemniejszej wartości. Skromny ten przedmiot swych obrazów potrafił on ożywić, uczynić go interesującym nietyle przez dokładne naśladowanie wzorów, ile przez wyrażenie w nim własnej wrażliwości, która daje się odczuć patrzącym; przez układ, kompozycję, oświetlenie, dobór i kombinację barw i tonów, w których uwidocznia się cząstka piękna przyrody. Te to właściwości sprawiają, że można znaleźć równie zadowolenie estetyczne w takim np. obrazku, jak „Table servie,” przedstawiającym kawałek kiełbasy na cynowym półmisku, bochenek chleba i kieliszek wina, co we wspaniałej kompozycji Lionarda, lub Rafaela. Takich martwych natur malował Chardin bardzo wiele, a służyły mu za wzór bez różnicy sprzęty domowego użytku, instrumenty muzyczne, przedmioty spożywcze, jako to: jarzyny, owoce, ryby, ostrygi, zabity zając i t. p.

Sceny z życia spokojnego, uczciwego, pozbawionego gwałtowniejszych wzruszeń, a więc nieco monotennie szczęśliwego, w których lubował się Chardin, zdawałyby się być odbiciem jego własnej egzystencji. Stąd też wogóle przypuszczano, że życie jego upłynęło wśród takiego spokojnego szczęścia. Tymczasem w rzeczywistości bynajmniej tak nie było. Przedewszystkiem całe życie walczył on z biedą i niedostatkiem. Sztuka przynosiła mu zyski bardzo drobne, gdy za najlepsze obrazki płacono mu np. 45 liwrów, pod starość też sprzedano za długi dom jego, z którego ciągnął główne dochody. Pierwszą żonę, do której był bardzo przywiązany, stracił młodo, wszystkie dzieci mu poumieraly, a jedyny syn, w którym pokładał całą nadzieję, zrozpaczony, iż nie znajdował w sobie talentu, pojechał do Wenecyi i tam zginął, prawdopodobnie samobójczą śmiercią.

Poznawszy te szczegóły, przekonywamy się raczej, że spokojne mury domu przy rue Princesse ukrywały cały szereg smutnych tragedij, a przeto sądzić nam wypadnie, że ciche szczęście, przejawiające się w obrazach biednego mistrza, było dlań niedoścignionym ideałem, do którego wdychał i dla tego to może właśnie włożył w nie tyle uczucia. Co więcej, w samej sztuce nie znajdował Chardin takiego zadowolenia, jakby to można było przypuszczać. Tworzenie nie było dla niego tylko potrzebą i rozkoszą, ale także i prawdziwą męką. Te napozór proste, naiwne i łatwe obrazki, są to w rzeczywistości zadania nader skomplikowane, których rozwiązanie wymaga, oprócz daru wrodzonego, jakim jest czucie artysty, jeszcze głębokiej wiedzy technicznej, su-

miennego, nieustannego i inteligentnego studyowania natury, mozolnej pracy. To też Chardin bardzo od siebie wymagający, dla tego samego, że widział i odczuwał głęboko subtelności tej natury, rzadko ze swego dzieła czuł się zadowolonym, a wysokie rezultaty, które otrzymywał, zawdzięczał długiej wytrwałości w walce z materyalnemi trudnościami, żelaznej siły woli dla przewyciężenia zniechęcenia i rozczarowań, z którymi co krok w swej pracy spotykać się musiał.

Ze talent jego nie objawił się nagle i samoistnie, lecz rozwijał się stopniowo na podkładzie długich i poważnych studyów, świadczą najlepiej własne jego słowa, podane przez Diderota: „W wieku lat siedmiu, lub ośmiu dają nam do ręki ołówki. Zaczynamy rysować oczy, usta, uszy, nogi i ręce. Długo już zginaliśmy grzbiet nad teką, gdy zasadzają nas przed Herkulesem, lub Torsem i niema nikt pojęcia, kto nie był tego świadkiem, ile łez wycisnął ten Gładyator... Trzeba zaprawić oko do widzenia natury, a iluż to jej nigdy nie widziało i nigdy widzieć nie będzie!... Talent nie rozstrzyga się w jednej chwili.“ Słowa te są zaprzeczeniem dla tych, którzy, sądząc z prostoty jego obrazków, chcieliby się dopatrzeć w nim talentu opatrnościowego, proroczego geniuszu, który bez wszelkiego przygotowania i nauki tworzy arcydzieła.

Chardin zmarł w Paryżu r. 1779, dożył więc poważnego wieku lat osiemdziesięciu, obejmując swem życiem niespełna cały wiek XVIII.

*

*

*

Fragonard jest z wielu względów przeciwieństwem Chardina. Równie jak i ten ostatni, jest on prawdziwym przedstawicielem swej epoki, ale przedstawia ją z innej strony. O ile Chardin charakteryzuje życie średnich i niższych warstw miejskich w tem, co jest jego treścią, chlebem powszednim, o tyle u Fragonarda znajdujemy charakterystykę życia lekkomyślnego, płochego, powierzchownego, zbytkownego, świąt i zabaw, od których rozbrzmiewała Francya XVIII-go wieku i w których dwór i możni, zatopiwszy sumienie i sumowiedzę własną, pogрузyli przyszłość monarchii. Nic toż dziwnego, że w kompozycjach Frago-

narda to, co się nazywa „la note galante“ zajmuje miejsce dominujące.

Twórczość jego jest wynikiem rozlicznych wpływów, ale wybitny talent i silny temperament indywidualny uchronił go od popadnięcia w naśladownictwo i konwencyonalizm, chociaż dzieło jego ze względu na przedmiot, który traktuje, nie może być zupełnie pozbawionem sztuczności.

Jak już powiedzieliśmy na wstępie, Fragonard urodził się w mieście Grasse w Prowancyi, r. 1732, jest więc o jedno pokolenie młodszym od Chardina.

Ojciec jego był rękawicznikiem w temże mieście, ale straciwszy mienie w przegrany procesie, przeniósł się wraz z rodziną, dla szukania zarobku do Paryża. Młody Honoryusz, liczący wówczas lat czternaście, oddany został do notaryusza, gdzie go używano na posyłki. Podczas swych obowiązkowych przechadzek po mieście nieomieszkał on wrażliwem swem okiem i usposobieniem obserwować otaczające go życie uliczne. Mając do czynienia w bogatej części miasta, miał on często sposobność spotykać ludzi ze sfer wyższych, uderzało go bogactwo strojów pięknych dam i kawalerów, świetność pojazdów, cały blask i przepych, któremi otaczała się wówczas arystokracja i możni.

Te pierwsze wrażenia wieku młodocianego odbiły się następnie w całej jego działalności artystycznej.

Obrazy w kościołach, dzieła mistrzów włoskiego Odrodzenia w ówczesnej galerji „Palais Royal,“ a szczególnie historia Maryi Medycejskiej w świetnych kompozycjach Rubensa, znajdujących się wtenczas w pałacu Luksemburskim (obecnie w specjalnej sali nowego Luwru), pociągały go nadzwyczajnie.

Pod wpływem takich wrażeń skłonność młodego Fragonarda do malarstwa rozwinęła się. Nie mając jeszcze najmniejszego pojęcia o sztuce, której się chciał oddać, udał się on w towarzystwie matki do pracowni Bouchera.

Ale Boucher, nie życząc sobie mieć ucznia, który, nie umiejąc, nie mógł mu być pożytecznym, odesłał go do Chardina, aby nauczył się u niego pierwszych początków rysunku. W skromnej pracowni Chardina nie pozostał on wszakże zbyt długo. Pociągnięty błyskotliwą sławą Bouchera, powrócił do niego Fragonard po kilku miesiącach i u niego już pozostał. Zdolny, zręczny i pracowity, przyswoił sobie bardzo szybko manierę swego mistrza i pozyskał jego względy. We dwa lata zaledwie po wstąpieniu do pracowni Bouchera zapragnął Fragonard wziąć udział w akademickim konkursie o nagrodę „prix de Rome,“ którą zdo-

był po opracowaniu kompozycyi na temat „Jeroboam składający ofiarę bożkom pogańskim.“ Wskutek otrzymania tej nagrody wyjechał młody artysta w r. 1756 do Rzymu.

Nadzwyczajny przeskok od Bouchera do Michała Anioła oszołomił go. Czas jakiś nie wiedział co robić, czuł bowiem ogrom różnicy tytanicznych dzieł kaplicy Sykstyńskiej od zepsu-tych wzorów, któremi się dotychczas żywił, ale czuł też zarazem, że ani zrozumieć, ani dosięgnąć tych szczytów nie jest w stanie. W końcu zabrał się do pracy i powoli odnalazł odpowiednie swe mu temperamentowi wzory w dziełach Baroccia, Pietro de Cartone, Tiepoła i t. p., ale kopiował też częściowo przeważnie sepią grupy, lub figury z obrazów Michała Anioła, Leonarda, Andrea del Sarto, mistrzów Weneckich i Bolońskich.

W kopiach tych jednakże nie starał się wyrazić ducha oryginalnego, ale raczej nadawał im cechy własnego indywidualizmu. W pałacu Mancini, gdzie mieściła się podówczas Akademia Francuska, poznał się Fragonard z wykształconym i zdolnym malarzem Hubertem Robert, którego włoskie pejzaże znajdują się teraz obok dzieł pierwszego w muzeum Luwru. Obaj oni oddali się z zapałem studjom pejzażowym, których Frago (takie bowiem dano mu we Włoszech przezwisko, które mu pozostało i nadal), naszkicował bardzo wiele, najczęściej songiną, sepią, lub ołówkiem.

Dość znaczny zbiór tych zręcznych szkiców, wybornie charakteryzujących czarujące widoki włoskich will i ogrodów można było oglądać na wystawie w Galeryi Georges Petit. W Rzymie również spotkał się Fragonard z pewnym młodym księdzem, Abbé de Saint-Non, bogatym i wykwintnym amatorem sztuk pięknych. Był to ksiądz, jakich dość często spotykało się w XVIII wieku, tylko z tytułu i stroju, „abbé seulement par la soutane,“ jak sam mawiał. W rzeczy samej prowadził on życie wielkiego pana-estety o wysokiej kulturze umysłu i smaku. Godność i suknia duchowna, nie krępując go prawie w niczem, były dlań ułatwieniem w jego artystycznych podróżach po Włoszech, dawały mu bowiem wstęp wszędzie.

Ten to Abbé de Saint-Non zabrał obu młodych malarzy do willi d'Este, w której rezydował i z tantąd też pochodzi większa część szkiców pejzażowych Fragonarda. W tych warunkach tak się dobrze działało młodemu artyście, iż poprosił i uzyskał roczną zwłokę ponad przepisany czas pobytu stypendystów we Włoszech.

W końcu, po pięcioletniej nieobecności, powrócił Fragonard do Paryża w r. 1761. Czując się już zupełnie na siłach, zapragnął wejść do Akademii. W tym celu trzeba było przedstawić

kompozycyę w wielkim stylu wedle wymagań akademickich, a więc na temat z historyi świętej, lub świeckiej, zwłaszcza starożytnej, albo z mitologii. Rzecz taka nie bardzo odpowiadała lekkiemu jego usposobieniu, wahał się też dość długo w wyborze tematu, aż wreszcie znalazł go w librecie opery pod tytułem *Callirhoé*, zawierającem historię kapłana Caresusa, który, zmuszony do zabicia na ofiarę pięknej *Callirhoé*, którą kocha, w chwili, gdy ma dokonać tej krwawej ofiary, przebija własną pierś nożem ofiarnym. Ten też ostatni epizod przedstawia obraz Fragonarda.¹⁾ Jestto kompozycya nawskroś konwencyonalna, wykonana ściśle według formuły, posiadająca wszelkie cechy t. zw. włoszczyzny, czyli zwyrodnienia epigonów Renesansu, a więc brak charakteru, energii—jakąś zniewieściłość w wyrazach i ruchach, sztuczność i poza w całym układzie, przy drobiazgowem, mdłym, bezdusznem wykończeniu. Może właśnie dla tych swoich wad, obraz ten nadzwyczaj się podobał i zgotował swemu twórcy tryumfalny wstęp do Akademii, która uznała w przyjęciu Fragonarda zaszczyt dla siebie.

Ale uczyniwszy zadość wymaganiom akademickich przepisów dla pozyskania potrzebnej sytuacji, porzuca Fragonard ten niewdzięczny rodzaj, w którym natura jego nie mogła się wyrazić, i bez wahania sięga po przedmiot daleko odpowiedniejszy jego temperamentowi. Obraz „*L’Absence des père et mère mise à profit*,” przedstawiający młodzieńca, całującego młodą dziewczynę, rozpoczyna całą seryę scen erotycznych, z których większość przekracza zwyczajnie dozwolone granice.

Tu Fragonard jest wreszcie zupełnie sobą i znajduje prawdziwe pole do wykazania swych właściwych zalet. Pomimo śmiałości tematu nie wpada on ani w brutalność, ani nawet nie jest trywialnym. Niektóre z tych obrazków mają zresztą bardzo wiele świeżego wdzięku, jak np. „*Le baiser à la dérobée*” i wiele innych. Pomimo muniery zawsze nieco sztucznej, w tych drastycznych scenkach zbliża się on do natury w jej objawach, które najbardziej odczuwa. Jest też w tem rzeczywiście wyraz i energia w ruchach, czasem nawet namiętność i siła.

Tam zwłaszcza, gdzie przedstawia nagości kobiece, uwydatniają się jego wysokie zdolności kolorysty w nader delikatnych modulacyjnych odcieni barw. Za przykład służyć może pod tym

1) Muzeum Luwru.

względem: „La chemise enlevée,“¹⁾ obrazek parokrotnie powtórzony, „Les baigneuse,“²⁾ „La bacchante,“ „Gimblette“ i t. p., oraz w poważniejszych kompozycjach, jak np. „La toilette de Venus,“ w których piękność i wytworność kształtów i układu przypominają mistrzów Odrodzenia. W jego sposobie malowania i pojęciu kobiecej nagości znać wpływ, prócz szkół włoskich, także w dość znacznym stopniu—Rubensa. Ten sam u niego typ kobiety pełnej, jasnowłosej, ta sama białość skóry w połączeniu z gorącemi refleksami laki, siemny i cynobru, któremi ją podkreśla. W rysunku tylko, choć zręcznym i swobodnym, nie dosięga on swych wzorów, widać w nim zastosowanie się do pojęć estetycznych epoki, a więc zbytne zaokrąglenie form, cechy chorobliwego zwyrodnienia, które zresztą występują u niego znacznie mniej rażąco, niż u większości współczesnych mu malarzy i są nagrodzone oryginalnością i śmiałością wykonania i kompozycyi, oraz świetnym kolorytem.

W scenach erotycznych uprzedzili go już inni, jak Watteau, Lancret i t. p.; ale niema w nich tej naturalnej zmysłowości, która charakteryzuje Fragonarda, w ich obrazach jest więcej poetycznej fantazyi w połączeniu ze sztuczną, teatralną pozą, niż prawdziwej namiętności.

Można się domyśleć, że rodzaj taki pozyskał Fragonardowi licznych zwolenników. Owcześni bogacze, zwłaszcza bankierzy, intendenci finansów, t. zw. „fermiers généraux,“ rozporządzający, często na własny użytek, dochodami państwa, pośpieszyli dać mu zachętę w obranym kierunku w postaci suto płatnych obstalunków. Tak więc słynny obraz „Les hasards de l'escarpolette“³⁾ wykonał Fragonard dla barona de Saint-Julien, który, jak niesie anegdota, obstałował był najpierw u malarza Doyen tę scenę, którą tak określił: „życzę sobie, abyś pan przedstawił moją metresę na huśtawce, poruszanej przez biskupa, i abyś mnie umieścił w pozycyi, w której mógłbym widzieć łydki tej pięknej dziewczeczki.“ Doyen zgorszony odmówił. Wtedy baron udał się do Fragonarda, który obstałunek chętnie przyjął i wywiązał się z zadania w sposób tak zręczny i wytworny, iż pomimo niezmiernie drażliwego tematu, uniknął trywialności. Ale bo też „L'Escarpolette“ jest jeszcze obrazem względnie bardzo niewinnym w porównaniu

¹⁾ Muzeum Luwru i kolekcya Rothschildów.

²⁾ Tamże.

³⁾ Kolekcya p. Wallace.

do takich, jak „Le coucher des ouvrières en modes,“ „Le jet d'eau“ i wielu innych w tym rodzaju, oraz dwu rysunków: „Le verrou“ i „L'Armoire,“ ¹⁾ których oryginalność poświadcza sam autor w autografie, wystawionym wraz z niemi na obecnej wystawie. W tych ostatnich, oraz w niektórych scenach pasterskich, nuta rozwiązłości jest daleko silniej zaakcentowaną.

Do kompozycyji erotycznych, ale już w innym stylu, zaliczyć też wypadnie wszystkie wariacje na temat pocałunku. Są to bardzo ładne obrazki o charakterze sentymentalnym, choć nie pobawionym także pewnego pieprzyku. Oprócz „Le baiser à la dérobée,“ o którym już wspominaliśmy i który jest jednym z wdzięczniejszych z tego rodzaju utworów, należą tu „Le baiser de l'amour,“ „Le baiser de l'amitié,“ „Le baiser dangereux,“ „Le serment d'amour,“ „La Fontaine d'amour.“ Dalej do tejże kategorii wchodzi też drobne, czułe scenki, jak „La jeune fille lisant une lettre,“ „La jeune fille gravant un cœur sur l'écorce d'un arbre,“ „Le sacrifice de la rose,“ „Le billet doux.“

Wielostronność talentu Fragonarda, jego rzutkość i pewność siebie pozwalała mu z równą łatwością traktować i poważniejsze tematy, począwszy od scen z życia rodzinnego i rodzajowych, jak „La mère de famille,“ „Le Contrat,“ „Les Vaches au gué“ i t. p., a skończywszy na kompozycyjach religijnych, z pośród których dwie znalazły się na tegorocznej wystawie: „La Vierge chez Elisabeth“ i „Education de la Vierge.“ W kompozycyjach tych znać dobre wpływy mistrzów włoskich, pierwsza zwłaszcza odznacza się prawdziwą pięknnością w wyrazie i układzie. Śliczną jest postać Maryi, składającej się do stóp św. Elżbiety. Również piękną i pełną charakteru jest głowa św. Józefa, pochylona w poważnym ukłonie. Jest w tem rysunek wytworny i zdecydowany, bardzo estetyczny układ skomplikowanych fałd sukien—całość ma wyższy zakrój i polot, pomimo pewnych cech epoki.

Fragonard jest także prawdziwym mistrzem w portrecie. Jego portret Diderota jest rzeczywiście arcydziełem. Wybornie namalowany, ma on nadzwyczajny charakter i wyraz. Jest malowany z zakrojem i w tonach Rubensowskich, ale w traktowaniu szerokiem płaszczyzn, ma coś nowożytnego. Uderzające pod tym względem są też jego doskonale studia głów męskich w Luwrze, traktowane w podobny, ale jeszcze szerszy sposób.

¹⁾ Zbiór Ed. Rothschilda.

W portretach kobiecych mniej wogóle tej energii, a więcej poddania się wpływowi gustu i mody, z wyjątkiem chyba małego portretu swej żony, którą nazywał: „la caissière,“ świetnie naszkicowanego sępią, bez wszelkiej sztucznej pozy, ale z nieporównanym wyrazem i prawdą. Wesoły i lekki artysta-libertyn cieszył się, rzecz prosta, szczególnemi względami w zakulisowym świecie teatrów, u pięknych kapłanek muz, które już wtenczas potrafiły pozyskać dla swoich wdzięków stanowisko uprzywilejowane. One to, a przeważnie tancerki Opery, dostarczyły mu ponętnych wzorów do licznych portretów, zarówno jak i do wielu obrazków erotycznych. Szczególniej portrety tancerek Colomb i Guinard, na które się rujnowali najbogatsi i najznakomitsi panowie, powtarzają się po kilkakrotnie w różnych pozach i układzie. Jednym z piękniejszych jest portret panny Guinard w białej sukni, z gitarą w ręku, na tle sztucznego pejzażu.

Milionowi finansisci ówczesni mieli zwyczaj budować sobie na przedmieściach Paryża w otoczeniu cienistych ogrodów urocze wille, na które nie żałowali sum prawdziwie bajecznych.

Stąd, jak i ze względu na życie, które w nich prowadzono, powstała dla tych podmiejskich własności nazwa „Folies,“ którą dotychczas noszą niektóre oddalone dzielnice miasta, powstałe na szczątkach wspaniałych parków. Do wymagań dobrego tonu należało ozdabiać mieszkania możliwymi dziełami sztuki. Ściany pokrywano dekoracyjnemi malowidłami, parki zaludniano posągami. To też wszyscy prawie malarze tego okresu oddawali się temu rodzajowi sztuki. Fragonard przyozdobił swemi pracami wiele takich will i pałaców.

W Galeryi Georges Petit wystawiono kilka jego obrazów dekoracyjnych, mianowicie znaną „Fête de Saint-Cloud,“ własność obecnie Banku Francuskiego, wykonaną niegdyś dla owego barona de Saint-Julien, wraz z „Éscarpolette,“ oraz „La danseuse,“ obraz, przedstawiający znowu też senną Guinard, tancerkę Opery, w kostymie teatralnej pasterki, wykonywującą kunsztowne posunięcia tańca, podczas gdy zazajony amorek zmierza swą strzałę w jej pantofelek. Płótna te nie mają jednak ściśle dekoracyjnego charakteru. Są to raczej mniej lub więcej powiększone obrazy, bardziej sztuczne od innych, jako natchnione przeważnie przez błyskotliwą fikcyjną feryj baletowych, ale posiadujące niemniej wiele wdzięku w kompozycyi i kolorycie.

Dla protektora swego i przyjaciela, finansisty Bergeret, malował Fragonard plafony, przedstawiające grupy dzieci w obło-

kach, oraz „Allegoryę sztuk“ — cztery. t. zw. trumeaux, któremi udekorowano wspianą siedzibę milionera przy ulicy du Temple. Kompozycyę nader oryginalnego pomysłu polecił mu wykonać Courtin de Saint-Vincent. Są to „Les Religions du Monde“: Religia chrześcijańska, Wielkiego Lamy, mahometańska i religia Inkasów.

Pędzla jego są też cztery kompozycye, zdobiące ściany ponad drzwiami (dessus de portes) w pałacu w Louvecienne słynnej du Barry, wykonane na żądanie Ludwika XV: „Les Grâces,“ „L'Amour qui embrase l'univers,“ „Venus et l'amour“ i „La Nuit.“

Ale arcydziełem Fragonarda w tym zakresie są obrazy, znane pod nazwą „Panneaux de Grasse,“ które ostatnio wzbudziły tyle zajęcia.¹⁾ Dzieła te są może najprawdziwszym wyrazem jego talentu, składającego się z nader delikatnych odcieni, wytwornego smaku, uczuciowości niezbyt głębokiej, ale bardzo subtelnej. Jestto znowu historia miłości, temat, który charakteryzuje całą jego twórczość, pojęta stosownie do ducha czasu i przedstawiona w pięciu wielkich kompozycyach: „L'Escalade,“ „La Poursuite,“ „Les Confidences,“ „L'amour couronné“ i „L'Abandon.“ Obrazy te wykonał Fragonard w roku 1770 z polecenia tejże du Barry, ale dla niezbadanych bliżej przyczyn pozostały one własnością artysty pomimo, iż wypłacono mu za nie 18000 liwrów. W roku 1791 sprzedał je Fragonard za 3600 liwrów krewnemu swemu nazwiskiem Maubert, zamieszkałemu w Grasse, u którego wówczas, wśród zamieszania i niepewności, które sprowadziła Rewolucya, znalazł gościnę. Niepospolite te malowidła znajdowały się do niedawna jeszcze w domu Mauberta w Grasse, jako własność jego spadkobierców, dopiero w ostatnich czasach nabył je od nich amerykański milioner Pierpont-Morgan i wywiózł do Anglii. Teraz więc we Francyi można je widzieć tylko w reprodukcyi, w postaci sztychu, lub fotografii.

Fragonard uprawiał prawie wszystkie rodzaje sztuki malarskiej i rysowniczej.

Bardzo ciekawe są jego ilustracye do bajek La Fontaine'a, których skomponował trzy serye. Na wystawie w Nizy znajdowały się te ilustracye, ryłowane przez Martiala w liczbie sztuk siedemdziesiąt pięć.

1) Pierre de Nahuac: A propos des Fragonard de Grasse.

Zbiory jego miniatur wystawiono w Galeryi Georges Petit. W robotach akwafortowych pracował on też wspólnie z księdzem de Saint-Non i Hubertem Robert przy wydanem przez pierwszego dziele p. t. „Fragments choisis dans les peintures et les tableaux les plus intéressants des palais et des églises de l'Italie.“

Szkice pejzażów włoskich Fragonarda zostały też odtworzone sposobem akwafortowym przez tych dwu wymienionych artystów, Abbé de Saint-Non i Huberta Robert.

Z wybuchem Rewolucyi, z przewrotem, jaki po niej nastąpił we wszystkich kierunkach, skończyło się powodzenie Fragonarda. Ze zmianą pojęć i dążeń ogółu, jego rodzaj lekki i wytworny, ściśle związany z formami, wymaganiami i duchem upadającej monarchii Ludwików, nie mógł się już podobać w okresie sztuki Davida. Fragonard umarł nagle w r. 1806 w chwili, gdy niepowodzenie i bieda zaczęły mu się dawać we znaki.

Portret jego własny, umieszczony na tej wystawie, pośród jego dzieł, choć prawdopodobnie nie przez niego samego malowany, ukazuje go właśnie w ostatnich latach życia. W wyrazie, pełnym głębokiej i melancholijnej zadumy, widać, że żyje on już tylko wspomnieniami; zmarszczone brwi, boleśnie ściągnięte rysy, złagodzone jakimś nieokreślonym, mimowolnym uśmiechem, zdradzają cierpienia artysty i człowieka, który z nowymi pojęciami i warunkami pogodzić się nie może.

Połączenie Chardina z Fragonardem na wystawie w Galeryi Georges Petit jest tylko przypadkowem i z pewnością powziętego à priori celu przeciwstawienia, lub porównania wartości tych dwu artystów nie miało. Gdy się jednak widzi dzieła ich pomieszczone obok siebie, to porównanie takie mimowolnie się nasuwa. Nie ulega wątpliwości, że wychodząc z punktu ściśle artystycznego, sąd wypadnie na korzyść Chardina, którego szczerłość, przy głębokiem poczuciu sztuki w naturze i wielkiem mistrzostwie wykonania, stawia w rzędzie najpierwszych i pociąga ku niemu, gdy zręczność assymilacyjna Fragonarda, jego błyskotliwość i powierzchowność, maniera, w której często prawdę podporządkowuje gustowi chwili i modzie, szczerze uczucie — afekta-cyi, pomimo talentu, który bądź co bądź przebija się we wszystkich jego dziełach, może, zwłaszcza na pierwszy rzut oka, sprawić wrażenie odstręczające. Trzeba jednak dodać na obronę Fragonarda, że na tej wystawie brakowało dzieł jego najlepszych i najwięcej go charakteryzujących. Zresztą, obaj oni, jako uosabiający dwie odmienne strony tej samej epoki w życiu i sztuce

ce, wzajemnie się dopełniają i zasługują z tego względu, każdy w swoim rodzaju, na jednakowe uznanie.

*

*

*

Uczyniwszy zadość wymaganiom chwili bieżącej, która niedawno, dzięki wystawie Chardin — Fragonard, żyła wrażeniami XVIII wieku, pozwolę sobie zająć uwagę czytelników „Biblioteki“ bliższymi wspomnieniami i poświęcić je pamięci malarza, zdobywającego dopiero po śmierci należne mu w sztuce francuskiej stanowisko.

Mniej więcej rok temu rozstał się z tym światem w Paryżu niezwyklej miary artysta, którego dzieło, przez swą oryginalność i niezależność od wszelkich zarówno nowych, jak i tradycyjnych kierunków w sztuce, stanowi, pośród ogółu produkcji artystycznej naszej doby, zjawisko zupełnie odrębne. Artystą tym jest Eugénusz Carrière.

Kto miał sposobność zwiedzać muzeum Luksemburskie w Paryżu, ten niewątpliwie zapamiętał mocno odróżniający się od innych, nagromadzonych tam dzieł, szczególnie suggestywną siłą sentymentu i niezwyklej sposobem jego wyrażenia, obraz Carrière „Materité“, jego mglistą atmosferę, wśród której, podobne do widziadeł, zarysowują się zgubionemi konturami postacie matki i otaczających ją dzieci.

Ta odrębność, ta charakterystyczna mgła w obrazach Carrière uderza i zwraca uwagę każdego.

Czy jednak każdy go rozumie i odczuwa? Na to pytanie odpowiedź wypadnie przecząco.

Carrière długo pozostawał w cieniu, na uznanie czekać musiał wieku dojrzałego, pomimo, iż dzieła jego noszą niezaprzeczone cechy geniuszu. Niezależnie od uznania, którego mu odmówić nie było można, liczył on i liczy dotąd, choć mniej śmiałych, poważnych przeciwników.

Wśród ogółu, który mimowolnie dał się pociągnąć tajemniczemu urokowi jego twórczości, nie zrozumiano go.

Czyniono mu zarzut z tego właśnie, co jest treścią jego sztuki, co stanowi jego indywidualność, przez co wyrazić chciał i wyraził o wiele potężniej, niż się to dotychczas komukolwiek udało, prawdziwą głębię uczucia, czyste stany duszy, podane wprost bez

przenośni, bez dotychczasowych konwencyonalnych allegoryj. Krytykowano tedy tę mglistość jego obrazów, nikłość rysów jego postaci, brak koloru, monotonność kompozycyj.

Jak jego dzieło, tak i on sam pozostał odosobnionym. Tyłko w szczupłym, ale doborowym gronie jego przyjaciół poznano się na nim, oceniono wartość jego dzieła, zanim ją potwierdziło oficjalne uznanie, nim spadły nań zaszczyty, nim nadeszła sława.

Czemuż jednak przypisać tę niechęć, z jaką przyjęła dzieło Carrière i opinia ogółu, i duża część krytyki, i szczególniejszą węższość samych artystów?

Przyczyny tej niechęci szukać należy przedewszystkiem w samej jego wyższości, w jego indywidualizmie, w tem, że wszystko, co przerasta miarę, co wynosi się po nad poziom, razi przeciętny ogół, ale i w tem także, że dzieło Carrière, pomimo, iż oddziaływa wprost na uczucie, posiada powagę, wymagającą skupienia, zawiera pierwiastki takie, które zmuszają patrzącego do zastanowienia, do pewnej pracy myślowej, której ogół nie lubi, przekładając nad nią błyskotliwą burwność, wdzięk, lub oryginalność układu, a nadewszystko sensacyjność tematu.

Carrière, rzec można, prześcignął poniekąd pojęciu współczesnych i tem jedynie wytłómaczyć sobie można, iż nie został należycie zrozumianym i ocenionym, nawet przez wiele umysłów wybitniejszych. Ale nawet tam, gdzie go nie rozumiano, wywarł on pomimowoli silne wrażenie i podziw—najwięksi jego przeciwnicy nie mogli mu odmówić uznania niepospolitych zalet, któremi odznacza się jego talent.

Dla nas zrozumienie tak niezwykłego dzieła o tyle będzie łatwiejszem, o ile postaramy się poznać jego twórcę, jako człowieka i jako artystę.

Zarówno warunki, w których żył i obracał się Carrière, jak i wypowiedziane przezeń niejednokrotnie myśli i poglądy na sztukę i jej zadanie, stanowiąc będą dla nas cenne wskazówki.

Powołanie artystyczne Carrière nie objawiło się odrazu. Przyszło ono powoli, stopniowo, trafiając na przeszkody materialnej natury, aż dopiero z większem uświadomieniem młodego umysłu pod wpływem doznanych artystycznych wrażeń, okazało się w całej pełni i zawładnęło nim ostatecznie.

Pomimo początkowych studyów w Akademii Strasburskiej, młody Carrière, mając za doświadczenia trudne warunki życiowe, nie miał poważnego zamiaru oddania się zawodowi artysty. Ojciec posłał go do Saint-Quentin na praktykę rzemieślniczą, gdzie wolne chwile spędzał w miejscowym muzeum. Licznie tam re-

prezentowane portrety La Tour'a szczególnie go pociągały i od nich też, jak to sam utrzymywał, więcej skorzystał, aniżeli ze studyów akademickich. Dopiero, gdy wkrótce potem, znalazłszy się w Paryżu, zwiedzał muzeum Luwru, uczuł wreszcie, i to szczególnie pod wrażeniem Rubensa, że sztuka jest mu przeznaczoną, że dłużej swej naturalnej i coraz silniejszej skłonności opierać się nie może. Powziąwszy tedy ostateczną decyzję, wstąpił do paryskiej szkoły Sztuk Pięknych i oddał się studjom malarskim pod kierunkiem Cabaneta. Przy braku środków materialnych, te pierwsze lata studyów były dlań bardzo ciężkie. Nadszedł straszny rok 1870. Carrière podążył jako ochotnik ku obronie Ojczyzny i wraz ze swym garnizonem dostał się w Neuf-Brisach do niewoli. Internowany w Dreźnie, odzyskał wolność po zawarciu pokoju i powrócił do przerwanej pracy w Szkole Sztuk Pięknych. Po ożenieniu, w r. 1877, przebył Carrière kilka miesięcy w Londynie i tu miał sposobność zapoznać się z dziełami Turnera. W roku 1879 wystawił w salonie paryskim pierwszy swój obraz „Jeune mère allaitant son enfant.“ Lata 1884 i 1885 przynoszą mu odznaczenia i medale, ale dopiero w roku 1886 i 1889 święci Carrière pełny tryumf, gdy, otrzymawszy najwyższe odznaczenie, medal honorowy, ozdobiony krzyżem legii honorowej, staje w szeregu najpierwszych, oficjalnie uznanych, mistrzów. Odtąd sława jego jest już ustaloną. Obrazy: „Maternité“ i „La famille“ dostają się do muzeum Luksemburskiego.

Carrière zyskuje entuzjastycznych wielbicieli i cennych przyjaciół, do których grona wchodzi pierwszorzędne osobistości ze świata literatury i sztuki, a w ich liczbie — słynny rzeźbiarz August Rodin.

Oryginalność twórczości artystycznej Carrièra, która jednych zachwyci, drugich zaś razi, lub jest dla nich niezrozumiałą, wynika z jego zapatrywań na świat i życie i z ściśle związanego z nimi pojęcia o sztuce. Carrière jest syntetystą.

Doktryna ¹⁾ jego zasadza się na powszechności praw i stosunków, rządzących w przyrodzie, która jest syntezą wszystkiego.

Człowiek, zarówno jak zwierzę i roślina, jako cząstka przyrody ulega tym samym prawom ogólnym, które go łączą z całością wszechświata; jako typ, stanowi on zarazem skończony wy-

¹⁾ Przytoczone tu światopoglądy Carrièra są wyciągiem z wygłoszonych przezeń przy różnych okazjach mów i konferencyj, podanych przez p. Ch. Morice w studjum jego p. t. „Eugène Carrière“ i p. G. Séailles: „Eugène Carrière, l'homme et l'artiste.“

raz tej przyrody. Przyroda, jako całość wymaga łączności i zgodności elementów, z których się składa, proporcjonalności stosunków, z których wynika jej harmonia.

Jak człowiek, jako typ, jest częścią przyrody, tak też człowiek, jako indywiduum, jest częścią ludzkości, z którą go wiążą niezliczone nierozdzielne węzły, jest jej wyrazem całkowitym.

Człowiek przeto nie może być oderwanym od społeczności ludzkiej, równie jak gałąź od pnia rodzinnego, bez narażenia na zagładę.

Stąd to wypływa potrzeba ludzkiej solidarności, która jest i była zawsze ideałem wszystkich czasów, jedyną podstawą wszystkich religij i filozofij. Dla tego to ideału ludzkość poniosła nieskończoną ilość ofiar w zwycięskiej walce przeciw barbarzyństwu. Prawdziwość jego znajduje stwierdzenie w pierwszym geście każdego nowego stworzenia, w nieograniczonem zaufaniu dziecka, któremu możliwość gwałtu i zła nie jest jeszcze świadomą; w szczerzej, nieskażonej wierze młodzieńczej, która pozwala dokonywać z entuzjazmem najskuteczniejszych wysiłków, aż do chwili, gdy fałszywe doświadczenie przekona nas, że to zaufanie, ta wiara, to tylko złudzenie. Wszystko zresztą dowodzi nam, że solidarność jest bezsprzecznie rzeczywistym i ostatecznym celem ludzkiego przeznaczenia. Z niej to wzięły początek rządzące ludzkością prawa moralne, które w harmonii z prawami fizycznymi i estetycznymi w przyrodzie, są warunkiem jedności wszechświata.

W pojęciach piękna i szczęścia widzi Carrière ścisłą analogię. Oba te pojęcia zależne są od harmonii stosunków, pierwsze — w sferze zmysłów, drugie — w sferze moralnej. Szczęścia tedy nie należy szukać w tryumfach siły materialnej, w zdobyczach nauki, lub przemysłu, ani nawet w szczytnej pracy, jako w drugorzędnych warunkach bytu, przedstawiających względnie małą wartość w porównaniu do pierwiastków życia wewnętrznego, wśród których najważniejszym jest uczucie.

Cała jego doktryna mieści się w tych dwóch wyrazach, „stanowiących podwójny i jedyny cel życia,“ kochać i myśleć, z dodatkiem wiary w powszechność duszy ludzkiej i w ciągłość ludzkiego rodzaju.

Te pojęcia Carrièra, będące wynikiem jego skłonności naturalnych, odbiły się też wyraźnym piętnem na całej jego działalności, jako człowieka i jako artysty. Odnajdujemy je bez trudu w jego pociągu do życia rodzinnego, w jego predylekcyi do wieku i form dziecięcych, do wszelkich objawów miłości macierzyń-

kiej, na których apoteozę złożyło się niemal całe jego dzieło, którym poświęcił przeważnie całą swoją twórczość.

Równie jak jego poglądów, tak i jego sztuki podstawą, jest synteza, uogólnienie. Carrière w swej koncepcyi dzieła sztuki odrzuca wszystkie szczegóły drugorzędne, wszystkie akcesorya, które mogłyby szkodzić wyrazowi jego jedności, zachowując i podnosząc do potęgi cechy główne, zasadnicze, wspólne, typowe i w tem leży cały charakter jego twórczości — jego oryginalność. Mgła, o której tyle mówiono i pisano, z powodu której czyniono tyle zarzutów artyście, jest w rzeczywistości tylko środkiem dla osiągnięcia tego rezultatu.

Ponieważ w przyrodzie człowiek, jako istota najwyżej duchowo rozwinięta, zajmuje stanowisko maczelne, przeto w ścisłej konsekwencyi ze swemi poglądami Carrière dał też w kompozycjach swoich rolę przeważną, a właściwie wyłączną, postaci ludzkiej.

Ale i w człowieku szuka on przedewszystkiem typu, a w nim tych cech ogólnych, które, stanowiąc łącznik pomiędzy nim, a jemu podobnymi, wyrażają ciągłość rodzaju.

Skąpane w tej wibrującej atmosferze, która je otacza, w której toną i giną wszystkie zbyteczne szczegóły, postacie jego robią potężne wrażenie ewokacyi. Ten człowiek, którego obraz odsłania nam geniusz artysty na tle nieskończoności, to nie jakieś pojedyncze indywidualum, to cząstka tej nieobjętej przyrody i zarazem całkowity jej wyraz, to suma nieskończonej ilości istnień, które się nań złożyły, w nim odżywają i przez nieustanne przekazywanie życia unieśmiertelniają się.

Pomimo tego uogólnienia, pomimo odrzucenia wszelkich szczegółów, a raczej właściwie wskutek tego, wydobywa Carrière z indywidualności człowieka w najwyższym stopniu to, co go zasadniczo charakteryzuje.

Ten rys jego geniuszu łatwo sprawdzić można w portretach, które przy tej samej metodzie traktowania odznaczają się tak nadzwyczajnym charakterem i podobieństwem.

Życie jest nie czem innym, jak tylko nieustannem przetwarzaniem się, to też i postacie Carrièra, którego najwyższem usiłowaniem było odzwierciedlić życie, przedstawiają fazy tego przetwarzania.

Znajdują się one, że pozwolimy sobie użyć tego wyrażenia, „in statu nascendi,“ zdają się każdej chwili wyłaniać z głębin wieczności, aby za chwilę znowu w nich zniknąć — prawdziwy sym-

bol znikomości życia indywidualnego, a jednocześnie nieśmiertelności rodzaju.

Stąd to pochodzi ta pewna pozorna szkicowość, niedokończoność rysów i kształtów tych postaci, ich zgubione kontury. Ale rysunek jego figur ludzkich, pomimo tego pozornego niedokończenia, spoczywa w rzeczywistości na ścisłych i pewnych podstawach.

Budowa ich jest silną, gdyż opiera się na rysach zasadniczych i w tem przypomina rzeźbę, z którą wogóle sztuka Carriera ma wiele analogii.

Podobnie, jak rzeźbiarz, który mając w rękę masę gliny, musi z konieczności nadać wprzód tej masie ogólne kształty figury, którą chce wykonać, zanim się zabierze do modelowania szczegółów, Carrière traktuje w wielkich proporcjach i masach swoje figury, których rozwój posuwa się w warunkach analogicznych do tych, w jakich się rozwija żywy organizm, przedstawiający w każdej swej fazie skończoną całość. To też może on każdej chwili rozwój ich zatrzymać bez najmniejszej obawy narażenia na szwank całości dzieła i czyni to zawsze, gdy uzyska te cechy, o których uwydatnienie głównie mu idzie.

Dzieło jego jest też w samej rzeczy doskonale skończonem, posiada bowiem w wysokim stopniu równowagę, harmonię i jedność.

Do tej doskonałości zaś doszedł Carrière przez sumienne studjowanie unifikowanej przez się natury, przez głębokie jej zrozumienie i odczucie.

Pomimo to nie jest on realistą, natury nie kopiuje, lecz ucieka się do zapożyczenia u niej form i środków, których ona dostarcza po to, aby wyrazić doznane pod jej wpływem uczucia i wrażenia własne.

Tych uczuć i wrażeń własnych, przez ukazanie swego dzieła artysta nam udziela i na tem właśnie polega jego władza nad naszą wrażliwością, cały wogóle urok sztuki.

Dopiero po osiągnięciu takiego rezultatu, zostaje artysta tym „objawicielem prawd niezmiennych“ (*initiateur aux vérités permanentes*), według własnego określenia Carriera. Określenie to, nieco pretensjonalnie brzmiące i samo w sobie niezbyt jasne, w zastosowaniu do tego artysty zyskuje na znaczeniu, staje się zrozumiałem. Carrière jest rzeczywiście „objawicielem“ przez to, iż wskazuje nam piękno i poezję tam, gdzie ich zazwyczaj nie dostrzegamy. Zwykła, nawet pospolita scena z codziennego życia rodziny, widziana przez pryzmat jego uczucia, nabiera niespodziewanego uroku poezyi, wydaje się szczególnie wzruszającą.

Takiemi są wszystkie jego kompozycje na temat macierzyństwa. Czy mają wyrażać wesołość i radość, czy troskę i ból, lub miłość matki do dziecka, uczucia te potęgują się w nich i zarazem uogólniają, postacie ludzkie uduchowiają się do tego stopnia, iż w oczach patrzącego tracą niemal materialne kształty, zamieniając się w czyste stany duszy.

Ta matka, składająca pocałunek na czole swojego dziecka, pomimo doskonałego podobieństwa do żony artysty, nie jest jednak panią Carrière, całującą swoje dziecko, ale siłą jego geniuszu, zamienia się w symbol wspólnego całemu rodzajowi, odwiecznego uczucia miłości macierzyńskiej.

Ten sam charakter, naturalnie-symboliczny, przedstawiają wszystkie jego dzieła bez wyjątku, czy to w kompozycjach na tle życia rodzinnego, o których powyżej wspomnieliśmy, czy też zaczerpniętych z życia publicznego, czy w pejzażach i obrazach dekoracyjnych. Symbolizm jego jest naturalnym, gdyż obywa się bez wszelkich form konwencyonalnych, w których przywykliśmy widzieć symbol.

U niego symbol wyraża się za pośrednictwem transpozycji świata materialnego do duchowego, która jest jego tajemnicą, przyczem doskonałość formy materialnej służy mu do osiągnięcia w wyższym stopniu wyrazu ducha.

W portrecie okazał Carrière wyjątkową przenikliwość psychologa. Zawsze wierny swej metodzie syntetycznej, chwytą główny rys, charakteryzujący duchową istotę portretowanej osoby, z pominięciem innych, wydobywa go na jaw i podnosi do potęgi, nadając mu przez to nadzwyczajną siłę wyrazu. Chce on przytem i umie wynaleźć w naturze modelu to, co w niej jest wyższem, niepospolitem, co go wyróżnia i uszlachetnia.

Prócz portretów własnych, swej żony i swej rodziny, które są prawdziwymi arcydziełami, Carrière malował wiele najwybitniejszych współczesnych sobie osobistości.

Z kolei wyszły z pod jego pędzla portrety Edmunda de Goncourt, Alfonsa Daudeta, Rodina, Gabryela Séailles z córką, Jana Dolent z córką, H. Rocheforta, Anatola France, Puvisa de Chavannes i wielu innych. Ze zbiorowych, najwięcej znanym jest portret jego własnej rodziny, znajdujący się w muzeum Luksemburskiem.

Wszystkie te portrety odznaczają się temi samemi zaletami uduchowienia, ale do szczytu pod tym względem doszedł artysta w portrecie Verlaina, dając, pomimo brzydoty i nawet powierzchownej pospolitości jego rysów, zdumiewająco piękny wizerunek niezwykle subtelnej duszy poety.

Z równem mistrzostwem potrafił też oddać w portretach kobiecych właściwości skomplikowanej i wrażliwej natury niewieściej: jej wdzięk, zdolność do poświęceń, powagę i godność matki rodu.

Przy takim pojęciu portretu, jako obrazu strony duchowej człowieka, nie dziw, iż oczom przypadła w nich pierwszorzędną rolę. W ich spojrzeniu widzimy, odczuwamy przebłytki myśli nieśmiertelnej, która zdaje się płynąć z nieznanych głębin prabytu do niezbadanych sfer przyszłych przeznaczeń.

Ręce, które traktował ze szczególnem zamiłowaniem, mają też u niego bardzo wiele znaczenia. We wszystkich jego obrazach zauważyć można, jak skutecznie dopomagają do wyrażenia uczuć niezmiernie subtelnie odczute ich kształty i ruchy.

Zarówno z wyrażonych przezeń myśli, jak i z charakteru jego twórczości artystycznej widocznem jest, iż Carrière posiadał temperament w wysokim stopniu uczuciowy, skłaniający się do mistycyzmu.

Wskutek zapewne wychowania w nieznanym zasad wiary, nie był on wyznawcą żadnej z istniejących religij, ale naturalna skłonność, w braku wiary w prawdy objawione, zmusiła go do stworzenia religii własnej.

Jak to już mieliśmy sposobność spostrzedz powyżej, uwielbienie Carrièra dla wszelkich objawów natury doprowadziło go do panteistycznej koncepcji bóstwa przyrody. Ale sam kult przyrody nie wystarczał mu. Wiedziony instynktem swej uczuciowości znalazł dopełnienie jego braków w chrześcijańskim ideale miłości bliźniego. Poświęcenie, jako wynik tej bezinteresownej miłości, jej forma heroiczna, musiało wywierać szczególny urok na jego wrażliwą wyobraźnię.

Pod wpływem takiego nastroju podjął Carrière temat najwyższej Ofiary na szczycie Golgoty.

Jedyny jego obraz tej treści znajduje się obecnie w muzeum Luksemburskiem.

Kompozycya tego obrazu jest nader prostą: pośrodku płótna krzyż z wiszącym na nim martwym Ciałem Odkupiciela, u stóp jego, znikającym w pomrokach tła, sylweta Maryi pochyła zbolącą głowę.

Brak wszelkich akcesoryj, skupienie światła na torsie i głowie Ukrzyżowanego, zwieszanej na piersi z wyrazem nieograniczonego cierpienia i zarazem całkowitego dobrowolnego zaparcia się siebie, daje tej nadludzkiej scenie uderzający charakter wizyi

spolegowanej niezwykłą głębią włożonego w nią przez artystę uczucia.

To też śmiało rzec można, iż dzieło to nie wiele ma równych sobie pod względem natchnienia wśród największych arcydzieł sztuki chrześcijańskiej.

Idąc konsekwentnie coraz dalej w swej metodzie pomijania wszystkiego, co nie stanowi samej treści życia, Carrière powoli pozbywa się efektów barwnych i dochodzi pod koniec do prawie całkowitego ich usunięcia. Używał on wprawdzie w swej paletce całej gamy kolorów, ale po to jedynie, aby z ich kombinacyj wydobyć tę skalę przezroczystych ciepło-szarych tonów, którymi wyłącznie się posługiwał.

Jego bezwzględni wielbiciele chcą w nim widzieć wielkiego kolorystę, na tym jednak punkcie trudno się z nimi zgodzić, nie można bowiem określić szczególną nazwą kolorysty tego, który efekt barwny sprowadził do najprostszego wyrazu. To zresztą bynajmniej artystycznemu honorowi Carrièra nie uwłacza. Niewątpliwie, dla otrzymania tak subtelnych tonów i posługiwania się nimi z takim skutkiem, trzeba doskonale kolor odczuwać; jeżeli tedy Carrière się go wyrzeka, to czyni to z całą świadomością i przekonaniem, stosując się w tem do wymagań swego temperamentu.

Na wstępie powiedzieliśmy, że pomiędzy dziełem Carrièra i produkcją sztuki wogóle niema prawie żadnego związku. Odnosnie do malarstwa jest to ściśle, chociaż i tu zrobić trzeba pewne zastrzeżenia. W tem, co się tyczy li tylko strony technicznej, Carrière wychodzi z zasad ogólnych i tradycyjnych. Sam często o tem mówił, jak wiele skorzystał ze studyów nad La Tourem, Turnerem, a szczególnie nad Rubensem.

Ale studyować, nie znaczy naśladować. Dokładne poznanie dzieła tautych, zbadanie, na czem polega ich oryginalność, dopomogło mu tylko do wyrażenia własnej oryginalności. Wśród współczesnych już i inni przed nim wydobywali nastroje z tonów szarych i mglistych, np. Puvis de Chavannes, ale pokrewieństwo sztuki Carrièra z wszelkimi wogóle kierunkami w malarstwie jest bardzo odległym.

Zauważyliśmy już, że technika Carrièra przypomina technikę rzeźbiarza, i w samej rzeczy, dzieło jego najwięcej ma analogii z rzeźbą, wprawdzie nie z rzeźbą zwyczajną, ale z tą wyjątkową, której twórcą jest August Rodin. Obaj ci artyści, obdarzeni równie genialnymi przymiotami, ożywieni jednakową wiarą, wychodzą z tego samego założenia syntezy.

W rzeźbach Rodina poznajemy odrazu tę samą metodę wydatniania rysów najgłówniejszych z pominięciem szczegółów. Pomimo twardości materiału, z którego są wykonane jego figury, w złagodzeniu i pewnem niedokończeniu form, daje się odczuwać otaczająca je atmosfera, ich uduchowienie; nieokrzesa surowość odłamów skał, z których one wyrastają, przypomina o ich ścisłym związku z całością przyrody.

Mimo tylu cech wspólnych, nie może tu jednak być mowy ani z jednej, ani z drugiej strony, o naśladownictwie, tem bardziej, że twórczość obu mistrzów znajduje wyraz w dwóch odrębnych gałęziach sztuki. Obaj są oni całkowicie oryginalni.

Można nie mieć pojęcia do manieri Carriera, która jest wynikiem jego organizacyi psychicznej—kwestya to osobistego upodobania i odczuwania—ale niepodobna nie ocenić nadzwyczajnych zalet jego dzieła; niepodobna nie uznać w nim odkrywcy nowych, niedostępnych dotąd dla sztuki światów, do których geniusz jego otworzył jej drogę.

To wystarcza, aby potomność przyznała mu miejsce w rzędzie tych wyjątkowo obdarzonych jednostek, które siłą swego genialnego indywidualizmu znaczą zwrotne punkty w dziejach rozwoju sztuki.

*

*

*

Jednem z humanitarnych marzeń Carriera i jego przyjaciół było ustanowienie na wzór starożytnych, stale i peryodycznie powtarzających się, wielkich świąt ludowych—„Świąt ludzkich“ (Fêtes Humaines), które prócz dostarczenia szlachetnej i kształcącej rozrywki, miałyby zadanie umoralniające, cywilizacyjne i społeczne, oddziaływałyby przeciw rozprasaniu się i zgubnemu osamotnieniu jednostki przez przyzwyczajenie mas ludowych do gromadzenia się w chwilach wypoczynku i łączenia się w wspólnej myśli, w wspólnie doznanych wrażeniach.

Ze zgromadzeń takich polityka i wszystko, co ludzi różni, byłoby wyłączone, a organizacya zabaw — powierzona artystom i poetom, na których, jako na prawdziwych świąt tych celebretach, spoczywać miał obowiązek rozpowszechniania kultu piękna.

W tym celu związany komitet z Carrièrem na czele, poczynił u władz i narodu pewne kroki, które atoli pozostały bez rezultatu.

Jeżeli jednak „Święta ludzkie“ nie przysły do skutku, to za to, pod wpływem tych szczytnych, a niestety w naszych czasach prawie nieziszczalnych marzeń, powstała jedna z większych kompozycji dekoracyjnych Carrièra „Teatr ludowy“ (Théâtre populaire). Dzieło to posiada w wysokim stopniu te zalety, które zawsze Carrièra charakteryzują, t. j. że przy pomocy środków plastycznych, jakimi rozporządza jego technika, wywołuje wrażenie czysto duchowe, daje psychologię tego tłumu, którego dusza, uśpiona zwyczajnie przy monotonnej, najczęściej bezmyślnej, codziennej pracy, w której nie bierze udziału, tutaj, porwana niezwykłością przedstawienia, wytrącona z toru, włączającego ją w szablon życiowy, zbudzona przebłyskiem ideału, do którego bezwiednie tęskni — ujawnia się, wydobywa na wierzch, unosi się po nad tłumem, maluje się na zmienionych wzruszeniem twarzach, świta w blasku wyteżonych oczu... Bo ten tłum bardzo się różni od publiczności, wypełniającej zwykle wspaniałe sale teatrów. gdzie na znużonych twarzach odbija się przeważnie obojętność, skutek przesytu i nadmiaru krytycyzmu, odbierającego prawie zdolność wzruszenia.

Ten tłum, zebrany w teatrze ludowym, na krytyce się nie rozumie, ale za to odczuwa z siłą, jaką dać może tylko naiwność prostego umysłu i serca. Wartość sztuki mało ma tu znaczenie; ukazanie życia w jego wyższych, szlachetniejszych objawach wystarcza dla skierowania myśli i ducha widzów ku sferom podnioslejszym. Niedoskonłość formy, brak artyzmu w interpretacji — to rzecz drugorzędna. Braki te dopełni i zastąpi szczere wzruszenie, które, jak fala magnetyczna, wstrząsa i przenika zgromadzonych.

Ten tłum, który Carrière ukazuje nam w swym „Teatrze ludowym“, choć najzupełniej współczesny i nowożytny, przez te swoje właściwości ogólnoludzkie, przez prostotę swą i szczeroność uczuć, mimowolnie przywodzi na myśl entuzjastyczny lud ateński, który niegdyś, w starożytnym teatrze, pod wpływem podobnych wrażeń i takiegoż uniesienia, oklaskiwał arcydzieła Eschylosa i Sofoklesa, nie przeczuwając zapewne, iż przetrwają one wieki i, mimo różnicy ras i języków, nie utracą swego uroku i znaczenia.

Już to charakterystyczną cechą geniuszu jest, iż nie ulega zniszczeniu czasu, ani, szczególnie w znaczeniu moralnem, gdyż

oddziaływa wiecznie na ducha i umysł ludzki, ani nawet w znaczeniu materialnem, gdyż najdawniejsze arcydzieła sztuki, czy poezyi doszły do nas, jeżeli nie w całości, to przynajmniej w takiej części, że to nam pozwala ocenić ich wartość.

Dzięki temu to dozwolonem nam jest dziś jeszcze podziwiać genialną twórczość tych wielkich autorów tragedyi greckiej, których, zgodnie z zasadą Carriera powszechności ducha ludzkiego, nie bez słusznej dumy uważać możemy za swoich.

*

*

*

Komedyja Francuska, do której tradycyjnych obowiązków należy między innymi zapoznawanie publiczności z repertuarem starożytnego teatru, wystawia od czasu do czasu adaptacje, przeróbki, lub naśladownictwa tragedyi greckiej.

Począwszy od Racine'a i Corneille'a, których dzieła na ten temat są nadto indywidualne, aby je zaliczyć do tej kategorii, takich przeróbek poczyniono we Francyi bardzo dużo, za dużo, gdy się zważy, że utwory te nie dają dokładnego wyobrażenia o oryginałach, są jedynie inspirowane fabułą swych wzorów, którą naśladowcy posługują się wedle własnej fantazyi, nie licząc się wcale, albo bardzo mało, z ich duchem.

Z ostatnich prób tego rodzaju do najlepszych zaliczyć należy granaą tej zimy na scenie Komedyi Francuskiej adaptację tragedyi Sofoklesa „Elektra,“ dopełnioną przez p. Poizat.

Wielką zasługą p. Poizat jest, iż nie szukając sławy autorskiej, trzymał się najściślej oryginału. Jego adaptacja polega jedynie na skróceniu zbyt przedłużających akcję ustępów i na przystosowaniu jej do obecnych warunków scenicznych, z pozostawieniem bez zmiany treści, kompozycyi i ducha oryginalnego utworu.

I w samej rzeczy, jedynie tak pojęta adaptacja ma właściwą wartość, wszelkie bowiem hańdowanie na kanwie starożytnej, przerabianie tych genialnych pierwowzorów dramatu na modłę obecną, zmienia ich prawdziwy charakter, daje o nich pojęcie błędne, jednym słowem najzupełniej chybia celu.

Tłómaczenie p. Poizat jest wiernem i poprawnem, wiersz trochę suchy, ale nie pozbawiony piękności formy i dobrze brzmiący.

Zachodzi teraz kwestya, czy wystawianie w naszych czasach i warunkach starożytnej tragedyi ma wogóle racyę bytu?

Na tym punkcie zdania są podzielone. Są głosy przeciw, z których jedne opierają się na twierdzeniu, że równie nasze pojęcia etyczne, wyrobione na podstawach moralności chrześcijańskiej, jak i kierunek naszej umysłowości, więcej złożonej, tak się różnią od pojęć starożytnych, że utwory ich są już dla nas martwą literą, mają li tylko znaczenie historyczne, nie są więc w stanie ani nas zająć, ani udzielić nam tych wrażeń, których w swoim czasie doznawać mogło zebrane w ateńskim teatrze audytorjum. Według innych, ażeby ocenić te arcydzieła, trzeba by je widzieć grane w oryginalu, bez żadnej zmiany i w tych samych warunkach scenicznych, w jakich je niegdyś przedstawiano w Grecyi, przedstawianie ich zaś tak, jak to czyni Komedia Francuska, jest tylko parodią, przynoszącą ujmę ich wielkości.

Czy w opiniach tych jest słusność, postaramy się o tem przekonać. Co do ostatniej, to zbyt widoczną jest w niej przesada, aby potrzeba było ją dyskutować.

W pierwszej argumenty wydają się na pozór racjonalniejsze.

Dla przekonania się o ich wartości i wyrobienia sobie w tej kwestyi sądu własnego, zajrzyjmy sami do starożytnego teatru, wybierając w tym celu „Elektrę“ Sofoklesa, która dała nam sposobność zajęcia się tym przedmiotem.

Wyżej przytoczone argumenty znaleźć mogą zapewne uzasadnienie, o ile idzie o Eschylosa, którego dzieła, jako pierwszego rzeczywistego twórcy sztuki dramatycznej, aczkolwiek genialne, są jeszcze bardzo surowe, mają w sobie coś barbarzyńskiego, prymitywnością formy przypominają te cyklopowe z grubu ociosane glazy, w których tkwi zaczątek tak świetnej w następstwie rzeźby greckiej. Akcja u niego jest jeszcze bardzo niewyraźną, a jedynym jej motywem—ślepe, okrutne, nienbłagane przeznaczenie, które rządzi wszechwładnie losami ludzi, a nawet bogów.

Inaczej rzecz się ma z Sofoklosem. Ten, mając sobie utoronaną drogę przez wielkiego poprzednika, posunął się po niej bardzo daleko. Jego tragedia wydobywa się już z mroków cudowności, rozwija się swobodnie, przybiera wyraźne kształty, uwalnia się od nieustannej osobistej interwencji bogów, staje się ludzką.

Przeznaczenie jest wprawdzie i u niego zawsze jeszcze czynnikiem rozstrzygającym, ale działa już za pośrednictwem namiętności ludzkich i uwidocznia się tylko w skutkach, do których one prowadzą.

Tragedye Sofoklesa, to już nie utwory naiwne bezwiednego geniuszu, to kompozycye, zbudowane z całą świadomością i znajomością sztuki, przedstawiające logiczną całość. Akcya ich jest też żywszą, więcej urozmaiconą. Namiętności ludzkie malują się w nich silnemi barwami, co więcej, zarysowują się charaktery bohaterów. Oprócz walki tych instynktownych namiętności z przeznaczeniem, wchodzi tu już w grę rozumowe poczucie obowiązku. Akt zemsty Oresta nie jest jedynie skutkiem ślepej nienawiści, lub interesu, ale wynika również, i to przedewszystkiem, z ówczesnego pojęcia obowiązku względem cieniów zabitego ojca.

W żalach i wywodach Elektry, najzupełniej bezinteresownych, to poczucie religijnego obowiązku, gra rolę główną, wypowiada się najwyraźniej, zwłaszcza w scenie z Chryzotemis.

Toż samo w słowach opiekuna i samego Oresta.

W Elektrze rozwój akcji, chociaż powolny, jest niemniej ścisły i logiczny, sceny i sytuacje, wybornie skomponowane, stanowiłyby mogły bardzo zajmującą intrygę w znaczeniu dzisiejszem, gdyby nie były, stosownie do reguły, z góry zapowiedziane.

Jak wiadomo, treść tej tragedyi stanowi zużytkowana już przez Eschileasa historia Oresta ¹⁾, syna Agamemnona, zamordowanego przez własną żonę, Klitemnestrę, i jej kochanka, Egista, a raczej historia zemsty, dokonanej przezeń na zabójcach ojca. Główną jednak rolę ma tu siostra Oresta, Elektra, która wypełnia sobą całą sztukę, jest osią, około której obraca się cała akcya. Postać jej jest też zupełnie jasno scharakteryzowaną.

Nie będąc ani współczesnym Sofoklesowi Hellenem, ani wyjątkowo uprzywilejowanym znawcą świata starożytnego, każdy ocenić jest w stanie rysy charakteru tej tragicznej bohaterki, jej siłę woli, męstwo, dumę, a zarazem zawarte w jej duszy skarby uczuciowości. Zupełnie zrozumiałą i wzruszającą jest ta nieograniczona miłość córki do utraconego w zdradzieckiej zasadzce ojca, miłość, której ani czas, ani gwałt i prześladowanie ostudzić nie mogą. Z większą jeszcze siłą objawia się jej przywiązanie do młodszego brata, Oresta, którego małym dzieckiem uratowała od czyhających nań morderców ojca. Wyraża się ono szczególnie w przepięknej scenie, w której Elektra, tuląc w objęciach urnę, zawierającą w jej przypuszczeniu popioły Oresta, przemawia do niej najczulszemi słowy w obecności niepoznanego przez nią brata.

¹⁾ Ten sam motyw posłużył później Eurypidesowi.

Podobne też uczucie ujawnia się w jej stosunku do siostry Chryzotemis, pomimo, iż dla tej ostatniej jest Elektra chwilami bardzo surową, a nawet bezwzględną i niesprawiedliwą—wyrzuca jej słabość, opuszczenie obowiązku, nieledwie zdradę, którą jakoby popełnia Chryzotemis względem pamięci ojca-bohatera, aby korzystać z łaski jego okrutnych i nieczemnych zabójców.

Ona, Elektra, obowiązku tego nie zapomina ani na chwilę, oczy jej nie przestają wylewać potoków łez, myśl — snuć planów zemsty. Woli łądę w więzieniu, niżeli przepych pałacu i sutą zastawę przy stole tych, którym winna nienawiść i pogardę. Dniem i nocą oczekuje też mściciela wybawcy. Gdy więc ukazano go jej pod postacią garstki popiołu, żal okrutny popycha ją do rozpaczliwego postanowienia, by uzbroić słabą dłoń dziewczęcą i samej dokonać strasznego czynu kaźni, którego przeznaczenie nie dozwoliło wykonać jej bratu. Chryzotemis nie ma tego hartu duszy Elektry i mimo jej wezwania, nie czuje się na siłach do współdziałania w zadaniu, w którego możliwość zresztą nie wierzy — odmawia siostrze i zaklina ją, aby zamiechała zamiaru, który narazić ją musi na pewną zgubę.

W tych dwóch siostrach widzimy bardzo szczęśliwe zestawienie dwu różnych charakterów i temperamentów.

Gdy szlachetności Elektry towarzyszy gwałtowność i bezwzględność, słaba Chryzotemis, nie pozbawiona jednak bynajmniej uczuć szlachetnych, odznacza się prawdziwie niewieścim wdziękiem i słodyczą.

Postaci zbrodniczej żony i wyrodnej matki, Klitemnestry, nadał autor cechy wyniosłej złościwości i hipokryzyi, która przebija w wyrzutach, czynionych Elektrze, w usprawiedliwianiu się z popełnionej zbrodni, wreszcie w ofiarach składanych cieniom Agamemnona, przy pomocy których chce go oszukać, aby nie dręczył jej we snach, a bardziej jeszcze w modłach do Apollina, by przy jego pomocy zapewnić sobie bezkarność.

Pomimo wszystko, uczucia macierzyńskie nie wygasły w niej zupełnie. Stąd pochodzi pewna pobłażliwość, z jaką pozwala Elektrze oskarżać siebie, stąd też pierwszym uczuciem, którego doznaje na wiadomość o zgonie Oresta, jest żal. Jakże głębokiem i trafnem jest jej określenie łączącego matkę z dzieckiem nierozzerwalnego związku, którego siła jest tak wielką, iż cios zadany synowi odzywa się strasznym bólem we wnętrzościach matki.

Klitemnestra, to także bardzo dobrze naszkicowany obraz zbrodniarki, dręczonej przeczecuciami i zgryzotami, które uosabiają jej córki, a zwłaszcza Elektra; żyjącej w nieustannym strachu przed

zasłużoną karę, której groźbą jest dla niej istnienie Oresta. To też, pomimo bólu, którego, jako matka, doznać musiała, wiadomość o jego śmierci sprawia jej niezmierną ulgę, która przechodzi wkrótce w szaloną radość.

W zmyślonej przez starego opiekuna opowieści o wypadkowej śmierci Oresta, która sama w sobie jest świętym ustępem epickim, znajdujemy główne rysy tej postaci bohatera. W scenie z urną, gdy ten ostatni wyjawia Elektrze swą tożsamość, prócz wzajemnego ich przywiązania i uczuć wdzięczności dla oddanego im opiekuna, uwidatnia się podobieństwo ich charakterów: także u Oresta poczucie obowiązku, w imię którego nie waha się, wprawdzie pod osłoną rozkazu Apollina, posunąć się aż do najokropniejszej zbrodni — matkobójstwa.

A ten opiekun wierny, dzielny, oddany synowi swego pana, któremu służy mądrą i doświadczoną radą, czyż to nie typ bardzo prawdziwy?

Elektra, Chryzotemis, Klitemnestra, Orest i opiekun — oto postacie działające w tej tragedyi, które starożytny autor uwidatnił z wypukłością rzeźby, dając każdej z nich cechy indywidualne. Co do Egista, to wiemy o nim od Elektry i od chóru, iż jest znieawidzonym tyranem, ale na scenie zjawia się on tylko po to, aby ponieść karę za swę zbrodnię. Pylades, towarzyszący Orestowi, jest postacią miłą, chór zaś dziewięć, prócz swej roli objaśniania akcyi, ma też znaczenie, jako wyraz opinii ludu, sympatyzującej ze słuszną sprawą potomstwa Agamemnona, ale odzywającej się nieśmiało i ostrożnie z obawy przed zemstą tyrana.

Jak powiedzieliśmy wyżej, akcyja tej tragedyi jest nader zwięźle przeprowadzoną, sceny są rozmyślnie tak rozmieszczone, aby wydobyć z nich pożądaną efekt, aby, przez odpowiednie zestawienie występujących osób, zaznaczyć ich kontrasty, podkreślić właściwości charakteru i temperamentu każdej z nich. W ten sposób kombinują się następujące po sobie sceny Elektry z Chryzotemis i Klitemnestry z Elektrą. Prawdziwie dramatycznym nastrojem odznacza się następna, już więcej złożona, scena, gdy, po ofierze Klitemnestry u stóp statuy Apollina, przybywa niepoznany od nikogo opiekun Oresta, aby donieść zmyśloną wiadomość o jego śmierci, która tak różne wrażenie sprawiła na matkę i córkę. O piękności patetycznej sceny z urną mówiliśmy już przedtem — obecność Oresta przy żalu Elektry jest tu niepospolitym efektem dramatycznym.

Dowód wysokiego poczucia taktu, gustu i delikatności dał Sofokles, czyniąc niewidzialną okrutną scenę zabójstwa Klitemnestry i wydobył ściśle wyrafinowany efekt w ostatniej scenie, gdy Egist, spodziewając się ujrzeć pod zasłoną trupa Oresta, spostrzeżga z przerażeniem, po jej odstąpieniu, zwłoki swej małżonki.

Sądźmy, iż ten krótki rozbiór „Elektry“ wystarczy, aby przekonać się, iż tragedia starożytna, a szczególnie tragedia Sofoklesa, jako prawdziwie ludzka, jest dla nas najzupełniej dostępną i zrozumiałą, uczucia bowiem, namiętności i wogóle cechy, charakteryzujące jego bohaterów, nie są zależne ani od czasu, ani od miejsca, ani od różnic rasy i kultury, są niezienne, od natury ludzkiej nieodłączne, bez względu na wszelkie zmiany zewnętrzne.

Żadna kultura, żadna religia zasadniczej zmiany w istocie natury ludzkiej nie dokonała i dokonać nie może. Moralność chrześcijańska, stawiając miłość, jako najwyższe prawo, uczyniła najwięcej dla okiełznania zwierzęcych instynktów człowieka, dla złagodzenia obyczajów, dla wyzwolenia i podniesienia ku wyższym ideałom ducha ludzkiego, ale w gruncie rzeczy zasadniczych, wrodzonych pojęć moralnych nie zmieniła.

I rzeczywiście, co było enotą dla starożytnych, z nielicznymi wyjątkami pozostało nią i dla nas.

W Elektrze razi nasze pojęcia etyczne, właściwie tylko obowiązek krwawej zemsty, tembardziej, że tej zemsty dokonać mają dzieci na własnej matce, ale rozróżnić tu trzeba zrozumienie obowiązku od samej jego zasady — gdy nie możemy zgodzić się na obowiązek zemsty, to za to najzupełniej rozumiemy i cenimy poczucie obowiązku, jako obowiązku, nie wchodząc bliżej w jego naturę. Nie trzeba przytem zapominać, iż w Elektrze zachodzi szczególnie tragiczna komplikacja, z której wynika, że w danym wypadku obowiązek jest zbrodnią, a zbrodnia obowiązkiem i tu widzimy straszny wyrok przeznaczenia, skazujący na zagładę nieszczęsny ród Atrydów.

Ale to przeznaczenie, jak już zauważyliśmy, nie jest siłą, działającą z zewnątrz, lecz objawia się w fatalnych namiętnościach członków tego rodu, które ich popychają do zbrodni i wzajemnego wyniszczenia się.

Dla nas łatwo się ono tłumaczy skutkami, jakie pociąga za sobą wszelki czyn niemoralny, wszelka zbrodnia. Zresztą przy nowoczesnych teoriach determinizmu i dziedziczności, według których wola człowieka jest ograniczoną niezależnymi od niej czyn-

nikami, ta wiara starożytnych w przeznaczenie staje się tem bardziej umysłowości naszej dostępną.

Po wszystkim tedy, cośmy tu o właściwościach starożytnej tragedyi powiedzieli, zdaje się nie ulegać wątpliwości, iż wystawianie w naszych współczesnych teatrach arcydzieł greckich autorów jest uzasadnionem i pożytecznem, z tem jednak zastrzeżeniem, aby tłumaczenia i adaptacye, możliwie najwierniej trzymając się oryginału, nie wynaturzały go przez dodatki, upiększenia, lub naginanie do form nowoczesnego dramatu.

Pod tym względem adaptacya p. Poizat, który dołożył wszelkich starań dla uwydatnienia zalet oryginału, służyć może za wzór.

Prócz kształcącego znaczenia podobnych przedstawień, dostarczają nam one niewystowionej rozkoszy, dając możność osobistego sprawdzenia w sposób więcej przemawiający i przekonujący, aniżeli czytanie tekstów, tej nieśmiertelnej jedności ducha ludzkiego, która pozwala nam teraz, po dwudziestu kilku wiekach, korzystać jeszcze z ówczesnych jego tworców; niepożytej jego potęgi, która, mimo takiego oddalenia, jest w stanie działać zawsze na nasze uczucia, nadawać kierunek naszej myśli i złączyć nas w niej z tymi, których jesteśmy duchowymi dziedzicami.

Komedia Francuska wystawiła „Elektrę“ nader starannie, artyści odegrali ją z pojęciem i przejęciem, zwłaszcza rolę tytułową (Elektry) odtworzyła pani Silvain z wielkim artyzmem i odczuciem, umiając, pomimo namiętnych wybuchów, zachować bardzo trudną do utrzymania, właściwą miarę.

KONRAD OSTROWSKI.

PISMIENICTWO.

ALEKSANDER BRUCKNER. *Dzieje języka polskiego*. Z 121 ilustracyami. Wydawnictwo Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych we Lwowie „Nauka i Sztuka.” Warszawa, E. Wende i S-ka.

Nie często w piśmiennictwie naszym zjawiają się książki, po których przeczytaniu sprawozdawca literacki może powiedzieć: oto jest dzieło, które powinno znaleźć się w każdej bibliotece prywatnej, które powinien wziąć do ręki każdy, kto czuje, myśli i mówi po polsku.

Do takich wyjątkowych książek należą niewątpliwie „Dzieje języka polskiego,” opracowane świeżo przez prof. Brucknera, a wydane w pięknej szacie przez lwowskie Towarzystwo nauczycieli szkół wyższych.

Książki takiej nie mieliśmy jeszcze, a była nam bardzo potrzebna, tem potrzebniejsza, że wiele zazwyczaj lubimy mówić o czystości i poprawności języka, a zbyt mało czynimy dla ich utrzymania.

W kwestyach etymologii i składni polskiej jesteśmy bardzo często zupełnymi ignorantami. Mówimy i piszemy, jak nam się zdaje, bez względu na to, że nieraz zdaje nam się źle. Stąd błędy w naszym języku utrwalają się i mnożą przerażająco szybko.

Kto kocha swój język i kto go rzeczywiście gruntownie posiada w całym zakresie jego bogactw nieprzebranych, ten, na mocy własnych doświadczeń, zebranych tylko w kole najbliższych sobie ludzi, stwierdzić może, jak źle, jak niedbale mówią i piszą u nas jednostki, nawet wykształcone. Niejedną też smutną pod tym względem uwagę mogliby wypowiedzieć redaktorowie czasopism polskich, gdyby zechcieli zwierzyć się kiedykolwiek ze wszystkich swoich kłopotów, jakie niejednokrotnie następuje im

przygotowanie rękopisów do druku. Zwłaszcza w dziennikarstwie język nasz terany jest i psuty niemiłosiernie, nie bacząc na to, że to samo dziennikarstwo, w poczuciu swoich obowiązków, szarpie często za dzwon alarmowy i nawołuje do większej zgody z duchem języka.

Niestety, nawoływania te nie odnoszą skutku. Czterdziestoletnie działanie szkoty rosyjskiej w Królestwie Polskiem, a z górą stuletnie wpływy języka niemieckiego na polszczyznę dwóch innych dzielnic—Galicyi i Poznańskiego—zrobiły swoje. Wrażliwość nasza stępiła, liczne chwasty wyrosły i rozkrzewiły się bujnie na zagonach naszej mowy i przestaliśmy w niejednym wypadku zdawać sobie sprawę z tego, co jest dobre, a co złe. „Puryści“ wpadają w przesadę i radziby usunąć z języka wszystko, co im, osobiście, wydaje się fałszywe i błędne; nie puryści— a tych jest olbrzymia większość—idą śmiało w las barbaryzmów i dziwotworów językowych, tracąc zupełnie świadomość swoich ciężkich grzechów, popełnianych na każdym kroku.

Tworzy się zamęt, chaos, wieża Babel—a nad tem unosi się czysty i nieskażony duch języka, w którym jest jedyny ratunek, ale którego znajomość jest wśród szerszego ogółu niedostateczna. Bo i gdzież miał się ogół z duchem tym spotkać? Wprawdzie wysłał go niewątpliwie z mlekiem matek, ale zatrzał go potem wpływami obcemi, nie krzepił go ani przez obcowanie z ludem, ani przez czytanie autorów złotego wieku, nie starał się go wyczuć ani w starej kolendzie, ani w odwiecznej pieśni kościelnej, ani go szukał po pergaminach pisanych i drukach pożółkłych. Nie badał przeszłości języka, nie zastanawiał się nad kolejami, przez które ten język przechodził, zanim osiągnął teraźniejszy stopień rozwoju, teraźniejszą giętkość i przepych.

A przecież słuszną jest rzeczą, aby każdy o tem wiedział, aby każdy znał rozwój swojego języka „od kiedy nim pisać zaczęto aż do dnia dzisiejszego.“

Tę słuszną uznał właśnie prof. Brückner i w jej imię przystąpił do opracowania popularnych dziejów języka polskiego. „Popularnych,“ to znaczy takich, które mógłby wziąć do ręki każdy człowiek inteligentny bez specjalnych studyów przygotowawczych.

Zamierzenie to zostało osiągnięte w sposób, który czyni z książki nie podręcznik, ale niezwykle zajmującą opowieść naukową, którą czyta się od pierwszej do ostatniej strony niemal z tchem zapartym. Hez tu rzeczy nowych, zupełnie nieznanych, wydobytych przez autora drogą jego mozolnych, benedyktyńskich studyów, ile poglądów ciekawych, jakie skarby do dziejów oby-

czajowości i kultury polskiej, które prof. Brückner zbadał i zna lepiej niż ktokolwiek, jakie bogactwo spostrzeżeń, uwag trafnych, śmiałych uogólnień, świetnych hipotez...

Jaki pierwotnie był nasz język, gdzie, kiedy i jak zaczęło nim pisać, co za wpływy nań działały, rodzime i obce, dodatnie i ujemne, ogólne i specjalne—oto pytania główne, na które czytelnik znajdzie wyczerpującą odpowiedź w pracy Brücknera.

Od czasów prasłowiańskich, od doby przedhistorycznej do wyodrębnienia języka polskiego prowadzi nas autor szlakiem bardzo ciekawych dla profana badań etymologicznych, porównawczych. Potem zatrzymuje nas na chwili przełomowej, którą wywołało w Polsce wprowadzenie chrześcijaństwa. Tu odrazu do języka wpłynął cały szereg nowych pojęć i urządzeń i język odrazu wzbogacił się licznemi, nowemi terminami. Jednocześnie zaczyna się powolne, z biegiem czasu coraz większe i silniejsze oddziaływanie łaciny, czeszczyzny i niemczczyzny. Trwa to przez okres czterowiekowy.

Ani sposób—mówi Brückner—wyliczyć co wtedy do języka się dostało. Nawet rodzime słowa pod tym wpływem przybrały nowe znaczenie. I tu znajdujemy szereg niezmiernie ciekawych zestawień, dociekań, wywodów, które w niepospolity sposób zajmą każdego i rozwiążą mu niejedną zagadkę. Tu z wyrazów opada ich strój i ukazują się nam one w pierwotnej swojej nagości, poznajemy ich pochodzenie, dowiadujemy się, iż to, cośmy mieli za rdzennie polskie, dyfundowało do nas z imnych języków i przeciwnie—to, co posądzałyśmy o pochodzenie obce, należy do nas, jest nasze rodzime, własne.

Ale język polski nie tylko karmił się wpływami obcemi, nie tylko nasiąkał niemi. Było w nim dość mocy i siły, aby sam oddziaływał na inne. Położenie Polski wskazywało jej najbliższe zadania: być pośrednikiem kultury zachodniej na północ i zachodnią północ, ku Prusom i ku Pomorzu. I oto język pruski, należący do grupy litewskiej, tak cały przesiąkł naleciałościami polskimi, nieraz przytem tak dobrze „spruszczeniemi,” że dopiero baczna uwaga wykazuje zapożyczenie. Na pasie pogranicznym nad Oszą i Drwecą, wpływy te musiały jeszcze silniej działać i pruszczyzna musiała tam jeszcze bardziej obfitować w podobne pożyczki. Ale wpływy te zmarnowano, poświęcając Niemcom Pomorze i Prusy i całą Słowiańszczyznę zachodnią. Zamiast ku zachodowi, zwróciła się wtedy polszczyzna ze zmianą frontu politycznego — na wschód, ku Rusi...

Ale idźmy dalej.

Jesteśmy w wieku XVI. Do tej pory nie było różnicy między językiem klas wykształconych, a ludowym, bo nie było języka piśmiennego, którego normy obowiązywałyby wszystkich, rozszczępionych pretensje do ogłady. Każdy pisał, jak mówił, a mówił, jak otoczenie, jak lud. Dopiero wiek XVI zrywa z tą jednolitością pierwotną, niekulturalną. Odgradza się wówczas język piśmienny, wykształcony, od niepiśmiennego, ludowego, grubego, chłopskiego. Pozbywa się on powoli słów przestarzałych swoich i obcych. Obce żywioły spływają, osiadają u dołu. Język klaruje się z fusów niemiecko-czeskich i pozostawia je sferom najniższym. Wytwarza się różnica między językiem szlacheckim a miejskim i gburskim. Wechodzimy w złoty okres języka i literatury. Humanizm i reformacya są tu czynnikami, budzącymi do życia twórczość narodową. Zjawia się Kochanowski i jednym rzutem podnosi poezję polską do wyżyn doskonałości. Za nim sumie cała plejada pierwszorzędných pisarzy, poetów i prozaików.

Wiek XVII staje się wiekiem spóźnionym poezji. Język poetycki do najwyższej dochodzi w nim rozumności, trafia najróżnorodniejsze tony — od głębokich żalów religijnych do gorzkich smutków patriotycznych, od dumnych peanów zwycięskich do ostrych wyrzutów prywaty, od namiętnej, lubieżnej pieśni miłosnej do narzekań znużonego coraz to nowymi ciosami serca ojcowskiego. Ale — wiek poezji kwitnącej staje się wiekiem morderczym dla prozy. Szkoła jezuicka krępuje ducha powijakami i łacina roztasowuje się ponownie. Język polski zamiera w literaturze politycznej, w mowach sejmowych i ustępuje miejsca makaronizmowi.

Analogicznie do upadku państwa, jego znaczenia, zamożności i kultury upada także coraz niżej literatura, a z nią język. Czasy saskie są dla niego zabójcze. Wystarczy przyjrzeć się książkom, które wychodziły z drukarni klasztornych częstochowskiej, jezuickiej, berdyczowskiej między latami 1740—1760, ażeby ocenić całą przepaść dzielącą literaturę, język, druki ówczesne od rzeczy o dwa wieki wcześniejszych.

Język ubożeje do szczytu. Nie umie nim nikt pisać, niema w nim co czytać. Nie dziw więc, że nowy nieprzyjaciel, że francuszczyzna ze wszystkich wypiera go pozycją. Już w połowie wieku XVIII grasuje coraz widoczniej *gallomania*, zastępując powoli wszechwładzę łaciny, lecz tym razem skutki są gorsze, bo i płeć piękna, co siebie i języka przeciw łacinie broniła skutecznie, przed francuszczyzną broń składa i jeszcze niepodzielniej jej się oddaje, niż mężczyźni sami.

Teraz kończy się dobroczynny wpływ, jaki przez cztery wieki, najbardziej zaś w okresie 1350—1550 kobiety na język i pielęgnowanie jego wywierały. Teraz przez cały wiek niemal właśnie one go zaniedbują zupełnie, pomiatają nim i pogardzają, spychają do przedpokojów i na ulicę. Od salonów i pań szerzą się gallicyzmy, nowa cudzoziemszczyzna.

Temu spustoszeniu opierają się mężczyźni, światli patryoci, znający cenę języka, bez którego narodowość niema się o co oprzeć skutecznie, szczególnie, jeśli tej narodowości grożą niebezpieczeństwa skądinąd.

Odrodzenie, reforma, przełom wyobrażeń, przygotowane działaniem Leszczyńskiego, Konarskiego, Załuskiego, Czartoryskich, a przeprowadzone za czasów Stanisława Augusta — odbijają się natychmiast na literaturze i języku. Nowi działacze, Bohomolec, Krasicki, Naruszewicz, Kopczyński, nawiązują do lepszych tradycji, wznawiają pamięć zapomnianej przez ogół literatury złotego wieku i dążą do wydzwignięcia myśli, smaku i mowy z ciemnicy Saskiej.

Epoka przeobrażeń i reform wywołuje obfitą literaturę, ciągle ściganie się zdań odbywa się teraz w języku narodowym, do łaciny już nikt nie wraca. Mosty spalone. Ale zaniedbanie długoletnie mści się i język zubożał, „zaświecony“ wyrazami łacińskimi. Gdy „makaranizowanie“ nareszcie z mody wyszło, należało zastępować terminy łacińskie nowotworami polskimi. Odbywa się to naprzód nieśmiało i ostrożnie. Pisarz do terminu łacińskiego dodaje w nawiasie ukuty przez siebie polski i czytelnik dzisiejszy, przyzwyczajony do słów, jakie uważa za najpospolitsze, widzi zdziwiony, jeżeli np. zajrzy do broszur z czasów Sejmu wielkiego, jak wtedy po raz pierwszy dla tych nowych potrzeb nowe słowa formowano.

Te czasy przyniosły nam również pierwsze gramatyki języka polskiego. Szereg ich zaczął wprawdzie jeszcze ex-Francuz, Statovius, r. 1568, siedemnasty wiek wiele ich widział również, ale to były gramatyki dla obcych. Swoi uczyli się języka wyłącznie z praktyki. Nowy system szkolny, oparty nie o język martwy, nie o łacinę, jak dawniej, lecz wyłącznie o język narodowy, wymagał podręczników tego języka, gramatyki jego. Tu ks. Kopczyński największe zdobywa zasługi, nawracając do czasów Zygmuntofskich, do pisowni druków Łazarzowych.

Z reformy ówczesnej język wyszedł ogładzony, wymuskany i wytresowany na podobieństwo francuskiego, ale nieco anemiczny.

Pseudoklasyczna literatura dobrego tonu i smaku utrzymywała go w zakłętym kole, dobrem dla języka martwego, ale zgnębniem dla żywego. Wystrzegano się wszelkich prowincjonalizmów, przy każdym zwrocie i słowie pytano, nie czy to *rozumieją*, lecz czy to *poprawnie*, czy tak pisał Trembecki i Krasicki, a raczej, czy piszą tak Osiński i Koźnian. I jak po literaturze Stanisławowskiej, obywatelskiej, o silnym rozmachu, pozostała bezkrwiwista, skarłała literatura pseudoklasyków, podobnie język Stanisławowski, w którym taki Trembecki np. pozwalał sobie najoryginalniejszych słów i form, skarłał szybko do poprawności salonowej w pierwszej ćwierci wieku XIX-go.

Na nowe tory popelnili go dopiero romantycy, których zachwałę pokusy przyjęto szydlerczo, strofujaco, wreszcie z oburzeniem. Proszono przecież Mickiewicza o przetłómaczenie „Sonetów krymskich“ na polski! Ale kpiny i drwiny nic nie pomogły. Literatura zbliżyła się do ludu, do ziemi, zesłała do życia codziennego, do źródeł gwarowych.

A teraz krok jeden już tylko do czasów dzisiejszych, do wspaniałego rozkwitu języka w najnowszej literaturze — do Sienkiewicza, Konopnickiej, Prusa, Żeromskiego, Reymonta...

Nie mogliśmy iść trop w trop za prof. Brücknerem, nie mogliśmy streszczać tu wszystkich jego wywodów, podawać za nim całej historii języka. Wytyczyliśmy tylko drogę, po której szedł autor, poważny uczony, niepospolity erudyta, olśniewający nas bogactwem swoich wiadomości, sumiennoscią i zakresem przeprowadzonych badań, rozważą w sądach, bystrością w spostrzeżeniach, przenikliwością w dociekaniach.

Strawiliśmy też czas niezwykle przyjemnie i pożytecznie, obeucjąc z tą książką, która jest jak skarbnica, przechowująca najdroższe dla nas pamiątki.

Nauczyliśmy się pamiątki te cenić. Wiemy skąd one pochodzą i ile są warte. A jest ich niemało i mogą one dumą napęlić każdego Polaka.

Dla czego? Bo „nasz język—mówi Brückner—nie jest tylko językiem dwudziestu milionów“—„Są między słowiańskimi języki, któremi mówi większa ilość ludzi. Ale te języki nie mają *tradycji* i ci, co niemi mówią, do własnej przeszłości nie mają się po co udawać, gdyż znajdą tam chyba to, coby ich odrażać mogło. U nas inaczej. My dziś jeszcze możemy śmiało pisarzy złotego okresu, czasów Zygmuntofskich, polecać tym, co język własny poznać, urozmaicić, odświeżyć zamierzają, gdy dla innych narodów te dawne wieki — to jedna puszcza i martwota.“

Kończę. Sądzę, że książka Brücknera przyczynić się powinna w ogromnym stopniu do „poznania, urozmaicenia i odświeżenia“ języka, który jest dziś jedyną puścizną, jakiej nam jeszcze nie wydarły zmienne losy koleje.

Szanujmyż tę puściznę i wytężmy wszystkie siły, aby ją przekazać nieuszczerploną naszym następcom, którzy może będą szczęśliwsi od nas. Mějmy też na widoku, że język należy nie tylko do literatury, ale razem z tą literaturą do całego narodu, że więc o jego czystość, bogactwo, barwę i wdzięk powinni dbać nie tylko pisarze wzorowi i twórcy wybitni, ale wszyscy, którzy mówią i piszą po polsku.

Z. D.

Kronika miesięczna.

Atak na Macierz. — Pierwszy rok Uniwersytetu Ludowego w Warszawie. —
X Zjazd lekarzy i przyrodników polskich.

Powrotna fala, która po wzburzonym okresie „wolnościowego ruchu“ niesie nowe wzmożenie się dawnych, znanych hasła w Rosyi, tem gwałtowniejszą jest i odmiętną bardziej, im mniej stałej spotyka siły oporu w opinii społeczeństwa, im większe to „martwe morze,“ po którym goni wicher.

Rewolucyjny, gwałtowny podmuch niósł fale w jednym kierunku, a niósł nie napotykając prawie przeszkód, aż spiętrzył je w dzikie, nieobliczalne wylewy. Nie było miary, nie było mocy tej, która daje panowanie nad sobą, zginął w porywie lud i burza była tylko chaosem żywiołów, które się musiały rozbić o jako tako zorganizowaną siłę. Rewolucya ta podległa była stokroć bardziej prawom instynktu, aniżeli prawom świadomej woli.

Temu samemu prawu podlega odruch przeciwny — reakcya, świadcząc nieubłaganie, że w olbrzymiem państwie mało jest pracy myśli, która by pobudowała podwaliny i oznaczyła jasne formy swym przekonaniom i pojęciom, że pragnienia mają tam jeszcze wielką dal stepów i morza.

A pragnieniom tym „morze po kolana.“

W takiej bezbrzeżności, która długo trwać może, gdyż jest istotnym stosunkiem wielkiej *przestrzeni pustej*, do nikłej jeszcze *sily twórczej* — panują na nieszczęście odruchowe prądy namiętności.

Wczoraj szumiął wicher rozpiętany przez Chrustalewów, dziś Dubrowiny rozigrały inną burzę... A rząd, jak Odysseusz, zdaje się niewidzieć, że wory z wichrami rozwiązano na jego własnym okręcie — gorzej, zdaje się sądzić, że wichry uderzą pomyślnie w żagle i nawę ku szczęśliwej stronie poniosą.

Wpływa na rząd reakcyą. Nie tyle zastanowienia, ile podnieconego uczucia. Reakcyą niebezpieczną, gdyż prowadzi może ku sądzeniu w namiętności. A sąd namiętny, jest ślepyim sądem.

Jak zaś niesprawiedliwym być może dla naszych prac i usiłowań polskich—nie szukać daleko dowodu—mamy go w artykule półurzędowego pisma wymierzonym przeciw Macierzy Szkolnej.

W numerze 509 „Rosyi“ zaatakowano Instytucyę naszą oświatową w szeregu zarzutów, na które dziennik petersburski żąda kategorycznej odpowiedzi od Polaków.

Nie zostały dłużnemi odpowiedzi tej pisma polskie. Zgodnie wystąpiła cała poważna opinia kraju, broniąc Macierzy przed oskarżeniem, którego niesłuszność wykazała dowodnie. Zarząd Instytucyi ze swej strony wystąpił do Komitetu prasowego w Petersburgu sprostowanie, zbijające fakta, które albo wprost miejsca nie miały, albo podane w zgoła odwrotnem oświetleniu zdawały się pomawiać Macierz o działalność, jakiej Instytucya ta nie uprawia i uprawiać nie myśli.

W ustawie Macierzy Szkolnej, na miejscu maczelnem, w zasadniczych pierwszych paragrafach powiedzianem jest, że Instytucya zajmuje się wyłącznie sprawą oświaty, usuwając z niej wszelką politykę. W okólniku, komentującym zasady swej działalności, a rozesłanym w czerwcu bieżącego roku przez Zarząd Macierzy wszystkim Okręgom i Kołom, powiedziano w końcowym ustępie wyraźnie: „... Szkołę naszą uczynić musimy prawdziwej wiedzy i pracy przybytkiem w każdym zakresie, poczynając od ludowego szkolnictwa, dążyć do jaknajwiększego umiłowania w duchu i jaknajwiększej sumienności w czynie — *zdala od niej utrzymać wszelkie obce wychowaniu wpływy, ochronić ją od politycznego swaru, partyjności i rozstroju* i wspólnemi siłami stać na straży tej wielkiej sprawy, w której Naród składa swe nadzieje w przyszłość dni lepszych“ (Okólnik za № 29 z czerwca 1907 r.).

Takim jest duch ustawy Macierzy i tak pojmują to wielkie, wspólne zadanie wszyscy, którzy w zgodzie z wypowiedzianem dążeniem na tej drodze, na drodze jasnej i jawnej, pragną zabiegać pracą i walczyć przekonaniem i czynem o rozwój oświaty Narodu.

Taką jest przeto i działalność ich, a nie inną w setkach Kół Macierzy i nie możemy zgodzić się tu na powątpiewanie, które wypowiada w jednym ze swych artykułów, broniących Macierzy, pan Ludwik Straszewicz w „Słowie.“ Przypuszcza on, że *większość*, a bodaj *znaczną mniejszość* szkół Macierzy uprawia politykę, wie-

rzy w to i tem przypuszczeniem zarzut czyni Instytucyi ciężki i krzywdzący, wręcz niezgodny zresztą, z faktycznym stanem rzeczy. Koła Macierzy nie uprawiają polityki innej, oprócz tej, która z samej zasady Instytucyi wypływa, a tą jest polityka *niepolitykowania* w sprawach szkoły.

Taką jedynie być winna polityka Macierzy, łącząca osoby różnych zapatrywań i wzywająca ich do wspólnej pracy. Gdyby było inaczej, nie pracowaliby ci ludzie dla Instytucyi, którą tak poważają i miłują.

Stwierdzając określony wyraźnie i uznawany zgodnie charakter zadań Macierzy, nie utrzymujemy oczywiście, aby nie mogły absolutnie zdarzać się jakieś wyjątkowe zбочenia od powszechnie obowiązującego kierunku naszej instytucyi kulturalnej. W rozległej pracy zbiorowej, zwłaszcza w jej początkach, niepodobna uniknąć zupełnie wszelkich rozdzźwięków. Nawet dziwnem byłoby, gdyby nie objawiały się one w czasach tak pełnych niepokoju, w chaosie przeobrażeń, w gorączce politycznego i społecznego życia. Mogą nie dość rozważne umysły nie zdawać sobie sprawy, że nie można równocześnie pracować dla dobra idei zgola odmiennemi sposobami; że kto stanął na stanowisku pracy jawnej i zorganizowanej w jakiejś dziedzinie, nie może tego samego uprawiać drogą tajną; że nie można głosić, iż wyłącza się politykę z pracy swej na danem polu, a równocześnie w innym gronie tę samą sprawę politycznie uprawiać — jednym słowem, że, według starego przysłowia, *dwóm bogom służyć nie wolno*. Ale o stosowaniu takiej dwustronnej metody działania przez „większość“ czy przez „znaczną mniejszość“ szkół Macierzy chyba nie może być mowy.

Nie znaczy to, aby w Instytucyi pracować mieli i działać wyłącznie ludzie *bezpartyjni*. Bynajmniej. Byłoby to nonsensem i przeczyłoby przyjętej zasadzie, która każdemu otwiera pole pracy w Macierzy, byleby... nie szczepił w szkole polityki, to jest przyjmuje każdego i przygarnia, ale równocześnie *nakłada w zasadach swych pewne obowiązki*, które sumienie każdego odczuć powinno. Kto więc pragnie działać inaczej, kto chce rzucić w szkolną dziedzinę hasła polityczne, partyjne zalecenia, czy nakazy jakiejś nieujawnionej grupy — ten niech wie i czuje, że wybiera drogę inną, może w myśli jego i sumieniu właściwą i dobrą, ale w *sumieniu Macierzy niedobłą i niewłaściwą*. A wówczas nie godzi się tych dwóch dróg i tych dwóch sumień łączyć i ani to szczęśliwem jest, ani słusznem, gdyż prędzej czy później je-

dną dyrektywa musi gdzieś drugiej zawadzać i przeciwieć się zgotą, a wówczas któraż rozstrzyga?

Trzeba sobie powiedzieć stanowczo: wybieram tę lub ową drogę i pójść jedną z nich, przyjmując wszelkie rezultaty i wszelkie odpowiedzialności, a nie trwać w zgubnem półświecie, które odpowiedzialności te rozkłada bez rozrachunku i niesłusznie obarcza niemi instytucję publiczną. Wtedy, odpierając oskarżenia rzucane przeciw tej instytucji, będzie można nietylko wytknąć im nieściśłość lub wykazać brak podstawy, ale i dowieść tendencyi fałszywej, niejasność zaś któraby otaczała działalność jednostek, mogłaby nieraz ubocznie rzucać swój cień na niezależną od niej ogólną, zasadniczą sprawę.

Byliśmy od początku w piśmie naszym przeciwni zasadzie i metodzie strejku i bojkotu szkolnego i bodaj odosobnieni broniliśmy tego naszego zapatrywania wówczas, gdy społeczeństwo całe, porwane wirem zdarzeń, dało się unieść hasłom, według naszego głębokiego przeświadczenia szkodliwym. Prawa, jakie dziś szkolnictwu polskiemu przyznano, nie tą zdobyte są drogą, a wierzymy, że i w zakładach rządowych więcej bodaj rozszerzonoby zakres polskiej nauki i polskiego wykładu, gdyby nie szkolne bojkoty. Nie cofać się od trudu i walki, ale inną drogą obierać pragnęliśmy. Stało się inaczej. Nie rozbieramy tu ani rozpatrujemy psychologicznie, dla czego społeczeństwo poszło całą siłą drogą, przed którą ostrzegaliśmy napróżno. Usprawiedliwić i zrozumieć można wiele; nieszczęście chce, że w działaniach, które pod naporem nagromadzonych uczuć zbiorowych gnają społeczeństwa niepoohamowanie, więcej przekonywują konsekwencye i życiowa prawda dni późniejszych, aniżeli najgorętsze przestrogi ludzi, którzy może te konsekwencye wcześniej przewidzieli.

Dziś atoli, podnosząc, co za słuszne uważamy, i zaznaczając, co jest istotnem w Macierzy Szkolnej, a co jedynie mylnym pozorem, tu i owdzie z działań niezrosłych z Macierzą zrodzonym, z pewnego daltonizmu politycznego tej lub owej może jednostki poczętem—najsilniej i najkategoryczniej wypowiedzieć pragniemy pod adresem oskarżycieli z „Rosyi,“ że zanim kto kamień podniesie, aby nim uderzyć, powinien wiedzieć, czy trafnie mierzy i w co godzi.

Godzić w Macierz, znaczy to chcieć zniszczyć instytucję, której my wszyscy Polacy bronimy. Zarzuty przeciwnika są bezzasadne. Rodzi się zatem przypuszczenie, że chce on zagłady instytucji dla tego jedynie, iż ta instytucja jest, trwa i rozwija się, wzmacniając polską oświatę.

Macierz, to usiłowanie swojskiego rozwoju, to szczepienie dobrego owocu, to odzew tej myśli, która, poczęta w Narodzie od chwili, gdy wzrosło w nim poczucie, że dążyć winien do światła, rozwijała się w ciągu dziejów. Tylko taką wspólną, ofiarną, garzącą się ku światłu, a ogarniającą szerokie rzesze miłością, możemy podnieść umysły i serca ku wyższej mierze, a podnieść je musimy, jeżeli chcemy dokonać wielkiego dzieła odnowy i utrwalić w społeczeństwie wiarę w przyszłość, w owocność naszych prac — wiarę w siebie.

Wszyscy więc ufni w moc żywotną Narodu łączymy się w odpowiedzi na bezpodstawne a gniewne oskarżenie i jednym głosem odpowiadamy: *niesprawiedliwość!*

Ale zwracając się ku własnemu społeczeństwu, winniśmy powiedzieć: Bądźmy jaknajbardziej jaśni w działaniu i wyborze dróg, abyśmy się wszędzie powoływać mogli na *prawdę*.

A. K.

*

*

*

Warszawski Uniwersytet Ludowy Polskiej Macierzy Szkolnej zakończył niedawno pierwszy rok swego istnienia, rok próbny. Z tego względu warto przyjrzeć się bliżej rezultatom, jakie instytucja ta zdołała osiągnąć w warunkach niezbyt pomyślnych dla spokojnej pracy oświatowej; jeżeli bowiem każda dziedzina pracy pozytywnej i twórczej wymaga dla siebie odpowiedniej atmosfery w społeczeństwie, to tembardziej praca oświatowa nie może się rozwijać należycie w okresach chaosu i zamętu. A jednak pomimo rozkołysania umysłów przez prądy rewolucyjne, pomimo rozigrania się wszelkich namiętności partyjnych, które podzieliły ludzi na obozy i stronnictwa, stające do walki z sobą, Uniwersytet Ludowy w Warszawie potrafił pracować i zdołał skupić na swoich wykładach poważny zastęp słuchaczy.

Zawiązany we wrześniu roku ubiegłego, rozpoczął on niezwłocznie działalność pod wytrawnym przewodnictwem prof. Adama Jaczynowskiego. Dzięki niezwyklej sprężystości Zarządu, cała praca organizacyjna została przeprowadzona w ciągu dni kilkunastu i w dniu 1 października instytucja posiadała już szereg wyegzaminowanych uczniów, podzielonych na komplety, oraz sze-

reg nauczycieli, którzy z zapalem stanęli na swoich skromnych katedrach.

Naukę rozpoczęło 1649 uczniów i uczenie, przeważnie ludzi młodych, w wieku od lat 16 — 30, w olbrzymiej większości (1280 osób) pochodzących ze sfery rzemieślniczej i robotniczej. Ciało nauczycielskie składało się na razie z 79 osób.

Ofiarność przełożonych polskich szkół prywatnych oraz zarządów niektórych fabryk, pozwoliła na rozlokowanie kompletów w 25-iu stałych uczelniach. Stosownie do przedmiotów nauki i liczby zapisów na każdy przedmiot, utworzono 102 takie komplety i oddano je pod kierunek 69 „gospodarzy,” wybranych z grona uczniów, zaś lokale szkolne i prawidłowy bieg życia szkolnego poruczono uwadze 14 „opiekunów,” uproszonych przez Zarząd.

Z ogólnej liczby 1649 słuchaczy (1224 mężczyzn i 425 kobiet) na naukę języka polskiego zapisało się 1143 osoby, które rozmieszczono w 42 kompletach; na arytmetykę 927 osób; na historię Polski 359 osób (w 10 kompletach); na geografję 212 i na historję literatury polskiej 112 osób. Przedmioty natomiast przyrodnicze, techniczne i prawno-polityczne zdobyły sobie zaledwie tylu słuchaczy, że wystarczyło ich na jeden tylko dla każdego przedmiotu komplet. Z tego zakresu rysunki jedynie miały spory zastęp chętnych nauki, gdyż korzystało z ich lekcyj 163 uczniów. Chemii słuchało 27 osób, anatomii i fizyologii 79.

Cyfry te są dość charakterystyczne. Z jednej strony malują one niski ogólny poziom oświatowy słuchaczy, którzy muszą zaczynać naukę od samego początku, z drugiej — praktyczny kierunek aspiracyj naszych sfer ludowych. W tym względzie zasługuje zwłaszcza na uwagę liczny zastęp słuchaczy, zapisanych na wykłady arytmetyki, która w życiu codziennem robotnika i rzemieślnika oddaje ogromne usługi, zapewniając mu uniejętność prowadzenia rachunków i broniąc go przed oszustwem i wyzyskiem.

Uniwersytet więc z konieczności, dostosowując się do potrzeb i wymagań słuchaczy, musiał rozpocząć działalność swoją raczej jako szkoła początkowa, dopełniająca najbardziej elementarne braki wiedzy robotnika polskiego, niż jako szkoła nauk wyższego poziomu.

Za zasadę przyjęto wprawdzie, że słuchaczami mogą być tylko osoby, umiejące dobrze czytać i pisać po polsku, oraz rachować, ale — zasada ta została obalona zaraz na wstępie, gdy do zapisów zgłosili się ludzie nieposiadający wykształcenia elementarnego w stopniu dostatecznym, a nawet analfabeci. Pierwszych

trzeba było umieścić w kompletach, przeznaczonych na naukę języka polskiego i arytmetyki, drugich należało odesłać do Koła nauczania analfabetów dorosłych, co też uczyniono. W ten sposób nikt na wstępie do instytucji nie został zniechęcony i odrzucony przez nią. Przeciwnie—każdy nabrał przekonania, że wrota Uniwersytetu, a więc i droga do nauki, są dla niego otwarte.

Rozpoczynając działalność swoją bez odpowiednich środków, bez funduszków, które mogłyby zapewnić wszelkie pomoce naukowe, Uniwersytet Ludowy szedł w ciągu pierwszego półrocza jedynie rozpędem ideowym osób, zgrupowanych dokoła niego i ofiarnością kół, sympatyzujących z instytucją.

W ciągu drugiego półrocza zdobył już sobie jednak trwały grunt działania wśród mas ludowych i szersze w całym społeczeństwie znalazł uznanie.

Liczba słuchaczy w tem półroczu z 1649 podniosła się do 2200, a jednocześnie rozwinął się i zakres nauki.

Zainicjowane obok stałych wykładów odczyty popularne zyskały sobie duże powodzenie i gromadziły za każdym razem w obszernej sali Muzeum przemysłu i rolnictwa liczny zastęp słuchaczy. Mniejsze powodzenie miały „pogadanki,” urządzone dla mieszkańców dzielnicy wolskiej w domu robotniczym Wawelberga przy ul. Górczewskiej, lecz i one uzasadniły nie tylko możliwość, ale i potrzebę urządzania tego rodzaju konferencji na przedmieściach Warszawy, gdzie grupuje się najuboższa, najciemniejsza i najbardziej odgradzona od wszelkich wpływów kulturalnych ludność.

W ciągu II-go półrocza zdobyły sobie także większe powodzenie wykłady z zakresu nauk przyrodniczych i technicznych.

„Mechanika“ i „Elektryczność“ semestru I-go, które na razie nie zainteresowały większej ilości słuchaczy, w semestrze II-im rozrosły się już do rozmiaru całego kompleksu przedmiotów. Wykładano więc: mechanikę stosowaną, maszyny parowe, motory gazowe, naftowe i benzynowe, fizykę w zastosowaniach technicznych, metale i ich obrabianie, kotły: ich obsługę, elektrotechnikę prądu słabego, elektrotechnikę prądu silnego, rysunki mechaniczne dla metalowców, rysunki budowlane, wreszcie rysunki odręczne.

Świadczy to, iż do Uniwersytetu napłynęły warstwy słuchaczy inteligentniejszych i lepiej przygotowanych, które może początkowo były powstrzymane od nauki przez niesumienną agitację żywiółów, rzucających w podejrzenie „bezpartyjność“ uniwersytetu, występującego pod egidą Macierzy Szkolnej. Przekonano się jednak rychło do instytucji i dla tego działalność Uniwersy-

tetu Ludowego w II-iem półroczu jest już całkowicie miarodajną i pozwala wnosić o przyszłości tej uczelni.

Nie potrzeba dowodzić, że to nowe ognisko kulturalne posiada ogromne znaczenie społeczne i że wobec tego zasługuje na to, ażeby całe społeczeństwo poparło usiłowania jednostek, dźwigających dotąd na swoich barkach ciężar potrzeb materialnych instytucji, przeznaczonej dla szerokich mas. A potrzeby te będą rosły gwałtownie.

Nauka posiada ogromną siłę przyciągającą i kto raz dostanie się w sferę tego przyciągania, ten już nie potrafi zdusić w sobie popędu do ciągłego rozszerzania swoich wiadomości. Stąd niema obawy, aby Uniwersytetowi zabrakło słuchaczy. Przeciwnie. Liczba tych słuchaczy prawdopodobnie będzie się zwiększała szybciej, aniżeli majątek instytucji. Widzieliśmy już jak znaczna była różnica frekwencji pomiędzy 1 a 2-iem półroczem. To samo będzie zapewne pomiędzy 2 a 3-iem, a w ciągu dwóch lub trzech lat Uniwersytet może już liczyć 5 do 6 tysięcy uczniów, którym niepodobna będzie odmówić zapisu. Bardzo więc być może, że Zarząd Uniwersytetu, rychlej, niż to sam przewiduje, znajdzie się w położeniu bardzo kłopotliwym. Rzeczą jednak społeczeństwa jest kłopoty te przewidzieć i zapewnić instytucji byt trwały, sprzyjający stopniowemu rozszerzaniu jej wpływów i gromadzeniu środków naukowych.

Rzecz oczywista — przedwcześnie jest mówić jeszcze o wybudowaniu wielkiej hali wykładowej, o pomieszczeniach dla zbiorów i pokazów, które Uniwersytet Ludowy bezwarunkowo mieć powinien, ale — należy pomyśleć o pierwszej podstawowej rzeczy — o funduszach, które umożliwią instytucji stopniowy wzrost i o bibliotece, która jest najkonieczniejszą rzeczą dla wszelkich przedsięwzięć naukowych.

Dotychczasowa biblioteka Uniwersytetu Ludowego składa się z 2100 tomów, z których korzystało 690 czytelników. Stosunek tych dwóch cyfr do siebie powinien przemówić bardzo głośno i pobudzić ofiarność publiczną do żywego zainteresowania się sprawą księgozbioru Uniwersytetu Ludowego.

Nadto, kto może, powinien współdziałać Uniwersytetowi w gromadzeniu innych pomocy naukowych, tak niezbędnych przy wykładach popularnych, a tak trudnych do zdobycia w Warszawie, w której dotychczas niema wielkiego, centralnego muzeum szkolnego, wypożyczającego swoje zbiory szkołom i prelegentom.

*

*

*

Od dn. 21 do 26 lipca r. b. obradował we Lwowie X Zjazd lekarzy i przyrodników polskich. Zjazd ten był istotnem i rzetelnem świętem naukowem, które zgromadziło przedstawicieli wszystkich dzielnic. Nie możemy—rzecz naturalna—zdawać tutaj szczegółowej sprawy z przebiegu obrad, z wygłoszonych referatów, z uchwał powziętych. Należy to do pism specjalnych przyrodniczych i lekarskich. Z powodu jednak Zjazdu czujemy się w obowiązku wypowiedzenia kilku słów ogólniejszego znaczenia.

Nauka polska bynajmniej nie znajduje się w warunkach pomyslnych. Położenie polityczne narodu odbiło się na całokształcie jego życia i obniżyło jego poziom wszędzie, nie wyłączając nawet najdalszej od polityki dziedziny naukowej. Środki nasze są skąpe, siły rozproszone. Na całym obszarze ziem polskich mamy tylko dwa uniwersytety polskie — w Krakowie i we Lwowie. Warszawa miała uniwersytet rosyjski. Poznań i Wilno nie mają wcale uniwersytetów. Brak nam więc naturalnych ognisk naukowych, brak tych warsztatów, przy których uczeni mogą stać i pracować skutecznie. A warsztaty te mają znaczenie pierwszorzędne. Wiedza współczesna, która rośnie i rozgłębia się coraz bardziej, od której ciągle oddzielają się nowe pędy i rozpoczynają życie samodzielne, potrzebuje ogromnych środków. Musi mieć do swego rozporządzenia laboratorium, gabinet, biblioteki. Tam dopiero może się rozwijać. Tego wszystkiego jesteśmy niemal pozbawieni. Zdawałoby się więc, że wobec tego powinny być rzeczą zupełnie usprawiedliwioną: nasze milczenie i nasza nieobecność tam, gdzie myśl ludzka nowe dla siebie toruje drogi. A przecież pomimo wszystko dajemy o sobie znak życia i na tych polach.

Zapewne, daleko nam do tych rezultatów i do tych zdobyczy, jakie osiągają inne narody, pracujące w warunkach normalnych, korzystające z opieki i pomocy swoich rządów — ale, uwzględnivszy osobliwe nasze położenie i wyjątkową naszą biedę — nie bez dumy możemy mówić o naszej nauce.

Tak. Nauka polska niewątpliwie istnieje.

„Gdy się policzymy — mówił na Zjeździe dr. Bylicki — a do ilości dodamy jakości, to z tego przeglądu wynikają dla nas wielkie źródła pociechy.“

Zwłaszcza dziedzina przyrodniczo-lekarska ma się czem chlubić. Nencki, Curie-Skłodowska, Biegański, Wróblewski, Witkowski — znani są całemu światu. A obok nich stoi szereg wybitnych lekarzy, chemików, botaników, zoologów, mineralogów o mniej głośnych nazwiskach.

Są to pracownicy nieraz szerszemu ogółowi zupełnie nieznanymi. Wie o nich tylko szczupłe koło specjalistów, pracujących w tym samym zakresie. Nieraz też pewną niespodzianką jest dla nas nazwisko polskie, spotkane w jakimś fachowym czasopiśmie obcym, a jeżeli te czasopisma będziemy przeglądali częściej, to przekonamy się, że prace uczonych polskich nie należą w nich do rzadkości.

Polacy muszą pisać po niemiecku, po francusku, nawet po angielsku. Wypływa to ze smutnej konieczności. Naprzód z braku u nas odpowiednich wydawnictw naukowych, z niebywałego wprost trudu znalezienia nakładcy na książkę naukową — powtóre z potrzeby porozumiewania się z Europą. Kto chce, żeby go w Europie poznano — musi się jej zameldować pracą w języku obcym. Nie możemy też brać za złe naszym uczonym, że tej smutnej konieczności ulegają, jak nie możemy im brać za złe tego, że obejmują katedry na uniwersytetach zagranicznych i pracują wśród obcych i dla obcych.

Wina leży tu raczej po naszej stronie — po stronie społeczeństwa, które jest ogromnie obojętne na potrzeby nauki i wcale nie interesuje się jej postępami.

Wprawdzie tak jest na całym świecie, wprawdzie nigdzie szerszy ogół nie bierze udziału w trosce o zgromadzenie funduszków na badania naukowe, zostawiając to całkowicie rządowi lub bogatym jednostkom, które, idąc za poczuciem obywatelskiem lub własnym zamiłowaniem, przeznaczają nieraz ogromne sumy na cele nauki — ale — i pod tym względem jesteśmy społeczeństwem wyjątkowym, więc wyjątkowe też mamy obowiązki.

Obowiązki te powinniśmy sobie uświadamiać częściej i szukać dróg, któreby prowadziły do ich spełnienia.

Jedną z takich dróg chcę właśnie wskazać. Przy warszawskim Towarzystwie lekarskim istniała pracownia biologiczna, założona przez ś. p. prof. Hoyer'a. Pracownię tę Tow. lekarskie postanowiło utrzymać nadal, rozszerzyć i nazwać ją pracownią Hoyer'a. Oczywiście, rozszerzenie to pociągnie za sobą znaczne wydatki. Dla ludzi, którzy miłują naukę i którzy mają środki na to, ażeby ją wspomagać, następuje tu sposobność przyjścia z pomocą Towarzystwu lekarskiemu.

Dla nauki polskiej byłoby rzeczą pożądaną, aby w Warszawie, która w tej chwili niema wcale uniwersytetu, a może nieprędka będzie miała uniwersytet, zdolny zaspokoić wszystkie potrzeby naukowe wszystkich działów wiedzy, — istniała pracownia biologiczna, postawiona na tym poziomie, na jakim stoją tego

rodzaju pracownię zagranicą, ażeby była uposażona we wszystko i mogła być prawdziwym warsztatem pracy naukowej. Niewątpliwie Towarzystwo lekarskie dołoży wszelkich starań, aby ową pracownię biologiczną tak właśnie urządzić, ale potrzeba będzie na to lat całych. O ileż prędzej dałoby się to uskutecznić, gdyby z zewnątrz nadeszła pomoc, gdybyśmy nie uważali, że ta pracownia jest wyłączną sprawą Towarzystwa lekarskiego, ale powiedzieli sobie, że obchodzi ona cały ogół polski.

Wróćmy jednak do Zjazdu lwowskiego. Połączył on na kilka dni uczonych polskich z Królestwa, z Galicyi, z Wielkopolski, z Rusi, z Litwy, nawet z kolonij amerykańskich i dowiódł, iż pomimo wiekowego rozbiecia i rozczłonkowania, myśl polska dąży do jedności.

To poczucie jedności narodowej w każdej pracy jest czynnikiem wagi niezmierniej i dla tego poza znaczeniem czysto naukowym, Zjazd lwowski ma dla nas jeszcze znaczenie ogólnie narodowe.

Spółeczeństwo polskie w ciągu swoich dziejów porobiorowych uległo głębokim przemianom. Przemiany te jednak były niejednolite. Inne stosunki wytwarzały innych ludzi. Stąd też pomimo pozornej tożsamości, istnieje obecnie wieloraki typ Polaka. Inaczej myśli Poznańczyk, inaczej Galicyanin, inaczej Królewianin, inaczej mieszkaniec Litwy lub Ukrainy. Są kwestye, na które zapatrujemy się jednakowo, są jednak takie kwestye, co do których zgoła nie możemy się porozumieć. Przestaliśmy się na niejednym punkcie odczuwać wzajemnie, mamy już nieco odmienną psychikę. A przecież jesteśmy jednym narodem i poczucie tej jedności mamy dziś bardzo silne, silniejsze może, niż kiedykolwiek.

Z uwagi na to, spotykanie się i obcowanie z sobą ludzi z rozmaitych dzielnic jest bardzo pożądaną, gdyż rezultatem jego jest właśnie owo „zrozumienie się“, którego nie można osiągnąć ani za pomocą książki, ani za pomocą dziennika, a które jest bardzo łatwe do osiągnięcia tam, gdzie ludzie przestają z sobą, gdzie łączą się na terenie wspólnej pracy i wspólnych ukochań.

Następny, XI z kolei Zjazd przyrodników i lekarzy polskich ma odbyć się w Warszawie. Miejmy nadzieję, że odbędzie się on już w warunkach, które pozwolą naszej stolicy na takie przyjęcie gości, jakie im się słusznie w jej murach należy.

WSPOMNIENIA POZGONNE.

Ś. p. Aleksander Hirschberg.

We Lwowie zmarł dn. 26 lipca r. b. ś. p. Aleksander Hirschberg, jeden z wybitniejszych historyków polskich, człowiek skromnej, cichej, a dużej pracy.

Urodzony w r. 1847 we Lwowie, tam odbywał studia gimnazjalne i uniwersyteckie, które ukończył w r. 1872 ze stopniem naukowym doktora filozofii. Przez trzy lata następnie pracował, jako nauczyciel szkoły realnej, poczem mianowany został sekretarzem naukowym Zakładu Ossolińskich i jednocześnie habilitował się na docenta historii przy uniwersytecie lwowskim. Od r. 1876 ś. p. Hirschberg był kustoszem Ossolineum i na tem stanowisku pozostał do śmierci.

Oddając się z zamiłowaniem swojej nauce, której sprzyjała praca w jednym z najbogatszych księgozbiorów polskich, zmarły pozostawił po sobie długi szereg dzieł i rozpraw o wybitnej wartości.

Należą tu przedewszystkiem: „O życiu i pismach Jana Ludwika Decyusza (Lwów 1874), „Kronika klasztoru trzemeszeńskiego i spominki o Łaskich“ (Lwów 1877), „Dyaryusz legacyi Jerzego Ossolińskiego“ (ib. 1878), „Jan Łaski, arcybiskup gnieźnieński, sprzymierzeńcem sultana tureckiego“ (ib. 1879), „Przymierze z Francją w r. 1524“ (Lwów 1882), „Koalicya Francyi z Jagiellonami“ (ib. 1882), „Hieronim Łaski“ (ib. 1888), „Z czasów niedoli i upadku. Ustęp z dziejów m. Lwowa“ (1889), „Polska a Moskwa w pierwszej połowie wieku 17-go. Zbiór materyałów do historii stosunków polsko-rosyjskich za Zygmunta III“ (Lwów 1901), „Zbiór pamiątek do historii powstania polskiego w ro-

ku 1830 — 31,“ „Bibliografia powstania narodu polskiego z roku 1830 — 31“ (rzecz niezmiernie cenna) i wiele innych, pomniejszych. Nadto wydał ś. p. Hirschberg kilka opisów podróży naukowych, jakie rozmaitemi czasy odbył do Grecyi, do Hiszpanii i do Szwecyi.

Nauka polska straciła w zmarłym oddanego i zdolnego pracownika, społeczeństwo dobrego obywatela, który na skromnem swoim stanowisku służył narodowi gorliwie i był nieocenionym przewodnikiem dla każdego, kto jakąkolwiek pracę naukową podejmował w bibliotece Ossolińskich.

Stąd Hirschberga znali wszyscy, którzy w swoich wędrówkach naukowych nie ominęli słynnej lwowskiej księżnicy — a nie mógł jej ominąć żaden z historyków i żaden z poważniejszych literatów polskich.

Ś. p. Karol Potkański.

Dnia 16 sierpnia r. b. zmarł w Krakowie ś. p. prof. Karol Potkański, wybitny i ceniony pracownik na polu badań historycznych.

Urodzony w r. 1862 w Król. Polskiem, w ziemi sandomierskiej, gdzie rodzina jego zdawna osiadła, kształcił się Karol Potkański w Galicyi, w atmosferze i pod wpływami, które wcześniej rozbudziły w nim zamiłowanie do dziejów ojczyźnych. Ukończywszy studia na uniwersytecie Jagiellońskim, uzupełnił je następnie za granicą, zwłaszcza w Paryżu, gdzie przez czas powien był dyrektorem tamtejszej biblioteki polskiej.

Z tych czasów pochodzą też jego pierwsze prace, oparte na sumiennych i samodzielnych badaniach. Świeżością poglądów, umotywowanych gruntownie, opartych na rozległych i wszechstronnych studiach, wyróżniły się one odrazu korzystnie i otworzyły młodemu uczonemu drogę do katedry uniwersyteckiej. Zajął ją Potkański w pełni sił i odtąd wszystkie te siły poświęcił nauce.

Z pod pióra jego wyszedł długi szereg rozpraw, rozrzuconych po czasopiśmie fachowych, a każda taka rozprawa, nie wyłączając najdrobniejszych, przynosiła z sobą coś nowego, coś, co rzuciło nieznamne jeszcze światło na dzieje średniowiecznej Polski. Jednocześnie powstawały dzieła większe o trwałej wartości i o do-

niostem znaczeniu dla nauki historycznej. Nazwisko Potkańskiego stawało się głośne, nie tylko wśród świata naukowego polskiego, ale wśród wszystkich sławistów europejskich, którzy niejednokrotnie powoływali się na zdanie i wyniki poszukiwań młodego profesora.

W dorobku naukowym Potkańskiego wyróżniają się przede wszystkim: „Postrzyżyny u słowian i germanów,“ „Kraków przed Piastami“ i „Lachowie i Lechici.“

Te trzy prace stanowią zręb sławy naukowej zmarłego. Zwłaszcza „Kraków przed Piastami“ jest dziełem, które przyniosło nauce niepospolitą zdobycz w postaci stwierdzenia nieznanego dotychczas faktu: istnienia biskupów chrześcijańskich w starym Krakowie na długo przed Piastami i przed historycznym chrztem Polski. Fakt ten upoważnił Potkańskiego do wyprowadzenia wielu niezmiernej wagi wniosków, dotyczących naszej przeszłości, zagubionej w pomroce czasu i wnioski te, bez względu na to, czy je obalą lub sprostują inne, późniejsze odkrycia i badania, pozostaną zawsze słupami wytycznymi na drodze, po której iść mogą tylko bardzo wytrawne, głębokie, ostrożne, a zarazem śmiałe umysły.

Z pozostałych prac zmarłego wymienić jeszcze należy: „Zapiski herbowe, z ksiąg ziemskich, przechowanych w archiwach padewskim i warszawskim,“ „Rycerstwo włodycze i zagrodowa szlachta w XIV i XV wiekach,“ wreszcie cenną rozprawę „O pierwotnem osadnictwie polskiem na Podhalu,“ gdzie autor poruszył mało zbadaną sprawę rozszerzania się granic Małopolski ku Tatom i zdobywanie sobie przez nią nowych terenów drogą kolonizacyi.

Ostatnią pracą, którą zmarły profesor miał „na warsztacie“ była rozprawa o apostołach słowiańskich, św. Cyrylu i Metodym.

Nie dokończył jej. Nie dokończył także wielu innych, zaczętych lub zamierzonych robót, na które w normalnych warunkach powinno mu być życie starczyć. Śmierć wytrąciła mu pióro z ręki, tworząc w szeregach historyków polskich wyłom dotkliwy.

Nauka poniosła przez tę śmierć stratę ciężką, gdyż ubył jej pracownik, posiadający wszelkie zalety i wszelką możność samodzielnej, badawczej i twórczej pracy. Ci, którzy znali s. p. prof. Potkańskiego bliżej i oceniali jego wartość, jako człowieka o szerokim umyśle i czystym, pięknem sercu, stracili w nim nadto przyjaciela i towarzysza, niezwykle miłego w obcowaniu.

Wrażliwy na piękno natury i na piękno sztuki, posiadał Potkański wytworny smak, był doskonałym i wykwiutnym znawcą

literatury i plastyki współczesnej i umiał o nich mówić, odstawiając coraz to nowe i coraz bogatsze pokłady swego umysłu.

Było w nim coś z Petroniusza i coś z Płoszowskiego. Przewyższał jednak obydwu zdolnością do wytężonej, popychanej wytrwale naprzód pracy, która też przedwcześnie strawiła jego wątłe siły.

Pozostaje po nim—w nauce imię duże, w sercach ludzkich—wspomnienie jasne i pamięć dobra niepowszedniego człowieka.

Z. D.

Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

Z AKADEMII I TOWARZYSTW NAUKOWYCH.

— MUZEUM NARODOWE POLSKIE W RAPPERSWYLU wydało Sprawozdanie zarządu za rok 1906 jako 37-my rok istnienia, drukowane w Paryżu pod datą 1907 roku. Po wykazie składu dzisiejszego zarządu, którego prezesem jest Józef Gałęzowski, i podaniu list członków wszelkich kategorii, następuje sprawozdanie muzealne, z którego dowiadujemy się, że zbiory Muzeum w roku sprawozdawczym stale się powiększały. Księga darów wykazała 1777 pozycyji, obejmujących 4551 przedmiotów wobec 1736 pozycyji i 6115 przedmiotami w roku zeszłym. Po za tem wpłynął jeszcze nie wpisany do księgi darów bogaty zbiór korespondencyj z czasów emigracyi 1846, obejmujący liczne dokumenty, których uporządkowanie nie mogło być dotąd sporządzone, a przez to w księdze darów nie są wpisane. Z ważniejszych przedmiotów muzealnych ofiarowanych w r. 1906 sprawozdanie wymienia: Złoty zegarek ofiarowany 28 sierpn. 1794 przez Kościuszkę oficerowi A. Grabowskiemu, tabakiera złota z dnia 3 maja 1791 z odpowiedniami napisami, miniatury, obrazy Alechimowicza, Rychtera, i t. p., w dziale bibliotecznym papiery po Aleksandrze Józefie Jabłońskim emigrancie z 1831 r., obejmujące około 1000 rękopisów stanowiących archiwum „Sekeyi Poitiers Tow. Demokratycznego“ i t. z. „Sekeyi protestującej paryskiej“ materiały do emigracyi 1846 r. oraz emigracyi na Wschodzie z lat 60-tych wieku zeszłego; papiery po Romanie Wileczyńskim; dział biblioteki Józefa Kortzikowskiego obejmujący około 100 rękopisów od XVI w. począwszy, wśród których znajdują się: papiery rodu Kościuszków, zapiski Stanisława Bobryka z końca XVIII w.; dar Karola Humieckiego² zawierający między innymi „Rozkazy dzienne pułku „żuawów śmierci“ Rochebrunne'a z 1863 r.“ W dziale druków przybyło 691 dzieł i 61 czasopism, między innymi druki ulotne najnowszych czasów treści społeczno-politycznej w znacznej ilości z zaborn rosyjskiego. Szczegółowy wykaz darów ułożony według alfabetycznej listy ofiarodawców wykazuje je dokładniej. Z chwilą zamknięcia roku spra-

wzrostającego stan zbiorów przedstawiał się w sposób następujący: przedmiotów pamiątkowych 1090, numizmatycznych 5738 (nie licząc dubletów), Rzeźb 557, Obrazów olejnych 339, Akwareli 391, Miniatur 109, Rysunków 1875, Rycin 18918, Fotografij 7975, Nut 1119, Map 905, Druków 56025, Rękopisów 13227, Rozmaitości 382. Muzeum odwiedziło w 1906 roku osób 3724, z których największa ilość przypada na sierpień (870) i wogóle letnie miesiące. W rozdziale III-cim, poświęconym wykazaniu pracy muzealnej i bibliotecznej, sprawozdanie streszcza ich bieg i zaznajamia czytelnika z XVI-ma działami, na jakie Archiwum zostało podzielone. Ważniejsze z nich są: Roczniki Polskie Leonarda Chodźki, papiery Legacji polskiej 1831/32, Archiwa zakładów emigracyjnych, Towarzystwa Demokratycznego, Rządu Narodowego 1863/64, Ligi Narodowej, Emigracyjne, Mickiewiczowskie, Kościuszkowskie i inne. Na zjeździe rady Muzeum oprócz mianowania nowych członków fundatorów i korespondentów zdecydowano wydanie Przewodnika, który na skutek tej decyzji już wydrukowanym został i przyjęto 2000 fr. od p. I. K. jako dar na fundusz biblioteczny. Dyrektor zdając sprawę ze stanu kasy wykazał wartość walorów, wynoszącą według cen giełdowych 842003 franki. Komisya stypendyalna w roku sprawozdawczym rozporządzała 13050 fr., z której korzystało 39 stypendystów. Stan finansowy instytucyi przedstawia się wcale pokaźnie: kapitał Muzeum wynosił w końcu 1906 r. 52463 fr., fundusz stypendyalny Krystyna hr. Ostrowskiego nie wykazany co do sumy dał przychodu 18609 fr., fundusz im. Tadeusza Kościuszki (4000 fr.) dał przychodu 163 fr., fundusz stypendyalny historyczno-literacki dał 1668 fr. dochodu, fundusz anonimowy 1893 podniósł się do sumy 244500 fr., fundusz anonimowy 1894 wynosi 32000 fr., fundusz anonimowy 1897 wynosi 35000 fr., fundusz wydawniczy 30417 fr., fundusz anonimowy fundacyi bibliotecznej 1903 r. I. K. wyniósł przez dopisanie %-ów 26000 fr., fundusz „Cicha kasa Litewska“ 4243 fr. Sprawozdanie kończy się odezwą do społeczeństwa, aby interesowało się i nadal i popierało Muzeum Rapperswylskie.

W dziale naukowym i literackim podano 13 więcej ciekawych listów Lelewela o przymusowej podróży jego z Francyi do Belgii w 1833 roku.

WYDAWNICTWA PERYODYCZNE.

— ARCHITEKT. Maj. Efekta malarskie w architekturze; — Najdawniejsza architektura kościelna Słowian zachodnich; — Nowa katedra katolicka w Londynie; — Józef Smoliński: Zabytki zdobnictwa na budowach drewnianych w Królestwie Polskiem i na Białorusi; — Objasnienia rysunków i tablic; — Rozmaitości.

— CZASOPISMO LEKARSKIE. Maj. J. Bogdanik (Krakow): Kreolina w chirurgii; — T. Mogilnicki (Łódź): Ostre niezbyt krtani u dzieci, symulujące krup pierwotny; — Wl. Żenczykowski (Warszawa): Ogólne uwagi krytyczne z powodu projektu ministerium przemysłu i handlu w sprawie obowiązkowego ubezpieczenia od choroby; — A. Puławski (Nałęczów): Sprawozdanie lekarskie z Zakładu leczniczego w Nałęczowie za rok 1906-ty; — Kronika.

— HOMILETYKA I PRZEWODNIK SPOŁECZNY. Maj. Od anarchizmu do wiary; — W. E. Ketteler: Doniosłe zagadnienia społeczne obecnych czasów; — Zwierzchnictwo Kościoła katol. (dok.); — Apostolstwo prasy; — Dział kaznodziej-ski; — Homilie na Niedziele; — Kazania przygodne; — Bibliografia.

— KOSMOS. Protokół XXXVI walnego zgromadzenia Tow. im. Kopernika; — Siedlecki M.: O przemianie materji wśród morza, odczyt; — Tur J.: Doświadczenia nad wpływem promieni radu na rozwój zarodków *Seyllium canicula* Cuv.; — Nowak J.: Przyczynek do znajomości kredy Lwowsko-Rawskiego Roztocza; — Namysłowski B.: Nieprawidłowości w budowie kwiatu polnej ostróżki; — Schreiber W.: Pogląd na metody kranjografii dzisiejszej; — Raciborski M.: Stanisław Chełchowski (wspomnienie pośmiertne); — Dziędzielewicz J.: Przyczynek do systematyki Bielotek (Coniopterygidae); — Friedberg W.: Kilka uwag w sprawie wydmu niżu rzeszy wskiego; — S. Rudnicki—E. Romer: Polemika; — Sprawozdania i oceny, przez M. Łomnickiego, W. Friedberga, W. Rogalę, J. Nowaka, E. Romera, J. Hirschlera, A. Bollańdę, S. Opolskiego i K. Klingę; — XXXVII nadzwyczajne walne zgrom. Tow. im. Kopernika; — Od redakcy; — Odezwa.

— KRYTYKA. Czerwiec. (f), Wybory w Galicji; — Kazimierz Wroczyński: *Barkarola*. Patos. Wale. Z cyklu. *Astarte*. Poezyc; — S. Posner: *Psychologia polityczna*; — Władysław Orkan: O powieści „drzewiej”; — Jan Szarota: *Poezja francuska ostatnich lat dwudziestu pięciu*, Emil Verhaeren (dok.); — Wanda Krzyżanowska: *Poezyc*; — H. Orsza: *Literatura ludowa*; — Zofia Rygiel Nałkowska: *Rzeczywistości*; — Przegląd prasy polskiej i obcej; — Henryk Jordan: *Teatr krakowski*; — Henryk Raabe: *Ruch wolnomyślny u nas i na świecie*; — Sprawozdania naukowe i literackie.

— LUD. Szymon Matusiak: *Sobótka*; — Józef Schneider: *Lud Peczeni-żyński*; — Materiały i poszukiwania; — Józef Schneider: *Baśń o trzech braciach, dwóch mądrych a jednym głupim*. Podanie o Doboszu opryszkę; — F. A. Drodz: *Zagadka o św. Stanisławie biskupie*; — Józef Sulisz: *Kilka zapisek z Sanoka*; — W. Kosiński: *Listy*; — Krytyka i sprawozdania, przez S. Matusiaka, dra M. Jani-ka, M. Siwaka, G. Smólskiego; — Polemika (H. Ułaszyn z dr. Radzikowskim); — *Sprawy Towarzystwa*; — Dodatek; — M. Treter: *Przegląd treści dziesięciu roczników „Ludu”*.

— MUZEUM. Czerwiec. E. Piasecki: Ś. p. Henryk Jordan; — Pierwsza ustawa krajowa o seminariach nauczycielskich; — Leonhard St.: *Komisja kwalifikująca książki do bibliotek uczniów*; — Paczowski J.: *Ćwiczenia w pracowni fizykalnej i „szkoła zręczności”*; — Koch W.: *Kolonja wakacyjna w Porębie wielkiej*. Rok II, 1906; — Oceny i sprawozdania, przez J. Micyńskiego, Wład. Rembaczę, dra K. Jureckiego, A. Makowskiego, dra M. Janellego, K. Strutyńskiego i dra E. Piaseckiego; — *Kronika szkolna i pedagogiczna*; — *Wiadomości bibliograficzne*; — *Bibliografia Kom. ed. nar.*; — *Sprawy Tow. nauczycieli szkół wyższych*.

— PAMIĘTNIK LITERACKI. J. P. Pawlikowski: *Źródła i pokrewieństwa towanizmu i mistyki Słowackiego*; — L. Bernacki: *O niektórych komedjach*

Zabłockiego;—M. Zdziechowski: Filozofia Krasieńskiego;—A. Brückner: Notatki i uwagi;—St. Dobrzycki: „Zwroćenie Matyasza z Podolu“ w literaturze Indo-wej;—L. M. Dziama: Dwie Fortuny;—L. Bernacki: Urywek dziennika Ig. Krasieckiego;—F. Przyjemski: Kilka niezbędnych dokumentów, odnoszących się do A. Mickiewicza;—Z. Jachimiecki: Karol Loewe jako twórca muzyki do ballad A. Mickiewicza;—Wł. Jankowski: Do genezy „Pana Tadeusza“;—T. Dąbrowski: „Samuel Zborowski“ a „Beniowski“;—R. Wojciechowski: Towianczycy między sobą;—F. Przyjemski: Nieznany wiersz T. Żana;—J. Zaleski: Niedruk. wiersz T. Lenartowicza;—T. Pini: Z pośmiertnych utworów C. Norwida, I. Duch Adama i Skandal. II. Obyczaje. III. Fragment przekładu „Hamleta“;—Recenzye i sprawozdania, przez A. Brücknera, St. Dobrzyckiego, St. Kossowskiego, K. Jareckiego, Wł. Dropiewskiego, T. Dąbrowskiego;—Polemika, T. Wiśniowiecki przeciw M. Mannowi;—Odpowiedź M. Manna.

— PRZEGLĄD FILOZOFICZNY. Dr. J. Kodisowa, W sprawie eliminacyi metody przyczynowej; St. Brzozowski, Epigienetyczna teoria historyi; J. Lewkowicz, Etyka ze stanowiska teorii poznania; dr. Wł. Biegański, O filozofii Mickiewicza; Polemika; Prof. dr. H. Struve, W sprawie polskiego przekładu Prolegomenów Kanta; Autoreferaty d-ra Wł. Biegańskiego, prof. d-ra J. Nusbauma (2), dra Wł. Ołuszewskiego; Sprawozdania przez prof. dra H. Struvego, dra M. Borowskiego, dra A. Złotnickiego, J. Lewkowicza, B. Nusbaumow;—Notatki o książkach;—Z czasopism;—Wiadomości bieżące.

— PRZEGLĄD POLSKI. Czerwiec. Franciszek Morawski: Z roli poznawczej;—Ignotus: Synteza rewolucyi w państwie rosyjskiem. II. Rozwój rozstroju i rewolucyi (c. d.);—dr. Paweł Popiel: Ze stolicy Niemiec;—dr. Stan. Zdziarski: Bez nadziei jutra;—Dwa miesiące obrad Dumy państwowej;—Sprawy krajowe;—Władysław Lubomęski: Szkoły rolnicze dla włościan i dopełniające kursa rolnicze przy szkołach ludowych;—Kronika literacka;—Przeгляд polityczny, przez *;—Henryk Jordan, wspomnienie pośmiertne, przez Stanisława Tarnowskiego.

— PRZEGLĄD Powszechny. Czerwiec. Dr. Wł. Czerkawski: Pierwsze powszechne głosowanie w Austrii;—ks. Wł. Wiecki: „Lourdes“ Zoli i „Lourdes“ Huysmansa;—ks. K. Konopka T. J.: Kongres wszechbrytyjskiego imperyum;—Marya Harsdorf: Z samotnych wieczorów;—Chybiński Adolf: Bogarodzica pod względem historyczno-muzycznym;—Przeгляд piśmiennictwa przez A. Mazanowskiego, ks. Jana Rotha T. J., ks. E. Matzla T. J., ks. A. Arndta T. J., Leona Bolesławskiego T. J., M. Harsdorf B., dr. A. B., A. R., A. Ch., T. W.;—Sprawozdanie z ruchu relig. nauk. i społecznego, przez ks. W. Wieckiego T. J., Teodora Jeske-Choińskiego, dra Feliksa Konecznego, M-o i ks. J. Pawelskiego T. J.

— PRZEGLĄD PRAWA I ADMINISTRACYI. Prof. dr. Piotr Stebelski: Rewizya nadzwyczajna w procesie karnym austryackim;—prof. dr. Zoll junior: Tradycya, jako sposób nabycia własności na rzeczach nieruchomych (dok.);—dr. Ryszard Leżański: O projekcie ustawy o wynagradzaniu szkody z powodu bezzasadnego przetrzymywania w areszcie śledczym (c. d.);—dr. Klemens Bąkowski: Dzierżawa gruntów pod budynki. Domy urzędnicze;—Zapiski litera-

ekie, przez d-ra Adolfa Bergera, E. T. Norberta Michalewicza; — Praktyka cywilno-sądowa, przez Hermana Mestera i M.; — Dodatek; — Zbiór ogłoszeń firmowych Trybunałów handlowych № 5.

— PRZEWODNIK NAUKOWY I LITERACKI. Kwiecień. Peleński Józef: Geneza i rozwój pierwszych kościołów; — Karbowski Antoni: Pedagogika Komisji edukacji narodowej w świetle systemów pedagogicznych XVIII w.; — Do dziejów Kamieńca Podolskiego (z papierów pozostałych po ś. p. d-rze A. J. Rolle).

— RODZINA I SZKOŁA. Kwiecień. M. H.: Nekrolog ś. p. Prezydenta Michalskiego; — Markowski Tomasz: Kara cielesna u teoretyków pedagogicznych; — Morecki Maksymilian: Nowoczesne poglądy wychowawcze; — Grudzińska Anna: Z psychologii dziecka; — Magierowski Leon: Język niemiecki w szkole ludowej; — Szczepański Franciszek: Słów kilka w sprawie nieregularności frekwencji; — Tenże: O działalności nauczyciela w czytelnich ludowych; — Z piśmiennictwa; — Rozmaitości i ogłoszenia. W dodatku „Wiedza i praca“; — M. H.: Nasi sąsiedzi z Marsa; — L. K...u: Luther Burbank, czarodziej kwiatów; — M. H.: Wełna z „Torfu“; — Zalewska: Maruna różowa (*Pyrethrum roseum*); — Perski proszek; — H. M.: Jak i co jadają Chińczycy; — Rozmaitości; — Ogłoszenia.

— ŚWIATOWIT. Rocznik poświęcony archeologii przeddziejowej i badaniom pierwotnej kultury polskiej i słowiańskiej. Wydany przez Erazma Majewskiego, tom III. — 1906. (93 ilustracyj w tekście i VI tablic). Warszawa, 1907. Skł. głów. w księg. E. Wende i Sp. 8-o, cz. I str. VI+04, cz. II str. 119.

— ŚWIAT SŁOWIAŃSKI. Maj. Zdzisław Marycki: Dwa najslabsze miejsca Słowiańszczyzny. (Słowo o Kaszubach i Słowiańcach styryjskich); — Stanisław Zdziarski: Uczeń polscy w Petersburgu; — Jerzy Moszyński: Przyczynki do wyświetlenia historii Królestwa Polskiego, wniesiony do Dumy państwowej dnia 23 kwietnia 1907 r.; — Przegląd prasy słowiańskiej; — Kronika.

— WSZECHŚWIAT I CZŁOWIEK. Zeszyt 63 i 64. Dzieje rozwoju przyrody i człowieka. Opracowane pod redakcją H. Kremera. Przekład St. Kramsztyka. 2000 ilustracyj i tablice kolorowych. Warszawa, 1907. Wyd. Tow. Akc. S. Orgelbranda Synów. Skł. głów. w księg. E. Wende i Sp. 8-o, str. od 49 — 104.

— WIADOMOŚCI NUMIZMATYCZNO-ARCHEOLOGICZNE. M. Gumowski: dr. Franciszek Piekosiński; — dr. Z. Zakrzewski: Wykopaliszko monet średniowiecznych piastowskich z Musternik (dok.); — M. Greim: Portrety Michała Potockiego i króla Augusta II w Kamieńcu Podolskim; — K. Marcinkowski: Inwentarz Wielkorządów krak. za Augusta II; — P. Wańkowiec: Wykopaliszko w Szypianach, gub. Mińskiej; — Bołsunowski Karol: Pisanki, jako obiekt kultu balwochwalczego; — Wiktor Wittyg: Znaki pieczętne (gmerki) mieszczan w Polsce w XVI i XVII wieku; — Polemika.

BIBLIOGRAFIA.

TEOLOGIA. — FILOZOFIA.

BILCZEWSKI JÓZEF, ARCYBISKUP KS.: O kościele Chrystusowym. List pasterski. Lwów, 1907. 8-o, str. 171.

BOUGAUD, BISKUP KS.: Chrystyanizm i czasy obecne. Tłómaczenie z francuskiego J. Bitnerowej. Księga czwarta. Kościół. Warszawa, 1907. Wydawnictwo księg. nakładowej M. Szezechowskiego. 8-o, str. 381 + VIII.

BRZozowski STANISŁAW: Fryderyk Nietzsche. Stanisławów, 1907. Nakł. księg. A. Strauduchera i Sp. 8-o, str. 78.

FULPIUS KAROL: Zarys moralności społecznej. Oparty na prawie Rozwoju. Podręcznik przeznaczony do kształcenia dzieci od lat 9—15. Z przedmową Augusta Dide'a. Spolszczyła i uzupełniła R. Centnerszwerowa. Warszawa, 1907. Nakład Wincentego Raabego. Skład główny w księgarni Powszechnej. 8-o, str. 144.

HARTMAN T., DR.: Czy człowiek żyje po śmierci? Wyd. II. Kraków, 1907. Nakł. wyd. „Więcej światła.“ 8-o, str. 46.

LIEBELT KAROL: O miłości Ojczyzny. Opracował Dr. Wiktor Hahn, c. k. prof. gimn. Brody, 1907. Nakł. Feliksa Westa. Warszawa, E. Wende i Sp. 8-o, str. 138.

Podwin ADAM, KS.: Drogowskazy (Listy do młodego przyjaciela). Kraków, 1907. Spółka wyd. polska. 8-o, str. 203 + III.

RADLIŃSKI IGNACY: Dwa dokumenty ludzkości (Dziesięcioro przykazań Bożych i deklamacja praw człowieka.) Warszawa, 1907. Skład główny w księgarni G. Centnerszwerera i Sp. 8-o, str. 14.

SZUKIEWICZ WOJCIECH: Odrodzenie etyczne (Z rozmyślań idealisty o rzeczach realnych). Warszawa-Lwów, 1907. Książnica t. 18. 8-o, str. 139.

TOLSTOI LEON, HR.: Wiara a kłamstwo wyznaniowe. Przekład Edwarda Miłkowskiego. Warszawa, 1907. 8-o, str. 18.

TRZECIAK ST., DR. KS.: Chrystus Pan a kwestya socyalna. Przez ... Przemysł, 1907. Wydanie drugie, znacznie rozszerzone. Skład główny w księgarni A. Juszyńskiego. 8-o, str. 66.

— Kolonie żydowskie za czasów Chrystusa Pana. Poznań, 1906. Nakł. księg. św. Wojciecha. 8-o, str. 28.

HISTORIA.

AKTA GRODZKIE I ZIEMSKIE z czasów Rzeczypospolitej polskiej z Archiwum t. zw. bernardyńskiego we Lwowie, wskutek fundacyi ś. p. Aleksandra hr. Stadnickiego, wydane staraniem gal. Wydziału krajowego. Tom XIX. Lwów, 1906. Sejfarth i Czajkowski. 4-o, str. 855.

ARCHIWUM MIASTA DROHOBYCZA. Zbiór przywilejów, aktów, dekretów granicznych, lustracyj, memoryałów i t. p. Wydał prof. Feliks Gątkiewicz. Drohobycz, 1907. Nakł. gminy m. Drohobycz. 8-o, str. 407.

BALZER OSWALD: Konstytucya Trzeciego Maja. Reformy społeczne i polityczne ustawy rządowej z r. 1791. Wydanie II. Lwów, 1907. Warszawa, E. Wende i Sp. 8-o, str. 80.

CHOCISZEWSKI JÓZEF: Dzieje narodu polskiego. Dla ludu i młodzieży w krótkości opracował... Wyd. IX ozdobione licznymi rycinami. Poznań, 1907. Nakł. księg. J. K. Żupańskiego. 8 o, str. 206.

GĄSIOROWSKA N.: Zarys dziejów Wielkiej Rewolucyi Francuskiej (1789—1804). Przyczyny powstania Rewolucyi, przebieg jej i skutki. Warszawa, 1907. Skład głów. w księg. Naukowej. Biblioteka Spółczesna. 8-o, str. 218.

HANDELSMAN MARCELI: Konstytucya Trzeciego Maja r. 1791. Warszawa, 1907. 8-o, str. 109.

JANKOWSKI CZESŁAW-KSAWERY: Bohaterowie Polscy. Karol Chodkiewicz. Kazimierz Pułaski. Ks. Józef Poniatowski. Z portretami. Skreślił. Warszawa, 1907. Wydawnictwo M. Arcta. Książki dla wszystkich № 384. 8-o, str. 138.

KATALOG ARCHIWUM AKTÓW DAWNYCH miasta Krakowa I. Dyplomy pergaminowe. Kraków, 1907. 8-o, str. VIII+324.

KOWALEWSKI EUGENIUSZ: Wspomnienia z przeszłości. Przyczynek do historyi powstania styczniowego na Litwie. Wilno, 1907. Nakładem „Dziennika Wileńskiego.” Makowski. 8-o, str. 118.

PAMIĘTNIKI JANA KILIŃSKIEGO o rewolucyi w Warszawie w r. 1794-ym. Warszawa, 1907. Książki dla wszystkich № 383. Wydawnictwo M. Arcta. 16-o, str. 132.

PIERLING P.: La Russie et le Saint-Siège. Études diplomatiques. IV. Pierre le Grand. La Sorbonne—Les Dolgorouki—Le duc de Liria—Jubé de la Cour. Paris, 1907. 8-o, str. VII+461.

POLSKA. Opisy i obrazy. T. II, zeszyt IV. Dr. Feliks Kopera: Dzieje budownictwa i rzeźby w Polsce; Dr Stanisław Tomkiewicz: Malarstwo w Polsce. Z 70 ilustracjami. Lwów, 1906. Nakł. Macierzy Polskiej. 4-o, str. 367—492.

PROCESY POLITYCZNE w Królestwie Polskiem. Materiały do historyi ruchu rewolucyjnego w Król. Polskiem. Materiały z okresu 1878—1865. Zeszyt I. Rok 1878—1879. Kraków, 1907. 8-o, str. ulb. 2 i 151.

SOMESKI WACŁAW: Henryk IV wobec Polski i Rosyi. Kraków, 1907. Nakł. Ak. Um. Spółka wyd. Polska. 8-o, 271.

HISTORIA LITERATURY I FILOLOGIA.

GALLE HENRYK: Słowniczek wyrazów o pisowni wątpliwej wraz z podziałem ich na zgłoski. Ułożył... Warszawa, 1907. Książki dla wszystkich № 299. Wydawnictwo M. Arcta. 16-o, str. 111.

KRÓLIŃSKI KAZIMIERZ: Pisownia polska ze słownikiem podług gramatyki prof. Kryńskiego i uchwał Kom. Językowej Ak. Um., tudzież zjazdu Rejowskiego. Wydanie III. Lwów, 1907. Nakł. księg. Maniszewskiego i Mein-harta. Warszawa, E. Wende i Sp. 8-o, str. 56.

KUCHARSKI EUGENIUSZ: Fredro jako romantyk. Przyczynek do dziejów polskiego romantyzmu. Lwów, 1906. Nakł. Tow. lit. im. A. Mickiewicza. 8-o, str. 31.

KALINA P.: Nowa mnemonika czyli sztuka kształcenia i wzmocnienia pamięci tudzież sposoby ułatwiające naukę języków obcych, spamiętanie imion własnych, chronologii, statystyki, chemii etc. Ułożył podług najnowszych i najlepszych źródeł. Warszawa, 1907. G. Centnerszwer. 8-o, str. 85.

MARCINOWSKA Z.: Eliza Orzeszkowa, jej życie i pisma. Warszawa, 1907. Skł. gł. w księgarni Polskiej. 8-o, str. 100

SŁOWACKI JULIUSZ: Mazepa. Objąsnił Henryk Galle. Arcydzieła poezyi polskiej w streszczeniach, wyjątkach i rezbiorach. Wydawnictwo odznaczone nagrodą kasy im. dr. Mianowskiego z zapisu Z. Pileckiego. Warszawa, 1907. Nakładem M. Areta. Książki dla wszystkich № 363. 16-o, str. 143.

TARNOWSKI STANISŁAW: Historia literatury polskiej. Tom VI. Część druga. Wiek XIX. 1863—1900. Kraków, 1905. Nakł. autora. 8-o, str. IV + 65.

WIERZBOWSKI TEODOR: Wiersze polityczne i przepowiednie, satyry i paskwile z XVI w. Warszawa, 1907. Z zap. kasy im. dr. Mianowskiego. Skł. gł. w księg. E. Wende. 8-o, str. 96.

PRAWO. EKONOMIA.

GRABSKI WŁADYSŁAW: Wywłaszczenie folwarków i program reform rolnych w Królestwie Polskiem. Przemowa do włościan... Warszawa, 1907. Skł. głów. w księg. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 35.

LUXEMBURG MAXYMILIAN: Odszkodowanie Robotników. Prawo z dnia 15 czerwca 1903 r. Przewodnik informacyjny dla fabrykantów, lekarzy, urzędników i pracowników fabrycznych. Opracował... Warszawa, 1907. Wydanie drugie. Z 1 obrazową tablicą na początku i Głównymi Podstawami projektu prawa o obowiązkowem ubezpieczeniu robotników na końcu. Nakładem autora. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 327.

OSTASZEWSKI-BARAŃSKI K.: Z krainy prawa, wolności i pracy. Ilustrowane zapiski z Belgii. Lwów, 1907. Nakł. M. Schmitta i Sp. G. Gebethner i Sp. w Krakowie. 8-o, str. VIII + 214.

ŁUNA.

VII.

Śniałowski, znużony drogą, znekany na duchu, zresztą głodny, gdyż od rana oprócz kawy, przelkniętej u Ryszarda, nie miał nic w ustach, wracał do siebie. Lubił swój pokój z widokiem na rzekę i żelazny most, na senne mijanie wód i gwarną gorączkę ludzką, zacisze własnego kąta, spokojne rozmowy z sobą samym, dobre godziny, gdy w nocnem milczeniu pisywał listy tęsknoty, albo odczytywał te, które słała mu drogą ręka... Dziś właśnie spodziewał się takiego listu, śpieszył... Ale dojrzał go z pędzącej dorożki Różycki, jeden z licznych „przyjaciół“ i towarzyszków, kolega, jakiś adwokat, taki sobie pan, gorący na słowach, i rzucił się na niego, jak na zdobycę, pełną zajmujących wieści.

— Wróciliście już... to dobrze... i kryjecie się... tymczasem obowiązkiem waszym zdać sprawę—natarł wesoło i poufale.

— Na ulicy trudno—bronił się Śniałowski.

— Znajdziemy do cukierni. Złapałem i nie puszcę was—nastawał elegancki adwokat—ciekawym jestem, chcę wiedzieć... należy mi się...

Śniałowski nie znosił cukierni i restauracyi, ale ustąpił, dał się zaprowadzić do jakiegoś stolika i uprzejmie opowiadał.

Twarz wykwintnego adwokata stała się uroczyście i skupioną, zdjął kapelusz, wicherzył sobie włosy ze wzruszenia i drapał się w głowę, słuchał ze szczególnym smakiem, potakiwał, patrzył błyszczącymi oczami.

— Więc wybuch jest aż tak blizki?—powtarzał, pochylając się tajemniczo do ucha Śniałowskiego—no, no, patrzcie!...

Potem zatart ręce, co czynił po każdej pomyślnej obronie.

— Fagus, dwie małe czarne! — krzyknął dziarsko — trochę likieru przy tej okazji... Rodbertusie, dobrze? — było to szkolne przezwisko Śniałowskiego — wy nie? może naparstek?

— Ciekawe rzeczy!... nie spodziewałem się... my tu jak w rogu, nie wiedzieliśmy... trzeba nawiązywać stosunki... i śleźć trzeba... puściliście już w ruch maszynę? — gadał, nie dosłuchawszy do końca opowiadania, potem szeptał z miną konspiracyjną, oglądając się na wsze strony, dawał jakieś wskazówki i rady.

— Ja także od niedawna w mieście — mówił dalej już głośno. — Jeździłem przewietrzyć się... Kapałem grzeszne ciudo w morzu, zwiedziłem Holandję... jakie muzea! prawda, was nie zajmuje sztuka! A tu, w Pacanowie wszystko po staremu... powodzi się nam nieźle... Mamy już z pięć czytelni, zwyciężyliśmy na wyborach... Stary wół dał firmę... ruszamy się... gazeta zacznie wychodzić... zdobywamy powoli, stopniowo placówkę po placówce... od dołu, od małych rzeczy... szkółki, czytelnie... pismo codzienne, jak owa kropla... gdzie tylko można, pakować swoich ludzi... brać co się daje, obsadzać...

Śniałowski zwiesił zmęczoną głowę i nie słuchał, a tauten prawił bez przerwy tonem człowieka zadowolonego.

— Pokojowy podbój!... już i rząd oswoił się z nami i popuścił... Wyobraźcie sobie, dziś bronilem Józwicka, wiecie tego, co to strzelił, i powiedziałem: w państwie, które się zachwiało, jak człowiek, który mdleje z braku tchu... dosłownie: w państwie, które się zachwiało, jak człowiek, który mdleje z braku tchu — z upodobaniem powtórzył — i nie przywołano mnie do porządku... signum mali ominis dla nich... Jabo wprawdzie nie pierwszy raz pozwoliłem sobie, przywykli do moich licencyj — dyskretnie chwalił się, płynnie opowiadał.

Różycki zauważył wreszcie znudzoną minę na znękanem obliczu towarzysza i zamilkł. Zacingnął się papierosem, puścił kłęb dymu, myślał.

— Więc wybuch na całej linii — szepnął znowu — tak, chyba już czas! tyle razy my za nich, teraz oni...

— A my? — spytał Śniałowski.

Elegancki adwokat znał zapatrywania kolegi, ale odparł ze swadą:

— Nam czekać...

Śniałowskiego znicięripliwil ton pewności siebie, podnosiło się w nim rozdrażnienie, rozpałał się już zawzięty ogień upartych

myśli, twardych postanowień, ostrych przekonań, budziła się, jak zwykle przy każdym zetknięciu się z ludźmi, których kochał, o ile nad nimi panował, zaciekleść, więc powiedział z naciskiem:

— Ja zaś twierdzą, że my czekać nie będziemy... wiem...

Różycki skoczył na krzesło.

— To niemożliwe!

— Ale tak będzie.

— Co będzie? używacie stylu delfickiego.

-- Wybuch w naszym kraju.

-- Chcecie tego! popychacie?

-- Chcę.

Twardym spojrzeniem fanatyka Śniałowski mierzył kolegę.

— Czekać i zacierać ręce nie przystoi— dodał.

Zapadło milczenie. Różycki bębnił palcami po stole. Minęło wesołe podniecenie, z którym rozprawił przed chwilą. Wzrok Śniałowskiego urągłiwy gniewał go. Ten zaś zapytał znowu:

— Pójdziecie z nami?

— Co to? indagacya?!

— Nie indagacya— zwykłe zapytanie. Trzeba się porozumieć...

— Pójdę, nie pójdę .. nie o mnie tu się rozbija... mój udział rzecz podrzędna— ze sztucznym zapalem zaczął adwokat— należy rozstrzygnąć w zasadzie czy wolno, czy czas jest, czy wybiła godzina... olbrzymią odpowiedzialność bierze na siebie ten, kto popycha niedojrzałe masy... Myśl polityczna...

— Zostawmy myśl polityczną— spokojnie przerwał Śniałowski— wielkie rzeczy stają się same. Nie my rozstrzygamy i nasze zdanie nie znaczy nic. Sporu akademickiego nie będę z wami prowadził, ponawiam pytanie: pójdziecie?

— Wydelegowano was do mnie z tą misją?— odciął się adwokat, który czuł ukrytą i w słowach i w spojrzeniach złośliwość.

— Widzę, że chcecie wykręcić się sianem.

— A ja uważam, że wleźliście na jakąś wysokość, że odegrzywacie tu jakąś rolę. .

— Pusta szermierka... nie poto zeszliliśmy się tu...

Nastalo milczenie. Śniałowski przyglądał się adwokatowi. Wzbierała mu w sercu gniewna pogarda dla tego pełnego tupetu, aroganckiej swady i chępliwości kolegi, który wielkie zagadnieniu mierzył małą i lichą miarą małego ducha, w strasliwym dramacie dziejowym szukał zabawy i pokarmu dla ambicyi, wesoło zacierał ręce, rozporządzał się, ferował wyroki— i nie mógł zapamiętać nad sobą. Z pogardy rodziła się nienawiść, chłodna i napaściwieca. W takich chwilach Śniałowski rzywał ludzi.

— Nie rozumiem takich, jak wy — odezwał się zimno. — Należycie do partyi, mowy wasze zawsze najgorętsze, artykuły w piśmiech najbardziej zjadliwe, a gdy idzie o czyn?!... Albo zostawmy burżuazyę na stronie, albo... Cały wasz t. zw. pokojowy podbój nie wart i funta kłaków... Nie nazwę nigdy działaniem tej jakiejś składki rocznej, tego kłaniania po gazetach przeciwników, tej podjazdowo-domowej wojny z klerykalizmem... Cóż po tych kilku czytelnikach, z których wyrzuciliście książki szlacheckie, po tych paru szkółkach bez wykładu religii, po obronie przestępców politycznych, z której tak bardzo dumni jesteście?..

Różycki zmarszczył się i dzwonił łyżeczką na lokaja.

— Gadać językiem, pisać piórem — sztydził Śniałowski — a jednocześnie urządzać sobie żywot ziemski podług wszelkich prawideł wygody i dostatku — to nie jest trud. Potrzeba trudu, przebudowy wewnętrznej. Bez tego jest się burżujem, przebrany w suknie socjalistyczne... rodzaj jaszczurczy, rodzaj pożałowania godny... pójdę teraz z wami do was... pamiętam w czasach studenckich izdebkę ciasną i chłodną, pamiętam zgrzebną koszulę: dłonie twarde od pracy fizycznej, ascetyzm i Tolstojowskie porywy... Dziś na kanapach, wśród sztychów, dywanów, ze strojną małżonką...

— Skończyliście? — szorstko przerwał Różycki. — A przedewszystkiem, mój panie, ja nie prosiłem was wcale o wygłoszenie opinii.

— Nie podoba się wam!... dobrze... niech będzie dosyć...

— Życie prywatne... nikt nie ma prawa wglądać w życie prywatne — adwokatowi drgnęły usta.

Odwrócił się i łajał lokaja:

— Płacić! wołam od godziny... przekłeta dziura!

I wyszedł wyprostowany, sztywny i zabawny w cylindrze, którym usiłował dodać swojej niepoczesnej osobie wzrostu. Śniałowski podążył za nim. Ogarnęło go znowu zgnębienie. Zwalczył je raz, tam w pokoju Pawła, gdy patrzył w gasnące blaski zachodu, ale to ponowne zetknięcie się z ludźmi, z obłudą, z klanstwem ust, z marną pychą marnych dusz... załewały mu serce gorycz i mrok osamotnienia, gryzło wątpienie. Są chwile, że i najsilniejsze duchy, przybite do krzyża życia, przez usta słabości wołają: pragnę...

„Krzyż życia... pragnienie...“ Czepia mi się języka poczyu“ smutnie uśmiechnął się Śniałowski.

Mijały go tłumy na chodniku.

„Który z nich jest bratem? — myślał — jak poznać? Głodny staje pod murem i wyciąga rękę... nakarmią... prosić tak samo

o jałmużnę ducha ..“ znowu poezya! — uśmiechnął się, ale smutek trawił moce duszy.

Szedł coraz wolniej i rozglądał się, jak gdyby naprawdę szukał kogo wśród przechodniów, potem zawrócił i zmienił kierunek. Kluczył jakiś czas, żeby odczepić się od szpiega, a zgubiwszy go po drodze, znikł w bramie. Po wązkich i brudnych schodach drapał się na górę, zastukał do drzwi, oznaczonych krzyżem i literami K. M. B. Drzwi były zawsze otwarte, gospodarz zawsze w domu i słowa powitania niezmiennie te same. Śniałowski usiadł na niskim stołku prawie u nóg starca, którego on jeden w partyi, a może i w mieście cenił i kochał — i milczał. Nie przychodził tu dla sporów, trawiących serce złością, dla wymiany zdawkowych pytań, dla pustych gawęd — potrzebował wytchnienia, spokoju, ukojenia dla oczu, wiedzy, zawartej w dopalającym się życiu, zadumy, zgłębiającej sprawy wieczne, słów miłości... I patrzył w ciche oblicze patriarchy, w źrenice łagodnie zamysłone nad otchłanią czasów, w czoło, pokreślone mądrością lat, w usta, nieustrudzenie przebaczące marność ludzi i dni, w blask świecącej wiernie duszy, zgadywał, poznawał, uczył się... Promień księżycy przedostawał się kędyś tam poprzez załomy dachu, odwiedzał tę najuboższą komorę i nakrapiał podłogę srebrnymi wzory; odezwał się od czasu do czasu zdziwionem dziecinnem zapytaniem kanarek, szemrał chrypliwie zmęczony długą służbą staroświecki z wagami zegar. Słodką była cisza tej celi, dobroczynnym mrok. Śniałowski odpoczywał. Zadumanie płynęło mu przez duszę, niby senna łódź po ukojonem w nocnej godzinie jeziorze... jezioro odbija spokojną głębię niebios, zanurza w sobie olbrzymie drzewa, marzy o rzeczach wysokich i dalekich, kryje w mrocznej toni niewyjaśnioną tajemnicę, wolno sunie łódź... Śniałowski spoglądał w milczące dale odmętu... Starzec znał swego gościa i nie przeszkadzał. Pieszczotliwie położył mu dłoń na rękę, szeptał coś do siebie... Miesięczny rysunek na podłodze to gasł, to ukazywał się na nowo.

— Dawno nie widzieliśmy się — zagadał Śniałowski.

— Nie przychodziłeś.

— Wyjeżdżałem, ojcze.

— Wyjeżdżałeś... — powtórzył obojętnie.

Starzec nie zadawał nigdy pytań. Nie obchodziła go strona zewnętrzna życia.

— Walczysz — szepnął — borykasz się z ludźmi i z sobą... z sobą najtrudniej...

— Słabość, zwątpienie, zniechęcenie... samotny jestem, najsmotniejszy—wymknęła się Śniałowskiemu skarga.

— Niema samotności, tak jak niema próżni—cicho odparł starzec—złudzenie oczu, tęskny krzyk serca. W chwili, w której upadasz pod brzmieniem, tysiące braci cierpi z tobą i za ciebie... Wspólna robota zjednoczonych niewidzialnie duchów...

— Gdybyż tak było, ojcze, gdybym ja mógł wierzyć!—gorąco przerwał młody—gdzież są ci bracia? nie znam ich! czemu nie spotkałem żadnego? Zgadłeś, ojcze: w tej chwili ja upadam pod brzemieniem a nikt nie wesprze! Złamie się, na marne idzie mój trud... — zatrzymał się jakby dla zaczerpnięcia tchu, mówił dalej szybko, gwałtownie.— Gładyator, który umierał w cyrku i gasnącem spojrzeniem zegnał dalekie bory, przeczuwał, że dla tej sprawy biją serca rzesz, że będzie męczeństwo wiernych i tryumf, że tam za niego szepcą rozmodlone wargi... Słodko jest konać... Porównywują oddawna naszą ideę do Tamtej dalekiej, chępliwie brzmi śpiew, rozumem i siłą rąk chcą zwyciężyć, sypią szauńce niewiści, ukochali używanie... jakże tedy...

Stara, trzęsąca się, zimna ręka pieścizotliwie dotknęła jego czoła.

— Straciłem dziś przyjaciela — gorącym szeptem opowiadał dalej — nie wielu ich mam... nie mam zupełnie. Boją się mnie i drwią, nazywają obłąkańcem, posępnym mnichem, stronią i odsuwają. Nie wywieram wpływu... Może i moja wina... Gorzki jestem, prawdę mówię im w oczy. Byłbym zetknął się z człowiekiem, widzę całą nędzę kłaniającej myśli, zababraną duszę—odwracam się ze wstrętem... Ja nie kocham ludzi, ojcze! Powiesz, że to jest ciężki grzech, że chłodno deszcze słów bez ciepła miłości nie karmią ziemi... Wiem, ojcze, wiem... Ale tak jest. Ja nie kocham ludzi i nie wolno mi nauczać, działać... prawda, ojcze? Miłość—pierwszy warunek... A ja nie mogę!... zejść im z drogi, zamknę się...—urwał.

— Duch ziemi, trwoga ciała—szepnęły wargi starca—łaska... na skrzydłach pokory wysoko... miłość nawiedzi...

— Tęsknię za jednym dniem szczęścia, za jednym dniem, któryby był mój... i serce w człowieku... porzuciłem, żałuję...—nieśmiało, prawie bojaźliwie dodał.

— Odgadłem... pokusa szczęścia, przyczyna słabości... Sny skradzione—westchnienie wymknęło się z piersi starca—sny... sny...

— Miałeś, ojcze, twarde chwile? wyrzekałeś się? upadałeś?—wzburzoną szeptem pytał Śniałowski.—I sam jesteś, na pustyni, opuszczony... boleści służyłeś... miłując... Ty rozumiesz!... Ale

za tobą już życie, a ja lata, jeszcze długie lata!... Gdyby to męka, gdyby jeden czyn, jedna godzina mocy!... Chciałbym... znudzony jestem... dzień po dniu, krok za krokiem peham, staczam się i znowu, znowu... och, uciążliwa praca... Pocóż ludziom narzucać, gdy nie chcą! A może ja błędę, zaślepiiony fanatyk? Nie lepiejże zejść im z drogi?—jeszcze raz urwał.

— Jest, ojcze, serce czyste, które pokochałem — drżał mu głos, gdy wyznawał — to serce cierpi i ja cierpię... mogliśmy razem we dwoje... przecież wolno każdemu zapragnąć... i matkę zgniotłem krzywdą... ona wzywa mnie... wrócę na drogę przeszłości... do nich...

Czekał odpowiedzi. Wziął rękę, która gładziła mu włosy, całował, patrzył w oczy.

— Sam ty wiesz — była odpowiedź — pojąłeś zdawna... do ostatka iść będziesz mocy posłuszny, łaską mocny... w miłości jedyne kochanie... odpocznij...

— Odpocząć—powtórzył jakby sennie—i znowu...

— Ani dni, ani lat... trwanie w jedności, praca przedwieczna... zajrz, ogarnij...

— Dlaczegoż ja, ja sam jeden—słabo opierał się Śniałowski—sam jeden za wszystkich... człowiek wątły jest. Nie zmienię biegu dziejów, nie wstrzymam rozpędu... do otchłani złęgo lecą... przemawiam do głuchych, ukazuję ślepym, umarłych budzę... czyż warto? Niema we mnie wiary, a bez wiary...

— Pan z tobą, duch Pański...

— Ani tej wiary, ojcze... żadnej, żadnej... ja rozbitek...

— Nieprawdę mówisz—surowo przerwał starzec.

Zaległa cisza. Z daleka, rzekłbyś z nizin, dochodził głuchy gwar miasta. Cykały drgające wskazówki, sterany zegar z wysiłkiem liczył minuty długiego pracowitego żywota. Na deskach podłogi srebrzyły się księżycowe zgłoski, nieczytelne, tajemnicze hieroglify i posuwały się zwolna ku nim te dziwne, żyjące litery — Śniałowski deptał je stopą.

— Pójdę już odezwał się tonem prośby.

— Zostań.

Starzec wstał, poszedł w stronę łóżka, wrócił niebawem. Trzymał krzyż w ręce.

— Wezwę... uproszę dla ciebie...

Śniałowski zwiesił głowę.

— Wiesz, ojcze... tej wiary nie mam oddawna — niechętnie wymówił.

— Ja czekam... modłę się codziennie... chodzi za tobą mój duch i prowadzi... stanie się cud.

— Cud?—uśmiech przewinął się przez cierpkie usta Śniałowskiego. Zabrał starcowi krzyż, odniósł i powiesił na zwykłym miejscu.

Było milczenie. Śniałowski przemierzył izdebkę krokami, stąpając na palcach, jak gdyby bał się spłoszyć. Uparte myśli miał na wąskim czole fanatyka.

— Ze ty, ojcze, wiarę uchować mogłeś—zaczął—żyjesz i patrzysz, dziejom i ludziom zajrzałeś w oczy, widziałeś cierpienie, nędzę, ohydę, niedolę, nieczemność...

— Pytasz czy kuszisz, szukasz czy deptać chcesz znowu surowo przerwał mu starzec.

A Śniałowskiemu dalej padały gorzkie słowa. Zapewne nie dosłyszał pytania.

— Myślałem nieraz, myślę... jakie dumania cierniową koroną krwawiły czoło jego, Który miłował, gdy na krzyżu przybity długie godziny oczami pożegnania spoglądał. . Ogarnął dal czasów, lichotę życia, daremność nauk swoich—zwałpił... Nie zwyciężył śmierci, nie obalił grzechu, odchodził pełen smutku... z żalu zgasły oczy Jego... Mamże wierzyć? Alboż nie wyrwała Mu się skarga, że opuścił Go Ojciec?... A tyle minęło wieków...

— Epoka stawania się... Zbliża się trzeci dzień dziejów, dzień Ducha...

Śniałowski uśmiechnął się i zanilkł. Usiadł na stołku, zasłonił twarz rękami, popadł w zamyślenie. Wówczas z łagodnych ust starca połała się cicha mowa nauki. Opowiadał, tłumaczył, wtajemniczał, poił żywą wodą wiary, krzepił chlebem wiedzy, pocieszał obietnicą przedwiecznych wyroków... Śniałowski nie słuchał. Słowa-ziarna staczały się w próżnię. Koiło go samo słodkie brzmienie głosu. W pewnej chwili wstał.

— Idziesz już?—nie zatrzymywał starzec.

— Tak, ojcze, późno...

— Zwalczyłeś niemoc?

— Służba—odparł sucho.

Po wybuchu szczerości, którego wstydzilo się i żalowało jego skryte serce, zamykał na wszystkie zamki drzwi duszy. Chwilę dumał na progu i cicho wyszedł.

— Przyjdziesz kiedy?—szepnął starzec, nie spostrzegłszy, że jego już niema.

VIII.

Hanka wysiadła z pociągu jedna z ostatnich. Za tragarzem, który niósł jej lekkie tłumoki, szła szybko ze spuszczoną głową, nie podnosząc spojrzenia, jak człowiek, który się kryje. Bała się — i przez całą drogę gnębiła ją ta nierozsądna obawa, że wszyscy znajomi, ile ich tylko jest w mieście, przeczują godzinę przyjazdu i wysypią nad dworzec — na spotkanie. Nie było nikogo, przynajmniej nikt jej nie zaczepił, nieczyje ciekawe oczy nie „zagabnęły.“ Szczęśliwie dobrnęła do poczekalni, do pokoju „damskiego.“ Tu stała czas jakiś koło okna, jak gdyby myśląc nad czemś.

Tragarz niecierpliwił się, pytał ją o coś, namawiał, — wsunęła mu pieniądze, żeby odszedł sobie prędzej i nie nużył jej pytaniem, dokąd zanieść rzeczy. Nie wiedziała sama... Usiadła na fotelu wygodnie, głęboko, wsparła odurzoną głowę. Po twardych ławach trzeciej klasy — miękkie wytchnienie. Była zmęczona, i kleiły się ociężałe powieki, zbite ciało domagało się snu, który nie przychodził, odpędzany przez władzę, niestrudzenie czuwającą. Jedno mgnienie snu — i natychmiast błysk myśli, przeszywającej ostrzem, świst, ściągnięcie batogiem... Tak było przez długie trzy doby podróży. Wydało się Hance, zaledwie przynknęła oczy, że ona jeszcze jedzie, że pociąg gwiżdże i gna, że wagon turkoce i stuka, że uciekają krajobrazy pól, ogrodów i miast, że znowu Niemka pieczołowicie troszczy się o nią i z ubolewającym niepokojem szepce: czy prędko?... I wnet ocknęła się stępiona świadomość.

Poczekalnia II-ej klasy szara i martwa, za oknami — szary, zaspany poranek jesienny, w ustach nieznośna cikliwość... Trzeba iść... Z trudem dźwignęła głowę, z trudem wstała i wyszła. Na ulicy lazły jej natarczywie w oczy szyldy, odczytywane niegdyś machinalnie każdego dnia; poznawały ją domy, okna, sklepy, drzewa, poznawała i ona... Krzyżowały się natrętnie wspomnienia, patrzyły ku niej — wśród krzyżowego ognia wspomnień i spojrzeń szła... Tu na rogu, koło tej latarni, kupowała u chłopaka kwiaty... więź pierwiosnków, marcowy dzień, blade, wiosenne niebo, młodzieńcze słońce, wiatr ciepły od pól, z nad rozmokłej ziemi, która chciwie dyszy głodną piersią... z kwiatami wracała do swego pokoju, tam pod № 32, nucąc coś o wiosnie, która była w sercu... Chwila daleka, jak słońce, które zaszło za góry, chwila obca i dziwna, jak uśmiech na twarzy śmiertelnie chorego... muśnięcie szczęścia niby widziana we śnie pieszczota matki zmarłej

przed laty... W tym magazynie robiła swoje sprawunki... uprzejma panienska witała ją przyjaźnie i gawędziły nieraz. Pewnego dnia uprzejma i blada panienska pokazała jej fotografię narzeczonego i prosiła o ułożenie wiersza...

Hanka kierowała się instynktownie ku dzielnicy miasta, najbardziej obcej. Dotarła do ogrodu. Na ławie pod drzewem, które ociekało łzami jesiennej mgły, spoczęła. Ostatnie liście szumiły jej nad głową urywanym, niedołącznym szelestem. W tej bojaźliwej mowie słabych istot tkwił smutek. Strwożonem seplenieniem nasuwały przypomnienie lata, niemile jak jęcząca opowieść o miłości w ustach bezzębnej staruchy, a jednocześnie chwytając się gadały o śmierci, o marnym końcu wszystkiego i drżały z zimna i opadały wolno, po jednym. Aleje były puste. Hanka błędziła po nich oczami bez celu. Osnuwała beztreściwą zadumą każde drzewo, każdą ławkę, ścieżki, ślady stóp przechodniów w błocie, gasnące istnienie trawników, pożółkłych z nudy, wierzchoły olbrzymich kasztanów, nad którymi mokrą i brudną płachtą wisało senliwe niebo, jakiś komin fabryczny, nagie gałęzie krzewu, zziębnięte kształty bogini na posagu, która mimo chłodu i słoty nie przestawała uśmiechać się mdłym jak cukier uśmiechem... Gdy ukazał się przechodzień, ruszyła dalej. Opowiadano jej przed rokiem, że w tym ogrodzie włóczy się niejaki starzec, zaczepia nieznanomych, spowiada, karci i nawraca, że on ma dziwne spojrzenie, którem zgaduje wszystko.. Uciekała...

Jakiś dom z białą kartką „do wynajęcia“, jakaś gospodyni, jakiś pokój... Najęła odrazu. Gospodyni próbowała zawiazać rozmowę i obmacując wścibskim wzrokiem jej figurę a ubolewając nad ciężkimi czasami, ciągnęła ją za język — potem nie przeszkadzał już nikt. Poczucie, że może tu zostać, że nie potrzebuje nigdzie iść, że nikt jej nie widzi, było prawie szczęściem, i pokój ten, najpodlejszy, z żółtem obiciem, z tandetowymi sprzętami, z ogłupiającym widokiem na ciasne podwórze, z Janem Sobieskim na wstrętnym oleodruku, z lustrem, pociętym w napisy, Hanka powitała jak przyjazną pomoc, jak przystań... Wąsała się leniwie bezbarwnymi myślami wśród tych ścian, przypatrując się to zakurzonej o połupanem malowidle ramie okna, to pękniętej szybie, to wąsom królewskim, to wytartej podłodze i poczyniła mnóstwo niezajmujących odkryć. Dostrzegła niedowcipny wiersz, wpleciony między wzory tapet a pod nim opatrzony wielu wykrzyknikami czyjś wyrzut: byłem!!!, zauważyła, że ktoś na stole zapyłonym wyrysował koguta, doszukała się w plamach na suficie podobieństwa do rogu obfitości, odnalazła na wizerunku Jana III-go

dziurę, jak gdyby od pchnięcia nożem... Wreszcie zapadła w moczy sen. Zbudził ją gwar w mieszkaniu. Nie mogła zrazu zrozumieć, gdzie się znajduje—słyszał już zmierzch. Tłumoki, rzuczone do kupy, przypomniały jej podróż i wszystkie szczegóły dnia, i natychmiast wzięła ją w posiadanie owa czuwająca w niej nieustannie władza, która nie była cierpieniem, a tylko niemilknącą pamięcią nieszczęścia, władza chłodna i obojętna, z której rodziła się śmiertelna obojętność na wszystko. Od szeregu tygodni Hanka znajdowała się w tej trawiącej życie mocy. Czasami odzywał się ból, ale zaraz gasł, jak płonąca żagiew, zanurzona w kałuży, i znowu następowały godziny zupełnego zaniku wszelkich sił, ospałej bierności, niemrawego niedołęstwa, godziny nicości. Oczy nie chciały patrzeć, dźwięki nie dochodziły do stepionego słuchu, bezwładne ręce nie mogły utrzymać przedmiotów, chwiały się nogi, każdy ruch utrudzał niezmiernie, samo fizyczne istnienie stawało się tak nieznośnem, jak wstrętnym był ów smak czczości w ustach, i Hanka tęskniła do nocy, do snu, do śmierci, do nicości prawdziwej, w którejby znikły świadomość i pamięć. Ale sen nie przychodził. Dopiero dziś pokrzepiła się jego ciemnym napojem i trochę raźniejsza wstała.

Po herbacie uporządkowała rzeczy i przygotowała pościel, pościerała kurze, wytrzepała i rozwiesiła suknie, potem myła się, czesała mokre włosy, a, gdy obeschły, zaplatała warkocz, jak za dawnych lat w domu rodzinnym... Przypomniały się jej dalekie wieczorne chwile, paniński pokój, wspólne pacierze, błogosławieństwo matki, bosa gonitwy z siostrami, wybuchy wesołości, ciche dumania o tem, co będzie, o życiu tajemniczem, o ziemi obiecanej przyszłości, marzenia po zgaszeniu świecy przed zaśnięciem, marzenia, które kołyszą... „Hanus” —słyszała głos siostr— Hanus, gdy wyjdiesz za mąż, przyjedziemy do ciebie...

— Śpijcie...

Za oknami gwizdał stróż nocny, ujadły psy, i lipy szumiały, lipy wysokie, ciemne, dostojne...

Jak biały żagiel na morzu ukazała się przeszłość, zamajaczyła, znikła... Przed wzrokiem była pustka, szara roztoecz...

Hanka zabrała się do jakiegoś zajęcia, spróbowała wepchnąć myśl w wąskie koryto obojętnych spostrzeżeń.

— Hanus!—słyszała znowu—gdy wrócisz do nas z podróży, opowiesz nam o wszystkim, coś widziała... — prosily siostry w wigilię odjazdu. I usiadły wszystkie cztery na łóżku i nachylały się ku niej, szepcząc, pytając. Uśmiechała się do nich szczęśliwa...

Dlaczego teraz po dniach zapomnienia odezwał się ten głos? I brzmiał dla niej jak płacz daleki... Kędyś, w oddali, nad jakimś grobowcem łka przeszłość... szumią lipy rodzinne nad cichem, nad bezpiecznym gniazdem... A niema powrotu, niema...

Splotła jakoś zabawnie ręce, przytuliła je do twarzy, skurczyła się, jak gdyby z zimna, zamknęła oczy...

A myśli rozlały się gwałtowną powodzią wspomnień, smutku, żalu, skarg... Nie było rady... Hanka musiała płynąć z niemi, tonąć, iść na same dno, kędy legła jej niedola. Gdy tygodniami gniotło ją, niby ciasna i ciężka zbroja, znużenie, wzywała odżywczej mocy bólu,—teraz z otwartą raną, w którą cierpienie sypało żarzące się węgle rozmyślań, wołała już tanto odrętwienie. Przymus czyjejs woli prowadził ją przez rozłogi boleści. Widziała dawne lata, skupione w jedną całość niby na obrazie, zalane jasnością, i szybko przebiegła po nich oczami, szybko odwróciła się tak jak odwraca się od domu rodzinnego, żeby nie płakać, syn, wygnany przez ojca, sięgnęła bliżej, ogarnęła spojrzeniem ten rok ostatni, tułaczy, to „szczęście...“ Dotąd z tchórzliwością, właściwą ludziom słabym a świadomym swego upadku, nie odważyła się ani razu uprzytomnić sobie przebytych kolei i żyła, nie myśląc. Tem badawczej przeto przyglądała się teraz. Przesuwały się chwile, dni — a ona z pewnem okrucieństwem wydobywała najdrobniejsze szczegóły... Opowiadała sobie samej, szperała, jak gdyby w celu doszukania się czegoś... Ale mimo jej woli szyderczej, mimo chęci, naigrawania się wspomnienia układały się w strofy jakowejś pieśni tęsknoty... Przesuwały się chwile, dni...

Wyjazd Miesiące wstydlive, zarumienione, płochliwe, niepewne, drżące, jakoby od ciągłego oczekiwania szczęścia, ręce wyciągnięte a powstrzymane bojaźnią, szept przeczuć na ustach, niepokój trzciny, chwiejącej się nad głębiami, chłodny dreszcz przed zastłoniętym obliczem przeznaczenia, długi, czarny cień, nieodstępnie sunący za nią, cień grzechu i jakiś żal... Jezioro w górach najczudniejsze, marzenie we dwoje, łódka, senna chęłba, obłok na niebie i obłok tam, na dnie toni, pocałunek, skradziony jej ustom, uśmiechniętym do szmaragdowej fali, pierwszy pocałunek oddany, śmiech niby dwojga dzieci, rozkosz oporu i oczy jego, wierne, pokorne, posłuszne, żebrzące...

Lato nad morzem w zagubionej wsi, ślub miłości, dni upojenia, błogie niemoce, poddanie się woli, uległość serca, upalny żar południa, leniwy sen zapomnienia o wszystkim...

I złote tygodnie jesieni, tygodnie wspólnej pracy, rzeźkich zapachów, nieskończonych projektów, śmiałych planów, dobrego gwarzenia o przyszłości, tygodnie przyjaźni dusz i bezpiecznego obcowania, wiary i przywiązania, spoczynek słodki pod skrzydłem kochającej opieki, oczy jego miłościwe, zwycięskie, panujące, oddane... wspomnienie kraju i żal cichy, jak szelest złotych liści, deptanych stopą... trochę tęsknoty—nietroskliwy lot ptaka, który wie, iż wróci do spokojnego gniazda...

Olbrzymia stolica, pracowite, pośpieszne dni, zachwyty i zawrót wrażeń... ich pokój, lampa, oboje pochyleni nad książkami, wieczory szczęścia, nieliczne...

Tu urywała. Nie mogła już opowiadać samej sobie.. Pismo dui stawało się nieczytelne, tży zamazały całe stronicę, ból pociął obraz ostatni ostrym nożem... Zostały strzępy...

...Kiedyś tam — ach tak, przy śniadaniu powiedziała mu... Powiedziała mu ona... zwiastowała wiadomość, za którą w książkach — czytała sama w niejednej — mężowie całują żony „w różowe uszko...“ zachmurzył się i patrzył długo w okno, gwizdał... pamięta wyraz jego oczu, chłodnych, niezadowolonych... Rozplakała się... On wyszedł z pokoju, nie wracał, wrócił późno w nocy... I coraz częściej, codziennie to samo... Zapadło między nimi milczenie i tkwiło jak mur, coraz grubszy, wyższy, ciemniejszy... jakaś sprzeczka i trzaśnięcie drzwiami — potem milczenie... powoli wykluwała się nienawiść... Unikał jej oczu i czuła to, że on jej poprostu nie widzi... Odezwał się raz, żeby zwrócić jej uwagę, iż zbrzydła bardzo, może śmiał się nawet.. wybuchła... Słowa, których wstydziała się, myśli, o których istnieniu nie wiedziała, polały się z jej ust, jakoby z cudzych ust... I jeszcze raz powtórzył jej, iż jest brzydka, zwłaszcza, kiedy się gniewa... Pewnego rana czytał w fotelu... na palcach zbliżyła się, pochylała się, objęła głowę jego z gwałtowną pieśczęcią... Heż razy dawniej było to hasłem do zabaw rozkosznych, serdecznych, podchmielonych! Sarknął — i dostrzegła grymas wstrętu... Nie odepchnął jej, ale przywarł powieki... — cofnęła się...

Długie dni szpetnego cierpienia na radosnym szczycie... taki był koniec słonecznej pieśni, ten kres szkarłatnego gościńca, takim to „szczęście całowanych ust...“

Hankę wstrząsnął śmiech. Błyszczącymi oczami patrzyła teraz przed siebie wyzywająco, patrzyła w ścianę, jak gdyby widziała tam za nią coś czy kogoś, i piekła spojrzeniem.

...ohydno godziny kłótni, obrzydliwe wrzaski słów nienawiści i wstrętu, podły płacz złości, rozpacz, słabości, płacz samo-

tny... nocie bez snu, plusk deszczów, głód, znużenie, bezmiar miasta, w którym nie było nikogo, nikogo... Wreszcie bunt dumy—porzuciła, przyjechała tu... rwała się do kraju, tęskniła niby do drogich objęć, niby do ukochanej piersi, do której można przytulić głowę — i oto ten pokój, gospodyni... życie, bo żyć trzeba od jutra, ulice... tak, żyć trzeba od jutra... — odskoczyła od tej myśli, jak gdyby się sparzyła... Na to jej przyszło, jej, królowie z baśni, dziecku, które kaprysi ze szczęścia, ptaszynie wiosennej—i on, Stach, brat duszy, kochanek serca, mąż poślubiony na wieczność i owa nieskończoność, wzięta w ramiona, ów byt...—zaczęła sztydzić słowami, znanymi dobrze, słowami Rzyżniewskiego z dziwną, szubieniczną wesołością, z którą od pewnego czasu przywykła siebie traktować. Był to naóg tak jak śmiech, którym co chwila godziła w siebie niby szpilką, i była to bezwiedna zemsta. Łapała siebie samą często na pospolitej ironii w stosunku do siebie, na spłowiątych płytkich żartach. Nie umiała już cierpieć jak niegdyś. gdy boleść była hymnem duszy, podniosła mocą życia — złość zjadliwa, cierpka, miętka, niby sproszkowany korzeń trujący mieszała się do cierpienia.

Stach, Stanisław Kazimierz Rzyżniewski, szczęśliwy pan, promienisty Apollo, ten, który klęcząc przed nią, zatębił w radosny róg i zabrad ją do złocistej kurocy życia i wiózł na gody—zgrzytała, dotykając pękniętych strun. Nie wiedziała teraz, czy ona kocha go jeszcze, czy ona wogóle kochała go kiedykolwiek. Miał nad nią władzę i bała się go od pierwszej chwili, przenikał ją swoją mocą, rozrzucał namiot pokusy—i wziął jako rzecz bezwolną. Potem w jej kobiecem, wdzięcznem, miękkim sercu wysnuła się ze złudzeń, z potrzeby kochania, z tego, że przywykła, mocna nie przywiązania, a ona przędła z niej stulę poślubną na życie i marzyła o spokojnem gnieździe szczęścia. Przecież roily się jej przez długie lata lazuruwe bajki, dobre wróżki, królewicze, paluce z kryształu i błędziła po zaczarowanym lesie, szukała, czekała... A wzięła ją za rękę piastunka odwieczna, najrodzeńsza i najwierniejsza, najbardziej troskliwa... Piastunka-niedola szepce surową prawdę o życiu i kołysze człowieka dziecko, kołysze póty, aż zakolysze mu sen śmierci... Im prędzej, tem lepiej... będzie ten koniec cichy... dla niej, kto wie, może już blisko... umrze przy pologu...

Znużenie ogarniało Hanke, więc szukała pociechy i znajdowała ją, jak zwykle ludzie niezdolni do walki a złamani nieszczęściem, w przeczuciu rychłej śmierci. Oddawna, prawie od chwili, gdy zrozumiała swój stan, uknuła z losem, w którego litościwość

wierzyła jeszcze resztkami dawnej, młodej wiary, spisek na swoje życie i liczyła miesiące, czasami z trwogą, najczęściej, gdy ciężar niedoli gnębił nad siły, z radością. Wiedziała, iż już zbliża się ten dzień, zdawało się jej nieraz, iż słyszy, jak bije i kołace w niej to drugie, tajemnicze serce. Zatajała oddech i z jakąś niezmiernie czułą ciekawością przechylała się, żeby przekonać się naprawdę, zbadać tajemnicę łona, złowić uchem... I nie słyszała nic. Zato potem niespodzianie nagłe poruszenie obcego obdarzonego własną wolą ciężaru przypominało. Każdego wieczora spodziewała się i żegnała się znakiem krzyża i kładła przy łóżku koszulkę, którą uszyła w sekrecie z jakiejś resztki płótna, żeby ci, co znajdą dziecię, gdy jej już nie będzie, mieli w co odziać nagie ciało... Łzy płynęły z oczu, łzy niewiadome... Wzrokiem bezwiednie przerażonym patrzyła ku tej godzinie, która miała przyjść, w której trzeba będzie własne życie oddać istocie nieznamnej... Była pewną, że stanie się tak, jak ułożyła sobie.

„Przynajmniej spocznę w ziemi rodzinnej“ — pomyślała z ulgą i jęła rozbierać się. Zgasila świece — mgnienie trwogi — może to dziś? Wsłuchiwała się w siebie... ze zmęczenia zasnęła.

Nazajutrz od rana usiadła przy oknie. Podwórze było nudne, jak rozpostarty nad niem szmat szarego nieba, jak słotny październik. Jakiś stangret w zielonym fartuchu, zakasawszy rękawy koszuli, mył powóz. Woda ściekała ze skrzydeł, z kół, ze stopni... Przyglądając się bezmyślnie temu zajęciu, Hanka sięgnęła do torby podróżnej po sakiewkę i zabrała się do liczenia pieniędzy przez niespodziany odruch rozsądku praktycznego, którym nie odznaczała się w życiu, najbardziej zaś z nudy. Z nudy układała systematycznie swoje bogactwa: papierki osobno i osobno miedziaki, srebrne ruble do kupy, ze złotych utworzyła krzyż, który ozdobiła pośrodku złotą monetą. Bawiła się, jak dziecko piaskiem. A wyczerpawszy cały zapas gotówki, zdziwiła się, że jest tak mało.

Przed wyjazdem sprzedawała zegarek, futro, niepotrzebne suknie, cyfra franków wydawała się dużą i nie troszczyła się o przyszłość. Gdzież się podziało? Przeliczyła jeszcze raz drżącymi palcami... to, co jest, starczy na kilka dni... nie wystarczy na komorne... gospodyni przyjdzie i zażąda... każe wyrzucić ją na bruk... i ten dach nad głową, który powitała prawie ze szczęściem... trzeba będzie pójść stąd, pokazać się ludziom... Hanka poczęła trząść się...

Puszczając się w podróż, przewidywała wiele rzeczy: pogoń Rzyzniewskiego, i dlatego obrała niezwykłą marszrutę, rozbitcie

się pociągu, czego pragnęła całym sercem, spotkanie ze znajomymi na dworcu i kryła się, więzienie z powodu przeterminowania paszportu, śmierć — tylko tego nie przewidziała... prawdy, rzeczywistości, istotnego nieszczęścia...

Znała wszystkie cierpienia, męki, smutki, znała wstyd, który wyżera oczy, samotność, nocę płaczu, krzywdę, poniewierkę, nieważność — pozna nędzę.

Trzęsa się i szczerkała zębami. Opuściły ją ostatnie siły, zamarta zdruzgotana najgorszym ciosem wola. Wystraszonemi, szeroko otwartymi oczami spoglądała w drzwi, pochyłona naprzód, z wyciągniętą szyją, w postawie zdrętwiałego, przerażonego oczekiwania. Tak siedziała zwykle tam, w stolicy, tak spędzała nieraz całe dnie, wyczekując, kiedy on wróci, bojąc się, że już nie wróci... Gospodyni stanie na progu z uśmiechem, poprosi o pieniądze od niechcienia, bardzo uprzejmie... Jakieś niedołeżne myśli snuły się po głowie, z ust spływały tchórzliwe skargi, żebrzące błagania

Kto ją tak gnębi? Bóg, los, jej własna wina? za co? za co? czyje miłosierdzie zlituje się nad nią?... Może pójść gdzie, do magnatów, opowiedzieć?... opisać w gazetach... do kościoła i zostać tam pod opieką Boga... księża, słudzy Boga... Są serca dobre, jest społeczna pomoc... Człowiekiem jest, kobietą słabą... alboż może człowiek zginąć pod płótnem... Chciała zastukać w okno i zawołać stangreta o czerwonych, mokrych rękach, żeby poszedł do swego pana w jej imieniu, miała zadzwonić, wezwać gospodynię i wyznać jej wszystko... potem przypomniada się jej panna Malinowska, która żyje wesoło, bez troski... Gdzież są ci moi wielbiciele pięknych kobiet? Gdyby znała choć jeden adres! Panna Malinowska wskaże, dopomoże, zaprowadzi... Cnota jest rzeczą wspianą, ale nędza, twarda, czarna, lodowata... Kędyś tam, daleko, w wielkim i wesołym mieście, o tej godzinie pan Rzyźniewski przy biurku, paląc papierosy, pisze wytworną powieść, kędyś tam, w cichym zacięzionym dworze wiejskim, matka, która ją kocha — a ona, a ona?... W alejach ogrodu ciemne szumy, wśród brzoź mogiła brata, ojca... zmarli nie cierpią... Kto zabronił człowiekowi umrzeć, kiedy ani sił, ani ochoty, ani możliwości... Spuszczono na nią sfory psów, zaszczuto... Wszystkie niedole już były... jeszcze nędza... Tam trzeba jej zejść na same dno, do ostatniej jaskini... Żebrać? Jakiż wstyd? niema wstydu... owszem zabawnie... Od drzwi do drzwi po schodach, do uśmiechniętych panów z wyciągniętą ręką... wypchną, wypędzą... jak pies ciepły włóczyć się będzie... ktoś poźdaje... dziecko przez

szparę drzwi wsunie dwa grosze... życie winno być pieśnią radośną człowieka silnego, odkąd Bóg cierpienia, żałobny upiór czasów umarł, odkąd wola odważna i dumne pragnienie—plątały się jej myśli...

W pewnej chwili zacięła zęby i powiedziała sobie, że zostanie tu, że dobrowolnie nie ustąpi, że tu w tym pokoju umrze z głodu. Niech wiedzą ludzie... Mijały godziny, i lały się z jej oczu łzy.

Plakała nie dlatego, że strawiło ją nieszczęście, że jest samotna i sponiewierana, w nędzy ostatniej—plakała z żalu nad sobą, nad upadkiem własnym, tak wielkim, iż całowałaby w tej chwili każdą rękę, która by jej rzuciła jałmużnę.

IX.

Promień słońca błysnął na ścianie, i, witając go oczami, Hanka zastanawiała się chwilę, czy nie jest to już uśmiech wiosny. Ułynęło bardzo dużo czasu, minął długi szereg dni, które zaszły w mgłę, po których została pamięć niepewna, powikłana i zatarta, jak wspomnienie sennych przywidzeń. Może to i były tylko sny? Tam, kędyś w odległej przeszłości jej powrót i niedola pierwszych dni, potem to wszystko! choroba i bóle, drobne i drogie ciałko dziecka, sine usta rozchylone w krzyku, pod czołem czerwonem, surowo zmarszczonem dwa czarne, żywe patrzące guziki, moment pieśszoty i radość rąk tulących, śmierć i chłód tego ciałka, martwy żal usteczek, szklana bezmyślność oczu zastygłych, nieruchomych, niepotrzebnych, nieme poczucie niemej krzywdy, niebieska trumienka ze srebrnym galonem, pustka, noce gorączki, dnie majaceń, tłum obcych osób, pan w białym fartuchu z rękami, których zapach przypominał aptekę, pani milcząca o ruchach powolnych, zagałkowy róg obfitości na suficie, poprzeczne zmarszczki na czole Andrzeja... Stopniowo odzyskiwała świadomość. Poznała rozkosz jedzenia, przyjemność spoczynku, gdy nie nie dolega, zabawę myśli, dziecinnych, prostych, zadowolonych z byle czego, radość serca, otoczonego dobrocią ludzką. Przekonała się, że ludzie są przyjaciółmi. Przecież gospodyni, chuda pani z kolezykami, wpadła do niej niegdyś, niegdyś, gdy zaniemogła i opiekowała się nią, i Andrzej... Skąd on się wziął? Ileż razy ona widziała go w tym pokoju, przy łóżku! Był wczoraj,

przyjdzie zapewne... może wówczas, gdy zgaśnie ten promień? Z uciechą Hanka wpatrywała się w śmiejącą się jasność słoneczną... człowiekowi niewiele potrzeba do szczęścia...

W ramy godzinach przeglądała gazety i nową powieść Rzyżniewskiego pod tytułem „Ozerwie,“ zapisywała przelotne myśli, odczytywała Nowy Testament, bawiła się z kotem. Badala kota z ciekawością, z zachwytem, z lubością. Wydawał się jej mądrym i doskonałym z tym swoim niezmaconym spokojem, z wytrawną wiedzą o wszystkim z niezrównaną celowością każdego ruchu. Istniał sam dla siebie, i wystarczał sobie, miał jeden cel wyraźny i prosty, który osiągał trafnie każdej chwili... Jak duch lekki i ostrożny wsuwał się, wskakiwał na okno, gdy świeciło słońce, siadał, patrzył, strzygł czujnymi uszami, od czasu do czasu wywijał egonem; w dnie słotne kładł się u niej na łóżku, mruzczał, drzemał, przymykał i otwierał sonne, żółte, nieruchome oczy, mył się, potem w jakimś jemu tylko wiadomym zamiarze, znikał na resztę dnia... A Hanka zastanawiała się nad jego istotą, nad jego istnieniem, powtarzała sobie, że należy uczyć się od niego żyć... Roztargnioną ręką przerzucała Ewangelię. Opuszczała ustępy bolesne, myśli wysokie i trudne, słowa cierpienia, szukała piękna i jasnych obietnic. Lubiała przebywać w mieście, które zowią Sychar, podle studni Jakóbowej w godzinę upału letniego z oną niewiastą samarytańską i marzyć u stóp Jezusa, spracowanego z drogi, o wodzie, która gasi pragnienie na wieki... Widziała gorący lazur nieba, południową białosć słońca, spieczone piaski, słodycz cienistego ustronia, ciche drzewo, chwiejące wierzchołkiem zamyślonym bez szelestu, znużoną twarz Pana i wielki spokój, który był dokoła, gdy On mówił... Lubiała tonąć w niezgłębionej zadumie nad jakimś wersetem, którego nie rozumiała, nad wyrzeczem, pełnym tajemnego znaczenia, zgadywała słowa, które Pan pisał „schyliwszy się na dół palcem na ziemi,“ gdy doktorowie i faryzeuszowie przywiedli niewiastę grzeszną, śniły się jej błonia zaświatowe, jasne w wiekuistym świtanii, nieprzerwana wiosna dusz, królestwo miłości... I była tam marzeniem...

Z uśmiechem łaskawej radości wracała do życia...

Przeszłość wydawała się jej nietylko bardzo odległą, ale także zupełnie obcą. Choroba i to wszystko, co było, porwało związek między nią dzisiejszą a tamtą w minionych okresach życia. Zmieniła się bardzo. Odmieniły się myśli i uczucia, innemi były oczy, inaczej śmiały się usta. Ktoś przebudował jej duszę, i zamiast zawilego przybytku o licznych zakamarkach, o tajemniczych celach i podziemnych mieszkaniach jest jeden widny pokój, pełen słońca. W pokoju — zwierciadło, które przyjaźnie odbija przedmioty, zjawiska, chwile i świeże polne kwiaty radości. Zapewniają go gwarem myśli, które polatują, niby ptaki, gawędzą, niby dzieci. W tym gwarze, wśród polnych zapachów, upływają dni. Nie trudno jest żyć, byleby poznać prawo... Zapatrywała się na ludzi i zdarzenia z nowego, a niezmiernie uproszczonego stanowiska. Nie czuła wdzięczności za okazywaną jej dobroć i przyjmowała wszystko z prostotą. Przecież i ona, gdy wyzdrowieje, odda im, odplaci, zwróci stokrotnie, przecież ten jest cel...

Na świstkach papieru w tym czasie zapisała następującą uwagę:

„Życie jest jak wartka rzeka, której wody noszą człowieka lekko i szybko z fali na falę. Nie trzeba żadnego wysiłku, dość poddać się i płynąć. Porównanie stare, jak świat, i myśl zupełnie zwyczajna, a jednak istniejące stare, jak świat, nieporozumienie. Wymyślono sztukę pływania i ludzie zmagają się z prądem, płyną rzekomo o własnym trudzie, ze śmieszem i niepotrzebnem wywijaniem rąk i nóg. Zmęczą się biedacy... A nurty jednako umykają jak z tym, co waleczy, tak i z tym, co uległ biernie, nikt nie popłynie dalej, nikt dłużej...

„Jesteśmy także, jak wędrowcy, z których każdy ma jeden dzień podróży od wschodu do zachodu słońca. Droga wije się wśród ślicznych krajobrazów... niebo, przedziwne obłoki, łany, kwiaty, szept konarów. Zdawałoby się, że tym wędrowcom — marzyć, dumać, iść wolno w pogodnem szczęściu tych, którzy zadumani marzą... Tyle radości, co do wieczora, tyle pociechy — co w oku z patrzenia, a w sercu z marzenia. A człowiek? człowiek zagubnia, co tylko znajdzie pod stopą, napycha siebie swoją piaskiem gościńca, odbiera innym, albo zazdrości i obciążony wlecze się, zajęty tylko noszą, i zrzędzi, zaniepokojony, by mu nie wyrwano torby. Zapada wieczór — kres...

„Tłómaczę się może niejasno, ale widzę jasno. Żyć znaczy — iść, płynąć, mijać, spoglądać, cieszyć się... Nie chcę torby... poznałam wielkie kłumstwo ludzkie...“

*

*

*

Zerwała w tym okresie stosunki z cierpieniem, nie знаła także wstydu, który rodzi się z tchórzostwa, z fałszu, ze słabości. Myślała głośno. Ze spokojną prostotą opowiadała Andrzejowi o podróży, o twardych dniach nieszczęścia, o wielkim, już zapomnianem, kochaniu młodości, o swojej tęsknocie za dzieciną, o pannie Malinowskiej, o matce i domu rodzinnym, o Rzyżniewskim... Rzyżniewski obchodził ją tyleż, co możnego pana obchodzi nabywca dalekiego, mało znanego, a sprzedanego z dobrym zyskiem majątku. Dowiedziała się, że on wrócił, że chciałby ją odwiedzić. Zgodziła się łatwo i przeszła nad tem do porządku.

— Byleby nie przeszkodził nam...

— W czym?

— W naszej wycieczce...

Układała oddawna projekt wycieczki za miasto we dwoje z malarzem.

— Pan zna okolice podmiejskie? — mówiła z zapałem — pan musi wiedzieć... Śnił mi się niekiedy w chorobie las liściasty, już konający na jesieni... Szłam przez jego szumiące przesmyki po posłaniu z liści, miękkim, pachnącem, suszczącym pod stopą... Mknie tam rozpadliną bystry ruczaj, który unosi liście, bełkocce i chłodny odbija tajemnicze głębie, czarne dziwy lasu... jest w pewnem miejscu osina, drżąca w purpurze opończy... pójdziemy tam... — i podnosiła na Andrzeja pogodne oczy, jak gdyby czekając.

— Z kotem? — żartował malarz.

— Tak.

— Tylko, że nie wiem, pogo ten kot...

— A pan taki do kota podobny — śmiała się.

— Ten sam szczęśliwy spokój, ta sama doskonała celowość, takie same proste rozwiązanie zagadnienia życia — dodała ciszej.

Zajęty był rysowaniem jej profilu i nie odpowiedział nic. Patrzała na wyteżenie jego czoła przy pracy, na rękę jego, w zarys wąsów.

— Myślę często o panu — mówiła dalej cicho — badam pana. Takich ludzi, jak pan, nie spotykałam jeszcze. Brakuje panu dwu rzeczy: nerwów i wyobraźni... dawniej nazwałabym to brakiem duszy lub serca. Jest pan trzeźwy nad wyraz, nie stroi się pan w piękne uczucia, nie używa pan pięknych słów, pan nie zna tęsknot i polotów... Pracownik z pana, pogodzony z rzeczywistością. Ani buntów społecznych, ani wątpień religijnych, ani cierpień narodowych... Pan robi swoje, nie dbając o resztę. Tak samo chłop orze zagon, przekonany o najistotniejszej doniosłości

swego trudu, tak samo drzewo na wiosnę puszcza pędy, zieleni się i rozwija, tak samo ziemia rodzi...

Andrzej zasepił się i milczał. Nie lubił rozmów poufnych.

— Wie pan—odezwawała się Hanka—gospodyni wyobraża sobie, że pan jest moim mężem. Nie wyprowadziłam jej z błędu... zresztą wszystko jedno... — zamysliła się.

— Przywykłam do pana — rzekła po chwili — dziwnie przywykłam... dawniej nie rozumiałam pana, teraz wiem... dojrzałam... proste i dobre życie z panem... szukałam daleko, szukałam głęboko i szkoda tych lat...

A potem spytała ze zwykłą prostotą:

— Pan także polubił mnie? Ja wierzę, że tak — odpowiedziała za niego.

Nastała cisza. Malarz przemazał rysunek i rozpoczął nowy, pochylał się nad papierem, od czasu do czasu ogarniał Hankę szybkim, zawodowym spojrzeniem. Ona zaś spoglądała w niego oczami, pełnymi blasku, uśmiechu, szczęścia i wiary.

— Cierpiałam wiele... za to teraz dobrze jest — szepnęła i dziękowała mu wzrokiem.

— Niech pan nie rysuje — poprosiła.

— Dlaczego?

— Pan zanadto zajęty i trudno rozmawiać...

Nie przerwał wszakże pracy.

— Czy pan ożeni się kiedy?

— Chyba nie...

— Należałoby, panie...

— Wyrosną kłopoty, przybędą niepokoje — uśmiechnął się. Hanka zamilkła.

*

*

*

Pewnego wieczoru przyszedł później, niż zwykle, i zaraz w pierwszej chwili uderzyła ją dziwna w nim zmiana. Palily mu się oczy, wąsy miał podkręcone, twarz była blade, i rozlewał się na niej wyraz sytości, zadowolenia, tępej wesołości a także znużenia, wyraz bezmyślnie swawolny, bardzo marny i głupi. Zalaatywał od niego zapach perfum. Błyszczącymi oczami patrzył, a rozumiała doskonale, że on jej nie widzi, że nie dba o nią, że

spojrzeniem ślizga się po niej, jak po rzeczy martwej, że myśl oczu została gdzieindziej. Usiadł blisko, położył ręce na stole, zagapił się z uśmiechem na ustach, może wspominając coś.

— Co słyszać dobrego? — spytał niedbale.

Zamiast odpowiedzi ogarnęła go wzrokiem i ujrzała wyraźnie w bezwstydnym jasnowidzeniu postać kobiety, którą tulił w ramionach, do której przysuwał usta, ocienione wąsem, do której śmiał się pożądlivym połyskiem oczu, której oddawał siebie, której był własnością. Słyszała śmiech tamtej, śmiech dwojga — coś niby rzenie, paliła się przed nią ta miłość, natrząsał się z niej ten obraz, ohydny a dokładny, jak prawda. I zamarło jej w dosłownem znaczeniu serce. Uczuła ból fizyczny, zmaciły się myśli. Z nagłego osłabienia zwiesiła głowę. Strugi piekącego płomienia płynęły przez nią. Chciała coś wykonać, pragnęła czegoś namiętnie. Może, by odszedł stąd nazawsze, może, by on wziął ją w ramiona, jak tamtą. Obeszwałniał ją cyniczny zapach tych perfum. Przypomnił się jej namiot ognisty, który już raz władza nieznaną i wszechsilną rozpiniała nad nią... Domyślała się, rozumiała, wiedziała, słyszała wyrok nad sobą... Andrzej przyglądał się jej z głupim, obcym uśmiechem, który należał do innej...

*

*

*

Odwiedzał ją często, przynosił książki, gazety i nowiny z miasta, zabawiał ją, rozłaczul przyjazną opiekę — i wszystko było jak dawniej, tylko ona zmieniła się. Miała jakiś ukryty żal... Czasami drażnił ją każdym ruchem i każdym odezwanieniem się, niezmaczonym spokojem, pogodnym uśmiechem, serdecznem ale zimnem podaniem ręki, akcentem, błędami językowemi, i sądziła go surowo, pomawiając o oschłość serca, o trzeźwość przyziemną i martwość duszy. Zadawała mu pytania, które wprawiły go w kłopot, które zbywał mileżeniem, mówiła górnice i sztucznie, gniewała się, że nie mógł, czy nie chciał za nią nadażyć, że nie rozumiał jej, szydziła z prostoty, którą nazywała prostactwem, wytykała mu ubóstwo duchowe, obojętność, zadowolenie z siebie... Stawała się wymagającą, niecierpliwą, sztywną, suna kopała nogą słodką przyjaźń ich serc... A znowu nazajutrz, dręczona rzewnym wyrzutem, ujęta jego dobrocią, że mimo wszystko

przychodził, witała go pokornie łagodnemi, olśnionemi oczami, i długie godziny gwarzyli w świetle radości.

— Mój dobry panie, zostań jeszcze! — prosiła, trzymając go za rękę.

Zostawał, — mijał wieczór świetlistą falą. mijał, i kładł się tem dłuższy, tem ciemniejszy cień smutku...

Któregoś dnia, niespodzianie, jak przed rokiem, zwiastował jej swój wyjazd. Nie powiedziała mu nic na razie, a po długiej chwili milczenia wycodziła obojętnie:

— Dobrze, niech pan jedzie...

I odwróciła się do niego plecami, patrzyła w okno. Kiedy to niebo było takim? Niebo niskie, szare, niezdnośne, płachta nudy... widziała, widziała... w dniu powrotu... tak...

Andrzej opowiadał coś o swoich siostrach, które wydawał za męż, o bracie, który kształcił się w średniej szkole rolniczej, o płodozmianie i dachach ogniotrwałych, o tkactwie i brukowaniu wsi...

Zamknęła się w wyniosłej dumie—nie słuchała.

— Pani gniewa się na mnie? — zapytał przy pożegnaniu.

— Ja na pana?!

— Niech pani będzie zdrową i wesolą... może i pani w swoje strony... niema, jak wieś... do widzenia...

Mocny uścisk dłoni... Wyszedł... Wówczas zerwała się z krzesła—na palcach do drzwi, — przyczaiła się, przez szparę patrzyła... szukał parasola i kaloszków, niecierpliwil się, porządny był...

— Proszę pana na chwilę...

Wrócił.

— Może pan napisze do mnie — mówiła na progu.

— Dobrze... chociaż ja do listów nie tegi... nie lubię...

— Proszę pana... jeszcze jedno... pan wydał dużo pieniędzy... ta moja choroba... pan opłacał... — łamał się jej głos — dziś zwrócić nie mogę... nie wiem kiedy...

Ujął jej rękę.

— Pani, takie głupstwo... kiedyś tam, kiedyś... zwyczajna rzecz między kolegami... — mówił z prostotą, przyjaźnie.

— Przyjmowałam z nędzy — rozplakała się.

Odprowadził ją do krzesła, usadowił, próbował uspokoić, zabawiał rozmową, jakiemiś żartami.

— Jak pani wyzdrowieje, napisze pani piękny poemat. Wierze pani podobują się bardzo. Jest tu Obroński, bogaty pan, który kupuje moje obrazy... chwalił talent pani, mówiłem mu o pani...

Oczami, które obeschły już oczami zdziwionemi i zawiedzionemi przypatrywała mu się. Potem dwie zmarszczki wystąpiły na jej bladym, znużonym czole. Myślała...

Była sama. Wstawiała, szła do okna, spędzała tam godziny. Miejsce pamiętne, drogie, bolesne. Drugie krzesło puste, nieporuszone... Stangret w zielonym fartuchu codziennie mył powóz—wspomnienie dnia straszliwej niedoli... Szły myśli... Nie umiała już żyć, jak dawniej, szczęściem oczu i serca, radosnym mijaniem chwil—marnowała się zdobytą wiedzą. Zamknęła na zawsze Ewangelię, chłodną książkę przymusu i cierpienia, trudną, niedostępną książkę, pisaną dla innych, dla tych, którym nie brakuje niczego, oprócz zbawienia, gniewnie wypędziła kota... Przeglądając nakreślone uwagi, owoc niedawnych dni, nie poznawała ani koszlawego pisma, ani niedołęznego stylu. Uśmiechnęła się nad dzieciinną prostotą wyrazów i spostrzeżeń—zniszczyła kartki. I z wytężeniem oddawała się zajęciu, które potępiła była, gorzkiej zadumie o gorzkim życiu własnym. Przechadzała się po ugorze przeszłości, zardzewiałą motyką troski kopała w zagonie teraźniejszości, szukała może pożywienia prawdy, może złota szczęścia... Potem jakiś wyraz, jakaś rzecz drobna przypominały jej tamte chwile—nieskończenie bolesne szarpnięcie—zapachniało wonią stracone szczęście—cieszyła się, że serce milczy, że serce śpi, że serca nie ma, że tylko wystygła próżnia, może obojętne drewno... Przynajmniej cierpieć nie będzie... Ale mimo wszystko żyła tęsknota. Długie godziny, jak głodny o kawałku chleba, myślała o jego siwych, spokojnych, uważnych oczach, o jego zwinnych rękach, o czole, pofalowanym w poprzeczne bruzdy, o nieokreślonym uśmiechu, który nic nie obiecywał, o ustach uprzejmych i chłodnych, o jasnym wąsie, który muskał czasami, słuchając jej opowieści... Raz ona dotknęła tych wąsów i gładziła je żartobliwą ręką, bawiła się włosami, położyła mu obie dłonie na głowie, pochyliła się, zajrzała w źrenice... Przejmował ją wstyd na wspomnienie... Gdyby kochał—w owej chwili... Zjadliwie śmiała się z siebie—gdyby ona była tamtą... Zato rozumiała, że ona go kocha, i nieraz wymawiała sobie, że z prostotą nie wyznała, że zru-

ziła go taktyką wyczekującej dumy, oschłej wyniosłości, przebiegłego ukrywania... bo, może, może... byłoby inaczej... łudziła się... gołąb nadziei przynosił sercu pożywienie, i zaczynała pisać do niego, żeby naprawić błąd. Ale nazajutrz rwała list w kawałki... Bywały okresy rozjątrzenia. Wówczas deptała uczucie szyderstwem, nazywała miłość zmysłową gorączką, pastwiła się nad Andrzejem a, zmęczona bluźnierczą krytyką, zapadała w długie omdlenie, w obojętny spokój grabarza, zaspanego nad cudzą mogiłą... Gapiła się na podwórze, nasłuchiwała, poznawała lokatorów po krokach, wpatrywała się całymi godzinami w oblicze królewskie, które na ohydny oleodruk obmierzło jej do obrzydzenia, dłubała palcem w ścianie pod framugą okienną, gdzie odpadł kawałek tynku. Wlokły się jesienne chwile... Któregoś dnia przeraziła się przed lustrem na widok swojej mizernej i żółtej twarzy, białych ust, stroskanych oczu, łysiejącego czoła, zniszczonej sukni. Nie przyglądała się sobie od czasu, gdy jeszcze tamten powiedział jej, że zbrzydła. Zwierciadło mówiło drwiącą prawdę. Spojrzała na ręce swoje chude, bez krwi, słabe, na wstrętny łachman codziennej sukni, ostatniej, którą posiadała, i jeszcze raz zbudala siebie... śmieszne koronki u krótkich rękawów, śmieszne pretensye i śmieszne kochanie takiej, jak ona... chorej nędzarki, która chwieje się na nogach, brzydkiej starej kobiety... odjechał... cóż dziwnego! litował się i wspierał, a gdy wyciągnęła ręce, uciekł przerażony... minęła jej młodość i wygasły jej prawa... a ona wdzięczyła się z tą swoją trupią twarzą... musiał śmiać się, że zaledwie odbyła chorobę jednej miłości — na nowo... albowiem on mógł zrozumieć tamto, że tamto stało się i było — bez udziału serca, że skutku nie poprzedziła przyczyna, że kwiat kochania pozostał w jej duszy nietknięty i niepokalany... Kto temu uwierzy? I wówczas dopiero dotarła do niej myśl, iż Andrzej opuścił ją nie z miłości do tamtej, a z pogardy dla niej. Zadraśnięta zabrutym ostrzem tego spostrzeżenia, dusza otworzyła się, ożyła, wezbrała cierpieniem, jak gdyby już niedość było. Najsmutniejszy żal po utracie, najżałośniejsza tęsknota, głód nienasyconych, wiecznie pamiętających oczu — było niczem w porównaniu ze skirem tego wstydu, z raną zniewagi. Żelazne brony niestrudzenie szarpały żywe, krwawiące serce, cała świadomość, jak w fizycznej chorobie, gdy rak wyjada jelita, zawarła się w wyrazie: ból. Hanka poznała wszystkie jego rodzaje, szła przez wszystkie jego przybytki, zapadała coraz głębiej w jego czarny odmęt... Szamotała się i ulegała, broniła się i sama rzuciła się w otchłań... zrywały się burze, następowała cisza... oczami, zatopionemi w morze swojej

niedoli, śledziła daleki, coraz dalszy, zgubiony na zawsze żagiel kochania... szeptała najcichsze modlitwy... czasami nad sinem morzem tęsknoty płakała... to były rzadkie chwile ukojenia... Wreszcie po dniach, po dniach dusza wessała w siebie ton bólu — i został suchy piasek złości, po którym pełzały gady. Pytanie: czemu? plugawe gniazdo węzów... jad buntu... szukała przyczyn nieszczęścia i sprawców krzywdy, domagała się sprawiedliwości, zlorzeżyła temu, który ją oszukał, a nie umiała nazwać go po imieniu. Kto ją zwiódł i doprowadził do klęski? Dlaczego dumny pancernik jej wiary życiowej rozbił się, wyprawa wojenna po szczęście zakończyła się okrutną porażką? Uczono ją, że życie jest jak złotogłów i że należy przygotować z niego szatę dla szczęścia, uczono ją, iż życie jest uczcą, i jeszcze uczono, iż z życia ma wznieść pałac samotny, niedostępny i wspaniały — pomieszkanie dla szczęścia... Nauk było wiele — wierzyła.

Gromadziła przez lata skarby na przyjęcie królewicza, który nie ukazał się, rzeźbiła misterną kołyskę dla dziecięcia, które nie urodziło się nigdy... Czemuż inni posiadli?

Wierzyła, pragnęła, czekała szczęścia, żyła bez szczęścia dla szczęścia. Nie znalazła. Czemuż tedy jest życie?

Młodość jej zbiegła na daremnej tęsknocie. W głuchym zakątku, na ścieżce powszedniej, w nizinie wśród ubogich, maluczkich, sennych — więdła. Jak drży niespokojnie poruszane wiatrem drzewo, tak wstrząsała się jej dusza od tajemnego wołania: w świat, w świat, do życia!... Ile wieczorów, ile nocy, upojona tem wołaniem, żaliła się zorzy, gwiazdom, ciszy niebios!... Burzyły się buntownicze myśli, żarzyły się w sercu niestygnące węgle dumnych pragnień... Zerwała się do lotu, szła w świat po życie, które byłoby mocą, rozkwitem, płomieniem, chciała być z temi, których ramiona stargały więzy, których siłę zazdrościła... Ale nie powstał wysniony poemat mocy, świat szeroki, świat wolny nie dał nic. . . Płynęły strofy jałowych a zmudnych dni, gnębił rytm nudy — na dnie była ta sama tęsknota. Tęskniąc, poznała słabość swoją, poznała prawo istnienia, siłę wyzwolonych. Karminiła ją radosna wiedza. Postanowiła zdusić cierpienie, smutki, samą tęsknotę, stłumić mowę bojaźni, szept przebrzmiałych przesądów, postanowiła brać... Szczęście jest zdobyczą zwycięzcy, darem śmiałej woli, nagrodą wyzwolonego, życie — jak łuk w rękę bawiącego się...

Pancernik nowej wiary życiowej był gotów — rozbił się... Hanka szukała przyczyn klęski i nie umiała znaleźć. Myśl jak dezertier, jak ów dobosz, ocalały z wielkiej armii, wędowała się po

bezdrożach, błędziła, kryła się w nieznanym ostępach, albo zmęczona pragnęła zgonu. Zabrzmiała od czasu do czasu zwrotka dawnej pieśni bojowej, majaczyły w pamięci strzepy sztandaru—zresztą zniechęcenie, jad buntowniczych pytań, jadowite poczucie krzywdy. W sercu przelewała się i kipiła złość, mącąc jasność sądu, zakłócając spokój niezbędnego zastanowienia, w duszy zapanaował mrok, rozpętały się szpetne moce. Z uśmiechem cynicznego zadowolenia Hanka przyglądała się ich szkaradnym obliczom, ich szybkiej burzycielskiej robocie, dopomagała im. Lubiła szydzić z siebie, z Hanki, marzącej podniosłość, cierpiącej górną, milującej szczytnie, bijącej się w piersi, klęczącej przed Bogiem, bojaźliwej i dziewiczej, z ochotą deptała dawne poglądy, uniesienia, dawne modlitwy ducha, śmiała się z upadku i z bólu, którym za upadek płaciła swemu sumieniu. Teraz chciałaby upaść jeszcze niżej. I kartowała projekt wyszukania panny Malinowskiej, osiągnięcia jej światłej rady, udania się pod jej opiekę, sprzedawała cnotę swoją za zły szeląg, babrała się w błocie ostatecznego poniżenia, wywlekała obrazy najpodlejszej bańby, staczała się... Mściła się w ten sposób na sobie samej, na Andrzeju, na życiu swoim, na nieznanym krzywdzicielu, którego czyniła odpowiedzialnym za niedolę życia. Wydawało się jej, że, skoro stawka szczęścia przegrana na zawsze, gra pozbawiona jest wszelkiego sensu i że ona nie ma już nic do stracenia. W dali widziała śmierć, która przyjdzie na jej zawołanie, ale przed końcem bliskim a marnym postanowiła wyczerpać wszystko. Pragnęła bogactwa i uciech, z nędzy i szarzyzny rwała się do rozkoszy, które tę mają niepowszednią wartość, że odurzają i pożerają serce razem z jego bólem. Znała smak „ucziwie zapracowanego chleba“ i dość już miała tej sielanki w marzeniu sytych i chorych z przejedzenia, znała spokój nudnych dni, kierat obowiązku, cnotliwy uwiad— i zazdrościła tym, którzy pełnemi garściami czerpią złoto i śmieją się nad otchłanią. Szumiady jej w głowie gwary świetnych uczt, rozpałały się przed oczami wizje szalów, kusiły godziny upojenia. Wina, które daje wesele i zapomnienie, pragnęły jej usta. Gotowa była wyjść na ulicę, z pijanymi tańczyć, w szynku zabawiać się... Ale zostawała w domu, na krześle, przy oknie z widokiem na niezdolne podwórze, gapiała się, poziewała... Był zanik woli i niemoc i w głębi wstręt do ludzi, do kamienie, bo są mieszkaniem ludzi, do ulic, bo jeżdżą niemi ludzie, wstręt do siebie samej i do swego nieszczęścia. Cierpiąc, znienawidziła cierpienie oraz siebie za to, że cierpi. Miała obrzydzenie do jęku słabości, który w niej mieszkał, do owych niezliczonych skarg, które żaliły się

w sercu, wiecznie te same, jak melodye w pozytywce. Rozumiała niedołęstwo swej duszy, i marzył się jej czyn mocy. Potem wyśmiewała marzenie, wiedząc, że jest niezdolna... I sprawiały jej zadowolenie tylko gazety, w których czytała przepowiednie wybuchu, który, być może, zaleje krwią, spali pożarem, stratuje zniszczeniem. zamieni w gruzy... Zakopać najgłępsze własne istnienie pod gruzami tego ohydneho miasta byłoby najlepiej...

*

*

*

Pewnego rana niespodzianie we drzwiach stanęła matka. Bez zdziwienia Hanka wyszła na jej spotkanie. Przywitwały się. Pani Krystyna chwyciła ją w objęcia, tuliła, trzymała długo, jak gdyby chciała osłonić, obronić, nie puścić od siebie. Miała ciche słowa na wzruszonych wargach, lzy lały się z oczu, któremi patrzyła bojaźliwie i żałośnie, któremi kochała, pieściła... Otarła je szybko, usiadła i Hanka pomyślała, iż to jest jego krzesło, krzesło, które stało dotąd nieporuszenie. Było milczenie.

— Udało mi się dojechać ostatnim pociągiem — zaczęła matka — miałam przygody.

— Podobno nie chodzą pociągi...

— Prawdziwa rewolucya... czytałam dziś w pismach... i u nas tam chłopci...

— I u nas także... należało spodziewać się... przecież to raz musi się skończyć...

— Co też ty mówisz?!

Zauważyła, iż matka trzęsie się, że głos ma zdławiony trwożą. Od dnia owego pożaru, od śmierci ojca nie przestała drzeć... Twarz sterwna, pokąsana przez troski, wątła, zużone, pracowite ręce, obrączka na wskazującym palcu, suknia odświętna, ta sama... Przypominała znane szczegóły, czyniła obojętne spostrzeżenia. Potem odwróciła się, wolała spoglądać przez okno.

— A ty oddawna tu? — nieśmiałe pytanie, pierwsze, po którym nastąpią inne, coraz ciekawsze, coraz bardziej śledcze.

— Ja? chyba tak... nie liczyłam dni... były jeszcze na drzewach liście...

— Czemu nie pisałaś do nas?

Córka uśmiechnęła się dziwnie.

— Od roku nie dawałaś znaku życia... byłabym przyjechała wcześniej... nie wiedziałam... — z trudem mówiła matka. Mimo woli spuściła oczy.

Nastąpi cisza.

— Zdrowa jesteś teraz?

— Chyba tak...

— Wyglądasz blade...

Tak rozmawiały. Po roku oddalenia, po tem, co było, nie mogły inaczej. Hanka lakonicznie odpowiadała na pytania, leniwie cedziła słowa. Serce jej uciekło na odległy brzeg za lodowatą rzekę obojętności. Co jakiś czas zapadało milczenie. W pewnej chwili pani Krystyna zbliżyła się do córki z pieszczotą.

— Hanuś moja biedna! — szepnęła.

Spotkała niechętnie wejrzenie — zmieszała się.

— Niech mama nie nazywa mnie biedną—sucho rzekła Hanka.

Bojaźliwe kochanie, litość, przebaczenie i współczucie, z któremi matka szła do niej, niby z gojącym plastrem, drażniły ją. Jednocześnie niepokoił wzrok matczynych oczu, które kołatały natarczywie do zamkniętej duszy, niby właściciel do swego mieszkania, w poczuciu niezaprzeczonych praw. Domyślała się, iż przyjdą wnet prośby o zaufanie macierzyńskiemu sercu, że będzie żądanie „dowiedzenia się o wszystkim,“ że jest już jakiś gotowy projekt, ułożony na jej conto jeszcze na wsi, a przy pośrednictwie proboszcza, projekt pokuty i poprawy, że matka zechce rozciągnąć nad nią, potrzebującą oparcia, opiekę. Czytała w sercu matki, zresztą i bez czytania odgadła... Będzie murzucąc jej rolę córki marnotrawnej, Magdaleny, oblewającej łzami drogę upadku, ofiary buntowniczego ducha czasów... Kazanie o skrusze i miłosierdziu Bożem, zwrotka na temat pychy... Jak gdyby słyszała rozmowę matki z proboszczem, który nauczał, karmił, pocieszał i doradzał... matka popłakiwała... załamywano nad jej zbłąkaniem ręce... zgodne zrządzenie na duch czasu i nieposłuszeństwo... lekka wymówka za zbytnią słabość dla dzieci, które pozbawione właściwego kierunku schodzą na manowce... upadek, wytykany skwapliwie z pewnem zadowoleniem... „Nie słuchałaś nas — masz tedy... chciałaś być rozumniejszą od nas — jesteś ukaraną. Ale jeśli żałujesz za grzechy, my litujemy się nad tobą i pozwalamy ci wrócić...“

— Otóż nie wróć! — myślała z dziecinnym uporem — nie stało mi się nic złego... rada jestem z siebie...

Znużona cierpieniem, była tak bierną, iż zgodziłaby się na wszystko i poszłaby za każdym, przyjazd matki poruszył dawne

myśli. Przypomniat się jej wróg, z którym staczała walki, którego z takim trudem pokonała, który, skoro zwycięży kogo, wprzęga w swoje jarzmo i czyni niewolnikiem, wróg ten niebezpieczniejszy, iż miał w jej własnym sercu sprzymierzeńców, że na sztandarze swoim wypisywał słowa święte i drogie, że zasłaniał się matką, przeszłością, ukochanym wspomnieniem, że za uległość płacił ciszą domu rodzinnego, miłością blizkich, bezpieczeństwem, wygodą i spokojem, przypomniatły się smutne lata poddaństwa... W jego to imieniu przybyła tu matka ze słowami litości, pod którymi kryje się radość, że buntownica pobita jest na głowę, z żądaniem, by ona wyparła się praw swoich i podeptała to wszystko, czego ongi broniła i przygotowane już dla niej kajdany, wór pokutniczy, włosienicę... Rozpocznie się niewola... trzeba być pokorną i posłuszną... niewolno mieć myśli własnych, niewolno pragnąć... ze spuszczonej oczami iść i deptać ścieżkę, wydeptaną przez ojców, przez dziadów, przez prababki... oddawać cześć tradycyi... bodajbyś była ten przedła niewiasto!... Rozeszła się po okolicy wieść, kiwają się z ubolewaniem stare grzyby, każdy ciekawy jest i każdy ze swemi trzema groszami rady... przyjaciółki-sąsiadki odwrócą się zgorzone, drżąc o swoją cnotę, skandal w parafii... Nie śniły się kurom w kurniku percie nadchmurne, orłowe szlaki, wysoki lot tęskniących skrzydeł, czarne przepaści zatracenia, groby dumnych... są rozsądne kurze przepisy, jest użyteczność znoszenia codziennie jaj... I one to sądzić będą skrwa-wioną orlicę!...

Wyniosłe myśli zaigrały w Hance, gotowa była stawiać opór, jak dawniej. Brakowało tylko dawnej wiary... Jakichże praw miała bronić? praw do życia, które stało się nieznośnem, jak cuchnąca szata? przywilejów szczęścia, którego nie znała i z widzenia? nędzy i hańby? miłości, którą zabrały jej ręce ulicznej kobiety? tej pustki i nudy? I przemagało w niej zmęczenie... postanowiła tylko milczeć...

Jakoż tego jeszcze wieczora, gdy matka usiadła przy niej i rozpoczęła rozmowę, jak dawniej, jak dawno temu, gdy nieraz do późnej nocy gwarzyły — ona nie odpowiadała na pytania.

— Hanuś moja! — mówiła matka — ja wiem, że ty cierpisz... ciężką zgotowałeś sobie dolę... Boże, takie koleje!... Dreszcz chwycił ją i otuliła się w swoją chustkę.

— Biedne twoje serce, Hanuś, i dusza biedna — dodała ciszej.

— Byłaś wśród obcych, wśród złych ludzi i nieufni jesteś nawet ze mną, z matką. Nie chcesz otworzyć serca, a byłoby ci

łzej... Słuchaj, Hanuś, powiedz mi wszystko... łzami trzeba wyplakać...

I pani Krystyna brała chłodne ręce córki, gładziła niemi siebie po twarzy, chuchała na nie. Potem zaglądała w nieruchome, obojętne, nieme oczy. Hanka przywierała powieki, po twarzy pełzało niezadowolenie, nad którym nie umiała zapanować. Każdy wyraz, szeptany przez drogie usta matki, jątrzył, niecierpliwil, gniewał. Jak rozkapryszone dziecko, miałyby ochotę zatkać sobie uszy — słuchała...

— Boisz się, że zacznę uskarżać się, że ja z potępieniem, z wyrzutami... Hanuś, zapomniiałś, że matka... że są serca, które kochają, że nie moja rzecz przebaczać, że Bóg... — matka dła wiła się łzami, milkła na chwilę.

— Czas łagodzi i leczy. Wszystko przechodzi, Hanuś. Są dnie, jak wieki, ale lata mijają... Przeżyłam ja tych lat... Jeszcze i ciebie nie ominie szczęście. Bóg doświadcza, a potem, potem pociesza promieniem radości... Czego ty się marszczysz? Nie wierzysz, żeby mogło być dobrze na świecie? Zawsze miałaś pochmurne usposobienie... Seweryn był taki... spodziewał się tylko złych rzeczy, z dnia na dzień oczekiwał nowego ciosu — gadała prędko — zrazili go ludzie, a i życie nie płynęło nam po różach... przebyliśmy z nim niejedno... Ale on mężny był... dźwi gał... pamiętasz ojca, myślisz czasami o nim?...

— Pamiętam...

— Widzisz, Hanuś... dobrze, że choć pamięć ojca... Mój Boże, gdyby on żył, nie przysłoby do tego...

Zaczynała płakać na wspomnienie rozstania z mężem, straszliwego dnia nieszczęścia, najokropniejszej w życiu chwili, gdy w letnie południe, wracając od gospodarstwa, ujrzała drogą głowę, która bezwładnie przewisała przez poręcz fotelu i grymas przeraźliwy wykrzywienia na twarzy... Świeciło na werandzie lipcowe słońce, w lipach pełzały szelesty... ona krzyknęła... pamięta, pamiętać będzie do śmierci... Lały się z oczu łzy, ocierała je pośpiesznie, płynęły znowu...

— My dwie zostałyśmy z tobą, dwie sieroty — szeptała dalej. Nam jego zastępować... A ja zmęczona, pracy coraz więcej, sił mniej... starły mnie trudy... dychawiczna ze mnie szkapa, jak mawiał Seweryn — krótki, słaby uśmiech na zwidłej twarzy. I wóz ciężki coprawda i gruda i wszystko się łamie... Z każdej strony wróg czyha... Rok był zły, teraz rewolucya... rozzuchwaleni chłopci postawili warunki, płacę drożej, rozdać musiałam trochę zboża — mimowoli wchodziła na zwykły tor trosk własnych.

Trosk było tyle, że mogłaby opowiadać o nich całemi godzinami, przywykła wyrzekać, utyskiwać, biadać, ale zmiarkowała się.

— Zresztą te moje kłopoty — dodała zaraz — każdy je ma... Widać tak trzeba. Im gorzej jest tu, tem lepiej będzie tam... odpoczniemy kiedyś wszyscy, zapracujemy sobie na śmierć — popadła w zadumę znużenia.

Tęskno jej było po długiej i twardej służbie do wiekuistego wytechnienia i nieraz hamowała w sobie prośbę, która jak jęk wyrwała się z dna udręczonej duszy, prośbę do Boga o koniec. Sterana i zmęczona radaby już odejść. Marzyło się jej połączenie z mężem i synem, marzyły się zboląlemu sercu spokój, ukojenie, rozweselenie w miłości, marzyły się słowa ukochanego psalmu o „miłych przybytkach pańskich,“ ale i to pragnienie wydawało się jej grzesznem, bo samolubnem. Żyła dla córek, potrzebna była córkom, ugniatały ją obowiązki i w ciągu pracowitego dnia brakowało czasu na smutek i tęsknotę, które powstają z rozmyślania nad sobą, które są zbytkiem próżnujących, leguminą nasyconych. Około rubla, około rzeczy małych, powszednich a niezbędnych i doniosłych dla tego, który ich niema, krążyły jej myśli od rana do późnego wieczora. Godzina modlitwy, krótki sen i znowu od świtu te same troski, zachody, kłopoty, niepokoje... Zato w podróży, po szeregu lat, pierwszy raz bezczynna i samotna, doświadczyła rozterki, uczuła zmęczenie i zniechęcenie, poznała gorzki smak zastanawiań się i rozstrząsań. Stukające koła wagonu gadały jej przez dwie noce bezsenne o bezpowrotnem uciekaniu lat i znikomości doli człowieczej, o smutku istnienia i żalonym złudzeniu tych, którzy czekają, o krótkich radościach, które rozwiały się, jak dym, i wiecznym żalu, przypominały przeszłość, z której nie zostało nic, krom żaloby w duszy, tłómaczyły niestrudzenie, że człowiekowi sądono być złąknionym zajęczkiem, który tuli się do miedzy i drży i spodziewa się, że każdej chwili z każdej strony wyskoczą ogary nieszczęścia, szydziły, opowiadały rzeczy straszne, nasuwały myśli grzeszne o niesprawiedliwości losu, nasuwały zuchwałe pytania... Z przerażeniem słuchala i usiłowała odżegnać je pacierzem, podnosiła duszę do Boga, utrapioną była... teraz powracały fale tamtych dumań...

— Trzeba mieć odwagę, córuś moja — zaczęła cicho — wszystko przechodzi. Czas zatrze, ludzie zapomną, ty sama zapomnisz... Wiara pokrzepia... Złamało ciębie nieszczęście i poddałaś się. Nie należy... — mówiła jak gdyby bez zapalu, bez przekonania — smutek, to choroba, to rak na sercu — zabija, jeśli pozwolić mu rozrastać

się. Jedyny sposób nie myśleć o nim, nie myśleć o sobie. Bóg radzi o swojej czeladzi...

— Nie myśleć?!—szepnęła Hanka—ja wiem, że wy nie pozwalacie myśleć...

— Tak, Hanuś, nie myśleć, nie roztrząsać, nie pytać, nie rozdrapywać łany palcami. Bo cóż po tych analizach, po rozumnych badaczach? Rodzą się z nich niepokój, niezadowolenie, pycha i bunt. A ból bólem... Uznaj wolę Bożą, wybierz pracę, w pracy — sypała słowami doświadczenia.

Hanka oddawna umiała je na pamięć, te cudze, wytarte słowa i gardziła nimi, jak zdawkowym pieniądzem. Uśmiechnęła się.

— Ty śmiejesz się, Hanuś, z tych rad moich. Że radzić łstwo, a temu, który cierpi, ciężko... Wiem ja o tem, wiem sama... Nie z książki ja ci mówię... Żyłam długo, widziałam, pamiętam... Nie raz zdawało się, że ani dnia dłużej... przeszło... ból łagodniał... Bóg pocieszał..

Hanka znowu zamknęła oczy, zacisnęła wargi.

— A w tobie jest gorycz i złość — ciągnęła dalej pani Krystyna, tak samo cicho i prędko — i z tem przedewszystkiem walczyć powinnaś. To są trucizny... Osłabła twoja wiara, zastygło serce, cierpienie zastoniło wszystkim świat. Tak bywa w młodości.. gniew do ludzi i losu, nienawiść... chwasty zarastają duszę, która nie patrzy w Boga... On jeden, Hanuś, ratuje, dzwiga, prowadzi. Rozminęłaś się z wolą Jego, upadłaś — zachwiało się to słowo w ustach matki — i nie podniesiesz się, dopokąd nie przebłagasz, nie ukorzysz się.. zawsze, w każdej chwili, cokolwiek staje się z nami, trzeba ukochać wolę Bożą.. Czemże jest człowiek bez Niego, bez Jego dobroci, pomocy i miłości, i jakież to życie nasze, to ludzkie, nędzne, smutne, grzeszne życie bez tego celu, który On nam wskazał, bez obietnicy, którą nam dał?... Rozważ to w sobie, rozważaj często... Młodą jesteś i wiem, że trudno... Pomódlmy się, Hanuś... dobrze — poprosiła łagodnie.

Zaległo miłczenie. Pani Krystyna szukała oczu córki, potem, zdjęta smutkiem, zwiesiła głowę. Jej zmięta twarz miała wyraz boleściwy. Hanka dumiała gniewnie. Wiedziała, że na tem się skończy rozmowa, że między kochającym sercem matki a nią, stanie Bóg surowy, zimny i bezwzględny z rozkazem wyrzeczenia się, z żądaniem pokory, z pogardą dla jej cierpienia, że chłodne kazanie zastąpi słowa miłości, że matkę nie tyle boli jej niedola, ile przeraża grzech.

— Nie chcesz się modlić? — szepnęły usta matki.

Milczała.

— Może ty nie modlisz się nigdy? — trwożnie pytała pani Krystyna — prosilaam, gdyś wyjeżdżała... Hanuś, Hanuś na jakie ty drogi! jakże daleko! co będzie z tobą i z nami! — urwała i zasłoniła rękami oblicze.

Była cisza.

— Nie modlę się, mamó, i w waszego Boga, który zazdrośny jest, który gniewa się i karze, nie wierzę — odezwała się wreszcie Hanka — dlatego ty mnie nie nawracaj! próżny trud! Każdy żyje, jak umie i jak może.. ty inaczej, ja inaczej, a kto z nas lepiej, nie wiem, nie wiem doprawdy... Nauczysz mnie, ale gdybyś ty sama pomyślała nad sobą i życiem, gdybyś pamięcią obejrzała całą przeszłość? Możebyś powiedziała sobie, że zmarnowałaś, że nie było warto!... przez długie lata krzątałaś się, zabiegałaś, mizolilaś się... szycie, pranie, kuchnia, obora, szpizarnia, bielizna... w troskach, w trudzie, w wiecznym niepokoju, w nudzie i ubóstwie płynęło istnienie... zwiędłaś, zmęczyłaś się — powoli mówiła córka, przyglądając się matce, jakgdyby liczyła i brała na świadectwo zmarszczki jej twarzy. Malutkie były dni twoje, jak mrówki, które umieją tylko pełzać i znają tylko trzy piędźi dokoła mrowiska... Modliłaś się żarliwie, a drżysz cała z cingłego strachu, z zaleknienia... I Boga boisz się, który karze, i ludzi... To nazywa się życie obowiązku, życie podług woli Bożej... Ja nie chcę, mamó, ja nie potrafię, ja nie mogę... Nie żądaj ode mnie tego, czego ja ci dać nie zdołam... My nie zrozumiemy się nigdy... Wyrwałam się raz i nie wrócę... I wolę już tutaj cierpieć, niż tam z wami... Cierpiałam i cierpię, ale czułam, widziałam, doznałam... Są wielkie godziny, jest płomień, są gościńce dalekie i świat szeroki, ogromny, piękny... Są także ludzie szczęśliwi. Jedni znajdują szczęście, inni — nie jak co komu, ale szukać trzeba i brać i cieszyć się... Chodzić w pokorze i w żalobie, ja nie potrafię! Nie potrafiłam przecież nigdy... pamiętasz mamó?... Nie rozumieliśmy się oddawna... taką już masz córkę... zła ze mnie córka — tłómaczyła spokojnie, dziwiąc się i słowom tym i swemu spokojowi. Miała cierpliwie milczeć do końca, a stała się szorstką i mówiła, jak gdyby powtarzając za kimś, dawne, młodzieńcze zdania z okresu walk z matką.

— Zła ze mnie córka — powtórzyła — i ja przepraszam ciebie. Nieraz z mojej przyczyny płakały twoje biedne oczy, nie dopadłam wam, zasmucałam, teraz rzuciłam na was wstyd... Dla tego chciałam, żebyście zapomnieli o mnie... pójdę sama, ukryję się daleko, nie żądam ani pomocy, ani żalu... przeżyję swoje życie do końca... Lepiejby może było i dla mnie, gdybym urodziła

się inną... Nie słuchałabym od dzieciństwa głosów, które wołają z daleka i z wysoka, nie widziałabym świecących po przez rozłogi marzenia nadziei, nie umiałabym tęsknić... Mijałyby senne lata w spokoju, spałoby serce—coraz ciszej mówiła—ale dziś... Zostanę taką, jaką jestem... Cierpiałam wiele i nie wiem, nie wiem—urwała na chwilę.

— Nie sprawiaj mi, mamó, męki—kończyła—nie narzucaj mi cudzej woli, cudzego ducha... Nie mogąż wszyscy myśleć tak samo. Każde drzewo rodzi własne, a odmienne owoce... Zamilkła wyczerpana. Wzięła rękę matki, zimno dotknęła jej ustami, chwilę trzymała, potem wypuściła. I odwróciła się do ściany, zamknęła oczy. A myśli, raz poruszone, szły dalej, głębiej... pytały ją, zali ona wierzy temu, co mówiła i jakim jest drzewo jej wiary, z czego wyrasta, dla dlaczego same gorzkie przyniosło owoce i gdzie jest cel, do którego ona dążyć będzie, dla jakiej prawdy ma żyć czyżby jeszcze raz dla szczęścia?... Była niezmiernie zmęczona, nie chciała odpowiadać. Żałowała już słów swoich, które plotła, wiary nie mając, uczyniło się jej żal matki... Pani Krystyna wbiła w nią osłupiałe wejrzenie.

— Hanko, Hanko — szepnęła z przerażeniem i urwała.

Trwało milczenie.

— Ja nie myślałam nigdy i nie wiem już, Hanko...

— Co mamó? — cicho, łagodnie spytała córka.

Ale matka nie odpowiedziała nic.

— Zgrzeszyłaś i chełpisz się — rzekła naraz surowo — skruchy nie czujesz, grzechu nie rozumiesz...

I znów zapadło milczenie.

Pani Krystyna wstała i cicho poszła ku kanapie, na której przygotowała była sobie pościel, nsiadła, siedziała nieruchomo. I ona nie mogła modlić się dnia tego...

*

*

*

Odtąd spędzały całe dnie w milczeniu. Mówiły sobie „dzień dobry“ i „dobra noc,“ czasami Hanka zadawała jakie obojętne pytanie, zresztą nie przeszkadzały sobie. Pani Krystyna krzątała się nieustannie. Sprzątała pokój, czyściła ubranie, słała pościelę, zajmowała się herbatą i obiadem, szyła. W wolnych chwilach szła

na gawędkę do gospodyni, odwiedzała z filiżanką mleka albo rosołu w rękę chorą żonę i dzieci stróża, robiła wycieczki do odległych a tanich magazynów, skąd przynosiła „resztki,“ kupowane za „bezcen,“ na suknie dla ubogich dzieci podwórza. Nad Hanką rozciągała troskliwą a dyskretną opiekę. Zgadywała każdą jej chęć i wystarczało Hance wyciągnąć tylko rękę... Pod tym względem zapanowało między nimi najdoskonalsze porozumienie... Hanka przyjmowała chętnie nieocenione usługi tych pracowitych rąk, tych pilnych oczu, tego oddanego serca. Tylko jeszcze niekiedy przypominał się jej Andrzej, który tak samo uwijał się po tym pokoju, tak samo troszczył się i czuwał—i wówczas odwracała się do ściany, żeby nie widzieć matki. Zato w innym dniu spojrzenie jej przez cały dzień biegło za nią z ciekawością, zatrzymywało się z uznaniem. Doświadczała przytem smutku. Słyszała westchnienia, słyszała każdej nocy szept długich pacierzy, widziała w tej biednej twarzy, w ruchach, w całej postaci kamienne pogniębienie, rozumiała mękę tej duszy—i nie umiała na to zaradzić. Nie mogła cofnąć słów swoich, wyrzeczonych pierwszego dnia—wzdrygała się w niej wola, nie chciała kłamać, bała się nowej rozmowy. Już wówczas—zaraz po wybuchu—podniosły się wątpliwości, które zachwiały nią, i tłumiła je z samozachowawczego strachu, żeby nie ujrzeć próżni. Te wątpliwości rosły. Bez słów, niemym przykładem matka uczyła, karciała, nawracała, w milczeniu ścierały się ich poglądy na świat. Nieraz Hance wydawało się, że każde spojrzenie matki zawiera wymówkę, a każdy postępek został obrachowany na to, by służył dla niej za lekcję pogładową, że słodka dobroć wobec niej jest robiona a miłosierdzie okazywane żonie i dzieciom stróża, sztucznem, więc badała jeszcze uważniej—i odsuwała niedorzeczne przypuszczenie. To dziwne, znękanie, tyle razy kruszone ciosami nieszczęścia serce było nieprzebraną krynicą miłości, poświęcenia, litości i przebaczenia, ta dusza kryła w sobie moce... I z życia, które szpeciły pozory mierności, ubóstwa duchowego i słabości, wydobywał się głos wysoki... Hanka zapuszczała wzrok w głębie doli, dumając wysnuwała wnioski. Oto miała przed sobą znamieny symbol, doskonałe uosobienie wierzeń, które jej narzucano, i mogła jak z książki czytać dzieje życia, które było najcierpliwszym poddaniem się, najbardziej uległym wyrzeczeniem się, służbą surowemu Bogu cierpienia a także nieskończonym smutkiem. Trudno było oprzeć się bolesnemu podziwowi... Czasami brała tę rękę wątlą (z każdym rokiem szczuplejszą, tak że obrączka ślubna przechodziła z palca na palec), znużoną, najpracowitszą i całowała ze czcią. Wówczas dobre, litościwe,

niezmiernie żałosne spojrzenie czarnych oczu, które czuwały, strzeżły, miłowały lekliwie, głaskały serce nieśmiałą pieszczotą... Patrzała w nie długą chwilę... Och, wypaliły się te oczy, ogniste niegdyś, świetne, młode i szczęśliwe przez dnie życia i noce bezsenne; strawiły je smutki, troski, zgryzoty... przeznaczenie człowieka... krótkie złudzenie młodości i długie lata dogasania... Rodzić się na chwilę, odchodzić w mrok... jako cień mija wszystko... a tyle cierpienia!... I w zmęczeniu ciała zazdrościła matce, że przepłynęła już smętną toń ludzkiego wieku, że przybija do tamtego brzegu, że dźwigała wytrwale, wierzyła mocno, że oczekuje śmierci, jak robotnik sobotniego wieczoru, po którym następuje uroczysta niedziela spoczynku... Ale wnet zżymało się w niej niepodległe serce, serce spragnione, z którego głębin wyrywał się krzyk tęsknoty za szczęściem... W wyniszczonem ciele żyła jeszcze nadzieja, ukrywała się ochota... Cisnąc do wyschłych piersi swoje chude ręce, błędząc wzrokiem w przestrzeni, całe godziny marzyła o błękitnych, morskich zatokach, nad którymi słuchała wiekuistego śpiewu fal, o jeziorze słodkim dla żrnic, o pewnej ścieżce w górach, o dniu słonecznym, o wiosnie w Jaworowie, o rozkosznej mocy wichru, który gna nad oceanem. . Widziała tamte dnie, lgnęła do nich spojrzeniem, pamięcią. Pieśń o nieśmiertelnem pięknie życia rozpierała gasnącą duszę... Wykwitały najdroższe, skąpane w promieniach jasne, najcudniejsze obrazy... Młode majową, lipką, pachnącą zielenią brzozy, rzeka o złocistem dnie, łąka i woń traw, opalowe pod zbiegającym niebem morze, jakaś aleja drzew, osypanych białem kwieciami i jakiś ogród, w którym o południu szlochała fontanna, zamek ze skały spoglądający w mijające nurty Renu, zadumany nad znikomym szmerem stuleci, trwoga nad przepaścią, na dzikiej przelęczy i szczyty dalekie, niezbadane, chłodne, na wieki niedostępne... Była godzina taka, że zarumieniły się na nich śniegi. . turkusowe roztocze morza i zachód słońca i długi, świecący szlak, niby droga usypana żarzącymi się węglami i noc, pełna tajemnic, pełna gwiazd i niespodziana fala, która przybiegła do stóp i rozpląkała się na piasku...

Kołysały ją marzenia-sny o rzeczach widzianych, marzenia, by jeszcze raz tam być, jeszcze raz patrzeć, całować wzrokiem, czuć w sercu radość-siłę, płomień życia w duszy, rozkosz rozpostartych skrzydeł. I zniechęciła swój pokój, jesienne niebo, smrodliwe i ciasne podwórze, zniechęciła każdą godzinę dnia, codziennie tę samą, dusiła się jak w więzieniu, w bólu swoim, z którego nie było wyjścia. Czasami także nienawiść jej zwracała się do matki, która była obrazem cierpienia, cieniem żalobnym,

żywym wyrzutem, kazaniem o enocie, która podsunęła jej nieznacznie „Naśladowanie“ — i zamysłała ucieczkę. W pewnych chwilach wybuchał z dawną mocą ogień kochania i zżerał serce. Postanawiała iść w świat i szukać Andrzeja, szukać aż znajdzie, rzucić mu się na szyję, wyznać, zostać z nim, służyć mu, zostać niewolnicą, której dość jest spojrzeniem dotykać. Każdy odgłos dzwonka budził najbardziej głupią nadzieję, że to jest on. Nasłuchiwała... Gdy zostawała sama w pokoju, rozmawiała z nim głośno, pieściła go czułymi wyrazami, błagała o litość... Potem śmiała się z siebie. Kładła swoje ręce na czoło i marzyła, iż to są jego dłonie, marzyła o słodczych ust, obojętnie uśmiechniętych do niej pod płowym wąsem... A wówczas przesywały serce wspomnienia owego wieczoru, gdy przyszedł do niej bezmyślnie wesół, lśniący, obcy, inny... i szarpał ją ból, poprostu obrzydliwy. Rozumiała teraz wszystko. Już dawniej: Orkiszowa i Rzyżniewski napomykali zlekka o pewnej kobiecie z ulicy i wyśmiewali gust, zapał, stałość przywiązania, ale ona nie zwróciła na to uwagi. Nie przyglądała się i w pracowni licznym szkicom, portretom, fotografiom... Naiwnie wierzyła w anielskość... aż pokochała... on tymczasem wychodził od niej, żeby śpieszyć do tautej, żeby tam brać w objęcia, całować, oddawać się i brać... żeby noce szata... Hanka dusiła w sobie władzę, która snuła domysły, szeptała prawdę, widziała jawnie i wyraźnie... ale myśl, jak ćma, bez końca krążyła i rzucała się w płomień bólu. Następowaty pytania bez odpowiedzi, pytania o kolor włosów i oczu, o imię, nazwisko i adres, wykluwały się bezsensowne projekty odnalezienia jej, tej tautej, przychodziły na niczem nieoparte pociechy, że to już się skończyło, bo on wyjechał, że to była zła plotka ludzka, że wróci i będzie do niej należał, że takie związki nie trwają długo... Łudziła siebie, żeby uspić ból... Ale wmawiane w siebie kłamstwa przestawaty natychmiast działać, jak narkotyk, który uśmierza cierpienie na krótko, i znowu rozpoczynała się męka. Męka oczu, przed którymi wstawaty obrazy ohydnej miłości...

Wieczór i znużenie kładły kres tej bolesnej pracy. Bezsilna i zbiedzona rzucała się w ramiona matki, tuliła się do niej, szukała pomocy. Łkała, a łzy matki sypały się jej na twarz. Milczały wszakże obie.

RODZINA W POLSCE.

Nie bez słuszności jeden z myślicieli starożytnych, określając podniosłe stanowisko ojca w rodzinie wobec społeczeństwa i państwa, powiedział: „Chcesz mieć dobrego panującego, bądź dobrym ojcem.“ Rodzina bowiem jest początkową uczelnią cnoty, obowiązku, dobrowolnego posłuszeństwa, umiarkowanej wolności, a przede wszystkim początkiem zjednoczenia narodowego i wszechludzkości, a jeżeli posłuszna Bogu „zewsząd ma błogosławieństwo“ (Levit. 26).

Rodzina w Polsce w pięciu jej częściach składowych, mianowicie: w Polsce właściwej, Rusi, Litwie, Żmudzi i Prusach przechodziła rozliczne w swym rozwoju koleje.

W Polsce, dzielnicy hegemonicznej, Ziemomysł, ojciec Mieszka, był wielożeńcem. „Że ojciec Mieszka żył w poligamii nieulega wątpliwości,“ powiada Balcer (Genealogia Piastów, 18). Mieszek, jeszcze w błędzie pogańskim pogrążony, „z siedmioma żonami (septem uxores) przez nałóg żył,“ powiada Gallus, „Miał siedm nałożnic,“ powiada Kadłubek. „Zona uważana była za przynależność męża i po jego zgonie i spaleniu na stosie, ścięta, towarzyszyła mu i w pozgonnem życiu“ (Thietmari Chronicon, VII). Wielożeństwo nie wyłączało pewnej obyczajności: „In tempore patris sui (Bolesława), powiada tenże Thietmar, cum is iam gentilis esset, unaquque mulier post viri exequias sui igne cremati decollata subsequitur. Et si qua meratrix inveniebatur, in gentili suo, turpi et poena miserabili circumcidebatur, idque, si sic dici licet, preputium in foris suspenditur ut intrantis oculus in hoc offendens, in futuris rebus eo magis sollicitus esset et prudens.“ Wszakże przed urzędowem wprowadzeniem chrześcijaństwa, pod wpływem Zachodu, jednożeństwo już się upowszechniało. Piast,

wprawdzie postać na wpół legendowa, już w IX wieku miał jedną żonę — „zaczną i cnotliwą małżonkę, która się zwała Rzepicha“ (Długosz, Dzieje. I).

Rok 965, w którym Mieczysław pojął Dąbrówkę, księżniczkę czeską, uważać należy za pierwszy, w którym w Polsce powstała rodzina chrześcijańska, ta zaś, od przedchrześcijańskiej wyróżniała się tym głównym rysem, że do niej, jako na prawie oparty czynnik umoralniający w pewnym, danym zakresie, wchodziła matka i dziecko. Wielożeństwo też z wolna ustępowało, lubo nie bez oporu. „Lud bowiem jego (Bolesława Chrobrego, 967—1026), powiada Thietmar, nakształt wotów winien być pasiony i nakształt osłów leniwych karcony, tak, iż bez ciężkich kar nie może być z bezpieczeństwem panującego rządzoną... Jeżeli kto cudzołoży lub w nierządzie żyje, ten następnej karze podlega: stawia się go na pomoście i daje mu się do wyboru: okaleczenie lub śmierć.“ Znanem jest surowe postępowanie Bolesława II (1058—1080) w podobnych przypadkach, który „niewinne dziecięcki w porubstwie i cudzołóstwie zrodzone, od piersi macierzystych odrywać, a szczytka do nich przysadzać kazał“ (Kromer, Kronika, IV). Jeszcze w wieku XIII, Honorusz III, papież, wśród zarzutów, czynionych biskupowi płockiemu w r. 1218, pisze: „kanoników również dwużeńców z świadomością cierpisz w kościele katedralnym“ (Theiner, Monum. I). Władza też duchowna, na której rzecz władza świecka w powyższym zakresie ze swych prerogatyw stopniowo się wyzuwała, w wyższym stopniu niż ona, przyczyniła się do uporządkowania stosunków rodzinnych. Synod, odbyty w r. 1197 w Krakowie i Lubczu, za papieża Inocentego III, postanowił, aby śluby odbywały się nie gdzieindziej, jak przy świadkach w kościele (Naruszewicz, VI). Synod Peszteński, odbyty w r. 1309 dla Węgier i Polski, potwierdził ten zakaz i, niestosującym się do niego, zagroził ekskomuniką i odmówieniem chrześcijańskiego pogrzebu. Gregórz IX, papież, broniąc świętości sakramentu małżeństwa i w obawie utraty wiary w razie związków małżeńskich z inowiercami, zakazał w r. 1232 zawierania z inowiercami ślubów, objaśniając, iż „blasku światła w ciemność obracać nie należy, jak również nie przystoi członków Zbawiciela łączyć z członkami szatana, lub smoły z wonnym balsanem“ (Hist. Rus. Monumenta I). Na Synodzie Wrocławskim, w r. 1248 odbytym, zabroniono księżom dawania ślubów osobom, nie należącym do ich parafij (Art. 16), a natomiast postanowiono, aby wstępujący w związki małżeńskie, brali ślub w swojej parafii, a jeżeli by byli z parafij różnych, to w parafii dziewicy, przy niezbędnej obecności świad-

ków. Nadto Synod ten nakazuje, aby każdy ślub poprzedzały trzykrotne zapowiedzi, wygłaszane przez trzy kolejną poprzedzające niedziele (A. 17). Na tymże Synodzie przepisano formułę przysięgi ślubnej, która długie wieki przetrwała. Powiedziano: „Ksiądz zaleci niewieście, aby swą rękę złożyła do ręki mężczyzny, który pierwszy powiedzieć ma: Ja tobie daję przyrzeczenie, iż biorę ciebie ślubnie (matrimonialiter) za małżonkę, jeżeli św. Kościół pozwoli.“ To samo powiedzieć obowiązana była niewiasta (A. 17). Ponownie surowo potępiono porywanie dziewcząt lub niewiast, uznając zgodę porwanej za nieważną, dopóki poprzednio władzy rodzicielskiej lub przyjaciół zwróconą nie będzie (A. 18).

Synod Łęczycki w r. 1285, ogłaszając, że Kościół uznaje siedm Sakramentów, a w tej liczbie i Sakrament małżeństwa (A. 10), dodaje: „Stanowimy także, aby nie sprzedawano Sakramentów duchownych: mają być udzielane darmo z łaski (cum gratia) (A. 10).

Wobec podobnych pobożnych zarządzeń zmniejsza się liczba „niewiast powłocznych“ i „macierzy nieoddanych“ (illegitimes), o których wspomina jeszcze Statut Wiślicki. Prawo zwyczajowe i władza świecka wtorowała tym władzy kościelnej usiłowaniam. Sto lat przed wydaniem Statutu Wiślickiego, już w połowie wieku XIII, Prawo zwyczajowe pisane regulowało stosunki rodzinne: „Po rycerzu i po kmieciu, wyrzekało, biorą dziedzictwo tylko syn lub synowie,“ z wyłączeniem córek i krewnych, córki są tylko „słusznie“ wyposażane — w braku synów dziedzictwo bierze Pan (Monarcha). Matkę, upośledzoną u Słowian, Prawo zwyczajowe pod szczególną opiekę bierze: „gdy umrze rycerz, powiada, mający jednego lub kilku synów, posiadających jego dziedzictwo, tedy ci mają w imieniu matkę swoją w tej swojej władzy pozostawić, w jakiej była przedtem, dopóki tylko pozostać chce w stanie wdowim. Lecz jeżeli pójdzie zamąż, tedy mają jej dać konia do pociągu jej woza, jako miała przedtem, a drugiego konia, na którymby jeździł jej sługa, prowadzący jej konia zaprzężonego do woza; prócz tego dać matce mają dziewczek służebnych jej własnych tyle, ile ich do męża przyprowadziła, lub które od czasu pójścia za mąż sama kupiła. Albowiem żony zbierają niekiedy pieniędzy za ten lub inne pewne zboża, które osobliwie do nich samych należą. Za to tedy mogą kupić służebnice lub bydło, lub odzież, lub obicia, materye, firanki, które posiada, lub inne różne rzeczy, które do swych robót przyczyniają, jak mianowicie obicia i pokrowce na ławy, i poduszki, i firanki. Te, które do męża swego wniosła i te, które od owego czasu sama wyrobiła, te wszystkie rzeczy mają być wdowie wydane, lecz nie innego z dziedzictwa męża nie otrzy-

muje“ (A. XXI). W stanie kmiecym to Prawo zwyczajowe powiada: „Jeśli umrze kmić, nie mający syna, tedy pan bierze jego mienie: ma jednakże jego żonie wydać jej poduszki i pokrowce na ławy, i to, co nazywają dzienicą, na której się sypia; i szczerść jej także należy okazać z mężowego mienia, dając jej krowę, albo troje świń, lub może więcej, lub też może co z innego bydła, na jej utrzymanie. Jeżeli zaś kmić ma syna, dziedziczącego po jego śmierci, tedy ten pozostawia swoją matkę przy sobie, gdy ta nadal niezamężną chce pozostać. Lecz jeżeli niezechce pozostać wdową, tedy syn daje matce jej poduszki, jej pokrowce, jej dzienice; a jeśli jej chce dać co więcej, to zależy od jego woli“ (A. XXII). Prawo zwyczajowe broni dziewice: „Kto dziewicę usili, lub wykradnie przeciw jej woli, ten pokupi winę sędziowi pięćdziesiąt grzywien, a dziewicy tyle, ile osądzi sędzia za jej pohańbienie“ (A. XVII). „Gdy córka kmiecia idzie do lasu lub w pole za jagodami, lub jabłkami, lub innymi rzeczami i tam usiloną zostanie, tedy usilca zapłaci sześć grzywien“ (Helcel, Starodawne Pomn. Prawa Polskiego).

Statut Wiślicki, dzieło Kazimierza Wielkiego (r. 1347), uszeregował, uporządkował, zatwierdził przepisy Prawa zwyczajowego. Podług Statutu, do ustanowienia przynależności do rodziny, do rodziny szlacheckiej potrzebni są świadkowie: „dwa z swego rodzaju, dwu z dziada, a pośledniu dwu z macierze“ (A. XXXI). Dalej, „gdy żywi są oćcowie, synowie tylko pieczęci oćcowskiej używali, a inszej nosić albo mieć nikako nie śmieli“ (A. VI). Artykuł doniosły: dał bowiem początek i ustalił nazwiska familijne, bez względu na posiadane dobra. Utrzymując powagę ojca, stanowi: „Synowie po śmierci macierzynej nie mają żądać od oćca części, aliz wtórą żonę pojmie“ (A. LXXIX). Również zapewnia prawa matce: „Żona, gdy mąż umrze, przy wienie, a daninie ostać ima“ (A. CI). Ochronia i bezpieczeństwo rodziny: „Dziewki pochwaćca gwałtowny jako i silnik na łasce jey i przyjaciół bądź“ (A. CXXV). Dla zachowania rodziny, w razie zgonu rodziców i małoletności dzieci, ustanawia opiekuna, przezornie ograniczając tegoż prawa względem sprzedaży i odgraniczenia dóbr (A. CXXIII). Statut, znosząc „umarszczyznę“, na mocy którego zwyczaj, po śmierci kmiecia mienie jego ruchome szło na kościół, na rozszarpanie, na „pana“, stanowczo się przyczynił do ustalenia rodziny kmiecia. Statut Kazimierza Wielkiego dopiero wytworzył rodzinę kmiecia, stanowił bowiem: „Ostatki, jeż rzeczony pućciny kmieccie panom przyjsć nie mają, ale na bliższe spadną, jiz z nich kielich za półtory grzywiny do cerkwie sprawić mają, acz z ich z tyle będzie; ostatek sobie imając spokojnie“ (A. LIII). Również

bezpieczeństwo osoby kmiecia zabezpiecza: „Za rany kmiece alibo wszelkie szkaradne obicia cierpiącemu dwie części, a trzecią sądowi“ (A. LXXXVII), oraz rodzinę kmiecia, uwalniając względem pana w razie „trzy członki te: pierwszy, gdy pan wsi żonę kmiecową zgwałci, gwałtem omieczyści. alibo dziewce usiłstwo uczyni; wtory, gdy kmiece o winę pana klną; trzeci, gdy kmiece o winę pana ciążają; nietylko jeden (kmieć), ale wszyscy wstać mogą“ (A. LXIX).

Statut zatem Wiślicki nadał ostateczny kształt szlacheckiej i kmiecej rodzinie w Polsce, która, jak zobaczymy, stała się wzorem dla innych dzielnic.

Ruś, druga dzielnica Polski, miała ustrój rodzinny dwojaki: inny wśród plemion południowych od Bugu do Dniepra, a inny wśród plemion około Prypeci. Polanie, zostający pod wpływem Byzancyum, Polski i Węgier, „mieli — wedle Nestora — zwyczaj, podania i prawa ojców, oraz każdy szczep swój obyczaj, a był on prosty i surowy. Wstydlivość mężczyzny wobec matek, sióstr, synowie i niewiast wobec świekra i dziewierzów, a synów względem ojca, była wielka. Stada u nich bywały we zwyczaju. Natomiast Drewlanie — według zakonnika Pieczarskiego — żyli po zwierzęcemu, jak bydła. Zabijali jedni drugich jedli pokarmy nieczyste. Stada u nich nie było, jeno porywali dziewice u wody. I Radymczanie, i Wietycze, i Siewierzanie mieli jednaki obyczaje. Żyli po lasach, jak wszelki zwierz. Wobec ojców synowie nie znali skromności. Również stada u nich nie bywało. Schadzali się na igrzyska i plasy, śpiewali różne pieśni biesowskie. Tu porywali niewiasty, z którymi się wprzódę zmówili, a mieli po dwie i po trzy żony. I siostry brali Radymczanie za żony, dodaje Letopisiec wedle odpisu Nikonowskiego. O dziewicach oddawanych „na tołoku“ na ucztach wspomina się jeszcze w XI wieku.

Waregi, którzy nadali byt polityczny tym rozsobnionym plemionom i tchnęli w nie nowe życie i energię, dawali niezbyt budujące pod względem etyki rodzinnej z siebie przykłady. W owej przełomowej chwili, gdy Ruś przyjąć miała Chrześcijaństwo, Włodzimierz W. utrzymywał na raz pięć żon: jedną z Waregów, drugą Greczynkę, trzecią i czwartą Czeszkę, piątą Bułgarę i do tysiąca dwieście nulożnic w Wyszogrudzie, Białogrodzie i Berestowie w okolicach Kijowa. Z przyjęciem Chrześcijaństwa w r. 988 i poślubieniem Anny, siostry cesarzów byzantyńskich, nastąpiła zmiana w życiu Rusi kijowskiej. Wszystkie sprawy, dotyczące rodziny, Włodzimierz wyjął z pod prawa świeckiego i poddał je władzy kościelnej. „Otworzywszy Nomakanon grecki — powiada — i znalazłszy w nim, iż spraw podobnych nie przystoi sądzić księ-

ciu ani jego bojarom, postanowiłem, po porozumieniu się z księżną Anną i moimi dziećmi, oddać te sprawy cerkwi, t. j. metropolicie i wszystkim biskupom ziemi Ruskiej.“¹⁾ Później następuje wyliczenie spraw, należących do jurysdykcji kościelnej, a mianowicie: dotyczących rozwodów, zaręczyn, pożycia między sobą małżonków, oraz wspólnego ich mienia; dalej, sprawy o zawarcie małżeństwa w pokrewieństwie lub kumostwie, o nierząd, otrucie, lub pogryzienie zębami, o pokaleczenie, pobicie ojca, matki lub świekry; o spory spadkowe pomiędzy braćmi, wreszcie o okradzenie cerkwi, wykopanie trupa, porabianie krzyża, wyrzynanie na ścianach cerkwi wizerunków bydła, psów lub ptaków, oraz dopuszczania się wszelkiego rodzaju czynów, uwłaczających poszanowaniu świątyni.“ Również do spraw, podlegających sądom duchownym, należały: „przeciw wróżbom, prorokowaniu, lecznictwu ziołami, czarom i wszelkiego rodzaju znachorstwu,“ dalej, „gdy przy pobiciu dwóch przyjaciół, żona jednego z nich pochwyty drugiego za mosznę i zgniecie mu jądra, lub gdy dziewczę wyda na świat dziecko.“ Do tych spraw ani książę, ani bojarowie wtrącać się odtąd nie mieli.

Jarosław, syn Włodzimierza (1015—1054), na podstawie tegoż Nomokanona w zakresie rodziny, rozwinął i obostrzył prawodawstwo duchowne (Pródłużenie Rusk. Wifliotiki, III). Odtąd władza świecka miała wspólnie działać z władzą kościelną. Naprzód ustanowiono więzienia na wykroczenia przeciw rodzinie, zwane „domami cerkiewnymi,“ określono kary pieniężne na rzecz biskupów, oraz kary, które miała władza świecka stosować. Oddziaływując przeciw wielożeństwu, Jarosław stanowi: Kto pojmie drugą żonę, nie rozwiodłszy się z pierwszą, płaci karę biskupowi, „a mołoduju w dom cerkiewnyj, a s staruju żyti.“ Przyczynami usprawiedliwiającemi rozwód była epilepsya i ślepotą, długo trwająca choroba, jednak potoczna słabość nie dawała do niego powodu. Mąż, żyjący w nierządzie, płaci karę biskupowi, a „kniaź kaznit.“ Bojarzyn, który opuści żonę bez jej winy, płaci za wyrządzoną jej „sromotę“ grzywien 10 księciu, biskupom grzywien 5 w złocie. Zapobiegając zwyczajowi porywania dziewczę, stanowi na przestępców surowe kary: bojarskiej dziewczycy grzywien 5 w złocie na biskupa, a za córkę „dobrych ludej“ 6 grzywien srebra. Nadto „kniaź kaznił umyicznika.“ Dziewicę, która w domu ojca zajdzie w ciążę, prawo Jarosława karze oddaniem do domu cerkiewnego,

¹⁾ Dopólnienie k Aktam Istoriczeskim, I. Ustaw W. K. Władimira o cerkownych desiatynach, sudech i t. d.

łopóki jej nie wykupi rodzina. „Kto dziewczkę odda na tołokę—pozostałość igrzysk Drewniańskich—płaci karę wraz z wszystkimi przyjaciółmi, biorącymi w tołoce udział.“ Powyższe prawodawstwo pod nazwą: „Świtok Jarosława,“ utrzymywało się przez długie lata, nawet po pogromie mongolskim. W r. 1407, metropolita kijowski, Cyryl, na podstawie Nomokanonu, streszczonego w powyższym „Świtku,“ zatwierdza usynowienia (Akta Istoricz. I). Sam zaś „Świtok,“ na prośbę metropolity Jerofego, zatwierdził jeszcze W. Ks. Aleksander w r. 1492 (Metryka Litewska, VI).

Świeckie prawodawstwo, zawarte w wydanej współcześnie przez Jarosława i jego synów „Prawdzie ruskiej,“ wtórowało usiłowaniam duchowieństwa, by dać trwałe podstawy ustrojowi rodziny. Podług „Ruskiej Prawdy“ w skład rodziny wchodzi: ojciec, syn, brat, bratanek i siostrzan (Art. I). Kobieta, dawniej za rzecz uważaną, przyszłą matkę, stawia narówni z mężczyzną. „Ktoby zabił kobietę, sądzony być ma tem samym prawem, jakby zabił mężczyznę“ (A. 6). Dzieciom po rodzicach zapewnia spadek, z tą różnicą, że w rodzinach bojarskich odziedziczają synowie i córki (A. 62); w rodzinach zaś „smerdów,“ odpowiadających stanowi kmiecemu w Polsce, odziedziczają tylko synowie. Jeżeli smerd umrze bez dzieci, to statek jego przypada księciu, a jeżeli zostawi córki w domu, to dać część na nich, a jeśli już będą powydawane za mąż, tedy żadney części nie dać (A. 61). Dzieci nieślubne „Prawda Ruska“ od spadku usuwa, ale położenie matki i dzieci uwzględnia. „Jeżeli kto będzie miał dzieci z niewolnicą, to spadku brać nie mają, lecz wolni są wraz z matką“ (A. 67). Natomiast matce legalnej należne stanowisko zapewnia. „Matka, po śmierci ojca — powiada — jeżeliby dzieci nie chciały jej cierpieć w domu, a ona w nim pozostać chciała, wtedy wypełnią jej wolę, a dzieciom nie dać woli“ (A. 70). O matce w innym artykule „Prawda“ powiada: „A co się tycze matki, tedy który syn był dla niej dobry, czyli to z pierwszego czyli z drugiego męża, to temu da swój majątek. Jeśli zaś wszyscy synowie będą dla niej złymi, to może dać córce, która ją karmi“ (A. 71).

Związki ślubne, przez Kościół błogosławione, upowszechniały się jednak powolnie i, jak to widać z cyklu Pieśni Włodzimierza, długo jeszcze utrzymywały się wolne związki:

„Oni w czystym polu żenił się,
Wziętych ich wieniec z krzaku korejki.“

(Kirsza Danilow. *Drewnoruskie Stichotworenia*, 1818).

Włodzimierz Monomach, niewątpliwie jeden z najnadrzejszych książąt wareckiej dynastyi, w „Nauce do synów,” dość sucho mówi o stanowisku niewiasty w rodzinie: „Żonę swoją kochajcie, ale nie dajcie jej nad sobą władać.” Cyryl, biskup Turowski (Turów, położony nad Prypecią), w samym rdzeniu Drewlańskiej Rusi, zapytany, jak mąż postępować ma w domu, odpowiedział: „Ty jak Apostoł w nim nauczaj—grozoju i łaskoju.” W razie niewierności małżeńskiej, Dobrynia, sławny, narodowy bohater, tak karci swoją niewierną żonę: „Niema ikony Zbawiciela, niema do kogo się pomodlić i począł Dobrynia żonę swoją uczyć. Na pierwszą naukę rękę jej odciął. Ta ręka — powiada — mnie niepotrzebna. A na drugą naukę nogi jej odciął. I te nogi mnie niepotrzebne. A trzecia nauka—usta jej obciął i z nosem. I te usta niepotrzebne mnie... A na czwartą naukę—głowę jej oderznął. I ta głowa niepotrzebna... I ten język niepotrzebny — znał on sprawy niewierne“ (K. Daniłow: Dr. Rus. Stichotw.).

O obchodzeniu się z dziećmi powziąć można wyobrażenie z opowiadania współczesnego Daniły Wygnańca (Zatoczniaka). „Ktoś—powiada on—po zgonie żony, dzieci swoje zaczął sprzedawać. Ludzie zatem mu mówili: „Dla czego dzieci sprzedajesz?“ A on im odpowiedział: „Jeżeli wrodziły się w matkę, to gdy porosną, mnie samego sprzedadzą.“ O mnogości nieślubnego potomstwa na Rusi, jeszcze w XIII wieku sądzić możemy z bulli papieża Innocentego IV (1247), który do święceń kapłańskich pozwala dopuszczać w braku zrodzonych z prawnych ślubów, urodzonych nieprawnie, byle nie z cudzołóstwa.

Gmach państwowy Rusi świetnie rozpoczęły, wraz z ustrojem rodziny, runął pod pogromem i panowaniem Mongolskiem. Pod jarzmem najezdźników, Kijów, niegdyś tak ludny i bogaty, zmalał do kilkudziesięciu domów, a Ruś od Dniepra do Buga stała się niemal pustynią—obozowiskiem Tatarów.

Odnowienie Rusi, a zatem i rodziny, inną koleją odbyło się w tej jej części, która bezpośrednio wcieloną została do Polski, t. j. od Sanu do Buga, a inną, która popadła pod rządy litewskie od Buga do Dniepru. Polska Ruś przyjęła prawo polskie najprzód na drodze zwyczajowej, a następnie urzędownie: w Sannockiem w r. 1423, w Przemyskiem i Lwowskiem r. 1435. Przejście to zostało wniesione do Akt lwowskich w następującem (w tłómaczeniu z łacińskiego języka) brzmieniu: „Roku pańskiego tysiąc czterysta trzydziestego piątego, w sobotę, w sam dzień obrzezania Pańskiego (1 stycznia), prawidłowo sądząc synów ludności ziemi ruskiej Dostojnicy i Ziemianie Wiec pierwszy raz od-

bywali powszechny po nadaniu Prawa Polskiego Ziemi Ruskiej przez pobożnej pamięci Najjaśniejszego Księcia Pana, Władysława Króla Polskiego“ i t. d. Wprowadzenie na Ruś prawa polskiego znosiło „umarszczyznę“ na mocy której po ojcu kmieciu, odziedziczali nie spadkobiercy, lecz pan ziemi (Akta Ziem. Grodz. Halickie, IX). Odtąd po kmieciu pan niema dawać innym gruntu, lecz rolę i odzież mają otrzymać krewni. Król Kazimierz przywilejem, danym dnia 6-go po uroczystości jedenastu tysięcy dziewic w nowym mieście Korczynie, roku 1456, Prałatom, szlachcie, rycerzom i innym Ziemi Ruskiej, potwierdził zrównanie praw Rusi z prawami polskimi, a zatem i zespolił ustrój rodziny.

Litwa — trzecia dzielnica Polski, była zamieszkałą przez $\frac{1}{10}$ część ludności litewskiej, a w $\frac{9}{10}$ przez ludność ruską, składającą się ze szczepów, o których pod względem ustroju rodziny, tak niepoehlebne dawał Nestor świadectwo, t. j. Drewlan, Siewierzan i Radymiczy. Wobec przemagającej ich liczby, narodowość litewska zeszła na plan drugi. Ruś, wzięwszy nad litewską ludnością górę, narzuciła jej swój język i obyczaje. Litwa sama nie miała ustroju rodzinnego, opartego na prawie „bo nie miała prawa pisanego przed wprowadzeniem do niej Chrześcijaństwa“ — powiada Czacki — i do zjednoczenia jej z Polską. Wielożeństwo było wśród niej powszechne: papież Jan XXII w r. 1324 pisze: „O małżeństwie wyznają, iż każdemu wolno kilka żon i nawzajem niewiastom wolno na raz kilku mężów posiadać“ (Suppl. ad Hist. Monum. Rus.). Stosunki rodzinne oplakane: „Mendog — powiada Kojalowiez — każdego z krewnych, którego za nieprzyjaznym swoim zamiarom uważał, natenczas ten żelazem lub trucizną zgładzonym był.“ Nadto Litwa nie miała prawa własności prywatnej: Wielki Książę był jedynym właścicielem ziemi. Wdowa i dzieci nie odziedziczały nic po ojcu, gdyż skarb wielkksiążęcy wszystko po zmarłym mężu prawem „Odumarszczyzny“ zabierał, a gdzie niema własności prywatnej, tam rodzinie brakuje zasadniczej podstawy. Również władza ojca była znicowana: wydanie za mąż córki czy wdowy zależne było od woli W. Księcia i urzędników. Na związki małżeńskie ciążyły pobory, zwane swadebnyje, zmirskie, wychodne kunice, płatne w naturze „szerstiu“ lub w pieniądzech. Było to jedno ze znaczniejszych źródeł dochodów skarbu Wielkksiążęcego. Żona i dzieci, uważane jako mienie, w razie występku lub niewypłacalności ojca, szły w niewolę. (Akta Zapad. Rosii, I, II, III, XI — Akt. Istor. I, Zbornik Muchanowa. Przyw. ziem Kijow. Bielsk, Witebsk, Połock, Smoleńsk 1494—1548).

Litwa pod względem pojęć o rodzinie stała tak nisko, że jak twierdzi prof. Brückner: „Litwin niema nawet osobnych wyrazów dla nazwania żony, kobiety, wesela i ślubu. Żonę i kobietę zwie słowem, urobionem od wyrazów, zapożyczonych z ruskiego lub polskiego języka“ (Starożytna Litwa, 1904). Obyczaje Litwinów, (nie tłumacząc z powodów łatwych do zrozumienia), Eneasz Silvius (1405—1464) tak opisuje: „Matronae nobilis publice concubinos habent, permittentibus viris, quod adiutoris vocant. Viris turpe est ad legitimam coniugem pellicem adiungere. Solvitur facile matrimonium mutuo consensu atque iterum nubent.“

Zygmunt I, oddziaływując przeciw łatwości dawania rozwodów, pisze w r. 1544 do księżny Heleny Słuckiej: „Ty namiestnikom swoim: Słuckiemu i Kopylskiemu, w sprawy duchowne mieszczą się pozwalasz, mężów z żonami rozwodzić i brać rozwodne“ (Akta Zapadn. Ros. VII). Zygmunt August, na prośbę biskupa wileńskiego Pawła w r. 1548, pisze odezwę, w której czytamy: „Mnogie niewiasty mężów swoich porzucają, swawolnie żyją i nie w zakonie przebywają, a Chrześcijkami będąc z Żydami, z Turkami, z Tatarami przeżywają cudzołóstwo i inne zbytki czynią.“

Litwa zniesienie wielożonstwa i wprowadzenie chrześcijańskiej rodziny, zawdzięcza dopiero Władysławowi Jagielle. Wprawdzie powiew z Polski grunt przygotował: Piotr Gasztold, wojewoda wileński, „mąż na Litwie pierwszej powagi i władzy“ już przed Jagiełłą, żonę poślubił z domu Buczaczkich, przyjął Chrześcijaństwo rzymsko-katolickiego wyznania. Dowoyna, w najezdzie roku 1384, uprowadził do Litwy w niewolę dziewczę z świetnej rodziny polskiej, poślubił ją i przyjął wiarę rzymsko-katolicką. Władysław Jagiełło, dostąpiwszy tronu polskiego, przywilejem, wydanym w Wilnie 20 lutego 1387 r., urzędownie i stanowczo zapewnił Litwie prawo własności i prawo dzieci po rodzicach do spadku; prawo dziewczę i wdów swobodnego zamążpójścia, oraz prawo matki do mienia po zmarłym mężu. „Každy rycerz lub bojarzyn, — powiada przywilej — przyjmujący wiarę katolicką, oraz jego spadkobiercy i potomki prawowici, zamki, powiaty, wsie, i domy i wszystko, co ze spadku po ojcu są w posiadaniu, posiadać, mieć, sprzedawać, zamieniać i t. d., mogą tak, jak szlachta w innych ziemiach królestwa naszego Polskiego posiadają.“ Dalej: „Udzielamy i dajemy tymże rycerzom zupełną i wszelką władzę, aby córki, siostrzenice i każdą dziewczę pokrewieństwem z nimi związaną, oraz wdowy swobodnie mężom oddawali, zachowując w tem obrządek katolicki. Jeżeli, córka, siostrzenica, lub krewna którego z tych rycerzy, po zgonie swego męża, wdową się stanie, to w dobrach czyli w posiadłościach

meża, aby pozostała, chcemy“ (Działyński, Zb. Praw Litew.). Na sejmie zaś w Horodle dnia 2 października 1413 roku, obok potwierdzenia i zrównania swobód szlachty litewskiej ze swobodami szlachty polskiej, zapadła uchwała, że pięćdziesiąt rodzin polskich, przyjęło do swoich herbów tyleż rodzin litewskich w tem brzmieniu: „Nadto My, Aleksander czyli Witowd, za zezwoleniem najjaśniejszego księcia pana Władysława, króla polskiego, brata naszego najmilszego, wybieramy na herby szlachty polskiej szlachtę ziem litewskich naszych, niżej napisaną, które sama Królestwa Polskiego szlachta także ze wszystkimi, którzy z ich pokolenia idą, ku braterstwu i spowinowaceniu przyjęli“ (A. XVII). Król Władysław Jagiełło, Wielki Książę Witold, oraz szereg rodzin polskich, w ten sposób stali się rzeczywistymi założycielami rodziny na Litwie.

Współcześnie, bo w r. 1388, Witold zabezpieczył rodziny Izraelitów, stanowiąc: za zabicie dziecka z rodziny Żydowskiej winny ulegnie karze gardłowej. Prawo zatwierdzone r. 1507 i 1514 w te słowa: „Jeśliby kotoryj detia żedowskoje okarmił, toł jako złodej majet karan byti.“

Powyższe przywileje nie znosiły jeszcze zwyczajowego prawa, iż za winy ojca odpowiada żona i dzieci. „A jeśli ne było czem zaplatiti w domu, tedy żoną i detmi platiti“ (Sudebnik, z r. 1469). Jedyne złagodzenie dopuszczało prawo: „gdy będą dzieci młodsze od lat siedmiu, w tem newinne“ (A. II). Dopiero Aleksander Jagiellończyk, objąwszy rządy wielkoksiążęce, w przywileju, wydanym w sierpniu 1492 r., zniósł ten nieludzki i rodzinę znieważający zwyczaj. „Za zbrodnię wszelką nikt inny, jak ten, kto zgrzeszył lub występki uczynił, prawa katolickiego porządek zachowując, sądownie przekonany i skazany, karany będzie (A. VI). Przywilejami, wydanymi dla ziemi Kijowskiej, Witebskiej, Smoleńskiej i Połockiej (1505 — 1546) wskutek ich domagania się „prawa dobrowolnego chrześcijańskiego,“ wszelkie ograniczania co do rodziny, pod względem religijnym, usunięte zostały.

Statut litewski, który uważać można za streszczenie merytoryczne wszystkich Litwie nadanych dotąd praw i przywilejów, pod wpływem prawodawstwa polskiego, ułożono na skutek żądania sejmu wileńskiego, odbytego w dniu 6 grudnia 1522 r. Opracowany w ciągu lat siedmiu, uzyskał zatwierdzenie na sejmie walnym wileńskim w sierpniu 1529 r. i stał się obowiązującym we wrześniu, w dzień św. Michała, nadając ostateczny kształt rodzinie na Litwie.

Prawo własności, dające podstawę bytu rodzinie, ostatecznie przyznane temi słowy zostało: „Ktho by za Kazymyerza krolya, kthore ymyenye w pokoiu myał, a pothym za Aleksandra krolya bądź sye nykth nye przypomyał, thedy tho w pokoyu dzyerszeć ma,“ bez względu, czy na piśmie na to dowód miał, lub nie (Działyński: Zbiór Praw Litewskich, R. 1, 20). Rodzinie przede wszystkim waruje domowe bezpieczeństwo: „Kto na osiadłość, na dom najędzie, ten gardło traci“ (R. VII, 1). O należeniu do rodziny wyrzeka po dwóch świadków ze strony ojca i matki. W razie wygaśnięcia rodu, strona „ma postawić dwu człowiekcie szlachezców, kthóre s they strony, szką y on“ (R. III, 11). W razie zarzutu komu, „thy yesthesz zlego losza szyn“ i tego nie dowiedzie; „ma s thego gabanya sądownye oczyszcziez (się) poth temi słowy: „yszem myenyl na czyę nyeprawdzywye yako pes“ (R. III, 12). Ojciec w rodzinie już nie jest wszechwładnym lecz zgodnie z „dobrowolnem prawem chrześciańskim,“ jak się wyrażali mieszkańcy Kijowskiej ziemi w r. 1494, ma władzę słusznie ograniczoną. Dzieci sprzedawać nie może, choćby to uczynił z konieczności, np. podczas głodu: „takowy (sprzedaży) list „nie ma dzierżan być“ (R. XI, 10). To ograniczenie pod względem osobistym. Pod względem majątkowym ojciec z mienia ojczystego sprzedać może na wieczność jedną trzecią część; zostawić zaś dwie trzecie (R. I, 17). Powaga ojca i jego stanowisko w rodzinie jest zabezpieczone. „Jeśliby sm oycy uderzil, abo sromocil, abo ktore utiski przenabągania iemu czynil; tedi ociec może od takovich sinow wszitką ich, oiezizną oddalic“ (R. IV, 13). Wdowy których dawny zwyczaj litewsko-ruski bezbronną zostawia, w Statucie właściwe stanowisko zajmują. „Żona z dziećmi małemi, po szmyerczy męszowy ma siedziecz, na wdowyem sztolczu do lath dzyocinnych“ (R. IV, 6). W razie podziałów, „tedi ma równą część wziąć miedzi dzieczmi swoiemi“ (Id. 3). Statut raz jeszcze usuwając wszelkie „odumarłszyczny,“ na rzecz panującego i jego urzędników, stwierdza, iż dzieci po rodzicach mają prawo do spadku. „Po szmyerczy oycowey dzyeczy: synowye y dzyewky oyczyszny oddalyeny nyemayą bycz“ (R. III, 9). Za opiekunkę dzieci uznaje przede wszystkim matkę (R. IV, 6), następnie starszego brata, z ograniczeniem, że „zadłużić, przeducz, zastawicz, oddalicz i utracicz, nie może“ (R. V, 7). Urządzona w ten świetny sposób na Litwie rodzina, na wzór polskiej, przetrwała do dnia zniesienia Statutu litewskiego przez rząd rosyjski.

Żmujdz — czwarta dzielnica, nie uległa, jak Litwa, wpływowi słowiano-ruskim. Posiadała ona doskonały ustrój rodziny już w cza-

sach przedchrześcijańskich, oparty na kulcie religijnym, czci przodków i poszanowaniu władzy rodzicielskiej — trzech niezaprzeczonych podstaw każdego społeczeństwa. Każda rodzina miała swego ducha opiekuńczego, niby anioła-stróża; w dniu uroczyste Żmujdzini wywoływali cienie przodków, zastawiając im symboliczne uczty. Ojciec, zajęty rolą i barcią; matka gospodarstwem domowym; wielożeństwa niema śladu. Mężczyźni i niewiasty są miłe, poczciwe, rzadkie zabójstwo, kradzież, gwałt, nierząd. Na ucztach, po ukończeniu zbiorów, co przypadało we wrześniu lub październiku, zasiadali około ojca za stołem: żona, dzieci i czeladź. Ojciec, jako stróż domu i rodziny, sypia u progu izby (J. Lascii: *De Diis Samogitarum*, 1580); o czci, oddawanej obojgu rodzicom przez synów, z zachwytem mówi Kojałowicz: „*Felicis in parentium pietas!*“ Ojciec synowi narzeczoną wybiera, nie z mienia lub piękności, lecz z przymiotów mogącą się zalecać. Córki zamąż nie wychodzą przed 25 lub 30 rokiem. Wprzód odpłacić się muszą za daną im w dzieciństwie przez rodziców opiekę, przygotować sobie wreszcie własną pracę wyprawę: koszule, obrus, oponię z wełny, rękawice, surmocz. Dopóki pozostają w panieństwie w ciągu dnia noszą dzwonki; nocą zaś wychodzą z domu z zapalonem łuczywem, by rodzice zawsze wiedzieli, gdzie się znajdują. Dziewczyny na nieprzyzwoite odezwanie się, nożem odpowiadają. Dopóki ojciec lub matka nie dotkną placka lub piwa, nikt do stołu z rodziny przystąpić nie śmie. Dziewczyna-narzeczoną z towarzyszkami nuci pieśń pożegnalną: „Kto rodzicom odtąd nogi umywać będzie, kto im przygotowuje posłanie, kto drew do pieca przyniesie“ i t. d. Inna pieśń maluje stosunki małżeńskie: „Mąż swej żonie do łązki złoty most buduje,“ przy łożu chorej nuci: „Bierz Boże złoto, nie bierz duszy“ i t. p. Ustrój więc rodziny na Żmujdzi był idealny: chrześcijaństwo tu miało niewiele do przekształcenia — przyszło niemal do gotowego. I nie też dziwnego, że okoliczne plemiona tę zapadłą krainę zwykle „świętą Żmujdzią“ nazywają. Ustrój ten, pomimo staletniego wladztwa Rosyi, przetrwał prawie po dziś dzień. Jeszcze w połowie wieku zeszłego Ludwik z Pokiewa powiada, „iż gmin na Żmujdzi stanowi rzadki wzór wszystkich cnót (Żmujdź, 1842).

W Prusiech — piątej dzielnicy Polskiego Państwa, w czasach przedchrześcijańskich — wielożeństwo było powszechnem. Prusacy mieli do trzech żon, które nabywali przez kupno. Żona też była uważana za sługę. Umywała nogi mężowi, gościom i sługom codziennie. Za ubliżenie sobie, mąż karze ją różgami, gdy już dzieci rodzić niezdolnawca jej nos lub skazuje na spalenie za cudzo-

łóstwo. Ojciec może swe dzieci sprzedać, porzucić na gościńcu, utopić, spalić lub poprostu zabić. Temu samemu losowi ulega dziecko urodzone kaleką, „ponieważ cierpienia ludzkie na bogów i ludzi sprowadzają smutek.“ W jednym z okręgów, w Galindze, zabijają noworodki płci żeńskiej, męskiej zaś zachowują do wojny. Rodzice w latach podeszłych, gdy są schorowani i do pracy niezdolni, winni sami się życia pozbawiać. Synowie odziedziczają mienie nieruchome; ruchome zaś idzie na kosztą pogrzebu, co zaś od tego zostanie, to się przez wyścigi na rączych koniach zdobywa. Syn, w spadku po ojcu żonę jego bierze (Petri de Duisburg: *Chronicon Prussiae*, 1679.—Voigt: *Geschichte Preussens*, 1).

Za pośrednictwem archidyakona laodyjskiego, Jakóba, później papieża pod imieniem Urbana IV (1261—64), Krzyżacy w r. 1249 przyznali ludności pruskiej prawo obywatelstwa, a zatem: prawo posiadania dóbr ruchomych i nieruchomych, prawo testowania i swobody, zawierania małżeństw. Natomiast ludność zrzekła się wielożeństwa, przyrzekając, „że odtąd nie dwie mieć i więcej naraz, lecz jedną żoną zadowalać się będą.“ Wyrzekła się także sprzedawania córek i przyjęła warunek, iż małżeństwa zawierać będzie przy świadkach, w kościołach, w czasie ustanowionym, z należą uroczystością. Umowa na zakończenie tak brzmi: „Cóż nowonawróceni, wezwani od nas i zapytani, jakiemu sądownictwu życzą sobie uleguć, kościelnemu czy świeckiemu i jakim prawem się rządzić, po naradzie pomiędzy sobą, prosili, by im nadane było prawo świeckie, doczesne, a sądownictwo, jakiemu podlegali ich sąsiedzi, Polacy.“¹⁾ Tak więc prawo, rządzące rodziną w Polsce, stało się prawem rządzącem na Rusi, Litwie, Żmujdzi i w Prusiech. Streszczając to, co się powiedziało o kształtowaniu się Rodziny w dawnej Rzplitej, dojdziemy do przekonania, iż ustaliła się Rodzina w Polsce w r. 1347, w Rusi Polskiej 1456 r., na Litwie z wcieloną do niej Litewską Rusią w r. 1529, na Żmujdzi w czasach przedhistorycznych, w Prusiech r. 1249 na podstawie Prawa zwyczajowego Polskiego.

J. T. LUBOMIRSKI.

¹⁾ Privilegium Pruthensis a Legato Pontificio an. 1249 d. 7 Id. Febr. concessum. Jidem Neophyti requisiti a nobis quam Legem intendant vel velent eligere, vel quae vellent secularia judicia observare, habito inter se consilio petierunt et elegerunt legem mundanam et secularia judicia Polonorum vicinorum suorum etc.

NASZ LUD.

I.

Lud nasz był przedmiotem licznych naukowych badań.

Poświęcono wiele czasu i usiłowań, aby poznać go gruntownie.

Badania były skierowane nie ku fizycznej stronie przedmiotu, jak to miało miejsce u innych narodów. Nie badano ani budowy ciała, ani wytrzymałości zdrowia, ani przyrodzonej energii, ani zdolności do pracy. Podobne dane służyły innym za materiał do studyów społecznych, w których, przez zestawienie fizycznej budowy mas ludowych z otaczającymi je zewnątrznie warunkami bytu, czyniono wnioski, bądź o koniecznych zmianach w ostatnich, bądź też, gdyby można było, w pierwszych.

U nas, zagadnienia społeczne były dotychczas przedmiotem powszechnej uwagi w nader małym stopniu.

Literatura nasza, przez cały czas istnienia swojego, była — z wyłączeniem nauk fizycznych — religijną, polityczną, albo wprost nadobną.

Stąd te strony badań ludowych, które gdzieindziej występują naprzód, jako wynik poruszających umysły zagadnień społecznych, u nas musiały zostać na uboczu. Tutaj należą stosunki ekonomiczne ludu, tutaj jego pojęcia o dostępnych mu sprawach bieżącego życia, tutaj zamiary, dążenia, ideały jego.

Psyche, dusza ludu, była prawie wyłącznym przedmiotem zajęcia naszych badaczy. Głównym ich celem było poznanie umysłowości ludu, jego charakteru i własności etycznych.

Na pierwsze pytanie miały udzielić odpowiedzi podania ludowe, pieśni ludu i jego przysłowia; na drugie — zwyczaj, obrzędy towarzyszące rozmaitym momentom i przygodom życia, oraz ten

cały kodeks towarzyski, w którym ogół stosunków etycznych odbija się, jak w zwierciadle.

Byłaby rzeczą bardzo ciekawą bliższa charakterystyka dokonanych na tem polu badań; rozpoznanie ich wybitnych kierunków i przeważnych upodobań. Gdyż miały one swe upodobania i sympatyje.

Faktem jednak, który nadewszystko uderza, faktem ważniejszym od kierunku prac uczonych, faktem, który się nam nie wydaje bardzo dziwnym dlatego tylko, żeśmy do oglądania go nawykli, jest sam fakt tych badań.

Jeżeli bowiem rozważymy, co się pod nim z konieczności ukrywa, jeżeli zapagniemy, niezależnie od treści i wyników zdobytych, rozpoznać jego prawdziwe znaczenie, ujrzymy, że przedmiotem nieznanym, odrębnym od nas i obcym nam, jest—nasz lud.

I to jest właśnie najważniejszym badań owych rysem.

Wistocie, wszystko, co tylko się staje przedmiotem dociekań, musiało być nieznanem badaczowi.

Ale oprócz tego, czemś więcej jeszcze być musiało. Musiało być czemś innem, niż on sam; czemś od niego odrębnem; czemś niezależnie całkiem bytującym współcześnie z nim i obok niego.

Otóż, jeżeli w tego rodzaju stosunek weszły dwa odłamy jednego narodu, to nie może to być zjawiskiem normalnem.

Ono może czasem dobrze wróżyć na przyszłość; ale w ciągu trwania procesu, ani żadna terażniejsza chwila nie może być pomyslną, ani też pewnym los tej przyszłości.

Bo taki stosunek dowodzi wielkiego i stanowczego rozłamu tam, gdzie panować powinna spójnia i zgodność; wskazuje na rozstrzelanie żywiołów, z natury swojej powołanych do stanowienia części składowych jednolitego w sobie organizmu, oraz domyślać się każde rzeczy tak niebezpiecznej dla pomyślności powszechnej i dla postępu, jak niepodobieństwo porozumienia się i zrozumienia przez ludzi, którzy powinni mieć wszystko wspólne: pojęcia, interesy, potrzeby, nadzieje i cele.

Niestety, rzeczywistość jest taką właśnie a nie inną.

II.

Kiedy rzucimy okiem po wielkim obszarze społecznego życia naszego, na każdym niemal kroku uderzy nas ów rozłam pomiędzy ludem, a nie ludem; co chwila rzucić nam się będzie w oczy brak

wszelkiego punktu zetknięcia, w stosunku do zagadnień poruszających umysły jednych, a obojętnych drugim; a nawet niekiedy rozpaczliwy brak możliwości i brak nadziei, że punkt taki da się znaleźć kiedyś.

Istnieje mnóstwo względów w sferze ekonomicznej, co do których nie możemy się porozumieć wzajemnie do tego stopnia, aby się to pomyślnie na całości organizmu narodowego odbiło.

W sferach zaś moralnej i umysłowej — odeszliśmy od siebie tak daleko, że zdajemy się zupełnie obustronnych głosów nie słyszeć, ani — tembardziej — rozumieć ich treści.

Co chwają jedni, to ganią drudzy; co tamci przedsięwzimą, ci pominają.

A tak, życie staje się wielkim odmetem niewykonanych pomysłów, wysiłków zmarnowanych i zawiedzionych nadziei.

Jako w przepaści, gdzie strącono społem wrogie sobie żywioły, kipi i wre walka wzajemnej zagłady, tak w łonie, spokojnego na pozór do niedawna bytu naszego, walczą o śmierć i życie nienawistne sobie lub tylko sprzeczne jego elementa. Kiedy się znieść nie mogą, ni wygubić, to się przynajmniej neutralizują.

Czynną, skierowaną ku pracy dla jutra energią jednych, ubezwładnia bierność nieruchoma innych, obcych wszelkiemu przedsięwzięciu dobremu, z natury bądź ekonomicznych interesów, bądź umysłowych czy moralnych względów.

A gdyby ci ostatni znowu przedsięwzięli to, co ich widokom dobrze odpowiada, wtedyby pierwsi unieśli znaleźć ważne powody do przeciwienia się i do oporu.

Jest to stan, któryby można było nazwać stanem wzajemnego przeszkadzania sobie, świadomie, czy nieświadomie, — mniej-sza o to.

Stan, z pod którego wpływu żadna z pośród prac życia uchylć się nie może, lecz musi zostać objętą nim i wprowadzoną na teren walki sprzecznych z sobą żywiołów społecznych.

Stan, taki ważący, a taki ciężki, że przygniata sobą większą część tego wszystkiego, co miało nieszczęście uleż przeważnemu jego oddziaływaniu.

Skąd się wziął ten wielki rozłam pomiędzy braćmi, wspólnymi synami tej ziemi? Rozłam, który częściowo ujawnił się w studyach, mających zapoznać jednych z drugimi?

Jakie są, i jakie być muszą społeczne jego skutki?

Czy jest on koniecznym na przyszłość, czy też uniknąćby go można?

Jeżeli zaś koniecznym nie jest, to w jaki sposób go usunąć, i jak zapełnić głęboką przepaść, przez którą żadne badania nie przerzuciły kładki, i która przed siłą badań samych zapewne nigdy nie ustąpi.

Oto pytania godne, jak sądzę, żywego naszego zajęcia.

Ani sił nieman, ani nadziei, abym je zgłębić mogła i wyczerpać.

Chcę tylko zwrócić na nie uwagę myślącego ogółu, wysunąć naprzód, postawić je przed oczy opinii, obowiązanej czuwać nad ruchem wszystkich nasion przyszłości, jakie się we wnętrzu społecznej budowy ścierają, a powołanej do pielegnowania zakwitnąć mogącej płonki, ażeby owoc jej nie zmarniał, aby się na powszechny obrócił pożytek.

III.

Był niegdyś zwyczaj, że rozpoczynano pisanie dziejów ojczy-
stych od—stworzenia świata.

Jakkolwiek może się to nam wydawać śmiesznem, kiedy ten i ów wywodzi nas wprost od jakiegoś bohatera starego testamentu, Jafeta lub Chama, — rzecz ta ma także swą stronę poważną.

Nie mogli owi pisarze dobrze i ściśle powiązać dawnych wypadków z nowymi, bo im brakło pośrednich ogniw łańcucha. Zaczęli tedy znany koniec o znany początek, jak umieli, nie troszcząc się o możliwe pomyłki i nie przypuszczając nawet, że ów znany koniec mógł też być końcem innego zgoła jakiego początku.

Ale nawiązując w ten sposób wypadki, dali nam dowód, że nie obce im było jakie takie już pojęcie ciągłości historycznych wydarzeń.

Wiedzieli, że się nie samo z siebie nie bierze.

Każde zjawisko dziejowe miało tam poprzedności swoje, sztuczne może, ale mające reprezentować przyczyny jego powstania. Był to jakgdyby przedmiot nowoczesnych metod badania, dla których owa ciągłość, w najobszerniejszem wzięciu znaczeniu, stanowić ma i treść dziejowej prawdy, i jej probierz.

My dzisiaj nie potrzebujemy się cofać aż do stworzenia świata. Jeżeli jednak chcemy pojąć znaczenie jakiegokolwiek historycznego zjawiska, bądź co bądź, musimy się cofnąć w przeszłość, tam szukać zarodków jego powstania, śledzić warunki, które roz-

wojowi jego sprzyjały, równie jak te, które mogły stawiać mu przeszkody.

Rozłam społeczny pomiędzy ludem a nie ludem, o którym mówić mamy, zrozumiany być może także jedynie wtedy, gdy uchwycimy go jako moment dziejowy, i gdy go oglądać będziemy obok wszystkich przyczyn i wszystkich okoliczności, które się zrazu na utworzenie go złożyły, a później, umiały go utrzymać i utrwalić.

Prawie na całej przestrzeni dziejowej, którą wzrokiem objąć możemy, widzimy społeczeństwo nasze podzielone na stany.

Ma je nie tylko nasz wiek i wiek poprzedni; ma je cały szereg dawniejszych wieków tak wyraźne, że nie tylko możemy je dojrzeć bez kłopotu, ale tak się one z wiekami temi zrosły, że są dla nich tłem, a nawet obrazem samym.

Cofając się jednak wstecz, coraz dalej a dalej, mijając wiek XV, XIV, XIII,—zmuszeni w końcu będziemy zatrzymać się w ławym pochodzie.

Bo patrząc pilnie, dojrzymy stopniowe zwięzanie się przestrzeni, dzielącej ludzi między sobą, a przy początku dwunastego wieku mimowoli zapytać musimy: gdzie są te linie, które tak jak skrawą tworzyły nieco wyżej granicę?

Tutaj tło szarzeje, pokrywa się matem.

Widzimy, że jestto czas przełomu jakiegoś. Że, jeżeli się posuniemy wstecz jeszcze dalej, zdarzyć się może, iż miejsce różnaitości i różnic zajmie przeciwna im wręcz—jednolitość. Jednolitość w każdej gałęzi życia, prostacza, jak wszystko co pierwotne a stare, ale—jak wiele ze starych rzeczy—szacowna.

I tak też jest w istocie.

Charakterystycznym piętnem w życiu pierwotnych szczepów i ludów słowiańskich jest właśnie jednolitość; a co do rozłamu, który nas głównie zajmuje, to brak go wpośród nich zupełnie.

Przyrodzone własności zajmowanego przez ludy owe terytorium, nie pozwalały na kupienie się zrazu w większe liczebnie ogniska. Wymogi życia, równie jak bezpieczeństwo, powodowały rozstrzelanie ludności na drobne grupy, które najczęściej pokrewieństwem związane, siedliły się zosobna, wybierając ku temu miejsca odpowiednie.

Potrzebna była zwierzyna, ryby, zboże, owoce; potrzebną była możność ukrycia się przed żadnym łupu najeżdżcą. To też mieszkano w lasach, po brzegach rzek i błot niedostępnych, jak o tem świadczy pisarz z VI w. po Chrystusie.

Podobne warunki życia bezwątpienia, z biegiem czasu, ulegać musiały zmianie.

Bez względu na klęski wojenne, na wrogie ludów łupieżczych napady, ludność rosła, skupiała się, umożliwiając przez to powstanie organizacyi jakiejś społecznej, a nawet — czyniąc ją konieczną.

W trzy wieki później spotykamy już wzmiankę o pierwszym księciu polskim, o księciu Wiślicy, którego ś-ty Metodyusz do chrześcijaństwa chciał skłonić.

Wątpić niepodobna, że owe trzy wieki były epoką organizacyi dla plemion, na ziemiach późniejszej Polski zamieszkałych.

Przestrzeń czasu, pomiędzy wiekami VI a XII, jest niemal tak samo wielką, jak przestrzeń, która nas dzieli od XII wieku.

Jeżeli przez ciąg tej ostatniej zaszło tak wiele wypadków; jeżeli po niej przesunąć się mogła tak nieskończona prawie ilość wydarzeń i ludzi, którzy zdołali w ciągu jej trwania i sami siebie, i otoczenie swego istnienia zmienić nie do poznania — coś podobnego mogło się stać i na przestrzeni pierwszego owego peryodu.

Prawda, że stosunki były całkiem inne; że czasy były mniej ruchome, ludzie mniej zmienni; że nie było tak wiele, jak potem, powodów do ciągłych przeobrażeń, a pewną bezwładność musiało cechować to życie pierwotne, niespójne, potrosze nawet bezkształtne.

Ale, bądź co bądź, jest to kawał czasu olbrzymi; wszystko zaś, co go wypełniało, tem większej właśnie jest wagi, że był to czas niezmiernie powolnego rozwoju. Że przeto, wszelki czynnik i wszelkie zjawisko społeczne nie przemijało tam szybko, jak za dni naszych, zdyszanych niejako pośpiechem życiowego tętna, ale działając i trwając, odciskało głębokie ślady na wszystkim, co ulegało jego wpływowi.

Jeżeli tedy mówimy, że społeczeństwo pierwotne było jednolite, jeżeli ta jednolitość ma objąć obszar, choć w przybliżeniu tak wielki, jak ów wspomniany, to mamy przed sobą zjawisko wcale nie błahe i lekceważyć nam go nie wolno.

IV.

Szczupłe są dane, które nam wprost o tych prastarych czasach dają świadectwo.

Kilka drobnych wzmianek źródłowych, treściwych, a niezupełnych — oto wszystko.

Wróg Słowian, Maurycy cesarz, pisał o nich w VI wieku, że prostych będąc obyczajów, szacują wolność i w żaden sposób nie dają się skłonić do służby, lub posłuszeństwa.

To zamiłowanie wolności w stosunkach zewnętrznych, było tylko objawem szczegółowym przywiązania, jakie jej Słowianie okazywali w ogóle. U siebie bowiem w domu, choć im to często na złe wychodziło, także znać nie chcieli władców nad sobą.

— „Neminem ferunt imperantem“—nie znoszą żadnej władzy.

Prawda, że trapią się rozterkami, nienawiścią wzajemną; prawda, że jest tu może mowa o czasie wojny.

Ale, gdyby nie znano władzy wtedy, gdy jest najpotrzebniejszą, nie istniałaby i w czasie pokoju.

Skąd inąd wiemy, iż rządem ich był rząd starców, którzy dla rozumu i doświadczenia długiego, tem ważniejszego, im mniej być mogło wówczas sztucznej nauki, mogli stanowić światłą Radę publiczną, pełniącą funkcje najwyższej instancyi prawnej, głoszącej rozkazy czy wyroki—mądre, więc poważane.

Jakiegokolwiek być mogły w podobny sposób żyjące grupy plemienne, musiały one być nawskroś jednolitemi.

Był to zawsze jeden ludek, w obrębie pewnej przestrzeni ziemi; jeden, nie rozdzielony na warstwy, które się już zrozumieć nie mogą, bo zbyt daleko odbiegły od siebie—duchowo.

Jakiegokolwiek tam być mogły pomiędzy ludźmi różnice,—tej być nie mogło.

Ale i innych różnic także nie było.

Historycznym jest dzisiaj pewnikiem, że pierwotni Słowianie pogańscy nie mieli stanu kapłańskiego.

Ta więc hierarchia duchowna, która umiała być często w dziejach potężną, a która bezwładną nigdy nie była, nie mogła sobą dawać powodu do podziału na oświeconych i prostaków; na posiadających tajemnice pogańskiego kulta, a niewtajemniczonych; na zbliżonych do bóstwa, a szukających do niego przystępu przez pośrednictwo kapłańskie.

Wszyscy jednakowo czcili Peruna, Tryglawa czy Światowida, Dadźboga czy Jesse.

Wszyscy na jeden sposób modlili się i w jednym do bożków swoich stali stosunku.

Nie dość jednak na tem.

Nie istniał u Słowian pierwotnych osobny stan rycerski; a niewolnictwo miało całkiem odrębne, sobie tylko właściwe, formy.

Walczyli na wojnie wszyscy zdolni do boju. A jeżeli „juvenes“ stanowili kwiat orężnej siły, mogli być także w szeregach mężowie pełni lat wprawdzie, ale krzepcy i dzielni.

Jeżeli zresztą za Mieszka I-go i za Bolesławów nie mamy rycerstwa, jako stanu, tembardziej nie mogło ono istnieć w tej formie poprzednio, przed dwoma lub trzema wiekami.

Co do niewoli, to istotnie, może być ona ważnym czynnikiem w procesie rozróżnień społecznych. I to nie tylko sama przez się, ale i przez wpływy, jakie ubocznie na społeczeństwo wywiera.

Gdzie niewolnicy są liczni, a forma niewoli ciężką, tam tworzy się w łonie narodu warstwa, a nawet—stan upośledzonych.

Tak jeden z historyków naszych, Smolka, wszystką ludność niewolną, a przywiązaną do ziemi, wywodzi od niewolników wojennych.

Ale u Słowian pierwotnych, niewola posłużyć może raczej za dowód jednolitości ich społecznej.

W jakiejże się to ona bowiem praktykuje u nich postaci?

Maurycy opowiada nam to szczegółowo: „Jeńców trzymają w niewoli nie tak, jak inne narody, które niewolą nazawsze; lecz określają im pewien czas, przez który mają zostawać w rozporządzeniu, aby potem, uściwszy pewną opłatę, mogli według woli, albo wrócić do domu, albo też, gdyby zechcieli, pozostać wpośród nich, jako „liberi et amici.“

Niewolnik więc—jak widzimy—nie naruszał przez swe istnienie organicznego ładu społeczeństwa.

Przynosił pewien zysk, bo wojna opłacać się musiała; ale—co najważniejsza—nie wychodził poza obręb tego społeczeństwa, nie zostawał wyłączony od niego, obcy, wzgardzony.

Różnił się chwilowo przez swą pracę specjalną, jaką mu wykonać kazano; lecz gdy wykonał, mógł się stać wolnym i przyjacielem, człowiekiem jednako ze swoim dawnym panem uprawnionym, ani pod jakimkolwiek względem odeń różnym.

Jest to wybitny dowód, że wpośród onych prastarych plemion, nie tylko nie było rozłamów i różnic społecznych, ale że ich być nie mogło.

Ci ludzie w zamierzeniu dziejowym przez nas szukani, i wtedy nawet, gdy się zdarzała potem taka wyborna sposobność, która gdzieindziej lub kiedyindziej różnicom wszelkim dobrze służyła, nie byli w stanie, ani umieli jej ku podobnemu celowi wyzyskać.

V.

Minęły wieki i w 1102 r. zasiadł na tronie Krzywousty.

Ani poprzednik jego żaden, ani następca, równie potężnej nad ludem nie piastowali władzy. Wszystko się przed nim ugina, wszystko mu służy. On panem wszystkiego bezwzględny. On tylko może mieć wolę i ma ją.

Cokolwiek go otacza, jest mu posłuszne, a oślepiający blask majestatu zaćmiewa wszystko dokoła, aby sam jeden mógł świecić tem jaśniej i tem swobodniej.

Ale w dziejach nic nie stoi osobno, ani powstaje bez racyi.

Zdawałoby się mogło, że pomiędzy ustrojem Bolesławowego królestwa, a budową społeczną XVII lub XVIII stulecia nie może być żadnego podobieństwa, tak jak pomiędzy ustrojem pierwotnych prastarych plemion słowiańskich, a państwem Krzywoustego.

Tak jednak nie jest.

Te pierwociny, ten Krzywousty, a potem Sasi — to są trzy stadya w jednym procesie rozwoju, leżące na jednej linii, jak gdyby przystanki, złączone ciągłym, równym gościńcem.

Państwo Krzywoustego jest górnym pokładem dla czasów, które je poprzedziły: jest dolnym, dla mających później nastąpić. Mieści też w sobie, w zarodzie lub szczątkach, wiele takich pierwiastków, których kwitnienie minęło, albo dopiero nastąpi. W szczątkach, potężnych jeszcze, mieści pierwotną jednolitość; w znacznie już rozwiniętym zarodzie — późniejszy rozłam, i wszystkie jego następstwa.

W ciągu całego peryodu przed Bolesławem zaszły w stosunkach pierwotnych duże przedewszystkiem zmiany.

Zostały uregulowane chaotyczne niegdyś warunki posiadania ziemi a nadto wydzielili się stanowczo i ustaliła silna władza polityczna, osobiona w majestacie królewskim.

Te zmiany były potrzebne i zbawienne. Wprowadzały one lud społeczny, bez którego niema rozwoju, i zapewniały lub zdawały się zapewniać podtrzymanie go na wypadek, gdyby się zachwiało.

Ale te zmiany jednolitości pierwotnej nie naruszały.

Pod względem politycznym życie było teraz inne o tyle, że władza królewska ciążyła wszechwładnie nad każdym; lecz we wzajemnym do siebie stosunku, wszyscy, bez wyjątku, pozostali tak sobie równi, jak przed pięcioma wiekami.

Pod względem obyczajowym i umysłowym był postęp wprowadzie; lecz ten nie dotykał pewnych tylko punktów i pewnych

ludzi. Szedł równolegle, miarowo, na całym obszarze społecznego życia, i stądto głowy miały jedną siłę, a obyczaj jedną do czasu i potrzeb stosowaną modłę.

Jednakże porządek i władza nie przyszły same.

Sposoby i warunki, w jakich się rozwijać musiały, były tej natury, że pociągały za sobą, jako konieczne, niemiuniknione następstwo, inne jeszcze, zrazu o zagadkowym obliczu czynniki, mające w przyszłości pokonać to właśnie, co zwyciężało teraz.

Teraz zapanowywał pierwiastek władzy, rozpostarty nad całym obszarem życia równego, nieskopanego jeszcze w doły i wzgórki, w zagony i bruzdy.

A obok niego, pod połą niejako purpury, kroczyły narzędzia, które je miały w przyszłości skopać, poruszyć, znierównić, a w utworzone przy tem przepaście zepchnąć ów, w górze stojący, pierwiastek władzy.

Narzędzia te były to przywileje, na czele których kroczył przywilej ekonomiczny, najpierwszy w długim szeregu, nieprzystającym rozszerzać się i rozrastać przez cały ciąg dziejów królestwa.

Na dwa wszakże punkty pilną należy zwrócić uwagę.

Najpierw, że przywilej ekonomiczny był w owe czasy niemiuniknionym tak co do faktu samego, jak co do formy, w jaką się przyoblekł; a potem, że chociaż następstwem jego był rozłam psychiczny pomiędzy ludem, a nieludem, sam rozłam ten przecież nie był wcale koniecznym.

Przyszedł, bo taką była wola nasza lub może tylko nasza nieopatrność.

W Bolesławowem państwie, obok masy ludności, stanowiącej jądro narodu, osiadłej na ziemi królewskiej i płacącej oznaczone do skarbu ciężary, na mocnych już ekonomicznych podstawach stoi z jednej strony kościół, a z drugiej — garstka rycerstwa, z której, o wiek, dwa później, miały wyrosnąć zastępy herbowej szlachty.

Ekonomiczne stanowisko obu tych czynników było o tyle od stanowiska reszty ludności odrębne, że kiedy ta pracowała na siebie i na skarb książęcy, tamte uzyskiwały z hojnej ręki panującego wielkie obszary ziemi na wyłączną własność, a osadzając na niej ludność niewolną, kupioną albo na wojnie zdobytą, usiłowały postawić się względem niej w takim stosunku, w jakim monarcha stał do całej masy ludności kraju.

Pomiędzy kościołem a świeckimi panami ta jedynie zachodziła różnica, że kiedy kościół odrzucał, z mocy książęcej woli, sta-

wał ekonomicznie ponad tą samą ludnością, nad którą poprzednio stał skarb książęcy, panowie świeccy wsparli się na niewolnikach, jeńcach wojennych, aby potem dopiero zagarnąć pod skrzydła swojego wpływu i resztę ludności, mającej dotychczas w państwie ściśle określone stanowisko polityczno-prawne.

Dużo potrzeba było czasu, ażeby przywilej ustalił się ostatecznie. Zeby się stał silniejszym nad wszystko i pewnym siebie. A równie długo i równie powoli wykluwał się on ze skorupy nowych politycznych stosunków, jakie stopniowo doprowadziły do utworzenia Mieszkowego państwa, państwa „Króla północy.“

VI.

Już Maurycy cesarz pisał o Słowianach, że są plemieniem nadzwyczaj kłótliwem, niesornem; że nadto są przewrotni i chytry.

Z doświadczenia wiedział, że pieniędzmi czy innymi środkami można ich sobie ująć, skłonić do zdrady względem współbraci, i uzbroić jednych przeciw drugim.

Wątpić niemożna, że rys ten moralny, w połączeniu z politycznymi czynnikami, z zewnątrz działającymi na luźne plemiona, był jednym z ważniejszych powodów, które stworzyły na terytoriach słowiańskiej ziemi mnóstwo drobnych państewek, księstw zapewne—choć mniejsza o nazwę—który to proces, raz rozpoczęty, trwał bez przeszkody i rozwijał się, im dalej, tem gwałtowniej.

Wzajemna rywalizacya, kłótnie, niezgody, a potem idące za nimi napady i walki, skupiały w rękach szczęśliwych coraz to większe kawały ziemi, coraz to obszerniejsze działnice.

Z podbojem gruntu przechodziły na własność zwycięzcy, równie jak wszystko, co na nich żyło: ludzie i zwierzęta.

A z drugiej strony, z tymże podbojem, rody, które najpierwsze stanęły u steru nowej organizacyi, traciły władzę, choć nie traciły powagi u ludu, ani uroku praw swoich zgwałconych.

Z czasem, gdy drobne a liczne schedy stapały się w coraz większe dziedziny, na których władza monarsza stawała się coraz to silniejszą, doszło do tego, że masy wiezionych do berła poddanych siedziały na królewskiej ziemi, jako czynszownicy państwowi; z drugiej zaś strony, upokorzone rody przodujące, których część, jak przypuszcza historyk (Bobrzyński), mogła ustąpić władzy dobrowolnie, dostały części ziemi na własność, mając możność uprawiania ich na swoją korzyść rękami niewolników.

Ci tedy notable, pierwsi stanęli obok mas ludu, w pozycji ekonomicznie od niego różnej.

Ale było i inne źródło, z którego przybywać mogły podobne wyjątki.

Książęta utrzymywali drużynę wojenną na własnym żołdzie. Z własnego majątku karmili i odziewali swe wojsko, zaspakajając sami wszystkie jego potrzeby.

O Mieszku mówi Ibrahim, że córki wojowników swoich wydawał za męż, synów żenił, a dawał przytem posugi, które — dodaje nawiasem — i wtedy już były duże.

Takiej drużyny miał Mieszko trzy tysiące. Rzecz prosta, że utrzymać ją własnym kosztem było ciężarem nielada. Tombardziej, że wymagania rosły, wojska coraz więcej było potrzeba, i już Chrobremu, jak Gallus wylicza, sam Poznań dostarczał przeszło pięć tysięcy ludzi, Gniezno przeszło sześć, a było to przecież nie wszystko.

Zmiana gospodarki, częściowa choćby, była niuniknioną.

Zrazu, za szczególne zasługi dawali książęta szmat ziemi temu lub owemu z rycerzy. Potem dawali go wprost, jako uposażenie, mające żold zastąpić.

I to było drugie źródło owych wyjątków, korzystnych na razie dla króla, bo rycerz ziemią nadany, rękami jeńców ją orzący, nic nie kosztował i schodził z pańskiego stołu — na własny.

Z jednej więc strony służył dobrze interesowi księcia cały ustrój polityczno-prawny mas społeczeństwa: z drugiej, okazały się pewne od ogólnej reguły wyjątki także niezmiernie dogodnymi. Popierali je więc książęta tak, jak się popiera wszystko, co korzyść przynosi.

Rycerstwo rosło w zamożność, a z nią i w siłę; a to tak dalece, że już Krzywoustego rządy widziały ukryte w łonie społeczeństwa pierwiastki, które właśnie przez ekonomiczną przewagę miały — za bezpośrednich jego następców — wystąpić do walki z koroną.

Prócz tego był jeszcze kościół.

Kościół musiał być wyposażony przez państwo dochodami. A że dochody państwa płynęły z czynszów ludności, dla braku organizacyi administracyjnej, trzeba mu było dać prawo poboru czynszów wprost od ludności, tak, jak to czynił skarb państwa.

Wprawdzie ciężary ludności podzielone zostały na dwie części, z których jedna zawsze jeszcze szła na korzyść państwa. Wprawdzie biskupi byli jeszcze uposażeni dożywotnio tylko, a po

ich śmierci dobra i czynsze zwracały się z daniną napowrót całym do tronu.

Miały jednak przyjść takie czasy, kiedy część książęca zostanie zniesioną zupełnie na korzyść kościoła, a raz nadany majątek biskupi stanie się również wieczystą jego własnością.

Miały jednak przyjść czasy, kiedy w stosunku do ludności kościół zajmie to stanowisko, jakie niegdyś zajmował monarcha.

Uposażenie kościoła było rzeczą konieczną. Równie konieczną była ta forma, w jakiej dokonaniem zostało. I nie było złem to, że forma owa, w stosunku do położenia mas ludu, była przywilejem, podobnym do przywilejów rycerstwa, komesów i urzędników książęcych,—ale to, że dała pochoch i możność do wykopania obyczajowej i umysłowej przepaści, pomiędzy dwiema częściami narodu.

To bowiem, jak powiedzieliśmy wyżej, wcale rzeczą konieczną nie było.

Istotnie, wyobraźmy sobie, że słudzy kościoła, pojawiający jak należy wielkie posłannictwo jego, zwracają wszystkie usiłowania ku popieraniu wszechstronnego rozwoju ludu; że świeccy panowie nie wyosobniają interesów swoich z pośród masy zadań społecznych i nie stawiają ich ponad wszystkim, ale podobnie jak tancerzy, i sami idą naprzód, i pomagają w tem innym. Gdyby tak było, wtedy te ich przywileje mogły się okazać rzeczą dla narodu zbawienną.

Bo lud, który sam przez się mógł, a nawet musiał rozwijać się ekonomicznie i psychicznie — w ludziach, mających znaczne środki materialne, czas, a przeto możność rozporządzania swą pracą i zamiarami, mogących wreszcie iść naprzód z nim razem, albo bez niego—znalazłby skuteczną pomoc dla własnych swoich usiłowań.

Warunki były tak szczęśliwe, że społeczeństwo weszło już na drogę nieuniknionego postępu i rozwijać się coraz dalej musiało. Potrzeba było tylko chcieć mu dopomóc albo przynajmniej iść obok i nie chcieć im przeszkadzać.

To można było zrobić. A jednak, nie zrobiono tego.

Położenie uprzywilejowanych było bardzo dla nich korzystnem, lecz przedstawiało zbyt wiele pokus, których zwyciężyć nie chciano, czy też nie umiano.

Może pokusy były zbyt silne, może za mało było dobrej woli, dość, że historia kilku następnych stuleci staje się — w ścisłym znaczeniu słowa — obrazem nieustającej walki o utrzymanie, utrwalenie i rozszerzenie przywilejów ekonomicznych. Walki, w której

zwycięstwo musiało rozłamać naród, i w której — niestety — zwyciężono.

A lud?

Otóż tutaj jest rdzeń całej kwestyi. Od chwili, gdy tylko wstąpiono na taką drogę, pierwszy krok na niej zrobiony już rozstrzygnął o przyszłości ludu. W takich warunkach, nie mógł on mieć w sobie nic szacownego sam przez się, jako lud. Jak wszystko też został poświęcony na ofiarę i — uległ.

Niepodobna procesu tego przedstawić we wszystkich drobiazgach i wszystkich szczegółach. Ogólne jego kontury zbyt są wszakże wyraźne, aby go po nich nie można było rozpoznać.

Znane są te dzieje, które, przeszedłszy przez cały szereg cząstkowych zwycięstw, kończą się na Opoczyńskich statutach, ustawodawstwem Olbrachta w Piotrkowie, przytwierdzającym ludność rolną do ziemi.

Zrobiono swoje.

Naród został złamanym, a ta jego część, która nie chciała postawić granicy swojej przewadze, ani się z masą ludu zespolić dla dobra kraju — lud ten odepchnęła, a potem — zdeptała nogami.

Taka jest zewnętrzna strona dziejów rozdwojenia narodowego.

Wewnętrzna, psychiczna, postępowała równolegle z tą, stwierdzając raz jeszcze prawo oddziaływania form i urządzeń społecznych na umysł i serca ludności.

VII.

Kiedy siekierą zatniemy pień drzewa, a potem ją zaraz wyjmemy, dwie rozdzielone części zejdu się znowu i przystaną do siebie z łatwością.

Ale gdy pień zaciąwszy, klin w szparę wbijemy i zostawimy go tam na długie, długie czasy, to po wyjęciu klina, rozszczepione części już się do siebie same nie zbliżą, lecz rozchylone, będą patrzyły na siebie zdaleka.

Pracowano u nas gorliwie nad wbiciem i utrzymaniem mocnego klina!

To też, kiedy czas jego minął, kiedy trzeba go było wyjąć, klin tak się zasiedziat, że napotkano wielkie trudności; a gdy go nareszcie wyjęto, pozostał po nim ślad niezatarty, próżnia, dzieląca odłamy jednego narodu, które się same przez się już zbliżyć nie mogły.

Kiedy przywilej ów, który był pierwszym źródłem i przyczyną rozdziału, który uwiódł szlachtę i pełną ją na drogę przeciwstawienia co jej służyło, wszystkiemu, coby służyć mogło innym, jako i samej sobie—ludowi; kiedy przywilej ów ekonomiczny upadł, została po nim puścizna, którą my, choć testamentu nie było, z prawa natury objąć byliśmy zmuszeni.

Pozostał zgubny dla życia i dla postępu rozłam, a jego posępna doniosłość góruje dziś nad społeczeństwem naszym.

Jak wielką jest ona i jak posępna, oceni każdy, kto choćby przez chwilę istocie spadku przypatrzyć się zechce.

Mamy dziś takie czasy, że ludzie myślą—nie każdy o sobie tylko—ale jedni chcą, aby drugim dobrze było na świecie.

Wiemy nadto, że tak się tu wszystko wiąże z sobą i jedno-czy, a pomyślność każdego tak jest zależną od pomyślności innych, że kiedy cierpią miasta, wsie kwitnąć nie mogą; kiedy wieś marnieje—i miasto upada; a powiem także: kiedy ludowi źle, dworowi dobrze być niemoże.

Myślmy też dzisiaj nietylko o materialnych pożytkach wzajemnych.

Rozwój uczuć szlachetnych, poczucia godności ludzkiej i wszystkich tych wyższych przyniotów, które są cechą społeczeństwa, a ozdobą człowieka, ciąży nam na sercu. Pragnęlibyśmy rozwój ten wspierać, przyspieszać, rozszerzać.

Jeżeli tego w słusznej mierze uczynić nie możemy, lub raczej, jeżeli praca nasza jest bezowocną, to są to właśnie następstwa narodowego rozłam.

Z chwilą, kiedy dążność do obciążenia, w imię przywilejów, chłopskiego karku przybrała wyraźne kontury, musiał się rozpocząć proces rozwoju zewnętrznych wyróżnień pomiędzy ludem a szlachtą, proces, wprowadzający coraz jaskrawsze różnice w zwyczajach i obyczajach.

Mowa, strój, obrzędy, obchody—wszystko się to musiało rozstrzelić. Dwa tryby życia i obejścia, postępowania,—musiały wypłynąć na powierzchnię stosunków społecznych, bądź z rozmysłu, bądź też jako następstwo różnicy w pozycjach zajętych, przeciwnych sobie, więc szukających odmiennego wyrazu i kształtu.

Ani interes, ani potrzeba nie mogły skłonić ludzi żadnych władzy do pielęgnowania cech narodowych, bo one były znamięm ludu, więc tych, których skazano na służbę.

Ludu odrazu przerobić nie było można; siebie—też trudniej może, niżby chciano.

Nie jest to więc zapewne przypadek, że się panowie najpierw wyrzekli narodowego języka. Bo i najłatwiej było w ten sposób od gminu się wyróżnić i wyróżnienie było od razu—jaskrawe.

Prawda, że ono głęboko w życie sięgać nie mogło, był jednak czas od tego, aby, co płytkie, pogłębił.

I to nie przypadek zapewne, że język ojezysty powrócił do praw swoich wtedy, gdy inne wyróżniające znamiona aż nadto bujnie się rozrosły.

Nie mogły się one zresztą mnożyć po stronie ludu.

Coraz gwałtowniej spychany na ostatni szczebel istnienia, jeżeli nie tracił obyczajów, wyrobionego w normalnych warunkach życia, nie mógł wygładzać go, ani wyszlachetniać.

U możnych byłoby dobry rodził potrzeby nowe i dawał środki do ich zaspokojenia.

Szlachta, wolna od przymusowej pracy, ciężkiej a ustawicznej, mogła wypełniać dnie swoje rozrywką, zabawą, przy których towarzyskie przymioty muszą się kształcić, wdrażając człowieka w te karby postępowania, co to umieją obcowaniu ludzi dodać powabu i wdzięku, ścierając szorstkie, choć naturalne może uczucie objawy.

Lud towarzyską stronę życia zaniedbywać musiał coraz bardziej, w miarę tego, jak coraz silniej opasywała go obręcz przymusu.

Ograniczany w środkach stopniowo aż do kresu, po za którym niedostatek lub nędza przebywa; doprowadzony powoli do stanu, w którym zaspokojenie pragnienia i głodu staje się jedynym niemal życia celem, lud nie mógł wyrobić sobie delikatnych form towarzyskich.

Kto wie, czy nie będzie to prawdą, że w tej jedynej sferze, jaką mu pozostawiono całkiem dla niego samego, w sferze stosunków z równymi sobie towarzyszami pracy i zależności, szukał wynagrodzenia za ustawiczny przymus, puszczając wodze gwałtownym, niehamowanym wybuchom uczuć, bez względu na formę ich zewnętrznego wyrazu.

Jego ruchy były tu śmiałe a szorstkie, jego słowa dobitne a swawolne.

Z pośród uciech życia pozostał mu tylko śmiech i rozkosz zmysłowa. Śmiał się więc dużo a głośno; do towarzystwa wnosił zmysłowość, którą, w braku czego innego, obyczaj swój zabarwiał.

Panowie gładzili się i okrzyszowali.

Mogli, musieli nawet o zagraniczny otrzeć się obyczaj, a wiele z niego i do domów wnieśli.

Dworskość stoczyła zwycięską walkę z resztkami prostactwa. Mowa stawała się coraz gładszą, słodsza; strój obcej formy zgrabnie owijał ciało, uwydatniając ruchów okrągłość i wdzięk postaci.

Zaczęto wreszcie synów za góry posyłać, do włoskiej krainy, a to—„dla lutni i tańca.“

Taniec i lutnia, uprzejmość i etykieta, dowcip i humor,—oto co zapanowało w pańskich komnatach, ozdobionych dziełami cudzoziemskiego przemysłu i sztuki.

Dobra to była rzecz; ale lud jej nie mógł dostąpić.

Nie szukał on towarzystwa dla towarzystwa. Szukał go dla wrzawy, dla wypitki, dla muzyki.

Wpółśród gwałtownych ruchów i skoków szukał zapomnienia o dniu wczorajszym i niepamięci na jutro.

Musiał żyć z ludźmi, którzy byli we wsi, a życie, zaprzątnięte pracą i pozbawione—z wyłączeniem modlitwy—wszelkich podniosłych wrażeń, bez upojenia od czasu do czasu, bez szału tańca i trunku, byłoby może nazbyt ciężką męką.

Rodziny obyczaj nie mógł też łagodnieć, bo i temu sprzeciwiły się warunki.

Nie żeby tam uczuć nie było, ale że troska powszednia musi od nich odwracać uwagę, a czasem nawet tłumić je potrafi.

Szlacheckie pachole miało nad kołyską matkę, która tam czuć mogła i we dnie i w nocy. Miłość mogła jej życie wypełniać, a przeto je uszlachetniać.

Ale tam, gdzie między matką a dzieckiem stało widno niedoli, gdzie chwila rozkoszy całymi latami biedy opłacać się musiała; gdzie dziecię stać się mogło jednym więcej ciężarem życia, tam miłość zasypywał pył kurzawy polnej albo sadze komina, tam życie wpychało uczucia w głąb duszy, skąd wybuchały niekiedy—pieśnią i łzami.

Jak niezgrabny posążek pogańskiego bóstwa zmienił się z czasem w misterną rzeźbę, tak się zmieniła zewnętrzna postać życia szlacheckiego. U ludu — formy zostały starym owym posążkiem.

Dodajmy do tego obyczaj rycerski i kształty, jakie przybierał, podczas gdy lud, z ziemią związany — z samej natury zajęcia swojego—życie inaczej formować musiał, a zrozumiemy, dlaczego od stóp aż do głowy, od poruszenia ręką aż do czynu, od myśli aż do słowa, wszystko nazewnątrz, tu i tam inaczej wyglądać musiało.

Dawnemi czasy mógł rozłam taki nie dać się wcale uczuć, ani nawet być szkodliwym. Kiedy ludzie nie podnosili żadnych ogólnych zadań, obejmujących szerokie kręgi serc i umysłów; gdy

przodująca w narodzie warstwa umiała lub udawała, że umie rozwiązać każdy węzeł, jakiby los na drogę jej rzucił zechciał,—wtedy nie tylko niemożna było mówić o jedności, wtedy może to nawet było niepotrzebnem.

Ale zmieniły się czasy.

Dzisiaj życie płynie głębszem korytem, a wielkich jego zagadnień nikt sam nie podejmie, nikt sam nie rozwiąże.

Dzisiaj—wszystko, co żyje, musi się wprzódz do pracy około powszechnego dobra. Inaczej—nie będzie ono albo dobrem, albo też powszechnem.

Cykl wielkich zadań życia wymaga nateżenia sił wszystkich. Wszystkich zmusza do zbliżenia się i porozumienia z sobą, a ta przepaść, która dzieli naród na dwie obce sobie niemal części i pochłania tak wiele wysiłków, tak wiele ofiar nawet, musi być zasypaną koniecznie.

VIII.

Moralność publiczna i prywatna jest drugą częścią obyczajowej strony życia.

Patrząc w te stare wieki, trafiamy czasem zadziwieni na niespodziane całkiem zwroty i przejawy etyki.

Już to enota błysnie nam przed oczyma tak jasna i czysta, że niemal oślepia; już to potworny występki łączy się i żyje w zgodzie z pobożnością i ofiarnością bez granic.

Po za wyjątkami wszakże, które dziwactwem lub niezwykłością uderzą nas zrazu, szarzejże ogólne tło, mniej więcej na całym obszarze życia jednakie, zwyczajne, a więc nie dziwne.

To przecież zastanowienia jest godnem, że w moralności lud nigdy nie stał niżej od szlachty, ni wyżej.

Czy zresztą nie stał wyżej—nie zaręczę.

W każdym razie lud pobłażliwiej trzeba sądzić, niż szlachtę.

Łamał on wprawdzie obowiązki swoje, a nawet dopuszczał się gwałtów. Ale spytajmy, co było trudniej: czy nie wyłamać prętów małej klatki, do której sferę możliwości, jaką lud rozporządzał, porównać nam trzeba; czy, rozpierając się wolno i szeroko, nie ograniczać nadużyciami i tak już małej przestrzeni powietrza, w którym poruszał się chłop, i którym oddychał?

Zaiste, łatwiej było panom utrzymać łokcie przy sobie—w mierze

Gdy nie uczynili tego, powiedziec many prawo, że moralność ich od ludowej wyższą nie była.

Kto pragnie przypatrzeć się smutnym tej kwestyi szczegółom, niech czyta „Jurisdykcyę patrymonialną“ Lubomirskiego albo Górnickiego „Rozmowa o Elekcyi.“

Jeżeli tedy moralność ludu i szlachty stała na jednym poziomie: jeżeli poziom ten był—biorąc ogólnie—bardzo niewysoki; jeżeli, wreszcie, wznosić się nie mógł po jednej, ani po drugiej stronie,—to były to nieuniknione skutki zajętych wzajemnie stanowisk, tak umieszczonych, ażeby być od siebie jaknajdalej.

Nie wszelkie prawo jest miętem Bogu i sprawiedliwem.

Ten, kto popiera niesłuszne prawo w cudzem imieniu—upada moralnie. Bardziej upada, kto je popiera we własnem imieniu i dla swej własnej korzyści.

Kto karzę winy, z wykroczeń przeciw niesłusznym prawom powstałe—upada moralnie.

Kto prawa te sam postanowił i karze—bardziej upada.

Szlacheć mógł panować nad ludem, utrzymując go w karchach pokory i posłuszeństwa. W tym celu, chociaż go zepchnął na najniższy szczebel istnienia, musiał z nim wchodzić w stosunki.

Wydawał rozkazy, sądził, karał.

Lecz jeżeli rozkaz był nadużyciem, kara była niem w dwójnasób.

Bo jedno i drugie było objawem i treścią zarazem tej uzurpacyi prawa publicznego na korzyść jednostek, z której, raz wszedłszy na drogę przywilejów, musiano zrobić sobie zyskowny interes prywatny.

Szlacheć, w zetknięciu z chłopem, musiał być twardym, szorstkim, surowym, z jednej strony; ślepym na prawdę i egoizmem pełnym—z drugiej. A czerpiąc w tym, utworzonym przez siebie świecie, zatruwające moralność pierwiastki, wnosił je w życie, którego etycznego poziomu wznieść nie był w stanie.

Chłop, chociaż z innych powodów, był na toż samo skazany.

Ustrój stosunków, wypierający go z areny życia w kąt najodleglejszy, spowodował go do zamknięcia się w ciasnem kole rodzinnem. Choć niezupełnie zawsze był tu panem.

Własna potrzeba i rozum kazały mu tak postępować, ażeby życie znośnem sobie uczynić.

To wystarczało do wyrobienia i utrzymania średniego poziomu moralności, który powinien był rozwijać się i podnosić, a gdyby nie zewnętrzne przeszkody, niechybnie byłby to zrobił.

Przeszkody tkwiły znowu w ustroju stosunków, tworzących całe szeregi przeciwieństw.

Dopóki łamał prawo, chłop moralnym być nie mógł. Dopóki nad sobą miał prawo niesłuszne — podstępem tajnym, chytrąścią, oszustwem, albo wprost jawnym gwałtem — łamał je i deptał.

Pytani tych wszystkich, którzy znają naturę ludzką i którzy w dziejach czytać umieją, czy nie jest to naturalnem?

Czy lud mógł nie deptać tego, co jego deptało? A unikając kary, czy mógł nie ćwiczyć się w fałszu, stając się więcej niż złym, bo — przewrotnym?

Dopóki nad nim wisił miecz Damoklesa, nie dziw, że stracić go pragnął. Ale pragnienia podobne, tembardziej usiłowania, wiodły go prosto do zbrodni.

Czerpał więc około siebie truciznę, którą zakazał się na całe życie.

To, co uważał za drogę do ulgi dla siebie, było gościńcem, który go wiodł do moralnego upadku, i do poniżenia. A na potomność smutne z tego wszystkiego spadło dziedzictwo.

Kiedy mechanizm sztucznego życia runął nazawsze, szlachta, w szczęśliwszych żyjąca warunkach, przyjęła chrzest oczyszczenia, i wszystko zaczęło rosnać moralnie.

Ale lud, mało ruchliwy, do powolnego życia nawykły, niełatwo zewnętrznym ulegający bodźcom, pozostał prawie takim samym, jakim go widziały wieki, których nieszczęsną robotę odrobi dopiero przeszłość, i my — jej gońcy.

IX.

Szereg wpływów obyczajowych nie kończy się na tem.

Nie mógł się wymknąć ich oddziaływaniu charakter tak ludu, jak szlachty, a dłoń warunków zewnętrznych odbiła na nim też jaskrawo piętna.

I tutaj także skutki są różne, jak różne były pozycye, bo właśnie te ostatnie były dla pierwszych przyczyną. I tutaj rozszliśmy się w dwie przeciwne strony.

Po jednej, stopniowo rozwijać się i rosnać musiały — niedbalstwo i lenistwo.

Na cudzej ziemi i cudzym pracując dobytkiem, pocoby miał być chłop dbalym i opatrzynym?

Zainteresowanym — nie był osobiście, więc dbał, o ile go zmusić zdołano.

A pracowitym pocoby miał być, kiedy pracował na pana?

Ze wsi wydaleć się nie mógł w celu szukania przemysłowego zarobku po kraju; we wsi, kęs ziemi, z którego miał żywić rodzinę, uprawił bez mozołu, jedyne oprócz tego mając zajęcie w pracy dla dworu.

Była to praca, którą mógł dać tylko pod przymusem; więc dawał jej tak mało, jak można.

Prawda, przez czas oznaczony był w polu.

Tego uniknąć nie było sposobu.

Ale w tym czasie, jak najmniej darmo dać pragnąc, tak długo do lenistwa się wdrażał, że mu ono wreszcie do krwi przesiąkło.

Dzisiaj, pracuje chłop tylko tyle, aby najpierwsze zaspokoić potrzeby. Po za tem, bez względu, że mógłby zarabiać, — próżnuje, jak gdyby wcale nie myślał o rozszerzeniu skali swych potrzeb, ani o środkach lepszego zaspakajania dawnych.

Drugim rysem, który stopniowo przenikał do charakteru ludu, była bierność.

Chłop przytwierdzony do roli, mający z góry zakresłone małe kółeczko obowiązków i robiący dziś to samo, co będzie robił jutro, i nie mogący pomyśleć nawet o przedsięwzięciu jakimś, dla siebie korzystnem; chłop żyjący bez woli i czekający pańskich rozkazów, które mu zastępowały i wolę, i rozum — musiał po upływie całych wieków utracić wszelką zdolność do inicjatywy, nawet w sferze własnych swoich potrzeb. Musiał się stawać powoli coraz mniej ruchliwym, coraz cięższym, coraz bardziej zakrzepłym niejako w tych starych formach i warunkach bytu, w jakich tak długo zostawał bez możności, chociażby nawet niegdyś miał potemu zdolności.

Wszak do niedawna i po za ruchem emigracyjnym, który jest zjawiskiem stosunkowo świeżym i obejmującym pewne okolice kraju, nie widzieliśmy, aby chłop myślał o polepszeniu losu swego na wsi. Tem mniej, aby cokolwiek w tej mierze przedsiębrał sam przez się.

Złudzone oko nasze skłonne było mniemać, że lud utracił zdolność postępu i posuwania się naprzód.

I jest to poniekąd prawdą, bo owa bierność i ociężałość, tłem charakteru jego na ogół będąca, stanowi silną dla wszelkiego postępu zaporę. Zaporę, którą w wewnątrz dopiero, z niemałym wysiłkiem podważać i usuwać trzeba.

Otóż ta bierność i ta ociężałość ściśle związane są z dziejami ludu, i historycznym jest ich początek.

Po drugiej stronie, charakter szlachty przybierał odmienne wręcz cechy, bo stanowisko jej wręcz odmienne było.

Ten, kto rozkazy wydaje, kto opatruje własnym rozumem potrzeby swoje, oraz innych ludzi, mniejsza o to—złe czy dobrze je pojął—od kogo w każdej chwili zażądać mogą postanowienia lub rady, ten nie może utracić energii, ani bystrości.

Przeciwnie. Wola jego musi być zdolną co chwila do gwałtownego napięcia. A raczej, gdy przez długie czasy każda chwila wymaga od niej napięcia, nareszcie staje się ona zdolną do niego w każdej chwili.

Stąd też, owa doza energii, jaką rozporządzają dziś wyższe warstwy narodu, jest bezwątpienia także historycznego początku.

Współcześnie jednak z energią, będącą czynnikiem życia dodatnim, przychodził inny, już całkowicie ujemny. Przychodził brak wytrwałości tak w drobnych, jak i w wielkich sprawach.

Jeżeli bowiem dla osiągnięcia zamiaru dość było zdobyć się na jeden akt woli, na jej jedyny wysiłek, który sprawą zarządza i rozkazuje,—a u nas tak właśnie było,—to wola nie mogła ćwiczyć się w wytrwaniu. Do tego brakło osobistego udziału w tych pracach, które opatrywały potrzeby; udziału czynnego i odpowiedzialnego. Tutaj dość było rozkazać.

Gdyby się rzecz nie udała, winien był chłop, albo Pan Bóg. Więc nowy na moment akt woli, i nowa praca—tym samym porządkiem.

Zestawmy teraz dwie takie postacie i każmy im wspólnie pracować dla dobra kraju. Jedna wykwiutna, okragła, gładka, druga rubaszna, szorstka.

Jedna rzutka, druga ociężała. Jedna niewytrwała, druga leniwa.

Co będą w stanie zdziałać pospołu?

Czego dokażą?

Jak woda i ogień skłócają się z sobą: z jednej powstanie czeza para, dym z drugiej.

Gdy jeden co przedsięwzięcie, drugi nie poprze go, bo ociężały, starych form i starych bied porzucić nie chce.

Przypuśćmy wszakże, iż przewyciężył się i poprze. Wtedy zaczną pracować wspólnie. Ale skutek taki w końcu być musi, że niewytrwały opuści leniwego, choć sam go z miejsca ruszył, a tantem, zostawiony sobie, znowu do dawnej drzemki swej powróci.

Jest to formuła, pod którą podciągnąć można tysiące faktów, jakie na każdym kroku, wokół siebie w życiu spotykamy.

X.

Ale historyczne warunki życia ludu odcisnęły niezatarte piętno i na myśli jego.

Pomijając podrzędne odcienia, w trzech przedewszystkiem względach różni się myśl ludu od myśli warstw przed nim stojących: w formie, w treści i w sposobie rozumowania, pod które podciągnąć należy takie objawy, jak pojęcie o przyczynie zjawisk, rozległość skali myślenia i t. p., ujawniające naturę swą w niezliczonych, szczegółowych przypadkach.

Co do formy, to myśl ludu tem się głównie wyróżnia, że w nader małym stopniu zdolną jest do abstrakcyi, że bardzo mało mieści w sobie oderwanych pojęć, że wreszcie przeważną część wiadomości ludu stanowią fakta, nie idee, pojęcia proste, najprostsze.

Chłop wie, że funt jest równy funtowi, ale obce mu jest pojęcie równowagi. Wie, że koń może wóz ciągnąć; ale niema pojęcia o sile. Wie, że pokarm wzmacnia, głód osłabia; — ale obce mu jest pojęcie o życiu. Wie, że można i trzeba raz zboże sprzedać, to znowu kupić soli, — ale niema pojęcia wymiany. Wie, że grunt, na którym siedzi, jest jego, a grunt, na którym siedzi sąsiad—sasiada; a niema abstrakcyi prawa własności.

Dowodów na to nie trzeba daleko szukać.

Ten tylko włada pojęciem, kto umie podciągnąć pod nie każdy szczegółowy fakt, z pośród tych, jakie to pojęcie obejmuje, kto potrafi dopatrzeć w wielu różnych faktach pokrewieństwo, będące właśnie podstawą uogólnienia.

Spróbujmy jednak przekonać chłopą, że koń, co ciągnie, wiatrak, co miele, młocarnia parowa we dworze — mają w sobie cokolwiek wspólnego.

Albo nam się wcale nie uda, albo jeśli się uda, to będzie skutkiem wielkiego mozołu.

A może zechcemy w niego weprzeć, że sprzedaż jest podobną do kupna lub nawet, że jest z niem jedną i tą samą rzeczą?

Kupno będzie dla niego zawsze tylko kupnem, sprzedaż tylko sprzedażą. Nie on w nich nie dopatrzy wspólnego, każde pojęcie oddzielnie, i we wspólnem pojęciu wymiany nigdy ich nie połączy.

Tak samo niema pojęcia o życiu, bo je w chorobie ratuje czarunami, a mętne tylko bardzo pojęcie o prawie. Dlatego też nie korzysta z niego, kiedy mu służy, lub często, gdy go obciąża, z całą naiwnością je łamie.

Szczegółowość więc, faktyczność, pojedynczość—oto są znamiona myśli ludowej, co do formy.

W przeciwstawieniu do myśli ludowej, myśl wyższych warstw w narodzie pełną jest uogólnień, abstrakcyi. Tak pełną, że daleko więcej niemi żyje, niż faktami.

I to jest właśnie wybitne piętno tej myśli, której naczelną cechą formalną jest ideowość, ogólność.

Fakty powyższe mają doniosłość niepospolitą.

Ta pojedynczość bowiem i ta ogólność mają swoje psychiczne następstwa, wyjawiające się w rozumowaniach i wnioskowaniu. Jeżeli tedy w formach istniały różnice pomiędzy ludem a nieludem, to i w funkcjach myślowych znaleźć je musimy.

Prawdą to jest niezbitą, że do szeregu mętnych bardzo pojęć u ludu, należy pojęcie o prawdziwej, fizycznej przyczynie.

Widzieć w tem można tylko poparcie twierdzenia o formie ludowej myśli.

Jednakże pojęcie to jest dla nas z wielu względów ważniejszem od innych abstrakcyj. Bo najpierw, pojęcie przyczyny jest nader złożonem pojęciem, i bez ogromnej liczby pojęć ogólnych, daleko odeń prostszych, w umyśle znaleźć się nie może. Tak dalece jest to prawdą, że są uczeni (Spencer), którzy stopień wyrazistości i jasności, w jakim ktoś to pojęcie posiada, uważają za miarę jego umysłowego poziomu.

A potem, podczas gdy inne pojęcia niejako same sobie służą, albo też stają się materialem dla myśli i rozumowania, pojęcie przyczyny stanowi podstawę każdego rozumowania i wszystkie je, do pewnego stopnia, obejmuje.

Znaczy to, że jeżeli samo pojęcie jest niejasnem, rozumowanie musi być fałszywym, lub chociażby—niedokładnem.

Jeżeli tak, stosunkowo, proste abstrakcye, jak siły lub wymiary, nie mogą się pomieścić w chłopskiej głowie, lub mieszczą się tam w karykaturze—tembardziejż dzieć się to musi z pojęciem przyczyny.

A kiedy tego nie posiada, rozumowania jego szwankować muszą, co znowu odbija się szkodliwie na życiu.

Jakoż wszelki zabobon, przesąd, wszelkie gusło stoi brakiem pojęcia przyczyny, a ile lud na nich cierpi, to wszyscy wiemy.

Teofrast opowiada nam o starym Greku, że gdy mu kot drogę zabieżał, zostawał na miejscu bez ruchu, dopóki nie przebieżał drugi, albo szukał trzech kamieni, aby je rzucić przez drogę. A kiedy zobaczył sowę, nim ruszył dalej, musiał krzyknąć: „Ate-

no, ratuj!⁴ A gdy mu myszy worek pogryzły, to szedł do wieszczka i pytał: „co robić?”

Mówi mu wieszczek: „każ dziurę załatać” — ałisci Grek nie wierzy, i idzie złożyć ofiarę.

Ileż to razy i nasz chłop, zamiast załatać dziurawy worek swej biedy, składa ofiary, a zamiast pracować, czeka nadprzyrodzonej pomocy! Ileż to razy sen, jaki miał w nocy, kieruje postępowaniem jego we dnie, lub przypadkowa całkiem okoliczność, cień jaki, szmer, ruch, dźwięk, czy inna rzecz, ze sprawą związku zgoła nie mającą, rozstrzyga o wyborze drogi i środków działania?

W takich warunkach praca nie może być rozumną, a więc skuteczną. A te warunki są ugruntowane na braku pojęcia przyczyny, pośrednio zaś, na małym wyrobieniu myśli w ogóle, wyrobieniu, które nie przeszło przez stadyum faktów i uogólnień najprostszych.

W ścisłym z tem związku zostaje skala rozległości chłopskiej myśli.

Wielkie obszary zjawisk w przestrzeni, bądź w czasie, ten tylko umysł naraz objąć zdofa, który swobodnie włada znacznym zapasem pojęć ogólnych. Bez nich trzymać się będzie zawsze w pobliżu głównego ogniska myśli i czucia, to jest myślącej osoby i bezpośrednich, palących jej potrzeb. Ale pomyślność nie może się stać udziałem człowieka, który nie umie związać zjawisk współczesnych, z szeregiem odległych następstw, który nie sięga w przyszłość, nie przewiduje.

Myśl zaś chłopska dlatego małą obejmuje skalę, że stoi na niskim szczeblu ogólności.

Otóż praktycznem następstwem tego być musi, że lud nie jest przewidującym, zabiegłym, nie jest przezornym, nie wie co to jest praca dla przyszłości.

Jest jeszcze trzecia różnica pomiędzy myślą ludu a nieludu, różnica treści samej. Wiele tu o niej wszakże mówić nie możemy.

Jest ona wielką i jest ona ważną.

Dość przecież jest wskazać na nią, bo nie wyczerpać już, ale choćby trochę zaczerpnąć w niej—trudno. Trzebaby tutaj wliczyć wszystkie pojęcia, jakie się w ludzkich umysłach pomieścić mogą; tego jednak zrobić niepodobna, bo trzebaby na to spisać całą encyklopedyę.

Jestże to traf lub przypadek te wszystkie zjawiska w sferze ludowej myśli?

Jestże to traf, że chłop umysłem tak ciężko porusza, a sięga tak niedaleko?

A gdy już poruszać zaczął, to tak mu to idzie kulawo, że błądzi na każdym kroku, bezwiednie szkodząc sobie i innym.

Czy może jestto zjawisko logiczne, na samą chwilę konieczne?

Czy może ten chłopski umysł dzisiejszy, jest normalnym wytworem dziejowym, zdawna na taką urabianym modłę, w jaką się sam dziś przemienił?

Gdybyśmy o to zaczęli pytać historyi, odrzekłaby nam, że mema tu nic zgoła niezwykłego, nic przypadkowego. Że wszystko jest takie właśnie, jak być powinno. Nie takie wprawdzie, jakbyśmy pragnęli, aby było, i jakie może jeszcze kiedyś będzie, lecz takie, jakie ustawicznym naciskiem w pewnym kierunku wytworzyć musiały dzieje.

Umysł chłopski był przykuty do wiecznie jednakich warunków bytu, zamknięty w ciasnem kole zwierzęcego niemal istnienia, więc go świeże pojęcia zasilać nie mogły.

Rozległe stosunki życia i natury leżały zawsze poza granicą sfery, z którą mu wolno było się stykać; pojęcia jego musiały pozostać tak proste, jak świat, w którym był zamknięty, a którego nie mógł opuścić.

Brak szerszego widnokregu, brak wszelkich pobudek do wybiegania myślą poza chatę, a klęski, jakich doznać musiał, kiedy wybiegł, kiedy zapragnął czegoś, a potem szczęście chciał chwycić za poję — wszystko to musiało urobić myśl tę powoli na bezwładną, skamieniałą, zadrobniałą, jako kłosa płonne.

A gdy minęły szeregi wieków, znalazł się ślad bez przerwy padających kropli, — też może.

I kiedy dziś my, którzy nie jesteśmy ludem, w myśl jego patrzymy, widzimy ze smutkiem, często z przerażeniem nawet, że dzieli nas wielka przepaść, następstwo sztucznych warunków istnienia w przeszłości.

A tak, owo rozdwojenie, ów rozłam, jest tak głęboki, jak życie samo, i sięga najdalszych jego zakątków.

Obecność rozłamu tego występuje wszędzie, na każdym polu, w każdej sferze czynu i niema takiego, obchodzącego społeczność całą zadania, gdzieby się on dotkliwie nie dał uczuć. Owszem, gdzieby nie paraliżował wszelkiego działania narodu, jako narodu; gdzieby go nie obezwładniał, nie pozbawiał siły i wiary w tę siłę, wiary w życie samo, w jego fundamenty i w żywotność jego.

XI.

A teraz pytam: nie jestże mrzonką myśl o zniszczeniu tak zadawnionej choroby? Czy nie jest to jakaś fantastyczna sielan-ka, niewykonalna, a zatem czeza i próżna?

I czy nie jest to łudzenie samych siebie, i piękny sen — na jawie?

Nie.

Nie jest to ani mrzonka, ani też złudzenie.

Na powierzchni życia naszego występują coraz częściej idea-ty przyszłości, któremi żyją ludzie, i w imię których pracują.

Otóż, jestto niezbitą prawdą, że odwrotną stroną wszystkich rozumnych ideałów życia, niedostrzeganą dlatego tylko, że się pod spodem ukrywa, jest zniszczenie zgubnego w narodzie rozłamu.

Wszyscy do niego dążymy, choć często nie wiemy o tem.

Bezwładnym wszakże uczynić go będziemy mogli tylko wtedy, gdy walka z nim stanie się świadomą swego celu.

O czemże to bowiem marzymy, czego to pragniemy dla przy-szołości kraju?

Oto pragniemy wszyscy, aby naród nasz był wolnym, był silnym, by był szlachetnym, zamożnym i światłym.

Lecz czyż to nie znaczy właśnie, że pragniemy zniszczyć owo rozłdwojenie. Wszak bez wyplenienia tego chwastu, bez ule-czenia tej niemocy, żadne z pożądań naszych się nie ziści, żadne z ziarn powszechnego szczęścia nam nie wzejdzie.

Nie chodzi tu, jak to rozumiemy wszyscy, o jakąś sztuczną równość między ludźmi. O niwelację stanowisk, serc i umysłów.

Nie.

Tutaj idzie o postęp na wszystkich polach życia. W tym po-stępie zatrzeć się musi na dole to, co tam jest złego; podnieść co jest niskiego, wyrość, co jest małego.

U góry wzmogą się uczucia bratnie, szczerze społeczne; do-brobyt musi się wznieść tam, gdzie go niema; światło i ciepło tam, gdzie dusze zamartwiały w egoizmie; a całość musi się we-sprzeć na trwałych podstawach rozwoju.

Jeżeli zaś, na każdym z tych pól, rozłdwojenie uniemożliwia rozwój ten i postęp, albo go tamuje, to w pierwszej linii stać się powinno nieprzyjacielem naszym.

Każdy zwyciężki krok w nieutrudzonem z nim boju będzie zbawiennym tryumfem, bo za nim już same przyjąć muszą nabytki owej prawdziwej, owej podniosłej wielkości, która sama tylko może być treścią ideałów.

Lud zatem podnieść, lud dźwignąć, lud wyprowadzić z apatyi, z obojętności duchowej—oto powinny być cele i zadania nasze. Ułatwić mu rozwój wszechstronny, rozruszać go, pchnąć z miejsca, tak, jak niegdyś został na miejscu wstrzymany.

On się powinien podnieść i stanąć na tym poziomie, by wspólna praca wszystkich synów tej ziemi stała się możliwą i płodną.

On się powinien przybliżyć do nas, wyżej od niego stojących.

Wprzód jednak własnymi rękami zasypujemy tę przepaść, jaką niegdyś ręce ojców naszych wykopały.

W miarę, jak ona nikać pocznie, coraz bardziej będziemy wszyscy razem zdolni do życia, do czynu.

W miarę, jak się ona będzie zmniejszała, coraz obfitsze będą owoce naszych usiłowań i ofiar i coraz większą powszechną pomyślność.

Jak tego dopiąć i jakich użyć środków do podniesienia chłopskiej doli, chłopskiego serca i głowy, o tem tu mówić—nie będę. Naród potrafi znaleźć skuteczne środki dla dopięcia celów, byle tylko cele miał wielkie i jasne.

A gdy inne narody szukają chluby w rozwoju nauki czy sztuki, mybyśmy pewno nic nie stracili, gdybyśmy inne wytknęli sobie zadanie.

Czerpajmy ze skarbnicy wiedzy, oddawajmy hołd pięknu; lecz przedewszystkiem szukajmy wielkości duszy w masach społecznych.

Będzie to szczytne i płodne zadanie.

Szczytne, bo stworzy miliony prawdziwych obywateli, prawdziwych synów ojczyzny. Płodne, bo niema nic, coby się milionom takim oparło.

A gdyby kiedy zbudowano wielką „świątynię ludzkości,” do którejby wchodziły narody, niosąc najlepsze pracy swej owoce, byłoby dla nas chlubą i zaszczytem, gdybyśmy tam wprowadzili naród, o którego każdym dziecięciu, chór sędziów musiałby wyrzec:

„Oto człowiek!”

MARYA KONOPNICKA.

Joris Karl Huysmans,

(PORTRET LITERACKI).

„Je n'ay pas plus fait mon
livre que mon livre m'a fait.”

(Montaigne).

I.

Linia rozwoju.

Nigdzie może pojęcie *artyzmu* nie ulega częstszemu nadużyciu, jak w piśmiennictwie francuskim. Każdy autor, który zyska obszerną klientelę, nazywa się tam prędzej lub później „artystą.“ A jednocześnie w tym kraju geniuszów wdzięku, jasności i czaru, kraju pozytywnych logików i wrogów poezyi, ale i najzręczniejszych kabotynów — rozbrzmiewają stale utyskiwania na bezwzględność, a nawet tyraństwo sztuki. Zdawałoby się, że w kim raz ta władczyńi roznieci swą iskrę, ten już nigdy spokoju nie zazna, ten — do śmierci płonąć będzie wiecznem pożądaniem ideału. „Artysta“ — to synonim wzniosłej ofiary, żarliwego poświęcenia.

Rzeczywistość nieco inne opowiada legendy. Twórczość literacka we Francyi jest sobie spokojnem taktwem umysłowem na umówionej z góry osnowie, a marzeniu służą ku takim samym handlarskim celom, jak kawa lub cukier. *Do, ut des* — mówi powieściopisarz sztuce: piszę, ahyś dała pieniądze. Literatura należy do „przedmiotów codziennego użytku,“ każdy bowiem porządny obywatel pragnie kontrolować przez nią stanowisko swoje do otoczenia, do siebie i do absolutów, które nad życiem poumieszczał. Warunkom tym najlepiej odpowiadają utwory, które jak naj-

większej ilości jednostek podają możność łagodnych wzruszeń, przelotnych zachwyków i nieszkodliwych nienawiści. Ktoby obliczył, ile dany „romans“ francuski mieści w sobie przeciętnych ludzi, określiliby z góry czas trwania jego poczytności. Społeczeństwo narzuca granice swobodnej grze wyobraźni i wzlotom „natchnienia“, więc też literatura ułożyła się w typy przerażającej banalności. Pisarz, który zapomni o normach i formach popytu, który duszę swą odstoni w całej nagości, nie myśląc ani o doraźnych tryumfach, ani o wrzaskliwych sporach dziennikarskich, który w każdym twórczym słowie przejęty będzie do szpiku kości ideą piękną i tylko ideą piękną — uchodzi za potworną anomalję. Ale cóżby warte było piśmiennictwo, gdyby garści potworów takich wykazać nie zdołało?

Joris Karl Huysmans, pomimo osobliwej postawy, jaką przyjął w ostatnich latach i jaką zachował aż do śmierci,¹⁾ zaliczony być musi do najbardziej konsekwentnych artystów-potworów. Od pierwszej do ostatniej książki żywił nieubłaganą pogardę dla mieszczańskiego czytelnika. Nigdy, najdrobniejszym ustępstwem względów jego nie okupywał; przeciwnie—wprowadzał go w umyślną mistyfikację, aby odczuł nieuleczalną swoją poziomość i duchową nędzę. Żaden z wybitnych powieściopisarzy ostatniej doby nie doznawał podobnego, jak Huysmans, losu: poza granicami swego kraju znany jest tłumom czytelniczym zaledwie z nazwiska, chociaż piśmiennictwo francuskie rości sobie jeszcze pretensye do nadawania tonu na całym świecie. Na miejscu zaś, we Francyi, liczni jego czytelnicy dzielą się na trzy kategorie: tacy, co czując nieprzeparty wstręt do jego pism, z niesmakiem i gorczyzą o nim mówią; tacy, co nie chcąc okazać się „muffles“,²⁾ wielbią go na kredyt, chociaż go nie lubią; wreszcie—entuzjastyczni wielbiciele, dla których niektóre książki Huysmansa są „breviarzami“ artyzmu. Największą, rzecz prosta, jest kategoria pierwsza, bo ją tworzą przeważnie „piękne czytelniczki“, które rzucają niezabawne książki po kilkunastu stronicach.

Syn Flamandczyka, osiedlonego we Francyi, otrzymał Huysmans w dziedzictwie wybitne cechy swej rasy: flegmatyczność, smakoszostwo, pedantyzm, oschłość, brak uczuciowości; z drugiej strony, pomiędzy przodkami bezpośrednimi (ojciec i dziadkowie)

¹⁾ Umarł d. 12 maja b. r.

²⁾ Wyrażenie „muffle“ pokrewnie używanemu u nas *filister*, posiada ostrzejszy akcent pogardy. (Przyp. autora).

liczył wielu artystów-malarzy i rzeźbiarzy. Może w tych silnych prądach organicznych szukać należy wyjaśnienia podstawy jego dziwnego talentu? Bo i czemu wytłómaczyć, że od trzydziestu lat ten zabłąkany w literaturę malarz, przebiegał z jednego środowiska obserwacji w drugie, z jednego źródła poszukiwań w inne i rozpałał w sobie nieznanne żądze, drażnił i wysubtelniał wszystkie zmysły, budził niespokojne ciekawości, obiecywał nadludzkie dreszcze i dziełami własnej wyobraźni zmieniał swą duszę stopniowo, ale do gruntu? Jak niegdyś Montaigne, mógł Huysmans powiedzieć: „Tak samo i tyleż zrobiłem moje dzieło, jak ono zrobiło mnie.“ Proces tych przemian, jeden z najciekawszych, jakie postrzegano w historii literatury, zaznaczył się w trzech wyodrębnionych, ale powiązanych ze sobą ściłą następczością peryodach:

Opisując najpierw przedmioty i wypadki pospolite lub odrażające, wykazywał Huysmans bezbrzeżną wzdrgę do otoczenia i do życia. W tym pierwszym, najdłuższym cyklu powieści, ratował się moralnie tem, że zaczął w pogardzie smakować, lubić brzydotę dla rozkoszy nienawidzenia. Wkrótce sama wzdrga nie mogła już wystarczyć dla wypełnionej nudą wyobraźni. Począł Huysmans budować światy sztuczne, takie właśnie, które będą zaprzeczeniem życia mieszczańskiego, które będą zbudowane na opak wszystkiemu, co się dzieje w naszej codzienności. Skąpał się w krwawych, demonicznych orgiach, w sadyzmie religijnym. Ale i to długo trwać nie mogło. Wyszedł z kąpieli do gruntu niespokojny, z duszą w trwodze i bólu, aż musiał w okrutnej skruszce „wymiotować“ samego siebie. Zachwycony pięknem sztuki kościelnej, wraca, jak pokutnik średniowieczny, do ślepej wiary, wstręt do siebie wypowiada w ohydnych zwierzeniach, zapada w głęboki, zmysłowy mistycyzm i rzuca najgwałtowniejsze przekleństwo literackie na literaturę.

II.

Męczennik brzydoty.

Pierwsza młodzieńcza książeczka Huysmansa „Słoik z cukierkami,“ nie posiada jeszcze wyraźnej cechy osobistej. Poprzedzone pretensjonalnym wierszykiem, ośmnaście obrazków, poematów prozą i nowelek, nie zapowiadają ani zdecydowanego talentu, ani rodzaju, w którym ten odezwać się może. Często u młodych

szukanie nowej formy, walczy tu nieśmiało z pozowaniem przed sobą i przyozdabianiem się w szaty, zapożyczone zlekka od Baudelaire'a, Edgara Poe'go i innych. Jedyną, dostrzegalną już cechą stała się skłonność do drobiazgowych, plastycznych opisów, przez które można dołączyć jako tako owe „fanfreluches“ (jak je sam autor nazywa) do późniejszych, bardziej już dojrzałych utworów.

Mocniejszy krok literacki postawił Huysmans opowiadaniem „Marta.“ Zuchwałe poruszenie i traktowanie przedmiotu, zjednało powieści rozgłos znacznie większy, niż spodziewać się należało po jej wartości artystycznej. Działo się to w epoce, kiedy jeszcze ani Zola „Nany,“ ani Goncourt „Elizy“ nie ogłosili i kiedy w literaturze pojęcie naturalizmu zaledwie wiązać się zaczęło z wybieraniem drastycznej treści. „Marta“ w samym tytule nosiła objaśniający dodatek: „historia dziewczyny publicznej,“ więc wciągnięto autora odrazu do „szkoły naturalistycznej.“ Tymczasem „Marta,“ jakkolwiek zawiera wiele obrazów, przypominających najjaskrawsze ustępy pism Zoli, przecież, na każdej niemal stronie, wymyka się z pod formuł szkoły. Huysmans, od początku swej twórczości aż do końca, nie był w stanie wznosić się po nad przedmiot, być w nim, podług woli Flauberta, niewidzialnym „niby Bóg w stworzeniach.“ W *Marcie* widzimy wciąż autora, odczytujemy raczej kronikę jego własnych wrażeń, dziennik stanów jego duszy, niż bezstronną historię upadku dziewczyny. Sama treść zresztą, bez nieustannej interwencji w słowa i gesty bohaterów, nie zdołałaby przekroczyć dziennikarskiego opowiadania o tem, w jaki sposób robotnica paryska staje się pewnego smutnego wieczoru wasalką ulicznego przechodnia, jak miewa być szczęściem w przypadkowym macierzyństwie, jak życie jej chwieje się pomiędzy samobójstwem i domem publicznym, do którego wraca kilkakrotnie, aż pełna żalu i rozgoryczenia osiada w nim na stałe. Ale w rozwoju tej strasznej akcji, Marta dość często myśli i rozumuje, jakby była samym Huysmansem. Niekiedy uczuwa litość nad swymi kochankami, szydzi z jedwabnych koszul burżuazów i nudzi się okropną „banalnością“ swych przejściowych wielbicieli. Buntuje się w słowach, pożyczonych od autora, a stopniowy upadek swój zaznacza w nienaturalnych okrzykach pesymistycznych. Dowiedziawszy się np., że poszukuje jej policya od obyczajów, przygnębiona, bezdomna, błąka się po ulicach i zapada w stan ostatecznej rozpacz. Deszcz leje okropny, zmokła do nitki. Zgłodniała, zziębnięta, wyczerpana, zawlokła się nad Sekwanę i wlepiła w rzekę wzrok samobójców. Nagle

ktos ją zaczepia: był to pół-pijany dawny towarzysz, dyrektor teatrzyku, który tragiczne położenie odrazu zrozumiał i ofiaruje Marcie swe względy. „Dotknąłeś—woła dziewczyna z goryczą—błota. Gdybyś nie wiem jak zeskrobywał, pozostanie ślad zawsze, jak tłusta plama na ubraniu. Wszystko mi zresztą jedno. Ani ojca, ani matki, ani zdrowia—to się nazywa powodzenie! Patrz—dodała, zagłębiając nogę w kałuży—masz błoto. Ale tego mało, wejść w nie po szyję i przysięgam, że głowy nie podniosę, aż będą miała pełne usta, aż się zaduszę i zdechnę!“ W podobny sposób zjawia się autor często pomiędzy wierszami i albo wypłukuje gorzkie zdanie, albo podszeptuje bohaterce wyrazy wstrętu. Niekiedy pomaga mu w tem zadaniu jeden z trwalszych kochanków Marty, dziennikarz Leon, z którym Marta „udawała miłość przez miesiąc.“

Uderzają w „Marcie“ dwie cechy. Przedewszystkiem sposób, a zwłaszcza język, którym została napisana. Mamy tu zdania zbudowane oryginalnie. Niektóre rozwijają się swobodnie i brzmią tryumfalnie, jak hymny zdobywcze: inne przesuwają się cicho, jak węże. Obok wyrazów biczących, spotykamy takie, które szepcą do ucha nieprzystojne propozycje. W całości panuje atmosfera zatruta zgnilizną, chmurna i odrażająca.

Pozatem wykazuje „Marta“ pierwiastki, niezgodne z objawioną następnie naturą talentu Huysmansa. Posiada dosyć wykończoną fabułę, stopniowy rozwój wielu aktów dramatu, próbę syntezy jednego nieszczęsnego życia. Dla ściśłego zbudowania takiej syntezy należało posiadać jakąkolwiek filozofię życiową. Zola np., nakreśliwszy sobie szczegółowy plan, budował podług niego wielkie gmachy, wypełniał je życiem i wstawiał w wielkie tło społeczne, z którego, pomimo rzekomego obiektywizmu autora, wyłania się zupełnie wyraźna filozofia osobista. Tymczasem Huysmans opisuje tylko okropne i wstrętne rzeczy, nie dbając o wartość szczegółów. I dlatego z całej książki więcej beznadziejny pesymizm, a po przeczytaniu doznajemy wrażenia, jakbyśmy oglądali nieuleczalną ranę, którą sami zadaliśmy ofierze. Odsuwamy powieść z takim samym pośpiechem, jakbyśmy wychodzili z prosektoryum, do którego zamknięto nas na kilka godzin.

Ponieważ w „Marcie“ opowiedział Huysmans bądź co bądź historję całego żywota jednostki, musiały w niej zejść na drugi plan malarskie opisy nędzy i rozpusty. Czytelnik w takich razach zapomina o barwach i kolorach, w których mu zgniliznę pokazują, ale mówi sobie: „dosyć! zgnilizna, czy tak czy owak, jest wstrętna!“ A przecież widoczna, że interesowała autora tylko

obrazowa strona przedmiotu, że starał się opowiedzieć, jak wyglądają rzeczy i wypadki, które dla spokoju sumienia wyrzucamy zwykle z pamięci. Znajdował jakieś zgryźliwe zadowolenie w układaniu burw i gestów tam, gdzie nas zwykła interesować tylko uczuciowo-moralna komplikacya. Dowodził przez kilkaset stronic, że niema znaczenia ciężkość i bolesność rany, skoro sama rana jest zajmująco obrzydliwa: *zajmująco* dlatego, że można z powodu niej wyładować zapas sarkazmów i przekleństw, nagromadzonych w duszy.

W dwóch następnych utworach („Siostry Vatarde“ i „W małżeństwie“) „intryga“ zesłała na dalszy plan, a życie jest sobie tylko długim hańcuchem drobniutek, nędznych, śmiesznych i trywialnych zdarzeń, które autor przesuwa przed swojemi oczyma, aby mózdz zakłóć od czasu do czasu i wstawić pomiędzy wiersze rozgniewaną, ironiczną uwagę: „widzicie, jakie to wszystko okrutnie zajmujące!“ Celina i Dezyderya Vatarde pospolitością przypominają figury Van Ostade'a. Pracują obie w wielkiej introligatorni. Starsza, Celina, niezbyt wyszukana odmiana „Marty“, żyje z paryskim „marlou“, który wyciąga od niej pieniądze, bije ją i dręczy. Marzy o pieszczotliwej miłości, o idealnym kochanku, któryby jej ofiarował ciastko, lub kwiatek w dniu imienin. Spotyka młodego malarza, Cypryana Tibaille, który ładnie się ubiera i pięknie utrzymuje paznogie, więc dla niego rzuca swego Anatola. Ale Cypryan zbyt ją po ludzku traktuje, a gdy nadto nie chce chodzić z nią w niedzielę na Pola Elizejskie, Celina przestaje być zadowolona, że ma „pana“ czysto odzianego i... powraca do swego Anatola.

Dezyderya inne ma usposobienie. Pragnie wyjść zamąż, aby mieć pokoik malowany w ładne kwiatki, orzechowe łóżko, białe firanki, filiżankę ze swemi literami, a na ścianie—ładny obrazek, np. amorka pukającego do drzwi. Sądzi, że ideal taki posiadzie, gdy wyjdzie za młodego robotnika, Augusta. Przez wiele miesięcy, wieczorami, przechadzają się zakochani po jednym z odludnych bulwarów i—gawędzą. Miłość ich niknie pod wpływem tysiąca monottonnych drobiazgów, tysiąca niewidzialnych przeszkód. Historia powolnego konania tego uczucia zajmuje znaczną część książki i interes jej najmocniej ożywia. Znudzony do reszty August, dochodzi do wniosku, że siostra jego przyjaciela potrafi tak samo, jak Dezyderya, uczynić mu życie przyjemnem i słodkiem. Zaręcza się z nią pocichu, a to samo z kim innym czyni w sekrecie Dezyderya. Wreszcie pomiędzy byłymi narzeczonymi dochodzi do porozumienia i rozstają się na zawsze, „wkładając w spoj-

rzenie całe niedawne do siebie przywiązanie, całą wzajemną dla siebie litość.“

Napróżnobyśmy szukali w całym opowiadaniu chociaż jednego idealnie wyposażonego charakteru. Postacie główne czy drugorzędne są drobne, niezajmujące, a zarysowane tak, że ich oderwać niepodobna od fizycznego tła, od materialnego otoczenia. Najważniejsza siła talentu Huysmansa zwraca się właśnie ku malowaniu świata zewnętrznego. Zdaje się niekiedy, że nigdy nie skończy określać danego położenia, lub miejsca, tyle wyczerpuje szarych, nieuchwytnych barw. Opis pracowni, do której uczęszczała siostry Vatarad, mieszkanie dziewczyn i ich życie rodzinne, podróż Dezyderyi omnibusem, miejsca jej schadzek z Augustem, teatrzyk, ulice — wszystko to wzbudza wewnętrzne widzenia tak intensywne i plastyczne, jak wspomnienie lub powtórzenie raz oglądanego obrazu. Heyse mówił o sobie, że nigdy nie potrafił naskikować natury, która by nie miała czegoś powabnego, nigdy nie umiał stworzyć charakteru kobiecego, w którymby do pewnego stopnia sam nie był zakochany. Można by powiedzieć, że Huysmans jest antytezą podobnego pisarza: nikt tak jak on nie umie wiernie i malowniczo przedstawiać najbezbarwniejszych, najmniej „powabnych“ stron natury i ludzi. Zapomina, że pisze „romans“, że ma bawić i zajmować, że winien, „stosownie do tradycyi i zwyczaju“, niektóre szczegóły umyślnie opuszczać: pisze wszystko, jak widzi, aż staje się okrutnym, wypowiadając to, co czytelnik ukryćby pragnął przed samym sobą. Główne postacie wstawia po to jedynie, aby w jakikolwiek sposób usprawiedliwić drobiazgowość opisów. Oto np. rozrywka sióstr Vatarad: „Z nudów oglądały najdrobniejsze szczegóły kolei żelaznych, połysk mosiężnych rączek przy wagonach, rozważały rozmaite kolory dymów maszynowych, dymów, które z białych zamieniały się na czarne, z niebieskich na szare, a niekiedy zabarwiały się na kolor żółty, lub na brudno-żółty i t. d.“ Analiza barw i odcieniów odbywa się często na dwóch lub więcej stronicach.

Znajdujemy ją jeszcze częściej i jeszcze dokładniejszą w romansie „W małżeństwie“, najlepszym z całej pierwszej seryi książek Huysmansa. Jak w „Siostrach Vatarad“, rozwija tu autor równoległe dwa charaktery, a raczej dwie odmiany tego samego położenia życiowego. Pod postacią głównych bohaterów, opowiada przygody własnej duszy, a raczej wpływ zmysłów na jej zmiany i cierpienia. Malarz Cypryan Tibuille (występujący już poprzednio w „Siostrach Vatarad“), oraz przyjaciel jego, literat Andrzej, oznaczają dwie strony natury Huysmansa. Cypryan jest

człowiekiem przeżyтым, rozmiłowanym we wszelkich odcieniach występku, byle skomplikowanych i subtelnych. W sztuce pojmuje najskrajniejszą nowoczesność. Artysta, podług niego, winien malować to tylko, co sam może zwiedzić i obejrzeć; a ponieważ on odwiedzał i oglądał tylko dziewczyny, więc malował ostatnie plebejuszki występku. Ma wstręt do panien i do małżeństwa. Wracają z Andrzejem z balu, na którym obadwaj okropnie się nudzili, w drodze prowadzą gawędę. Andrzej nie podziela poglądów towarzysza na kobiety, bo się ożenił i „ustatkował.“ Uważa, że miło jest wogóle puszczać paradoksy nakształt fajerwerków, ale przychodzi czas, gdy ognie bengalskie nie chcą się zapalać: — zbyt przesiąkły wilgocią. Nie posiada zresztą co do swego małżeństwa żadnych sentymentalnych złudzeń. Ożenił się, ponieważ dość miał zimnych obiadów, gotowanych przez stróżkę, znudziły go porozrywane gorsy koszuli, poniszczone mankiety i ciągły brak czystych chusteczek. Uważa, że z dwójga głupstw — małżeństwo jest lepszem, bo stanowi kasę oszczędności na stare lata, daje prawo skargi przed drugą osobą i pozwala spodziewać się niekiedy jej przywiązania. Wypowiedziawszy w tym tonie szereg rozważnych poglądów, wraca Andrzej do domu i trafia na dramatyczno-komiczną, wybornie rysowaną scenę: żona bawi się z gachem. Pelen zimnej krwi i zjadliwej powagi, poświęcił Andrzej „temu panu,“ a potem sprowadził go po schodach, aby zestraszony gaszek nie upadł i hałasu nie narobił. Stanąwszy wobec ruiny małżeńskiego spokoju, porzuca Andrzej żonę i wraca pod opiekę starej służącej, Melanii. Prowadzi znowu nieskończone gawędy z Cypryanem, zaczytuje się w książkach, z poblażaniem patrzy na kradzieże Melanii. Ale po kilku tygodniach, gdy zawiadomił już żonę przez notaryusza, że może sobie posag odebrać i zabrał się do pracy, wybucha w nim „kryzys spółdzielczy.“ Nadchodzą ciężkie wieczory. Po pierwszym „kryzysie“ idą następne, coraz cięższe i coraz gwałtowniejsze. Straszliwa nuda tego kawalerskiego życia, malowana z holenderską dokładnością, stanowi oś całego opowiadania oraz filozoficzną jego racyę. Próbuje Andrzej przypadkowej miłości, wraca do dawnej kochanki, ale i to go niezadowala. Przez pośrednictwo tedy Cypryana, naprawia się zerwane małżeństwo i Andrzej przechodzi przez nową fazę najczulszej miłości.

Ironii autora nie stało się widocznie zadość przez sumo zestawienie wypudków i rozwiązań, przez tysiączne, drobniańskie powikłania, uwypuklenie duchowej nędzy żony Andrzeja i jej wujka. Na zakończenie rozbudza w czytelniku uczucie ostatecznego obrzy-

dzenia i przygnębienia. Zebrali się Andrzej z Cypryanem w kawiarni. Zgodzili się wkrótce na jedno, a mianowicie, że sztuka nie ma żadnego sensu. „Malowanie — woła Cypryan — dyabła wszystko warto! Czasem, gdy się spoczywa w łóżku, dobrze przed snem pomyśleć o obrazach, których się nigdy nie namaluje. W gruncie rzeczy małżeństwo i konkubinaty warte są siebie, skoro nas obudwu oderwały od wszelkich trosk artystycznych. Brak talentu, brak zdrowia — ależ to szczyt marzeń... Dobrze, że czujemy w sobie taką pustkę, bo teraz, po tylu ustępstwach, zajmie się nami zapewne wieczna głupota ludzka. Podobni do naszych współobywateli, będziemy mieli nareszcie prawo żyć w poszanowaniu i mierności!“ — „Ideal!“ — westchnął Andrzej. — „O! — poprawił Cypryan — ten lub inny!...“

Pesymizm, zionący z całego opowiadania, nie zawiera w sobie tonów rozpaczy, ani efektownych draperyj. Przeciwnie — zimny jest, oschły i krótki. Wynika zawsze z nadmiernej wrażliwości. Ponieważ niepodobna cierpieć w słusznym stosunku do doznawanych bólów, więc nie cierpi już wcale, ale szydzi i nazywa rzeczy cynicznie po imieniu. Kiedy patrzymy na codzienne przejawy filisterstwa bliźnich, tępieje wkrótce nasza zdolność odczuwania: nie razi nas, ani gnębią. Huysmans ma wrażliwość przerażającą. Nie opuszcza żadnej sposobności, aby poziome nawyknięcia, drobne podłostki współczesnych sfer mieszczańskich jaknajjaskrawiej podkreślić. Czasem pogarda jego przybiera kształty tak wielkie, że staje się niemal litością.

Wątek „W małżeństwie“ obraca się jeszcze około starego przedmiotu (miłość płciowa), ale snuje się w sposób otwarty, a tak wyzuty z obłonek, że przestaje być zupełnie sympatycznym. Czytelnik, gdy się utworem zachwyca, najczęściej woła: „ach, jakie to prawdziwe!“ — bo takie tylko wypadki za prawdziwe uznaje, w których siebie postawić może za współbohatera. „W małżeństwie“ — niewiele zapewne takich okrzyków wywołało. Niemniej przeto, w całym naturalistycznym piśmiennictwie francuskim, mało odnaleźć zdolamy utworów, któreby siłą kolorytu i wiernem odczuwaniem rzeczywistości dorównać mogły tej powieści. Charaktery, z wyjątkiem Andrzeja, którego autor otacza wyraźnymi promieniami sympatii, traktowane są sarkastycznie. Jeżeli która z postaci jest komiczną, to zawsze pomimo woli, zawsze okrutnie, zawsze dlatego jedynie, aby pokazać, że prostota bywa bezmyślna i wstrętna. Nigdy i nigdzie żadna z osób nie śmieje się radośnie; wesołość jest dla Huysmansa pierwiastkiem, nie objawiającym się w życiu dość wyraźnie. Osoby jego nie

wyobrazają żadnego symbolu, żadnego umówionego typu, żadnej poszczególniej siły, ani władzy duchowej; nie wyobrazają specjalnie niczego, ale za to wyrażają całego, żywego człowieka. Człowiek ten *nie wie*, że na niego patrzy czytelnik, przywykły do konwenansowych ruchów i wyrażań, nie myśli zajmować lub wzruszać. Nie wprowadza go Huysmans do romansu drogą *rozumowania*; charakteru jego nie wywija ze zwykłego w podobnych razach pasma logicznego, nasnutego zgóry na wątek, gwoli przyjemności leniwego czytelnika; przeciwnie, daje wszystkim postaciom codzienne zaniedbanie, nierówności i sprzeczności, które łączą się w całość spoistą, organiczną. Wskutek tego pełno w powieści naturalnego ruchu. Gdy mamy jaką wątpliwość co do psychologii bohaterów, tłómaczą ją tysiące szczegółów, niekiedy nastrój mieszkania lub ulicy. Brzydotę codziennego życia dawno przed Huysmansem malowali Goncourtowie i Flaubert. Ale i pobudki tego malowania i rezultaty są u nich znacznie odmienne. Flauberta dręczyła wieczna głupota ludzka i jej to brzydotę wykuwał w marmurowych kształtach; Edmund Goncourt przyznaje się (w przedmowie do „Braci Zemgunno“), że malował brzydkie natury, ponieważ łatwiej jest przeniknąć w ich mechanizm wewnętrzny. Obadwaj ci pisarze zresztą stawiali brzydotę w tak dalekiej perspektywie, tak ją wysubtelniali w cieniach i refleksach, że zostawiali w czytelniku, bądź co bądź, wrażenie przyjemne, nakazywali mu, mimo woli, współczucie. Dla Huysmansa — głupota ludzka, jak i brzydotą, nie mają w sobie pierwiastków bolesnych; widzi je wszędzie, w nadzwyczajnej, niewyczerpanej obfitości. Spokojnie, zbliżka je maluje, plamami bardzo wydatnymi, ale bez jaskrawości. Wszystkie objawy świata zewnętrznego, zarówno postęпки ludzkie, jak natura martwa lub żywa, mają dla niego jednakowe znaczenie; pierwsze i dalsze plany spływają w plan jeden, zawsze pierwszy, a właściwie—jedeny. Jeżeli stosunki pomiędzy szczegółami nie są wiernie uchwycone, jeżeli martwa natura zajmuje znaczną część książki, to nie dla tego wcale, żeby więcej autora interesowała, ale że posiada dla niego więcej barw, niż człowiek. Opisy Huysmansa — to nie kolorowane sztucznie fotografie (jak to często bywa u Zoli), ale nadzwyczajnie dokładne obrazy, podług których w przyszłości wiernie odtworzyć będzie można fizjonomię życia paryskiego w różnych porach dnia, przy różnych stanach pogody i pośród rozmaitych klas społecznych. Nie znam w żadnej literaturze powieści, w którejby realizm doszedł do większego absurdu estetycznego, to jest stanął bliżej natury.

Pomimo silnej oryginalności Huysmansa i jego zgoła samodzielniego patrzenia na świat, krytyka wytknęła mu wczesnie pokrewieństwo twórcze z Zolą. Mało jeszcze świadomy swych środków oraz składu swej organizacyi artystycznej, nie zląkł się nazwy „uczniów“ i stanął pod sztandarem naturalizmu, jako obrońca hasel szkoły. Przyczyniły się do tego w znacznej mierze osobiste, przyjazne stosunki z Zolą. Gdy się pokazały słynne „Wieczory w Medanie“, stanowiące zbiór opowieści na tle wojny siedemdziesiątego roku, wystąpił w nich Huysmans z obrazkiem, który wywołał powszechne oburzenie, a książkę nadał niezatarte piętno, z jakim przejdzie do tradycyi. W codziennej krytyce paryskiej wyraz „médaniste“ stosowanym bywa często dla określenia ordynarnego naturalizmu, zadowolającego się doбором ostrych wyrażen i drażliwych sytuacji. „W tornistrze“ — to opowieść studenta prawa, zmuszonego do odbycia kampanii. Przerzucany z miejsca na miejsce, dostaje się do Chalons i tu, jako chory na dysenterję, wchodzi do szpitala. Właściwa treść noweli zawiera rozpaczliwą nudę choroby, potajemne wycieczki na miasto, a wreszcie ofiarowanie choremu dwóch miesięcy urlopu na rekonwalescencyę. Ale autor, ze zwykłą wzdargą dla konwenansów, umieścił w zakończeniu kilkanaście wierszy, w których opisuje uciechę uwolnionego żołnierza, że posiada nareszcie czysty ustęp. Ten trywialny szczegół, przypominający scenę z obrazów starożytnego Breughela, utrwalił w prasie na długi czas pogląd, że Huysmans posunął do ostatnich, karykaturalnych granic formułę naturalistów.

Sprawa żołądka zajmowała Huysmansa zawsze bardzo żywo. Zdaje się, że znaczna część zgryźliwości starokawalerskiej, wypełniającej wiele stron „W małżeństwie“, wynika ze złego trawienia. Własną niedolę kulinarną opiewa autor nietylko przy każdej sposobności w powieściach, ale poświęca jej specjalne utwory. W „Szkicach paryskich“ znajduje się dziwaczny „poemat prozą o mięsach pieczonych“, w którym jako *refrain* znajduje się takie zdanie: „właśnie fałszywe befsztyki i podejrzone kotlety baranie z pieców restauracyjnych rozwijają ferment konkubinatu w zbolełych duszach starych kawalerów.“ Troska o znośne jedzenie zamienia się w tragiczną nędzę w opowiadaniu: „Co będzie — to będzie!“ („A van l'eau!“). Stary kawaler Folantin, urzędnik w ministerjum, (tak samo jak Huysmans) żyje samotny, osowiały, pogrążony w pustkę życiową. Zenić się — zapóźno, szczęścia w życiu szukać — nie warto; powiedział sobie przeto: co będzie — to będzie! W godzinach pozabiurowych jedyna zajmuje go myśl:

znalezienie uczciwej restauracji. Wszędzie go karmią źle, więc nieustannie zmienia zakłady i — ciągle napróżno. Życie człowieka — mówi sobie wreszcie — dzieli się na cierpienia i nudę. Nie warto zajmować się niem; najlepiej skrzyżować ręce i starać się zasnąć.“ Zanim Folantin dochodzi do takiej rozpaczliwej filozofii, powtarza wstręty i nienawiści autora. Co krok napotykaną uwagę, zaprawione jadłem i goryczą. Wino w obiadach paryskich „czuć atramentem,“ cygara „mają zapach kapusty i nie ciągną,“ mularze są „jak zwykle pijani,“ kobiety przychodzą na schadzki „po lub przed godziną oznaczoną, nigdy — w porę,“ służące paryskie „nigdy nie umieją w piecu palić,“ wystawy sklepowe są „odrażające“ i t. p. Zresztą nie ma ani jednego czynu ludzkiego, któregooby Huysmans nie sparodyował przez proste podkreślenie towarzyszących mu szczegółów.

Istnieje w Paryżu rzeczka Bièvre, płynąca w znacznej części pod domami, a w miejscach odkrytych zajęta przez garbarzy. Zatrzuwa powietrze mieszkańcom i zdawna już zakłóca spokój radzie miejskiej. Wrażliwy Huysmans nie mógł przejść obok Bièvre'y bez dreszczu. Poświęca jej całą monografię. Lituje się nad nią. Żałuje krajobrazów, na których tle przesuwiała się dawniej. „Bièvre — mówi — przedstawia dzisiaj najdokładniejszy symbol nędzy niewieściej, wyzyskiwanej przez wielkie miasto. Niby dziewczyny wiejskie, wpadła, zaraz po swem w mury przybyciu, w przemysłowe ręce stręczycieli: odarta ze swej odzieży — trawy, ze swych ozdób — drzew, zmuszona była zabrać się natychmiast do wstrętnej i okropnej pracy. Pochwycona przez chciwych handlarzy, którzy ją sobie wzajemnie wyrywają i za wspólną zgodą, zatrzuwają po kolei, stała się garbarką, co dnem i nocą pierze świeżo zdarte skóry.“ Jak niegdyś malował nędzę i ból upadłej „Marty“ z bulwarów zewnętrznych, tak tu, nadawszy życia cuchnącej i zgnitej rzeczulce, wdziera się Huysmans w jej psychologię, szuka jej duszy, aż poczuje żywe drganie natury.

Tak ponuro usposabiło go życie miejskie, owo współczesne życie mieszczaństwa francuskiego, w którym grosz wypiera wszystkie uniesienia, że wybrał się na wieś, na wiele lat przed Zolą. Ale nie zniechęciły go uciechy na łonie natury, nie pociągnęły go krajobrazy, ani piękne łany, ani żywiczna woń lasów. Powieść „W przystani“ jest oplwaniem natury i życia wiejskiego. Zrujnowany Jakób Marles, schronił się wraz z żoną do kuzynów, bogatych, a poziomych fermerów. Złamało go życie w Paryżu, wdycha przeto do samotności, do spokoju wiejskiego, do długiego wypoczynku wśród pól i gajów. Mieszkają z żoną w jednej

z najmniej opuszczonych komnat starego, niemieszkalnego pałacu, należącego do fermy i prowadzą tam życie rozpaczliwie monotonne. Sądzą, że zdołają coś zaoszczędzić przez pobyt na wsi; tymczasem kuzyni fermerzy, chciwi i skąpi chłopcy, chociaż zaprosili ich na odpoczynek, wyzyskują i okradają „mieszczuchów“ w nieludzki sposób. Odpoczynek zamienia się w powolne męczeństwo. Natury nie znał Jakób wcale; miał o niej pojęcie raczej z książek, niż z własnego doświadczenia. I oto powoli wszystkie jego złudzenia padają wobec rzeczywistości. Rozwiał się w nim prędko poetyczne wyobrażenie o pracach polnych. Widzi w nich tylko ciężki mozół, bezbarwny i jednostajny. Z żalem wspomina o pięknościach miejskich, zwłaszcza o wspaniałości maszyn, „jedynem pięknie, które wytworzył świat nowoczesny.“ Życie zwierząt, przejawy ich płciowych instynktów (barwnie i dziko malowane) — wydają się Jakóbowi śmieszne. Fermerzy—kuzyni, którzy chwalią Prusaków, ponieważ dali się oszukiwać podczas wojny, wzbudzają w nim bolesną odrazę. Zakosztowawszy tysiąca udręczeń, przykrości i niewygód — wraca złamany, zmęczony i stęskniony do Paryża.

W całej fantazyi, stworzonej po to, by związać rozmaite obrazy i wizye, sponiewieraną została natura. Autor nie tylko oskarża ją o bezbarwność, ale nieustannie mocuje się z nią w tonach i płanach. Przesuwa przed nami wyłącznie obrazy, zadziwiający obrazy, których potrzeba ruguje w nim powoli potrzebę szukania najkrótszej nawet akcyi. Często każe je opisywać jednej z osób działających, ale czynność podobna nie zawsze się udaje, gdyż trudno uwierzyć, aby człowiek bez kultury umiał tak bystro patrzeć, tak przenikliwie poszczególne zjawiska odróżniać. Autor niedogodność tę odczuwa, więc bierze na siebie miły trud dopowiedzenia, jak było, zalewa potopem barw, analizuje i zestawia, podkreśla i uwydatnia punkty mniej widoczne: a kiedy odczuje, że skombinował obraz zbyt artystycznie, zbyt doskonale, wtedy dodaje od siebie uwagę: „lecz to wszystko było dla niego obojętnem.“ Postacie opowiadania są zazwyczaj mizernymi pionkami, które służą nie po to, aby zainteresowały własnym życiem, lecz aby uzasadniły obecnością swoją malowanie otoczenia. Wszędzie brzmi jeden ton ogólny: nienawiść codziennej brzydoty, pogarda dla rzeczywistości. Ani malarskiego, ani etycznego swego ideału nie wypowiada Huysmans wprost, lecz podsuwa go czytelnikowi negatywnie: gdy przedstawi rzecz w całej ohydzie, każe się domyślać, że zaprzeczenie tej ohydy będzie pięknem: gdy pokaże nagą prawdę w obrazie — obudza nudę i przygnębienie, a je-

dnocześnie myśl o idealnej, promienistej kąpieli duchowej. Drobiazgowość i delikatne półtony sprawiają wrażenie, że autor walczy ze środkami, jakie ofiarować może język, że pragnie powiedzieć więcej, niż powiedział, lecz zatrzymuje się, bo literatura ma swoje granice i własne cele.

Łatwo się domyśleć, jak na człowieka z podobną siatkówką działają rzeczywiste obrazy malarskie. Przez kilka lat prowadził Huysmans w pismach sprawozdania z salonów (wydane w oddzielnym tomie). Tu dopiero wykazał, w jak wysokim stopniu posiada odczucie brzydoty, jak męczy go ogólny brak poczucia piękna i harmonii. W „urzędowym“ malarstwie dostrzegł jedynie chęć popisu i kuglarskie śródeczki. Oburza go nieskończona ilość, wystawianych co roku, nagich kobiet, malowanych na świeżem powietrzu, na trawie. Nagość w życiu dzisiejszem jest tylko stanem przejściowym, chwilowym. U dawniejszych malarzy, u Rembrandta np., nie znajdziemy nagiej kobiety, którejby rozebranie nie świadczyło odrazu, że nagość wynika z potrzeby, wypadku lub kaprysu. Stojąc przed słynnemi „Narodzinnami Venus“ Bouguereau, pragnie „wyc z wściekłości,“ bo widzi, że autor tego płótna, „mistrz w hierarchii miernoty, stał się przywódcą szkoły, a szkoła owa, jeżeli się temu w porę nie zapobiegnie, wyrośnie na stanowcze zaprzeczenie sztuki.“ Nie podziela również ogólnego zachwyty nad obrazami Puvis de Chavannes'a. Przechodząc około ulubionego w Paryżu „Biednego rybaka,“ wzrusza ramionami, bo gniewa go „to małpowanie wielkości biblijnej, otrzymane za cenę kolorów, lub przez grube kontury, udające niezgrabność prymitystów włoskich.“ Wielki fresk Chavannes'a w Nowej Sorbonie nazywa „dziełem ascetycznego smakosza, niestrudzonego robotnika, który pracuje nad artykułami, powierzanymi zwykle wujaszkom sztuki;“ sądzi, że jego twórca „mógłby być poczytywany za radcę i szanownego majstra, gdyby głupia wrzaskliwość brukowej krytyki nie wysilała się na miano wielkiego artysty i poety.“ Millet, chociaż „obdarzony godną uwagi zręcznością palców i pewną delikatnością wzroku, był prostakiem bez prawdziwego wykształcenia — robotnikiem, wprowadzonym na złą drogę przez tyrady szynkowni artystycznych — kmiotkiem, zepsutym przez odwiedzanie innych malarzy, urodzonych w Paryżu i kształconych wyłącznie na piosenkach z *cafés-concerts* i na mądrych sporach w *table-d'hôte-ach*.“ Krajobrazy jego są tyleż konwencyjonalne i sztuczne „jak wszystkie popisy z opery komicznej, wymyślone przez starą baletnicę, co snuła głupie ideały, a nazywała się Georges Sand.“ Wogóle w sprawach sztuki tegoczesnej

widzi Huysmans dyletantyzm i głupotę z jednej strony, nieuczciwość zaś z drugiej: głupotę w publiczności, nieuczciwość — w prasie, która nią kieruje.

Tęsknota do nieznanych widoków wytwarzała w jego duszy gorzką i zgryźliwą mizantropię. Coraz mocniej zamyka się w smutku pogardzania wszystkiem. Nienawidzi dzieci, uczuwa wstręt do kobiet, plwa i policzkuje mężczyzn. Szuka z gniewem, bliskim wściekłości, najohydniejszych okazów ludzkich, aby ich grymasy, nędzę duchową i zgniliznę wyciągnąć ku światłu. „Obtarcie się na ulicy o jaką postać ludzką — mówi Huysmans o jednym ze swych bohaterów — było dla niego żrącą torturą.“ Przypuszczano i wyrzucano mu nieustannie, że kocha tę potworną, brutalną brzydotę, a on malował ją z upodobaniem, ponieważ wszystko w życiu współczesnem wydało mu się nędznem. Podzielał zdanie Palmerstona, że „bez przyjemności życie byłoby jeszcze znośnem.“ Podobny stan ducha nosił w sobie zarodki własnego zniszczenia. Musiało się wreszcie skończyć męczeństwo brzydoty, któremu Huysmans przez tyle lat podlegał.

III.

Próba wyzwolenia. „A rebours“ rzeczywistości.

Zaznaczyłem, że w kilku prostych zdaniach streszczał Huysmans akcję, główną zaś uwagę zwracał na położenie, scenę, otoczenie, krajobraz. Przeniesienie punktu ciężkości do dziedziny, nie stanowiącej podstawy romansu, nie mogło wzbudzić zainteresowania w sferach czytelniczych. Kto szuka w książce opowiadania wypadków, kto pragnie wiedzieć „jak to było“ — ten nie zrozumie, dlaczego opisują mu na wielu stronicach bezbarwne przedmioty codzienne. Ale Huysmansa nie obchodziły wymagania, stawiane powieści, jako *typowi* twórczości literackiej: pisał, jak pisać musi, pisał, jak widzi i starał się o to jedynie, aby w wyrazach podać najdoskonalszy, najwierniejszy obraz tego, co oglądał. Dążność ta, stanowiąca bezmyślny kanon naturalizmu, wydała język niezmiernie bogaty, wywołujący wrażenie wzroku, smaku i powonienia, posunięte do halucynacyi. Opisy podobne stanowią już same w sobie anomalię, która wpłynąć musiała na charakter i naturę bohaterów. Im bardziej postacie romansu skłonne były do delikatnego i bezpośredniego odczuwania wrażeń ze-

wnętrzu, tem wyraźniej zmniejszać należało siłę ich woli, odbierać im zdolność wyciągania z wrażeń pobudek do czynu. To też wszystkie są niezdecydowane, wszystkie smakują długo we własnych wrażeniach, a potem ogarnia je niepokój. August i Dezzyderya kochają się napróżno, przez pół tomu, i nie mogą się zdecydować ani na małżeństwo, ani na zaprzestanie schadzek. Folantin pozwala się opanować dziewczynie, która go całuje na ulicy. Jednakowa podatność do wyrafinowania sprawiła, że ludzie Huysmansa mają wiele ze sobą wspólnego, że każda następna postać jest dalszem rozwinięciem, wykształtem tej samej osoby, która wyobraża samego autora.

Niezdolny do normalnej twórczości malarz Leon „w Marcie,” marzy o „potwornej fantazyi poety i artysty,” o kobiecie „bezczelnie wystawnej, któraby go kochała, a odziana była w wariackie szaty i ustawiona w ciekawych refleksach światła; której oczy iskrzą się nieokreślonym wyrazem, dziwnym ogniem, jakie znajdował w obrazach Rembrandta” i t. d. Cypryan Tibaille chciałby uścisnąć kobietę, przebraną za jaskrawą linoskoczkę, a siedzącą pośród zimy, przy szarem i żółtem niebie, w pokoju, obitym japońskimi makatami, przy odgłosie smutnych walców zagłodzonego kataryniarza ulicznego. Malował wciąż postawy ogniste, ocieślał, zmysłową senność dziewczyn, a w obrazach swych, pędzlowanych wielkimi rzutami, posiekanych pastelami, przygotowanych najpierw jako akwaforty, a potem przerabianych na odbitce, zdobywał przez wściekle nabijanie kolorów „intensywność życia nadzwyczajną, wyraz niesłychany.” Lecz nigdy nie mógł dojść do równowagi, chwiał się nieustannie, nie zdołał stworzyć dzieła wielkiego. W powieści „W małżeństwie” Cypryan zdwaja się do pewnego stopnia, bo występuje razem ze swym sobowtórem, Andrzejem, literatem, który w pracy twórczej był jednocześnie uparty i słaby: „Uparty wobec idei, które chciał przeprowadzić, słaby — wobec trudności, które powstawały, gdy należało nadać im ciało.” Wskutek zniechęcenia do rzeczy raz zdobytych i braku sprężystości, dochodzi z trudem do dwóch romansów, zbijanych powoli i budowanych w męczarniach. Jakób Marles (powieść „W przystani”), gdy wyczytał w dzienniku lub książce przypadające mu do smaku zdanie na temat religii, nauki, historii lub sztuki — zapalał się natychmiast i zabierał się do studyowania. Nabył tą drogą mnóstwo wiadomości, ale brak mu energii; posiada zbytnią ciekawość, a brak następczości w myślach; posiada słabość gruntu duchowego, dążność do kroczenia

po drogach rozbieżnych i skłonność do natychmiastowego zmęczenia, skoro wkroczy na jedną z nich.

Wszystkie te cechy charakterów były niezawodnie dogodnymi w utworach, gdzie bohaterowie mają jaknajwięcej patrzeć i pomagać autorowi do opowiedzenia, co widzieli na jawie lub we śnie. Są to jednakże postacie, krojone podług wzorów rzeczywistych i tylko nieświadomie, dzięki delikatnemu odczuciu artystycznemu, obdarzone chorobliwymi właściwościami. Zdawna pragnął Huysmans dać całkowity odpływ swej potrzebie malowania i swej bujnej fantazyi. Z tego pragnienia powstały orgie barw w „Szkicach paryskich,” a zwłaszcza umieszczone tam wizye i fantastyczne parafrazy, pisane przed obrazami niektórych malarzy. Ulubieńcom swoim malarskim poświęcił Huysmans piękną książkę („Niektórzy“), w której entuzyazmuje się z taką samą siłą, z jaką okazywał wzdargę „malarstwu urzędowemu.“ Dzwoni, jeden z pierwszych, na powodzenie impresjonistów i dla nich zbiera wszystkie pochwały; im to przypisuje najważniejsze we współczesnem malarstwie zasługi. Zachwycą się pejzażami Rafaelli'ego, odtwarzającami podmiejskie dzielnice paryskie. W rażącym przeciwieństwie do Ruskina, który przez całe swe życie rzuca przekleństwa mieszczaństwu, że „zamieniło na wyściegowe pola wszystkie katedry ziemi, t. j. wzgórza, z których można było lepiej wielbić bóstwo“ — uważa Huysmans, że nie ma natury „wielkiej“ ani małej; istnieje jedna tylko, zarówno interesująca wówczas, gdy się obnaża i zmienia szaty, jak wtedy, gdy się pręży i dyszy zdrowiem na słońcu. Rafaelli nie dba o naturę dystygowaną i szlachetną — rozumie doskonale, jakiej cechy osobistej udzielić można malowaniu brudnych zaułków i przedmieść Paryża.

Za artystę wielkiej miary poczytuje Huysmans także Degasa, którego porównywa do Goncourtów. Nie dość uznany ten malarz ma być „najbardziej osobistym, najbardziej przenikliwym ze wszystkich, których posiada *nieszczęśliwa* Francya.“ Podoba się Huysmansowi gryzący sarkazm popularnego dziś rysownika Foraina; pisze dytyramby dla Chéreta, że w jaskrawych afiszach okazał potężny zmysł rozkoszy, graniczącej niemal z bólem; ale najwięcej uwielbienia żywi dla Gustawa Moreau, Odilona-Redona i Ropsa. Gustaw Moreau „nadzwyczajny, jedyne artysta“ — to mistyk, co zamknął się w celi, do której nie dochodzi już odgłos życia współczesnego. W płomiennej ekstazie widzi barwne wizye, krwawe apoteozy innych wieków. Oczarowany najpierw przez Mantegna i Leonarda da Vinci, zakochał się potem w hieratycznych sztukach Indyj i połączył dwa prądy — włoski i hinduski w jeden.

Rops ma duszę satanistów „à rebours;“ odmalował ekstazę demoniczną, jak inni malowali umiesienie mistyczne. „Daleki od wieku, w którym materialistyczna sztuka widzi tylko histeryczki, głosił sławę nie kobiety współczesnej, nie Paryżanki z jej błazeńskimi wdziękami i nędznymi ozdobami, ale kobiety zasadniczej, istniejącej po za czasem, Bestyi trującej, jedynej, handlarki ciemności, całkowitej służebnicy dyabła.“

Zażuje Huysmans, że sztuka współczesna zaniechała zupełnie potworów, które odgrywają taką rolę w starożytności i wiekach średnich, a dziś jeszcze — w sztuce japońskiej. Tworzone podług dawnych wzorów potwory (zwykle mieszanina niektórych części ciała ludzkiego z częściami ciała zwierzęcego), nie mogą już budzić w nas wzruszeń, do których przeznaczał je niegdyś artysta, gdy pragnął symbolizować zło bóstwa lub zbrodnie. Katedra Notre Dame w Paryżu — to hieroglif, którego rzeźby próżno odcyfrować próbują ikonografowie chrześcijańscy; a przecież nie ulega wątpliwości, że na murach jej pomieszczoną została jedna z najcudowniejszych teoryj demonów i potworów. „Pochylone od pięćset lat nad olbrzymiem miastem, patrzą niezmordowanie na głupotę ludzką; śledzą rycerskie czyny odwiecznego człowieka, zajętego troską cielesną i ponętami zysku; chłoną wyziewy niezniszczalnych nigdy występków, pilnują klasyfikacyi wiecznego śmiecia, pielęgowanego przez hipokryzyę naszych zniewieściałych czasów.“ Taine'owska teoria środowiska słuszną jest dla Huysmansa *naopak*, gdy chodzi o wielkich artystów, bo środowisko wzbudzić w nich może tylko odrazę i bunt; „zamiast urabiać podług swej modły ich dusze, tworzy w olbrzymich Bostonach — Edgarów Poë; w nędznych (sic!) Francjach — Baudelaire'ów, Flaubertów, Goncourtów, Villiers-de-l'Isle Adamów, Gustawów Moreau, Redonów i Ropsów, istoty wyjątkowe, które odwracają się od swego wieku i rzucają się w tłumne krainy wizyj i marzeń.“

Twórczem potwierdzeniem tych zamiarów i poglądów oraz logicznym, w pewnej mierze ostatecznym, rozwojem wszystkich właściwości talentu, które się poprzednio wybitnie zaznaczały, stała się głośna książka: „A rebours.“ Mamy tu nietylko w całej potędze zdolności opisowe Huysmansa, ale zarazem pierwszą, stanowczą próbę wyzwolenia się z błędów pospolitego naturalizmu. Zrozumiał autor, że nie wystarczy przeciwstawienie brzydoty rzeczywistej idealnemu pięknu, które w sobie nosił. Potrzeba mu było obrazów, któreby się znajdowały w doskonałej harmonii z jego wrażliwością oczną i z właściwościami jego stylu. Stworzył sobie przeto szereg wyszukanych wizyj, które połączył sztucznie

w jedną całość, a założenie dzieła uzasadnił w ciągu książki tak: „Gdy epoka, w której musi żyć człowiek talentu, płaska jest i głupia, artysta cierpi na nostalgię za innym wiekiem. Łącząc się w krótkich zaledwie odstępach w harmonii ze środowiskiem, nie odnajduje w badaniu go dostatecznych uciech obserwacyi lub analizy, uczuwa w sobie powstawanie ciekawych zjawisk: są to mętnie pożądanie ucieczki, które się wyjaśniają przez rozmyślanie i roztrząsanie. Budzą się instynkty, zmysły i skłonności, przekazane dziedzicznie, utrwalają się i narzucają rozkazująco. Artysta przypomina sobie istoty i rzeczy, których nie znał nigdy; aż przychodzi chwila, gdy wyrывa się gwałtownie z pokuty swego wieku i błądzi swobodnie po innej epoce, odpowiedniej jego upodobaniom. U jednych wynika stąd powrót do wieków minionych, do cywilizacyj zanikłych, do czasów umarłych; u drugich — pęd ku fantazyi i marzeniu.“

W wyznaniu tem szukać trzeba wyjaśnienia, co w istocie oznaczać ma taki przedziwny utwór, jak „A rebours.“

Wskutek wpływów dziedzicznych i osobliwego wychowania, książę Jan des Esseintes posiada w najwyższym stopniu newrozę; jest psychopatą z wyraźniej już woli autora. Poszukując wyrafinowanego towarzystwa, zbliża się do literatów, ale nudzą go banalne ich gawędy, zazdrosne i błahe sądy, jałowe spory. Doszedł wkrótce do wniosku, że świat składa się przeważnie z samochwalców i głupców; stracił zatem wszelką nadzieję, że odnajdzie druzgi umysł tak delikatny i subtelny i tak „starannie zgrzybiały,“ jak swój własny. Zrażony do wszystkiego, co znalazł w życiu grubiańskiego, brutalnego i zdrowego, usuwa się od ludzi, odwraca od rzeczywistości, bo ta zmysłów jego zadowolić nie umie. Sprzedaje swój pałac i kupuje dom pod Paryżem, w Fontenay, gdzie się zamyka w całkowitem odosobnieniu. Posiadając prężną i długo kształconą wyobraźnię, stwarza sobie życie sztuczne, dziwaczne, zorganizowane na opak, *à rebours* życiu zwykłemu. Pasie swe oczy obrazami przedziwnie skombinowanymi; wrażenia powonienia łączy z działaniem wzroku; zamienia na wrażenia słuchu niektóre wrażenia powonienia; karmi swój umysł najbardziej wyrafinowanymi utworami literatury i sztuki starożytnej i francuskiej; szuka doktryny, która by ujęła w system jego hypokondryę i chwieje się między kwaśnym ascetyzmem mistyków, a dążącym do samozniszczenia pesymizmem niemieckim.

Oto jak postępuje ta szczególna osobistość. Marzy o przepysznej urzędzie mieszkania, nie dla dziwu innych, ale dla własnej przyjemności. Zajmuje się sam wyborem i stosowaniem

ozdób, czyni wielokrotny przegląd całej seryi kolorów, stosownych do mebli i dekoracyj. Poszukuje barw, których wyrazistość wzrasta przy sztucznem świetle lamp. Usuwając jeden po drugim niepotrzebne tony, pozostawił tylko trzy barwy: czerwoną, pomarańczową i żółtą. Wolał po nad wszystkie pomarańczową, potwierdzając w ten sposób słuszność teoryi, której przypisywał dokładność prawie matematyczną, a mianowicie, że istnieje harmonia pomiędzy zmysłową naturą jednostki prawdziwie artystycznej, a barwą, którą oczy jej widzą żywiej i wyłączniej. „Oczy ludzi osłabionych i nerwowych, których apetyt zmysłowy poszukuje potraw, zaprawionych ostrymi sosami, oczy ludzi podnieconych i suchotnicznych kochają prawie wszystkie barwę drażniącą i chorobliwą, o sztucznych połyskach i silnych drganiach, t. j. pomarańczową.“

Aby uniknąć jednostajnego otoczenia, zamienia des Esseintes jeden pokój na rodzaj kajuty. Otacza go ogromnem akwaryum, w którym pływają sztuczne ryby a kolor wody zmieniać można dowoli, zależnie od tego, jaką barwę nieba ma odbijać. Czas przepędza des Esseintes w sposób „urozmaicony“, chociaż nigdy prawie nie opuszcza swego mieszkania. Czyta np. w swej przepysznej, oryginalnie zebranej, bibliotece autorów rzymskich. Wstręt ma do „stoniowych wdzięków“ Horacego, nie cierpi Wirgiliusza, Cyncerona i Cezara; nie zajmują go również ani „sentymentalny i nadęty“ Liwiusz, ani „bezbarwny“ Seneka, ani „limfatyczny“ Swetoniusz, ani „najbardziej nerwowy i najbardziej muskularny ze wszystkich“ — Tacyt. W poezyi nie ma upodobania do Juwenala, „pomimo kilku twardych i niezgrabnych wierszy“, ani do Persyusza, „pomimo jego tajemniczych insynuacyj.“ Zostawiając na stronie Tybulla i Propercyusza, Kwintyliana i Pliniusza, Martialis, Terencyusza i Plautusa, interesuje się des Esseintes łaciną dopiero od Lucana. Ale autorem, którego lubił rzeczywiście i który go zmuszał do rzucenia w kął nawet „pięknie rozbrzmiewających fajerwerków Lucana“, był Petroniusz. Ma ulubieńców zarówno w literaturze chrześcijańskiej pierwszych wieków, jak w literaturach religijnych średniowiecznych; przegląda z nim Huysmans wiek po wieku tych zapomnianych, nielicznym specjalistom znanych autorów, wykazując całą połyskliwość swej erudycyi à rebours.

Podczas jednej ze swych rzadkich wycieczek do Paryża, kupuje des Esseintes olbrzymiego żółwia i sprowadza go do swego mieszkania. Ale gdy się bacznie przygląda zwierzęciu, spostrzega, że kolor skorupy „brudzi refleksy dywanu.“ Pokrywa więc

zółwia złotą blachą, a potem, przy pomocy zręcznego jubilera, obsadza mu tarczę nieskończoną ilością drogich kamieni, wyczerpując całą mineralogię, by otrzymać pożądane światłocienie. Zwierzę zdycha, oczywiście, pod tem estetycznem doświadczeniem, które pokazać miało mineralogiczne wiadomości autora.

Słodkie godziny pędzi des Esseintes w cichej kontemplacji obrazów, których zebrał ilość znakomitą. Są to naturalnie mistrze Huysmansa z „Niekórych,” a wiec Gustaw Moreau w dwóch najlepszych kreacyach, Odilon Redon, stary holenderski rytownik, Jan Luyken i inni. I „żyje des Esseintes w samym sobie, karmiąc się własną substancją, podobny zwierzętom zdrewniałym, zarytym w jamach podczas zimy.“ Kołysany zachwycającą prozą Flauberta, doznaje wrażenia, jakby słyszał rozmowę dwóch posągów bronzowych, umieszczonych w rogach pokoju. Chimera woła do Sfinksa uroczyście: „Szukam nowych zapachów, szerszych kwiatów, nieznanych rozkoszy.“¹⁾ Ten tajemniczy jak zakłęcie głos mówił za samego des Esseintes'a, wypowiadał jego żądze niewiedomego, jego nienasycony ideał, jego potrzebę uniknięcia okropnej rzeczywistości, kroczenia omackiem, a niedochodzenia nigdy do rzeczy pewnych w całkowitej ciemni zaświatowej sztuki. Męczy się des Esseintes poszukiwaniem najwytworniejszych wrażeń. Sprowadza najrzadsze, egzotyczne kwiaty, ale wkrótce je usuwa. Potem podróżuje za pomocą perfum: chcąc „powlóczyć się“ wśród zadziwiającego, różnorodnego krajobrazu, otwiera nagle i wypuszcza „wybuch ogromnej wsi.“ Za pomocą rozpylacza wstrzykuje oto do pokoju „ekstrakt kwitnących łąk,” czyli esencję, złożoną z ambrozji, lawendy, pachnącego groszku i różnych kwiatów; potem w tę łąkę wpuszcza domieszkę tuberozy, kwiatu pomarańczowego i migdałowego i „powstają natychmiast sztuczne lilie.“ Zapomocą zapachów produktów chemicznych wywołuje des Esseintes miasta fabryczne, porty morskie i buduje w swej myśli „naturę wariacką, nieprawdziwą i zachwycającą, zupełnie paradoksalną,” mieszając zapachy roślin, kwitnących na odwrotnych biegunach. Pod wpływem tej orgii perfumowej omdlewa i słabnie tak, że wezwać musiano lekarza. Gdy mu nakazano ruch, projektuje des Esseintes podróż do Londynu. Przygotowuje gromadę kufrów, powierza je towarzystwu „Galiganis Messenger“ i oznajmiwszy

¹⁾ W „Pokusie Św. Antoniego“ Flauberta znajduje się przepiękny dialog Chimery, symbolu wyobraźni—ze Sfinksiem, symbolem wiedzy.

służbie, że nie prędko ma się spodziewać powrotu swego pana, wyjeżdża na dworzec św. Łazarza. Do odejścia pociągu pozostało jeszcze kilka godzin, wchodzi przeto des Esseintes do sąsiedniej restauracyi, gdzie zebrali się podróżnicy Anglicy, gdzie napoje są angielskie, mowa — angielska, ubiory i urządzenie wewnętrzne — angielskie. Otrzymuje stąd takie złudzenie rzeczywistości *angielskiej*, że wraca do domu z uczuciem, iż odbył długą, forsowną podróż. Jest to jedyny czyn, a właściwie nieudana próba czynu, na jaką ta czysta inteligencya wzrokowa zdobywa się przez całą książkę. Wraca des Esseintes do dawnego zamkniętego życia. Orgię zapachów zastępuje wyrafinowanym doborem likierów, ustawionych setkami w szafie i pozwalających kombinować wrażenia smaku w harmonijne „tony i akordy.“ Mniej już nieco zna się des Esseintes na muzyce, więc każe mu autor tylko lubić śpiew chóralny, muzykę Schumana, Schuberta, a nienawidzieć „wszystkich Thomasów, Berliozów i Gounodów.“ Oddzielne, bardzo znaczne miejsce w kontemplacyi des Esseintes'a zajmuje współczesne piśmiennictwo francuskie. Nieprzełamaną wzgardę czuje, oczywiście, dla wszelkich Ohnetów literackich. Z zamiłowaniem czyta mistyków (Hello i Barbey d'Aureville) oraz niektóre utwory Verlaine'a, Mallarmé'go i Villiers de l'Isle Adama; u Flauberta woli „Pokusę św. Antoniego,“ niż „Wychowanie sentymentalne,“ u Goncourta — „Faustin,“ niż „Germinie Lacerteux,“ u Zoli — „Błąd księdza Moureta,“ niż „Assomoir.“

Doprowadzony do ostatniego zniszczenia organizm, odmawia wreszcie des Esseintes'owi posłuszeństwa. Cieszy się wprawdzie, całkiem już komicznie, że nawet jedzenie przyjmować musi sztucznie, *à rebours*, ale tak go pożera anemia i w taką go pogrąża prostracyę, że sam widzi groźbę obłąkania i suchot. Z porady lekarza wraca do Paryża, wraca do świata, aby w nim umrzeć powolnie.

Nie trudno sobie wyobrazić, jakiego klina w głowy zabiła ta książka. Zblazowane na cudzołożnych opowieściach mieszczaństwo, z niepokojem wzięło do ręki „powieść,“ w której niema ani romansu, ani kobiety, ani akcji, a z każdej niemal stronicy przebija szydercze lekceważenie epischerstwa. Niemilo stawiać się w położeniu człowieka, któremu mówią każdym niemal wierszem: pięknem jest to, czego ty nienawidzisz, brzydkiem — wszystko, czem się zachwycasz. To też ani cel, ani wartość podobnego utworu nie mogły być przez szeroką publiczność ocenione. Większość musiała odrzucić „*A rebours*,“ jako objaw dziwactwa literackiego, które daleko słuszniej pokryć lekceważącym milczeniem,

niż zastanawiać się głębiej, co mają znaczyć orgie kolorystyczne; mniejszość, obawiając się, aby jej nie posądzono o niezrozumienie utworu, chwaliła go i podziwiała na kredyt, jako dzieło szczególnego wyrafinowania. Krytyka pojęta odrazu, że stoi wobec jednego z ciekawszych, znamiennejszych zjawisk literackich, ale przyzwyczajona do banalności powieściopisarstwa, nie chciała być wyprowadzoną w pole, obawiała się, aby nie sprawdziło się na niej wołanie jednego z bohaterów Barbey d'Aureville: „Mój drogi, tacy, jak ja, istnieją od wieków po to, aby zadziwiać takich, jak ty.“¹⁾ Niektórzy sprawozdawcy orzekli więc krótko i stanowczo, że „A rebours“ jest olbrzymią mistyfikacją, zabawą kosztem pospolitego tłumu. Inni, chcąc być „sprawiedliwymi“, przykładali do utworu lupę porównawczą, widzieli w des Esseintes'ie „typ newrozy dzisiejszej“, szukali w nim rozwinięcia płacznego „René“ Chateaubrianda, który przecież na początku wieku lamentował, że „o istnieniu swem dowiadywał się jedynie przez głębokie uczucie nudy;“²⁾ albo też nazywali go „ochwaconym Wertherem w połączeniu z maniakiem w rodzaju Bouvarda i Pecucheta.“ Guy de Maupassant, gorąco zachwycony istotą des Esseintes'a, wyrzucił z siebie nagromadzone długo zapasy pesymizmu, wołając w umiesieniu: „Ale powiedzcie mi, dlaczego ten nerwowiec byłby dla mnie jedynym człowiekiem inteligentnym, rozumnym, przenikliwym, rzeczywistym idealistą i poetą wszechświata, gdyby istniał?“ Dla wielu młodych pisarzy „A rebours“ stało się „uświęceniem nowej literatury, która wymagać będzie nie przedstawienia brutalnej zewnętrzności, ale wydobycia z tej zewnętrzności motywów marzenia i wewnętrznego podniecenia.“ Rozszerzać się zaczęło płodne w następstwa twierdzenie, że sztuka literacka dąży do wyodrębnienia tyluż form, tylu norm twórczych, ile jest talentów. Huysmans był jednym z pierwszych, który przestał pisać romanse, a zaczął tworzyć *książki* podług własnego, oryginalnego pomysłu technicznego. Wszystkim za imponowały w „A rebours“ niespodzianki stylu, miejscami gwałtownego i drażniącego, ale ogromnie prężnego, płynnego i rytmicznego. Niekiedy spotyka się w tej wyrafinowanej francuszczyźnie swobodę nieco barbarzyńską, niekiedy Huysmans „ciągnie — jak powiedział Leon Bloy — obrazy za obecasy lub za włosy po spróchniałych schodach francuskiej składni,“ — ale zawsze osiąga cel, do jakiego

¹⁾ „Le dinqr d'athées.“

²⁾ „René“, str. 278. Paryż, 1805.

dąży. Ustawiwszy odpowiednio wyrazy, umie przedstawić zadziwiająco wiernie powolne lub nagłe spadki nerwowe, wynikię z otrzymywanych wrażeń. Niektóre zdania mają umyślną twar- dość, inne są miękkie i potoczyste, — jeszcze inne jeżą się kolca- mi. Najlepiej jednak, najwspanialej uwydatnionemi zostały wra- żenia barwne, bo też o nie głównie chodziło. Mylą się bowiem ludzie, którzy książkę Huysmansa chcą brać za jakiś *czyn*, za od- zwierciedlenie mimowolne czy świadome współczesnego życia cho- robliwej i „wyrafinowanej“ jednostki wielkiego miasta. „A re- bours“ nie zbiera w sobie (jak Werter, René, lub Spowiedź dziecię- cia wieku) dreszczów, niepokojów i sprzeczności duchowych epoki, spromieniowanych w umyśle artysty. Treść des Esseintes'a sta- nowi serya zdolności wzrokowych, wywołujących stany wzruszeń mniej lub więcej silnych. Całkowity brak woli i wypływająca stąd niemożność życia w społeczeństwie, mizantropia i wstręt do najdrobniejszego ruchu — to wszystko cechy dobrane umyślnie, aby zadowolić nienasyconą potrzebę oka. Popisy zbytowej erudy- cyi w botanice i mineralogii, notatki o sztuce, wrażenia z litera- tur starożytnych i nowoczesnych, wskazówki dekoracyjne, praco- wita analiza wrażeń smaku, dotykania, powonienia i wzroku — czynią z książki okaz jedyny w swym rodzaju, niemożliwy do naśladowania.

IV.

W drodze do „supranaturalizmu.“

Po napisaniu „A rebours“ miał już Huysmans wskazaną dro- gę dalszej twórczości. Powrót do szarych tematów naturalizmu został dobrowolnie zamknięty. Pozostał wprawdzie z dawnej epo- ki styl realistyczny, ale i ten, przy kombinacyi pierwiastku pra- wdziwego z fantastycznym, zmieniał się, nabierał wyrazistości, a tracił szorstkość i trywialność. Na chwilę spróbował Huysmans spojrzeć na życie otaczające; ale stamtąd wydobyć mógł teraz te- mat do zjadliwej, żrącej satyry. Takim duchem jadowitego sar- kazmu przepojona jest nowela „Dylemat.“ Analizuje w niej z nie- ukrywaną radością dwie obrzydłe dusze burżuazów, którzy pozwa- lają umrzeć z nędzy i głodu kochance ich syna, osieroczonej przez jego śmierć.

Chęć oglądania pomieszanych i złożonych barw pchała Huys- mansa konsekwentnie do szukania niezwykłej treści, do nurzania

się w wyszukanych potwornościach. Uświadomiwszy sobie taką potrzebę, uległ mimowoli złudzeniom świata literackiego, które sam potępiał. Ponieważ zarzucił w „A rebours“ formułę naturalizmu, postanowił wytłómaczyć, co oznacza nowy objaw jego twórczości. Wykonywa to bardzo spokojnie w książce „Là-bas“, arcydziele w swoim rodzaju. Głównym łącznikiem wypadków i obrazów jest w niej literat, wyraźnie już zarysowany na bliskiego powiernika autora, jeżeli nie na jego portret.

Durtal należał niegdyś do szkoły naturalistycznej, rozumie zatem doskonale „usługi, jakie ten kierunek oddał sztuce.“ Naturaliści poniszczyli mdłe maryonetki romantyzmu, wydobyli literaturę „z idealizmu i staropanieńskiej oschłości,“ stworzyli istoty widome i dotykalne, postawili je w zgodzie z otoczeniem, pomogli do rozwoju języka, poznali prawdziwy śmiech i łzy i nie zawsze byli fanatykami trywialności, za jakich ich miano. Choć więc naturalizm przeżył się i rację swą utracił, należy zabrać z niego prawdziwość faktów, dokładność szczegółów, bogaty i nerwowy język, ale pamiętać, że niepodobna „tłómaczyć tajemniczy chorobą zmysłów.“ Romans winien dzielić się sam przez się na dwie części, niemniej pomieszane, jak w życiu: część duszy i część ciała, a zajmować się głównie wzajemnem ich na siebie oddziaływaniem. Rzetelny artysta kroczyć ma po drodze, głęboko wyłobionej przez Zolę, ale winien mieć nakreśloną w powietrzu drogę równoległą, drogą inną, idealną. Tym sposobem powstanie *naturalizm spirytualistyczny*, nowa forma literacka.

Objawieniem tego „supranaturalizmu“ stał się dla Durtala obraz niemieckiego malarza Grünewalda p. t. „Ukrzyżowanie Chrystusa.“ Straszny realizm malowidła wstrząsnął nim do głębi. Zostawszy starym kawalerem, niedbały już o rozkosze fizyczne, buntował się Durtal przeciw własnemu trybowi życia. Niekiedy, po długiej walce z frazesami, rzucił pióro i z goryczą patrzył w przyszłość. Szukał wówczas pociechy w rozmyślaniu i zastanawiał się, czy religia nie jest jedyną pocieszycielką, która umie „goić rany najdelikatniej.“ Ale dochodził do wniosku, że religia żąda takiej „woli nie dziwienia się niczemu,“ iż „odsuwał się od niej i tylko zdaleka ją szpiegował.“ Doszedł więc do wniosku, że obraz Grünewalda jest prototypem sztuki beznadziejnej, bo nie potrzeba posuwać się tak daleko, nie potrzeba „pod pretekstem *au-delà* stawać się najgorętszym katolikiem.“ Dla przeprowadzenia swej formuły artystycznej wystarczy mu na razie spirytualizm. Świat literacki Paryża dzieli się dziś na dwie kategorie: chciwych burżuazów i wstrętnych filistrów. Zrywa z nimi Dur-

tal i w skupieniu pisze historię marszałka Gilles de Rais, zwanego Sinobrodym. Nie rości sobie pretensyi, że go odmaluje dokładnie; stara się jedynie, żeby go nie zmiękczyć zbyt letnim językiem, żeby mu barw nie odjąć, nie uczynić z niego miernoty złęgo.

I snuje się przed oczyma czytelnika szalona historia średniowiecznego potwora, najdzikszego prototypu sadyzmu. W artystycznym, mistrzowskim porządku wychodzą po kolei wszystkie zbrodnie młodego marszałka, mordowanie tysiąca dzieci dla orgij zmysłowych, najkrwawsze i najdziksze męczarnie, najwyszukańsze sposoby zadowalania chorobliwie rozpasanych chuci. Baron de Rais był z początku rodzajem des Esseintes'a z XV wieku: żył w odosobnieniu, zatopiony w książkach, w otoczeniu pięknych mebli, w kontemplacji dzieł sztuki. Stosunki z Joanną d'Arc wzbudziły w nim religijną egzaltację. Od skrajnego mistycyzmu jednakże „tylko jeden krok do satanizmu,“ więc de Rais gwałtowny zapał do modlitwy przeniósł w dziedzinę „à rebours.“ Doprowadzili go to tego świętokradzcy kapłani, wywoływacze dyabłów i astrologowie.

Historia Sinobrodego przewija się przez książkę bardzo jaskrawem pasmem. Szczegóły procesu potwornego obłąkańca podaje Durtal z okrutną drobiazgowością: czytelnik słyszy krzyki, towarzyszy zbrodniom, konaniu niewiniątek, duszonych przez potwora. Widoczny jednak cel autora mieści się nie w opisie czynów Gilles de Rais'a: chodziło mu o artystyczną monografię satanizmu współczesnego, rozwijającego się w stolicy świata, za dni naszych, a także o pokazanie pierwiastku średniowiecznego w dzisiejszym Paryżu. Mamy przeto zarys magii i satanizmu, opis „czarnej mszy,“ przechodzący jaskrawością najłamielsze przypuszczenia; mamy astrologię, symbolikę dzwonów, z wyczerpującą tej sprawy bibliografią, wreszcie — podrzędną zupełnie, a raczej pomocniczą częścią książki, „satanistyczny“ romans Durtala.

Zbornym punktem, w którym rozprawiają nieustannie o średniowiecznych zabytkach w dzisiejszym Paryżu, jest mieszkanie inteligentnego dzwonnika, a właściwie mistrza symbolicznej sztuki dzwonienia, — Carhaix'a, mieszkającego na wieży kościoła Św. Sulpicyusza. Wprowadzony przez swego przyjaciela des Hermies, spotyka tu Durtal astrologa Gévingey i przy częstych wspólnych obiadach (w których opisie objawia Huysmans stare swe zamiłowania gastronomiczne) oryginalna kompania przetrząsa obfite wiadomości o satanizmie. Durtal mówi o Gilles de Rais'ie; Gévingey kreśli przeszłą historię, oraz zarys dzisiejszego stanowiska astrologii; Carhaix tłumaczy piękną symbolikę dzwonów. Przez

pośrednictwo des Hermines poznaje Durtal satanistkę, panią Chantelouve, żonę znanego historyka, która już przedtem szukała z nim znajomości i, pod przybranem nazwiskiem pisywała do niego tajemnicze listy. Stawszy się kochanką Durtala, popełnia z nim ohydne praktyki satanistyczne i zapoznaje go z przywódcą satanistów, księdzem Docre'm, który odprawia „czarną mszę.“

Cechą książki, zwracającą silnie uwagę, jest nadzwyczajnie zręczna budowa: tyle różnorodnych części, tak zasadniczo od siebie odmiennych, tak mało nadających się do artystycznego traktowania, złączone zostały w całość sformą, w czytaniu ogromnie zajmującą, ciągnącą się potoczyscie, wolną od przeładowania. „La-bas“ potwierdza wybornie postawioną przez autora w założeniu równoległość plastyki i dokładnych szczegółów przy zupełnej swobodzie fantazyi, nie krępowanej żadnemi względami. Rozsiane po wszystkich stronicach perły stylu i obrazowania pokazują pierwszorzędnego bogacza literackiego; opis obrazu Grünewalda należy do niezaprzeczonych arcydzieł. A ileż mocy i plastyki zawiera w sobie historia życia Gilles de Rais'a w jego zamku w Tiffanges! — jakim urokiem nęci życie dzwonnika na wieży św. Sulpicyusza! Jak zawsze, duszą opowiadania jest obrazowy pierwiastek, posiłkujący się z jednakowym spokojem krwiożerczemi orgiami średniowiecznego potwora, tęskną symboliką dźwięków dzwonowych, przepisami sztuki kulinarnej lub religijnym sadyzmem „czarnej mszy.“ Ta *jednakowość* metody pozwala spostrzedz łatwo jej wady. Przedewszystkiem pociąga za sobą pewne obałamucenie zmysłowe. Wyrzuciwszy z książki odrazu rzeczywistość, stracił Huysmans sposobność do pokazywania ironii i nudy swego oblicza. Nie ma potrzeby szydzenia, bo nie jest już w zwyczajnym świecie filistrów. Ale niezwykły świat, który maluje dawnemi, realistycznemi barwami, wygląda tak właśnie, jakby zyskiwał nietylko całą jego sympatyę, ale talentowi jego dawał szczególnie dogodne podścielisko. Tymczasem, po za licznemi stronicami erudycyi, miejscami forsownej, cała książka wyraża niejako apoteozę monstrualności miernej, nie takiej, która odtwarza symbole demonicznej głębi duszy, ale tej właśnie, która jest zwyczajnem *à rebours* uwielbieniem filistra; która zjeża mu włosy przerażeniem i pobudza do czujności jego ślinaczą „cnotę;“ która mu nakazuje grupować się przy stopniach ołtarzów i pilnować, by bałwany jego uniesień nie uległy nowemu zamachowi. Przebaczenie najstraszniejszemu mordercy dzieci w chwili, gdy go spotkała ziemska kara i artystycznie obojętne malowanie jego zbrodni świadczy niezawodnie o nabyciu znacznych zapasów „du-

cha średniowiecznego“ i wystarcza autorowi za cel ściśle w sobie zamknięty, wolny od moralnych konsekwencyj. Ale do innych rezultatów musiało Durtala - Huysmansa doprowadzić długie pobudzanie mózgu orgiami satanizmu. Rzeczywistość nie dała mu odpowiednika, na którego tle mógłby snuć wątek opowiadania; całą treść wywiódł z fantazyi, która poddana została gwałtownej gimnastyce. Dusza autora zającała się nanowo, dawny pesymizm napłynął powrotną falą i przyniósł nowe formy podniecenia.

V.

„Supranaturalista“ w klasztorze i w kościele.

Gdy zmęczone oko patrzy na przedmiot czerwony, widzi go w zielonej otoczce; a gdy ogląda długo barwy żółte—sposstrzega na ciemnem tle plamy fioletowe. Podobne zjawiska skojarzenia przez kontrasty zachodziły nieustannie we wrażliwym, zmęczonym umyśle Huysmansa. Podczas radości uczuwał ból, w smutku miał błyski wesela, podczas wrażeń przyjemnych i czystych — wstręty i odrazę. Zadnego wzruszenia nie mógł zatrzymać na dłużej w kształtach jasnych, wykreślonych trwale; po chwili zostawało zmacone i skłócone tak, iż łączyło się ze wzruszeniami przeciwnego porządku. Odwrót po satanicznych orgiach był łatwy do przewidzenia; spełnił się niebawem.

Wkrótce po ukazaniu się „La-bas“ reporteryja paryska podała do wiadomości publicznej garść intrygujących szczegółów z prywatnego życia Huysmansa. Zauważono, że zaczyna chodzić po rozmaitych kościołach paryskich, że zjawia się na wczesnych mszach porannych, odprawianych dla biednej ludności, że przychodzi też na wielkie, uroczyste nabożeństwa, wreszcie na nie-szpory i późne modlitwy. Doniesiono potem sensacyjną wiadomość, że wyjechał na jakiś czas do klasztoru trapistów. Wyprawdzono stąd wniosek, że skąpany w orgiach satanizmu autor, nawrócił się ostatecznie i oznajmiono, że zginął zupełnie dla Sztuki. Dopiero po czterech latach wyszło na jaw, że całe tajemnicze postępowanie było zwyczajnem zbieraniem dokumentów „supranaturalisty“, który oglądał sobie powoli świat księży świeckich i mnichów, porównywał nabożeństwa, modlitwy i śpiewy, badał sztukę kościelną, zaglądał do setek prastarych książek, a wszystko dla tego, aby ogłosić nową seryę wspaniałych opisów, za-

dziwić nowym ogromem wyszukanej erudycyi, zatytułowanym: „W drodze“ („En route“).

Durtal, znudzony życiem, zwraca się ku katolicyzmowi. Po długiej i uciążliwej walce zmysłowości z wiarą, uzyskuje, przy pomocy znajomego księdza, prawo tygodniowego pobytu w klasztorze trapistów „Notre Dame de l'Atre.“ Tam przechodzi ciężkie przesilenie i pokusy, spowiada się, przyjmuje komunię i powraca do Paryża z postanowieniem zerwania z przeszłością.

Krótką, ogromnie prostą drogę przechodzi Durtal w sposób niestychanie skomplikowany. Wie, że „wszystkie drogi wiedą do Rzymu,“ ale wybrał umyślnie najdłuższą. Pierwszym przedmiotem, który go zatrzymywał w kościele katolickim, jest śpiew chóralny. Chodzi po wszystkich świątyniach paryskich, zastanawia się, jak i gdzie śpiewają, a posiadając olbrzymią ilość wiadomości o rozwoju muzyki kościelnej, wykłada je systematycznie. Za śpiewem i muzyką następują porównawcze badania nabożeństw. Podobnie jak Folantin, co chodził po restauracjach dla znalezienia befsztyku, możliwego do jedzenia,—szuka Durtal „dosyć czystej mszy,“ szuka świątyni, w którejby „pokój duszy podawano w sposób jako tako przyzwoity.“ Już des Esseintes miał przesadne zamiłowanie do ornatów, w które stroił swe pokoje. Zauważono nawet z tego powodu, że jego obłąkanie zmysłowe „łączyło się bardzo łatwo z rodzajem katolicyzmu sadycznego.“ Durtal, jako bezpośrednie ogniwo w rozwoju des Esseintes'a, posługuje się najchętniej jego metodą: przegląda kościelne ubiory, światła, cienie, budowę sklepień i ołtarzy; bada ogromną literaturę ekstazy i mistyki, streszcza kolejno dzieła św. Dyonizego Areopagity, św. Bonawentury, św. Tomasza z Akwinu, św. Bernarda, dwóch Eckartów, Taulera, Suso, Dyonizego Chartreux, św. Hildegardy, św. Katarzyny Genueńskiej, św. Katarzyny Senneńskiej, św. Magdaleny z Pazzi, św. Teresy, św. Gertrudy, wreszcie Ruysbroeck'a Wspaniałego. Wszystko razem tworzy metodyczny, monotony przegląd kościołów Paryża, nieskończone opisywanie nabożeństw całego roku, ogrom wiadomości sumiennie zebranych, niemilosierne wysypanie wielu specjalnych słowników. Najwięcej tej benedyktyńskiej pracy zawarto w pierwszej części książki, prowadzącej Durtala na drogę cnoty. Złączenie oderwanych rozpraw i opisów — bardzo w niej dowolne, a usprawiedliwienie swe znajduje głównie w stylistycznej mocy. Obfite czerpanie z dzieł mistyków katolickich nasunęło wielką ilość barw nowych, oślepiających. Niekiedy kombinacja starego, przepojonego zapachem zakrystyi, języka z przenośniami, czerpaniami z poziomych dzieł

dzin życia, wydaje syntezę dziwaczną. Na każdej stronie spotykamy takiego pokroju zdania: „Okolo zakatarzonego harmonium zebrała się grupa starych i młodych gęsi, które przy jarmarcznej muzyce puszczały Pannę Maryę na swych litaniach, jak na karuzeli;“ wymowę księży „czuć tłuszczem i wazeliną;“ w śpiewach— „margarynę dźwięków;“ duszę swą pragnie Durtal przesycić „karbolem modlitw, sublimatem sakramentów,“ a modlitwę do Matki Boskiej zaczyna od słów: „przebac takiej jak ja szelmie;“ spowiedź potrzebną mu jest na to, aby „zmaćić własną kałużę,“ aby „wyrzucić łajna ze swej stajni.“

Rzeczywisty dramat powieściowy rozgrywa się dopiero w części drugiej, opisującej pobyt Durtala w klasztorze trapistów. Spowiedź Durtala, oraz „czarna noc“ pokus i wątpliwości, którą przeżywa wzorem dawnych mistyków, zajmują najpiękniejsze może stronie, jakie wyszły kiedykolwiek z pod pióra Huysmansa. Czytelnik dzieli mimowoli cierpienia i głuchy ból Durtala, przejmując się jego głosem, ma dla niego głębokie współbolewanie. Jęki jego brzmią, jak skargi Hioba lub Jeremiasza: „...Wstręt mam do życia, zmęczony jestem... Mam serce wysuszone i spalone przez łotrostwa, niezdolny jestem do niczego... Niewiedomość prowadzi do takiego samego rezultatu, co nauka... Och, zakopać się w klasztorze, zdala od filistrów, nie wiedzieć, czy wychodzą książki, czy drukują się dzienniki... Wstręt mam do samego siebie... Gdziekolwiek zwrócisz się z kobietą, wszędzie cierpieć będziesz, bo ona jest najpotężniejszym narzędziem bólu, jakie Bóg zesał na mężczyzn. Pragnę wejść do niewiedomego, które mnie przestrasza; gdybyż przynajmniej wrzaski moich niegodziwości chciały ucichnąć, ale czuję, że podnoszą się we mnie wściekle... Dusza moja jest miejscem złego; kochała dotychczas tylko przewrotność; niewiele jest warta; nie warta jest nic... Wypędziłem wieprze z mej istoty, ale mię podeptały. Od lat dziecińczych pędziłem życie ohydne; popełniałem wszelkie niegodziwości, popełniałem wszystko, wszystko... Wymiotuję samego siebie...“

Pomimo tych tragicznych jęków, Durtal nie wygląda na nawróconego. Zblazowany literat, po dwudziestu latach takiego, jakiego prowadził, życia, musiałby przechodzić kryzys, nieco inaczej skomplikowany. Jedna noc nie wystarczy na regulowanie poważnych burz duchowych. Durtal nie będzie nigdy człowiekiem zdolnym do *czynu* moralnego; pozostanie zawsze zmysłowym marzycielem. Gdyby się chciało znać powody, dlaczego staje się religijnym, nie znalazłoby się, po za względami *czysto literackimi*, żadnego poważnego objaśnienia. Wstręt do życia rozpustnego

nie łatwo prowadzi do wiary, a jeszcze mniej tłumaczy taki zwrot zamiłowanie do śpiewu choralnego, chociaż ten „zbyt jest piękny, aby go mogli wynaleźć ludzie.“ Mistycyzm Durtala jest sobie prosto dalszym ciągiem twórczości *na opak* temu wszystkiemu, co się w piśmiennictwie ułożyło w umówione, stałe kształty. Zdaje nam się, że mamy wciąż do czynienia z des Esseintes'em, który do dziwnych roślin, zebranych w Fontenay, dodaje jeszcze mistycyzm, jako najbardziej paradoksalny ze storczyków. Durtal nie chce być zwyczajnym pacyentem Kościoła; chrześcijaństwo jego nie jest miłością bliźniego; chrześcijaństwo naucza kochać ludzi, chociażby byli pospolici i nie umieli ładnie śpiewać. Bliźni Durtala — „filister“ wywołuje w nim wzgardę i odrazę. Aby właśnie uniknąć nienawistnego z nim zetknięcia, ucieka do klasztoru. Ma większe niż Wolter nieposzanowanie tego, co czczą tłumy wiernych. Katolik, podług niego, „stara się jedynie ukryć swe sumienie, używa wybiegów wobec Sędziego z obawy piekła; postępuje nie z zamiłowania cnoty, ale ze strachu.“ Kościoła Durtal nie potrzebuje; niewyraźne, mistyczne „połączenie z Panem“ stanowi całą jego religię. Gniewają go księża, albowiem „brak wykształcenia, niepojmowanie środowiska, pogarda dla Mistyki, zapoznanie sztuki, odjęło im wszelki wpływ na *patrycyuszów* ducha.“ Można by, idąc śladem des Esseintes'a w jego rozmyślaniach o Barbey d'Aureville, zastanawiać się, dlaczego Kościół nie rzucił na tę pseudo-religijną książkę klątwy, dla czego nie potępił „dziwnego sługi, który pod pretekstem czczenia mistrzów, tłucze witraże kaplicy, zongleruje ze świętościami, wyprawia tańce obok tabernaculum.“

Kler oddziaływał w tej powieści jedynie na „dziecinne umysły bigotów, w czem bezwątpienia wyraża się wola Opatrzności i z czem jest lepiej, bo gdyby się stał mistrzem, gdyby zdołał podnieść, ożywić strupioną owczarnię, którą kieruje — zabrzmięta by trąba głupoty klerykalnej nad krajem, nastąpiłby koniec wszelkiej literatury, wszelkiej sztuki we Francji.“ Poinimo całej skruchy, nie przestaje być Durtal dawnym egoistą, starym kawalerem, zajmującym się zarówno swoim żołądkiem, jak swoim zbawieniem, papierosami, jak cudami, których się domaga dla swej drogiej osobki. Ksiądz Gévresin utrzymywał, że u jego penitenta „pałace duchowe są wciąż jeszcze niezamieszkałe“—i miał rację. Wówczas, gdy marzy o najdalej posuniętej abnegacyi, nietylko świadomie kłamie, ale jest nadto—śnieszny. Za ideał np. stawia Szymona, świnopasa klasztornego, który nie wie, w jakim kraju mieszka, który, w odpowiedzi na pytania, chrząka, jak świnie.

W tym „boskim świniarzu“ streszcza się najwyższy stopień kultury moralnej; on to ma przedstawiać „najwznioślejszy stan, jakiego pożądać może stworzenie na tym padole.“ Gdy więc na końcu książki Durtal wraca, niewiadomo dlaczego, do życia i rozpacza, że jest „zanadto jeszcze literatem, aby się stać mnichem, a tymczasem zanadto już mnichem, aby pozostać między literatami,“ — to mu wierzyć wcale nie chcemy. A kiedy Huysmans powtarza za Pascalem: *abêtissez-vous* — i cytuje ze wszystkich świątobliwych pisarzy wniosłe sentencje na umocnienie tej rady, — należy uśmiechnąć się i pamiętać, że chodziło tylko o dwie sprawy: oryginalną treść i piękną formę. Zapomnijmy, że udają wobec nas zaprzeczenie literatury, bo przecież odurza nas zapach najbardziej wybujałego kwiatu w jej oranżeryach...

Ukończywszy studia nad wewnętrznem urządzeniem kościoła katolickiego, to jest nad nabożeństwami i symboliką liturgiki, zabrał się Huysmans do badań sztuki kościelnej i wyłożył je w książce, mimowolnie może, ale stanowczo zakrojonej na podręcznik estetyczny. Jeżeli „*A rebours*,” „*Là-bas*“ i „*En route*“ można było poczytywać nie bez słuszności za wzory, wyzwalające romans ze starej rutyny, to „*Katedra*“ niema już nic wspólnego z powieściopisarstwem. Kilka luźnych szczegółów akcji interesuje jedynie jako osobista spowiedź autora, opowiadającego w dalszym ciągu swą podróż do wrót wiary. Durtal, niezdolny do interesowania się życiem profanów, uczuwa potrzebę stałej religijnej atmosfery, gdzieby mógł prowadzić dalej swe świątobliwe studia. Pojechał do Chartres za księdzem Gévresin, który tam miejsce otrzymał i przy pomocy innego księdza, człowieka szczególnie wykształconego w symbolice religijnej — „tej wielkiej nauce średniowiecznej, która stanowi specjalny dyalekt kościoła,“ bada słynną katedrę. Poczytuje ją za arcydzieło architektury i rzeźby, widzi w niej „sztukę najbardziej nadludzka, najbardziej egzaltowaną, jaka kiedykolwiek istniała.“ W przerwach od badania pogrąża się Durtal w wątpliwości moralne i pisze już to żywoty świętych, już to piękne studia (przytaczane w tekście) nad malarstwem prymitywów włoskich; porównywa sobie cudowne Madonny we Francji i rozmyśla nad przyczynami pierwszeństwa jednych nad drugimi; wywiaduje się o dzisiejsze znaczenie kanoników; rozmyśla nad stosunkiem kościoła do dzisiejszego romanu. Z rozważania rozmaitych części katedry ułożył się długi szereg pracowitych monografij artystycznych, wyświetlających symbolikę sztuki średniowiecznej. Po opisie katedry przy rozmaitych porach dnia i nocy, zaznajamiamy się z wyglądem we-

wnętrznym różnych jej naw i części. Wiele miejsca zajęła długa historia kościołów, stawianych na miejscu dzisiejszej katedry w Chartres, historia początku gotyku, oraz symbolika stylów gotyckiego i romańskiego. Plan kościoła pobudził Durtala do badania symboliki architektury oraz liczb w sztuce kościelnej. Po barwnym opisie dzisiejszego ruchu pobożnych w katedrze i porównaniu z dawniejszym, wyładowuje Durtal dziwy biblioteki mistycznej, zebranej napewno przez des Esseintes'a. Rozważa po kolei malarstwo religijne dawne i współczesne, symbolikę barw liturgicznych, drogich kamieni, nieskończonej ilości rzeźb na portalach; symbolikę kadzideł, roślin i kwiatów; symbolikę witraży, zwierząt, płaków i potworów, umieszczonych w katedrze; symbolikę ciała ludzkiego, a nawet — symbolikę tańca liturgicznego. Wszystkie te szczegóły uwydatnione są z taką siłą opisowości, że posągi świętych chodzą procesjonalnie pod piórem autora, postacie z witrażów poruszają się i mówią.

Badając psychologię gotyku, całkiem już zarzuconą przez archeologów, zapomina Durtal na pewien czas o niepokojach i walkach wewnętrznych. Ale, gdy wraca do swej duszy, ze smutkiem myśli, że nie umie się modlić i pociesza się, że przynajmniej odczuwa gorącą miłość mistyki i liturgii, śpiewu chóralnego i gmachów katedralnych. „Nie klaniając i nie łudząc się, mógł z całą pewnością zawołać: Panie, kochałem piękno Twego domu i miejsce, w którym słowo Twoje gości.“ Środowisko, w którym Durtal przebywa, rozkosze zmysłowe, które mu daje mistycyzm artystyczny, popychają go coraz bardziej do żywota klasztornego. Braknie mu odwagi poddania się surowej regule trapistów; nie posiada „ani ciała dość mocnego, ani duszy dość tęgiej.“ Wybiera się zatem do benedyktynów w Solesmes, w przeświadczeniu, że może tam znajdzie „zakon pobłażliwy, zainitowany w liturgii i żądny sztuki.“

Ponieważ sztuka katolicko kościelna przestała istnieć od czasów Reformacyi, ponieważ można ją na jaw wydobyć jedynie za pomocą archeologii, więc „Katedra,“ wbrew woli autora, stała się utworem dydaktycznym, podlegającym raczej krytyce specjalistów. Ale specjaliści nie dali się złudzić dorywezością erudycyi Durtala; znaleźli w książce mnóstwo ciekawych wiadomości bez żadnego systematu krytycznego. Specjaliści zatem nie zajmowali się „Katedrą,“ jako utworem literackim; literaci zaś przyjąć musieli na wiarę całą naukę Durtala, jako nie wchodzącą w granice ich kompetencyi.

Pozostały do rozważenia dwie tylko sprawy: artystyczna strona opisów oraz proces wpływu sztuki kościelnej na duszę Durtala.

Pierwsza, jak zawsze u Huysmansa, zadowala bardzo wyszukane wymagania. Po jednorazowym książce odczytaniu doznaje się zawrotu głowy, tak samo, jak wówczas, gdy stanąwszy wobec katedry w Chartres, zechcemy jednym rzutem oka objąć tysiączne szczegóły jej budowy. Nigdy, żaden kościół nie otrzymał pod tym względem równie wspaniałego hołdu.

Za to psychologia wpływu całego potopu barw i kształtów na Durtala pozostała zupełnie w cieniu. Zdumiewa nas poprostu, dlaczego z duszą tak przecież skomplikowaną nic się nie dzieje w ciągu pięciuset stron książki. Mamy wciąż do czynienia z dawniejszym Folantinem, który troska się o dobre jedzenie, a kłopoty swe gospodarskie lub kuchenne aż w pięciu rozdziałach porusza. Cała religia Durtala polega na zimnych modlitwach do Najświętszej Panny i obcowaniu z archeologią katolicką. Sam zresztą wąpi niekiedy o wartości gatunkowej takiego nawrócenia. „Widocznie — mówi — Pan Bóg niebardzo jest trudny, skoro się zadowala takimi ludźmi, jak ja.“ Gdyby się Durtal nie modlił, grzechów swych nie rozważał, do komunii nie przystępował, byłby zwyczajnym lubieżnikiem religijnym. Poddał się zewnętrznie pewnego rodzaju kulturze moralnej, która go odrywa na chwilę od wyłącznego badania sztuki kościelnej. Patrząc jednak na jego czyny, przypominamy sobie ciągle słowa św. Tomasza z Akwinu, że „łaska nie niszczy natury“ (*Gratia non tollit naturam*).

Inne postacie po za Durtalem, z wyjątkiem rozmiłowanej w mistyce służącej, która przy podawaniu zupy lub kotletów opowiada o średniowiecznych mistykach i o swoich gawędach z Matką Boską — są mierne i proste, całkiem kompromisowe. Duchowy kierownik Durtala, „zabłąkany w średnie wieki,“ ksiądz Gévresin, zjawia się kilkakrotnie i znika, jak marionetka. Informator Durtala, ksiądz Plomb, gdy wyładował olbrzymi słownik symbolistyczny — stracił rację dalszego swego istnienia.

Wogóle „Katedra“ jest sucha i pozbawiona nietylko uczucia chrześcijańskiego, ale — uczucia ludzkości. Jest to próba odtworzenia za pomocą nowych środków „Geniuszu chrystyanizmu“ Chateaubrianda. Zadanie przeprowadzone zostało z upojeniem świeżo nabytej erudycji, ale, jako poczęte w duchu bardzo wątpliwej wiary, tylko w części estetycznej zbliża się do ideału autora. Pragnął Huysmans dowieść, że istnieje, a właściwie istniała sztuka katolicka, symboliczna i mistyczna, znacznie wyższa, zwłaszcza

przez swą wyrazistość, od wszelkiej sztuki profanów starożytnych, czy nowożytnych. Pod tym względem wysiłek jego godny jest szczerzego podziwu.

W „En route“ dotknął Huysmans życia zakonnego pośrednio jedynie; chodziło mu przecież wyłącznie o kryzys wewnętrzny Durtala. Zapowiedzianą w „Katedrze“ praktykę u benedyktynów w Solesmes odbył wkrótce z takim samym pedantyzmem biurokratycznym, jaki mu towarzyszył w kilku ostatnich powieściach. Huysmans-hagiograf i mistyk staje się *laikiem*, aby poświęcić całą książkę drobiazgowemu, często grubijańskiemu, a zawsze pełnemu barw i śmiałych rzutów, opisowi życia zakonników („l’Oblat“). Nic się nie zmieniło w jego metodzie pisarskiej, prócz chyba szczegółu, że coraz więcej pisze *od siebie*, coraz wyraźniej i otwarciej utożsamia się z Durtalem. Z każdej stronicy wyziera tu znowu znajoma nam twarz Folantina-tetryka: przekonania ograniczone a wypowiedzane ze złością, egoizmem, sarkazmem, pogardliwością, dziwaczne żądania, jakieś oschłe marzenia, pospolitość w ciągłej rozterce z ideałem. Reguła klasztorna, niwelująca charaktery, nie przerażała „supranaturalisty:“ wśród zakonników widzi on taką samą, a może bardziej jeszcze podkreśloną różnorodność typów, jaką spotykamy w życiu codziennem, świeckiem. Huysmans-nawrócony, Huysmans-katolik nie poczuł do końca życia owej *poko-ry* chrześcijańskiej, którą Kościół zaleca, jako główną oznakę prawdziwej religijności. *Laik* obmawia starszych braci bez szacunku, bez żadnego przystosowywania swego stylu do „nastroju“ i okoliczności. Opisuje nie takich mnichów, jakimi być powinni, ale jakimi są w istocie. Widzi w nich przedewszystkiem *ludzi*, których nie zmieniło zasadniczo oderwanie od życia: słabości i wady pozostają i kwitną w klasztorze. Z jednakowym zapałem analizuje ich szlachetność moralną, jak ich grubijaństwo fizyczne. „Dom Romandoux, mistrz śpiewu, wszedł do celi. Uścisnął rękę Durtalowi, który nienawidził jego wrzasku podczas śpiewania. Dom Romandoux był jowialnym i gadatliwym. Miał szyję byka, żołądek wzdęty ponad olbrzymim brzuchem. Jego modre oczy wychodziły ponad nos zadarty à la Roxelane; wargi zwisały niby górna część ryja, a olbrzymie kłęby żółtych klaków wychodziły z zagłębień uszu i z nozdrzy.“ W taki sposób skromny *laik* traktuje wciąż swych przełożonych. Nie zmienił się również jego stosunek do przedmiotów kultu, do objawów wiary. I tu, jak dawniej, „nabożeństwo przypomina konserwy, bo psalmy zamarynowane są w słonym sosie śpiewu zakonnego.“ Nawet w dniu, gdy go przyjmują w poczet laików, Durtal myśli o tem jedynie,

iż zapomniał uprzedzić gospodynię Bavoil (świetnie odmalowaną postać), że... będzie jadł śniadanie w klasztorze... Gdy, wskutek walki z zakonami, benedyktyni porzucić muszą swój klasztor, Durtal marzy, iż wynajmie sobie w Paryżu „suche, jasne i tanie mieszkanie, jeżeli się da, w pobliżu kaplicy“ i znowu odzywa się w nim niepokój zgryźliwego, starego kawalera: „Wynając mieszkanie — łatwo to powiedzieć... Trzeba będzie wleźć do jakiej starej nieruchomości i znowu wilgoć, brak światła, niewygodna pokojów źle rozłożonych, trudnych do opalenia — lodownia, lub nędzna buda.“

Zwrot ku katolicyzmowi odsunął Huysmansa od stałego zajęcia biurowego i pogrążył go w takie „desoeuvrement,“ że wszystkie godziny oddawać mógł pisaniu. Łatwo mu było teraz zaspokajając jaknajszerzej swe skłonności erudycyjne, pogrążyć się w kolosalną przeszłość Kościoła. Zabrał się do odbudowania żywota świętej Lydwiny z Schiedam, to jest wszedł w sam centrum średniowiecza — w wiek czternasty. Wertował ówczesną historję Francyi, Anglii, Flandryi, Holandyi, a przede wszystkim „Acta sanctorum,“ zasady teologii mistycznej, teorię stygmatów, słowniki herezyi, historye trądu i epidemij średniowiecznych, żywoty świętych dziewic i młodzieńców. Za ten prawdziwie „benedyktyński“ wysiłek niesforny dotychczas „laik“ doznał łaski: napisał książkę, która może jedni jedyni z jego utworów da się zaliczyć do literatury religijnej. Obcowanie z filozofami mistyki uszlachetniło zwykły, prostoduszny ton opowiadania Huysmansa. Niezwykle spokojnie a wymownie, opisuje cierpienia świętej i jej cuda, a gdy, wyliczając wizye Lydwiny, odtwarza cierpienia i niepokoje Chrystusa podczas Pasji — staje się szczerym poetą.

Ale „supranaturalista“ najlepiej czuje się wówczas, gdy może własnymi oczyma patrzeć na to, co opisywać zamierza. Od cudów średniowiecznych idzie więc Huysmans do cudów współczesnych; wzorem Zoli, którego nazywa „wrogiem nadprzyrodzoności,“ bada przez dwa sezony cuda i choroby w Lourdes. Powstaje stąd książka („Les foules de Lourdes“), w której pierwiastek ściśle literacki i artystyczny rozpada się już zupełnie. Pozostały wprawdzie dawne stylowe maniere Huysmansa, ale te nie ocalają wartości opowiadania. Psychologii tłumów, zapowiadanej w tytule, jest w książce niewiele. Z jakąś okrutną rozkoszą maluje autor nieskończone zastępy kulawych, ślepych, epileptyków, paralityków, odtwarza okropne wrzody, ropy, kancery, tuberkuły, narośle, gangreny, poszarpane i pogniłe członki. Traktuje to wszystko, jak piękne okazy muzealne, nie szcędząc czytelnika

kowi ani jednej ohydy. Czasem tylko przypomina sobie, że jest przecież świeżo „nawróconym“ i wtedy wtrąca do opisu straszne-
go raka na twarzy taką modlitwę: „O Panie, pomyśl bądźcobądź,
że aby nas odkupić, włożyłeś na siebie liberyę ludzką, więc przez
pamięć na to nędzne ciało, które uświęciłeś, gdy je wziąłeś na
siebie, zlituj się nad tym nieszczęśliwcem, wylecz go! Przypomnij
sobie obraz Twego Świętego Oblicza; było ono bolesne i krwa-
we, ale nie budziło wstrętu! Zbaw godność Twego Oblicza,
oczyść cudem tę twarz ohydną!“ Gdy go zmęczą choroby, wtedy,
jak dawniej, szuka „porządnej mszy,“ zastanawia się nad symbo-
liką wody i światła, gawędzi z doktorami, którzy stwierdzają cu-
downość uleczeń, słucha śpiewów choralnych, prowadzi nieco bluź-
niercze dyskusye z Matką Boską, odbywa wędrówki po kaplicach
i wpada w złość, zgola już naiwną, gdy stwierdza okropną brzy-
dotę kościołów w Lourdes: „Brzydota — mówi — wszystkiego, co
się tu ogląda, nie może być naturalną, gdyż nie znajdziemy ni-
gdzie takiego doboru. Człowiek sam przez się, bez obcego poza-
światowego wpływu, nie mógłby bezcześcić w ten sposób Boga.
W Lourdes natłoczono tyle ohydy, zatopiono je takimi falami
złego smaku, że nasuwa się mimowoli myśl o interwencyi szata-
na.“ Huysmans podsłuchał nawet rozmowę szatana o tej sprawie
z Najświętszą Panną; oto kilka z niej wyjątków: „W wieku, któ-
rym ja żądzę dowoli, znajdziesz może nieco świętości w duszach
rozsypanych u Twych stóp; ale sztuki, która jest na świecie je-
dyną czystą rzeczą poza świętością, nie będziesz miała wcale;
przeciwnie, urządzę tak, że lżyć Cię będą bez wytchnienia przez
nieustanne bluźnierstwo Brzydoty... Nie wystarczyła mi nad-
zwyczajna przecież ohyda europejskiej biżuteryi religijnej. Do
tego już się przyzwyczaiłaś. Znalazłem coś znacznie lepszego.
Zdobyłem filistrów z Ameryki Północnej i ci zrozumieli mnie do-
skonale. Jestem szczerze zadowolony z przerażających wotów,
jakie Ci składają. A te zbiory z Twego skurbu w Lourdes, jak-
żeż ja je sam dobieierałem starannie!“

To panowanie szatana widzi Huysmans we wszystkich przed-
miotach kultu dla Niepokalanie Poczętej z Lourdes: „jeżeli—mó-
wi—pominiemy nieszpory w bazylice, dzieje się tutaj to samo
z liturgią i śpiewem, co z architekturą, malarstwem i rzeźbą.“

Niemniej poufale pożąda Huysmans oczywistego cuda. Przy-
jechał tu przecież po to, aby taki cud własnymi zobaczyć oczyma.
Gdy patrzy długo, długo na tłumy chorych, oczekujących wyzdro-
wienia, poczyną się niecierpliwie: „Doznaje się wreszcie pokusy:
na wargach błąka ci się wymówka. Co Ona robi, skoro Jej tak

łatwo uzdrowić tych wszystkich ludzi? Pomimo wszystko przecież, co Ją może rani, jest tu tyle wiary, tyle modlitwy, tyle li-tości, tyle wysiłków—czegoż więcej oczekuje?“ Ale supranaturalista uczuwa zaraz niewłaściwość swej postawy i szepce sobie po cichu: „Przecież to, czego tu żądamy od Najświętszej Panny, jest obłudą. Lourdes przyjęło niejako odwrotny kierunek Mistyki, gdyż powinniśmy przy cudownej grocie żądać nie uleczenia chorób, ale ich powiększenia; powinniśmy składać tu samych siebie na ofiarę za grzechy świata!“ Takie nieszkodliwe, a w rezultacie błahe rozumowanie rozsiał Huysmans po całej książce.

„Tłumy w Lourdes“ wyszły z druku na dwa miesiące przed śmiercią autora. Zmącony ton opowiadania, nieporządna budowa, nałogi pedantyczne, pewna suchość i jałowość obrazów—wszystko to świadczy, że autor przestał już wierzyć w swą twórczość, że z nadmierną gwałtownością poskramiał w sobie pożądania artysty. Młoda krytyka francuska zupełnie szczerze stwierdzać zaczęła, że „nawrócenie się“ Huysmansa było „fatalną przygodą,“ wskutek której literatura więcej straciła, niż Bóg zyskał. Artysta, czytając ostatnie książki autora „A rebours“ pomyśli z żalem, że wiara Huysmansa była tak mało poetyczna, tak mało pobudzała go do ekstazy i wzlotów ducha; chrześcijanin zaś, katolik, czytając te pseudo-podręczniki mistyki, nie zrozumie nigdy, dlaczego człowiek głęboko wierzący potrzebuje tyle mówić o sobie i przytoczy Folantinowi z Lourdes plautusowe: „*Aequum est vos Deo facere silentium...*“

*

*

*

Cała egzystencja literacka Huysmansa toczyła się dwoma równoległymi łożyskami: estetycznem i moralnem, które wola samego autora zlać się miały w jeden zmieszany prąd. Widzieliśmy, jak poszukiwanie bezwzględności estetycznej więziło go najpierw w długim, a przesadnym wstępie do rzeczywistości, jak wykształcało w nim fatalny dar odnajdywania najdrobniejszych szczegółów świata brzydoty. Życie ludzkie, przy takim widzeniu rzeczy, przyjmowało wygląd, który można porównać do kropli brudnej wody, badanej przez mikroskop. Sztuka Huysmansa w owym czasie była istotnie „naturą oglądaną po przez tempera-

ment.“ Stwierdziliśmy potem, do jakich nadzwyczajnie oryginalnych rezultatów doprowadziła ucieczka ze świata wstrętu i obrzydzenia, do świata *à rebours*, świata zmysłowych wizyj. Zobaczyliśmy wreszcie ideał Huysmansa całkowicie wyzwolony, poznaliśmy jego entuzjazmy i uniesienia. Cały ten proces rozwoju estetycznego odbywał się w sposób niezwykle, pełny niespodzianek i wzbudzający szczere uwielbienie, jakkolwiek głową, sercem i zmysłami należy Huysmans w swej sztuce do wrażeń, otrzymanych od *fizycznej* tylko strony natury.

Jednocześnie przecież odbywał się w samym autorze proces moralny, do pewnego stopnia zakulisowy, ale objawiony światu już to drogą dziennikarskiej informacji, już to przez dobrowolne, wyraźne utożsamianie się z głównymi postaciami romansów. Pessimizm i mizantropia odsunęły Huysmansa dawno od ludzi wogóle, a od świata literackiego w szczególności. Zamknął się w starym gmachu poklasztornym i budował sobie wspaniałe burze w szklance wody. Był zawsze człowiekiem rozważnej woli, wielkiej, spokojnej, systematycznej pracy, był pedantycznym urzędnikiem w ministerjum spraw wewnętrznych, surowym i wymagającym naczelnikiem dla podwładnych, a tak wzorowym w pełnieniu własnych obowiązków, że nagrodzony został legią honorową. Przez cały ciąg wieloletniej monotonności takiego żywota nie opuszczał Paryża. Ale przyszedł czas, gdy „supranaturalista,“ dla zbierania „dokumentów ludzkich,“ wyjechał najpierw do klasztoru trapistów, a potem na oglądanie katedry w Chartres. Idąc dalej za swoim bohaterem, który ma badać życie benedyktynów, podał się Huysmans do dymisji ze swego urzędu i pod okiem zakonników zakładał „klasztor artystyczny, pod wezwaniem Najświętszej Panny i protekcją św. św. Benedykta i Marcina.“ Miał to być dom cichego i pobożnego schronienia. Artyści, dla których życie było złem, a w których wiara niezupełnie zgasła, mogli, bez obserwowania żadnej reguły, pracować nad odrodzeniem sztuki religijnej i wystawianiem kościoła.

Ważny ten i bądźco bądź niedwuznaczny czyn, przyjęto powszechnie za ostateczne potwierdzenie „nawrócenia,“ które w Huysmansa oddawna wpierano. Sam fakt stał się tak rozgłośnym, że większe zainteresowanie budziła historia powrotu Huysmansa na łono wiary, niż jego sztuka. Usunięcie się w ciszę, a więc bierną negację życia, poczytano za czyn imponującej moralności. W tym pośpieszonym sądzie zapomniano zupełnie, że mistycyzm zdobył Huysmansa przez zmysły i przez zmysły jedynie mógł go być utrzymać. „Żrenica nasza — mówił Wiktor Hugo — pokazuje, jaką

ilość człowieka zawieramy w sobie.“ Żrenica Huysmansa nie widziała nigdy rzeczywistych ludzi, ale potwory, odbite w jej nadmiernej wklęsłości. Wiemy zresztą, skąd ta wklęsłość pochodzi: oto z długiego kierowania oczu ku własnym zmysłom. Nie znał Huysmans świata moralnego i nie poznał go do końca życia. Nie przejmował się nigdy *bólem* świata i nie zgarniał go do swego serca; pesymizm jego również ze zmysłów płynął. Wszystkie wrażenia i wzruszenia rozplývają się w nim same przez się w głąb, nieuleczalną nudę, na skutek walki, jaką toczą ze sobą dwie sprzeczne dążności jego temperamentu: naturalistyczna i wizyjonerska. Przez zmysły zatem stał się Huysmans rozstrzaskanym w sobie i przepołowionym człowiekiem. Wiara jego nie w nim, lecz *poza nim* istniała. Wiara jego była szatą, którą na siebie nałożył w przeświadczeniu, że z nią łatwiej dojdzie do swego absolutu estetycznego. Ale wiemy, że szaty zmieniał więc i tę zmieniłby może, gdyby żył dłużej.

... A jednak ten pracowity podróżnik do średniowiecza, ten pseudo-satanista i pseudo-mistyk, ten nieprzejeđnany, chociaż śmiertelnie znudzony samotnik, ten szczególny malarz, zabłąkany w literaturę — był zgoła wybitnym artystą, pomimo fatalnego punktu wyjścia swej estetyki. Złośliwi, szukając przyczyn tego zjawiska, zapewniają, że Huysmans stał się wielkim pisarzem, ponieważ „miał wciąż kłopoty pieniężne i zaburzenia żołądkowe.“ Jaka szkoda, że te poziome powody nie mogły zawsze wydawać podobnych skutków...

JAN LORENTOWICZ.

XX SZUKI.

Zobrazowanie działalności w dziedzinie sztuk plastycznych za ostatnie kilka miesięcy nie jest sprawą łatwą, a trudność bynajmniej nie pochodzi z nadmiaru materiału, ale z jego, że tak powiem, powszedniości.

Tak jest. Od zeszłorocznej kanikuty, to jest od czasu, na jakim zamknęliśmy ostatni na tem miejscu przegląd artystyczny— w sprawozdaniu obecnem, mówiąc o wystawach, urządzanych od tej chwili do dnia dzisiejszego, stwierdzić musimy większość produkcji ogromnie codziennej, drobnej, pospolitej, nie wyróżniającej się na tyle, ażeby w retrospektywnym rzucie oka mogła wywołać bardziej zdecydowanego wspomnienia.

Rok nie był bogaty w objawienia wysokich natchnień twórczych, nie przyniósł dzieł wstrząsających nowym dreszczem, wystrzelających dumnie po nad poziom skromnej przeciętności.

Chcę się wytłómaczyć dokładniej, ażeby nie ściągnąć na siebie gromów oburzenia, ze strony tych wszystkich, którzy w wymienionym okresie rzeczy swoje wystawiali i mogliby w tem, co powiedziałem, widzieć sąd bardziej niepoehlebny, niż to było w moich zamiarach. Otóż nie znaczy to bynajmniej, ażeby w ciągu tych ciężkich zresztą niezmiernie dla sztuki czasów, salony nasze miały być wypełnione wyłącznie utworami bez wartości, ale że utwory nawet pełne zalet najprzedniejszych, dzieła najpierwszorzędniejszych artystów naszych nie posiadały w sobie tych cech wyjątkowych zjawiska niepospolitego, które potężniej uderza na imaginację ogółu i jest uznane za wydarzenie niecodzienne.

Powszedniość jest nadewszystko niebezpieczna dla twórczości artystycznej, gdyż nawet dzieła doskonalsze przez zbytnią częstotliwość zjawiania się wśród tłumów, tracą w znacznej części

moc wzruszania, a wzruszenie jest przecież nader ważnym czynnikiem w sprawie zadowolenia estetycznego. Jest w tem tragizem swego rodzaju.

Wprawdzie krytyka artystyczna nie powinna ograniczać się do czysto subiektywnego odczuwania, ale wejść tu w grę muszą pewne normy ogólne, pewne przyjęte w danej epoce zasady i wskazania naukowe. Niemniej przecież pomimo norm tych, najbardziej obiektywnych, pozostaje jeszcze wiele miejsca na intuicję osobistą, zależną od wrodzonej wrażliwości krytyka, a właśnie w oddaleniu perspektywicznym odnajdujemy sprawdzian różnych na wrażliwość tę oddziaływań. Trwałość w pamięci danego zdarzenia w stosunku do jego dawności jest probierzem siły, z jaką odbiło się ono na naszej wyobraźni. Często narazie wśród jednoczesnego przenikania do świadomości czynników wielorakich nie odróżniamy ich wartości emocjonalnej i z czasem dopiero w szczególnym procesie psychicznym dokonywa się czynność wyborcza, przyczem odpada niby plewa pamięć wzruszeń powierzchownych, a pozostaje, jako plenne ziarno, wspomnienie przeżyć, które najgłębiej, najistotniej przeniknęły do duszy, zamieniając się niejako w treść naszej jaźni. Tą drogą gromadzi się w umyśle zazwyczaj zapas tworzywa, które w odpowiednich warunkach przyjmując formy dzieła sztuki, staje się wyrazem indywidualności danego artysty. Tą drogą również z pamięci przeżytych wzruszeń mógłby powstać całokształt indywidualnego poglądu krytycznego.

Możnaby zatem w pewnej mierze krytykę artystyczną uznać za rodzaj twórczości — twórczości, dla której bodźcem nie jest wprawdzie bezpośrednio natura z nieskończonem bogactwem zjawisk najróżnorodniejszych, ale również nieskończenie różnorodny w swych przejawach duch ludzki, który się manifestuje w dziełach sztuki. Tak tę sprawę niejednokrotnie przedstawiano i niewątpliwie ma to swoje uzasadnienie, zwłaszcza, jeżeli chodzi o krytykę impresjonistyczną. Oczywiście, im krytyk potężniejszych dozna wzruszeń od utworu artystycznego, tem łatwiej zdobędzie się na wyraz mocny i pełen ogólniejszego znaczenia — trudniej mu to przyjdzie stanowczo, jeżeli w otaczających go dziełach sztuki nie znajdzie podnieć dość intensywnych, jeżeli pozostawią go one obojętnym, nie wywołają zachwyty lub niechęci, uwielbienia lub oburzenia, miłości lub nienawiści.

Zagłębiwszy się pamięcią w dzieje przeżyć moich w zakresie odczuwania estetycznego w ciągu tego roku, czuję właśnie w sobie ową obojętność. Zwróciwszy się wzrokiem w tę przeszłość tak niedawną, na drodze, przebieganej myślą przestrzeni,

widzę wprawdzie kilka etapów jaskrawszych, kilka punktów radosnych, kilka drażniących i przykrych, ale dalej ciągną się całe obszary dziwnej szarżyzny i monotonii.

Takie jest moje wrażenie ogólne. Co do szczegółów sąd w przeglądzie retrospektywnym musi być bardziej impresyonistyczny i subiektywny niż przy bezpośredniej ocenie widzianego w danej chwili dzieła. Więcej tam niż gdzieindziej powstaje osobistych uprzedzeń, już choćby z powodu niedokładności władzy tak fantastycznej, jaką jest pamięć ludzka. Ma ona swoje predylekcyje w wyborze materiału do przechowywania, a czyni to bez udziału świadomości, co psychologia stwierdza dość stanowczo. Znane jest naprzykład powszechnie, że z szeregu faktów najróżnorodniejszych pamiętamy nieraz bardzo intensywnie jakieś drobne nic nie znaczące zdarzenia, podczas tego, kiedy rzeczywiście wielkiej wagi wypadki, w miarę oddalania się od nich, mętnieją we wspomnieniu, zacierają się całkowicie i pomimo usiłowań nie jesteśmy w stanie wywołać pełnej ich wizyi; albo zjawia się ona nagle, w chwili najmniej spodziewanej, pozornie bez koniecznych przyczyn i właściwych nastrojów. Każdy człowiek dorosły niewątpliwie potrafiłby przytoczyć liczne przykłady takiej niczem niewytlómaczonej trwałości pewnych wspomnień, zwłaszcza odnoszących się do lat najwcześniejszego dzieciństwa, kiedy następnie całe obszary bardzo bogatych przeżyć pozapadały gdzieś w mroki zapomnienia.

Robię te zastrzeżenia w obawie, że pisząc sprawozdanie niniejsze z pamięci, przez mimowolne opuszczenia mogą wyrządzić komuś niesprawiedliwość. Staram się jednak o obraz możliwie dokładny i obiektywny. Drobna, najogólniejsza notatka, wyciągnięta z ksiąg Towarzystwa Zachęty, dopomoże zawodnej pamięci i ułatwi mi orientowanie się w materiale.

*

*

*

Pierwszem donioślejszem wydarzeniem rozpoczynającego się sezonu, jeszcze w ostatnich miesiącach zeszłego roku, była, urządzona w Salonach Zachęty, tak zwana „wystawa doroczna.“ Był to trzeci z rzędu występ grona artystów warszawskich. I tym razem występ ten, bliźnio podobny do dwóch poprzednich, nie przy-

niósł nadzwyczajnych sensacyj. Nie idzie zatem, ażeby nie było tam rzeczy ciekawych i tegich. Przypominam sobie, że uderzyła mnie w pierwszym rzędzie doskonale namalowana „Hetera“ pana Franciszka Żmurki. Był to ponętny biust niewieści, pełen zmysłowości i jakichś bachicznych nastrojów, narzucony z szalonym rozmachem pędzla, z ogromnem, właściwem temu artyście, poczuciem dekoracyjności i wdzięku, a utrzymany w ciepłych, ogromnie wytwornych, choć nieco konwencyonalnych tonach, niby ze starych obrazów włoskich. Płótno podobało się ogólnie, a komitet Towarzystwa Zachęty wyraził swoje uznanie w sposób nader stanowczy, gdyż nabył dzieło do zbiorów muzealnych.

Niepodobna obecnie zastanawiać się, czy wybór był słuszny. Niewątpliwie śmiałe malowidło dekoracyjne pana Żmurki wyróżniało się wtedy jaskrawo z pośród dość skromnego, zwłaszcza pod względem kompozycyjnym otoczenia, ale nie było ono, bezwzględnie biorąc, najlepszym utworem artysty. Malował on wiele podobnie pięknych biustów i wdzięcznych główek kobiecych, a ten, jakkolwiek odznaczał się pewną tężyzną w traktowaniu karnacyi, ale nieco w ogólnym rysunku zaniedbany, ustąpić musi miejsca innym, bardziej skończonym i wszechstronniej dociągniętym obrazom pana Żmurki.

Rzeczywiście „Hetera“ prócz piersi modelowanych miękko i soczyście, pociągających przedziwnie odczuty czarem zmysłowym ciała — prócz piersi tych, powiadam, namalowanych wprost po mistrzowsku, posiadała strony słabsze. Głowa oraz ręce w kształcie i barwie zaznaczone były zbyt ogólnikowo, przyczem chwilami nie bez pewnych uchybień rysunkowych, co sprawiało, że obraz miał wprawdzie „kawałki“ doskonałe, może nawet niepospolite, ale jako całość, niepospolitym w dorobku pana Żmurki, zdaje się, nie jest bynajmniej.

Tak właśnie rozumiem powszedniość, o której wyżej pisałem. Silniej się to jeszcze wyczuwa u artystów, którzy w ostatnich czasach występowali z dziełami mniej wspaniałemi, niż dawniej, którzy jakoby chwilowo obniżyli swoje loty. Tak przedstawił się na III-ej dorocznej wystawie Jacek Malczowski. Jego „Stara baśń“ z nieodstępą Chimera oczywiście posiada znamienne zalety twórcy o przedziwnej fantazyi, talencie niepospolitym i ogromnem, naprawdę malarskiem wyrobieniu zawodowem, ale zalety te nie sięgały tu tego wielkiego dostojności, jakie artysta pozwalał tylekroć u siebie podziwiać. Oczywiście był to utwór pomimo wszystko bardzo piękny i jedynie przez porówna-

nie z innymi pracami znakomitego malarza-fantasty uwagi powyższe nasunąć się mogły.

To samo dosłownie niemal dałoby się powiedzieć o obrazie Chełmońskiego „Pod Twoją obronę.“ W kilka miesięcy potem mieliśmy sposobność widzieć jednocześnie większą ilość prac znakomitego artysty i stwierdzić z całą pewnością, że właśnie owe „Pod Twoją obronę“ do najszcześniejszych utworów jego nie należy. Urządzono mianowicie w Pałacu sztuki zbiorową wystawę prac Chełmońskiego, poczynając od najpierwszych kroków jego na drodze do kariery artystycznej. Nawiasem mówiąc, wystawa ta była bez zaprzeczenia najważniejszym wypadkiem roku. Pisałem też o niej w swoim czasie w „Bibliotece Warszawskiej“ obszerniej, starając się scharakteryzować Chełmońskiego, jako malarza. Otóż zastanawiając się tam nad ewolucją tej twórczości bezpośrednio pod wrażeniem dzieł widzianych, a reprezentujących bardzo znamienne dorobek całego życia, całej dotychczasowej działalności malarskiej, zauważyłem, że najwyższe napięcie władz twórczych artysty nie przypada bynajmniej na czasy ostatnie, i że raczej w pracach najnowszych odczuwać się daje jakby chwilowe zachwianie się siły twórczej.

W dalszym ciągu, wyliczając owe minusy ostatniej doby, wskazać należy portret p. Lenca. I tu znowu zastrzeżenie. Doskonały ten portrecista tak jest pewny swej sztuki, tak opanował jej środki techniczne i wniknął w jej treść najistotniejszą, że nie może dać rzeczy zupełnie słabych. Portret znajdujący się na tej trzeciej wystawie dorocznej, a przedstawiający p. L. Górskiego, był żywy, plastyczny, bardzo podobny i pełen charakteru, niemniej przecież z pewną tęsknotą wobec niego myślało się o innych, dawniejszych dziełach artysty.

Wszystko to razem wzięte nasuwa nader pesymistyczne wnioski o obecnym stanie sztuki polskiej, a może ściślej biorąc, o stanie sztuki specjalnie warszawskiej, ale niestety, trudno się nie zgodzić, że zaciążyła nad nią chwilowo jakaś przykra atmosfera senności, że stwierdzić trzeba powstrzymanie się ruchu rozwojowego we wszystkich kierunkach, że we wszystkich wogóle dziedzinach twórczości zapanowała niebezpieczna tendencja do obniżania poziomu wymagań artystycznych, że nakoniec w społeczeństwie całym odczuwać się daje nader dotkliwie spaczenie smaku i prerażający zanik bezinteresownych upodobań estetycznych.

Znaczy to się zwłaszcza w teatrze, gdzie najordynarniejsza i najbardziej bezsensowna farsa, lub sensacyjna bomba wyrugowały całkowicie prawdziwą sztukę i właśnie im głupsza farsa,

im bezczelniej sensacyjna bomba, tem lepsze przyjęcie znajduje u publiczności. Znaczy się to tam tem jaskrawiej, że możemy bezpośrednio obserwować widownię i śledzić, jak reaguje na bezeceństwa, dziejące się na scenie, jak cieszy się i oklaskuje płaskie blażeństwa i ordynarne aktualności, podane w formie, która raczej powinna wywołać protest i syki oburzenia. W sztukach plastycznych również niepodobna nie zauważyć pewnych symptomów poważnego niedomagania, jakby padł na nie nagminnie zarazek chorobotwórczy.

Zdaje mi się, że nawet potrafiłbym wskazać źródło infekcyi, a jest niem gorączka sensacyjności, sztucznie podtrzymywana przez spekulantów wszelkiego rodzaju. Umiąłbym z nazwiska i imienia wymienić trucicieli, którzy sięją zarazę, ażeby z okropności rozkładu ciągnąć dla siebie zyski.

Mam mówić o sztukach plastycznych, a w zakres ich wchodzi także niewątpliwie ilustracya. Przyjrzyjmy się więc ilustracyom chwili obecnej. Pominąwszy już, że najpoważniejsze pisma artystyczne, wciągnięte w ten wir niebezpieczny, schlebiając upodobaniom tłumu, składają sute objaty na ołtarzu sensacyj aktualności, chcę zwrócić uwagę na rozplenienie się całej zgrai świstków ulotnych, które, jakby umyślnie, ohydnyimi obrazkami starają się za wszelką cenę rozbudzić uspięone oddawna w człowieku resztki instynktów szakalich. Weźmy do ręki kilka numerów takiego np. „Wiarusa“, „Kofa“, „Oka“, czy jak tam się jeszcze podobne bezeceństwa nazywają. Cóż przedstawiają te piękne rysunki? Mordy, zgwałcenia, tortury. Na wielkich arkuszach, możliwie najbrutalniej, możliwie najbezczelniej, bez cienia jakiegokolwiek usiłowań artystycznych, bez pretensyi do znajomości najelementarniejszych zasad rysunku wyobrażone są sceny ucinania głów, miażdżenia członków, wypruwania wnętrzości, obdzierania ze skóry, ohydne widowiska pijackich delirjów, rozpasania się najdzikszych namiętności, najwstrętniejszych zwyrodnień i wyuzdania. Jeżeli niedołężne środki pana artysty nie wystarczają na dość wrzaskliwe uzmysłowienie krwawej sceny w rycinie jednobarwnej, pan wydawca nie cofa się przed ofiarą schlapania papieru czerwoną farbą, a wielki efekt, jaki podobny zabieg sprawi, hojnie nagradza poniesione na drugą kliszę koszta. Zresztą wydawcy tego kalibru z godną oprawców ambicyą prześcigają się w wynajdywaniu środków, drapiących wyobraźnię publiczności, w sposób najbardziej bezpośredni i niezawodny. I udaje się im to doskonale. Dziesiątki tysięcy egzemplarzy takich wydawnictw rozechodzi się z nadzwyczajną łatwością. Gdzie nie dotrze poży-

teczna książka, dobra gazeta informacyjna, dociera świstek schlapany czerwoną farbą skandalicznej sensacyi—dociera jeden z kolporterów tej zarazy, kolporterów, którzy setkami przebiegają kraj w różnych kierunkach i, niby roje komarów, wysysając z ludu grosz ciężko zapracowany, w krew jego sączą jad zabójczej malaryi.

Nie będę się zastanawiał nad znaczeniem tego rodzaju publikacyi ze stanowiska moralisty, to jednak napewno twierdzić można, że z punktu widzenia estetycznego wpływ ich jest opłakany.

Smak, podniecany asafetidą, tępieje na podniety zwyczajnej kuchni — smak ludzi prostych, niewyrobionych estetycznie, karmionych asafetidą krwawych okropności, dziczej i wynaturza się. Człowiek prosty, który się przyzwyczaił widzieć w obrazku zbiorowe gwałcenie nieletnich dziewczynek, ćwierutowanie żywcem niemowląt, tortury, ból, śmierć, nie zainteresuje się już wcale dziełem sztuki, jeżeli tego wszystkiego w nim nie znajdzie, choćby to dzieło było utworem największego artysty świata.

Mówiąc „człowiek prosty,“ nie mam bynajmniej na myśli jedynie formali dworskich i najciemniejszych robotników fabrycznych, ale i tych panów w cylindrach czy panamach, we frakach i smokingach, w najmodniejszych krawatach i w butach z szerokimi nosami, którzy w teatryku ogródkowym najzawzięciej oklaskują właśnie najburdziej bezecne i wprost oburzające brakiem wszelkiego arcyzmu, kuplety, którzy na wystawach sztuki nie dostrzegą prawdziwego arcydzieła, a rozkupują sensacyjne bohomyzy, którzy jednym słowem, pomimo pozorów oglądy towarzyskiej i pretensyi do inteligencyi, na każdym kroku wystawiają sobie świadectwo ubóstwa kulturalnego.

A zastępy ich są liczne i wzrastają jeszcze pod wpływem propagandy, o której mówiłem.

Zapewne, wszędzie znajdują się hyeny, żerujące na cmentarzyskach, rozkopujące świeże groby głośnego skandalu; wszędzie spekulacya czyha na najniższe skłonności ludzkie, ale w krajach o wysokiej kulturze estetycznej, pleśń fermentu trafia na odpór w zdrowej krwi organizmu społecznego. Znajduje on w swych sokach żywotnych dość sił naturalnych, ażeby nadmiar szkodliwych zarazków zabić lub wyobcować. U nas, niestety, wzięły one górę i duszę zbiorową w ogólnym nastroju przechylają ku objawom niepożądanym. Drobną garść ludzi ze smakiem nie jest w stanie zareagować dość energicznie przeciw czynnikom zatrważającym atmosferę. Nie wiem, jak przyszłość oświecili obecną epokę z pewnego oddalenia historycznego, dziś mam wrażenie, że

jest ona wyjątkowo nieprzychylna dla sztuki. Niewątpliwie nastąpi jakieś silne wstrząśnienie psychiczne, jakiś mocny odruch społeczny, który oczyści atmosferę, na razie przecież, o ile mi się zdaje, panuje tu zaduch, w którym sztuka wprawdzie nie zamiera, ale utraciła chwilowo swoją bujność

Artyści w mieście naszym nie znajdują obecnie warunków, sprzyjających wysokiej twórczości, tych podmiotów szczególniejszych, które wywołują wizje natematyczne. Pozostaje wszakże jeszcze rutyna-rzemiosło sztuki, a to w rękach wielu słynniejszych malarzy i rzeźbiarzy stanowi wartość trwałą, niezmienną, niezależną od nastrojów chwili.

Tem tłumaczyć sobie można, że, mimo wszystko, wystawy nasze nie świecą jeszcze ostatecznymi pustkami. Zasilają je też czasem artyści polscy, pracujący za granicami kraju.

*

*

*

Jednocześnie z trzecią wystawą doroczną, a właściwie jako część jej integralną, widzieliśmy bardzo bogaty zbiór prac pana Edwarda Okunia, malarza utalentowanego i posiadającego wysokie wyrobienie artystyczne. Wystawiono je razem w mniejszej sali Pałacu Sztuki, tak, że stanowiło to całość dość zaokrągloną, mogącą wyraźnie scharakteryzować działalność artysty.

Pan Okuń mieszka stale we Włoszech, stąd w obrazach jego uderzała pewna egzotyczność motywów, ale też zarazem wielka ich różnorodność.

Rzeczywiście całokształt twórczości tego malarza przedstawiał się nader dodatnio z powodu wszechstronności tematów malarzkich, zarówno pod względem kompozycji, jako też środków plastycznego wypowiedzenia się. Nie zasklepia się on w jednym rodzaju i jednakowej technice, ale szuka ciągle nowych wrażeń i nowego wyrazu. Od większych obrazów olejnych, skomponowanych nie bez siły dramatycznej i fantastyczności pomysłu, a pełnych pogłębienia uczuciowego do zwykłych studyów pejzażowych, gdzie chodziło o zaznaczenie jakiegoś subtelnego tonu szarej powietrzności; od stylizowanych kompozycji nastrojowych do figlarnych akwareli dla niemieckiego miesięcznika artystycznego „Jugend,” do prawdziwie oryginalnych rysunków piórkowych dla

„Chimery,“ dekoracyjnych kwiatów i realistycznych, spokojnych portretów, poznaliśmy obszerną skalę zasobów artystycznych, jakimi malarz rozporządza ze swobodą i pewnością siebie.

Okuń, jako malarz, odznacza się przedewszystkiem zgoła niepowszednią w naszych czasach poprawnością rysunku, tudzież zupełnie nie dyletanckiem opanowaniem rzemiosła swej sztuki.

W nastrojach swoich kompozycyjnych jest raczej ironiczny, niż sentymentalny. Łatwiej tu spotkać ostry zgrzyt sarkazmu, niż miękką tkliwość rozrzewnienia.

Najcharakterystyczniejszym, a zarazem najznamienitszym utworem w tym zakresie był tryptyk zatytułowany „Grajek,“ obecnie własność muzeum we Lwowie.

*

*

*

Uważam za stosowne poprostu wynotować tu w porządku chronologicznym wystawy, jakie w ciągu roku bieżącego urządzało Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych. Będzie to może sprawozdanie nieco suche, ale bądź co bądź dokładne. W instytucyi tej koncentruje się obecnie wszystko, co artyści polscy mają do pokazania najlepszego i istotnie prócz kilku występów mniej wybitnych w prywatnych salonach panów Kulikowskiego i Wołowskiego, tam spotykamy zazwyczaj najbardziej charakterystyczne utwory. Minęły czasy, kiedy „Zachęta“ była wyłącznie przybytkiem jakichś kierunków prawowiernych, a wszelka śmielsza myśl musiała szukać przytułku gdzieindziej. Obecnie jest ona naprawdę odbiciem całej naszej twórczości w zakresie sztuk plastycznych.

Przedewszystkiem już w pierwszych dniach stycznia oglądaliśmy w Pałacu Sztuki obrazy pana Maryana Trzebińskiego. Zebrano prawdopodobnie prace artysty z lat kilku, gdyż liczba ich była dosyć spora. Całość wystawy bardzo urozmaicona, przedstawiała się ciekawie i charakterystycznie.

Dotąd wśród utworów malarza tego spotykaliśmy najczęściej motywy egzotyczne, przeważnie widoki włoskie, perspektywy wąskich uliczek i fantastycznych zaułków, gdyż ze szczególniejszem zamiłowaniem studjuje on stare, omszałe mury i wogóle malowniczość architektury. Tym razem zamiłowanie to wyraziło się przez poszukiwanie odpowiednich tematów w kraju. Ujrzelśmy też na

wystawie odtworzone bardzo artystycznie rzadkie skarby naszych zabytków historycznych — wnętrza kościołów, bóżnic, fragmenty architektury stylowej, odnalezione w odległych zakątkach wśród podróży, które ruchliwy artysta stale odbywa.

Nie ogranicza się on jednak w działalności swojej artystycznej do tego wyłącznie rodzaju, ale z równą swobodą maluje pejzaże o szerokich horyzontach, sceny charakterystyczne z licznymi figurami, tudzież portrety, a z tych ostatnio wystawiona podobizna pani D. świadczyła, że p. Trzebiński mógłby ten dział malarstwa szerzej i z powodzeniem uprawiać.

Wogóle jest to malarz, który w zawodzie swoim stanął na wysokim stosunkowo stopniu wyrobienia, odznacza się pracowitością i, powiedziałbym nawet, uporem w rozwiązywaniu swoich zadań artystycznych, posiada smak wrodzony, podniesiony jeszcze przez istotną kulturę estetyczną — przez dłuższy pobyt we Włoszech i głębsze przygotowanie teoretyczne, a jednak jakaś fatalność nie pozwala mu się wydzwignąć po nad pewien poziom — zadziwić niepospolitością. Obrazy jego są poprawne, posiadają mniej lub więcej zalet niezaprzeczonych, są zawsze po malarsku ogromnie interesujące, choć może trochę jednostajne przez nadużycie pewnych tonów, ale nie stworzył on jeszcze dzieła, któreby miało siłę bezpośredniego wzruszania, nie zdobył się jeszcze na tak potężny wyraz swej indywidualności, ażeby się mógł nią tłumom narzucić i podbić je dla siebie dość stanowczo.

*

*

*

Dobrze nawet dociągnięte pod każdym względem malowidła p. Trzebińskiego nie są w stanie podzielać na wyobraźnię ogółu tak intensywnie, jak na przykład wprost kapryśne utwory takiego Wyspiańskiego.

Jednocześnie prawie, bo w połowie stycznia, w malej salce na dole rozwieszono kilkanaście pastelii tego ostatniego. Były to przeważnie szkice, czy lepiej może notatki pewnych wrażeń ogromnie intymnych. Rysunki przedstawiały żonę i dzieci malarza, tudzież kilka osób z jego najbliższego otoczenia, ujętych w jednej chwili jakiegoś nastroju. Domowe te impresye przeniesione na papier na gorąco, narzucone nerwowo, jak powiedziałem wyżej,

kapryśnie, niby w szczególniejszem podnieceniu, miały w sobie coś chorobliwego, niepokojącego, denerwującego.

Niezmierznie trudna jest analiza wrażeń, jakie się otrzymuje od utworów tego fantasty. Niewątpliwie jest tam nader intensywne zadowolenie estetyczne, nie mniej przecież jednocześnie wyczuwa się coś, co w braku dokładniejszego określenia, istotnie najwłaściwiej nazwać jeszcze będzie zdenerwowaniem.

Możnaby na ten temat pisać całe tomy. Oczywiście przede wszystkim, jako najważniejszy czynnik występuje tu wewnętrzny stan duchowy twórcy, który pewnemi drogami przedostaje się do wrażliwości osób innych, wywołując stany mniej więcej analogiczne. Zdefiniowanie dróg tych jest właśnie ową trudnością, o której mówiłem. Czy będzie to w sposobie wyładowywania się energii twórczej jakiś rytm szczególniejszy, bardzo charakterystyczny, którego znamiona zaznaczają się w dziele, w robocie, w każdym pociągnięciu kreski, czy inne cechy konkretne, dostępne dla zmysłowego poznania—nie będę się narazie zastanawiał zbyt głęboko. Najpowierzchniej biorąc, rzecz mi się przedstawia w ten sposób.

Jeżeli się przegląda prace malarskie Wyspiańskiego, uderza przede wszystkim dziwna czasem, wprost rażąca, niepoprawność w ujęciu wielu form. Twarz naprzykład cała jest wykrzywiona, źle perspektywicznie skrócona, wypełniona z osi, zgnieciona, płaska, a jednocześnie pewne szczegóły zaznaczone z tak nadzwyczajnem zrozumieniem istoty kształtu, że wywołują podziw niesłychany. Zdawałoby się, że na podobny zarys ogólny zdobędzie się dziecko zaczynające rysować, dziecko, którego ręka niewprawną nie umie zatoczyć, dajmy na to, prawidłowego owalu i pozostawia wszędzie, w widocznej dysproporeyi i asymetrii pojedynczych części, ślady swego niedoświadczenia, a tymczasem w kilku liniach syntetycznych wyrażony kształt nosa, oka, stawu, kostki jakiejś, jakiegoś wiązadła anatomicznego, przedziwnie umiejętnie podkreślona ich trójwymiarowość, grubość, głębokość świadczy o niesłychanem mistrzostwie i pełnej świadomości środków plastyki malarskiej. Środkami tymi artysta wyraża swoje uczucia pełne melancholijnej zadumy i smutku, to też smutkiem tym przejmują widza, a sposobem swej ekspresyi denerwuje go i niepokoi.

Jeżeli zgodzimy się, że zadaniem sztuki jest wzruszenie, to Wyspiański święci jej tryumf w najdrobniejszej z prac swoich, gdyż niepodobna pozostać obojętnym nawet wobec najpobieżniejszego szkicu, narzuconego tą ręką, jakby ustawicznie rozgorączkowaną.

Wystawa jednak nie zawierała wybitniejszych dzieł artysty, prócz większego kartonu, przedstawiającego św. Franciszka, ujętego z tym dziwnym, niesłychanie głęboko odczutyim nastrojem średniowiecznego mistycyzmu.

*

*

*

Nie będę tu mówił o wystawie artystów badeńskich, na którą złożyły się obrazy sztuki graficznej, przeważnie z zakresu autolitografii kolorowej. Pokazy takie posiadają doniosłe znaczenie dydaktyczne, zwłaszcza w Warszawie, pozbawionej zupełnie stałego muzeum sztuki. Dla tego też należy się Towarzystwu Zachęty uznanie za podobnego rodzaju przedsięwzięcia, co zaznaczywszy wracam w dalszym ciągu do uwag o sztuce rodzimej.

Przez miesiąc luty gościł w Zachęcie liczny zbiór prac malarzkich pana Władysława Ostrowskiego. Młody artysta kształcił się ostatnio w Paryżu, a kształcąc się nie ujawnił niecierpliwości występu publicznego, nie nadsyłał dotąd prac swoich niedociągniętych i niedojrzałych, zaprezentował się więc odrazu bardzo dodatnio.

Rzeczywiście obrazy pana Ostrowskiego były poniekąd niespodzianką w naszym życiu artystycznym. Pozналиśmy w nich talent nowy, pracownika poważnego, malarza, który wprawdzie nie wypowiedział jeszcze ostatniego słowa w swej sztuce, ale który już stanął na własnej drodze i pójść po niej może bardzo daleko.

Pamiętam, że pisząc w swoim czasie o tej wystawie zwróciłem uwagę, że prace p. Ostrowskiego cechuje przede wszystkim, rzadka w ostatnich zwłaszcza czasach, lojalność w twórczości. I dziś przypominając sobie te pejzaże odczute szczerze i szczerze namalowane, te akty sumiennie wystudyowane, te portrety zrobione śmiało a bez efekciarstwa i blagi, chcę powtórzyć tę uwagę. Tworzy pana Ostrowskiego odznaczały się istotnie uczciwością artystyczną, zarówno pod względem jego stosunku do samego siebie, jako też pod względem stosunku malarza do publiczności.

Współcześnie w tych samych salonach między płótnami p. Ostrowskiego rozrzucono terakoty młodego rzeźbiarza, pana Stefana Pillatego. Były to przeważnie szkice kompozycyjne —

drobne figurynki traktowane szeroko, pobieżnie, niewykończone w kształtach, ale posiadające wiele wyrazu, ruchu i charakteru. W panu Pillatym zapowiada się niewątpliwie rzeźbiarz pierwszorzędnny, ma jednak jeszcze przed sobą ciężką i długą pracę, konieczność studyów poważniejszych. Rzeczy wystawione wykazywały wprawdzie niezaprzeczony talent, ale jeszcze trochę surowy i nie postawiony odpowiednio do zamierzeń.

*

*

*

O wspaniałej wystawie Chełmońskiego, która trwała przez marzec i kwiecień, pisałem obszerniej na tem miejscu. O Janie Stanisławskim miałbym więcej uwag ogólniejszych: pragnąłbym mianowicie o zmarłym artyście i długoletnim profesorze krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych pomówić bardziej wyczerpująco, scharakteryzować jako malarza i pedagoga, dla tego też i wrażenia z jego wystawy pośmiertnej zachowam do tego użytku. Wystawa ta w czasie miesięcy wiosennych cieszyła się wielkiem powodzeniem, ściągała liczną publiczność, ale też wywoływała najbardziej sprzeczne sądy.

Rzeczywiście twórczość Stanisławskiego przedstawia się dość szczególnie, jeżeli ją weźmiemy jako całość, jako dorobek życia artysty.

T. JAROSZYŃSKI.

Ruch literacko-umysłowy w Niemczech.

W jednej z owych cichych, niedostępnych światu pracowni, które są krzewicielkami prawdziwej wiedzy i prawdziwego piękna, rosło, dojrzewało i nareszcie, po 10-cio letniej przeszło pracy przygotowawczej autora, ujrzało światło dzienne obszerne, zasadnicze dzieło z dziedziny biologii „Der Ablauf des Lebens“ (Obieg życia) Wilhelma Fliessa. Opublikowanie jego odkrycia poprzedzone zostało przez introdukcję zbyt doniosłą, aby ją można było pominąć milczeniem. Chodzi bowiem o wyświeślenie polemiki, powstałej z powodu dzieła Fliessa. Polemika ta obejmuje nazwiska Fliessa, jako autora „Obiegu życia“, d-ra Ottona Weiningera, młodocianego filozofa, zmarłego przed kilkoma laty i psychologa, d-ra Hermana Swobody, którego nazwisko nie jest znane szerszej publiczności. Weininger i Swoboda obwinieni zostali o popełnienie plagiatu. Kwestya ta, czy Weininger i Swoboda skradli odkrycia naukowe Fliessa przed ich opublikowaniem, czy też samodzielnie doszli do rezultatów mniej więcej podobnych, byłaby ostatecznie sprawą, którą należałoby może wytoczyć przed forum ściślejsze, naukowo-krytyczne, gdyby nie znamienne oświeślenie, w którym pod wpływem tych dociekań ukazuje się postać Weiningera, którego dzieła wywarły i wywierają wpływ niemały na współczesną umysłowość.

Opublikowane w r. 1903 sławne i osławione dzieło filozoficzne Ottona Weininger „Płeć i Charakter“, zostało powitane z takim zapadem i zainteresowaniem, że można było spodziewać się po młodocianym autorze rzeczy niezwykłych. Oczekiwania te, niestety, w smutny sposób zostały zawiedzione. Zaledwie 24-ro letni, obiecujący autor odebrał sobie bowiem życie wystrzałem z rewolweru w Wiedniu, w noc październikową, w ponurym domu, gdzie konał Beethoven.

Badając bardziej krytycznie i trzeźwo przyczyny tak niezwykłej i szybkiej popularności młodego filozofa, przypisać ją dziś musimy dwóm przyczynom. Jedną i to może najbardziej miarodajną, była sensacyjna śmierć autora, mająca, jak przypuszczano, związek z jego światopoglądem (świat bowiem lubi sensacje),—drugą—zasadniczą, nowa myśl głównego dzieła Weiningera „Płeć i Charakter,” niezmiernie ciekawych i ważnych poglądów na życie płciowe człowieka dotycząca. Któż nie zna charakterologii Weiningera, opisującej cechy typowe pierwiastku męskiego i żeńskiego, które autor dla pozoru wielkiej ścisłości naukowej (tej właśnie brak jego dziełu), oznacza algebraicznie przez *M* i *W*. Główna siła dzieła Weiningera polega na odkryciu, które zjednało mu swego czasu w kołach fachowo-naukowych nawet spory zastęp zwolenników. Przypomnijmy sobie słowa Augusta Strindberga: „Dr. Otto Weininger, pisze Strindberg, przesłał mi dzieło swoje „Płeć i Charakter;” straszna to książka, która jednakże rozwiązała prawdopodobnie jedno z najtrudniejszych zagadnień... Ja sylabizowałem—on składa. Voilà un homme!”—Owem odkryciem, na którem, jak na fundamencie, wspiera się gmach spekulacji Weiningera, jest dwoistość płciowa (Bisexualität), jako cecha życia. W dziele swoim „Płeć i Charakter” stara się Weininger dowieść, że cechy płci męskiej i żeńskiej nie są własnością wyłączną rodzaju, gdyż każda istota ludzka musi je równocześnie, chociaż w różnym stopniu i w różnej proporcji posiadać—słowem, że żaden mężczyzna nie jest „absolutnym” mężczyzną, ale posiada jednocześnie pewien zasób kobiecości i że podobnież żadna kobieta nie jest „absolutną” kobietą, ale posiada też pewną domieszkę męskości. Zamiast więc ustalonych dwóch typów „mężczyzny i kobiety,” otrzymujemy niezliczoną ilość stopniowań, oscylujących pomiędzy temi dwoma pierwiastkami. Są to t. zw. „pośrednie stadya płciowe.” Niema człowieka, któryby nie posiadał jednocześnie pewnej dozy miękkości i kobiecości. Wszystko zależy jedynie od procentu tej męskości i kobiecości, od procentu *M* i *W*. (*M* i *W* są skrócenia, zawierające pierwsze litery od Mann, Weib, t. j. mężczyzna, kobieta.) „W związku z teoryami Naegeli’ego o „Idioplasmie” skonstruował Weininger teorię swoją o męskich i żeńskich komórkach: Arrhenoplasma (komórka męska) i Telyplasma (komórka żeńska). Najbardziej interesujący jest opis Weiningera, zawierający charakterologię (t. j. psychologiczną charakterystykę) dwóch tych „idealnych” typów płciowych: „absolutnego” mężczyzny i „absolutnej” kobiety.

Dość tu będzie zwrócić uwagę na owe typy mężczyzn, które w mowie potocznej zwykło się nazywać „babami,” na owe t. zw.

objawy „zniewieściałości“ mężczyzn, albo na owe kobiety, posiadające wymowne cechy męskie, począwszy od energii, a skończywszy na grubym głosie i delikatnym meszku na górnej wardze. Od chwiejnego „męża pod pantoflem“ do artysty o cechach kobieco-męskich (naturalnie, że nie każdy artysta musi się koniecznie odznaczać wybitnymi cechami kobiecymi), od energicznej „herod-baby“ do prawie że nic kobiecego nie posiadającej „emancypantki“, możnaby łatwo utworzyć bardzo pokaźną listę typów, odznaczających się cechami, nie odpowiadającymi zgoła płci, do której się je zaliczać zwykło. Mowa, wyprzedzająca częstokroć badania naukowe, posiada mnóstwo wyrażen, określających bardzo trafnie tę dwoistość płciową.

Idea dwoistości płciowej, będąca fundamentalnem założeniem dzieła Weiningera: „Płeć i Charakter“ i podawana przez autora, jako jego własność, jest w istocie, jak o tem będzie się można w dalszym ciągu przekonać, skarbem skradzionym i to skradzionym w sposób niezwykle kompromitujący. W historii tej kradzieży odgrywa Weininger mało pochlebną rolę „złodzieja posługującego się znalezionym kluczem“ (słowa d-ra Freuda z listu do Wilhelma Fliessa). Już sama okoliczność ta, że Weininger z taką starannością ukrywał źródło, z którego czerpał, wzbudzić musi silne podejrzenia. Fakt, że Weininger został przez d-ra Swobodę zaznajomiony z nieopublikowanym jeszcze wówczas materiałem, będącym rezultatem długoletnich badań Wilhelma Fliessa, jest dziś rzeczą, nie dającą się zaprzeczyć. Swoboda, będąc przez dłuższy czas pacjentem i uczniem d-ra Freuda, przyjaciela Fliessa, miał sposobność zaznajomić się z ważnymi odkryciami Fliessa, który był wówczas właśnie w trakcie uzupełniania i zaokrąglania, oraz sprawdzania swych doniosłych badań. Istniało wówczas coprawda dopiero tylko dzieło Fliessa „Die Beziehung zwischen Nase und Weiblichen Geschlechtsorganen“ (opublikowane w r. 1897), mające jednakże znaczenie bardziej specjalno-lekarskie, ale i w tem już dziele znajdujemy ku końcowi rezultaty faktyczne, mające doniosłość ogólniejszą i podstawową. Dr. Freud, jako przyjaciel Fliessa, niejednokrotnie się z odkrywcą w kwestyach badań tych komunikował, i dość dobrze był o wszystkim poinformowany.

Z korespondencji pomiędzy Fliessem a Freudem, wywołanej dziełem Weiningera „Płeć i Charakter“ (korespondencya ta zawurta jest w broszurze Ryszarda Pfenniga „Wilhelm Fliess und seine Nachentdecker: O. Weininger und H. Swoboda“), pragnący bliższych informacji będzie miał sposobność przekonać się o istotnym przebiegu tej defraudacyi. Zwolennicy Weiningera starali się o ile

możności nadać jej mniej kompromitujące znaczenie, ale wyznanie piśmienne d-ra Freuda, że nieopublikowane, jemu jedynie wiadome odkrycia Fliessa dostały się za pośrednictwem jego do rąk Swobody, jest świadectwem, nie dającym się obalić. Odkrycia te Swoboda i przyjaciel jego, Weininger, postarali się dla siebie wyzyskać, przywłaszczając sobie pozory autorstwa. Materiał atoli, który w ten sposób dostał się do rąk rabusiów, był tylko częścią właściwych odkryć Fliessa, t. j. brak mu było dokładnego faktycznego i objaśniającego uzupełnienia. Tem to da się wyjaśnić ów wprost nerwowy niepokój Swobody przed pojawieniem się dzieła Fliessa i niejedna zagadkowość dzieła Weiningerera. Częstki odkrycia nie dały się jednakże tak łatwo weilić w dość powierzchowne dzieła pseudo-odkrywców. One to dziś najwymowniej świadczą przeciw autorom.

Pomijając na razie stronę faktyczną kradzieży, wartoby przede wszystkim odpowiedzieć na pytanie, jaką wartość posiada praca Weiningerera poza odkryciem dwoistości płciowej, które jest zasługą Wilhelma Fliessa. Po entuzjastycznych pochwałach dla młodego filozofa, którego witano, jako gwiazdę pierwszej wielkości na firmamencie wiedzy, nastął czas bezwzględnych, niweczających krytyk. Dziś odmawiają Weiningerowi zazwyczaj wszelkiego uzdolnienia, przyznając mu najwyżej wątpliwą sławę zwyrodniałej genialności. Jest to druga ostateczność niestałej famy. Boć nie da się zaprzeczyć, że młody Weininger już w swoim pierwszym dziele złożył niezaprzeczone dowody niezwykłego uzdolnienia filozoficznego. Zadziwiająca jest jego konsekwencya w dążeniu do systemu, jego zdolność odnajdywania łączników, jego bystrość wzroku w sprawach natury psychologicznej. Jego wiedza i odczytanie są wobec takiej młodości czemś wprost niepojętem. Dzieła Weiningerera pełne są znakomicie ugrupowanych szczegółów z dziedziny wiedzy i sztuki i już przez to samo stanowią dla każdego myślącego czytelnika niezwykle pobudzającą lekturę. Prawdopodobnie byłby Weininger z czasem znalazł właściwą drogę, wiodącą do prawdziwych szczytów, prawdopodobnie byłby fantazyi swej młodzieńczej nałożył wędzidła i oddał cześć należną prawdzie. Bogata jego natura była w stanie wszystko to przewyciężyć. Dość będzie przeczytać na dowód w jego naczelnem dziele „Płeć i Charakter“ rozdziały, dotyczące psychologii kobiecej, żydostwa, genialności a przede wszystkim rozdziały, poświęcone ogólnofilozoficznemu zagadnieniom. Tutaj to pokazuje się młody, opierający się na idealizmie Kanta, myśliciel w świetle bardzo korzystnem. Najmniej wartościowa jest może metafizyka Weiningerera, zawierająca kapi-

talny błąd niedostatecznie uzasadnionego, absolutnego dualizmu. Ale nawet i ta część dzieła świadczy wymownie o niezwykłym uzdolnieniu Weiningera. Świat *był* dlań wielką tajemniczą księgą, w której czytał rzeczy niesłychane, ucho jego chwyciło muzykę bytu, a umysł starał się ją uświadomić nie zawsze może z równym powodzeniem, ale zawsze z równą gorliwością. Kto pragnąłby zagłębić się w świat myśli Weiningera, znajdzie w udanej pracy Emila Lucka „Otto Weininger, sein Werk und seine Persönlichkeit“ (1905 r.) trochę może stronny, ale użyteczny komentarz. Poza tem składają pisma pośmiertne młodego myśliciela, wydane pod tytułem „Ueber die letzten Dinge“ (1906 r.) przez przyjaciela jego, Maurycyego Rappaporta, z przedmową treści biograficznej, wystarczającą dowód, że Weininger i bez owego fatalnego plagiatu mógł stworzyć rzeczy wartościowe.

Mimo to, „Płeć i Charakter,” jako dzieło filozoficzne, nie wytrzymuje krytyki. Już sama budowa dzieła, w wysokim stopniu nieproporcjonalna, utwierdza w mniemaniu, że to raczej bardzo bogate wariacje na temat dwoistości płciowej, nie zaś ujęcie, zgłębienie i wyczerpanie tematu samego. Po frapującej, ale względnie bardzo szczupłej pierwszej części, zawierającej materiał faktyczny (będący, jakto widzieliśmy, własnością Fliessa), przeskakuje autor nagle i dość niezgrabnie do swoich charakterologicznych wywodów, które kończy swą częstokroć paradoksalną metafizyką. Rzecz dziwna, że drugie odkrycie Fliessa, dotyczące rytmu wszechżycia, a stanowiące konieczne uzupełnienie i zaokrąglenie idei o dwoistości płciowej, nie zostało uwzględnione przez Weiningera (jedynie w rozdziale 5-ym „Płci i Charakteru“ znajdujemy pobieżną wzmiankę o rytmie wszechżycia). Już sam fakt ten jest wystarczającym dowodem na to, jak niezupełnie ovladnął Weininger materiałem cudzym i jak źle zrozumiał właściwe znaczenie i stosunek obu odkryć Fliessa. W tenże sam sposób traktuje Swoboda wyłącznie o rytmie wszechżycia, pomijając dwoistość płciową milczeniem. Widocznie obaj przyjaciele podzielili się zdobyczą swoją, aby na każdego przypadła zasługa jednego ważnego odkrycia. Ze uważać mogli podział podobny za rzecz możliwą, jest może najbardziej kompromitującym dla obydwu.

Ostatecznie można jeszcze napisać szereg wariacyj ciekawych i wartościowych nawet na temat skrudziony, można myślı cudzą, jasno wypowiedzianą, opleść arabeskami osobistej inwencji, ale nie podobna, nie posiadając metody właściwej, odkryć pozornie czegoś, co ściśle naukowo i z matematyczną dokładnością jedynie mogło być odkryte. Tego rodzaju trudności stanęły na dro-

dze d-rowsi Swobodzie. Stąd też dzieło jego, raczej broszura (bo książka jego zawiera 135 stronnic zaledwie) „Die Perioden des Menschlichen Organismus in ihrer psychologischen und biologischer Bedeutung“ (1904 r.) przedstawia się pod względem faktycznym bardzo niefortunnie. Spostrzeżenia jego są zagmatwane i mało ścisłe, dowodzenia naciągane i nie przekonywujące a materiał badań niezmiernie szczupły. Pozatem wkradła się w obliczenia jego omyłka zdradliwa, świadcząca wymownie o dokonanym plagiacie. Przy obliczaniu peryodów obiegu życia, o których a priori wiedział, że dwa takie obiegi istnieją (patrz wyż. cytowane dzieło Fliessa „Die Beziehung zwischen Nase und den Weiblichen Geschlechts organen str. 229), a mianowicie: obieg (peryod) tak zwany kobiecy, trwający 28 dni i obieg (peryod) męski, trwający 23 dni, posługuje się Swoboda, jako miernikiem, godziną zegarową, która jest konwencyonalną jednością, zamiast jedynie naturalnym czasem słonecznym. Przy tej zupełnie fałszywej metodzie znalazł jakoby mniejsze obiegi trwające 28, 23 i 18 godzin, co jest naturalnie wierutnem głupstwem, ponieważ godziny nie mogą być identyczne z trwaniem doby słonecznej, będącej wynikiem obrotu ziemi na około swej osi i naokoło słońca. Ta „drobna“ omyłka do reszty skompromitowała Swobodę, jako pseudo-badacza.

Oprócz tego cały ton pracy Swobody bardzo wyraźnie wydatnia niepewność, kryjącą się pod maską nadrabianej zuchwałości. Dyletantyzm naukowy autora godnie uzupełniają wycieczki jego w zupełnie mu obcy świat spekulacji filozoficznej. Przytaczam dla przykładu kilka „ziarenek złotych“ z tego „skarbcza myśli:“

Planeta Venus (wobec przypuszczalnego obiegu trwającego około 23 godzin), wywierający wpływ na wybuchy seksualnej nevrozy. Co za perspektywa!...

.....

Gdyby mężczyzna pochodził z innego planety jak kobieta, ileż dałoby się przez to wytłómaczyć!...

.....

Materya znajduje się w stanie najwyższej nędzy; dopiero życie ją wyzwala...

.....

Tylko uświadomione życie nasze odgrywa się w ramach czasu, rozwój dokonywa się poza obrotem czasu.

.....

Czyż sentencje te, o ile nie są karykaturą Weiningera, nie przypominają mądrości z kalendarza lub sennika? Zobaczmy teraz, jakie znaczenie biologiczne ma właściwie teoria Fliessa. Mniema on, że każdy objaw życia zależny jest od dwóch substancyj: męskiej, której życie trwa równo 23 dni i żeńskiej, żyjącej 28 dni. Ponieważ powstanie życia zależne jest od tych dwóch substancyj, więc—wnioskuje Fliess—wszystko, co żyje, musiałoby posiadać ową dwoistość płciową i to nie tylko w swym zaczątku, ale stale w całym ustroju i we wszystkich objawach. Ostatniem źródłem tej dwoistości płciowej jest—słońce, a mianowicie ta okoliczność, że się ono nie w centrum, ale w jednym ze śródpółów (ognisk) eliptycznej drogi ziemskiego obiegu znajduje. Owe dwudziestoosmio i dwudziestotrzydniowe obiegi tworzą jako jedność dzień słoneczny, t. j. naturalny wymiar dwoistej szybkości obrotu ziemi naokoło własnej osi i naokoło słońca. Rytm naszego życia jednoczy się więc ściśle z naszą ziemią i jej obiegiem. Rozpoczynając swe poszukiwania w wąskiej krynicy badań specjalnych, dociera Fliess w końcu do oceanów, obejmujących zagadnienie życia. Pokazuje on nam związek istniejący pomiędzy matką, dzieckiem oraz całą generacją krwi matczynej. Cała historia fizycznego rozwoju człowieka widziana z tego stanowiska—czas ząbkowania, pierwsze próby chodzenia, choroby dziecięce, dojrzałość i stopniowy zanik sił, aż do zupełnej zgrzybiałości i śmierci stanowią jednolitą całość rytmiczną. Ow dwoisty rytm przenika całe życie. Krzak dereniowy, Clivia, żrebaki stadniny cesarskiej, owady, węże, robaki *Pulolo* wśród ryfów koralowych oceanu Indyjskiego, jaskółki, tablice chronologiczne rodziny Wilhelma Humboldta, króla pruskiego Fryderyka Wilhelma III lub notatki dotyczące dat narodzin dzieci Fliessa, jego przyjaciół i pacjentów, tworzą jeden harmonijny akord życia. Nawet dane statystyczne, dotyczące proporcji narodzin dzieci płci męskiej i żeńskiej nie są niczem innym, jak stosunkiem 28 do 23, dwóch cyfr, odgrywających w teorii „Obiegu życia“ tak znamienne rolę. Długość normalnego życia przeciętnego mężczyzny i przeciętnej kobiety, proporcya różnic płciowych i śmiertelności daje się również do tych cyfr zasadniczych sprowadzić. Podobnie w świecie zwierzęcym i roślinnym. Takim to sposobem cel, o którym Fliess w przedmowie do „Obiegu życia“ wspomina— że pragnąłby udowodnić linię obiegu życia nie przez hipotezy, ale środkami matematycznej analizy—został osiągnięty. Owe nieznanne dotychczas prawo, według którego wielkie koło życia ziemskiego się toczy, prawo jednoczące generacje i oznaczające godzinę śmierci z równą dokładnością, jak godzinę narodzin, poraż

pierwszy i zupełnie samodzielnie zostało sformułowane przez Wilhelma Fliessa. Szkoda tylko, że dzieło Fliessa, składające się prawie wyłącznie z algebraicznych obliczeń, dostępne być może jedynie dla względnie małej garstki czytających.

*

*

*

W związku z dziełem Fliessa warto zwrócić uwagę na wysze przed niedawnem w znanym nakładzie Diederichsa w Jenie skromne na pozór, bo obejmujące zaledwie 83 stronnice druku, ale niezwykle bogate pod względem treści dziełko profesora Rudolfa Burckhardta, pod tytułem: „Biologia i Humanizm“ (Biologie und Humanismus). Coraz bardziej udoskonalające się środki techniczne dostarczyły wiedzy olbrzymiego materiału faktycznego, którego ogarnięcie i przetrwanie wymagało niezawodnie wielkiego zasobu energii. Konieczność coraz bardziej drobiazgowej spekulacji była naturalnym wynikiem tego stanu. Że jednakże, skupiwszy uwagę swoją na niezliczoną mnogość faktów specjalnych, zapomniano prawie zupełnie o konieczności związku pomiędzy gałęziami, gałązkami a wielkim pniem wiedzy, że zapomniano o potrzebie stałego zaokrąglania poglądu swego na rzeczy i to nie tylko na drodze empiryzmu, jest jednym z owych zasadniczych błędów, których konsekwencje fatalne zaczynają się nam coraz bardziej dawać dziś we znaki i stanowią jedną z najgroźniejszych przeszkód na drodze do zdobycia prawdziwej kultury.

Posiadamy pod tym względem wśród pism Cypryana Norwida pewne wskazówki. Tak naprzykład słowa z „Milczenia“ (patrz „Chimera“ r. 1902, zeszyt lipcowy i sierpniowy), napisane przed 25-ciu laty... „że przy spółcześnie panującym podziale na umiejętności ten albo ów specjalny pracownik stawia się z czasem, jakby doskonałą machiną częścią lub wytwornem narzędziem... tedy dla czegożby tejże samej wprawy nie nabrał i *ogólną treść prawdy* praktykujący umysł całego człowieka, wedle machiny ogólniejszej?... *Myszę owszem*, kończy Norwid, *iż tam nasza podzielona na specjalności wiedza i działalność koniecznie będzie musiała dojść, gdy tak jak cząstkowość specjaliści, uwłaszczyc sobie biegle potrafi niecząstkowość...*

Rudolf Burckhardt w dziele swem „Biologia i Humanizm“ stoi poza obrębem ciasnego specjalizmu i to stanowisko właśnie nadaje pracy jego tak wielką pozytywną wartość. Przytoczone poniżej słowo wstępne autora da nam najlepsze pojęcie o kategorii, do której zaliczyć wypada jego pracę.

„Tragiczna walka, pisze Burckhardt, trawi wszystkie członki współczesnej wiedzy. Specjalizm, uzbrojony w pomocnicze środki nowożytnej techniki, dotyla pochłania każdego służącego mu, że niejeden pod fatalnym urokiem swego podmiotu zatracza niezależność poglądu i okupuje kosztem swej indywidualności bezbarwny i pesymistyczny pogląd na wiedzę i życie. Ani rozmiar wiedzy, ani spekulatywna śmiałość nie są w stanie zastąpić braku indywidualnej i artystycznej treści, będącej jedynie w możności zapewnić wiedzy prawdziwe życie, o ileż mniej tam, gdzie chodzi o nowy czyn twórczy. Najbardziej chyba powinnaby wiedza o życiu (Biologia) czuć się do tego powołana; ale właśnie ta gałąź wiedzy, pomimo swej niegdyś pełnej życia przeszłości, cierpi dziś pod wpływem swej pozytywistycznej niedoleżności i pod widocznymi następstwami empirycznych metod. Ilekroć i gdziekolwiek młodość, pełna chęci życia i hojności, rzuca się w jej objęcia, pochwycona zostaje przez maszyneryę tego konwencyjonalnego mechanizmu, która na proch ją ściera. A przecież biologia właśnie powinna, pod wpływem idei o prawie rozwoju życia organicznego, z pełną świadomością dojść do poznania, że historia jej rozwoju tę właśnie drogę wskazuje, na której możnaby było przekleństwo specjalizmu indywidualnie przezwyciężyć. W Grecji powstała biologia z łona pełnego obfitości życia, posiadającego wysokość dotychczas niedościgłą. Wiedza grecka jest i pozostanie owym ogniem prometejskim, z którego i nasza wiedza dotychczas czerpać powinna swoje światło i dzięki któremu byłaby w stanie przezwyciężyć swój niejasny stan obecny.“

Książka Burckhardta składa się z trzech części, posiadających formę prelekcji. Pierwsza, przypominająca pod wieloma względami odczyty Nietzschego „O przyszłości naszych instytucyj wychowawczych“ (6 Vorträge „Ueber die Zukunft unserer Bildungsanstalten“) wygłoszone w Bazylei, traktuje o biologii Greków, druga — o stosunku dzisiejszej biologii, jako gałęzi wiedzy, do historii biologii, trzecia — o sposobach i metodach w nauce biologicznej i zastosowaniu jej do planu szkolnego.

Szczególne interesująca jest pierwsza prelekcja, w której udało się Burckhardtowi w formie plastycznej przedstawić kontrasty pomiędzy zarozumiałym, krótkowzrocznym specjalizmem

dzisiejszym a pełną, harmonijną wiedzą Greków. Na jednym z kongresów zoologicznych w Berlinie spotyka się autor z dawnym kolegą uniwersyteckim Reinholdem, który jako typ przeciętnego współczesnego uczonego (Nietzsche porównywał ich do worków, napełnionych mąką, które za każdym dotknięciem kurzą się od pyłu na proch startej mądrości) zaszedł po ścieżce specjalizmu w wawóz zupełnego odosobnienia, o istnieniu wielkich szczytów i perspektyw zapominał i z wprost maniacką monotonią kręci się w błędnem kole swej specjalności. Znamienne są naprzykład następujące typowe utyskiwania Reinholda:

„Prawda, przestałeś mi w swoim czasie prace Twoje, ale, przyznam się otwarcie, nie czytałem nic. Bo i skądże na miłość Boską wziąć czas na to? Już przejrzenie samej literatury bieżącej z dziedziny histyologii (Reinhold jest bowiem histyologiem), ba, nawet literatury, traktującej o włóknach i mesodermach, jest niepodobieństwem. Do czegoż dojdziemy, jeżeli tak dalej pójdzie, jak w ciągu tych ostatnich lat dziesięciu? Nie pojmuję, dlaczego ludzie się tak rwą do naszego fachu. Toć ze stanowiska makroskopijnego wszystko już osiągnięte, wszystko wyczerpane, a i w histyologii staniemy wkrótce u ostatniej granicy...“

U ostatniej granicy!... ileż tragizmu i śmieszności zarazem zawierają te słowa, które słyszeć dziś można, jak żalosne zawołanie żab, ze wszystkich niemal rowów i sadzawek wiedzy specjalnej.

Tak rozpaczliwie wzdychającą „mrówkę wiedzy nowożytnej“ pogrąża autor w sen kataleptyczny i prowadzi w krainę starożytnej Grecji. Wylądowują na wyspie Kos, gdzie Hippokrates i Polykes, pod opiekuńczym cieniem świątyni Asklepiosa, badają naturę; udają się do Aten, słyszą Arystotelesa, dyktującego podczas przechadzki wstęp do swojej genialnej zoologii, widzą przepyszne akty ciał ludzkich w Gymnazyum, słyszą znakomitą prelekcję z dziedziny porównawczej zoologii, wygłoszoną przez ucznia Arystotelesa w wielkim gmachu Akademii, zwiedzają ogrody botaniczne w pobliżu, laboratoria, przyglądają się wiwisekcyi, dokonywanej w Egipcie przez lekarza nadwornego u stóp tronu Ptolemeusza na kilku schwytanych piratach morskich i oglądają z podziwem barwny obraz całokształtu wiedzy przyrodniczej i biologicznej przeszłości, obraz składający wymowny dowód, jak obfitą w piękne plony była dążność Greków starożytnych do zdobycia *niecząstkowości* wiedzy.

Następna prelekcya, jako logiczna konsekwencya tego opisu, wykazuje konieczność metody historycznej dla nowożytnej biolo-

gii. Historia bowiem jedynie—owa vitae magistra—jest w stanie wlać nowe życie w zakrzepłe żyły dzisiejszej biologii, rozdrobnionej na sporo specjalności bez związku. Takie stanowisko historyczno-krytyczne, oparte na szerokich podstawach, dających możliwość poznania dróg i celów właściwych, zajmuje autor. Brak podobnych dzieł krytycznych daje się dziś we wszystkich niemal dziedzinach rozdrobnionej wiedzy uczuwać. Oto np. pomimo tak niezwykle bogatej literatury, dotyczącej idei darwinistycznych, nie posiadamy jeszcze dotychczas historyczno-analitycznego studium o powstaniu idei darwinizmu i stosunku np. świata ideowego Karola Darwina do o wiele głębszego i dlatego widocznie mniej popularnego, światopoglądu dziada jego, Erazma Darwina. Jedynie historia jest w stanie, powiada słusznie Burckhardt, otworzyć nam oczy na właściwszy stosunek badacza względem przedmiotu badań i tylko, opierając się na historii, można uniknąć owej niebezpiecznej i bałamutnej zależności od absolutnego empiryzmu. Nie zapominając nauk i przestróg Nietzschego („Vom Nutzen und Nachteil der Historie für das Leben“) pamiętać jednak zawsze winniśmy, „że ten, co od sumienia historii się oderwał, dziecziej na wyspie oddalonej i powoli w zwierze zamienia się...“ (Norwid: „Garstka piasku“).

Ostatnia prelekcya Burckhardta zawiera sporo interesującego materiału, przedewszystkiem dla pedagogów, zastanawiających się nad pożytkiem nauk przyrodniczych dla szkoły i świadomych trudności znalezienia właściwej formy, wobec kompletnego braku dzieł i poglądów, obejmujących całokształt tych nauk. Specjalizm bowiem i rozdrobnienie współczesne, w zastosowaniu do systemu szkolnego, mogłyby łatwo wydać wprost przeciwne rezultaty, niż te, o których marzą dzisiejsi reformatorzy szkolni, czujący potrzebę odrodzenia szkoły. Tutaj to książka Burckhardta styka się z całym szeregiem doniosłych publikacyj, będących w ścisłym związku z ożywianą się dziś w Niemczech tendencją przygotowania i utworzenia dróg dla nowej kultury. ¹⁾

*

*

*

¹⁾ Patrz sprawozdanie: „Ruch umysłowy w Niemczech.“. Zeszyt grudniowy Biblioteki, r. 1906.

Nie należy zapominać, że tendencya ta nie znajduje zbyt wiele poparcia ze strony ogółu. Trudno też przewidzieć, czy uda się wysiłkom pojedynczych jednostek tak szczęśliwie sformułować i przeprowadzić swe żądania, jak to ongi humaniści uczynili. Być może, że chodzi tylko o tych stu mężów, o których Nietzsche wspomina, że zjednoczone ich usiłowania byłyby w stanie stworzyć nową kulturę. Ale i tych stu mężów brak. Znamienne są pod tym względem słowa jednego z zasłużonych mężów, pracujących z zaparciem dla nowej kultury: „Chciałoby się mieć, pisze on, znacznie więcej książek, będących wyrazem wielkiej indywidualności i mogących służyć, jako materiały do wzniesienia gmachu przyszłej kultury, ale jak na teraz niema w Niemczech prawie wcale umysłów twórczych, pomimo, że może nigdy więcej książek nie pisano, jak właśnie teraz.“ Słowa te są, dajmy na to, zbyt ostre, jak zwykle zdania ludzi, znajdujących się w wirze walki i walczących osobiście, ale jako sąd człowieka, obeznanego ze stosunkami dzisiejszemi w Niemczech, charakterystyczne. Że pomimo częstokroć lepszych pozorów, pomimo pojedynczych obiecujących przeblasków, pomimo rosnącego dobrobytu, panuje w Niemczech dzisiejszych zmrok dotkliwy, wie każdy, mający bliższą styczność z umysłowością niemiecką. Nietzsche — powiedzmy otwarcie — był dla Niemiec wielkiem nieporozumieniem, bo jeżeli całą twórczość po-nietzscheańską w Niemczech rozpatrzymy, czyż będziemy mogli nazwać więcej niż dwa nazwiska, posiadające bezpośrednią styczność ze światem myśli tego filozofa? Próby stworzenia nowego stylu w sztuce, ugrzęzły w paragrafach ciasnego i mieszczańsko-płytkiego stylu Biedermeier. Sztuka stosowana, zrodzona pod wpływem egzotycznym, tak obfite zawierająca zarodki nowego piękna, została kompletnie wykoszlawiona. W innych dziedzinach panuje ciasnota pojęć, kompletny zamęt pozytywistyczny, albo oczywiste barbarzyństwo, pobrzękujące zuchwale o tarczę militarizmu. Tem dziwniej wygląda wobec tego fakt, że znajdujemy się obecnie w Niemczech w fazie noweli spirytualistycznej o mniej lub więcej silnem zabarwieniu symbolicznem. Dawno już nie spotykało się tylu utworów, będących wyrazem tak podobnych tendencyj artystycznych. Można by to poniekąd ochrzcić mianem mody. Nawet autorzy skądinąd bardzo sceptyczni uważają się do pewnego stopnia zobowiązani potraćić o dziedzinę „nadprzyrodzoną.“ Wyrazem takiej twórczości są naprzykład wyszłe przed niedawnem nowele Schnitzlera „Dämmerseelen“ (Dusze zmierzchowe).

Stanowisko autora, który zręcznie kryje się poza obojętnością epicką, ujawnia tytuł i stosunek nowel do takiego właśnie tytułu. Czuć poza tem wszystkim uśmiech pobłażania, z jakim poeta patrzy na dusze te, podlegające wpływom i uczuciom, których człowiek „trzeźwy“ nie uznaje. Uśmiech ten potęguje się niekiedy do śmiechu cynicznego, właściwego Schnitzlerowi, i nadaje całości coś nieszczerego. Spirytualizm jego jest natury bardzo zewnętrznej. Mimo to odznaczają się niektóre z tych nowel wprost wyjątkowymi zaletami stylistycznymi. Lwia część ich poświęcona jest takim charakterom, jak baron von Leisenbohlg, bohater pierwszej noweli zbiorku „Los Barona von Leisenbohlg.“ Są to ludzie, jak ich Schnitzler opisuje, łatwowierni, poświęcający się, redukujący swe osobiste żądania do zera i wprost bezmyślni w swem przywiązaniu, przypominającym ślepą wierność psa (ale u psa wierność ta inne ma źródło). Baron von Leisenbohlg kocha się w młodej śpiewaczce operowej, którą odkrył, wykształcił i „laurował.“ Miłość jego jest natury cierplivej, cichej, wspaniałomyślnie tolerującej, bo nawet imponująca galeryja kochanków, którzy po kolei są szczęśliwymi posiadaczami serca młodej i sławnej śpiewaczki, nie wywiera żadnego wpływu na temperaturę jego uczuć. Mijają starzy, młodzi, bogaci, biedni, głupi, mądrzy, tłuści i wysmukli kochankowie, a przy każdej zmianie serce wiernego barona żywiej bić poczynu w nadziei, że może teraz nareszcie godzina jego szczęścia wybiła. Nadzieja ta zamienia się w końcu w cichą, ale pogodną rezygnację. Aż po śmierci księcia, długoletniego kochanka śpiewaczki, który, spadłszy z konia, umiera w jej objęciach, długoletnie nadzieje barona ożywiają się niespodzianie. Pani serca naznacza mu bowiem po dłuższym, „nieutulonym“ żalu schadzkę. Olsniona szczęściem wyobraźnia Leisenbohga zaczyna już snuć złote plany przyszłych rozkoszy, gdy tymczasem kochanka jego po pierwszej nocy znika bez śladu. Po wielu miesiącach dopiero następuje wyjaśnienie. Książę, poprzednik Leisenbohga, kazał jej umierając przysiąc sobie wierność dozgonną, nie wierząc jednakże widocznie w moc tej przysięgi, poparł ją na wszelki wypadek przekleństwem tego, ktoby się ośmielił zająć jego miejsce. Przez dłuższy czas śpiewaczka czy to ze smutku, czy też z obawy dochowywała danego przyrzeczenia, odrzucając wszystkie propozycje zakochanych wielbicieli. Miłości sławnego europejskiego tenora serce jej oprzeć się jednakże nie zdołało. Przed ucieczką z nowym kochankiem składa przezorna córka Ewy możliwe konsekwencje przekleństwa na barki starego, wypróbowanego przyjaciela. Leisenbohlg dowiadyuje się o wszystkim od tenora, który pragnąc się przekonać o pra-

wdzie słów kochanki i pełen obawy, że przekleństwo nieboszczyka wywarło wpływ ujemny na głos jego, wzywa Leisenbohga do willi swojej na wybrzeżu norweskim. Wyznanie tenora działa piorunująco na ofiarę przekleństwa; Leisenbohgg pada martwy, a śpiewak z zadowoleniem próbuje głosu i zasiada do napisania pojednawczej depeszy do kochanki swojej.

Podobny temat, o jedną skalę może jeszcze mniej wybredny, opisuje nowela „Ostatni list Andrzeja Thomayera“ wyznaniem małżonka, który odbiera sobie życie, aby złożyć wobec świata dowód, że żona jego zachowała mu wierność małżeńską. O wiele delikatniej opracowany został podobny temat w noweli: „Obea.“ Pełna smutnego wdzięku jest nowelka „Nowa Pieśń,“ przypominająca najlepsze momenty twórczości beletrestycznej Schnitzlera. W „Przepowiedni,“ groteskowej karykaturze fantastyki E. P. A. Hoffmanna, przedstawia Schnitzler cały stek niemożliwości. Mimo to odznacza się właśnie ta nowela niezwykłymi zaletami stylistycznymi i działa tem tajemniczem, magicznem poplątaniem losów, które służąc nawet karykaturze, posiadają jeszcze moc przekonywującą.

*

*

*

Za prądem czasu idzie, choć bardzo kulawo, Hugo Salus, w swym zbiorze nowelistycznym „Niebieskie okno,“ w którym jedynie tytuł działa fantastycznie. Rozlazły sentymentalizm Salusa, który w pieśniach jego małżeńskich „Ehefrühling“ znalazł typowe wcielenie, nie nadaje się do noweli fantastycznej. Nowele swoje pisze Salus widocznie w chwilach wolnych od zajęć lekarskich (jest bowiem lekarzem chorób kobiecych w Pradze Czeskiej) i widocznie, jak wszyscy ci, dla których sztuka jest jedynie swego rodzaju rozrywką, szkodzi bardziej prawdziwej sztuce, niż obojętni. Na nowelistę brak mu wszystkiego. Jego opisy natury są bezbarwne i drewniane i świadczą, że nigdy jeszcze natury własnymi oczami nie widział, psychologiczno subtelności dłań nie istnieją, zdaje się nawet nie wiedzieć, że nowela wymaga pewnej architektoniki myślowej i formalnej, że niepodobna opowiadać fabuły, chociażby najbardziej interesującej, bez pewnych skrótów perspektywicznych, których każde dzieło sztuki wymaga. Przykładem takiej zupełnie zbytecznej rozwlekłości jest zaraz pierwsza

nowela zbiorku „Niebieskie okno,“ opisująca młodość, miłość, pielgrzymkę, powrót i śmierć rycerza, który dla ukochanej swojej udaje się w świat, aby znaleźć środek przeciw melancholii i powraca w końcu z kawałkiem szyby, która ma własność pochłaniania smutnych myśli. Rycerz umiera z wycieńczenia, a kochanka jego, którą naturalnie ojciec „okrutny“ chciał gwałtem wydać za mąż, dostaje obłądu i patrząc na szybę, która powoli chłonie jej myśli ponure i pogmatwane i zabarwia się na niebiesko, umiera po latach wielu pogodnie. Są to jednym słowem oburzające próby podszywania się pod płaszcz niebieski muzy romantycznej. Bardzo niesmacznie wygląda z pod tego płaszcza niebieskiego płowa szczerzina dwuznacznej jowialności autora (np. w „Meerweibcher“ lub „Der Spiegel“), mogąca jedynie może w praktyce lekarskiej, ale nie na wyżynach sztuki, mieć rację bytu.

Pod podobnie fałszywą etykietką niby fantastyczną pojawiły się nowele Hirschfelda „Der verschlossene Garten“ (Ogród zamknięty). Można by pomyśleć, że mowa będzie o owym dalekim ogrodzie, pełnym cudów, a dostępnym jedynie dla wybrańców i że poeta klucz do tego ogrodu posiada. Z tym to zamiarem został widocznie tytuł wybrany, jako mistyfikacja jedynie, bo nowele tworzące ten tomik do tytułu takiego nie uprawniają. Poza to niewiadomo dlaczego połączone zostały w jednym tomie rzeczy tak mało z sobą harmonizujące, jak naturalistyczny szkic „Novemberabend,“ banalne okolicznościowe „Weihnachten in der Fremde,“ „Angekauft,“ niby symboliczne „Der Tiger“ i trywialna, satyryczna nowela „Else Busch und Else Röder,“ przedstawiająca wyższość szwargocącej straszyną dyalektem dziewczyny z przedmieścia berlińskiego nad przerafinowanymi mieszkańcami dzielnic bogatych. Tylko pierwsza nowela „Der verschlossene Garten,“ pomimo sporej sentymentalnej domieszki, podnosi się cokolwiek ponad poziom powstałych, ale i ona nie zawiera wiele z obiecującego tytułu. Ostatnią nowelę tego zbioru „Else Busch und Else Röder“ opracował autor i rozwinął do rozmiarów komedii czteroaktowej, którą teatry grały z powodzeniem w ciągu ostatniego sezonu. Jest to elukabracja nie bez znajomości sceny napisana, ale tak nędzna, że nie warto się nad nią ani chwili czasu zastanawiać. Hirschfeld należy, czy też należał do świty Gerharta Hauptmana i dzięki temu głównie udało mu się wypłynąć na powierzchnię. Spragniona sensacyjnych niespodzianek prasa, powitała go jako dramaturga przyszłości. Okazało się jednakże bardzo prędko, że zdolności dramatyczne Hirschfelda są bardzo skromne, przyznano mu zato wysokie uzdolnienie beletrystyczne.

Jako epik jednakże nie posiada Hirschfeld ani cienia zdolności, na co dowody wymowne kilkakrotnie już złożył, ostatnio, poza swemi nowelami, w równie nędznej i bezbarwnej powieści „Das Mädchen von Lille.“

Udatne i poczęści nawet piękne nowele wydał pod tytułem „Diessaits“ (Po tej stronie) Herman Hesse, znany autor powieści: „Piotr Camenzind.“¹⁾ Hesse może najdalej z młodych trzyma się od świata fantastyki. Trzeźwy i przedmiotowy posiada jednakże spory zasób poezyi i świeżości. Jego opisy gór szczególnie są bardzo piękne. Wspomniane powyżej nowele przedstawiają cały szereg miłości i miłostek będących po tej stronie (t. j. po niemiecku „Diessaits“) wielkiej miłości. Stąd też tytuł dzieła, który jako kontrast słowa „Jenseits,“ (które oznacza toż samo co „świat nadzmysłowy“) mógłby równocześnie mieć jeszcze inne znaczenie. Wartość pięciu nowel zawartych w dość okazałym tomie, wydany gustownie w nakładzie Fischera (w Berlinie) — nie jest równa. Dwie: „Aus Kinderzeiten,“ historia przyjaźni pacholęcej i „Heumond,“ miłostka jednodniowa uczniaka, są zaledwie średniej wartości. Za to trzy pozostałe „Die Marmorsäge,“ „Der Lateinschüler“ i „Eine Fussreise im Herbst“ — zaliczyć należy do najlepszych rzeczy wyszłych z pod pióra Hessego. Na specjalną uwagę zasługuje ostatnia nowela: „Eine Fussreise im Herbst,“ opisująca niezmiernie żywo i plastycznie wycieczkę autora w góry i odwiedziny u swej niegdyś ubóstwianej, która wyszła za mąż za porządnego, prozaicznego filistra z małego miasteczka w górach. Z zupełnie naturalistycznego tonu opowiadania wyłaniają się stopniowo symboliczne pogłębienia, powstają perspektywy w nieskończoność i całość tak bardzo realna i codzienna zamienia się w końcu w bajkę utkaną z delikatnych, tęczyowych promieni, głęboką i piękną.

Do najprzedniejszych niemieckich utworów nowelistycznych, doby ostatniej, zaliczyć wypada trzy znakomite nowele Jakóba Wassermana, wyszłe pod tytułem: „Siostry.“ Wasserman, którego jeden z współczesnych krytyków słusznie nazwał jedynym dziś w Niemczech pisarzem o wybitnych semicko-azyatyckich cechach, zbyt jest Żydem, aby się lubować w mistycznych głębiach symboliki. Sztuka jego jest przedewszystkiem dekoratywną, ale

¹⁾ Patrz sprawozdanie o ruchu literackim w Niemczech — Bibl. Warsz. Zeszyt lutowy r. 1906).

dekoratywną w najlepszym tego słowa znaczeniu, połyskującą dobranym przepychem pełnych kolorów, jak kobierce wschodnie. Pod względem formalnym są utwory Wassermanna bez zarzutu. Wszystkie te zalety przedstawiają się niezwykle korzystnie w ciasnych ramach noweli, w powieści atoli, wymagającej bardziej monumentalnych zarysów, działają trochę monotomie. Prześliczne są te trzy nowele, opisujące losy trzech kobiet, będących ofiarami swego czasu. Jedną z nich księżniczka krwi królewskiej Joanna Kastylska jest matką Karola V-go, druga, francuska, Clarissa Mirabel—córka wysokiego urzędnika, trzecia, angielska, Sara Malcolm — dzieckiem ludu. Losy tych trzech kobiet posiadają wiele podobieństwa, pomimo tak różnych warunków i sfer, w których żyją. Wszystkie trzy stają się ofiarami przesądów, ciasnoty pojęć, zabobonów swego czasu i fatalnej zależności kobiety, każda jest w swoim rodzaju męczennicą, ale każda w swoim męczeństwie, w fanatycznym zaślepieniu znajduje rozkosze niezwykle. Pewnego rodzaju chorobliwa lubieżność, napawająca się cierpieniem i okrutnością, jest charakterystyczną cechą nie tylko tego jednego tomiku, ale i innych utworów Wassermanna. Uporczywe podkreślanie tej nuty robić poczyna wrażenie manii, i niemile zabarwia, skądinąd piękne utwory Wassermanna. Ostatnia nowela Sara Malcolm potrąca o krainę fantastyczną w podobny mniej więcej sposób, jak „Przepowiednia,” Schmitzlera, t. j. bez przekonania, bez głębszych uświadomień, i czepiając się jedynie formalnych, nie mówiących, niczego nie tłumaczących faktów.

Ze można poza całym sceptycyzmem i trzeźwością „człowieka nowożytnego“ odczuwać czar i doniosłość egzystencji rzeczy niewytłumaczonych, t. j. nie dających się na razie zgłębić zbyt powierzchownemu jeszcze umysłowi ludzkiemu, jest faktem przez najprzedniejszych i najlepszych dostatecznie dowiedzionym. Niejedno arcydzieło posiada swoje misterya, do których dorosnąć duchem trzeba. Sztuka bowiem nie jest fotografią, ale do coraz to nowych, głębszych uświadomień zmierza i coraz to nowe, głębsze, tajemnice wypowiada. Dlatego fantastyka E. T. A. Hoffmanna, będąca w swoim czasie doniosłym czynem twórczym, który starał się zjednoczyć rzeczywistość widzialną z niewidzialną, nie może służyć twórcom nowoczesnym za wzór wyłączny, jak to dziś częstokroć obserwować można po uświadomieniach takich poetów jak Baudelaire, Verlaine, Maeterlinck, a dla nas przede wszystkim Cyprian Norwid, inne daleko donioślejsze jeszcze zadania i cele postawione zostały sztuce nowoczesnej. Z wyżej cytowanych utwo-

rów o pozorach fantastycznych, żaden wymaganiom tym nie odpowiada, możnaby je więc słusznie nazwać zbytecznymi.

*

Bardzo pięknym i obiecującym talentem z dziedziny beletrystyki niemieckiej, jest Otto Gysae. Nazwisko to mało jest dotychczas znane, nawet w Niemczech samych. Otto Gysae, rodem z Saksonii (ur. w roku 1877 w pobliżu Drezna) wystąpił po raz pierwszy z powodzeniem przed dwoma laty z powieścią swą „Siostry Hellwege.“ W ciągu ostatnich dwóch lat wyszła poza tem bardzo udatna nowela „Virienne,“ drukowana w miesięczniku Westermans Monatshefte (zeszyt marcowy r. 1905) i powieść „Edela Praugen,“ którą autor złożył dowód rzadkich uzdolnień i poważnego artyzmu. Druga ta powieść jednak, widocznie ze względu na treść swoją, znalazła znacznie mniej zwolenników—pomimo, że o niebo całe stoi wyżej od wszystkiego, co Gysae dotychczas napisał i od wszystkiego co mniej więcej z dnia na dzień wychodzi.

Sztuka Gysaego wywodzi się w prostej linii od duńczyka Jensa Piotra Jacobsena, tego subtelnego marzyciela-fantasty i trzeźwego realisty zarazem, który obok E. T. A. Hoffmana wywarł wpływ znamienity na neo-romantyzm w Niemczech. „W każdej rzeczy powiada Gustave Flaubert, jest ukryte coś, czego jeszcze nikt nie widział, nikt nie wysłowił; to właśnie należy wydobyć na jaw. Chcąc opisać ognisko, drzewo, trzeba się tak długo i uważnie w nie wpatrywać aż ognisko to, drzewo to stanie się czemś zupełnie innem, niż wszystkie ogniska i drzewa. W ten sposób należy szukać oryginalności.“ Jest to metoda, której się trzymał Jacobsen i którą z zadziwiającymi rezultatami posługuje się Gysae.

Poza wpływem Jacobsena możnaby jeszcze w sztuce Gysaego odnaleźć liczne pokrewieństwa przeważnie skandynawskie i francuskie, np. z Arne Garborgiem, Knutem Hansunem, Berntem i Jonaszem Lie, Larssenem, Perem Hallströmem, Amalią Skram, Augustem Strindbergiem, Ibsenem i Björnsonem nawet, pomimo, że nie wszyscy naturalnie jednakowo i w równej mierze wpłynęli na Gysaego. Pod względem stylistycznym i psychologicznym wywarli nań duży wpływ tacy autorzy, jak Gustave

Flaubert, Stendhal (Henry Beyle), Edmund Goncourt i Anatol France. Poza tem sadzą się jeszcze wykazać pokrewieństwa z Gabrielem d'Anunzio, Maeterlinckiem i Oscarem Wildem, przede wszystkim jednakże z „A rebours“ Huysmans'a. Porównania te niechaj nie będą uważane, jako chęć zakwestyonowania oryginalności autorskiej Gysaego. Dowodzą one jedynie ogromnej skali jego talentu i niepowszedniej kultury artystycznej. Jako twórca jest Gysae zupełnie oryginalnym i prawnym artystą, szukającym samodzielnie nowych, własnych dróg i uświadczeń. Bardzo być może, że pod względem charakteru i rodzaju twórczości zaliczyć go trzeba będzie raczej do literatury skandynawskiej niż do niemieckiej, w której subtelny, pełen wytwornej kultury i zachwycającej polifonii talent Gysaego, jest anomalią. Dlatego też dzieła Gysaego powinnyby we Francyi, Skandynawii i Polsce znaleźć żywszy oddźwięk, niż w Niemczech samych, gdzie sztukę wazą po większej części przedewszystkiem na cetrnary.

Już w pierwszej swej powieści „Siostry Hellwege,“ która jest jakby przepyszną ilustracją do pism Ellen Key, przedstawia się Gysae bardzo okazale. Znakomita jest kompozycja tej powieści: perspektywa życia czworga sióstr Agnieszki-Elżbiety, Maryanny, Julii i Eweliny Hellwege ujęta w runy dwóch trumien,—trumny matki Hellwege i trumny Agnieszki-Elżbiety. Jakby cztery wąskie strugi płyną te cztery życia, wytrysłe z jednego źródła, blisko obok siebie, a każde dokądindziej zmierza, każde odzwierciadla odrębny świat kobiecości. Agnieszka-Elżbieta, najstarsza z sióstr, jest typem owych kobiet, które się wyrzekły swego ja. Żyją dla innych. Nikt ich się nigdy nie zapyta, czy im smutno, czy czego nie potrzebują, nie pragną?... Wszyscy przywykli tylko od nich brać, a one dają i dają zawsze ciche, zupełnie zrezygnowane, nie marząc już nigdy o szczęściu, które im się może wydaje niedoścignioną dolą, czemś co jest tylko... dla innych. Dobrze jeszcze jeżeli tym nieszczęsnym niewolnicom cudzego egoizmu danem jest krzątać się do końca, jeżeli w kole codziennych potrzeb i małostkowości mogą się ogłuszyć warczeniem i turkotem kólek i szpulek życia powszedniego, a potem paść późno... późno po północy na łożo samotne i zasnąć kamienym snem wyczerpania fizycznego. Ale jeżeli życie od nich odpłynie, a ofiara ich stanie się zbyt czną, niepotrzebną,—cóż wówczas kobiety takie począć mają? W podobnem położeniu znajduje się Agnieszka-Elżbieta. Umierającej matce przyrzekła zająć się młodszymi siostrami, zastąpić im pieczołowitość i miłość matczyną. Wierna temu przyrzeczeniu odrzuca rękę człowieka, który

mógłby jej zgotować szczęście, i cała poświęca się zadaniu swemu. Życie, które siostry Hellwege pędzą, nie ma, co prawda, na razie nic ponurego w sobie, a być opiekunką i towarzyszką sióstr, które żyją jakby królowne w swoim wiejskiem zaciszu i jakby nimfy igrają wesoło wśród promieni złotych i zielonych półcieni swej kwiecisto-białej idylli — nie wygląda na zbyt wielkie poświęcenie, tembardziej, że Agnieszka-Elżbieta zna może dopiero tęsknotę, ale nie ma pojęcia o potędze miłości. Życie jednakże zbyt długo idylłom nie pozwala istnieć. I oto Maryanna Hellwege wychodzi zamąż za nauczyciela wiejskiego i staje się matką; Julia, która należy do kobiet szukających, udaje się do Berlina, aby się tam rozpatrzeć i znajduje w końcu siebie samą, cel i wielką miłość, która nie zatapia jej życia indywidualnego (na to jest Julia zbytnią kobietą nowożytną), ale daje życiu temu pełnię i harmonię, bardzo rzadką zazwyczaj w świecie kobiecym. Ewelina rzuca się w objęcia świata, zabaw, sukcesów... Agnieszka-Elżbieta pozostaje sama, w opustoszałym zaciszu idyllicznym, które się dla niej zamienia w klasztor... „Życie Agnieszki-Elżbiety, powiada autor, nie było wiele więcej, jak ponurą paplaniną pacierzów w kościołach klasztornych, podczas gdy łuny pożarne średniowiecza się ponad krajem dymiły. Czasami czerwony odblask, padając w jej opustoszały dom, przeslizgiwał się jej po twarzy i ciskał przerażenie pod stopy.“ Cisza i samotność bezużytecznego życia i zepsuta, po niewczasie fermentująca krew, rodzą widma nieuchwytnie, ale tem groźniejsze, prześladowające, skradające się, zawsze gotowe do skoku, wysysające krew i trujące resztki zamroczonej samowiedzy. Agnieszka-Elżbieta ulega im i ginie. Nad trumną jej po przez śmiech i kwilenie dziecięce brzmią bezwzględne, ale słuszne słowa Julii: „Życie dla drugich można tylko wtedy, gdy własne życie pełne jest piękna i jasności. Inaczej na nie się to nie przyda.“

Julia jest kobietą pełną świadomej woli, taką jaką nam się z pism Ellen Key wyłania — kobietą, do której przyszłość należy. Potrafi ona nie tylko być samodzielnym człowiekiem, ale i oddaną kochanką, dobrą, pogodną towarzyszką życia i matką, jakich dla przyszłych pokoleń ludzkość potrzebuje. Maryanna Hellwege jest typem kobiety, tylko matki. W domu jej rozlegają się od rana do wieczora kołysanki; „owe półgłosem nucone piosenki, powiada autor, które trącą zlekka zapachem bielizny dziecięcej i śpiewają o szczęściu rodzinnem i o ciepłej izbie, ale niezbyt głęboko sięgają.“ Nie brak im pewnej słodkawej, czasami mdłej nawet, filisterskiej sentymentalności. Jako typ przypomina Ma-

ryanna Hellwege Marynię Połaniecką. Ewelina jest kobietą salonów i zabaw. „Życie było dla niej, powiada Gysae, jak muzyka balowa, jakby melodyą walca, w którego kołyszących się rytmach drga tyle tęsknoty za wesołością. Odzywały się w niem skrzypce miękko, niby światło księżycy w śpiącym ogrodzie i światła je goniły podskakując wesoło, jak kagańce hucznych zabaw, jak pełne kokieteryi „Piccicata,“ którym towarzyszy brzęk i grzechot dzwonek.”

Życie tych czterech sióstr oplata idylla cicha, jasna, kwiecista, mieniąca się jasno-złotemi planami słońca, wonnemi szpalerami pnączów jaskrawo-planistych, kołysana do snu szumem starych lip, gdakaniem kur, pluskiem kaczek w sadzawce i czystym, świeżym powiewem, który po fioletowych porostach wrzosem puszczach północno-niemieckich goni i gdzieś daleko wśród fal morskich, wśród grzbietów mieniących się odbłyśkami pawimi bierze początek. Zasobność, czystość i wygoda siedzib północnych nas otacza, a i charakterzy tych czterech sióstr posiadają w sobie sporo samodzielnosci północno-germańskiej. Taka Agnieszka-Elżbieta i Julia dopiero w tem otoczeniu stają się zupełnie zrozumiałe. Smutna tragedia straconego życia, odgrywająca się w ramach tego na pozór tak jasnego i pogodnego życia, tworzy z otoczeniem swoim dziwnie niepokojący akord, którego groza ukryta jest pod obfitemi girlandami kwiecia, jak bolesna szczerość Szopena pod szemrzącym, szepcącym i łkającym bogactwem półtonów w jego preludyach.

Powieść następna Gysae „Edela Praugen“ należy do najlepszych powieści niemieckich ostatnich czasów. Nietylko wysokie zalety psychologiczne utworu składają się na całość tak wysoce artystyczną, ale zarazem rzadkie muzyczne i kolorystyczne uzdolnienie autora. Powstają w ten sposób harmonie tak pełne, że najwybredniejszy umysł będzie się mógł nimi napawać z zachwytem. W całej powieści niema chyba jednego zdania zbyt czystego albo bezbarwnego, niema ani jednego rozdziału, któryby nie był świetnie scharmonizowanym motywem, dostrajającym się znakomicie do brzmienia całości. Mimo to, albo może właśnie dla tego, powieść ta, niestety, cieszyć się wielkiem powodzeniem w Niemczech nie będzie. Pomijam fakt, że większa część piękności subtelnych ujdzie wzrokowi mas czytających, przedewszystkiem zapewne treść sama najwięcej będzie szkodzić książce, w oczach owej „kompakte Majorität,“ która płaci i bije brawo. Pomimo, że arcydzieł nie pisze się dla podlotków, każde niemal prawe dzieło sztuki, będąc szczerem a przez to samo bezwzględny wy-

lewem, spotykać się musi z owemi żądaniami strzegących moralności publicznej ojców i wychowawców, matek i starych panien.

Niestety, ujemne strony życia nie dadzą się usunąć przez to, że je pokryjemy kobiercami. Ale Gysae tak nie rozumuje. Jemu jedynie chodzi o harmonię jego dzieła. Co pozatem myśli, czy się oburza lub nie, jest pytaniem nie na miejscu, wobec piękności jego dzieła.

W Biblii, w księdze królów znaleźć można opowieść, jak król Dawid, zestarzewszy się, wielce się stał wrażliwym na chłód i jak żadne odzienie nie było w stanie ogrzać go. Wówczas to, według rady swoich sług wziął sobie „dziewkę Abizag“, która go pielęgnować i spać w jego objęciach musiała, aby go ogrzewać ciepłem swojego młodego ciała.

„Była to zaś wielce piękna dziewczka, powiada Biblia, a pielęgnowała króla i służyła mu...“

Nad szarem morzem, gdzieś w Jutlandii stoi szary, wielki dom, otoczony wilgotnymi, cienistymi alejami, a na murach jego zwisają się ociężałe mokre, lśniące kobierce bluszczu czarnego. W domu tym mieszka dwoje starych, którzy umierać nie chcą. Pełni egoizmu i chytryści starzy przykuli do siebie dwoje młodych wnucząt Edelę i Knuta, aby młode ich, rozkwitające życie ogrzewało i ożywiało ciepłem swoim ich kostniejące, stare ciała. Jak dwoje tłustych polipów, wypętlonych z nurtów potwornych szarego morza, wysysają starzy powoli i z rozkoszą młodość i życie swoich ofiar młodocianych, płacąc im za to dobrobytem, obfitością i pochlebstwami. I rzeczywiście, chytryść ich osiąga zamierzony cel. Młode życie działa, jak eliksir cudowny, przywraca sztywnym członkom nową gibkość, krew w żywszy obieg wprawia. Ale młode serca zato, pod wpływem cieplarnianej, dusznej atmosfery rozwijają się nienaturalnie, przedwcześnie, kwitną dziwnie, tajemniczo i groźnie i wydają nawpół zwiędłe, gorzkie, trujące owoce. Późno względnie budzi się w Edeli i Knucie zrozumienie własnego położenia. Pewna instynktowna nienawiść względem „starych“ była zawsze i objawiała się wielokrotnie, prawie odruchowo. Raz nawet w sposób zatrważający, gdy Edela, rzuciwszy się na dziadka swego, starego Praugena, ze śmiechem dzikim wpiła białe swe, ostre zęby w jego kark tłusty. Do zupełnej świadomości przychodzą Edela i Knut dopiero po dłuższym pobycie w wielkim mieście, gdzie mieszka matka Edeli (Knut jest sierotą, synem drugiej córki Praugenów). Ale matka Edeli umiera a Knut i Edela powracają znów bez oporu do Praugenhof w objęcia wampirze tryumfujących starych. Przychodzi jeszcze coś, co

rzuca jasny snop świadomości w dusze młodych: — miłość. Knut i Edela kochają się, ale ową chorą, przedwczesną, nienaturalną miłością, która jako pierwsza miłość ma w sobie cudów pełne piękności, ale opada nie rozkwitnąwszy nawet. Miłość ta daje im przedsmak tego, czemby życie mogło być dla nich być i potęguje jeszcze nienawiść dla starych, którzy im możliwość tego szczęścia skradli. W Edeli pod wpływem tym potęguje się wrodzone widocznie okrucieństwo, Knut ugina się, traci wolę i inicjatywę, jak owe zwierzęta sztucznie tuczone w zbyt ciasnych klatkach, które pomimo nadmiaru pokarmu tracą wesołość i siły życiowe. Ucieczka jego z Praugenhof jest raczej krokiem rozpaczy. Pozostawszy sama, rozpoczyna Edela walkę na śmierć i życie ze starymi, w wyrafinowany, podstępny sposób przyczynia się do śmierci babki swej, a starego Praugena powoli zakarmia, i drażniąc po sutym obiedzie, wywołuje z zupełną świadomością atak apoplektyczy, który starego zabija. Ta scena zemsty, w potworności swej odrażająca, świadczy wymownie o rzadkich zdolnościach autora, jako psychologa. Mimowoli przypominają się i to niejednokrotnie w toku akcji, obrazy wyszłe z pod pędzla Goyi. Po śmierci starych, Edela i Knut odzyskują wolność kompletną, ale na nic jej już zużyć nie potrafią i siadają beczynnym w ciężkich fotelach „starych“ pogrążeni w dumania ponure o własnej nieudolności, o straconem życiu, o morzu szarem, które kochają, o domu szarym, do którego przykuwają ich niewidzialne łańcuchy... siadają tak dziwni i nad wiek poważni, dziwnie smutni, dziwnie spokojni: — życie nic im już nie ma do powiedzenia.

Powieść Gysaego „Edela Praugen“ pomimo swej ponurej, negatywnej treści, posiada i pewne pozytywne znaczenie. W obrazie bowiem pod względem artystycznym wyjątkowo barwnym, udało się autorowi uwydatnić owe wrogie życiu instynkta, które pod osłoną autorytetu rodzicielskiego lub wychowawczego wywierają, częściej niż myślimy, swój zgubny wpływ na młodociane dusze, będące w niebezpiecznem stadyum rozwoju, podczas którego każde, najlżejsze nawet dotknięcie, jest w stanie pozostawić ślad. Gdyby powieść występowała wprost przeciw powadze rodzicielskiej, treść jej trafiłaby niezawodnie na silny opór i oburzenia moralne. Konsekwencyj tych uniknął autor, przedstawiając dalszy stopień pokrewieństwa, bo dla trzymających się ściśle litery prawa obrońców moralności publicznej mniejszem zgorznięciem będzie, jeżeli ktoś zakwestyonuje maksymę: „czcij dziada twego i babkę swoją,“ niż ową drugą, która jest przykazaniem wyrytem na śpiżowych tablicach. Ile jednakże z owych upior-

nych instynktów kryje się pod dobroduszną nawet maską miłości rodzicielskiej, mało kto dotychczas potrafił jasno wykazać. Już owa bezwzględność autorytetu, opierającego się na przywileju absolutnego posłuszeństwa, któremu dotychczas moralność nie przeciwstawiła żadnego wyraźnie sformułowanego obowiązku rodziców i wychowawców względem dzieci, otwiera niestety na oścież wrota wszelkiego rodzaju nadużyciom, które są o wiele częstsze niż wogóle przypuszczamy. Niejeden zakład idiotów mógłby pod tym względem pouczającego dostarczyć materiału. A o ileż liczniejsze są nadużycia o bardziej łagodnym charakterze, wywierające jednakże wpływ znamienny na szczęście i siły życiowe tyłu jednostek. Z tego stanowiska powieść „Edela Praugen“ posiada ważne i dodatnie znaczenie kulturalne, a Praugenhof, jako symbol wszelkiej krzywdy wyrządzanej dzieciom przez dufnych w prawa swoje i nadzwyczajne przywileje rodziców i wychowawców, będzie ciekawym przykładem i wymowną przestrogą.

Pod względem stylistycznym powieść „Edela Praugen“ odznacza się wyjątkowymi zaletami. Jako przykład barwności i piękności stylu niechaj posłuży następujący wyjątek z pierwszego rozdziału:

„Morze, leżące przed Praugenhof, szare było i bez granic. Ale nikt nie dbał o morze. Ani schodków, ani pomostu, ani łódki. Kępa zielonowłosej trawy morskiej, kilka czerwono-żółtych desek, a pomiędzy niemi mała beczułka. Nikt nie miał ochoty przyglądać się morzu. Przed domem stały wysokie drzewa, których konary z biegiem lat się posplatały, a wkoło tykowate, lipkie krzaki i mur pokryty pleśnią zielonkawą i oślizgłą od wilgoci słonej.

„Mur ciągnął się wkoło ogrodu całego jak wał forteczny, wysoki był i pokryty gęsto, bujnie rosnącym, starym, czarnym bluszczem, ale widocznie i to nie było dostateczną ochroną, bo wysoko sterczały ostre, zjadliwie-zielone kawałki szkła i potłuczonych flaszek, pomiędzy niemi leżały zazwyczaj trupy różnego rodzaju robactwa, które w lekkomyślności swej ośmieliło się tam wdrapać i pokrajało ciało swe na ostrych szczybach. Stojąc u żelaznej kraty wrot, miało się przed oczyma długą aleję z więzów, jakby ciemną puszcą jaką.

„W ogrodzie leżały, niby mokre płachty, wilgotne, zielone trawniki. Były i róże i wiele innych nieznanych kwiatów było, które rozkwitały i kwitły, i już opadać zaczynały, zanim miały czas przekwitnąć. W wysokich, starych drzewach, stojących niby szyldwachy wkoło domu, gnieździły się ptaki, duże, czarne ptaki,

siedzące godzinami bez ruchu na brzegu szerokiego rowu i płaczące jak małe dzieci. Nigdzie nie było więcej cieniu, zbutwiałych liści i kłuszczącej błotnej trawy, jak wkoło tego szerokiego rowu. W rowie stała ciemna, szklista woda, która miała woń dziwną: podobną do zapachu liści roku przeszłego, do ostrej woni ziół i tłustych kwiatów.

„Z nadejściem wiosny rozpoczynało się bujne życie w ogrodzie, pełne kwiatów i rozkwitów, ale nie trwało prawie dłużej nad dzień i noc jedną. Kwiaty opadały szybko, a jasnej zieloności spieszo było przybrać kolor ciemniejszy. Lato tylko miało czas swego panowania, lato ze swoim palącym słońcem, ze swymi cieniami czarno-zielonemi i silnemi, oszołomiającemi zapachami. Jesień była jak wiosna, i jedna noc zdzierała nagle pstre liście z drzew. A liście te długo jeszcze potem leżały na ziemi, jakby szkarłatno kałuże krwi, długo jeszcze potem.“

Równie plastyczny jest opis wnętrza mieszkania starych Praugenów.

„Pokoje w Praugenhof były wszystkie gładko wywoskowane. Wymiatano je i szorowano bez końca. A mimo to czuć było pod tym z trudem wywołanym połyskiem tajemnice, opowiadające o ukrytych izbach, niewidomych drzwiach, małych poddaszach i kryjówkach ciemnych. Już same ciężkie, szerokie schody, prowadzące ze zmrzoku przedsionka na piętro, sprawiały wrażenie, że tam wyżej coś straszego się ukrywa, że wdarło się do pokoi, ale czasami skrada się aż do poręczy schodowej i nasłuchuje. Okrągłe okna w przedsionku w białem czole ściany wyglądały jak wielkie oczy, przed którymi nic nie mogło się ukryć, które z podniesionemi brwiami śledziły za wszystkim, co się poniżej dzieć mogło. Korytarze były długie i szerokie o wilgotnych, białych płytach kamiennych. Przed każdymi drzwiami biała rogóżka, dająca się łatwo przesunąć i wyglądająca, jakby się kto na niej był pośliznął.

„Bezustannie miało się wrażenie, jak gdyby w całym domu czuć było powiew wiatru wilgotnego, lekkiego wiatru, który był jakby oddechem ziemi dźwigującej dom, a na wszystko, czego przez dłuższy czas nie dotykano, kładła się lekka warstwa wilgotnej pleśni. Pozatem jedno jeszcze:—nigdy w domu tym nie było zupełnie cicho. Futrowania, tafle z drzewa, schody, ramy od okien, belki w pułapie wszystko wydawało jęk i skrzyp monotonny, jak stare okręty na wzburzonym morzu, gdy przeciwko wiatrowi płyną.“

Każdy obraz, każde porównanie, które nam Gysae daje jest nie tylko świetnie utrafiione ale i dociągnięte do końca, skoncentrowane do wizyi. Jak malowniczy jest naprzykład opis wiosny, zawarty w kilku zaledwie wierszach:

„Zima dobiegała kresu swego i wichry wiosenne pomknęły ponad Praugenhofem, jak dzikie rumaki. Wyrwy, które deszcz porobił, wyglądały jakby ślady rozwścieczonych kopyt, a resztki śniegu na polach, jak płatki śliny i piany...“

Ze szczególną miłością oddane są opisy morza w najróżnorodniejszych fazach jego. Oto np. morze burzliwe:

„Czarne góry, które sunęły naprzód i naraz pokrywały się białością, jak gdyby śnieg spadł na ich wierzchołki i potem zatamywały się, rzucając białe piany w doliny zielone...“

Albo:

„Bałwany przed nią podobne były do szeregu wojowników pochylających swe szyszaki ciemne w stronę muru; naraz porywali się z miejsca i ciskali o kamienny wał, ciskali z hukiem ciała swoje o ścianę i druzgotali głowy. Woda cofała się i unosiła trupy, a niżej w piasku czepiały się czarnozielone pnącze morskie i wyglądały jak zeszpecone członki, pozostałe na placu. Ale nowe szeregi sunęły znów naprzód i klaskały o kamienie, a piana pryskała w górę, jak krew.“

Jeszcze potężniejsza, prawdziwie Goyowska, jest następująca wizya burzliwego morza:

„Edela słyszała groźny huk morza i szum wichru. I zdawało jej się, że długie łany morskie napęczniały robactwem i jajami, które wichur na ląd wyrzucał i w ludzi przemieniał. Ale łany morskie chwytaly ich znów, porywały i ściągały przeznaczonych na zagubę nazad za włosy, a potem połykały, zabijały... Pozostali przy życiu z płonącymi oczyma i chudymi członkami zabijali się wzajemnie, stawali pierś do piersi, zaciskali skostniałe z przerażenia pięście w koło opuchłych, sinych szyi. Ale w końcu, gdy już strach utracił swoją moc nad światem, przychodziło morze i zabierało ich. Potem błota; potem kołyszące się zielone pnącze morskie poczynały się poruszać, leżeć, wdzierały się na ląd, za nimi sączyła się woda, gulgotała i pluskała, a w końcu sunęło morze, porywając wszystko—tłuste kwiaty, ptaki bez pierza, opastych mężczyzny, kobiety o obwisłych ciałach—ryczało, wyło, wirowało...“

czasami znów obrazy Gysuego są pełne pogody i delikatnych odcieni, są jakby z tęczowej pajęczyny utkane i przypominają bajeczną paletę Whistlera.

„Kto zna owe tarasy, leżące u wybrzeża morskiego, jak gdyby czekały na czarodziejskie okręty o żaglach wielkich, okręty płynące z daleka, które rosną w oczach i leżą w końcu u białych stopni z marmuru, mieniające się i tajemnicze, semne i zamysłone?...” (nowela Vivienne).

Albo owa wytworna waryacya na temat wyrafinowanych barw i odcieni w stroju kobiecym.

„Suknie Vivienny były też pewnego rodzaju religią. Błado-liliowa toaleta z krepy z mdłemi perfami i kilkoma delikatnemi liniami zielonego złota. Czyż nie była to, jakby wotywa w S-te Chapelle? Ale były i sumy z tysiącem żółtych świec, z niebieskiemi obłokami kadzidel, z grzmiotem trąb, uderzających z brzękiem o szyby, ze skrzypcowemi tony, tulącemi się do niź, ze srebrnemi dzwonekami, których dźwięk biegł po korytarzach i złotemi połyskami ześlizgiwał się od ołtarza na modlący się, niemy tłum. O tak, były i toalety tego rodzaju. Swen myślał właśnie o jednej:—blado-różowe koronki na herbaciano-złotych jedwabiach, woskowo-żółte kule długiego bursztynowego naszyjnika, a wśród tych koronek, tego połysku złota — jej twarzyczka, jakby oblicze dziecka, podnoszącego z uśmiechem wzrok do patronki w błyskotliwo-pstrym przepychu ołtarza. Najpiękniejsze jednakże były owe ciche suknie, które czasami nosiła, owe wzruszająco proste suknie podobne do promieni słonecznych, padających przez witraże w po-obiednią pustkę kościelną, kiedy cisza sunie po zimnych płytach kamiennych, przez wysokie korytarze...” (Vivienne).

Jako stylistą należy dziś Gysae bezwątpienia do najwybitniejszych i najbardziej obiecujących talentów młodych Niemiec.

JAN KACZKOWSKI.

PIŚMIENNICTWO.

Dr. ZOFIA DASZYŃSKA-GOLIŃSKA. *Uście Solne*. Przyczyunki historyczno-statystyczne do dziejów nadwiślańskiego miasteczka. W Krakowie, nakładem Akademii Umiejętności. 1906. Str. 165.

Znana z prac naukowych autorka wzbogaciła nasze piśmiennictwo doskonałym w swoim rodzaju dziełem. Monografia jej: „Uście Solne“ opracowana wyśmienicie i wszechstronnie, wyposażona bogatym materiałem, opartym na źródłach archiwalnych, zasługuje ze wszech miar na miano wzorowej pracy, której zalety są tem jeszcze większe, iż przy dopełnieniu wszystkich wymagań formy ściśle naukowej, nacechowane jest wdziękiem powabnego sposobu opowiadania.

Autorka „z drobnych wskazówek, rozrzuconych zwykle“ — „po uszkodzonych zwykle i niekompletnych dokumentach wszelkiego rodzaju“ odtworzyła światek dawnego miasteczka w całości kształcie jego bytu od czasów Kazimierza Wielkiego aż do dni dzisiejszych.

Uście Solne, osadę odległą dwadzieścia kilometrów od Bochni, a leżącą przy spływie Raby z Wisłą podnosi rzeczony król polski w r. 1360 do rzędu miasta osadzając je na prawie magdeburkiem. Rozwija się ono głównie dzięki otrzymanemu magazynowi i warzelni soli bardzo pomyślnie, dobrobyt mieszczan wzrasta. Miasto posiada prócz magazynu soli i warzelni: dwa kościoły, szpital miejski, ratusz, szkołę, młyn wodny, dwa piwowary (browary) i dwie gorzelnie; prowadzi dość rozległą miernbę (handel) solą, drzewem, owocami, rybami i piwem. Istniejące cechy i korporacje rzemieślnicze świadczą o jego przemysłowości. Rządzi się zupełnie samodzielnie posiadając sąd wójtowski, urząd miejski, a dla sądzenia spraw drobniejszych nadto — sądy cechowe.

Wszystko to razem składa się na kwitnący stan miasta, trwający przez XVI, XVII i XVIII wiek. Przez zabór Galicyi, przez Austryę staje się upadek miasta datujący z XVIII stulecia najzupełniejszym, mieszczenie uboższą całkowicie i „chłopieją,“ jak się wyraża autorka, a z publicznych budynków posiada dzisiaj licha miłościna zachodnio-galicyska tylko jeden kościół i szkołę, a na miejscu, gdzie ongi wznosił się ratusz, stoi obecnie figura św. Floryana, patrona pożarów, gdyż mieszczenie, którzy za polskich czasów dwa razy odbudowawszy go po pożarze, pod rządami Austrii, gdy pożar zniszczył ponownie, nie mieli już środków dla jego odbudowy — wedle możności zaznaczyli miejsce zgliszcza figurą patrona pożarów.

W wieku XVI stanowiło Uście Solne podzrządztwo królewskie. Przywilej lokacyjny Kazimierza W. czyni je samorządnym miastem królewskim z wójtem sprawującym sądownictwo na czele, który podlega bezpośrednio tylko królowi lub jego sędziemu. Od wyroku wójta wolno bowiem odwoływać się do sądu najwyższego niemieckiego, na zamku krakowskim ustanowionego.

W latach 1445 i 1446 ośmiela się miasto prowadzić spór graniczny z wszechwładnym Zbigniewem Oleśnickim, co słusznie poczytać należy za dowód świetnego rozwoju miejskiego.

W życiu wewnętrznym miasta odgrywają główną rolę spory graniczne i klęski żywiołowe. Pożogi wojenne i pożary niszczą je kilkakrotnie. W r. 1737 szalony wicher „w pół przerywa kościół,“ „wywraca domy“ — czyni wielkie spustoszenia. Wylewy rzeczne zatapiające rynek, czynią również dość częste spustoszenia.

Składy soli, o których wspomina lustracja z r. 1560 po raz pierwszy, stanowią główną sprężynę ruchu miłośbiennego (handlowego) i zarobkowego. Autorka znalazła na miejscu dowód dokumentarny, iż Uście posiadało także warzelnię soli. Po sól przybywali do Uścia rozmaici obcy kupcy, głównie zaś ze Ślązka. Istnieją dla miłośby soli rozmaite spółki miejscowe. Kazimierz Wielki odwiedzając Uście Solne w r. 1363 nadaje miastu przywilej porządkujący stosunki miłośbienne. W r. 1550 otrzymuje miasto przywilej na odbywanie czterech jarmarków rocznie, jako też targów. Powstaje ratusz z kramnicą, izbą sądową radziecką, 3 sale dla sądów wójta i ławników, z więzieniami i wieżą dla straży nocnej.

Miasto królewskie dzierżawią rozmaite rody szlacheckie. Dzierżawca, Stanisław Morski, obchodzi się okrutnie z mieszczanami. Król Zygmunt III upomina go listownie, żeby mieszczan nie najeżdżał, nie zabijał, nie wieszał bez przyczyny. W XVII stuleciu

staje się Uście Solne starostwem. Starostowie równie gnębią mieszczan. Królowie bronią ich kilkakrotnie i wydają im listy żelazne.

Starostowie wykonywali władzę zwierzchniczą z ramienia królewskiego nad miastem, które posiadało swój własny rząd, składający się z dwóch władz: administracyjnej i rządowej. Rajcowie (*consules*) w liczbie czterech, sprawują zarząd miejski. Z nich po kolei wychodzi burmistrz (*proconsul*). Władza sądowa główna spoczywa w ręku wójta i ławników.

Mieszczanie mają zatargi i wiedzą spory nie tylko z dzierżawcami królewskimi i starostami, lecz także z duchowieństwem. W r. 1666 wykonują najazd w obronie swego prawa propinacyjnego na karczmę pokątną proboszcza Radość Rudzkiego w 14 ludzi, niszczą ją i zabierają wódkę. Podobny najazd czynią później na dom ks. Płoczyńskiego, prepozyta szpitala uścieckiego, w nocy, biją jego służbę i wypuszczają piwo z beczek.

Autorka przytacza mnóstwo innych jeszcze szczegółów z dziejów miasta, zaczerpniętych z rozmaitych źródeł archiwalnych.

Następujący rozdział o sądownictwie — to znowu dzieje obyczajowe miasta, opowiedziane żywo i barwnie, jak w powieści historycznej.

Sądy zasiadają co tygodnia. Zowią je „gajone“ lub nadzwyczajne,“ najczęściej zaś nie noszą żadnej nazwy. Wójt przewodniczy. Bez niego niema sądu. Ławnicy obowiązani brać udział w sądach pod karą więzienia „przez swój upór i niepamiętanie na jurament ławniczy.“ Strony zastępuje „plenipotent,“ rodzaj adwokata. Uście posiadało ich dwóch. Sądy bywały rozmaicie składane. Drobniejsze sprawy sądzili rajcy, jako też sądy cechowe.

Najczęstszą przyczyną procesów bywało: pobicie, kłótnie i wyzywania obelżywe zwane „wołowstwem.“ Słownik uścian był w tym kierunku obfity. Między grubemi wyrazami tego rodzaju znajdują się niektóre osobliwe, jak: „maczka,“ „koszyczek,“ „garneczek,“ „paciorka,“ „byczalica,“ „sobaka“ i t. d.

Spory rzeczowe toczą się najczęściej o działy ziemskie, o szkody w polach, o drzewa owocowe i o pszczoły. Z tego okazuje się, że mieszczanie obok innych zajęć trudnili się rolnictwem. Miasto posiadało też głównie znamię rolnicze. Kradzieże zdarzają się rzadko, o zabójstwach prawie niema wzmianki w księgach miejskich, względnie w protokółach sądowych. Mieszczanie wymyślają czasem rajcom od „złodzieja“ i „chłystka,“ wykpiwają też wójta. Następnie zaorują się w wspólne pastwiska, wiedzą spory z magistratem.

Sąd karze winnych surowo, lecz sprawiedliwie. Stoi on ostro na straży moralności, religijności i czystości obyczajów.

Raz parobcy i słudzy rozmaitych mistrzów pili i tańcowali we wtorek zapustny, gdy już dzwoniło na pacierze. Burmistrz upominał ich i odpędził gęźbą, na co oni odpowiedzieli odpędzeniem burmistrza. Sąd miejski zajmował się tą sprawą przez cztery miesiące, w końcu skazał winnych na 20—60 plag, postanawiając zarazem, iż parobkowi, któryby się porwał z czynną zniewagą na głowę miasta, ma być odrąbana ręka.

Mistrz cechowy Dudziński otrzymuje karę więzienia i grzywnę za pobicie, jako też za wykroczenie przeciw „przywilejom króla Linci chcąc przyłączyć garbarzy do cechu szewckiego.”

Z tego wypadku wysnuwa autorka wnioszek, że „zestawienie bijatyki i warcholstwa, wykraczającego przeciw ustawom, jest charakterystyczne dla panującego wśród mieszczań ducha, który jednakowo potępiał gwałty jak i nowatorstwo.”

Kary bywały zwykle trojaki: więzienie, opłata w pieniądzu i wosku, jako też chłosta. Więzienie „górne” w ratuszu było lekkie, „dolne” zaś za kładką cięższe. Chłost używano, jako kary za wykroczenia przeciw moralności i obyczajności. Winowajcę stawiano często pod pręgierz i smagano różgą po 25, 50, 60 a nawet 100 razy — w odstępach czasu.

Zdarzały się też kary śmierci, wykonywane przez „poprawnych mistrzów” (katów). Można się domyślać na podstawie zapiszków w księgach miejskich, iż w sprawach kryminalnych używano tortur.

Sądy zabraniały pod karą wypominanie kary tym, którzy ją już przebyli, albowiem „ukarany niema na dobrej sławie cierpieć.”

Mieszczanie pokładając wielkie zaufanie w sądach, przekładają im nawet spory małżeńskie do rozstrzygnięcia. Mężowie bywają pociągani do odpowiedzialności za występki żon. Misiorowski otrzymuje karę 3 dni więzienia i grzywnę za kradzież, popełnioną przez jego żonę z powodu, że jej „nieutrzymywał.” Żona zaś została skazana na więzienie „za kładkę” przez cały wielki post, zwrot skradzionych rzeczy, na grzywny i odbieranie plag w każdy piątek.

Występki przeciw moralności bywały zawsze ostro karane.

Sąd miejski skazuje czeladnika Byczkowskiego za uwiedzenie swej majstrowej Głęczkiewiczowej na więzienie „dolne,” 25 plag i na wykluczenie od wszelkiej roboty w mieście ponieważ „cudzej żony całować nie wolno, chyba za nogi jako majstrową.” Majster otrzymuje również karę. Musi dać po funcie wosku dla

każdego ołtarza w kościele farnym i 4 grzywny uścić sądowi. Córkę mieszczaną Ratajkę, która zaszła w ciążę od parobka i porodziła dziecko nieżywe potajemnie, co wzbudza podejrzenie, iż je zabiła, skazuje sąd na karę śmierci, którą sąd dopiero przez wstawienie się księży uścieckich zmienia na liczne dary dla kościoła i pobożne pielgrzymki. Parobek—uwodziciel, ten „niecnota, co z gospodarską córką popełnił grzech niejako z służebną, ma odebrać w kładźce różg sto.“

Pyciakówna, która miała dwóch kochanków, otrzymać ma 60 plag, lecz po narodzeniu dziecka.

Pewną wesołą wdówkę, „za niepamiętanie na czystość wdowią“ skazuje sąd na więzienie „górne“ i 25 plag przez trzy dni pod przegierzem.

Ścigano też czarownice. W r. 1760 ponosi Agnieszka Studzyna, uznana za czarownicę, śmierć na torturach. Inną kobietę posądzoną o czary, uznaje sąd niewinną.

Autorka przytacza wiele wyroków sądowych, które razem wzięte tworzą zwierniadełło dla obyczajów ówczesnych miasta. Wyroki te trzeba było mozolnie wydobywać z pyłów archiwalnych umiejętną ręką. Z zadania wywiązała się autorka znakomicie.

Cechom poświęca osobny rozdział, który nam przedstawia znowu wypukle obraz życia gospodarczego mieszczan i ich urządzeń społecznych. Cechy istnieją w Uściu Solnem od XVII stulecia. Skupiali się w nich od samego początku rękodzielnicy polskiej narodowości. Raz tylko znajduje się w przywileju krawieckim wzmianka o niemieckich członkach tego cechu. Pomiędzy nazwiskami członków cechowych nie znajdują się jednak nigdzie nazwiska niemieckie.

Najstarszy był cech krawiecki. Przywilej ten cechowy pochodzi z r. 1628. O czterech innych cechach: rzeźnickim, szewckim, kuśnierskim i „spólniczym,“ który obejmował cały szereg zawodów rzemieślniczych, dowiadujemy się z lustracyi r. 1661, która mówi także o tkaczach i piekarzach, widocznie cechu jeszcze niemających.

Cech wspólniczy składał się z: bednarzów, kowalów, stolarzy, kołodziejów, rymarzy, kotlarzy, powroźników, snycerzy i organistów. Rej wodzili w nim bednarze, których rzemiosło było najznaczniesze w mieście z powodu zapotrzebowania beczek przez magazyn solny, jako też dla mięłby soli, którą sprzedawano beczkami.

Cech piekarski zawiązał się najpóźniej, lecz bez przywileju królewskiego. Dlatego kpią sobie inne cechy z piekarzy mówiąc im: „Wasz przywilej piekarski pies na ogonie nosi po kierzach.“

Wożenie soli stanowiło ważną gałąź zatrudnienia. Wyrabiano też w mieście piwo i gorzałkę. Rejestr szeląznego z r. 1644 wykazuje 120 beczek piwa ćwierócznie po cenie 8 złp., co przedstawia roczną wytwórczość 480 beczek wartości 3840 złp., sumę na owe czasy wcale znaczną.

Nadto warzyli mieszczanie piwo dla własnego użytku w „garnkach.“

Wyrób gorzałki wynosił rocznie 723 garnce, prócz tego, co po domach palono jej dla własnego użytku.

Sprawa postrzygaczy sukna pozostaje niewyjaśnioną. Wiadomo bowiem tylko tyle, że mieli oni siedzibę w ratuszu. O wyrobie sukna księgi miejskie milczą.

Kobiety nie były wykluczone z cechów, do których przyjmowano też niekiedy rolników z okolicy. Cechy uścieckie nie były obowiązane do obrony miasta, które też nie posiadało murów warownych. Bracia cechowi nosili jednak broń i „składali“ proch. Ustawa cechu piekarskiego powiada: „Jeżeliby z rozkazania urzędowego na jaką potrzebę pospolitą było potrzeba tego, aby z bronią stanąć rozkazano, ma być od starszej braci dwóch na to deputowano, którzyby się ktemu godzili wyprawić z orężem.“

Cechy uścieckie posiadają wyraźną cechę zjednoczeń zawodowych. Bracia cechowi kupują materiał solidarnie. Nadto mają cechy wyraźne znamię religijne, tworząc bractwa pod wezwaniem jakiegoś świętego i posiadając chorągiew z wizerunkiem patrona. Cechy spierają się niekiedy między sobą. Kuśnierze mają w połowie XVII wieku zatarg z rzeźnikami o barany, z których pierwsi biorą skórę, drudzy mięso. Cech krawiecki wkracza w zakres działania kuśnierzy, szyjąc futra, stąd zwada.

Autorka nie zapomina o nazwiskach starych mieszczan uścieckich. Dawniej przeważały takie, jak: Grzesicha, Rosa, Rochwał, Konewczyk, Olexik, Śliwka i t. p. W spisie cechowym z r. 1804, podającym 25 nazwisk braci cechowych, wszystkie nazwiska kończą się na — ski.

Tłómaczy się to tem, iż w Polsce nazwiska z końcówką — ski są wogóle późniejsze. Pierwsze takie nazwiska brane od miejscowości pojawiają się u szlachty, piastującej wyższe dostojęstwa w państwie, dopiero w XVI wieku. Później przechodziły stopniowo na szlachtę miejską, a następnie na mieszczan, którzy,

przybierając na wzór szlachty takie nazwiska, uważali w tem pewne wywyższenie dla siebie.

Z dziejów cechowych w Uście Solnem wysnuwa autorka niektóre uwagi, posiadające ogólniejsze znaczenie. Powiada ona między innymi: „Powstanie cechu mogło odpowiadać istotnej potrzebie, która była wyrazem konieczności zbiorowego regulowania interesów, albo też była przejawem zwyczaju dążności towarzyskich, naśladownictwa i t. p.... Ekonomiczny podkład dla powstania cechu występuje najwyraźniej dla rzemiosła bednarzy, którzy mieli stałe zatrudnienie, dzięki zapotrzebowaniu magazynu soli i handlu tym produktem. To też przywilej bednarski, jakkolwiek nie ustanawia samodzielnej korporacyi, obejmuje najwięcej przepisów istotnie gospodarczych i zawodowych... Na gruncie rzeczywistych interesów, już nie tyle zawodu, co ogólnomiejskich, powstały cechy rzeźników i piekarzy... Zapobiegliwy urząd miejski nie pozostawia tedy dostarczania tych przedmiotów swobodnej inicjatywie interesowanych, lecz stawia dokładne normy, pozwala przywozić mięso socharzom, nakazuje wypiekać pewne ilości chleba, nakłada taksy, słowem, pomijając interesowane jednostki, ma przedewszystkiem na oku dobro ogółu.“

Pod rządem austriackim Uście Solne upadło gospodarstwo, tracąc po części znamię miejskie, a tak samo cechy straciły znaczenie gospodarcze, istniejąc obecnie prawem bezwzględności i utrzymując się jako zjednoczenia towarzyskie oparte na tradycyi, jako rodzaj arystokracji miejscowej. Religijne znaczenie cechów nie upadło, lecz owszem wzmogło się, „wypełniając właściwie ich treść.“ Autorka tłumaczy socjologicznie zjawisko to słowy: „Cech daje gotowe formy do wypełnienia zbiorowego obrzędów kultu. Dlatego też i nowo-tworzące się korporacye, które nigdy interesów zawodowych nie miały, przez naśladownictwo, przez prawo społecznego mimikry przybierają formy cechów. Mieszkańcy pielęgnują przeżytki form, które świadczą o minionej świetności ich siedziby, starają się mnożyć grupy o tym samym charakterze.“

Szesty rozdział dzieła omawia rolnictwo miasta. Znajdują się w nim spisy gruntowe, podział własności rolnej, przychody gruntowe, wyniki gospodarstwa polowego, spis posiadłości wiejskich w lasach i o pastwiskach, hodowla warzyw i owoców, mienba, dzierżawy, dziedziczenie gruntów i wzrost gospodarstw, wszystko jaknajdokładniej i ściśle statystycznie wykazane, co wartość naukową monografii znacznie podnosi, jednak ogólniejszego interesu wzbudzać nie może, a dla tego części tej bliżej roztrząsać

nie będziemy, zaznaczając tylko, że uścianie zajmowali się hodowlą bydła i handlem bydła, uprawiali warzywnictwo i sadownictwo, zawodowo smażyli powidła i prowadzili pszczelarstwo na większe rozmiary, jako też zajmowali się rybołówstwem.

Ostatni rozdział dzieła poświęcony wyłącznie ludności Uścia Solnego. Ludność jego rdzennie polska. Niema wśród niej żadnych śladów kolonizacji niemieckiej. Dzieli się ona już w XV wieku na mieszkańców miasta i przedmieść, na ludność podległą niemieckiemu i polskiemu prawu, a więc na mieszczan i chłopów. W XVI stuleciu mieszkali w Uściu także Żydzi. W r. 1610 usuwają ich mieszczanie tak, iż pod koniec XVII w. księgi miejskie wykazują jedno tylko nazwisko żydowskie. Dopiero od lat 20 poczęli Żydzi osiedlać się w miasteczku, ujmując w swe ręce sklepikarstwo.

O zamożności mieszczańskich rodzin za dawnych czasów, świadczy strojność uścianek ówczesnych i ich stosowanie się do mody, o czem świadczą niektóre testamenty. Regina Druzgalina rozporządza w r. 1767 swą stosunkowo liczną garderobą testamentarnie w następujący sposób:

„Sukienkę zieloną z futrem oddaję córce Kunegundzie, drugą starą, jasną, nakrapianą, z futrem—synowej, oddaję spodniczek dwie: jedną szarawą, zieloną, drugą pisanką, te dyspozycyi córki daję, którą sobie z tych weźmie, bo jedną synowej oddaję.

„Zawieciów mam dwa: jedno ze strzępkami, drugie z koronkami, oddaję córce Kunegundzie ze strzępkami, wnęcco (wnuce) synowej z koronkami. Fartuszków mam dwa: jeden szkotowy, drugi lniany wnęcco synowej. Pierzynę ze wszówkiem i poduszek dwie oddaję córce Kunegundzie, a trzecią oddaję wnęcco synowej.“

Agnieszka Cipciorska (1768) wymienia w testamencie daleko bogatszą garderobę:

„Sukienka nowa szafirowa z fałdami, sznurówka błękitna, fartuszek cienki bez koronek, 2 obrączki szczerozłote, pierścionek szczerozłoty z kamykiem, sukienka zielona stara, spódnica żółta szajowa, sukienka oliwkowa, spódnica szajowa błękitna, spódniczka biała z czerwonymi prążkami. Korali większych 3 nitki, mniejszych 4 nitki (przedtem 5 córek dostało korale). Rańtuch z koronkami, rańtuch ze strzępkami.“

Bardzo obszernie i szczegółowo traktuje autorka statystycznie liczbę ludności dziejowego Uścia, wypośrodkowując ją w XVII stuleciu na mniej więcej 1250 dusz, przyczem na podstawie dowodów obala liczbę przez Pawińskiego przy wyliczeniu miast, objętych spisem poborowym w r. 1581, dla Uścia Solnego podaną na

blisko 600 mieszkańców. Autorka wykazuje, że liczba ta obejmuje nie całą ludność miejską, lecz tylko płacących pogłównie, ogólna zatem liczba ludności musiała niewątpliwie wynosić co najmniej dwa razy tyle. Opiera ona swe obliczenie na liczbie 250 osad, podanych w przywileju (r. 1644) na budowę ratusza, posługując się mnożnikiem 5, z czego wynika liczba 1250. Obecnie ma Uście Solne podług spisu ludności z r. 1900 mieszkańców 1507.

Jedyny zarzut, jaki możnaby uczynić autorce, byłby ten, że dwa ostatnie rozdziały dzieła a szczególnie ostatni, aczkolwiek przedstawiają one bardzo bogaty materiał retrospektywny, są za nadto przepełnione wykazami statystycznymi w rzeczach niekiedy bardzo drobnostkowych i podrzędnych, przez co strona naukowa monografii awydatnia się niezawodnie, lecz kosztem poczytności całości. Przy zwężlejszem traktowaniu rzeczy byłaby całość jednolitsza i bardziej zaokrąglona, zwłaszcza, że tablice statystyczne, których jest sporo, można było pomieścić bardzo dobrze w „dodatkach,” znajdujących się przy końcu książki. Wskutek nadmiaru tablic statystycznych wydawać się może zakończenie dzieła, stylistycznie bardzo powabnego, nieco mdłe, a to wrażenie całości osłabia bez potrzeby.

Lecz zbytek w ścisłości naukowego opracowania, wymagającego dużo trudu i mozółu, nie jest właściwie zarzutem. Owszem, jeśli się abstrahuje od ogółu czytelników, można go poczytać za zaletę. Jeśli jednak wspominamy o tem, czynimy to dlatego, iż pragnęlibyśmy gorąco, żeby praca tak pożyteczna i znakomita, jak niniejsza dr. Daszyńskiej-Golińskiej, utorowała sobie drogę do jak najszerszego koła czytelników i zdołała rozpowszechnić zastygłe u nas miłośnictwo do badania dziejów miejscowościowych i pobudzić innych do tworzenia podobnie cennych cegiełek, z których będziemy wznosić gmach całokształtu naszego obyczajowego i społecznego życia, — naszych urządzeń i zwyczajów, jednym słowem naszego całego życia kulturalnego w przeszłości.

W tym kierunku powinno „Uście Solne“ służyć za prawidłowego przewodnika, za wzór.

Nie należy w końcu pominąć milczeniem „Zakończenia,” w którym autorka streszcza swe poglądy na dziejowe, zbiorowe życie w Uściu Solnem. Powiada ona, że aczkolwiek „nauka wykluczyła już dziś zupełnie pedagogiczne znaczenie historii,” to mimo tego, jeżeli „owa mistrzyni wykaże na całkiem obiektywnej drodze ewolucję faktu dziejowego od chwili jego pojawienia się, aż do lat ostatnich, będzie to *mimowolna nauka*, — jaką daje życie pojęte w swem najobszerniejszem znaczeniu, jako związek czynów poko-

leń dawnych i dzisiejszych.“ Jeżeli śledzenie takiej ewolucyi, co do całych narodów lub znacznych ich kompleksów, staje się „prawie niemożliwym,“ inaczej zupełnie przedstawia się rzecz, gdy chodzi o drobny całokształt. „W takim kompleksie formy życia i ustroju wewnętrznego przejrzyć się dają w swej ewolucyi, aż do czasów współczesnych.“

Zbiorowego życia w Uściu cechą jest stałość stosunków, „oraz drobne runy, w których te stosunki zawsze się obracały.“ „Ewolucya czysto wewnętrzna kompleksu naszego, zetknięcie się wielokrotne z groźbą sił elementarnych, a znacznie rzadsze podleganie wpływom innych zbiorowisk ludzkich, oto jak się zdaje, treść filozofii dziejowego życia mieszkańców,“ na których tem silniej oddziaływa otaczająca przyroda. Trwałość stosunków równa się prawie zastojowi, w którym obowiązki religijne ważny stanowiły czynnik.

Autorka kończy słowy:

„Miasteczko nasze stanowi dziś jeszcze kompleks o formach nader pierwotnych, ale silnie zwarty przez tradycje historyczne i niesłychanie konserwatywny, dzięki nieprzerwanemu ich trwaniu przez okres pięciu stuleci.“

W końcu wspomnieć należy o „Dodatkach.“ Zawierają one cenne materiały, jako to: „*Registrum sales cocturae Uieski 1695,*“ „*Distributi huius Cocturae,*“ „*Summarius cocture Uieski.*“ Przywilej bednarski z r. 1614, „kopia Prawa Najjaśniejszego Króla Imci Pana Naszego Miłościwego Zygmunta III z r. 1628 i przywilej króla Władysława IV z r. 1644 na budowę ratusza.

W archiwum uścieckiem przechowuje się sporo starych dokumentów. Mieszczanie przejęci tradycją minionej świetności miasteczka otaczają je czią nadzwyczajną. Autorka opowiada, że zanim jej przywileje królewskie oddawali do przejrzenia, czynili to po przyklęknięciu i pocałowaniu pieczęci znajdujących się przy nich.

G. SMÓLSKI.

HIERONIM ŁOPACIŃSKI. *Wiadomości o marmurach w Polsce.* Sprawozdania komisji do badania historii sztuki w Polsce, tom VII, szpalty 581—596. Kraków, nakładem Akademii Umiejętności, 1905.

Rodzime budowlane materiały w każdym kraju wywarły znaczny wpływ na rozwój i ogólny charakter dzieł architektury oz-

dobnej i rzeźby, tych materiałów potrzebujących. Tam, gdzie posiadano marmur, ów najpodatniejszy kamień dla rzeźby, a naj-ozdobniejszy w architekturze wskutek zabarwień różnorodnych i łatwości polerowania, tam obie te sztuki prędzej się rozwijały i znakomicie wyzyskać umiały korzystne warunki naturalne. Gdzie marmurów nie miano, tam albo je sprowadzano z odległych krajów, albo ograniczyć się trzeba było na piaskowcach, w wyjątkowych razach stosując kosztowny, lecz okazały odlew brązowy. W tem właśnie położeniu była Polska przez wieki średnie. Pomnik Łokietka z piaskowca wykuto. W XIV w. jednak rozpowszechnił się u nas marmur węgierski, z którego już wykonano grobowiec Kazimierza Wielkiego na Wawelu i bardzo wiele następnych pomników. W XVI w. początkowo zaczęto sprowadzać, obok niego, marmur sałcuburski, czerwony, płamisty, a od połowy tego wieku ciemny, wiśniowy, jak to wykazał prof. Sokołowski. Wtedy też zwrócono po raz pierwszy uwagę na łomy zbitego, krajowego, ziarnistego wapienia, zabarwionego czerwono-czerwonym tlenkiem żelaza, lub na czarno węglowymi i innymi składnikami, w połączeniu z żyłami kwarcu lub kalcytu. Napotkano na te formacje przedewszystkiem w Chęcinach i w Czernej lub Dębniku sąsiednim. Nie był to marmur właściwy o przełomie ziarnistym i błyszczącym, lecz gorsza jego odmiana, zdatna do wykonania części architektonicznych, kolumn, belkowań i pawimentów. Za pomocą polerowania otrzymano świetny połysk i piękną grę barw rozmaitych, tem szczególniejszych, że najzupełniej odpowiadających duchowi czasu, w którym odkryto nasze marmury. Przeważały bowiem zabarwienia czarne lub ciemne, ulubione pod koniec XVI wieku nie tylko w architekturze, lecz także w strojach i tkaninach. Kto tego dokonał, niewiadomo. Dość, że już Gwagnin chwali sławne, chęcińskie szyby marmurowego kamienia, podczas, gdy Długosz jedynie obfitość lazuru w Chęcinach zaznaczał. Dobytą lazuru, natrafiono zapewne na marmur, a było to prawdopodobnie w połowie XVI w. Odtąd bowiem coraz więcej stawiano pomników z krajowych marmurów. Kraków i Warszawa posiadają ich mnóstwo, a wnet po całej Polsce rodziny ten materiał się rozpowszechnił. Wziętości jego najwymowniej dowodzi, że dębnickiego marmuru użyto do grobowca Arzata w kościele św. Magdaleny w Wrocławiu w 1581 r., a w epoce następnej nawet w Wiedniu użyto go do ołtarza w kościele Św. Szczepana w 1646 r.

Sprawa polskich marmurów poruszoną była w ostatnich czasach przez prof. Maryana Sokołowskiego w artykule: *Zagadkowy*

nagrobek katedry gnieźnieńskiej. Wit Stwosz i marmury naszych pomników w XV i XVI w. (Sprawozdania kom. do badania historii sztuki w Polsce, t. IV, str. 153 i n.). Następnie podawane były o nich wiadomości źródłowe przez p. Juliana Pagaczewskiego w VI tomie, str. LIII *Sprawozdań*, mianowicie o wykonanych robotach z marmurów dębnickich do Pożajścia Paców na Litwie w latach 1675—1690, a wreszcie i przezemnie w *Monografii Dukli* str. 112 i 113, gdzie wśród innych zabytków okazałych znajduje się pomnik Maryi Amelii z Brühlów Mniszchowej, całkowicie z marmuru z Czerny wykonany w latach 1772—1773.

Prof. Hieronim Łopaciński, którego tak nagłą i niepowetowaną stratę poniosła nauka polska, pozostawił nam cenną pracę, po raz pierwszy obejmującą całość dotychczasowych wiadomości o marmurach w Polsce. Z zadziwiającą skrzętnością zostały one przez autora zebrane i chronologicznie ułożone. Praca ta jest wyłącznie zestawieniem źródeł, nie sięgających po za koniec XVI w., a chociaż wielu kwestyj nie rozstrzyga, przyczynia się znacznie do rozjaśnienia sprawy ważnej dla dziejów naszej sztuki. Materiał zebrany w niej nie powinien pozostać obcym naszym geologom i historykom. Kto wie, czy nie zachęci nawet do podjęcia na nowo robót w niektórych kopalniach od wieków zaniedbanych. Bo teraz znów jesteśmy w warunkach nie lepszych niż w XVI w. Przy nowych budowach sprowadzają nasi architekci zagraniczne marmury, nie wiedząc prawie o istnieniu krajowych, które niegdyś sławne były w całej Polsce i po za jej granicami. Z osobistego doświadczenia mogę twierdzić, że roboty z krajowego marmuru wykonane w bliskości łomów, o połowę taniej wynoszą, niż z marmuru zagranicznego. Brak inicjatywy ze strony przedsiębiorców, a z drugiej strony brak prawdziwego zamiłowania do tego, co nasze, swojskie u szerszego ogółu, są przyczyną, iż kopalnie wznowione w kraju z najlepszymi początkowo widokami powodzenia i zysków, obecnie już upadają. W innych stosunkach żądanoby, jako warunku zasadniczego przy każdej większej budowie, użycia wyłącznie krajowych marmurów, przez coby wszyscy na tem dobrze wyszli, gdyż koszt budowy byłoby niższe, zamówienia sztuk potrzebnych łatwiejsze i dające się prędzej skuteczniej lub dogłębniej przez budowniczego. Przedewszystkiem jednak budynki nowe straciłyby w znacznej mierze swą obecną banalność, nieporównaną zwłaszcza w nowych gmachach Warszawy, gdzie nie tylko użytek materiałów budowlanych, ale i cała koncepcja architektoniczna szablonowości uniknąć dotychczas nie mogły. Gmachy nasze, przystrojone rodzinnymi mar-

murami obficiej, bo taniej, nabrałyby cechy miejscowej, której napróżno szukać tam, gdzie wszystko sprowadzają z za granicy.

Pragnąc zaznajomić z pracą prof. Łopacińskiego tych, co rzadko lub nigdy nie zaglądną do *Sprawozdań Komisji do badania historii sztuki w Polsce*, przejdę obecnie do pobieżnego przeglądu materiałów, zebranych przez tego niestrudzonego i wszechstronnego badacza, a przede wszystkim wielkiego znawcy i miłośnika kraju ojczystego.

List Jana Firleja z 1599 r. do Zygmunta III o restauracyi zamku krakowskiego, znajdujący się w odpisie w zbiorach d-ra Wacława Lasockiego w Nałęczowie, przytacza wśród niejakich szczegółów, jak: pokój, do którego w Wenecyi malowanie robiono—kamień na filary, wyrabiany w Olobiezicach (zap. Olbierzowicach), piece kaflowe z Łowicza, posadzkę z Chęcín, której tam nie polerują, a tak prosto obijaną posyłają. Dotychczas też widzimy na Wawelu piękne odrzwia, kominki i posadzki z tej właśnie epoki. Rzączyński w swej *Historia naturalis regni Poloniae* etc. (1721 r.) podaje obszerniejsze wiadomości o marmurach krajowych, pochodzących z Solca, Kunowa, Chęcín, skąd wydobyto kolumnę zygmuntofską w Warszawie, Czarnokozińce na Podolu, gdzie wiele ozdób wyrobiono dla katedry kamienieckiej. Dalej przytacza wydobywanie pięknych marmurów na Pokuciu koło Stanisławowa, w Skale, Dębniku Czarny, skąd Kraków i wielka część Polski czerpała materiał na ołtarze wspaniałe, grobowce i pawimenty, wreszcie w Szydłowcu, Kamionce i w Prusach. Alabaster znajdował się w Czarnokozińcach, Jagielnicy, Żurowie, Czarnej, Skotnikach, koło Halicza, Lwowa i w Skale. Lazury wydobywano w Chęcínach. Bystrzonowski 1743 r. w swojej *Informacyi* etc. podaje wiadomości wzięte z poprzedniego źródła. Toż samo można powiedzieć o *Nowych Atenach* Chmielowskiego z r. 1745.

Nowe szczegóły daje Duńczewski w Kalendarzu Zamoyskim na 1767 r. o porfirze z okolic Tenczyna, o marmurach ze Skwały, Kamionki, Chęcín, z nad brzegów Dniepra i z Kudryniec na Podolu, z Halicza, Boroczan, Olszanicy, Miru, Buczacza, okolic Gdańska. Alabaster z Czarnokozińiec, na Podolu, Woisk, na Pokuciu, skąd przywieziono przezroczystry alabaster dla wykonania 1581 r. ambony w kościele Św. Magdaleny w Wrocławiu. Lazurowy Chęcín, Pińczowie, w Tatrach i w województwie kijowskiem. Nie nowego nie podaje i pierwszy podręcznik polski mineralogii ks. Krzysztofa Kluka z 1781 r., i *Historia naturalna* Królestwa Polskiego ks. Remigiusza Ładowskiego z 1783 r., ani też rozprawy

Staszica o ziemiorodztwie Karpatów, lub niemiecka książka o Polsce Fr. Józefa Jekla z r. 1806. Wzmianki niektóre zawiera niewydany dotąd *Dyaryusz podróży* Jana Rostworowskiego z 1813 r. Obszerniejsze wiadomości podał Ambroży Grabowski w II-im wydaniu Krakowa i jego okolic z r. 1830, a następnie H. Łabęcki w dziele *Górnictwo w Polsce* z 1841 r., zwłaszcza o marmurach chęcińskich.

Najwięcej dowiadujemy się od F. M. Sobieszczańskiego w ogłoszonej w „Bibliotece Warszawskiej“ 1852 r. *Wycieczce archeologicznej* etc. Za czasów Zygmunta III były w Chęcinach kopalnie marmuru prowadzone „nakładem i na potrzebę J. K. M., na ozdobę kościołów i zamków kosztem jego wznoszonych“ Gmachy tego panowania wszystkie dochowały schody, odrzwia, futryny okienne, ołtarze i t. p. z marmuru chęcińskiego wykonane. Opiera się on na poprzednich źródłach, na lustracyach, Starowolskim, Opalińskim, na opisie podróży uczonego mineraloga Jana Filipa Carosiego z 1778 r., który sporządził pierwszy dokładny opis marmurów chęcińskich, lecz „znalazł łomy ich w zaniedbaniu i zniszczeniu, kamienie zaś powierzchownie tylko niekiedy wydobywano. Za Stanisława Augusta sprowadzono Włochów do Czarniej i Dębника, którzy pod kierunkiem Bacciarellego pracowali. Król ozdobił marmurem chęcińskim salę zamkową, zwaną dotychczas salą marmurową, lecz niestety odartą obecnie z swych pięknych ozdób. Sala ta już za Władysława IV miała marmurowe obłożenie ścian, które ostatni nasz król z gruntu odnowił i przyozdobił dziełami rzeźby i malarstwa Le Bruna i Bacciarellego. W r. 1882 zamierzano urządzić w Chęcinach przy fabryce marmurów szkołę rysunkową i rzeźbiarską, a minister Mostowski polecił zdjęcie planów kopalni. Fabryka jednak upadła i w 1833 r. ją zamknięto. Bardzo pracowicie określił Sobieszczański 21 miejsc, gdzie były góry zawierające marmur, podając wiele szczegółów o gatunkach, odmianach, zdatności, oraz o rozmiarach kopalni.

Z następnych źródeł wymienić należy: *Podróże historyczne* Jul. Urs. Niemcewicza wyd. 1858 r., *Początki mineralogii* L. Zającznera 1861 r., *Technika materiałów budowlanych* Józefa Czerwińskiego 1878 r., *Wewnętrzne dzieje Polski* Korzona wyd. II, 1897 r., gdzie są cytowane źródła do historii fabryki marmurów dębnickich, znajdujące się w Jabłonnej, mianowicie kontrakty, listy, księgi rachunkowe i różne papiery.

O obecnym stanie marmurów chęcińskich, czyli kieleckich, ogłosił szczegółły nowe Wincenty Choroszewski w Wielkiej Encyklopedyi ilustrowanej, t. XI, 1893 r., str. 548—550. Nowo-po-

wstałe wtedy „Przedsiębiorstwo kopalni marmurów kieleckich“ stopniowo a stale podnosiło swoją produkcję, która obecnie już upada. Stanisław Polaczek w pracy p. t. *Powiat Chrzanowski* 1898 r., zebrał wiele wiadomości o marmurach dębnickich. Wreszcie znajdujemy znane przeważnie już wiadomości w wydawnictwach najświeższych: *Wycieczki po kraju* Aleksandra Janowskiego 1900 r., *Opisanie Królestwa Polskiego* przez S. 1901 r., *Rys geografii Królestwa Polskiego* Konstantego Krynickiego 1902.

Wiadomości o marmurach w Polsce, zebrane przez prof. Łopacińskiego, skupiają się przeważnie około Chęcín i Czerny lub Dębniaka. Inne miejscowości, uposażone tem naturalnem bogactwem, prawie tylko że z samej nazwy znamy; brak wszelkich obszerniejszych danych, gdyż nigdy drukiem ich nie ogłoszono. Byłoby pożądanem, gdyby osoby, posiadające wiadomości o jakiejkolwiek kopalni marmuru lub alabastru w kraju, zechciały przestać je Akademii Umiejętności w Krakowie, czemby się nauce naszej rzetelnie przysłużyły. Skrzętna i pożyteczna praca ś. p. Hieronima Łopacińskiego znalazłaby wtedy uzupełnienie, a może dałaby pobudkę do wskrzeszenia gałęzi przemysłu krajowego, oddawna zaniedbanej i obecnie leżącej prawie odłogiem.

DR. EMMANUEL ŚWIEYKOWSKI.

Kronika miesięczna.

Z nastrojów chwili.—W sprawie kształcenia się naszej młodzieży zagranicą.— Informowanie cudzoziemców o Polsce. — Przejście szpitali pod zarząd miasta.

Jesteśmy społeczeństwem bardzo wrażliwym.

Po chwilach podniesienia duchowego i nadziei ożywionych nastąpił obecnie w Polsce okres depresji, posuniętej zadaleko. Wszędzie panuje przygnębienie, graniczące z apatią. Wszędzie tętno naszego życia osłabło, a ręce, tak niedawno rwące się do pracy, zaczynają opadać.

Jest to objaw bardzo charakterystyczny, bardzo znamieny. Dowodzi on, że nasze wyrobienie polityczne wciąż jeszcze jest bardzo małe, że nie zdajemy sobie tak bardzo sprawy z tego, czem właściwie jest walka polityczna.

Taką walkę podjęliśmy, jako naród, przy pomocy reprezentacji naszej w Petersburgu, ufni w słusność naszych dążeń i w niewzruszoność naszych praw. Z góry jednak powinniśmy byli wiedzieć, że walka taka nie prowadzi do zwycięstwa z dziś na jutro, że idzie tu o rzecz wielkiej wagi — o odwrócenie całej karty historii dwóch narodów, o rozpoczęcie nowej ery w ich wzajemnych stosunkach.

Tylko naiwna publiczność wiecowa, oszołomiona hasłami i popularnemi punktami programów partyjnych, mogła wierzyć, że nowa epoka, oparta na wielkich zdobyczach politycznych, rozpoczyna się w historii tak łatwo, jak nowy akt dramatu na scenie, gdzie w ciągu kilku minut dokonywa się zmiana dekoracji i na dany przez inspicjenta sygnał, za pociśnięciem guzika elektrycznego kurtyna idzie w górę.

Każdy zaś człowiek, który miał kiedykolwiek z polityką do czynienia, wie, że w walce politycznej są nie tylko zwycięstwa,

ale i klęski, nietylko tryumfy, ale i porażki, że proces historyczny takiej doniosłości i wagi, jak ten, na który sądzono patrzeć naszemu pokoleniu, potrzebuje czasu do rozwinięcia wszystkich swoich fermentów, do przetrawienia form starych i wyprodukowania tkanki nowego bytu.

Z góry też powinniśmy byli przygotować się na to, że obok rzeczy radosnych i napełniających nas otuchą, mogą nas także spotykać zawody i rozczarowania.

Tymczasem pierwsze niepowodzenia, pierwsze podmuchy budzącej się reakcyi wytrąciły nas do pewnego stopnia z równowagi.

Oczywiście, sytuacja jest niepomyślna i ciężka. Tego nie można tańc. Przeciwnie, należy sobie dobrze zdawać z tego sprawę.

Ale czy sytuacja ta jest dla nas zupełnie nową? Czy w okresie długoletnich naszych zmagania się z przeciwnościami losu nie zdobyliśmy jeszcze tyle hartu i woli mężkiej, ażeby śmiało spojrzeć w oczy krzywdom, które nam się dzieją i z mocą powiedzieć sobie: „wytrwamy, jak wytrwaliśmy rzeczy gorsze i bez porównania więcej budzące obaw o przyszłość.“

Naród, zmuszony do walki o swe dobro i swój rozwój, naród, którego istnieniu zagraża wszystko, który musi bronić swego prawa do oddechu, swoich dóbr moralnych i materialnych — powinien być przygotowany na wszelkie ciosy i powinien umieć je odpierać.

W zwartych jego szeregach nie może być miejsca ani na słabość, ani na upadek ducha. Przeciwnie, po każdej klęsce, po każdym niepowodzeniu powinien nastąpić okres wewnętrznego skupienia się, okres żywego krzątania się i pracy nad zapełnieniem tego wyłomu, jaki powstał, okres rozumnego i trzeźwego badania drog, prowadzących do wydobycia się z niepomyślnej sytuacji, roztropnego a dzielnego zarazem zastanowienia się czy i jakie mogły być błędy w działaniu, mądrej krytyki własnych czynów i dobrego skierowania dalszych postanowień.

Niestety, tego właśnie rozumu i tej trzeźwości brakło nam zawsze. Po roku 63, po tej krwawej klęsce, jakiej doznaliśmy, w kraju zapanowało przygnębienie umysłów tak wielkie i ciężkie, że trzeba było z górą czterdziestu lat na to, ażeby społeczeństwo zdołało się wewnątrznie odrodzić.

Dziś, ledwie proces tego odrodzenia zaczął wydawać owoce, ledwie zdołaliśmy spojrzeć w nową jutrznię — już poczynamy na nowo tracić wiarę w siebie i w przyszłość dla tego, że ostrze polityki rosyjskiej zwróciło się przeciw nam, a wiatr reakcyi zdmuchnął ten i ów płomień naszych nadziei.

Rozgoryczenie nasze poszło aż tak daleko, iż przestaliśmy zupełnie dostrzegać i oceniać zdobycze, jakie bądź co bądź przyniósł nam z sobą miniony okres trzechletni. Zapomnieliśmy o tem, że jednak obudziliśmy się jako naród do nowego życia i że w łonie tego narodu zaczął się już proces, którego żadna siła od dalszego rozwoju powstrzymać nie zdoła.

Byliśmy do niedawna jeszcze zupełnie rozbitci, nie znaliśmy własnego społeczeństwa, nie znaliśmy usposobień i dążeń poszczególnych jego warstw. Dziś możemy już śmiało policzyć swoje siły. Wiemy, że w naszych dążeniach obywatelskich przybył nam nowy i możny sojusznik—lud polski, ten lud, o którego pierś rozbiły się fale zalewającej kraj anarchii i który potrafił nas przekonać o tem, że jest istotnym zrębem pod budowę gmachu naszej przyszłości.

Wkroczenie ludu na arenę naszego życia politycznego jest już samo przez się zdobyczą tak wielką, że gdyby nawet to jedno tylko nam pozostało, to już możemy śmiało spoglądać przed siebie i rąk nie załamywać.

Już przez to samo weszliśmy w nową epokę naszego życia, gdyż w naszych oczach spełniło się i dokonało to, nad czem bezskutecznie pracowało kilka pokoleń poprzednich — uobywatelenie rolnika i robotnika polskiego.

Świadomość narodowa, która się obudziła w tych warstwach, jest i będzie niewątpliwie nadal potężnym zaczynem nowego życia. Wnieście ona z sobą do tego życia nowe pierwiastki, nowe czynniki, jakich nam brakowało dotychczas do osiągnięcia pełnego i wszechstronnego rozwoju.

Zapewne — i to nie odrazu nastąpi, i w tej dziedzinie będziemy mieli niejedną może jeszcze przykrą niespodziankę, niejedną gorycz i niejedną zawód, ale rozwój ten pójdzie swoją drogą nawet w najcięższych warunkach naszego istnienia.

A warunki te chyba przecież nie będą już cięższe od tych, w jakich istnieliśmy do niedawna.

Drugą trwałą zdobyczą okresu, który minął, jest to, że poznaliśmy wszystkie utajone choroby naszego organizmu, oceniliśmy siły wszystkich naszych nieprzyjaciół.

Ferment rewolucyjny wydobyl na jaw całe niebezpieczeństwo, jakie nam grozi ze strony partyj socjalistycznych, pozwolił nam poznać ich szkodliwą działalność, ich rozkładową politykę. Ten sam ferment wydobyl także na jaw sprawę żydowską i zmusił nas do baczniejszego zastanowienia się nad nią, do rewizji naszych poglądów na nią, do szukania sposobów, pozwalających

na jej rozwiązanie lub załagodzenie, zgodne z cywilizacyjnymi tradycjami naszego narodu. Dalej poznaliśmy także w tym okresie sprawę litewską i nauczyliśmy się oceniać ją właściwie, podczas gdy do niedawna bagatelizowano ją w prasie naszej i zbywano lekkimi frazesami.

Wszystko to stanowi niewątpliwie nasze zyski, gdyż lepiej jest znać wszelkie niebezpieczeństwa i przygotowywać się do ich odparcia, niż nosić je w sobie, jak tajemnicę i następnie pozwolić się im zaskoczyć z nienacka.

¶Oceniając więc sytuację chwili bieżącej, mimo czarnych chmur, które piętrzą się i kłębią na naszym horyzoncie politycznym, nie powinniśmy poddawać się przygnębieniu, apatyi i beznadziei, ale skupiać swoje siły, organizować je i wzmacniać się na już zdobytych placówkach.

Tu, w kraju, bez względu na taki lub inny stan barometru politycznego, mamy przed sobą tysiączne zadania do wykonania. Wiele pracy i ogromnego zasobu sił potrzeba na to, ażeby tym wszystkim zadaniom podoleć, aby je chociaż częściowo wykonać. Niewolno więc nam zakładać rąk i czekać, aż się znów horyzont wypogodzi, ale — pomni na to, że żaden wysiłek nie jest daremny, żaden trud nie idzie na marne — musimy stanąć do prac rozpoczętych i prowadzić je w dalszym ciągu, ufni w przyszłość, która jest przed nami.

Ta ufność nas pokrzepi, gdy nieuzasadniony pesymizm, choćby tylko jednostek, osłabia nas i niszczy energię naszego ducha zbiorowego.

*

*

*

Jedną z najbardziej aktualnych spraw chwili, jest sprawa wyjazdu młodzieży na studia wyższe. Uniwersytet i Politechnika w Warszawie — zamknięte. Do wyższych zakładów naukowych w Rosji młodzież, opatrzona patentami prywatnej szkoły polskiej, nie ma wstępu. Z konieczności więc myśleć trzeba o zagranicy. Nie dziw też, że w prasie naszej roi się obecnie od rad i wskazówek, udzielanych rodzicom w przedmiocie wysyłania synów dorosłych na studia wyższe. Rady te i wskazówki przeważnie obracają się dokoła jednego pytania, a mianowicie, dokąd jechać?

Oczywiście przedewszystkiem narzucają się tu, jako najbliższe i najodpowiedniejsze, dwa uniwersytety polskie — w Krakowie

i we Lwowie, naprzód dla tego, że są polskie i że młodzież, która uda się tam na studia, nie straci kontaktu ze społeczeństwem rodzimem, ale w swojskiem otoczeniu i w atmosferze życia swojskiego spędzi lata studyów, powtóre, że wartość naukowa obydwu tych uczelni jest wysoka i w niczem nie ustępuje innym uniwersytetom europejskim.

Na drugim planie są szkoły francuskie, szwajcarskie i niemieckie, wśród których są bardzo popularne ogniska naukowe, gdzie młodzież polska oddawna ma swoje gniazda.

Dalej jeszcze idą wskazówki, mało lub zupełnie nie liczące się z warunkami realnymi. Jedni więc radzą naszej młodzieży wyjazd do Anglii, do Ameryki, inni do Włoch, do słynnej Padwy i Bolonii, gdzie tyłu ongi kształciło się polaków, jeszcze inni („Tyg. ilustrowany“) do Finlandyi, gdzie uniwersytet helsingforski nadaje swoim słuchaczom prawa państwowe rosyjskie.

W krytyczną ocenę tych ostatnich wskazówek można nie wchodzić, gdyż mogą za nimi pójść tylko jednostki — i nie przeciw temu mieć nie należy. I owszem, kogo stać na eksperymenty naukowe w dalekich krajach, na zdobywanie języków obcych, mało znanych i na poznawanie społeczeństw zupełnie odrębnych od naszego — ten niech rozwija skrzydła do lotu i próbuje szczęścia choćby na drugiej półkuli. Dla kraju nie będzie to bez pożytku. Nigdy jednak w tych kierunkach nie wytworzy się prąd silny i szeroki, któryby porwał za sobą liczniejsze zastępy młodzieży.

Te liczniejsze zastępy muszą korzystać z krajów sąsiednich, a więc przede wszystkim z Galicyi i Austrii, z przeważnem uwzględnieniem pobratymczych szkół czeskich, następnie z Niemiec, Francyi i Szwajcaryi.

I tu jednak zachodzi jedna poważna przeszkoda, na którą zbyt małą dotąd zwracano uwagę.

Oto wszyscy zajmują się kwestyą *dokąd* jechać, nikt jednak nie zadał sobie jeszcze pytania *za co* jechać, a pytanie to jest bodaj ważniejsze od poprzedniego.

Dokąd — może to być nawet obojętne dla tego, kto pragnie się uczyć i kto ma środki na naukę. Typ szkół wyższych na całym świecie jest sobie pokrewny, a różnice, jakie istnieją pomiędzy poszczególnymi uniwersytetami dotyczą raczej ich większego lub mniejszego uposażenia w gwiazdy naukowe i w środki pomocnicze, jak laboratoria, kliniki, muzea i t. d.

Uczyć jednak można się wszędzie — tembardziej, że nie wszyscy przecież uczą się po to, aby ubiegać się następnie o katedry

uniwersyteckie. Większości znacznej uczniów na wszystkich uniwersytetach świata idzie tylko o zdobycie wiedzy w granicach wyższego wykształcenia fachowego, a wykształcenie takie, zarówno dobre, da mały uniwersytet w Bonn lub w Getyndze, jak przepełnione uniwersytety w Berlinie i Lipsku.

Kto wie nawet, czy dla naszej młodzieży, która mało i poważnie w stopniu niedostatecznym zna języki obce, nie lepiej jest poprzestawać na mniejszych uniwersytetach, gdzie jest łatwiejszy dostęp do profesorów i do laboratoryów i gdzie przewodnicy nauki i baczniej mogą czuwać nad swoimi uczniami.

Z naszego więc punktu widzenia — wobec potrzeby szukania wiedzy za granicą i smutnej konieczności wyjazdu po naukę do obcych — jest rzeczą drugorzędną wybór kraju i miasta. Stwierdzamy tylko, iż tak czy inaczej dłuższy pobyt naszej młodzieży w Niemczech np. jest mieczem obosiecznym i obok pewnych korzyści, może nam także wyrządzić pewne szkody na przyszłość przez wyrwanie ze środowiska polskiego w okresie dojrzewania ogromnej ilości młodych umysłów. Wolelibyśmy naturalnie, ażeby te wyjazdy za granicę dotyczyły już ludzi ukończonych, ażeby młodzież nasza po odbyciu studyów w kraju, dla ich uzupełnienia przedsiębrała podróże naukowe. Ze jednak nie czas biadać nad tem wobec zaglądującej w oczy, wprost rozpaczliwej rzeczywistości, więc zostawiamy tę kwestyę na boku. Wróćmy natomiast do pytania, które uważamy za daleko ważniejsze w chwili obecnej, a mianowicie *za co* t. j. przy pomocy jakich środków pieniężnych młodzież nasza ma się uczyć za granicą?

Cały ciężar tej nauki bardzo kosztownej, o wiele kosztowniejszej, niż najkosztowniejsza w kraju, spada na rodziców.

Wiadomo jednak, że podczas, gdy za granicą o wykształcenie wyższe ubiegają się tylko synowie rodziców zamożnych, którzy mogąłożyć na wychowanie dzieci i zapewnić im byt bez troski w ciągu kilku lat studyów uniwersyteckich — u nas przeważnie jeszcze jest wręcz przeciwnie.

Wśród młodzieży uniwersyteckiej w Warszawie za czasów istnienia uniwersytetu warszawskiego panowało zupełne ubóstwo, graniczące w niejednym wypadku z nędzą. Znaczny procent studentów pozbawiony był zupełnie zasiłków z domu lub posiadał zasiłki te w stopniu niedostatecznym i przebił się przez uniwersytet o własnych siłach, przy pomocy korepetycyj i zajęć ubocznych. Cała młodzież tej kategorii obecnie stoi wobec zagadnienia, co ma z sobą robić?

Koledzy zamożniejsi, synowie rodziców, którzy mają środki na wysłanie dzieci do Galicji, do Pragi Czeskiej, do Wiednia i Berlina lub jeszcze gdzieindziej — pojadą się uczyć. Pozostali, o ile nie wyrzekną się zupełnie myśli o wykształceniu wyższym i nie zaczną garnąć się ku zajęciom chlebobajnym — uniesieni prądem ogólnym i koniecznością — pojadą także. Zgromadzą jakiegokolwiek środki na początek, zapożyczą się u krewnych i z kilkuset rublami w kieszeni rzucą się na niepewne fale istnienia i borykania się z przeciwnościami. Po pierwszym zaraz półroczu zacznie się dla nich walka z niedostatkiem, który zupełnie nie sprzyja pracy naukowej, zacznie się przymieranie głodem, który niszczy siły fizyczne, zacznie się nędza, która obraca umysł i serce przeciw społeczeństwu, jako winowajcy takiego a nie innego stanu rzeczy — i w rezultacie po kilku latach takiego oplakanego istnienia powróci do kraju szereg ludzi wykolejonych, którzy nie tylko nie zdobyli wiedzy fachowej, ale w dodatku zmarnowali sobie zdrowie i wykoszlawili myśl, wyhodowaną na doktrynach socjalistycznych i anarchistycznych, które znalazły do nich łatwy dostęp w chwilach gorzkiego rozczarowania i wzbierającego w piersiach żalu za swoje materialne upośledzenie wobec innych.

Będzie to zjawisko wprost konieczne i dla tego należy je z góry wziąć pod uwagę i uczynić wszystko, ażeby mu zapobiedz.

Ambycją naszą, jako społeczeństwa, jest niewątpliwie dążenie do tego, aby jaknajwiększa część naszej młodzieży, która posiada już wykształcenie średnie, zdobyła także wykształcenie wyższe, gdyż sił do pracy kulturalnej, do zajęcia coraz liczniejszych jej placówek, bynajmniej nie posiadamy nad miarę.

Społeczeństwo też ma niewątpliwy obowiązek dopomożenia tym, którzy o własnych siłach iść nie potrafią i nie mogą, a którzy posiadają chęć do nauki i pragną ją zdobyć.

W blizkim więc związku ze sprawą wyjazdu za granicę, z wysuniętą na czoło kwestyą „dokąd“ jechać — pozostaje sprawa zorganizowania stałej pomocy materialnej dla wyjeżdżających.

Nie jest to sprawa nowa. Zjawiała się ona na powierzchni naszego życia już w lutym 1905 r., bezpośrednio po zawieszeniu wykładów w uniwersytecie i w politechnice, kiedy nagle z górą półtoratusięczny zastęp młodzieży stanął wobec zagadnienia, co dalej?

Przez dwa lata ubiegłe nie potrafiliśmy jednak sprawy tej załagodzić, mimo, że wiadomości, jakie nadchodziły z zagranicy, z tych ognisk, w których młodzież polska skupiła się w znaczniejszych grupach, były bardzo niepokojące, a odezwy tej mło-

dzieży, wzywające o pomoc, niejednokrotnie dostawały się na łamy pism polskich.

Były ofiary, były „wdowie grosze,” rzucane na tacę—nie było jednak i niema mądrej, zorganizowanej, przewidującej pomocy.

Sądziłibyśmy też, iż w chwili, kiedy dyskusja publiczna obraca się ciągle i z dużym natężeniem uwagi dokoła spraw młodzieży, szukającej nauki zagranicą, należałoby zająć się także poważnie kwestyą stworzenia w odpowiedniej ilości stypendyów zagranicznych dla tych, którzy tej pomocy potrzebują.

Fundusz stypendyalny, jaki istnieje przy muzeum Rapperswylskiem z fundacyi Krystyna Ostrowskiego i innych, jest niewystarczający. Trzeba więc myśleć albo o jego wzmożeniu i zasileniu w taki sposób, aby Rada opiekuńcza muzeum mogła zaspokoić żądania zgłaszających się do niej i ześrodkować w swoich rękach wspomaganie młodzieży polskiej zagranicą wogóle, albo też—stworzyć tu, w kraju, instytucję równoległą, któraby weszła w porozumienie ze wszystkimi stowarzyszeniami młodzieży zagranicą i na ich przedstawieniu i za ich poręką udzielała potrzebującym nie wsparć, ale pożyczek długoterminowych, zwrotnych w ciągu dziesięciu np. lat po ukończeniu studyów.

Potrzeba zajęcia się tą sprawą jest tem pilniejsza, że kwestya ciągle się rozszerza i że liczba wyjeżdżającej zagranicę młodzieży zwiększa się stale. Nie od rzeczy byłoby też zwrócić w tej chwili uwagę rodziców nietylko na uniwersytety i politechniki zagraniczne, ale także na liczne szkoły fachowe średnie, które, zwłaszcza w zakresie przemysłowo-technicznym, przygotowują doskonałych pracowników i bardziej nawet poszukiwanych przez fabryki, niż skończeni i dyplomowani inżynierowie.

Z takich szkół powinni korzystać przedewszystkiem ci, którzy mają z jednej strony mniejsze aspiracye i mniejsze uzdolnienia do studyów czysto naukowych, z drugiej posiadają szczuplejsze środki materialne.

Wogóle wybór powołania, wybór zawodu w chwili tak ciężkiej, jak obecna, powinien być dokonywany na podstawie gruntownego namysłu i głębokiej oceny upodobań, skłonności i uzdolnień młodzieńca.

Wiadomo, że wybór ten do niedawna, był u nas wprost lekomyślnym. Większość młodzieży, kończącej szkoły średnie, szła utartymi drogami, szła tam, dokąd ją prowadził prąd ogólny, nie zdając sobie zupełnie sprawy z tego, czy wybiera właściwie i czy w następstwie za wybór ten nie zapłaci goryczą i rozczarowaniem całego życia.

Było przed kilkunastu laty hasło „na medycynę,“ potem „na prawo,“ w ostatnich zaś latach „na technikę“ i oto ani rodzice, ani młodzieńcy nie zastanawiali się nad tem, czy nie należy iść raczej przeciw prądowi i szukać w skłonnościach indywidualnych abiturienta jedynej busoli do obrania kierunku na przyszłość.

Rzecz naturalna, iż takie „obieranie zawodu“ stało się w jednym wypadku źródłem tego niezadowolenia, z jakim tak często mamy do czynienia.

Iluż bo jest w naszym społeczeństwie ludzi, którzy zawód swój uważają za ciężkie galery, którzy do jego wypełniania nie wnoszą żadnej miłości, żadnego ukochania głębszego, a idą przez życie, jak skazańcy, przykuci do taczki, niepomni, że od nich samych zależało wejście na tę lub inną drogę. Ileż przez ten fałszywy wybór powołania zmarnowało się zdolności, ile talentów poszło na marne.

Ten kto powinien być artystą — został adwokatem lub lekarzem, zdolny filolog ubiegał się o patent inżyniera, a następnie przy pierwszym swoim zetknięciu się z fabryką doznawał rozczarowania i odwrotnie ten, kto powinien być inżynierem, dzięki pomyłce życiowej, szedł na całe życie do szpitala, gdzie jako lekarz bez powołania cierpiał przy każdym zetknięciu się z chorym i nieszczęśliwym człowiekiem.

Niewątpliwie przyczyniło się do tego także i wyjątkowe nasze położenie polityczne. Wiele dróg było przed nami zamkniętych, wiele niedostępnych. Trzeba było obracać się ciągle w jednym kole, z którego na świat szerszy prowadziło zaledwie kilka furtok. Ale — w większości wypadków wina była i po naszej stronie.

Otóż obecnie, w chwili kiedy stoimy wobec odmiennych warunków, kiedy właśnie otwarte dawniej furtki są zatrzaśnięte naглуcho, a wszystkie drogi równe i wydeptane nie są dla nas dostępne, kiedy nauka stała się o wiele kosztowniejszą i wymaga wprost znacznych ofiar pieniężnych, czy to ze strony rodziców, czy ze strony tych, którzy ofiarują młodzieży swą pomoc — wybór powołania, wybór drogi właściwej powinien być uczyniony tak rozważnie, aby ilość pomyłek zmniejszyła się znacznie.

Wiemy, że niepodobna ich uniknąć zupełnie, bo człowiek zawsze pewnym złudzeniom co do samego siebie podlega, ale wiemy też, że zastanowienie się nad ważnym w życiu krokiem może niejednego odwieść od zbyt lekkomyślnego zaangażowania się w kierunku dla niego nieodpowiednim.

Niech więc ci, którzy wyjeżdżają zagranicę, powodowani smutną koniecznością, zastanowią się trzeźwo i rozsądnie nie tylko nad tem *dokąd* jechać, czy do Francji, czy do Niemiec, czy do Szwajcaryi, czyli też tylko do polskich uniwersytetów w Krakowie i we Lwowie, nie tylko nad tem *za co* jechać i jak zdobyć środki, konieczne do ukończenia studyów wyższych, których może w niejednym wypadku lepiej zaniechać zupełnie, ale także i nad tem, co studyować, czego się uczyć, aby z tej nauki osiągnąć jak-największą korzyść dla siebie samego i dla społeczeństwa, które potrzebuje ludzi zdrowych, jasno patrzących na świat i z miłością podejmujących każdą pracę.

Nazwisko niejakiego p. Koszarskiego, autora memoriału w sprawie polskiej, przesłanego członkom międzynarodowej konferencji w Haadze, nabrało rozgłosu i poruszyło opinię publiczną, która słusznie i nie od dzisiaj oburza się na samozwańczych ambasadorów Polski zagranicą.

Maniactwo polityczne, spotykane na emigracji dość często, nie wygasło snąć jeszcze, jako choroba, trapiąca niektóre umysły. Przy tej lub innej sposobności znajdzie się zawsze jakiś Filip z Konopi, który na swój własny sposób chce zbawiać ojczyznę i wierzy w wyjątkową szczęśliwość swoich pomysłów. Do kategorii takich osobników chorych, niepoczytalnych, dotkniętych przytem manią wielkości, należy niewątpliwie i ów p. Koszarski i to uwalnia nas całkowicie od potrzeby bliższego zajmowania się jego osobą.

Kamień padł na wodę. Rozeszły się po niej kręgami fale i uderzyły o nasz brzeg. Powierzchnia jednak niedługo uspokoi się i nie będzie na niej żadnego śladu. Nazwisko niefortunego polityka-amatora utonie w niepamięci i społeczeństwo zapomni o tym chwilowym niesmaku, jaki wywołało wśród niego wystąpienie obłąkańca, a historia, która nie będzie się z nim nigdy liczyła, przebaczy mu łatwo ten czyn niefortunny.

Niemniej wszelako z całej sprawy wyciągnąć należy naukę. Oto—ni mniej ni więcej—tylko odsłoniła ona po raz niewiadomo już który nie tylko zupełny brak o nas informacji zagranicą, ale

tę dziwną łatwość, z jaką znajdują tam posłuch najpotworniejsze i najdziwaczniejsze pogłoski, rozsiewane o nas przez ludzi złej woli, przez płatnych agentów obcych lub przez chorych maniaków.

Europa zupełnie nie zdaje sobie sprawy z tego, co dzieje się naprawdę w Polsce, jaki tam jest nastrój umysłów i jakie dążenia.

Zastanawiając się nad szkodliwością tego dla nas, znany publicysta i literat, p. Antoni Potocki, podkreślił niedawno w *Kuryerze poznańskim* potrzebę nieodzowną źródłowego informowania zagranicy o naszych stosunkach.

„Stosunki polskie na obczyźnie—pisze między innymi p. A. P.—są niezmiernie zardzewiałe. Wstyd się przyznać, ale ten wielki, historyczny, a tak ongi łatwy i zasobny w stosunki naród, dziś zdystansowany jest przez lada państewko bałkańskie. Każde bo państewko ma jaki taki konsulatu, jeśli nie poselstwo zagranicą, a dokoła niego ugrupowaną kolonię swoją. Jest to naturalny teren zawiązywania się stosunków międzynarodowych. Polacy tego nie mają. Mamy, owszem, ogromne kolonie np. w Paryżu i w Londynie, lecz ci, którzy powinni być terenem zadzierżgania się stosunków takich dla Polski, nie poczuwają się wcale do tego obowiązku.“

Trudno zaprzeczyć słuszności tej uwadze. Tembardziej jednak, skoro tak jest, należy starać się o to, ażeby znaleźć sposób i drogę do informowania społeczeństw obcych o rzeczywistym stanie rzeczy u nas, ażeby obalać i sprostowywać fałszywe wieści, nie pozwalać na rozpowszechnianie kłamstw i stać na straży prawdy, która jest jedyną naszą obroną i najsilniejszym argumentem tam, gdzie kwestyonowane są nasze krzywdy, lub słuszność naszych żądań podawana w wątpliwość.

Informacja polityczna o naszych sprawach powinna być przede wszystkim raz na zawsze usunięta z terenu działania wszelkiego rodzaju wolontaryuszów i samozwańczych reprezentantów narodu. Muszą ją ująć w swoje ręce prawdziwi reprezentanci narodu, t. j. członkowie naszych kół poselskich.

Taki wniosek stawia w artykule swoim p. Potocki i uzasadnia go w sposób następujący:

Koła poselskie, wytwarzające politykę i reprezentujące opinię każdego zaboru, są powołane przede wszystkim do tego, aby same czuwały nad prawdziwością oddźwięku swej pracy w kraju i zagranicą. Każde z nich jest aż nadto zasobne w siły, by obok innych komisyj i biur, utworzyło własny posterunek, baczący na głosy prasy europejskiej. Kilkanaście pism europejskich znajdzie

się zawsze w lokalu Koła. Ktoś z posłów, lub urzędnik płatny, powinien mieć obowiązek przeglądania tych pism w tym właśnie celu. W każdej zaś danej sprawie, bądź prostując fałsze, bądź też je uprzedzając, taki referent prawny Koła, po zasięgnięciu jego wskazówek, może bezpośrednio porozumieć się z wybitnymi korespondentami polskimi zagranicą.

Gdy tak ustalą się stosunki, nawiążą kierownicze nici wśród nas samych—sprawa wpływu i walki z fałszami stanie się tylko sprawą doboru ludzi. Przedewszystkiem zaś zgodne działanie tych czynników obroni nas od jednej plagi: od owych samozwańczych reprezentantów Polski, o których często kraj nie wie i którzy niewiele wiedzą o kraju.

Prasa zaś zagraniczna przyzwyczai się czerpać z wiarogodnego źródła i sama z innych źródeł czerpać przestanie, a wówczas stanie się jawnem, które organy tej prasy są poprostu agencjami pruskiego fałszerstwa politycznego.

Żadna *ad hoc* powołana instytucya na obczyźnie nie wytworzy pomyślanej zmiany tych stosunków, o ile jednocześnie nie poprzemy jej zgodną akcyą moralną.

Na akcyę tę składają się: wybór i uposażenie korespondentów polskich zagranicą — co stanowi obowiązek prasy polskiej i utworzenie łączności towarzyskiej między polskimi koloniami a zagraniczną inteligencyą — co stanowi obowiązek sfer polskich, żyjących życiem towarzyskiem na obczyźnie, wreszcie źródło pewne i kompetentne informacji, pozwalające wyzyskać stosunki, co jest obowiązkiem tych, którzy bezpośrednio na przebieg polityki polskiej w każdym z trzech zaborów wpływają.

Przy współdziałaniu zgodnem tych trzech czynników, ludzie powołani potrafią dać sobie radę nawet z opinią płatną z góry i z daleka... I wówczas potężna żywotność polska wewnętrzna ujawni się jako godny siebie czynnik i w stosunkach zewnętrznych, skutecznie kielczując zakusy fałszerstwa politycznego.

To fałszerstwo w ostatnich czasach rozgościło się bardzo szeroko na lamach prasy europejskiej i przedostaje się nawet tam, gdzie w gruncie rzeczy usposobienia są dla nas przychylnie, a gdzie panuje tylko najzupełniejsza ignorancya w zakresie spraw polskich.

Nieraz czytamy w dziennikach zagranicznych wiadomości, które wprawiają nas w podziw nietyle nawet swoją złośliwością i wyraźną chęcią szkodzenia nam, ile trudną do pojęcia naiwnością. Kiedy więc dla jednych sprawa nasza stanowi nigdy niewyczerpany materiał do oszczerstw, dla innych jest ona bajką

o żelaznym wilku, historią pełną dziwów o kraju, w którym panują ujemal średniowieczne stosunki społeczne, gdzie szlachcie gnębi i uciska chłopą w porozumieniu z duchowieństwem i t. d. Owoce tej naiwności i ignorancy są czasem wprost potworne.

Dość przypomnieć słynny list Björnsona-Björnstjerna, list, który był i pozostanie smutnym dokumentem tych właśnie fałszywych informacyj, jakie posiada o nas cała Europa, nie wyłączając ludzi, stojących na świeczniku. A list ten był czytany i rozszedł się może szerzej, niż obalająca jego twierdzenia odpowiedź Sionkiewicza.

Mało mamy wśród narodów europejskich przyjaciół, bo przyjaźń polityczna nie umie być bezinteresowną, lecz opiera się zwykle na uznaniu i ocenie siły. Tej siły nie posiadamy obecnie z powodów łatwo zrozumiałych. Nie możemy też na tej drodze zabiegać o dobre i przychylnie usposobienie bliższych i dalszych sąsiadów, obowiązkiem naszym jednak jest dbać o to, ażeby oceniano nas właściwie i sprawiedliwie. Nie obawiamy się sądu, choćby nawet najsurowszego — i owszem — niech nas cudzoziemcy sądzą, ale niech ten sąd będzie oparty na faktach, na tem, co rzeczywiście jest naszą winą lub naszym grzechem, nie zaś na pogłoskach i plotkach, wyssanych z palca. Tego rodzaju pogróżki i plotki powinniśmy i musimy obalać i tępić, choćbyśmy nawet uważali je za mało znaczące i niezdolne ani do wyrządzenia nam krzywdy, ani do zrobienia ujemy naszej godności narodowej.

Błoto, którem nas obrzuca źle informowana prasa europejska, bez względu na to, czy jest mniej, czy więcej czarne, jest zawsze błotem i zawsze jakaś część jego przylega do naszej opinii i psuje ją w oczach tych, którzy są za daleko i za mało interesują się nami, aby zechcieli i mogli przekonywać się na miejscu, co jest prawdą istotną, a co nieuczciwym lub bezsensownym wymysłem. Sami więc musimy spełniać tę rolę. Wskazuje nam ją nietylko zasada obrony własnej, ale i zasada prostej uczciwości, która zmusza każdego do prostowania rozsiewanych o nim, czy o kimkolwiek innym fałszów.

Z tego względu myśl powierzenia naszym cięłom reprezentacyjnym sprawy czuwania nad międzynarodową opinią Polski, uważać należy za podniesioną na czasie i zasługującą na poparcie.

*

*

*

Świeżo uległa w Petersburgu ostatecznemu zatwierdzeniu uchwała Rady ministrów o oddaniu w zawiadywanie magistratu miasta Warszawy zakładów dobroczynnych, zarządzanych obecnie przez Warszawską Radę miejską dobroczynności publicznej (z wyjątkiem prywatnych zakładów dobroczynnych i szpitala dla obłąkanych w Tworkach) pospołu z funduszami i majątkami do nich należącymi, oraz z kapitałami o specjalnem przeznaczeniu filantropijnem, tudzież z prawem do dochodów, przewidzianych w artykule 417 ustawy dobroczynności publicznej¹⁾.

W ten sposób przestaje istnieć w Warszawie ociężała, leniwa, ospała instytucya biurokratyczna, która przez szereg lat tamowała niezbędną dla miasta i społeczeństwa rozwój szpitalnictwa i doprowadziła je do stanu wprost rozpaczliwego. Dalecy jesteśmy od tego, aby całą winę składać na barki tej instytucyi. Wiemy doskonale, że spada ona w stopniu daleko większym na cały system administracyi rosyjskiej i na specjalne formy tego systemu w Król. Polskiem, formy, których wyrazem jedynie była Warsz. Rada dobr. publicznej. Nie mniej wszakże należy podkreślić i ten fakt, że nawet w warunkach istniejących, Rada, gdyby ożywiona była lepszymi chęciami i składała się z ludzi, rozumiejących lepiej potrzeby społeczne i pragnących im zaradzić—mogła była zdziałać nieskończenie więcej.

Nie zdziałała. Ciężka też jest wobec tego sytuacja, w jakiej znajduje się magistrat, obejmując ten spudek. Dość powiedzieć, że suma ogólna deficytów, spowodowanych przez gospodarkę finansową Rady w ciągu ostatnich lat kilku, dochodzi do miliona rubli.

Wykaz instytucyj, podwładnych Radzie, a przechodzących obecnie pod zarząd magistratu, obejmuje następujące zakłady:

1) Szpital Dzieciątka Jezus, z należącymi do niego: szpitalem właściwym na 600 łózek i klinikami uniwersyteckimi, instytutem położniczym na 56 łózek i klinikami: ginekologiczną i położniczą, oraz szkołami dla akuszerok 1 i 2-go stopnia, domem wychowawczym na 200 starszych dzieci, 120 niemowląt i 4250 dzieci

¹⁾ Powołany wyżej artykuł 417 ustawy d. p. wymienia dochody miasta zakładów dobroczynnych, któremi są: niektóre kary pieniężne, wymierzane sądownie i administracyjnie, opłata od biletów wejścia na widowiska i zabawy, wpływy z koncertów dobroczynnych, loteryi i t. p., część czystego zysku lombardu miejskiego i kwesta wielkanocna.

„na garnuszku;“ instytutem szczepienia ospy ochronnej i zakładem dla rekonwalescentów.

2) Szpital ś-go Ducha na 200 łózek, z klinikami oraz laboratoriami: chemicznem i rentgenowskiem.

3) Szpital ś-go Rocha na 100 łózek.

4) Szpital ś-go Łazarza na 300 łózek, z kliniką.

5) Szpital ś-go Jana Bożego dla umysłowo chorych na 250 łózek, z kliniką.

6) Instytut Oftalmiczny, założony przez ks. Edwarda Lubomirskiego, na 50 łózek.

7) Szpital Praski na 212 łózek, z tymczasowym oddziałem dla chroniczków na 120 łózek.

8) Szpital Wolski dla chorób wewnętrznych na 75 łózek.

9) Szpital ś-go Stanisława na Woli.

10) Szpital Ewangelicki na 80 łózek.

11) Szpital Żydowski we wsi Czyste na 550 łózek.

12) Sale zarobkowe imienia Stanisława Staszica przy ul. Wolskiej.

13) Przytułek ś-go Ducha i N. Maryi Panny przy ul. Przyrynek na 110 osób.

14) Przytułek dla sług i najemników tamże na 165 osób.

15) Przytułek w Górze Kalwaryi na 270 osób bezdomnych, zgrzybiałych i upośledzonych umysłowo.

16) Instytut ś-go Kazimierza na Tamce dla sierot od 8—14 lat na 110 dzieci, z głównym zakładem Sióstr Miłosierdzia ś-go Wincentego à Paulo.

17) Instytut moralnej poprawy dzieci w Mokotowie na 50 chłopców.

18) Dom schronienia dla Izraelitów na 40 starców, 12 upośledzonych umysłowo; oraz 88 sierot płci obojej.

19) Ochronka przy tym domu na 50 dzieci i

20) Szczęść przytułków położniczych przy ul. Wroniej, Łuckiej, Bednarskiej, Targowej i Lipowej (dwa).

Majątek tych zakładów dobroczynnych przedstawia się w cyfrze 17,075,399 rb. W tem w kapitałach 3,151,041 rb., w nieruchomościach dochodowych 3,499,877 rb., w nieruchomościach, nie dających dochodu 9,736,939 rb. i w ruchomościach 687,542 rb.

Nie wchodzi tu, pozostające pod opieką Rady, a zarządzane przez specjalne organizacje prywatne, instytucje, których majątek obliczony jest na 8,819,952 rb.

W jaki sposób i jak szybko przystąpi magistrat do koniecznej reformy stosunków, które wytworzyły się w naszych insty-

tucyach dobroczynnych dzięki długoletniej gospodarce Rady miejskiej, tego na razie przesądzać nie można. To pewna tylko, iż wymagać to będzie pracy bardzo poważnej i rozłożonej na lata, gdyż właściwie nie reformować, ale z gruntu tworzyć należy. Miasto ma do rozwiązania kilka w tej dziedzinie bardzo poważnych kwestyj.

Przedewszystkiem ilość łóżek w szpitalach warszawskich jest obecnie w jaskrawym stopniu niedostateczna i w ciągu najbliższych lat trzeba ją podwoić a nawet potroić. Dzisiaj we wszystkich szpitalach panuje przepelnienie, w salach mieści się ilość chorych ponad normę, a niejednokrotnie leżą oni na korytarzach, na ziemi. Trzeba więc będzie budować nowe szpitale.

W tym kierunku przedewszystkiem czeka na rozstrzygnięcie od lat kilkunastu projektowane przeniesienie do Rakowca szpitala ś-go Rocha, znajdującego się dziś w najruchliwszym punkcie miasta, na Krak.-Przedmieściu, tuż przy Uniwersytecie, w miejscu zupełnie nieodpowiednim.

Obejmując zarząd szpitalnictwa, magistrat będzie musiał zastanowić się także poważnie nad sprawą zdobycia funduszków na pokrycie tych wydatków, jakie czekają miasto w ciągu całego szeregu lat, zanim najbardziej tylko palące potrzeby zostaną zaspokojone i zanim Warszawa nie stanie pod tym względem na równi z innymi wielkimi miastami na świecie. W tym kierunku niewątpliwie okaże się rzeczą konieczną opodatkowanie na rzecz szpitali i instytucyj dobroczynnych całej ludności miasta, nie, jak to jest dotychczas, tylko pewnej i to najuboższej jej części. Obecny podatek rublowy musi więc uleść reformie zasadniczej.

Jedną z dalszych kwestyj, które wejść muszą niebawem na porządek dzienny, a z których uregulowaniem zwlekać nie można, jest także kwestya wynagrodzeń lekarskich.

Lekarze, którzy pracują w szpitalach, za swoją pracę otrzymują wynagrodzenie tak małe, że rzeczywiście trudno jest przy tych normach dłużej pozostać.

Wynagrodzenie to należy podnieść w tym stopniu, ażeby każdy lekarz mógł znaleźć w swojej posiadzie szpitalnej oparcie, pozwalające mu jeśli nie na całkowite, to na znacznie większe niż dzisiaj oddanie się na usługi chorych.

Przywiązanie lekarzy do szpitala leży zresztą w interesie społecznym — nigdzie bowiem młody lekarz nie kształci się tak i nie rozszerza tak zakresu swojej wiedzy praktycznej, jak w szpitalu.

Te i tym podobne kwestye, związane z przejściem szpitali pod zarząd miejski, zostały już należycie oświetlone i przedysku-

towne przez samych lekarzy, którzy w ostatnich latach często zabierali głos w tych sprawach (dr. Dunin, Nosocomialis, Męczkowski, Łazarowicz, Łagowski i inni). Konieczną też jest rzeczą powołanie przez magistrat tych właśnie lekarzy, jako gruntownie obeznanych ze sprawą, do narad nad tem, co i jak należy robić, aby w czasie jaknajkrótszym wyprowadzić szpitalnictwo z dzisiejszych optakanych stosunków i zapewnić mu rozwój, w granicach, niezbędnych dla miasta i jego ludności.

Ś. p. prof. Antoni Mierzyński.

WSPOMNIENIE POZGONNE.

Dn. 27 sierpnia r. b. zmarł w Warszawie ś. p. Antoni Mierzyński, dr filozofii i filologii, niegdyś profesor b. Szkoły Głównej, następnie profesor i dziekan b. Uniwersytetu warszawskiego.

Ś. p. prof. Mierzyński pochodził z dzielnicy poznańskiej. Urodzony w Krotoszynie w r. 1829, uczęszczał do gimnazjum w Ostrowiu, a studia uniwersyteckie odbywał w Berlinie. W r. 1848 porwała go fala ruchu ówczesnego i postawiła w szeregach gwardyi narodowej. Po uciszeniu się burzy rewolucyjnej, Mierzyński powrócił do Uniwersytetu i w dalszym ciągu prowadził rozpoczęte studia. Poddawszy się w r. 1857 przepisany egzaminom i złożony fakultetowi filozoficznemu rozprawę p. t. „De vita, moribus, scriptisque latinis Acerni“ (Klonowicza), otrzymał przyszły uczonej stopień naukowy d-ra filozofii i zajął skromne stanowisko nauczyciela języków starożytnych w gimnazjum Maryi Magdaleny w Poznaniu.

Z tego stanowiska powołał go w r. 1862 Wielopolski na profesora Szkoły Głównej w Warszawie, gdzie wykładał język i mitologię grecką.

Po zamknięciu Szkoły Głównej, Mierzyński poddać się musiał ponownie egzaminom dla zdobycia praw państwowych, a otrzymawszy od uniwersytetu petersburskiego stopień doktora filologii klasycznej, pozostał nadal profesorem w nowoutworzonym Uniwersytecie rosyjskim w Warszawie. W r. 1878 mianowany został dziekanem wydziału historyczno-filologicznego i piastował tę godność przez lat trzy.

Prace naukowe ś. p. Mierzyńskiego nie miały nigdy szerszego rozgłosu, należały bowiem do dziedziny mało u nas uprawianej

i nie interesującej szerszego ogółu. Nie mniej liczny jest dorobek naukowy zmarłego. Rozprawy, które wyszły z pod jego pióra w językach polskim, francuskim, niemieckim i łacińskim, odznaczają się sumiennością opracowania, powagą i głębokością sądu. Należą tu przede wszystkim: „O dzisiejszem stanowisku filologii“ (Warszawa, 1865); „Przyczynki do mitologii porównawczej: podania wobec oświaty; Bocian księdzem Wojciechem“ (Warszawa, 1867); „Jan Łazicki — źródło do mitologii litewskiej“ (Kraków, 1870); „O wazie petersburskiego Ermitażu, wyobrażającej Danae“ (Warszawa, 1874); „Danae i Perseusz“ (Warszawa, 1876); „Sur quelques objets, trouvés dans les sépultures en Lithouanie“ (Budapeszt, 1876); „Co znaczy *Sicco?*“ (Lwów, 1891); „Źródła do mitologii litewskiej od Tacyta do końca w. XIII-go“ (Warszawa, 1892 i 1896); „Przysięga Kiejstuta“ (Poznań, 1894), to samo po niemiecku (Królewiec, 1893); „O nadrowskim kapłanie ognia Kriwe“ (Moskwa, 1895); „Nuncius cum baculo“ (Warszawa, 1895); „O dębie świętym w Romowe“ (po łotewsku, w Rydze, 1896); „Wspomnienia o A. Pawińskim“ (Warszawa, 1897); „Die sämtliche Gottheit *Auszaitis*“ (Królewiec, 1900); „Romowe,“ rozprawa archeologiczna (Poznań, 1900).

Najważniejsze dla nauki polskiej są te prace Mierzyńskiego, w których dotykał mitologii litewskiej, gdyż w tej dziedzinie prawie że nie miał u nas współzawodników. Z tego względu należałoby pamiętać o tem, aby materiały litewskie, zgromadzone wytrwałą pracą długich lat przez zmarłego, nie przepadły, ale dostały się do rąk, które potrafią uczynić z nich właściwy użytek.

Z. D.

Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

Z AKADEMII I TOWARZYSTW NAUKOWYCH.

— WILEŃSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA I MUZEUM STAROŻYTNOSCI PRZY
TEŻE BIBLIOTECE. Jest to instytucja założona we Wilnie przez Murawiewa
przed czterdziestu paru laty i dość hojnie przez rząd uposażona. Niedawno
wydano katalog wydawnictw tej biblioteki oraz opis historyczny jej powsta-
nia, pióra dzisiejszego jej kierownika A. Miłowidowa. Z tej broszury przy-
pominały sobie, że w 1864 r. Kornilow przedstawił Murawiewowi prośbę, aby
mu było dozwolono gromadzić we Wilnie wszystkie konfiskowane po kla-
sztorach biblioteki. W końcu 1864 przybył pierwszy transport, a w lutym
1865 r. było już około 30000 książek, które narazie zwalono na wielkie kupy.
Sprawozdanie podnosi wysokie zasługi Kornilowa, „który był duszą tej spr-
awy“ i prowadził „kulturalną walkę“ w celu zastąpienia w tym kraju nauki
polskiej „czystą nanką rosyjską(!)“. Podnosząc te zasługi autor sprawozdania
podziwia „złhmiewającą pomysłowość w kierunku zbierania bogactwa książ-
kowego“ — rozwiniętą przez inicjatorów biblioteki — książki, rękopisy, dzieła
sztuki „płynęły rzeką“ wyraża się z zachwytem sprawozdawca. Nie mało
także dostarczył kurator okręgu naukowego, gdyż uznał „za niewłaściwe“
znajdowanie się w bibliotekach szkolnych książek polskich. Przyłączono także
zbiory muzeum Wileńskiego, któremu „rosyjski duch nadano.“ O zbiorach tych
(14186 pozycji) sprawozdanie powiada, że nie miały żadnej wartości, nawet
bibliograficznej (sic!), mogły natomiast „żyć polsko-łaciński fanatyzm,“ nie
były więc one zbyt pożądane dla nowej instytucji, i wypadło przy objęciu
tych zbiorów sprowadzić w pierwszych dwu latach za 17100 rubli książek
rosyjskich, które kupowano w Rosyi lub założonej jednocześnie księgarni
rosyjskiej w Wilnie. Znacznie przyczyniło się do rozszerzenia biblioteki zam-
knięcie w 1872 realnego gimnazjum i obserwatorium astronomicznego we
Wilnie w 1883 r. Nastal wreszcie czas — pisze sprawozdawca — „królowaniu
książki rosyjskiej“ — użycie czeionek polskich zostało surowo zabronione w ca-
łym Północno-Zachodnim kraju.

Reasumując te wszystkie dane sprawozdanie wylicza, że biblioteka powstała z konfiskaty książek i rękopisów z 26 katolickich klasztorów, kapituły wileńskiej, 7 klasztorów ruskich, 22 szkół średnich, 26 szkół powiatowych, 2 dyrekcji, 12 bibliotek prywatnych i publicznych oraz Muzeum wileńskiego wreszcie ofiar od rządowych instytucji i wyliczonych w sprawozdaniu osób. Obecnie biblioteka jest pomieszczoną w 17 salach i dzieli się na następujące działy: książki obce, ruskie, rękopisy i inkunabudy. Dział pierwszy obejmujący dzieła polskie, łacińskie, i w innych obcych językach, zawiera 125000 tomów, ale dział ten nie jest jeszcze dokładnie urządzony. Natomiast dział rosyjski obejmujący obecnie 42910 tomów (wobec 1854 w roku 1867) jest już podzielony rzeczowo i ma odpowiednie katalogi. Dział rękopisów zawiera: 329 rękopisów słowiańskich, 575 pergaminów ruskich i łacińskich, 1640 miscellaneów ruskich i obcych 2360 polskich, 210 inwentarzy przeważnie kościelnych, 415 wiązek różnych dokumentów, po za tem listów królewskich 212, dyplomów 270, i 6030 korespondentów (!) zawierających „minimum 65000“ listów. Ogólna ilość dokumentów ma wynosić 130000. Bogato także przedstawia się dział inkunabułów w wydań XVI w. Inkunabułów ma biblioteka 165, książek XVI w. 583, obcych starych wydań (!) 1032. Ogółem biblioteka posiada 200000 tomów.

Na innem miejscu podamy ocenę całego szeregu wydanych przez bibliotekę publikacji. Sprawozdanie powyższe streszczone tu jaknajbardziej obiektywniej mówi nieco o naukowości i zasługach instytucji.

F.

Tow. wyższych kursów naukowych w Warszawie zawiadania, że na wydziale humanistycznym w nadchodzącym semestrze r. 1906/7, rozpoczynającym się w d. 1-ym października, wykładać będą:

W zakresie językoznawstwa i filologii: p. Karol Appel: wstęp do językoznawstwa oraz historję języka i literatury francuskiej; p. Szober: gramatykę historyczną języka polskiego; p. St. Słoński: gramatykę porównawczą języków słowiańskich w zestawieniu z innymi językami indoeuropejskimi; p. M. Rowiński: kurs praktyczny języka łacińskiego; p. Ig. Radliński: historję literatury wschodu starożytnego.

W zakresie historii powszechnej i polskiej: pp. L. Krzywicki: historję kultury pierwotnej (dzieje rodziny); J. Siemieński: rys historii parlamentaryzmu polskiego; I. Jakubowski: dzieje Litwy i Rusi w epoce Jagiellońskiej; F. Puławski: dzieje Polski w XVII wieku; W. Konopczyński: dzieje Polski w XVIII w.; Iwaszkiewicz: księstwo warszawskie (1806 — 1815); M. Sokolnicki: dzieje Polski (1831 — 1863); J. Jakubowski: historję Grecji i Rzymu; W. Trojański: historję sztuk plastycznych i archeologię dla słuchaczy 1-go roku i ciąg dalszy dla słuchaczy 2-go roku.

W zakresie filozofii i psychologii wykładać będą: pp. Wl. M. Kozłowski: historję filozofii od początku do r. 1831; Wl. M. Kozłowski: filozofię współczesną, filozofię dziejów i utopikę; I. Lewkowiec: historję filozofii średniowiecznej i nowożytnej do Kanta; J. Lewkowiec: etykę; M. Massonius: historję

estetyki, logikę i teorye poznania; A. Jabłoński: estetykę; W. Dawid: psychologię wychowawczą i psychologię dziecka; panna Aniela Szycówna: pedagogikę.

W zakresie geografii, etnografii, nauk społecznych i prawnych: pp. W. Nankowski: geografję ogólną fizyczną; Ż. Grotowski: geografję ekonomiczną; L. Krzywicki: etnografję; St. Bukowiecki: ekonomję polityczną; p. Zofia Daszyńska-Golińska: politykę ekonomiczną; N. Pinkus: teoryę polityki socyalnej; Ż. Grotowski: rozwój wielkiego przemysłu w Królestwie Polskiem; N. Pinkus: statystykę; Wł. Studnicki: skarbowość; J. Kucharzewski: teorye socyalne i polityczne nowoczesne; E. St. Rappaport: nowoczesną politykę kryminalną; K. Dunin: prawo handlowe i F. Perl: prawo polityczne (naukę o formie państw).

Otrzymujemy następującą odezwę: Wybrana przez sekcję przyrodniczo-rolniczą X Zjazdu lekarzy i przyrodników komisya dla spraw polskiego słownictwa rolniczego, zwraca się niniejszem do ogółu rolników, pracujących na ziemiach polskich, zarówno w kierunku praktycznym, jak i teoretycznym, z gorącym wezwaniem do współdziałania w zamierzonej pracy nad oczyszczeniem języka z obcych naleciałości, ujednostajnieniem słownictwa rolniczego, a zarazem zebraniem wszelkich w tym dziale nazw miejscowych, rdzennie polskich. Wszyscy, którzyby pragnęli przyczynić się do powyższej, tak dla nas ważnej sprawy, zechcą zgłosić się osobiście lub listownie u podpisanego (Lwów, ul. Karola Ludwika 3, Towarzystwo gospodarskie), a otrzymają bliższe objaśnienia, jak i druki, potrzebne do zbierania odnośnych materyałów. Za komisję dla spraw polskiego słownictwa rolniczego *Bronisław Janowski*.

N O W E K S I A Ą Ż K I.

TOWARZYSTWO MIŁOŚNIKÓW HISTORJI W WARSZAWIE jak wiadomo wydaje dwumiesięcznik p. t. Przegląd historyczny. Tom V-ty tego wydawnictwa, właściwie 1-szy zeszyt tomu V-go ukazał się niedawno na półkach księgarskich. Zeszyt ten zawiera następujące prace: 1). Z teki pozgonnej Maksymiliana *Gumplowicza*. Początki biskupstwa krakowskiego. Przedwcześnie zmarły historyk z wątpliwych fragmentarycznych danych stara się tutaj wydobyć genezę założenia krakowskiego Biskupstwa. Na tle porównawczych zestawień, zaczerpniętych z historyi kościoła w Chorwacyi i Dalmacyi, dochodzi do wniosku, że biskupstwo krakowskie jest właściwie przeniesieniem do Krakowa w wieku X biskupstwem Nitzańskiem. Takie przeniesienie stolicy biskupiej nie jest faktem izolowanym, a przeciwnie znajduje cały szereg współrzędnych faktów w średniowieczu i tłómaczy się tem, że zdobycie miasta biskupiego przez pogan, zmuszało do przeniesienia stolicy do innego miasta. Autor dla poparcia swej tezy co do Krakowa, przytacza dowody przeważnie na rozumowaniu oparte. Interesujące są w tej pracy ustępy o obrzędku słowiańskim w Wielkomorawii oraz wpływach jego na Polskę i Czechy. Żalować przychodzi, że przedwcześnie zmarłemu autorowi nie danem było korzystać z nowszych prac w tej sprawie, wartość niniejszego artykułu znacznieby na tem

zyskała. 2). *J. Jakubowskiego*. Opis księstwa Trockiego. W pracy tej autor analizuje przywilej wydany przez Jagiełłę w 1387 r. na rzecz brata swego Skirgiełły ks. Trockiego. Przywilej ten zawiera opis księstwa Trockiego i daje wiele szczegółów o ustroju społeczno-prawnym Litwy w końcu XVI w., które autor umiejętnie zestawia i innemi współczesnemi dokumentami objaśnia. Stąd praca jego zyskuje na wartości i rzuca pewne światło na mało dotąd znane stosunki ekonomiczne i prawne Litwy na przełomie XIV na wiek XV-ty. Autor kładzie szczególny nacisk na fakt istnienia na Litwie jeszcze przed przyjęciem przez nią chrześcijaństwa większej prywatnej własności ziemskiej, nadawanej nie tylko „do woli gospodarskiej“ ale i na „wieczność“ — pozatem rozpatruje szczegółowo sposób, jakim kraj był administrowany przez księcia. Spreżystość tej administracyi, władza ciwinów w zupełności zależna od księcia, znaczne opodatkowanie ludności rolniczej — co wszystko autor szczegółowo wyjaśnia — dowodzi potężnej władzy i znacznej centralizacyi państwowej. W tem oświetleniu inaczej przedstawiają się stosunki litewskie, aniżeli dotąd je rozumieliśmy z opisu Szajnochy. Litwa z czasów Jagiełły to już nie dzika puszcza leśna, ale kraj zorganizowany w prawidłowo urządzone, jednolite państwo, o ustroju absolutycznym. Jako aneks do tej wysoce interesującej pracy, służy wzmiankowany przywilej z 1387. Jest on drukowany czeionkami rosyjskimi, jako przedruk z rosyjskiego wydawnictwa Swinina. To tłumaczy poniekąd użycie czcionek rosyjskich, ale nie zupełnie. Litery rosyjskie, równie dobrze jak polskie, nie odtwarzają dźwięków języka ruskiego, a więc nie mogą być użyte do przedruku dokumentów odległej starożytności, gdzie chodzi o ścisłość nie tylko historyczną, ale i językową. Powinno się stanowczo używać dawnych liter ruskich, gdyż takiego np. **А** ani alfabet rosyjski, ani polski nie posiada. Co prawda oryginał dokumentu z 1387 nie był autorowi znany, może wcale dziś nie istnieje, ale w takim razie, bez żadnej ujmę dla wartości pracy, można było dać w dokumencie transkrypcję polską, bardziej odpowiednią do artykułu pisanego po polsku.

3). *W. Kamienieckiego*. Pobyt króla Jana Zapolii w Polsce w 1528 r. Początek pracy mającej wykazać knowania polityczne Zapolii podczas jego pobytu w Tarnowie. Są dotąd próby charakterystyki towarzyszków zbiegłego króla. Służyłby mogły za przygotowanie do pracy, ale nie jej część pierwszą. Dalej w drugiej części pobieżny obraz stosunków węgierskich tej doby i polityki polskiej względem Węgier.

4). *Wł. Konopczyńskiego*. Odwrócenie przymierzy w Europie 1755—1757. Autor, od dłuższego czasu pracując nad epoką saską, w pracy tej daje żywy obraz polityki całej Europy, ze szczególnem uwzględnieniem stosunków austriacko-pruskich. Praca ta jest nacechowana wielką znajomością przedmiotu, opanowaniem źródeł i treściwym a pełnym głębszych spostrzeżeń wykładem. Odkładając do ukończenia tej pracy obszerniejsze o niej sprawozdanie, nie możemy się powstrzymać od wypowiedzenia się o niej z wielkiem uznaniem na tem miejscu.

5). *W. Męczkowski*. Prowizorowie szpitalni w dawnej Polsce. Przyczynek do dziejów magistratury naszej. W rozdziale pierwszym autor omawia początki szpitali i instytucyj prowizorów szpitalnych w Polsce, oraz sto-

sunek kościoła i miast do szpitali. W drugim rozdziale zastanawia się nad genezą instytucyj prowizorów i ich obowiązkami i cytuje cały szereg odnośnych dokumentów.

6). *Fr. Giedroyc*. Wodociągi i kanały miejskie. Jest to d. c. rozpoczętej poprzednio pracy. Układ alfabetyczny według miast. W zeszycie tym znajdują się dane historyczne oraz przedruk przywilejów dotyczących wodociągów w miastach: Kazimierzu, Krzemieńcu, Lublinie, Lwowie, Łomży, Opawie, Opocznie, Pilźnie i Plocku. Przeważna część tych dokumentów odnosi się do XV i XVI w.

7). *K. Marcinkowski* podaje bardzo interesującej i szczegółowy Inwentarz Zamku Warszawskiego, sporządzony w 1769. Jest to pierwszy ogłoszony drukiem inwentarz zamku dający poznać jego ówczesną okazałość. Szkoda tylko, że układ typograficzny przedruku nie jest zadawalniający. Można było dając stosowne a capite i spajające nazwy oddzielnych części zamku, nadać inwentarzowi więcej przejrzystości i łatwiejszym go uczynić do zorientowania się czytelnika.

WYDAWNICTWA PERYODYCZNE.

— *EKONOMISTA*. Zeszyt II. J. Gościński: Zarząd lokalny a dobroczynność publiczna w Anglii; — Dr. F. Bujak: Uwagi o społeczeństwie galicyjskiem (dok.); — Wł. M. Kozłowski: Polityka społeczna Konwencji i prądy socjalistyczne ówczesne; — Dr. St. Horzewska: Przyczynek do teorii podziału dóbr; — C. Łagiewski: Kasy oszczędnościowe w państwie rosyjskiem; — Kronika ekonomiczna; Kronika współdziałania; — Rozbiory i sprawozdania; — Przegląd czasopism; — Bibliografia.

— *HOMILETYKA I PRZEWODNIK SPOŁECZNY*. Czerwiec. Czy zasady moralności ogłoszone przez Zbawiciela odpowiadają naszym czasom?; — Zagadnienie społeczne; — Stosunek spółkowy między pracodawcą a robotnikiem, wzajemne słuszne żądania; — Dział kaznodziejski; — Kazania przygodne; — Przemówienia; — Asceetyka; — Wiadomości teologiczno-pasterskie.

— *KRYTYKA LEKARSKA*. Sierpień. J. Kramsztyk: Prof. H. Hoyer (wspomnienie pośmiertne); — W. Bujak: Życiorys Henryka Jordana; — J. Kramsztyk: Wady mianownictwa i układu naukowego w okulistyce; — Oceny.

— *OGRÓD*. Czerwiec. St. R.: Zebranie ogólne członków Tow. Pszczelniczo-Ogrodniczego i zmiana ustawy; — J. Trzebiński: Choroby śliwy; — E. Ciszewicz: Upiększanie brzegów wód w ogrodach; — J. Hetner: Przedwczesne wykwitanie roślin warzywnych (dok.); — W. Dewald: Przesadzanie roślin doniczkowych; — Badania i spostrzeżenia; — Dla ogrodników; — Listy; — Wytwórczość i handel.

PRZEGLĄD FILOZOFICZNY. Zeszyt III. B. Bernstein: Preformowana harmonia transcendentálna, jako podstawa teorii poznania Kanta; — R. Minkiewicz: Próba analizy instynktu metodą obiektywną; — Krytyka i sprawozdania; —

Notatki o nowych księżkach; — Autoreferaty; — Z czasopism; — Wiadomości bieżące; — Bibliografia.

— WIADOMOŚCI PASTERSKIE. Czerwiec. Ks. dr. Weis: O rozwoju gatunków; — Wystawienie prywatne Najśw. Sakramentu; — Ks. J. Beckner: Kościelna sztuka budowlana (c. d.); — Zagadnienia teologiczne i społeczne; — Prawo i liturgia; — Z chwili bieżącej; — Piśmiennictwo.

— WIADOMOŚCI PASTERSKIE. Lipiec. Ks. dr. K. Weis: O rozwoju gatunków; — Ks. S. Żelazowski: O Słowienach i ich duszpasterzach; — Proboszcz w Albigowej; — Ks. J. Beckner: Kościelna sztuka budowlana (c. d.); — Zagadnienia teologiczne i społeczne; — Prawo i liturgia; — Z chwili bieżącej; — Piśmiennictwo.

— WSZECUŚWIAT I CZŁOWIEK. Zeszyt 67. Dzieje rozwoju przyrody i człowieka. Opracowane pod redakcją H. Kremera. Przekład Stanisława Kramsztyka, 2000 ilustracyj i tablic kolorowych. Warszawa, 1907. Wydawnictwo Tow. Akc. S. Orgelbranda Synów. Skł. głów. w księg. E. Wende i Sp. 8-o, form. duży, str. od 162 do 184.

— Zeszyt 68. Dzieje rozwoju przyrody i człowieka. Opracowane pod redakcją H. Kremera. Przekład. Stanisł. Kramsztyka, 2000 ilustracyj i tablic kolorowych. Warszawa, 1907. Wyd. Tow. Akc. S. Orgelbranda Synów. Skł. głów. w księg. E. Wende i Sp. 8-o, form. duży, str. od 185 do 208.

— ZDROWIE. Lipiec. Dr. med. B. Ziemiński: W sprawie walki ze ślepotą; — Dr. med. B. Ziemiński: Przyczynek do etyologii ślepoty; — Dr. L. Endelman, Walka z jaglicą (trachoma); — Dr. med. W. Kamocki: Zapobieganie ślepotcie; — Streszczenie zbiorowe; — Dział sprawozdawczy; — Ze zjazdów i wystaw higienicznych; — Z Warsz. Tow. Hygienicz.; — Przegląd bibliograficzny; — Nekrologia; — Wiadomości drobne.

— ZWIASTUN EWANGIELICZNY. Lipiec. „Tak jest, Panie! — wszakże;” — O nauce religii w szkole, szkołkach niedzielnych i nabożeństwach dla dzieci; — 1906 (dalszy ciąg); — Początki sztyndyzmu (dokończ.); — O reformie w pisaniu aktów stanu cywilnego; — Głosy czytelników; — Słów kilka o nauce języka niemieckiego w szkołach naszych; — Budowniczy naszego kościoła Warszawskiego; — Jubileusz ks. sup. Biedermana; — Z prasy; — Wiadomości z kościoła i ze świata; — Ofiary; — Nabożeństwa; — Ogłoszenia.

BIBLIOGRAFIA.

TEOLOGIA. — FILOZOFIA.

A. B. C. Katolika-Polaka. Warszawa, 1906. Skł. gł. w księg. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 104.

DUILHÉ DE SAINT-PROJET, KANONIK: Apologia naukowa wiary chrześcijańskiej. Przekład z francuskiego ks. biskupa H. P. Kossowskiego, poprze-

odzny słowem wstępem ks. Michała Nowodworskiego, biskupa plockiego. Wydanie drugie. Warszawa, 1907. Nakł. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 511.

KIRCHHOFF A., PROF.: Człowiek i ziemia. Przekład z niemieckiego St. L. M. Redaktor i wydawca Alfred Stranch. Łódź, 1907. Nowa Biblioteka Samokształcenia. Skł. głów. w księg. Centnerszvera. 8-o, str. 134.

LUBECKI KAZIMIERZ, DR. SZAMBELAN: Sanktuaria Maryańskie w Ziemi Świętej (Ze wspomnień o Ziemi Świętej). Kraków, 1907. Gebethner i Wolff. 8-o, str. 26.

SZARBAKOWSKI FELIKS, KS.: Co to jest komunja święta? I jak się ma spowiedź do komunji świętej? Żytomierz, 1907. Skł. głów. w księg. Szczepkowskiego w Warszawie. 16-o, str. 13.

— Co to jest kradzież? Żytomierz, 1907. Skł. głów. w księg. Szczepkowskiego w Warszawie. 16-o, str. 38.

— Co to jest oszukaństwo, wyzysk i lichwa? Żytomierz, 1907. Skł. głów. w księg. Szczepkowskiego w Warszawie. 16-o, str. 24.

— Co to jest restytucya? Żytomierz, 1907. Skł. głów. w księg. Szczepkowskiego w Warszawie. 16-o, str. 24.

— Kiedy i jak się masz przygotować do przyjęcia ostatniego Olejem Świętym Namaszczenia. Żytomierz, 1907. Skł. głów. w księg. Szczepkowskiego w Warszawie. 16-o, str. 10.

H I S T O R Y A.

HERBARZ POLSKI. Tom X, zeszyt VI, od str. 101 do str. 204. Wydawnictwo Adama Bonieckiego. Skł. głów. w księg. Gebethnera i Wolffa.

KOŹMIAN KAJETAN: Pamiętniki. Obejmujące wspomnienia od roku 1780 do roku 1815. Cz. I. Warszawa, 1907. Biblioteka Dzieł Wyborowych № 491. 8-o, str. 143.

— Obejmujące wspomnienia od roku 1780 do roku 1815. Część II. Warszawa, 1907. Biblioteka Dzieł Wyborowych № 492. 8-o, str. 125.

KRAUSHAR ALEKSANDER: Miscellanea historyczne XVII. Katechizm polityczny polski. Z pierwszych lat Królestwa kongresowego. (Ze źródła archiwalnego). Warszawa, 1907. Skł. gł. w księg. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 20.

— Miscellanea historyczne berlińskie z czasów upadku Rzeczypospolitej polskiej (1796—1797) ilustrowane przez Daniela Chodowieckiego. Warszawa, 1907. Skł. gł. w księg. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 14.

— Miscellanea historyczne XIX. Dziecię Warszawy. Epizod historyczny z roku 1831. Warszawa, 1907. Skł. głów. w księg. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 21.

KULWIEC KAZIMIERZ: Chrzęszcze polskie, klucz do określenia owadów tegopokrywnych dla użytku młodzieży, amatorów i ogrodników. Opracował...

Warszawa, 1907. Skład głów. w księg. E. Wende i Sp. Wydanie z zapomogi Kasy pomocy dla osób pracujących na polu naukowym im. J. Mianowskiego. 8-o, str. 229.

MAŁECKI ANTONI: Lechici w świetle historycznej krytyki. Wydanie drugie, przejrzone przez autora. Lwów, 1907. W komisie H. Altenberga. 8-o, form. duży, str. 264.

PULASKI FRANCISZEK: Nieznane listy Barbary Radziwiłłówny do Mikołaja Radziwiłła Rudego i do Zygmunta Augusta. Warszawa, 1906. Skł. gł. w księg. E. Wende i Sp. 8-o, str. 9.

SCHOTT KAROL: Dzieje powszechne w streszczeniu. Część I. Historia Grecyi i Rzymu. Warszawa-Praga, 1907. Stefan Rzymski. 16-o, str. 82.

NAUKI SPOŁECZNE. — EKONOMIA. — ROLNICTWO.

BECK JÓZEF: Współdziałanie jako program życiowy. Warszawa, 1907. Skł. główny w księgarni Gebethnera i Wolffa. Biblioteczka „Społem.“ 8-o, str. 48.

BERSTEIN EDWARD: Parlamentaryzm a Socjalizm. Z niemieckiego przełożył Maryan Aleksandrowicz. Redaktor i wydawca Alfred Strauch. Łódź, 1907. Nowa Biblioteka samokształcenia. Skł. głów. w księg. Centnerszwera. 8-o, str. 76.

BERNSTEIN EDWARD: Strajk, jego istota i oddziaływanie. Opracował w skróceniu Dr. Jan Błeszyński. Warszawa, 1907. Nakł. Spółki Wydawniczej. Tania biblioteka, № 15. 8-o, str. 75.

BRZESKI JULIAN z Krotoszyña: Jak się powinien obchodzić urzędnik gospodarczy z ludem roboczym? (Rzecz wygłoszona w Poznaniu dn. 29-go stycznia 1907 r. na wykładach dla urzędników gospodarczych). Odbitka z „Ziemianina.“ Poznań, 1907. Nakł. Centr. Towarzystwa Gospod. w W. Ks. Pozn. Skł. głów. w księg. Bogdana Chrzanowskiego w Poznaniu. 8-o, str. 14.

BÜCHNER LUDWIK: Walka o byt i społeczeństwo obecne. (Darwinizm i Socjalizm). Z niemieckiego tłómaczył W. P. Redaktor i wydawca Alfred Strauch. Łódź, 1907. Nowa Biblioteka samokształcenia. Skł. głów. w księg. Centnerszwera. 8-o, str. 62.

DASZYŃSKA-GOLIŃSKA ZOFIA, DR.: Ekonomia społeczna. Część II. Warszawa, 1907. Nakład b. wychowawców szkoły Handl. im. Leop. Kronenberga. Podręcznik z dziedziny Nauk handl. i ekon. Skł. główny w księg. E. Wende i Sp. 8-o, form. duży, str. 366.

GIDE KAROL: Zasady ekonomii społecznej. Trzecie polskie wydanie, według dziesiątego wydania francuskiego ponownie opracowane i rozszerzone przez dr. Włodzimierza Czerkawskiego. Warszawa, 1907. Nakł. Kasy Przewozności i Pomocy warszawskich pomocników księgarskich. Skład głów. w księg. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. VI+718.

GRZEGORZEWSKI MARYAN: Reforma kas gminnych pożyczkowo-oszczędnościowych w Królestwie Polskiem. Kielce, 1907. Skł. głów. w księg. Gebethnera i Wolffa w Warszawie. 8-o, str. 162.

HIERONIM, KS.: Rozmowa o socyalizmie. Napisał... Warszawa, 1907. Skł. głów. w księg. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 31.

LUBKOWSKI KAZIMIERZ, INŻ.: Wpływ kontroli chemicznej na racjonalne zużytkowanie torfu, jako paliwa. Praca odczytana w Seceyi Torfowej II cz. na VIII Międzynarodowym Kongresie Rolniczym w Wiedniu, 1907 r. Przez... Odbitka z „Chemika Polskiego.“ Warszawa, 1907. Skł. głów. w księg. E. Wende i Sp. 8-o, str. 19.

ZAGLENICZNY J. Stan obecny kwestyi robotniczej na Zachodzie. Warszawa, 1907. Skł. głów. w księg. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. IV+260.

ZIELŃSKI-KOCENT WL.: Jak usuwać szachownicę i przeprowadzać kolonizacyę gruntów (z dodatkiem kilku map). Napisał... Warszawa, 1907. Z zapisu Władysława Peplowskiego w zawiudowaniu Kasy pomocy dla osób pracujących na polu naukowem imienia dr. Józefa Mianowskiego. Skł. gł. w księg. E. Wende i Sp. 8-o, str. 64.

HISTORIA LITERATURY I FILOLOGIA.

CHLEBOWSKI WLADYSŁAW: Idea, układ i artyzm „Dziadów“ kowieńskich i „Fragmentów“ pośmiertnych. Odbitka z „Myśli Polskiej.“ Warszawa, 1907. Skł. głów. w księg. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 27.

GRABOWSKI TAD.-STANISŁ.: III. Orzeszkowa. W 40-letni Jubileusz jej pracy literackiej. Napisał... Kraków, 1906. G. Gebethner i Sp. 8-o, str. 133.

KWOCZYŃSKI PIOTR, KS. DR.: Psalterz Karpińskiego i jego stosunek do Psalterza Kochanowskiego. Napisał... Lublin, 1907. Skł. głów. w księg. F. Raczkowskiego. 8-o, str. 132.

POLAKIEWICZ DANIEL: Stenografia polska. Warszawa, 1907. Nakł. autora. Skł. główny Plac Warecki 4. 8-o, str. 48.

TARNOWSKI ST.: Historia literatury polskiej. Tom VI Część druga. Wiek XIX 1863—1900. Kraków, 1907. Nakł. autora. 8-o, str. XIV+651.

WYŻYCKI MARYAN: Mowa ojezysta. Warszawa, 1907. Nakł. księg. M. Szczepkowskiego. 8-o, podł. str. 31.

M E D Y C Y N A.

CHOROBY DZIECIĘCE, a mianowicie: odra, żarniec, szkarlatyna i błonica, koklusz i t. p., powstanie tych chorób, zapobieganie im, jakoteż przyrodne leczenie tychże. Wydanie drugie, przejrzane i uzupełnione. Z rycinami. Berlin, 1907. Nakład wydawn. „Przewodnika Zdrowia.“ Warszawa, E. Wende i Sp. 8-o, str. 56.

HAMMOND W. A., DR. MED.: Niemoc płciowa u mężczyzn i kobiet. Przyczyny, skutki, zapobieganie i leczenie niemocy. Przełożył Zygmunt Stankiewicz. Warszawa, 1907. Nakładem księgarni K. Fiszlera. 8-o, str. 219.

KONFERENCYA pierwsza w sprawie alkoholizmu w Królestwie Polskiem, odbyta dn. 2 lutego 1907 roku w sali Muzeum Przemysłu i Rolnictwa w Warszawie. Warszawa, 1907. Nakł. „Przyszłości.“ Skł. głów. w księg. Naukowej. 8-o, str. 48.

MIKŁASZEWSKI W., DR.: Wstęp do higieny dla proletaryatu. Berlin, 1907. Nakł. wydawnictwa „Przewodnika zdrowia.“ Warszawa, E. Wende i Sp. 8-o, str. 31.

SZUMOWSKI WŁADYSŁAW: Galicya pod względem medycznym za Jędrzeja Krupińskiego, pierwszego protomecyka 1772—1783. Napisał... Z portretem Krupińskiego. Lwów, 1907. Nakł. Tow. dla popierania Nauki polskiej. Warszawa, E. Wende i Sp. 8-o, form. duży, str. 367.

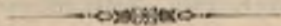
PEDAGOGIA. — SZKOLNICTWO.

BÜCHNER LUDWIK: Walka o byt i społeczeństwo obecne. (Darwinizm i Socjalizm). Łódź, 1907. 8-o, str. 62.

JASTRZĘBIEC TADEUSZ: Zbiór zadań algebraicznych w zakresie programu gimnazyalnego. Zebrał i ułożył... Warszawa-Łódź, 1907. Nakładem księg. Ludwika Fiszlera. 8-o, str. 72.

KOWAŁSKI J.: Zadania i przykłady arytmetyczne dla szkół początkowych, klas przygotowawczych i nauczania domowego. Ułożył... Część II. Liczby w zakresie 100. Cztery działania w zakresie 1.000. Warszawa, 1907. Skł. głów. w księg. S. Fabijańskiego. 8-o, str. 64.

PROGRAM wykładu matematyki i fizyki w szkole średniej. I. Program nauki rachunków. Warszawa, 1907. Nakł. Gebethnera i Wolffa. Wyd. Koła Matem.-Fizycznego. 8-o, str. 16.





PRACA

Dodatek poświęcony artykułom w sprawach administracyjnych, ekonomicznych, prawnych i społecznych, oraz materyałom spraw tych dotyczącym.

Treść: Udział Królestwa Polskiego w budżecie państwa, — przez A. Donimirskiego¹⁾. — Od redakcyi „Pracy.”

Udział Królestwa Polskiego w budżecie państwa.

Kwestya udziału Królestwa Polskiego w budżecie państwa weszła u nas w ostatnich czasach na porządek dzienny dyskusyi. Oczywiście tylko w kołach najpoważniejszych, bo to przedmiot niewątpliwie dla badacza, statysty, niezmiernie interesujący, ale mało ciekawy dla szerokiego ogółu czytelników pism codziennych lub tygodniowych, a nawet najpoważniejszych miesięczników.

Cyframi u nas wogóle ani się interesują szersze koła, ani się też z nimi umieją obchodzić. Wszak do niedawna bardzo ograniczoną była liczba tych, którzy mieli choćby tylko powierzchowne pojęcie o ważniejszych cyfrach budżetu państwa, choć cyfry te nie od dziś bywają ogłaszane. Łatwo jednakże zrozumieć, że ludzie mało interesują się tem, co pozostaje zupełnie po za sferą ich wpływów, a dopiero wtedy żywiej się zajmują, gdy wpływ ten nie jest wykluczony. Inny jest stosunek szerokiego ogółu, choćby tylko inteligencyi, do cyfr budżetu państwa tam, gdzie konstytucyjn zapewnia ciało reprezentacyjnemu rozpatrzenie i zatwierdzanie budżetu, inny tam, gdzie — jak do niedawna było w państwie rosyjskiem — budżet układany bywa w mi-

¹⁾ Z powodu artykułu p. A. P. „Stan finansów Królestwa Polskiego.” „Praca” № 2, 3, 4 i 5.

nisteryach, a ludność bierze tylko—że się tak wyrazimy—udział w wykonaniu go, przez opłacanie podatków pośrednich lub bezpośrednich.

Zdarzało się i w Rosyi, że ministrowie przy ustanawianiu nowego podatku powoływali do narady znawców z kół podatkiem zainteresowanych, ale wpływ ich bywał minimalny; zwykle kończyło się na wprowadzeniu w życie tego, co uprzednio w ministerjum zaprojektowano i czego autorowie bronili i oczywiście skutecznie obronili.

Z tych względów dzienniki o szczegółach budżetu mało pisać mogą, bo choć to są kwestye bezpośrednio interesujące najszersze koła, mające bowiem związek z ich sprawami materialnymi, jest to nawet dla inteligencji *terra incognita*, a gdy prasa zagraniczna pisze o cyfrach budżetu, jako o przedmiocie powszechnie znanym, u nas trzebaby każdą z nich *ab ovo* objaśniać.

Nie lepiej oczywiście znane są szerszym kołom stosunki finansowo-ekonomiczne kraju tutejszego, zasoby pieniężne ludności, działalność warsztatów wytwórczych w dziedzinie rolnictwa i przemysłu, sprawność tych warsztatów i stosunek do tychże czynników ekonomicznych w całym państwie.

Sprawa udziału Królestwa Polskiego w ogólnym budżecie państwa weszła na porządek dzienny dyskusyi przypadkowo, a wprowadziły ją nie względy ekonomiczne, lecz polityczne. Niektóre dzienniki rosyjskie, wrogo dla nas usposobione, podniosły ją twierdzeniem, że Królestwo Polskie jest krajem o budżecie biernym, co znaczy, że wydatki skarbu w Królestwie są większe, niżeli dochody, że zatem skarb tu dopłaca z tego, co ludność innych okolic państwa w drodze podatków bezpośrednich i pośrednich do skarbu wnosi.

Twierdzenie podobne musiało się wydawać bezpodstawnem wszystkim, którzy mają jakie takie wyobrażenie o działalności różnych czynników ekonomicznych i finansowych w gospodarce publicznej. Jest to pewnikiem, nie ulegającym żadnemu zakwestyonowaniu, że w budżecie każdego państwa najlepszą rubrykę stanowią te okolice, których stosunki ekonomiczne są najbardziej rozwinięte, gdzie wytwórczość jest stosunkowo największa, ruch handlowy poważny, ludność pracowita i względnie najwięcej zarabiająca, gdzie nareszcie jest duże zaludnienie. Tam i produkeya i konsumeyja są stosunkowo największe.

Dlaczegożby Królestwo Polskie od tej zasady miało stanowić wyjątek, skoro wiadomo, iż w państwie rosyjskiem kraj nasz należy do tych, które powyższym warunkom odpowiadają, bo po

za guberniami, w których się mieszczą stolice państwa, niewiele jest takich, któreby intensywnością producyi lub siłą spożywczą z Królestwem Polskiem równać się mogły.

Możnaby wprowadzić na to odpowiedzieć, że gdy dziś państwa w swojej gospodarce przeszły tak samo do zasad gospodarstwa intensywnego, jak racjonalne rolnictwo, u nas, w Królestwie siła wytwórcza, a skutkiem tego i siła spożywcza, jest najsilniejsza, ponieważ największe są czynione nakłady ze skarbu państwa. Ale przecież wszyscy aż nadto dobrze wiemy i dowodzić nie potrzeba, że tak nie jest, że skarb państwa nadmiernych wydatków na cele produkcyjne u nas nie czyni, bo ich wogóle nie czyni.

Wydatki każdego państwa można podzielić na trzy wielkie kategorye. mianowicie: 1) wydatki na administracyę, na zadosyćuczynienie funkcyom rządu, do czego i obronę państwa zaliczamy; 2) wydatki na zarządzanie przedsiębiorstwami skarbowemi, stanowiącemi źródło dochodów, jako to: dobra ziemskie, lasy, kopalnie, koleje, a dalej cła i różne prawa i monopole, nareszcie 3) wydatki na cele kulturalne ludności, na to, co podnosi i kulturę i dobrobyt, a więc i siłę podatkową mieszkańców. Otóż wystarczy bardzo pobieżny rzut oka na budżet Rosyi i porównanie go z budżetami innych państw, aby się przekonać, że wydatki kategoryi 3-ej, w porównaniu z innemi państwami, w Rosyi są bardzo małe, a Królestwo w tym względzie nie stanowi wyjątku. Jeżeli zaś niemniej, co do siły producyi i spożycia, poważne w państwie zajmuje stanowisko, jest to rezultatem położenia jego geograficznego i starszej od wielu okolic państwa kultury.

Dwie są okoliczności, mogące przyczynić się do zamącenia pojęć o udziale Królestwa Polskiego w ogólnym budżecie państwa u tych wszystkich, którzy, nie wchodząc w szczegóły, sądzą z pozorów. Są to z jednej strony znaczne wydatki na wojsko w Królestwie, z drugiej strony nieproporcjonalny stosunkowo dochód z monopolu wódeczanego.

Otóż co do wydatków na wojsko ¹⁾, zaznaczyć trzeba, że wypływają one głównie z tego względu, iż Królestwo Polskie jest krajem nadgranicznym państwa. We wszystkich państwach,

¹⁾ Z artykułu, pomieszczonego w № 2 „Pracy“ z r. b. „Stan finansów Królestwa Polskiego.“ wiemy, że up. w r. 1904 wydatki ministerjum wojny wynosiły 354.010.951 rubli, z czego wydatkowano w Królestwie Polskiem 42.709.832 rubli.

jak o tem łatwo przekonać się z istniejących w tym względzie map, okolice nadgraniczne mają największe załogi wojskowe, z czego jednakże wcale nie wypływa, aby ciężar tych załóg mógł być zaliczony na koszt prowincyj lub krajów, w których się one znajdują. I w Austrii często jest mowa o tem, że Galicya jest krajem wobec budżetu państwa finansowo biernym; ale nigdy tym, którzy podobne twierdzenie stawiają, nie przychodzi na myśl powoływać się na to, że utrzymanie armii w Galicyi dużo kosztuje, tak samo jak Niemcom nie przychodzi na myśl zaliczać wyłącznie na koszt Alzacyi i Lotaryngii załogi wojskowe, które tam są utrzymywane z powodu bliskości granicy francuskiej. To są wydatki, uważane za ciężar całego państwa, w którym każda jego część w odpowiedniej mierze partycypuje. Tak też należy patrzeć na sumy, wyptacane w Królestwie na utrzymanie wojska.

Wprawdzie niektóre dzienniki rosyjskie twierdzą, że ze względu na stosunki polityczne, utrzymanie większej siły wojskowej w Królestwie Polskiem jest potrzebne. Otóż najprzód śmiemy twierdzić, że jeżeli chodzi o zachowanie spokoju w kraju, to ten nie wymaga większej siły zbrojnej, niżeli jakakolwiek inna część państwa; gdyby zaś istotnie wymagał, byłoby to wynikiem stosunków politycznych nie przez kraj wywołanych i od niego niezależnych. Niema tedy z tego powodu żadnego tytułu zaliczania na ciężar kraju wydatków, od stosunków i potrzeb ekonomicznych zupełnie niezależnych. Jeżeli zaś te same pisma, które mówią o bierności Królestwa Polskiego w budżecie państwa, wywodzą, że kraj nasz z tego, że jest w nim znaczna załoga wojskowa, poważne ciągnie korzyści, to rzekome te korzyści należy zredukować do właściwej miary: intendentura wojskowa potrzeby swoje co do przedmiotów żywności i ubrania prawie wyłącznie pokrywa po za Królestwem Polskiem, a dopiero od niedawna udało się pozyskać część dostaw, tak, że pewne sumy za robocizną wpływają do kieszeni pracowników tutejszych. Zboże na mąkę do chleba, który wojsko konsumuje, kasza, jagły, mięso i t. d. sprowadzane są z po za granic kraju naszego, tak samo materiały na ubrania nie są wyrabiane w fabrykach tutejszych. Jeżeli zechcemy obliczyć udział Królestwa Polskiego w dostawach dla intendentury i w pokryciu potrzeb armii rosyjskiej, nie wypadnie on z pewnością na korzyść kraju tutejszego.

Wspominaliśmy o nieproporcjonalnym stosunku udziału Królestwa Polskiego w dochodach monopolu wódczanego, stanowiącego, jak wiadomo, poważną rubrykę w budżecie dochodów państwa. W r. 1904 przy ogólnej sumie dochodów zwyczajnych ru-

bli 2.031.800.814, dochód z monopolu wódeczanego wynosił rubli 542.228.342, (na r. 1907 na rub. 2.174.963.544 ogólnych dochodów zwyczajnych, obliczono dochód z monopolu na rub. 673.050.000) z czego na Królestwo Polskie przypadało rub. 32.483.179.

Otóż temu istotnie zaprzeczyć nie można, że Królestwo Polskie nie bierze takiego udziału w spożyciu wódki monopolowej, jaki wypada ze stosunku jego zaludnienia i zamożności. Pomimo szybkiego stosunkowo wzrastania zaludnienia, spożycie wódki monopolowej nie wzrasta. W roku 1893 wynosiło ono 4.226 tysięcy wiader, w r. 1895 wzrosło do najwyższej cyfry 4.559 tysięcy, aby spaść w r. 1898 do najniższej 3.730 tysięcy wiader; w r. 1903 wynosiła konsumpcya w Królestwie Polskiem 4.220 tysięcy wiader. W tej rubryce tedy Królestwo istotnie słabszym jest kontrybuentem podatku od innych okolic, ale nad tem ubolewać nie będziemy, że większa zamożność ludności tutejszej nie ujawnia się we większem spożyciu alkoholu i że większe dochody z Królestwa Polskiego do skarbu państwa z innych płyną źródeł.

Szczegółowe wskazanie tych źródeł dochodów skarbu, specjalnie z Królestwa, nie jest rzeczą łatwą, tak samo, jak niełatwym jest obliczenie, jaki udział w wydatkach skarbu przypada na kraj tutejszy. A jednakże, gdy kwestya ta raz została poruszona, rozpatrzenie jej z różnych względów jest bardzo pożądane. Trzeba sobie wprawdzie zdać sprawę z tego, że jako materiał polemiczny cyfry pozyskane nadmiernej wartości nie będą miały. Skoro bowiem Królestwo Polskie pod względem skarbowości nie jest wyodrębnione, lecz stanowi integralną część całego państwa, obliczenie jego udziału w wielu rubrykach dochodów i wydatków, będzie musiało zawsze oprzeć się nie na ścisłych cyfrach, lecz na kombinacyach cyfrowych. Dla jednych, którzy je będą rozpatrywali z dobrą wiarą, mogą one być przekonywujące, inni będą im odmawiali wszelkiego znaczenia, a wzajemne przekonanie się nie będzie rzeczą łatwą. Nie mniej badania w tym kierunku podejmować należy; z czasem mogą one doprowadzić do rezultatów zupełnie pewnych, a tymczasem w każdym razie dadzą objaśnienia o sile podatkowej kraju, zachęcą do bardziej szczegółowego badania warunków jego ekonomicznych, zasobów finansowych i t. p. i zwrócą uwagę na wysokość, rodzaj i charakter wydatków, w których kraj bierze udział.

Z tego względu z zadowoleniem powitać należy studia w tym przedmiocie podjęte i pierwszy krok jaki w tym względzie uczynił p. A. P. rozprawą swoją „Stan finansów Królestwa Polskiego,“ w ostatnich kilku zeszytach „Pracy.“ Autor, zdając sobie

dokładnie sprawę z trudności, z jakimi badanie stosunków finansowych Królestwa Polskiego na podstawie budżetu państwa ma do walczenia, niemniej zebrał tak obfity materiał, o jakim na początku trudno było myśleć. Ale autor wie, że wnioski z tego materiału bardzo często muszą być przypuszczeniami, a chodzi o wynalezienie metody, która by doprowadziła do jak najpewniejszych rezultatów; prosi tedy o krytykowanie go i do tego zachęca, otwierając łamy „Pracy“ dla dyskusji nad badanym przedmiotem. Istotnie: tylko tą drogą możemy kiedyś dojść do cyfr względnie ścisłych, gdy sobie dokładnie zdamy sprawę jaką metodą, przy pomocy jakich czynników je badać należy, a w tym właśnie celu dyskusya jak najbardziej wyczerpująca jest pożądana.

Rozumie się, że z dyskusji tej z góry musimy wykluczyć poglądy na system finansowy i budżetowy państwa wogóle i krytykę wielkich wad jego, a dyskusyę oprzeć jedynie na danych faktycznych.

Różne są okoliczności utrudniające stwierdzenie udziału Królestwa Polskiego w ogólnym budżecie państwa. Najpierw do niedawna trudno było pozyskać urzędowe dane co do zamierzeń (preliminarzów) budżetowych w rozdziale ich na poszczególne pozycje, tak samo cyfry o zamknięciu budżetu na dany rok. Obecnie zmieniło się to, gdy budżet podlega rozpatrzeniu i uchwałom ciał prawodawczych i wszystkie jego pozycje muszą być wyszczególnione. Otrzymawszy zaś te cyfry do ręki i wtedy jeszcze osobnego budżetu dla Królestwa Polskiego z nich ułożyć nie możemy. Wprawdzie wpływy i wydatki ogólne są podzielone na gubernie i obwody, ale to jest podział czysto mechaniczny. Przy panującym systemie poborowym ani wpływ do kasy danej gubernii nie jest dowodem, że pochodzi on od mieszkańców danej gubernii, ani o wykazanym przez kasę pewnej gubernii wydatku nie można powiedzieć, że poczyniony on był w interesie i na potrzeby danej okolicy.

To też słusznie twierdzi p. A. P. w swej rozprawie o stanie finansów Królestwa Polskiego, że jedynie dokładnie można obliczyć udział Królestwa w budżecie państwa co do podatków bezpośrednich. Ale podatki te stanowią bardzo małą część ogólnych dóchodów skarbu. Na budżet dwumiliardowy podatki te w r. 1904 dały 134.879.104 rb. (na r. 1907 zostały przelimitowane na 157.835.305 rb.). Są to trzy rodzaje podatków: 1) gruntowe oraz z innych majątków nieruchomości 49.526.753 rb. (w r. 1907 60.236.505 rb.), 2) państwowy podatek przemysłowy: 67.026.790 rb. (na r. 1907 77.051.800 rb.) i 3) podatek od dochodu z kapitałów

18.325.561 rb. (na r. 1907 20 547.000 rb.), właściwie i tu tylko podatki od 1 i 2 można ściśle podzielić na Królestwo Polskie i resztę państwa, bo już co do podatku od dochodu z kapitałów podobny podział jest niemożliwy. W tym podatku bowiem główną rolę odgrywa niewątpliwie podatek od kuponów; o ile tedy tutejsi kapitaliści posiadają walory, których kupony płatne są po za granicami Królestwa, ich opłata podatkowa już tu nie wchodzi w rachubę. Zresztą podatek w znacznej mierze opłacany jest przez zagranicznych kapitalistów.

Opłata podatku gruntowego w różnej formie i państwowego podatku przemysłowego, naszym zdaniem są najlepszą miarą siły podatkowej danego kraju. Z podatków tych w Anglii składa się w części podatek nazwany *income tax*, uważany za normę dochodów danych osobników lub przedsiębiorstw. Otóż w r. 1904 na ogólną wymienioną powyżej sumę dochodu z podatku gruntowego: rb. 49.526.753, Królestwo Polskie wpłaciło 13.180.701 rb., czyli blisko 27%, zaś państwowego podatku przemysłowego Królestwo zapłaciło 6.943.414 rb., a więc przeszło 10% ogólnego wpływu.

Właściwie te dwie cyfry dają wymowną odpowiedź na twierdzenie o bierności budżetowej Królestwa Polskiego. Jeżeli bowiem udział Królestwa w tych dwu podatkach jest tak wielki, to jest to albo wynikiem rażącej niesprawiedliwości, albo też objawem zamożności Królestwa. Dzienniki rosyjskie twierdziły zawsze to ostatnie, ile razy u nas się skarżono na przeciążenie podatkiem gruntowym w stosunku do Cesarstwa; jeżeli zaś ta ich odpowiedź jest słuszna, nie mogą równocześnie pisać o bierności podatkowej Królestwa, bo kraj zamożny biernej roli odgrywać nie może w budżecie państwa, w którym podatki pośrednie, t. j. akcyzy i cła niezmiernie ważną odgrywają rolę. Ale jeżeli podatki są niesprawiedliwe, to i w takim razie bądź co bądź wpływają do skarbu jako opłata od mieszkańców Królestwa, wyższa stosunkowo od tej, jaką opłacają z tego samego tytułu mieszkańcy innych części państwa.

Podatkami bezpośrednimi tedy Królestwo Polskie, w stosunku do zaludnienia swego, płaci bardzo dużo, bo około 15%. Prawda, że podatki bezpośrednie w budżecie państwa rosyjskiego małą odgrywają rolę. Ale jest jeszcze inna rubryka dochodów skarbu, w której wpływ z poszczególnych części państwa stwierdzić można dosyć dokładnie, stanowią ją opłaty różne i stemple. Są tu mianowicie dwie pozycje: 1) stemple, opłaty sądowe, kancelaryjne i inne, 2) opłaty od spadków. Pierwsza pozycja dała w r. 1904 w całym państwie 48.376.694 rb., z czego do kas w Kró-

lestwie, a więc od tutejszej ludności wpłynęło 5.782.327 rb., czyli około 12 $\frac{1}{2}$ %; druga pozycja dała ogółem 22.750.089 rb., w tem z Królestwa 2.975.938 rb., czyli 13 $\frac{1}{2}$ %.

Dlaczego wyszczególniany te cyfry? Bo one świadczą o sile podatkowej ludności, o ruchu ekonomicznym i finansowym w kraju, więc na tych cyfrach trzeba się do pewnego stopnia oprzeć, gdy będzie trzeba, już jedynie w drodze kombinacji, obliczyć udział Królestwa Polskiego w opłacie innych podatków pośrednich, mianowicie spożywczych, jako to akcyzy od trunków, od tytoniu, cukru, nafty i zapalek. Kontrola na podstawie tego, co wpłynęło do kas w Królestwie i w Cesarstwie jest tu już zupełnie niemożliwa, bo podatki spożywcze opłacane są tam, gdzie dany przedmiot spożywczy się wytwarza; Królestwo Polskie zaś wprawdzie wytwarza więcej cukru niżeli go konsumuje, ale za to wcale nie produkuje tytoniu (akcyza w r. 1904 przyniosła 48.719.071 rb.) i nafty (w r. 1904 wpłynęło do skarbu z akcyzy 34.784.410 rb.). Akcyzę opłaca ten, kto dany przedmiot konsumuje. Byłoby tedy łatwo stwierdzić ile z akcyzy wpływa w Królestwie Polskiem, gdyby konsumcyę można dokładnie obliczyć. Ale, otwarcie mówiąc, my cyfrom urzędowym w tym względzie niezupełnie ufamy.

Pan A. P. w rozprawie swojej o finansach Królestwa Polskiego podał nam (nawiasem mówiąc, może po raz pierwszy w języku polskim) zarówno ogólne cyfry dochodu i wydatków skarbu państwa, jako i rozdział ich na poszczególne rejony, w Królestwie Polskiem zaś nawet rozdział wpływu bezpośrednich podatków na gubernie, nawet powiaty, według wykazów kasowych. Słusznie jednak zaznaczył, że o istotnym udziale Królestwa Polskiego w budżecie państwa z tego rozdziału kasowego, mechanicznego, żadnych wniosków wyciągnąć nie można. Dotyczy to zaś głównie akcyz, z powodów powyżej przytoczonych. To też w tej dziedzinie kombinuje wpływy kasowe z danemi o konsumcyi miejscowej i innemi czynnikami różnemi.

Na ogół tylko jeden zarzut metodzie badania p. A. P. mamy do zrobienia, mianowicie, że niedostatecznie uwzględnił jeden czynnik, t. j. siłę spożywczą, a więc i siłę podatkową kraju, o której dają świadectwo podatki bezpośrednie i te pośrednie, które powyżej wyliczyliśmy (stemple i różne opłaty). Skutkiem tego p. A. P. w dziedzinie podatków spożywczych dochodzi do cyfr za mało niskich — co zresztą sam odczuł i stwierdził. Wszak wiadomo, że na podatki pośrednie składa się w największej mierze ludność najzamożniejsza. Nie znaczy to bynajmniej, że ludzie bogaci albo zamożni głównie ponoszą ciężar podatku; pod tym wzglę-

dem podatki pośrednie nie dają sprawiedliwego rozkładu ciężarów, bo niesprawiedliwym jest, gdy robotnik od funta cukru, od litra nafty, pudełka zapalek lub papierosów płaci tyle, co człowiek zamożny lub bogaty. Ale faktem jest, że ludność zamożna a przede wszystkim ludność o pewnej kulturze, mająca większe potrzeby, więcej zużywa przedmiotów, ulegających podatkowi spożywczemu. To też, jeżeli pan A. P. oblicza, że na ogólną sumę 48.719.071 rb., jaką przynosi skarbowi akcyza od tytoniu, przypada na Królestwo Polskie 1.656.000 rb., czyli niewiele ponad 3%, cyfra ta wydaje nam się stanowczo za niską. Przecież cały ciężar akcyzy od tytoniu, w jakiegokolwiek formie jest pobierany, spada na spożywcę, palenie tytoniu u nas nie jest mniej rozpowszechnione, niż w Cesarstwie, więc niema żadnego powodu do przypuszczania, aby Królestwo w opłacaniu akcyzy brało udział mniejszy, niżeli w stosunku ludności Królestwa do całego państwa. Jeżeli zaś to przyjmniemy za podstawę, cyfrę pana A. P. będziemy musieli więcej jak podwoić i doprowadzić do 3.800.000 rb.

Mniej więcej te same uwagi moglibyśmy zastosować do nafty i zapalek, gdyby nie ta okoliczność, iż konsumpcja nafty w Cesarstwie z tego powodu może być większą, że tam odpadków jej używa żegluga i koleje żelazne. Z drugiej strony jednakże niewątpliwie szerokie masy ludności u nas zużywają stosunkowo daleko więcej nafty, niżeli te same masy w Cesarstwie, więc i to obliczenie opłat od nafty w Królestwie na 868.000 rb., gdy cała akcyza przynosi skarbowi 34.784.410 rb., nam się wydaje za niskiem. Obliczenie udziału Królestwa w opłacie akcyzy od zapalek na 225.000 rb., gdy cała akcyza przynosi 7.671.840 rb., też nie odpowiada rzeczywistości. Więcej do rzeczywistości zbliża się obliczenie udziału w akcyzie od cukru, którą przy ogólnym wpływie 78.816.896 rb. p. A. P. dla Królestwa oblicza na 10.000.000 rb., co mniej więcej odpowiada spożyciu 5 700.000 pudów cukru (statystyka rządowa w r. 1095 6 obliczała je na 5.578.000 pudów). Akcyzę od trunków (z którą oczywiście monopol niema nic wspólnego), przynoszącą w całym państwie 29.794.245 rb., p. A. P. oblicza na 2.650.000 rb., co niezawodnie jest bardzo zbliżone do prawdy.

Największą niezawodnie trudność przedstawia obliczenie udziału, jaki może mieć Królestwo Polskie w dochodzie skarbu państwa z ceł. Gdy dla całego dowozu jest tylko jedna granica celna, t. j. granica państwa, a ruch wewnętrzny towarów zagranicznych usuwa się z pod wszelkiej kontroli już choćby dlatego, że z zagranicy przychodzą i surowe materiały i półfabrykaty, które

następnie przerobione w fabrykach Królestwa idą do Cesarstwa, a przerobione w fabrykach Cesarstwa przychodzą do Królestwa, więc zdawałoby się, że jakiegokolwiek, choćby tylko przybliżone do prawdy stwierdzenie kwoty ceł, opłacanych przez Królestwo Polskie, jest po prostu niemożliwe. A jednak p. A. P. i tu spróbował dokonać obliczenia. Oparł je na kasowych dochodach komor celnych Królestwa Polskiego w ten sposób, że dochód komór w gubernii Suwalskiej zaliczył całkiem na Cesarstwo, od dochodu reszty komór Królestwa, wynoszącego według pięcioletniego przecięcia 33,000,000 rubli, jeszcze odtrącił 3 mil. rubli na cło od towarów, przechodzących przez Królestwo do Cesarstwa, i obliczył, że mieszkańcy Królestwa Polskiego płacą 30 mil. rubli cła za towary sprowadzane z zagranicy. Pozatem p. A. P. jest zdania, że więcej towarów zagranicznych przychodzi przez granicę azyatycką i przez porty Cesarstwa do Królestwa, niżeli idzie stąd do Cesarstwa.

Ponieważ liczbowe stwierdzenie jest niezmiernie trudne, więc my dla wydobycia przybliżonej cyfry użyjemy innej metody, opartej na naszej zasadzie o sile spożywczej kraju. Już z tego tytułu, że ludność Królestwa kulturalnie stoi względnie wysoko, można wywnioskować większe zapotrzebowanie towarów zagranicznych. Zachodzi zaś jeszcze inna okoliczność, mianowicie bliskość granicy, częsta komunikacja z zagranicą i pewne nawyknienie do niektórych towarów zagranicznych. Otóż na podstawie siły spożywczej kraju i wykazanej już na innych pozycjach siły podatkowej kraju, przyjmujemy udział Królestwa w cłach na 12% ogólnej ich sumy. Gdy zaś suma ta wynosi około 220 mil. rubli, więc na Królestwo przypada 26,400,000 rubli; uwzględniając zaś zaznaczoną okoliczność: przyzwyczajenia ludności do towarów zagranicznych, co powoduje jeszcze większe zapotrzebowanie towarów danych, zbliżylibyśmy się zapewne bardzo do cyfry pana A. P. 30 mil. rubli, która tym sposobem zyskuje na prawdopodobieństwie, gdy dwie drogi badania nas do niej zbliżyły. Znaczy to bardzo dużo wobec cyfry, co do której absolutnej pewności mieć nie można i na prawdopodobieństwie jedynie ją oprzeć trzeba.

Zresztą będzie można to prawdopodobieństwo w przyszłości jeszcze wzmocnić studjami nad importem towarów ¹⁾ i spożyciem

¹⁾ Według statystyki importu za r. 1904, w roku tym dowieziono do Rosyi: bawełny za 108 $\frac{1}{2}$ mil. rb., maszyn za 55 $\frac{1}{2}$ mil., herbaty za 47.3 mil. r., wyrobów metalicznych za 29.0 mil. r., gumy elast. i gutaperki za 21.7 mil. r.,

danych towarów w Królestwie, ale to na razie przechodzi granice, jakie sobie w niniejszej pracy zakresiliśmy, których zadanie polega głównie na stwierdzeniu, o ile metoda, przyjęta przez pana A. P., w tej pierwszej u nas pracy o stanie finansów Królestwa Polskiego, jest uzasadnioną i jakie inne czynniki możnaby jeszcze zużytkować.

Idąc dalej w badaniu pozycji dochodowych skarbu, dochodzimy do rubryki poczta, telegraf, telefon. Dała ona w r. 1904 razem 44,432, 07 rubli, a zaraz tu nadmienić musimy, że dochód z tego tytułu olbrzymio wzrósł, bo na r. 1907 preliminowano go w budżecie na 76,347,200 rubli, a wydatki obliczono na 46,222,873 ruble. Ponieważ jednakże preliminarz na r. 1907 nie zawiera podziału na gubernie, więc musimy się tu oprzeć na budżecie za r. 1904. Otóż tu, z podziału na gubernie, wynika, że dochód z poczt, telegrafów i telefonu wyniósł w urzędach pocztowo-telegraficznych Królestwa 5,667,342 ruble, czyli znów blisko 13% całego dochodu. Ponieważ tu już cały dochód tak, jak w rubryce stempli i opłat, przyjąć należy na Królestwo, więc tak samo, jak tam, dochód i tutaj jest świadectwem kultury kraju, ruchu handlowego i przemysłowego, a tem samem siły podatkowej, którą stosownie należy przyjąć w rachubę tam, gdzie dokładnych cyfr wydobyć nie można.

Mniej ważną rolę odgrywa Królestwo Polskie w jednej z najważniejszych pozycji dochodu skarbu, mianowicie w dochodzie z monopolu wódczanego. Pozycji tej jednakże już powyżej na wstępie osobne poświęciliśmy uwagi, więc do niej nie powracamy. Zaznaczymy tylko, że p. A. P., który w budżecie określa dochód z monopolu na 540 mil. rubli, udział Królestwa w tej cyfrze określa na 31,755,000 rubli, co nawet nie wynosi 6% ogólnego dochodu i dowodzi, że ludność Królestwa w stosunku do ludności Cesarstwa odznacza się trzeźwością.

Z szeregu innych pozycji najpoważniejszą jest pozycja dochodu z lasów rządowych, oceniona w r. 1904 na 60,052,837 rubli, w tem w Królestwie Polskiem 5,684,071 r., czyli około 10%.

ryb za 21.2 mil., płótna za 15.9 mil., chemikalij i drogieryj za 13.1 mil., owoców za 12.7 mil. r., jedwabiu surowego za 12 mil., nasion za 9.3 mil., win za 8.2 mil. r. i t. d. Są to wszystko przedmioty, mające niewątpliwie większy zbyt wśród ludności o większych nieco wymaganiach kulturalnych. Zanim tedy dokonane zostanie jakieś obliczenie o zapotrzebowaniu tych przedmiotów w Królestwie Polskiem, naogół stwierdzić można, że stosunkowo musi ono być wyższe aniżeli w Cesarstwie.

Na osobną uwagę zasługuje pozycja „dróg skarbowych.“ Naszem zdaniem jednakże pozycja ta w budżecie porównawczym, gdy chodzi o stwierdzenie udziału pewnej części państwa, w danym wypadku Królestwa Polskiego w budżecie państwa, wcale nie powinna wchodzić w rachubę. Gdyby wszystkie koleje były własnością państwa, tak jak to jest prawie w Prusach, można by koleje skarbowe postawić mniej więcej na równi z pocztami i telegrafami. Ale w Rosyi rzecz się ma inaczej, tylko część kolei jest własnością skarbu państwa, nie mają one tedy charakteru regaliiów lecz są po prostu przedsiębiorstwem, a podział ich terytorjalny jest zupełnie przypadkowy. I tak na ogólną długość 50,553 wiorst kolei w Rosyi europejskiej było linii skarbowych 31,751 wiorst, z tego w Królestwie Polskiem 1,827 wiorst, czyli niespełna 6%. Linie azyatyckie, obejmujące 9,173 wiorst są całkowicie w ręku rządu, gdy się je włączy do linii skarbowych w Europie, cała sieć wyniesie 41,924 wiorsty, a wtedy owe 1827 wiorst w Królestwie stanowią już tylko niespełna 4%. Finansowo drogi żelazne skarbowe są jednym z najgorszych przedsiębiorstw, nadto są źle administrowane. Zapewne, że stosunkowo opłacają się najlepiej linie w Królestwie Polskiem. Naszem zdaniem atoli zysku i tu nie można dokładnie wyliczyć, a całe przedsiębiorstwo kolei skarbowych należałoby pozostawić po za nawiasem obliczeń budżetowych, bo ono w obliczeniu udziału budżetu tylko zanięszanie wprowadzić może.

Zresztą według obliczeń p. A. P. cyfry dochodu kolei skarbowych w Królestwie Polskiem i wydatków na koleje mniej więcej się równoważyły, więc na ogólny rezultat cyfrowy nie wpłynęły. Odpowiada to mniej więcej stosunkowi dochodów i wydatków kolei skarbowych. Eksploatacyja pochłania prawie całe dochody, bardzo ważna część kosztu odnowień musi wejść do budżetu nadzwyczajnego, a miliardy, zapłacone za nabycie kolei, zupełnie się nie oprocentowują z dochodów kolei; trzeba je pokrywać z innych źródeł. Przy dobrej administracyi i należycie poprowadzonym rozwoju ekonomicznym państwa, oczywiście, kiedyś koleje skarbowe mogłyby się stać cennem aktywum.

Na tem możemy zakończyć uwagi o budżecie dochodów. Mieści on wprawdzie jeszcze cały szereg innych, mniejszych pozycyj. Pan A. P. obliczył je wszystkie bardzo dokładnie w swoim budżecie dochodów i wydatków Królestwa i obliczenia te uzasadnił w sposób, nie mogący chyba ulegać zaczepce z czyjejkolwiek strony. Nasza zaś różnica w obliczaniu z p. A. P. jedynie na tem polega, że my podnieśliśmy udział Królestwa Polskiego w docho-

dzie z akcyz od trunków, tytoniu, nafty i zapalek, z przytoczonych na właściwym miejscu przyczyn, co najmniej o 3 miliony rubli, obniżając natomiast cokolwiek udział w dochodzie z ceł. Ogólna suma udziału Królestwa Polskiego w budżecie dochodów powiększyłaby się tedy, według naszych obliczeń, mniej więcej o 2 mil. rubli w stosunku do tego, co wyliczył p. A. P. Jesteśmy zaś przekonani, że i nasze obliczanie nie jest zanadto optymistyczne.

Przechodzimy do budżetu wydatków. Tu podział na okręgi bodaj jeszcze mniej daje podstawy do obliczeń, niżeli w dziale dochodów. Jest wprawdzie cały szereg rubryk wydatków, wykazanych przez kasy Królestwa Polskiego, które istotnie wydane są w kraju i na cele administracyi lub potrzeb krajowych. Ale poza tem są koszta administracyi ogólnej i wydatki ogólne: np. na ministeryum dworu, ministeryum spraw zagranicznych, na armie lądowe, na marynarkę i t. d., a przedewszystkiem na oprocentowanie długu, w których Królestwo Polskie brać musi udział, choć kasy tutejsze nie na te cele nie wydatkują, albo też kwoty przypadkowe, bardzo nieznaczne. Jedyne wyjątek stanowi armia, na której utrzymanie kasy tutejsze wykazują znaczne wydatki, których żadną miarą na ciężar Królestwa zaliczać nie można, z przyczyn, już na wstępie przez nas wyłuszczonej. W kosztach utrzymania armii i marynarki Królestwo Polskie jedynie może brać udział w tym samym stosunku, co w innych wydatkach na cele wspólne.

Pan A. P. w swojej rozprawie „o stanie Finansów Królestwa Polskiego“ tak pracowicie obliczył i wyszczególnił wszystkie wydatki, czynione tu w kraju na administracyę krajową, na sądownictwo, na oświatę i na różne zarządy podatkowe, celne, akcyzne, wogóle na wszystkie działy administracyi państwowej, że danych jego chyba już nikt uzupełnić nie zdoła. Bardzo słusznie zaznacza autor wspomnianej rozprawy, że jeżeli w budżecie „świętobliwego Synodu“ Królestwo Polskie figuruje z sumą wydatków około miliona rubli, przy ustaleniu budżetu Królestwa nie można całej tej sumy zapisać na ciężar kraju. Według ogólnego budżetu skarb na cele Cerkwi Prawosławnej przeznacza w całym państwie przeciętnie 29 mil. rubli rocznie. W stosunku do liczby prawosławnych wypadu na Królestwo 20.000 rubli; reszta musi być pisana na cele propagandy ogólnej, która samego Królestwa Polskiego obciążać nie może, bo olbrzymia większość kraju w propagandzie tej żadnego nie ma interesu.

Natomiast nie widzimy z rozprawy pana A. P., jak się zapatruje na kwestyę specjalnych dodatków, jakie tutejsi funkcyonaryusze pochodzenia rosyjskiego pobierają za służbę swoją w kraju tutejszym.

Naszem zdaniem, układając budżet teoretyczny dla stwierdzenia ile kosztuje zarządzanie krajem tutejszym, należałoby strącić te wydatki na dopłaty do pensyj, bo one nie mają źródła finansowego lecz polityczne, a politykę prowadzi się kosztem ogólnym skarbu, ale nie kosztem kraju. Nie mamy zresztą wrażenia, aby dla urzędników pochodzenia rosyjskiego urządowanie w Królestwie Polskiem było takim poświęceniem, iżby je osobnemi dopłatami okupywać trzeba; o ile tedy takie dopłaty istnieją, spadają one na ciężar administracyi centralnej i z obliczeń wydatków Królestwa Polskiego należałoby je odliczyć od ogólnej sumy wydatków. O tyle cyfry pana A. P. powinny uleść sprostowaniu.

Zaznaczyliśmy już, że skarb ponosi różne wydatki, które o kasy Królestwa Polskiego wcale się nie odbijają, w wykazach kasowych tu wcale nie figurują. Tu musi się nasunąć pytanie: jaką przyjąć podstawę do obliczenia udziału Królestwa Polskiego w tych wydatkach?

Pan A. P. przyjął za podstawę ludność Królestwa Polskiego i wychodzi z założenia, że na długi skarbu, na wszelkie wydatki ogólne, jako to: wojsko, marynarka i t. d., Królestwo powinno kontrybuować w stosunku do liczby mieszkańców. Dzieli tedy każdy podobny wydatek przez ogólną liczbę mieszkańców państwa, a otrzymaną stąd cyfrę mnoży przez liczbę ludności Królestwa Polskiego dla otrzymania cyfry udziału Królestwa w wymienionych wydatkach.

Nie ulega kwestyi, że innej podstawy do obliczenia przyjąć nie można, choć w gruncie rzeczy ta zasada prowadzi do konkluzyi raczej na niekorzyść, niżeli na korzyść Królestwa Polskiego. Na ogólną przestrzeń 22.202.200 kwadr. kilometrów całego państwa, przypada na Królestwo Polskie tylko 127.317 kil. kw., czyli 8,6%. Choćbyśmy wzięli tylko Rosyę Europejską bez Królestwa Polskiego i Kaukaz, to kraje te mają razem około 5.350.000 kilom. kwadr., wobec których rozległość Królestwa Polskiego nie zajmuje wiele więcej jak 2% obszaru. Otóż nie ulega kwestyi, że administracya wielkich obszarów o małym zaludnieniu jest stosunkowo kosztowniejszą—licząc w stosunku liczby mieszkańców—niżeli administrowanie mniejszemi obszarami, gęściej zaludnionymi. I tak np.: gdy kraj ma milion ludności na 20.000 kil. kwadr., administracya będzie taniej kosztowała, niżeli wtedy, gdy ta sama liczba ludności będzie mieszkała na obszarze 100.000 kil. kw. Uwzględniając to, przychodzi się do wniosku, że administracya Królestwa Polskiego, a więc i wszystkie nakłady, jakie z nią są połączone, koszta i długi, jakie z tego wynikają, stosunkowo do

liczby mieszkańców, w mniejszej mierze są spowodowane przez Królestwo Polskie, niżeli przez inne części państwa. Należałoby tedy na udział Królestwa w wydatkach wspólnych przyjąć mniejszy procent, niżeli mniej więcej 7½%, wynikające z stosunku zaludnienia. Niemniej akceptujemy tę podstawę, na jakiej we wszystkich obliczeniach wspólnych wydatków oparł się pan A. P., a wspomniemy tylko o niektórych cyfrach główniejszych.

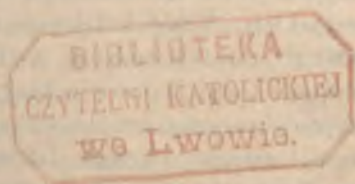
I tak: na oprocentowanie długu państwowego, wynoszącego w r. 1905 7.681.895.948 rubli (a wymagającego wtedy 334.729.871 r. na oprocentowanie i umorzenie), p. A. P. na podstawie stosunku ludności na Królestwo nakłada 20½ mil. rubli. Do tego jednakże jego zdaniem należy doliczyć 1.378.600 rub. na oprocentowanie obligów kolei Dąbrowieckiej. Tymczasem obligi kolei Dąbrowieckiej, w sumie 22.394.813 rub., są tylko drobną częścią obligów kolejowych, które skarb przejął w ogólnej sumie 1.521.176.224 rb., gdy nabywał drogi żelazne. Ponieważ eksploatacyja kolei skarbowych zaledwie pokrywa koszta i nie jest w możności oprocentowania obligów, więc figurują one wszystkie pomiędzy zwyczajnymi długami skarbu, a do powyższego 1½ miliarda należy jeszcze dodać 188.246.626 rb. obligów kolei Mikołajewskiej i nieumarzające się 12.422.300 rb. 4% obligów kolei Moskiewsko-Jarosławskiej i Wielkiego Tow. kolei rosyjskich. Dług kolejowy wynosi więc razem przeszło 1.720.000.000 rb. Jeżeli tedy p. A. P. na Królestwo wkłada procenta od obligów kolei Dąbrowieckiej, to powinien resztę obligów pozostawić do oprocentowania Cesarstwu, gdzie zadłużone koleje są położone i stracić okragłe 1.700.000.000 rub. z ogólnego długu państwa a Królestwu Polskiemu kazać partycypować tylko 7½%, a nie w oprocentowaniu jakiego wymaga 6 miliardów pozostałego po straceniu obligów kolejowych długu.

Nie będziemy się ostatecznie upierali przy powyższem obliczeniu; nie widzimy tylko powodu, dlaczego w konstruowanym przez pana A. P. budżecie Królestwa Polskiego ma figurować oddzielnie suma 1.378.600 rb. na oprocentowanie obligów kolei Dąbrowieckiej, jeżeli Królestwo partycypuje w oprocentowaniu wszystkich obligów kolejowych zapisanych na ogólny dług skarbowy¹⁾.

¹⁾ Na str. 3 № 5 „Pracy“ powiedziano, że wydatki Królestwa w tej pozycyi składają się: z wydatków na oprocentowanie i umorzenie obligów drogi Dąbrowieckiej i z tej części długu, zaciągniętego wyłącznie *na cele ogólno-państwowe*, jaka przypada na głowę ludności. Przeto w 20½ mil. rub. nie ma wcale wydatków na oprocentowanie i umorzenie obligów kolei, przebiegających Cesarstwu.

Na tem zakończymy uwagi o rozprawie pana A. P. o stanie finansów Królestwa Polskiego i nasze własne o udziale Królestwa Polskiego w budżecie państwa. Rozprawa pana A. P. dostarczyła tak obfitego materiału do ocenienia tego stanu, ale i zarazem do dyskusyi, że niezawodnie wywoła dalsze studia w tym kierunku, które ostatecznie nas może doprowadzą do cyfr absolutnie pewnych. Zaznaczyliśmy już powyżej, że pan A. P. dochody z Królestwa Polskiego ocenia na 150.356.000 rubli, zaś wydatki na 133.085.100 rub., co by pozostawiło nadwyżkę 17.270.900 rub. Według naszych ocenień nadwyżka ta powinna jeszcze wzrosnąć o około 3 milionów rubli i wynosiłaby wtedy przeszło 20 milionów.

Zapewne, że te obliczenia mogą uleść dyskusyi i zaczepkom. W każdym razie dla nas, gdy rozpatrzyliśmy się dokładniej w udziale Królestwa Polskiego w budżecie państwa, kwestyi nie ulega, że twierdzenie, iż Królestwo Polskie dochodami, jakie daje, nie pokrywa wydatków, żadnej nie ma podstawy. Rzecz się ma więc przeciwnie; najdokładniejsze obliczenia; o ile będą bezstronne i sumienne, nie zaprzczą faktowi, który zresztą z góry nie mógł być wątpliwym, że Królestwo Polskie jest poważnem *activum* w budżecie państwa.



A. DONIMIRSKI.

Od redakcyi „PRACY.”

Prosimy czytelników o nadsyłanie nam wszelkich materiałów, informacji i notatek dotyczących spraw administracyjnych, ekonomicznych i społecznych. Na nadesłane nam pytania z zakresu spraw powyższych, postaramy się udzielać stosownych odpowiedzi lub informacji.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca ADAM hr. KRASIŃSKI.



PRACA

Dodatek poświęcony artykułom w sprawach administracyjnych, ekonomicznych, prawnych i społecznych, oraz materiałom spraw tych dotyczącym.

TREŚĆ: Wybory do drugiej Dumy w Warszawie (uwagi i cyfry)—przez Ignacego Chabielskiego.—Od redukcji „Pracy.”

Wybory do drugiej Dumy w Warszawie.

(UWAGI I CYFRY.)

W przeciągu roku niespełna przypada nam w udziale powtórne przedstawienie danych liczbowych, dotyczących dokonania wyborów do Dumy Państwowej. Pozornie w ustawach wyborczych w niezem zmian nie zaszło, a jednak wszechwładne, a nie rozumujące cyfry świadczą wymownie, że jest inaczej.

Zanim przystąpimy do właściwej statystyki, należy zastanowić się nad faktycznymi i formalnymi przyczynami, przyobleczeniemi w szaty postanowień i instrukcyj—przyczynami, które wywołały w szerokich kołach społeczeństwa rozgoryczenie z powodu zmniejszenia liczby prawyborców.

Przedstawiając te dane, będziemy stali wyłącznie na gruncie faktycznym. Nie wdając się w ocenę lub wyciąganie wniosków, pozostawiamy syntezę świadomej rozważce czytelnika.

Ideową dźwignią ograniczeń, wprowadzicie nie ściśle prawodawczych, lecz ubocznych, wydawanych w formie wyjaśnień Senatu lub wskazówek co do instrukcyj albo sposobu stosowania ustaw, było mniemanie, że pierwsza Duma dała wyniki dla rządu niepożyteczne, była nazbyt demokratyczna, a nawet skrajna.

Już 9 (22) października, a więc jeszcze przed rozpoczęciem nowej pracy nad listami wyborczymi, rząd zaczyna od wyjaśnień.

Okólnik Ministerium Spraw Wewnętrznych (№ 3486) rozesłany do gubernatorów i gradonaczalników, a podpisany przez obecnego Prezesa ministrów, p. Stołypina, wyjaśnia, że:

„Uproszczone przepisy (dotyczące ogłaszania dodatkowych list wyborczych, t. j. list. powołujących szersze masy ludności) winny być stosowane według ducha (*smysła*) Najwyższego Ukazu, *wyłączenie* przy dokonywaniu pierwszych wyborów,“ lecz należy „w zupełności podporządkować ułożenie i ogłoszenie list tym przepisom, które wyrażone są w zasadniczem prawie“ (t. j. *ordynacji Bułygina*) i wobec tego „z powodu niemożności obciążania odpowiedzialnością instytucyj, układających listy wyborcze, za zebranie koniecznych wiadomości o tych prawyborcach, którzy nie opłacają podatków co do tych kategorii osób należy zachować porządek meldowania chęci korzystania z prawa wyborczego.“

Tłumacząc to na język ogólnie zrozumiały, znaczy „nie wciągać na listy osób, zajmujących niewielkie mieszkania bez należytego wylegitymowania, co do rocznego okresu zamieszkania.“ Nie przepisy bowiem, lecz usus, wprowadzony przez komisye obywatelskie, potem potwierdzony w drodze rozporządzenia, na listy do pierwszej Dumy zamieścił, jako prawyborców, wszystkich wykazanych na listach lokatorów, sporządzonych przez rządców domów, o ile dane osoby przez rok mieszkały w jednym mieszkaniu. Okólnik przytoczony znosi ten obyczaj, zwłaszcza, że samo układanie list pozostawało w rękach urzędników magistrackich, bez udziału komisyj obywatelskich.

Jednocześnie z tym okólnikiem przesłano instrukcyę, w której (§ 5) Minister spraw wewnętrznych uchyla poprzednią swą bardziej demokratyczną instrukcyę.

Tyle na razie czyni rozporządzenie administracyjne, na poparcie spieszy mu niezwłocznie Ukaz Senatu Rządzącego „o porządku udziału w wyborach do Dumy Państwowej robotników i niektórych kategorii ludności wiejskiej.“ przesłany również przy Okólniku Ministerium Spraw Wewnętrznych w pięć dni, bo 14 (27) października, № 3557.

Ukaz ten, złożony z 12 stron druku in folio, da się podzielić na dwie części: pierwsza to naturalna odpowiedź na postawienie kwestyi agrarnej w Dumie Państwowej. Najwymowniejszym rzecznikiem treści i zamierzeń Ukazu wyjaśniającego Senatu (№ 275) jest towarzysz ministra Kryżanowski, który w słowie wstępnem do okólnika dla gubernatorów i gradonaczalników tak pisze:

„Proszę Pana ze swej strony użyć wszelkich środków, aby kategorye osób nieprawidłowo poprzednio wniesione do list wyborczych, były wykreślane z tych list przy mającem nastąpić ogłoszeniu.

„W załączonym Ukazie ... wyjaśniono, że pełnomocnikami zgromadzeń gminnych (włości) mogą być tylko włościanie-gospodarze.

„Z tej racji ze swej strony uważam za konieczne zwrócić uwagę Waszej Ekscelencyi, że pod nazwą włościan-gospodarzy należy rozumieć, zgodnie z wyjaśnieniami Senatu (tu wyliczono ukazy), tylko takich włościan, co mają osadę mieszkalną i prowadzą własne gospodarstwo.

„Włościanie zaś bezrolni, nie posiadający gospodarstwa i osady, jak również osoby, chociażby były przypisane do wspólnoty włościańskiej, lecz nie zamieszkałe w swej osadzie, nie mające w niej osady lub nadziału ziemi, a także włościanie, nie posiadający we wspólnocie ani osiadłości, ani gospodarstwa...“ nie mają prawa wyborczego czynnego i biernego.

Przepis ten, wywołany jest dążeniem do zmniejszenia liczby bezrolnych w zebraniach wyborczych gminnych i oddania wyborów w ręce drobnych rolników.

Ciekawie objaśnia Senat ograniczenia wyborcze Kozaków małorosyjskich, Baszkirów, a zatem „inorodców“, dając niejako zapowiedź przepisów, jakim z ogłoszeniem nowej ordynacji podlegają obecnie wszyscy „inorodcy“, a w ich liczbie Polacy. Motywy te, przytaczające najbardziej drobiazgowo dane co do przeszłości, są wiernem odbiciem zasad odpowiedzi rządu na projekty agrarne.

Po szeroko motywowanych wywodach historyczno-prawnych, Senat dochodzi do przeświadczenia, że Kozacy małorosyjscy, jako posiadacze ziemi nadziałowej, korzystać mogą tylko z praw wyborczych włościan (system trzystopniowy), nie zaś w zjazdach powiatowych prawyborców (system dwustopniowy).

Tę samą zasadę stosuje Senat do Baszkirów, dodając, że *wszyscy obywatele Baszkiry*, ponieważ ziemię posiadają nie na mocy ogólnych przepisów, lecz w drodze praw wyjątkowych, winni głosować razem z włościanami.

Członkowie zbiorowych jednostek prawnych, jakimi są *gromady i stowarzyszenia włościańskie*, które nabyły ziemię dla podziału od Banku Ziemijskiego, również z uwagi na przepisy wyjątkowe, warunkujące powstanie takich jednostek, nie mogą głosować w zjazdach prawyborców powiatu, lecz winni głosować razem z gromadą (system trzystopniowy).

Drugim motywem tego ograniczenia jest, że Senat „niejednokrotnie upatrywał zasady do porównania takiej ziemi z nadziałową.“

Jeżeli do tych ograniczeń dodamy przepis wyjaśniony przez towarzysza ministra Kryżanowskiego o prawie biernem wyborczem — będziemy mieli pojęcie o tem, jak „objaśniono“ Ukazy o wyborach.

Jeszcze bardziej charakterystyczną jest osobliwa piecza, jaką Senat otacza praprawyborców robotników. Wiadomo, że robotnicy głosują według systemu trzystopniowego. Jednak w czasie wyborów do pierwszej Dumy robotnicy zamieszkali w miastach, z tytułu opłacania podatku lub zajmowania mieszkania, głosowali razem z obywatelami miejskimi. Oto jak rozumuje w sprawie tej Senat (Ukaz № 275, str. 11):

„Zwracając się w końcu do pytania, czy mogą robotnicy, pracujący w fabrykach i zakładach przemysłowych, które wybierają na zasadzie osobnych przepisów, a w tej liczbie robotnicy warsztatów kolejowych, przyjmować również udział i z tytułu cenzusu, t. j. posiadania nieruchomości, wynajęcia mieszkania i t. d., należy wziąć pod uwagę, że prawo osobnego klasowego przedstawicielstwa, poza warunkami cenzusu majątkowego, stanowi dla robotników *taki wyłączny przywilej*“ (trzystopniowego głosowania, praprawyborców, narówni z gromadami włościańskimi), „który wyłącza ich zupełnie i całkowicie ze składu ludności danego okręgu wyborczego w odrębną grupę, korzystającą z prawa wyborczego nie na majątkowej zasadzie, lecz na zasadzie pracy...“

„Z tego należy wnioskować, że wyłączając robotników niektórych zakładów przemysłowych w osobną grupę, prawo równocześnie wyłączyło osoby te... z ogólnego systemu wyborczego.“

Zład wnioskuję Senat, że wszystkie wyżej wymienione osoby należy wykreślić z ogólnych list prawyborców.

Przepisy co do praw wyborczych robotników wywoływały pewne nieporozumienia w instytucjach, sporządzających listy, co wywołało okólnik № 3560 (dziwnym zbiegiem okoliczności datowany tak samo, jak pierwszy, 14 (27) października 1906 r.).

Istota tego okólnika polega na wyjaśnieniu, że robotnicy, nawet gdyby się zrzekli prawa głosu w zebraniach fabrycznych urzędowo, nie mają należeć do kuryj miejskich, choć każdy prawyborca wogóle może żądać przepisania go na listę innego okręgu

według żądanego cenzusu, o ile posiada parę cenzusów w różnych okręgach i z różnych tytułów. Okólnik ten podpisał towarzysz ministra Kryżanowski.

Po władzach centralnych, władza krajowa, przez kancelaryę warszawskiego Generał-Gubernatora w okólniku z d. 16 (29) października № 5313, zaleca prezydentowi m. Warszawy i gubernatorom ścisłe przestrzeganie przepisów i okólników ministra spraw wewnętrznych.

Już w czasie toku prac przedwyborczych wynikają różne wątpliwości. Niektóre instytucje nie wiedzą czy należy wnieść osoby zapisane na listach wyborczych do pierwszej Dumy na listy powtórnie bez zastrzeżeń, czy też nie. Wątpliwość tę wyjaśnia w duchu ograniczającym okólnik № 3666 z d. 20 października (2 listopada).

Ciekawym dokumentem, dotyczącym ograniczenia osób, posiadających cenzus mieszkaniowy, jest telegram, donoszący Gubernatorowi o nowych wyjaśnieniach Senatu (№ 6633 z d. 28 października (10 listopada)). Ponieważ telegram ten omawia w streszczeniu istotę ukazów № 276, 277 i 279, nie podajemy go i przechodzimy do samego źródła nowych wyjaśnień.

Pierwsze z nich dotyczy wyborczych praw niższej służby kolejowej, która zajmuje lokale udzielane przez Zarząd dróg żelaznych. Otóż Senat po rozpoznaniu tej sprawy orzekł:

„Prawo służby niższej kolejowej do mieszkania udzielonego przez instytucję, w której pełni służbę, jest równoważnikiem części pobieranej płacy, a ponieważ cała pensya nie warunkuje dla niższej służby prawa udziału w wyborach, przeto i część płacy, upostaciowana w mieszkaniu udzielonem w naturze, nie może dawać tego prawa.“

Bardzo znaczną liczbę t. zw. proletaryatu miejskiego usuwa od wyborów Ukaz Senatu № 277. Tu Senat wychodzi z tego samego założenia, co w Ukazie poprzednim i podając dosłownie motywy wyżej przytoczone, wyłącza „*niższą służbę, t. j. wachlerów, woźnych, szwajcarów, stróżów, woźniców, monterów, lamparzy, palaczy i innych.*“ Co należy rozumieć pod słowem „innych,“ Senat nie wyjaśnia, przypuszczać należy, że chodziło tu wogóle o niższe warstwy pracujące, które otrzymują pensyę i mieszkanie.

W zastosowaniu do wielkich miast „wyjaśnienie“ dało bardzo poważne rezultaty. W Warszawie np. za jednym zamachem pozbawiono praw wyborczych 6,000 stróżów, nie licząc woźniców (u nas doróżkarzy), woźnych różnych instytucyj, palaczy i tych

bardzo licznych „innych,“ bliższe określenie których pozostawiono uznaniu władz, sprawdzających kartki wyborcze.

Subtelną kwestyę określeniową i „mieszkaniową“ rozstrzyga Ukaz № 279, omawiający prawa tak upośledzonej—w porównaniu z płatnikami podatków—kuryi V-ej, złożonej z niepłacących żadnych podatków, lecz stałych mieszkańców. Chodzi tu o określenie, „jakie pomieszczenie mieszkalne należy uważać za oddzielne mieszkanie,“ którego zajmowanie daje prawo udziału w zebraniach prawyborców. Prawo mówi: „Kto zajmuje przynajmniej przez rok jeden mieszkanie na własne imię“ ma prawo wyborcze (§ 1 p. 4). Zgodnie z tem Senat stwierdza, że nie należy przyznawać praw wyborczych:

„a) osobom, zajmującym mieszkanie wspólne na równych prawach na mocy wzajemnej umowy, ponieważ każda osoba ma prawo nie do całego mieszkania, lecz do jego części;

„b) zamieszkałym w pokojach lub w części pokoju (*ugłowyje żylcy*—najmujący ką), ponieważ sama nazwa lokalu „pokojem“ przeciwstawia go pojęciu o „mieszkaniu“ jako pomieszczenia mieszkalnego, które ma odosobniony charakter i przeznaczone jest dla samodzielnego gospodarstwa.“

Nie chcąc, aby dowolne wyjaśnienia mogły powodować różnolite interpretacje przytoczonych artykułów, Senat wchodzi „in medias res“ i dając charakterystykę oddzielnego „mieszkania,“ orzeka:

„Najgłówniejszymi zewnętrznymi cechami oddzielnego mieszkania są: oddzielne wejście, brak wewnętrznej łączności z innymi mieszkaniami i obecność oddzielnej kuchni lub komina do gotowania pożywienia.“

Wnosząc zatem z wywodów, Senat mówi:

„Nie posiadają praw wyborczych:

a) osoby razem, na równych prawach lub warunkach, opartych na wzajemnej umowie, zajmujące oddzielne mieszkania,

b) osoby, które z powodu niezamożności otrzymują mieszkanie darmo — od instytucji dobroczynnych i instytucji i osób prywatnych,

c) sublokatorzy i zajmujący część pokoju.“

Wyjaśnienia takie przy szerokiem a wszechstronnem ich zastosowaniu pozbawiły praw wyborczych wszystkich współników danego interesu, razem zamieszkałych; synów, braci, ojców zamie-

szkających przy rodzinach; osoby mające zasłużone dożywocie wraz z mieszkaniem nie tylko w instytucjach dobroczynnych, ale nawet od osób prywatnych, że nie mówimy już o dowolnościach, jakie mogły wynikać przy przystosowywaniu określenia: „co to jest mieszkanie oddzielne.“

*

*

*

Tyle nowego przyniosły rozporządzenia ogłoszone urzędowo przez władze administracyjne a pochodzące z interpretacji i wyjaśnień Senatu Rządzącego, wydawanych zawsze w odpowiedzi na wnioski i zapytania ministra spraw wewnętrznych. Dokładne zapoznanie się z ich treścią daje już pewne pojęcie o ograniczeniach dokonanych.

Pozostaje do wyjaśnienia strona faktyczna, bardziej związana z życiem miejscowym, która w Warszawie — w czasie okresu sporządzania list prawyborców — odbiła się zgrzytem w pismach codziennych i ściągnęła pewne niedowierzanie co do racjonalności zastosowanego przez Magistrat sposobu układania list i kwalifikowania prawyborców.

Główną przyczyną, która wywołała niezadowolone w sferach obywatelstwa miejscowego, było usunięcie, a raczej niepowołanie do pracy nad wygotowaniem list prawyborców, komisji obywatelskich. Były one czynne przez cały ciąg prac około sporządzania list prawyborców do pierwszej Dumy i przyznać należy, że spełniły swój obowiązek wzorowo. Formalnym powodem niedopuszczenia komisji obywatelskich przez Magistrat była zmiana instrukcji ministerjalnej, omawiającej czynności przedwyborcze. Ale przy dobrej woli ze strony Magistratu, można było przepis interpretować szeroko i skorzystać z honorowej i owocnej pracy obywatelstwa.

Tyle o stronie formalnej — faktycznie na zaostrzenie stosunków między władzą administracyjną, przedstawianą w danym wypadku przez Centralne Biuro Wyborcze przy Magistracie, a korporacją obywatelstwa wpłynęły starcia i nieporozumienia przy pracach do pierwszej Dumy. Poruszane były na zbiorowych konferencyach pewne sprawy natury zasadniczej, o które upominało się obywatelstwo i w wyniku ostatecznym osiągnęło pomyślny rezul-

tat. Przyprawiwały tę zabiegi obywatelstwa Biuro Centralne o ustawiczne pertraktowanie z władzami — bo inaczej być nie mogło, i zarazem zrodziło, jako owoc niedojrzałego poglądu, pewne niezchęcenie i nieufność do komisyj obywatelskich, bo te, stojąc na zupełnie zrozumiałym gruncie mandatu zaufania społecznego, strzeżły, pilnowały i broniły spraw, w ich rozumieniu słusznych i przynależnych społeczeństwu. W końcu prac do pierwszej Dumy stosunek stawał się coraz bardziej oziębły.

Bezpośrednim wynikiem tego doświadczenia i przeświadczenia władz administracyjnych było, przy wznowionej pracy układania list do drugiej Dumy, zastosowanie ograniczającego rozumienia zmienionych przepisów, a zatem *usunięcie od prac przedwyborczych honorowych komisyj obywatelskich*.

Tu już postępowano zupełnie celowo i z planem obmyślanym. Rozproszone po mieście, zakładane w obrębie każdego cyrkułu lokale biur informacyjnych, a zarazem i zgłoszeniowych przedwyborczych, skoncentrowano w jednym punkcie — w Sali Aleksandryjskiej Ratusza. Nie dziw przeto, że bardzo licznie spiesząca do pierwszych wyborów kurya V-ta stopniada. Mieszkańcy, zaliczeni do tej kuryi, posiadający prawo głosowania z mocy zajmowanego przez nich najmniej w ciągu roku mieszkania, z którego nie opłacają podatku mieszkaniowego, składać muszą deklaracje o chęci uczestniczenia w wyborach osobiście w pewnym określonym terminie. — Składają się na kuryę tę przeważnie mieszkańcy ciężko pracujący na życie, a więc każdy zrozumie, jaką przeszkodą mogła być w tym wypadku znaczna odległość zamieszkania przy scentralizowaniu dwunastu, poprzednio rozrzuconych, kancelaryj wyborczych w jednym miejscu.

Również z natury rzeczy ogromna machina techniczna, złożona ze 160 urzędników, niezawsze obeznanych z formalnościami i pozbawionych natychmiastowej i ostatecznej decyzji komisyj obywatelskich, które przy pierwszych wyborach uprawnione były do kwalifikowania prawyborców i rozstrzygania wszystkich wątpliwości, nie mogła działać wzorowo. Zamęt wprowadzały coraz to nowe — nadchodzące w czasie pracy sporządzania list prawyborców, wyjaśnienia Senatu Rządzącego i okólniki ministerjalne. Każdy zrozumie, że w tych warunkach dokładniej pracować mogły biura niewielkie złożone z 10 pracowników, pozostające pod ciągłą kontrolą i przy nieustannej pieczy członków komisji obywatelskiej, niżli ogniskujące 12 komisyj wyborczych Biuro Centralne. Wywody te wymownie potwierdza urzędowe sprawozdanie Komisji guber-

niałnej, kontrolującej pracę Biura Centralnego, które to sprawozdanie podajemy w całości na str. 14.

Oprócz tych przyczyn natury wewnętrznej, jeśli tak można je określić, techniczno-administracyjnej, były powody od nikogo niezależne, uwarunkowane położeniem ekonomicznym, a części i politycznym kraju, które również, jak pierwsze, bezpośrednio lub ubocznie wpływały na zmniejszenie liczby prawyborców.

W związku z ekonomicznym stanem kraju pozostają: 1) zmiana właścicieli nieruchomości, 2) liczne upadłości i bankructwa, 3) wyjazdy masowe, zwłaszcza zamożnych sfer zagranicę, wreszcie 4) emigrowanie mniej zamożnych mieszkańców i emerytów na prowincję.

Co do pierwszej kategorii (właściciele nieruchomości) zaznaczyć należy, że nabywca uzyskuje na mocy prawa głos wyborczy z tytułu posiadania nieruchomości, po upływie roku od czasu nabycia; naturalnie, przy częstym przechodzeniu z rąk do rąk, nowonabywcy nie zdążyli jeszcze nabyć praw wyborczych, gdy dawni właściciele je utracili. Pozostałe kategorie z istoty swej nie wymagają bliższego wyjaśnienia.

Wspomnieć jeszcze musimy o faktach natury politycznej. Zapewne, że w porównaniu z olbrzymią masą prawyborców były to wyjątki, lecz chcąc być bezstronnym, nie sposób o nich zamilczeć. System składania osobistego deklaracji prowadził do nadużyć. Zdarzały się wypadki, że składano po parę deklaracji na jedną osobę, podpisywano i żądano wniesienia na listy niedawno zmarłych, fałszowano podpisy, podawano po parę razy tego samego prawyborcę z różnych cenzusów — słowem przy ostatecznym sporządzaniu list wyszły na jaw różne sposoby, stosowane przez osoby, a nawet może partie polityczne interesowane w stworzeniu sztucznej liczby prawyborców, swych zwolenników.

Oto przyczyny i fakty zebrane w drodze osobistego porozumienia się z różnych źródeł i przedstawione obiektywnie. Sprowadziły one, pomimo bardziej sprzyjających warunków politycznych (ponieważ, jak wiadomo, do wyborów do drugiej Dumy przystąpiły również partie skrajnie, bojkotujące pierwsze wybory), zmniejszenie poważne liczby prawyborców, chociaż pozornie i formalnie kwalifikowanych na podstawie tych samych ustaw i przepisów wyborczych. Sprawę tę przedstawimy w rozdziałach następujących.

I. Ludność Warszawy i lista prawyborców.

Za podstawę do obliczenia liczby wyborców z Warszawy przy wyborach do drugiej Dudy, równie jak do pierwszej, przyjęto ludność Warszawy według wykazu z roku 1905, ponieważ wykaz za rok ostatni nie był jeszcze gotowy. Podajemy go według szematu, jakim posługiwało się Biuro Centralne Wyborcze. Utrzymano w tym szemacie poprzedni błędny podział na wyznania, np.: stworzonych przez urzędników „protestantów”; nie uwzględniono również unitów, katolików-maryawitów już wprowadzonych do wykazów roku bieżącego. Tablica poniższa zestawia wyznania z wyliczeniem odsetek w stosunku do ogólnej liczby ludności.

TABLICA I.

Wykaz ludności Warszawy płci obojga, według wyznań na początku roku 1906.

Cyrkuł	Rz.-Katol.	Mojżesz.	Prawosl.	Protest.	In. wyz.	Ogółem
I	43827 76.8%	9968 17.5%	2272 4 %	978 1.7%	65 0.0%	57110
II	20863 51.8 „	14651 38.5 „	1881 4.9 „	588 1.6 „	89 0.0 „	38072
III	38751 48.9 „	37861 47.8 „	1117 1.4 „	1035 1.7 „	80 0.0 „	79164
IV	5628 9.9 „	49677 87.8 „	1127 2.0 „	68 0.1 „	118 0.0 „	56618
V	17642 26.4 „	45840 68.7 „	1556 1.7 „	1604 2.4 „	12 0.0 „	66654
VI	47994 73.5 „	15090 23.1 „	1008 1.5 „	1176 1.8 „	50 0.0 „	65318
VII	40721 56.8 „	26207 36.6 „	1735 2.4 „	2901 4.1 „	56 0.0 „	71620
VIII	26122 45.6 „	26435 46.1 „	2561 4.4 „	2178 3.8 „	23 0.0 „	57319
IX	46404 68.2 „	9155 13.5 „	7684 11.3 „	4742 7.0 „	19 0.0 „	68004
X	41470 83.8 „	4247 8.6 „	1684 3.4 „	2098 4.3 „	37 0.0 „	49536
XI	55182 79.9 „	5758 8.3 „	5924 8.6 „	1840 2.6 „	245 0.3 „	68949
XII	41923 61.6 „	18111 26.5 „	6577 9.6 „	1356 2.0 „	181 0.3 „	68148
	426527 57.1%	263000 35.2%	35126 4.7%	20884 2.8%	975 0.1%	746512

Przy podziale ludności Warszawy według wyznań z uwzględnieniem jednak różnicy płci, co odgrywa ważną rolę przy oryentowaniu się w liczbie prawyborców, otrzymane zestawienie następujące:

TABLICA II.

Ludność Warszawy według wyznań.

Ludność	Rz.-Katolicka		Mojżeszowa		Prawosławna		Protestancka	
	Męż.	Kob.	Męż.	Kob.	Męż.	Kob.	Męż.	Kob.
Stała	74774	88717	63297	67609	2946	3004	4167	4191
Niestała	128282	139754	64663	67431	15266	13910	6236	6290
Razem	<u>208056</u>	<u>223471</u>	<u>127960</u>	<u>135040</u>	<u>18212</u>	<u>16914</u>	<u>10403</u>	<u>10481</u>
	426527		263000		35126		20884	
	czyni 57.1%		35.2%		4.7%		2.8%	

Ludność	Orm.-Gr.		Starow.		Mahomet.		Karaim.		R a z e m		Ogółem
	Męż.	Kob.	Męż.	Kob.	Męż.	Kob.	Męż.	Kob.	Męż.	Kob.	
Stała	79	63	89	71	9	11	2	1	145363	158667	304030
Niestała	171	160	46	64	144	46	9	11	214817	227666	442483
Razem	<u>250</u>	<u>223</u>	<u>135</u>	<u>135</u>	<u>153</u>	<u>57</u>	<u>11</u>	<u>12</u>	360180	386333	746513
	473		270		210		23				
	czyni razem 0.1%										

Przy rozpatrywaniu tej tablicy, przypominamy uwagę, uczynioną w „Pracy“ o wyborach do pierwszej Dumy (patrz „Wybory w świetle cyfr,” Biblioteka Warszawska, maj, 1906 r., „Praca“ № 5) o podziale ludności rosyjskiej wyznania prawosławnego. Olbrzymia większość tej ludności należy do mieszkańców niestałych, przybyszów, z przewagą liczebną mężczyzn nad kobietami, co również nie jest normalnym objawem, a zostało uwarunkowane przez swoisty skład ludności rosyjskiej, złożonej z urzędników. Ludność stała prawosławna wynosi zaledwie szóstą część. Procentowy stosunek ludności został ułożony według porządku wielkości.

Trzecia tablica, w dość wątpliwem przybliżeniu obrazująca podział na klasy i stany, a sporządzona według urzędowych źródeł, daje chaotyczne pojęcie o faktycznym stanie podziału, jaki stwarza życie. Wystarczy pobieżny rzut oka, aby przekonać się o bezcelowości tego rodzaju układu. Ale w statystyce dowolnie cyframi operować nie sposób; trzymamy się przeto wykazu urzędowego, zaznaczając niewłaściwość w prowadzeniu przeżytej terminologii.

TABLICA III.

Ludność Warszawy w r. 1905 według stanów.

Stan	Stała ludność		Niestala ludn.		Ogółem w Warszawie		Razem
	Mężcz.	Kob.	Mężcz.	Kob.	Mężcz.	Kob.	
Mieszczanie	77759	97075	81963	99781	159722	196856	356578
Rzemieślnicy	30279	26019	45695	35582	15874	61601	137575
Włościanie	—	—	34619	40957	34619	40957	75576
Handlujący	17739	16767	19026	17173	36765	33940	70705
Zapasowi z rodzinami	6418	6074	13076	12120	19494	18194	37688
Szlachta dziedziczna	7078	7538	9164	9958	16242	17496	33738
Kupecy	4220	3181	2820	2420	7040	5601	12641
Obcy poddani	—	—	5103	6590	5103	6590	11693
Szlachta osobista	1127	1322	2052	1938	3179	3260	6439
Obywatele honorowi	361	344	589	445	950	789	1739
„ dziedziczeni	289	268	448	574	737	842	1579
Duchowieństwo świeckie	—	—	—	—	—	—	—
Służba kościelna, siostry	78	39	243	103	321	142	463
Duchowieństwo zakonne	15	40	19	25	34	65	99
Razem	145363	158667	214817	227666	360180	386333	746513

Obliczenie ogólnej liczby wyborców, przypadających na każdy cyrkuł, uległo pewnym zmianom, uwarunkowanym ruchem ludności. Przy wyborach do pierwszej Dumy z powodu braku wykazu z ostatniego 1905 r. Biuro Centralne musiało obliczać według spisu ludności 1904 r., przy wyborach do drugiej Dumy trzymano się spisów r. 1905, nieco różniącego się od poprzedniego; liczbowo różnica ta i ilość wyborców według cyrkułów daje poniższe zestawienie. Zaznaczamy tylko, że dokonywany w czasie sprawdzania list do drugiej Dumy nowy podział Warszawy na 15 okręgów (cyrkułów), nie miał jeszcze zastosowania przy pracach przedwyborczych i dokonaniu wyborów.

Cyrkuł	Ludność w r. 1904	Ludność w r. 1905	Liczba wyborców w r. 1904	Liczba wyborców w r. 1905
I	61040	57110	6	6
II	38841	38073	4	4
III	80215	79164	8	9
IV	59938	56663	6	6
V	65308	66708	7	7
VI	64869	65318	7	7
VII	76700	71571	8	8
VIII	66860	57319	7	6
IX	67465	68004	7	7
X	52161	49536	6	5
XI	67537	68899	7	8
XII	66963	68148	7	7
	767897	746513	80	80

Dawniej przepisana ogólna liczba wyborców pozostała bez zmiany, jedynie w cyrkułach III, VIII i X uległa zmianie, niezawsze zresztą usprawiedliwionej cyframi.

Następującą sprawę, którą należy tu rozważyć, stanowi stosunek liczby prawyborców do ludności przy wyborach do pierwszej Dumy z zestawienia z wyborami do drugiej. Tu najwymowniej świadczyć będą liczby, jaki wpływ miały omawiane we wstępie wyjaśnienia Senatu i specjalne instrukcje ministerjalne, zmierzające do przeprowadzenia pewnej uplanowanej tendencji politycznej przy sporządzaniu list przez urząd magistracki. Narazie damy zestawienie. Zachowujemy tu w całości porządek poprzedniej pracy, przytaczamy ludność cyrkułu, liczbę mężczyzn wogóle i prawyborców do pierwszej Dumy zestawiając z liczbą prawyborców do drugiej.

Cyrkuł	Ludność	Mężczyzn ogółem	Prawyborców	
			I Duma	II Duma
I	57110	27650	7050	6134
II	38073	18820	4948	4516
III	79164	38576	13040	9052
IV	56663	27142	7937	6357
V	66708	34062	9331	7321
VI	65318	31720	8927	5934
VII	71571	35828	8921	8052
VIII	57319	27132	7268	7032
IX	68004	32758	7890	6395
X	49536	23170	6628	6021
XI	68899	30039	9161	8597
XII	68148	33493	13703	7821 (!)
Ogółem	746513	360144	104804	83232

Zanim zastanowimy się szczegółowo nad stosunkiem wzajemnym liczby prawyborców do pierwszej i drugiej Dumy, unaczynnym sposób, w jaki układano listę do drugiej Dumy.

Jak to widac z niżej przytoczonej tablicy IV, biuro magistrackie sporządziło drukowaną listę prawyborców, przy końcu atoli drukowania, wskutek licznych opuszczeń i omyłek, czuło się zniwolonem wydać oddzielny dodatek pod tytułem „Dodatkowy spis prawyborców m. Warszawy z cyrkułu N.“ Wskutek jednak prośb i podań, wniesionych przez osoby prywatne, do Komisji Gubernialnej przy Sądzie Okręgowym, ogłoszono drugi dodatek pod tytułem „Uzupełnienia, zmiany i poprawki w liście prawyborców

T A B L I C A I V.

Cyrkuł	Liczba prawyborców na liście pierwotnej Magistratu	Liczba prawyborców na liście dodatkowej Magistratu	Razem	Z decyzji Komisji Gubernialnej		Ogółem umorzono	Ogółem prawyborców w cyrkułe
				Wpisano na listę Magistratu	Wykreślono z listy Magistratu		
I	5769	103	5872	275	13	262	6134
II	4356	87	4443	121	48	73	4516
III	8660	195	8855	229	32	197	9052
IV	6138	117	6255	124	22	102	6357
V	7093	134	7227	114	20	94	7321
VI	5716	118	5834	138	38	100	5934
VII	7741	179	7920	201	69	132	8052
VIII	6761	100	6861	207	36	171	7032
IX	5986	227	6213	207	25	182	6395
X	5724	146	5870	167	16	151	6021
XI	8191	187	8378	246	27	219	8597
XII	7187	481	7668	212	59	153	7821
Ogółem	79322	2074	81396	2241	405	1836	83232

Na zakończenie działu, omawiającego listę prawyborców, jeszcze jedno zestawienie, w którym porównujemy liczbę mężczyzn z ilością prawyborców, zamieszczonych na listach do pierwszej i drugiej Dumy.

Za punkt wyjścia porównania bierzemy różnicę między dwoma listami, układając ją w porządku wielkości:

Cyrkuł	Różnica	Liczba prawyborców do 1-oj Dumy	Liczba prawyborców do 2-oj Dumy	Ogółem mężczyzn
XII	5882	13703	7821	31493
III	3988	13040	9052	38576
VI	2993	8927	5934	31720
V	2010	9331	7321	34061
IV	1580	7937	6357	27142
IX	1495	7890	6395	32758
I	916	7050	6134	27650
VII	869	8921	8052	35828
X	607	6628	6021	23170
XI	564	9161	8597	30039
II	432	4948	4516	18820
VIII	236	7268	7032	27132
Ogółem	21572	104804	83232	360144

Widzimy zatem, że system komentowania przepisów przez Senat i zastosowanie tego systemu przez władze administracyjne bez udziału obywateli, zmniejszyły liczbę prawyborców o 21,572, co stanowi poważny stosunek. O ile bowiem liczba prawyborców do pierwszej Dumy stanowiła 29,1% liczby mężczyzn, przy sprawdzaniu listy do drugiej Dumy procent ten spadł do 23,1% czyli zmniejszył się o 6%. Ponieważ jednak z ogólnej liczby mężczyzn (360,144) odchodzi około 50% na dzieci i młodzież dorastającą lub nie posiadającą wieku lat 25 przez ustawę dla udziału w głosowaniu wymagalnego, przeto faktycznie liczba uprawnionych do głosowania w Warszawie wynosi około 180,000 mężczyzn. O ile zatem przy pierwszych wyborach z mocy ustawy nie dano prawa głosowania 74,000 prawyborców, co stanowi 41% ogólnej liczby mężczyzn w wieku wyborczym—przy wyborach do drugiej Dumy liczba pozbawionych czynnego prawa wyborczego wzrosła o 21,572 i wytworzyła imponującą sumę 95,572 osób, na 180,000 uprawnionych przez swój wiek do głosowania. Jeżeli zatem nawet odliczymy osoby, które przez swoje położenie socyalne lub stan wyjątkowy (obce poddaństwo, odbywanie kary i t. d.) byłyby pozbawione głosu wszędzie, niemniej możemy łatwo wywnioskować, że przy zmienionym systemie wyborów, *połowa ludności męskiej w wieku wyborczym usuniętą została od wyborów.*

Z ostatniej tablicy nie sposób wyprowadzać żadnych wniosków, stosować uogólnień lub warunkować zmniejszenia liczby prawyborców danymi przyczynami lokalnemi, jak np. charakter narodowościowy zaludnienia, zamożność ludności danych dzielnic, to też nie wdajemy się w tej mierze w szczegółową ocenę, stwierdzając jedynie wyżej podkreślony niezbity fakt, który najwymowniej sam za siebie świadczy.

II. Prawyборы w Warszawie.

Przy odrębnym rosyjskim systemie dwustopniowych wyborów do Dumy, naturalnym biegiem największą rolę odgrywają, przy obliczeniu sił politycznych partyj, prawyборы. Przed nimi szeregują swe siły partye, zjednoczenia polityczne lub bloki wyborcze i do nich przywiązują wyłączną wagę.

Właściwe wybory, to już z góry omówione wyliczenie matematyczne, w którym niema ani omyłek, ani niespodzianek, to konsekwencya naturalna agitacyi przedprawyborczej, jak ją ściśle na-

leży w naszych warunkach nazywać. W porównaniu z prawyborami do pierwszej Dumy, prawybory do drugiej były znacznie prostsze, mniej skomplikowane. Do pierwszej Dumy, pierwocin politycznego życia, rzuciło się aż sześć ugrupowań politycznych (Narodowa Demokracja, Postępowa Demokracja, Związek Demokratyczny, Związek Polityki Realnej, Żydowskie stronnictwo narodowe i Związek „Prawdziwych Rosyan“).

Ale wyniki prawyborów, z których okazało się, że gra polityczna w pojedynkę jest niebezpieczną i nieraz ujawnia słabość lub nawet nicosć danej partji, były niemałym krokiem naprzód w sprawie wyrobienia taktyki walki wyborczej.

Faktycznie już pierwsze wybory rozegrały się, ściśle biorąc, między dwoma wielkimi odłamami przedstawicieli stronnictw (Narodowa Demokracja i blok postępowy). Drugie przyniosły świadome swych celów z góry planowane zjednoczenia, co znacznie uprościło sam proces wyborów i zarazem było na rękę partjom początkującym w grze politycznej, bo liczba ich zwolenników zginęła i stała się nieuchwytną w masie skonfederowanej.

Miało doświadczenie wyborów pierwszej Dumy pewne znaczenie pod tym względem, że pewne odłamy słabe i niezorganizowane, jak „Prawdziwi Rosyanie,“ nie łudząc się bynajmniej co do widoków powodzenia, nawet teoretycznej listy kandydatów nie wystawiali przy wyborach do drugiej Dumy.

Zrózniczkowali się zatem prawyborcy na dwa główne obozy zrzeszone pod dwoma widomemi hasłami „Koncentracji Narodowej“ i „Zjednoczenia Postępowego;“ oddzielnie wystąpili jedynie w paru okręgach Socjalni Demokraci, którzy w pozostałych okręgach oddawali głosy swe razem z głosami Zjednoczenia Postępowego.

Zatem przy dokonywaniu wyborów do drugiej Dumy wystąpiły następujące dwa główne ugrupowania polityczne:

Partye:

- | | |
|----------------------------|---|
| I
Koncentracja Narodowa | <ol style="list-style-type: none"> 1. Narodowa Demokracja, wraz z organizacyami narodowymi robotniczymi. 2. Związek Demokratyczny (Polska Partya Postępowa). 3. Partya Polityki Realnej. 4. Komitet żydowski współdziałania Koncentracji Narodowej. |
|----------------------------|---|

Partye:

II Zjednoczenie Postępowe	}	1. Związek Postępowo-Demokratyczny.
		2. Blok partyj żydowskich (Komitet wyborczy żydowski).
		3. „Proletaryat.“

Wynik prawyborów według brzmienia urzędowych protokołów Komisji obywatelskich wyborczych, w porządku Okręgów wyborczych, przedstawiają następujące tablice, ułożone według porządku Okręgów wyborczych.

Zaznaczamy tylko, że gwoli skrócenia nazw ugrupowań politycznych Koncentrację Narodową oznaczamy przez początkowe litery K. N., a Zjednoczenie Postępowe przez Z. P.

Okręg I.

Wyborców 6. Głosowało 4614. Unieważniono 26 gł., kuponów 74.

K. N.

(wybrani)

1. Brzozowski Jan gł. 3691
2. Kijeński Stanisław „ 3691
3. Nowodworski Franciszek „ 3691
4. Makowski Edmund „ 3689
5. Ks. Godlewski Marcei „ 3687
6. Jentys Tadeusz „ 3687

Ogółem gł. 22136

Przeciętnie po 3682,2 gł.

Z. P.

1. Maćkowski Józef gł. 838
2. Optulowicz Franciszek „ 836
3. Goldflam Samuel „ 833
4. John Aleksander „ 833
5. Bergson Ludwik „ 830
6. Pawlikowski Antoni „ 830

Ogółem gł. 5000

Przeciętnie po 833,1 gł.

Pozatem otrzymali głosów :

- Hitingier Edward 50 gł.
- Jarezyński Stanisław 50 gł.
- Kozior Józef 50 gł.
- Nowak Antoni 50 gł.
- Żwan Józef 50 gł.
- Jarezyński Józef 49 gł.
- Cichocki Włodzimierz 2 gł.
- Karskij Elim 2 gł.
- Ławrow Wasili 2 gł.
- Skiba Filij 2 gł.
- Turecki Iwan 2 gł.
- Wiechow Sergij 2 gł.
- Badower Leonard 1 gł.
- Ks. Gralewski Jan 1 gł.
- Klejnicki Aleksander 1 gł.
- Kriwenko Iwan 1 gł.
- Martens Jan 1 gł.
- Niedźwiedz Władysław 1 gł.
- Siemański Juda 1 gł.

Okręg II.

Wyborców 4. Głosowało 3455. Unieważniono 19 gł., kuponów 80.

K. N.

(wybrani)

1. Bukowiecki Stanisław . . . gł. 1756
2. Kamiński Józef . . . „ 1756
3. Gwiazda Franciszek . . . „ 1753
4. Benzel Juliusz . . . „ 1748

Ogółem gł. 7013

Przeciętnie po 1753.1 gł.

Z. P.

1. Poznański Samuel . . . gł. 1666
2. Waydel Emil . . . „ 1665

3. Unger Naftal gł. 1661
4. Lemański Wincenty. . . „ 1653

Ogółem gł. 6645

Przeciętnie po 1661.1 gł.

Pozatem otrzymali głosów:

- Kallistow Paweł 2 gł.
 Dimitrow Eufemiusz 1 gł.
 Zaborski Dyonizy 1 gł.
 Pazurkow Mikołaj 1 gł.
 Sofijskij Iwan 1 gł.
 Teodorowicz 1 gł.
 Teodorow 1 gł.

Okręg III.

Wyborców 9. Głosowało 6369. Unieważniono 45 gł., kuponów 45.

Z. P.

(wybrani)

1. Mielnicki Franciszek . . . gł. 3619
2. Siciński Stanisław . . . „ 3617
3. Zamenhof Lejzor . . . „ 3615
4. Sztromajer Stanisław . . . „ 3615
5. Hawełko Romuald . . . „ 3614
6. Berkman-Poświętnski

Szloma „ 3613

7. Binder Zyskind . . . „ 3612
8. Ralafkes Mowsza . . . „ 3610
9. Stawski Berek . . . „ 3609

Ogółem gł. 32524

Przeciętnie po 3613.7 gł.

K. N.

1. Bichniewicz Józef . . . gł. 2710
2. Serkowski Jan . . . „ 2710

3. Wernik Konrad gł. 2709
4. Kucharzewski Feliks . . . „ 2708
5. Tomaszewski Piotr . . . „ 2708
6. Przyszychowski Felicyan „ 2708
7. Gontadewicz Stanisław „ 2708
8. Szczygielski Paweł . . . „ 2707

Ogółem gł. 21668

Przeciętnie po 2708 gł.

Pozatem otrzymali głosów:

- Aksiniow Aleksy 1 gł.
 Kasalkin Iwan 1 gł.
 Kaczanow Sergiusz 1 gł.
 Krzywicki Ludwik 1 gł.
 Merkuszew Mikołaj 1 gł.
 Plewin Jan 1 gł.
 Świętochowski Aleksander 1 gł.

Okręg IV.

Wyborców 6. Głosowało 4406. Unieważniono 1 gł., kuponów 59.

Z. P.

(wybrani)

1. Feinkind Zygmunt . . . gł. 4295
2. Jabłoński Sruł . . . „ 4286
3. Klimowicz Konst. . . „ 4285
4. Ebin Oszer . . . „ 4282
5. Prywes Icek . . . „ 4275
6. Krasucki Nechemiusz . . „ 4263

Ogółem gł. 25686

Przeciętnie po 4281 gł.

Pozatem otrzymali głosów:

- Kabak Eliasz 86 gł.
 Katik Abram 84 gł.
 Gotard Henryk 83 gł.
 Kranc Ignacy 83 gł.
 Szkop Rubin 83 gł.
 Nowgorodzki Mordechel 71 gł.
 Łagodziński Roman 27 gł.
 Targoński Józef 25 gł.
 Berenc Feliks 15 gł.
 Surzycki Tomasz 13 gł.
 Cudowski Kaz. 13 gł.
 Szmidt Henryk 12 gł.
 Łypczewski Eug. 10 gł.
 Marczewski St. 8 gł.
 Szaniecki Feliks 8 gł.
 Samecki Alfons 8 gł.
 Goldsobel Julian 4 gł.
 Piński Józef 2 gł.
 Biernacki Karol 1 gł.
 Lubowiecki Roman 1 gł.
 Durko Jan 1 gł.
 Dutau Włodz. 1 gł.
 Norblin Józef 1 gł.
 Piasecki Fr. 1 gł.
 Abramowicz St. 1 gł.
 Pfeiffer St. 1 gł.
 Rundstein Majer 1 gł.

- Goldstein Maks. 1 gł.
 Weinstein Grzegorz 1 gł.
 Świeca Jakób 1 gł.
 Kantowski Winc. 1 gł.
 Skarzyński Józef 1 gł.
 Czosnowski Wł. 1 gł.
 Kamiński Antoni 1 gł.
 Prostko Andrzej 1 gł.
 Ronczko Fr. 1 gł.
 Szolce St. 1 gł.
 Szczerbiński Walenty 1 gł.
 Biederman Symcha 1 gł.
 Benzeff Julian 1 gł.
 Dzierbicki Julian 1 gł.
 Godlewski Marecki 1 gł.
 Godlewski Leon 1 gł.
 Kijeński St. 1 gł.
 Kosiński St. 1 gł.
 Kurtz St. 1 gł.
 Kogutowski Piotr 1 gł.
 Mahmowski Józef 1 gł.
 Majewski St. 1 gł.
 Przyguński Antoni 1 gł.
 Pinkwasser Szlama 1 gł.
 Przyłucki Tomasz 1 gł.
 Rutkowski Konst. 1 gł.
 Święcicki Juliusz 1 gł.
 Smoleński Wł. 1 gł.
 Wojtyński Wacław 1 gł.
 Wolf Jan 1 gł.
 Morgenstern Sender 1 gł.
 Mazurowski Stefan 1 gł.
 Datow Mowsza 1 gł.
 Godlewski Feliks 1 gł.
 Kaeprzykowski Michał 1 gł.
 Ratyński Fr. 1 gł.
 Wojtyński Józef 1 gł.
 Kogutowski St. 1 gł.
 Chelmiecki Ludomir 1 gł.

Okręg V.

Wyborców 7. Głosowało 5187. Unieważniono 46 gł., kuponów 33.

Z. P.

(wybrani)

1. Temkin Michał . . . gł. 4058
2. Zwajgbaum Samuel . . . „ 4035
3. Bramberg Nosek . . . „ 4033
4. Friede Jakób . . . „ 4030
5. Rosenbajm Szaja . . . „ 4026
6. Brochis Icek . . . „ 4021
7. Kieszkowski Swejan . . . „ 4011

Ogółem gł. 28189

Przeciętnie po 4027 gł.

K. N.

1. Pfeiffer Stanisław . . . gł. 889
2. Biernacki Karol . . . „ 885
3. Norblin Józef . . . „ 884
4. Wąsowicz Ludwik . . . „ 883
5. Lubowiecki Roman . . . „ 882

6. Durko Jan . . . „ 882
7. Piasecki Franciszek . . . „ 879

Ogółem gł. 6184

Przeciętnie po 883,4 gł.

Pozatem otrzymali głosów:

- Marc Szmul gł. 227.
 Finkelkraut Abram 218 gł.
 Winkland Jan 217 gł.
 Zieliński Julian 217 gł.
 Ganeberg Dawid 214 gł.
 Gingold Izaak 213 gł.
 Szpiro Jakób 204 gł.
 Taubler Mowsza 14 gł.
 Ganberg Dawid 4 gł.
 Grudo Izaak 4 gł.
 Imrot Adolf 2 gł.
 Żółtowski Władysław 2 gł.
 Zieliński Jan 1 gł.
 Kriżanowski Lucyan 1 gł.
 Zwajgbaum Motel 1 gł.

Okręg VI.

Wyborców 7. Głosowało 4099. Unieważniono 59 gł., kuponów 29.

K. N.

(wybrani)

1. Nowicki Feliks . . . gł. 2444
2. Szczerbiński Walenty . . . „ 2443
3. Czosnowski Wł. . . . „ 2443
4. Kumiński Antoni . . . „ 2443
5. Prostko Adolf . . . „ 2443
6. Ronczka Fr. . . . „ 2443
7. Scholtze St. . . . „ 2443

Ogółem gł. 17102

Przeciętnie po 2443 gł.

Z. P.

1. Brzywczy Jan . . . gł. 1296
2. Jeziorowski Fr. . . . „ 1296
3. Adamiecki Stefan . . . „ 1295
4. Bortnowski Gustaw . . . „ 1295
5. Biger Bolesław . . . gł. 1295
6. Korzeniowski St. . . . „ 1295
7. Osiecki St. . . . „ 1295

Ogółem gł. 9067

Przeciętnie po 1295 gł.

Pozatem otrzymali głosów:

Brudkowski Jan 297 gł.
Kochański Józef 297 gł.
Konopka Ludwik 297 gł.
Maławski Jan 297 gł.

Sikorski Wł. 297 gł.
Zeler Józef 297 gł.
Kazimierzczak Jan 296 gł.
Wojnicki Winc. 1 gł.
Żukowski Jan 1 gł.
Dąbrowski Edward 1 gł.

Okręg VII.

Wyborców 8. Głosowało 5788. Unieważniono 14 gł., kuponów —.

K. N.

(wybrani)

1. Kowalski Franciszek . . . gł. 3229
2. Jankowski Jan. . . . „ 3228
3. Manduk Antoni . . . „ 3228
4. Niedziatkowski Zyg. . . „ 3228
5. Popłowski Adolf . . . „ 3228
6. Szymański Bronisław . . „ 3228
7. Zieliński Franciszek . . „ 3228
8. Makowiecki Aleksan. . . „ 3227

Ogółem gł. 25824

Przebiegnie po 3228 gł.

Z. P.

1. Majewski Erazm . . . gł. 2318
2. Rybiński Stanisław . . . „ 2317
3. Jaroszyński Józef. . . „ 2316
4. Neubauer Michał . . . „ 2316
5. Kryński Samuel . . . „ 2315

6. Lichtenbaum Józef . . . gł. 2315
7. Bychowski Zelman . . . „ 2314
8. Brzęczkowski Julian . . „ 2137

Ogółem gł. 18348

Przebiegnie po 2293,5 gł.

Pozatem otrzymali głosów:

Chłopiński Jan 214 gł.
Wojnicki Wincenty 214 gł.
Grzelszczak 214 gł.
Kamer Lucyan 214 gł.
Feigin Szender 213 gł.
Ginzburg Hipolit 213 gł.
Nitenberg Karol 213 gł.
Żukowski Jan 213 gł.
Goziuk Jan 1 gł.
Kornbaum Józef 1 gł.
Makarenko Iwan 1 gł.
Szoltz Stanisław 1 gł.

Okręg VIII.

Wyborców 6. Głosowało 5286. Unieważniono 21 gł., kuponów 6687.

Przy tym okręgu należy uczynić pewne zastrzeżenie. Wyniki faktyczne prawyborów przedstawia protokół, podpisany prawie przez wszystkich członków komisji i podkomisji obywatelskich, podany poniżej. Przewodniczący atoli prawyborom, wskutek niezamieszczenia prawyborców Aleksandra Świętochowskiego i Lu-

dwika Krzywickiego na liście prawyborców cyrkułu VIII, uważał się za uprawnionego do wykreślenia ich z listy wybranych, pomimo, że otrzymali największą liczbę głosów, jako kandydaci Zjednoczenia Postępowego. Zresztą najlepiej sprawę tę wyjaśnia protokół. Zastosowanie takiego rygoru wywołało nienaturalny podział głosów między partie i pociągnęło za sobą unieważnienie przez przewodniczącego w komisji wyborczej niebywałej liczby kuponów, bo aż 6687.

Formalny zatem wynik prawyborów, zatwierdzony następnie przez władze administracyjne, zgodnie ze zdaniem przewodniczącego, przedstawia się w sposób następujący:

Wybrani:

Z. P.

1. Gabszewicz Antoni . . . gł. 3307
2. Endelman Zyndel . . . „ 3296
3. Prywes Abram . . . „ 3295
4. Farbstein Herszel . . . „ 3292

Ogółem gł. 11848

Przeciętnie po 1974.6 gł.

K. N.

5. Kurtz Stanisław . . . gł. 1950
6. Białowiejski Maksymilian „ 1950

Pozatem otrzymali kandydaci K. N.
głosów:

- | | |
|--------------------------------|----------|
| Pilecki Antoni | gł. 1949 |
| Majewski Erazm | „ 1949 |
| Zieliński Franciszek | „ 1945 |
| Wolanowski Jerzy | „ 1935 |

Ogółem gł. 11678

Przeciętnie po 1946.3 gł.

Następnie 35 prawyborców, niewiadomo dlaczego, nieusprawiedliwionych przez protokół urzędowy (?), otrzymało po jednym głosie.

Do tego protokołu urzędowego, jako dodatek, załączono protest członków komisji obywatelskiej, który w imię bezstronności przytaczamy dosłownie. Protest ten w swoim czasie poruszył żywo opinię publiczną i odezwał się głośnym echem w piśmie.

„My, niżej podpisani członkowie Komisji obywatelskiej VIII Okręgu wyborczego m. Warszawy, oświadczamy niniejszemu, iż po obliczeniu kartek wyborczych okazało się, że największą liczbę głosów, przy wyborach w dniu 19 b. m., otrzymali:

- | | |
|--------------------------------|----------|
| Aleksander Świętochowski . . . | gł. 3327 |
| Ludwik Krzywicki | „ 3318 |
| Antoni Gabszewicz | „ 3307 |
| Zyndel Endelman | „ 3296 |
| Abram Prywes | „ 3295 |
| Herszel Farbstein | „ 3292 |
| Maksymilian Białowiejski . . . | „ 1950 |
| Stanisław Kurtz | „ 1950 |

Wobec unieważnienia przez przewodniczącego Komisji obywatelskiej, p. Władysława Frączkiewicza, 6645 głosów, oddanych na pp. Aleksandra Świętochowskiego i Ludwika Krzywickiego, my, członkowie Komisji obywatelskiej, protestujemy przeciwko takiej decyzji przewodniczącego, jako niewchodzącej w zakres działalności Komisji obywatelskiej.

(podpisy) Wice-przewodniczący: *Bronisław Goldfeder.*

Członkowie Komisji i podkomisyi: *Edward Dutlinger.*

Srebrny.

Wacław Kirsztot.

Aleksander Wilner.

Michał Szereszewski.

Maksymilian Białowiejski.

Jakób Lichtenbaum.

Szymon Szereszewski.

Henryk Gebethner.

i dwa podpisy nieczytelne.

Okręg IX.

Wyborców 7. Głosowało 4020. Unieważniono 27 gł., kuponów 35.

K. N.

(wybrani)

- | | |
|------------------------------|----------|
| 1. Kobyłecki Lucyan . . . | gł. 3003 |
| 2. Klawer Kazimierz . . . | „ 3002 |
| 3. Dmochowski Zdzisław . . . | „ 3002 |
| 4. Jabłonowski Władysł. . . | „ 3002 |
| 5. Libicki Stanisław . . . | „ 3000 |
| 7. Bielski Paweł . . . | „ 2999 |

Ogółem gł. 21008

Przeciętnie po 3001 gł.

Z. P.

- | | |
|--------------------------------|---------|
| 1. Kamieniecki Paweł . . . | gł. 749 |
| 2. Ozerwiński Konstanty . . . | „ 748 |
| 3. Michniewicz Kazimierz . . . | „ 748 |
| 4. Natanson Kazimierz . . . | „ 748 |
| 5. Piekarski Jan . . . | „ 742 |

6. Kühn Alfons . . . „ 740

7. Kобрzyński Andrzej . . . „ 739

Ogółem gł. 5214

Przeciętnie po 744,8 gł.

Pozatem otrzymali głosów :

- | | |
|------------------------|---------|
| Lewandowski Aleksander | 239 gł. |
| Piwowarski Andrzej | 235 gł. |
| Rutkowski Józef | 235 gł. |
| Sieciński Józef | 235 gł. |
| Szymański Antoni | 235 gł. |
| Tarwański Jan | 235 gł. |
| Dykowski Józef | 235 gł. |
| Konarski Józef | 8 gł. |
| Mirosz Paweł | 8 gł. |
| Kindrewieckij Bazyl | 2 gł. |
| Bruszanin Mikołaj | 1 gł. |
| Chmielewskij Fryderyk | 1 gł. |

Fleszyński Kazimierz 1 gł.
 Francke Edward 1 gł.
 Gembarski Stefan 1 gł.
 Grigorjew Aleksy 1 gł.
 Krasnow Aleksander 1 gł.
 von Levic of Menor 1 gł.

Samotyja Franciszek 1 gł.
 Sawicki Wojciech 1 gł.
 Studnicki Bronisław 1 gł.
 Studziński Władysław 1 gł.
 Troickij Piotr 1 gł.
 Zieliński Józef 1 gł.

Okręg X.

Wyborców 5. Głosowało 4153. Unieważniono 14 gł., kuponów 104.

K. N.

(wybrani)

1. Dnowski Roman . . . gł. 3331
2. Lutosławski Maryan. . . „ 3330
3. Siemiradzki Michał . . . „ 3328
4. Landie Edward . . . „ 3324
5. Kamiński Al. . . . „ 3318

Ogółem gł. 16631

Przeciętnie po 3326.2 gł.

Z. P.

1. Patek Stanisław . . . gł. 775
2. Lypacewicz Wacław . . . „ 764
3. Pietrusiński Józef . . . „ 759
4. Życki Kazimierz . . . „ 759
5. Kempner Stanisław . . . „ 750

Ogółem gł. 3707

Przeciętnie po 741.4 gł.

Pozatem otrzymali głosów :

- Chrzanowski Zygmunt 34 gł.
 Koszutski St. 34 gł.
 Puryc Maks 34 gł.
 Walewski Fr. 34 gł.
 hr. Krasiniński Adam 3 gł.
 Bielski Fr. 1 gł.
 hr. Korsak Karol 1 gł.
 Kraushar Al. 1 gł.
 Kmicki Stan. 1 gł.
 hr. Łubieński St. 1 gł.
 Prüffer Jozef 1 gł.
 Wasiljew Mikołaj 1 gł.
 Baranowski Z. 1 gł.
 Machlejd Julian 1 gł.
 Niemieczyński Leonard 1 gł.
 Papiński Leon 1 gł.
 Straszewicz Ludwik 1 gł.
 Leszczyński St. 1 gł.
 Wilczyński Michał 1 gł.

Okręg XI.

Wyborców 8. Głosowało 5275. Unieważniono 10 gł., kuponów 8.

K. N.

(wybrani)

1. Smoleński Wład. . . . gł. 4192
2. Święceicki Julian . . . „ 4191
3. Czajkowski Edw. . . . „ 4189
4. Paprocki Konst. . . . „ 4181

5. Krypski Wiktor . . . „ 4181
6. Pfeiffer Mieczysław . . . „ 4175
7. Makowski Z. . . . „ 4173
8. Kucharczewski Jan . . . „ 4155

Ogółem gł. 33437

Przeciętnie po 4179.6 gł.

Z. P.

1. Balicki Tadeusz	gł. 1028
2. Bukowiński Wł.	„ 1024
3. Winnicki Jakób	„ 1024
4. Wierzchlejski Alojzy	„ 1022
5. Hulaniccki Czesław	„ 1019
6. Puchalski Michał	„ 1018
7. Flaum Maks.	„ 1009
8. Heflich Al.	„ 1000

Ogółem gł. 8153

Przeciętnie po 1019,1 gł.

Pozatem otrzymali głosów :

Kubicki Fr. 34 gł.
Błeszyński Kaz. 34 gł.
Kucharski Jul. 34 gł.
Fijałkowski Józef 34 gł.
Muszał Zygmunt 34 gł.
Endelman M. 34 gł.
Kaliszewski Piotr 34 gł.
Brzostek Al. 34 gł.
Kucharski Jan 26 gł.
Dmowski Roman 9 gł.
Nowodworski Fr. 9 gł.
Drzewiecki Piotr 1 gł.
Grzankowski Bol. 1 gł.
Stawecki Karol 1 gł.
Brzeziński Józef 1 gł.
Baliński Z. 1 gł.
Porowski Rom. 1 gł.
Neufeld Adolf 1 gł.
Karaczarow Włodz. 1 gł.
Krzyżanski Anton 1 gł.
Jatwinski Kalikst 1 gł.

Ostroumow Mikołaj 1 gł.

Ostroumow M. 1 gł.
Bielow Grzegorz 1 gł.
Rozanow Iwan 1 gł.
Kapustianskij Mik. 1 gł.
Sztaniwarcew Al. 1 gł.
Kempner St. 1 gł.
„ Fabj. 1 gł.
„ Jan 1 gł.
„ Zygmunt 1 gł.
„ Alfred 1 gł.
„ Maurycy 1 gł.
„ Rubin 1 gł.
„ Bernard 1 gł.

Świętochowski Al. 1 gł.

Jankowski Jan 1 gł.

Kurtz St. 1 gł.

Landie Edw. 1 gł.

Węgliński Hipolit 1 gł.

Libicki St. 1 gł.

Białowiejski Maks. 1 gł.

Ciszkiwicz Z. 1 gł.

Godlewski Marc. 1 gł.

Krzywicki Ludwik 1 gł.

Popielewski Konr. 1 gł.

Siemiradzki Mich. 1 gł.

Czosnowski Wł. 1 gł.

Grulewski 1 gł.

Korwin-Piotrowski 1 gł.

Sonin Wikt. 1 gł.

Dmochowski Zd. 1 gł.

Peplowski Ad. 1 gł.

Zieliński Kaz. 1 gł.

Zieliński Wł. 1 gł.

Okręg XII.

Wyborców 7. Głosowało 5367. Unieważniono 4 gł., kuponów 161.

K. N.

(wybrani)

1. Zieliński Kaz.	gł. 3504
2. Kręcięjewski Br.	„ 3502
3. Ciszkiwicz Ig.	„ 3501
4. Rodziewicz St.	„ 3500

5. Uliasz Leop. gł. 3496 |6. Ducki Ig. „ 3485 |7. Pietruszewski Jan „ 3483 |

Ogółem gł. 24471

Przeciętnie po 3495,8 gł.

Z. P.

1. Ryba Manos gł. 1717
2. Boguszewski St. " 1716
3. Datyner Wolf " 1710
4. Emanuel Abba Nochim " 1710
5. Hummel Bogumił " 1710
6. Rząsnicki Adolf " 1705
7. Piętka Feliks " 1694

Ogółem gł. 11962

Przeciętnie po 1708.5 gł.

Następnie otrzymali głosów:

- Baks Szymon 132 gł.
 Chojnowski Ant. 132 gł.
 Adamczyk Ig. 131 gł.
 Pol Al. 131 gł.
 Kojen Moszek 131 gł.

- Wyszyński Chaim 130 gł.
 Dobroński Karol 130 gł.
 Ungar Ludwik 6 gł.
 Ducki St. 5 gł.
 Różycki Jul. 5 gł.
 Dycki Jan 3 gł.
 Nowicki Jan 2 gł.
 Piaszczyński Henr. 2 gł.
 Dudrewicz Ig. 2 gł.
 Filanowicz Ant. 1 gł.
 Daab Leopold 1 gł.
 Kryże Wł. 1 gł.
 Giszkwicz Ig. 1 gł.
 Dmowski Roman 1 gł.
 Andrzejewski 1 gł.
 Bogusiewicz 1 gł.
 Łaski 1 gł.
 Niemyski 1 gł.
 Popławski 1 gł.

Po wyłączeniu zatem prawyborców, którzy nie otrzymali większości głosów, otrzymany następującą listę wyborców:

L I S T A

wyborców do warszawskiego miejskiego zebrania wyborczego, sporządzona przez warszawską gubernialną komisję do spraw wyborczych do Duny Państwowej, na zasadzie art. 123 ustawy wyborczej.

Nr	Nazwisko, imię i imię ojca wyborcy	Rodzaj zajęcia	Stopień wykształcenia
<i>Okręg I.</i>			
1	Brzozowski Jan s. Franciszka	szewc	elementarne
2	Godlewski Marcei s. Jana	ksiądz	wyższe
3	Jentyś Tadeusz s. Jana	dyrektor akc. tow. hot. Bristol	"
4	Kijeński Stanisław s. Juliana	adwokat przysięgły	"
5	Makowski Edmund s. Tomasza	kupiec	średnie
6	Nowodworski Franciszek s. Józefa	adwokat przysięgły	wyższe
<i>Okręg II.</i>			
7	Benzel Juliusz s. Salomona	adwokat przysięgły	wyższe
8	Bukowiecki Stanisław s. Ludwika	" "	"
9	Gwiazda Franciszek s. Jana	robotnik	elementarne
10	Kamiński Józef s. Jakóba	adwokat przysięgły	wyższe

№	Nazwisko, imię i imię ojca wyborcy	Rodzaj zajęcia	Stopień wykształcenia
<i>Okręg III.</i>			
11	Berkman-Poświęcki Szluna s. Josia	buchalter	niższe
12	Biały Zyskind s. Arona	właściciel nieruchomości	domowe
13	Hawelka Romuald s. Karola	przemysłowiec	średnie
14	Mielnicki Franciszek s. Franciszka	urzędnik	niższe
15	Rafałkes Mowsza s. Szlamy	kupiec	elementarne
16	Samenhof Lejzor s. Mordka	lekarz	wyższe
17	Sieciński Stanisław s. Makarego	farmaceuta	średnie
18	Stawski Berek s. Ieka	obrońca prywatny	domowe
19	Sztromajer Stefan s. Karola	urzędnik	średnie
<i>Okręg IV.</i>			
20	Feinkind Zygmunt s. Izraela	właściciel nieruchomości	wyższe (ak.-kom. hadl. w Lipsku)
21	Jabłoński Sruł s. Oszera	kupiec	domowe
22	Ehin Oszer s. Jankla		"
23	Prywes Icek s. Szaji	właściciel nieruchomości	"
24	Krasuski Nachemia s. Izraela	przemysłowiec	"
25	Kabak Elias s. Kalmana	lekarz	wyższe
<i>Okręg V.</i>			
26	Brochis Icek s. Nuchima	fabrykant	domowe
27	Bromberg Nosek s. Abrama	kupiec	"
28	Rozenbojm Szaja s. Ieka	"	"
29	Zwejgbaum Samuel s. Szapszy	dyrektor szkoły	wyższe
30	Temkin Michał s. Szlamy	właściciel nieruchomości	domowe
31	Fricde Jakób s. Arona	lekarz	wyższe
32	Kierzkowski Lucyan s. Aleksandra	urzędnik Dr. Żel.	domowe
<i>Okręg VI.</i>			
33	Nowicki Feliks s. Józefa	starszy cechu fortepianist.	domowe
34	Czosnowski Władysław s. Walentego	" " mularskiego	średnie
35	Kamiński Atoni-Pawel s. Ludwika	tokarz	domowe
36	Prostko Adolf s. Juliana	agent Dr. Żel. W.-W.	średnie
37	Roncza Franciszek s. Jana	mularz (podmajstry)	domowe
38	Szolce Stanisław s. Adolfa	inżynier	wyższe
39	Szczerbiński Walenty s. Piotra	inspektor War. Tow. Ub.	"
<i>Okręg VII.</i>			
40	Kowalski Franciszek s. Ludwika	lekarz	wyższe
41	Jankowski Jan s. Klemensa	ślusarz	domowe
42	Manduk Antoni s. Franciszka	prezes banku	wyższe
43	Niedziałkowski Zygmunt s. Augusta	kupiec	średnie
44	Peplowski Adolf s. Elentorego (Leonarda)	adwokat przysięgły	wyższe
45	Szymuński Bronisław s. Ignacego	lekarz	"
46	Zieliński Franciszek s. Józefa	tokarz	domowe
47	Makowiecki Aleksander s. Kacpra	prezes Tow. Kred.	wyższe
<i>Okręg VIII.</i>			
48	Gabszewicz Antoni s. Kazimierza	lekarz	wyższe
49	Endelman Zyndel s. Michała	kupiec	średnie
50	Prywes Abram s. Szaj	"	"
51	Farbatcin Herszel s. Szmula	właściciel nieruchomości	"

Nr	Nazwisko, imię i imię ojca wyborcy	Rodzaj zajęcia	Stopień wykształcenia
52	Białowiejski Maksymilian s. Ludwika	nauczyciel	wyższe
53	Kurtz Stanisław s. Adama	lekarz	"
<i>Okręg IX.</i>			
54	Bielski Paweł	robotnik	domowe
55	Dmochowski Zdzisław s. Stanisława	lekarz	wyższe
56	Jabłonowski Władysław s. Juliana	literat	"
57	Jantzen Edward s. Wiliama	przemysłowiec	"
58	Klawer Włodzimierz s. Mikołaja	właściciel nieruchomości.	"
59	Kohylecki Lucyan s. Edmunda	urzędnik Dr. Żel.	"
60	Libicki Stanisław s. Aleksandra	literat	"
<i>Okręg X.</i>			
61	Dmowski Roman s. Walentego	redaktor	wyższe
62	Lutosławski Maryan s. Franciszka	inżynier	"
63	Siemiradzki Michał s. Hipolita	adwokat przysięgły	"
64	Landić Edward s. Leoncyusza	kupiec	"
65	Kamiński Aleksander s. Wawrzeńca	rzemieślnik	elementarne
<i>Okręg XI.</i>			
66	Smoleński Władysław s. Józefa	literat	wyższe
67	Świeciecki Julian-Adolf s. Szczęsnego	prezes kasy literatów	"
68	Czajkowski Edward s. Franciszka	" Tow. Dobroc.	"
69	Krypski Wiktor s. Adama	adwokat przysięgły	"
70	Paprocki Konstanty s. Konstantego	urzędnik Banku Handl.	średnie
71	Pfejffer Mieczysław s. Stanisława	przemysłowiec	wyższe
72	Mukowski Ignacy s. Franciszka	zarządzający sklepem	średnie
73	Kucharzewski Jan s. Stefana	adwokat przysięgły	wyższe
<i>Okręg XII.</i>			
74	Zieliński Kazimierz s. Kazimierza	lekarz	wyższe
75	Kręciejewski Bronisław s. Jana	robotnik	niższe
76	Ciszkiewicz Ignacy s. Jarosława	inżynier	wyższe
77	Rodziewicz Stefan s. Wincentego	właściciel nieruchomości.	"
78	Uljasz Leopold s. Marcelego	robotnik	niższe
79	Ducki Ignacy s. Jan	"	"
80	Pietraszewski Jan s. Ludwika	"	"

Po przedstawieniu wyniku prawyborów imiennie według okręgów, z uwzględnieniem podziału na dwa główne ugrupowania polityczne: Koncentracji Narodowej (K. N.) i Zjednoczenia Postępowego (Z. P.), zwracamy się do sprawy, jakie wogóle zainteresowanie wzbudziły w masach prawyborców wybory do drugiej Dumy i czy zainteresowanie znamionuje rozwój życia politycznego. Stanowczą twierdzącą odpowiedź na te dwa pytania dają cyfry. Oto wynik głosowania do drugiej Dumy w zestawieniu z liczbą prawyborców w okręgach i z oznaczeniem procentowego stosunku głosujących:

TABLICA V.

Cyrykuł	Wybor- ców	Prawy- borców	Głoso- wało	Unieważnio- no głosów	Unieważnio- no kuponów	% gło- sujących	% niegło- sujących
I	6	6134	4614	26	74 = 12,3 gł.	75,2%	24,8%
II	4	4516	3455	19	80 = 20 „	76,5 „	23,5 „
III	9	9052	6369	45	45 = 5 „	73 „	27 „
IV	6	6357	4106	1	59 = 9,8 „	69,1 „	30,9 „
V	7	7321	5187	46	53 = 4,7 „	79 „	21 „
VI	7	5934	4099	59	29 = 4,1 „	69,7 „	30,3 „
VII	8	8052	5788	14	—	71,8 „	28,2 „
VIII	6	7032	5286	21	6687 = 1114,5 „ (!)	75,1 „	24,9 „
IX	7	6395	4020	27	35 = 5 „	62,8 „	37,2 „
X	5	6021	4153	14	104 = 2,8 „	69,1 „	30,9 „
XI	8	8597	5275	10	8 = 1 „	61,3 „	38,7 „
XII	7	7821	5367	4	161 = 23 „	68,6 „	31,4 „
Ogółem	80	83232	58019	286	7315 = 110,8 gł.	69,8%	30,2%
				+ 110,8	po otrąceniu		
				397	6687 kuponów		
				co stano- wi 0,6 %	okręgu VIII		
					pozostaje		
					635 = 9,6 gł.		

Sposób wyliczeń dokonanych wymaga pewnych wyjaśnień. Głos, jaki każdy prawyborca niósł do urny, podzielony był na pewną liczbę kuponów, odpowiadającą liczbie wyborców danego okręgu. Były więc wypadki, że w jednym głosie komisya obywatelska unieważniła poszczególny kupon. Dlatego w protokółach spotykamy oznaczenie liczby kuponów, oddzielnie od liczby całych unieważnionych głosów. Przy obliczaniu głosów unieważnionych dodaliśmy do nich kupony, zaniżone na głosy. Zamiana ta została dokonana przez podział liczby kuponów unieważnionych na liczbę wyborców danego okręgu.

Przy obliczaniu rubryki „unieważnionych“ głosów, z powodu nadzwyczajnych okoliczności, towarzyszących prawyborom w VIII Okręgu (o czem zresztą czytelnik pamięta z protestu komisji obywatelskiej), pozwoliliśmy sobie zrobić pewne przypuszczalne obliczenie, jakie wypadłoby po otrąceniu nienormalnej liczby 6687 unieważnionych kuponów. Jako przeciętną kuponów, które w domniemaniu mogłyby być unieważnione, w porównaniu z innymi okręgami, przyjęliśmy liczbę 7. Wtedy przeciętna unieważnionych wyniesie zaledwie po 9,6 gł. na okręg, nie zaś 110,8 gł. Omawiamy tę sprawę dlatego, aby przy zestawieniu wyników

głosowania do drugiej Dumy z pierwszą—nie wynikło nieporozumienie co do uświadomienia politycznego ogółu prawyborców.

Zestawienie takie stanowczo, jak to już zaznaczyliśmy, wypadła na korzyść drugich wyborów i składa dowód wzmoczonego uświadomienia politycznego i podniesienia karności organizacyjnej ugrupowań wyborczych.

T A B L I C A VI.

Cyrkuł	Prawyborców		Głosowało		Unieważn. głos		% głosujących	
	I Duma	II Duma	I Duma	II Duma	I Duma	II Duma	I Duma	II Duma
I	7050	6134	5880	4614	6	26	77.7%	75.2%
II	4948	4516	3874	3455	28	19	78.2 "	76.5 "
III	13040	9052	7699	6369	48	45	59.0 "	73.0 "
IV	7937	6357	5048	4406	63	1	63.6 "	69.1 "
V	9331	7321	5996	5187	46	46	64.2 "	79.0 "
VI	8927	5934	4270	4099	28	59	47.6 "	69.7 "
VII	8921	8052	6051	5788	12	14	67.8 "	71.8 "
VIII	7208	7032	5897	5286	15	21	81.2 "	75.1 "
IX	7890	6895	4486	4020	16	27	56.9 "	62.8 "
X	6628	6021	4773	4153	7	14	72.0 "	69.1 "
XI	9161	8597	6271	5275	16	10	68.4 "	61.3 "
XII	13703	7821	7436	5367	16	4	54.2 "	68.6 "
Ogół.	104804	83232	67221	58019	301	286	64.2%	69.8%
							+110.8 (!)	
							397	

Pobieżny rzut oka na tablicę VI pouczy, że procent głosujących, pomimo usunięcia znacznej liczby prawyborców, wzrósł o 5.6% i okręgi pewne, które przedtem nie okazywały zainteresowania wyborami, zostały przy wyborach do drugiej Dumy wciągnięte w akcyę wyborczą. Przyczynami, warunkującymi ten objaw, było, obok wzrastającego poziomu uświadomienia, przystąpienie wszystkich bez wyjątku partyj politycznych do wyborów. Zaznaczamy, że otrzymana stopa procentowa (70%) jest najwyższym stosunkiem udziału ludności w wyborach zagranicą. Jak wskazuje np. urzędowa „Allgemeine Auswahlstatistik“ ostatnich wyborów w Niemczech, 70% głosujących wyborców było w najbardziej zagrożonych okręgach, tymczasem stopa ta była ogólną dla Warszawy przy wyborach do drugiej Dumy.

Od spostrzeżeń natury ogólnej, przechodzimy do obliczenia głosów ugrupowań politycznych. Jeżeli chodzi o wybory do dru-

giej Dumy, sprawa przedstawia się jasno, trudniej atoli uporać się w tej mierze z porównaniem z pierwszemi wyborami. Poprzednio, jak już to zaznaczyliśmy wyżej, w wyborach przyjmowało udział 6 partyj. Obecnie pewne partie zginęły w masie ogólnej ugrupowań Koncentracji Narodowej (Związek Demokratyczny (P. P. P.), Partya Polityki Realnej i niewielka garstka Żydów), inne znów wchłonęło Zjednoczenie Postępowe (Związek Demokratyczny, partie narodowe żydowskie i „Proletaryat“); jedna partya „Prawdziwych Rosyan“ zgoła zniknęła z horyzontu politycznej walki wyborczej. Przy zestawianiu przeto wyników politycznych wyborów do pierwszej Dumy z drugą, czynimy z góry zastrzeżenie, że wnioski z natury rzeczy nie mogą być ściśle. Najnaturalniejszym wydaje nam się grupować partie według dwóch odłamów. Uczynimy to później, zaś w obecnej chwili dajemy ogólną tablicę wyniku prawyborów z uwzględnieniem niewielkiej grupy, głosującej poza blokami wyborczemi Koncentracji Narodowej i Zjednoczenia Postępowego.

T A B L I C A VII.

Cyrkuł	Koncentr. Narod.		Zjedn. Postępowe		S. D.	
	głosów	przeciętna	głosów	przeciętna	głosów	przeciętna
I	22136	3689.2	5000	833.2	299	49.5
II	7013	1753.1	6645	1661.1	nie stawiali kandyd.	
III	21668	2708.5	32524	3613.7	”	”
IV	nie stawiała kandyd.		25686	4281.0	490	81.0
V	6184	883.4	28189	4027.0	1509	215.5
VI	17102	2443.0	9067	1295.0	2078	29.7
VII	25824	3228.0	18348	2233.5	1708	213.5
VIII	11678	1946.3	11848	1974.6	nie stawiali kandyd.	
IX	21008	3001.1	5214	744.8	1649	235.5
X	16631	3326.2	3707	741.8	136	34.0
XI	34437	4179.6	8153	1019.1	282	34.0
XII	24471	3495.8	11962	1708.5	917	131.0
Razem gł.	207152	30654.2	166343	24192.9	9058	971.5
		przeciętnie na 1 wyborcę (: 74) gł. 2799.2		przeciętnie na 1 wyborcę gł. 2079.2		przeciętnie na 1 wybor- cę (: 61) gł. 148.4

Z tablicy powyżej przytoczonej wnioskujemy, że największą liczbę głosów otrzymała przy wyborach do drugiej Dumy Koncentracja Narodowa w sumie ogólnej 30,654.2 — co w stosunku do

58,019 głosujących wynosi 52.8%. Z kolei idzie Zjednoczenie Postępowe z 24,192.9 głosami, które stanowią 41.7% ogólnej liczby i *tertium non datur*. Zaznaczyć jednak należy dla ścisłości sprawozdawczej zjawienie się grupy odrębnej S. D., która głosując na własną listę w 9 okręgach osiągnęła 971.5 gł., co stanowi 1.6%.

Przy zestawieniu wyników wyborów do drugiej Dumy z pierwszą, nie możemy posiłkować się bezpośrednio liczbą głosów, otrzymanych przez partie, ponieważ listy prawyborców nie są współmierne co do liczebności, pozostaje zatem stosunek procentowy, który jest punktem styczonym.

Drugi szkopuł przy porównaniu polega na zmianie ugrupowań politycznych, które przy wyborach do drugiej Dumy wytworzyły dwa główne odłamy. Najbardziej przeto stosownem wydaje się nam zestawienie wyników głosowania do pierwszej Dumy z drugą, w ten sposób, aby głosy danych partyj, połączonych następnie w Koncentrację Narodową i Zjednoczenie Postępowe, zsumować. Unaoznaczony liczbami sposób ten przedstawiają tablice poniższe:

TABLICA VIII.

PIERWSZA DUMA	Ogółem głosowało	Narodowa Demokracja (N. D.)	Zw. Dem. (Pol. Partya Postępowa) (P. P. P.)	Lista „Kur. Polskiego“ (Polityka Realna)	Żydowskie stronnictwo	Postępowa Demokracja (P. D.)	„Prawdziwi Rosyanie“
	67291	36057 czyli 53.5%	525 czyli 0.7%	395 czyli 0.6%	15600 czyli 24.6%	11618 czyli 17.2%	2256 czyli 3.3%
	Przecięt. w jedn. okręgu 5608	3278	44	99	3900 (!)	1452	205
DRUGA DUMA		Koncentracja Narodowa to jest N. D. + P. P. P. + P. R. + grupa Komitetu żydowskiego			Zjedn. post. t. j. Żydowskie str. + Postęp. Dem. + „Proletarynt.“		Nie głosowali na oddziel. na listę
	58019	30654.2 czyli 52.8%			24192.9 czyli 41.7%		
	Przecięt. w okręgu 4835	2786.7			2016.5		

W tablicy przytoczonej łatwo się orientować. Dla sprawdzenia korzyści lub strat, jakie poniosły pewne ugrupowania polityczne, wystarczy zsumować odsetki przez partie osiągnięte przy wyborach do pierwszej Dumy i zestawić je z wynikami wyborów do drugiej Dumy.

Dodając zatem procenty, otrzymane przez Narodową Demokrację, Związek Demokratyczny i partycę Polityki Realnej przy wyborach do pierwszej Dumy, otrzymamy:

Narodowa Demokracja	=	53.5%	ogólnej	liczby	głósów
Związek Demokratyczny	=	0.7%	"	"	"
Polityki Realnej . . .	=	0.6%	"	"	"
Razem .	=	54.8%	ogólnej	liczby	głósów

Przy wyborach zaś do drugiej Dumy Koncentracja Narodowa, z którą oprócz tych trzech partyj głosowała niewielka grupa Żydów, zogniskowanych przy „Komitecie żydowskim współdziałania z Koncentracją Narodową,” otrzymała 52.8% ogólnej liczby głosów. Wypada zatem, że partie wymienione straciły $54.8\% - 52.8\% = 2.0\%$.

Wykonane tym samym sposobem obliczenie procentowego stosunku głosów Zjednoczenia Postępowego, daje wynik następujący. Przy wyborach do pierwszej Dumy

Żydowskie stronnictwa	otrzymały	24.6%	ogól.	liczby	głósów
Związek Post.-Demokrat.	"	17.2%	"	"	"
Razem		41.8%	ogól.	liczby	głósów

w porównaniu zatem z wynikiem wyborów do drugiej Dumy Zjednoczenie Postępowe straciło $41.8\% - 41.7\% = 0.1\%$. Przypomnieć tu należy, że do Zjednoczenia Postępowego przyłączyła się również partya „Proleturyat.”

Różnice te zapewne są napozór drobne i zaledwie uchwytnie, ale dla polityka niemniej znamienne. Nie należy bowiem zapominać, że przeobrażenia myśli społecznej i przekonań nie mogą się zmieniać z dnia na dzień. Jeżeli zatem pomimo bardzo niedługiego okresu czasu pomiędzy wyborami do pierwszej a drugiej Dumy nastąpiła pewna zmiana, choć niewielka, znaczy to, że nastąpiła pewna ewolucya przekonań i tendencyj politycznych.

Jeszcze jedna uwaga co do posiłkowania się przedstawionym wyżej materiałem. Można na zasadzie danych liczbowych o przebiegu wyborów wnioskować, co prawda ubocznie, o liczebności pe-

wnych ugrupowań politycznych. Rozumie się, im partye są bardziej zróżniczkowane, jak np. przy wyborach do pierwszej Dumy, tem obliczenie może być bliższe prawdy. Posiłkować się należy przesłankami-wnioskami względnie pewnymi, opartymi na doświadczeniu prac statystycznych o wyborach do dwóch Dum.

Kiedyśmy obliczali ilość prawyborców, zamieszczonych na odpowiednich listach w porównaniu z ogólną liczbą mężczyzn w wieku wyborczym (od 25 lat), doszliśmy do wniosku, że *połowa męskiej ludności w wieku wyborczym została pozbawiona prawa głosowania*. Stąd naturalne następstwo, że przez podwojenie liczby głosujących otrzymany liczbę mężczyzn, którzyby w warunkach normalnych powszechnego głosowania ujawniali należenie do danej partyi politycznej. Będzie to jednak zaledwie połowa dojrzałej ludności (mężczyzn).

Nie wdając się w rozważanie prawa udziału kobiet w głosowaniu politycznem, stwierdzamy znany zresztą ogólnik, że liczba kobiet, niewiele wprawdzie, ale przewyższa liczbę mężczyzn. Dlatego, aby otrzymać całą liczbę zwolenników danej partyi, do których zawsze i wszędzie należą kobiety, trzeba sumę poprzednio otrzymaną podwoić.

Tego rodzaju obliczenie umożliwi, wprawdzie nie dokładnie, wyliczenia przypuszczalnej liczby osób, należących do danej partyi. My jednak wyliczeń nieściślych w pracy, opartej wyłącznie na źródłowych materyałach, podawać nie możemy.

Na zakończenie pracy niniejszej stwierdzamy fakt, że uświadomienie polityczne mas przy wyborach do drugiej Dumy wzrosło znacznie i rokuje nadzieje dalszego normalnego rozwoju. Pewna chaotyczność i bezplanowość pierwszych wyborów, ujawniająca się w setkach rozstrzelonych głosów i występowania partyi samopas, znikła już przy drugich wyborach i jak sądzimy, bezpowrotnie.

Przy dalszym rozwoju politycznym dwa odłamy wielkie t. zw. bloki partyj, zróżniczkują się napewno, zgodnie ze wzrastającym życiem politycznem i potrzebą przedstawiania interesów wszystkich warstw społeczeństwa.

IGNACY CHABIELSKI.

Od redakcyi „PRACY.“

Prosimy czytelników o nadsyłanie nam wszelkich materiałów, informacji i notatek dotyczących spraw administracyjnych, ekonomicznych i społecznych. Na nadesłane nam pytania z zakresu spraw powyższych, postaramy się udzielać stosownych odpowiedzi lub informacji.

BIBLIOTEKA
CZYTELNI KATOLICKIEJ
we Lwowie.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca ADAM hr. KRASIŃSKI.



PRACA

Dodatek poświęcony artykułom w sprawach administracyjnych, ekonomicznych, prawnych i społecznych, oraz materiałom spraw tych dotyczącym.

TREŚĆ: Kolonizacya niemiecka w W. Ks. Poznańskim i w Prusach Zachodnich,—przez A. Donimirskiego.

KOLONIZACYA NIEMIECKA w W. Ks. Poznańskim i w Prusach Zachodnich.

Walka o ziemię, na której ks. Bismarek w r. 1886 szczególnie wycisnął piętno, przez powołanie do życia Pruskiej Komisji Kolonizacyjnej i wyposażenie jej hojnie z pruskiego skarbu państwa, zaczyna przybierać formy potworne. Sama walka na zachodnich kresach polskich, a wschodnich niemieckich, trwa od bardzo dawna. To, co się dzieje dziś, jest tylko dalszym ciągiem zmagania się żywiołu słowiańskiego, który dawniej sięgał o wiele dalej ku zachodowi, z żywiołem germańskim, który według niektórych historyków z wysp W. Brytanii przez Ren i ujście Scheldy przybył na stały ląd europejski i rozprzestrzenił się ku południowi i wschodowi, wypierając Słowian z ich siedzib. I czynił to długo bardzo skutecznie, aż natrafił na Polaków, którzy mu opór stawili. Rozbiór Polski opór ten osłabił i zmienił charakter zmagania się. Z międzynarodowej, walka pomiędzy żywiołem polskim a niemieckim stała się wewnętrzną — w obrębie monarchii pruskiej.

W pierwszym okresie tej nowej walki, przy zetknięciu się zorganizowanego silnie przez króla Fryderyka II i jego poprzed-

ników państwa pruskiego z rozpadającą się Rzeczpospolitą polską, walka wypadła na niekorzyść żywiołu polskiego, mianowicie, gdy znany ze swej bezwzględności przyjaciel Woltera na pruskim tronie, w środkach walki nie przebierał. Ale i w dalszym ciągu równie bezwzględne rządy takich Schönów w Prusach Zachodnich i Ftottwellów w W. Ks. Poznańskiemu żywioł polski o niejedną klęskę, o utratę znacznych obszarów ziemi przyprawiły, posuwając dzieło germanizacji tych prowincyj.

Ks. Bismarck pragnął jednym zamachem posunąć to dzieło naprzód. Zepsuty powodzeniami, sądził, że wystarczy chcieć, aby osiągnąć. Ta jego maksyma rozszerzyła się bardzo daleko, ogarnęła umysły, mianowicie bezkrytyczne, rozpowszechniła bezwzględność w każdym zetknięciu się ludzi z ludźmi i bardzo dużo w świecie narobiła i dotąd robi szkody.

A jednak właśnie na słabych, w porównaniu z materialną i moralną potęgą Niemiec, Polakach, stwierdzoną została wadliwość maksymy Bismarcka. Komisya Kolonizacyjna założonego przez jej inicjatora celu materialnego: wyrugowania Polaków z ich siedzib odwiecznych i wprowadzenia do nich Niemców, zgermanizowania kraju—nie osiąga, natomiast w wielu kierunkach Niemców demoralizuje. Demoralizujący jest sam charakter Komisji Kolonizacyjnej. Przeznaczono ją do walki przeciw pewnemu odłamowi obywateli państwa, jakim są Polacy w Prusach, a równocześnie wyposażono w środki ze skarbu państwa, do którego ci obywatele w równej mierze z innymi kontrybuują. Polacy stanowią przeszło 10% zaludnienia Prus, więc z 350 milionów, które dotąd na cele kolonizacji niemieckiej wśród ludności polskiej przeznaczono, około 35 milionów pochodzi z różnych wpływów z ich kieszeni. Gdy oczywiście sami na siebie nie kuliby broni dobrowolnie, zmusza ich do tego gwałt, zadany mniejszości przez większość parlamentarną, przy udziale rządu.

Ale pierwotna ustawa kolonizacyjna, oparta na dobrowolnym kupnie ziemi przez Komisję od Polaków, celem odprzedawania jej *wyłącznie* Niemcom, i miliony, przeznaczone na wyparcie Polaków z ich siedzib, nie wystarczają, więc za jedną niesprawiedliwość idzie druga. Z inicjatywy rządu sejm pruski uchwałą ustawę, do której w ostatnich czasach ciekawą i wielce kompromitującą ilustrację dostarczył „wóz Drzymały,“ obiegający w kopianach cały świat cywilizowany. Ten „wóz Drzymały,“ ośmieszający Prusy, to rezultat ustawy, która prawo stawiania najskromniejszych budynków mieszkalnych czyni zależnem od pruskich władz administracyjnych, które, żadnymi się nie kierując skrupu-

łami, chłopom polskim odmawiają pozwolenia na stawianie budynków na kawałkach ziemi, które nabyli.

Może wóz Drzymały wykaże bezskuteczność ograniczeń budowlanych i stworzy nowy typ mieszkań; wszak zakaz budowania skłaniał już chłopów polskich, nabywających kawałki ziemi w Poznańskiem, do mieszczczenia się w lochach podziemnych, na które konsensu budowlanego nie potrzeba, ale które znów ze względów higienicznych zasypano.

Tymczasem rząd pruski przemyśla już o dalszem rozwinięciu ustawy kolonizacyjnej w duchu stwierdzającym prawdziwość słów poety niemieckiego, że klątwą złego czynu jest, iż trwając dalej, złe rodzić musi. Pierwotna ustawa krzywdziła ludność polską, zmuszając ją do ofiar na broń przeciw niej ukutą, dalsze rozwinięcie ustawy ma przynieść zasadę przymusowego wywłaszczenia Polaków, według upodobania Komisji Kolonizacyjnej. Istotnie, walka potworną przybiera postać.

Znajdując się na tym przełomie, rząd pruski świeżo ogłosił obszerny memoriał o działalności Komisji Kolonizacyjnej za lat 20 jej istnienia.

Warto przypatrzeć się szczegółom tego memoriału, mianowicie też jego wywodom i wnioskom. Ale musimy rozpocząć od przedstawienia faktycznego materiału z dziejów kolonizacji, którego dostarczyło sprawozdanie Komisji Kolonizacyjnej za r. 1906, złożone sejmowi pruskiemu.

Wobec olbrzymiego interesu, jaki sprawa ta ma, szczególnie dla nas Polaków, ale i ze względu na charakter zmagania się dwóch narodów na ich kresach wzajemnych, uważamy sobie za obowiązek przedstawić sam materiał cokolwiek obszerniej, niżeli to uczyniła dotąd jakakolwiek publikacja polska. Rozpoczynamy od szeregu cyfr, zawierających dużo cech charakterystycznych, na które w dalszych wywodach powołać się wypadnie. Chodzi mianowicie o cyfry, wykazujące, ile ziemi folwarcznej i włościańskiej Komisya Kolonizacyjna w każdym roku, od chwili istnienia swego, zakupiła; ile za nią zapłaciła ogółem; ile zaś wypada za hektar.

Komisya Kolonizacyjna zakupiła:

a) folwarków:

w roku	na sub- haście	z wolnej ręki	hektarów	za sumę ogólną	przeciętna cena za hektar
1886	6	10	11748	6,674,150	568
1887	4	23	14826	8,719,651	588
1888	3	16	9523	5,620,505	590
1889	—	8	4801	3,268,250	681
1890	6	6	7767	5,095,510	656
1891	5	14	8527	5,789,617	679
1892	2	6	8422	4,621,803	549
1893	—	13	8408	5,265,600	626
1894	1	7	6264	3,590,850	573
1895	2	9	7525	4,289,140	571
1896	—	7	3520	2,282,610	648
1897	5	7	4733	3,697,830	769
1898	3	21	14491	11,017,300	760
1899	—	28	18132	14,828,000	818
1900	3	26	16148	13,059,468	809
1901	1	26	16856	13,503,377	801
1902	2	37	19070	16,055,112	842
1903	—	74	39187	39,047,495	996
1904	1	59	30532	30,838,814	1010
1905	—	76	30350	34,875,081	1149
1906	—	73	25156	34,798,248	1383
razem	44	546	305986	206,938,411	872,4

b) zagród włościańskich:

1886	—	3	111	88,845	802
1887	6	7	575	352,080	612
1888	4	6	602	429,200	713
1889	—	4	38	25,000	657
1890	1	1	8	9,110	1174
1891	—	—	—	—	—
1892	—	1	1	450	731
1893	—	1	16	5,765	351
1894	—	—	—	—	—
1895	—	1	41	31,000	750
1896	—	—	—	—	—
1897	—	7	106	106,100	1000
1898	1	8	338	460,800	1365
1899	—	7	376	431,200	1149
1900	1	9	427	426,964	999
1901	—	8	163	224,750	1377
1902	1	40	2937	3,039,418	1035
1903	—	39	2865	3,296,619	1150
1904	—	49	2576	3,104,644	1205
1905	1	81	4311	6,155,342	1428
1906	—	96	4515	7,415,903	1451
razem	15	368	20006	25,603,250	1234,0
Ogółem		973	325992	202,541,662	894

Cyfry powyższe, to historia działalności Komisji Kolonizacyjnej. Rozpoczęła się ona w czasach dla rolnictwa ciężkich, po

szeregu lat, głównie z powodu obniżenia się cen zboża, niepomysł-nych. To też w pierwszych dwóch latach zakupna były liczne, choć Komisya wtedy kupowała wyłącznie od Polaków. Sprzedaże ich nie zawsze były dobrowolne, a procent kupna na subhastacyi właś-śnie w pierwszych sześciu latach był największy, gdy tymczasem później znacznie się zmniejszył.

Na cyfrach zakupna odbija się też stosunek polityczny do lu-dności polskiej. Po trzech pierwszych latach przychodzi aż 9 lat, w których działalność Komisji cokolwiek słabnie. Prawda, że dosyć rychło przekonano się, że rozkolonizowanie zakupionej zie-mi pomiędzy osadników niemieckich nie idzie tak łatwo, jak przy-puszczano. Ale do osłabnięcia przyczyniły się niewątpliwie też rządy Capriviego, które wprawdzie zakończyły się w r. 1894, ale osłabienie zawziętości przetrwało cokolwiek jego rządy. Jeszcze np. w r. 1895 i 1896 pruskie Komisye generalne, pełniące te same funkcyje, co w państwie rosyjskiem Bank Włościański, sprzedawa-ły ziemię z parcelacyi chłopom polskim; w r. 1897 rozporządze-nie ministerjalne tego zabrania.

Pierwotnie Komisya Kolonizacyjna kupowała ziemię wyłą-cznie od Polaków. Ale bardzo rychło Niemcy zaczęli się skar-żyć, że to jest uprzywilejowanie Polaków, bo i Niemcy bankrutu-ją, a wtedy na ziemię kupca nie mają; o kupców na ziemię wów-czas było trudno. Skutkiem skarg tych, Komisya zaczęła także kupować od Niemców, a dziś przeważnie od Niemców ziemię na-bywa. I tak: w roku 1906 Komisya zakupiła 29670 hektarów za 42,214,000 marek, w tem od Polaków dwa folwarki i 39 zagród włościańskich, obejmujących razem 3030 hektarów, za które za-płacono 5,037,000 marek, reszta pochodziła z rąk niemieckich.

Wogóle, jak cyfry powyższe wykazują, Komisya do końca roku 1906 zakupiła gospodarstw folwarcznych 590, obejmujących 305,986 hekt. i zagród włościańskich 383, z obszarem 20,006 hekt.; w tem od Niemców 221.150 hektarów (67.8% całego obszaru) za 210,920,000 marek, od Polaków 104.840 hekt. za 81,620,000 marek.

W. Ks. Poznańskie i Prusy Zachodnie mają razem ziemi 5,446,644 hektarów, z czego w r. 1888 na większą własność przy-padało 2,774,246 hektarów, czyli cokolwiek więcej jak połowa. Uwzględniając to, nie możemy nie zaznaczyć bardzo słabego udzia-łu włościan w sprzedaży ziemi. Jeżeli Komisya nabyła tylko 20,006 hektarów od włościan, stanowi to niespełna 1/10 ziemi, bę-dącej w ich posiadaniu, gdy tymczasem 305,986 hekt. ziemi fol-warcznej, odprzedanej Komisji Kolonizacyjnej, przenosi 5% ob-szaru większej własności ziemskiej. Uwzględnić jednakże trzeba,

że akcja Komisji Kolonizacyjnej przede wszystkim przeciwko większej własności polskiej była skierowaną i do niej najsilniejszy szturm przypuszczała. Z mniejszemi zaś jeszcze trudnościami miała do walczenia przy kupowaniu większej własności ziemskiej od Niemców. Tymczasem gospodarstwa włościańskie na ogół są droższe, włościanie przeciętnie nie są tak zadłużeni, jak więksi właściciele, natomiast bardziej do ziemi swojej przywiązani. Niemniej w ostatnich pięciu latach, pod wpływem znacznej zwyżki cen ziemi i włościanie zaczęli sprzedawać gospodarstwa swoje, a pomiędzy sprzedającymi, niestety, znajduje się stosunkowo dużo Polaków. Wysoka cena jest dla nich pokusą; bo gdy np. do roku 1900 przeciętnie cena hektara ziemi włościańskiej nie przenosiła 1000 marek, tak, iż 10-hektarowe gospodarstwo warte było 10,000 marek, zadłużony np. do wysokości 6000 mar. właściciel, ceniał majątek własny na 4000 mar.; jeżeli tedy nagle otrzymać może 14,500 m., tak, iż majątek jego więcej jak podwaja się, ma wrażenie, iż musi go zlikwidować, choćby dla przekonania się, że istotnie ma na własność 8500 marek. Takie powody sprzedaży niewątpliwie są dosyć częste.

Cyfry powyżej zestawione objaśniają nas, do jakiego stopnia ceny ziemi w przeciągu 20 lat w Poznańskim i w Prusach Zachodnich się podniosły; wzrosły przeszło o 100%. Nie można zaprzeczyć, że ta zwyżka cen w pewnej mierze ma przyczyny realne: gospodarstwa podniosły się znacznie i dochód z nich wzrósł. Ale zwyżka nie byłaby tak znaczną, gdyby każdy, ktokolwiek chce ziemię sprzedać, nie miał zawsze gotowego kupca w Komisji Kolonizacyjnej, płacącej wysokie ceny.

Komisya tedy nietylko podniosła w sposób nieracjonalny, bo nie oparty na podstawach gospodarczych, cenę ziemi, lecz uczyniła z niej obiekt handlu mniej więcej taki, jak artykuły codziennej potrzeby.

Ciekawy jest stosunek obszarów ziemi zakupionej przez Komisję do końca r. 1906, do całego obszaru gospodarstw rolnych w wymienionych dwu prowincjach i w poszczególnych powiatach. Podajemy te cyfry, bo one objaśniają do pewnego stopnia o tendencyach politycznych Komisji.

A. Prusy Zachodnie:

POWIAT	obszar		Komisya Kolonizac. zakupiła	procent	
	ogólny	większej własn.		ogólnego	większej
	hektarów			obszaru	własności
1. Kościerzyna	123,689	50,962	7,511	6.07	14.66
2. Kartuszy	139,648	54,147	1,932	1.38	3.57
3. Starograd	105,712	62,890	4,216	3.99	6.56
4. Tczew	46,592	23,337	3,426	7.35	14.68
5. Gdańsk I	43,289	22,967	2,197	5.08	9.57
6. Wąbrzeźno	70,548	43,683	17,542	24.86	38.72
7. Złotów	152,579	61,951	4,175	2.74	6.49
8. Grudziądz	79,662	39,610	5,378	6.76	10.15
9. Chojnice	141,620	59,894	3,052	2.05	5.09
10. Wałcz	215,684	85,326	—	—	—
11. Chełmno	72,431	39,471	5,421	7.48	12.23
12. Lubawa	97,096	36,367	3,993	4.11	10.07
13. Kwidzyn	95,296	41,251	511	0.53	1.24
14. Susz	103,883	70,307	1,162	1.12	1.61
15. Człuchów	213,609	88,933	193	0.09	0.22
16. Swieciec	166,910	101,979	12,080	7.25	11.24
17. Brodnica	105,796	50,258	9,076	8.58	16.87
18. Sztum	64,092	25,701	—	—	—
19. Toruń	91,147	52,309	6,110	6.70	10.76
20. Tuchola	85,654	49,231	7,428	8.68	16.73
Ogółem Prusy Zach.	2,550,874	1,158,204	95,410	3.74	7.77

W dwu powiatach gdańskich, w dwu elbląskich, w malborskim, w wejherowskim i w puckim, które obejmują razem 335,937 hektarów, w tem 96,930 hek. większej własności, Komisya Kolonizacyjna żadnych zakupów nie poczyniła. Z wyjątkiem malborskiego są to powiaty nad brzegami morza.

B. W. Ks. Poznańskie:

POWIAT	obszar		Komisya Kolonizac. zakupiła	procent	
	ogólny	większej własn.		ogólnego	większej
	hektarów			obszaru	własności
1. Odolanów	47,960	23,443	4,132	8.62	17.63
2. Międzybóże	64,205	41,007	2,017	3.14	4.49
3. Babimost	103,641	44,478	8,652	8.35	18.32
4. Wschowa	47,958	19,530	1,465	3.06	5.64
5. Gostyń	60,026	38,693	2,420	4.03	5.73
6. Grodzisk	42,676	25,186	360	0.84	—

POWIAT	o b s z a r			p r o c e n t	
	ogólny	większej własn.	Komisya Kolonizac. zakupiła	ogólnego	większej
				obszaru	własności
h e k t a r ó w					
7. Jarocin	72,016	50,132	4,132	5.74	8.23
8. Kempno	45,773	26,167	2,700	5.90	10.23
9. Koźmin.	45,274	27,053	4,415	9.75	16.08
10. Kościan.	60,690	34,562	2,586	4.26	7.23
11. Krotoszyn.	50,137	25,351	3,089	6.16	9.71
12. Leszno	52,131	30,795	3,346	6.42	10.75
13. Międzyrzec	115,258	42,620	1,112	0.96	2.21
14. Nowy Tomysł	52,518	25,860	—	—	—
15. Oborniki	109,481	63,280	11,538	10.54	16.07
16. Ostrowo	41,303	26,304	519	1.26	1.89
17. Pleszew	48,029	33,270	5,084	10.59	14.87
18. Poznań I	45,673	25,061	8,287	18.14	25.97
19. Poznań II.	63,617	36,599	4,967	7.81	13.07
20. Poznań m.	943	—	74	7.88	—
21. Rawicz	49,540	25,647	3,285	6.66	11.61
22. Szamotuły	109,213	78,352	5,526	5.06	6.38
23. Ostreszczów	51,940	24,137	1,114	2.15	4.62
24. Śmigiel	55,445	34,208	6,302	11.36	17.75
25. Śrem	92,809	53,815	2,441	2.63	4.54
26. Środa	101,477	60,492	5,025	4.95	8.02
27. Skwierzyna	65,048	32,859	—	—	—
28. Września	56,108	36,012	11,051	19.70	28.61
29. Bydgoszcz	138,925	74,975	9,590	6.90	8.48
30. Bydgoszcz m.	1,287	—	—	—	—
31. Czarnków	80,314	41,486	1,956	2.44	4.71
32. Wieluń	76,028	30,154	1,287	1.69	38.6
33. Gniezno	56,164	33,250	19,004	33.84	49.62
34. Inowrocław	103,846	71,335	10,360	9.98	14.00
35. Kolmar	109,444	47,098	4,168	3.81	6.07
36. Mogilno	73,328	31,524	12,672	17.28	14.64
37. Szubin	91,410	59,795	9,774	10.69	16.34
38. Strzelno	61,440	39,399	4,776	7.77	11.53
39. Wyrzysk	115,981	64,959	7,781	6.71	10.67
40. Witkowo	58,896	31,981	5,041	8.56	13.67
41. Wągrowiec	103,691	64,497	20,375	19.65	30.02
42. Żnin	74,127	40,674	18,142	24.47	43.49
Razem W. Ks. Poznańsk.	2,895,770	1,616,042	230,582	7.96	12.98
Razem Prusy Zachodnie i W. Ks. Poznańskie .	5,446,644	2,774,246	325,992	5.99	10.80

Z cyfr powyższych widzimy, że rozdział nabytków Komisji Kolonizacyjnej wcale nie jest równomierny. Głównie rzuciła się Komisya na W. Ks. Poznańskie, bardziej polskie, gdzie zakupiła blisko 8% całego obszaru prowincyi, zaś blisko 11% obszaru większej własności ziemskiej. Z poszczególnych powiatów najsilniej oparty się kolonizacyi czysto polski powiat ostrowski, położony na samej granicy Królestwa, w którym Komisya zakupiła tylko 12 hektarów z rąk polskich, dalej grodziski, w którym tylko 24 he-

ktarów, należących do hotelu, w drodze subhastacyi z rąk polskich przeszło do Komisji. Ze powiaty: nowo-tomyślski, skwierzyński, czarnkowski, wieluński, międzyrzecki i międzychodzki z małemi w spisie powyższym figurują cyframi, temu się dziwić nie można. bo są to powiaty położone nad granicą Brandenburgii i nie tylko co do własności ziemskiej, ale co do ludności wogóle są bardzo niemieckie; tendencya germanizacyjna Komisji tedy tam już mniejsze ma do spełnienia zadania.

Najsilniej przez Komisję został zaatakowany powiat gnieźnieński, który na rzecz Komisji oddał połowę większej własności, a blisko $\frac{1}{3}$ całego obszaru swego. Bardzo piękne większe majątki polskie przeszły w tym powiecie w ręce Komisji, choć zaznaczyć trzeba, że z zakupionych 19,000 hektarów, sprzedanych przez 75 właścicieli, około 10,000 pochodzi z rąk niemieckich, zaś 9,000 z rąk polskich. Następne miejsce po Gnieźnie w procentowym stosunku zajmuje powiat żniński; i tu jednakże większa połowa ziemi, bo blisko 9600 hektarów pochodzi z rąk niemieckich. Powiat wągrowiecki procentowo stoi niżej od dwóch poprzednich, ale jest to powiat, w którym najwięcej ziemi (20,375 h.), a też najwięcej ziemi polskiej (około 11,500 hekt.) przeszło w ręce Komisji. Wszystkie trzy powiaty te były przeważnie Polakami zaludnione, ale zakupna Komisji ten stan posiadania poważnie zagroziły, tak że nawet wybór posłów polskich jest tam zakwestionowany.

Z powiatów zachodnio-pruskich najwięcej ziemi Komisya zakupiła w wąbrzeskim, brodnickim, świeckim i tucholskim. Pierwsze dwa, o ludności przeważnie polskiej, leżą nad samą granicą Królestwa Polskiego. I w powiatach tucholskim i świeckim przeważa ludność polska, ale w tucholskim ziemię zakupiono wyłącznie od większych właścicieli niemieckich i to w latach ostatnich. W gruncie rzeczy bardzo lekkie, w części piaszczyste ziemie tamtejsze na kolonizacyę się nie kwalifikują; przypuszczać należy, że nabędzie je administracya leśna na zadrzewienie.

Poprzestajemy na przytoczonych szczegółach, co do zakupna ziemi przez Komisję Kolonizacyjną. Z ostatniego jej sprawozdania zaznamy tylko informacje, dotyczące zaofiarowania ziemi. Jest ono podobno zawsze znaczne, chociaż oczywiście, gdy Komisya już wykupiła tak znaczne ilości, stopniowo słabnie.

„Zaofiarowanie majątków do kupna — czytamy dosłownie w sprawozdaniu Komisji — w r. 1906 co do liczby jednostek gospodarczych, wzmogło się w porównaniu z r. 1905, ale co do

obszaru jest mniejsze, a pozostaje też znacznie po za ofertami z r. 1904 i 1903. I tak w r. 1906 zaofiarowano Komisji 368 jednostek gospodarczych, obejmujących 102,464 hekt. wobec 325 z obszarem 105,053 hekt. w r. 1905, zaś 447 o 197,612 hekt. w r. 1904 i 509 o 229,822 hekt. w r. 1903. Mnożą się zaofiarowania mniejszych gospodarstw, obejmujących 100 — 250 hekt., natomiast mniej jest na sprzedaż większych folwarków. Tak samo w sposób zatrważający wzmogło się zaofiarowanie gospodarstw włościańskich, poniżej 100 hekt. W r. 1906 było ich 869 z obszarem 27,795 hekt. wobec 694 zagród włościańskich w r. 1905, 505 w r. 1904 i 380 w r. 1903.“

Jeżeli jeszcze potrzeba dowodu, że działalność ekonomiczno-społeczna Komisji Kolonizacyjnej jest szkodliwą, to dowodu tego dostarcza powyższa informacja. Komisja pobudza do sprzedaży tę część ludności, która przywiązana do ziemi, najmniej jest pochopna i też najmniej powinna być do sprzedaży pochopną. Omanioma wysokimi cenami, ludność ta opuszcza stały warsztat pracy, aby pomnożyć kadry tych mas ruchliwych, które rzucają się na los szczęścia w wir świata, aby w dalszym ciągu niejednokrotnie wzmocnić szeregi proletariatu bezdomnego. Czują to sami kolonizatorowie, gdy zaofiarowanie 869 gospodarstw włościańskich uważają słusznie za objaw wprost zatrważający.

Parcelacja i kolonizacja.

Przechodzimy obecnie do drugiej części czynności pruskiej Komisji Kolonizacyjnej, mianowicie do parcelacji i osadnictwa. Jeżeli pierwsza część: kupno, jest transakcją niezmiernie łatwą dla tego, kto ma olbrzymie fundusze do rozporządzenia, parcelacja, t. j. podział na jednostki gospodarcze, odpowiadające racjonalnym warunkom gospodarczym, podział większych jednostek na mniejsze tak, aby te mniejsze miały wszystko, czego dobrej jednostce gospodarczej do należytego rozwoju potrzeba, jest rzeczą trudniejszą. A bodaj najtrudniejszym jest wyszukanie właściwych osadników, kolonistów, mianowicie, gdy istnieją pewne ograniczenia, gdy np. Komisja może sprzedawać tylko Niemcom, a nadto musi w hipotece zastrzedz, że i ci nabywcy tylko Niemcom sprzedawać mogą. Nareszcie Komisja i o tem myśleć musi, aby kolonizacja dla niej, a raczej dla skarbu, nie była zanadto kosztowną. O zyskach oczywiście w danych warunkach mowy być nie może.

Otóż, że parcelacja pod względem gospodarczym jest dokonywana bardzo racjonalnie, o tem wątpić nie można. Wszak prowadzą ją władze pruskie, przy udziale odpowiednich sił fachowych i niekrepowane zupełnie co do środków. Przy ułożeniu planu parcelacji Komisya ma na względzie zarówno potrzeby prywatne osadników, jako i potrzeby publiczne: parcela musi być odpowiednią jednostką gospodarczą, całość musi łączyć się albo sama we właściwą organizację gminną przy uwzględnieniu potrzeb szkół, szpitalów i t. d., kwestye dróg i placów publicznych muszą być należycie uregulowane.

Przypatrzmy się np. planom parcelacyjnym, dokonanym w roku 1906. Ogół gruntów obejmuje 29,389; z tego przeznaczono na drogi i rowy 671 hekt., na szkoły 81 hekt., na potrzeby gminne 73 hekt., zarezerwowano na różne cele 3,701 hekt., a z pozostałej reszty 24,872 utworzono 1,694 osad. Sprawozdanie Komisji informuje nas też co w przeciągu całego czasu istnienia Komisya wydała lub przeznaczyła na budowle publiczne na kolonizujących się gruntach. Wystawiono 35 kościołów (oczywiście prawie wyłącznie protestanckich) za 1,353,960 marek, 23 domów modlitwy kosztem 185,600 m. (domy modlitwy w wielu wypadkach mieszczą się w dworach dawniejszych); 37 plebanij kosztowało 653,300 m., należące do nich różne porządki 168,000 m., budynki gospodarskie przy plebaniach 821,300 m., 271 szkół wraz z budynkami gospodarskimi 10,030,000 m., urzędy gminne 1,210,000 m., wewnętrzne urządzenie kościołów 344,050 m., szkół 170,770 m. Razem tedy wydano lub na zaprojektowane już i rozpoczęte budowle wydać wypadnie 14,936,980 m.

Pozostając jeszcze przy rubryce robót publicznych, zaznaczymy, że, równocześnie z parcelacją, Komisya czyni znaczne nakłady na drogi. I tak np. w r. 1906 w 24 parcelujących się majątkach brukowano i szosowano drogi na długości 30,450 metrów bieżących. Roboty te dokonywane są kosztem danych jednostek gospodarczych i na ich konto wchodzi, niemniej komisya i ze swoich ogólnych funduszków *à fond perdu* na cele te wydała przez 20 lat 1,371,864 marek.

Ale Komisya, parcelując ziemię, nie odprzedaje jej bez wszystkiego kolonistom, lecz przeprowadza przedtem niezbędne melioracje i stawia budynki. Główną melioracją jest drenowanie. I tak od początku istnienia Komisji na gospodarstwach, obejmujących 142,038 hekt., zadrenowano 46,350 hekt. kosztem 7,890,922 m. czyli mniej więcej 170 m. za hektar; rozpoczęto zaś drenowanie w 20

majątkach, obejmujących 8,763 hekt. na 3480 hektarach, kosztem 650,520 m.

Komisya Kolonizacyjna dostarcza osadnikom swoim drzew i to po części zupełnie bezpłatnie (do 40 sztuk na każdą osadę), po części za opłatą, równającą się $\frac{1}{4}$ ceny bieżącej. Dalej przeprowadza melioracye łąk i torfowisk (wydano na cel ten dotychczas 2,007.325 m.), urządza cegielnie, gdzie warunki są sprzyjające, nareszcie stawia budynki lub dostarcza materiału budulcowego, tam gdzie osadnicy sami budynki stawiają.—W jednym roku, ostatnim. 1906, Komisya na budowie wydała 4,574,400 m., za co postawiła 21 karczem, 371 zagród włościańskich, 45 domów dla rzemieślników, 77 dla wynajęcia robotnikom, 22 domów włościańskich, 95 stajen i stodół i 20 drobniejszych budynków. Zaznaczyć tu trzeba dla objaśnienia, że zawsze przedewszystkiem musi stanąć karczma, bo nie mając pod ręką knajpy i piwa, kolonista niemiecki osady nie kupi.

Nie wszyscy jednakże koloniści kupują gospodarstwa z budynkami i to z dwóch przyczyn, najpierw, że wolą postawić sobie budynki według własnego ocenienia potrzeb, a potem, że je sami stawiają taniej. Takim kolonistom Komisya dostarcza materiału budowlanego, wliczając należność zaś do ceny szacunkowej kolonii.

W każdym razie trzeba stwierdzić, że przygotowując i przeprowadzając kolonizacyę, Komisya czyni to z uwzględnieniem zarówno warunków ogólnie gospodarskich, jak publicznych i nareszcie samemu koloniście pragnie zapewnić jak największe dogodności. Że to pociąga za sobą olbrzymie koszta i nie wpływa pomyślnie na kolonizacyę, jako przedsiębiorstwo finansowe, o tem się przekonamy w dalszym ciągu, przy rozpatrzeniu finansowej strony kolonizacyi.

Koszt kolonizacyi.

Zrozumieć łatwo, że parcelacya, przeprowadzona tak, jak ją powyżej przedstawiłismy, zajmuje dużo czasu i wymaga wielkiego nakładu. Gdy zwykli przedsiębiorcy parcelują własność, albo gdy to nawet czynią pruskie komisye generalne, o których już powyżej była mowa, procedura jest szybka. Zakupioną ziemię dzieli się na części, które jednakże zawsze są terytoryalnie zaokrąglone—mi koloniami, w jednym kawałku, i samą ziemię sprzedaje się no-

wonabywcom. Oczywiście przedsiębiorca stara się o możliwe wyzyskanie dawnych budynków folwarcznych, ogrodu i t. d., nareszcie zwraca uwagę na to, aby w każdym kawałku znalazły się różne gatunki ziemi, o ile możności kawałek łączki, co jednakże, wobec uprawiania przez włościan roślin pastewnych, nie zawsze jest konieczne; dana parcela jednakże musi mieć zapewnioną wodę. Stawianie budynków pozostawia się zwykle nabywcy, bo on sobie to urządza najtaniej i najdogodniej. Taka parcelacya oczywiście nie wymaga zbyt wielkiego zachodu, o ile władze nie szykanują, i może być dobrym interesem.

Kolonizacya pruska jest jednakże interesem finansowo najfatalniejszym. Aby majątek należycie podzielić, rowy i drogi przeprowadzić, melioracyj dokonać i budynki postawić, na to potrzeba dużo czasu. Więc też parcelacye Komisji Kolonizacyjnej ciągną się od 4—6 lat, czasem trwają jeszcze dłużej. Naraża to oczywiście na straty znaczne. Przedewszystkiem musi Komisya przy pomocy własnych urzędników przez czas pewien prowadzić gospodarstwo folwarczne, później przychodzi okres przejściowy, gdy grunta już są rozparcelowane, ale nowy system gospodarstwa jeszcze nie zaprowadzony; nareszcie podział na kolonie się kończy i następuje sprzedaż. Rozumie się, że nie wszystkie gospodarstwa znajdują jednocześnie nabywców, więc jedne się sprzedają, drugie czekają.

Otóż czas ten przejściowy jest niezmiernie kosztowny. Przedewszystkiem administratorowie instytucji bogatej nie dokładają zbyt wielkich starań o czysty dochód. Czem lepszy gospodarz, tem mu i ejsze daje dochody, bo on przedewszystkiem widzi potrzeby gospodarstwa a wie, że właściciela. Komisye, stać na pokrycie tych potrzeb.

Przypatrzmy się rachunkom Komisji. W sprawozdaniu za r. 1906 kolonizujące się włości dzieli ona na trzy kategorie:

1. Włości, kupione nie dawniej jak 2 lata temu, i prowadzone jeszcze systemem folwarcznym 39,524 hekt. dały 806,116 marek niedoboru, t. j. 20 m. 40 fen. z hektara.

2. Włości zakwalifikowane wogóle do gospodarki folwarcznej, których kolonizacyi tedy nie przyspiesza się, obejmują 12,350 hekt., dały 41,438 m. nadwyżki, a więc 3.26 m. z hektara.

3. Włości skolonizowane, ale jeszcze nie całkowicie rozsprzedane: 119,222 hekt., dały 31,746 mar. nadwyżki.

Otóż od początku istnienia Komisji te trzy kategorie w okresie przejściowym dały ogółem następujące rezultaty finansowe:

1.	Niedoboru . . . m.	10,584,005.86
2.	„ . . . „	860,503.58
3.	„ . . . „	1,141,880.55

Razem marek 12,586,389.99

Ktoby jednakże sądził, że tym niedoborem są objęte procenta od sum włożonych w zakupno ziemi i we wszelkie nakłady, ten pomyliłby się. Sumienny finansista powinien każdy majątek obciążyć, choć raz jeden przy końcu roku, procentem od włożonych w kupno i nakłady sum. Prusacy są zwykle w rachunkach dosyć ściśli, ale Prusacy w Komisji Kolonizacyjnej wspomnianego obowiązku dobrego finansisty nie dokonują. Cała suma, którą Komisya wkłada w kupno ziemi i w olbrzymie nakłady, aż do chwili sprzedaży kolonii, pozostaje nieoprocentowaną, a procent ten spada bezpowrotnie, przy sprzedaży bowiem też bywa pomijany.

Komisya Kolonizacyjna od pewnego czasu (nie czyniła tego od początku) podaje finansowe rezultaty przeprowadzonej kolonizacyi każdego zakupionego większego obszaru, stanowiącego pełną całość. Przypatrzmy się niektórym z tych rachunków w sprawozdaniu za r. 1906.

1. Biechowo, Osowo i Skotniki (obecnie Scherze) 1452 hekt., zakupione pomiędzy r. 1888 i 1902, obecnie całkowicie rozkolonizowane.

Kupno kosztowało:

1.	Szacunek m.	1,117,838.22
2.	Nakłady „	297,031.64
3.	Potrzeby gminne „	28,689.70
4.	Szkoła — urządzenie i wyposażenie „	29,383.22
5.	Patronackie wydatki kościelne . . . „	11,904.66

Razem marek 1,484,847.44

Procenty i niedobory, jak widzimy, tu nie figurują.

Sprzedaż przyniosła:

1. Gotówką zaliczki marek 189,715.84.
2. Renty marek 32,824 rocznie.

Otóż renta w stosunku do niepokrytej gotówką reszty, wynoszącej m. 1,295,131.50, wynosi 2.53%. Choćbyśmy nawet uwzględnili koszta wyłożone na cele publiczne (od 3, 4 i 5 kosztu), to kapitał włożony oprocentowuje się na 2.68%.

2. Gryźliny, zakupione w r. 1891, a więc 16 lat temu; parcelacya dopiero teraz ukończona, 574 hekt.

Koszt zakupna:

1. Szacunek	m.	270,165.43
2. Nakłady i niedobory	"	285,875.65
3. Uregulowanie stosunków gminnych	"	7,090.91
4. " " szkolnych	"	13,504.54
5. Budowa kościoła	"	55,170.26
		Razem marek 631,806.79

Przy sprzedaży:

Zaliczono gotówką " 25,476.19

Pozostało marek 606,330.60

Nabywcy koloniści przyjęli zobowiązania w sumie 423,898 m., ale płacą od nich tylko 9,183 m. rocznie. Kapitał niepokryty oprocentowuje się tedy na 1.51% rocznie, jeżeli zaś strącimy wydatki na cele publiczne (ad 3, 4, 5) w sumie 75,765 m., procent podnosi się na 1.73%.

Przy Gryźlinach wprowadzie niedobory obliczono, ale procentu od szacunku i nakładu nie uwzględniono. Gdyby go buchalteryjnie obliczono, koszt podniósłby się w dwójnasób, a strata byłaby olbrzymia, choć przecież przy 16-letnim okresie konjunktura ceny powinna była odegrać pewną rolę.

Nie będziemy powtarzali ze sprawozdania dalszych obliczeń rezultatów finansowych kolonizacyi poszczególnych zakupionych majątków, dwa przytoczone bowiem są do pewnego stopnia typowe. Przedewszystkiem zaznaczyć musimy, że obrachunki są nieściśle, na co postowie w sejmie pruskim powinni zwrócić uwagę; nieściśle dlatego, że procenty nie są liczone, co jednakże powinno mieć miejsce, od chwili zakupna majątku do ukończenia jego parcelacyi, imaziej bowiem o istotnym koszcie wyobrażenia mieć nie można. A braknie wtedy kryterium głównego do ocenienia finansowej strony interesu; kraj zaś koniecznie powinien wiedzieć, co go to przedsiębiorstwo polityczne kosztuje.

Otóż, jakkolwiek z przytoczonych powyżej powodów, ścisłych obliczeń zrobić nie można, nie ulega najmniejszej kwestyi, że koszt jest olbrzymi. Bez przesady powiedzieć można, że sumy, uchwalane przez sejm pruski, idą *à fond perdu*; nie się z nich skarbowi nie wraca, a cały ciężar oprocentowania tych sum i wnoszenia zaciągniętych pożyczek, spada na skarb. Ogólne sprawozdanie Komisyi z obrotu kasowego za lat dwadzieścia, daje nam wyobrażenie o tem, jakie to są sumy.

Otóż wydatki Komisyi od r. 1896 do końca r. 1906 wynosiły 377,788,402 marek. Najgłówniejsze pozycye są następujące: 1) Ko-

sza zakupna ziemi 254,546,817 m. 2) Wydatki na zarząd majątkami 63,096,115 m. 3) Budynki gospodarskie 22,900,869 m. 4) Kościoły i szkoły 6,262,792 m. 5) Drenowanie i inne melioracje 9,504,009 m. 6) Różne urządzenia na cele publiczne 2,928,571 m. 7) Zarząd cegielni 5,023,079 m. 8) Pożyczki kolonistom 10,374,158 marek i t. d.

Ogólne dochody Komisji wynosiły 93,577,553 m. Największą rubrykę tu stanowią: 1) Dochody z zarządu gospodarstw 50.527.768 m. (wobec 63 mil. wydatków). Dopiero na drugim miejscu przychodzą zaliczki i spłaty kolonistów, wynoszące 2) 24,764,832 m. i 3,240,221 m. 3) Dochody z cegielni 3,546,044 m. (wydatki 5 mil.). 4) Zwrot pożyczek i zaliczeń 5,753,323 m. Inne pozycje dochodowe w 17 rubrykach pozostałych są nieznaczące.

Ze sprawozdania Komisji Kolonizacyjnej widać, że wszystko, cokolwiek koloniści dotąd zapłacili na szacunek zakupionych kolonij i na rentę, wpłynęło do bieżących dochodów; oprocentowanie pożyczek, zaciągniętych na kolonizację, w całości tedy obciąża skarb.

Jaki to może być ciężar? Wydatki brutto Komisji wynosiły 377,788 402 m., dochody zaś 93,798,937 m., a więc wydatki na czysto 273,989,465 m. A więc co najmniej w tej wysokości pożyczkę skarb musiał zaciągnąć, a ponieważ oprocentowanie i umorzenie pożyczki wymaga najmniej 4^o%, więc skarb na 60 lat ma ciężar, wynoszący przeszło 10 mil. marek rocznie. Nadto stworzono w Komisji nowy dział administracji. Etat Komisji wynosił w pierwszym roku 52,969 m., ale w r. 1906 już wzrósł do 1,605,576 m. rocznie, tak, iż roczny ciężar z tytułu oprocentowania pożyczek, zaciągniętych na kolonizację i utrzymanie Komisji dochodzi do 12 mil. marek.

Zdawałoby się, że w przyszłości może się to zmienić na lepsze, gdy wpłaty kolonistów będą większe, gdy np. wszystkie ziemia, dotąd zakupiona, będzie rozkolonizowana. Ale najpierw rząd pruski myśli domagać się nowych funduszy na kolonizację i prowadzić ją dalej, oczywiście na daleko cięższych warunkach, bo przecież widzimy, jak wzrastają ceny ziemi, jak się podnosi etat Komisji i t. d. Następnie zaś widoki otrzymania większych wpływów od kolonistów są niewielkie. Oni wiedzą, że mają rolę polityczną do spełnienia, więc bezustannie na rząd i na Komisję się oglądają. Łatwo domyśleć się, że to ich energii i pracy nie podnosi, lecz osłabia.

Zresztą, pomimo, że Komisya urządza im pod każdym względem wzorowe kolonie, że robi im nadzwyczajne dogodności i ula-

twienia, widocznie ich bardzo do tej ziemi, którą im sprzedaje, nie przywiązuje. I tak w r 1906 aż 221 kolonij przeszło w inne ręce, z tego tylko 58 w ręce członków rodziny i krewnych sprzedających. Od początku istnienia Komisji 1,265 kolonij zmieniło właścicieli; jest to cyfra bardzo pokaźna i nie świadcząca wcale o przywiązaniu kolonistów do ziemi, jaką nabyli.

Wogóle o nabywców nie tak łatwo, bo Kolonizacya sprzedaje tylko Niemcom; na miejscu takich kupców niema zbyt wielu, choć pokusa do kupna jest wielka. Włościanin niemiecki w Poznańskiem i w Prusach Zachodnich dziś łatwo za drogie pieniądze ziemię swoją sprzedać może. Więc bardzo często sprzedaje Polakowi, aby następnie kupić od Komisji, wprawdzie nie tanio, ale z małą zaliczką, na rentę i z widokami zyskiwania różnych ulg.

Cyfry wykazują, że napływ kolonistów wzmagą się. W r. 1886/7 Komisya zawarła 142 tranzakcyj na kolonie. Cyfry zaś zawartych tranzakcyj z lat następnych od r. 1888 do 1906 włącznie są następujące: 166, 191, 173, 193, 270, 241, 222, 186, 191, 367, 605, 669, 661, 418, 1211 (w tem 301 dzierżaw), 1476 (431 dzierżaw), 1480 (513 dzierżaw), 1527 (330 dzierżaw), 1568 (409 dzierżaw).

Od r. 1902, kiedy zawarto 1211 tranzakcyj, liczba ich zaczęła się wzmaczać, ale przyczynił się do tego głównie fakt, że Komisya nie tylko sprzedawała kolonie na własność, lecz zaczęła je wydzierżawiać.

Do końca r. 1906 Komisya Kolonizacyjna sprzedała i wydzierżawiła 11,957 kolonij, obejmujących 180,958 hekt. za cenę rzekomą 156,317,635 m., ale ta ostatnia suma jest nieco fikcyjna, bo tranzakcyje kolonizacyjne są przeważnie dokonane na rentę, a Komisya rozmaicie rentę kapitalizuje. Z ogólnego obszaru Komisya odstąpiła kolonistom 153,600 hekt. za opłatą rocznej renty, wynoszącej 3,733,828 m., dalej wydzierżawiła 25,244 hekt. za roczną tenutą 648,375, nareszcie sprzedała za gotówkę 2,872 hekt. za cenę 1,166,725 m. Te ostatnie sprzedaże za gotówkę dokonano w następujących parcelach: do 5 hekt. 82 parcel, od 5—10 hekt. 10 p., od 10—15 h. 3 p., od 15—20 h. 3 p., od 25—50 h. 10 p., od 50—125 h. 2 p., ponad 120 h. 2 p.

Sprzedaże za opłatą rocznej renty (I) i dzierżawy (II) dokonane zostały w koloniach następującego obszaru:

	Do 5 hekt.	5—10	10—15	15—20	20—25	25—50	50—125	nad 125
I	1086	1475	2518	2540	1074	858	123	19
II	306	700	768	312	53	25	5	3

Z cyfr powyższych widzimy, że najwięcej utworzono i sprzedano na rentę gospodarstw pomiędzy 10 — 20 hekt., czyli około

20—40 mórg polskich; są to obszary, zapewniające w tamtejszych stosunkach dostateczne utrzymanie rodzinie.

Zaznaczyliśmy, że Komisya ogółem już pomiędzy kolonistów umieściła 180,958 hekt. Po za tem jednakże w obszarach rozkolizowanych z ziemi, stanowiącej jej własność, 54,288 hekt. przeznaczyła na cele publiczne i inne, tak że pozbyła się już 235,246 hekt. czyli 72.2% ziemi, którą w ogólnym, jak wiemy, obszarze 325,993 hektarów nabyła.

Komisya utworzyła 315 nowych wsi, oczywiście czysto niemieckich, w 138 dawniej istniejących zaś powiększyła liczbę mieszkańców niemieckich.

Inne środki germanizacyi.

Komisya Kolonizacyjna chwyciła się od kilku lat jeszcze jednego sposobu, za pomocą którego pragnie zwiększyć ludność niemiecką W. Ks. Poznańskiego i Prus Zachodnich, a drugiego, który ma powstrzymać sprzedaż ziemi, znajdującej się w wymienionych prowincjach w ręku włościan niemieckich. Otóż Komisya stara się ściągnąć na wieś rzemieślników i robotników niemieckich, stawiając domy, w których rzemieślnikom i robotnikom, wynajmującym pracę swoją na dni lub sezony, za cenę przystępną oddaje mieszkania; przy mieszkaniach tych są kawałki ziemi, obejmujące 1½ — 2 hekt. Rozumie się, że mieszkania te przeznaczone są wyłącznie dla rzemieślników i robotników niemieckich. Według ostatniego sprawozdania wynajęto dotychczas 458 podobnych mieszkań rzemieślnikom i robotnikom niemieckim, pochodzącym, według twierdzenia Komisji Kolonizacyjnej, przeważnie z poza granic W. Ks. Poznańskiego i Prus Zachodnich.

Druga manipulacya, mająca na celu powstrzymanie przechodzenia w ręce polskie ziemi, znajdującej się w rękach niemieckich, jest następująca: Komisya Kolonizacyjna powołała do życia dwie instytucye finansowe, mianowicie w r. 1904 t. z. *Deutsche Mittelstandskasse* (Kasa dla średniego stanu) w Poznaniu, zaś w r. 1906 w Gdańsku t. z. *Bauernbank* (Bank włościański). Obydwie te instytucye mają na celu nadanie charakteru osad kolonizacyjnych różnym niemieckim posiadłościom i zagrodom włościańskim. Nadanie charakteru osad kolonizacyjnych, to znaczy ograniczenie swobody sprzedaży danej zagrody, tak, iż ona tylko w ręce niemieckie może przechodzić.

Rozumie się, że wymienione instytucye pomocnicze Komisji Kolonizacyjnej wyszukują na ten cel przeważnie zagrody włościań-

skie mocno zadłużone, dla właścicieli których bardzo często spłata długów hipotecznych w kapitale i zamiana ich na rentę roczną stanowi albo wielką dogodność, albo też jedyny ratunek. Komisya stara się nie angażować w tem przedsiębiorstwie zbyt wielkich funduszów; pozwala bowiem właścicielom zaciągnąć pożyczkę w towarzystwach kredytowych ziemskich do wysokości możliwej (pożyczki te są wysokie a nizko oprocentowane), a poza tą pożyczką Komisya umieszcza swoją do wysokości 75% taksy. Prawda, że udzielenie pożyczki Towarzystw kredytowych na posiadłościach, które ulegają ograniczeniu co do własności, sprzeciwia się zasadom tych Towarzystw (Landschaft), ale zasady zmienić można, to rzecz tak łatwa. To też zaznaczyć trzeba, że od r. 1904 do poznańskiej Mittelstandskasse nadeszło 706 wniosków od włościan niemieckich o nadanie ich posiadłościom charakteru osad kolonizacyjnych; z tego 50 wniosków już zupełnie załatwiono, 55 z końcem r. 1906 było na ukończeniu; te ostatnie obejmowały 7,112 hektarów, obszaru pierwszych w sprawozdaniu nie znajdujemy.

Ile ziemi Komisya wykupiła z rąk polskich i z rąk niemieckich, o tem z powyżej pomieszczonych cyfr wiemy. Prawda, że równocześnie Polacy wykupili dosyć dużo ziemi od Niemców. Ale przecież trzeba sobie zdać sprawę z tego, że nie jest to kompensatą. Dla polskości niewątpliwie działalność Komisji Kolonizacyjnej jest szkodliwą i wtedy, kiedy Komisya kupuje od Polaków i wtedy kiedy kupuje od Niemców. W jednych i drugich *właściciele*, należący do jednej lub drugiej narodowości, stanowią jednostki, natomiast masy ludności tu i tam są przeważnie polskie. Otóż Komisya ruguje robotnika polskiego tak samo z majątku niemieckiego, jak z polskiego, zaś Polak, kupujący ziemię od Niemca, na liczebność ludności bardzo mało wpływa, bo zwykle wchodzi do majątku zamieszkałego przez ludność polską. Większy właściciel niemiecki nie rugował ludności polskiej, bo zostałby bez robotników, natomiast kolonista już nie potrzebuje robotnika w takiej samej liczbie, bo niewielki grunt swój przeważnie sam z rodziną obrabia.

Sprawozdanie Komisji stwierdza, że dotychczas osadzono 12,415 rodzin, kolonistów i robotników, liczących okragło 81,000 osób. W majątkach, należących do Komisji, zajętych jest 2,834 rodzin robotników i rzemieślników niemieckich, które obejmują 11,324 osób, u kolonistów zaś znajduje się 2239 rodzin robotników i 195 rodzin rzemieślników też niemieckich, liczących 4611 dusz. Wszystkie te cyfry razem dają 96,900 osób. Czy o tyle powiększyła się liczba ludności niemieckiej w Poznańskim i w Prusach Zachod-

dnich? Na to pytanie trzeba odpowiedzieć przecząco. Według wykazów Komisji, z 11,957 osiedlonych rodzin kolonistów, 2926 rodzin pochodzi z W. Ks. Poznańskiego i z Prus Zachodnich; ponieważ zaś przeciętnie przypada $6\frac{1}{2}$ osób na rodzinę, więc 19,019 osób z rodzin osadniczych pochodzi z wymienionych prowincyj i ich ludności niemieckiej nie powiększyły; z 458 rodzin robotniczych, które do pierwszej cyfry zostały wliczone, 25% pochodzi z Poznańskiego i z Prus Zach.; czyni to mniej więcej 750 osób, tak, że z liczby 81,000 osób, około 20,000 już dawniej w prowincjach tych mieszkało. Istotny przybytek ludności niemieckiej wynosi 61,000 osób.

Z reszty robotników, według sprawozdania Komisji, większa połowa jest sprowadzonych z poza granic wymienionych prowincyj; ponieważ ogólna cyfra wynosi 15,900, więc niech będzie sprowadzonych 9,000. Razem tedy liczba Niemców w Poznańskiem i w Prusach Zachodnich przez 21 lat działalności Komisji Kolonizacyjnej powiększoną została o 70,000 dusz.

Jakież to stanowi procent ludności? Według spisu jednodniowego z r. 1900 Prusy Zachodnie miały 1,563,658 głów, W. Ks. Poznańskie 1,887,848, czyli razem 3,451,506. Liczba Polaków w Poznańskiem wynosiła około 1,160,000, w Prusach Zachodnich około 560,000, czyli razem 1,720,000 osób. Zatem 70,000 nowych dusz niemieckich stanowi mniej więcej 2% ludności ogólnej, a około 4% każdej narodowości. Od r. 1886 tedy ludność niemiecka, dzięki Komisji Kolonizacyjnej zwiększyła się o 4%, czyli o 0.20% rocznie. Tymczasem przy mniej więcej równej liczbie Polaków i Niemców w obu prowincjach razem, przy zwiększaniu się ludności polskiej w drodze naturalnego przyrostu o 12 na tysiąc, a ludności niemieckiej o 8 — 9 na tysiąc rocznie, różnica na korzyść Polaków wynosi 0.30, a więc przewyższa przyrost z tytułu działalności Komisji Kolonizacyjnej. W najgorszym razie zatem stosunek ludności polskiej i niemieckiej może pozostać niezmienny.

Dla osiągnięcia takiego rezultatu rząd pruski podjął dzieło niesprawiedliwe, znieprawiające ludność niemiecką, z olbrzymim kosztem połączone, a pozostające w sprzeczności z zasadami zdrowego rozwoju ekonomicznego.

A. DONIMIRSKI.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca ADAM hr. KRASIŃSKI.

Warszawa. Druk. A. Głucki.



SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE TRZECIM

z roku 1907.

HISTORIA.

	Str.
KIEDY BORUTA BYŁ PACHOLECIEM, — przez <i>J. K. Kochanowskiego</i>	150 i 234
RODZINA W POLSCE, — przez <i>J. T. Lubomirskiego</i>	455

SZKICE POLITYCZNE.

JAPONIA I KOREA, — przez <i>Kazimierza Puffke'go</i>	262
--	-----

SPRAWY SPOLECZNE, PRAWNE I EKONOMICZNE.

NASZ LUD, — przez <i>Maryę Konopnicką</i>	469
---	-----

LITERATURA.

ŁUNA (powieść), — przez <i>Kazimierza Zdziechowskiego</i>	1, 209 i 417
---	--------------

STUDYA LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

O CHLOPSKIM EPOSIE KONOPNICKIM, — przez <i>Stanisława Maykowskiego</i>	38 i 304
BUCH PIŚMIENNICZY WE FRANCYI, — przez <i>Kazimierza Woźnickiego</i>	74
MARLOWE I MICKIEWICZ, — przez <i>Andrzeja Tretiaku</i>	92

	Stb.
LOSY SCENY DRAMATYCZNEJ W TEATRZE WARSZAWSKIM, — przez <i>W. Bogusławskiego</i>	116
GUSTAW MOREAU, — przez <i>Jana Topassa</i>	140
F. BRUNETIÈRE I EWOLUCYONIZM W HISTORUYCE LITERATURY, — przez <i>Bolesława Orłowskiego</i>	277
SZTUKA WE FRANCYI, — przez <i>Konrada Ostrowskiego</i>	352
JORIS KARL HUYSMANS, — przez <i>J. Lorentowicza</i>	497
RUCH LITERACKO-UMYSŁOWY W NIEMCZECH, — przez <i>J. Kaczkow-</i> <i>skiego</i>	550
ZE SZTUKI, — przez <i>T. Jaroszyńskiego</i>	537

WSPOMNIENIA POZGONNE.

HENRYK HOYER, ALEKSANDER HIRSCHBERG, KAROL POTKAŃSKI i prof. ANTONI MIERZYŃSKI, — przez *Z. D.* 194, 405 i 609

K R Y T Y K A.

ZYGMUNT WASILEWSKI: Od romantyków do Kasprowicza. Studya i szkice literackie, — przez <i>Z. D.</i>	175
EDWARD STRASBURGER: Zur Entwicklung der Arbeiterfrage im Königreich Polen, — przez <i>Z. D.</i>	179
ALEKSANDER BRÜCKNER: Dzieje języka polskiego, — przez <i>Z. D.</i>	387
DR. ZOFIA DASZYŃSKA-GOLIŃSKA: Uście Solne. Przyczynki historyczno-statystyczne do dziejów nadwiślańskiego miasteczka, — przez <i>G. Smólskiego</i>	577
HIERONIM LOPACIŃSKI: Wiadomości o marmurach w Polsce, — przez <i>d-ra</i> <i>Emmannała Świejkowskiego</i>	586

KRONIKA MIESIĘCZNA.

LIPIEC:

Rozwiązanie drugiej Izby i nowe wybory. — Z powodu zjazdu pisarzy katolickich. — Seminarjum nauczycielskie w Ursynowie pod Warszawą. 181

SIERPIEŃ:

Atak na Macierz. — Pierwszy rok Uniwersytetu Ludowego w Warszawie. — X Zjazd lekarzy i przyrodników polskich. 394

WRZESIEŃ:

Z nastrojów chwili. — W sprawie kształcenia się naszej młodzieży zagranicą. — Informowanie cudzoziemców o Polsce. — Przejście szpitala pod zarząd miasta. 592

WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE.

	<i>Str.</i>
LIPIEC	196
SIERPIEŃ	409
WRZESIEŃ	611

DODATEK „PRACA.”

PRZY ZESZYCIE LIPCOWYM (№ 7): Udział Królestwa Polskiego w bud- żecie państwa,—przez <i>A. Donimirskiego</i>	1
PRZY ZESZYCIE SIERPNIOWYM (№ 8): Wybory do drugiej Dudy w Warszawie,—przez <i>Ig. Chabielskiego</i>	1
PRZY ZESZYCIE WRZEŚNIOWYM (№ 9): Kolonizacya niemiecka w W. Ks. Poznańskiem i Prusach Zachodnich,—przez <i>A. Do- nimirskiego</i>	1



